

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862

PRZEZ

Z.L.S.

CZĘŚĆ III

ROZDZIAŁ XIV

Sfinks polityczny.

Wielopolski w Petersburgu. Przyjęcie u cesarza noworoczne. Stosunki margrabiego z kobietami. Cesarzowa i widzenie się z nią. W. ks. Helena Pawłówna. Pani baronowa Meyendorff. Pani hrabina Keller. Zniesienie departamentu do spraw polskich w Radzie państwa. Kanclerz Nesselrode, Piotr Meyendorff i inni. Życie towarzyskie. Stronnictwa rosyjskie: Zapadnicy i Samobytnicy. Nihilisci i ich propaganda rewolucyjna. Stosunki Wielopolskiego z ambasadarami. Polityka Austrii względem Polski. Hr. Bismarck. Ambasador francuzki i angielski. Memoryał Wielopolskiego z d. 15 lutego. Stan wojenny. Rozdział władzy. Duchowieństwo. Historia listu pasterskiego ks. Felińskiego. Jego korespondencja z ks. Gorczakowem. Sprawa nuncjatury. Brewe papieżkie. Wrażenie w Petersburgu i skutki tego dokumentu. Dalsze pertraktacje i ich zakończenie. Otwarcie szkół publicznych i zdanie o tem prasy tajnej. Projekt wychowania publicznego w komisjach petersburskich. Szkoły wyznaniowe i kwestya przymusu szkolnego. Wahanie się w Petersburgu i propozycje czynione Wielopolskiemu. Jego powrót do Warszawy. Położenie ogólne. Aresztowania i ułaskawienia. Sprawa Aleksandra Zamoyskiego. Paweł Felkner. Żaloba i „Fijołki”. Widowiska teatralne. Rady miejskie. Rada w Krasnymstawie. Rady powiatowe i ich działalność. Zakładanie szkółek elementarnych. Postanowienie Rady administracyjnej. Nazimow i hr. Starzeński. Zachowanie się chłopów i ich denuncjacje. Brak monety zdawkowej. Rozbrojenie powszechne kraju. Położenie rzeczy w prowincjach zabrzanych. Projekt o oczyszczowaniu włościan z urzędu. Zwycięstwo Wielopolskiego w Radzie stanu. Postępowanie ks. Felińskiego z duchowieństwem. Ks. Zygmunt Golian. Okólnik arcybiskupa o spowiedzi. Rocznicza dnia 8 kwietnia. Wypadki dnia 10 kwietnia. Zarzuty gazet polskich zakordonowych i odpowiedź na nie ks. Felińskiego. Zakończenie.

Gdy się to wszystko działo w Warszawie, gdy ks. Felińskiemu powoli usuwał się grunt pod nogami, Wielopolski w Petersburgu zajmował coraz wybitniejsze stanowisko wśród sfer towarzyskich, a w kołach rządowych coraz staranniej krył się za nic niemówiącą, tajemniczą i zagadkową maskę sfinksa politycznego, jak go nazywano i jak on sam chętnie się nazywał. Położenie jego, jakieśmy rzekli, było jedno z najdziwniejszych, gdyż w tym świecie czynownictwa, z chwilą podania się do dymisyi nie zajmował żadnej pozycyi urzędowej, a tytuł członka Rady stanu Królestwa Polskiego, dla mnóstwa dygnitarzy petersburskich, był nic nie znaczącym i nie zawsze zrozumiałym. Tem więc osobliwszym, tem bardziej niepojętym wydawać im się musiał jego wpływ i powodzenie niezwykle, jakie zyskał w Petersburgu. Stąd posądzano go

o zamiary dalej sięgające, obejmujące większe niż Polska przestrzenie, a postępowanie, pełne tajemniczej zagadkowości, półsłówka, jakie czasem wygłaszał, zachowanie się całe, opinię tę do pewnego stopnia utrzymywało. Zdarzyło się, że na Nowy Rok, na wielkim przyjęciu w Pałacu Zimowym, ochmistrz dworski nie wiedział gdzie postawić Wielopolskiego, jakie mu miejsce naznaczyć w szeregu różnych dygnitarzy, którzy się zjechali, by złożyć swe życzenia cesarzowi. Wielopolski nie był już urzędnikiem, nie miał „czynu”, więc nie wiedziano, co z nim zrobić. Na niemałe zdziwienie wszystkich, margrabia przeszedł spokojnie przez całą salę i umieścił się tuż przy korpusie dyplomatycznym. Na uwagę mistrza ceremonii, że może to nie jest właściwe dlań miejsce, odrzekł nie ruszając się wcale: „wiem panie, gdzie jest moje miejsce” (*je sais, ou est ma place Monsieur*)¹⁵¹.

Innym znowu razem będąc w pałacu cesarskim, usiadł sobie, gdy wszyscy stali. Na zwróconą mu uwagę, że „tu siedzieć nie można”, miał odpowiedzieć: „to wam nie można, gdyż jesteście u swego cesarza, ja zaś u swego króla”¹⁵². Zachowanie się takie, zwracając na siebie, już przez samą swą oryginalność, uwagę powszechną, kazało przypuszczać wielu, że ten nowy sfinks polityczny nie tylko mnóstwo zagadek dźwiga w swej głowie potężnej, ale że będzie pozerą tych, którzy ich dość wcześnie nie rozwiążą.

W rzeczy samej tak nie było i Wielopolski znajdował się w tem położeniu, że sam nic jeszcze nie wiedział, jakie znajdzie rozwiązanie najbardziej i wyłącznie interesująca go zagadka przyszłości własnej ojczyzny. Jego postawa, milczenie, półsłówka, całe zachowanie się wreszcie, było wykonywaniem dobrze obmyślanego planu, by działać na wyobraźnię, zyskiwać sobie wszystkich w części przez tajemniczość, mającą zawsze urok olbrzymi, w części przez obawę i obracać to na korzyść Polski, boć jego nic innego nie obchodziło tylko ta Polska, która gdzieś tam, przyczepiona do skrajów olbrzymiego caratu, tak szalonych poczęła dostawać konwulsyi, że konwulsye te wstrząsały już samem cielskiem rosyjskiem. Głównie jednak działał przez kobiety, czynnik zawsze wpływowy we wszystkich sprawach ludzkich, we wszystkich państwach i czasach a może najwplywowszy w Itosyi, która z wielu względów miała formy i obyczaje mocarstwa orientального. Olbrzymia postawa margrabiego, jego pyszna głowa, jakby skradziona z antycznego popiersia Fidyasa, jego oryginalna sytuacja w tem mieście czynownictwa, jego tajemniczość, rozum, dowcip niepospolity, magnackie wzięcie się i manery najlepszego towarzystwa, powoli już zacierające się wśród mieszczańsko-demokratycznych prądów wieku, wywierały niepospolity urok na kobiety, a przez nie na ich mężów, ojców, braci i kochanków. Margrabia z wiedzą czy bez wiedzy, umiał ten urok wyzyskiwać odpowiednio.

151 Lisicki, Le marquis II, 267.

152 N. Berg. Zapiski, II, 199.

Mówiliśmy już o jego stosunku z panną Antoanetą Błudowówną, o tem jak dalece potrafił wziąć przewagę nad tym umysłem mistycznym, i jak przez nią wpływał na jej ojca, zajmującego nader poważne stanowisko w rządzie rosyjskim; wiemy, jak dzięki pani Calergis warszawskiej zyskał sobie starego kanclerza Nesselrodego. Teraz krąg tych znajomości i tych wpływów znacznie się rozszerzył i sięgnął do sfer najwyższych.

Pewnego dnia, po audyencji, cesarz zaprowadził go do cesarzowej i przedstawiając tej pani magnata polskiego, o którym zapewne dużo słyszała i ciekawą go była poznać, odszedł mówiąc: „teraz zostawiam was razem” (*maintenant je vous laisse ensemble*). W ciągu rozmowy margrabia zacytował bardzo w porę jakiegoś poetę niemieckiego, co tej Niemce z rodu bardzo się podobało, i prosiła Wielopolskiego, żeby jej wiersz ten przyniósł na piśmie. Tym sposobem pierwsze lody były przełamane, a znajomość życia i literatury niemieckiej pociągały cesarzową ku szlachcicowi polskiemu. Zapewniała go ona, że usposobienie Mikołaja dla Polaków, nie „znajduje odgłosu w obecnym cesarzu”; przyrzekała, że opierać się nie będzie poddaniu pod władzę Komisji oświecenia zakładów naukowych dla dziewcząt, znajdujących się pod jej opieką, oraz, że posada dyrektorki instytutu w Puławach, nie będzie powierzana, jak to dotąd bywało, Rosyankom. „Nie widzę żadnej przeszkody, mówiła, by stanowiska tego nie miała zajmować Polka. Oskarżają mnie, dodała, o fanatyzm, ale Bóg mi świadkiem, że jestem daleką od myśli odbierania komukolwiek jego wiary lub języka”¹⁵³. Takie łaskawe przyjęcie przez monarchinię, która nie była bez wpływu na dworze, musiało koniecznie oddziaływać na wszystkich; blask, padający od przyjaznego uśmiechu sułtanki, odbić się musiał dokoła.

Między innemi, w początkach 1862 r. Wielopolski przedstawiony został wielkiej księżnie Helenie Pawłównie. Jego sympatye dla literatury, cywilizacji i życia niemieckiego, z łatwością utorowały mu drogę do zyskania wpływu na tę drugą Niemkę na dworze cesarskim w Petersburgu. A wpływ ten mógł mieć poważne znaczenie. Wielka księżna była bowiem kobietą niezaprzeczenie wyższego umysłu, światła i skłonna do namiętnego adorowania idei liberalnych wieku. Otworzyła ona u siebie rodzaj salonu politycznego, gdzie zbiegali się wszyscy wybitniejsi ludzie epoki, i gdzie wiele reform, które zaznaczyły panowanie Aleksandra II-go, omówiono wprzód, nim weszły w życie w formie aktu prawodawczego. Gorące zajęcie się kwestyami polityki bieżącej stanowiło główny powab tych zebrań towarzyskich; to też bywał tu i Wałujew, minister spraw wewnętrznych, bywał i Milutyn, który, teraz w niełasce, bawił w Rzymie i Paryżu, skąd korespondował z Wielką Księżną. Wieść niesła, że

153 Lisicki, Le marquis II, 267.

łączyły ją z nim związki romantycznej natury. W salonach pałacu Michajłowskiego, przesiąkniętych, że tak powiem, rozprawami politycznymi, znalazł się i Wielopolski, i od razu zajął w nich miejsce wybitne. W zjednaniu sobie wielkiej księżny szło margrabiemu głównie o to, żeby przez nią wpłynąć na jej zięcia, księcia Meklemburskiego, który jako zwierzchnik naczelny wszystkich zakładów wychowawczych żeńskich, mógł się sprzeciwić zamierzonemu oddaniu instytutu pańien w Puławach pod zarząd Komisji Oświecenia. A przytem bywanie w salonach Heleny Pawłówny należało w tej chwili w Petersburgu do najlepszego tonu, świadczyło o czynnym współudziale w polityce dnia. Wielopolski z właściwą sobie przenikliwością to rozumiał i częstym był gościem w pałacu Michajłowskim.

Trzecią na koniec kobietą, przy pomocy której Wielopolski spodziewał się to i owo zrobić, lub to i owo przeprowadzić, była pani baronowa Meyendorff, żona Pawła Meyendorffa, członka Rady państwa, z którym, jak wiemy, margrabia odnowił swą dawną, z Getyngi jeszcze pochodzącą, znajomość, i w którym znalazł szczere i uczciwe poparcie. Dopomagała mu w tym względzie wiele pani baronowa, która, jak wszystkie wyższe i wykształćniejsze kobiety tej doby w Petersburgu, stała się gorącą wielbicieleką margrabiego. Niemka, a raczej Austriaczka z pochodzenia, hrabianka Bouol-Schaustein z domu, siostra owego Bouola, który przez jakiś czas dzierżył tekę spraw zagranicznych w państwie rakuskiem, katoliczka gorliwa, brała żywy udział za przykładem innych kobiet tej epoki w tych wielkich prądach politycznych, jakie przebiegały w tej dobie po Rosyi, a których przeznaczeniem było rozplątać się i utonąć z czasem w bagnistym trzęsawisku wstecznictwa staroruskiej partii Samobytników. Wpływy baronowej w Petersburgu nie były wielkie, ale z tych, jakie posiadała, umiała korzystać zręcznie i umiejętnie. Cieszyła się ona wielce z wyniesienia ks. Felińskiego, którego znała osobiście i ceniła bardzo¹⁵⁴, a tu i owdzie rzucone przyjazne słówko, pomijając już oddziaływanie na męża, nie pozostawało bez śladu.

W tej galeryi kobiet, które głośno uwielbiały margrabiego i które go, bodaj czy nie najskuteczniej, popierały, znalazła się także niejaka hrabina Keller, która z czasem w warszawskim i ostatecznym dramacie Wielopolskiego odegrała rolę nie bez pewnego znaczenia historycznego. Była to kobieta bardzo piękna, pełna, okazała, z biustem i ręką „białoramienną Hery” homerowskiej, z włosami jasnymi, przypominającymi swym kolorem bujne łany dojrzałego zboża. Karyera jej była zwykłą karierą kobiety pięknej, niezbyt skrupulatnej co do moralności, lubiącej władzę, zbytek, zabawy. Córką Serba, Riznicza,

154 Lisicki, Kwartalnik historyczny. Zeszyt IV z 1894 r.

będącego w służbie rosyjskiej, i Polki, Rzewuskiej, została z czasem metresą wszechpotężnego generał-gubernatora kijowskiego, Bibikowa. Pannę skompromitowaną w tym stosunku trzeba było wydać za mąż i takiego męża z łatwością prokonsul kijowski znalazł.

Był wówczas w Kijowie niejaki Keller, Niemiec, ubogi hrabia z prowincji Nadbałtyckich, rudy, brzydki jak noc, zajmujący skromne stanowisko inspektora (nadziratiela) szkolnego, który, żeniąc się z kochanicą Bibikowa, robił wielką karierę, gdyż zaraz potem został gubernatorem w Mińsku litewskim. Tutaj, zdarzyło się raz, że w czasie jednego z przejazdów przez Mińsk cesarza Aleksandra II, pani gubernatorowa wyszła powitać monarchę na perystyl swego domu, i cesarz, który był wielbicielem pięknych kobiet, olśniony jej wdziękami, pocałował ją w rękę, co ogromnie jej znaczenie podniosło i najsłodsze nadzieje obudziło w tej kobiecie ambitnej, chciwej blasku i błyszczenia. Gdy się te nadzieje nie ziszczały, znudzona takim partykularzem, jakim był wówczas Mińsk, wybrała się pod koniec 1861 r. do Petersburga, odświeżyć się, zobaczyć krewnych, przypomnieć komu trzeba, wydobyć męża z nudów mińskich, a może popchnąć go na wyższe szczeble hierarchii urzędniczej. W tym celu, w czasie tego niezmiernie ożywionego sezonu petersburskiego, w którym jedną z najjaśniejszych gwiazd był dumny szlachcic polski, pani Keller kręciła się po wszystkich salonach, olśniewała swymi księżycowymi wdziękami, bawiła rozmową żywą, pozornie głęboką, ale w gruncie rzeczy ślizgającą się po wierzchu, i wyrobiła sobie opinią kobiety mądrej, zręcznej i ambitnej. W tych to salonach Wielopolski, spotykając ją ciągle, zwrócił na nią w końcu swą uwagę, zwłaszcza że mu przypominała jedną z wielkich przyjaciółek młodości, a przytem pani hrabina Kellerowa, słysząc ciągle pogawędki, że klucz do sytuacji obecnej, już nie tylko polskiej ale i rosyjskiej leży w ręku „sfinks politycznego”, wytłomaczyła sobie zapewne, że najrozumniej będzie losy swe związać z losami nowego Cezara polskiego, sama mu się rzucała w oczy i starała mu się podobać. Powoli dopięła swego i w zamian gorąco popierała gdzie mogła margrabiego i głośno nazywała się jego „polityczną aliancką”¹⁵⁵.

Takie piękne i niepiękne, ale nadzwyczaj wpływowe i czynne miał pomocnice Wielopolski w trudnym swym zadaniu w Petersburgu. Ale i wśród mężczyzn liczył wielu przyjaciół.

Mówiliśmy już o Błudowie, którego córka panna Antoaneta starała się jak najlepiej usposobić i donosiła margrabiemu, że ojciec jej „chce z nim poważnie się rozmówić o wielkich kwestiach, od których zależy przyszłość tyłu milionów pańskich i naszych współrodaków”¹⁵⁶. Dzięki temu stary prezes Rady

155 Loc. cit. 744.

156 Lisicki, Le marquis II, 416.

państwa, wychowany w innych warunkach, należący z tradycji, przyzwyczajen i wyobrażeń do dygnitarzy na modłę mikołajewską, nigdy się wprawdzie zupełnie nie nawrócił do idei Wielopolskiego, ale zmiękł i ustępował, gdzie tylko mógł ustąpić. Tak np. nie sprzeciwiał się wcale, gdy wyszła na stół usilnie przez Wielopolskiego popierana kwestya zniesienia departamentu do spraw polskich w Radzie państwa. Margrabia, korzystając z tego, że ostatnie obrady Rady stanu dobre wrażenie zrobiły w Petersburgu, w jednym ze swych memoriałów, przedstawionych cesarzowi, pisał: „Nakoniec dla zachowania Radzie stanu całego uroku stanowiska, nadanego jej wolą monarszą, czyniąc zeń organ samorządu Królestwa Polskiego, wydaje się koniecznem, ażeby żadna władza, a zwłaszcza żadna gałąź zarządu cesarstwa, nie pośredniczyła między Radą stanu i monarchą. Zniesienie departamentu Rady państwa do spraw polskich będzie najlepszym dowodem uznania dla pożytecznej i sumiennej pracy Rady stanu Królestwa”¹⁵⁷. Otóż Błudow temu się nie sprzeciwiał, dzięki wpływowi córki, która pierwsza pospieszyła powinszować Wielopolskiemu „śmierci pewnego departamentu”, jak się wyraziła¹⁵⁸.

Niemniej wielkiego przyjaciela znalazł Wielopolski, jakeśmy to już zaznaczyli, w starym kanclerzu Nesselrode.

Wprawdzie nie mieszał się on już prawie do niczego i bardzo rzadko był pytany o radę, wszelako gdzie mógł i jak mógł popierał margrabiego, naciskany przez listy synowicy pani Calergis i jej ojca, które zwykle były przedstawiane cesarzowi¹⁵⁹. Baron Meyendorff, mąż wspomnianej powyżej hrabianki Bouol, nie potrzebował wcale, by go żona zachęcała do wspierania Wielopolskiego. Czynił to wszędzie gdzie mógł, a jako członek Rady państwa nie był bez wpływu. Cesarz często zasięgał jego zdania w sprawach polskich, dawał mu do czytania memoriały Wielopolskiego, i jak zobaczymy później, polecał zasiadać w komitetach, zwoływanych dla rozpatrzenia projektów margrabiego. „Jestem gorąco popierany, pisał Wielopolski w jednym ze swych listów do żony¹⁶⁰, przez wiele osób wpływowych, między innemi przez zacnego barona Meyendorffa, przez kanclerza Nesselrode, a to dzięki naszej kochanej

157 Loc. cit. II, 259.

158 Ukaz znoszący rzeczony departament, datowany jest 1 (13) stycznia 1862 r. i brzmi jak następuje: „ukazem naszym z d. 14 (26) marca 1861 r. rozkazaliśmy przywrócić Radę stanu Królestwa Polskiego, wkładając na tę Radę rozpatrywanie projektów nowych praw i ustaw, rocznego rozkładu dochodów i wydatków Królestwa, oraz sprawozdań głównie zarządzających rozmaitymi wydziałami rządów w Królestwie. Uznając zatem istnienie w Radzie państwa oddzielnego departamentu do spraw Królestwa Polskiego zbytecznem, rozkazujemy znieść ten departament”.

159 Lisicki. Kwartalnik historyczny, 741.

160 Cytowany u Lisickiego, Le marquis II, 249.

i dobrej pani Calergis i jej ojcu”. Do grupy tych przyjaciół Wielkopolskiego należał także wicekanclerz Gorczakow, człowiek wykształcony i wyrobiony po europejsku, zwolennik cywilizacji zachodniej, liberalny i postępowy, Wałujew; minister spraw wewnętrznych, wielki przyjaciel margrabiego i Polaków; hr. Borch, Sumarokow i wielu innych mniej wybitnych, niemniej przeto znaczących i wpływowych. Przyjmowano wszędzie Wielopolskiego uprzejmie, ciekawie i z wielką grzecznością. „Stosunki moje szerzą się, pisał w początkach stycznia; największą u wszystkich napotykam uprzejmość, w niczem niepodobną do sposobu, w jaki nas Zamek warszawski przez lat trzydzieści traktować¹⁶¹. Zapraszano go na wszystkie strony do domów rosyjskich i polskich, czasem jednego dnia miał dwa obiady i dwa wieczory prozione.

Ale wszyscy wyżej wymienieni dygnitarze byli to ludzie wysoko wykształceni na wzorach europejskich, admiratorzy cywilizacji zachodniej, wyznawcy idei liberalnych, którzy sądzili, że zastosowanie niektórych urządzeń społecznych europejskich do Rosji nie przyniosłoby tej ostatniej tak wielkiej szkody, jak się niektórym zdawało, a zastygłe ze starości arterie życia narodowego, utworzone jeszcze w dobie reform Piotra Wielkiego, mogłyby się tą drogą odświeżyć i odmłodzić. Dlatego też nie byli oni przeciwni autonomii polskiej, nawet jak najszerszej; owszem sądzili, że nadanie samorządu Polsce, przyczyni się bardzo wiele do rozwoju reform w Rosji. Pojawienie się Wielopolskiego w Petersburgu, urok jaki wszędzie rozsiewał, wpływ jaki wywierał, był im bardzo na rękę, więc popierali go szczerze i gorliwie. Niezaprzeczeni patryoci rosyjscy w najlepszym tego słowa znaczeniu, w tem popieraniu zamysłów margrabiego widzieli przysługę, jaką własnej oddawali ojczyźnie, gdyż instytucje liberalne, nadane Polsce, z konieczności musiały wywołać nadanie ich Rosji.

Lecz obok nich istniało w tej chwili stronnictwo całkiem przeciwnych mniemań, niechętnie patrzące na Polskę i margrabiego, nie dość silne, by otwarcie do walki wystąpić, ale złe, warczące po kątach i gotowe każdej chwili skorzystać z przyjaznej okoliczności, by to, co robili „Zapadnicy” (tak zwano stronników reform i cywilizacji zachodniej), wyrzucić do góry nogami, zdeptać i zburzyć. W przeciwieństwie do tamtych, twierdzili oni, że Rosja nie potrzebuje nic pożyczać z Zachodu, że ona ma własną cywilizację, odrębną, samoistną, narodową, i że starać się powinna o rozwój tej cywilizacji rodzimej i jakoby wielką przyszłość przed sobą mającej. Zwali się oni „Samobytnikami”, i jak Zapadnicy głównie koncentrowali się w urzędniczym i kosmopolitycznym Petersburgu, tak Samobytnicy dąsali się w Moskwie, w starej „białokamiennej” Moskwie, matce wszej Rosji, mieście czysto moskiewskim, błysz-

161 Lisicki, Al. Wielopolski I, 275.

czącym dziwaczną pstrociną oryentalno-tatarską swych kopuł cerkiewnych i odznaczającym się takąż oryentalno-tatarską surowością i oryginalnością pojęć. W dziedzinie polityki Samobytnicy byli pansławistami, ale na sposób specyficznie moskiewski. Głosili oni wielką przyszłość świata słowiańskiemu, ale pod warunkiem, że się stanie moskiewskim; domagali się wydobycia ludów słowiańskich z pod jarzma tureckiego i niemieckiego, ale na to tylko, by je poddać pod stokroć gorsze jarzmo rosyjskie. Świat słowiański miał się rozpuścić w morzu moskiewskim, wszelkie więc próby autonomicznego istnienia Polski, ożywienia jej odrębności narodowej, były to według nich zamachy na najświętszą ideę, zbrodnią wobec świata słowiańskiego. Marzyli oni o zdobyciu Carogrodu, o tem by w Warszawie polskiej i w Pradze czeskiej błyszczały różnokolorowe cebule cerkwi moskiewskich. W konsekwencji więc ostatecznej domagali się, że nim to nastąpi, nim cały świat słowiański ubierze się w armiak moskiewski i brodę kacapską zapuści, należy w istniejącem już państwie rosyjskiem stworzyć jeden kościół państwowy, prawosławny, jeden język urzędowy, koncentracją administracyjną, zniesienie wszelkich przywilei, wszelkich stanów. Dla nich ideałem była Rosya, w której tylko miały być dwie olbrzymie przeciwwagi: car i chłop, Rosya „mużycka”, jak mówili. Twierdzili głośno, że w tym „mużyku” leżą olbrzymie siły, że on przechował tradycją najlepszych urządzeń społecznych i dzięki swym stronnikom: Milutynowi, Czerkaskiemu, Samarynowi i Sołowiewowi, zdołali przeprowadzić w reformie włościańskiej utworzenie gminy bez własności indywidualnej, i dumnie mówili, z krzyczącą nieznajomością dziejów, z zaślepieniem zdumiewającym, że taka „gmina rosyjska przejdzie świat cały”, i wszędzie się zaszczepli. Jednem słowem Rosya, Moskwa muzycka miała ludzkość odrodzić.

Poza temi marzeniami jednak, które wkrótce w praktyce rozwiązać się miały, program Samobytników był z wielu względów groźny dla Rosyi i dla Polski. Ich najlepsze pióro, Samaryn, pisał właśnie swe sławne „Kresy” (Okrainy), i domagał się, by w prowincjach Nadbałtyckich i w Finlandyi zniesiono wszelką autonomią i starano się je zrusyfikować zupełnie. Tak samo odnośnie do Polski; Samobytnicy nie pisali jeszcze tego tysiąca niegodnych i nikczemnych pamfletów, jakimi w parę lat później poczęli plwać na Polskę, ale już teraz dość głośno domagali się, by w Litwie, na Podolu, Wołyniu i Ukrainie wprowadzono rosyjską gminę Wiejską, by odebrano Polsce, temu „ognisku feudalizmu i łacinizmu” wszelką odrębność i zlano ją z Rosyą. Nienawidzili oni też szczerze Wielopolskiego i, gdzie mogli i jak mogli, starali mu się szkodzić. Na szczęście nie byli w tej chwili zbyt silni; Milutyn, najtęższa ich głowa, popadł w niełaskę, jako podejrzany o „czerwoność rewolucyjną”, i błąkał się po Rzymie, przypatrując się bezpośrednio tej starej cywilizacji zachodniej,

której jego stronnicy tak się zarzekali, a która mu się poczęła wydawać nie tak znów bardzo godną potępienia w stosunku do mniemanej, rodzimej cywilizacji moskiewskiej¹⁶². Nie mogli więc występować czynnie, nie przestali jednak pokątnie podbudzać różnych głupców, w rodzaju Sezostrysa-Suchozaneta, który przybywszy do Petersburga, nieprzyjazny Wielopolskiemu jeszcze z Warszawy, stał się narzędziem, co prawda nie bardzo skutecznym, w rękę Samobytników. Pewnego dnia odezwał się on do jednej z tych licznych aliantek politycznych margrabiego, których była teraz pełną stolicą nadnewską, że „woli sto razy mieć do czynienia z hrabią Zamoyskim, niż z margrabią Wielopolskim; hrabia przynajmniej wypowiada otwarcie co myśli, gdy tymczasem margrabia ma minę, jakby cię chciał oszukać”¹⁶³.

Rozповідаł on wszędzie z najgłębszym przekonaniem, że Wielopolski dąży wyraźnie do objęcia co najmniej namiestnictwa, a może nawet pierwszego stanowiska w cesarstwie; rozповідаł za nim inni, że miesza się do spraw rosyjskich, że wspomina o konieczności nadania Rosji konstytucji i wyznacza nawet osoby, które w tem przyszłym państwie konstytucyjnym mają z jego poręki objąć teki ministerialne¹⁶⁴. Mówiono dalej, że Wielopolski jest po prostu „zamaskowanym zdrajcą” (*traître déguisé*), że utrzymuje nielegalne stosunki z zagranicą, zwłaszcza z emigracją polską, że wcześniej czy później przyjsć do tego musi, że trzeba będzie zrewidować jego papiery. Wszystkie te pogłoski, zbyt wyraźnie świadczące o źródle ich pochodzenia, nie znajdowały w sferach ludzi rozumnych ucha i margrabia też pisał, że „wstrętu tu się nigdzie nie spotyka ani uczuwa, prócz kliku Suchozaneta, która coraz więcej słabnie”¹⁶⁵.

Do osłabienia nie tyle tej kliku, która była tylko bezmyślnym narzędziem w rękach rozumniejszych, ile wogóle stronnictwa Samobytników, przyczynił się bardzo wiele ich odcień skrajny, noszący nazwę Nihilistów. Powstanie tej partii, która mniej więcej w tej porze święciła swe narodziny, przypisywały sobie nawzajem oba stronnictwa, a żadne z nich do ojcostwa tego bękarciego płodu przyznać się nie chciało, wszelako wiele danych za tem przemawia, że wydali go Samobytnicy. Teoria ich, by w Rosji był tylko car i muzyk, a wszystko inne winno być starte z oblicza ziemi rosyjskiej, rozwijana konsekwentnie doprowadzić musiała do zasady nihilistycznej, że wszystko jest

162 Charakterystycznym jest ustęp z jego listu, kiedy wezwany z Paryża do Petersburga, pisał do żony dnia 1 czerwca 1862 roku, użalając się nad nędzną roślinnością petersburską: „gdybyż tylko klimat był okropny! ale pustka, ubóstwo, brud, brak wszelkiego komfortu”. (*Leroy-Beaulieu*: *Un homme d'état russe*). Zapomniał snadź, że wszystkie te braki były nieodłączną cechą rodzimej cywilizacji moskiewskiej.

163 Lisicki, *Le marquis II*, 268.

164 N. Berg. *Zapiski II*, 267.

165 Lisicki, *Aleksander Wielopolski I*, 275.

złem w tej rzekomej cywilizacji rosyjskiej, wszystko więc zniszczyć należy, znihilować, a na tak przygotowanej karcie pisać nowe dzieje i budować nowe społeczeństwo. Objawy czynnej akcji nihilistycznej, dające znać teraz o sobie, czy to w wydawnictwie tajnego pisma, czy w zaburzeniach uniwersyteckich, czy nakoniec w literaturze, co doprowadziło do skazania do kopalń na lat sześć właśnie w tych czasach jednego z pisarzy nihilizmu, Michajłowa, wywołały w rządzie niechęć ku Samobytnikom, a tem samem popierały pośrednio działalność Wielopolskiego.

Niemniej przeto nie dali oni za wygraną i upartą walkę tocząc ciągle z Zapadnikami, powodowali te liczne i nagłe zmiany, jakie zachodziły co do sprawy polskiej w słabej, ulegającej wpływom zewnętrznym, głowie cesarza Aleksandra II-go. W tych, bezwątpienia strasznych, starciach dwóch prądów, których widownią była wówczas Rosya, a głównie dwór cesarski, zawdzięczać tylko Wielopolskiemu należy i jego niezwykłemu rozumowi, że nieszczęśliwa Polska już wtedy stratowaną i zdeptaną nie została¹⁶⁶.

W tej walce długiej, upartej, zaciętej, której rezultat ostateczny wypadł na niekorzyść Zapadników i której łupem stała się Polska, brały także udział, w tej chwili przynajmniej wpływy zagraniczne, udział skryty, tajny, ostrożny, ale niemniej przeto silny. Zjawienie się Wielopolskiego w Petersburgu, jego znaczenie tam rosnące z każdą chwilą, jego pewność siebie, urok jaki roztaczał, zagadkowe milczenie, sytuacja wreszcie na wskroś oryginalna i bezprzykładna w dziejach Rosyi, powszechną na siebie uwagę zwracała całego korpusu dyplomatycznego. „Z niejednego względu szczególne jest położenie moje, pisał do żony¹⁶⁷; ciało dyplomatyczne bardzo się mną zajmuje, zdania i ruchy pilnie śledzi; łamię sobie głowę, czy jestem za Austryą, czy za Francją; nie wiem, co im tak na tem zależy”. Końcowa uwaga jest zbyt skromnością, bo Wielopolski doskonale pojmował swą sytuację i rozumiał dobrze, iż różnym dyplomatom wiele zależało na tem, by się dowiedzieć, ku któremu z rządów obcych okazuje on najwięcej sympatii.

Ustalało się bowiem coraz więcej to przekonanie, niezaprzeczenie fałszywe, że margrabia ma wielki wpływ na cesarza, a jego milczenie i półsłówka kazały przypuszczać, że nawet w polityce zewnętrznej Rosyi odegra rolę pierw-

166 W broszurze „Ruch polski z 186 1r.” wydanej pod natchnieniem Wielopolskiego, na str. 70 (edycja druga) czytamy: „Była chwila strasznego starcia się stronnictw w Petersburgu, z których każde inaczej pojmowało interesa Polski, inaczej pojmowało jej stosunek do Cesarstwa i stanowisko w rodzinie ludów europejskich. Wszędzie jest straszna i niebezpieczna abdykacja starych systemów; tak samo ustępował w Cesarstwie zacięty i uporny system rządów militarynych”.

167 Lisicki, loc. cit. I, 275.

szorzędną. W gruncie jednak rzeczy tak nie było. Wielopolski wziął sobie za zasadę, może w danym razie błędną, ażeby w swych stosunkach obecnych z ciałem dyplomatycznym i światem urzędowym zupełnie nie dotykać się kwestyi polityki zewnętrznej¹⁶⁸. Mimo to jednak starał się o zawiązanie znajomości z ówczesnymi reprezentantami dworów europejskich w Petersburgu, i z niektórymi z nich udało mu się wejść w bliższą zażyłość; z innymi stosunki te były chłodne do samego końca. Do rzędu tych ostatnich należał ambasador austriacki, hrabia Fryderyk Thun, wielki pan z rodu i stanowiska, osobiście uznający niezwykle przymioty umysłowe margrabiego, ale jako Austriak z krwi i ducha, bardzo mu niechętny ze względów politycznych. Przedewszystkiem bowiem hr. Thun należał do rzędu tych dyplomatów starej szkoły meternichowskiej, którzy jedyne zbawienie nie tylko Austrii, ale całej Europy widzieli w świętem przymierzu trzech mocarstw rozbiorowych, a zatem w ścisłym związku Austrii z Rosyą. Pogodzenie się zaś tej ostatniej z Polską, układ jakiś wzajemny dwóch narodowości, uważał za największe nieszczęście dla Austrii i stanowczo mu był przeciwnym. Ponieważ zaś Wielopolski całą swą kombinacją polityczną opierał na tej podstawie, przytem znany był ze swego wrogiego usposobienia dla Austrii, więc też hr. Thun bardzo krzywo a zarazem bardzo bacznie przypatrywał się wszystkim krokom margrabiego w Petersburgu. W tym względzie zgadzał się on zupełnie z polityką gabinetu Rechberga, austriackiego ministra spraw zagranicznych, odnośnie do ostatnich wypadków w Polsce.

Gabinet ten bowiem, gdy wybuchły pierwsze rozruchy w Warszawie i gdy na te rozruchy inne gabinety patrzyły jak na wypadki przelotne, nie mające głębszego znaczenia i łatwe do uspokojenia¹⁶⁹, wystosował do niektórych swych posłów depeszę poufną, w której kładł nacisk na wielkie znaczenie i na wielką doniosłość manifestacyi polskich. Uważał je jako posiadające „wysoką wartość moralną”, i mogące mieć „nieobliczone następstwa” dla ogólnej polityki europejskiej. Oczywiście p. Rechbergowi nie szło tu wcale o Polskę, ale wobec „porozumienia się serdecznego” Francyi z Rosyą, wobec nierozstrzygniętej jeszcze zupełnie kwestyi włoskiej, nader miło było gabinetowi wiedeńskiemu, że Polska niepokoiła Rosyą i nie pozwalała jej na akcyą gdzieindziej, oraz że podnoszące się widmo tejże Polski, budząc stare sympatyje francuskie, mogło przyczynić się do zerwania owego „serdecznego porozumienia”. Dlatego też wynosząc „wysoką wartość moralną” wypadków warszawskich, p. Rechberg, współcześnie był przeciwny wszelkiemu załatwieniu pokojowemu kwestyi polskiej, i jak się zdaje, nie był bez wpływu na ogłoszenie stanu

168 Lisicki, *Le marquis II*, 268.

169 J. Kłaczko. *Études de diplomatie contemporaine*, 36.

wojennego przez Lamberta w Warszawie¹⁷⁰, gdyż surowość tego stanu, wykonywana ze znaną brutalnością przez satrapów rosyjskich, mogła tylko obie strony podrażnić jeszcze więcej. Dlatego też wreszcie gabinet wiedeński, a za nim jego reprezentant w Petersburgu, hr. Thun, z wielką niechęcią patrzył na działalność Wielopolskiego w stolicy nad Newą, i trzymał się odeń zdaleka, a może gdzie mógł i jak mógł, to mu szkodził.

Posłem pruskim w tej porze, był od dwóch blisko lat, nie kto inny, tylko hr. von Bismarck, który właśnie rozpoczynał swą wielką karierę polityczną, a do której pierwszym stopniem miało być ciało zdeptanej Polski. Wzorem swej ojczyzny urósł on i utuczył się na historyczną wielkość krwi polską.

Nikt go oczywiście nie mógł posądzać o przyjaźń dla nas, on też nie okazywał jej wcale, choć podobno uznawał wysokie zdolności Wielopolskiego, a nawet później miał się dziwić, że Polacy nie potrafili należycie ocenić tego statysty¹⁷¹. Teraz jednak, zgodnie ze swym rządem, który, jak wiemy, oddawna zachęcał Rosyą do „surowości zbawiennej” względem jej poddanych polskich, tu i owdzie głośno i niechętnie, z cechującą go zawsze szorstką otwartością, która uchodziła u niektórych za przebiegłość, odzywał się o Polsce i o wypadkach warszawskich. Okazywał on przytem doskonałą, zdumiewającą dygnitarzy rosyjskich, znajomość ostatnich, porozbiorowych dziejów Polski, cytował daty i szczegóły z taką pewnością, jak gdyby nigdy niczem innem się nie zajmował, tylko studiami nad historią naszą¹⁷². Twierdził bez ogródki, że przywrócenie niepodległości polskiej byłoby „najstraszliwszym błędem politycznym” (*ein schrecklicher politischer Fehler*), i że każdy rosyjski mąż stanu, który choć cokolwiek dba o swą ojczyznę, musi przeciw wszelkiej samoistności tego kraju występować. „Gdyby nawet, mówił, ta niepodległość ograniczyła się tylko na samo Królestwo, ażeby postawić mur między Rosyą i Europą, jak to powiadają Polacy, to któż zaręczy, że oni tem się zadowolnią i nie będą sięgali po Poznań, Galicyą, Litwę, aż po Kijów? Samoistność Polski jest to pozbawienie Europy na długi czas pokoju. Tam, gdzie szlachta i księża rządzą, i gdzie każdy chce być pierwszym skrzypkiem w orkiestrze i myśli o postawieniu się na czele władzy, tam nie może być mowy o samoistności. Rosya musi Polskę tak samo zrusyfikować, jak Prusy zniemczyły Poznańskie”. Słowa te, wypowiedane głośno i bez obsłonek, miały przynajmniej tę zaletę, że były szczere. Margrabia też, o ile się zdaje, pomimo całej swej admiracji dla niemieczyny w ogólności, a w szczególności dla Prus, które uważał za państwo re-

170 Lisicki, loc. cit. II, 269.

171 Loc. cit.

172 W. Aleksiejew, Erinnerungen des ehemaligen, russischen Lehrers des Fürsten O. v. Bismarck, drukowane w „Petersburger Ztng” z roku 1894.

prezentujące „prawdziwą cywilizację”¹⁷³, trzymał się zdala od Bismarcka, choć w tej porze właśnie dwa gabinety: petersburski i berliński prowadziły co do Wielopolskiego między sobą korespondencję¹⁷⁴, której treść jednak do dnia dzisiejszego pozostała tajemnicą.

Zdaje się również, że pośła pruskiego gniewały nieco marzenia panny Błudow o przyszłości rasy słowiańskiej, do której, jako prawdziwy Niemiec i Prusak, żywił głęboką pogardę.

Stanowisko ambasadora francuskiego zajmował wówczas pan Fournier, z którym Wielopolski był w wielkiej przyjaźni, jakkolwiek rząd francuski, jak wiemy, na kwestię polską w tej chwili zapatrywał się dość kwaśno i wypadki warszawskie potępiał. Od czasu słynnej noty kwietniowej „Monitora”, radził on Polakom, by zachowywali się spokojnie i wszystkiego oczekiwali od „wspaniałomyślności cesarza Aleksandra”. Mimo to jednak opinia publiczna we Francji tak wyraźnie i tak głośno oświadczała się za Polską, że rząd Napoleona nie mógł się zachowywać względem niej zupełnie obojętnie. Zwłaszcza prasa francuska gorliwie, nawet namiętnie stawiała w obronie Polski, po większej części dzięki zabiegom emigracyi, a cesarzowa Eugenia od czasu do czasu, z lekkością światowej i wielkiej damy, kilka słów, bez głębszego znaczenia zresztą, wygłaszała za Polską do pośła rosyjskiego Kisielewa; książę Napoleon zaś wyrzekał na „komedye katolickie”, których snadź dopatrywał się w ruchu polskim. Na balu zato w Tujleryach, w Nowy Rok 1862, cesarz Napoleon III zbliżył się do Kisielewa i wyraził nadzieję, że „wszystko, co dokoła się dzieje, w niczem nie naruszy jego dobrych stosunków z cesarzem rosyjskim”¹⁷⁵. Wobec tego, postawa p. Fournier w Petersburgu względem Wielopolskiego musiała być bardzo ostrożna i baczna, wszelako zapoznali się oni i zbliżyli do siebie.

Wkrótce zbliżenie to przybrało formy serdecznej przyjaźni, margrabia często bywał u p. Fournier, gdzie pociągała go jego córeczka, dziecko jeszcze, ale przypominająca mu ukochanego wnuka. Ze swej strony ambasador francuski jak mógł popierał go, dawał rady i w dniach zwątpienia pocieszał¹⁷⁶.

Śmieiej zato i otwarciej występował ambasador angielski, lord Napier; okazywał on wielką admiracyą dla margrabiego; głośno i gorąco trzymał jego stronę u swego rządu; do wybitniejszych członków emigracyi polskiej, zwłaszcza do ks. Czartoryskich pisywał listy i wzywał ich o poparcie Wielopolskiego,

173 Lisicki, *Le marquis II*, 269.

174 *Loc. cit.*

175 Z dziennika Kisielewa z dnia 2 stycznia 1862 (Tatyszczew. *Russkaja diplomatia w polskom woprosie. „Russkij Wiestnik”* z 1886 roku).

176 Lisicki, *Le marquis II*, 272.

„mego szlachetnego przyjaciela (mówił), męża znakomitego i uczonego, który pod pewnym względem przypomina mi dawnych kanclerzy francuskich”¹⁷⁷. Pomimo jednak osobistego uwielbienia dla Wielopolskiego, nie ulega wątpliwości, że polityka ta nie miała w sobie szczerości, że była tylko grą w celu zerwania „serdecznego porozumienia” Francji z Rosją. Już w rok potem ten lord Napier „wziął sobie za zasadę nigdy nie mówić o Polsce” i odzywał się, że go „Polska nudzi”¹⁷⁸.

Takim w ogólnych zarysach było położenie margrabiego w Petersburgu, taką kanwa, na której miał on rysować gmach odbudowującej się Polski. Wieści z Warszawy wcale nie były pocieszające; kwestya zatargu z duchowieństwem, pomimo nominacji arcybiskupa Felińskiego i pomimo otwarcia kościołów, nie zbliżała się do rozwiązania. Stosunki były mocno podrażnione i Wielopolski widząc to wszystko, w dwa dni po rekunciacji dwóch świątyń warszawskich, t. j. d. 15 lutego, w tej samej nieomal chwili, w której nowy arcybiskup solenny czynił ingres do katedry, wystąpił do cesarza z nowym memoriałem, w którym wyłożył swój program, swoje zapatrywania się na sytuację i potrzeby kraju, oraz na stanowisko ks. Felińskiego, jeżeli ono niema się stać „straconym posterunkiem”.

Lękając się, by „opłakane zajścia z duchowieństwem” nie powtórzyły się, domagał się w memoriale, aby stan obłączenia został ograniczony do właściwego zakresu, „co znowu nie da się inaczej osiągnąć, jak ustanawiając regularny zarząd cywilny, zdolny miarkować i kierować czynnościami wszystkich gałęzi służby i wszystkie interesa zarówno ochraniać”. Stan wojenny, według Wielopolskiego, jeśli ma rację bytu w większych miastach Królestwa, to całkiem nie jest potrzebny na prowincyi, gdzie „jeżeli nie jest przyczyną, to pretekstem do nieporządków bez końca”, niema więc żadnych powodów do utrzymania go tam nadal. Twierdził, niezupełnie zresztą zgodnie z prawdą, że „w okolicach nieco oddalonych od Warszawy, umysły uspokajają się widocznie, trzeźwieją i poważnieją. Gdy prawa o oczyszczaniu i wychowaniu publicznem, otrzymawszy sankcyę monarchy, energicznie w życie wprowadzone zostaną, przed duchowieństwem wiejskiem i właścicielami ziemskimi otworzy się źródło zajęcia i pracy dla kraju, a sumienne pełnienie obowiązków stąd płynących przyczyni się do zaniechania nieokreślonych marzeń, jakim w ostatnich czasach młodzież szczególnie oddawała się przez bezczynność”. Zato w stolicy i w większych miastach Królestwa (Radomiu, Kielcach, Płocku, Lublinie, Suwałkach i Kaliszu), stan wojenny utrzymany być winien, „aż do czasu przedsięwzięcia środków prawodawczych, dostatecznie zabezpieczają-

177 J. Klaczko, *Études*, 46.

178 Loc. cit. 36.

cych utrzymanie porządku publicznego”, wszelako domagał się, i słusznie, by wyjątkowe położenie ograniczono, określono i uregulowano, przedewszystkiem by nie karano za czyny popełnione przed jego ogłoszeniem, jak to się praktykowało w Warszawie; chciał, by przyspieszono bieg sprawiedliwości, „dziś nadzwyczaj opieszale idącej”; by rozciągnięto ścisły nadzór nad policją tajną, by wreszcie skupiono śledztwa w jednej na cały kraj komisji, w Warszawie zasiadającej. Stawiając takie postulaty, współcześnie memoriał poddał surowej i śmiałej krytyce działalność stanu wojennego: „rządy wojskowe się stępiły, pisze, ludność nawykła stawiać im czoło, odezwy rewolucyjne krążą liczniej niż przedtem, agitacja szerzy się i coraz większy wpływ w Warszawie zdobywa. Postępowanie władz drażniące i niezręczne oswaja ludność z myślą zamknięcia w cytadeli lub deportacji, a co gorzej, oszczędzając winowajców, dotyka niewinnych. Bez śledztw wstecznych komisje wojskowe nie miałyby zajęcia; ludzie umiarkowani więzieni są za czyny rządowi dawno wiadome i nawet przedsięwzięte z wiedzą władzy dla uspokojenia umysłów. Spisku nie wykryto, znani agitatorowie swobodnie prowadzą swoje rzemiosło, tajne pisma wychodzą jak najregularniej, komitety rewolucyjne wydają rozkazy; tylko przed ogłoszeniem stanu wojennego rzeczy odbywały się jawnie, za przyczyną ludzi wszystkim znajomych, których ująć zaniedbano, teraz zaś Warszawa przyzwyczała się chować tajemnicę i tajna policja wojskowa miasto konspirować nauczyła. Myśl zbrojnego powstania jest ogólnie potępianą, lecz doktryna biernego oporu, powstała w łonie Towarzystwa rolniczego, doktryna nader wygodna, dręczy umysły. Ludzie polityczni ze szkoły Towarzystwa rolniczego bezwiednie zła niezmiernie wyrządzają krajowi, zaniedbując czynić dobrze w miarę możliwości, co przysłoby im łatwo, gdyby tylko zdobyli się na odwagę potępić publicznie to, co potępiają w duchu. Gdziekolwiek rzucić okiem w Warszawie, smutek ogarnia na widok postępów złego, postępów, których wina i odpowiedzialność spada na fałszywe wykonanie stanu wojennego. Gangrena rewolucyjna, z powierzchni surowością usunięta, toczy wewnątrz ciała społecznego”.

Lekarstwo na to wszystko Wielopolski widział jedynie w rozdziale władzy cywilnej od wojskowej; myśl, którą dawno już podnosił i do której uparcie wracał. Utrzymywał, że chwila potemu jest jak najlepsza. Po raz to pierwszy proponuje, ażeby główne dowództwo nad wojskiem w Królestwie powierzyć, „jak za czasów W. ks. Konstantego, księciu krwi cesarskiej”, władzę zaś cywilną naczelnikowi rządu cywilnego, którym winien być Polak, posiadający zupełne zaufanie monarchy”. Czyż myśl ta, oddania berła namiestnikowskiego w Warszawie któremu z wielkich książąt, powstała wyłącznie w głowie Wielopolskiego, nie wiemy. To pewna, że w salonach W. ks. Heleny myśl ta

była rozbieraną i gorąco popieraną. Sama W. księżna chciała, by stanowisko to objął jej zięć, książę Meklemburski, który nie miał co robić naprawdę w Petersburgu, nudził się w nieczynności, gdyż stanowisko naczelnika zakładów wychowawczych żeńskich niewiele mu dawało do roboty, a nadewszystko było nic nie znaczącem i niewpływowem¹⁷⁹. Bądź co bądź, czyja była pierwotnie ta myśl, dość, że ona w tej porze już (w połowie lutego) istniała i znalazła swój wyraz w memoryale, o którym mówimy.

W memoryale tym Wielopolski domaga się dalszego rozwoju zamierzonych reform, ustanowienia Sądu Głównego, zatwierdzenia projektów o wychowaniu publicznem, oczynszowaniu włościan i równouprawnieniu żydów. „W Królestwie Polskiem — pisał — monarcha zbierał dotąd same trudności i zawody, będące następstwem i wynikiem dawnego, zbyt długo utrzymywanego, zgubnego systemu. Chcąc kraj wynarodowić, demoralizowano na wszelkie sposoby młode pokolenia, i ostatnie wypadki są naturalną reakcją, wywołaną długoletnią niemocą. Mimo to historia mało przedstawia przykładów monarchy, któremu by Opatrzność udzieliła do rozporządzenia tak niezmierny skarb dobrodziejstw społecznych, zdolnych ukoić i uleczyć zastarzałe cierpienia”.

Co się tyczy stanowiska duchowieństwa i ks. Felińskiego w Warszawie, to memoryał zapowiada, że nowy arcybiskup będzie narażony na rozmaite przykrości tak ze strony ludności, jak i władz krajowych.

„Władze obecne dowiodły, iż nie mają ani inteligencji, ani taktu potrzebnego, aby skutecznie wesprzyć arcybiskupa w dziele uspokojenia umysłów”, i widzi jedyną radę w przybyciu nuncjusza papieskiego do kraju. Niemniej radzi, aby list pasterski ks. Felińskiego, „tutaj przygotowany i aprobowany od N. Pana”, nie był ogłaszany teraz; „byłby on bowiem stosownym i dobrym w normalnym stanie rzeczy w Polsce; zasady i uczucia w nim wyrażone nie są jednak w harmonii z położeniem wyjątkowem kraju”¹⁸⁰. Rada była dobra, i jak wiemy, ks. Feliński do takiej samej doszedł w Warszawie konkluzji, po przypatrzeniu się ludziom i rzeczom na gruncie. Niestety! w tym czasie właśnie zaszły szczególnego rodzaju wypadki, które tę dobrą radę Wielopolskiego i konkluzją samego ks. Felińskiego w niwecz obróciły. Ulegając warunkom położenia rzeczy i radom p. Andrzeja Zamoyskiego, któremu, jak wiemy, nadzwyczajnie się nie podobało oskarżenie ruchu polskiego o socyalizm, ks.

179 Wieść o tem, że ks. Meklemburski ma być namiestnikiem w Warszawie w tej porze tak się rozszerzyła, że Pawliszczew w swych tygodniowych raportach, składanych cesarzowi, donosi o tem pod d. 26 lutego (Siedmicy I, 56), jako o pogłosce, obiegającej po Warszawie.

180 Memoryał powyższy czytać można w całości u Lisickiego, Al. Wielopolski, I, 301—315.

Feliński postanowił w liście swoim pierwotnym liczne porobić zmiany. Tak zmieniony dokument przesłał, jak się zdaje, do Petersburga do zatwierdzenia cesarzowi.

Tymczasem, nim nowa ta redakcja doszła do Petersburga, nim zyskała zatwierdzenie, pierwotny list ks. Felińskiego, taki, jaki był zredagował w stolicy caratu, ukazał się najniespodziewaniej w d. 19 lutego w dzienniku francuskim „Le Monde”, organie stronnictwa klerykalnego. Zrobiło to nadzwyczajną sensacją tak w Petersburgu, jak i w Warszawie; jakim sposobem, pytano się, i dlaczego dokument ten wprzód ukazał się za granicą, nim został na miejscu ogłoszony? Cesarz, słusznie tem rozgniewany, nakazał ks. Felińskiemu w d. 22 lutego za pośrednictwem ks. Górczakowa, ażeby „natychmiast ogłosił list pasterski w formie, jaką ostatecznie przedstawił do zatwierdzenia”¹⁸¹, i uwiadomił o tej swej decyzji Lüdersa¹⁸².

W trzy dni potem telegrafuje do tegoż Lüdersa w tej sprawie: „chcę wiedzieć, jakim sposobem list pasterski Felińskiego, nieogłoszony w Warszawie, mógł się ukazać w gazetach zagranicznych?”¹⁸³. Lüders naturalnie zapytał o to ks. Felińskiego, który, o niczem nie wiedząc, bardzo był zasmucony całą tą sprawą¹⁸⁴, i potrafił przekonać namiestnika, że ukazanie się listu w gazecie „Monde” wcale nie jest jego winą i że stać się co musiało jeszcze w Petersburgu. Tak też Lüders odpowiedział tegoż dnia cesarzowi, że „list przesłano za granicę prawdopodobnie z Petersburga. Tu, o ile wiem, nikt oprócz Felińskiego nie miał go w ręku”¹⁸⁵.

Jakoż w rzeczy samej nieszczęśliwy ten list, który w polskim tekście nigdy nie miał oglądać światła dziennego, dostał się za granicę z Petersburga. Ks. Feliński, gotując się do wyjazdu do Warszawy, zredagował list po polsku, a ponieważ trzeba go było przedstawić cesarzowi, który po polsku bardzo niewiele umiał, a może udawał, że nie umie, więc należało dokument ów prze-

181 Telegram ten, nie znajdujący się w zbiorze depesz, wydrukowanym przez „Russką Starinę”, brzmi w oryginale jak następuje: „Empereur m'ordonne d'informer Vôte Excellence, que Sa Majesté désire la publication immédiate du mandement tel, que vous l'avez soumis définitivement á notre Auguste Maitre”.

182 Cesarz pod tąż samą datą (10 (22) lutego) donosi depeszą Lüdersowi co następuje: „Kniaź Górczakow soobszczajet Felinskomu moju wolii na szcztet publikacii jewo posłania w tom widie, kak ono było okonczatielno mnie predstavlieno” („Russ. Starina” z 1883 roku p. 642).

183 W oryginale telegram brzmi: „żelaju znat', kakim obrazom pastyrskoje posłanie Felinskawo, niepublikowannoje w Warszawie, mogło pojavitsia w zagranicznych gazetach?” (Loc. cit.).

184 S. Prawdzicki, Wspomnienie, 92.

185 Depesza z dnia 12 (25) lutego (loc. cit.).

tłumaczyć na język francuski. Przekładu tego dokonał ks. Tadeusz Łubieński i poufnie zakomunikował go kilku osobom w Petersburgu, a między innymi niejakej pani jenerałowej Southoff, katoliczce, znajomej ks. Felińskiego i, jak większość pań petersburskich, wielkiej jego admiratorce, urodzonej z księżniczki Broglie.

Pani Southoff w najlepszej wierze, z lekkomyślnością prawdziwie kobiecą, przesłała ten dokument do Francji swemu kuzynowi, który nie miał nic pilniejszego jak zanieść go do redakcji „Monde’a”, nie domyślając się, że popełnia największą niedyskrecję i stanowisko ks. Felińskiego naraża wobec rządu¹⁸⁶.

Cała ta sytuacja fałszywa, wypadki warszawskie, obelgi, jakimi go obrzucano ze strony Czerwieńców, zbyteczna i kompromitująca opieka władz warszawskich, nadużycia, jakich te władze w oczach jego nieomal się dopuszczały, rozdrażniły nadzwyczajnie ks. Felińskiego. W tem rozdrażnieniu, ogarniającem rozegzaltowaną duszę dawnego powstańca z pod Miłosławia, wprzód jeszcze nim sprawa niedyskretne go postępcu „Monde’a” weszła na drogę urzędową, ks. Feliński wystosował w d. 21 lutego długie pismo do ks. Gorczakowa, korzystając z jego pozwolenia, by we wszelkich wypadkach odnosił się doń bezpośrednio. Oczywiście niewątpliwą było rzeczą, że przyszły kanclerz państwa listy takie komunikować będzie cesarzowi, ale o to właśnie szło. Arcybiskup w piśmie tem przedewszystkiem zaznaczył, że położenie rzeczy jest całkiem inne w Warszawie, niż mu to przedstawiono w Petersburgu, że położenie to jest nie do wytrzymania. Kilka tysięcy obywateli wysłano bez sądu, tak zwaną drogą administracyjną do Rosyi, cytadela przepełniona więźniami, których liczba wzrasta codziennie, „gdyż aresztują za łada bagatelę, za ubranie żałobne, za orła białego lub krzyż otoczony cierniem. Wystarcza to, by dostać się do kazamatów, gdzie, wedle wyrażenia się samego jenerał-gubernatora Kryżanowskiego, słoma na posłaniu biednych więźniów rusza się od robactwa”. „Twardy charakter i żołnierski obyczaj jenerała Lüdersa zaostrza jeszcze zwykłą surowość stanu oblężenia do tego stopnia, że dość wyjść wieczorem na ulicę bez latarki, by uczuć brutalną rękę stróża porządku na ramieniu, wszelki zaś opór po kozacku jest strofowany¹⁸⁷.

W liście tym czuć tę palącą gorączkę boku warszawskiego, to rozdrażnienie niczem nieukojone, jakie ogarniało nawet najtrzeźwiejsze głowy, najspokojniejszych i najchłodniejszych ludzi ówczesnych. To też wydawał on się dość dziwnym Gorczakowowi i z dobrotliwą, nieco ironiczną pobłażliwością, właściwą jego charakterowi, odpowiedział pod datą 24 lutego. „Doznałeś Wa-

186 Rękopism bezimienny. List ten we francuskim przekładzie, tak jak się ukazał w „Monde”, podajemy w przedruku z tej gazety, w zbiorze dokumentów pod Nr. 5.

187 Loc. cit.

sza Ekscelencya przykrych wrażeń w Warszawie — pisał — czuć to w Twym liście. Do pewnego stopnia mogłem się tego spodziewać, gdyż zbyt wielu osobom zależy na tem, by Ci przedstawiać położenie kraju w ciemnych kolorach”. Z wyższością filozofa, który umie oceniać i usprawiedliwiać uniesienia ludzkie, z tą mądrością pobłażliwą, jaką lubiał niekiedy, naśladować dyplomatów starej szkoły, przybierać przyszły kanclerz rosyjski, twierdzi on, że te wrażenia chwilowe rozprószą się wkrótce, gdy ks. Feliński nie będzie przywiązywał wagi do zewnętrznej strony rzeczy, ale pamiętać zechce o wspomnieniach, jakie wywiózł z Petersburga. Sądzi on, Gorczakow, zresztą, że w tych wszystkich rekryminacjach jest wiele przesady. „Podstawą zaś wszystkiego, od czego zależy dobro i przyszłość Królestwa Polskiego, są wspaniałomyślne uczucia serca cesarskiego, jego zamiary dobroczynne względem poddanych polskich, jakkolwiek na wdzięczność z ich strony dość długo już czeka, i stałe postanowienie naszego monarchy utrzymania i rozwijania tego, co jest prawdziwym interesem kraju”.

W tym tonie lekkiej i delikatnej lekcji, wygłaszanej przez chłodnego i doświadczonego męża gwoili uspokojenia rozgorączkowanej fantazyi arcybiskupa warszawskiego, trzymany jest cały list. Ku końcowi jednak robi następujące, niepozbawione głębszego moralnego znaczenia, uwagi: „piękna rola przypadała w udziale Waszej Ekscelencyi. Znaczenie wysokie Waszych obowiązków religijnych nadaje Wam wielką przewagę nad Waszymi pomocnikami; zaufanie cesarza, czego mieliście wyraźne dowody, daje Wam możność działania dodatniego na szeroką skalę. Mam niewzruszoną nadzieję, że pozostaniecie wierni temu posłannictwu, że zdołacie się oprzeć usiłowaniom tych, którzy chcą zrobić z Was narzędzie polityczne swych namiętności i poniżyć Was, korzystając ze szlachetnych uczuć serca ludzkiego. Zadanie Wasze jest trudne, przyznaję. Wszyscy bacznie patrzą na każdy Wasz krok; ale na ścieżce dobra niema zadań niewykonalnych. Bóg nigdy sił nie odmówił tym, którzy puszczają się na tę drogę”. „Nie wątpię, pisze dalej, że zwierzchnie władze Królestwa okazują Wam wszelkie względy i uszanowanie należne wysokiemu stanowisku, jakie zajmujecie i Waszemu osobistemu charakterowi. Mamy tego już dowody w przyjęciu niektórych Waszych żądań co do zmniejszenia kar osobom duchownym, a to co pisze generał Lüders o wrażeniu, jakie wyniósł w pierwszym swym stosunku z Wami, wydaje mi się jak najlepszą przepowiednią”. „Nasze stosunki ze Stolicą Apostolską są ciągle wyborne. Ojciec św. ciągle okazuje wiele wdzięczności za przyjazne usposobienie N. Pana dla kościoła katolickiego. Wakujące katedry biskupie będą wkrótce obsadzone. Zajęci jesteśmy wyborem kandydatów, którzy będą konfidencyjonalnie, jak to jest w zwyczaju, przedstawieni pod uprzednią aprobatę Papieża. Opóźnienie

w naznaczeniu prałata, który zrazu będzie miał misją tymczasową przy naszym dworze, a która później zmienioną zostanie na stałą nucyaturę, pochodzi z usiłowań Ojca św., by wybór był korzystny i miły obu stronom”¹⁸⁸.

List ten wybornie maluje stosunek przyjazny, jaki zachodził między obu dygnitarzami i daje zarazem miarę usposobienia, jakie względem Polski panowało na dworze rosyjskim.

Gdy na skutek owej nieszczęśliwej historii z opublikowaniem listu pasterskiego w gazecie francuskiej, ks. Gorczakow przysłał rozkaz cesarski arcybiskupowi, by natychmiast ogłosił zaaprobowany przez cesarza dokument, ks. Feliński na to się nie zgodził i dnia 24 lutego przesłał do wicekanclerza nowe pismo, w którym usprawiedliwiał swą decyzją i domagał się, by mu dozwolono ogłosić list ze zmianami, jakie ludzie poważni w kraju mu zaproponowali; prosił, by mógł opublikować w dziennikach swą mowę, wygłoszoną u św. Jana w czasie uroczystego ingresu, na co Lüders zgodzić się nie chciał, oraz by z powodu zbliżającego się postu mógł wydać nowy list pasterski. Ks. Gorczakow wszystkie te prośby przedstawił cesarzowi, który zostawił arcybiskupowi zupełną swobodę ogłoszenia lub nie pierwotnego listu pasterskiego, zaakceptowanego w Petersburgu, nie zgodził się wszelako na publikacją tego listu w zmienionej formie, „gdyż dałoby to powody do przypuszczeń niezgodnych z prawdą”. Co się tyczy mowy, wypowiedzianej w czasie ingresu, cesarz nie mógł dopatrzyć się żadnego pożytku z jej ogłoszenia, jednakże, „jeżeli Wasza Ekscelencya (pisał Gorczakow) przywiązuje do tego wagę, cesarz niema nic przeciw temu, by mowa ta była wydrukowaną, tylko J. C. Mość sądzi, że byłoby odpowiedniejszym dla Waszego dostojenstwa, by jej nie poprzedzał żaden ustęp”. Co do listu pasterskiego z powodu postu, cesarz zgadzał się na jego wydanie, zastrzegając tylko sobie, by treść jego zamykała się wyłącznie w sferze interesów kościelnych. Wreszcie jeszcze raz ks. Gorczakow powracał do uwag, wypowiedzianych w pierwszym liście. „Starania, pisał, o utrzymanie karności wśród duchowieństwa i poszanowania przepisów kościelnych, zbyt często gwałconych w Warszawie w czasach ostatnich, przedstawia szerokie pole działania dla Waszego sumienia i dla Waszej inteligencji. N. Pan wie, że pan, Ekscelencyo, zdajesz sobie sprawę z całej wielkości swego zdania. J. C. Mość żywi ufność, że przez czystość Waszych zamiarów i podniosłość Waszych uczuć utrzymasz się na wysokości tego zadania i że potrafisz je wykonać, pracując nad oświeceniem i kierunkiem opinii, nad powstrzymaniem uniesień i nad przywróceniem wśród ogółu spokoju i ducha zgody, wygnanego przez namietności polityczne. Na tej drodze Wasza Ekscelencya może liczyć na najserdeczniejszą pomoc rządu”.

188 List ten jak i następny w całej rozciągłości i w tekście oryginalnym pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 6.

Taki miała przebieg sprawa listu pasterskiego, który ostatecznie w kraju ogłoszony nie został, gdyż ks. Feliński, mając przez cesarza zostawionem do swej woli podanie do druku pierwotnego tekstu, nie chciał tego uczynić, a tekstu zmienionego znowu w Petersburgu nie życzone sobie wcale. Tym więc sposobem nowy arcybiskup znalazłby się w tym, rzadkim niezmiernie w dziejach kościelnych, wypadku, że wstępując na katedrę biskupią, nie uwiadomił o tem wcale swych owieczek. Poradził więc sobie inaczej. Zmodyfikowany list pasterski w odbitkach litograficznych rozesłał wszystkim proboszczom archidiecezyi¹⁸⁹. To się oczywiście przed okiem rządu ukryć nie mogło i stosunek wzajemny między władzą świecką i arcybiskupem stawał się coraz drażliwszy. W ogólności sprawy duchowne w kraju, które sądził Wielopolski, że zażegnana przez nominacją Felińskiego, przybierały coraz niebezpieczniejszą postawę, a sprawa nuncyatury, do której tak wielką i słusznie przywiązywał wagę, i o której tyle słodkich słówek pisał ks. Gorczakow w cytowanym wyżej piśmie, weszła teraz właśnie na drogę jak najgorszą i wcale urzeczywistnić się nie miała.

Głównym powodem tego, ze wszech miar smutnego rezultatu, była sprawa kanonizacji męczenników japońskich, która to uroczystość miała się odbyć w Rzymie, w czerwcu 1862 roku. Papież, zapraszając na ten akt biskupów całego świata katolickiego, chciał, ażeby wśród nich znaleźli się także i biskupi polscy. Kardynał Antonelli jednak, uwiadamiając o tem życzeniu papieskiem przedstawiciela rządu rosyjskiego, wyraźnie zaznaczył, że „Ojciec św. przybycia biskupów polskich do Rzymu nie stawia za rzecz obowiązkową, lecz gdyby niektórzy biskupi otrzymali na to pozwolenie, uważałby to za dowód pewnych względów, za które byłby szczególnie wdzięczny cesarzowi.

Jeżeli cesarz udzieli takie pozwolenie choćby jednemu tylko biskupowi, to papież w tem będzie widział świadectwo przyjaznego usposobienia cesarza dla kurii rzymskiej”¹⁹⁰. Jakoż gabinet petersburski zrazu dość przychylnie zapatrywał się na tę, zawsze dla rządu rosyjskiego drażliwą kwestyę; postanowiono nawet, że pojedą do Rzymu dwaj biskupi: ks. Michał Marszewski, kujawsko-kaliski¹⁹¹ i ks. Borowski, żytomirski. Wybór naturalnie padł na ludzi, których lojalności politycznej w żadnym razie podejrzывать nie można było.

Co się tycze nuncyatury, to mniej więcej w tym samym czasie, w którym tak szczęśliwie znalazła rozwiązanie kwestya pielgrzymki biskupów polskich do Rzymu, kardynał Antonelli, chcąc z góry wyjaśnić wzajemny stosunek

189 Rękopism bezimienny.

190 Lisicki, Le marquis II, 287.

191 Asystować mu w podróży tej mieli ks. Józef Pawlicki, profesor seminarium diecezjalnego w Włocławku i ks. Edward Schulz, sekretarz i kapelan biskupa.

nuncjusza do duchowieństwa, zapytał: czy prawo zabraniające klerowi polskiemu znoszenia się bezpośredniego z Rzymem, będzie także obowiązywało odnośnie do nuncjusza? W swej wiekuistej nieufności i podejrzliwości rząd rosyjski odpowiedział tak, jak się tego po nim spodziewać należało t. j., że przepis ten będzie także obowiązywał duchowieństwo polskie w stosunku do nuncjusza, co naturalnie stanowisko tego ostatniego czyniło do pewnego stopnia nadzwyczajnie skrupowaniem, a nawet bezużytecznem. W parę dni po wysłaniu tej odpowiedzi do Rzymu, dowiedziano się nagle, naprzód drogą denuncyacji tajnej, a potem z dzienników zagranicznych i oświadczenia samego ks. Felińskiego, że jeden z kardynałów, Caterini nazwiskiem, przesłał z Rzymu list biskupowi wileńskiemu, sam zaś papież wystosował brewe do arcybiskupa Felińskiego. Jakoż w rzeczy samej tak było. Powód do wydania tego brewe dał sam arcybiskup, uwiadomiwszy Ojca św. zaraz po przybyciu do Warszawy o objęciu przez siebie rządów dyecezyi.

List taki wysłany został do Rzymu drogą prywatną, na ręce panny Cecylii Potockiej, siostry pani Andrzejowej Zamoyskiej, i kuzynki księżny Odescalchi, która od dawna stałą była pośredniczką między Rzymem i biskupami polskimi. Tak też postąpił i ks. Feliński, i tą samą drogą otrzymał w d. 5 marca w zapieczętowanej kopercie wzmiankowane wyżej brewe¹⁹².

Ks. Feliński, otrzymawszy kopertę i przekonawszy się, że pismo pochodzi od Ojca św., ucałował je i zaraz posłał karetkę po ks. Rzewuskiego, by z nim się podzielić tą wiadomością. Brewe, datowane d. 20 lutego, zaczyna się od opisu, z jaką radością papież powierzył ks. Felińskiemu archikatedrę warszawską, znajdującą się w najsmutniejszych okolicznościach, i zalecał mu, aby „wsparty Bożą pomocą Tego, który z ciemności wywodzi światło, starał się pokonać wszelkie ścieśnienia i trudności”. Do rzędu tych ścieśnień i trudności zaliczał papież prawa obowiązujące w Królestwie, „które wręcz są przeciwne nauce, prawom i wolności kościoła katolickiego”. Nakazywał mu tedy, „aby starał się usuwać wszelkimi sposobami wszystko złe, jakie tej dyecezyi i polskiemu narodowi zagrażać może”. Wreszcie Ojciec św. pisał: „niczego zaś nie zaniedbuj, wielbny bracie, z całą duszy mocą o to przedewszystkiem się staraj, abys w pełnieniu biskupiego twego urzędu zupełną wolność osiągnąć mógł. I dlatego my, z naszej strony nie zaniedbamy z największą usilnością ducha

192 Rękopism bezimienny. Prawdzicki, Wspomnienie, 97, twierdzi, że ks. Feliński otrzymał brewe od „nieznajomego mężczyzny, który się zameldował jako członek pewnej ambasady”. Podanie to jest błędne; p. Prawdzicki, mówiąc o owej „pewnej ambasadzie”, ma zapewne na myśli ambasadę austriacką, za pośrednictwem której istotnie komunikowali się zwykle z Rzymem biskupi, rezydujący w Petersburgu. Biskupi zaś z Królestwa korzystali w tym względzie z ofiarności księżny Odescalchi i jej kuzynek.

naszego na nowo domagać się i nalegać na najjaśniejszego i najpotężniejszego cesarza i króla, który nie małą rozbudził w nas nadzieję, iż najsprawiedliwsze i tyle razy ponawiane nasze domagania się otrzymają wreszcie skutek pożądanym.

Ten bowiem monarcha przez swego ministra pełnomocnego przy nas i przy tej świętej Stolicy przebywającego, oznajmił nam świeżo, że usunięte są zawady, które dotąd przeszkadzały przebywaniu tam naszego i naszej Stolicy legata, któryby, przy tym monarsze przedstawiając naszą i apostolskiej Stolicy osobę, dokładnie nas uwiadomiał o stanie naszej świętej religii w obszernych tych krajach i któryby usiłowania swoje zwrócił na ostateczne i dobre załatwienie spraw kościelnych, i któryby mógł być radą, pociechą i wsparciem tak tobie, jak innym wielbnyim braciom biskupom, czy to w zarządzie ich dyecezyi, czy też w innych najcięższych stosunkach spraw i czasów, jakieby ciebie i innych wielbnych braci spotkać mogły.

„Życzeniem naszym jest także, wielbny bracie, abyś nie ustawał nigdy od najjaśniejszego i najpotężniejszego cesarza błagalnie domagać się, aby ten swoją łaskawość i ludzkość zwrócić raczył na tych tak duchownych jak świeckich mężów, którzy po ostatnich manifestacjach w Królestwie Polskiem już to uwięzieni, już to na inne kary skazani zostali. A jako wielce leży nam na sercu, iżby mąż duchowny, który piastował podówczas urząd wikaryusza kapitułarnego w owej dyecezyi, a który na wszelkie zasługuje polecenie, został od wszelkiej przykrości i udręczeń uwolniony; przeto prosimy ciebie, abyś niczego nie zaniedbał, co tylko ku temu powiedzieć lub robić będziesz mógł, aby odzyskał swą utraconą wolność. Życzymy sobie, abyś wiedział, że wielceby dla nas miłem było, gdybyśmy ciebie w naszym mieście obecnego oglądać i uściśnąć mogli, kiedy w r. b. w uroczystość Zesłania Ducha św. wielu za pomocą Bożą, z radością zapisywać będziemy w poczet świętych niebieskich”¹⁹³.

Arcybiskup otrzymawszy pismo powyższe, i sądząc (w czem się niestety! mylił), że niema w niem nic takiego, coby się sprzeciwiało wygłoszonemu przez cesarza programowi rządowemu, zalecenie zaś głowy kościoła, aby duchowieństwo zajęło się wyłącznie zadaniami swego powołania, udzielało najskuteczniejszego poparcia usiłowaniom w tym kierunku w Warszawie podjętym, postanowił nadać tej odezwie jak największą jawność, „aby uprzedzone i niechętnie duchowieństwo przekonać, że nie petersburskim, ale rzymskim natchnieniom ulega w swej działalności pasterskiej”¹⁹⁴. W tym celu rozesłał niezwłocznie kopie listu papieskiego wszystkim biskupom Królestwa, odpis zaś wierzytelny, wraz z przekładem dosłownym francuskim, zakomunikował

193 Brewe to w całości czytać można w książce Prawdzickiego, Wspomnienia, 97—101.

194 Rękopism bezimienny.

Lüdersowi przy piśmie, w którym zwrócił uwagę wielkorządcy na zgodność wygłoszonych przez papieża zasad z zamiarami cesarza¹⁹⁵. W kroku tym ks. Felińskiego grała zapewne nie małą rolę chęć szczerego i otwartego postępowania z rządem, lojalność szlachetna i godna pochwały, która przez każdą władzę uczciwą byłaby uszanowaną. Tego jednak po rządzie rosyjskim złym, podstępny, mściwym i bezwzględny spodziewać się nie można było, i arcybiskup, odkrywając swe karty, postąpił nieostrożnie na własną i kraju szkodę. Zrazu namiestnik Lüders, żołnierz w gruncie rzeczy i polityk nie głęboki, przyjął bardzo dobrze ten krok arcybiskupa i dziękował mu za jego szczerze i lojalne postępowanie, za to, że nie ukrywa przed rządem stosunków swoich z kuryą rzymską, jak to robił jego poprzednik; w końcu jednak uwiadomił o wszystkim Petersburg¹⁹⁶.

Wiadomość ta, jak również samo brewe papieskie, wywarła tam jak najgorsze wrażenie. Przesłanie tego dokumentu drogą tajną świadczyło wyraźnie, że kurya rzymska, jak się wyrażano, „postanowiła przyjazne usposobienie cesarza uważać za upoważnienie do podkopywania obowiązujących praw, regulujących stosunek duchowieństwa katolickiego do Rzymu”.

Zaproszenie arcybiskupa na uroczystość kanonizacji było w otwartej sprzeczności z umową, jaką poprzednio zawarto co do udziału biskupów polskich w tym akcie; wreszcie zalecenie ks. Felińskiemu, aby się starał o uwolnienie aresztowanych księży, wypowiedziane w tonie każącym się domyślać, że uwięzieni na karę tę wcale nie zasłużyli, obrażało rząd rosyjski. Jednym słowem brewe dowodziło, że w chwili gdy otwarcie toczyły się pertraktacje z rządem rosyjskim, kurya rzymska zdradzała nieufność do tego rządu i nie myślała wcale zrzekać się dawnych swych zwyczajów. Krok bądź co bądź, cokolwiek byśmy powiedzieli na jego obronę, nie był poprawny. Wywołał on też ze strony gabinetu petersburskiego szereg uwag gorzkich, nieraz zjadliwych, ale tym razem niestety! zupełnie usprawiedliwionych. „Cóżby powiedział Ojciec św., mówił poseł rosyjski Kisielew do kardynała Antonellego, gdyby którykolwiek rząd obcy odwołał się do jego sprawiedliwości lub łaski i domagał się uwolnienia jego własnych poddanych, słusznie lub nie uwięzionych za proste podejrzenie polityczne, jacy zapelniają w tej chwili więzienia rzymskie? Niech mi wolno będzie, mówił dalej poseł, zaznaczyć nasze przykre zdziwienie i naszą zupełnie usprawiedliwioną drażliwość, skoro w dzisiejszych okolicznościach i wobec tylu niewątpliwych dowodów o szczerem pragnieniu cesarza utrwalenia dobrych stosunków z kuryą rzymską, Ojciec św. usiłuje bronić poddanych buntowniczych, tem winniejszych, że przykrywających się

195 Loc. cit.

196 Loc. cit.

plaszczykiem religii, bronić ludzi na gorącym uczynku schwytanych, sądzonych i skazanych legalnie, z których zresztą większość odzyskała już swobodę z łaski monarszej”. Niemniej gorzko wyrażał się w tej sprawie ks. Gorczakow w piśmie przesłanem do Kisielewa. „Jest jeszcze jeden punkt w brewe papieskim, na który zwrócić pańską uwagę jest moim obowiązkiem. Punktem tym jest zakres działania, jaki Stolica apostolska naznacza nuncyuszowi przysłanemu. W żadnym razie nie możemy zezwolić na bezpośrednie mieszanie się nuncjusza do spraw kościoła katolickiego w Rosyi i Królestwie Polskiem, co brewe zdaje się temuż nuncyuszowi naznaczać. Nuncyusz posiada taki sam charakter reprezentacyjny, jaki i inni ministrowie, akredytowani przy dworze cesarskim. Donosi on Ojcu św. prawdę, tak jak ona mu się wydaje i opartą na ścisłych danych, a nie na pogłoskach mniej lub więcej ze złą wiarą rozgłaszanych, i tem samem pozwala mu sądzić o położeniu kościoła katolickiego w Cesarstwie i Królestwie. Ale nigdy nie zezwolimy na to, jak tego chce pismo papieskie, by udzielał instrukcy dygnitarzom i sługom tegoż kościoła w Rosyi i Polsce. Wyraziliśmy nadzieję i mamy to przekonanie, że zamykając się w sferze czynów powyżej wskazanych, nuncyusz może dużo dobrego zdziałać, śląc do Rzymu promień światła wśród ciemności, które starają się stworzyć i zgęścić umyślnie, gdyż nasz monarcha, powtarzam to jeszcze raz, nie potrzebuje ukrywać żadnego ze swych czynów. Jeżeli Ojciec św. jest innego zdania, jeżeli sądzi, że w granicach takich, jakie my pojmujemy, nuncyusz nie przyniesie pożytku, to niech sam osądzi, czy potrzeba go do nas wysłać”¹⁹⁷.

Słowa te były otwartem zerwaniem pertraktacyi i jak teraz, trzeba to przyznać, wyłącznie z winy Stolicy apostolskiej, która nietylko że brewe posłała arcybiskupowi Felińskiemu, ale ogłosiła je w dziennikach zagranicznych, przez co całej sprawie nadała charakter wyzywający. Kardynał Antonelli, otrzymawszy powyższy komunikat ks. Gorczakowa, wydawał się być mocno zmartwionym, oświadczył przytem, może niezupełnie zgodnie z prawdą, że Ojciec św. działał bez jego wiedzy; nie ukrywał żalu, że papież zrobił taki krok bez jego rady i obiecał donieść o wszystkim Piusowi IX. Wreszcie na komunikat odpowiedział, że „Ojciec św., nie będąc w możności zrzeczenia się swego prawa do porozumienia się listownego z wysokimi dygnitarzami kościoła katolickiego, protestuje jednak przeciwko wszelkiemu złemu wykładowi jego listu do ks. Felińskiego, który to list zawiera jedynie rady apostolskie.

Jego Świątobliwość, zalecając arcybiskupowi warszawskiemu wstawiennictwo za księżmi zbłąkanymi lub winnymi, kierował się wyłącznie uczuciem ludzkości i miłosierdzia chrześcijańskiego; a co się tycze pragnienia, wyra-

197 Lisicki, *Le marquis II*, 289.

żonego przez Ojca św., ujrzenia w wiecznym mieście arcybiskupa z powodu przyszłej kanonizacji męczenników japońskich, to jest ono tylko wyrazem przychylności Stolicy apostolskiej dla tego, godnego szacunku prałata, którego Jego Świątobliwość z takim pośpiechem prekonizował i konsekrował¹⁹⁸.

Po zamianie tej korespondencji nie było już prawie żadnej nadziei, by sprawa nuncyatury mogła być doprowadzona do szczęśliwego rozwiązania. Obie strony przyjęły teraz sobie za zasadę robić jak najmniej ustępstw; Kurya domagała się usilnie, ażeby duchowieństwo i wierni mogli się swobodnie komunikować z nuncyuszem, „gdyż w razie przeciwnym, pisał kardynał Antonelli do Petersburga, Stolica apostolska mimo woli nie będzie mogła korzystać z uprzejmego postanowienia Jego Cesarskiej Mości akredytowania przy sobie reprezentanta papieskiego, z uwagi, że w obecnym stanie rzeczy nie przyniosłoby to żadnego pożytku interesom religii katolickiej¹⁹⁹. Wśród tego wszystkiego Kisielew jeszcze raz zaproponował, ażeby Ojciec św. wysłał kogokolwiek z misją tymczasową do Rosyi, w celu przygotowania tam gruntu dla stałego reprezentanta Stolicy apostolskiej. Kardynał Antonelli uznawał pożytek z takiej misji tymczasowej, jednakże dodawał, że Ojciec św. wolałby wysłać od razu nuncjusza stałego, byle tylko wprzód wyjaśniono i ułożono się co do kwestyi spornych. „W interesie porządku i spokoju, motywował kardynał swe żądanie, Rosya winna się starać, ażeby czyniąc zadość prawom kościelnym i szanując atrybucye duchowieństwa, odjąć tym sposobem katolikom wszelki pretekst okrywania się płaszczkiem religijnym przy zaburzeniach porządku publicznego.

Nie trzeba, by burzyciele zyskiwali dla siebie opinią, mieszając namiętności polityczne z niezadowolonemi uczuciami religijnemi narodu, pozbawi ich się przez to potężnej korzyści, z której użytkują wobec świata katolickiego i wobec mniej lub więcej szczerych przyjaciół Polski²⁰⁰. Kisielew zapewniał, że ks. Berardi, przeznaczony na nuncjusza, będzie przyjęty w Rosyi bardzo uprzejmie. „Nie będziemy mu przeszkadzali w jego stosunkach ze swymi współwyznawcami, mówił, ale nie możemy się zgodzić na to, by miał urzędowe i bezpośrednie stosunki z duchowieństwem katolickiem”. Na to kardynał Antonelli pytał się posła, co rozumie pod zdaniem „urzędowe i bezpośrednie stosunki z duchowieństwem? Jeżeli bowiem idzie o sprawy polityczne lub kwestye obce religii, rząd wasz będzie miał zupełne prawo nie pozwalania na podobne stosunki i nuncyusz z tego powodu nie będzie mógł rościć sobie żadnych pretensyi. Lecz idzie tu wyłącznie o sprawy duchowne i tego rodzaju stosunku nie

198 Loc. cit.

199 Loc. cit.

200 Loc. cit.

zabrania żaden rząd, i sędzę, że i wasz nie zabroni. To nasze jedyne żądanie, i powinnością jest nuncyusza w niczem nie naruszać przepisów obowiązującego w kraju prawa. Chcemy tylko wiedzieć, czy dozwolonem będzie u was nuncyuszowi prowadzenie korespondencji specjalnej bezpośrednio z katolikami i wyłącznie w sprawach sumienia, w kwestyach karności i przedmiotach religijnych, a ksiądz, który taką korespondencją prowadzi, nie będzie ulegał karze wyznaczonej przez wasze prawa. Oto co chce Ojciec św. wyjaśnić wprzód, nim wyśle swego reprezentanta do Rosyi”.

W odpowiedzi na to gabinet petersburski, powołując się „na prawa zasadnicze cesarstwa”, pisał: „uczucia papieża Piusa IX, niemniej niepospolity rozum i zasady tolerancji jego wysokiego ministra są gwarancją mądrości i prawości obecnej polityki Kuryi rzymskiej, ale nie zawsze takiem było postępowanie Stolicy apostolskiej względem Rosyi, jak o tem świadczy postawa jej, odnośnie do poddanych i duchowieństwa zbuntowanego Polski, przed dwudziestu zaledwie laty; i jeżeli obecnie możemy mieć zupełne zaufanie co do przyjaznych zamiarów Stolicy apostolskiej względem nas, niemniej prawdą jest, że przeszłość nakazuje nam ostrożność mądrą i przewidującą co do przyszłości, która, dostawszy się w inne ręce, nie będzie nam mogła dać gwarancji i pewności, jaką dziś spotykamy. A przytem musimy zachować ostrożność względem religii panującej w naszym kraju, ilekroć idzie o stosunki nasze ze Stolicą apostolską; i jakiegokolwiek są uczucia i życzenia cesarza dla jego poddanych katolickich, jak niemniej jego szczere pragnienie utrzymania ze Stolicą apostolską jak najlepszych stosunków, to jednak nie zawsze mu wolno nie liczyć się z podejrziwością pięćdziesięciu milionów jego poddanych prawosławnych i duchowieństwa, które kieruje sumieniem tychże”²⁰¹.

Na tem należy uważać pertraktacye za skończone. Wlokły się one jeszcze czas jakiś, zamieniano między sobą uwagi i korespondencye, ale rzecz już była stanowczo przepadłą, i jak powiadamy, tym razem w znacznej części z winy Kuryi rzymskiej. Tym sposobem jedna i, bodaj czy nie do najważniejszych należąca, strona programu Wielopolskiego, z którym pojechał on do Petersburga, nie urzeczywistniła się i o urzeczywistnieniu jej marzyć nawet nie można było. Nie lepiej działo się z innymi sprawami, dotyczącymi wewnętrznej reorganizacji Królestwa. Z tych jedno z pierwszych miejsc zajmowała kwestya edukacji publicznej. Polecivszy w roku przeszłym, by w szkołach wcześniej rozpoczęto wakacye, które zrazu skończyć się miały, jak zwykle, w jesieni, a w rezultacie przeciągnęły się do Nowego Roku 1862, trzeba było raz je przerwać, szkoły otworzyć i próżniaczącej się młodzieży, stanowiącej

żywił najliczniejszy w demonstracjach, dać zajęcie. Gdyby nawet nie było demonstracji, gdyby w kraju panowała spokojność, to jednak tego osobliwego i jedyne w swoim rodzaju widowiska, jakie przedstawiało Królestwo, nie posiadające w tej chwili wcale szkół publicznych, dłużej przeciągać nie podobna było. W kraju powszechnie sarkano na te zbyt długie ferye, na to pozbawienie młodzieży nauki szkolnej i sarkania te były zupełnie usprawiedliwione.

Wobec tego, nie czekając aż projekt reorganizacji szkół, przygotowany w Komisji oświecenia pod przewodnictwem Wielopolskiego, przejdzie przez krytykę różnych ciał urzędowych w Petersburgu, co przy znanej powolności w działaniu tych ciał, mogło się przewlec bardzo długo, ówczesny dyrektor wzmiankowanej Komisji, Hube, postanowił szkoły otworzyć według dawnego programu z maledzi, choć wiele znaczącymi zmianami. Zmiany te polegały przede wszystkim na wzmocnionym wykładzie języka ojczystego, oraz języków starożytnych i historii; wykłady rosyjskie niektórych przedmiotów całkiem usunięto; w trzech szkołach realnych t. j. w Warszawie, Kaliszu i Kielcach, cztery pierwsze klasy urządzono według planu gimnazyów filologicznych. Mundury pozostały te same (ciemno-zielone z czerwonym kołnierzem), a nauki miały się rozpocząć d. 20 stycznia i przeciągnąć, „dla zapewnienia większej korzyści uczącej się młodzieży i podania jej możności wynagrodzenia tego, co straciła”, bez przerwy (oprócz 10 dni feryi na Wielkanoc), aż do 30 lipca. Wyjednano w tym celu odnośne pozwolenie cesarza²⁰², i jakkolwiek wszystko to miało znamię tymczasowości, wszelako zrobiono co można było i jak można było. Namiestnik ze swej strony przez rozkaz do wszystkich naczelników wojennych z d. 2 lutego (21 stycznia v. s.) polecił, ażeby w razie zaburzeń w szkołach, nie przeprowadzać wcale śledztwa formalnego, ale po przekonaniu się o istocie rzeczy, domagać się od władzy szkolnej natychmiastowego relegowania winnego ucznia; co się tyczy nauczycieli, to o nich należy składać namiestnikowi raport, w razach zaś nagłych naczelnik ma prawo nauczyciela zawiesić w jego czynnościach²⁰³.

Na szczęście ogół o tym rozkazie, zdradzającym samowolne aspiracje satrapów rosyjskich, nic nie wiedział.

Poprzednio, gdy szkoły były zamknięte, sarkano na rząd, teraz publiczność wobec ich otwarcia zachowała się zupełnie obojętnie²⁰⁴. Prasa warszawska o tym fakcie milczała jak zakłeta, z zakordonowych zaś dzienników polskich

202 Depesza cesarska z d. 4 stycznia 1862 (23 grudnia 1861 r.): „zakłady naukowe dozwalam (rozrieszaju) otworzyć na zasadach przedstawionych w pańskim memoryale (zapiskie).

203 Pawliszczew, Siedmicy I, 45.

204 Loc. cit. I, 35.

jeden tylko „Czas”²⁰⁵ pochwalił ten krok rządu, nie omieszkawszy przy tej sposobności obrzucić zarzutami Wielopolskiego, który „bez żadnej potrzeby zamknął szkoły” i naraził młodzież na niepowetowaną stratę czasu. Za to prasa tajna, trzymając się stale systemu bezwzględnej potępienia co rząd Królestwu robi, odniosła się do faktu otwarcia szkół publicznych bardzo nieprzyjaźnie. „Strażnica” pisała:²⁰⁶ „naród nasz wie, z kim ma do czynienia i w zamknięciu szkół przed ośmioma miesiącami, do czego przyłożył rękę osławiony Wielopolski, nie środek konieczny z powodu reorganizacji, lecz nowy zamach na oświatę narodową, jak niemniej dokonanie zemsty na młodzieży za to, że się nie dała spodlić i ogłupić”²⁰⁷ Muchanowowi, widział”... „Z powodu zamknięcia szkół kraj poniósł niemałą stratę, a poniósłby jeszcze większą, gdyby dzielna młodzież nasza nie szukała była w ukryciu nauki, jako zakazanego owocu. Dzisiaj otwierają szkoły, ale otwierają według dawnego programu, dodawszy kilka godzin łaciny i greckiego języka. Te kilka godzin nie zmieniają w niczym dawnego systemu, ale mogą, jak się Hube i Lüders spodziewa, zasłonić rząd od zarzutu, że przez kilka miesięcy reformując szkoły, dotąd nic nie zrobił prócz napisania projektu. Ograniczenie uczniów w klasach, upozorowane brakiem miejsca, przekonać jeszcze więcej może tych, co gotowi łudzić się nadziejami, pod względem kłamliwych obietnic najazdu moskiewskiego, iż dobrej woli nigdy niema, iż trwa dalej, pomimo wszystkich tak szumnie głoszonych projektów, system dawny, dążący do ogłupienia narodu i zakrywania obłudną dłonią słońca oświaty, a tem samem szczęścia narodowego”.

Że w takim twierdzeniu, jakoby rząd, a właściwie Wielopolski, „przez kilka miesięcy reformując szkoły, dotąd nic nie zrobił prócz napisania projektu”, było dużo złej wiary, o tem sami zapewne autorowie tego zarzutu nie wątpili. Kwestya tak ważna i tak doniosła, jak reforma wychowania publicznego, nie improwizuje się na wzór artykułu dziennikarskiego, ale wymaga wielkiej znajomości rzeczy i poważnego zastanowienia; wreszcie, jeżeli projekt margrabiego dotąd nie wszedł w wykonanie, to nie z jego winy, ale z powodu tej leniwej i ospałej procedury, jaka istniała w komisjach rządowych petersburskich, które nigdy się nie śpieszyły i uważały, że wszelkie reformy społeczne tem są lepsze, im dłużej się odleżą w ich kancelaryach. Projekt reorganizacji wychowania publicznego, wygotowany pod prezydencją Wielopolskiego jeszcze w jesieni 1861 roku, przedyskutowany i przyjęty przez Radę stanu w grudniu, dostał się nakoniec do Petersburga. Tu zrazu rozpatrywany był przez Radę państwa, ale

205 Nr. 8 z d. 11 stycznia.

206 Nr. 2 z d. 25 stycznia 1862 r.

207 Uczeń redaktorów „Strażnicy”, stale drukując „ogłupić”, mniemając zapewne, że można pisać tyrady pseudopatryotyczne, nie znając wcale ortografii.

potem postanowiono go oddać do zbadania komitetowi specjalnemu, który istniał od dawna. Było to z oczywistą szkodą dla projektu z tego względu, że komitet nie znał spraw polskich i w gruncie rzeczy przychylny im nie był. Margrabia bronił się przeciw takiej manipulacji. „Projekt edukacyjny, mówił, jest czymś więcej, niż prostą pracą biurową; uległszy rozbiorowi Ogólnego zebrania Rady stanu Królestwa, stał się dziełem zgromadzenia znamienitości krajowych, wybranych przez monarchę, w celu reprezentowania życzeń i interesów narodu; nie powinien więc podpadać pod szczegółowe roztrząsanie, a być rozważanym jedynie ze względu na zasady i podstawy”²⁰⁸. Uwagi te, bardzo słuszne i bardzo sprawiedliwe, nie były wcale wysłuchane.

Projekt odesłany został do Komitetu, w którym na szczęście prezydował przyjaciel margrabiego, wspomniany już przez nas baron Meyendorff²⁰⁹, i zapewne w obronie projektu kierował się wedle wskazówek, dawanych mu przez Wielopolskiego. Zresztą w decyzjach tych nie stanowiła wewnętrzna wartość projektu, ale prąd polityczny, jaki w danej chwili przeważał na dworze cesarskim. Wśród ścierających się tam stronnictw raz brała górę partya reform, partya przyjazna Polsce, to znów jej przeciwnicy, i stosownie do tego traktowano projekt margrabiego²¹⁰. W chwili właśnie kiedy ten projekt przyszedł na stół, stronnictwo nieprzyjazne nam wzięło górę i starało się wszelkimi siłami jeżeli już nie o obalenie zupełnie samego projektu, to przynajmniej o zepsucie go do możliwych granic. Należy tu dodać, że do Petersburga przyszedł projekt już po dokonaniu na nim licznych operacji i „poprawek” w Warszawie, a teraz oddany komitetowi specjalnemu, miał uleść jeszcze jednej i to najważniejszej zmianie. Ponieważ projekt uznawał w Polsce i słusznie jedną tylko narodowość polską, choć mogącą wyznawać różne religie, więc wszystkie szkoły elementarne urządzał na jedną modłę, robił je szkołami polskimi. Widzieliśmy już w debatach Rady stanu, że takie urządzenie nie podobało się Kruzensternowi i Kalwinowi Heilmanowi, których myśli znalazły obecnie oddźwięk w Komisji petersburskiej.

208 Lisicki, Aleksander Wielopolski I, 295.

209 Lisicki, Le marquis II, 285.

210 Lisicki nie trzyma się w pracy swej ściśle chronologicznego przebiegu spraw i często, gdy mu potrzeba, miesza rzeczy i czasy. W dziele swym „Le marquis” II, 285, powiada, że na projekt o edukacji źle wpłynął pobyt margrabiego w Warszawie, dokąd był pojechał w d. 23 marca. Ten zły wpływ rzeczony podróży odbić się miał głównie na domaganii się urządzenia szkół konfesyjonalnych; gdy tymczasem w polskim wydaniu panegiryku Wielopolskiego I, 318, autor przytacza własne margrabiego pismo, w którym powiada, że kwestya ta załagodzona została jeszcze przed wyjazdem tego ostatniego do Warszawy. Wyjazd ten zatem, przynajmniej w tej kwestyi, nie wpłynął wcale na przebieg rzeczy.

Chciano więc szkołom elementarnym w Królestwie nadać charakter konfesyjny; obok szkół katolickich utworzyć osobne szkoły luterskie i żydowskie, co oczywiście wymierzone było na szkodę narodowości polskiej w celu utrzymania odrębności kolonistów niemieckich i żydów. Wielopolski jednak uparcie bronił pierwotnego projektu i na posiedzeniu Komisji, d. 7 marca²¹¹, zwyciężył, choć musiał poczynić poważne ustępstwa, a mianowicie, że szkoły ewangelickie w Kaliszu, Zgierzu, Pabianicach, Łodzi i innych miejscach, miały pozostać jak przedtem pod zarządem swego Konsystorza, i nauka religii miała być wykładana, jeżeli tego odnośne gminy domagać się będą, w języku niemieckim, oraz, że nauka czytania i pisania po niemiecku może wejść do planu przedmiotów wykładanych. Tym sposobem przy pomocy powyższego ustępstwa zdołał on obalić zakrój na utworzenie osobnych szkół niemieckich, a co zatem idzie i narodowości niemieckiej, mającej swe przywileje. Wielopolski starał się wyjaśnić Komisji, że „prawdziwe zadanie Niemców w Królestwie jest: przymiotami swymi wzmocnić nasz stan trzeci, a znaczenia tego nie dostąpią, zamykając się w sobie, jako oddzielna, od krajowej stroniąca narodowość”. Wychowany w tradycjach mieszczańskiego liberalizmu epoki, sądził jak wszyscy ludzie tych czasów, że t. z. stan trzeci, czyli mieszczaństwo, stanowi prawdziwą siłę narodów i państw, i uważał, zgodnie z teoryami wieku, że jedną z przyczyn upadku Polski był brak owego stanu trzeciego, który miał być lekarstwem na wszelkie niemoce społeczne i mieścić w sobie tajemnicę siły rodzajnej. Dlatego to, gdzie mógł i jak mógł, wyraźnie okazywał i wypowiadał chęć stworzenia takiego stanu i w Polsce, która go właściwie nie miała i która przez tysiąc lat doskonale się bez niego obchodziła. Elementem do wytworzenia owego mieszczaństwa polskiego mieli być Niemcy, zamieszkali w Królestwie, a głównie Żydzi, naturalnie przy odpowiednim jednych i drugich spolonizowaniu.

W motywach przeciw utworzeniu osobnej szkoły elementarnej niemieckiej, wyżej przytoczonych, myśl ta bez żadnych obsłonek jest wypowiedziana; wypowie on ją jeszcze wiele razy w ciągu swej działalności politycznej.

Skoro w Komisji petersburskiej projekt odrębnych szkół wyznaniowych niemieckich upadł, upaść także musiał taki sam wniosek co do szkół elementarnych żydowskich. Wielopolski przedstawił zebranim tam panom, że „przywilej Niemcom odmówiony, tem mniej może być przyznany Żydom”, że „oddzielność dla nich instrukcyi elementarnej sprzeciwia się zasadzie zlania ich z ludnością krajową, przyjętej za podstawę prawa o emancypacyi”²¹². Uznano słuszność tego zdania i zgodzono się na nie. Najcięższą jednak walkę

211 Lisicki, Al. Wielopolski, I, 316.

212 Loc. cit.

musiał margrabia stoczyć o projekt nauczania przymusowego. Wielopolski i tu, jak w pojęciach o stanie trzecim, zgodnie z wyobrażeniami epoki, uważał wykształcenie szkolne za jedną z dźwigni nietylko postępu społecznego, ale i uobywatelenia, za jedną z najgłówniejszych podstaw szczęśliwości ziemskiej. Wskutek tego w artykule 24 swego projektu stanowił: „wszystkie dzieci bez wyjątku do szkoły uczęszczać powinny pod rygorem kary pieniężnej, która się do funduszków szkoły przyliczać będzie”. Karę tę oznaczał na dwa grosze za pierwszy dzień nieprzybycia dziecka do szkoły, zwiększając każdodziennie tę nawiązkę o dwa grosze, tak że aż ósmego dnia rodzice lub opiekunowie musieliby już płacić groszy 16. Po ośmiu dniach, gdyby kara ta nie skutkowała, projekt groził opornym rodzicom lub opiekunom aresztem policyjnym od jednego do ośmiu dni; wreszcie gdyby i to nie pomogło, sąd gminny ma prawo, według swego uznania, wymierzyć karę jeszcze dotkliwszą. Rada stanu, przy rozbiorze tych paragrafów projektu, zmodyfikowała wysokość kar o tyle, że nie uznała za stosowne karać rodziców lub opiekunów więzieniem, ale „po 8 dniach nieusprawiedliwionej w szkole nieobecności, kara po 16 groszy dziennie wynosić ma”; samą zaś kwestyą przymusu szkolnego przyjęła bezwarunkowo. Otóż w Komisji petersburskiej nie podobało się to bardzo.

Uważano, nie bez słuszności zresztą, że projekt ten ma charakter wyłącznie polityczny i z właściwą sferom rządzącym rosyjskim niechęcią do wszystkich tego, co choćby pozornie przyczynić się mogło do stężenia wewnętrznego społeczeństwa polskiej, wystąpiono przeciw niemu. Nie mówiono jednak tego, ukrywano istotne motywy, a natomiast uciekano się do zarzutu, że w obecnej chwili przymus szkolny mógłby zniechęcić lud wiejski²¹³. Meyendorff dopomagał jak mógł Wielopolskiemu w obronie projektu, a choć z początku nie tracili oni obaj nadziei, że się utrzymają przy swoim, w końcu wszakże przekonali się, że trzeba porobić pewne ustępstwa, by zasadę prawodawczą ocalić. Margrabia więc postanowił przygotować na najbliższe posiedzenie wniosek, „aby przymus, jako zagrożenie, o co głównie chodzi, zostawić w prawie, lecz w rozwinięciu polecić władzom Królestwa, aby był zaprowadzony tylko w miarę istnienia lub zakładania szkół po gminach, i żeby władza szkolna miejscowa mogła dyspensować od uczęszczania dla ważnych przyczyn, co od dobrego wykonania przez Komisję oświecenia, równie jak cały dalszy los prawa zależeć będzie”²¹⁴. Pomimo jednak tego ustępstwa, kwestyą przymusu szkolnego stanowczo i kategorycznie przez Komisję petersburską odrzuconą została i do prawa on nie wszedł. Nie stając w obronie przymusu szkolnego, gdyż doświadczenie dziś przekonało, że nie wiele on przynosi korzyści a jest

213 Loc. cit.

214 Loc. cit.

jednym z najuciążliwszych ciężarów społecznych, zaznaczyć wszelako wypadła, jak dalece sfery rosyjskie były nieprzyjazne Polsce i jak uparte walki staczać musiał margrabia, by uzyskać sankcyą dla swych projektów, by choć w części je ocalić.

Walki te nużyły go i niekiedy tysiące nowo powstających przeszkód w chwili gdy zdawało się, że już wszystkie usunięte zostały, zniechęcały go mocno.

Na jego potężną konstytucyą fizyczną, potrzebującą ruchu i świeżego powietrza wiejskiego, do którego przywykł przez swe życie ziemianina, ciepłarniana atmosfera salonów petersburskich, natężenie wszystkich nerwów w tem nieustannem parowaniu ciosów, źle nadzwyczajnie oddziaływała. To też w tym czasie, gdy stronnictwo przeciwne mu znów na chwilę wzięło górę u dworu, myślał o powrocie do życia prywatnego. „Z bliską rocznicą wstąpienia mego do rządu, pisał do żony, wyglądam z upragnieniem powrotu do Chrobrza, gdzie niedługo słońki nad brzeziną ciągnąć zaczną”²¹⁵. Jakoż w Petersburgu osobliwsze co do niego miano zamiary. Ponieważ wiadano, że sprawy rządowe w Warszawie źle idą, że Lüders jest nieudolnym i niezdatnym, zwłaszcza co do spraw cywilnych, do czego otwarcie się przyznawał i zajmować się nimi nie chciał, zgadzano się na wysłanie do Warszawy na stanowisko wielkorządcy kogoś z rodziny cesarskiej, i jak się zdaje, ciągle miano na myśli księcia Meklemburskiego, o co czynnie zabiegała wielka księżna Helena Pawłówna. Ale i pod tym względem cesarz wahał się i nie był zdecydowany na krok stanowczy. Przeciwnicy tego rodzaju kombinacji przedstawiali mu, że taki książę krwi może się łatwo w tej szalejącej Warszawie zużyć i skompromitować; w oczach Rosyan będzie uchodził za nadto „polskiego”, w oczach Polaków znowu za nadto „rosyjskiego”, i tym sposobem nikomu nie dogodzi i biegu spraw nie poprawi²¹⁶. Wreszcie, gdy nie było innego wyjścia, gdy margrabia nie ustawał w swych zabiegach, myśl o wysłaniu na namiestnika w Warszawie księcia krwi, przybrała formy ostatecznego postanowienia, a z nią i tak upragniony przez Wielopolskiego, rozdział władzy cywilnej i wojskowej, gdyż uderzający przykład niedogodności połączenia tych obu władz dawał w tej chwili Lüders²¹⁷.

Szło teraz tylko o to, komu powierzyć zarząd cywilny kraju. Oczywiście Samobytnicy, przegrawszy grę o księcia krwi, za nic w świecie Wielopolskiego nie chcieli i ciągle twierdzili, że jeżeli już podział władzy w Warszawie jest ko-

215 Loc. cit. I, 318.

216 Lisicki, Le marquis II, 281.

217 Cesarz już pod datą 11 marca (27 lutego) donosił Lüdersowi: „o utworzeniu przy panu zarządu cywilnego przygotowuje się tutaj projekt i będzie panu zakomunikowany” („Russ. Starina” loc. cit. Tom XXXVII, 643).

niecznem złem, to złe to trzeba uczynić jak najmniej niebezpiecznem i na stanowisko naczelnika administracji cywilnej należy posłać Rosyanina. „Będzie to najpewniejszy środek zużycia uroku księcia krwi, zajmującego stanowisko namiestnika, robił uwagę Wielopolski. Niemniej będzie to bijącym w oczy dowodem, że nigdy żaden Polak nie zdoła sobie zyskać zaufania monarchy, wobec czego nic mi nie pozostaje jak wszystko rzucić i powieść swą zakończyć”²¹⁸. Nie chciano jednak margrabiego zupełnie się pozbyć, a to z wielu względów, między którymi były także natury politycznej. Naprzód mógł on się jeszcze przydać, więc na wszelki wypadek chciano go sobie zachować na później, a przytem jego obecność w Petersburgu świadczyła przed Europą, a szczególnie przed Francją o jak najlepszych zamiarach rządu rosyjskiego względem Polski²¹⁹. Odpowiadano mu więc, że wysyłka do Warszawy członka rodziny cesarskiej z pomocnikiem Rosyaninem będzie tylko „pierwszym aktem” tej tragikomedii dziejowej, i dawano mu przez to niejako poznać, że w drugim jej akcie, jemu przyjdzie odegrać pierwszą rolę, jako naczelnikowi administracji cywilnej. Ale Wielopolski znał dobrze Rosyą i jej rząd, i odpowiadał, że ten „drugi akt” nigdy nie nastąpi, gdyż kombinacja taka stanowczo powieść się nie może, i zaraz z samego początku spowoduje podanie się do dymisyi wszystkich członków Rady stanu. Doradzał więc, by cesarz powierzył zbadanie spraw polskich jednej osobie, obdarzonej całem zaufaniem monarchy, a to dlatego, by raz położyć koniec tym nieustannym i zabójczym wahaniom.

Wszelako myśl o wysłaniu do Warszawy kogoś z rodziny cesarskiej, popierana usilnie przez wielu zainteresowanych, zbyt mocne już zapuściła korzenie, by ją porzucić miano. Z drugiej jednak strony znów podniosła głowę opinia, że jedną z przeszkód do uspokojenia kraju jest sam Wielopolski. Opinią tę potwierdzali sami Polacy, dość liczni w Petersburgu, należący w większości do stronnictwa ruchu i nienawidzący szczerze margrabiego. Zabiegi ich, starania, plotki rozpuszczane umyślnie a zrécznie, nie pozostawały bez skutku, na chwilę nawet zrodziła się w rządzie myśl usunięcia go całkowitego z Warszawy i kraju. Zrazu chciano mu oddać sekretaryat stanu Królestwa Polskiego, który to urząd zajmował dotąd Tymowski, człowiek słaby, o lichej głowie, niedorośli pod żadnym względem do wysokości wypadków, jakie się obecnie rozgrywały. Stary był przytem, zużyty, rutynista i osobiście niechętny Wielopolskiemu, jak wszelka mierność względem człowieka umysłu wyższego. Usunięcie Tymowskiego w obecnych okolicznościach było koniecznem, ale z drugiej strony szkoda było marnować na takim stanowisku, czysto urzędni-

218 Lisicki Loc. cit.

219 Loc. cit.

czy mającem charakter, człowieka tej miary co margrabia. To też odrzucił on propozycją tę stanowczo. „Odmówilem tego urzędu, pisał do żony, któryby zrobił ze mnie pocztyliona bez inicjatywy, i któryby mię zmuszał do prowadzenia nieustannej wojny z władzami warszawskimi”²²⁰. Gdy się to nie powiodło, zaproponowano mu, aby udał się do Rzymu, nawiązał rwące się nici umowy z Kuryą i ułożył się o nowy konkordat. Ale i na to przystać nie chciał. „W Rzymie, pisał, nikomu bym nie dogodził, a wątek rzeczy krajowych z ręki wypuścił”²²¹.

Wśród tego wszystkiego, ponieważ w dniu 26 marca rozpoczynały się w Warszawie posiedzenia Rady stanu, na których miał być rozpatrywany projekt margrabiego o oczynszowaniu włościan, postanowił on tam koniecznie się udać.

„Przy zachodach warszawskich przeciwko mojemu projektowi oczynszowania, pisał do żony²²², wiele mi na tem zależy, abym był obecny dla jego obrony w Radzie stanu”. Wyjednał sobie koniecznie w tym względzie pozwolenie cesarza, który w dniu 22 marca telegrafował do Lüdersa, że „Wielopolski na własne żądanie i za mojem pozwoleniem wraca do Warszawy, dla wzięcia udziału w Ogólnem Zebraniu Rady stanu, poczem powinien tutaj znowu powrócić”²²³. Jakoż, w parę dni potem, bo dnia 24 marca, puścił się po przeszło czteromiesięcznej nieobecności do Warszawy przez Prusy (kolej warszawsko-petersburska ciągle jeszcze nie była ukończona), z uczuciem pewnego niezaprzeczonego tryumfu, z nadzieją lepszej przyszłości w sercu. Niestety! położenie, jakie tu zastał, zupełnie odmienne od tego, jakie opuścił, nadzieję tę czyniły już wtedy bardzo wątpliwą i niepewną.

W Warszawie pozornie panowała niczem nienaruszona spokojność i cisza. Namiesnik Lüders, żołnierz surowy, ale ograniczony umysłowo, o jednym tylko pamiętał i jedno miał na uwadze. Przyrzekł cesarzowi, że nie dopuści do żadnych zaburzeń w Warszawie i o to się starał i groził, że słowa dotrzyma, choćby mu przyszło w kupę gruzów stolicę polską zamienić. Na administracyi krajem wcale się nie znał i zajmować się nawet tem nie chciał, zdając wszystko na Kruzensterna i Kryżanowskiego. Sam oddany jedynie wojsku, wielki zwolennik życia towarzyskiego, nudził się ogromnie w pustych salach Zamku, których ożywić nie mogła ani bawiąca przy nim córka, oraz słynna z piękności siostra jego, jenerałowa Daragan, ani częste, tajemnicze odwiedziny nocne

220 Loc. cit. II, 281.

221 Lisicki, Aleks. Wielopolski I, 317.

222 Loc. cit.

223 Oryginalny telegram brzmi: „Wielopolskij po jego zobstwiennomu żelaniu i s mojego razrieszenia, wozwraszczajetsia w Warszawu, dla uczastwowowania w obszczem sobranii gosudarstwiennago sowieta, poslie czego, on dolžen wnow jawitsia siuda”.

ładniejszych przedstawielek baletu warszawskiego, których był niekłamanym i zawsze gorącym wielbicielem.

Po Warszawie przez długi czas teraz i później obiegała w odpisie arcyciekawa jego korespondencya z chórzystką opery warszawskiej, panną Rycerkiewiczówną, co nadzwyczajnie ośmieszało wielkorządcę Polski²²⁴. Mimo tej, widocznej dla wszystkich nieudolności wielkorządcy polskiego, cesarz zdawał się obdarzać go szczególnem zaufaniem i miłością. Przez ukaz cesarski z dnia 15 marca 1862 r. dostał on donacyą dóbr Chełma w gubernii lubelskiej „na dziedzictwo wiecznymi czasy”, i „z należącymi do nich folwarkami, wsiami, użytkami i przynależnościami” z dochodem rocznym rs. 2925²²⁵.

Te okazywane Lüdersowi względy, zalecania wreszcie cesarza, by bądź co bądź spokojność w Królestwie utrzymał, utrwały go w przekonaniu, że system surowości żołnierskiej, przyjęty przezeń w Warszawie, jest najlepszym i najskuteczniejszym. Aresztowania więc na wielką skalę odbywały się ciągle, aresztowania z tego względu nadzwyczaj drażniące, że pociągano do odpowiedzialności według przepisów stanu wojennego za przestępstwa popełnione przed ogłoszeniem tegoż. Cytadela, więzienie karne, zwane „Pawiakiem”, przepełnione było mnóstwem osób winnych i niewinnych, nad którymi rozmaite drugorzędne figury, pragnące okazać swą gorliwość, jak Rożnow, Skowroński, Kozaczkowski, Podwysocki i inni, dopuszczali się krzyczących nieraz nadużyć. Więzienia były brudne, cuchnące i zaniedbane tak dalece, że jak się sam Kryżanowski wyraził, „słoma na posłaniu więźniów od robactwa się ruszała”.

Utrudniano nadzwyczajnie widzenie się z aresztowanymi ich krewnym i znajomym, a nie mogąc przez resztę uczuć ludzkości zabronić tych odwiedzin zupełnie, urządzono w cytadeli kratę tak gęstą, że wizytujący nawet wzrokiem przeniknąć jej nie mógł²²⁶. Ludzie najgorszego charakteru, jak oberpolicmajster Piłsudzki, łapownik bezecny i rabuś najprostszy, korzystali z tysiąca sposobności, jakich im nastręczał stan wojenny, by kieszenie swoje krwawym groszem polskim napełniać. Z latarek, bez których nikt z zapadnięciem zmroku wieczornego nie mógł wychodzić na ulicę, urządził on sobie dochód przez to,

224 Teobald, Wspomnienia V. 24.

225 Lüders jeszcze za namiestnictwa Paskiewicza dostał był w Królestwie Polskiem majorat Mąkolin w gubernii płockiej położony, z dochodem rocznym rs. 2250, którego się zrzekł i pobierał za to ze skarbu Królestwa takąż samą sumę w gotówce. Ponieważ majorat ten komu innemu dano, więc obecnie ofiarowano Lüdersowi Chełm. *Anuczyn* w opowiadaniu swem p. t. „Graf Fedor Fedorowicz Berg”, drukowanem w „Russkiej Starinie” z r. 1893 (T. LXXVIII, 154), myli się, oznaczając dochód z tego majoratu na rs. 4500. Ogółem Lüders teraz większy miał dochód, z sumą bowiem wypłacaną mu ciągle przez skarb Królestwa, pobierał rocznie rs. 5175.

226 Pobudka, Nr. 2 z dnia 1 lutego 1862 r. i relacye ustne.

że u pewnych fabrykantów, którzy mu się opłacili, nakazywał je kupować. Żywiąc uwięzionych źle, dając im na posłanie słomę „ruszającą się od robactwa”, a pobierając ze skarbu Królestwa na ich utrzymanie przyzwoite sumy większe, kradli je bezczelnie. Rozpuszczono po mieście mnóstwo szpiegów, którym przyrzekano nagrody, opłacano ich sownie, karano za brak gorliwości, gdy nie dostawali ofiar do cytadeli i przez to zmuszono niejako do najszykardziej-
szych nadużyć. Surowe, częstokroć nieludzkie obchodzenie się z aresztowanymi przy śledztwie, wywoływało u słabych zeznania kompromitujące, które powodowały nowe aresztowania i nowe prześladowanie, zwłaszcza że znalazło się wielu złych lub nikczemnych, którzy częstokroć przez zemstę prywatną dopuszczali się niecných denuncyacji. Doszło do tego, że „Strażnica”²²⁷ ostro karciała ogół za małoduszność, za słabość charakterów i za tę niepotrzebną gadatliwość. „Denuncyacje nikczemne, pisała, tchórzostwo do podłości prowadzące, słabość i strach zepsutych lub głupich, pomaga gwałtownej zawziętości Lüdersów, Kryżanowskich, Rożnowów, Skowrońskich, Płatonowów, Kozackowskich, Piłsudzkich, Podwysockich i innych tym podobnych potworów, za każdą ofiarę otrzymujących łaski carskie, order, awanse i pieniądze.

Car dobrze płaci, więc też oni więżą, łupią i męczą. Jesteśmy świadkami najokropniejszego prześladowania, ale nie dopomagamy im przez nieroztropne zeznania i tłumaczenia się przed komisjami i sądami moskiewskimi”. „Milczeć trzeba i milczeniem dać świadectwo mocy i prawdzie narodowej. Niechaj się znęcają nad wami, grożą knutem, szubienicą, Syberią, kopalniami, wojskiem; wy bądźcie jedni i ci sami, niezłomni w milczeniu. Nie mówcie o swoich czynnościach, nie mówcie o znajomych, bo łatwo się poślizgniecie i nie wiedząc o tem poniżycie się w oczach narodu”. „Naród potrzebuje ofiar, choć się o nie nie stara, nie pomnażajcie więc ofiar, ale kiedy na was tak padło, że macie być ofiarami za naród, to pamiętajcie, że naród dowie się o was, pomimo tajemnicy waszego więzienia i badania, i szczyć a podnosić się sprawa będzie, jeżeli w boleściach i mękach więzienia przetrwacie nieugięci, nieupokorzeni, w godność milczenia, jako w niezdobytą twierdzę, zaopatrzeni”.

Niewiele to jednak pomagało. Obietnica, że o cierpieniach więźnia i jego słabości „naród się dowie”, nikogo nie zachęcała, a słowa potępienia nie odstraszały wcale tych natur poziomych i nikczemnych, które za pośrednictwem denuncyacji chciały się pomścić na kimś, lub szukały za swój czyn nagrody pieniężnej. Liczba więźniów rosła ciągle i dochodziła do niebywałych rozmiarów²²⁸. Młodzież, przeważnie skazywaną przez sądy do szeregów wojska,

227 Nr. 2 z dnia 25 stycznia 1862 r.

228 Pawliszczew, Siedmicy I, 43, powiada, że w ciągu jednego tygodnia, między 21 a 29 stycznia aresztowano w sępej Warszawie 269 ludzi, w tej cyfrze 138 za nieposiadanie latarek.

konsystującego na Syberyi lub w gubernii Orenburskiej, zwykle krewni, znajomi i nieznajomi tłumnie odprowadzali. Weszło w zwyczaj, niejako w modę odbywać spacery na dworzec kolei petersburskiej na Pradze, odprowadzać, jak mówiono, więźniów stanu. Zwykle zgromadzano się o świcie, w ogromnej liczbie nieraz do kilku tysięcy osób, i przy płaczu kobiet, przeklinaniu rządu, żegnano się z wygnańcami.

Jednej z takich partyi, wysyłanej w styczniu towarzyszyło aż do Pułtuszki trzydzieści sanek, wypełnionych przeważnie kobietami. W chwili gdy partya ta opuszczała Pułtusk, całe miasteczko wyległo za nią i szło przez kilka wiorst wśród płaczu, jęku, przeklinania Moskali i posępnego odgłosu dzwonów kościelnych. Sceny takie, powtarzające się nieustannie na całej drodze wygnańców, rozdrażniały ludność nadzwyczajnie i najchłodniejszych usposabiały gorąco.

W przeddzień rocznicy wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II, Lüders czy sam z siebie, czy też namówiony przez kogoś, a najprędzej wskutek insynuacji siostry swej, jenerałowej Daragan, kobiety zarówno pięknej jak i dobrej, udał się z prośbą do cesarza, ażeby pozwolił na darowanie kary lub też jej zmniejszenie niektórym już przez sąd skazanym, a nawet wysłanym na wygnanie²²⁹. Gdy cesarz się na to zgodził, uwolniono zupełnie od kary 41 osób, zmniejszono zaś karę 33 osobom, razem 74. Wśród zupełnie ułaskawionych znalazło się dwunastu księży, z których siedmiu, wysłanych do różnych gubernij cesarstwa, powrócono do ojczyzny. Do rzędu tych ostatnich należał ks. Feliks Pyzalski, który w dniu 15 października 1861 roku, w chwili gdy wojsko wtargnęło do kościoła św. Jana, namawiał lud do oporu. Czterech księży: Władysława Magnuskiego, wikaryusza ze Skierniewic, który w czasie pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego przewodniczył chłopom skierniewickim, Wojciecha Żukowskiego, proboszcza z Łęczycy, który w mieście tem zamknął kościół, oraz kanonika Kacpra Witmana i Franciszka Chmielewskiego, wikaryusza przy kościele Stojańskim, uwolniono od kar za wstawieniem się ks. arcybiskupa Felińskiego, co w ogłoszeniu po gazetach wyraźnie zaznaczono.

Wszyscy inni, tak ci, których zupełnie ułaskawiono, jak i ci, którym zmniejszono kary, należeli przeważnie do średnich i niższych klas mieszczańskich, lub też byli to drobni urzędnicy, kanceliści, komornicy, woźni i t. p.

Ułaskawienie to 74 osób nie zrobiło żadnego dodatniego wrażenia. Wśród powszechnie rozbudzonych namiętności politycznych, wśród nerwowego natężenia umysłów, obiegało po kraju tysiące najróżnorodniejszych plotek, które

229 Depesza Lüdersa z dnia 8 marca (24 lutego): „Mam szczęście upraszać o pozwolenie jutro darowania i zmniejszenia kary niektórym ukaranym przez sąd, nie wyłączając i wysłanych do cesarstwa. Spisy będą przedstawione”. Odpowiedź cesarza z tegoż dnia: „pozwalam (rozrieszaju) Panu postąpić w myśl telegramu pańskiego”.

przydługi pobyt Wielopolskiego w Petersburgu, głucho i zawsze przesadzone wieści o jego wpływie tam na sfery rządowe, podsycaly i dodawały materyału. Mówiono też powszechnie, że w rocznicę wstąpienia na tron przywrócona będzie w Królestwie konstytucja z przed 1831 roku, i gdy się skończyło na amnestyi dla garści księży i różnych nieznanymi osobistości, uważano to za „szyderstwo z cierpień narodowych”²³⁰. Gdy przytem surowy i żołnierski system rządów w niczem się nie zmienił, gdy porównano listę ułaskawionych z listą skazanych, ogłoszoną w styczniu, a zawierającą ogólną cyfrę 143 osób, o uspokojeniu umysłów mowy być nie mogło. Zaszło właśnie w tym czasie aresztowanie kancelisty Aleksandra Zamojskiego i powstałe z tego powodu wieści przyczyniły się bardzo wiele do powszechnego wzburzenia.

Jak wiemy, Zamojski aresztowany został za to, że wydrukował znany nam już paszkwil p. t. „Słowo narodu polskiego do arcybiskupa Felińskiego”. Był to młody człowiek, zajmujący skromne stanowisko archiwisty w biurach komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Syn drobnego mieszczanina z Lubelskiego, w r. 1855 zagrożony wzięciem do wojska, emigrował za granicę, ale schwytany przez Prusaków, został wydany w ręce rosyjskie i osadzony w twierdzy Zamościu. Uwolniony nakoniec stamtąd, otrzymawszy posadę archiwisty, rzucił się w wir manifestacyjny i rewolucyjny, a nadewszystko poświęcił się drukowaniu i rozpowszechnianiu wszelkiego rodzaju odezw i proklamacyi.

Pojawiające się w tej porze nowe piśmko tajne p. t. „Sternik”, zdaje się, że przez niego było wydawane²³¹. Zapewne dość nieostrożnie się zachowywał, gdyż policja poczęła na niego zwracać uwagę. Wśród tej policji znajdował się teraz człowiek, z natury niegodziwy, przytem zmuszony rozpaczliwym położeniem materyalnym do nadzwyczajnych wysiłków zręczności, by zyskać sobie przychyłność swych zwierzchników. Człowiekiem tym był Paweł Felkner, pół Niemca, pół Żyda, osobistość niejasna, pochodzenia niewiadomego. Poprzednio był on inspektorem szkolnym w Lipnie, następnie w Łodzi, i popierany przez Muchanowa jako człowiek bardzo zły, bardzo zręczny, obdarzony z natury zmysłem szpiegowskim i policyjnym, znalazł się nakoniec na urzędzie inspektora szkoły pięcioklasowej w Warszawie. Na tem stanowisku zastał go Wielopolski i, oczyszczając zgangrenowane mocno ciało nauczycielskie z tego rodzaju indywiduów, dał mu w lipcu 1861 r. „dla dobra służby” dymisyą. Felkner obciążony liczną rodziną, mając przed sobą raz na zawsze zamkniętą drogę do służby w wydziale szkolnym, postanowił zostać członkiem policji tajnej

230 Pawliszczew, Siedmicy I, 63.

231 Jest to tem prawdopodobniejsze, że od chwili aresztowania Zamojskiego, „Sternik” przestał wychodzić. O ile wiemy, wszystkiego ukazały się tylko trzy numery. Piśmko to dziś jest istotną rzadkością bibliograficzną.



„Zamknięcie kościołów” to ostatnia praca cyklu, przedstawiająca zakonnika, wymownym gestem przekręcającego klucz w drzwiach świątyni. Nad drzwiami widnieje obwieszczenie władz kościelnych o zamknięciu wszystkich kościołów warszawskich. Decyzja ta była następstwem profanacji Katedry Św. Jana na Starym Mieście dnia 15 października 1861 r.

i, rozpoczynając teraz swoją nową karierę, starał się wszelkimi siłami o to, by się czemkolwiek odznaczyć. Kiedy ukazało się w licznych odbitkach na mieście „Słowo narodu polskiego do ks. arcybiskupa Felińskiego”, i kiedy paszkwil ten powszechną na siebie zwrócił uwagę i uzyskał rozgłos ogromny, policja tajna otrzymała surowy rozkaz wyśledzenia autora i drukarza tego pisma.

Felkner, chwytając oburącz sposobność odznaczenia się, wziął się gorliwie do dzieła i w ciągu paru tygodni przekonał się, że „Słowo” odbite zostało na małej prasie drukarskiej, ukrytej w mieszkaniu Aleksandra Zamojskiego, na ulicy Marszałkowskiej²³². W nocy więc z dnia 2 na 3 marca, zaszła policja do mieszkania Zamojskiego, a gdy drzwi nie otwierał długo, wyważono je siłą. W pokoju, małej izdebce kawalerskiej, zastano biednego archiwistę bladego i mocno zmieszanego, otoczonego kłębamii dymu, który wydobywał się z całego stosu papierów, palących się tak w piecu jak i na podłodze. Gdy ogień ugaszono, spostrzeżono, że Zamoyski palił nieszczęsne „Słowo”, którego kilkaset egzemplarzy jeszcze znaleziono, a na ich większości był dopisek „drukowano w drukarni Sternika”. W piecu natrafiono na tłące się, mokre jeszcze, widocznie świeżo odbite arkusze „Sternika”, a szczegółowa rewizja wykryła znaczny zapas papieru, ręczną prasę drukarską i czcionki. Wszystko to zabrano, a samego Zamojskiego osadzono w cytadeli. Fakt ten nie miałby żadnego znaczenia, byłby arcypospolitym wypadkiem tych czasów, gdyby nie ta okoliczność, że była to sprawa sama przez się bardzo przykra dla arcybiskupa Felińskiego, oraz że po mieście, w kilka dni po aresztowaniu Zamojskiego, rozeszła się wieść, powtórzona przez prasę zakordonową polską, a z niej przez wszystkie dzienniki w Europie, że więźnia przy śledztwie, dla przymuszenia go do wydania współników, tak niemiłosiernie bito różgami, iż ciało kawałkami zeń odpadało i życiu jego poważne zagraża niebezpieczeństwo. Wieści te tak się rozpowszechniły, tak wielkie przybrały rozmiary, że poruszono je nawet w parlamencie angielskim; i wobec tego rząd widział się zmuszonym do publicznego im zaprzeczenia, w formie osobliwszej, ale kładącej kres wszelkim pogłoskom. Mianowicie wskutek rozkazu generał-gubernatora Kryżanowskiego, wezwano dnia 28-go marca komendanta Warszawy kniazia Bebutowa, ażeby razem ze znanym lekarzem Tytusem Chałubińskim, fabrykantem Karolem Minterem i naczelnikiem wydziału w Towarzystwie kredytowym ziemskim Aleksandrem Preysem, udał się do cytadeli i tam protokółarnie ściągnął z Zamojskiego zeznanie, czy istotnie się nad nim pastwiono.

Jakoż delegacya ta, tak ją bowiem urzędownie nazwano, stanąwszy w cytadeli, wezwwała przed siebie więźnia, który na zapytanie, czy był bity, odrzekł,

232 Że Felkner wyśledził Zamojskiego, świadczy czasopismo tajne „Ruch” Nr. 5 z dnia 17 kwietnia 1862 roku, gdzie czytamy: „Felkner były inspektor szkół, ten sam, który Zamojskiego wyśledził...”

że „od chwili aresztowania nietylko cielesnie karany, ale nawet ręką dotknięty przez nikogo nie był i słowem honoru to potwierdził”; a gdy Bebutow zapytał, czy postrachem do takiego zeznania nie jest zmuszony, Zamojski odparł, że „gotów jest rozebrać się dla usprawiedliwienia tego, co mówi”. Protokół ten, podpisany przez członków delegacji, ogłoszony został zaraz w „Dzienniku powszechnym”, z którego przedrukowały go inne gazety. Nikt jednak temu nie wierzył, powszechnie mówiono, że Zamojski zagrożony męczarniami musiał dać takie zeznanie, i cała ta sprawa, możliwa tylko w czasach takiego wzburzenia umysłów, jakie wtedy w mieście panowało, rozdrażniła jeszcze bardziej ogół przeciw ks. Felińskiemu, którego uważano za pośrednią niejako przyczynę niedoli Zamojskiego²³³.

Do tych wszystkich zarzutów, którymi obarczano nowego arcybiskupa, przyłączyły się jeszcze i inne. Pewna grupa kobiet, należących do sfer arystokratycznych lub zamożnego mieszczaństwa, oddanych przez modę, przyzwyczajenie, a może i przez potrzebę duszy nabożeństwu, a raczej dewocyi, stała się gorącym! wielbicielkami Felińskiego i znudzona żałobą, lub, jak niektórzy utrzymują, nakłoniona do tego przez arcybiskupa²³⁴, poczęła naprzód do czarnego stroju przypinać kokardy fioletowe, a potem całkiem fioletowo się ubierać.

Widok tych dam, uderzających oczy niezwykle w tej porze strojem, wielu drażnił niesłychanie, inni szydzili głośno, zwali je „fiołkami”, i ta nazwa utrzymała się na długo. Motłoch uliczny zato obrzucał je obelgami i wołał: „oto idą żony Felińskiego”, albo „córci ks. Felińskiego”, co one znosiły z godną istotnie admiracji spokojnością i powagą. Prasa tajna milczała o fakcie nienoszenia żałoby przez pewne kobiety, lub też wspominała o tem, jak o pogłosce niewiarogodnej i niemożliwej. „Pobudka”²³⁵ raz tylko, w tonie dyplomatycznej ostrożności, odezwała się o tem: „zaczęły chodzić wieści, (łatwo się domyślić, z jakiego źródła), że Warszawianie porzucają zwolna żałobę i z utęsknieniem patrzą na upływający smutno karnawał, a nawet pozwalają sobie niewinnej rozrywki w teatrze. Najkategoryczniej temu zaprzeczyć musimy. Przy tak ciężkim żalu w sercach zachowuje się i żałoba w szatach, a o zabawie nikt nie pomyśli nawet. W teatrze nie widziano jeszcze Polaka, bo ani garstki podłych

233 Zamojski już za rządów W. ks. Konstantego skazany został przez sąd wojenny na 12 lat ciężkich robót. Karę tę namiestnik zmniejszył do połowy.

234 W jednej z relacji rękopiśmiennych z tej epoki, relacji, którą posiadamy w naszych zbiorach, znajduje się taki ustęp: „co Wielopolski od cesarza nagadał Felińskiemu o żałobie, niewiadomo, to wszelako pewna, że arcybiskup od niejakiego czasu perswaduje pannom po pensyach, żeby czarnych sukien nie nosiły, a nawet z ambony publicznie nagania noszenie żałoby”.

235 Nr. 3 z dnia 6 marca 1862 r.

renegatów, ani rodziny Wielopolskich, pilnie uczęszczających na wszystkie widowiska, szlachetnem mianem Polaków nazwać się nie godzi”.

Tymczasem w istocie tak nie było. Pominąwszy już to, że „fiolki” coraz częściej i coraz gęściej poczęły się pojawiać na ulicach Warszawy, a za nią i innych miast Królestwa, to i twierdzenie, jakoby „w teatrze nie widziano jeszcze Polaka” pozbawione było prawdy. Rzeczy się przeciwnie miały. Lüders, znudzony posępną Warszawą, którą znał dawniej jako bardzo wesołą, i która ustaloną miała opinią, jako „Kapua rozmiękczejaca surowych moskiewskich synów północy”, sam wielki zwolennik zabaw, postanowił przynajmniej pozornie nadać Warszawie cechę wesołą i radośniejszą. W tym celu w Zamku odświeżono niektóre sale, mocno zabrudzone przez wojska, które w nich za Gorczakowa kwaterowały, i wkrótce namiestnik wydał bal, poprzedzony przez widowisko teatralne amatorskie.

W przedstawieniu tem wzięła udział córka namiestnika, siostra generałowa Daragan i druga jakaś kuzynka Lüdersa, oraz adjutanci. Dano sztukę francuską i rosyjską. Liczba zaproszonych była znaczna; w pysznych salach królewskich znalazła się cała kolonia rosyjska w Warszawie, znalazło się i Polaków nieco. Jeden z adjutantów namiestnika, Ammosow, do sztuki rosyjskiej dorobił kuplety, osnute na wypadkach współczesnych, które gorąco oklaskiwano. Sam bal przy czarujących dźwiękach orkiestry teatralnej Lewandowskiego, miał się świetnie udać²³⁶, jak twierdzili goście rosyjscy; w rzeczy zaś samej nie był on ani świetny, ani nie bawiono się na nim ochoczo. Na wszystkich zdawała się ciążyć ponura atmosfera czasu.

Mimo to Lüders zamierzył nie ustępować. Jeszcze w połowie grudnia ogłoszono, że wkrótce rozpoczną się przedstawienia teatralne, co oczywiście tak w kołach Czerwieńców, jak i we wszystkich umysłach, cierpiących nad niedolą ojczyzny i uważających żalobę narodową za rzecz bardzo poetyczną i bardzo właściwą, wywołało niekłamane oburzenie. „Czas” krakowski wystąpił z artykułem, wzywającym, by żadna „dobra Polka” nie chodziła do teatru. Dnia 7 stycznia, w drugi dzień Bożego Narodzenia, według kalendarza Juliańskiego, otwarto teatr Wielki operą Mercadantego „Bravo”. Sala była pełna, ale świeciła tylko mnóstwem mundurów wojskowych. Z Polaków nie było nikogo²³⁷; z osób cywilnych zauważono tylko redaktora niemieckiej „Warschauer Zeitung”. Kobiety Rosyanki ukazały się w ciemnych sukniach, same jedynie panny Kruzenstern, córki dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, wystąpiły strojno i jasno.

I tu nie bawiono się wesoło; gmach teatralny z zewnątrz otoczony był mnóstwem żandarmów, a wewnątrz napełniony policją, co nawet najobojęt-

236 Oczewidiec. Posledniaja -polskaja smuta („Russ. Starina” XII, 140).

237 Pawliszczew, Siedmicy I, 29.

niejszych na sprawy polskie natchnąć swobodą umysłu nie mogło. Prasa warszawska, prócz jednego „Dziennika powszechnego”, wstrzymała się zupełnie od podawania jakichkolwiek sprawozdań teatralnych, co każdego, znającego jej zwyczaj namiętnego zajmowania się sceną, uderzać musiało i miało cechę wyraźnej manifestacji. Zrazu nawet nie pomieszczano wiadomości, co będzie jutro granem, dopiero w kilka dni po pierwszym spektaklu, z rozkazu cenzury krótkie wzmianki o tem czyniono. Dnia 10 stycznia przyszło z powodu tych przedstawień do ulicznej awantury. Wychodzących z teatru gromada młodzieży rzemieślniczej i szkolnej powitała przeraźliwym gwizdaniem, wskutek czego licznie rozstawiona policja aresztowała kilkanaście osób, co wywołało jeszcze większe rozdrażnienie. To też powoli, sala teatralna, pełna pierwszego dnia, pustoszała straszliwie, gdyż sami Rosyanie, nie zbyt liczni w Warszawie, oficerowie, nie bardzo obfitujący w pieniądze, napęłniać jej codzien nie mogli. Nad garstką widzów, rozrzuconych po sali, unosiła się ponura atmosfera smutku i nudy nieskończonej. W sferach rządowych usiłowano temu zapobiedz przez pogłoskę, że sprowadzoną zostanie operetka francuska i tym sposobem opera polska upadnie²³⁸, ale i to nie pomogło. Z Polaków, wbrew twierdzeniu „Pobudki”, nikt a nikt do teatru nie chodził.

Jednakże Lüders uparł się przy prowadzeniu polityki rozbawienia Warszawy. Dnia 12 marca z jego rozkazu rozpoczęto dawanie przedstawień w Teatrze Rozmaitości komedią, niby na dziejach narodowych osnutą, właściwie przerobioną z francuskiego przez Dmuszewskiego p. t. „Barbara Zapolska”, w tym zapewne zamiarze, by ściągnąć publiczność polską. Jakoż zamiar ten w części się powiódł. Połowa salki zapełnioną była widzami polskimi, którzy we wszystkich ustępach komedii, mówiących o królach polskich, dawnej chwale i wielkości narodowej, zachowywali się manifestacyjnie, oklaskując je sownie.

Zato inne przedstawienia świeciły przygnębiającymi pustkami, choć Lüders stale uczęszczał do teatru, zwłaszcza Wielkiego, przeważnie na balet i bacznie z cesarskiej łoży przypatrywał się i admirował piękne nóżki warszawskich tancerek, zaglądając dość często za kulisy.

Takie w ogólnych zarysach było położenie Warszawy, taka posępna i mroczna w niej panowała atmosfera. Na prowincyi nie było lepiej. Rząd, w dalszym rozwoju udzielonych koncesyi, postanowił wstrzymane wskutek ogłoszenia stanu wojennego Rady miejskie i powiatowe w czyn wprowadzić. Myśl była bardzo dobrą. Umysłom rozdrażnionym przez manifestacje, żądnym działalności politycznej, nadawało się pewien kierunek, zajmowało się

238 Loc. cit.

je akcją, bardzo co prawda ograniczoną, ale mającą cechę obywatelską i społeczną, wprowadzało się je na drogę legalną. To też projekt ten nadzwyczajnie się nie podobał Czerwieńcom. Ich prasa tajna poczęła występować przeciw Radom miejskim to w tonie szyderskim, zwąc je „śmieszną komedią reform”, to znów poważnym. Najstarsza z tych pism „Strażnica”²³⁹ wołała: chcą teraz, żebyśmy okazali się zadowolonymi, żebyśmy chodzili do teatrów, na zabawy, zrzucili czarne suknie, abyśmy pod bagnetami, w stanie wojennego prześladowania, wzięli udział w Radach miejskich i powiatowych; a gdyby to wszystko otrzymali (Moskale), powiedzą: już teraz nic im dać nie trzeba, gdyż nie mają żadnej potrzeby i są z nas zadowoleni. Ostrzegamy o tym planie i wykazujemy pochyłość, po której najazd i ci z narodu, co nie obejmując ogółu sprawy, prowadzą naród do uległości. Ostrzegamy o tej pochyłości i przypominamy konieczność wytrwania w biernym oporze, którego charakter już dawniej staraliśmy się określić”. Najobszerniej atoli sprawę tę komentowało nowe piśmko, które właśnie w tej porze ukazywać się poczęło p. t. „Prawdziwy patryota”. W numerze pierwszym²⁴⁰, „Patryota” powiada, że doskonale rozumie powody, dla których Moskale „w czasie represji chcą otworzyć Rady, ale zrozumieć nie możemy głosu tych, którzy doradzają członkom wzięcie w nich udziału teraz, gdy nikt bezpiecznym nie jest, gdy w więzieniach mordują, gdy wywożą naszych braci, gdy najmniejsze słowo, wykazujące uczucie polskie, jest w ich oczach dostatecznym do skazania na męki; aby dać represji pozór łagodny, cechę normalnego położenia, nie potrzeba nic więcej tylko otworzyć Rady.

One swoją egzystencją rzucają zasłonę na popełnione gwałty, bo dadzą wiele na obronę ciemniejszych argumentów. To też Moskale namiętnie otwarcia Rad pożądata, gdyż czczemi obietnicami nie potrafili żadnej podstawy sobie wyrobić, ani też zjednać ufności głosem swoich dobrych, nigdy nie urzęczywistnionych chęci”. „Jeżeli bowiem w Radach zapadnie pożyteczna dla kraju uchwała, to albo zniesioną ona zostanie przez nieograniczonej władzy naczelnika wojennego, albo też z powodu istniejących przepisów wojennych będzie niewykonalną, a oponenti do Syberyi bez sądu wysłani. Nic więc Rady dobrego nie robią, ale na zewnątrz, w Europie będą dowodem przyjaznego dla nas usposobienia, będą znakiem skuteczności represji, cechą ufności, czyli innemi słowy: usunięciem wszystkich skarg na ohydne gwałty rządu, potępieniem zeszłorocznych wypadków i odstąpieniem od ich zasad. Wszakże w adresie 27 lutego 1861 r. powiedziano, że ufność do rządu starganą została i że represją odbudować jej nie można. Czyż więc zgodzenie się na Rady nie będzie zaprzeczeniem adresu, czyż nie będzie wotum zaufania dla rządu,

239 Nr. 5 z dnia 15 marca 1862 r.

240 Z dnia 27 marca 1862 r.

i to powstałego przez represyą? Nie! to niepodobna nam przypuścić, ażeby ludzie, którzy do wzięcia udziału w Radach namawiają, byli ludźmi dobrej wiary, żeby nie widzieli szkody, jaką sprawie narodowej wyrządzają i plamy, jaką na czoło narodu sprowadzają. Cisnąć się z dowodami ufności do rządu, jest to samo, co wytwarzać stronnictwo, na któremby rząd najezdniczy oparł się, jest to pomagać mu w prześladowaniu, bo dotąd nic nie zrobił, coby było dowodem zmiany systemu, dowodem usunięcia prześladowania. Nie jesteśmy przeciwnikami Rad, bo są to skromniutkie administracyjne instytucje, pozbawione charakteru politycznego, a mogące po usunięciu panowania wojska drobne korzyści dla kraju wyrobić. Nie będą one kierować narodem, nie będą legalnym organem, nie będą więc mogły legalizować (sic) Moskali, a mogą być, jak każda magistratura, z porządných ludzi złożone, pożyteczne, ale pożyteczne tylko po zniesieniu stanu oblężenia. Otwarcie ich albowiem w obecnem położeniu jest tem, czem było otwarcie przez ks. Felińskiego kościołów, z pominięciem warunków przez dostojnego ks. Białobrzeskiego postawionych, byłoby ustępstwem tem niebezpieczniejszem, że grozi zerwaniem jedności narodowej i może wywołać inne jeszcze ważniejsze ustępstwa. Prócz wyluszczonych tu politycznych korzyści, jakieby Moskwa odniosła z otwarcia Rad w stanie oblężenia, chce ona przez zwalenie na nie poboru wojskowego, już nakazanego, odwrócić od siebie oburzenie, jakie zwykle ściąga na rząd branka wojskowa. Nie bądźmy więc ślepi i nie gubmy się własnymi rękami! Przeciwko otwarciu Rad w stanie oblężenia przemawia pożytek sprawy i godność narodu. Spodziewamy się więc, że wybrani do Rad oświadczą, iż w stanie oblężenia udziału w Radach nie wezmą, a gdyby się znaleźli pomiędzy nimi gotowi do ustępstwa rządowi, wszyscy inni powinni złożyć mandaty”.

Pomimo jednak tych wezwań i gróźb, poczucie potrzeby legalności i przyjęcia reform było tak silne w kraju, że Rady miejskie wszędzie się prawie ukonstytuowały, gdzie tylko rząd je wprowadzić dozwolił. Na początek, jeszcze w dniu 11 grudnia 1861 r. zarządzono wybory do pięciu Rad, a mianowicie: w Łodzi, Zgierzu, Siedlcach, Puławach i Krasnymstawie. Wybrano te miasta dlatego, że je uważano za „najmniej zarażone duchem nieładu”²⁴¹.

W Łodzi i Zgierzu otwarcie posiedzeń Rad miejskich, według rządowego naznaczenia, nastąpiło zaraz 11 grudnia bez wszelkich trudności, co przypisać należy przewadze żywiołu niemieckiego, nieprzyjaznego aspiracyom polskim²⁴². W Siedlcach także bez manifestacji Rada się ukonstytuowała

241 Pawliszczew, Siedmicy I, 24.

242 Loc. cit. 27. W obu tych miastach, jak twierdziła „Pobudka” (Nr. I z dnia 1 stycznia 1862 r.), „udało się rządowi omylić łatwowiernych, czy też pod bagnetem osadzić wybranych w magistratach”. W rzeczy samej inaczej było. Wybory odbyły się spokojnie i bez

dnia 26 stycznia 1862 r.; w miesiąc potem w Pułtusk; w jednym tylko Krasnymstawie rzeczy nie odbyły się tak gładko. Zrazu nie chciano przystąpić do wyborów ale gdy te nakoniec uskuteczniono, radni podali prośbę o odroczenie przysięgi do ostatnich dni stycznia. Chcieli się oni bowiem przekonać wprzód, jak wogóle Rady przyjmą się w kraju i jak sobie poczynić będą. Prasa tajna pochwaliła ten krok. „Pobudka”²⁴³ pisała: „radni kierując się zdrowym rozsądkiem nie złożyli dotąd przymusowej (więc nieważnej) przysięgi i do czynności nie przystąpili, raz dlatego, że Rady ustanowione zostały dla całego kraju, niema więc powodów i racy, dla jakichby w pewnych tylko, uprzywilejowanych miastach miały być otwarte; powtórę, że przepisy stanu wojennego najsurowiej zabraniają wszelkich zebrań, które w przystępie złego humoru lub pijaństwa komendanta placu mogą być rozpędzone (jak wybory (do Rady powiatowej) w Ostrołęce), a radcy bez sądu i apelacyi wprost na Sybir wysłani”. Te pochwały snadź tak oddziaływały na radców krasnostawskich, że z szesnastu wybranych, trzynastu podało się do dymisy i tym sposobem miasto ze szkodą własną pozbawione zostało instytucji, która, jak czas pokazał, bardzo dodatni i korzystny wpływ wywierała na gospodarkę i dobrobyt miejski.

Mimo to rząd nie cofał się. Przez postanowienie Rady administracyjnej Królestwa z d. 7 marca 1862 roku zadekretowano utworzenie Rad w Łowiczu, Wieluniu, Hrubieszowie i Kalwarii; przez także postanowienie z dnia 4 marca t. r. w myśl, agitującej się właśnie w opinii publicznej i na drodze prawodawczej, emancypacji żydów, dozwolono „w razie zachodzącej potrzeby” wybrać jednego ławnika honorowego, „z pomiędzy mieszkańców wyznania Mojżeszowego”. Lüders przez cyrkularz do władz wojskowych i żandarmerji zabronił im jak najsurowiej mieszać się do wyborów, czynienia jakiegokolwiek nacisku na wyborców, lub zwiększania kontyngensu wojskowego tam, gdzie się wybory odbywać mają²⁴⁴. Jednem słowem w tym razie rząd postępował uczciwie i trzymał się ściśle przepisów prawa. Powoli Rady wszędzie się konstituowały; przystąpiono do wyborów w Suwałkach d. 6 marca, w Radomiu d. 15 marca, w Lublinie d. 1 kwietnia, we Włocławku, Kaliszu, Kielcach, Piotrkowie i t. d. W Lublinie, pomimo protestacy i gróźb stronnictwa ruchu, nadsyłającego obywatelom listy bezimienne, zabraniające przystępowania do wyborów, wybory te jednak przysły do skutku. Każdy z wybranych miał za sobą od 700 do tysiąca kilkuset głosów. Ponieważ prawo nakazywało, aby każ-

nacisku rządowego. Na pierwszym posiedzeniu nowych Rad sprawdzono ważność wyborów, wykonano przysięgę, oznaczono termin posiedzeń peryodycznych. Na trzymających pióro wybrano w Łodzi, p. Tomasza Sudra, w Zgierzu żyda, Szymona Waldberga.

243 Nr. I z dnia 1 stycznia 1862 r.

244 Pawliszczew, Loc. cit. I, 64.

dy z radców był posesyonatem, więc wyborcy życząc sobie niektórych, nie posiadających majątku nieruchomego, sporządzali na ich rzecz akta rejentalne symulacyjnego nabycia domu i tym sposobem zadość czynili przepisowi²⁴⁵. Gdy z początku z pewnem ociąganiem się, z pewną obawą czy krok ten nie zaszkodzi interesom kraju, przystępowano do wyborów, teraz, gdy przykład raz był dany, gdy przekonano się, że Rady miejskie nie tylko w niczem nie naruszają tych interesów, ale owszem przez rządność i ład dopomóż im mogą, z wielką ochotą zabierano się do wyborów.

Po miastach, w których według ustawy nowa instytucja mogła istnieć, rozwijano nadzwyczaj czynną agitację, formowano listy wyborcze, dyskutowano, spierano się, i w całym kraju na chwilę zapomniano o manifestacjach, o wielkich zadaniach, które nie zawsze możliwe, zato zawsze bardzo trudne są do spełnienia, a natomiast myślano o drobniejszych, pospolitszych, że tak powiemy, niemniej przeto nader ważnych i znaczących. Wybrani radcowie, ojcowie miasta, obdarzeni zaufaniem ogółu, z dumą zasiadali na kurulnych krzesłach rajcowskich po magistratach, gdzie dotąd rządził samowładnie burmistrz lub prezydent, rządził zwykle źle i nieuczciwie. Odtąd rozpoczął się prawdziwy ład, prawdziwa sferność w tym zarządzie. Z nadzwyczajną gorliwością, jaką spotkać można tylko w ludziach, których pozbawiono oddawna pełnienia jakiejś przyrodzonej funkcji, zabierano się wszędzie do porządkowania miast, do restauracji gmachów publicznych, pamiątek przeszłości, do wydobywania funduszy ukrytych, do zwiększania dochodów miejskich. Wszędzie dała się od razu uczuć ręka czynna, troskliwa, obywatelska, ręka Polaka umiającego cenić i czcić swą przeszłość, dbać o jej pamiątki i pomniki, ręka obywatela szanującego grosz publiczny. Przeglądano dawne akta i przywileje, odbierano nielegalnie nieraz, prawem kaduka lub za łapówkę zabrane grunta miejskie, lasy, pastwiska; rozmyślano jak i na co użyć znacznych częstokroć funduszy, które miasta nasze według starej, ale dobrej ustawy, jeszcze z czasów Królestwa konstytucyjnego, składały do depozytu w Banku polskim; wszędzie zwiększano fundusze szkółek miejskich, podnoszono pensje nauczycielom i odwoływano się do uczuć patriotycznych mieszkańców, by dzieci swoje do tychże szkółek posyłali. Jednem słowem Rady miejskie, podobnie jak ich siostrzyce: powiatowe i gubernialne, od razu się tak silnie i tak dobrze przyjęły, tyle niosły w sobie zacnych i obywatelskich chęci, że wszelkie na teraz próby przeszkodzenia ich rozwojowi nie udawały się zupełnie. Napróżno stronnictwo ruchu domagało się, że kiedy już przystąpiono do uformowania Rad, to niechże z tego faktu wyciągnięte zostaną możliwe korzyści: chciało więc, by Rady jednogłośnie na

245 J. W. Notaty do lat 1860—1861. Wspomnienia z pamięci. (rękopism).

pierwszych swych sesjach zażądały zniesienia stanu wojennego (tego rodzaju żądanie nie wchodziło wcale w atrybucje Rad), a gdyby im odmówiono, żeby się podały do dymisji. Domagań się tych jednak nie posłuchano i żądań nie wykonano wcale.

Niemniej gorliwie brały się do rzeczy Rady powiatowe, dając na sobie świetny przykład, jak nawet w szczupłym zakresie rządów reprezentacyjnych Polacy umieją być czynni, sformi, rządni i zapobiegliwi. Sądziłby można, że odżyła stara tradycja Komisji porządkowych, ustanowionych przed kilkudziesięciu laty przez sejm czteroletni, tradycja ładu, ofiarności i cnoty. Nie mamy pod ręką dokładnego obrazu działalności tych Rad, ale przytoczymy tu parę przykładów, dowodzących, jak świetnie one prosperowały i jak się rozwijały. W powiecie stopnickim każdy z radców powiatowych wziął pod swój nadzór jedno miasteczko, badał, jak i czym podnieść jego dobrobyt, jakie zaprowadzić oszczędności, jak zapobiedz nadużyciom. Projekta jego, przedstawiane Radzie, po jej zatwierdzeniu wchodziły dopiero w wykonanie. Jakkolwiek czynności te spełniane były honorowo, wytworzyło się jednak wśród radców tak wysokie poczucie obowiązku, że wykonywano go gorliwie, częstokroć ze szkodą własnych interesów. Ze tego rodzaju postępowanie doprowadzało do znakomitych rezultatów, za dowód może posłużyć Wiślica. Kilkumiesięczna zaledwie opieka jednego z radców, powiększyła coroczny dochód miasteczka o kilka tysięcy złp. z pewnej tylko części łąk miejskich, fikcyjnie przez lat kilka w magistracie licytowanych. Jeden folwark miejski, wiczyście wydzierżawiony, pociągnięto do renowacji praw i w dwójnasób prawie podwyższono dochód z niego. Samo miasto przyprowadzono do porządku, spaloną dzwonnice odbudowano, cuchnące kałuże, pozostałe po dawnym kanale, doprowadzającym wodę z Nidy, oczyszczono i t. p.²⁴⁶

W Kielcach staraniem Rady wyrestaurowano bardzo kosztownie z zachowaniem skrupulatnem wszelkich pamiątek, t. z. Zamek biskupi, piękny zabytek budownictwa z XVII wieku, zrujnowany przez zamienienie go na koszary, a później nawet na lazaret wojskowy. Nie szczędzono również grosza na utrzymanie innych zabytków przeszłości narodowej, zwiększono dochody miasta, uporządkowano ogród publiczny i t. p. W Lublinie staraniem Rady położone zostały chodniki asfaltowe; ustawiono gęściej latarnie, podwyższono etat urzędników magistratu, wypracowano projekt straży ogniowej, restaurowano pomniki przeszłości²⁴⁷. Nie wszędzie jednak, co prawda, Rady powiatowe trzymały się ściśle granic swej kompetencji, częstokroć za nie wychodziły, ale przyczyna tego leżała nie w samej instytucji i ludziach, ale w czasach

246 Z notatek współczesnych, rękopiśmiennych.

247 J. W. Notaty do lat 1860—1861.

pełnych palącej gorączki, w ogólnem podburzeniu umysłów, w zatraceniu, dzięki rządowi rosyjskim, poczucia tego, co jest prawem a co nieprawem. Władza mądra i dobrze życząca krajowi byłaby na te przekroczenia, jako na złe w początkach nieuniknione, patrzyła przez palce, jedne karciała lekko, innych udawała, że nie widzi, i samą maszynę, z konieczności skrzypiącą zrazu mocno, pchała dalej. Ale takiego postępowania od prokonsulów warszawskich i niewarszawskich spodziewać się nie można było, i wkrótce zobaczymy, jak za przewinienia częstokroć mimowolne, rozwiązywano Rady i rozdrażniano niepotrzebnie ludzi, którzy przez zaakceptowanie reform, przez okazanie ich żywotności i korzyści dla kraju, najskuteczniej przyczynić się mogli do jego uspokojenia. Teraz jednak, w tej chwili, Rady tak powiatowe, jak i miejskie gorliwie zajęte były swymi obowiązkami i rzadko bardzo wchodziły w kolizyję z władzą. Bardzo poważny żywioł stanowili w nich żydzi, których w myśl braterstwa i asymilacji chętnie, może nawet za licznie w stosunku do ludności polskiej, wybierano.

W ogólności na 615 członków Rad powiatowych, wybrano 53 żydów, czyli blisko 11%. Do Rad miejskich na 180 ich członków, wybrano 68 żydów, czyli więcej jak $\frac{1}{3}$ ²⁴⁸.

Jeżeli formujące się Rady zajmowały w tej chwili dość żywo społeczeństwo prowincjonalne polskie, odciągając szczęśliwie umysły od polityki, a nade wszystko od szkodliwych manifestacji, to były jeszcze inne przedmioty, które, absorbując mocno rozwiniętą działalność duchową kraju, nadawały mu w tej porze charakter bardzo ożywiony i ruchliwy. W poczuciu koniecznej potrzeby uobywatelenia chłopów, a pośrednio w chęci wciągnięcia go do ruchu, a w następstwie do przyszłego powstania zbrojnego, rozpowszechniło się mniemanie, oparte na mieszczańsko-liberalnej teorii, że najlepszym środkiem po temu jest nauczanie tego chłopów czytania i pisania. Mówiono sobie, głosząco po dziennikach, że oświata jest najskuteczniejszą siłą do obudzenia w ciemnej duszy Maćka polskiego uczuć rodzimych, pojęć o szerokiej ojczyźnie, sięgającej poza granice kopców parafialnych. Wiemy dziś, że się myłono, że teoria ta, jak większość teorii, wyrosłych na gruncie liberalizmu mieszczańskiego, okazała się złudnem marzeniem, nieosiągniętem nigdy złotem jabłkiem baśni ludowej. Ale w tej chwili takie miano przekonanie, w które gorąco i bezwzględnie wierzono, i do urzeczywistnienia tego ideału wzięto się z tym ognistym zapalem, jaki cechuje te chwile, jedyne w historii. Po miastach i miasteczkach Rady miejskie i powiatowe uchwały znaczne fundusze na zakładanie szkółek elementarnych, a w braku pieniędzy odwoływały się do

248 Pawliszczew, Siedmicy I, 71.

ofiarności publicznej, która nigdy nie zawodziła. Po wsiach dziedzice i proboszcze nie szczędzili grosza na ten cel, i pod wpływem nacisku opinii publicznej, uczuć patryotycznych, wszechwładnej zawsze i wszędzie mody, cały kraj roić się począł od tego rodzaju szkółek.

Córki, żony, siostry ziemian, synowie ich, wałęsający się po domu z powodu długich wakacji, zgromadzali w izbach czeladnych dzieci wiejskie, a nawet starszych parobków i dziewczki, i uczyli ich tego czytania i pisania, które niby średniowieczne panaceum, miało być lekarstwem na wszelkie niedostatki, wynikające z braku obywatelskości w chłopie polskim. Różni pisarze powołani i niepowołani, wydawali mnóstwo tanich książeczek, które miały ułatwić tę naukę, a księgarze warszawscy tysiące egzemplarzy tych dziełek wysyłali na prowincję. Zakładano wszędzie biblioteki, czytelnie, pochłaniano dzieje przeszłości, tak pełnej chwały i majestatu, i rozżarzano w sobie gorący już mocno patryotyzm wspomnieniami tej chwały, wielkiej zaiste! i pięknej, tej „ojczyzny nieśmiertelnej, mimo działów niepodzielnej”. Tu i owdzie dziedzice i proboszcz, w dni świąteczne i niedzielne, zgromadzali u siebie starszych gospodarzy wiejskich i młodzież dorosłą, i odczytywali im dzieje tej Polski przebóstwionej, wskazywali im tę gwiazdę, która, jak mówi poeta, „drzemie, lecz nie zgasła w dniu rozbicia”. Wychodzące w tej porze pismo ludowe „Kmiotek” miało licznych prenumeratorów i zwykle na tych wieczornych zgromadzeniach pilnie było odczytywane. Niewątpliwą jest rzeczą, że w tem wszystkim nie szło wcale o istotną oświatę, ale o cele patryotyczno-polityczne, gdyż nie szczęściem jest Polski, będącej w niewoli, zwłaszcza w jej zaborze rosyjskim, że każdy czyn, każde zamierzenie, mające dobro ogólne na celu (mniejsza o to, właściwie, czy nie, pojęte), musi nosić charakter polityczny.

Cały ten ruch gorączkowy, wykwitły samodzielnie, zrazu niepostrzeżony przez rząd, który nie zawsze wiedział, a nadewszystko nie zawsze umiał zdać sobie sprawę z tego, co się koło niego dzieje, rozwijał się potężnie, niczem niehamowany. W końcu jednak ruch ten przybrał tak szerokie rozmiary, brzmiał tak rozgłośnie po kraju, że musiał na siebie zwrócić uwagę różnych tępogłowych ale zato podejrzliwych kacyków rosyjskich. Posypały się więc ze wszech stron raporta do Kruzensterna, Kryżanowskiego i Lüdersa, a ten odwołał się, jak to zresztą uczynić był powinien, do Komisji oświecenia. Ponieważ jednak ta ostatnia nie mogła znaleźć żadnego przepisu w prawach obowiązujących w Królestwie, któryby zakazywał zakładania szkółek i uczenia młodzieży, więc Rada administracyjna wydała do Komisji postanowienie, datowane d. 1 kwietnia, polecające, ażeby „każdy, kto już otworzył szkołę początkową, doniósł o tem Rządowi gubernialnemu w ciągu dwóch miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia”. W dalszem swem wyjaśnieniu, Komisya zawiadamiała,

że wprawdzie zakładanie szkółek początkowych, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie dotąd szkoły elementarnej rządowej niema „nie jest wzbronionem”, ale odtąd każdy właściciel ziemski lub proboszcz, mający zamiar założenia takiej szkółki, winien o tem donieść rządowi gubernialnemu, wymienić przytem nauczyciela i przedmioty, jakie będą wykładane. Rozporządzenie to miało ten skutek, że odtąd akcja szkolna odbywała się po większej części skrycie, dla uniknienia kontroli rządowej. W wielu miejscach oficjalnie szkółkę zamknięto, co nie przeszkadzało, że w dworach u córek lub żon dziedziców zgromadzały się wieczorami dzieci chłopskie i uczyły się lub słuchały ognistych opowiadań o Polsce i jej sławie minionej. Świąteczne zgromadzenia wieczorne, których nikt skontrolować nie mógł, przybrały teraz szersze i tem niebezpieczniejsze rozmiary, że miały urok i smak owocu zakazanego. Weszło przytem w zwyczaj, że w gorącej chęci zyskania sobie chłopca, dziedzice i dziedziczki bywały na weselach i uroczystościach domowych chłopskich, trzymali im dzieci do chrztu, obdarzali podarunkami, lekarstwami w razie choroby i t. p.

Na Litwie ze sprawą nauczania chłopca rzeczy się o wiele lepiej miały. I tu bowiem przeniknął ów prąd zakładania szkółek wiejskich, zbliżania chłopca do dworu. Tak samo jak w Królestwie, żony, córki, siostry możnych panów litewskich, uczyły osobiście dziatwę wiejską, oczywiście po polsku, i sprowadzały dla niej książki polskie. Ówczesny kurator okręgu naukowego wileńskiego, Sziriński-Szachmatow, zwrócił na to uwagę i wpłynął na Nazimowa, że ten wydał cyrkularz do policyi ziemskiej, w którym polecał jej pilną baczność na to, by obywatele nie urządzali w swych majątkach szkół ludowych z wykładem w języku polskim²⁴⁹. Nie małego znaczenia używał wówczas na Litwie marszałek gubernialny grodzieński, hr. Starzyński, bodaj czy nie takiego samego, jakie miał w Królestwie pan Andrzej Zamoyski. Starzyński, wielki przyjaciel tego ostatniego, zręczny, rozumny, gorący patryota, o przeszłości burzliwej i romantycznej, służył jako prosty żołnierz na Kaukazie i ozdobiony był krzyżem wojskowym św. Jerzego za waleczność. Posiadał on rozległe i wpływowe stosunki w sferach rządowych petersburskich, zwłaszcza był w przyjaźni z ministrem spraw wewnętrznych, Wałujewem. Gdy więc ukazał się cyrkularz Nazimowa, zabraniający zakładania szkółek po wsiach, Starzyński wpłynął na Wałujewa, który w organie swego ministerium „Poczcie północnej” (Siewiernaja poczta), pomieścił obszerny artykuł, pochwalający działalność pedagogiczną niektórych pań polskich w powiecie dzisieńskim. Gazeta donosiła, że panie te w swych majątkach pozakładały szkółki wiejskie i osobiście nauką czytania i pisaną się zajmowały, i działalność tę stawiała innym za przykład,

249 „Russkaja Starina” z 1885r. w artykule „Władimir Iwanowicz Nazimow”.

godny naśladowania. Artykuł ten wywarł silne wrażenie na sfery rządowe wileńskie; obywatele polscy, niezadowoleni z Nazimowa i Szirińskiego-Szachmatowa, wskazywali nań, jako na dowód zacofania administracji miejscowej, która wbrew woli rządu stawia przeszkody zbawiennej działalności szlachty litewskiej. Nazimow, z natury dość tępy i leniwy, zrazu oburzył się, pisał do ministra Wałujewa, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, zostawił rzeczy ich biegowi. Dzięki temu szkoły ludowe na Litwie rozwijały się potężnie i swobodnie, aż do chwili, gdy krwawy Murawiew Wieszatiel pojawił się w Wilnie.

Chłop polski wobec tych zabiegów zachowywał się ze zwykłą sobie podejrzliwością i milczącą pokorą.

Na żądanie dziedzica i proboszcza posyłał dzieci swoje do szkoły, lub do „panienek do dwora”, zwłaszcza, że dzieci te, obsypywane tam dla zachęty podarunkami i przysmakami, ochotnie same biegły; chodził na wieczorne czytania, wsłuchiwał się w „wieniec wspomnień purpurowy”, potakiwał temu, co mu mówiono, wzdychał żałośliwie, gdy mu prawiono o nieszczęśliwej ojczyźnie polskiej, ale swoją nieufność do wszystkiego, co od dworu wychodziło, zachował w całości. Ze swym zdrowym zmysłem natur prostych i podejrzliwych, widział on w tem akcją polityczną, trzymał się bardzo ostrożnie i, gdy się znalazł wśród swoich, mruczał pod nosem: „oj źle, źle, panowie coś znowu machlują!”. W ogólności ten szła gorączkowy ku uobywateleniu chłopu za pośrednictwem oświaty, nie tylko nie osiągnął skutku, jakiego oczekiwano, ale wydał wręcz przeciwne rezultaty. Wobec tysiąca głuchych wieści, dochodzących w formie mocno skazanej do ludu o oczekującej go blizkiej swobodzie, wieści usprawiedliwionych ostatnimi rozporządzeniami rządowymi o zniesieniu pańszczyzny i o gotującym się oczyszczaniu, wobec zabiegów stronnictwa rewolucyjnego o zyskanie sobie „mas ludowych” przez podburzanie ich przeciw „panom”, te nagle, dotąd nigdy niebywałe usiłowania szlachty do zbliżenia się do ludu, do życia z nim po sąsiedzku, wyrodzić musiały w posępnej duszy chłopu to mniemanie, że się coś niedobrego gotuje i że tu idzie o jego skórę. Trzymał się więc odpornie i przy każdej nadarzonej sposobności okazywał swą nieprzejeđnaną nienawiść do dworu. Władze rządowe w tej porze otrzymywały nieustanne skargi i denuncjacje chłopskie na panów. Tu donoszono, że dziedzic nie chce się zgodzić na okup; ówdzie, że domaga się pańszczyzny lub darmo, lub też, że przy ostatecznem rozgraniczeniu gruntów folwarcznych od chłopskich, te ostatnie wydziela na pustkach lub nieużytkach, nie daje łąki i lasu²⁵⁰.

W Sandomierskiem zwłaszcza, to domaganie się łąk i lasów było na porządku dziennym; w Kaliskiem chłopci skarżyli się na wysoki czynsz i w na-

250 Pawliszczew, Siedmicy I, 13.

dziei lepszych czasów, nie chcieli przystąpić do regulacji. Te skargi są jeszcze do pewnego stopnia wytłumaczone, ale liczne denuncjacje chłopskie na swych panów świadczyły o nadzwyczaj opłakanych stosunkach między chatą i dworem. We wsi Guzewie w powiecie Stanisławowskim, chłopci oskarżyli drogą tajnego doniesienia dzierżawcę Mazowieckiego, że ma u siebie skład broni i 13 rycin podburzających²⁵¹. Włościanie gminy Radoszyckiej w Opoczyńskim, oskarżyli niejakiego Białczewskiego, urzędnika górniczego, że podburzał ich przeciw rządowi; podobnaż denuncjacja przyszła do władzy od chłopów z Kotkowa w powiecie Łęczyckim, na rządę, który miał ich zachęcać do obrony wiary, znieważonej w kościołach warszawskich przez Moskali. Nawet księża nie byli wolni od tego potoku denuncjacji; w kwietniu 1862 przybyli wysłańcy kilku wsi ze Stanisławowskiego do Warszawy do namiestnika, i ryczałtem oskarżali dziedziców, wójtów i proboszczów o „bunt”²⁵². Można by do nieskończoności przeciągnąć tę posępną listę denuncjacji, tego wstrętnego objawu nienawiści natur prostackich do dworu i w ogóle do klas wyższych, ale i te wystarczą, by przekonać, na jak kruchym gruncie opierali się ci, co myśleli i głośno zapowiadali, że olbrzymia czarniawa ludowa zerwie się na ich głos z taką siłą, iż za jednym zamachem wymiecie Niemca i Moskala za dziesiątą górę i dziesiątą rzekę...

Do tej powszechnej i rosnącej ciągle niechęci chłopów do szlachcica i w ogóle do każdego surdutowego „ciaracha”, przyczyniał się bardzo wiele zły stan ekonomiczny kraju, którego źródło chłop widział w „buntach” panów i „łyków” miejskich. Ciągłe manifestacje, uroczystości narodowe, nabożeństwa, odrywały ogromną większość ludności miejskiej od pracy stałej i systematycznej, i wywoływały konieczną nędzę, której zapobiedz nie mogła doraźna pomoc, jaką klasy zamożniejsze od czasu do czasu niosły.

Przytem w tej chwili zjawiał się fakt osobliwszy, który z wielu względów przyczynił się do pogorszenia stanu ekonomicznego, fakt, którego wina leżała wyłącznie na rządzie. W kraju okazał się nadzwyczajny brak drobnej monety zdawkowej, co klasie uboższej, operującej drobnymi sumami, dotkliwie uczuć się dawało i narażało ją na wielkie straty. Istniejący w Królestwie bilon, w ilości około trzech milionów rubli, nie mógł uczynić zadość potrzebie zamiennej, zwłaszcza, że żydzi wycofywali go powoli w celach spekulacyjnych. Przyszło do tego, że za zmianę rubla papierowego na srebro lub miedź, żydzi pobierali 7%, a, często i więcej²⁵³, co oczywiście głównie odbijało się na kieszeni ludzi ubogich. Rząd, który, jak się zdaje, pragnął nieznacznie zniszczyć

251 Loc. cit. 21.

252 Loc. cit. 69.

253 Lisicki, Al. Wielopolski, III, XIX.

samoistość finansową Królestwa i uczynić ją zależną od rujnującej i wiecznie deficytami żyjącej skarbowości rosyjskiej, nic nie przedsięwziął, by zapobiedz opłakanemu temu brakowi. Wybicie w mennicy warszawskiej 300.000 rs. bilonu miedzianego było, że użyjemy przysłowiowego wyrażenia, kroplą wody w oceanie. Wobec tego, wobec gwałtownej potrzeby monety zdawkowej, poradzono sobie w ten sposób, że rozmaite stowarzyszenia handlowo-finansowe, jak gubernialne Domy zleceń rolników, zaczęły wypuszczać znaczki papierowe na okaziciela, na drobne sumy dwóch, trzech i pięciu złotych polskich. Za przykładem tych instytucji, które bądź co bądź przedstawiały jaką taką gwarancją, poszły różne stowarzyszenia, a na koniec osoby prywatne. Kupcy zamożniejsi po miastach i miasteczkach emitowali tego rodzaju znaczki papierowe, częstokroć na poważne sumy. Spekulacja żydowska, jak zwykle, skorzystała z tego szczególnego i zaiste, niesłychanego w żadnym ucywilizowanym państwie położenia, i poczęła także wypuszczać swe znaczki, mające charakter solaweksu. Była to istna plaga, która przeważnie na prowincyi doszła do niebywałych rozmiarów.

Ilość tego rodzaju znaczków obliczano w przybliżeniu na cztery miliony rubli²⁵⁴; Towarzystwo dobroczynności w Lublinie wypuściło ich przeszło na 130 tysięcy złotych polskich. Dom zleceń rolników Hrubieszowskich na 70.000 złp. W samej gubernii Płockiej obiegało około czterystu gatunków monety prywatnej. Wypuszczali ją właściciele ziemscy, kupcy, propinatorzy, aptekarze, często ludzie bez żadnej odpowiedzialności majątkowej²⁵⁵. Doszło do tego, że właściciel sklepiku z tytoniem lub guzikami, posiadający całej fortuny złp. 300 lub 400, wypuszczał nieraz różnokolorowych znaczków papierowych na tysiąc i więcej złotych, zaciągnął tym sposobem pożyczkę bezprocentową od publiczności, pożyczkę w większości wypadków nigdy nie zrealizowaną. Zdarzało się niekiedy, że w danym miasteczku jeden kupiec ze względów osobistych lub konkurencyjnych nie przyjmował znaczków drugiego kupca; żydzi umyślnie bankrutowali, by uniknąć wypłaty za pущczone w obieg papierki. Wszystko to wywoływało zamęt niesłychany w stosunkach ekonomicznych i handlowych, a zamęt ten zwiększały bardzo często samowolne ogłoszenia policyjne po różnych miastach i miasteczkach, zakazujące przyjmowania znaczków, czyli, jak je zwano, „kwitków”, kupca Z. a pozwalające kursować kwitkom kupca X., w czym upatrywano, nie bez słuszności, przekupstwo.

Taki stan rzeczy najdotkliwiej dawał się uczuwać ubogim klasom ludności, a nadewszystko chłopu, dla którego strata kilku złotych była poważną stratą

254 Loc. cit.

255 Loc. cit.

i rozdrażniała go mocno. Szlachcic, wypłacając mu kwitkiem za robotę, kwitkiem, którego nikt zrealizować nie chciał poza granicami wsi, a w jej granicach realizował żyd arendarz i zwykle wódką, pobierając przytem procent lichwiarski, budzić musiał w chłopie poczucie głębokiej niechęci i oburzenia.

Lud brak monety zdawkowej przypisywał „buntom ciarachów”, i wszystko składało się na to, by wiekową, historycznie wytworzoną nienawiść chaty do dworu rozżarzyć i doprowadzić do stanu zapalnego. Wypadki ostrego stawienia się dworowi, gromadnych nań napaści, jakkolwiek sporadyczne, nie są w tej dobie rzadkością, co nie mały popłoch rzucało na szlachtę. Popłoch ten tem więcej wzrastać musiał, że rząd właśnie w tym czasie, w obawie zapowiedzianego głośno przez czerwieńców powstania, nakazał powszechne rozbrojenie kraju. W końcu stycznia 1862 r. rozbrojenie to zostało ukończonym z zupełnem zadowoleniem rządu i bez żadnego oporu ze strony ludności. Podniesiono tylko kwestyą, czy ono ściśle i sumiennie było dokonaniem przez władze prowincjonalne. Okazało się bowiem, że w całym kraju odebrano zaledwie 7388 strzelb, wyłącznie prawie myśliwskich i 221 pistoletów; broni siecznej zgromadzono około stu sztuk²⁵⁶, co w ogóle wydawać się musiało liczbą bardzo drobną. Jakoż w rok potem przekonano się najoczywściej przy wybuchu powstania, że zaledwie mała część broni została złożona władzom, i że umiano ją ukryć starannie przed poszukiwaniem policyi, jak to zwykle w takich razach bywa. Bądź co bądź, czy odebrano broń czy nie, szlachcic mieszkający na wsi, wobec ponurej niechęci chłopu, nie czuł się bezpiecznym i ogólny niepokój w kraju przez to wzrastać musiał, to nerwowe napięcie, które jak prąd elektryczny przebiegało po całej Polsce i dreszczem ją przemawiało.

Nie lepsze było położenie w t. z. prowincjach zabranych, t. j. na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Ogłoszenie stanu wojennego stłumiło głośnie i publiczne manifestacje, ale wrzenie w umysłach trwało ciągle, było ono nawet tem silniejsze, że tajone i ukrywać się zmuszone. Rząd, rozbroiwszy zupełnie, podobnie jak w Królestwie, szlachtę, zostawił jednak broń chłopom, co tem było niebezpieczniejszem, że skrycie podburzał ich przeciw „panom lachom”.

Na Podolu w ostatnich dniach 1861 r. naczelnicy okręgów, t. z. „stanowi przystawi”, otrzymali od gubernatora cyrkularz, w którym między innemi było powiedziane: „staraj się pan zwrócić szczególną uwagę na stosunki posiadaczy ziemskich z włościanami im poddanymi. Masz pan pilnie przestrzegać, by te dwie klasy nie zbliżały się ze sobą, by do zbratania między niemi nie przyszło.

256 Pawliszczew, Siedmicy I, 37.

Owszem, często należy włościanom przypominać, że jedynie Jego Cesarska Mość myśli o polepszeniu ich bytu”²⁵⁷. Tego rodzaju rozkazy gorliwie wykonywali podrzędniejsi urzędnicy, którzy chociaż w większej części byli Polakami, jednakże demagogicznie usposobieni, nienawidzący szlachty, która w tych prowincjach dumnie się nosiła, chętnie się brali do podburzania chłopów. Na Litwie, Nazimow starał się wszelkimi sposobami dokuczyć szlachcie, w najprostszych rzeczach widział spiski i niebezpieczeństwo dla rządu i zasypywał władze centralne w Petersburgu doniesieniami i projektami, zwykle nie mającymi za grosz sensu²⁵⁸.

257 Kronika wypadków w r. 1861/2. (Rękopis).

258 W lecie 1861 r. szlachta litewska wobec podrażnionych stosunków z chłopem, a stąd braku rąk roboczych, poczęła z Zaborów austriackiego i pruskiego sprowadzać całe rodziny wiejskie i osadzać ich na swych ziemiach. Nazimow, dowiedziawszy się o tem i „podejrzewając (opowiada jego biograf w „Russkiej Starinie” z roku 1885), że sprowadzanie to ma zupełnie inny cel (?), kazał zebrać o tych ludziach dokładne wiadomości, i okazało się, że wszyscy są z dawnych dziedzin Rzplitej t. j. z Poznania i Galicyi, sami Polacy i katolicy, mało obeznani z gospodarstwem rolnem i pod wielu względami, zwłaszcza co do pracowitości i moralności, niżsi od włościan miejscowych. Nazimow, uznając tego rodzaju kolonizacyą za szkodliwą, i zwiększającą tylko liczbę osób niełojalnych (niebłagonadziejnych) w kraju, w celu położenia temu końca, doniósł o wszystkim raportem z dnia 11 listopada 1861 r. w Nr. 1304 i 1305, ministrowi spraw wewnętrznych i szefowi żandarmów, w tem przekonaniu, że na słowa jego będzie zwrócona baczną uwaga. Ale zawiódł się srodze. W kilka miesięcy później, w Nr. 35 „Siewiernej Poczty” z roku 1862 ogłoszoną została Najwyżej (sic) zatwierdzona opinia Rady państwa na przedstawienie ministra spraw wewnętrznych, mocą której każdy ziemianin miał prawo bez żadnego pośrednictwa rządu, zawiązywać stosunki z obcymi poddanymi, którzy chcą zamieszkać w Rosyi, i pozwolono im przybywać do Rosyi po zaświadczeniu przez nasze ambasady, że do tego niema żadnych przeszkód. Nazimow rozgniewany musiał uleść w milczeniu”. Niemniej charakterystyczną jest historia następująca: Budująca się naówczas kolej żelazna warszawsko-petersburska nie była u Nazimowa w łaskach. Mniej więcej w tym czasie zwrócił on uwagę głównego zarządu dróg i komunikacyi na „bardzo zagadkowe czyny (opowiada tenże biograf) rzeczonyj kolei, w składzie której przeważał żywioł obcy i różni awanturnicy polscy, wrogo dla Rosyi usposobieni. Szło o to, że Towarzystwo kolei, swe obszerne warsztaty, przy których pracowała bardzo poważna cyfra robotników, oraz większą część taboru kolejowego, umieściło w zupełnie pustej, głuchej miejscowości, przy uroczysku (sic) Łapy, już w Królestwie Polskiem, na granicy gubernii Grodzieńskiej. Pierwszorzędną zaś stacyą urządzono nie, jak należało, w Grodnie, ale w Porzeczu, o 30 wiorst od miasta gubernialnego. Nazimow wskazywał na ten fakt, jako na manewr strategiczny, ułatwiający zagarnięcie całego taboru kolejowego przez bandy zbrojne, których pojawienie się już w tych czasach uważano za bardzo prawdopodobne. Przytem Nazimow prosił Zarząd główny komunikacyi, ażeby zwiększył dozór rządowy nad budującymi drogę i nad władzami kolejowemi, które zuchwale pozwalają sobie pomieszczać napisy polskie na wszystkich stacyach od Białostoka aż do granicy gubernii Pskowskiej. Cały ten raport generał-adjutant Czewkin zostawił bez odpowiedzi; napróż-

Postępowanie to dochodząc do uszów szlachty, bo nic się wtedy ukryć nie mogło, drażniło ją mocno, a nadewszystko zdzierało urok z władzy, którą reprezentował człowiek tak śmiesznie nierozumny, że władze petersburskie nawet nie odpowiadały na jego projekta. Pod tym względem dorównywał Nazimowowi gubernator wołyński, generał Drucki-Sokolniński. Głośnym był w tym czasie jego okólnik do naczelników policyi, ogłoszony przez dzienniki rosyjskie²⁵⁹, w którym, zwracając ich uwagę „na rozbudzenie się umysłów w narodowości polskiej”, i na wyrzuty, jakich doznaje policya od Polaków, „nawet od osób zajmujących wyższe stanowiska społeczne”, poleca, aby każdy urzędnik policyjny, który dozna podobnych wyrzutów, nie wchodząc w żadne spory, w ten sposób odpowiadał: „łaskawy panie! łatwiej panu, dogodniej i pożyteczniej dla kraju, zaprzestać działań nie mających sensu i bezprawnych, aniżeli nam urzędnikom, zostającym w służbie, naruszać dla dogodzenia panu przysięgę, obowiązek służby i przytem narażać się na odpowiedzialność, a nawet na utratę miejsca.

Naruszać porządek prawny i żądać, ażeby osoby urzędowe, obowiązane do pilnowania go pod osobistą odpowiedzialnością, patrzyły na to przez szpary, wcale nie jest szlachetnie. Zaprzestańcie nieprawych, nie mających sensu manifestacji, a my nie będziemy zmuszeni do smutnego obowiązku donoszenia o was władzy”. Tego rodzaju śmieszne odezwy nie tylko nie mogły wpływać kojąco na umysły, ale przeciwnie wywoływały pogardę dla władzy, która nie umie zachować godności i w sposób prostacki traktuje ludzi i wielkie zagadnienia polityczne.

Takie było w ogólnych zarysach położenie zaboru rosyjskiego, gdy Wielopolski, po czteromiesięcznej blisko nieobecności, zjawił się w Warszawie, by obronić w Radzie stanu projekt swój o oczynszowaniu włościan. Z tego, cośmy powiedzieli wyżej o usposobieniu chłopą, łatwo zrozumieć, jak doniosłe, jak ważne znaczenie miał ten projekt nie tylko dla samej ludności wiejskiej, ale dla kraju całego. Wielokrotnie już zaznaczyliśmy, że opinia publiczna wcale nie była zadowolona z tego projektu, gdyż w uwłaszczeniu tylko widziała jedyne słuszne i sprawiedliwe rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej. W Komisji skarbu nawet, jeden z jej wyższych urzędników, niejaki Ignacy Dąbrowski opracował był projekt uwłaszczenia z inicjatywy władz petersburskich, które uważały nie bez słuszności, że tym sposobem podetną nogi rewolucji i raz na zawsze zyskają chłopą dla rządu rosyjskiego. W tym celu,

no Nazimow depeszą telegraficzną d. 16 stycznia 1863 r. prosił o to szefa żandarmów Dołgorukiego, ażeby mu dopomógł w tej sprawie; i to zostało bez skutku. Dopiero Murawiew zmienił owe napisy”.

259 Między innymi w „Telegrafie Kijowskim”.

do pomocy Dąbrowskiemu przysłany został niejaki Protopopow, demagog ze szkoły Milutynowskiej, pierwowzór późniejszych komisarzy włościańskich i na wspólkę z Dąbrowskim pracował nad tym przedmiotem. Ale robota szła im dość opieszale, tak, że gotowi byli ze swą pracą dopiero we wrześniu 1862 roku²⁶⁰. Tymczasem Wielopolski, który, jak się zdaje, wiedział o tych zamysłach, i w obawie przed „zmorą zaboru”, jak nazywał uwłaszczenie, starał się przyspieszyć wprowadzenie w wykonanie swego projektu. Właśnie teraz miał on być wniesiony na Radę stanu i przejść tam pierwszą próbę ogniową.

Kwestya włościańska tak żywo interesowała ogół ówczesny polski, że wszyscy z niezmierną, nerwową rzec można bacznością śledzili debaty Rady stanu, która miała rozstrzygnąć jedno z najważniejszych i najzawilszych zagadnień społecznych tej doby. Wiedzano, że pierwotny projekt Wielopolskiego, wypracowany połączonemi siłami Komisji sprawiedliwości i sekcji rolnej przy Komisji spraw wewnętrznych ustanowionej i złożonej z najwybitniejszych mężów kraju, został nieco zmieniony naprzód przez Radę administracyjną Królestwa, a następnie uległ silnej krytyce ze strony Komisji spraw wewnętrznych; wiedzano wreszcie, że dyrektor główny tej ostatniej, Kruzenstern, gotuje się do upartej walki w Radzie stanu w obronie swych zmian. Jakkolwiek sam projekt Wielopolskiego nie znajdował uznania w ogromnej większości narodu, uważano go za korzystniejszy dla szlachty jak dla włościan, jednakże wobec nienawiści, jaką odczuwano do Kruzensterna, wszystkie życzenia były za tem, by projekt przeszedł, by margrabia pokonał tego Niemca, bardziej moskiewskiego, niż sami Moskale.

Posiedzenia Rady stanu rozpoczęły się dnia 26 marca w Zamku. Otworzył je namiestnik Lüders mową, w której zaznaczył, że głównym przedmiotem debatów ma być projekt o oczynszowaniu z urzędu, że Rada winna wyrzec „swe zdanie w kwestyi tak ważnej dla kraju”.

Nie było wątpliwości żadnej, że wszyscy polscy członkowie Rady staną tym razem po stronie margrabiego; sam zresztą był szermierzem nielada, mistrzem w prowadzeniu dyskusji, w argumentacji, w zwalczaniu zdań przeciwnych. Nie trzeba więc było lękać się, by go taki Kruzenstern mógł pokonać, zwłaszcza w atmosferze niechętniej dla siebie, jaką większość Rady dlań stanowiła. Przytem margrabiego poprzedzały wieści z Petersburga, donoszące o jego wielkich tam sukcesach i o wpływie, jaki wywierał na sfery rządzące. Wszyscy rosyjscy dygnitarze warszawscy widzieli w nim nowe słońce wschodzące na horyzoncie państwowym Rosyi, słońce, które zapowiadało, że długo świecić będzie, więc gięli się przed nim i nie uważali za rzecz możliwą, a nadewszyst-

260 Projekt Dąbrowskiego posłużył później za ośnowę dekretu Rządu narodowego z dnia 23 stycznia 1863 r. i ukazu z d. 2 marca 1864 roku.



ko rozsądną, stawiać z nim do walki o przedmiot, który w gruncie rzeczy nie wiele ich obchodził, i jeżeli skłaniali się do opozycji, to jedynie z myślą otrzymania za to nagrody i dla zadośćuczynienia swej nieprzebraganej, instynktownej, że tak powiemy, nienawiści do Polaków i Polski. Taką nienawiść czuł i Kruzenstern, jako Niemiec z krwi i kości, skórą moskiewską pokryty. Wreszcie Wielopolski, wiedząc, jakie o nim obieją wieści, umiał je z właściwą sobie niekiedy zręcznością wyzyskać na swą, a raczej na rzecz nowego prawa korzyść. Zachowywał się wobec Kruzensterna i opozycjonistów z pogardliwą wyższością, z tą magnacką dumą szlachcica polskiego, która do niepohamowanego gniewu doprowadzała różnych karyerowiczów rosyjsko-niemieckich, którzy przychodzili obławiać się w Polsce pieniędzmi i zaszczytami. Bądź co bądź, dzięki tym wszystkim okolicznościom i konjunkturam, projekt o oczynszowaniu włościan z urzędu, przeszedł przez Radę stanu z małymi bardzo zmianami, które zasadniczych jego podstaw w niczem nie zmieniły.

W tak decydujący sposób Wielopolski zużytkował swój pobyt w Warszawie. Jednakże poza tą jawną przyczyną jego przyjazdu do stolicy polskiej, opinia publiczna, zwłaszcza ta jej ogromna większość, która nie wiedziała, jak ciężkie ciosy gotował Kruzenstern projektowi o oczynszowaniu, twierdziła, że inną jest przyczyna tego pobytu, usiłowała wszelkimi sposobami ją odgadnąć i snuła najrozmaitsze przypuszczenia. Utrzymywano więc, nie bez pewnej słuszności, co nawet znalazło wyraz w korespondencji z Warszawy do francuskiego „*Journal des Débats*” (z d. 25 kwietnia), że główny i najważniejszy powód tego przyjazdu całkiem gdzieindziej się kryje. Mówiono, że margrabia, dzięki poparciu Wielkiej księżny Heleny, która koniecznie chciała, by jej zięć, książę Meklemburski został namiestnikiem w Warszawie, oraz ambasadora angielskiego lorda Napiera, Wielopolski zdołał sobie stworzyć nad Nową bardzo silne stronnictwo, które go forytuje na stanowisko naczelnika administracji cywilnej. Przeciwnicy jednak tego rodzaju kombinacji utrzymują, że jest ona niemożliwą, gdyż margrabia jest nadzwyczaj niecierpiany przez swych współrodaków, że zatem taka nominacja jak najgorsze wywrze w Polsce wrażenie. Wielopolski więc dlatego głównie przybył do Warszawy, by zyskać sobie opinię publiczną i tym sposobem wzmocnić się niejako wobec opozycjonistów petersburskich²⁶¹.

Że tego rodzaju opinia miała pewne podstawy, że była logiczną, to nie ulega wątpliwości. Niepopularność margrabiego w kraju szkodziła mu bardzo wiele w Petersburgu, była to jego pięta Achillesowa, w którą przeciwnicy ustępstw dla Polski zwykle i skutecznie jak dotąd mierzyli. Przytem pogłoska

261 Lisicki, *Le marquis II*, 282.

ta i w tem znajdowała potwierdzenie, że Wielopolski w czasie swego pobytu w Warszawie widywał się z wielu osobami, starał się być uprzejmy i łaskawy, co tej twardej, żelaznej naturze nie zawsze się udawało. Usiłował obok tego wzmocnić arcybiskupa Felińskiego w jego taktyce postępowania, taktyce uplanowanej w Petersburgu, a która na wulkanicznym gruncie Warszawy chwiać się nieco poczęła. Nie wszystko się jednak margrabiemu udało, a położenie arcybiskupa mocno się pogorszyło wskutek fatalnego zbiegu wypadków, wskutek zdarzenia, którego sceną był kościół św. Jana, a ofiarą ks. Feliński.

Katastrofa, bo tak się ją godzi nazywać, która teraz zaszła, była koniecznym wynikiem z jednej strony działalności rewolucyjnej Czerwieńców, z drugiej, bezwzględnej niekiedy i nieliczącego się z okolicznościami i z usposobieniem ogólnem, postępowania arcybiskupa. Właśnie rozpoczął się wielki post doroczny, z którego ksiądz Feliński postanowił skorzystać, by w rozgoryczone i roznamiętnione dusze ludu warszawskiego, w schorzałe jego serce wlać nieco kojących pociech religijnych. Sądził, że tym sposobem zdoła wpłynąć na uspokojenie umysłów. W tym celu postanowił urządzić po kościołach rekolekcje dla ludu. Gdy się jednak z tym swoim zamiarem zwierzył duchowieństwu warszawskiemu, znalazł w niem niechęć wyraźną i opozycją. Mówiono, że przedsięwzięcie to całkiem się nie uda i narazić tylko może na szwank powagę arcybiskupa i duchowieństwa²⁶², i w sposób jak najbardziej stanowczy odradzano mu chwytania się tak niebezpiecznych i wątpliwych zamysłów.

Ale ks. Feliński należał do rzędu tych rzadkich u nas niestety! ludzi, którzy jak sobie raz co postanowili i postanowienie to swoje uznali za dobre, to wykonać je musieli. Wobec opozycji duchowieństwa warszawskiego, które wprawdzie mógł zmusić, ale przez to samo naraziłby na niepowodzenie swój zamiar, zdecydował się poszukać gdzieindziej pomocników i wykonawców swej woli. W tym celu sprowadził z Krakowa uczonego księdza Wojciecha Morawskiego, księdza Wiktora Ożarowskiego, kapłana wielkiej świętobliwości, i nakoniec ks. Zygmunta Goliana. Ostatni wybór, jakkolwiek pod względem duchownym mógł być bardzo dobrym, pod względem jednak politycznym przyniósł wielką szkodę sprawie i ks. Felińskiemu w szczególności. Golian, ksiądz bardzo gorliwy, uczony, kaznodzieja niepospolity, był w tej porze proboszczem w okolicach Wielunia i miał jak najgorszą reputacją w kołach Czerwieńców.

Jeszcze w styczniu, jedno z pism tajnych oskarżało go wprost o denuncjacją²⁶³, co oczywiście w oczach ogromnej większości kraju, wierzącej mocno

262 Rękopism bezimienny.

263 „Pobudka” Nr. 1, z d. 1 stycznia 1862 r. pisze: „Donoszą nam z Wieluńskiego, iż ksiądz G. przez złożenie władzy anonimów, którymi był upominany o przestanie siania fałszu pomiędzy ludem, zadenuncyował swego parafianina, za co, również jak i za inne tego

w relacye pism tajnych, okrywało ks. Goliana mianem prostego zdrajcy i zaprzańca. To też, gdy wieść o sprowadzeniu do Warszawy znienawidzonego księdza się rozeszła, poczęła po mieście obiegać karykatura, którą rozposzechniono w tysiącnych odbitkach fotograficznych, przedstawiająca arcybiskupa z koszem gałganów na plecach, szukającego zdobyczy pod szubienicą i podnoszącego gałgan z napisem „Golian”. Pod spodem zaś wydrukowano: „widzicie bracia, że szukam godnych siebie kandydatów”. Karykatura była zjadliwa i nieuczciwa, ale była ona oznaką tego roznamiętnienia, jakie owładnęło umysłami, i z roznamiętnieniem tem należało się liczyć, zwłaszcza, że dało ono znać o sobie szczególnego rodzaju wypadkiem. Razu pewnego, ks. Golian miał u św. Jana zwykle swe wielkopostne kazanie i mówiąc o czytaniu złych ksiązek, a mianowicie romansów, zakończył swe uwagi słowami: „Wolałbym, żebyście raczej czytali żywoty mężów pogańskich, bo z nich nauczylibyście się wielu cnót, jakimi oni się wsławili, jak np. męstwa, waleczności, ofiarności, stałości, wierności i t. p.” Zaledwie kaznodzieja zdanie to wypowiedział, gdy ze środka nawy głównej, prawie na wprost kazalnicy, rozległ się cieniutki głosik kobiecy, mówiący: „nie czytajcie żywotów mężów pogańskich, ale czytajcie Pismo św. O Boże! na coś nam dał takich fałszywych proroków!” W kościele zrobiła się wielka cisza. Ale jeszcze oratorka nie skończyła drugiego zdania, kiedy rozpoczęło się sykanie i to sykanie bardzo głośne, dające poznać, że to odezwanie się nie podoba się zebranym.

Usłyszawszy owa gorąca patryotka to sykanie, a może przestraszywszy się, tego co zrobiła, zaczęła głośno szlochać; wówczas dwóch mężczyzn wzięło ją pod ręce i wyprowadziło z kościoła bocznymi drzwiami. Ks. Golian po chwilowym milczeniu rzecz swoją dalej ciągnął²⁶⁴.

Do tego rozdrażnienia przeciw ks. Felińskiemu przyczyniły się w tym czasie jeszcze inne okoliczności. Duchowieństwo warszawskie mocno było rozgniewane na arcybiskupa, że, mając poddostatkiem księży w Warszawie, sprowadza ich jednak z prowincyi i zza kordonu, że do konsystorza zamierza także wprowadzić obcych. Było kilku księży, którzy mieli stosunki ze stronnictwem Czerwonych i z ich komitetem miejskim, i tam, jak to mówią, szyli buty arcybiskupowi. Każde jego rozporządzenie, każdą odezwę, choćby ta wyłącznie dotyczyła rzeczy kościelnych, wydawali na miasto, komentowali i łatwowierne tłumy podniecali przeciw temu „petersburskiemu biskupowi”, jak go nazywali. Zdarzyło się, że właśnie w tym czasie, w pierwszych dniach kwietnia, z powodu zbliżającej się spowiedzi wielkanocnej, ks. Feliński wydał do ducho-

rodzaju postęпки, wspólnie ze swym sąsiadem księdzem B. polecony został szczególnym względem władzy wyższej”.

264 Ks. W. Smoczyński, w „Przeglądzie kościelnym” (Poznań), zeszyt styczniowy 1894 r. p. 70.

wieństwa swej dyecezyi okólnik, w którym zakazywał dawać rozgrzeszenia katolikom, służącym u żydów. Wiemy już z rozmowy, jaką po swem przybyciu do Warszawy miał ks. Feliński z wysłańcami Czerwieńców, o wstręcie, jaki żywił do żydów i osobliwszej zaiste teorii, jaką sobie co do tej bardzo starej i bardzo zepsutej rasy wyrobił. Okólnik więc powyższy, opierający się zresztą na ustawach kościelnych, był wyrazem tej niechęci; ale w tych czasach, gdy ogół, a w tym ogóle najlepsze serca i najlepsze głowy marzyły o asymilacji żydostwa, gdy z tem żydostwem bratano się przy każdej sposobności, okólnik taki wydać się musiał dysonansem w harmonii powszechnej, a jego autor odstępcą od sprawy narodowej. W każdym razie akt ten zdradzał w nowym arcybiskupie człowieka, który z opinią ogólną, jeżeli ją uznał za złą, nigdy się nie zgodzi.

Na koniec zaszła jeszcze jedna okoliczność, która, że tak powiemy, wypełniła miarę oburzenia publicznego. W dniu 8 kwietnia przypadła pierwsza rocznica strasznej rzezi kwietniowej, obfitego rozlewu krwi na ulicach Warszawy, i w tych czasach rozbijałego patryotyzmu dzień taki z konieczności musiał być obchodzony uroczystością. Już na kilka dni przedtem obiegały po Warszawie i kraju całym karteczki drukowane, wzywające „Polaków wszystkich wyznań, aby tę pierwszą rocznicę męczeństwa pomordowanych braci uczcili spokojnem nabożeństwem żałobnem”. Umiano trafić do arcybiskupa, domagając się, by w katedrze świętojańskiej osobiście odprawił takie nabożeństwo. Odmówił jak najkategoryczniej. Nie pomogło to wcale, bo nabożeństwa we wszystkich kościołach się odbyły, z wystawionymi katafalkami, z żałobnem pokryciem ścian, z uroczystym nastrojem ludności, a na ks. Felińskiego całe miasto oburzone było do głębi. Obiegało tysiące plotek, mówiono, że na jakiejś pensyi doradzał dziewczętom zrzuć żałoby, a ukazujące się coraz liczniej na ulicach kobiety w fioletowych sukniach, „fijołki”, nadawały temu twierdzeniu pewne prawdopodobieństwo.

Tymczasem, gdy się ta burza przygotowywała na ks. Felińskiego, on sam zajęty był mocno owemi postnemi rekolekcjami ludowemi. Rekolekcye te, sprowadzeni do Warszawy trzej księża nie tylko wzorowo urządzili w katedrze, ale tak pociągnęli do tych ćwiczeń pobożniejszą część ludności, że tłumy całe przychodziły i, gdy nie można ich było pomieścić u św. Jana, musiano też i w innych świątyniach zaprowadzić tego rodzaju nauki. Arcybiskup, ze względu na niepospolitą wymowę ks. Goliana, zamianował go stałym kaznodzieją katedralnym, sam zaś przyjął na siebie, na wzór biskupów francuskich, kazania pasyjne w ciągu wielkiego postu, które miewał co czwartek. Oczywiście zwykłym tematem tych kazań była ojczyzna; nieszczęśliwe jej położenie i wypadki bieżące. Raz mówił, że miłość tylko buduje i odradza, nienawiść zaś więcej szkody wyrzą-

dza prześladowcom, niż prześladowanym, że przeto w żadnym razie nie należy używać niegodziwych środków chociażby dla dopięcia najszlachetniejszych celów; to znów rozpuszczonemu mocno duchowieństwu warszawskiemu rysował przed oczami ideał prawdziwego kapłana polskiego. „Nie wystarczy, wołał, rzucać kwiatami, raz w tydzień dobranymi na słuchacza słowami, nie wystarczy głaskać ucho perorą na dwie części podzieloną, ze wstępem i parenezą, ubiegać się o pochwałę piśmiennych, a romansami popsutych pań i panów; nie wystarczy powtarzać co chwilę do znudzenia, że Polska katolicka, o narodowej wierze, o prawowiernych ojcach; bo nie tem łowił apostoł narodów dusze ludzkie, że Żydom Abrahama, Grekom Platona, Rzymianom Scypionów przypominał, ale opowiadać mamy Jezusa Chrystusa i to ukrzyżowanego i królestwo niebieskie a reszta dodana nam będzie. Niezdrożnie jest opowiadanie słowa Bożego zaobarwić miłością ojczyzny, ale pierwszym i najważniejszym jest słowo Boże, a nie słowo ziemskie i ludzkie”²⁶⁵.

Takie przemowy w czasach gdy ojczyznę stawiano ponad wszystko na świecie, gdy zgodnie z chorymi poetami polskimi robiono z niej Chrystusa narodów, za odkupienie tych narodów ukrzyżowanego, nie mogły się podobać i nie podobały się nadzwyczajnie. Podrażniły one wszystkich, a stronnictwo ruchu, obok powyżej opisanych zdarzeń, rozjątrzyły do najwyższego stopnia. Otóż na parę dni przed zwykłym kazaniem czwartkowym, które miało przypaść d. 10 kwietnia, rozbiegła się wieść, która doszła i do uszów ks. Felińskiego, że młodzież, w chwili gdy arcybiskup wejdzie na kazalnicę, zamierza urządzić demonstracją t. j. tłumnie opuścić kościół i lud za sobą pociągnie. Otaczający arcybiskupa księża radzili mu, ażeby dnia tego nie miał kazania i żeby dał się zastąpić przez kogo innego. Ale Feliński nie chciał się na to zgodzić; nalegającemu nań ks. Czajewiczowi odrzekł, że „żołnierz chrześcijański umrzeć powinien na swem stanowisku”, i zgodnie ze znaną teorią natchnienia, którą wszczepił weń, za młodu jeszcze, mistrz Towiański otworzył na chybił trafił brewiarz i wyczytawszy psalm Dawidowy o tych, co „Boga nie wzywali, i tam drżeli, gdzie nie było strachu”, śmiało i spokojnie pojechał do katedry.

Policja także wiedziała o gotującej się manifestacji i wiedzieć musiała, gdy wszyscy o niej mówili²⁶⁶. Wskutek tego tak przed katedrą, jak i wewnątrz niej

265 Prawdzicki, Wspomnienie, 105.

266 W relacji urzędowej, pomieszczonej w „Dzienniku powszechnym”, i powtórzonej przez wszystkie gazety, czytamy: „władza została wczoraj uprzedzona, że pewna liczba źle usposobionych zamierzała uorganizować demonstracją przeciw Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Felińskiemu...” Niemniej w depeszy, jaką nazajutrz wysłał Lüders do cesarza, znajduje się doniesienie: „zamiar zrobienia demonstracji był wcześniej wiadomy i policja była przygotowana”.

znalazło się mnóstwo policyantów, z których większość przebrana była po cywilnemu i co gorsza, w demonstracji samej czynny brała udział, co świadczyło, że była ona rządowi na rękę. Bądź co bądź do kościoła zeszła się znaczna liczba pobożnych, dochodząca do 4000 osób, i zaraz z początku nabożeństwa zauważono kilkunastu młodych ludzi, kręcących się wśród tłumu i podających na różne strony hasło. W chwili kiedy arcybiskup w towarzystwie ks. Czajewicza i jeszcze jednego kanonika wszedł na kazalnicę, w tłumie młodzieży, przeważnie studentów, poczęto poruszać czapkami, kaszlać, szemrać, a nawet świstać. Zaraz też rozległy się głosy: „wychodzić z kościoła! wychodzić!” i młodzież, tworząc zbity szereg, zaczęła pchać przed sobą zebranych ku wyjściu. Wiele osób nie wiedziało, o co idzie, i w nerwowym nastroju chwili, lękając się jakiego zaburzenia, szybko opuszczało kościół. Z pomiędzy wychodzących policya, która bacznie miała oko na manifestantów, aresztowała ich 15 już na ulicy, bez najmniejszego z ich strony lub tłumu oporu²⁶⁷.

Scena ta bolesna i przykra wywarła silne wrażenie na ks. Felińskiego, jakkolwiek był do niej przygotowany. Gdy poczęto zbiorowo opuszczać kościół, pobladł mocno i stał przez chwilę niemy i oczami szeroko rozwartymi śledził tłum hałasujący. Ale zmieszanie to trwało bardzo krótko. Arcybiskup, oprzytomniawszy, przeżegnał wychodzących i rzekł: „Panie! odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”, poczem ze zwykłą sobie płynną wymową wygłosił kazanie o miłości ojczyzny i o środkach, jakich używać należy, w celu przyjścia jej z pomocą. W czasie tego kazania, opustoszały kościół począł się znowu napełniać powracającymi i nabożeństwo zakończyło się spokojnie. Podniecenie umysłów było jednak tak silne, że, gdy ks. Feliński szedł po kazaniu do zakrystyi, niejaka pani Cw., gorąca patryotka, w prawdziwie historycznym uniesieniu, przedarła się do arcybiskupa i głosem podniesionym rzuciła na niego jako na zdrajcę sprawy narodowej przekleństwo „aż do czwartego pokolenia”²⁶⁸.

Wiść o tej manifestacji piorunem rozeszła się po mieście i we wszystkich ludziach poważniejszych wywołała dość żywe oburzenie. Nazajutrz o godzinie 3-ej po południu Rada stanu w całym swym komplecie, z Wielopolskim na czele, złożyła kondolencyjną wizytę arcybiskupowi; składali ją i inni, co w tych dniach utrapienia mogło być pewną pociechą dla smutnej duszy ks. Felińskiego. Wszak najznakomitsi obywatele i przedstawiciele kraju solidaryzowali się z nim niejako i potępiali nieprzyzwoity i szalony krok młodzieży, która, zamiast się uczyć, wzięła się do polityki i kierowania nawą narodową. Część prasy też z tego stanowiska potępiła powyższą manifestację.

267 W cytowanej relacji urzędowej i depeszy jest mowa o 14 aresztowanych, ale później przy uwiadomieniu o ich losie okazuje się, że było ich piętnastu.

268 Epsilon. Żywot i czyny Wielopolskiego, 46.

Kraszewski w „Gazecie polskiej”, nazwał awanturę 10 kwietnia „przykrym i upakarzającym nas obłędem”. „Wypadek 10 kwietnia, mówił dalej, jest całkiem bezprzykładny w dziejach naszego kraju, niezgodny z jego charakterem, niepojęty dla nas ze stanowiska przeszłości, mniej jeszcze teraźniejszości”.

„Dziennik poznański”, którego nikt nie mógł już posądzić, że pisał pod naciskiem cenzury rosyjskiej, jeszcze ostrzej, choć w kiepskiej polszczyźnie, się wyraził: „nie można, jak tylko najmocniej potępić zamienianie świątyni Pańskiej na teatr ukartowanych, hałaśliwych i cześć miejscu świętemu, zawdy i wszędzie bezwarunkowo należną, w najnieprzyzwoitszy sposób naruszających objawów”. „Oto najgorsza, wołał dalej, i najnieznośniejsza ze wszystkich form rządzenia społeczeństwami: demagogia i do tego nie demagogia ambitnych a wytrawnych i gienialnych trybunów jak Peryklesy, Grachowie, Mirabowie, Dantony, O’Connele, O’Brieny, Zebrzydowscy, Mochnacy, ale demagogia gorącego i poczciwego serca, ale zupełnie niejasnej jeszcze głowy młodzieniaszków, którzy nic wykształcenia politycznego, a mało co zdrowej jakiejś tradycji politycznej przyswoić sobie mogli”. W tem wszystkim jednak to było najboleśniejsem, że, jak do sprawy archiwisty Aleksandra Zamojskiego przychepione było nazwisko ks. Felińskiego, tak i do losu aresztowanych 15-tu młodych ludzi za manifestacją w kościele świętojańskim był pośrednio wmieszany także arcybiskup. Dziennik urzędowy, donosząc o wyroku sądowym, zawsze wymieniał przytem nazwę ks. Felińskiego, co z jednej strony dla niego było bardzo przykrem, z drugiej oburzało wszystkich zapaleńców w kraju, którzy wprost niedolę skazanych przypisywali arcybiskupowi²⁶⁹.

To też nie szczędzili oni obelg Felińskiemu i po gazetach polskich i zagranicznych cały szereg zarzutów mu stawiali, wytaczali mu formalny proces o zdradę kraju. „Czas” krakowski i „Dziennik poznański” rozpisywał się szeroko o tych zarzutach, a przez zwyczaj zły i niczem nieusprawiedliwiony, „Gazeta policyjna”, wychodząca w Warszawie, stawiała w obronie arcybiskupa i powtarzając owe zarzuty i zbijając je niezręcznie, niedźwiedzią mu zaprawdę wyrządzała przysługę.

Jakże bo śmiesznie wyglądało, gdy świstek, w którym mieściły się rozkazy do policyj i opis bójki dwóch szewców lub dwóch przekupek miejskich, stawał w obronie najwyższego dostojnika kościelnego w kraju! Takąż samą niedźwiedzią przysługę wyrządzał mu i „Dziennik powszechny”, chwając go przy każdej sposobności, obdarzając ckliwymi epitetami, podnosząc jego „ewangeliczną cierpliwość” i ubolewając nad zaślepieniem Polaków. Kruzenstern i Kryżanowski działali tu zapewne z planem z góry obmyślanym, by tą

269 Z pomiędzy 15 aresztowanych dnia 10 kwietnia oddano jednego pod sąd wojenny, 12 do wojska, dwóch zaś skazano na paromiesięczne więzienie w twierdzy Modlińskiej.

drogą zaszkodzić niebezpiecznym dla nich zamiarom arcybiskupa; o wypadku 10 kwietnia doniesiono natychmiast z Warszawy drogą telegraficzną zagranicę, by pokazać, jak Polacy są niepoprawni i jak arcybiskup jest niepopularny.

Zarzuty, które teraz czyniła prasa zakordonowa polska ks. Felińskiemu, dają się streścić jak następuje: że nie chciał odprawić nabożeństwa w rocznicę 8 kwietnia, że w dni dworskie osobiście celebrował w katedrze, że we wszystkim ulega namowom Wielopolskiego, że duchowieństwo traktuje jak urzędników rosyjskich, że namawia do zrzucenia żałoby, że zakazał dawania rozgrzeszenia tym, którzy służą u żydów, że żyje z generałami moskiewskimi i wszędzie milicją jest otoczony i t. p.²⁷⁰. Zarzuty te powtarzane były tak nieustannie pod najrozmaitszą formą, że podrażnionego już mocno ks. Felińskiego zmusiły do kroku nie zupełnie dobrze obmyślanego, a nadewszystko całkiem niepotrzebnego. Usprawiedliwia się on tylko tą odurzającą atmosferą, jaka wtedy, niby mgła niezdrowa i gęsta unosiła się nad Warszawą i mąciła najzdrowiej myślące głowy.

Otóż w dniu 25 kwietnia ks. Feliński wystosował list do redaktora „Gazety Warszawskiej”, w którym powiada, że „póki rozszerzane przeciw mnie zarzuty były uliczną tylko baśnią, nie uznawałem za stosowne odpowiadać na nie, ale dzisiaj, kiedy krajowe nawet dzienniki w dobrej wierze je powtarzają, winniem dla wyjaśnienia prawdy, również przez publiczne organa się odezwać”.

Listu tego, jak się spodziewać należało po słynnej głupocie cenzury warszawskiej, nie pozwolono wydrukować, co nie przeszkadzało, że list sam obiegał w licznych opisach po Warszawie, a wkrótce ogłosił go „Tygodnik katolicki”, wychodzący w Poznaniu, dokąd posłał go sam arcybiskup. Z „Tygodnika” przedrukowały go wszystkie dzienniki polskie zakordonowe i obce²⁷¹. W piśmie tem ks. Feliński zaprzecza jak najkategoryczniej, by kiedykolwiek i kogokolwiek namawiał do zrzucenia żałoby, że „jako kapłan o tyle mam prawo wtrącania się do ubioru niewiast, o ile obowiązkiem jest moim przestrzedz je, aby skromnie i uczciwie się ubierały; jako Polak zaś, bardzo bym został upokorzony przywdzianiem przez nie wesołego stroju bez żadnej słusznej przyczyny, gdyż dowodziłoby to lekkomyślności, o którą nas i bez tego tak często oskarżają”. Zaprzecza dalej, by miał zabraniać nabożeństwa żałobnego w dniu 8 kwietnia, sam zaś nie celebrował „nie dlatego, żebym narodowego smutku podzielić i uszanować nie chciał, lecz żebym stanowczo przekonał naród, że na ubliżającą niezależności kościelnej drogę manifestacji, gdzie świeccy prawo gospodarowania w kościele sobie przywłaszczają, najszlachetniejszymi

270 Prawdzicki, loc. cit. 113.

271 List ten można znaleźć we wszystkich pismach polskich zakordonowych, oraz u Prawdzickiego, Wspomnienie, 118.

nawet pobudkami wyprowadzić się nie dam”. Co się tyczy okólnika o żydach, to „żadnej w tej mierze innowacyi nie wprowadziłem, idąc przez tylu świętych biskupów utorowaną drogą uszanowania kanonicznego prawa i synodalnych postanowień”. Kończy temi słowy: „...jeżeli przeto podoba się komu za zbrodnię mi to poczytać, że, będąc stróżem chrześcijańskiej tradycyi, poniewierać jej nie chcę, to niech pamięta, że wraz ze mną potępi też Woroniczów, Fijałkowski i wszystkich innych biskupów naszych”.

List ten w rezultacie żadnego wrażenia nie zrobił i skutku nie wywarł.

Oskarżenia w dalszym ciągu na arcybiskupa spadały i spadać musiały, bo dla stronnictwa Czerwonych, które rosło w siłę i znaczenie, wszelkie przeszkody jego zamiarom, wszyscy ludzie innych przekonań i wyobrażeń, musieli się stawać celem pocisków i obwinień. Stronnictwo to w tej dobie przybiera cechę wojującą, charakter namiętnej partii politycznej, która jak mnichy średniowieczne, jak inkwizycja święta, każe w to jedynie wierzyć, co sama uznaje za prawdę i przeciwników obrzuca nie tylko obelgami, ale skazuje na stos, na potępienie wiekuiste. To rozkiełznanie się namiętności politycznych, ta bezwzględność w sądzeniu ludzi i rzeczy, dochodzi teraz do swej pełni; Czerwoni w poczuciu własnej siły, którą niestety! posiadli bezwarunkowo, druzgoczą wszelkie przeszkody, stojące na drodze do ich opłakanego i zgubnego celu. Biada tym, którzyby im się oprzeć śmieli, biada narodowi, który stał się w rękę garści zapaleńców narzędziem własnej zguby! Dlatego też obraz powolnego, ale nieustannego rozwoju stronnictwa ruchu, o ile boleścią przejmuję serce polskie, o tyle jest jednym z najciekawszych i najbardziej pouczających przykładów dziejowych. Ten obraz, ten szereg strasznych scen, burz tajemniczych, w których łamały się gdzieś w mrocznem półcieniu wiązania przyszłości polskiej, roztoczyć nam należy z kolei rzeczy przed czytelnikiem.

ROZDZIAŁ XV

Łokietek.

Komitet miejski i jego program. Zapowiedź powstania zbrojnego. Zebrania komitetu. Projekt organizacyi spisku. Komitet akademicki i jego działalność. Przysięga i składki. Reorganizacya Komitetu akademickiego. Jarosław Dąbrowski. Kółko wojskowe petersburskie. Wysyłka Dąbrowskiego do Warszawy. Panna Pelagia Zgliczyńska. Narady w Kole petersburskiem. Powtórny wyjazd Dąbrowskiego do Warszawy. Jego charakter i przezwisko „Łokietek”. Zniesienie Koła. Nowy skład Komitetu miejskiego. Spisek wojskowy. Czasopisma „Wielikorus” i „Zemlia i Wola”. Młodzież rosyjska. Agitatorzy warszawscy wśród wojska. Szkoła wojskowa w Genui. Podejrzenia. Zamach na Janczewskiego. Mierosławski opuszcza szkołę. Zaproszenie generała Wysockiego. Odrzucenie ks. Marcelego Lubomirskiego. Deputacya do Turynu. Objęcie szkoły przez Wysockiego. Przeniesienie jej do Cuneo. Dyrekcyja Białych. Reprezentacya wszystkich zaborów. Broszura „Zadanie obecnej chwili”. Program Białych. Misya Kołaczkowskiego do Paryża. Fundusz żelazny. Niechęć mieszczaństwa do Dyrekcyi i jej nieczynność. Wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Aleksander hr. Krukowski i petraktacye z nim Czerwonych. Wiadomości z Litwy, z Wilna, Grodna, Sokółki i Białostoku. Nieudana zasadzka na urzędnika intendenty. Organizacya miasta. Dąbrowski pierwszym Naczelnikiem miasta. Usiłowanie połączenia się z Komitetem akademickim. Narady deputowanych obu Komitetów. Rozwiązanie Komitetu akademickiego. Nowy, trzeci z rzędu skład Komitetu miejskiego. Pierwsze jego posiedzenie. Sprawa polska za granicą. Mowa p. Larabit, oraz lorda Russela i Palmerstona. Oznaczenie terminu powstania i jego plan. Komitet miejski trzeciego składu upada. Nowy Komitet (czwartego składu). Agaton Giller. Obrona Dąbrowskiego. Decyzya Komitetu. Porozumienie się z oficerami. Odwołanie powstania. Intrygi Dąbrowskiego i Chmielińskiego. Oświadczenie wydziałowych. Usunięcie się Majewskiego i Paszkiewicza. Nowy Komitet, piątego składu. Oburzenie Chmielińskiego. Nowe wybory. Paszkiewicz jeszcze raz wybrany. Groźba Chmielińskiego. Bronisław Szwarce. Komitet przybiera miano Centralnego narodowego. Uwagi i zakończenie.

Gdy tak, na dwóch wielkich widowniach Warszawy i Petersburga, rozgrywały się powyżej opisane sceny posępnego dramatu polskiego, sceny głośnie i jawne, współcześnie odbywała się inna akcyja, akcyja skryta, tajemnicza, pełzająca w ciemnościach, rosnąca jednak powoli ale stale w taką siłę, że miała porwać wszystko za sobą i wszystko spalić w swym płomienistym uścisku. Chcemy tu mówić o spisku tajnym, który zorganizował się na koniec po licznych, bezpłodnych usiłowaniach, w październiku 1861 r.

w dwa ciała, w t. z. Komitet miejski²⁷², i zwierzchnie nad nim Koło. Sama nazwa pierwszego z tych organizmów powstańczych, który miał się stać ojcem licznych późniejszych komitetów i rządów, wskazuje, że pierwotni jego założyciele: Chmieleński, Wereszczyński i inni, mieli jedynie na celu ogarnięcie samopas rozwijającej się organizacji dziesiętnej w mieście, że o rozszerzeniu swej władzy na prowincję zgoła nie myśleli. O prowincji zresztą nie wiele wiadano wtedy i nie bardzo się o nią troszczono. Wśród kilkumiesięcznych usiłowań stworzenia ciała zwierzchniczego, któreby jeśli nie rządziło to przynajmniej kierowało spiskiem, nie było czasu myśleć o prowincji, której większość tych ludzi, mieszczuchów z rodu lub wychowania, nie znała i sądziła, że cały kraj sam przez się będzie naśladował Warszawę.

Mówili oni wprawdzie wiele o chłopie i przekonani byli, że go potrafią darowizną gruntów porwać do powstania, ale chłopą tego znali tylko z sentymentalnych opisów w „Czytelni niedzielnej” i „Kmiotku”, albo z przedstawień teatralnych. A przytem, powtarzamy, nie było czasu na obznajmianie się ze stanem, opinią i wyobrażeniami prowincyi. Wydanie na świat Komitetu miejskiego, wydanie wśród ciężkich bólów porodu, przez długi czas wyłącznie pochłaniało ich uwagę, a później walki wewnętrzne, skryte przed okiem ogółu, niemniej przeto potężne i niekiedy tragiczne, nie dozwoliły im zajmować się prowincją. Trzeba było naprzód w mieście się umocnić, by potem wyrzucić poza jego rogatki. Wreszcie wiadano, że na prowincji ruch umysłów jest bardzo znaczny, że organizacja dziesiątek i setek rozszerza się ciągle, ogarnia wszystkie sfery, wszystkie miasta i miasteczka, organizacja jednolita co do swej formy, choć nie rządzona przez nikogo. Na razie to wystarczało i nikomu na myśl nie przyszło, by Komitet miejski mógł rościć pretensye do władzy nad prowincją.

Miał on zresztą wiele roboty u siebie i obok siebie, musiał ciężko walczyć o byt własny i nie mógł myśleć o akcji na zewnątrz. W Warszawie organizacja nie odrazu go uznała, w większości swej nie wiedziała nawet o jego istnieniu, a ta część, która wiedziała, wskazówek jego o tyle słuchała, o ile te przypadały jej do smaku. W gruncie rzeczy nie było jeszcze powodu do wydawania rozkazów; manifestacje odbywały się same przez się, częstokroć bez wiedzy i woli Komitetu; dalszego zaś rozwijania organizacji dziesiętnej nakazywać nie trzeba było, gdyż rosła ona jak na drożdżach. Za to Komitet musiał sta-

272 W broszurze zatytułowanej „Przed powstaniem styczniowem”, wyszłej we Lwowie (1894 r.), a wymierzonej przeciw autorowi niniejszej pracy, niejaki p. A. Skotnicki, na str. 94 powiada, że Komitet miejski, nosił pierwotnie nazwę „Komitetu ruchu”. Ponieważ podanie to nie znajduje potwierdzenia w żadnym ze znanych nam materiałów źródłowych, uważać je więc musimy za fałszywe.

czać nieustanne spory z Kołem, owem zwierzchniem ciałem, rodzajem Konwentu narodowego, przez nikogo jednak nie wybranego, do którego należał każdy, kto chciał i każdy chciał rządzić, rozkazywać i kierować. Niepodobna jest dzisiaj określić form ani części składowych tego luźnego, rozpluwającego się w mgłę historycznej ciała; to tylko pewna, że złożone z najniecierpliwszej młodzieży²⁷³, sprawiało straszny zamęt, nieustanne burze i zmiany w składzie Komitetu miejskiego, który okazał, przyznać mu to trzeba, wiele uporów i wiele tęgości, że w takich warunkach istniał ciągle, a nawet coś robił i zrobił.

Przedewszystkiem nakreślił program i cel swego istnienia, bo jakkolwiek ten cel był dla każdego jasny i każdemu wiadomy, przecież ludzie tej epoki lubili tworzyć programata, projekta, hasła. Program więc Komitetu miejskiego, który, dodajmy, pozostał programem wszystkich jego następców, zamykał się: w przywróceniu Polski w dawnych granicach przy pomocy rewolucji i powstania, do którego należy się przygotowywać wszystkimi siłami; z rządem zerwać wszelkie związki, nic od niego nie wymagać i nic nie przyjmować. W zakresie społecznym Komitet zapowiadał równouprawnienie wszystkich wyznań i wszystkich narodowości, wchodzących w skład przyszłego państwa polskiego, i wszelkich klas społecznych; uwłaszczenie włościan na koniec, jako jeden z najpierwszych czynów przyszłego rządu polskiego. Dla osiągnięcia tego celu, tego oswobodzenia ojczyzny, Komitet uznawał wszelkie środki za dobre, a nawet w ostatecznych razach kłamstwo i terroryzm²⁷⁴. Przyjęcie tej jezuickiej zasady, uznanie głośne terroryzmu, jako jednego ze środków działania, Komitet zawdzięcza Chmieleńskiemu, który, zaprawiony na bombastycznych utworach Mierosławskiego, mówił ciągle o konieczności wyróżnienia szlachty i wymordowania Moskali. W tym względzie znajdował on poparcie u Koła, u różnych domorosłych Fouquier - Tinvillów, u różnych Szachowskich-Maratów, Sokulskich-Robespierrow i im podobnej młodzieży, która sądziła, że tylko tą drogą można odrodzić społeczeństwo polskie, uczynić je zdolnym do odzyskania wolności i niepodległości upragnionej.

Prasa tajna w myśl tego programu ciągle się odzywała i rozwijała go w szczegółach. „Strażnica”²⁷⁵ wołała, że „z moskiewskim najazdem niema pojednania, bo nie może go być z krzywdzicielami prawdy i sprawiedliwości, z mordercami i zbrojcami narodów. Walka więc, walka aż do zwycięstwa! W jakikolwiek sposób walka ta nadal odbywać się będzie, czy to manifestacją, czy podkopywaniem siły niegodziwych rządów, czy pracą nad wzmocnieniem narodu przez oświatę, uobywatelenie ludu i poprawę jego bytu, czy wreszcie

273 A. Giller, *Historia powst. narodu pols.* I, 68.

274 N. Berg, *Zapiski* II, 245.

275 Nr. 6 z dnia 8 kwietnia 1862 r.

zbrojnym wystąpieniem, unikać jej nie możemy, a wytrwać aż do końca musimy, a to wytrwanie nie słabnąć w niepowodzeniu, nie upadając w klęsce, nie zrażając się ani trudnościami, ani odstępcami, których nigdy nie brak w tak trudnym jak nasze położeniu, wymagającym ludzi wielkiej odwagi, rozumu, ludzi wielkiej miłości i bez skazy. Walka więc jest naszym zadaniem, walka nieuniknioną koniecznością. Kto by się od niej chciał wyłamywać, nie godzien imienia Polaka, nie godzien imienia syna świętej i cierpiącej ojczyzny naszej!...” Samo zaś powstanie pismo to w tej chwili odkładało na czas nieokreślony. „...Zbrojne powstanie prędzej czy później koniecznie wybuchnąć musi”. „Zbrojne powstanie, jako ostateczna już z najazdem rozprawa, wymaga dobrego przygotowania, wielkiej siły, większej rozwagi, a największej odwagi; dlatego też, gdy nagromadzi się tak znaczna ilość materiałów palnych, że najmniejsza isierka powszechnym je ogarnie płomieniem, powstanie kończy się zwycięstwem, to jest gdy nie naznacza się z góry dnia wystąpienia, ale gdy ono jest następstwem rewolucyjnych działań, które siłę do powstania wyrabiają, a jego potrzebę uobecniają w myśli, sercu i położeniu, jeżeli nie każdego, to przynajmniej większości mieszkańców kraju. Działajmy więc i wyrabiamy konieczną nam siłę, ale w działaniu tem nie zapominajmy o zarzewiu wolności, którego jak najwięcej rzucać należy pomiędzy samych Rosyan.

Niechaj u nich jak najwięcej wzmaga się fermentacya, niechaj coraz lepiej pojmują potrzebę wolności i solidarnego jednoczesnego z Polską wystąpienia”. „Umiejmyż więc czekać w pogotowiu, aby one (wypadki w Europie) nie zastały nas nieprzygotowanych, ale też zarazem umiejmy powstrzymać niecierpliwość i nie wystąpić przedwcześnie, gdyż wystąpienie podobne zakończyłoby się klęską, a to tem jeszcze zgubniejszą, że moglibyśmy być omdleni, bez siły i pozostać bezczynni, gdy chmury burzliwe zaciągną nad całym horyzontem Europy, lub też gdy Rosyanie zaczną dopominać się o należne im prawa”. „Pobudka” trzymała się tego samego programu. Rozwijając zasadę Komitetu miejskiego, by z rządem zerwać wszelkie związki, pisała²⁷⁶: „niczego od Moskwy nie potrzebujemy i niczego się też nie spodziewamy. Wiemy dobrze, iż na dnie każdej niby łaski, niesionej nam przez podłe zbiry lub nikczemne renegaty (sic), leży trucizna moralna, którą chcianoby skwasić w sercach naszych wszelkie szlachetne uczucie i uspić czujność narodu. Ale myślą się nieprzyjaciele, bo naród ciągle stoi na straży swego sumienia i nie da się obalamucić pozorami żadnych carskich łask czy obietnic; lecz mając ciągle swój święty i jedyny cel przed oczami, z siłą i wiarą w siebie będzie postępował po raz obranej drodze, na której żelazna wytrwałość nasza podkopie słabnące co dzień siły Moskwy, a odwaga zapewni nam zwycięstwo”.

276 Nr. z dnia 3 marca 1862 r.

Pod tym względem więc przynajmniej Komitet znalazł energicznych i zapalonych propagatorów swego programu, który zresztą mniej więcej wszystkie stronnictwa przyjmowały z małymi bardzo zmianami. Komitet miejski, jakśmy rzekli, pod naciskiem Koła, w którym przeważną rolę odgrywał jeden z braci Frankowskich, Leon imieniem²⁷⁷, nader często skład swój zmieniał, co oczywiście nigdy nie odbywało się bez oporu, sporów i burz, ale nazwiska wchodzących i wychodzących co chwila są albo nieznane, albo nie przedstawiają żadnego dla historii interesu, nic nie mówią.

Jeden tylko Chmieleński pozostawał w nim ciągle, nadawał mu pewien charakter i wrzącym falom Koła potrafił się opierać i imponować. Komitet, niekiedy z członkami Koła, niekiedy sam, zbierał się zwykle u Leona Królikowskiego, zamieszkałego w pałacu Zamoyskich, brata głośnego aktora, dyrektora żeglugi parowej na Wiśle, gorliwego i czynnego członka organizacji, niegdyś emigranta i czerwonego patryoty²⁷⁸, albo też u jego brata Kazimierza. Zgromadzeniom u tego ostatniego, odbywającym się na Pradze, w domku w głębi ogrodu, gdzie później mieścił się głośny zakład gastronomiczny „pod Rakiem”, nadawała pewien urok i wdzięk towarzyski młoda i śliczna żona Królikowskiego, oddana całą duszą i całym sercem sprawie, jak to wtedy mówiono, i burzliwych uczestników zebrania wstrzymywała swą obecnością od wybuchów gwałtownych. Na tych to sesjach postanowiono, dla ostatecznego ogarnięcia organizacji, rosnącej ciągle liczebnie, zaprowadzić w niej pewien porządek hierarchiczny, pewne władze, które już przez to samo, że utworzone przez Komitet miejski, byłyby mu do niejakiemu stopnia uległe, czyniły go panem sytuacji i anarchiczną supremacją Koła robiły bezsilną. W tym celu zamierzono ustanowić urząd naczelnika miasta, z atrybucjami bardzo szerokimi, któremu miała podlegać cała organizacja miejska. Władzę swoją miał on wykonywać za pośrednictwem t. z. wydziałowych, t. j. naczelników wydziałów, na które miasto podzielono²⁷⁹. Projekt ten, jakkolwiek dość w szczegółach opracowany i popierany przez Chmieleńskiego, który przy jego pomocy zamierzał ośwładnąć zupełnie spiskiem i stanąć na jego czele, w tej chwili jednak, w pierwszych tygodniach 1862 r. nie mógł wejść w wykonanie z powodu, że inna, niemniej ważna dla egzystencji Komitetu okoliczność całkiem go pochłonęła i zmusiła do nowej, bardzo upartej walki o życie.

Okolicznością tą było istnienie obok Komitetu miejskiego i niezależnie od niego innego ciała, innej organizacji, która także rościła sobie prawo do kierownictwa, do ośwładnięcia ruchem. Mówimy tu o tak zwanym Komite-

277 Giller, *Historia* II, 4.

278 N. Berg, *Zapiski*, II, 245.

279 Loc. cit.

cie akademickim, dzieku tych niezliczonych stowarzyszeń, jakie od kilku lat tworzyły się wśród młodzieży Akademii medycznej, szkoły sztuk pięknych i szkoły rolniczej w Marymoncie. Ulegając najrozlicznieszym zmianom, których szczegółowe dzieje pokryte są tajemnicą i mało przedstawiają prawdziwie historycznego interesu, trwał on jednak ciągle, i w tej chwili właśnie, gdy Komitet miejski okazywał pretensje do rządzenia całym ruchem, Komitet akademicki składał się z trzech członków głównych i mnóstwa drugorzędnych, którzy podobnie jak Koło miejskie, wywoływali rozmaite burze w jego łonie, i właściwie kierowali nim jak chcieli. Do owych głównych członków należał: Władysław Daniłowski, student Akademii medycznej, zapalony, gorący wielbiciel Mierosławskiego²⁸⁰, utrzymujący z nim stałe stosunki tajne i zachowujący się wyłącznie wedle jego wskazówek; Zdzisław Janczewski, syn rejenta z Płocka, także student Akademii, który z czasem miał brzydką rolę odegrać w powstaniu zbrojnym, wreszcie Maksymilian Unszlicht, dusza młoda, gorąca i czysta, bodaj czy w tej trójcy nie najszlachetniejsza. Komitet ten, nie dbając wcale o inne stowarzyszenia, a zwłaszcza o Komitet miejski, przy pomocy licznej młodzieży szkolnej i akademickiej działał na swoją rękę i szerzył organizacją dziesiętną po mieście i prowincyi bardzo gorliwie.

Pod wpływem znanych nam już braci Frankowskich, którzy wskutek swej niczem nieograniczonej ofiarności, wskutek swych skrajnie czerwonych tendencji, odwagi na wszystko gotowej, odgrywali w tej porze rolę bardzo wpływową, postanowiono dla zapobieżenia możliwości zdrady, dla nadania wreszcie większej spoistości tej organizacji, zaprowadzić w niej przysięgę na wierność ojczyźnie i spiskowi²⁸¹. Odtąd każdy wchodzący do organizacji musiał przysięgać. Stanisław Frankowski, brat Leona, dusza pełna mrocznej poezyi, rozkochana w romantyczności średniowiecznej, otoczył tę przysięgę dekoracją, która dziś wydaje nam się teatralną i śmieszną, ale dla ówczesnych ludzi, nieco sentymentalnych, urobionych na wzorach romantycznych, dla umysłów wreszcie prostych, miała urok niepospolity, wabiła jakąś tajemniczością, przypominała wolnomularzy, Kordyanowe schadzki w podziemiach Świętojańskiego kościoła. Frankowski, który przez stosunki rodzinne miał w pałacu Potockich na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Czystej bezpłatny lokal, urządził go na ten cel odpowiednio. Sam nie mieszkał tu wcale, nawet nigdy się nie pokazywał²⁸², dla niezwrócenia uwagi policyi. Lokal ów składał się z dwóch pokoików na pierwszym piętrze, w oficynie od strony ulicy Czystej, w owej porze dość cichej i nie ludnej. Jedno okno wychodziło na ogród, drugie owalne, stosunkowo małe, dość wysoko umieszczono-

280 M. P. Ustimowicz, *Zagowory i pokuszenia*, 82.

281 Giller, *Historia I*, 64.

282 N. Berg, *loc. cit.* II, 250.

ne i w pewnym wgłębieniu, oddzielonem od rzeczonyj ulicy wysoką kratą żelazną, zabezpieczało od niedyskretnych podglądań²⁸³. Otóż w tem cichem, jakby ukrytem mieszkaniu, odbywała się przysięga nowo wstępujących do organizacyi. Zwykle czekano, aż ich się zbierze większa liczba, od pięciu do dziesięciu i wówczas wprowadzano ich do drugiego pokoju, gdzie okiennice zamknięte nie przepuszczały wcale światła dziennego. Pokój ten był całkiem pusty; na środku tylko znajdował się podłużny stół, okryty suknem czarnem, a na nim krucyfiks i dwie obok niego zapalone świece. Cała ta dekoracya, według świadectw uczestników²⁸⁴, ten pokój pusty i ciemny, to migotliwe światło dwóch świec, rzucających blaski na ukrzyżowanego Chrystusa, zgęszczających po kątach wielkie cienie, półcisza senna panująca tutaj, uroczysty nastrój wreszcie, robiły nadzwyczaj silne wrażenie, zwłaszcza na umysły proste sfer rzemieślniczych i ludowych miejskich, które stanowiły główne jądro organizacyi miejskiej.

Każdy wchodzący tutaj zdawał się być przygnieciony wielkością i majestatem tajemniczej zagadki, od której zależało odbudowanie ukochanej ojczyzny, polskiej, to najśłodsze ich marzenie, ta zapowiedź zupełnej szczęśliwości ziemskiej. Jakiś młody człowiek, nieznany nowoprzybyłym, o którym jednak szeptano sobie na ucho, że nazywa się Wołowskim²⁸⁵ i jest hrabią, na pół ukryty w cieniu tego mrocznego i posępnego pokoju, z twarzą bardzo uroczystą i głosem pełnym powagi, wygłaszał do zebranych mowę, dyszącą tym gorącym a zarazem sentymentalnym patryotyzmem, który nadaje tak wyłączny i jedyny w dziejach charakter tej epoce. Mówił, że zebrani od dnia dzisiejszego przyjmują na siebie służbę ojczyźnie i na pierwsze wezwanie winni się stawić tam, gdzie im każą, rzucą dom, rodzinę, żonę, ojca i matkę, a oddadzą się tylko ojczyźnie; nie wolno im pytać się i dowiadywać, kto stoi na czele związku; wszystko co usłyszą zachowają w tajemnicy, nie powiedzą ani rodzicom, ani żonie, ani dzieciom, ani znajomym, nikomu²⁸⁶. Po tej przemowie, której słuchano w głębokiem milczeniu, przystępowano do przysięgi. Wszyscy obecni klękali dokoła stołu i z palcami w górę podniesionymi, z wzrokiem wlepionym w krucyfiks powtarzali rotę przysięgi: „przysięgamy Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej jednemu i nieszczęśliwej ojczyźnie naszej; przysięgamy na imię Kościuszki, Kilińskiego i męczenników polskich dołożyć wszelkich starań i usilności, z narażeniem życia i mienia ku podźwignięciu i odbudowaniu Polski w granicach pierwszego jej rozbioru.

283 Później pod tem oknem (istnieje ono do dziś dnia) wybito drzwi na ulicę i utworzono sklep, zajmowany przez tapicera Wrotnowskiego.

284 Z podań ustnych.

285 N. Berg, loc. cit.

286 Loc. cit.

A jeřlibyřmy przysięę tę złamać mieli lub zdradzić, niech dusze nasze przekłęte bęą i imiona nasze, jako zdrajców, przechodzą od pokolenia do pokolenia”²⁸⁷.

W ten sposób Komitet akademicki, złożony z ludzi czynniejszych i energicznych niż Komitet miejski, który wyczerpał swe siły w walce z anarchizmem i burzliwym Kołem, nadawał organizacyi pewną tęgość i spójność i wiązał ją ze sobą niemi sprzysiężenia. Organizacya ta, dzięki niezmordowanej działalności Frankowskich i im podobnych, rozeszła się nadzwyczajnie i nie tylko w Warszawie, ale w całym kraju. To też akademicy głośno się chwalili, że posiadają 175.000 sprzysiężonych²⁸⁸, co oczywiście było grubą przesadą, gdyż, jak późniejsze wypadki przekonały, liczba tychże nawet w najlepszych czasach nie przechodziła dwudziestu pięciu tysięcy²⁸⁹. Ale takie twierdzenie, którego nikt nie mógł sprawdzić, lecz które miało za sobą pozory autentyczności, nadawało akademikom pewne znaczenie i siłę. W ogóle brali się oni do rzeczy umiejętnie, słuchając wskazówek takiego wytrawnego mistrza spisku, jakim był Mierosławski. Dla uzyskania funduszków koniecznych na różne wydatki, na druk „Sternika”, który miał być ich organem odezw, wycieczek na prowincyą dla rozszerzania organizacyi i t. p. nałożyli oni na sprzysiężonych podatek, wynoszący po jednemu złotemu na miesiąc. Podatek ten wnoszono albo miesięcznie, albo co dwa tygodnie (na „fercentag”) po gr. 15²⁹⁰. Wszystko to nadawało silną spójność i znaczenie akademikom, tak że na nich zaczęto zwracać uwagę i liczyć się z nimi, a nawet wśród emigracyi postanowiono ich zużytkować odpowiednio do swych zamiarów i tendencyi.

Znajdował się wówczas wśród studentów Akademii niejaki Włodzimierz Benedykt Milowicz²⁹¹, niegdyś student uniwersytetu kijowskiego, co w kołach rewolucyjnych nadawało niemałe znaczenie, dawniej członek związku młodzieży w tymże uniwersytecie, noszącego nazwę „Trojnickiego”, człowiek młody, bardzo zdolny i bardzo gorący, który pośrednio, czy bezpośrednio stał się emisaryuszem jenerała Wysockiego i od niego odbierał wskazówki i informacje.

Ponieważ Komitet akademicki był prostem i częstokroć ślepem narzędziem w ręku Mierosławskiego, i przytem przez swą energią i czynność zdawał się być jedynem ciałem, do którego przyszłość ruchu należała, więc Wysocki, współzawodnik „jenerała Ludwika”, postarał się, by Milowicz koniecz-

287 Loc. cit.

288 Loc. cit.

289 Zeznania Aweydy III, 143.

290 Loc. cit.

291 Ustimowicz, Zagowory, 84, zowie go błędnie Milewskim.

nie wszedł do Komitetu. Jakoż w marcu, dzięki zabiegom Milowicza i jego stronników, udało im się zmienić skład Komitetu. Wszedł więc sam Milowicz i z jego partyi dwaj jeszcze inni, a mianowicie: Stanisław Maleszewski, również niegdyś student uniwersytetu kijowskiego i Wincenty Kamiński, tak, że teraz Komitet z dwoma pozostałymi z dawnego składu, t. j. Daniłowskim i Janczewskim (Unszlicht został przyaresztowany i skazany do wojska) tworzył quintumvirat. W tym składzie Komitet prowadził dalej swe czynności z niemniejszą jak dotąd energią. Milowicz, umysł bystry, czytany, systematyczny, powziął podobnie jak Chmieleński myśl wprowadzenia pewnej hierarchicznej organizacyi do sprzysiężenia. W tym celu ustanowiono nowe śród niego ogniwo, to jest tak zwanych tysiączników, czyli inaczej okręgowych, którzy mieli pod sobą dziesięciu setników, czyli ogółem tysiąc spiskowych. Na tysiączników przeznaczano wyłącznie młodzież ze sfery inteligencji, a więc przeważnie akademików²⁹².

Przysięgę dalej prowadzono, wciągano do spisku coraz większe koła, zapominając o tem, że im więcej będzie sprzysiężonych, tem trudnijszem się stanie kierowanie nimi. Gdy wkrótce policja wykryła schadzki w mieszkaniu Frankowskiego, postanowiono odbieranie przysięgi gdzieindziej uskutecznić.

Na ten cel chętnie ofiarował swe mieszkanie na Krzywem Kole, w dzielnicy staromiejskiej, niejaki Ksawery Oborski, subiekt księgarski, Sybirak²⁹³. W trzech pokoikach, zupełnie pustych, w których, prócz ubożego łóżka samego właściciela mieszkania i niezbędnego stołu z krucyfiksem, nic więcej nie było, w okolicy miasta ukrytej, zamieszkałej przez ludność ubogą, odbywać się poczęła przysięga na wielką skalę. Codzień wieczorem zbierało się po kilkudziesięciu ludzi, przeważnie z klasy rzemieślniczej, co naprzód zwróciło uwagę okolicznych mieszkańców, a potem policji. Weszła więc ona pewnej nocy do mieszkania Oborskiego, wyciągnęła go z łóżka i zabrała do cytadeli. Te jednak najścia policji w niczem prawie nie szkodziły propagandzie i rozszerzeniu się spisku. Jeszcze przed aresztowaniem Oborskiego, liczba składających przysięgę tak stale i znacznie wzrastała, że wielokrotnie nie mogli się oni pomieścić w trzech szczupłych pokoikach na Krzywem Kole. Komitet więc postanowił inaczej tę rzecz urządzić i w tym celu pozwolił dziesiętnikom i setnikom przyjmować od nowo zwerbowanych przysięgę. Odbierano ją więc we Frascatti, w domku w głębi przepysznego parku, całkiem w ukryciu przed najbystrzejszym okiem policji; oraz w prywatnych mieszkaniach, jak np. u szewca Piotra Dąbrowskiego na Aleksandryi, u stolarza Mikuszewskiego na Lesznie, u stolarza Walentego Grudzińskiego także na Lesznie, u sto-

292 N. Berg Zapiski II, 253.

293 Loc. cit. 254.

larza Donata Czyżewskiego i u szewca Michała Liesemana na Podwalu²⁹⁴. Prócz tego Komitet, dzięki energicznej swej propagandzie, z łatwością potrafił sobie zyskać niższe duchowieństwo klasztorne wśród licznych zakonów warszawskich i tym sposobem dla uniknięcia wszelkiego niebezpieczeństwa i nienarażania nikogo, zwłaszcza, że aresztowanie Oborskiego pewien popłoch rzuciło, już w końcu marca najczęściej odbierano przysięgę po kościołach, co na umysły proste i wierzące większy wpływ wywierało i większe nadawało znaczenie składanej klątwie.

Powoli z Warszawy przysięga przeniosła się na prowincję, obejmowała teraz sobą bardzo szerokie kręgi, sięgała na Litwę i Ruś nawet²⁹⁵.

Ta energiczna, czynna działalność akademików, była oczywiście solą w oku Komitetowi miejskiemu i wyraźnie groziła owładnięciem całego ruchu i wysadzeniem z siodła wszystkich Chmielińskich, Wereszczyńskich i Głowackich. Ale Komitet w ciągłej walce z anarchicznym Kołem, przeciw któremu zmuszony był nieustannie się opędać i bronić, nie mógł się zdobyć na żaden krok stanowczy; i dla wszystkich ludzi, wtajemniczonych w stan rzeczy i umiających na nie patrzeć, widocznem było, że wcześniej czy później, ale bądź co bądź niewątpliwie musi on abdykować na rzecz akademików. Na szczęście dla niego, bo dla kraju i dla jego losów obojętnem było, kto mu grób kopie, zjawił się w tej dobie w Warszawie człowiek obdarzony od natury niezwykłą energią, stanowczością i szybkością w działaniu. On to ocalił Komitet miejski i nadał mu tak szaloną siłę pędu, że zmiatał i druzgotał wszystko przed sobą i jego biegowi w nieznaną dziedzinę przeznaczeń nikt i nic oprzeć się nie mogło. Tym człowiekiem, który tak decydujący wpływ wywarł na losy komitetu miejskiego, na losy spisku, a co najważniejsza na losy Polski, był znany nam ze swej działalności rewolucyjnej w Petersburgu, Jarosław Dąbrowski.

Był to jeszcze w tej porze bardzo młody człowiek, liczący zaledwie 25-ty rok życia (urodzony w 1837 roku w Żytomierzu²⁹⁶), a jednakże miał już za sobą całą przeszłość pełną przygód i twardych kolei.

Oddany przez matkę Zofię z Falkenhagenów w dziesiątym roku życia do korpusu kadetów do Brześcia Litewskiego, stąd do szkoły artyleryjskiej w Petersburgu, wysłany został jako porucznik na Kaukaz, gdzie w strasznej wojnie wytopienia, jaką tam prowadzono, urobił się na bardzo zdolnego oficera. Z ciężkiej tej szkoły życia, przez którą tyle młodzieży polskiej przechodziło, szkoły znaczonej krwią, wyniósł order św. Stanisława, stopień porucznika artylerii i opinią świetnego oficera. Dzięki tej opinii, po pięcioletnim pobycie na

294 Loc. cit.

295 Loc. cit.

296 Włodzimierz Rożałowski, Żywot generała Jarosława Dąbrowskiego (Lwów 1878).

Kaukazie, pozwolono mu wstąpić do akademii sztabu jeneralnego w Petersburgu, jednego z najlepszych bez wątpienia zakładów tego rodzaju w Europie. Tutaj to, w tej szkole, w której podówczas bardzo wielu znajdowało się Polaków, Dąbrowski zawiązał liczne stosunki z młodzieżą polską, w celu obudzenia w niej drzemiących uczuć patryotycznych. W jego mieszkaniu w domu Kułagina na ulicy Oficerskiej, wynajętym na wspólną z kolegami: Michałem Heidenreichem, który miał w parę lat później stać się postacią historyczną pod pseudonimem Kruka, Ferdynandem Waraskim, niegdyś oficerem ułanów pułku Nowomirgorodzkiego i Hieronimem Staniewiczem²⁹⁷, stale co środę schodzili się uczniowie trzech akademii wojskowych: artyleryjskiej, inżynierskiej i sztabu jeneralnego, oraz studenci uniwersytetu, instytutów: technologicznego, komunikacji i z akademii leśnictwa, rozprawiali, czytali, karmili się tym podniosłym acz niezdrowym duchem patryotycznym, który przenika całą literaturę emigracyjną, i tworzyli zawiązek przyszłego komitetu petersburskiego. Powoli ten zawiązek rozszerzając się, wciągał w siebie i młodzież rosyjską, która pragnęła zrzucić ucisk samowładzy. Marzono, że gdy kiedyś tam, w czasie dalekim jeszcze bardzo, wybuchnie powstanie w Polsce, wybuchnie ono także i w Rosyi, a nadewszystko w wojsku, i tym sposobem rząd despotyczny upaść musi stanowczo; ludozono się słodkimi nadziejami, wierzono w swe siły, w moc idei wolności i swobody ludów.

Zgromadzenia te zrazu, do pierwszych demonstracji warszawskich, nosiły charakter spokojnych i chłodnych debatów w kwestyach historii i literatury ojczystej²⁹⁸, ale powoli, palący prąd gorączki warszawskiej i tu się dawał odczuć; umysły się burzyły, serca rwały ku tej Polsce, która tam, daleko, w ojczystej Warszawie, z oparów krwi kwietniowej podnosiła się niezłamana i święta i żywa. Pomimo oddziaływania kilku spokojniejszych i lepiej znających potęgę państwową Rosyi, jak: Sierakowski, Waraski, Dąbrowski, wreszcie ogół tych zgromadzeń na ulicy Oficerskiej przechylać się począł ku działaniu rewolucyjnemu, i ostatecznie większa część członków oświadczyła się za podtrzymaniem ruchu. O powstaniu zbrojnym wszelako nikt jeszcze nie mówił. Większość schodzących się do mieszkania Dąbrowskiego, jako ludzie wojskowi w żaden sposób pojąć nie mogli, jak można myśleć o wojnie z armią regularną, liczną, karną, wyćwiczoną i zaopatrzoną we wszystko. Jeżeli niekiedy myśleli i mówili o powstaniu, to wyobrażali je sobie tylko w jakichś szczególnie przyjaznych okolicznościach, w czasie jakiejś wielkiej wojny, którą Rosya była zmuszona prowadzić, a przynajmniej w chwili rewolucji w tejsze

297 „Kółko wojskowych w Petersburgu od jesieni 1859 r. do wiosny 1862 r.” Rękopism, skreślony przez jednego z członków tego koła, znajdujący się w zbiorach autora.

298 Loc. cit.

Rosyi. Powstanie więc odkładali na czas nieograniczony, i jeżeli oświadczali się za poparciem ruchu warszawskiego, to tylko dlatego, że on podtrzymywał w masach uczucia patryotyczne, że powstawała jakaś organizacja, dzięki której przyszła wielka wojna nie zastanie już Polski tak bezsilną i rozbitą, jak ją zastała kampania krymska. To przekonanie żywili wszyscy, począwszy od Sierakowskiego i Dąbrowskiego, a skończywszy na najmłodszym studencie technologii lub uniwersytetu.

Wszelako to koło oficerskie petersburskie, od dawna oddalone od kraju, w większości swojej tułające się przez długie lata po skałach i wąwozach Kaukazu, lub po pustyniach Orenburga, z wielu względów nie pojmowało ruchu warszawskiego i nie mogło sobie o nim wyrobić pojęcia.

Niedokładne zawsze i mętne wiadomości, jakie do nich dochodziły z Warszawy, musiały obudzić chęć poznania istotnego stanu rzeczy, zwłaszcza teraz, gdy postanowiono ten ruch popierać usilnie, gdyż należało wiedzieć, co i kogo się ma popierać. W tym celu, na jednym z posiedzeń w ostatnich dniach grudnia 1861 roku, które się odbyło nie u Dąbrowskiego ale u oficera z akademii artyleryjskiej, Kaplińskiego, zapadła uchwała, ażeby wysłać kóregokolwiek ze stowarzyszonych do Warszawy, dla zbadania na miejscu, czem właściwie jest ten ruch polski, jaki ma charakter, do czego dąży, kto nim kieruje i jakie ma siły i nadzieje. Na koszt tej podróży każdy z obecnych złożył cztery ruble²⁹⁹. Misi tej podjął się Jarosław Dąbrowski, co tem łatwiej mu przyszło, że przypadające w tej porze wakacje świąteczne na Boże Narodzenie dawały mu zupełną na parę tygodni swobodę. Zaopatrzony w list rekomendacyjny od Sierakowskiego do Karola Majewskiego, sam zresztą nie bez pewnych stosunków w Warszawie, jako krewny znakomitego pisarza i wysokiego urzędnika w Komisji oświecenia, Józefa Korzeniowskiego³⁰⁰, puścił się w tę podróż, która na jego losy i losy kraju miała mieć przeważne i zgubne niestety! skutki.

W Warszawie zawiązał stosunki z całym stronnictwem ruchu, ze wszystkimi jego odcieniami, słuchał ich gorących mów i widząc wyraźne ich dążności powstańcze, zrazu zachowywał się bardzo chłodno³⁰¹, a nawet tu i owdzie mówił ze znajomością rzeczy człowieka fachowego, że nadzieje i zamiary, jakie przed nim rozwijano, nie mają żadnych szans powodzenia. Wskutek tego nie zrobił wrażenia na różnych zapaleńcach w guście Chmieleńskiego, Wereszczyńskiego lub Frankowskich, nawzajem wynosząc o nich jak najgorszą opinią i nazywając ich bez ogródki „szalonemi pałkami”.

299 N. Gogel. Josafat Ogryzko, 78. Zeznanie Mikołaja Waśkowskiego.

300 A. Giller, *Historia* II, 93.

301 „Kółko wojskowych w Petersburgu” (Rkpsm).

Ale to, czego nie mogli zrobić najbardziej płomienne mowy spiskowców warszawskich, zrobiły piękne oczy kobiety. W czasie swego pobytu zapoznał się z niejaką panną Pelagią Zgliczyńską, namiętną, czerwoną patryotką, jakimi były prawie wszystkie kobiety tej epoki. Panna była ładna, pełna wdzięku i niezwykle od razu urok wywarła na tego młodego chłopca, który, dotąd oddany nauce i wojnie, nie miał czasu robić znajomości z kobietami i nie znał ich wcale. Rozmawiał się więc w pięknych oczach panny i pod jej wpływem, pod potokiem słów, płynących z ust kochanych, od razu stał się najgorętszym, najczerwieńszym, najskrajniejszym patryotą, widzącym jedyny ratunek ojczyzny w natychmiastowym powstaniu zbrojnym³⁰². Wszelkie wątpliwości, wszelkie chłodne obliczanie szans zniknęło z jego umysłu; opanowała nim, odurzyła go jak wyziew niezdrowy, miłość do kobiety i wszystko oblała jakimś światłem, całkiem inaczej rzeczy przedstawiającem.

W takim usposobieniu duszy i serca, po dwutygodniowym pobycie w Warszawie, powrócił do Petersburga. Relacja, jaką złożył o stanie Warszawy swym mandataryuszom, nosiła na sobie znamię tej gorączki, tych uniesień namiętnych, tej ślepoty nieprzejranej na fakta najoczywistsze, jaką tchnęła nań panna Zgliczyńska i jaką rozżarzył palący bruk stolicy. Sprawozdanie wygłoszone z właściwą Dąbrowskiemu siłą i energią słowa, w którym zdawał się brzmieć głuchy pomruk gotującej się do wybuchu Warszawy, wywarło rozmaite na słuchaczów wrażenie. Jedni, starsi, chłodniejsi, przekonani o wielkiej w stosunku do Polski potędze Rosyi, nie dali się porwać potokowi uludnych nadziei, jakie poseł rozwijał przed nimi; inni, młodszy, entuzyaści i szaleńcy, nie znający kraju i Rosyi, wierzący w moc idei i w moc ludów, od razu rozgorzeli wielkim płomieniem i wołali, by gotować się do możliwie prędkiego powstania.

Zgromadzenia na ulicy Oficerskiej wskutek nieustannych sporów, jakie toczono, bardzo gorzkich i namiętnych, jak wszelkie spory polityczne, stały się nadzwyczaj burzliwymi i głośnymi, przybrały charakter dawnych sejmików, w których nikt nikomu ustąpić nie chciał, i do żadnych nie doprowadziły rezultatów. Wobec tego niektórzy, pragnąc i czując potrzebę, by Koło petersburskie przybrało jakąś postawę zdecydowaną wobec wypadków warszawskich, do czego dojść nie można było przy beładności dyskusji, zaproponowali wybór prezesa, któryby jak w parlamentach miał władzę dyscyplinarną w zgromadzeniu. Wybór przy pomocy zwiniętych kartek papieru padł na Ferdynanda Waraskiego³⁰³, który tyle sprawił, że obrady odbywały się ciszej i porządniej, co było koniecznem już z tego względu, że policja poczęła zwracać uwagę na zbieranie się młodzieży wojskowej i niewojskowej na ulicy Oficerskiej, ale

302 Loc. cit.

303 Loc. cit.

mimo to wszystko do stałej i zdecydowanej uchwały przyjść nie mogło. Jedni domagali się, by ruch popierać wszelkimi siłami i dążyć do powstania; inni chcieli go powstrzymać, zupełnie nawet stłumić, jako wyraźnie grożący strasz-
nem nieszczęściem i straszną klęską ojczyźnie. Wśród tych dyskusyi zawsze namiętnych, Kółko petersburskie zaczęło się powoli rozbić; obudzone namiętności polityczne rodziły wzajemne niechęci i nienawiści; wielu studentów uniwersytetu, zachęconych odezwaniami Mierosławskiego, puściło się do szkoły wojskowej polskiej w Genui; wielu oficerów sztabu jeneralnego kończyło swe egzamina i wyjeżdżało tam, dokąd ich władza wojskowa przeznaczała.

Do rzędu tych ostatnich należał i Dąbrowski. Ukończywszy świetnie swe egzamina, odkomenderowany został do Warszawy, nie bez usilnych o to zabiegów ze swej strony, gdyż ciągnęły go tam, nad Wisłę, piękne oczy ukochanej i wir gotującej się burzy. W randze adjutanta sztabu jeneralnego szóstej dywizyi piechoty, konsystującej w stolicy polskiej i jej okolicach, puścił się w drogę.

W Warszawie stanął w dniu 6 lutego 1862 r. i zamieszkał w hotelu Saskim pod Nr. 9³⁰⁴, skąd później przeniósł się na Nalewki i stale się ulokował w domu Charczewskiej (Nr. 2256). Tu oczywiście przedewszystkiem rzucił się w wir rewolucyjny, w zawieranie znajomości z różnymi koryfeuszami spisku, i o ile za pierwszą swoją bytnością nie potrafił na nich wyrzucić żadnego wrażenia, teraz w jego postawie energicznej, w płomienistych słowach, w projektach jaskrawo rewolucyjnych i pełnych namiętności, spostrzegali siłę, z którą liczyć się trzeba było, a wielu widziało w Dąbrowskim przyszłego dyktatora powstania. Wkrótce jego figurka mała, szczupła, drobna, ale niezmiernie ruchliwa, przybrana w mundur adjutancki, znaną była wszystkim spiskowcom wielkomiejskim, i z właściwą Warszawiakom bystrością w odgadywaniu charakterów ludzkich i określaniu ich odpowiedniemi, przewano go „Łokietkiem”, i ta nazwa została mu na zawsze, wielu go tylko pod nią znało, nie wiedząc, jakie właściwie miano nosi ten młody oficer, ruchliwy i czynny. Ale jeżeli przezwisko to w sam raz malowało fizyczną stronę Dąbrowskiego, nie mniej trafnie odpowiadało ono jego charakterowi i umysłowi. Jak ów historyczny, mały ciałem, ale wielki duszą król polski, który rozbitą ojczyznę skupił i nadał jej taką tęgość, że odtąd rosła szeroko, a wszystko to uczynił wśród mnóstwa przeciwności, jedynie niezłomną, nieugiętą wolą i siłą swego charakteru, tak samo i nowy warszawski Łokietek, o całe pięćset lat późniejszy od Piastowicza średniowiecznego, miał w sobie ogromny zasób sił i żelazną tężyznę woli. W jego drobnej ale zręcznej postaci, w jego ruchach gorączkowych i jakby nerwowych,

304 N. Berg, Zapiski II, 257.

przebijają się natura czynna i energiczna. Jasny, prawie konopiasty blondyn, o dużych, chłodnych, stalowego koloru oczach, niewielkich wąsach, wargach grubych i wydatnych, mówił całą swą twarzą o wielkiej stanowczości, sile i bezwzględności charakteru.

Takie też wrażenie na wszystkich robił i mimo woli wszyscy się przed nim uginali³⁰⁵; przytem spostrzeżono wkrótce, że jest to człowiek, który jak sobie raz co postanowił i to postanowienie swoje uznał za dobre, to musi je wykonać, choćby mu wszyscy stawali oporem. Spotykając też taki opór tu i ówdzie, Dąbrowski lubiał chodzić pojedynkiem, działać na własną rękę, nie pytając się nikogo i nie radząc, znajdując chyba odpowiedzialność tylko przed własnym sumieniem³⁰⁶. Jak w wielu chorych głowach tej epoki, duszach przez niewolę zepsutych i wypaczonych, kiełkowała i w Dąbrowskim nie zdrowa ambicja ogarnięcia całego ruchu i poprowadzenia go tam, gdzie w jego wyobraźni leżało zbawienie nie tyle Polski, bo Polska w tych posępnych rojeniach poczęła powoli zajmować stanowisko drugorzędne, stawać się tłem obrazu, na którego pierwszym planie miał się rysować taki dyktatorski zbawca i przechodzić na zawsze do historii, ile ich marzeń i idei własnych. Mniejsza o to, co się stanie potem z Polską, mniejsza, że krwią spłynie cała, że ruinami zasiana będzie, że dziesiątki tysięcy najdzielniejszych sił narodowych pójdzie na śniegi sybirskie marnieć i konać powoli, mniejsza o cierpienia niezliczone, o zachwianie wszystkich podstaw bytu narodowego, byle o nim, o Dąbrowskim i jemu podobnych historia mówiła, byle on wyraziście się rysował w perspektywie dziejowej, na tle purpury krwi i pożarów czerwieni...

Nowoczesny Łokietek rozpatrzywszy się w położeniu rzeczy, widząc bezsilność Komitetu miejskiego wobec akademików, sforność działania u tych ostatnich, a chaos u pierwszego, wywoływany przewagą anarchicznego Koła, od razu zarysował sobie plan działania, ostatecznym którego celem było schwycenie władzy nad całym ruchem.

Z tą bystrością natur ambitnych i wszystko podporządkujących swemu ja, rozumiał on, że Komitet akademicki nie może mieć przyszłości, że niepodobna oddawać losów i rządów kraju garści młodzieży szkolnej, że jedyna możliwość działania na wielką skalę leży w Komitecie miejskim, w skład którego wchodzić ludzie starsi, a jeżeli nie wchodzi, to wejść mogą prędzej i słuszniej niż do Komitetu akademickiego. Tu więc ostatecznie, lawirując przez jakiś czas i przypatrując się wszystkiemu ciekawie, głosząc wszędzie teorie skrajnie rewolucyjne i powstańcze, rozwinął całą energią swą niezaprzecze-

305 Bardzo trafny portret Dąbrowskiego z czasów komuny paryskiej można oglądać przy cytowanej broszurze Rożałowskiego.

306 A. Giller, *Historia II*, 94.

nie bogatej natury. Mówiąc o konieczności organizacyi silniejszej i bardziej skupionej, zwracał członkom Komitetu uwagę na to, że organizacya ta wprost jest niemożliwą dopóki będzie istniało Koło, które każdej chwili może zmniejszać członków, wprowadza anarchią do Komitetu i podkopuje grunt pod nim. (Domagał się więc przede wszystkim zniesienia Koła, jako ciała zwierzchniczego nad Komitetem³⁰⁷. Potrzebę tego zniesienia czuli doskonale wszyscy członkowie tego ostatniego, czuł najprzód Chmieliński, który, pomimo swego zdecydowanego i skłonnego do terroryzmu charakteru, nie mógł sobie przez kilka miesięcy dać rady z Kołem i pomimo ambitnych marzeń, pozostawał ciągle w cieniu. Rozpoczęły się więc narady, debaty długie i gorące, i dzięki nadzwyczajnej czynności i przewadze, jaką sobie umiał wyrobić Dąbrowski, Koło zostało rozwiązane w kwietniu³⁰⁸, i Komitet pozostał teraz sam, mając za współzawodnika tylko Komitet akademicki. Oczywiście czynny współudział Dąbrowskiego w tej sprawie miał ten skutek, że nowożytny Łokietek, w mundur oficera rosyjskiego przybrany, stał się zanadto wybitną osobistością w organizacyi, by w składzie najwyższej jej hierarchii mógł być pominięty.

Wszedł więc on do Komitetu miejskiego, który tym razem, pozbywszy się młodego Wereszczyńskiego i Głowackiego, utworzył tryumwirat, złożony z Chmielińskiego, Dąbrowskiego i Stanisława Matuszewicza, młodego ziemianina z Podola³⁰⁹, niegdyś studenta uniwersytetu Kijowskiego.

Dąbrowski, zgodnie ze swemi przekonaniem, podsycanemi przez piękne oczy panny Zgliczyńskiej, domagał się jak najprędzszego powstania. Na licznych zebraniach Komitetu, które się odbywały w różnych miejscach dla uniknięcia uwagi policyi, a najczęściej na ulicy Chłodnej, w domu „pod zegarem”, wprost kościoła Karola Boromeusza, w mieszkaniu jednego z wyższych członków organizacyi, niejakiego Wojciechowskiego³¹⁰, żądał on, ażeby nie bawić się w rozszerzanie sprzysiężenia, które będzie miało ten skutek, że wcześniej czy później Komitet, zamiast niem rządzić i kierować, będzie się musiał stać jego posłusznym narzędziem, taką samą bezsilną lalką, jaką był w ręku Koła, ale wprost dążyć do powstania, robić odpowiednie przygotowania, zgromadzać pieniądze, broń, zapasy. Skoro raz wybuchnie powstanie, wtedy i bez organizacyi ci, którzy są dobrymi Polakami, pójdą do obozu, a innych siłą się weźmie. Organizacya więc na tak wielką skalę zarysowana jest całkiem niepotrzebną, oddala od celu, marnuje czas i siły na zabawkę w spisek bezpłodny

307 Tomasz B. Pamiętniki do lat 1861—1863. Rękopism, skreślony przez jednego z członków organizacyi, znajdujący się w zbiorach autora.

308 A. Giller, *Historia I*, 68.

309 Ustimowicz, *Zagowory*, 84.

310 Tomasz B. Pamiętniki.

i trawiący się sam w sobie. W Warszawie zawsze znaleźć będzie można tysiąc ludzi, gotowych na wszystko, którzy dobrze poprowadzeni wezmą cytadelę i wypędzą ze stolicy Moskali³¹¹. Chmieleński, w gruncie rzeczy tych samych przekonań, zgadzał się na te wywody, ale inni, chłodniejsi, a może rozumniej kochający ojczyznę, którzy, jakkolwiek nie należąc do Komitetu, dawnym zwyczajem, ustalonym we wszystkich sprzysiężeniach warszawskich, zbiegali się na jego posiedzenia, odpowiadali: dobrze, znajdziesz tysiąc straceńców w Warszawie i zdobędziesz cytadelę, ale co potem?

Jeżeli powstania nie będzie w całym kraju, to ci w dwa dni tą cytadelą odbiorą i ciebie wraz z tysiącem tych straceńców powieszą. Chcąc zaś, by powstanie wybuchło w całym kraju, trzeba go naprzód uorganizować, trzeba potem pieniędzy i oficerów. Łokietek - Dąbrowski odpowiadał na to, że opozycyoniści, jako ludzie cywilni, nie znają się na rzeczach wojskowych, że zatem nie powinni w tej kwestyi głosu podnosić. Oficerów wcale nie zabraknie, gdyż dostarczy ich spiszek, istniejący w wojsku i szkoła w Cuneo.

O spisku tym Dąbrowski mówił bardzo wiele i dając poznać, że posiada wszystkie jego nici w ręku, przez to samo zyskiwał ogromne znaczenie i ogromną przewagę w organizacji warszawskiej. Rojono sobie też z tego powodu Bóg wie jakie skutki; w rzeczy zaś samej, spiszek ten naprzód w ścisłym znaczeniu tego słowa nie istniał wcale, był dopiero w załączku, a załączek ten obejmował bardzo niewielką liczbą osób, i przy najszcześniejszym zbiegu okoliczności, jakie dopomogłyby do jego rozwoju, nikt nie mógł przewidzieć, co z tego zarodka z czasem wyrósć może. Spiszek ten, jeżeli godzi się tak go nazwać, był z jednej strony dzieckiem ruchu umysłowego, jaki się objawił w Rosyi po śmierci Mikołaja I-go, z drugiej ruchu polskiego. Pod wpływem ożywczego prądu reform, wywołanych przez cesarza Aleksandra II-go, obudziła się w skostniałych umysłach rosyjskich dążność do pozbycia się samowładzy, do formy rządu parlamentarnej; liberalizm ten jednak miał skończyć się na nihilizmie niestety! którego objawy już się teraz spostrzegać dawały. W tej chwili jednak wśród młodzieży rosyjskiej, wśród oficerów różnych szkół wojskowych, ideałem był Hercen ze swym „Kołokołem”, który pomimo komor celnych w ilości 2500 egzemplarzy dostawał się do Rosyi i czytany był chciwie. W samym caracie poczęło nawet wychodzić tajne pismo rewolucyjne p. t. „Ziemia i wola”, które z powodu, że nie było to możliwem w Petersburgu, drukowano w Kijowie w Ławrze Peczerskiej, nieomal w mieszkaniu archimandryty. Zajmowała się tem młodzież uniwersytecka, w większej części Polacy lub żydzi polscy, którym z Petersburga nadsyłano artykuły. W Mo-

311 Relacje ustne.

skwie znów ukazało się pismo także potajemne p. t. „Wielikorus”, które podobnie jak „Ziemia i wola” domagało się odpowiedzialności ministrów, sądów przysięgłych, decentralizacyi, samorządu prowincjonalnego, swobody chłopą, swobody wyznania, prasy i stowarzyszeń. Odnośnie do Polski pismo to żądało bezwarunkowego jej wyzwolenia. Władza rosyjska bowiem nad Polską, pisał „Wielikorus”, opiera się wyłącznie na sile zbrojnej. „Póki zaś władza na ludem ucywilizowanym opiera się w jednej części państwa na systemie samowładztwa wojennego, dopóty rząd nie jest w stanie wyrzec się go i w innych jego (państwa) częściach”. „Interes wolności rosyjskiej wymaga wyzwolenia Polski. Nasza godność narodowa, miłość ludu i rachunek finansowy tego wymagają. Władza nasza nad Polską opiera się tylko na tem, żeśmy naruszyli wszystkie warunki, mocą których Królestwo Polskie na kongresie wiedeńskim przyłączone zostało do Rosyi. Zobowiązaliśmy się wówczas nadać Polsce konstytucyą, zupełną autonomią i wojsko narodowe. Złamaliśmy dane słowo i jesteśmy zwodzicielami w obliczu całej Europy. Dla rządzenia Polską musimy trzymać dwakroć sto tysięcy wojska więcej nad potrzebę, musimy wydawać rocznie 40 milionów rubli z własnych funduszy, oprócz tego, co nam Polska przynosi. Nasze finanse nigdy nie przyjdą do porządku, jeżeli ciągle ponosić będziemy takie straty. Setki tysięcy starców, kobiet i dzieci, niema u nas żyć z czego, dlatego, że pracujący na nich zostali wysłani na zachód dla utrzymania Polski w niewoli, tak zgubnej dla nas samych. Póty będziemy ofiarami tej klęski, póki się nie zrzekniemy Polski w zupełności”³¹². Zadania te, wypowiedane ze stanowiska nieco doktrynerskiego, chciwie czytane były przez młodzież rosyjską, przez młodych oficerów, którzy zgadzając się w duszy na wywody „Wielikorusa”, w wyzwoleniu Polski widzieli wyzwolenie własnej ojczyzny z pod tyranii i despotyzmu i czynownictwa.

Dzięki wpływowi tych idei, wygnańców polskich wysyłanych do Rosyi przyjmowano tam z owacyami, obrzucano ich kwiatami, obdarowywano pieńniadźmi, jadłem, napojami i ubraniem, nazywano „męczennikami wolności”. Jeżeli wierzyć można opowiadaniom współczesnych, to rzeczy doszły do tego, że z tak zwanego trzeciego wydziału żandarmskiego (tretiego oddielenia), przesyłano wygnańcom wsparcia z tem oświadczeniem, że karze ich cesarz rosyjski, a obdarowywa król polski³¹³. W gubernii Saratowskiej damy rosyjskie nosiły żałobę po pięciu ofiarach warszawskich³¹⁴; jednym słowem usposobienie ogólne w olbrzymim caracie było jak najlepsze dla nas, a usposobienie to popierała młodzież rosyjska i propagowała usilnie. Ale od tego

312 Wielikorus Nr. 2 w „Wiadomościach z kraju”, 30.

313 Teobald, Wspomnienia, V, 17.

314 Loc. cit.

rodzaju usposobienia, od schadzek i rozpraw na temat artykułów „Kołokoła” lub „Wielikorusa”, od obrzucania kwiatami wygnańców polskich, do spisku uorganizowanego i mającego wytknięty cel działania, było jeszcze bardzo daleko. Młodzież rosyjska przyjaźnie i z sympatią patrzyła na ruch polski, przewidywała, że skończyć on się musi powstaniem zbrojnym, ale powstanie to wyobrażała sobie w czasie bardzo jeszcze oddalonym. Tu i ówdzie zawiązując stosunki z agitatorami polskimi, wyraźnie dawała poznać, że liczy wiele na to powstanie, że mu da bezwarunkowo pomoc, jakkolwiek już wtedy podnoszone były spory, co do granic dwóch krajów³¹⁵, ale oczywiście potrzebowała na to wszystko czasu i powolnej organizacyi własnej, która w tej chwili w mglistych bardzo przedstawiała się zarysach i projektach.

Nikt jeszcze nie przewidywał, nikt wśród tej młodzieży nie przypuszczał, że powstanie to już jest u drzwi nieomal, że wychoduje się i zrodzi w ciągu kilku zaledwie miesięcy. Stąd w tej młodzieży wybuchło oburzenie za zawód, za starganie ich marzeń, a pod wpływem rozbudzonych dzikich uczuć mas, nienawiści do cudzoziemców, zaraźliwej jak każde złe uczucie, młodzież ta przemieniła się w słynnych po wsze czasy „diejatieli”, którzy spadli na Polskę jak szarańcza, jak horda Hunnów, jak bicz Boży prawdziwy i zdeptali i wyrócili ją do cna...

Takie było położenie owego osławionego spisku w Rosyi, o którym tyle mówił Łokietek-Dąbrowski. Nie lepiej się rzeczy miały w Warszawie, gdzie młodzieży cywilnej rosyjskiej nie było, gdzie była tylko młodzież wojskowa, i cały ów mniemany spisek na niej się wyłącznie opierał. Właściwie nawet Rosyan było niewielu; w większej części do tej grupy należeli oficerowie albo Polacy, albo też Rosyanie w Polsce wychowani, którzy marzyli o tem i niby to sobie za zadanie stawiali, ażeby w chwili wybuchu powstania wywołać rokosz w wojsku, przyłączyć się z niem choć w części do ruchu i tym sposobem rząd ubezwładnić. Oprócz Dąbrowskiego, który był duszą i motorem całej tej akcji, który wlewał w żyły kolegów palącą lawę swych marzeń fantastycznych, należeli tutaj z pułków, stojących w Warszawie: Andrzej Potebnia, Rusin z rodu, z gubernii Charkowskiej, kapitan i kwatermistrz pułku Kostromskiego. Był on na pół spolonizowany, łączyły go z Polską liczne nici³¹⁶. Należał dalej Iwan Arnhold, z rodziny kurlandzkiej, podporucznik Ago batalionu strzelców,

315 Jeden z najzdolniejszych i najliberalniejszych pisarzy rosyjskich z tej epoki, Mikołaj Czernyszewski, mówił do pewnego Polaka: „nie wiercie nam panowie Polacy, bo, gdy przyjdzie sprawa granic na stół, pogryziemy się jak psy o kość, a nie oddamy wam Litwy nigdy” (Pułkownik Struś: Szkice z powstania r. 1863).

316 Brat jego, późniejszy profesor uniwersytetu Charkowskiego, uczył się w gimnazjum radomskim, gdzie się zupełnie spolonizował.

Piotr Śliwicki także oficer tegoż batalionu, Rusin, zdaje się z rodziny polskiej pochodzący, Kapliński, Polak, i inni mniej znani. Na prowincyi należało także do tego spisku mniemanego nieco oficerów, ale przeważnie Polaków (Dobrowolski w Radomiu, Dobrogojski w Kielcach, Trąbczyński i inni).

Przedewszystkiem jednak nie był to wcale spisek; schodzono się, odczytywano „Kołokoła”, odezwy i broszury polskie i prowadzono propagandę wśród oficerów i żołnierzy, ale nie miano wcale charakteru sprzysiężenia. Propaganda ta zresztą była z jednej strony bardzo ostrożnie, a z drugiej nader, do pewnego stopnia, naiwnie prowadzoną. Ci i owi oficerowie zgromadzali niekiedy w koszarach swych podwładnych żołnierzy i odczytywali im ustępy z „Kołokoła”, lub z „Polarnej Zwiezdy”, czego żołnierze po większej części nie rozumieli. Podrzucano także po koszarach odezwy ruskie. Rząd miał o tem wszystkim pewne wiadomości, nawet w ostatnich dniach 1861 r. aresztowano w Warszawie niejakiego Wróblewskiego, litografa, zato, że odbił tysiąc egzemplarzy odezwy Hercena do wojska w języku rosyjskim, którą znalazłono rozrzuconą w koszarach pułku szlisselburskiego piechoty, i upominającej żołnierzy, aby nie strzelali do ludu. Wróblewski zeznał w komisji śledczej, że przyszło doń dwóch oficerów, którzy kazali mu odbić tę odezwę. Na całą więc tę akcyą rząd miał zwrócone baczne oko, i jeżeli nie chwycił się w tej chwili środków stanowczych, to dlatego zapewne, że nie wydawała mu się ona zbyt niebezpieczną³¹⁷.

Wszelako nie dowodzi to wcale, żeby na ów rzekomy spisek wojskowy można było liczyć, jak to twierdził Dąbrowski, i żeby przy pomocy rokoszu żołnierskiego łatwo było wziąć cytadelę warszawską. Niemniej nadzieje na szkołę podchorążych polskich w Genui okazały się zawodnemi.

Szkoła ta bowiem przechodziła ciągle szereg wstrząśnień wewnętrznych, które obok innych przyczyn, natury politycznej, o których już wspominaliśmy, nie zapowiadały jej długiego istnienia, a nadewszystko nie dawały gwarancyi, by młodzież z niej wychodząca przedstawiała istotnie dobry materiał na oficerów w przyszłej wojnie powstańczej. Nietaktowne w najwyższym stopniu postępowanie Mierosławskiego, odnoszenie wszystkiego do siebie, wywoływanie podejrzeń i sporów, spowodowało oplakany z wielu względów wypa-

317 Pawliszczew, Siedmicy I, 70, opowiada pod d. 8 kwietnia, że spytano żołnierza, który podniósł taką odezwę, czy ją czytał: „Czytałem *wasze błagorodie*, odrzekł żołnierz; piszą, żebyśmy nie słuchali zwierzchności (naczalstwa)”. „No, i cóż ty na to?”. „Ha, ja myślę, że gdybyśmy nie słuchali zwierzchności, to byśmy już dawno wyrznęli (perebili) wszystkich Lachów”. Relacya ta, prawdziwa czy nie, dowodzi w każdym razie, że rząd wiedział o agitacyi wśród żołnierzy, skoro już Pawliszczew donosi o tem cesarzowi. Berg, Zapiski II, 272, powtarza także tę anegdotę.

dek, który świadczył o złym stanie wewnętrznym szkoły. Mierosławski już tem samem wprawiał ją od początku istnienia w ataki niepokoju nerwowego, że ciągle twierdził o znajdowaniu się w niej szpiegów rosyjskich, czyhających jakoby na jego drogocenne życie. Młodzież uwielbiająca swego wodza, pełna drażliwego poczucia honoru, nadzwyczajnie była wzburzona temi podejrzeniami, i dozwoliła, dla zrzucenia ich ze siebie, dowódcy swemu na odczytywanie listów, pisanych do niej, i baczne miała nawzajem na siebie zwrócone oko. Ale taki stan nieufności wzajemnej, nieustannych oskarżeń i intryg, jak najgorzej musiał oddziaływać na samą szkołę; uczono się niewiele, ale zato toczono między sobą namiętne rozprawy, kłócono się, a co najgorsza podejrzewano. Przyszło do tego, że niejaki Janczewski, czy na skutek insynuacji samego Mierosławskiego, czy też skąd inąd, wpadł w podejrzenie, że jest owym szpiegiem, o którym dowódca ciągle mówił. Rozdrażniło to tak młodzież, iż jeden z uczniów, Kaczyński³¹⁸, niegdyś student szkoły rolniczej w Marymoncie pod Warszawą, strzelił do Janczewskiego z rewolweru. Zrazu Kaczyński, sądząc, że zabił kolegę, wybiegł z gmachu szkolnego i rzucił się w morze dla odebrania sobie także życia, ale go wyratowano. Na szczęście okazało się, że Janczewski nie został zabity, gdyż wskutek słabości naboju, czy innych przyczyn, kula spłaszczyła się na zbyt twardej widocznie głowie ofiary. Wypadek ten wstrząsnął szkołą, a choć umyślnie rozpuszczono pogłoskę, że strzał padł ze swawoli, wszakże wszyscy wiedzieli, czego się trzymać.

Niezdolne, dręczące wszystkich podejrzenia przebrały już miarę; oburzenie przeciw Mierosławskiemu wzrastało; wielu profesorów, jak Langiewicz, miało z nim żywe starcia; szkoła rozpadnięciem się groziła. Jawny na koniec opór wywołał dowódca przeciw sobie tem, że zażądał od uczących się, aby podpisali w imieniu kraju zreagowane już i gotowe upoważnienie dla niego, które rozesłał także wszędzie, gdzie tylko w zakładach naukowych zagranicznych młodzież polska bawiła, do reprezentowania narodu i wyłącznego sprawę polską kierownictwa³¹⁹. Młodzi podchorążowie podpisu odmówili i formalnie wypowiedzieli swemu dowódcy w ogromnej większości posłuszeństwo. Wobec tego Mierosławski przez pismo, datowane d. 27 lutego 1862 p. t. „Do młodzieży polskiej, pragnącej wejść do szkoły wojskowej”, oświadczył, że „okolicznościami zmuszony nie może przewodniczyć dłużej, założonej przez siebie szkole podchorążych”. Jednakże, mimo tego zrzeczenia się, miał on wśród uczniów tak fanatycznych zwolenników, zwłaszcza między Litwinami, że 26-u z pomiędzy nich opuściło zaraz szkołę i udało się do Paryża,

318 Nie Kuczyński, jak go współczesne pisma, a za nimi późniejsi nazywają.

319 A. Guttry, Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działania, p. 8.

a głównie do Konstantynopola³²⁰. Między nimi znajdował się także Zygmunt Chmieleński, brat znanego nam Ignacego, późniejszy dowódca w powstaniu zbrojnym. Mierosławski w powyżej cytowanym piśmie, osłaniając główny powód opuszczenia szkoły, zwał winę na reprezentanta pruskiego p. Brussier de Saint-Simon, którego jakoby nalegania, „nakłoniły go (Mierosławskiego) do opuszczenia Włoch na czas pewien, celem przyniesienia ulgi rządowi włoskiemu”.

Młodzież, pozostawiona sobie, wysłała deputację do Paryża w d. 15 marca, zapraszając do objęcia dyrekcyi nad szkołą generała Józefa Wysockiego.

Ten chętnie się na to zgodził i udał się natychmiast (d. 19 marca) do Turynu, ale tu zastał okoliczności znacznie, niż mu się to pierwotnie zdawało, zmienionymi. Minister włoski Rattazzi, nie mając na razie nikogo pod ręką, zaproponował objęcie dowództwa nad szkołą księciu Marcelemu Lubomirskiemu³²¹, którego znał ze stosunków towarzyskich, i o którym wiedział, że w roku zeszłym znaczną sumę ofiarował na jej założenie. W odezwie, jaką d. 19 marca, minister wystosował do księcia Lubomirskiego, między innymi znajdowały się takie słowa: „zalecam panu przedewszystkiem, żeby szkoła ta, wyłącznie mająca na celu naukę wojskową, pozostała poza stronnictwami emigracyi polskiej, żeby nie miała żadnego charakteru politycznego, i żeby jak najprędzej mogła być przeniesiona z Genui do innego miasta”³²². Księżę Lubomirski, wielki pan, człowiek w gruncie rzeczy pocziwy, ale nie mogący mieć pretensyi do odgrywania politycznej w sprawie polskiej roli, znany był dobrze młodzieży z życia prywatnego. Nie zgodziła się więc na jego zwierzchnictwo, które uważała za pewien rodzaj narzucania się, za branie się do rzeczy, których ks. Lubomirski ani znał, ani rozumiał, ani sprostać im nigdy nie był w stanie. Gdy się więc dowiedziano w Genui, że Wysocki, wskutek wysłanego doń zaproszenia, przybył już do Turynu, wydelegowano więc do niego d. 23 marca trzech posłów: Kurczewskiego, Turcewicza i Rogalińskiego, z mandatem podpisanym przez 65 pozostałych w szkole i zapraszającym Wysockiego do natychmiastowego objęcia jej naczelnictwa³²³, dodając, że „ponieważ podpisani nikogo innego, jak tylko generała Wysockiego za naczelnika szkoły uznają, deputowani przeto winni są wyrazić to wszędzie, gdzie uznają za potrzebne”.

320 J. Wielobycki, Szkoła wojskowa w Genui i Cuneo (rkpsm.)

321 Loc. cit.

322 List ten można czytać w pamflecie Mierosławskiego, wydanym w Paryżu p. t. „Note du général Mierosławski sur le licenciement de l'école militaire polonaise en Italie, en réponse au compte rendu inséré dans l'Opinion national du 1-er juillet 1862”, — oraz u N. Berga, Zapiski IV, 124.

323 Mandat ten, drukowany we współczesnych pismach zagranicznych polskich, jako mało znany i trudny do odszukania, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 7.

Jakoż Rattazzi nie sprzeciwiał się temu i Wysocki udał się do Genui, zaprowadził ład, komendantem jej mianował pułkownika wojsk francuskich Fijałkowskiego; Zygmuntowi Padlewskiemu, b. oficerowi wojsk rosyjskich, powierzył wykład taktyki i geografii wojennej oraz artylerii po Maryanie Langiewicz, który, jakżeśmy zaznaczyli, usunął się był jeszcze za rządów Mierosławskiego. Tak urządziwszy szkołę i z najwyższej anarchii, jaka w niej panowała, zaprowadziwszy porządek wzorowy, miał zamiar wracać do Paryża, gdyż „nie przyuczony do życia kosztem publicznych funduszy, chciał pracować jak dawniej na kawałek chleba”. Tymczasem zaszła nowa okoliczność, która na szkołę przeważny wpływ mieć mogła, a zarazem była oznaką, jak dalece byt jej był niepewny i chwiejny. Już w liście do ks. Lubomirskiego, zacytowanym powyżej, minister Rattazzi zalecał, ażeby szkoła, „jak najprędzej mogła być przeniesiona z Genui do innego miasta”. Przyczyną bezpośrednią tego domagania się rządu włoskiego były odwiedziny w roku zeszłym szkoły przez Garibaldiego, entuzjastyczne przyjęcie, jakiego od niej doznał i obawa, by w wyprawie jego, jaką teraz przedsięwziął pod Mentonę, podchorążowie polscy udziału nie wzięli³²⁴. Przytem w Genui, jako mieście dużem i portowem, szkoła była zanadto na widoku wszystkich i zanadto zwracała na siebie uwagę. Burze zrywające się w niej co chwila, awantura z Janczewskim, rozgłoszona przez miejscowe dzienniki, brząkanie szabelkami po ulicach i kawiarniach, wyrobiły jej wychowañcom nieosobliwszą wśród ludności opinią. Pomysł więc przeniesienia ich gdzieindziej, nie tylko ze względów politycznych, nie tylko z obawy, by gremialnie nie przyłączyli się do Garibaldiego, ale ze względu na ich własne dobro był zbawiennym; wszelako z drugiej strony dowodził, że szkoła poczyną być niewygodną dla rządu włoskiego. Jakoż załatwiono się z tem szybko.

W końcu marca, z rozkazu władz, przeniesiono ją do Cuneo, małego miasteczka w głębi Piemontu leżącego, gdzie pomieszczoną została w obszernym gmachu po kolegium jezuickim. Młodzież udała się tam koleją żelazną. Jej dowódcą urzędowym został generał włoski Pallavicini, a ponieważ Wysocki wyjechał do Paryża, więc faktycznym jego zastępcą i dyrektorem był Padlewski³²⁵. Tutaj w Cuneo, w cichem, górskim i niezbyt ludnem miasteczku, szkoła pędziła byt spokojniejszy, choćby tylko dlatego, że owego ducha nierządu, podejrzeń i oskarżeń, jaki stanowił właściwość Mierosławskiego, wśród niej teraz nie było; wszelako wewnątrz, między młodzieżą, nie przestawały trwać namiętne spory niby o Polskę i jej losy, spory zaprawione stronnictwymi poglądami; stąd powstały rozliczne waśnie, które z czasem

324 N. Berg, *Zapiski* II, 208.

325 J. Wielobycki, loc. cit.

miały się przenieść do kraju, do powstania zbrojnego i wiele szkód mu przyniosły³²⁶.

Z tego wszystkiego wszakże widocznem było dla każdego umysłu nieuprzedzonego, że szkoła podchorążych polskich pod żadnym względem nie przyniesie i przynieść nie może tych korzyści, na jakie liczyło stronnictwo ruchu w kraju, i nie spełni tych nadziei, jakie na niej pokładano. W ogóle więc gwałtowne popychanie komitetów rewolucyjnych warszawskich przez Dąbrowskiego do wywołania powstania zbrojnego było lekkomyślnością krzyczącą i zbrodniczą. Tem więcej było to nieusprawiedliwionem, tem lekkomyślniej wyglądało, że Komitet miejski nie miał w swym ręku całej organizacyi, że nie był sam, że dzielił władzę z Komitetem akademickim, że nie miał pieniędzy, które posiadała obok niego inna, nieprzyjazna mu organizacya, zwana Dyрекcyą białych i która dość pogardliwie spoglądała z wyżyn swego wygodnego dobrobytu na głodne i chłodne krzątania się jakichś tam młokosów. Składała się ona teraz z Jurgensa, Kurtza, Kronenberga, Władysława hr. Zamoyskiego i Karola Majewskiego.

Po części należał do niej także Józef Kołaczkowski i Karol Ruprecht, nie jako stali członkowie, ale często wzywani na posiedzenia i obarczani różnemi poruczeniami. Jakkolwiek było to ciało dość ciężkie i nieruchome, w składowych swych częściach źle dopasowane i przez to skrzypiące nieraz szkaradnie, przecież przedstawiało ono, szczerze mówiąc, jedyną, prawdziwą reprezentacyą kraju, którą Komitet miejski, różni Chmieleńscy, Dąbrowscy, Janczewscy i mnóstwo innych, nikomu nieznanych i przez nikogo nieuznanych, być nie mogli i nie byli. Z początku Dyрекcyja zabierała się do rzeczy dość żwawo; zamierzała skoncentrować w sobie przedstawicielstwo wszystkich trzech zaborów, całej dawnej Polski. Zawiązano więc w tym celu, w początkach 1862 r. rokowania z wybitniejszymi osobistościami w zaborze pruskim i austryackim, oraz na Litwie i Rusi, a mianowicie: w Ks. Poznańskim z Guttrym i Niegolewskim, w Galicyi ze Smolką i Zyblikiewiczem, na Litwie z Franciszkiem Dalewskim, na Rusi ze studentami uniw. kijowskiego, głównie z Gustawem Wasilewskim i Włodzimierzem Antonowiczem³²⁷, którzy dali pełnomocnictwo reprezentowania w Dyrekeyi tych czterech dzielnic: Kronenbergowi, Jurgensowi i Majewskiemu. Tym więc sposobem zadość uczyniono formie

326 A. Giller, *Historya I*, 280. „Pamiętka dla rodzin polskich” I, 117 powiada, że Mierosławski, dowiedziawszy się o objęciu nieurzędowego dyrektorstwa przez Padlewskiego, polecił mu donieść, że chyba po jego, Mierosławskiego, trupie dojdzie do szkoły.

327 N. Berg, *Zapiski II*, 221, wymienia jeszcze trzeciego: Tomasza Burzyńskiego, co jest błędem, gdyż Burzyński siedział w tym czasie w cytadeli warszawskiej, dokąd został przysłany w grudniu 1861 r. z Kijowa.

i pozornie w Dyrekcyi skupiała się cała Polska, ale tylko pozornie i wyglądało to na śmieszną komedię, przypominało sejm 1831 r., w którym kilku zbiegłych szlachciców z Litwy i Rusi reprezentowało te prowincje i brało udział w uchwałach. W gruncie jednak rzeczy przedstawicielstwo to nie miało głębszego znaczenia, gdyż cała akcja, cały impuls, siła rzutu spoczywała w jednej dzielnicy, t. j. w Królestwie, które reprezentowane było należycie i z wyborów.

Współcześnie z tą akcją, mającą na celu skupienie w swym ręku wszystkiej władzy i we wszystkich zaborach, Dyrekcyja zabrała się do nakreślenia, a właściwie do opublikowania drukiem programu swego działania i wyznania swej wiary politycznej. Zadania tego podjął się członek Dyrekcyi, Karol Ruprecht, znany nam już z doby Delegacyi warszawskiej, człowiek bardzo prawy, bardzo czysty, szczerzy i gorący patriota, ale nieco marzyciel i mistyk, serce rozplakane nad dolą ojczyzny, pełne posępnej poezyi, wykwitłej w sybirskim wygnaniu. Na podstawie programu ułożonego w grudniu r. z. Ruprecht wygotował i wydrukował jego rozwinięcie w broszurze: „Zadanie obecnej chwili” pod pseudonimem Stanisława Kazimierza Gromady³²⁸. Zarzucano później temu publicznemu wyznaniu wiary dużo mglistości w wyrażeniach, braku ścisłości i stanowczych określeń w zamiarach, niemoc czynu i chorobę gromadnego sejmikowania, tę chroniczną wadę szlachty polskiej; ale pominąwszy już to, że Ruprecht nie mógł się wyrzec przy pisaniu swego usposobienia i swych poglądów, zaczerpniętych w niezdrowej mistyce wygnania, to z drugiej strony Dyrekcyja nie mogła szczerze i otwarcie mówić o wszystkim i mówić publicznie, rozkrywać swe karty w grze, w której szło o naród, gorzej, bo o życie jego, niestety! Słusznie też mówiono, że w takim razie niepotrzebnie ten program drukowano, i w Dyrekcyi w rzeczy samej wielu było temu przeciwnych, ale śnać ich przegłosowano.

W czymże się jednak zawierał ten ciężko zrodzony, wykąpany w odurzającej atmosferze mistycyzmu politycznego program, przybierający wiele mówiące miano „zadań obecnej chwili?” Jak powodem wszystkich spisków, spryszeń i stowarzyszeń polskich od lat czterdziestu przeszło, a sięgając głębiej od pierwszego rozbioru, tak i celem powstania Dyrekcyi było przywrócenie Polski w granicach 1772 r., przywrócenie jej niezależności i samoistnego bytu politycznego.

W wykonaniu wszelako tego ciężkiego i trudnego zadania, dla którego pokolenia ówczesne gotowe było wszystko poświęcić z ofiarnością zaiste zdumiewającą i rzadko spotykaną w historii, Dyrekcyja zgłębiała odmienną od stronictwa ruchu nakreślała drogę postępowania. Podczas kiedy to ostatnie zrywało

328 Broszura ta wyszła w Paryżu, 1862 r.

wszelkie nici z rządem, uznawać go i nic od niego przyjmować nie chciało, Dyrekcyja przeciwnie domagała się, by wszelkie reformy chwytać otwartemi rękami, udawać z nich zadowolenie, popierać Rady powiatowe i gubernialne, które pod jej kierunkiem mogły się stać bardzo skutecznem narzędziem akcji, zajmować posady w nowych instytucjach, starać się usilnie, aby wszystkie stanowiska w administracji krajowej były w ręku Polaków, a ściśle mówiąc członków Dyrekcyi. Tym sposobem ogarnąwszy wszystkie nici administracji Królestwa, przy pomocy rządu niejako samego przygotować powstanie, które ostatecznie Polskę ma wyzwolić z niewoli moskiewskiej, a z czasem i niemieckiej. Powstanie to jednak odkładano na czas nieokreślony, na chwilę jakiegóż szczęśliwego i przyjaznego zbiegu okoliczności, na wielką wojnę, w którą Rosya uwikłana nie będzie mogła stawić silnego czoła odradzającej się Polsce.

Tak mówił program drukowany, ale na posiedzeniach Dyrekcyi, od czasu do czasu, w bliższej, serdeczniejszej pogawędce, zastanawiano się nad tem, czy możliwem jest w ogóle takie odkładanie powstania wobec gorączki, owładającej ciało narodowe? Czy możliwem będzie istnienie tajnego stowarzyszenia, jakim była Dyrekcyja, przez długie, może nieskończenie długie lata? Czy stowarzyszenie to nie zużyje się, nie spali, nie strawi samo w sobie i jak dom zmurszały, na prędcie i skrycie zbudowany, nie runie wprzód i nie rozsypie się zupełnie? Pytania były ważne i zdradzały obawę w umysłach tych ludzi, niezaprzeczenie w swej większości zacnych i rozumnych, straszną obawę wobec niepewnej, czarnej, pełnej widm i burz przyszłości. Któż mógł zapewnić, co przyniesie jutro, co dymiący i pomrukujący głucho wulkan uczuć narodowych wyrzuci z siebie nazajutrz? Kto mógł zaręczyć, czy wezbrana rzeka tych uczuć, ich lawa gorejąca nie porwie samej Dyrekcyi i nie zanie sie ją w wir śmiertelnej, wszystko pochłaniającej Scylli i Charybdy powstania? To też niekiedy wobec tych pytań, zjawiających się przed oczami członków Dyrekcyi, niby groźny duch Komandora, niektórzy z nich, zastanawiając się nad ówczesnem położeniem Europy, snując tę niewyczerpaną nić kombinacji politycznych, tak ulubionych zawsze szlachcie polskiej, stanowiących bodaj jedyne jej różowe marzenie wobec ponurej rzeczywistości, przychodzili do przekonania, że powstanie będzie mogło wybuchnąć koło roku 1865, i że na ten czas mniej więcej należy kraj przygotować zupełnie. W końcu mieścili żądanie, by rekruci, brani do wojska rosyjskiego, nie byli wyprowadzani poza granice kraju, ale w nim pozostawali.

Takimi były marzenia i takim był program drukowany stronnictwa Białych. Ale w programie tym nie wszystko oni wypowiedzieli, jak nie wypowiedzieli swych pragnień i nadziei. Domagając się, by rekruci brani z Królestwa do wojska rosyjskiego, pozostawali w kraju, skrycie żywili ten zamiar, że z re-

krutów tych będą mieli wyborne, wyćwiczone wojskowo kadry dla przyszłych pułków powstańczych. W organizacji swej wewnętrznej uważali się za jedy-ną prawowitą władzę w kraju, posiadającą moc prawodawczą i wykonawczą, za dyktaturę, której wszystko i wszyscy podlegać mają. Głową tego ciała był pan Andrzej Zamoyski, niby król konstytucyjny. Dyrekcyja decyduje wszelkie sprawy większością głosów, i decyzje swoje poddaje pod zatwierdzenie, pod sankcją, że użyjemy wyrażenia parlamentarnego, pana Andrzeja, który współcześnie ma być pośrednikiem między Dyrekcyą czyli krajem, a rządem najezdniczym. W razie jeżeliby pan Andrzej jakiegokolwiek uchwałe Dyrekcyi odmówił swego zatwierdzenia, wówczas ta ostatnia ma prawo zwołać wszystkich wojewódzkich do Warszawy, którzy organizują się w komitet doradczy, rozbiegają kwestyą sporną i decydują o niej ostatecznie i nieodwołalnie. Prócz tego, w normalnym przebiegu rzeczy, wojewódzcy obowiązani byli zjeżdżać się do Warszawy w pewnych terminach, co sześć niedziel, i wtedy tworzyli t. z. Koło wojewódzkie, na posiedzenia którego zapraszaną zwykle była także Dyrekcyja. Koło rozstrzygało wszelkie ważniejsze sprawy, przyjmowało raporta Dyrekcyi i wojewódzkich, i robiło nad nimi uwagi, określało sposób działania na przyszłość. Koło było właściwie zwierzchnią władzą, ostatniem, najwyższem ogniwem organizacji Białych. Dyrekcyja była tylko wykonawczy-nią uchwał i decyzji Koła. Wprawdzie, w wypadkach nagłych, potrzebujących działania natychmiastowego, Dyrekcyja mogła decydować sama, ale musiała na najbliższem zebraniu Koła zdać z tego sprawę. Wojewódzcy zaś, pojedyn-czo wzięci, obowiązani byli bezwzględnie wykonywać decyzje Dyrekcyi lub Koła. Wreszcie nadzwyczajne zebranie Koła mogło się odbyć tylko na piśmienne żądanie najmniej trzech wojewódzkich. W posiedzeniach Koła mogli brać udział także pomocnicy wojewódzkich, ale z głosem doradczym jedy-nie. Uchwalono nie prowadzić żadnych protokółów, nie bawić się w pisanie, nie mieć pieczęci, nie wydawać kwitów, wszystko jednym słowem załatwiać tylko ustnie³²⁹.

Ten program działania i tę organizacją wewnętrzną Dyrekcyja zawsze, zwyczajem szlacheckim, oglądająca się na emigrację, a zwłaszcza na książąt Czartoryskich, postanowiła, nie bez wpływu pana Andrzeja, posłać przez oso-bę zaufaną do Paryża, dla przedstawienia wszystkiego księciu Władysławo-wi Czartoryskiemu, który po zmarłym w roku zeszłym księciu Adamie był reprezentantem niejako polskości zagranicą. Szło, o ile domyśleć się można, o to zapewne, by ks. Czartoryski, ze stanowiska już swego znający bieg spraw europejskich, porobił uwagi i w ogóle uznał, czy taki program działania jest

329 Zeznanie K. Majewskiego, cytowane u Berga, Zapiski II, 222 i 338.

odpowiedni ze względu na koniunkturę polityczne i czy może być korzystny dla Polski. Do tej misji ochotnie zaofiarował się, znany nam już, Józef Kołaczkowski, który w rzeczy samej w lutym 1862 r. wyruszył nad Sekwanę.

Ale tu na nieszczęście poseł poznany został przez dawnych swych wierzycieli, którzy z mocy wyroku sądowego osadzili go w więzieniu Clichy³³⁰. Wprawdzie oprócz Kołaczkowskiego znajdowali się w Paryżu przedstawiciele zaboru pruskiego (Aleksander Guttry) i austriackiego. Oprócz zyskania księcia Czartoryskiego dla myśli bardzo wprawdzie oddalonego, ale bądź co bądź nieuniknionego powstania, mieli oni także włożoną na siebie przez Dyrekcyą misyą, ażeby za pośrednictwem wyborów wytworzyli z łona emigracyi ciało, któreby Polskę reprezentowało na zewnątrz i działało po parlamentach i dworach europejskich³³¹. Wszystko to jednak nie miało skutku; ks. Władysław, ze względu na postawę Francyi i w ogóle na położenie Europy, cały ten program i całe działanie uznał za rzecz pozbawioną zdrowego sensu i wszelkiej pomocy odmówił³³². To dość dotkliwie uraziło członków Dyrekcyi i, uważając, że oni, jako przebywający na miejscu, lepiej znają stan kraju i jego potrzeby, niż emigracya, w czem bezwątpienia mieli słuszość, postanowili nie oglądać się na pałac Lambert i partyą dyplomatyczną wychodźstwa, nie odwoływać się do niej więcej i rzecz swoją dalej już sami prowadzić.

Jakoż prowadzili ją dalej i przedewszystkiem zakrzętnęli się około zebrania znacznych stosunkowo funduszków. Fundusze te, na wniosek Kronenberga, miały stanowić kapitał żelazny Dyrekcyi. Kronenberg, który nakreślił plan całej tej operacyi finansowej, oznaczył wysokość rzeczzonego kapitału na 200 tysięcy rubli. Suma ta zebraną być miała w sposób następujący: każde województwo obowiązane było wnieść jednorazowo 25.000 rs. prócz Augustowskiego, które jako niewiele zamożnej szlachty posiadające, oraz nawiedzone nieurodząm w tym roku, miało złożyć tylko 20.000 rs.

Tym sposobem winno wpłynąć z ośmiu województw 195 tysięcy rubli. Brakujące pięć tysięcy, oraz na wydatki bieżące mieli dać kapitaliści warszawscy w ogólnej sumie 25.000 rubli. Prócz tego co rok takąż sumą dwustu tysięcy rubli winna być zbierana. Z ofiarnością, stanowiącą tak wydatną cechę tej epoki, pieniądze bardzo szybko poczęły wpływać do kasy dyrekcyjnej, będącej w rękach i pod zarządem Kronenberga, i już w pierwszych miesiącach 1862 r. Dyrekcyja posiadała milion złotych polskich, czyli 150.000 rubli, ale poza tę sumę przejść nie mogła. Zdaje się jednak, że pozostała reszta do 200 tysięcy wnieśli kapitaliści warszawscy, a właściwie Kronenberg³³³.

330 N. Berg II, 306.

331 A. Guttry, Pau Ludwik Mierosławski, 9.

332 N. Berg, Zapiski II, 222.

333 Loc. cit. II, 303, i podania ustne.

Bądź co bądź, Dyrekcyja posiadała pieniądze i jak na owe czasy bardzo poważne pieniądze, i z dumą pogardliwą spoglądała na Czerwieńców biednych, bez szeląga przy duszy, ratujących się od śmierci głodowej piętnastogroszowymi składkami od swych adeptów. Nadawało jej to pewność i ufność w swe siły, tak że w tej porze wprost nie uważała za stosowne liczyć się z Czerwieńcami i uważała, że ci „hołysze”, jak ich niekiedy w swej szlachecko-mieszczańskiej dumie nazywała, nie będą w stanie nic zrobić, pokrzyczą i rozejdą się w poczuciu zupełnej swej niemocy. Te zdania, głośno wypowiedane i wcale nieukrywane, dochodziły do Czerwieńców i niepohamowany gniew i nienawiść ku „Targowiczanom” i „białej zarazie” wzbudzały. W tym względzie spotykali się oni na jednym gruncie z zamożniejszym mieszczaństwem warszawskim. Odegrawszy w ostatnich wypadkach tak poważną rolę, zdobywszy w nich niejako ostrogi obywatelskie, dzierżąc nawet przez niezapomniane nigdy czterdzieści dni postu, słodkie „polskie czasy”, władzę w swym ręku, ujrzało się teraz całkiem odsunięte od działania z jednej strony przez szlachtę, która się zorganizowała w Dyrekcyę, z drugiej przez komitety czerwone, które pomijały zupełnie wyższe słoje mieszczaństwa, a szukały partyzantów wśród ludu miejskiego i wiejskiego.

Mniejsza zresztą o Czerwonych, na których bogaci kupcy, przemysłowcy, lekarze, adwokaci i t. p. ze zgrozą spoglądali (w czem zresztą mieli zupełną rację), jako na burzycieli porządku społecznego, jako na szaleńców i wiodących kraj ku zatraceniu, ale tego, że szlachta całkiem ich od swej organizacji odsunęła, nie mogli jej darować. Dawna Delegacya dąsała się wyrażnie na Białych o to, że tylko jednego Kronenberga z jej łona powołali do swej Dyrekcyi; że źle utajonym gniewem sztychowano z tego ciała, że „szlacheckich fanaberyi”, które niczego się nie nauczyły i nic nie zapomniały, ale na tem się wszystko kończyło. Mieszczaństwo warszawskie, ugrzęzłe w swym dobrobycie i w swych ideałach filisterskich, raz już w Delegacyi dało dowód, jak było niedołężnem, małoduszkiem, niezdolnem do żadnej szerszej i głębiej pomyślanej akcji i do żadnego czynu; ta niemoc pozostała mu na zawsze, i choć doskonale rozumieli szaleństwo Czerwonych, choć widzieli przepaść, do której garść nieznanych nikomu ludzi wiedzie ojczyznę, choć niemniej dobrze pojmowali, że Dyrekcyja biała, zdobywszy się na zebranie trochę grosza, nie będzie umiała go użyć i w szlacheckim braku spójności, tęgości a nadewszystko przedsiębiorczości, uledek musi naciskowi „hołyszów”, jednakże nie zrobili nic, żeby temu zapobiedz, nie zdobyli się na żaden męski i energiczny krok, ale tylko umieli sztychować z „pretensyi szlacheckich” i łamać po kątach ręce nad „szaleństwem demagogów”.

Tymczasem Dyrekcyja wprawdzie nie wiele zważała na dąsanie się „łyków”, ale usprawiedliwiała zupełnie przepowiednie tych ostatnich. Ukończywszy

swą organizacją, zgromadziwszy pieniądze, założyła, jak Bóg biblijny, rękę na rękę i odpoczywała po pracy urodzenia rachitycznego płodu. Widziała dobrze, (bo któż tego nie widział wtedy?), że Czerwoni siecią swej organizacji obejmują kraj cały, że zapowiadają blizkie powstanie, a jednak nie zapobiegała temu i w rezultacie nic nie robiła. Jak dalece gubiła się ona w drobiazgach, zajmowała się rzeczami małego znaczenia, rozkładała akcją na nieskończenie długie tempa, w chwili gdy ziemia drżała pod nogami, gdy głuchy ryk lwa, wstrząsającego pętami, rozlegał się już po pustyni nieszczęść polskich, świadczy między innymi ta okoliczność, że Dyrekcyja w tej porze zajęła się bardzo czynnie wyborami radców do Komitetu, i do Dyrekcyi głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które przypadały w kwietniu. Tłomaczono się tem przed sobą i innymi, że Komitet Towarzystwa jest niejako rozsądkiem przysyłanych członków Rady stanu, że trzeba zatem raz położyć koniec wyborom dokonywanym przez wzgląd na pokrewieństwo, przyjaźń, sąsiedztwo, na dobre obiady i śniadania, a natomiast powierzyć mandat ludziom, którzy prawdziwą korzyść będą mogli przynieść krajowi. Zamiary były niezaprzeczenie piękne, ale zużywać na ten cel, stosunkowo drugorzędnego znaczenia, tajną organizacją, było to strzelać z wielkiego fortecznego działa dla zabicia wróbla. Na nieszczęście Dyrekcyja, zorganizowawszy się z wielkim wysiłkiem, zebrawszy fundusze poważne, nie wiedziała, na co ich użyć, co ze sobą robić i rada była pierwszej lepszej sposobności, by pokazać, że coś działa. Potworzono więc po województwach komitety specyalne, które miały pokierować wyborami i zrobiono w rzeczy samej to, że spadł z urzędu prezes Piotr hr. Łubieński, który zajmował to stanowisko, bodaj czy nie od lat kilkudziesięciu, spadł Szamotulski i inni. Przypominało to stare przysłowie łacińskie o górze rodzącej mysz...

Była to zresztą woda na młyn Czerwieńców, którzy w tym względzie popierani przez dąsające się mieszczaństwo warszawskie, szydzili głośno z Dyrekcyi białej, obrzucali ją insynuacyami i podejrzeniami, ale w cichości nie ukrywali tego przed sobą, że Dyrekcyja ma nad nimi wielką przewagę przez to, że posiada pieniądze. Łokietek-Dąbrowski, dążący w sposób gwałtowny do jak najprędzszego powstania, widział niemożliwość wywołania go bez pieniędzy; czuł, że ten brak wszystkim jego zamiarom i nadziejom nieprzezwyciężoną stawia zaporę. Dla usunięcia tej zapory, dla zyskania pieniędzy, w które Biali obfitowali i nie wiedzieli, co z niemi robić, powziął myśl przeciągnięcia do Komitetu Czerwonych wybitniejszych członków organizacji białej. Ponieważ w ostatniej akcji, co do wyboru radców do Towarzystwa kredytowego, bardzo czynną i ruchliwą rolę odgrywał Aleksander hr. Krukowiecki, ponieważ w swych odezwanianach się i czynnościach zdradzał tu i owdzie przekonania czerwone, ponieważ na koniec nosił nazwisko, które słusznie czy niesłusz-

nie okryte było plamą, więc sądził Łokietek rewolucyjny, że najłatwiej go będzie można zyskać na swą stronę nadzieją rehabilitacji nazwiska, zachęcić do wzięcia udziału w ruchu. Niewątpliwie Dąbrowski pod tym względem dawał dowody przenikliwości, gdyż Krukowiecki nie był bez wpływów wśród członków Dyrekcyi, a później wzięciem udziału w powstaniu zbrojnym potwierdził to powszechne mniemanie, że pragnął oszkalowane swoje imię przywrócić do czci narodowej. Bądź co bądź Dąbrowski za pośrednictwem znanej całemu miastu z czynnego zbierania funduszy i odzieży dla wygnańców sybirskich i więźniów w cytadeli, pani Cw., zetknął się u niej z Krukowieckim wieczorem w dniu 10 kwietnia³³⁴, tym samym, w którym w kościele Świętojańskim rozegrała się opisana już przez nas demonstracja przeciw ks. Felińskiemu, na którego też pani Cw. rzuciła była kłutwę. Dąbrowski, który nie wymienił swego nazwiska, a był w mundurze oficera rosyjskiego, zamknął się w osobnym pokoju z Krukowieckim i oświadczył mu, że „stronnictwo ruchu pragnęłoby go, jako człowieka uczuć gorętszych i mającego wpływ między obywatelami, użyć w swej radzie, i ma nadzieję, że nie odmówi im tego i wejdzie do składu Komitetu”. Na to odrzekł Krukowiecki, że „nim poweźmie jakiegokolwiek postanowienie, musi przedewszystkiem poznać zamiary stronnictwa ruchu, jego środki i projekta; że z chwilą gdy je pozna i uzna za dobre, mogą z pewnością na niego liczyć, a w każdym razie, gdyby się nie zgodził na przystąpienie do ich Komitetu, mogą być pewni, że nikomu nie wyjawia ich tajemnicy”.

Wówczas Dąbrowski oświadczył, że mają zamiar w ciągu bardzo krótkiego czasu, może nawet za parę tygodni, w Wielki tydzień, tak pamiętny w dziejach polskich, wywołać wybuch zbrojny, że na naczelnika powstania chcą wezwać generała Mierosławskiego; że bez najmniejszej wątpliwości wezmą cytadelę bez jednego nawet wystrzału, gdyż w szeregach wojska rosyjskiego posiadają wielu sprzysiężonych oficerów i żołnierzy; że ze składów cytadeli posiadają broń, amunicję, ogromne słowem zapasy wojenne, ale że obecnie potrzebują pieniędzy, znacznych pieniędzy, że bez nich wszystko przepaść może, wszystko się skończy na nieszczęście ich samych i Polski. Dlatego to odwołują się do pomocy obywateli wiejskich w imię miłości kraju, w imię najświętszych obowiązków³³⁵.

Wszystko to wypowiadał Dąbrowski z zapałem, z żarem przenikających go uczuć, z wymową pełną ognia, słów silnych i obrazowych, z temperamentem płomienistym i nerwowym. Ale w niczem to nie wpływało na arystokratyczną powściągliwość i spokój Krukowieckiego. „Nie wiem, odrzekł chłodno, jak stoi w sprawie cytadeli sprzysiężenie, nie mogę więc sądzić o tem, ale zdaje mi

334 Pamiętnik Aleksandra hr. Krukowieckiego, rękopism, znajdujący się w zbiorach autora.

335 Loc. cit.

się, że chociażby udało się ją zabrać, to cytadela nie jest jeszcze krajem całym; a jakkolwiek widzę wielkie w kraju krzątanie się co do przeprowadzenia na prowincyi organizacyi i przygotowania umysłów, to uważam, iż termin dwutygodniowy jest za krótki; że obywatele wiejscy, o ile ich znam, nigdy się nie zgodzą na należenie do ruchu, jeżeli mu przewodzić ma generał Mierosławski. Można bowiem nie mieć wątpliwości co do jego talentów wojskowych, ambicyi osobistej, chciwości władzy, samolubstwa, to jednak nie ulega kwestyi, że do każdej sprawy, której on się dotknął, zawsze przywiązane było nieszczęście”.

Dodał w końcu, że niczego się nie podejmie, jeżeli nie będą spełnione dwa następujące warunki: naprzód, aby wybuch powstania nie nastąpił wcześniej jak za pół roku i to wtedy tylko, gdy organizacja tak w mieście, jak i wśród szlachty po wsiach rozszerzy się znacznie; powtóre, aby bezwarunkowo Mierosławski był wyłączony od naczelnictwa nad ruchem zbrojnym. Warunki te nie podobały się nadzwyczajnie Dąbrowskiemu; starał się wszelkimi siłami przekonać Krukowieckiego, że nie ma racyi domagać się ustępstw tak poważnych, ale ten został przy swem zdaniu. Rozstano się z widocznem obustronnem niezadowoleniem i Dąbrowski, wychodząc, obiecał tonem mówiącym, że tego nie uczyni wcale, iż uwiadomi o wszystkim swych kolegów, że ma nadzieję wyjednania u nich zgody na postawione warunki, i za parę dni „pana hrabiego” (wymówił to z naciskiem) o rezultacie uwiadomi. Owe parę dni minęło, Krukowiecki żadnej wiadomości, jak się spodziewać należało, nie otrzymał, i na tem w tej chwili pertraktacye się urwały³³⁶.

Ten brak pieniędzy oddziaływał w ogóle zabójczo na czynności i nadzieje Czerwonych. Trafiali oni w poszukiwaniu grosza i do bankierów warszawskich, zwłaszcza do Kronenberga, ale wszędzie napotykali odmowę, nikt nie chciał dać nawet złamanego szeląga na „szalone, jak mówiono, zamysły”. Przytem teraz właśnie, w kwietniu, przyszły jak najgorsze wiadomości z Litwy, które ochłodzić musiały najzapaleńsze głowy, ale nie głowę Łokietka, pędzonego ku zgubie przez urocze oczy kochanki. Wiadomości owe przywiózł ze sobą, jeden z czynniejszych członków Koła oficerskiego w Petersburgu, Ferdynand W***. Gdy Koło to, wskutek rozjechania się większej części jego członków, nieomal zupełnie się rozpadło, więc i W*** postanowił udać się do Warszawy, gdzie był główny punkt ciężkości całej akcyi i dokąd wreszcie zachęcano go z Kijowa, by jechał³³⁷.

Polecano mu przytem, ażeby po drodze w Wilnie i Grodnie porozumiał się z miejscowymi komitetami, jeżeli je tam znajdzie, a jeżeli nie, to z wybit-

336 Loc. cit.

337 Pamiętniki Ferdynanda W*** (rękopism).

niejszemi osobistościami, które mu wskazano. Zatrzymał się więc naprzód w Wilnie, gdzie bawił cały tydzień u kapitana sztabu jenerałnego Ludwika Zwierzdowskiego, który miał z czasem w powstaniu zbrojnym zasłynąć pod pseudonimem Topora i tragiczną śmiercią zakończyć swój żywot burzliwy. W*** w czasie tego pobytu w Wilnie, z rozmów ze Zwierzdowskim i drugim agitatorom wileńskim, Franciszkiem Dalewskim, przekonał się, że pomimo usilnych zabiegów obu tych panów i ich popleczników, Litwa nie chce powstania i żadnych przygotowań do niego nie czyni; że wprawdzie wśród oficerów wojsk konsystujących w Wilnie samem i na Litwie, tu i owdzie istnieje pewne porozumienie, ale liczba tych oficerów jest tak mała, propaganda tak słaba, że długiego jeszcze czasu trzeba, by z tego zasiewu jaki taki owoc mógł wyrósć³³⁸. Jednem słowem zamiary Dąbrowskiego i Komitetu miejskiego wybuchnięcia w Wielki czwartek, w słynny Kilińskiego Wielki tydzień polski, są poprostu szaleństwem.

Takież samo przekonanie wyniósł poseł ze swego pobytu w Grodnie. Przedstawiciele, jak się zdaje, jedyni Komitetu miejscowego, lekarze: Zabłocki i Ciechanowski oświadczyli, że wprawdzie organizacja dziesiątka się rozwija, ale niezmiernie powoli; że do rychłego powstania żadnych przygotowań nie ma, i że zatem mowy nawet o niem być nie może. Lepszą nieco otuchę znalazł W*** w Sokółce, w puszczy Białowiezkiej, dokąd z porady Zwierzdowskiego skręcił. Tam czynnym agitatorom i spiskowcem, dążącym gwałtownie, podobnie jak Dąbrowski, do powstania, był niejaki Walery Wróblewski, wyższy urzędnik leśnictwa, głośny z czasem tak w samem powstaniu, jak i w wojnie komuny paryskiej. Wszyscy podwładni Wróblewskiego w tej puszczy olbrzymiej, po większej części drobna szlachta lub chłopci mazurscy, ożywieni duchem niezależności, który po tych dziewiczych nieomal borach zdawał się unosić, starą tradycją wreszcie, wspomnieniami Hajnówki, gdzie ułani polscy przed laty trzydziestu trawowali kolumny moskiewskie, byli jak najgorętszymi patriotami.

Nie rozróżniali oni żadnych, stronnictw, nie wiedzieli, co to są Biali lub Czerwoni, nie zastanawiali się, jaki będzie rezultat, ale z ofiarnością tych części polskiego ludu, które mają pojęcie o ojczyźnie, gotowi byli iść do rozpaczliwego boju za tę ojczyznę i do położenia swych ciał na przełaj wrogowi. Żywił taki dawał materyał nieoceniony i jedyny. Doskonali strzelcy, zaopatrzeni w broń, chmurni i milczący, jak chmurną i milczącą była puszcza, w której żyli, dali się Wróblewskiemu uorganizować szybko i sprawnie i zdołali już w tej porze nagromadzić po nieprzebytych uroczyskach boru znaczne zapasy broni

338 Loc. cit.

i amunicji³³⁹. Tu powstanie każdej chwili zerwać się mogło i znalazłoby setkę rąk dzielnych i serc niemniej walecznych. Ale Białowieża to jeszcze nie Polska cała i nie cała ojczyzna.

Wprawdzie poseł jadąc dalej zawadził i o Białystok, gdzie ultraczerwony agitator miejscowy, Bronisław Szwarce³⁴⁰, inżynier przy budowie drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, zapewniał go o znacznych przygotowaniach, czynionych jakoby w okolicy do powstania, ale już sama gwałtowność tych uniesień, pewność tryumfu, świadczyła, że więcej w tych twierdzeniach jest przesady, dobrych może chęci, jak prawdy. W ogóle, z przejażdżki swojej spiskowiec petersburski wyniósł to przekonanie, że o powstaniu nie ma co myśleć w tej chwili, że przynajmniej Litwa stanowczo w niem udziału wzięć nie może.

Gdy więc, przybywszy do Warszawy uwiadomił o tem oficerów spiskujących i Komitet miejski, wielu ochłódło od razu, tylko nie Dąbrowski. Ten tak spokojny w Petersburgu, tak, zdawało się, rozumny Łokietek, rwał się teraz do wybuchu jak człowiek szalony lub opętany. Zapewniał on opowiadającego mu o swej podróży W***, że Królestwo jest zupełnie gotowe do powstania, że sprzysiężonych jest więcej niż potrzeba, że są pieniądze, zapasy broni i amunicji, że zatem nie ma żadnego powodu do odkładania wybuchu³⁴¹. Wiemy już, że wszystko to było kłamstwem, że nic nie było i że Dąbrowski wszelkimi siłami starał się o wydobycie skądbydz pieniędzy. O tem miał się sam W*** wkrótce przekonać.

Pewnego dnia, w końcu kwietnia lub na początku maja, bo zamysł wybuchu w Warszawie w Wielki czwartek musiał Dąbrowski porzucić, zjawił się on u W*** z gorącą prośbą, ze zwykłą sobie namiętną wymową, ze wszystkimi zakłęciami na najświętsze rzeczy, ażeby, jako mający stosunki i znajomości w intendenturze wojskowej, dowiedział się, kiedy będzie powracał z Petersburga urzędnik intendentury, wiozący ze sobą dwa miliony rubli w gotówce, przeznaczone na potrzeby wojska, stojącego w Królestwie. O przyczynach tej osobliwszej ciekawości Dąbrowski nic nie mówił, ale najmniej przenikliwy człowiek mógł z łatwością odgadnąć, o co idzie. Otóż W*** obrażony tem skrywaniem przed nim zamysłu, nie chcąc być ślepem narzędziem Dąbrow-

339 Loc. cit.

340 Nazywał się Szwarce nie Szwarz, jak go cytują wszystkie relacje piśmienne i drukowane tej epoki. Szwarce nie Szwarz podpisywał się na haniebnym pamflocie, który wydał we Lwowie 1894r. p. t. „Wydawnictwo materyałów do historii powstania 1863-64 r.”. Pamflet ten jest to rzadki specymen niepoprawnego zaciętrzewienia, zdumiewającego braku logiki i rozumu, oraz karygodnej lekkomyślności. Całe szczęście, że takich głupstw nikt już dziś nie czyta.

341 Pamiętnik Ferdynanda W***.

skiego (jak się sam wyraża)³⁴², wszelkiej pomocy w tak ciemnej i zagadkowej sprawie odmówił. W rzeczy samej szło o to, by na owego urzędnika, wiozącego ze sobą tak znaczne fundusze, uczynić w miejscu odpowiednim zasadzkę, pieniądze zabrać i pozyskać na koniec ów upragniony motor, który drzemiące powstanie miał wzbudzić i naród rzucić do krwawej i rozpaczliwej walki o niepodległość.

Odmowa W*** i ten projekt uczyniła bezpłodnym, ale nie zraziła bynajmniej Dąbrowskiego i jego energii nieprzełamanej. Mając wszechwładną przewagę w Komitecie miejskim, zrezygnowawszy na chwilę wobec niepokonanych trudności z wywołania natychmiastowego powstania przez zdobycie cytadeli warszawskiej, powziął myśl silniejszego i porządniejszego uorganizowania całego spisku. W tym celu wyznaczono komisją specjalną, do której powołano setników i tysiączników, która uradziła podzielić miasto na cztery wydziały (później było ich pięć), a nad każdym z nich stał t. z. wydziałowy. Wydziały rozpadały się na okręgi z okręgowymi na czele, a te na sekcje i rewiry. Najniższa jednostka administracyjna: rewir, obejmował zwykle kilkanaście, rzadziej kilkadziesiąt domów. Organizacja ta była bardzo mądrze i bardzo wytrawnie obmyślana, zdaje się według wzorów francuskich, znacznie jednak udoskonalonych. Naczelnicy rewirów, czyli krócej rewirowi, obowiązani byli mieć w każdym domu kogoś należącego do organizacji i wiedzieć tym sposobem wszystko, co się gdziekolwiek dzieje, kto mieszka i co robi³⁴³. Oczywiście to wykończenie administracji nie od razu nastąpiło, gdyż nie wszędzie i nie zawsze można było znaleźć ludzi odpowiednich; zresztą tego rodzaju rzeczy nie improwizują się, ale tworzą powoli i mozolnie. Wszelako zarys główny, szkielet budowy był gotowy i z czasem wypełnił on się ciałem i przyjął tak silnie, że gdy wszystko runęło i rozpadło się, ta organizacja najdłużej przetrwała. Jeżeli nawet wierzyć można niektórym doniesieniom, to przy reformie policji rządowej w Warszawie za namiestnictwa Berga, brano wzory z organizacji powstańczej.

Dla nadania jednolitości w działaniu całej tej szerokiej maszyny administracyjnej, Dąbrowski zaproponował Komitetowi, by utworzono stanowisko Naczelnika miasta, któremu podlegać miała wszystka organizacja miejska.

Komitet nie przeczuwając zgola, że takie stanowisko stać się może dla niego samego bardzo niebezpiecznym, już przez to, że Naczelnik, trzymając w swem ręku ustrój miejski, posiadał zarazem siłę rzeczywistą i mógł narzucać swą wolę nawet Komitetowi, choć ten *de jure* był jego zwierzchnikiem, chętnie się na to zgodził, przyczem popełnił drugi błąd, że w zasadzie posta-

342 Loc. cit.

343 Tomasz R. Pamiętniki, oraz podania ustne.

nowił, iżby zawsze Naczelnik miasta był członkiem Komitetu. Naczelnik wraz z czterema wydziałowymi miał stanowić Radę miejską, której z urzędu był prezesem. W Radzie tej wszelkie sprawy miały być rozstrzygane prostą większością głosów³⁴⁴. Zrazu Dąbrowski zaproponował Komitetowi, ażeby stanowisko Naczelnika miasta powierzyć, znanemu nam już, Ferdynandowi W***, ale Komitet zniechęcony do niego odmową w sprawie napadu na urzędnika intendentury, wiozącego miliony, lękając się przy tern jego stanowczego i nieuległego charakteru, zgodzić się na to nie chciał³⁴⁵. Wobec tego Naczelnikiem miasta został Łokietek-Dąbrowski. Stało się to w ostatnich dniach kwietnia lub na początku maja.

Takie urządzenie Warszawy nadało nagle Komitetowi miejskiemu pewną siłę i spójność, mimo to czuł on dobrze, a zwłaszcza czuł to Dąbrowski, że dopóty nie zdoła on owładnąć całym spiskiem, dopóki istnieć będzie Komitet akademicki, który tworzył własną organizacją i paraliżował tym sposobem wykonanie tak dobrze obmyślanego ustroju miejskiego i przeszkadzał jego rozwojowi. Trzeba było raz temu koniec położyć i albo akademików do siebie przyciągnąć, zagarnąć ich, albo też zmusić do rozwiązania się. W tym celu skorzystano z tej okoliczności, że Leona Królikowskiego łączyły związki pokrewieństwa z jednym z najzapaleńszych członków Komitetu akademickiego, Zdzisławem Janczewskim (siostra rodzona Janczewskiego była żoną Królikowskiego), wskutek czego ten ostatni często bywał w domu szwagra.

Ten ciągle mu przekładał, że takie rozdwojenie ludzi dobrej woli i do jednego celu dążących bezwarunkowo szkodę wspólnej sprawie przynosi; że trzeba się koniecznie połączyć, obie organizacje zlać w jedno i działać siłami wspólnymi; że oprócz rządu mają jeszcze wroga domowego w osobie Dyrekcji białej, która posiadając organizacją jednolitą i pieniądze, łącno ich, rozdwojonych, pokona; że słuszną na koniec jest rzeczą, by Komitet akademicki, jako złożony z ludzi młodych, poddał się starszym i więcej mającym doświadczenia. Zdania te powtarzali akademikom i inni, przemawiali do nich w imię tej ojczyzny nieszczęśliwej, do wyswobodzenia której trzeba przedewszystkiem jedności w myślach i działaniu. „Niech nie powiedzą, wołał Dąbrowski, co ciągle o nas mówią, że gdzie dwóch Polaków, tam jest trzy zdania”. Czas wielki pozbyć się strasznej wady, która paraliżuje i niszczy najtęższe wysilenia narodowe.

Słowa te nie padały na grunt opoczysty; ilekroć szło o dobro ojczyzny, to wszyscy ci ludzie, niezaprzeczenie kochający ją gorąco, acz po swojemu, gotowi byli do wszelkich ofiar i wszelkich poświęceń. Zdołano wreszcie w końcu

344 Loc. cit.

345 Ferdynand W*** Pamiętniki.

maja³⁴⁶ rzeczy doprowadzić tego, że obie strony zgodziły się na wyznaczenie deputatów, którzy mieli ostatecznie sprawę całą ułożyć. Postanowiono, by deputaci zeszli się u Witolda Marczewskiego, inżyniera naczelnego drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, mieszkającego w pobliżu dworca w alei Jerozolimskiej, człowieka młodego, pełnego zapału, mającego swe stosunki w obu odłamach agitacji i do pewnego stopnia bezstronnego, ponieważ nie należał do żadnego z dwóch Komitetów. Był to inżynier bardzo uczony, ale w swej specjalności tak zasklepiony, że o przedmiotach politycznych i społecznych najmniejszego nie miał pojęcia.

Ze strony akademików stawili się wszyscy członkowie ich Komitetu, a więc: Milowicz, Maleszewski, Janczewski, Daniłowski i Kamiński; ze strony organizacji miejskiej, oprócz Marczewskiego, jako gospodarza, przybyli: Leon Królikowski, Stanisław Matuszewicz, młody Julian Wereszczyński, zapalony Franciszek Godlewski, znany nam już z czasów demonstracji, w dniu 10 kwietnia aresztowany w kościele św. Jana, skazany do rot aresztanckich, ułaskawiony w drodze i powrócony do kraju³⁴⁷, Jarosław Dąbrowski, Ignacy Chmieleński, Edward Kokosiński, Bronisław Szwarce, który przybył z Białegostoku już na stałe do Warszawy i od razu bardzo czynną w niej rolę odgrywać zaczął, dwaj bracia Rolscy: Józef i Edward, niemniej od innych zapaleni zwolennicy powstania natychmiastowego, Rafał Krajewski, Sybirak, stary i wytrawny spiskowiec, z czasem członek ostatniego rządu Traugutta, tragiczną swoją śmiercią na szubienicy głośny, wreszcie Marcin Borelowski, znany nam już studniarz warszawski z drukowania w roku 1861 „Pośłania mieszkańców miasta Warszawy”, zajmujący w organizacji stanowisko tysiącznika, a później wydziałowego, człowiek nadzwyczaj czynny, mający w rok potem zasłynąć w powstaniu zbrojnym jako dowódca pod pseudonimem Lelwela³⁴⁸. W ogóle zebrało się 18 osób, wśród których ogromną większość, bo trzynastu, stanowili członkowie Komitetu miejskiego lub organizacji, stojącej pod jego kierownictwem. Ta garść ośmnastu młodych ludzi, bez imion, bez stanowisk, bez zasług żadnych w narodzie, nikomu nieznanym, nieupoważnionych przez nikogo, miała decydować o losach całego kraju, o jego przyszłości, bycie, o wszystkim. Zaprawdę dziwne czasy, osobliwsze pojęcia, bez

346 N. Berg, *Zapiski* II, 255, powiada, że Komitet miejski w d. 20 maja wydał odezwę p. t. „Głos z Warszawy”, który miał być jego gazetą urzędową. Pisma tego nie znamy i na ślad jego nigdzie natrafić nie mogliśmy. Sądzymy, że jest to jakiś błąd czy nieporozumienie i istnienie tej gazety uważamy za wątpliwe. W Bibliografii Estreichera znajduje się wiadomość o pisemku pod tymże tytułem, ale to ukazało się w r. 1864.

347 *Pamiętka dla rodzin polskich* — dodatek, 18.

348 N. Berg, *Zapiski* II, 256.

przykładu w historii i możliwe tylko w Polsce, w której ciężka, krwawa walka o byt narodowy, ucisk niepraktykowany wywołały taką anomalią społeczną, takie lekkomyślne podejmowanie na swe barki olbrzymiej odpowiedzialności.

Pomimo znacznej swej mniejszości, akademicy, od których żądano pełnego rozwiązania swego komitetu, ustąpić nie chcieli. Zebranie było nadzwyczaj burzliwe; wszystkie namiętności polityczne, doprowadzone przez gorączkę czasu do najwyższego napięcia, wybuchły jak wulkan płomienisty; nie szczędzono się wzajemnie, obrzucano obelgami, mianem zdrajców kraju, wyzywano się do walki, zapomniano o ojczyźnie, a myślano jedynie o tryumfie swych ambicji osobistych, swego ja, swej prywaty, jakby powiedział dawny statysta polski³⁴⁹. Dzięki na koniec umiarkowaniu Marczewskiego, a głównie Krajewskiego, zrywająca się burza uspokoiła się powoli i zażądano od akademików, jako młodszych i w mniejszej będących liczbie, aby podali swój projekt, co czynić należy, gdyż istnienie dwóch komitetów wyraźną przynosi krajowi szkodę. Wobec tego akademicy zaproponowali, jako rzecz ich zdaniem najślusniejszą i godzącą od razu wszelkie sprzeczności, ażeby uznać oba Komitety za nieistniejące i z pomiędzy zebranych w mieszkaniu Marczewskiego przez wotowanie tajne, prostą większością głosów, wybrać nowy Komitet, złożony z pięciu osób³⁵⁰. Ale członkowie Komitetu miejskiego, zwłaszcza Dąbrowski i Chmieleński, w żaden sposób na to zgodzić się nie chcieli. Komitet miejski, twierdzili, jest ciałem wyrosłym z łona organizacji miejskiej, powstał z wyborów, jest mandataryuszem kilku tysięcy obywateli związanych nicią sprzysiężenia; on więc ustępować, ani rozwiązywać się nie może. Co innego Komitet akademicki; reprezentuje on jedną tylko szkołę, garść młodzieży, która nie może sobie rościć praw do rządzenia krajem; zresztą jako młodzi, powinni starszym ustąpić, nie bruździć i działalności ich nie paraliżować.

Na to akademicy odpowiadali, że wszystko to może być prawdą, nawet nią jest, ale oni mają w swym ręku siłę, gdyż większą część organizacji dziesiętnej wytworzyli i urządzili jak należy, że ta organizacja jest im posłuszną, więc nie widzą żadnej racji ustępować i nie ustąpią. Opór ten wywołał nową burzę, nowe obelgi, nowe oskarżenia, i w rezultacie narada rozeszła się, nic nie postanowiwszy, w nadzwyczajnem podnieceniu umysłów i wzajemnej do siebie nienawiści.

Wszelako wszyscy ci ludzie widzieli to doskonale, że taki stan trwać nie może i bądź co bądź trzeba się jakoś porozumieć z akademikami, którzy posiadając istotnie większą część organizacji miejskiej w swym ręku, dla zamysłu Dąbrowskiego, wywołania powstania, mogli być przeszkodą nieprze-

349 Z podań ustnych od niektórych osób, będących na tej naradzie.

350 N. Berg, loc. cit.

łamaną. Jeżeli bowiem akademicy, a co zatem idzie i kierowana przez niech organizacja nie będzie chciała powstania, to z tą garścią spiskowców, którzy podwładnymi byli Komitetowi miejskiemu, z niesfornymi szczątkami Koła, nawet marzyć o tem nie można. W takim położeniu rzeczy Dąbrowski, jeszcze raz za staraniem Królikowskiego, dzięki wreszcie własnym zabiegom i usiłowaniom, zdołał zgromadzić te same co i poprzednio osoby na nową naradę w mieszkaniu Marczewskiego, w pierwszych dniach czerwca. Zebranie było teraz o wiele spokojniejsze; akademikom, umysłem młodszym, sercom bardziej gotowym do ofiar, zdołano wpoić to przekonanie, że na ołtarzu ojczyzny trzeba nieraz poświęcić najśluszniesze nieraz prawa; przyznano im, że się bardzo wiele przyczynili do rozszerzenia organizacji, że mają w swym ręku siłę, ale zakłęto ich na miłość Polski, by ustąpili. Dla załagodzenia wahających się, ale rozżalonych jeszcze mocno, przyrzeczono im, że jednego z pomiędzy nich, przez nich samych wyznaczonego, przyjmą do składu Komitetu miejskiego. Wobec tego nie bez żalu, nie bez wybuchów i oskarżeń, akademicy ustąpili i Komitet swój rozwiązali. Nowy więc Komitet, już teraz do pewnego stopnia samowładny pan ruchu, złożył się z osób następujących: Witolda Marczewskiego, u którego wszystkie te spory i narady się odbywały, którego zatem z porządku rzeczy należało powołać do ciała, wieść mającego naród ku powstaniu, Ignacego Chmieleńskiego, Jarosława Dąbrowskiego i studenta akademii medycznej Władysława Daniłowskiego, którego sami akademicy wyznaczyli³⁵¹. Zwycięstwo więc było zupełne po stronie Komitetu miejskiego; nie tylko że zmusił swego niebezpiecznego współzawodnika do ustąpienia z widowni spisku, ale zaledwie jednego akademika, jakby z łaski, przyjął do swego składu. Dąbrowski, który już od dawna odgrywał w sprzysiężeniu rolę pierwszorzędą, w tym nowym Komitecie zajął także stanowisko dominujące. Został więc jego prezesem, rozstrzygającym we wszelkich kwestiach w razie równości głosów, a będąc zarazem Naczelnikiem miasta, wszystką władzę, jeżeli można ją tak nazwać, skupił w swym ręku.

I do pewnego stopnia słusznie mu się to należało, gdyż właściwie on to wszystko zrobił, on, dzięki swej energii niezmordowanej, podniósł nic nie znaczący, szamoczący się naprzód z Kołem, a potem z akademikami, Komitet na pierwszorzędne, zwierzchnie stanowisko; on zmusił akademików do ustąpienia, on stworzył naczelnictwo miasta, on organizacji miejskiej nadał spójność i jednolitość. Dzięki tej energii i przedsiębiorczości, dzięki wieściom o spisku w wojsku, który jakoby on zawiązał³⁵² i nim kierował, wyrobił sobie

351 Loc. cit. II. 258, oraz Ustimowicz, Zagowory, 85.

352 A. Giller II, 93, powiada, że Dąbrowski „założył spisek pomiędzy oficerami moskiewskimi”, co jest oczywistą przesadą i fałszem. Naprzód, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu,

wśród młodzieży wpływ znaczny; powszechnie wierzono w jego talenta wojskowe, w jego czynność i dzielność.

Wszak nie można było pomijać człowieka, który miał w ręku tak potężne, tak doniosłe, tak zgubne dla caratu narzędzie jak spisek wojskowy, o którym sam Dąbrowski mało mówił, zbywał cywilnych półsłówkami, ale domyslać się kazał wiele. Przytem w stosunkach z kołami rewolucyjnymi zachował on pewną umiejętną, widocznie obmyślaną taktykę, która jak najlepsze dlań przyniosła owoce. Wszędzie bowiem, we wszystkich sferach i odcieniach ruchu miał stosunki i wpływy. Z umiarkowańszymi był umiarkowany w poglądach, nadziejach i celach; z najgwałtowniejszymi rewolucjonistami był gwałtowny, ultraczerwony i dyszący tylko krwią. Wiemy już, że trafiał i do stronnictwa Białych; znał się i często widywał z Karolem Majewskim i Jurgensem. Jednem słowem wszędzie był obecny, wszędzie umiał się wkręcić, stać koniecznym. Nawet najumiarkowańsi, najprzenikliwsi uważali go za siłę, z którą liczyć się należy. Ludzie doświadczeni jak Krajewski, Godlewski i inni, spostrzegając, że Dąbrowski lubi działać na wzór wszystkich rewolucjonistów na własną rękę, radzili ująć go w karby, trzymać ciągle na oku. To też choć tu i owdzie niechętnie go widziano, ale się z nam rachowano jak z prawdziwą siłą i nic bez niego nie poczynano, choć on wiele rzeczy robił bez wiedzy innych. Ta mała, drobna, ruchliwa postać, zawsze w mundurze kwatermistrzostwa rosyjskiego, ten blondynek nikły, wątły, żyjący zda się tylko nerwami, stał się teraz najwybitniejszą postacią spisku, jego dyktatorem nieomal, jego osią i motorem.

Sam on może działał i nie wolno nam wątpić, działał w najlepszej wierze, podniecany tą gorącą, ale nieopatrzoną miłością ojczyzny, tem usposobieniem ludzi zaślepionych jedną myślą, którym się zdaje, że oni najlepiej widzą i najtrafniej sądzą o rzeczach. Jak każdy zresztą spiskowiec przeceniał własne i spisku siły. Akcja odbywająca się w tajemnicy, w skrytości, w cieniach nocy społecznej, przybiera zwykle większe niż posiada w naturze rozmiary, podobnie jak gmachy, które w zmroku wydają nam się o wiele wyższe i potężniejsze, niż są w istocie. To złudzenie optyczne oślepiło także Dąbrowskiego i jego towarzyszy. Nigdy oni nie wiedzieli dokładnie i wiedzieć zresztą nie mogli, ilu właściwie ludzi należy w kraju i w Warszawie do organizacji. Obejmując po Komitecie akademickim jego nici organizacyjne, uwierzyli do pewnego stop-

nie było wcale spisku, była tylko propaganda rewolucyjna, która w wojsku konsystującym w Warszawie, Petersburgu, Moskwie, Wilnie i Kijowie istniała od dawna i Dąbrowski jej wcale nie „zakładał”. Wytworzył ją nowy duch czasu, liberalizm zainaugurowany przez Aleksandra II, a najgłośniejszy „Koło koł” Hercenowski, który młodzież rosyjską chciwie czytała. Dąbrowski w Warszawie zastał już tę propagandę i nadał jej tylko charakter gwałtowniejszy, bardziej zdecydowany, czem sprowadzał katastrofę opłakaną.

nia przesadzonemu twierdzeniu młodzieży, że jest 175 tysięcy sprzysiężonych. A choć cyfra ta wydawała się zbyt wielką, choć odtrącali na przesadę jakie 75 tysięcy, zawsze pozostawało co najmniej sto tysięcy obywateli, gotowych na wszystko, którzy czekają tylko hasła, by zerwać się i szarańczę moskiewską wygnać na złamanie karku. Z taką siłą, przy wiele obiecującym sprzysiężeniu wojskowemu, można już coś przedsięwziąć, a nawet trzeba. Spisek, do którego należy tak wielka, tak olbrzymia ilość ludzi, który ma swe odnogi w wojsku, zawsze groźne i obosieczne, nie może długo istnieć bez wyraźnego niebezpieczeństwa, albo zdrady, albo strawienia się w samym sobie. Jeżeli zaś to drugie nastąpi, to cóż się stanie z Polską, z ofiarami jakie poniosła, z entuzjazmem narodowym, ze wszystkim?

Takie pytania i takie wywody przedstawił Dąbrowski towarzyszom na pierwszym posiedzeniu nowego Komitetu. Dla dodania mocy swym argumentom powoływał się wreszcie na sympatyę, jaką budzi sprawa polska zagranicą, na zachodzie, we Francji, gdzie dzienniki nie przestawały o niej mówić, a w parlamentach deputowani przy każdej sposobności podnosili jej prawa. Jakże się pod tym względem ludzi, jak zwodnicze żywił nadzieje! Wprawdzie najpoważniejsze dzienniki francuskie i angielskie nieustannie drukowały obszernie artykuły o Polsce, które prasa galicyjska i poznańska skwapliwie tłumaczyła, a „Dziennik powszechny” miał powód do niesmacznej, stronnej i ze złą wiarą prowadzonej polemiki; wprawdzie w izbach francuskich i w parlamencie angielskim dość często rozprawiano o Polsce, ale wszystko to nie miało głębszego znaczenia, było platonicznem i, jak zwykle, bezowocnem uznaniem praw niezaprzeczonych narodu polskiego do życia samoistnego. Z tych górnych sfer miłosnych zachwyków pszczoła polska, otoczona rojem brzęczących szerszeni, nie miała wrócić zapłodnioną niestety! W lutym, w senacie francuskim pan Larabit, który „o mało nie znalazł śmierci w wodach Elstery wraz z księciem Poniatowskim”, odwołał się w kwestyi polskiej do „szlachetnych uczuć cesarza Aleksandra II”; zaznaczył, że Francja nie chce wcale wyzywać Rosyi, jednakże ze względu na przymierze, zapewniające pokój Europie, Francja „ma prawo żądać od monarchii rosyjskiej łaski i opieki dla nieszczęśliwego narodu, który bohatercko pozostaje wiernym swej religii i narodowości” Mowę swą p. Larabit zakończył słowami: „pokładam nadzieję w charakterze i wspałości myślności Aleksandra II”. To było wszystko. Łudzić się więc nie można było, by rząd Napoleona III chciał w tej chwili cokolwiek zrobić dla Polski. Artykuły dziennikarskie, broszury sentymentalne, były do pewnego stopnia wyrazem opinii narodowej, ale od tego rodzaju taniej kondolencji do akcji czynnej, do interwencji w sprawie polskiej, było jeszcze bardzo daleko. Broszura hr. Montalemberta, która się w tej porze ukazała pod szumnym ty-

tułem: „Naród w żałobie”³⁵³, pełna czułościowości i patosu sztucznego, robiąca na ludzi tej epoki z gruntu sentymentalnych wielkie wrażenie, i zdając się być wyrazem opinii narodu francuskiego, utrwałała we wszystkich to przekonanie, że Francja, z chwilą wybuchu powstania, zmuszona będzie podać mu zbrojną pomoc. Ponieważ łatwo wierzymy temu, co chcemy żeby się spełniło, więc nie dziw, że Dąbrowski na tych nikłych i słabych oznakach sympatii budował całe rusztowanie oswobodzenia kraju z pod władzy obcego najazdu.

Niemniej wątpliwem było poparcie ze strony Anglii, o którym Dąbrowski także marzył i mówił.

Dzięki niezmordowanym usiłowaniom emigracji polskiej, od czasu do czasu, jakiś namówiony przez nią poseł lub lord, interpelował rząd w parlamencie w sprawach polskich. Taką interpelacją, do której emigracja i rewolucyoniści polscy wielką wagę przywiązywali, wniósł w marcu lord Carnavon. W odpowiedzi na tę interpelację lord Russel w d. 27 marca zaznaczył, że ustępstwa, udzielone Polsce przez cesarza Aleksandra, uważać należy „jako specjalnie zawarte w warunkach zobowiązań europejskich”, że „nie tylko powinniśmy mieć wzgląd na okoliczności, które skłaniają nas do patrzenia na Polskę ze współczuciem, ale musimy mieć na uwadze rzeczywiste zamiary rządu rosyjskiego i spodziewać się po nich tego, czego spodziewać się można”. Mówiąc o stanie wojennym, zaprowadzonym w Królestwie, tak się wyraził: „sądzę, że niepodobna obcemu rządowi, ani komukolwiek bądź ściśle określić sposobów, jakie inny rząd ma przedsięwziąć dla zapewnienia sobie spokojności wewnętrznej. Czy te środki będą przedsięwzięte w Warszawie, czy w Węgrzech, czy w Stanach Zjednoczonych amerykańskich z tamtej strony Atlantyku, jak tylko nakazujący je rząd oświadcza, że są konieczne dla zapewnienia posłuszeństwa prawu i zabezpieczenia państwa i społeczeństwa, sądzę, że powinno się mieć przekonanie, iż rząd ten wie lepiej od kogokolwiek bądź, co jest koniecznem dla jego spokojności wewnętrznej. Zatem do rządów zagranicznych nie należy interwencja w tym względzie”. Na pociechę jednak polityków polskich lord Russel oznajmił w końcu, że rząd Rosji wkrótce stanie się liberalnym, musi więc takimże być i w Polsce. „Zakończę, jak zacząłem, mówił dalej, oświadczając, że nic tak mnie, jak i zbiorowo całemu gabinetowi nie mogłoby sprawić większej przyjemności, jak panowanie w Polsce szczęścia i pokoju, lecz sądzę, że żadna bezpośrednia interwencja, a jeszcze mniej ciągłe uwagi, czynione rządowi rosyjskiemu, nie odniosłyby pożądanego skutku”. Było to więc bardzo wyraźne i bardzo jasne, a „Times” angielski akcentował to jeszcze mocniej, wołając z udaną znajomością dziejów naszych, że „gdybyśmy nawet

353 Wyszła w przekładzie polskim, w małym formacie u J. Himmelblana w Krakowie.

mogli wskrzesić dni Bolesława Wstydliwego, lub innego jakiego wielkiego króla polskiego, choćby tylko pożyczaniem jednego pułku, jednej fregaty, to nigdy nie zrobilibyśmy tego”. Wprawdzie w kilka dni potem, w tymże samym parlamencie, lord Palmerston, d. 4 kwietnia mówiąc o Polsce i Rosyi, z erudycją zadziwiającą w tak wysokim dostojniku i świadczącą o jego literackiem czytaniu, przypominał swym słuchaczom bajkę o podróżniku i jego płaszczu. „Im przykrzejszy wiatr północny dął gwałtownie i zrywał odzienie podróżnika, tem bardziej ścisnął on je koło siebie i starał się utrzymać”. Polacy, ze „swą niezłamaną, niestłumioną, niewyczerpaną miłością ojczyzny”, są podobni do owego wędrowca z bajki, którego jednak ostrzedz należy przed „niebezpiecznemi złudzeniami i zgubą, grożącą mu, z powodu zbyt przyspieszonego pochodu”. Przypominał więc owemu podróżnikowi, że w innej epoce, za czasów Napoleona I-go, mylił się, licząc na to, że „promień słońca” rozświeci mu drogę i pomoc przyniesie, że w owej epoce „przywrócenie Polski nie zgadzało się z polityką francuską”, co znaczyło, że Polacy nie powinni i teraz opierać swych nadziei na Francyi. Wreszcie premier gabinetu angielskiego najuroczyściej zapewniał, że Anglia nie ma zgoła zamiaru walczenia z owym „przykrym wiatrem północnym”³⁵⁴.

Wszystkie te mowy, zbyt jasne co do swej tendencji, by jakkolwiek wątpliwość mogły budzić, były wyłącznie wygłaszane pod adresem Anglii i Francyi; Polska zaś była w nich tylko kanwą, którą po wyszczeniu obrazu wypruwa się i na bok odrzuca. I tak też je rozumieli wszyscy ludzie trzeźwiejsi i chłodniejsi i nie mieli pod tym względem żadnych złudzeń. Wiedzieli oni dobrze, iż Polska w polityce europejskiej od dawna już odgrywa rolę narzędzia, które zręcznie użyte, dotkliwie rany zadawać może, ale po ich zadaniu składa się między stare rupiecie, by przy zdarzonej okoliczności, naostrzywszy je dobrze, znowu chwycić gwoździ naszego użytku.

Wszyscy o tem wiedzieli, tylko nie rewolucyoniści warszawscy w rodzaju Dąbrowskiego, Chmieleńskiego i ich satelitów. W domaganiu się rychłego powstania opierali się w znacznej części na nieuniknionej jakoby interwencji mocarstw zachodnich. Dość, że wszystkie te przyczyny, wypowiedziane bardzo wymownie, z gorącym przekonaniem i wiarą, tak wpłynęły na członków Komitetu, których zresztą nie bardzo trzeba było przekonywać, że na pierwszym swem posiedzeniu przyjęli wniosek Dąbrowskiego, ażeby powstanie naznaczyć na dzień 14 lipca 1862 roku³⁵⁵. Plan tego powstania, jaki Łokietek

354 J. Kłaczko *Études de la diplomatie contemporaine*, 35.

355 Ustimowicz, *Zagowory*, 85, utrzymuje, że powstanie naznaczono na d. 20 sierpnia; Giller, I, 68 i II, 95, oraz N. Berg, II, 258, oznaczają datę, przytoczoną w tekście. Poszliśmy za ich podaniem, ze względu, że Giller był dobrze w tych rzeczach poinformowany

przedstawił na owej pamiętnej sesji swym towarzyszom, obejmował wyłącznie Warszawę; stolica tylko na razie miała powstać, zawiązać jedną częścią swych sił na ulicach walkę barykadową, a drugą uderzyć na cytadelę, którą oficerowie i żołnierze, należący do mniemanego spisku, wydać jakoby obiecywali bez oporu.

Podobnie zapewniał, że ma relacje z dwoma innymi twierdzami w kraju, z Modlinem i Dęblinem, które także wydane będą w ręce powstańców. Gdy się to wszystko zrobi w przeciągu bardzo krótkiego czasu, nagłego, piorunowego nacisku, kraj, po którym wieść o ruchu warszawskim się rozbiegnie, chwyci za broń, za kosy, za cepy i tłuc będzie Moskali wszędzie, gdzie się tylko da. Ci, pozbawieni dwóch twierdz i Warszawy, zewsząd atakowani i otaczani, rozproszeni na znacznych stosunkowo przestrzeniach, nie będą mogli czekać na pomoc z Rosyi, ale muszą się cofać, skupiać i tym sposobem oswabadać całe powiaty i gubernie, prawdopodobnie cały lewy brzeg Wisły, co da możliwość mieszkańcom uorganizować się w kompanie, bataliony i pułki, uzbroić należycie, zaopatrzyć w zapasy i śmiało wyruszyć przeciw idącej z Rosyi nawale moskiewskiej³⁵⁶.

Takim był w ogólnych zarysach plan Dąbrowskiego; w szczególności się nie wdawał, gdyż, jak mówił, ludzie nie fachowi nie są w stanie ich zrozumieć. Na uwagę, że wszystko to jest bardzo piękne, tylko bądź co bądź, mimo obiecywanej pomocy spisku wojskowego, do walki barykadowej na ulicach Warszawy i do wzięcia cytadeli trzeba mieć broń i amunicję, Dąbrowski odpowiadał, że broni i amunicji dostarczy w większej części ów spisek, że zresztą przez czas pozostały, blisko dwumiesięczny, należy robić przygotowania, zgromadzać

i właśnie ten, tak bliski termin powstania spowodował jego wejście do Komitetu; musiał zatem mieć wiadomości dokładne; Berg zaś miał pod ręką zeznania Majewskiego i Awejdę, które wyszły z rozkazu namiestnika Berga w przekładzie rosyjskim i odbite zostały w bardzo niewielkiej ilości egzemplarzy, przeznaczonych wyłącznie dla najwyższych dostojników ówczesnych. Autor niniejszej pracy miał w ręku te przekłady, ale przez zbyt krótki czas, tak że tylko mógł porobić z nich niektóre notatki i sprostowania, i ścisłych cytat z nich przytaczać nie jest w stanie. Wracając do owego terminu powstania, zdaje się, że Ustimowicz ma za sobą pewne podstawy. Z różnych, dość, co prawda, mętnych podań, sądzić należy, że zrazu Dąbrowski nazначzył powstanie na d. 14 lipca, później jednak dla bliskości terminu, odroczył je do d. 20 sierpnia. W pamiętniku rękopiśmiennym Tomasza B., znajdującym się w naszych zbiorach, jest taki ustęp: „dwa razy zdecydowane powstanie przez Komitet było odrzucone przez Radę miejską”. (Radą miejską nazywa autor stale wyższych członków organizacji, wydziałowych i tysięczników, skupionych koło naczelnika miasta). Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa pierwotny termin 14 lipca, został odroczony do d. 20 sierpnia i tym sposobem obie daty są autentyczne.

356 Z różnych źródeł, notatek i podań ustnych.

strzelby myśliwskie, które w niewielkich odległościach, w jakich walka będzie toczona, w ciasnych ulicach, o wiele są lepsze i skuteczniejsze od karabinów i sztucerów, skupywać ołów, proch, łać kule, granaty ręczne i t. p. Fabryki na Solcu, fabryka Ewansa na ulicy Świętojerskiej winna dostarczyć w znacznej ilości takich granatów i dostarczy z pewnością, byle się umiejętnie wziąć do tego.

Na pytanie, gdzie barykady mają być wznoszone, odrzekł, że na obmyślenie tego jeszcze jest dość czasu, że wszelako główne ich jądro winno się znajdować na Starem i na Nowem mieście, skąd nawet wyruszenie pod cytadelę będzie bliższe i łatwiejsze, a uliczki wąskie, połamane, domy wysokie i silnie zbudowane, dają możliwość, nawet małej garstce, obrony upartej i zaciętej. Zresztą niema co o tem teraz rozprawiać; on, jako wojskowy, wszystko szczegółowo obmyśli i opracuje, w tej chwili zaś organizacja winna się wyłącznie zająć przygotowaniami i czasu napróżno nie tracić.

Jakoż zabrano się do tych przygotowań, które w tej chwili z powodu zupełnego braku pieniędzy, ograniczały się tylko na tem, że uwiadomiono o wszystkim członków organizacji i mniemanego spisku oficerskiego, i kazano się wszelkimi możliwymi sposobami zaopatrywać w broń i amunicję. Wiadomość ta i to polecenie w szczupłym kole oficerskim, złożonym z młodych, zapalonych ludzi, wywarła bardzo dobre i przyjazne wrażenie. Jeden z nich, znany nam już, Potebnia, mający ciągle stosunki z wydawcą „Kołokoła”, Hercenem, pisał do niego pod d. 7 czerwca z Warszawy, że „wojsko znajdujące się w Warszawie, jest na takiej stopie, że gotowe jest bić się ze swoimi, jeżeliby ci zamierzyli pójść przeciw Polakom”; że „zblżyliśmy się na tyle do patriotów polskich, iż w każdym razie weźmiemy bezpośredni udział w bliskim powstaniu Polski. Nie wiedziałem, że propaganda tak łatwa i z takim powodzeniem daje się prowadzić”³⁵⁷. Było to złudzenie, które krwawo mieli naprzód ci szaleńcy, a potem Polska odpokutować; ale w złudzenie to wierzyli oni jak w Ewangelię, ani na chwilę nie wątpili o jego prawdzie, i niechże im to policzone będzie w historii za usprawiedliwienie. Lecz złudzeń takich nie miała wcale chłodniejsza i rozsądniejsza część organizacji warszawskiej, zwłaszcza, że o owym mniemanym spisku wojskowym, o owej jakoby gotowości żołnierzy rosyjskich walczenia ze swymi w obronie Polaków, nic nie wiedziała, gdyż, jakeśmy powiedzieli, Dąbrowski chował te rzeczy w sekrecie i tylko głuche i niejasne o nich obiegały wieści.

Nie biorąc więc wcale w rachubę spisku wojskowego, który wyglądał na jakąś bajkę mityczną o smoku apokaliptycznym, mającym pożreć Moskali

357 Historia powstania narodu polskiego I, 134.

z kretesem, ta część organizacji liczyła tylko na siebie w chwili wybuchu, i rozpatrując się w ludziach, zasobach i środkach, uważała tak wczesne powstanie za proste szaleństwo, a członków Komitetu miejskiego, którzy termin naznaczyli, za zwykłych waryatów i ludzi w najwyższym stopniu lekkomyślnych. W miarę więc rozpowszechniania się wieści o blizkim wybuchu, szermowanie się wzmagало, oburzenie rosło. Zwłaszcza na prowincyi, dokąd wysłano z tą nowiną umyślnych agentów³⁵⁸, gdzie większość sprzysiężonych chyliła się ku stronnictwu Białych, wiadomość o blizkim powstaniu wywołała formalny popłoch; w Warszawie wśród akademików, wśród resztek dawnego komitetu akademickiego, który nie mógł darować współzawodnikowi swego rozbitcia i dąsał się pokryjomu i bacznie przypatrywał się działaniu Chmielińskiego, Dąbrowskiego i innych, oburzenie to przybrało formę gwałtownej reakcji czynnej. Akademicy, z cechującym ich niezmqęceniem, poczęli biegać po mieście, namawiać, grozić; stronnictwo Białych, zwłaszcza młodszy członkowie Dyrekcyi, jak: Majewski i Paszkiewicz, widząc, że Komitet miejski zrobił głupstwo, i że umiejętnie skorzystanie z tego głupstwa, może na zawsze pogrzebać przewagę Czerwonych, także nie zasypali gruszek w popiele; mieszczaństwo warszawskie, zawsze mocno dbałe o swą skórę, swe sklepy i swe kamienice, na wspomnienie walki barykadowej i cytadeli, dygotało ze strachu i zgrozy. Słowem, wszystkie te czynniki złożyły się na to, że wydziałowi, tysiącniczy, setnicy, zgola wszelkie ogniwa organizacji głównie za staraniem kilku osób, oraz niejakiego Władysława Koskowskiego³⁵⁹, urzędnika Towarzystwa kredytowego ziemskiego, zaprotestowały przeciw naznaczeniu tak rychłego powstania, wypowiedziały posłuszeństwo Komitetowi miejskiemu i zwołały zgromadzenie dla wybrania nowego Komitetu.

Zdaje się, że powstała wtedy myśl w Dyrekcyi Białych, ażeby owoładnąć całym ruchem, który, Bóg wie, na jakie bezdroża kraj może zaprowadzić, i w tym celu postarano się, że na tych wyborach znaleźli się: Karol Majewski i Julian Paszkiewicz. Wśród bardzo burzliwych rozpraw, w mieszkaniu Marczewskiego, nowy Komitet został złożony z ośmiu osób następujących: Jarosława Dąbrowskiego, Władysława Daniłowskiego, Władysława Koskowskiego, którego pominąć nie można było ze względu, że się bardzo wiele przyczynił do obalenia poprzedniego komitetu, Agatona Gillera, Juliana Paszkiewicza, Karola Majewskiego, Adama Oksińskiego i Witolda Marczewskiego³⁶⁰. Przepadł za-

358 S. Gesket, *Wojennyja dziejstwa w Carstwie Polskom w 1863 godu*, 5.

359 A. Giller I, 68.

360 N. Berg II, 258, wymienia tylko pięć osób, to jest pomija: Koskowskiego, Daniłowicza i Oksińskiego. Inne źródła, jak Giller („wybrano nowy komitet, złożony z ośmiu osób”), Ustimowicz i materyały piśmienne mówią wyraźnie o ośmiu osobach.

tem przy tych wyborach Chmieleński i Matuszewicz, a natomiast weszło pięć nowych osób, z których Giller miał z czasem bardzo poważną rolę w dziejach tych nieszczęśliwych czasów odegrać. Komitet zresztą w tym składzie przybrał wyraźną cechę umiarkowania, przechylił się niejako ku stronnictwu Białych, i sądzono też powszechnie, że stanowczo złączy się z Dyрекcją, zleje się z nią w jedno ciało. Stronnikami takiego kompromisu byli Majewski i Paszkiewicz, ale ci, którzy znali obu tych młodych ludzi, mieli już wtedy pewne wątpliwości, czy istotnie do tego przyjść może. Majewski wiecznie lawirujący, nigdy nie wypowiadający jasno i wyraźnie swej myśli, którą zawsze owijał, niby poczwarkę, w przedzę wielosłowności, wahający się, chory na chorobę epoki, na niemoc czynu, nie budzący w żadnym stronnictwie zaufania, dla Białych za zbyt czerwony, dla Czerwonych za biały, nie był człowiekiem, któryby taką fuzyą mógł przeprowadzić.

Paszkiewicz, szlachcic z przekonań i wyobrażeń, gardzący „mieszczańską rewolucją” i „warszawskim powstaniem”, jak się wielokrotnie z przekąsem wyrażał, marzyciel, poeta, dusza miękka, niezdolna także do czynu energicznego, do inicjatywy, do kroku stanowczego, nie dawał żadnej nadziei, by mógł zwalczyć przeciwników złączenia się z Dyрекcją białą. A przeciwników takich było wielu, naprzód trzech członków dawnego komitetu (Dąbrowski, Daniłowski, Marczewski), ultraczerwonych rewolucjonistów, trzęsących się z gniewu na wspomnienie „białej zarazy”, zmuszonych do zgodzenia się na rozwiązanie poprzedniego komitetu jedynie pod naciskiem całej organizacji warszawskiej, ale w duszy niezadowolonych z tego i gotowych przy pierwszej lepszej sposobności do zrzucenia kagańca, jaki im nałożono; następnie w trzech nowych członkach, którzy, stanowiąc odcień umiarkowany ruchu, byli jednak stanowczo przeciwni poddaniu się supremacji szlacheckiej. Najwybitniejszą osobistością między tymi ostatnimi był Agaton Giller, który teraz właśnie wstępuje na posępną scenę dziejowej niedoli polskiej i odgrywać w niej zaczyna rolę nieomal pierwszorzędną. Sybirak, stary spiskowiec, literat małych zdolności, ale pretensyi olbrzymich, pozbawiony wyższego wykształcenia, którego nie miał gdzie nabyć, z natury małej inteligencji, był jednak nadzwyczajnie uparty, jak wszystkie mierności, wyrzucone wypadkami na stanowisko górujące, tępy i dość ograniczony. W swej postaci małej i jakby nabitej, w głowie dużej i niekształtnej, krył wielką ambicję i pretensję do kierowania wszystkim i wszystkimi. Zrażał ludzi niesłychaną zarozumiałością, uporem, słowami wygłaszanemi zawsze z trójnoga; przytem lubiał kłamać i tę wadę zachował nawet w swej pretensjonalnej historii powstania. Na Syberji, w ciężkiej doli wygnania, stał się mistykiem wierzącym w wielkie dziejowe przeznaczenie Polski, o której historii i przeszłości miał nadzwyczaj mętne

i zaprawione kolorytem romantycznym wyobrażenia. W życiu publicznym i prywatnym czysty i bez plamy, był demokratą z mieszczańską podkładką, z liberalnymi wyobrażeniami wieku, nie lubił szlachty, jej wyłączności i przywilei, i już przez to samo, jak i ze względu na ambitne pragnienia odgrywania pierwszej roli w krwawej tragedii polskiej, nie mógł być zwolennikiem fuzji z Białymi i poddania Komitetu pod ich dyrektywę³⁶¹. Obracał się on chętnie wśród dającego się mieszczaństwa warszawskiego, wśród „Polaków moższowego wyznania”, wśród szczątków dawnej Delegacji i właściwie w głębi duszy pragnął, ażeby nie młodzież nikomu nieznana, jacyś tam akademicy, którzy uczyć się jeszcze winni, lub kanceliści i dependenci, nie szlachta, ale to mieszczaństwo, Warszawa w ścisłym kole t. z. obywateli miejskich, kierowała ruchem. Jak wielu ludzi tej epoki tak i Giller żywił to przekonanie, że jedynie mieszczaństwo, stan trzeci, kryje w sobie zaród przyszłego rozwoju ludzkości i Polski. Za jego zdaniem siedł w tym względzie Władysław Koskowski i Adam Oksiński, syn urzędnika z Płocka, brat rodzony Józefa Oksińskiego, który teraz bawił w Cuneo, a w powstaniu zbrojnym dowodzić miał oddziałem; obaj ci młodzi ludzie byli osobistościami nic nie znaczącymi i zdania własnego nie mieli, ale za to usposobieni byli czerwono i na Białych zgrzytali zębami. W takim stanie rzeczy o złączeniu się dwóch stronnictw mowy nawet być nie mogło.

Pierwszą czynnością nowego Komitetu było zbadanie kwestyi powstania, które, jak wiemy, zerwać się miało w dniu 14 lipca. W tym celu wezwano Dąbrowskiego, by wyjaśnił, dlaczego, na mocy jakich podstaw nazначzył tak blizki termin wybuchowi, kiedy właściwie nic nie jest jeszcze gotowem, kiedy prowincya słabo jest uorganizowaną, broni nie ma, amunicyi i zapasów żadnych nie ma. Na to Dąbrowski, ze zwykłą sobie wymową i siłą przekonania, znamionującą, że wierzył gorąco w to, czego bronił, odrzekł, iż historia spiszków wszelkiego rodzaju uczy, iż nigdy nie można rzeczy tak przygotować, by w danej chwili, w momencie krytycznym czegoś nie brakowało i coś nie było zrobionem.

Mylą się ci, którzy twierdzą, że nic nie jest przygotowanem. Warszawa jest uorganizowana z możliwą doskonałością i organizuje się ciągle, zwłaszcza, że według jego planu, naprzód stolica ma powstać, a za nią, za jej przykładem dopiero kraj cały. W rewolucjach, w nagłych wybuchach ludowych pierwszą, najważniejszą jest śmiałość i szybkość działania, które robi potężne wrażenie

361 Zarzut też, jaki czyni z właściwą sobie złą wiarą, Majewskiemu i Paszkiewiczowi (Hist. pow. I, 68), że „nie umieli korzystać z okoliczności swego wyboru, nastroczającego im sposoby złączenia dwóch organizacji: białej i czerwonej”, wyłącznie do niego samego stosowanym być winien, bo on nie chciał tego złączenia i do niego nie dopuścił.

na masy i porywa je za sobą, unosi jak wichur. Któż mógł przypuszczać, kto nie szedł z wyładowania Garibaldiego na czele garści strażników pod Marsalą, a przecież to wyładowanie, ta garść szaleńców, jak ich nazywano, zmieniła kartę Europy i zapisała czynami swymi piękną kartę w dziejach. *Unsinn, du siegst!* mówi poeta i mówi prawdę, z wyborną znajomością psychologii mas. Wreszcie położenie spisku w Polsce nie jest ani tak słabe, ani tak bezpodstawne, jak się niektórym zdaje wskutek nieznamości tego położenia. Przedewszystkiem przyszłe powstanie polskie znajdzie poparcie w Rosji, w samym obozie nieprzyjacielskim. I tam bowiem przygotowuje się rewolucja, a rewolucja tak straszna, tak krwawa, jakiej świat jeszcze nie widział. Szlachta wskutek utraty swych praw i przywilei zwierzchniczych nad chłopem jest nadzwyczajnie rozdrażniona i niezadowolona z kierunku, jaki rząd przybrał; chłop jest głęboko zniechęcony, bo mniej otrzymał, niż się spodziewał i spodziewać miał prawo; oczekuje on jakiejś „złotej hramoty” i buntuje się. Wszak tu i owdzie przyszło nawet do krwawych starć z wojskiem. Połowiczność reform wywołała wszędzie, we wszystkich warstwach rozczarowanie przykre, i rozstraja mocne dotąd wiązania caratu. Inteligencja rosyjska, która liczyła na konstytucję, na ukrócenie „czynownictwa”, na kontrolę funduszy państwowych, widząc, że do tego nie przychodzi, że rząd, robiąc krok naprzód, zaraz się cofa i chwieje, widząc, że na obecną dynastję w urzeczywistnieniu swych ideałów społecznych i politycznych rachować nie może, pragnie zmiany tej dynastji i tego rządu.

Po tem odmalowaniu położenia wewnętrznego Rosji, obrazie zdradzającym nieścisłość i fantastyczność umysłu Dąbrowskiego, przeszedł on do najważniejszej części swego planu, do wojska. Utrzymywał więc, że w wojsku rosyjskiem panuje także silne niezadowolenie, którego przyczyny są rozmaite. Do ich rzędu zaliczył naprzód ciągłe zmiany w umundurowaniu, co oficerów, nieposiadających w ogromnej swej większości funduszy dostatecznych, naraża na całkiem niepotrzebne koszta i pogrąża w długich lichwiarskich; że ostatnia kampania krymska upokorzyła armię, pozbawiła zaufania do siebie, do wodzów i do rządu; że wojska stojące w Królestwie są zupełnie zdemoralizowane, a twierdza tak dalece zaniedbana, że bramy w Modlinie i Demblinie wrosły w ziemię i zamknąć ich nie można. Dość będzie, mówił, wyruszyć na te twierdze kolumną szturmową, złożoną choćby z tysiąca ludzi odważnych i na wszystko gotowych, a obie te twierdze znajdą się w naszych rękach. Czyż w Warszawie nie znajdzie się tysiąca takich ludzi? On o tem nie wątpi, że z łatwością ich zbierze, a wzięcie Modlina, o którego mniemanej sile tak dużo mówią podręczniki wojskowe, wyrze piorunujące wrażenie na całą Rosję, na całą Europę, wstrząśnie ją potężnie i zapali w caracie olbrzymi płomień, który

wszystko pożre i rząd, i czynownictwo, i armią. Tam znajdziemy broń, działa, amunicję, sprzęt wojenny, a nadewszystko sympatyą wszystkich ludzi liberalnych, których takie mnóstwo ostatnie czasy wytworzyły w Rosyi. Wreszcie, pomijając powyższe okoliczności, które zapowiadają powodzenie powstaniu, jest jeszcze jeden bardzo ważny wzgląd, który nakazuje przyspieszenie wybuchu. Tym względem jest uprzedzenie reakcy nieuniknionej, jaka nastąpi z powrotem Wielopolskiego z Petersburga. Wybuch zgniecie tę reakcją, jak ją zgmiotły za Lamberta manifestacye³⁶².

Słowa te wypowiedziane gorąco, a choć obracające się w ogólnikach, opierające się na nadziei współczesnego z powstaniem polskim ruchu w Rosyi, nie pozostały bez wrażenia na obecnych. Wszak przeważnie byli to ludzie młodzi, łatwo zapalni, nie odznaczający się ścisłością rozumowania, a wreszcie, jak każdy Polak tej doby, lękający się, czy opozycją swoją nie zaszkodzą sprawie ojczyzny, czy godzi się odwlekać wyzwolenie kraju, jeżeli istotnie rzeczy się tak mają, jak mówi Dąbrowski. Wszak o spisku wśród wojska, przez Dąbrowskiego jakoby stworzonym, o jego relacjach o oficerach tyle się nasłuchano, że choć nie miano żadnego dowodu o ich prawdziwości, nie wątpiono jednak w ich istnienie. Na pół więc przekonani, na pół gotowi do ustępstwa, tylko dla zadośćuczynienia swemu sumieniowi, opinii całej organizacyi, dla usprawiedliwienia wreszcie tego, że obalili Komitet poprzedni, zażądali od Dąbrowskiego dowodów na to, co mówi, a nadewszystko, że wojsko konsystujące w Królestwie jest zdemoralizowane istotnie. Dąbrowski odrzekł, że słowa jego może potwierdzić wielu oficerów. Zażądano więc, ażeby Komitet osobiście zobaczył się i porozumiał z tymi oficerami³⁶³, i polecono Łokietkowi, by ich sprowadził tak Polaków jak i Rosyan na najbliższe posiedzenie Komitetu³⁶⁴.

362 N. Berg, loc. cit. II, 259, oraz zeznania Majewskiego i Awejdy, i relacje ustne.

363 Giller, loc. cit. II, 95, twierdzi, że to na jego „wniosek uchwalono zbadać rozmiary spisku wojskowego, przekonać się o jego mocy, usposobieniu armii i o ile rachować można na jej pomoc w chwili wybuchu”. Majewski zaś w swych zeznaniach utrzymuje, że wniosek taki od niego wyszedł. Berg nie powiada wcale, z czyjej inicjatywy powstała ta myśl, wyraża się tylko ogólnikowo, że „Komisya zażądała”. Trudno dziś rozstrzygnąć, kto mówi prawdę.

364 Giller loc. cit. utrzymuje, że dla porozumienia się z oficerami wydelegowano jego i Koskowskiego, i że w dzień oznaczony „zebrało się dwudziestu kilku oficerów, reprezentantów Kółek spiskowych” pod Bielaniem. Nie określa on bliżej tego „pod Bielaniem” t. j. czy zebranie odbyło się w obozie, jaki tam zwykle z wiosną bywa zakładany, czy też w lasku Bielańskim. Pomijając już tę okoliczność, że zebranie to przypomina nadzwyczajnie takąż samą scenę z d. 1 maja 1821r., gdzie Prądyński kazał spiskowym przysięgać, że ojczyznę oswobodzą, to, oprócz Gillera, żadne inne źródła, nam znane, o tej schadzce „pod Bielaniem” nie mówią. Berg II, 261, rzecz tak opowiada, jakeśmy ją w tekście opisali; Majewski nic nie wie o wycieczce do Bielan i o delegacyi Gillera i Koskowskiego.

Jakoż Dąbrowski zadość temu uczynił i przyprowadził ich kilku³⁶⁵. Między nimi był Potebnia, Kapliński, Waraski, Dobrowolski; w ogóle Polacy stanowić mieli większość. Giller zagaił posiedzenie mową, wystosowaną do oficerów, w której wykazał ważność zebrania i prosił o rzetelne i sumienne objaśnienie stanu rzeczy. „Od tego sprawozdania, powiedział w końcu, zależy cofnięcie terminu naznaczonego na powstanie. Pamiętajcie zaś panowie, że jeżeli licząc głównie na pomoc wojska, takowej nie otrzymamy i wybuch nasz wskutek tego zostanie stłumiony, wy będziecie odpowiedzialni nie tylko za krew bezużytecznie przelaną, ale także za opóźnienie niepodległości Polski i wolności Rosyi!”. Dwóch tylko oficerów, t. j. Potebnia i Kapliński³⁶⁶, ręczyło za swe komendy, i zapewniali oni, że pierwszy z nich batalion, a drugi kompanię przyprowadzi na stronę powstania i na barykady. Wyznanie to, wobec zachowania się innych oficerów, wydało się zebrany tak wątpliwem i lekkomyślnem, że nie bardzo mu uwierzono i Giller miał oświadczyć, iż uda się do ich komend dla naocznego przekonania się o dobrem usposobieniu żołnierzy.

Wątpliwość ta tem bardziej okazała się usprawiedliwioną, że wszyscy inni oficerowie oświadczyli jednoznacznie, iż plan powstania, oparty głównie na zdradzie żołnierskiej, jest nierozsądny, że propaganda pomiędzy wojskiem właściwie dopiero się rozpoczęła, że dotąd nader małe postępy zrobiła; że tylko wtedy na pomoc żołnierzy rachować by można, gdyby starszyzna została przed wybuchem wymordowaną; że oni sami do powstania pójdą i życie swoje za wolność chętnie położą, lecz mocy poprowadzenia swoich komend dotąd jeszcze nie mają. Zażądali więc w końcu, żeby termin, naznaczony na powstanie, bezwarunkowo cofnięto³⁶⁷.

Teraz się dopiero pokazało, jak dalece naznaczenie terminu powstania było czynem lekkomyślnym, jak w ogóle całe postępowanie Dąbrowskiego było jednym złudzeniem, jeżeli nie czemś gorszem. Spisek wojskowy, o którym tyle

Pamiętnik rękopiśmienny Ferdynanda W. mówi o kilku posiedzeniach oficerów i Komitetu „na ulicy Brackiej” (u kogo i w którym domu, nie powiada), ale o Bielanach nic nie wspomina. Dodajmy, że przy obowiązującym wówczas stanie oblężenia wszelkie wycieczki za rogatki warszawskie były nadzwyczaj utrudnione; trzeba było mieć na to specjalne pozwolenie policyi. O wiele rzeczą łatwiejszą było, by oficerowie, którzy takich pozwoleń nie potrzebowali, zeszli się gdzieś w Warszawie. Zdaje się więc, że owa schadzka Bielańska jest wynalazkiem późniejszym Gillera, wynalazkiem będącym niefortunną reminiscencją schadzki Prądyńskiego i spiskowców warszawskich w r. 1821.

365 Giller, loc. cit. mówi „dwudziestu kilku oficerów”. Cytowany pamiętnik Ferdynanda W., który jako oficer, należący do propagandy, był na tem posiedzeniu, zaprzecza temu kategorycznie, i powiada, że „przybyło kilku oficerów”.

366 Ferdynand W., Pamiętnik.

367 A. Giller, loc. cit. II, 95.

mówiono, który przez swą tajemniczość i nieświadomość przybierał rozmiary fantastyczne, okazał się prostą bajką, nie istniał wcale. Była tylko propaganda wśród wojska, propaganda nieśmiała, lękliwa, słaba i idąca nader tępo; i otwarte przyznanie się do tego ze strony oficerów jest czynem dobrze zrozumianego patriotyzmu i dobrem spełnieniem służby dla ojczyzny. W takim stanie rzeczy, urok, jakim był dotąd otoczony Dąbrowski w oczach wszystkich, powinien się być całkiem rozwiązać; każdy człowiek rozumny, uczciwy, dbający o los kraju, mieć go za prostego szaleńca i warchoła, jakim był rzeczywiście. Niestety! ludzie owej epoki tak byli zaślepieni, fatalność jakaś takie bielmo rzuciła na ich oczy, głowy i serca, że nie przestawali widzieć w nowoczesnym Łokietku prawdziwego zbawcy ojczyzny już nie od przemocy krzyżackiej, ale od najazdu moskiewskiego. Gdy bowiem na skutek sumiennej relacji oficerów o stanie propagandy w wojsku Komitet miejski powstanie odwołał i przygotowania wolniej i lepiej czynić kazał, Dąbrowski obrażony mocno, na wspólnkę z Chmieleńskim, który był także srodze zagniewany o to, że go z Komitetu sromotnie usunięto, poczęli wśród organizacyi intrygować i podburzać ją przeciw Komitetowi.

Chmieleński wpadł przytem w prawdziwy szal wściekłości, tak go upokorzona ambicja, prywata niezdrowa, żądza osobista wyniesienia się, gryzła. Wołał teraz głośno przy każdej sposobności, że tu niema się co „bawić z tymi zdrajcami w faramuszkę”³⁶⁸, ale sztyletować ich i wieszać; że jeżeli spisek ma być ocalonym, a z nim Polska, to należy cały Komitet rozpedzić na cztery wiaty, a natomiast nowy ustanowić, gdyż inaczej wszystko przepadnie, reakcja weźmie górę i jeszcze raz Polskę w przepaść niedoli pogrąży. Dąbrowski, który przez niepojęte, jakkolwiek usprawiedliwione krótkością czasu, nierozzgarnięcie Komitetu, ciągle był jeszcze naczelnikiem miasta³⁶⁹, i wskutek tego miał wielką przewagę nad całą organizacją miejską i nad wydziałowymi, widząc, że jego plany przepadły, że z kierownika całym ruchem może zejść na stanowisko drugorzędne, dotknięty do żywego, podsycił te intrygi Chmieleńskiego i jego dość licznych stronników, bo w tych czasach dziwnego zamętu pojęć

368 Ferdynand W., Pamiętniki.

369 A. Giller, II, 94, tak to pośrednio tłumaczy: „pomijać człowieka ambitnego, który jak Sapieha, Mierosławski, lubił działać na własną rękę, a który, jak się zdawało, mógł wojsko poruszyć, byłoby błędem. Dąbrowski o tem dobrze wiedział, a żądny wpływu i władzy, doszedł do niej wytrwałością, łącząc się z różnemi partjami”. „Wpływ jego na młodzież był znaczny; wierzyła w jego energię, w talenta wojskowe i w siłę”. Był on w dobrych stosunkach z tymi członkami organizacyi, którzy na rozsądku oparci, radzili umiarkowanie i powstrzymanie powstania, a jednocześnie w najlepszej przyjaźni z przeciwną im, a najgwałtowniejszą partją Ignacego Chmieleńskiego”. Z tego wniosek, że Komitet poprostu bał się Dąbrowskiego.

największy, najwyraźniejszy wartogłów miał swoich stronników. Dzięki tym zabiegom, intrydze niegodnej i wstrętnej, która byłaby śmieszną, gdyby tu nie szło o kraj cały i o jego przyszłość, w tem rzucaniu kości o golgotową szatę ojczyzny, zdołano zyskać na swą stronę większość wydziałowych, a co za tem idzie i organizacyi niższej, która, złożona przeważnie z rzemieślników, nadzwyczaj karnem posłuszeństwem, zrodzonym w czystem uczuciu patryotycznym, względem swych przełożonych się odznaczała.

Cóż było łatwiejszego jak obalamucić prostego rzemieślnika, lub robotnika fabrycznego, widmem ginącej ojczyzny go przerazić, tej ojczyzny, którą on kochał gorąco i gotów był wszystko, i siebie, i rodzinę dla niej poświęcić? Gdy mu więc powiedziano, że utworzył się Komitet, który chce spisek zniszczyć, „nierządym umizgiem do Moskwy” ojczyznę zdradzić, to w tym nieuczonym, ale szczerym pracowniku trzewia się zatrzęsły, serce zadrgało, oczy płomieniem zabłyśły, a ręka w pięść się ścisnęła i gotów był iść wszędzie, wszystko zrobić, mur głową przebić, by zdrajcom, zaprzańcom i sprzedawczykom „kości połamać”. Na tem to czystem i podniosłem uczuciu patryotycznym, stanowiącem jasne, świetliste tło ponurych wypadków tej epoki, tło, jakiego żadna zaiste karta naszych dziejów nie przedstawia, oparli swą rachubę niegodni intryganci, ambicje poziome i wyrodne, i pewni, że mają za sobą całą organizacyą miejską, postanowili wystąpić śmiało i energicznie, i jeszcze raz pokusić się o odzyskanie władzy utraconej.

W tym celu Dąbrowski na najbliższem posiedzeniu Komitetu tonem rozkazującym, brząkając szabelką, oświadczył, że na zebraniu wszystkich wydziałowych miasta zapadła decyzja, „żeby Komitet nie ważył się nic przedsiębrać bez wiedzy i zgody naczelnika miasta”. Decyzją tę komunikuje on Komitetowi i od siebie dodaje, że ściśle trzymać się jej będzie i nie pozwoli w żadnym razie na jej naruszenie³⁷⁰. Słowa te wypowiedziane tonem zuchwałym, pobrząkiwanie przytem szabelką, postawa pogardliwa, wywołały prawdziwą burzę wśród zebranych. Wszyscy zerwali się z krzesel i z oczami rozplamienionymi, z groźnym wyrazem twarzy mówić i krzyczeć zaczęli, a Paszkiewicz w uniesieniu niezwykłym, z ironią, w której dźwięczała obelga dla „waszego warszawskiego powstania”, pięściami w stół uderzał, zdawał się nie być panem siebie.

Jeden tylko Giller zachował się spokojnie i chłodno i gdy pierwsza burza minęła (którą Dąbrowski wytrzymał z niezachwianym wyrazem wyższości na swej twarzy), rzekł: że niech naczelnik miasta oświadczy wydziałowym, iż tego, co najmniej, dziwnego żądania Komitet nie spełni. Komitet jest zwierzchnią

370 Zeznania Majewskiego i Awejdy; podania ustne.

władzą i słuchać organizacyi nie może. Słowa te potwierdzili wszyscy jednogłośnie i Dąbrowski wyszedł z niczem.

Ale nie był to człowiek, któryby raz powziętych zamiarów zrzekał się tak łatwo. Zatracając powoli w tej walce poczucie istotnego interesu ojczyzny, a kierując się jedynie podszeptami zdróznymi własnej ambicyi, począł żywą agitacją wśród wydziałowych, w czym mu bardzo energicznie dopomagał Chmieleński, i w rezultacie wyjednał u nich jednomyślne oświadczenie, że „uważają się za obrażonych i wypowiadają Komitetowi posłuszeństwo”. Znaczyło to poprostu, że wydziałowi Komitet znoszą, że nie istnieje on dla nich wcale, jeżeli ich żądania pierwotnego nie spełni. Wiadomość o tej decyzyi organizacyi nadzwyczaj przykre na Komitet wywarła wrażenie; uczuł on, że ziemia mu się z pod nóg usuwa. Majewski i Paszkiewicz, którym wyraźnie poczęto napomykać, że oni przez swe wejście do Komitetu są główną przyczyną burzy wewnętrznej, oświadczyli, że „wobec takich intryg pracować i służyć ojczyźnie żaden prawy patriota nie może”, w czym mieli słuszość zupełną, gdyż w walce tej nie szło już o ojczyznę, jej krwawe widmo usunęło się na plan drugi, a pierwsze miejsce zajęła prywata i małoduszne pragnienia ambicyi chorych. Po tem oświadczeniu obaj członkowie Dyrekcyi białej stanowczo wystąpili z Komitetu, zostawiając pole swobodne szaleńcom ultraczerwonym.

Tego też chciał Dąbrowski i Chmieleński. Co żywo zwołano radę walną resztek Komitetu i wszystkich wydziałowych, którzy się zebrali, jak zwykle, w mieszkaniu Marczewskiego dla wyboru nowego Komitetu, takiego, który byłby posłusznem narzędziem w ręku obu tych panów. Posiedzenie było bardzo burzliwe. Nagromadzone w ostatnich czasach niechęci, nienawiści polityczne i urazy osobiste, wybuchły z wielką siłą. Nie było końca wzajemnym oskarżeniom i rekryminacyom, które Chmieleński, obecny na posiedzeniu, ze swem zjadliwem szyderstwem, głuchem pomrukiwaniem dzikiego zwierzęcia, podniecał i rozpalał. Nakoniec po długich rozprawach przez głosowanie tajne wybrano do nowego, piątego już z rzędu Komitetu: Witolda Marczewskiego, Agatona Gillera, Jarosława Dąbrowskiego, Władysława Koskowskiego i Władysława Daniłowskiego³⁷¹. Tym więc sposobem poprzedni Komitet, który tyle burz wywołał i tyle ważnych zmian zrobił, upadł po pięciodniowem zaledwie istnieniu³⁷², a z upadkiem jego upadła także na długo nadzieja złączenia dwóch stronnictw, przygotowujących w kraju powstanie. Że było to nieszczęściem, i że nieszczęście to zawdzięczać należy Chmieleńskiemu i Dąbrowskiemu, wątpliwości żadnej nie ulega, i na tych dwóch ludzi, trawionych ponurą ambicyą, spada w części вина przyszłej niedoli polskiej.

371 A. Giller, I, 68; Ustimowicz, 86; N. Berg, II, 264.

372 A. Giller, loc. cit.

Chmieleński, który wywołał te wszystkie zmiany, który spowodował wystąpienie Majewskiego i Paszkiewicza, w tej nadziei, że sam na ich miejsce wejdzie, gdy nie został wybrany, gdy tym sposobem nadzieje jego zawiedzione zostały, gdy zobaczył, że nawet takie nic nie znaczące osobistości jak Koskowski, więcej niż on budzą zaufania u wyborców, oburzony był nadzwyczajnie. Zerwał się więc i spoglądając z ukosa swemi złemi, choremi oczami, zapowiedział, że taki skład Komitetu jest poprostu zdradą ojczyzny, że on nie myśli go wcale słuchać, i nie żegnając się z nikim, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł³⁷³. Scena ta dość przygnębiające wrażenie wywarła na zebranych.

Znali oni dobrze Chmieleńskiego i wiedzieli, do czego jest zdolny, że ma, zwłaszcza wśród sfer rzemieślniczych, znaczne stronnictwo, że lubi działać na własną rękę, że zatem jego niechęć, jego gniew może wywołać nowy rokosz w organizacji i zawieść nadzieje Komitetu, jakie żywił, że znajdzie posłuch w sprzysiężeniu i samowładnie kierować będzie losami kraju. Wobec tego, na temże posiedzeniu zaraz uznano, że niepodobna pomijać Chmieleńskiego, że należy go koniecznie ułagodzić i na ten cel postanowiono zwołać nowe posiedzenie i frondującego czerwienca na nie zaprosić³⁷⁴.

Jakoż w cztery dni potem, mniej więcej w końcu czerwca³⁷⁵, gdyż dat ścisłych nikt z ówczesnych uczestników tych wypadków nie notował, zebrano się na zapowiedziane posiedzenie, jak zwykle, w mieszkaniu Marczewskiego. Chmieleński zaproszony stawiał się zły i chmurny, otoczony gromadą popleczników swoich, co wyglądało na groźbę, na gotowość uczynienia nacisku na Komitet, a może skrytej chęci rozpędzenia go zupełnego. Dąbrowski mu w tym względzie dopomógł i sprowadził wszystkich wydziałowych, setników i dziesiętników, którzy wraz z Chmieleńskimi skupiwszy się w jednej połowie pokoju³⁷⁶, spoglądali z ukosa i gniewnie na czterech członków Komitetu, gdyż piąty, Dąbrowski, ostentacyjnie trzymał się od nich z daleka, zebranych w drugiej połowie. Ci siedzieli milczący, w postawie poważnej, z wyrazem mocnego postanowienia na twarzach, gotowi, zda się, umrzeć na swych krzesłach kurulnych, jak starożytni senatorowie rzymscy w czasie najścia barbarzyńskich Gallów. Sądzieli oni, że na posiedzenie przyjdzie Chmieleński sam jeden, a nie cała gromada jego szalonych stronników, i byli mocno z tego niezadowoleni.

373 Z podań ustnych.

374 N. Berg, II, 264.

375 Ustimowicz, Zagowory, 86, powiada, że stało się to w lipcu, w czym się jednak myli. Giller, I, 68, mówi wyraźnie o czerwcu; to samo potwierdzają zeznania Majewskiego i Awejdj.

376 Z opowiadań świadków naocznych.

Niezadowolenie to tem silniej uczuć im się dało, gdy z pośrodku przeciwników wystąpił mówca, widocznie na ten cel przygotowany, którego nazwisko nie jest nam znanem, i oświadczył, że: „zebrani tutaj członkowie organizacji gotowi są wszystkimi siłami popierać nowy Komitet, uważać go za władzę najwyższą sprzysiężenia, ale pod warunkiem, że Koskowski, który niewiadomo z jakiej racyi zasiada w Komitecie, z niego ustąpi i będzie zamieniony kim innym”³⁷⁷. Oczywiście było dla wszystkich, że pod tym „kim innym” mówca i jego mandatarysze rozumieli Chmieleńskiego i nie wątpili, że Komitet nie będzie miał śmiałości opierać się ich gromadnemu naciskowi i powoła do swego składu ich bożyszcze. Zdaje się, że Komitet o gotującym się nań zamachu, bo najście to godzi się tak nazwać, był uprzedzony. W organizacji przez cztery dni o tem tylko mówiono, a Chmieleński i Dąbrowski rozwijali zbyt żywą agitacyą, by ująć ona mogła uwagi Komitetu. Miał więc czas przygotować się i porozumieć między sobą. Owocem tego porozumienia było to, że postanowiono poświęcić Koskowskiego, ale za nic w świecie nie wybierać Chmieleńskiego, ku któremu wszyscy ludzie rozumniejsi, wszyscy chłodniejsi czuli wstręt głęboki i odrazę; którego wybór wreszcie wyglądałby na uległość względem gromadnego najścia organizacji, byłby złym bardzo prejudykatem na przyszłość, czyniłby Komitet zależnym od fantazyi pierwszego lepszego warchoła, który, zebrawszy tłum szewców i krawców, przepisywałby prawa najwyższej magistraturze sprzysiężenia, za jaką Komitet się uważał. Z drugiej strony, mówiono sobie, należy skorzystać z nastroczającej się sposobności i jeszcze raz spróbować połączenia organizacji czerwonej i białej, co wprowadzie przed paru tygodniami się nie udało, ale teraz może się udać, gdyż tego wymaga interes kraju.

Giller głośno twierdził, że pierwszym razem przeszkodził temu Majewski; wszyscy więc nabyli przekonania, że Majewskiego należy pominąć, a na miejsce Koskowskiego wybrać Paszkiewicza, prawdziwego szlachcica wiejskiego, nie mieszcza, człowieka łatwo ulegającego wpływom i najodpowiedniejszego dla służenia za ogniwo, łączące dwie organizacje, dwa ciała spiskowe.

Skoro więc członkowie Komitetu, siedzący w odosobnieniu w mieszkaniu Marczewskiego, usłyszeli powyżej przytoczone oświadczenie Chmieleńczyków, oznajmili bardzo spokojnie zebranym przez usta Gillera³⁷⁸, że nie mają nic przeciw temu, by Koskowski z Komitetu ustąpił, i że na jego miejsce gotowi są zarządzić nowe wybory. To ustępstwo zadowolniło w zupełności Chmieleńczyków, którzy przekonani, że zrobili swoje i że ich naczelnik wybrany zostanie, poczęli opuszczać gromadnie mieszkanie, tak że gdy przystępowano do

377 N. Berg, II, 264.

378 Z opowiadań ustnych.

nowej elekcji, nie wielu ich już pozostało. Jakież jednak było zdumienie i jakie oburzenie Chmieleńskiego, gdy przy nowych wyborach Koskowski wprawdzie przepadł, ale miejsce jego zajął członek Dyrekcyi szlacheckiej, Paszkiewicz³⁷⁹. Zielony od gniewu, zawiedziony we wszystkich swych rachubach, podniecony tym wiele mówiącym objawem niechęci ogólnej ku sobie, powstał z krzesła i głosem trzęsącym się od gniewu rzekł: „rozstaję się z wami panowie, naprzód dlatego, że się wam nie podobam, a następnie, że nasze poglądy na sprawę różnią się ze sobą stanowczo. Ja chcę powstania, rewolucyi, chce działać jak rewolucjonista, t. j. nie robić ustępstw wrogowi, ale tępić go, gdzie tylko można. Dąbrowski napomknął wam tylko o przyszłych niebezpieczeństwach, ja zaś powiem bez żadnych obsłonek, że jeżeli Wielopolski spełni swe zamysły w Petersburgu, to jest, wyjedna jakieś tam ustępstwa dla Kongresówki, to sprawa nasza przepadła. Takim jest moje przekonanie. Utrzymujecie, że teraz powstanie zbrojne jest przedwczesnem i niemożliwem, ja zaś twierdzę przeciwnie, że ono jest zupełnie możliwem. We wszelkich rewolucyach trzeba coś ryzykować, uciekać się do środków rozpaczliwych, próbować wszystkiego.

Wy chcecie czekać, więc sobie czekajcie, my zaś inaczej będziemy robili, a co i jak, zobaczycie. To chciałem powiedzieć i bądźcie zdrowi!”³⁸⁰.

Ale już teraz Komitet zadowolony, że znienawidzonego człowieka całkiem usunął od siebie, nie zważał na te groźby i czuł się zwycięzcą. Swą stałością i zręcznością odparł gremialny nacisk niższych słoików organizacji i pewnym był, że znajdzie w niej posłuch, że już teraz ugruntował się na silnych podstawach. Jedna tylko jeszcze zaszła mianowicie co do Paszkiewicza. Ten, nieobecny na sesyi, na której go wybrano, uwiadomiony o tem, zbył milczeniem całą sprawę, owszem, ciągle pogardliwie się odzywał o mieszczechach i „powstaniu warszawskiem”, dając przez to poznać, że nie wierzy w jego powodzenie bez poparcia szlachty, na sesye nie przychodził i w ogóle nie uważał się wcale za członka Komitetu. W takim stanie rzeczy uznano za stosowne, nie zarządzać nowych wyborów, ale wprost powołać na miejsce Paszkiewicza, Bronisława Szwarcego, znanego nam już ze swych gorących nadziei i agitacyi w Białymstoku. Porzucił on to miasto i przeniósł się do Warszawy i tu swym patryotyzmem rozczochanym, wygłaszaniem szumno-brzmiących frazesów, czerwonością przekonań, zwrócił na siebie uwagę całej organizacji. Była to natura niespokojna, wszędzie się wkręcić umiał, głosił o pewności zwycięstwa Polski, potępiał wszelki kompromis z najazdem, zapalony, gorący entuzjasta, ale głowa licha, należał do rzędu tych licznych i zarozumiałych nadzwyczajnie ludzi, a raczej młokosów, którzy nie uznawali żadnych innych przekonań

379 N. Berg, II, 265.

380 Loc. cit.

prócz swoich i mimo woli, bezwiednie popychali kraj do przepaści. Nie był on zapewne gorszy od wielu innych, którzy w tych czasach nieszczęśliwych odgrywali rolę pierwszorzędną, a lepszy tak pod względem wykształcenia umysłowego, jak i charakteru moralnego od Chmieleńskiego.

Dla Komitetu było to prawdziwą korzyścią, że się pozbył tego ostatniego, który odtąd, trawiąc się złością, chodząc począł pojedynkiem, działać na własną rękę, i jak zobaczymy wkrótce, ciężkie ciosy zadawać przyszłości krajowej; natura niekarna, zuchwała i lekkomyślna nadzwyczajnie. Komitet jednak, zapewne dla zachowania w tajemnicy przed niższą organizacją burz, jakie zachodziły w jego łonie, nie przestawał aż do chwili wybuchu powstania używać podpisu Chmieleńskiego na kwitach podatkowych i tym podobnych dokumentach³⁸¹, co, szczerze mówiąc, dość osobliwie wygląda.

Należało się wszakże spodziewać, że Chmieleński ręk nie założy i wicherzyć nie przestanie, zwłaszcza, że jakeśmy kilkakrotnie wspomnieli, miał nader licznych stronników wśród organizacji miejskiej, głównie w sferach młodzieży rzemieślniczej. Jakoż są ślady, że założył nowy komitet, który przybrał miano: rewolucyjnego³⁸², jakkolwiek o osobach i składzie tego ciała nic nie wiemy, i działalność jego pokryta jest tajemnicą, którą tylko późniejsze wypadki, o ile ich źródłem był Chmieleński, nieco rozświecają. Ze swej strony Giller, który, rzec można, staje się teraz najważniejszą osobą spisku, przewidując te okoliczności, posiadając z natury, jak każda mierność, umysł systematyczny, postanowił pewien ład wprowadzić tak do samego Komitetu, jak i organizacji, a nadewszystko, żeby zapobiedz tworzeniu się na przyszłość różnych ciał samowolnych, jak to dotąd bywało, zaproponował, ażeby Komitet przybrał miano Centralnego narodowego. Jakoż tak się stało, w czerwcu 1862 r.³⁸³. Nazwa ta miała niezaprzeczenie ważne znaczenie; mówiła ona, że nowy Komitet nie jest wyrazem stronnictwa, ale narodu całego, że jest jedynym prawowitem ciałem, mającym odtąd kierować losami Polski. Wobec organizacji, wobec mas był on dotąd władzą legalną i poza nim innej być nie mogło.

W takich to warunkach i po takich przemianach i walkach, powstało owo dziwne, jedyne zaprawdę w historii i na zawsze pamiętne w dziejach nieszczęść naszych, ciało, które nosiło nazwę tak znaną odtąd i tak rozgłośną: Komitetu Centralnego narodowego. Jeżeli wyłonił on się z posępnych ciemności spisku tajnego, jeżeli powstał z nieprawego związku niezaprzeczonej, choć niestety! źle pojmowanej, miłości ojczyzny z rewolucyjnymi dążnościami

381 B. Szwarce. Wydawnictwo materyałów do historii powstania, 26. Pisze on, że robiono to „aby tradycji nie przerywać”.

382 N. Berg, II, 265.

383 A. Giller, I, 68.

wieku, jeżeli urósł z pokumania się wszetecznego z rodzącym się spiskiem moskiewskim, to jednak z czasem, w ciężkiej, krwawej walce z najazdem, starł z siebie te naleciałości chwili, chrztem ofiarnego boju zmazał grzech pierworodny i żył i karmił się wyłącznie czystą ideą niepodległości ojczyzny. I to jest jego jedyną obroną, jeżeli w ogóle obroniony on być może wobec strasznych następstw, jakie wywołał.

Nim jednak przystąpimy do bolesnej, smutnej opowieści oplakanych jego dziejów, bezprzykładnych zaiste w historii wszystkich spisków świata, należy nam wprzód znowu przenieść się na północ daleką, nad mroźną Nową, gdzie właśnie teraz, gdy Komitet Centralny wyrastał z chaotycznego zamętu sprzyśiężenia, rozgrywało się wielkie zagadnienie przyszłości, rozstrzygał się los Polski. Zobaczmy, jak na niebie polskim, tak zawsze chmurnem, tak zawsze brzemieniem piorunami, na chwilę, na krótką niestety! chwilę, wyjrzało słońce jasne i widne, by zaraz potem z winy naszej własnej przesłonić się na długo nieprzejrzaną płachtą obłoków czarnych i istnych plag biblijnych.

ROZDZIAŁ XVI

Zamach na Lüdersa.

Wyjazd Wielopolskiego i Lüdersa do Petersburga. Przyjęcie i wymówki o list papieski. Manifestacje w Warszawie. Zachowanie się policyi. Lampki przed kościołem OO. Kapucynów. Wypadki dnia 3 maja. Aresztowania. Zbrodnia w ratuszu. Arcybiskup w Łowiczu. Powrót do Warszawy i korespondencja z dyrektorem Komisji Oświecenia. Nabożeństwo na Woli. Przerwana wizyta pasterska. Powrót do Warszawy i rozmowa z Lüdersem. Misyja Safianosa. Ogłoszenie po dziennikach. Rozmowa arcybiskupa z duchowieństwem warszawskiem i ks. Mikoszewski. Zaprzestanie śpiewów patryotycznych. Wypadek w Moroczynie. Powrót Białobrzieskiego i manifestacje z tego powodu. Wykrycie spisku wojskowego. Aresztowanie czterech oficerów. Zamiana depesz i rozkaz ministra wojny. Wielopolski w Petersburgu. Wahanie się, komu powierzyć namiestnictwo. Nadzieje Wielopolskiego. Kandydatura Mikołaja Milutyna. Niechęć jego w jej przyjęciu. Wieści o spisku wojskowym. Pożary w Petersburgu i ich skutek. W. ks. Konstanty namiestnikiem Królestwa. Wrażenie w Warszawie. Odezwa rewolucyjna. Mowa Lüdersa w Radzie stanu. Ustawa o wychowaniu publicznem. Szkoły elementarne. Gimnazya. Politechnika w Puławach. Szkoła sztuk pięknych. Szkoła główna. Opinie w kraju o ustawie szkolnej. Prawo o oczyszczaniu z urzędu. Ukaz o równouprawnieniu żydów. Powrót Wielopolskiego do Warszawy. Rozmowa z p. Fournier. Kazimierz Krzywicki. Nominacya Edwarda hr. Kellera na dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Zdanie Czerwonych o reformach. Mowy przy instalacyi Krzywickiego. Sprawa oficerska. Śledztwo. Wyrok i jego wykonanie. Odezwa do żołnierzy rosyjskich. Nabożeństwo za rozstrzelanych. Postępek Chrulewa. Zamach na Lüdersa. Andrzej Potebnia. Strzał. Zachowanie się Potebni. Artykuł „Gazety warszawskiej”. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Artykuł „Strażnicy”. Wieści o zamachu w Petersburgu. Telegram cesarza. List Wielopolskiego do W. ks. Konstantego. Postanowienie wyjazdu. List ks. Gorczakowa, W. ks. Konstanty, jego przeszłość i charakterystyka. Zakończenie.

Dnia 26 kwietnia, w nocy, po czterotygodniowym blisko pobycie w Warszawie, margrabia Wielopolski wyruszył z powrotem do Petersburga. Jakkolwiek w zakresie nowych praw, dla których obrony głównie przyjechał, zrobił co chciał, wszelako wyjeżdżał z niepokojem o dalsze swe i Polski losy w Petersburgu, a następnie z niezadowoleniem z tego, na co patrzył w Warszawie. Chociaż ubiegał się o względy wielu osób, czując doskonale, że niepopularność jego służy za najpotężniejszą broń w rękę

jego nieprzyjaciół w stolicy rosyjskiej, nie mógł jednak nie zauważyć i zdawał sobie wybornie z tego sprawę, że był nadzwyczaj chłodno przyjmowany, że nieprzyjaźń i niechęć powszechna w niczem się względem niego nie zmieniła. Wprawdzie teraz nie sam miał być w Petersburgu; wyjechał z nim także Enoch, mający, jak wiemy, swe duże stosunki nad Newą i umiejący ich korzystnie używać. Stanie on się też wielką pomocą Wielopolskiemu w zwalczaniu tych przeróżnych wpływów, które obyczajem orientalnym krzyżowały się około osoby padyszacha rosyjskiego. Wyjechał także Maksymilian Vidal, urzędnik Komisji oświecenia, do którego margrabia przywykł i który był jego prawą ręką, a zarazem posiadał pewien wpływ na osobę ordynata pińczowskiego. Może nie zawsze tego wpływu z istotną korzyścią dla kraju używał, zwłaszcza w wyborze osób na różne późniejsze stanowiska, ale był człowiekiem wykształconym, wytwornym, pełnym francuskiej galanterii, jaką odziedziczył po matce Francuzce z rodu i po ojcu, wielkim panu polskim. W takim otoczeniu miał się znaleźć znowu Wielopolski na śliskich posadzkach salonów petersburskich i rozpocząć dalej tę rwącą się nieustannie przędzę Penelopy, którą chciał związać rusztowanie mocno zrujnowanego gmachu ojczystego.

Przypadały właśnie święta wielkanocne według kalendarza juliańskiego, i na święta te wybrał się do Petersburga, tegoż samego dnia co i Wielopolski, namiestnik Lüders, oraz dyrektor spraw wewnętrznych Kruzenstern. Jechali oni, zwłaszcza ten ostatni, nie bez ukrytych, jak się zdaje, zamiarów szkodenia Wielopolskiemu i robili w tym względzie, co mogli, a że im się nie udało, nie było to na pewno ich winą. Z namiestnikiem wyruszyli dyrektorowie jego kancelaryi: Safianos, Grek chytry i podstępny, oraz Szwecow; co wszystko świadczyło, iż o los Polski staczane będą uparte walki. Cesarz przyjmował Lüdersa ze szczególnem odznaczeniem i udzielił mu nawet mieszkanie w pałacu Zimowym³⁸⁴, obok siebie, i w dzień swoich imienin mianował go członkiem Rady państwa. Za przykładem cesarskim wszyscy teraz poczęli się ubiegać o względy całkiem niedawno zapomnianego Lüdersa, wszyscy ministrowie i dygnitarze biegli do pałacu Zimowego, by się pokłonić wielkorządcy warszawskiemu. W ich liczbie znalazł się także Suchozanet, ale został przyjęty chłodno...³⁸⁵. Sam jednak Lüders nie łudził się co do znaczenia tych względów. Wiedział on doskonale, a w Petersburgu mógł się na każdym kroku niejako przekonać, że dni jego władzy w Warszawie są już policzone, i że okazywane mu łaski są tylko osłodzeniem gorzkiej pigułki, jaką wkrótce mu podadzą. Zresztą poza powierzchowną i ostentacyjnie mu okazywaną grzecznością uprzedzającą ze strony cesarza, kryły się niewidoczne dla ogółu,

384 Oczewidziec, Posledniaja polskaja smuta („Russkaja Starina” XII, 139 z r. 1875).

385 Loc. cit.

ale przykre bardzo wymówki, jakie mu samowładca czynił za to, że dozwolił ks. Felińskiemu na rozpowszechnienie listu papieskiego. Otrzymał przytem polecenie, ażeby po powrocie do Warszawy zrobił arcybiskupowi w imieniu monarchy surową wymówkę (strogij wygovor) z powodu tego listu i za stosunki prywatne z kuryą rzymską³⁸⁶.

Z takim rozkazem i zapewne z nowemi instrukcjami powrócił Lüders, po dwutygodniowym pobycie nad Newą, d. 9 maja do Warszawy.

Tutaj, przez ten krótki stosunkowo czas, przez który rządził w kraju surowy i nieprzyjazny wszystkiemu, co polskie, generał-gubernator Kryżanowskij, zaśzło kilka opłakanych wypadków, świadczących o powrotnej fali manifestacyjnej i o budzącem się znowu wzburzeniu umysłów. Piękna, pogodna i ciepła wiosna, która całym urokiem krasy swojej oblała ogrody miejskie, przyczyniała się do tego, że na ulice wylęgały tłumy wszelkiego rodzaju próżniaków, tak zawsze liczne w Warszawie, czyniące ją pod tym względem podobną do miast włoskich, tłumy, które chętnie poddawały się różnym menerom i brały udział w manifestacjach. Rozpoczęły się znowu zuchwałe napaście uliczne na kobiety, na Rosyanki i „fijołki”, obrażanie ich publiczne, niszczenie im sukien kwasem siarczanym lub inną materią palną³⁸⁷. Rzeczy te przybrały tak wielkie rozmiary, że nawet spokojne, plotkarskie pismko brukowe: „Kuryer warszawski”, wystąpił z godną zaiste pochwały naganą tego postępowania, dowodzącą niemałej odwagi cywilnej w redaktorach tego dziennika: „ludzie szukający w zaburzeniach nie dobra ojczyzny, pisał „Kuryer”, ale tylko dopięcia osobistych widoków, usiłują znowu przez środki terroryzmu zawładnąć mieszkańcami Warszawy; w tym celu wyrządzają zuchwałe obelgi kobietom, ukazującym się na ulicy nie w żałobie, puszczając w obieg plotki i kłamstwa i usiłują straszyć spokojnych obywateli.

Czyliż ci ludzie nie pojęli jeszcze, że takim postępowaniem poniżają tylko godność narodową w oczach dobrze myślących ludzi całej Europy, czyliż nie

386 Rękopism bezimienny.

387 Przytoczymy tu kilka przykładów takich nagannych i nieszlachetnych napaści na kobiety, dokonywanych zwykle przez niedorostków. W dniu 14 maja w Alejach Belwederskich, pięciu uczniów szkolnych zaczęło dwie Rosyanki, ubrane w suknie kolorowe i obrzuciło je obelgami karczemnymi. Innego dnia niejaki Wójcik, aplikant w zarządzie konsumcyjnym, złapał dwie kobiety, mające na kapeluszach wstążki kolorowe, a nawet na jedną z nich pluł. Przyaresztowany, oddany został za to do wojska. (Pawliszczew, Siedmicy I, 86). W Łodzi dnia 28 kwietnia przy wyjściu z teatru kilka Rosyaneł i Niemek miało kolorowe suknie oblane jakimś płynem palącym. Listę tę możnaby do nieskończoności przeciągnąć. Niemniej ulegali napaściom gawiedzi ulicznej mężczyźni, noszący kapelusze cylindrowe. Zwykle za tak ubranym panem puszczała się gromada chłopaków, krzycząc: „cylinder! rura!” i często kamieniami obrzucała. Władze rządowe wydały nawet wskutek tego rozporządzenie, żeby urzędnicy chodzili albo w czapkach mundurowych, albo w okrągłych kapeluszach. (Loc. cit.).

przekonali się jeszcze, że ich postępowanie pociąga za sobą tylko nieco więcej ofiar, czyni nieszczęśliwymi nieco więcej rodzin? Przyszła już zdaje się pora namysłu, czas, aby młodzież nasza zrozumiała, że zanim wystąpi na widownię życia publicznego, dla pożytku ukochanej ojczyzny, należy jej nabyć wiadomości, należy się uczyć. Z drugiej strony czas już, aby ojcowie rodziny i obywatele Warszawy otrząsnęli się z niepojętego, ślepego i bojaźliwego posłuszeństwa dla gromadki demagogów bez brody, aby ściślej wglądali w postępowanie swoich synów i własnym przykładem nauczali ich, że miłość ojczyzny wyraża się nie prześladowaniem kobiet nie mających obrony, ale dziełami pożytecznymi dla ogółu i spokojną, uczciwą pracą w oznaczonym każdym zakresie”. Ale słowa te, powtórzone przez wszystkie inne dzienniki, nie znalazły odgłosu w rozwichrzonych umysłach tłumów, i nie przyniosły innego skutku prócz narażenia redaktorów na obelgi i oskarżenia o zdradę kraju. Kobiety, a zwłaszcza znienawidzone „fijołki”, ciągle były obrażane po ulicach, „demagodzy bez brody” terroryzowali miasto, a ojcowie rodzin od dawna już abdykowali ze swej władzy na rzecz żon, córek i synów. Tu i owdzie po kościołach poczęto znowu śpiewać, ucichłe od kilku miesięcy, hymny patryotyczne. Przypadające teraz t. z. nabożeństwa majowe, zawsze sprowadzające do kościołów tłumy modlących się, sprzyjały temu bardzo. Tu i owdzie nieśmiało zrazu zaśpiewano „Boże, coś Polskę”, niekiedy pieśni nieukończono³⁸⁸, ale bądź co bądź początek był zrobiony i należało się spodziewać, że kierownicy tajemni, działający na własną zwykłą rękę, na tem nie poprzestaną.

Z drugiej strony zachowanie się policji, pod wpływem Kryżanowskiego, było nadzwyczaj brutalne i w wielu razach miało charakter prowokacyjny. Nabożeństwa majowe śnać nie podobały się mocno wielkorządcy warszawskiemu, i nim dowiedział się, że tego rodzaju modły corocznie się odbywają, są od dawna uświęconym przez kościół obyczajem, sądził, że są one umyślną manifestacją polityczną i energicznie przeciw nim wystąpił. Gdy więc w d. 1 maja OO. Kapucyni i nabożni ozdobili wieńcami zieleni i mnóstwem lampek różnokolorowych figurę Matki Boskiej, wznoszącą się przed kościołem, i gdy poczęto przed tą figurą wieczorem śpiewać zwykłe, niezabronione pieśni religijne, policja śpiewających rozpędziła, a lampki pogasiła i potłukła. W parę dni potem d. 3 maja, w rocznicę, tyle patryotycznych wspomnień budzącą, już od godziny 7 rano, kościół Świętokrzyski, gdzie właśnie przed sześćdziesięciu kilku laty odbyła się wspaniała uroczystość zaprzysiężenia przez króla i stany sejmujące tak głośnej w naszych dziejach i tak miłej narodowi konstytucji, zgromadziły się znaczne tłumy młodzieży, przeważnie uczniów pobliskich

388 Telegram Kryżanowskiego z d. 1 maja („Russ. Starina” XXXVII, 613).

gimnazyów: realnego i gubernialnego, oraz kobiet młodych, przeważnie szwaczek, które wstąpiły do kościoła przed pójściem do magazynów. Zgromadzenie było widocznie wynikiem zmywy poprzedniej, i postawa zebranych mówiła, że zamierzają urządzić manifestację, to też policja, która bacznie doglądała kościołów, zgromadziła się dość licznie. Po mszy zaczęto śpiewać t. z. suplikacye, ale w ten sposób zmienione, że zamiast „od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie”, śpiewano „od powietrza, głodu, ognia i niewoli”, oraz „abyś braci naszych z więzów wyswobodzić raczył... abyś nam ojczyznę przywrócić raczył, błagamy Cię Panie!” Komisarz policji wobec tego sprowadzić kazał znaczniejszą liczbę policyantów, którzy, ustawivszy się przy drzwiach kościoła, poczęli wychodzących uczniów aresztować. Ci, posuwając się gromadnie, nie dali się brać bezkarnie, wskutek czego zawiązała się dość żwawa bójka, która, ściągając przechodniów i gawieź, groziła przybraniem wielkich rozmiarów. Poczęto na policyantów rzucać kamieniami, ale ci, dobywszy pałaszów, wsparci przytem nadbiegłym oddziałem piechoty i kozaków, zdołali rozprędzić manifestatorów, nie zraniwszy nikogo, ale poturbowawszy wielu. Aresztowano przytem około trzydziestu osób, mężczyzn, kobiet i uczniów³⁸⁹. Lecz nie miało się na tem skończyć. Ponieważ policja obawiała się nowego zbiegowiska, więc zatrzymała przed kościołem oddział wojska, który gdy zobaczyli wychodzący o godzinie 10 na pauzę uczniowie wzmiankowanych gimnazyów, mieszczących się w pobliskim pałacu Kazimierowskim, stanąwszy za kratą, poczęli obrzucać żołnierzy obelgami i kamieniami. Na szczęście nie przyszło do poważniejszych rozruchów. Po południu rozpoczęła się pielgrzymka do Ogrodu Botanicznego, gdzie mieściły się fundamenta kościoła św. Opatrzności, jaki miano niegdyś wznieść na pamiątkę konstytucji 3 maja; ale Kryżanowski uprzedzony o zamiarach manifestatorów, obstawił wejście do ogrodu posterunkami policyjnymi, które rzadko kogo do środka puszczały.

Silne przytem patrole, przebiegające miasto we wszystkich kierunkach, nie dozwoliły na żadne zbiegowisko, choć wieczorem przed kościołem św. Krzyża

389 Kryżanowski w depeszy z d. 4 maja powiada, że „aresztowano pięciu młodych ludzi i dwie kobiety”, Pawliszczew, (Siedmicy I, 80) twierdzi, że aresztowano w ogóle „sześć osób, w tem dwie damy”. Źródła polskie także nie zgadzają się co do liczby uwięzionych i podają ją najrozmaiciej, od 20 do 100 osób. My poszliśmy za rękopiśmienną kroniką tych czasów, pisaną przez naocznego świadka wypadku, znajdującą się w naszych zbiorach, która oznacza liczbę aresztowanych na 30 osób obojej płci, w rzędzie których była większość przechodniów z ulicy, nie należąca do manifestacji. Depesza Kryżanowskiego, o której wyżej jest mowa, brzmi w przekładzie dosłownym jak następuje: „d. 4 maja (22 kwietnia). Wczoraj rano uczniowie gimnazjum i kobiety zaśpiewały hymn zakazany w kościele św. Krzyża: przy wyjściu z kościoła aresztowano pięciu młodych ludzi i dwie kobiety. Tłum chciał odbić aresztowanych, ale mu się to nie udało. Zresztą bójki żadnej nie było”.

robiono próby liczniejszego się zgromadzenia³⁹⁰. Na ten dzień ów się skończył, ale nie skończyły się jego następstwa.

Kryżanowski w odezwie, ogłoszonej przez wszystkie dzienniki, opisawszy wypadki powyższe, wywołane głównie przez młodzież, odwołał się do pomocy ojców rodzin. „Ojcowie rodzin, pisał, bez żadnej wątpliwości, dadzą uczuć swym dzieciom, na jak ciężką narażają się odpowiedzialność, kiedy zamiast oddawać się poważnym studiom, które mają z nich uczynić pożytecznych dla ojczyzny obywateli, poddają ucho podżeganiom, niebezpiecznym nie tylko dla nich samych, ponieważ rząd ma w ręku dostateczną władzę dla utrzymania spokojności publicznej”. Niestety! władza ojców rodzin od dawna już nie istniała; nie mieli oni w domu, polskim obyczajem, powagi należytej i nie śmieli wydawać zakazu rodzinie, by nie brała udziału w manifestacjach, które już teraz, nawet ze stanowiska powstańczego sądzzone, zupełnie były niepotrzebne i bezcelowe. Odtąd przez kilka dni z rzędu odbywały się po wszystkich prawie kościołach aresztowania, przeważnie młodych kobiet, które tajni kierownicy całego tego ruchu nie po polsku i nieszlachetnie wysyłali na pierwszy ogień i na pastwę brutalności policyi. Ta w rzeczy samej zachowywała się nieprzyzwoicie i występowała wszędzie z cynicznym zuchwalstwem.

W dniu 11 maja wpadła w czasie nabożeństwa majowego do kościoła kapucyńskiego, gdzie zebrani pobożni śpiewali pieśń na nutę „Boże, coś Polskę”, zaczynającą się od słów: „serdeczna Matko”. Przyaresztowano kilka kobiet wychodzących z kościoła, a w nocy uwięziono zakonnika O. Tertuliana za to, że się znajdował w kościele podczas śpiewania owej pieśni³⁹¹. Słowa tej pieśni, co prawda, nie zawierały w sobie nic zabronionego, ale melodia jej, ta sama, na jaką śpiewano „Boże, coś Polskę”, kazała podejrzewać wybieg ze strony kierowników tych wszystkich, niczem nieusprawiedliwionych manifestacji. W parę dni potem powtórzyły się też same sceny i w tymże kościele. Z wielkim trzaskiem i brzękiem wpadło do świątyni kilkunastu policyantów pod wodzą niejakiego Fedorowa, i wywołali popłoch wśród kobiet, które kryć się poczęły po konfesyonałach i za ołtarze. Zakrystyan kapucyński, braciszek

390 Powyżej cytowana depesza tak się kończy: „o godzinie 10-ej uczniowie gimnazjum realnego i gubernialnego, stojąc za kratą zabudowań, łajali (branili) policyą i wojsko i rzucali kamieniami. Wieczorem zebrali się znów wielkim tłumem przed kościołem św. Krzyża i w Ogrodzie Botanicznym. Ale obecność policyi i silnych patroli powstrzymały wszelkiego rodzaju zaburzenia”. Dodajmy, że Kryżanowski, „przekonawszy się, że zaburzenia wśród uczniów gimnazjum realnego i gubernialnego mają źródło w słabym dozorze, a nawet poparciu ze strony dyrektorów, kazał ich obu uwolnić od obowiązków” (Pawliszczew, loc. cit. I, 80).

391 Kronika wypadków (rękopism).

Krescenty, oburzony tem najściem, począł wypędzać policyantów, mówiąc: „wpadliście jak wilki do owczarni i spłoszyliście pobożnych. Znajdujcież się przyzwoicie w świątyni Pańskiej i nie obrażajcie Boga”³⁹². Znowu schwytano kilkanaście kobiet, a Krescentego rozkazano w nocy przyaresztować, ale zdołał on się schronić, choć przez parę dni go poszukiwano. W tymże samym dniu na Lesznie, w kościele Karmelitów, komisarz Jachimowski przytrzymał siedm kobiet, które chciał tłum odbić, stąd wywiązała się zacięta bójka między policyą, kozakami i ludem. Z aresztowanymi kobietami załatwiano się w ten sposób, że stale skazywano je na wygnanie z Warszawy do różnych miast i miasteczek prowincjonalnych, skąd nie wolno im było bez specjalnego pozwolenia wyjeżdżać. Nim jednak taki wyrok wygnania zapadł, w pierwszych chwilach obchodzono się nieraz z aresztowanymi w sposób oburzający i cyniczny. Jakąś młodą, szesnastoletnią dziewczynę, schwytaną u Kapucynów, zaprowadzono do ratusza i tam pod pozorem rewizyi, rozebrano do naga w przytomności niesfornego żołdactwa.

Wzruszenie biednej ofiary było tak silne, że wąły jej organizm nie wytrzymał tej próby i martwe tylko ciało pozostało w ręku rozbestwionych siepaczy³⁹³.

Gdy się to wszystko działo, gdy te straszne sceny rozgrywały się po kościołach i więzieniach warszawskich, gdy obie strony okazywały nadzwyczajne rozdrażnienie i rozgoryczenie, arcybiskupa nie było w Warszawie. Wyjechał on był jeszcze dnia 26 kwietnia, w towarzystwie księży: Siekluckiego i Witmana, oraz swego kapelana Rakowskiego z wizytą kościołów prowincjonalnych i w tym celu zatrzymał się naprzód w Łowiczu. Tutaj w chwili, gdy pociąg stanął na dworcu kolejowym, ukazał się nagle oddział żandarmów i kozaków, którzy otoczyli cały dworzec i licznie zebranego ludu nie puszczali dla powitania arcybiskupa. Komendant, zapytany o przyczynę tego wystąpienia zbrojnego, odrzekł, że czyni to dla obrony arcybiskupa przed kocią muzyką, jaką mieszkańcy zamierzają mu wyprawić. Ta niezwykła troskliwość władz wojennych o dobro ks. Felińskiego, oburzyła go mocno, zażądał, by wojsko usunięto, a gdy komendant wahał się, rzekł mu: „proszę pana dowódcy kazać odstąpić wojsku, gdyż inaczej stąd nie wyjdę”³⁹⁴. Wojsko więc musiało się usunąć, a arcybiskup, otoczony tłumem ludu, ruszył pieszo do katedry i kocięj muzyki wcale nie było, choć w ogólności przyjmowano go tu tak ze strony duchowieństwa, jak i osób świeckich bardzo ozięble. Ale nie sądzono mu bawić tu długo. Przebywszy dwa dni w Łowiczu, puścił się w Kutnowskie, gdy

392 Loc. cit. Pawliszczew, Siedmicy 1, 82.

393 Rękopism bezimienny.

394 S. Prawdzicki, Wspomnienie, 120

nadesłane sztafetą listy z Warszawy o rozbiciu lampek przed kościołem kapucyńskim, o wypadkach w kościele Świętokrzyskim, przyspieszyły jego powrót i stanął w Warszawie d. 4 maja wieczorem.

W rozgoryczeniu, jakim go napoiły wszystkie te wypadki, w nerwowym rozdrażnieniu tej duszy wrażliwej i widzącej mnóstwo nadużyć ze strony prokonsulów moskiewskich, zażądał przedewszystkiem od Kryżanowskiego, ażeby wszyscy aresztowani w dniu 3 maja w kościele Świętokrzyskim zostali uwolnieni. Mówił, że odpowiedzialność za taki krok całkowicie bierze na siebie, że jeżeli żądanie jego nie będzie uwzględnionem, to zatelegrafuje bezpośrednio do cesarza³⁹⁵. Świadczy to wymownie, jak dalece w pałacej atmosferze bruku warszawskiego stracił krew zimną i chłodny sąd o rzeczach; jak w tej duszy serdecznie polskiej i słabej po polsku, walczyły ze sobą dwa prądy: jeden nieopatrnej miłości ojczyzny, współczucia dla dążeń powstańczych, dla manifestatorów, których usprawiedliwiał przed sobą samym, których pragnienia odczuwał i pojmował; drugi prąd rozumu, rachunku, liczenie się z położeniem, z okolicznościami, z widoczną niemożliwością wywalczenia tą drogą, jaką szła młodzież krajowa, niepodległości tej ukochanej, tej ubóstwianej, tej nieszcześliwej ojczyzny polskiej. I w tych to uczuciach, łamiących się w każdej lepszej duszy polskiej tej epoki, leży zapewne przyczyna tej słabości i tych ustępstw, jakie czynili ludzie dojrzały i rozumni szalejącej młodzieży i wichrzycielom wszelkiego rodzaju.

Kryżanowski w sprawie uwolnienia aresztowanych w kościele św. Krzyża ustąpił żądaniom ks. Felińskiego, ale w kwestyi rozbitych lampek przed statua Matki Boskiej, postąpił sobie z właściwą satrapom moskiewskim bezwzględnością. Z jego rozporządzenia dyrektor Komisji wyznań i oświecenia, Hube, wystosował do arcybiskupa jeszcze pod d. 2 maja reskrypt, w którym go wzywał, „aby najsurowiej oznajmionem zostało przełożonym klasztorów i parafii, oraz podległemu im duchowieństwu, że pod odpowiedzialnością własną obowiązani są wzbraniać i niedopuszczać iluminacyi figur, stojących przed kościołami; w razie zaś niespełnienia takiego rozkazu, ciż duchowni będą zaraz aresztowani i ulegną przykładowej według prawa karze”.

Reskrypt ten, dość nieprzyzwoity w swoim tonie, podrażnił mocno arcybiskupa i w dniu 5 maja skreślił on odpowiedź do dyrektora Hubego bardzo ostrą i bardzo namiętą. Wytlomaczywszy naprzód „błędnie poinformowanemu JW. Dyrektorowi”, że zwyczaj iluminowania figur i statuy świętych jest dawnym zwyczajem, powiada: „zarząd w kościele i w miejscach świętych powinien być zostawiony duchowieństwu i władzy duchownej; inaczej co-

395 Loc. cit. 122.

raz większe tworzyć się będą nieporządki, które w końcu wywołać muszą to najsmutniejsze następstwo, że lud wierny, drażniony w swoich najświętszych uczuciach religijnych, niepokojony nawet w domach Bożych i miejscach świętych, rozpacz ogarnąć może i zaprzestanie uczęszczać na modlitwę, opuszczać będzie święta uroczyste, a które to symptoma, z boleścią i prawdziwym smutkiem serca wyznać to muszę, już się zaczynają objawiać, jak się o tem przekonywam z raportów od duchowieństwa, gdyż w r. b. zaledwie połowa wiernych dopełniła spowiedzi wielkanocnej”. „Zechcesz przeto JW. Pan mieć władzę duchowną za usprawiedliwioną, że żadnych rozporządzeń do duchowieństwa, aby zabraniało tego, czego religia nie potępia, wydawać nie może”. W końcu mieści taką uwagę, niepozabawioną gryzącego strofowania, wymierzonego przeciw powszechnie nielubianemu Hubemu. „Dodaję wreszcie, że wzywanie najpierwszego kościelnego dygnitarza w kraju do ogłoszenia ludowi rozporządzeń policyi, tak wyraźnie uwłacza należnemu godności mojej poszanowaniu, iż odtąd JW. Dyrektor zechce się wymówić od przyjmowania na siebie podobnych zleceń”³⁹⁶.

Równocześnie z tą ostrą odpowiedzią, daną dyrektorowi Hubemu, arcybiskup wystosował list do generał-gubernatora Kryżanowskiego, zdaniem naszym zupełnie niepotrzebnie, gdyż generał-gubernator bezpośrednio z nim w tej sprawie się nie komunikował. W liście tym, owocu mocnego podrażnienia, ks. Feliński oświadczał, że „rząd i policya wywołują najsmutniejsze zajścia i niczem nieusprawiedliwione prześladowania wiernego ludu w domach Bożych”, i w końcu, podobnie jak Hubego, prosił Kryżanowskiego, „aby raczył pamiętać, że arcybiskup jest pierwszym dostojnikiem kościoła, a nie sługą policyi, któryby jej polecenia spełniał”³⁹⁷.

Po tem starciu, podrażniającem mocno stosunki wzajemne między władzą świecką i arcybiskupem, zabawił on kilka dni w Warszawie, odprawił w d. 8 maja, w dzień św. Stanisława nabożeństwo na Woli, choć Kryżanowski przez pośrednictwo oberpolicmajstra Piłsudzkiego prosił, by tego nie czynił. Ale ks. Feliński już teraz w niczem nie chciał ustępować, tłumacząc się, że na Woli jest odpust i musi tam być, swojego dokonał, miał nawet kazanie, w którym między innemi powiedział: „jeżeli tego potrzeba będzie, abym dla dobra kościo-

396 Oba te pisma wydrukował „Czas” krak. (Nr. 112 z r. 1862), a samą odpowiedź ks. Felińskiego można znaleźć u Prawdzickiego loc. cit. 122 i nast. Pawliszczew w tygodniowym raporcie, składanym bezpośrednio cesarzowi, rzuca insynuacją, że postąpienie to arcybiskupa „świadczy, iż Feliński nie chce już być posłusznym rozporządzeniom rządowym, gdyż nie zgodził się na zakazanie oświetlania figur na ulicach, jak tego wymagają przepisy stanu wojennego” (Siedmicy I, 83).

397 J. Jastrzębczyk, Krzyżowy charakter, 54.

ła i dobra ojczyzny życie moje w ofierze położył, do takiej ofiary jam pierwszy gotów”³⁹⁸. Nazajutrz wieczorem wrócił do Warszawy namiestnik Lüders, a arcybiskup d. 10 maja rano, nie widząc się z nim wcale, wyruszył na dalszą wizytę kościołów parafialnych i zatrzymał się naprzód w Skierniewicach, skąd tegoż samego dnia puścił się do Mszczonowa, gdzie miał poświęcić kamień węgielny do mającego się stawiać kościoła parafialnego. Nazajutrz w niedzielę, po ceremonii nader uroczystej i kazaniu, gdy ks. Feliński katechizował dzieci mszczonowskich, nadbiegła od namiestnika sztafeta, wzywająca arcybiskupa do natychmiastowego powrotu do Warszawy³⁹⁹, później zaś, o północy już, zjawił się dyrektor wyznań, Solnicki, w swej własnej osobie, z powtórzeniem tej samej natarczywej prośby i z dodatkiem, że namiestnik wzywa zwierzchnika kościoła polskiego, „dla wysłuchania zleceń monarchy”⁴⁰⁰.

Ale w tym stanie duszy, w jakim znajdował się wówczas ks. Feliński, tego rodzaju rozkazy i domagania się władz rosyjskich, wręcz przeciwny wywierać musiały skutek. Znajdował on teraz pewną rozkosz w stawianiu upartej opozycji wszelkim ich życzeniom, więc odrzekł chłodno Solnickiemu: „proszę powiedzieć, że wrócę do Warszawy dopiero we wtorek wieczorem, nie zaś natychmiast”⁴⁰¹. Jakoż dotrzymał słowa i dnia 13 maja wieczorem przybył do stolicy, demonstracyjnie, nie spiesząc się wcale i po Mszczonowie zwiedził jeszcze parę wiejskich okolicznych kościołów.

To usposobienie oburzenia wewnętrznego na gospodarujących po Warszawie satrapów rosyjskich doszło do swej pełni, gdy dowiedział się o wypadkach zaszłych tutaj podczas jego nieobecności, o parokrotnych napaściach policyj na kościoły i klasztor Kapucynów, na wtargnięcie komisarza Jachimowskiego do kościoła na Lesznie, o podobnych zresztą scenach i w innych świątyniach, o aresztowaniach wychodzących z majowego nabożeństwa kobiet, o strasznych na koniec bezprawiu, jakiego się policja dopuściła z młodą, rozebraną wobec żołdaków do naga dziewczyną w ratuszu. Wszystko to podsycało mocno oburzenie wrażliwej duszy arcybiskupa i należało się spodziewać, że przy widzeniu się z namiestnikiem wybuchnie i niczego w bawełnę obwijać nie będzie. Jakoż stawiawszy się nazajutrz po swym przybyciu na Zamku, i wysłuchawszy nawiasowo mu czynionych przez Lüdersa wyrzutów, z powodu ogłoszenia listu papieskiego, odrzekł sucho⁴⁰²: „że

398 S. Prawdzicki, loc. cit. 125.

399 S. Prawdzicki, loc. cit. 127.

400 Rękopism bezimienny. Nie „feldjeger więc namiestnikowski” przyjechał do Mszczonowa, jak utrzymuje Prawdzicki.

401 Prawdzicki, loc. cit.

402 S. Prawdzicki, loc. cit. 128, swoim zwyczajem przytacza całą rozmowę, jaka się toczyła między arcybiskupem a Lüdersem. Oczywiście nie jest ona autentyczną, w wielu miejscach nawet fałszywą, więc jej nie powtarzamy. W naszym opowiadaniu trzymamy się

stosunki jego z rządem muszą się nareszcie wyjaśnić, i jeśli władza nie uwzględni słusznych jego wymagań, on zmuszony będzie zerwać wszelką z rządem solidarność, bez względu na to, co go osobiście spotka”.

Tu opowiedziawszy oburzającą scenę z dziewczyną w ratuszu, oświadczył, że jeżeli namiestnik nie usunie niezwłocznie policyi z kościołów, on sam opíše okropności, jakie się dzieją przy aresztowaniu i ogłosi to w dziennikach zagranicznych. Namiestnik, jak wiemy, głowa nie tęga, pozbawiony, z powodu nieobecności w tej chwili Kryżanowskiego, zwykłego swego doradcy, był nadzwyczajnie zdziwiony takim obrotem rzeczy. Spodziewał się bowiem, że on będzie groził arcybiskupowi, a tymczasem przeciwnie się stało. To go całkiem zbiło z tropu, gdyż na coś podobnego nie był przygotowany i nie wiedział co robić. Uciekł się więc do zwykłego środka dygnitarzy rosyjskich i odrzekł, że sam nie może tej kwestyi rozstrzygnąć, ale odwoła się do Petersburga⁴⁰³.

Na tem rozmowa się skończyła i arcybiskup, wróciwszy do siebie, zabrał się natychmiast do napisania zapowiedzianego listu, a przeznaczonego do gazet zagranicznych, ale nie doszedł jeszcze do połowy, gdy zameldowano mu dyrektora kancelaryi dyplomatycznej namiestnika, p. Safianosa. Ten zaraz na wstępie objaśnił w formie nadzwyczaj ugrzecznionej, że przybywa z polecenia namiestnika, aby ostatecznie wyrozumieć, jakie właściwie są żądania arcybiskupa, nim relacya o tem wszystkim dojdzie do Petersburga. Ks. Feliński w odpowiedzi na to pokazał posłowi list rozpoczęty i dodał, że na domagania się swoje, wypowiedziane dziś rano generałowi Lüdersowi, żąda odpowiedzi niezwłocznej; że w razie, jeżeli namiestnik zgodzi się na usunięcie policyi z kościołów, arcybiskup bierze na siebie odpowiedzialność za porządek w świątyniach, że wszelako do zneutralizowania niewłaściwych wpływów na tok nabożeństwa, potrzebuje najmniej tygodnia czasu i o udzielenie mu tej zwłoki uprasza.

Z takimi warunkami Safianos powrócił do Lüdersa, który natychmiast o wszystkim tem doniósł do Petersburga. Wieczorem tegoż samego dnia, przysłała odpowiedź telegraficzna cesarza, przyzwalająca na żądanie ks. Felińskiego i tę odpowiedź zakomunikowano mu niezwłocznie⁴⁰⁴.

Zdawało się więc, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, i że teraz zależeć będzie cała sprawa od umiejętnego wzięcia się do niej ks. Felińskiego. Ale rządcy rosyjscy w Polsce nigdy nie idą drogą prostej uczciwości i nie zwykli są dotrzymywać słowa danego czy to pojedynczym osobistościom, czy

ściśle relacyi, zawartej w tylokrotnie już przez nas cytowanym „Rękopiśmie bezimiennym”.

403 Rękopism bezimienny.

404 Loc. cit.

też całemu narodowi. Tak też postąpił sobie i Lüders. W parę dni bowiem, po ostatecznem ułożeniu się z arcybiskupem, ukazało się w „Dzienniku powszechnym”, oraz we wszystkich pismach warszawskich, ogłoszenie następujące: „w tym tygodniu, w wielu kościołach, kilka osób, po większej części kobiet, nie należących do wyższych warstw społeczeństwa, śpiewało zakazane hymny. Prawie wszystkie zostały aresztowane przez policję przy wyjściu z kościoła. Należy dodać, że znaczna większość wiernych nie tylko nie brała udziału w tych śpiewach, lecz nawet z pośpiechem opuszczała dom Boży, że co więcej, kilkakrotnie rozsądne głosy dały się słyszeć w celu powstrzymania skandalu. Biorąc z jednej strony na uwagę ostatnią okoliczność, a z drugiej nie chcąc odpowiedzieć odmową na zanesioną do niego prośbę przez najprzewielebniejszego arcybiskupa warszawskiego, jenerał-adjutant Lüders, pełniący obowiązki namiestnika w Królestwie, raczył rozkazać, aby wieczorem dziś w sobotę i jutro w niedzielę, policja wstrzymała się od aresztowań przy wyjściu z kościoła za śpiewanie hymnów zakazanych, pozostawiając duchowieństwu wyłączne staranie wpłynąć za pomocą perswazyi na publiczność. Jeżeli pomimo tej próby, uczynionej jedynie na prośbę arcybiskupa, który spodziewa się, iż potrafi wstrzymać złe, bez nowych ofiar, hymny, lub strofy, lub wiersze zakazane, dadzą się znów słyszeć w jednym lub kilku kościołach, aresztowania, którym chciano zapobiedz, rozpoczną się na nowo od poniedziałku d. 19, jak poprzednio przy wyjściu z kościołów, gdzie będą takowe śpiewane, aby siłą przemódz tych, co pozostaną głuchymi na głos perswazyi”.

Ogłoszenie to, dające arcybiskupowi zaledwie dwa, a właściwie jeden dzień czasu do wpłynięcia na ludność i duchowieństwo, by zaprzestano śpiewów patryotycznych po kościołach, wbrew umowie pierwotnej, odwołującej termin nie występowania czynnego policji do tygodnia, nadzwyczajnie zdziwiło arcybiskupa, a zarazem potwierdziło zdanie, od dawna za aksyomat w kraju uważane, że rządowi rosyjskiemu w Polsce nigdy wierzyć i w niczem zaufać nie można. Termin dwudniowy wyglądał istotnie na prosty żart, gdyż dygnitarze zamkowi wiedzieli doskonale, że przez tak krótki czas niepodobna było nawet najbardziej wpływowemu i najpopularniejszemu człowiekowi w Warszawie, a cóż dopiero ks. Felińskiemu, podejrywanemu ciągle i uważanemu przez większość ludu i duchowieństwa warszawskiego za „moskiewskiego biskupa”, wpłynąć na to, by zaprzestano śpiewów patryotycznych, tych śpiewów, które od roku przeszło brzmiały po całej Polsce, które stały się niejako drugą naturą polską. I wiedząc o tem, z tą cechującą wielkorządców rosyjskich złą wiarą, która tyle szkód obu narodom wyrządziła, umyślnie zapewne postavili tak krótki termin, żeby rzecz nie przyszła do skutku, żeby różni drobni kacykowie, różni Kryżanowscy, Piłsudzcy, Fedorowie i Jachimowscy mogli dalej rozbijać i dopuszczać się najkarygodniejszych nadużyć.

Bądź co bądź, arcybiskup nie mając innego wyboru, postanowił próbować, czy mimo wszystkiego nie uda mu się rzeczy całej na przekór pragnieniom prokonsulów warszawskich przeprowadzić. W tym celu, nie tracąc ani chwili drogiego teraz czasu, zwołał do siebie duchowieństwo warszawskie, tak świeckie jak i zakonne. Zebrało się ono licznie i ks. Feliński, przedstawivszy mu ważność chwili, pozwalającej na wyzwolenie kościoła z pod wpływu tak rządu jak i ulicy, wezwał ich, by mu dopomogli w tem ważnem zadaniu, by na majowym nabożeństwie zażądali od wiernych, w imię świętości religii i bezpieczeństwa kobiet, zrobienia ofiary ze śpiewów patryotycznych, które tylu nieszczęść były już powodem. Duchowieństwo słuchało tej przemowy w posępnem milczeniu, a zaledwie arcybiskup skończył, gdy wystąpił młody ksiądz w złotych okularach, wikaryusz przy kościele św. Aleksandra, nazwiskiem Mikoszewski, bardzo czynny współuczestnik ruchu, autor wielu pamfletów z tej epoki i słynnego „Słowa narodu polskiego do arcybiskupa Felińskiego”. Ks. Feliński wiedział o tej działalności młodego wikaryusza bardzo dobrze i z ciekawością począł słuchać jego przemowy, wypowiedzianej tonem patetycznym i pełnym sztucznego zapału: „Jak to, pasterzu! — wołał ten rewolucjonista w sukienkę duchowną przybrany — więc, gdy uciśniony i wyzuty z praw swoich naród, nie ma już gdzie zwrócić skarg swoich, okrom do Boga, jedyne go dziś mściciela krzywd ludzkich, ty chcesz wtłoczyć w zbolałą pierś ludu nawet ten jęk boleści, by rozpacz rozsadziła te miliony serc wierzących jeszcze i ufających w sprawiedliwość Bożą! Nie, pasterzu! szukaj gdzieindziej pomocników w sprawie, co ma zakrwawić łono wspólnej matki naszej, w naszym gronie oprawców takich nie znajdziesz!”⁴⁰⁵. Ten szereg słów dźwięcznych a pustych, pełnych sentymentalnego patryotyzmu, charakteryzującego epokę, miał na celu bez wątpienia nie obronę istotnego interesu ojczyzny, bo interes ten dla człowieka nawet najbardziej zaślepionego widniał i leżał w propozycji arcybiskupa, ale okazanie się w oczach innych gorliwym patryotą i człowiekiem odwagi niepospolitej.

Tymczasem zdarzyło się, że poprzedniego dnia był u arcybiskupa oberpolicmajster Piłsudski w sprawie aresztowań po kościołach i między innemi opowiedział, że przed tygodniem aresztował był ks. Mikoszewskiego za śpiewy u św. Aleksandra, a przetrzymawszy wikaryusza dni parę w więzieniu, zapowiedział, że jeżeli śpiewy się ponowią, to ks. Mikoszewski pójdzie na Sybir. Groźba ta tak dalece poskutkowała, że śpiewy we wzmiankowanym kościele zupełnie ustały⁴⁰⁶.

Słuszne więc i zupełnie usprawiedliwionem było oburzenie arcybiskupa na dwulicowość człowieka, wygłaszającego dźwięczne tyrady patryotycz-

405 Loc. cit.

406 Loc. cit.

ne i żądającego, by inni to czynili, czego on sam czynić się lękał. Czerwony książdz, wypowiedziawszy swą mowę, spojrział tryumfująco na grono zdziwionych raczej niż wzruszonych kolegów. Ale teraz arcybiskup wystąpił i głosem podniesionym zawołał: „Księżę Mikoszewski! więc gdy chodziło o twą własną skórę, znalazłeś dość męstwa, by wtłoczyć w zbolełe piersi ludu jęk rozpaczliwej skargi i nie wahałeś się zabronić śpiewów w swym kościele. Teraz jednak, gdy chodzi o niezależność świątyń, o cześć, a nawet życie niewinnych dziewczyn naszych, sądzisz, że pasterz, co powód tych klęsk usunąć pragnie, sprzeniewierza się świętemu posłannictwu swemu i do ucisku ludu dopomaga? Nie do słów, ale do czynów się odwołuję; osądźcie bracia po czyjej stronie jest nikczemność!”⁴⁰⁷. Gdy ks. Mikoszewski mocno zmieszany tem surowem napomnieniem, odkrywającym tajną pobudkę jego czynów, skrył się w tłumie, wszyscy księża pod wpływem zapewne energicznego wystąpienia arcybiskupa, przyrzekli mu najsolennie, że wszystko zrobią, co będzie w ich mocy, by lud do zaniechania śpiewów zakazanych skłonić⁴⁰⁸. Taki miała przebieg ta dziwna, jedyna w swoim rodzaju scena, o której współcześnie obiegały różne, zawsze przesadzone i w złem świetle wystawiające arcybiskupa pogłoski. To jednak, co on zamierzał, było zrobione; duchowieństwo słowa dotrzymało.

Nazajutrz, w niedzielę, ks. Feliński z powodu odpustu w Czerniakowie, przypadającego na uroczystość św. Bonifacego, udał się tam i nabożeństwo celebrował, i gdy dość późno powracał do Warszawy, był mocno zaniepokojony o wynik swych usiłowań wczorajszych. Jakże się jednak ucieszył, gdy zaledwie wysiadł z powozu, zjawił się u niego oberpolicmajster generał Piłsudski, i z postawą raczej skonfundowaną niż zadowoloną, zwiastował dobrą nowinę, że w żadnym z kościołów warszawskich, zabronionych hymnów nie śpiewano. „Teraz my widzimy, co może duchowieństwo, kiedy szczerze działa”, zakończył swą relacją⁴⁰⁹. Taki miały koniec owe śpiewy nabożne, które przez ciąg półtorarocznego peryodu manifestacyjnego odgrywały rolę tak ważną, tak dominującą, które wstrząsały nerwami współczesnych i popychały ich w wir okropnych wypadków. Był to dla ks. Felińskiego niemały tryumf, że energicznym swym wystąpieniem zawiódł nadzieje satrapów rosyjskich, że rozbił ich niecną intrygę. Z drugiej strony fakt ten świadczył, był dowodem najoczywistszym, że duchowieństwo było jedną z najgłówniejszych przyczyn, które wywołały tę powracającą falę manifestacyjną, że gdyby ono było mniej zrewolucjonizowane, gdyby szczerze pragnęło uspokojenia kraju i korzystania z płodnych w owoce ustępstw, danych przez rząd rosyjski, burza grożąca

407 Loc. cit.

408 Loc. cit.

409 Loc. cit.

Polsce, jeżeli nie byłaby zupełnie zażegnana, to przynajmniej odwleczoną na długo. Niestety! większość ówczesnych księży, żywiła te same zasady i dążności, jakie wielokrotnie wypowiadał osławiony ks. Mikoszewski.

Takiem było położenie Warszawy w chwili, gdy w łonie spisku naznaczone bliskie powstanie, gdy w Petersburgu rozstrzygały się losy Polski. W tym czasie właśnie nadeszła z prowincji wiadomość o tragicznym, wstrząsającym do głębi wypadku, który głośno i krwawo mówił, jak dalece rozdrażnienie ogarnęło wszystkich i jaka przepaść nienawiści leżała między rządzonymi i rządzącymi.

Zdarzyło się, że naczelnik żandarmów w Lublinie, pułkownik Masłowski, odbywając objazd komend swoich w powiecie hrubieszowskim, otrzymał denuncjacją, że we wsi Moroczynie, majątku hr. Franciszka Starzyńskiego, przebywa jeden z najczynniejszych agentów Mierosławskiego, czy też rewolucji międzynarodowej (bo i tacy wtedy byli), niejaki Bongard, Szwajcar czy Francuz rodem. W Moroczynie Bongard pełnił obowiązki guwernera przy synu hr. Starzyńskiego, Aleksandrze, młodym chłopcu, liczącym niespełna 20 lat, ale nadzwyczajnie egzaltowanym i rozdrażnionym wypadkami współczesnymi. Pułkownik Masłowski, otrzymawszy wiadomość o agitacji Bongarda, udał się do Moroczyna w towarzystwie kapitana żandarmskiego Cywińskiego i podoficera Bosakiewicza, obu niestety! Polaków, w celu dokonania we dworze rewizji, przyaresztowania Bongarda i odstawienia go do Lublina. Jakoż w d. 6 maja⁴¹⁰, Masłowski zjechał do Moroczyna, rewizji dokonał i Bongarda aresztował. Gdy z aresztowanym szedł ku bryczce, stojącej w końcu wsi, ten począł go prosić, by pozwolił mu wstąpić na moment do rządcy majątku dla wypicia herbaty i ugaszenia silnego pragnienia. W chwili gdy się tam znajdowali wszyscy trzej żandarmi i Bongard, młody Starzeński wpadł nagle z rewolwerem w rękę i pierwszy strzał wymierzył do podoficera Bosakiewicza, którego położył na miejscu; drugim zranił ciężko w szyję kapitana Cywińskiego, który wkrótce z tego umarł; a na koniec trzecim zranił Masłowskiego. Dokonawszy tego, wybiegł do sieni i sam się zabił. Masłowski miał tyle siły jeszcze, że odwiózł Bongarda do Hrubieszowa, skąd odesłano go do cytadeli warszawskiej. Straszny ten wypadek wywarł na cały kraj nadzwyczaj przynębiające wrażenie, i dowodził, jak silne namiętności polityczne owładnęły umysłami młodzieży i jak opłakane skutki wywołują.

Prowincja zresztą, za przykładem Warszawy, korzystała z każdej sposobności, by z rozkwitającą wiosną rozpocząć nowy szereg manifestacji. Jednym

410 Pawliszczew, Siedmicy I, 83, powiada, że d. 5 maja, co jest błędem, gdyż wszystkie źródła katastrofę tę mieszczą pod datą w tekście wymienioną. Relacja, jaką o tym wypadku podaje Z. Kolumna, „Pamiętka dla rodzin polskich”, I, 11, jest przepełniona błędami; dość powiedzieć, że przenosi datę zdarzenia na październik 1862 roku.

z takich powodów był powrót z bobrujskiego wygnania ks. Białobrzeskiego. Starzec ten, pozbawiony charakteru i jak dziecko uparty, w żadnym razie nie zasłużył ze względu na słabość, jaką okazał w sądzie, by uchodzić mógł za bohatera narodowego i za wielkiego patriotę, jakim usiłowano go zrobić. Ale wszystkie polityczne wzburzenia umysłów mają to do siebie, że wieńce kładą na głowy, żadnych praw do tego nie mające. Rząd w ogólności, przyznać to trzeba, bardzo łaskawie obszedł się z Białobrzeskim, zmieniawszy mu pierwotną karę śmierci na rok więzienia w twierdzy bobrujskiej, a w kilka niespełna miesięcy, bo d. 29 kwietnia, z powodu rocznicy urodzin cesarskich, całkiem go z niej uwolnił. Białobrzeski poza swą działalnością polityczną, na którą go wypadki wypchnęły, a do wysokości których żadną miarą nie dorósł, był człowiekiem dobrym, księdzem wzorowym i umiał sobie zjednywać sympatią ludzką. Przez czas swego krótkiego pobytu w Bobrujsku wyrobił sobie powszechny szacunek. Zastał tam spalony od pioruna kościół katolicki i na jego reparację dał z własnej szkatuły kilkaset rubli, co w połączeniu z opinią „męczennika za ojczyznę”, jak to wtedy mówiono, zyskiwało mu serca wszystkich. Zresztą w demonstracjach, jakich prałat ten stał się powodem, nie tyle szło o niego samego, ile o zamanifestowanie się przeciw rządowi. Powrót uwolnionego księdza był jednym wielkim tryumfem. Wyruszył on z Bobrujska w połowie maja i po wszystkich stacjach pocztowych oczekiwały nań tłumy, przeważnie młodzieży i kobiet, które przyjmowały starca okrzykami i zasypywały go kwiatami. W niektórych miejscach wystąpiono z mowami i deklamacjami, w których wiele było dotkliwych obelg dla „barbarzyńskich Moskali”, dla „nowożytnych Hunnów”, dla „nowoczesnego, depczącego świątynie Alhunryka”, oraz pochwał dla „wracającego z niewoli prałata”⁴¹¹. W Słucku umiano się tak wziąć do rzeczy, że choć to miasteczko zaludnione jest przeważnie przez żydów ciemnych, zacofanych, których ks. Białobrzeski, ani jego działalność polityczna nic nie obchodziła, iż wieczorem na jego przyjęcie uiluminowano wszystkie domy. W pobliżu Grodna tłum wyprzągł konie mimo próób i woli prałata, i wszyscy, nawet żydzi i lutrzy, „ciągnęli na przemian ten drogi ciężar”, jak się wyraża jedno ze źródeł współczesnych. W Zalesiu obsypano go kwiatami i ciągniono powóz aż do stacji najbliższej⁴¹². Podobnie owacy spotkały go w Białej podlaskiej. W Siedlcach, gdy po obiedzie u proboszcza wyjeżdżał, damy siedleckie wyprzęgły konie od powozu i chciały go ciągnąć, ale nie pozwolił na to i pieszo poszedł do rogatki, poprzedzany przez młode dziewczęta, które słały przed nim drogę kwiatami. Toż samo w Międzyrze-

411 J. Jastrzębczyk, *Krzyżowy charakter*, 34, i relacje piśmienne współczesne.

412 Umyślnie więc Pawliszczew loc. cit. I, 85, fałszywą podaje cesarzowi relacją, twierdząc, że ten tryumfalny pochód ks. Białobrzeskiego „zaczął się w granicach Królestwa Polskiego”.

czu; w Kałuszyńie tak go zasypano wiośniowym bzem i jaśminem, że ledwie widać było księdza z poza tej wonnej góry kwiecia. Jednym słowem, był to szereg manifestacyjnych, głośnych, publicznych owacy, istny pochód tryumfalny bohatera narodowego. Rząd, obawiając się, by manifestacje te w Warszawie nie przybrały wielkich rozmiarów, wysłał był jeszcze do Terespoła, na granicę Królestwa, żandarma z wezwaniem do Białobrzieskiego, aby wjeżdżał do stolicy tylko nocą. Jakoż posłuszny temu poleceniu przybył do Warszawy o godzinie 1-ej w nocy d. 15 maja, i zawiódł oczekiwania licznych manifestatorów ulicznych, którzy gotowali się sprawić mu największą i najwspanialszą owacyą. Ks. Białobrzieski osiadł cicho na probostwie przy kościele Panny Maryi i nie mieszał się odtąd wcale ani do polityki, ani do rozgrywającego się przed jego oczami dramatu⁴¹³.

Ale wszystkie te drobne manifestacje, te wypadki z tłem tragicznym, zeszyły na plan dalszy wobec wykrycia mniemanego spisku wojskowego, który powszechną w tej chwili zwrócił na siebie uwagę nie tylko rządu warszawskiego i petersburskiego, nie tylko sfer rewolucyjnych, ale kraju i Europy całej. Wykrył go generał Chrulew, znany nam już z doby rzezi kwietniowej zeszłorocznej, a wykrył według jednych przez prosty przypadek, według drugich przez denuncyacyą. Wprawdzie rząd od niejakiego czasu miał już pewne, acz bardzo niedokładne wiadomości o agitacyi rewolucyjnej wśród wojska, prowadzonej przez oficerów; niektórzy nawet z tych ostatnich byli pod dozorem tajnym, ale widocznie zbyt wielkiej wagi do tego nie przywiązywano. Wiadomości zresztą były mętne, częstokroć sprzeczne ze sobą. Już w początkach kwietnia obiegała między sferami rosyjskimi w Warszawie, przytoczona przez nas anegdota o żołnierzu, który, znalazłszy podrzuconą w koszarach proklamacyą, odrzekł, że, gdyby wojsko zwierzchności swej nie słuchało, już by dawno wymordowało „wszystkich Lachów”. Jakoż tu i owdzie po koszarach pojawiały się odezwy, pisane po rosyjsku, wzywające żołnierzy do rokoszu przeciw swej władzy w razie wybuchu powstania polskiego; oficerowie dostawali pocztą numeru „Russkiej prawdy”⁴¹⁴, lub innych podobnych pism tajnych. W miasteczku Szawlach na Żmudzi, w tym czasie na bramie domu hr. Zubowa, ktoś

413 Relacje współczesne. Pawliszczew, Siedmicy I, 85.

414 Pawliszczew, loc. cit. I, 81, raportuje cesarzowi pod d. 6 maja, że „pewien oficer w Piotrkowie otrzymał pocztą z Warszawy list, w którym znajdował się litografowany egzemplarz „Russkiej prawdy” Nr. 1, z d. 15 marca, z napisem: „zacni (czestnyje) Słowianie proszą pana przyjąć to, jako zadatek ich miłości braterskiej do pana”. Podburzający ten świstek (mówi dalej Pawliszczew), wzywający Polaków w imieniu Rosyan do powstania, wydrukowany był przed pięcioma dniami w gazecie lwowskiej „Dziennik polski” z d. 19 kwietnia Nr. 98 i w parę dni potem przedrukowany w „Nadwiślaninie” (1 maja Nr. 49) z dodatkiem, że „Russkaja prawda” wychodzi w miejsce „Wielikorusa”.

przylepił proklamacyą po rusku pisaną do „Braci Rosyan”, a podpisaną słowami: „głos patryotów rosyjskich”.

Proklamacya domagała się, by Polsce zwrócono Litwę i Ruś, że „jeżeli ziem tych nie oddamy dobrowolnie, to wcześniej czy później naród (polski) dobije się swych praw mu przynależnych, dojrzeje, dojdzie do sił i będzie wrogiem nieprzejednanym nie tylko obecnego despotyzmu mongolskiego, ale i naszej narodowości i z bronią w rękę wypędzi nas ze swej ojczyzny”⁴¹⁵. O wszystkim tem oczywiście rząd wiedział, ale sądząc, że odezwy te pochodzą ze źródła wyłącznie polskiego, nie przywiązywał do nich, powtarzamy, wielkiej wagi.

Taki był stan rzeczy, gdy pewnego dnia, w początkach maja, w czasie bytności Lüdersa w Petersburgu, Chrulew dowiedział się, że czwarty batalion strzelców, konsystujący w Warszawie, żyje w wybornej harmonii ze swymi oficerami, że ci niekiedy zbierają podkomendnych w osobnej izbie i czytają im książki⁴¹⁶.

Więcej nie umiano mu powiedzieć, ani wymienić owych książek, ale było to dostatecznem, by wzbudzić podejrzenia w tym starym żołdaku, urobionym w szkole mikołajewskiej. Wezwał więc do siebie dowódcę batalionu, podpułkownika Chestesko, Szweda rodem, który zeznał, że czytaniem zajmują się głównie dwaj młodzi oficerowie: porucznik Arnhold i podporucznik Śliwicki, że nader często prowadzą oni długie rozmowy ze swymi podkomendnymi, że od dawna wydało mu się to bardzo podejrzanem i dlatego nad wymienionymi oficerami kazał rozciągnąć tajny nadzór⁴¹⁷, że prócz tych dwóch, podejrzewa jeszcze sztabkapitana Niepienina i podporucznika Pleszkowa, oraz podoficera Rostkowskiego i szeregowca Szczura, wszystkich z czwartego batalionu strzelców. Chrulew uwiadomił o tem niezwłocznie Kryżanowskiego, który wydał rozkaz aresztowania wszystkich wyżej wymienionych w nocy z d. 5 na 6 maja⁴¹⁸, oraz osadzenia Arnholda i Śliwickiego, jako najbardziej podejrze-

415 S. Rajkowskij, *Polskaja młodzież zapadnego kraja w miasteczku 1861/3 g.* (Russ. Wiestnik LXXX, 258 z r. 1869).

416 Berg, *Zapiski II*, 270, opowiada, że Chrulew o tem wszystkim dowiedział się od szeregowca z czwartego batalionu strzelców. Szeregowiec ten pełnił u niego obowiązki służącego, a że generał miał zwyczaj wdawać się w pogawędkę z żołnierzami, więc powołał z szeregowca owego wyciągnął pierwszą wiadomość o agitacji. Teobald, który był członkiem komisji wojennej, prowadzącej śledztwo w tej sprawie, a zatem jak najlepiej poinformowany, utrzymuje (*Wspomnienia IV*, 45), że żołnierze o agitacji oficerskiej pomiedzy sobą rozmawiali w koszarach, że „rozmowę tę podsłuchali feldwebelowie i donieśli o niej dowódcy kompanii, którzy natychmiast odebrali żołnierzom pisma rewolucyjne, dowiedzieli się, skąd je mają i rzecz całą przedstawili komendantowi batalionu”.

417 N. Berg, loc. cit.

418 Wiadomość podana przez Z. Kolumnę, w jego „Pamiętce dla rodzin polskich” I, 9, jakoby w chwili aresztowania wyżej wymienionych oficerów, „żołnierze zaczęli grozić buntem,

nych w cytadeli, pozostałych zaś na odwachu, i zatelegraował o całej sprawie do ministra wojny⁴¹⁹. Tegoż samego dnia otrzymał odpowiedź telegraficzną ministra, że z rozkazu cesarskiego oficerowie obwinieni mają być oddani pod sąd polowy wojenny, a wyrok ma być natychmiast wykonany, „według całej surowości prawa”⁴²⁰. Wzięto się więc do rzeczy dość szybko.

Zaraz po powrocie Lüdersa do Warszawy ustanowiono specjalną komisją śledczą, pod prezydencją pułkownika Miaskowskiego, dowódcy pułku Ładoskiego piechoty, oraz kapitanów: Rotkircha, znanego pod pseudonimem „Teobalda”, pamiętnikarza tej epoki i Bremsena, adjutanta Lüdersa⁴²¹, który z czasem zasłynąć miał okrucieństwami swymi w powstaniu zbrojnym. Komisja zaraz z początku uznała za stosowne uwolnić podporucznika Pleszkowa, a natomiast pociągnąć do odpowiedzialności porucznika Kaplińskiego, którego widzieliśmy już na pamiętnej sesji Komitetu miejskiego, gdy szło o to, czyznaczony przez Dąbrowskiego na lipiec wybuch może liczyć na wojsko, oraz porucznika Abramowicza. Wszystko to byli bardzo młodzi ludzie; najstarszy z nich podoficer Rostkowski, Polak, liczył zaledwie 25 lat, najmłodszy Arnhold lat 20. Śledztwo, ciągnące się blisko przez miesiąc, nie wykryło, w ścisłym tego słowa znaczeniu, spisku, którego w rzeczy samej nie było, była tylko propaganda z charakterem rewolucyjnym. Młodzi oficerowie czytali „Wielikorusa”, „Polarną zwiezdę”, „Kołokoła” i t. p. tajne czasopisma i oczywiście wiele rozmawiali o swobodzie, o ruchu polskim, o konieczności poparcia go w danej chwili. Ponieważ Śliwickiemu oddaną była t. z. komenda fechtunkowa i tym sposobem miał specjalny pod sobą oddział, więc pod wpływem

a 60 zbrojno wystąpiło w obronie aresztowanych, i tylko refleksja i czynne wdanie się podporucznika Śliwickiego wstrzymało ich od wystąpienia czynnego”, jest obok kiepskiej stylizacji najzupełniej fałszywą.

419 Depesza z dnia 6 maja (24 kwietnia). Brzmi ona jak następuje: „podporuczników Arnholda i Śliwickiego z 4 batalionu strzelców przyaresztowałem w X pawilonie za podmawianie żołnierzy do buntu. Za to także porucznik Niepienin i podporucznik Pleszkow osadzeni na odwachu, oraz kilku żołnierzy. W 4 batalionie ustanawiam specjalną komisję. Jest to owoc odezw. Naj. Panu nie donoszę”. Do tej depeszy dołączona jest taka relacja o aresztowanych oficerach: „1) sztabskapitan Niepienin z gubernii Pskowskiej, wyznania prawosławnego, awansowany na oficera po ukończeniu korpusu Pawłowskiego kadetów d. 6 czerwca 1857; 2) porucznik Arnhold, z gubernii petersburskiej, wyznania prawosławnego. Mianowany po wyjściu z korpusu Pawłowskiego kadetów d. 16 czerwca 1859 r.; 3) podporucznik Śliwicki II-gi z gubernii Charkowskiej, wyznania prawosławnego. Mianowany po wyjściu z korpusu Pawłowskiego kadetów d. 16 czerwca 1859 r.; 4) podporucznik Reszków z gubernii Czernichowskiej, wyznania prawosławnego. Mianowany oficerem po wyjściu z korpusu Pawłowskiego kadetów d. 6 czerwca 1857 r.”

420 „Russkaja Starina” z r. 1883, XXXVII, 644.

421 Teobald, Wspomnienia IV, 39.

Arnholda, człowieka z bardzo stanowczym charakterem, wszedł z żołnierzami w nader ściśle stosunki, odczytywał im artykuły wzmiankowanych pism, mówił o cesarzu, o despotyzmie, o usamowolnieniu włościan i t. p., ale, powtarzamy, na tem się wszystko kończyło. Spisku żadnego nie było; był nań załączek, embryon, z którego mógł z czasem się zrodzić ten potwór, pożerający najlepsze serca i głowy młodzieży polskiej i rosyjskiej od lat sześćdziesięciu, ale dotąd on nie istniał.

Nawet propozycja Rostkowskiego, ażeby Arnhold i Śliwicki zaznajomili się z młodzieżą i akademikami warszawskimi, stojącymi na czele ówczesnych demonstracji, została przez obu oficerów odrzuconą⁴²². W tej akcji dopomagali im wzmiankowany Rostkowski i Szczur, żydek polski, którzy odczytywali kolegom dane im pisma i powtarzali ich nauki⁴²³. Wykryto także, że Kapliński ma pewne stosunki z partią polską ruchu⁴²⁴, ale śledztwo z powodu upornego milczenia tegoż nigdy nie doszło do wyjaśnienia tych stosunków. Żołnierze, wzywani na świadków, Bóg wie, co pletli i rzecz całą jeszcze bardziej zagniatwali. U Arnholda miano znaleźć niedokończony szkic listu, który zamierzał wysłać do Lüdersa, a w którym napominał namiestnika, ażeby zmienił swe postępowanie względem Polaków. Zapytany, czy to on pisał, nie zaprzeczył temu wcale i odrzekł, że list ten nie jest podpisany, co rzekłszy, wziął pióro i na dokumencie położył swe nazwisko⁴²⁵. Śliwicki miał podmówić Rostkowskiego i Szczura, żeby udali się do pułków Ołonieckiego i Szlizeburskiego piechoty i podburzyli żołnierzy, aby w czasie przeglądu przez Chrulewa, nie odpowiedziały wcale na jego powitanie. Rzecz ta jednak nie udała się, gdyż wysłańcy nie zastali już pułków w koszarach, ale na placu parady⁴²⁶.

W ogóle Śliwicki w cytadeli, przed Komisją śledczą objawiał nadzwyczajny upadek ducha i zgnębienie. Stracił zupełnie samowiedzę, do wszystkiego, co mu zarzucono, przyznawał się z wyrazem apatycznego osłupienia. Kom-

422 Loc. cit. 42.

423 Jak dalece żołnierze nie rozumieli, czego właściwie od nich oficerowie chcą, świadczy okoliczność następująca, przytoczona przez N. Berga, *Zapiski* II, 271. Między książkami, które czytano żołnierzom, znajdowała się także wydana w Rosyi i przez cenzurę zaaprobowana „Historia Henryka VIII”, oraz powieść Puszkina: „Dubrowskij”. „Żołnierze, powiada Berg, nie wiele z tego rozumieli i Dubrowskij, Henryk i Hercen wydawali im się osobistościami współczesnemi, a raz nawet jeden z żołnierzy zapytał się Śliwickiego: „a kto pisze odezwy, które Polacy podrzucają w wojsku?” Śliwicki, nie wiedząc co odpowiedzieć, odrzekł: „Dubrowski”. „A kto to Dubrowski?” „To brat przyrodni Hercena”. Tym sposobem żołnierze uważali ich za braci”.

424 N. Berg loc. cit.

425 Z. Kolumna, *Pamiętka dla rodzin* I, 9.

426 Teobald loc. cit.

sya, nie odkrywszy ścisłych i wyraźnych związków z ruchem polskim, wszelako uznała, że uwięzieni oficerowie dopuścili się przestępstwa, mającego na celu „zdradę i bunt żołnierzy”⁴²⁷.

Aresztowanie oficerów i wynikała stąd sprawa, jeżeli dla nich samych w ostatecznym rezultacie była opłakaną, to dla kraju naszego, dla tej wiekuiście rwącej się przędzy losów polskich, była tą kroplą, która przepełniła naczynie, mniemany spisek tym piorunem, który rozświetlił nagle chmurne ciągle niebo. Starożytny Phoebus pojawił się *post nubila* na horyzoncie polskim z wieścią przesadną o rozgałęzionym jakoby mocno w Warszawie sprzyśnięciu wojskowem, co w Petersburgu wywarło wielkie wrażenie i niemałą obawę. Należy więc, byśmy przypatrzyli się temu, co się tam działo podczas tych wszystkich dramatycznych zawikłań, jakich widownią była stolica polska.

Gdy Wielopolski stanął po raz drugi nad Newą, rzeczy niewielkiej uległy zmianie. Stronnictwo mu przeciwne, zaciekła partya „samobytników”, ciągle jeszcze uparcie walczyła o swą przewagę, a niepopularność margrabiego w Warszawie służyła nieustannie za najsilniejszą broń przeciwko niemu. Tylokrotnie przez prasę tajną zapowiadany rychły wybuch zbrojny, proklamacye rewolucyjne, rozpoczynające się znowu z wiosną manifestacye, sprawiały najgorsze wrażenie i dawały pretekst stronnikom rządzenia Polską po wojskowemu⁴²⁸. Przeciw temu rozpoczął jeszcze raz upartą walkę margrabia, a przybyły z nim Enoch wielką mu był w tym względzie pomocą⁴²⁹. Skorzystano z obecności chwilowej w Petersburgu Lüdersa, który na radzie, złożonej z niego, ministra sekretarza stanu Tymowskiego i Wielopolskiego, zdołał utrzymać wbrew zdaniu Komitetu specjalnego poprawki warszawskie w projekcie o instrukcyi elementarnej; prawo włościańskie i żydowskie zamierzano oddać pod rozpatrzenie stałym Komitetom dla cesarstwa, widocznie zwlekano i dążono do popsucia i skrzywienia wszystkiego.

Wobec tego Wielopolski usunął się od udziału w naradach i oświadczył, „iż nie pozostaje mu, jak tylko wrócić do życia prywatnego”⁴³⁰.

Poza tem, okazując nadzwyczajną uprzejmość Lüdersowi, żywiono to przekonanie, że jest on niemożliwy na trudnem stanowisku namiestnika w Królestwie Polskiem. Żołnierskie jego przyzwyczajenia, surowość w postępowaniu, więzienie i wysyłanie na wygnanie setek ludzi, okazało się, że nie osiągało celu, że agitacya za jego rządów wzrosła znacznie, nabrała siły i głośno już groziła, że lada chwila porwie się do broni. Widocznem więc było, że, zachowując

427 Loc. cit. 46.

428 Lisicki, Al. Wielopolski I, 319.

429 Loc. cit.

430 Loc. cit.

i dbając o pozorną i zewnętrzną spokojność, nie umiał on sięgnąć do rdzenia rzeczy i zła z korzeniem wyrwać; jego postępowanie nie zawsze taktowne i nie zawsze zdradzające rozum, agitacja w wojsku, na które, jako wódz naczelny, główną powinien był zwracać uwagę, świadczyła o niezbyt wysokiej inteligencji namiestnika i o niezrozumieniu przez niego położenia. Sprawa z listem papieskim do arcybiskupa Felińskiego, którego wbrew przepisom obowiązującym pochwalił za to, że mu powiedział o odebraniu takiego pisma, skandaliczne historie z baletnicami warszawskimi, dobiegające do Petersburga, ośmieszały go i utrwały przekonanie, że bezwarunkowo tego nadętego i pustego żołnierza usunąć należy ze stanowiska tak ważnego i tak doniosłe mającego w tej chwili znaczenie. Ale kogo posłać na jego miejsce? Przed myślą, podniesioną przez Wielopolskiego, ażeby władzę podzielić, zarząd wojenny oddać księciu krwi, a jemu, margrabiemu, władzę cywilną, wzdrygano się jeszcze mocno. Stronnictwo „samobytników”, ciągle się domagało, by rząd w Królestwie zostawić takim, jaki jest, a na namiestnika posłać generała, któryby umiał żelazną ręką ukrocić Polaków.

Przez chwilę, już za powtórnej bytności Wielopolskiego, projekt ten zdawał się brać górę. Chciano powierzyć namiestnictwo generałowi Grabbe, potem hr. Murawiewowi Amurskiemu, to znów księciu Suworowowi, hrabiemu Bergowi, a nawet generałowi Michałowi Murawiewowi, który w rok potem w Wilnie zasłużył sobie na miano „Wieszatiela”, wreszcie w tych poszukiwaniach myślano przez jakiś czas o intrygancie Kotzebue, który bawił zagranicą, w pewnego rodzaju niełasce za oskarżenie Gorczakowa⁴³¹. Przy bliższem jednak rozpatrywaniu kwalifikacji, że się tak wyrazimy, tych różnych osobistości, ogromna trudność w spełnieniu programu, jaki sobie rząd w Polsce zakreślał, powoli zmuszała do wykreślenia z listy kandydatów na namiestnictwo w Warszawie, wyżej wymienionych i wielu jeszcze innych. Wobec tego, że należało działać w kraju wzburzonym do dna i gotującym się do większej jeszcze burzy, uważano, że Grabbe ma nazwisko zbyt mało znane, że obaj Murawiewowie nie przedstawiają gwarancyi umiarkowania, koniecznego wtedy w Polsce, że Berg wyznaje zasady zbyt zacofane, zbyt arystokratyczne i zbyt mało liberalne, że na koniec ostatni, Kotzebue, znienawidzony jest w Warszawie i w sferach rządowych uchodzi za niebezpiecznego intryganta. Najpoważniejsza kandydatura księcia Suworowa, cieszącego się w Rosyi olbrzymią popularnością, człowieka bardzo zacnego, bardzo liberalnego, była wprost niemożliwą w Polsce, gdyż do imienia tego przywiązane tam były smutne i krwawe wspomnienia rzezi praskiej...

431 Schédo-Ferroti, *Études sur l'avenir de la Russie*, 42.

W takim stanie rzeczy, chcąc nie chcąc, zwracano się znowu do kombinacji Wielopolskiego, którą uznawano w cichości za najlepszą, ale której lękano się, gdyż nadawała ona Polsce zbyt silnie zaakcentowaną autonomią, której sobie nie życzano bardzo, i jeżeli robiono ustępstwa, to z niechęcią i widocznym wahaniem. Wszelako nie mogąc znaleźć kandydata na tron namiestnikowski w Polsce, uznawszy niemożliwość trzymania tam dłużej Lüdersa, musiano w ostateczności uciec się do projektu margrabiego.

W początkach maja pisał on też do swoich, z pociechą zapewne wewnętrzną, że „co do ogólnej sytuacji tutejszej, przez nieobecność moją zyskała (sytuacja?) w tem, że uznanie konieczności powołania mnie ustaliło się; wszakże nic stanowczego nie ułożono”⁴³². Jakoż wkrótce miał się przekonać, że nie tylko nic stanowczego nie ułożono, ale powzięto myśl całkiem przeciwną jego nadziejom i interesom Polski. Cesarz, który zawsze nie dowierzał Polakom, może nie wskutek swych osobistych doświadczeń, ale przez tradycją, przez pojęcia panujące na dworze rosyjskim za jego młodości, a tę niewiarę teraz usprawiedliwiała nieustanne zaburzenia w Polsce pomimo koncesji, jakie jej udzielono, w zasadzie zgadzał się na rozdział władzy w Warszawie, ale naczelnikiem administracji cywilnej nie chciał mieć Polaka, nie chciał więc i Wielopolskiego. Powziął on inną myśl, myśl dziwną, możliwą tylko w Rosji, gdzie nigdy zasady nie rządzą ale kaprys, ażeby na stanowisko naczelnika rządu cywilnego w Polsce, powołać Mikołaja Milutyna. Zdaje się, że myśl tę podsunął mu Gołownin, minister oświecenia, wielki przyjaciel Milutyna i należący do stronnictwa nieprzyjawnego Polsce, do stronnictwa „samobytników”⁴³³. Wypierał on się wprawdzie najuroczyściej, by miał takie projekta poddawać cesarzowi, posądzając o to Wałujewa, ministra spraw wewnętrznych; według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa była to intryga usnuta przez całe stronnictwo, by wyrzucić wszelkie kombinacje Wielopolskiego i już wtedy, na dwa lata wcześniej, oddać Polskę na łup zgrai nihilistów i demagogów najgorszego gatunku.

Jest to zaiste jednym z najdziwniejszych objawów tego stosunku niemoralnego, jaki istnieje od lat stu między Polską i Rosją, a zarazem objawem nieeuropejskich pojęć panujących w rządzie rosyjskim, że człowieka, którego usunięto od wszelkiej władzy i wszelkich wpływów dlatego, że okazywał dążności

432 Lisicki, A. Wielopolski, I, 319.

433 Opieramy to przypuszczenie na liście Gołownina do Milutyna (Leroy-Beaulien: Un homme d'état russe. Revue des deux mondes z r. 1880 p. 159), w którym to liście minister zapewnia, że „myśl tej nominacji należy do cesarza” („l'idée de cette nomination appartient au souverain personnellement”, brzmi w oryginale, bo ci panowie, tak zagorzali zwolennicy samoistnej jakoby cywilizacji rosyjskiej, korespondowali ze sobą po francusku). Otóż to zapewnienie, całkiem niepotrzebne, mówi niejako, że było przeciwnie.

zbyt radykalne, że chciał zrobić Rosyę „muzyką”, którego nie bez słuszności podejrzewano o dążności najwywrotniejsze, że takiego człowieka właśnie uważano za odpowiedniego dla Polski. Ponieważ już wtedy widziano, że ruch znajduje zwolenników tylko wśród szlachty, księży i drobnego mieszczaństwa, więc zapewne sądzono, że najlepiej, najniewątpliwiej stłumi się ten ruch, uderzając w te trzy słoje społeczne. Miano potemu doskonałą broń w ręku, kwestyą włościańską, która odpowiednio rozwiązana, stanowczo podciąć musi nogi szlachcie. Niemniej rodziły się już wtedy zamiary osłabienia wpływu duchowieństwa, a rozdrażnienie, wywołane niepowodzeniem pertraktacji z kurją rzymską, usprawiedliwiała do pewnego stopnia takie zamysły. Wszystkie te względy, zdaje się, głównie wpłynęły na cesarza, że zgodził się na posłanie Milutyna do Warszawy, zwłaszcza, że Aleksander zawsze odnośnie do Polski był zwolennikiem rządu silnego, bezwzględного i gniotącego wszelkie aspiracje narodowe. Czyż mógł potemu lepsze znaleźć narzędzie jak Milutyn, radykał, demagog nienawidzący szlachty, cywilizacji łacińskiej i głośno wyznający przekonanie, że mniemana cywilizacja rosyjska odrodzi kiedyś ludzkość?

Otóż tego samego prawie dnia, w którym Wielopolski pocieszał się, „iż uznanie konieczności powołania go do władzy ustaliło się”, rozkaz cesarski, wysłany do Rzymu, gdzie Milutyn bawił (i mimowoli przyznawał, patrząc na starą jak świat cywilizacją zachodnią, że ona nie jest ani tak złą, ani tak strupieszalą, jak mu się to zdawało), wzywał go do natychmiastowego przybycia do Petersburga. Rozkaz nie mówił, po co mu wracać każą, ale list Gołownina, wysłany wcześniej, dostatecznie objaśniał nowego kandydata na wielkorządcę Polski, czego od niego zamierzają żądać w stolicy rosyjskiej. „Współcześnie z tym listem, pisał Gołownin, otrzymasz rozkaz cesarski, wzywający cię do niezwłocznego powrotu do Petersburga, dla osobistego widzenia się z cesarzem, który zamierza cię mianować naczelnikiem administracji cywilnej w Polsce, to jest prezesem Rady administracyjnej Królestwa. Stanowisko, które ci proponują, jest bezporównania trudniejszym od tych, jakie my tutaj zajmujemy; ale mam tak wysoką opinią o szczodroblewości, z jaką natura cię obdarzyła, że jestem najzupełniej przekonany, że ci się powiedzie lepiej od kogokolwiek bądź w spełnieniu zadania, prawie niemożliwego dla innych. Zrobisz się panem położenia i nie dasz mu się zwyciężyć. Postawisz w Petersburgu kwestyą w jej istotnem świetle i wskażesz drogę, którą należy postępować w Warszawie. Nie wiem, czy przyjmiesz, czy odrzucisz propozycję cesarza, ale w każdym razie jest ona oznaką takiego zaufania, że należy ci powracać natychmiast”⁴³⁴.

434 Leroy-Beaulien, loc. cit. 160.

Projekt taki na szczęście Polski w tej chwili (czemuż niestety! nie na zawsze?) nadzwyczajnie nie podobał się Milutynowi, a nie podobał się wyłącznie ze względów kariery osobistej. Bo należy to także do charakterystyki wszystkich mniemanych statystów rosyjskich, że ich działalnością nie kieruje idea, zasada jakaś, ale wyłącznie myśl o karierze osobistej, co nie przeszkadzało im w owej epoce twierdzić, że ze swą siłą zdrową i niezeepsutą spełnią wielką misję odrodzenia „zgniłego zachodu”. Milutyn, uchodzący we własnej ojczyźnie za liberała i patriotę z silnym zabarwieniem „samobytnictwa”, przenosząc się do Polski, musiałby uciec się do środków gwałtu i ucisku, co by go naraziło w oczach liberalnej partii rosyjskiej na utratę tej opinii i zamknęłoby mu wrota do dalszej kariery. Siedząc od roku zagranicą, miał sposobność wczytywania się w dzienniki europejskie i nie miał wcale ochoty, by go po tych dziennikach nazywano katem Polski.

A przytem widział on, jak ta Polska w konwulsyjnych drganiach dusiła w swych objęciach każdego, kto się do niej zbliżył; widział ginącego Gorczakowa, Lamberta i wielu innych, i wcale nie pragnął należeć do rzędu takich ofiar. Odtrącał więc myśl nominacji na wielkorządcę Polski, kraju, „który zaledwie część stanowił jego ojczyzny”, którego położenie wymaga środków surowych, całkiem obcych jego dotychczasowej działalności. Zresztą, z doskonałą znajomością właściwości rządów despotycznych, podejrzewał on w tem wszystkim, nie bez słuszności, intrygę jego nieprzyjaciół, którzy, ogłosiwszy go niedawno za rewolucjonistę, chcieli go teraz skompromitować przez postawienie go w konieczności tępienia tej rewolucji. Ale rady nie było, jechać należało. Jechał wolno, zatrzymując się co chwila, by dać czas swym przyjaciołom do zmienienia zamiarów cesarza.

W tym względzie znalazł pomoc i w Wielopolskim, oczywiście całkiem z innych powodów, ze szlachetnego pragnienia odwrócenia ciężkiego ciosu dla ojczyzny, jakim jej groziła nominacja tego nihilistycznego demagoga. Zrazu, gdy wieść do margrabiego doszła, że Milutyn ma Polskę „urządzać” i przerabiać „grubym jakim wystrzałem z prawodawczego działu”⁴³⁵, okazał pewne zwątpienie i zniechęcenie; pisał, że rzuci wszystko i „uda się do Berlina, gdzie parę tygodni zabawi dla naukowego rozpatrzenia się po długiej przerwie w tych zajęciach”. Na szczęście, w tym wypadku zbiegły się przez szczególne i pomyślnie dla Polski zrządzenie interesa osobiste Milutyna i jego partyzantów z interesami tejsze Polski. Przedewszystkiem brat cesarski, wielki książę Konstanty Mikołajewicz, był przeciwny tej nominacji; pragnął on, by Milutyn został ministrem spraw wewnętrznych, a dotychczasowy minister Wałujew, jechał do Polski. Popierał ten swój projekt tym ważnym faktem, że Wałujew znał nasz kraj i mówił po polsku, co miało niemałe znaczenie⁴³⁶.

435 Lisicki, Al. Wielopolski I, 319.

436 Leroy-Beaulien, loc. cit.

A gdy cesarz, który w sprawach polskich nie miał zaufania do Wałujewa, okazał niechęć wyraźną do tego projektu, Konstanty począł głośno mówić, nie bez wpływu margrabiego, że stanowisko naczelnika Rządu cywilnego w Warszawie trzeba nie Rosyaninowi, ale koniecznie Polakowi powierzyć. Wysłce Milutyna był także przeciwny brat jego, Dymitr, minister wojny, mający wielki wpływ na cesarza; wreszcie przeciwną była wielka księżna Helena Pawłowna, wdowa po Michale Pawłowiczu. Ledwie też Milutyn stanął w Petersburgu, donosiła mu, że „wszystkie jej życzenia są za tem, by uniknął niebezpiecznego stanowiska warszawskiego, przez które Rosya go straci na zawsze, a on sam nie ma żadnych szans powodzenia w kraju nieprzyjazytnym, którego język, prawa, dążności trzeba znać i który długo jeszcze będzie pożerał wysłanych doń Rosyan”⁴³⁷. Gołownin ze swej strony donosił mu, że „wielki książę Konstanty Mikołajewicz radzi ci gorąco, abys kategorycznie odmówił przyjęcia stanowiska w Polsce, gdyż, według jego przekonania, miejsce to należy się Polakowi a nie Rosyaninowi”⁴³⁸. Jakoż już w tej chwili, dzięki tym wpływom, cesarz i jego otoczenie znowu poczęło się wahać w kwestyi wyboru osoby odpowiedniej na naczelnika Rządu cywilnego w Polsce, z czego Milutyn, pomimo rad przeciwnych jego własnych i Polski nieprzyjaciół, nie omieszczał skorzystać ze zręcznością, jakiej nabywają wszyscy statysci rosyjscy przy dworze despotycznym i pełnym intryg wszelkiego rodzaju.

Ale najsilniej, najlepiej i najbardziej stanowczo w tym względzie poparły go wypadki, zaszłe w tym czasie w Warszawie i w Petersburgu. Pierwszem z tych zdarzeń, które tak szczęśliwy wpływ na losy Polski wywarły, było wykrycie przez Chrulewa spisku wojskowego. Początkowe wieści, jakie o tem nadeszły do Petersburga, były nadzwyczajnie przesadzone i nadawały faktowi, w gruncie rzeczy mało znaczącemu, rozmiary ogromne i groźne⁴³⁹.

Karyerowicze warszawscy uważali, że tym sposobem, podnosząc niebezpieczeństwo położenia i tłumiąc następnie to niebezpieczeństwo, okażą w lepszym świetle swą gorliwość i zdolności, i zasłużą sobie na większe względy i większe nagrody od wszechwładnego padyszacha. Dość, że raporta, które z początku nadsyłało, mówiły o spisku szeroko rozgałęzionym, o rokoszu, buncie, co, rzecz prosta, sprawiało niezwykłą sensacją w Petersburgu i kazało uciekać się do środków stanowczych. Zaraza przenikająca do armii, tej podstawy głównej i jedynej despotyzmu, przerażać musiała, budzić obawę, by zbyt daleko się nie rozszerzyła, nie zajęła zbyt wielkich przestrzeni i nie zachwiała fundamentami samowładzy. Zresztą spostrzegano, że nie tylko w armii duch

437 Loc. cit.

438 Loc. cit.

439 N. Berg, II, 275.

nieprzyjazny tej samowładzy istnieje; gdzie bowiem rzucono okiem, wszędzie widziano niezadowolenie, stowarzyszenia tajne, spiski, groźby i niepokój powszechny. Wykrycie spisku wojskowego w Warszawie, pożary, które z nastaniem cieplej pory letniej jedną wielką łuną pokryły Rosyę i Polskę, a wreszcie zakończyły się olbrzymią katastrofą w Petersburgu, zdawały się być objawem, pierwszym krokiem jakiejś akcji tajnej, rewolucyjnej i w umysły, dręczone już dawno niepokojem, jeszcze większy niepokój rzuciły.

Pożary te rozpoczęły się d. 2 czerwca na Wielkiej Ochocie i od razu ogarnęły ogromną ilość domów, których spaliło się wtedy przeszło dwadzieścia pięć. Nazajutrz ogień wybuchnął na ulicy Jamskiej i zmienił w zgłiszczą całą część miasta. Dnia 3 czerwca pojawił się powtórny ogień na Ochocie, a współcześnie ukazały się płomienie na innych ulicach, jako to: na wspomnianej Jamskiej, Mikołajewskiej, na zaułku Leszkutowa, na Grochowej. Pożary te, zjawiające się w różnych częściach miasta, wywołały ogromny popłoch, zwłaszcza, że uparcie trzymały się miejscowości, zamieszkałych przez ludność uboższą, i wzbudziły powszechne przekonanie, że powstają z podpalania. W kilka dni potem, w d. 9 czerwca ogarnął płomień t. z. Tołkuczy rynek, ogromny, na sposób wschodni urządzony karawanseraj, pełen towarów i składów wszelkiego rodzaju. Niesłychany żar, wywołany pożogą tysiąca bud drewnianych i znajdujących się w nich towarów, przeniósł płomienie na gmach ministerium spraw wewnętrznych, które z kretesem się spaliło. Nawet łodzie i tratwy z drzewem, stojące na kanale, zwanym Fontanka, zgorzały. Cała jedna wielka dzielnica miejska zmieniła się w morze płomieni. Cesarz, który przebywał podówczas w Carskim Siole, na wieść o gorejącym Petersburgu, pośpieszył do niego, zjawił się przy ogniu, powitany przez zebrane tłumy okrzykiem: hura! Objechał konno cały pożar, którego był tak blisko, że nawet płaszczył się na nim zapalił. Gdy wracał na kolej, płakał rzewnymi łzami nad niedolą tylu tysięcy ludzi, co w każdym razie świadczy o jego dobrem i czułym sercu⁴⁴⁰.

Powszechna pogłoska, krążąca między ludem, utrzymywała, że istnieje uorganizowana banda, która tej zbrodni się dopuszcza. Przekonanie takie żywił sam cesarz i jego otoczenie, przekonanie usprawiedliwione tem, że ogień powstał w dzielnicach ubogich, że więc widocznie szło o rozdrażnienie ludności, że ukazywał się współcześnie w różnych miejscach. Wieści niepewne o głuchem niezadowoleniu wśród młodzieży inteligentnej, o tajnych knowaniach i spiskach, nadawały stempel prawdopodobieństwa tym przypuszczeniom. Wzięto się też energicznie do położenia tamy klęsce; utworzono w Petersburgu trzy czasowe jenerał-gubernatorstwa wojenne i nakazano wszystkich

440 Relacje współczesne.

podżegaczy, lub schwytanych z materiałami palnymi sędzić sądem polowym w ciągu 24-ech godzin. Środki te zapobiegły pożarom w Petersburgu, ale natomiast na prowincji paliły się miasta za miastami. Dnia 9 czerwca spalił się Mochilew, dnia 11 Czernichów, dnia 17 Tyflis, paliły się i inne drobniejsze. Powoli i w Królestwie poczęły gorzeć miasteczka, choć tutaj, dzięki czujności mieszkańców, plaga ta nie przybrała tak groźnych jak w Rosyi rozmiarów.

Nie ulegało wszelako wątpliwości, że większość tych ogni powstawała z podpalenia⁴⁴¹.

Na cesarza klęska ta wielkie wywarła wrażenie; płakał przecież na widok pożaru Petersburga w d. 9 czerwca. Sam ze swej szkatuły dał przeszło pięćdziesiąt tysięcy rubli na wsparcie pogorzalców⁴⁴², a pod wpływem wrażenia, w poszukiwaniu środków, mogących zapobiedz powszechnemu w jego państwie wzburzeniu umysłów, gotów był do ustępstw, jeżeli zdołano go przekonać, że ustępstwa te takim środkiem będą.

Jakoż w tej porze, pod wpływem Gorczakowa, Wielopolskiego, skrytej wreszcie akcyi samego W. ks. Konstantego, zgodził się ostatecznie na to, by margrabia wrócił do Warszawy, jako naczelnik Rządu Cywilnego, a W. książę został namiestnikiem. Kandydatura Milutyna stanowczo przepadła⁴⁴³.

441 Po miasteczkach polskich znajdowano podrzucane karteczki, zwykle wierszowane nieudolnie, w których grożono pożarem. Autor miał w ręku taką karteczkę, z Kielc pochodzącą, tej treści: „jestem młodzieniec, nie dbam o duszę; spaliłem wiele miast i Kielce spalić muszę”. Ma to charakter niesmacznej swawoli. Po Warszawie kursowały także kartki, grożące miastu ogniem; spalony miał być naprzód teatr, potem inne gmachy publiczne i rządowe. (Pawliszczew, Siedmicy I, 103).

442 Osobliwszym i zapewne jedynym w swoim rodzaju faktem jest to, że w Królestwie posyłały się obfite składki na pogorzalców rosyjskich. Składki te dawała przeważnie szlachta zamożniejsza i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że z własnej inicjatywy. Pierwszy przykład dali Płocczanie. Gustaw Zieliński, autor „Kirgiza”, niegdyś wygnaniec w stepach orenburskich wraz z p. Franciszkiem Kleniewskim i Aleksandrem Jackowskim złożyli w redakcyi „Gazety warszawskiej” 3000 złp. „dla najbiedniejszych rodzin, dotkniętych pożarem w Petersburgu, Mochilewie i Czernichowie”. (Gazeta warszawska Nr. 140 z r. 1862). Za tym przykładem poszedł Feliks Cielecki z Gostyńskiego i dał 1000 złp. Ludwik Górski złp. 1000, dr. Korzeniowski złp. 100; Włodzimierz Golc z Włocławskiego złp. 1000; Feliks Higersberger z Gostyńskiego złp. 666 gr. 20, Jan Korzybski z Żelechowskiego złp. 500 i t. d. Odtąd posyłały się drobniejsze, nawet złotówkowe datki. Ofiarność tę ze strony szlachty przypisać należy chęci zaznaczenia, że w niczem nie solidaryzuje się ze stronnictwem wywrotu i objaw ten miał na względzie Czerwieńców warszawskich, nie zaś biednych pogorzalców rosyjskich, o których sama Rosya mogła mieć pieczę dostateczną. Jakoż tam do d. 21 czerwca składki doszły do sumy 274.584 rubli i grosz polski w tych krocach wcale nie był potrzebny.

443 Oto jak sam o tem opowiada w liście do żony z d. 28 maja (Leroy-Beaulien loc. cit. 163): „przedstawienie się moje cesarzowi odkładane było z dnia na dzień, z powodu prze-

Wprawdzie rzecz była już wprzód rozstrzygnięta w zasadzie, ale nie zaakceptowana stanowczo, i przy zwykłych u cesarza wahaniach, mogła się rozbić zupełnie.

Akceptując bowiem kombinacją z wysyłką do wzburzonej Warszawy brata rodzonego, w myśli czynił sobie pewne restrykcje i przypuszczał, że brat ten stanowiska tego nie przyjmie, czego, jak się zdaje, cesarz sobie życzył, i jeżeli się zgodził, to tylko dlatego, że nie miał siły opierać się naleganiom, że stronnictwo przyjazne Polsce znowu wzięło na chwilę górę, że wreszcie raz trzeba było coś postanowić. Z zadziwieniem więc ogromnem przekonał się, że W. ks. Konstanty nie tylko stanowisko naczelnika w Królestwie chętnie przyjmuje, ale nawet okazuje w przyjęciu tern zbyt widoczną skwapliwość, co zapewne nie pozostało bez skutku w podejrzliwym umyśle Aleksandra. Rzecz więc w zasadzie była przyjęta, ale z jej wykonaniem zwlekano, może licząc nieco na tę zwłokę, że przyniesie zmianę i niechętnie widzianą kombinacją wywróci. Ostatnie jednak wypadki, a nadewszystko groza gorejącej stolicy Piotrowej, zdecydowała cesarza ostatecznie. Zrobiło się to nagle, prawie w ciągu kilku godzin, co świadczy o wielkiem wstrząśnieniu duszy po-

głądów, ćwiczeń wojskowych. i t. p. tak, że odbyło się dopiero dzisiaj w Carskim Siole. Jednakże w sobotę jeszcze (d. 28 maja przypadł we środę) miałem długą rozmowę z W. księciem Konstantym Mikołajewiczem. Jemu pierwszemu mogłem wyjaśnić, dla jakich powodów uważam niemożliwym wyjazd mój do Warszawy. Łatwo mi przyszło przekonać go, że w obecnych okolicznościach niemożliwym jest zarząd Polską, gdy się niema znajomości praw krajowych, jej interesów, ludzi, zwyczajów i gdy nawet nie zna się (co jest najważniejszem) języka, bez czego niepodobna nic poznać dobrze. Moje uwagi znalazły najżywsze uznanie, czego się zresztą spodziewałem, gdyż od dnia poprzedniego wiedziałem o usposobieniu W. księcia i jego otoczenia. Moje opóźnienie w przybyciu do Petersburga przyniosło swój skutek. Projekt cesarza doszedł do uszów osób interesowanych. Wielopolski wziął się do dzieła i, wspierany przez ks. Gorczakowa i kilka osób, zachwiał pierwszym planem cesarza. Wynaleziono nową kombinacją t. j. powierzenia administracyi Królestwa Wielopolskiemu, a dla uspokojenia tych, którzy nie wierzą w jego szczerość, umieszczenia ponad nim namiestnika we własnej osobie W. ks. Konstantego. Na wielkie zdziwienie wszystkich (nie wyłączając samego cesarza), W. książę nie tylko zgodził się na tę kombinację, ale okazał szczególną skwapliwość (*empressement*)... Wszystko to stało się w ciągu kilku dni, można nawet powiedzieć, kilku godzin i moja skromna osoba, niespodziewanie postawiona na pierwszym planie, wkrótce zesłała na ostatni z mojem zupełnem zadowoleniem. W. książę wymyślił w nagrodę dla mnie mianowanie mię od dziś dnia członkiem Rady państwa i Komitetu włościańskiego i nawet zaproponował to formalnie cesarzowi. Oto, w jakich warunkach odbyła się audyencya dzisiejsza. Cesarz przyjął mię bardzo uprzejmie, nawet przyjacielsko. Wydawał się nieco zakłopotanym i, dzięki słodczy i istotnej dobroci jego wybornego serca, nie starał się tego ukrywać. Wchodził w najdrobniejsze szczegóły, dotyczące mego wezwania i nowej kombinacyi itd."

teżnego pana świata połowicy. Dnia 6 czerwca uwiadomił o tem Lüdersa, donosząc, że nominacya W. księcia, oraz margrabiego Wielopolskiego nastąpi niezwłocznie, oraz, że termin wyjazdu będzie zdecydowany w jak najkrótszym czasie⁴⁴⁴. W dwa dni potem ukazał się reskrypt cesarski z obu temi nominacyami, o czym tegoż dnia uwiadomiony został Lüders depeszą następującą: „8 czerwca (27 maja) W. książę Konstanty Mikołajewicz mianowany dziś został moim namiestnikiem w Królestwie, margrabia zaś Wielopolski naczelnikiem Rządu Cywilnego. Do czasu przybycia jego wysokości do Warszawy, masz pan wszystkie powierzone panu obowiązki spełniać jak poprzednio. Dla okazania szczególnego mego uznania zasług, jakie pan poniosłeś w czasie swego zarządu tak Królestwem jak i pierwszą armią, obdarowuję pana godnością hrabiowską. Wielki książę nie może przybyć do Warszawy, jak za sześć tygodni, Wielopolski wyjeżdża w przyszłą środę.

Na projekt pański zniesienia posady generał-gubernatora wojennego warszawskiego w głównych zarysach się zgadzam. Oczekiwać będę ostatecznego przedstawienia wraz ze wskazaniem osób, którym zamierzasz pan oddać różne stanowiska”⁴⁴⁵. Przy redakcyi reskryptów cesarskich w sekretaryacie Królestwa, ówczesny minister sekretarz stanu Tymowski, który osobiście nie lubił Wielopolskiego, i przez jakiś czas, gdy na dworze noszono się z myślą powierzenia tego miejsca margrabiemu, sądził, że ten ostatni przez intrygi chce go pozbawić teki ministeryalnej i odtąd gdzie mógł i jak mógł mu szkodził, uparcie obstawał za tem, żeby Wielopolski nie nosił w Warszawie tytułu naczelnika rządu, ale zarządu cywilnego. Śmieszna ta chęć mierności, jaką był niezaprzeczenie Tymowski, dokuczenia margrabiemu, nie powiodła się. Wielopolski ze zwykłą sobie dumą odparł, że „skoro jest w Królestwie rząd gubernialny, to nie widzi racyi, dlaczegoby nie miało być rządu cywilnego”. Rząd więc cywilny się utrzymał, ale margrabia, z właściwą swemu charakterowi mściwością, już wtedy postanowił bądź co bądź starać się o usunięcie Tymowskiego⁴⁴⁶, w czym wreszcie zgadzał się z dobrze zrozumianym interesem krajowym.

Wiadomość o mającym przybyć do Warszawy bracie cesarskim zrobiła w ogóle silne, jakkolwiek odpowiednio do sfer, dążności politycznych i usposobień, różnorodne wrażenie. Wieści zresztą o tem już od dość dawna obiegaly po mieście. W ostatnich dniach maja mówiono na pewno, a co potwierdzały depesze berlińskie, że W. książę przybędzie, zapowiadano, że do Warszawy wraz z nim przymaszeruje gwardya, jak to niegdyś za Konstantego Pawłowi-

444 Depesza z dnia 6 czerwca (25 maja) „Russ. Starina” loc. cit. 646.

445 Loc. cit.

446 Relacje współczesne.

cza bywało i utworzony będzie dziesięcioletni korpus wojska polskiego⁴⁴⁷. Wyobraźnia mas, tak długo tłumiona, tak długo przygnieciona najsmutniejszą rzeczywistością, samymi hiobowymi nowinami, znalazła teraz obszerne pole do snucia różowych marzeń i nadziei.

Mówiono więc, że będzie przywrócona karta konstytucyjna z 1815 r., wojsko, że nastąpi przyłączenie Litwy do Królestwa i t. p. Dla ludzi starszych, którzy patrzyli na dni Królestwa konstytucyjnego, a potem na straszną noc paskiewiczowską, imię Konstantego przypominało także imię jego stryja⁴⁴⁸, człowieka zapewne na pół dzikiego w swych instynktach, ale niezaprzeczenie dobrego i szczerze przywiązanego do Polaków i do Polski. Nie wątpili oni, że wybór z pomiędzy rojnej rzeszy różnych książąt rosyjskich i nierosyjskich człowieka, który nosił to imię, ma swoje głębsze znaczenie, że zrobiono to umyślnie, aby w Polakach obudzić nadzieję, że może dawny rząd konstytucyjny będzie przywrócony, dawne dobre czasy, których się cenić nie umiało, aż wtedy dopiero, gdy niepowrotnie minęły i stracone na zawsze zostały. Inni znowu, ludzie chłodniejsi, młodszy, nie pamiętający z naocznego widzenia tej epoki, wychowani w kleszczach ucisku późniejszego, widzieli w tym zadatek lepszej przyszłości, możliwość rozwoju kraju na podstawach narodowych. Stronnictwo Białych, jakkolwiek w głębi duszy nie zrzekało się swego ideału politycznego Polski przedrozbiorowej i niepodległej, witało jednak tę nominację z uczuciem nieukrywanej radości, gdyż bądź co bądź przynosiła ona Królestwu zupełną autonomię, a zatem dawała silną podstawę do powolnego, ale statecznego działania. Jedni tylko Czerwieńcy, zwłaszcza ich najgorętszy odłam z Chmieleńskim i Dąbrowskim na czele, był w najwyższym stopniu niezadowolony z takiego obrotu rzeczy. Lękali się oni, nie bez pewnej zresztą słuszności, że kraj może się zadowolnić takim samorządem, jaki przywoził W. książę Konstanty, że tym sposobem agitacja ustanie, spisek się rozpadnie, nastąpią dni reakcji przeciwwolucyjnej, Polska zatyje się w spokoju i zamrze na zawsze w mieszczańskim oportunizmie.

Dla zapobieżenia temu, w pierwszych dniach czerwca rozrzucono po całym mieście drukowaną odezwę, wyszłą zapewne z pod pióra Chmieleńskiego, lub którego z jego adherentów, wzywając Polaków w tonie pompatycznym, by nie dali się „uwięść zwodniczym nadziejom i marzeniom”, by serca ich pozostały „na głos uludy i fałszu obietnic moskiewskiego cara tak głuchymi, jak głuchymi są groby pomordowanych ofiar”, by „żałoba, która nas dotąd okrywa, stała się w oczach jego wyrzutem strasznej zbrodni”, by ulice, które W. książę Konstanty przejeżdżać będzie, były „tak puste i smutne, jak smutne

447 Pawliszczew, Siedmicy I, 88.

448 Loc. cit. 92.

są serca matek, których synowie jęczą w pustyniach Orenburga”⁴⁴⁹. Odezwa ta, przypominająca bombastycznością swoją szkolne wypracowania, była jednak czytana i robiła wrażenie, tak osobliwsze to były czasy!

Uwiadomienie urzędowe o tych olbrzymich i niespodziewanych zmianach nastąpiło przez usta Lüdersa, teraz już hrabiego, w d. 12 czerwca przy otwarciu posiedzeń Rady stanu. „Szczęśliwy jestem, mówił, że mogę panów zawiadomić o nowym, świetnym dowodzie ciągłej troskliwości cesarza i króla o pomyślność kraju”. „Zawiadamiając was panowie o łaskawych postanowieniach naszego najmiłościwszego monarchy, uważam za zbyt cenne wskazywać ich wysoką doniosłość w przekonaniu, że sami potraficie ocenić w całej rozciągłości ten dowód zaufania jego cesarsko-królewskiej mości, jaki udziela swym poddanym w Królestwie. Spodziewam się więc, że cały kraj odpowie oczekiwaniom cesarza i króla, przyjmując szczerzy udział w wprowadzeniu w wykonanie wysokich i łaskawych jego zamiarów, i że przybycie dostojnego brata Jego Ces. Mości będzie mogło rozpocząć nową erę pomyślności dla Królestwa”.

Wielopolski tryumfował i słusznie, gdyż tym razem zwyciężyła dobra sprawa, co w historii w ogóle jest nader rzadkim wypadkiem, a w dziejach naszej ojczyzny nieszczęśliwej nieomal jedynym.

„Przyznawszy zasadę, pisał d. 4 czerwca do swoich, bez targów już przychylają się do jej konsekwencji; prawo włościańskie i żydowskie przeszło bez ważnej zmiany, tabela klasyfikacyjna dóbr donacyjnych, to jest najniższa, utrzymała się; wszystko dzięki W. ks. Konstantemu, z którym w najlepszym jestem porozumieniu. Z temi wszystkimi prawami wyjadę w tych dniach do Warszawy, a W. ks. Namiestnik później ma przybyć”⁴⁵⁰. Jakoż posypały się teraz, niby z mitycznego rogu obfitości, ukazy, nominacje, rozporządzenia. Najpierwszym z nich i bodaj czy nie najważniejszym był ukaz o wychowaniu publicznem, oraz ogłoszenie ustawy odośnej, ułożonej pod kierownictwem i za staraniem Wielopolskiego i uparcie przez niego bronionej w różnych komisjach tak w Warszawie, jak i Petersburgu. Ogłoszenie to nastąpiło dnia 20 maja, a w ukazie czytano, że reorganizacja szkół w Królestwie opartą została „na tych głównych zasadach, aby wychowanie miało za podstawę ukształcenie religijno-moralne i klasyczne, przy dostarczeniu możności nabycia nauk specjalnych i było dostępne dla osób wszelkiego wyznania i stanu”. Ukaz jednak nie mówi o tem, że autorom ustawy szkolnej szło głównie o to, by wychowanie publiczne miało podstawy narodowe, polskie, i ta jego strona stanowi główną

449 Odezwę tę, dotąd, o ile wiemy, nigdzie nieprzedrukowaną, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

450 Lisicki, Aleks. Wielopolski I, 325.

zaletę i zasługę. Ci, którzy później robili z tego powodu zarzut Wielopolskiemu (Milutyn), że wprowadził do szkoły, do czystej dziedziny nauki, politykę, zapominali o tem, że oświata abstrakcyjnie pojęta, bez kolorytu narodowościowego istnieć nie może, nigdy i nigdzie nie istniała. Oświata, by mogła kwitnąć, potrzebuje mieć koniecznie podkładkę narodową i wtedy tylko wytwarza ona dobrych obywateli i rozumne czynniki działalności państwowej. Wielopolski ze swym umysłem trzeźwym i realnym doskonale to pojmował i to pojęcie swoje wprowadził do ustawy szkolnej z roku 1862, robiąc język polski wykładowym i kładąc nacisk na dzieje i literaturę ojczystą.

W urzędzeniu wychowania publicznego margrabia wychodził z tej zasady, przez wielu dziś za błędną uważanej, ale w owych czasach uchodzącej za jedynie usprawiedliwioną, że szkoły średnie w ogólności powinny dawać wykształcenie ogólne, przygotowujące do późniejszej specjalności naukowej lub praktycznej. Naukę średnią podzielił on na trzy działy, na szkoły elementarne, powiatowe i gimnazyja. W urzędzeniu szkół elementarnych zasada powyższa nie odgrywała żadnej roli i naturalnie odgrywać jej nie mogła. Tu szło wyłącznie o nauczanie czytania i pisania po polsku, katechizmu, czterech działań arytmetycznych i podanie różnych najpotrzebniejszych wiadomości. Ponieważ szkółek takich było mało, gdyż dawniejsze rządy Muchanowa wcale się nimi nie zajmowały, owszem gdzie mogły stawiały im przeszkody, ponieważ na koniec pierwotny projekt Wielopolskiego co do przymusowego wykształcenia przepadł w Petersburgu, więc dano ogromną swobodę inicjatywie prywatnej. Proboszcze, właściciele dóbr, magistraty miejskie mogły zakładać szkółki początkowe bez odwoływania się do kogokolwiek bądź, z tem jedynie zastrzeżeniem, by o każdym podobnym fakcie donoszono rządowi gubernialnemu. Przedmioty, które miały być w takich szkołkach wykładane, określone zostały przez ustawę; nauka języka polskiego była głównym przedmiotem, tylko w szkołach, zakładanych przez gminy luterskie, w zakres wykładów wchodził także język niemiecki, a w unickich cerkiewno-słowiański. Oprócz prywatnych szkółek elementarnych, które, jak wiemy, w ciągu roku 1862 nadzwyczajnie się rozmnożyły, istnieć miały podług ustawy jeszcze szkoły rządowe elementarne, rozpadające się na dwa działy, jedno i dwuklasowych. Te ostatnie otwierane być miały po większych wsiach i miasteczkach rolniczych, fabrycznych, przemysłowych lub handlowych, z wyraźnym kierunkiem praktycznym: rolniczym lub technicznym. W szkołach elementarnych żeńskich dwuklasowych położono nacisk na naukę gospodarstwa domowego, prowadzenie kuchni, uprawy ogrodów warzywnych, roboty z igłą lub drutami, przykrawanie bielizny, kaftaników, sukienek i t. p. Oprócz tych szkół, po większych miastach miały nadal istnieć szkoły rzemieślnicze niedzielne, a w Warszawie, Lublinie

i Płocku szkółki handlowe niedzielne, które miały zostawać pod zarządem magistratów i rad miejskich. W Warszawie miała powstać szkoła mularsko-ciesielska z kursem tylko zimowym.

Taki w ogólnych zarysach był dział wychowania elementarnego w nowej ustawie szkolnej. Przedewszystkiem uderza w nim ta okoliczność, że autorowie ustawy starali się odjąć wychowaniu elementarnemu charakter urzędowo-administracyjny, że poddali go pod zarząd gmin i rad miejskich, a nauczycieli, idąc za wzorem Izby edukacyjnej z r. 1808, pod władzę dozorów szkolnych, złożonych z wójta na wsi lub burmistrza w mieście i dwu miejscowych obywateli, oraz proboszcza jako prezesa w tem ciele kolegialnem. Tym więc sposobem szkoły elementarne, jak to powinno być wszędzie, przeszły pod zawiadywanie nie jakiejś tam wysokiej centralnej władzy rządowej, ale samych współobywateli, a inspektor szkół początkowych, jeden na cały kraj, miał tylko czuwać, by wykłady i ogólne urządzenie w tych szkołach nie wychodziło poza przepisy. W tym względzie widać, że twórcami ustawy kierował zdrowy duch obywatelski i polski, pozbawiony tych foremek policyjno-czynowniczych, jakimi odznaczają się wszelkie urządzenia szkolne rosyjskie. I to stanowi niepospolitą wyższość ustawy polskiej od wszystkich wcześniejszych i późniejszych ustaw szkolnych rosyjskich.

Wykształcenie średnie nosiło także ten sam do pewnego stopnia charakter. Rozpadało się ono również na dwa działy, na szkoły powiatowe i gimnazyja, które chciał Wielopolski pierwotnie nazwać wojewódzkiemi⁴⁵¹, ale potem myśl tę sam porzucił, żeby nie budzić podejrzeń w zawsze podejrzliwych dygnitarzach rosyjskich. Szkoły powiatowe były pięcioklasowe i były trojaki: ogólne, pedagogiczne i specjalne.

Ogólnych miało być w kraju dziesięć t.j. w Warszawie trzy, w Pułtusk, Łowiczu, Rawie, Wieluniu, Sieradzu, Hrubieszowie i Mławie po jednej. Szkoły pedagogiczne miały na celu kształcenie nauczycieli elementarnych i miało ich być pięć: w Radzyminie, Łęczycy, Sandomierzu, Białym i Maryampolu. Szkoły specjalne zastępowały dawne szkoły realne; przeważnie kładziono w nich nacisk na nauki ścisłe i techniczne. Szkół tych miało być ośm: w Warszawie dwie, w Płocku, we Włocławku, Lublinie, Radomiu, Piotrkowie i Łodzi.

Gimnazyów siedmioklasowych miało być trzynaście, zwiększono więc ich liczbę o sześć, (dotąd było ich tylko siedm w całym Królestwie), tworzone je wszędzie, gdzie tylko można było, gdzie istniały gmachy po dawnych szkołach, zamkniętych po r. 1831. Znajdować się ich miało trzy w Warszawie, a po jednym w Piotrkowie, Kaliszu, Radomiu, Kielcach, Pińczowie, Siedlcach,

451 Relacje współczesne.

Szczebrzeszynie, Płocku, Łomży, Suwałkach. W Pińczowie co prawda mniej było potrzebnem, ze względu na bliskie o pięć zaledwie mil oddalone Kielce i słuszniej daleko należało pomieścić gimnazjum w Sandomierzu lub Miechowie (gdzie nawet był piękny gmach poklasztorny po Bożogrobcach), ale tu kierowały Wielopolskim względy osobistej natury, bo Pińczów był stolicą jego margrabstwa. Do Lublina przeniesiono z Warszawy instytut szlachecki, zakład zamknięty, wymyślony przez Muchanowa wyłącznie dla synów bogatej szlachty, których wychowywano na odrębnych warunkach. Nie mogąc zupełnie znieść tej niepopularnej i nieudatnej instytucji, margrabia usunął ją z Warszawy, zmienił nazwę na liceum, otworzył do niej wstęp i nieszlachcie, uczynił zakładem na pół zamkniętym, wprowadzając i przychodnich i pod względem urządzenia porównał zupełnie z gimnazjami, prócz tej różnicy, że liceum miało ośm nie siedm klas. W klasie ósmej wykładano filozofią, estetykę, ekonomikę, wyższą matematykę, architekturę, gospodarstwo wiejskie, rysunki. Głównym przedmiotem wykładów w gimnazyach był oczywiście język polski i literatura, oraz historia polska, która jednak miała się rozpoczynać od klasy VI dopiero. Wkrótce atoli w praktyce, przy tym gorącym i płodnym duchu patryotycznym, jaki ożywiał ówczesne społeczeństwo polskie, z własnej inicjatywy nauczycieli, a z milczącą zgodą Komisji oświecenia, rozpoczęto wykłady historii polskiej od klasy V, a nawet w niektórych gimnazyach od IV. Podobnie, tylko w kierunku odwrotnym, rzecz się miała z językiem rosyjskim, któremu ustawa naznacza pierwsze miejsce po polskim i nawet wykladać go poleca po rosyjsku od klasy III. W praktyce, przy gorączce nienawiści, którą owładnięci byli tak nauczyciele jak i uczniowie, wykłady tego języka zaniedbano, powoli w planie lekcji poświęcono mu tylko dwie godziny tygodniowo i to godziny dodatkowe, poza innemi lekcjami, zwykle od 4-ej do 5-ej po południu. Ponieważ w późnej jesieni (w tej porze bowiem po wakacjach letnich szkoły według nowej ustawy zostały urządzone), o tej godzinie noc już zapadała, więc uczniowie musieli przynosić ze sobą świeczki, które dawały pole do tysiącznych figlów i swawoli, na czem wykład cierpiał i zwykle nic się nie uczono. Łacina, zgodnie z mającymi jeszcze w owej epoce powszechny obieg teoryami o ogromnem znaczeniu tego języka i o jego wpływie na rozwój umysłowy, poczyniała się w gimnazyach od klasy pierwszej, a grecki od czwartej. Nauki ścisłe, oprócz arytmetyki i geometrii, wykładano zaledwie w klasie czwartej, co było wadą całego tego wychowania. Mundurów zrazu wcale nie przepisano; dano je dopiero później, t. j. przywrócono dawne z przed 1831 r. granatowe ze srebrnymi guzikami i takimi wypustkami na kołnierzu.

Zwierzchnikowi tak szkół powiatowych jak i gimnazyów ustawa przywracała staropolski tytuł: rektora, którym zwykle był jeden z nauczycieli przez Ko-

misyą oświecenia mianowany. Nie był to więc dawny muchanowski i w ogóle rosyjski dyrektor, który miał charakter urzędnika i szkołę uważał albo za koszarę wojskową, albo za rodzaj kancelarii i który zazwyczaj o właściwej nauce nie miał najmniejszego wyobrażenia. Zniesiono także dawnych inspektorów, rodzaj dozorców policyjnych szkoły, a natomiast ustanowiono równie staropolską godność prefekta, którym miał być także jeden z nauczycieli, a bywał najczęściej ksiądz, wykładający w szkole religię.

Co się tyczy szkół żeńskich, to nie cieszący się dobrą w kraju opinią instytut Aleksandryjski przeniesiono z Puław i połączono go z pensją rządową, istniejącą w Warszawie, noszącą nazwę Maryjskiej i utworzono instytut Aleksandro-Maryjski wychowania panien. Instytut ten oddano pod zawiadywanie Komisji oświecenia, o co, jak wiemy, usilnie zabiegał Wielopolski w Petersburgu, i pomieszczono w gmachu b. instytutu szlacheckiego po Szkole przygotowawczej, która od nowego roku szkolnego istnieć już nie miała, jako całkiem niepotrzebna.

Jako wyższy zakład specjalny ustanowiono instytut politechniczny i rolniczo-leśny, którego kraj tak dawno potrzebował, pomimo, że za Muchanowa kierunek wychowania publicznego był niby realny. Nowa ta szkoła miała się mieścić w gmachach po instytucie panien w Puławach, a właściwie w pałacu, pozostałym po Czartoryskich. Instytut miał pięć wydziałów: mechaniki, inżynierii cywilnej, chemiczno-górnicy, rolniczy i leśny. Na czele stał dyrektor i siedmnaście profesorów, wykładających różne przedmioty. Utrzymano przytem trzy niższe szkoły rolnicze: w Niegłosach pod Płockiem, w Radomsku i Burakowie pod Warszawą, pod nazwą szkół niższych oficjalistów wiejskich, inne zniesiono (pod Radomiem i Lublinem). Szkoły te oddano pod zwierzchnictwo dyrektora instytutu politechnicznego, w czym chociaż w części przywrócono dawny obyczaj polski, że szkoły niższe zależeć winny od najwyższej w kraju szkoły. Prócz tego ustawa uznawała konieczność, by szkoły te poddać wpływowi społeczeństwa przez ustanowienie tak zwanego opiekuna i jego zastępcy, którymi mieli być właściciele ziemscy z wyboru. Dano tu także swobodne pole inicjatywie prywatnej, przez pozwolenie Radom gubernialnym zakładania nowych tego typu szkół, gdzie tego uznają potrzebę.

Szkołę sztuk pięknych, istniejącą w Warszawie od czasu kuratorstwa Muchanowa, zreformowano w ten sposób, że ją podzielono na trzy wydziały: budownictwa, malarstwa, rzeźby i rytownictwa. Pozostawać ona miała pod zwierzchnictwem dyrektora, wybranego przez Komisję oświecenia z grona profesorów, który winien był najmniej cztery godziny wykładać.

Koroną jednak całego tego systemu wychowania publicznego, jego sklepieniem, które nawet, gdy pod ciosami późniejszych, osławionych *diejatieli* ro-

syjskich runęło, nie przestało potężnego wpływu na naród wywierać i dodało mu tchu na długą noc ucisku, była Szkoła Główna, było wznowienie, nieistniejącego od lat trzydziestu nigdzie na ziemiach rozbiorowych, uniwersytetu polskiego. Wiemy już, że jeszcze Gorczakow nie chciał, by ta instytucja nosiła nazwę, powszechnie w świecie przyjętą, uniwersytetu; ta niechęć uparcie trwała w rządzie do ostatka. Tłomaczono się tem, z wyraźną złą wolą, że przyszła wszechnica polska „nie obejmuje w sobie wszystkich wydziałów”, że „nie ma w niej fakultetu teologicznego, który zastąpiony jest Akademią duchowną, od dawna zaprowadzoną; nie ma wydziałów: kameralnego, technicznego, rolniczo-leśnego i sztuk pięknych, które zastąpione są w części oddzielnymi zakładami, w innych miejscach lub miastach umieścić się mającymi”⁴⁵². Zapomniano o tem, że większość uniwersytetów na świecie nie ma takich wydziałów. Lękano się jakoby znacznego skupienia młodzieży w jednym miejscu, miano w ogóle (jak i dotąd w Rosyi mają) wstręt do uniwersytetów, a niedawne, zeszloroczne zaburzenia studenckie w Moskwie i Petersburgu wstręt ten wzmogły jeszcze bardziej. Wielopolski musiał nawet ciężko walczyć o to, by nie rozbito wydziałów na osobne szkoły, co było myślą Muchanowa i do której chętnie w tej porze wracano.

Był projekt utrzymania w dawnym stanie Akademii medycznej, założenia nowej szkoły prawa i nowej szkoły pedagogicznej, z dwóch wydziałów złożonej: literackiego i matematycznego. Przeciwno takim zamiarom margrabia bronić się musiał argumentami, które gdzieindziej uważanoby za całkiem zbyteczne, i szeroko rozwodzić, że takie odosobnienie wydziałów „nie dawało możliwości jednego kierunku wykładów, wprowadzić mogło między uczącymi i uczącymi się szkodliwy antagonizm, odbierało narodom (sic) naukowym każdej szkoły osobnej tę wielostronność poglądów, która równie na naukę samą, jak i na sposób jej wykładu tak korzystnie wpływa. Wszystkie te korzyści, a mianowicie ostatnią, niezmiernie ważną, zapewnia Szkole Głównej połączenie wydziałów, kiedy grono uczonych, na różnem polu pracujących, zbierając się razem i w rozmaitym sposobie widzenia patrząc na to wszystko, co każdy przedmiot nowem światłem rozjaśnić zdoła, co naukę do potrzeb ogółu zastosować i upowszechnienie jej ułatwić może, do wspólnej skarbarnicy plony swe znosić będzie w odbywanych naradach. Nadto połączenie to wydziałów w jedną szkołę, tej samej władzy podległą, zbliżenie ich do siebie, da studentom możliwość korzystania z wykładów w jednym i w drugim, dopełniania swoich studyów tem, czego jeden wydział nie ma, a do czego mu drugi otwiera wrota, co przy oddzielnych i w sobie zamkniętych instytucjach

452 Powody do projektu organizacji wychowania publicznego w Królestwie (u Lisickiego, Al. Wielopolski III, 394).

stałoby się daleko trudniejszym, zniechęcającem formalnościami, a w wielu razach i niepodobnem, zwłaszcza przy pomieszczeniu ich nie w jednym miejsku, a jeszcze bardziej nie w jednym mieście. W ogóle to zjednoczenie i ciągle ścieranie się z sobą uczniów z różnych wydziałów, chroniąc ich od widzenia najwyższej mądrości ludzkiej li tylko w studyach, którym się oddają, rozwija ich wielostronniej i na ukształcenie ich zbawiennie wpływa”. W końcu do takich Wielopolski uciekł się argumentów: „pod względem administracyjnym zarząd jedną szkołą, organicznie w częściach swych spojona, ułatwi się niezmiernie, skróci korespondencyą i dla władzy zwierzchniej edukacyjnej stanie się mniej kłopotliwem i zawilem. Jaka zaś oszczędność stąd wypadnie, gdy zamiast trzech rektorów będzie jeden, zamiast trzech kancelaryj jedna i gdy w tym stosunku inne wydatki na oddzielne gabinety, ich obsługę, na oddzielnych dla każdej szkoły urzędników, nad postępowaniem studentów czuwających i sprawy ich sądzących, ubędą, to dowodzenia nie potrzebuje. Wszystkie te względy usprawiedliwiają dostatecznie, owszem wskazują konieczność jednej tylko Szkoły Głównej, z zamianą Akademii medycznej na wydział”⁴⁵³.

Dzięki powyższym argumentom, margrabia przeprowadził to, że projekt Muchanowa odrzucono, zgodzono się na ustanowienie czterowydziałowej wszechnicy, ale nazwy uniwersytetu dać jej nie chciano. Otrzymała więc tytuł „Szkoły Głównej”, tytuł, mówiąc nawiasem, pocziwy, staropolski i bodaj czy nie lepszy od cudzoziemskiej „universitas”, tytuł, którego używała niegdyś odwieczna wszechnica Jagiellońska⁴⁵⁴. Zresztą nie szło tu o nazwę, ale o rzecz, i ta do skutku doprowadzoną została, dzięki usilnym i prawdziwie patryotycznym zabiegom margrabiego.

Szkoła Główna tym sposobem składać się miała z czterech wydziałów: lekarskiego, fizyko-matematycznego, prawnego i literackiego (nazywanego według nomenklatury rosyjskiej: filologiczno-historycznym). Pierwsze dwa mieściły się przez jakiś czas w pałacu Staszica, w gmachu b. Akademii medycznej, dwa zaś ostatnie w pałacu Kazimirowskim, zwanym także koszarami kadeckimi. Później jednak w gmachu tym pomieszczono razem wszystkie cztery fakultety. Kurs na trzech wydziałach trwał cztery lata, prócz lekarskiego, gdzie był pięcioletni.

453 Loc. cit.

454 Myli się więc Spasowicz, wyrażając się, że nazwa ta była „niewłaściwą”. („Życie i polityka mar. Wielopolskiego” III, 189. W oryginale rosyjskim: „niepodchodiaszczeje”). O tyle chyba była niewłaściwą, że w Akademii krakowskiej tytuł „Szkoła główna” stąd zapewne powstał, że ona zarządzała wszystkimi szkołami w Koronie, była zatem ich głową, była główną. Ale pominąwszy to specjalne i historyczne znaczenie tej nazwy, które się powoli przy zmianie okoliczności zatraciło, wyrażenie „Szkoła główna” było polskiem, dawnem i wcale nie było niewłaściwem.

Nauki wykładali profesorowie zwyczajni, nadzwyczajni, adyunkci i docenci, a na wydziale literackim także lektorzy. Przy tym ostatnim i matematyczno-fizycznym fakultecie ustanowione było seminarium pedagogiczne ze stypendyum na 24 studentów. W szerokim pojęciu nauki, zdradzającym światły umysł w Wielopolskim, ustawa dopuszczała do wykładów każdego uczonego, choćby nie posiadał stopnia naukowego, byle tylko był znany ze swych prac naukowych. Na czele Szkoły stał rektor, wyznaczony na pierwsze trzy lata przez Radę administracyjną Królestwa, po upływie zaś tego czasu miał być wybierany przez profesorów; zwierzchnikami bezpośrednimi wydziałów mieli być dziekani, wybierani co dwa lata z grona profesorów. Ważniejsze wykroczenia studenckie rozpatrywał osobny sędzia Szkoły Głównej, wyznaczony przez Komisję oświecenia w porozumieniu z Komisją sprawiedliwości. Egzaminy odbywały się co dwa lata; wakacje zwyczajem staropolskim oznaczono w sierpniu. Mundury granatowe z srebrnymi galonami później przepisano; opłata wynosiła po 10 rs. za każde półrocze. Samorząd Szkoła miała znaczny, ale nie nadano jej tego, co stanowiło własność charakterystyczną dawnych uniwersytetów polskich (krakowskiego i wileńskiego) t. j. prawa zawiadywania niższymi i średnimi zakładami naukowymi. Pierwotnie autorowie ustawy nosili się z tą myślą, ale trudność odpowiedniego uregulowania władzy Komisji oświecenia i Szkoły Głównej w tym względzie, obawa, by rząd rosyjski nie powziął stąd podejrzeń, tak łatwych u niego zawsze, i całego projektu edukacji nie odrzucił, powstrzymała ich od tego⁴⁵⁵. Trzeba było bardzo ostrożnie postępować, by uzyskać sankcją projektu, by zrujnowaną do gruntu edukacją publiczną odrodzić i na podstawach narodowych oprzeć.

Cokolwiek bądź, jakiegokolwiek można uczynić zarzuty tej ustawie, przyznać każdy musi, że jest ona pięknym pomnikiem rozumu i patriotyzmu tych, co ją układali.

Ma ona swe wady, bo któreż dzieło ludzkie jest bez wad?; zanadto wielki nacisk kładła na wykształcenie humanitarne, a za mały na kierunek praktyczny szkół, ale pod tym względem była ona odgłosem opinii, panujących podówczas w Europie. Poza tem stanowi ona wyborną całość, szczerze polską, bardzo rozumnie obmyślaną, i jeżeli kiedykolwiek los pozwoli Polakowi urządzić edukacją publiczną we własnej ojczyźnie, nie obejdzie on się bez dokładnego przestudyowania tej ustawy, bez wzięcia z niej bardzo wielu wzorów i myśli. Dodajmy, że nie obciążała ona zbyt ciężko budżetu Królestwa, gdyż etat wszystkich zakładów naukowych i ich pomocy wynosił zaledwie 513.840 rs. Wielopolski i szereg tych skromnych pracowników, którzy skre-

455 Relacje współczesne.

ślili tę ustawę (Korzeniowski, Stronczyński, Przysański i inni) dobrze nią zasłużyli się ojczyźnie. Pozostanie ona na zawsze jako dowód wielkiego rozumu, doskonałego pojmowania interesów kraju, szczerzej, goręcej miłości tego kraju i jego młodych pokoleń⁴⁵⁶.

Spółeczeństwo ówczesne polskie przyjęło nową ustawę szkolną dobrze, o tyle oczywiście dobrze, o ile mogła ona zwrócić na siebie uwagę ludzi, których umysły całkiem czem innem były zajęte, którzy śnili nie o jakichś tam reformach pod rządem rosyjskim, ale o odbudowaniu dawnej Rzeczypospolitej i o wygnaniu najazdu zupełnem. Cóż wobec tak wielkiego zadania znaczyć mogła jakaś tam nędzna reforma szkół, która wprowadzie wlała w żyły usychającej na anemię narodowości świeżą krew na lat trzydzieści, ale ograniczoną była tylko do Królestwa samego? Spokojniejsi znowu, przyznając wielką doniosłość tej reformie, czynili jej jednak zarzuty, które im się wydawały bardzo poważnymi, a które dowodziły tylko nieznajomości tych wszystkich walk, jakie staczać musiał margrabia, by ustawę samą przeprowadzić, by pokonać wiekuiłą niechęć i podejrziliwość rządu rosyjskiego.

Uznawano wprowadzie niemożliwość usunięcia języka rosyjskiego ze szkół męskich, zgadzano się na to, że takie ustępstwo musiało być zrobionem, ale pytano, po co ten język wprowadzono do wykładów szkół żeńskich?⁴⁵⁷. Wielu znów nie mogło pojąć, dlaczego Szkoła Główna, mająca wszystkie prawa i warunki uniwersytetu, nie nosi tej nazwy? Skoro już, mówiono sobie, ideałem politycznym Wielopolskiego jest odtworzenie takiego stanu, jaki istniał przed powstaniem listopadowem, to należało przywrócić najwyższej szkole w kraju miano „uniwersytetu Aleksandryjskiego”. Inni jeszcze mocno oburzali się na to, że w szkołach elementarnych, w miejscowościach, w których mieszkają Niemcy, wprowadzono do wykładów obowiązujących język niemiecki. Rozumiemy, mówiono, usprawiedliwiamy naukę języka rosyjskiego w szkołach, ale w żaden sposób pojąć nie możemy, co znaczy to ustępstwo dla Niemców w szkołach elementarnych? Wszystkie te zarzuty, łatwo wytłomaczone ze stanowiska polskiego, do pewnego stopnia nawet usprawiedliwione, formułowane zresztą wyłącznie z punktu widzenia nie naukowego ale politycznego, świadczyły tylko, jak dalece ogół nie znał historii nowej ustawy szkolnej i tych olbrzymich trudów i zabiegów, jakie czynił margrabia, by ona dojść mogła do skutku.

456 Ustawę z 1862 r. znaleźć można w „Dzienniku praw” T. LX, we wszystkich ówczesnych gazetach, w osobnej odbitce z „Dziennika praw” i na koniec u Lisickiego, Al. Wielopolski II, 278 i następ. U tego ostatniego sprostować należy pomyłkę: ustawa podpisana była przez cesarza w Carskiem Siole nie 29, ale 20 maja.

457 Pawliszczew, Siedmicy I, 98.

W kilka dni po ogłoszeniu ustawy szkolnej, podpisane zostały d. 5 czerwca przez cesarza w Carskim Siole dwa ukazy, o oczynszowaniu włościan z urzędu (tak się wtedy mówiło) i o równouprawnieniu żydów. Pierwsze z tych praw, opracowane w zasadach głównych przez półurzędowy wydział doradczy przy Komisji spraw wewnętrznych, złożony przeważnie z przedstawicieli większej własności ziemskiej (Tomasz Potocki, Aleksander Ostrowski, Adam Goltz, Aleksander Jackowski, Wojciech Węgleński, Ludwik Górski, Tytus Wojciechowski, Klemens Krzyżtoporski, Aleksander i Adolf Kurtzowie, Antoni Wrotnowski, Leopold Kronenberg i Zygmunt hr. Wielopolski), nie zadowolnił wcale demokratycznie usposobionej opinii kraju.

I pod tym względem opinia ta miała słuszość. Domagała się ona, jakeśmy to już kilkakrotnie zaznaczyli, uwłaszczenia, obdarowania chłopą ziemią, gdyż widziała w tem naprzód zadośćuczynienie obarczonemu przez stare grzechy polskie sumieniowi narodowemu, a potem prawdziwy interes kraju. Historia ostatnich lat trzydziestu uczyła, że rząd rosyjski z kwestyi włościańskiej zrobił sobie broń, której mógł użyć każdej chwili ze szkodą narodu; że ta broń była podobną do mitycznego miecza Damoklesa, wiszącego nad głową Polski. Rozum więc prosty nakazywał, ażeby skorzystać z przyjaznej okoliczności i miecz ten wyrwać z rąk rosyjskich, broń tę na zawsze stępić i uczynić ją nieużyteczną. Chłop, raz uwłaszczony, kończył długo ciągnący się ponury dramat wiejski, wyzwalał Polskę od szkaradnej choroby, która ją trawiła i strawiła prawie zupełnie. Wreszcie, nawet w interesie spokojności ówczesnej, leżała konieczność uwłaszczenia. Podmywało ono bowiem grunt pod przyszłem i ciągle głośno zapowiadaniem powstaniem, odejmowało jedną z racyi istnienia spiskowi. Rewolucyoniści polscy w przyszłem powstaniu liczyli głównie na chłopą i sądzili, że darowizną gruntów zdołają tego chłopą porwać do walki o niepodległość. Z chwilą atoli, gdyby ten chłop został wcześniej uwłaszczony, odejmowało się raz na zawsze tę nadzieję rewolucyonistom, a z pewnością nie było ani tak nierozumnych, ani tak zaślepionych, którzyby wtedy ośmielili się wezwać naród do nierównego boju z najazdem. To też teraz, gdy Wielopolski przeprowadził prawo o oczynszowaniu z urzędu, a nie o uwłaszczeniu, w głębi duszy cieszyli się oni z tego, choć głośno, bo im tak wypadało, obwiniali margrabiego o wsteczne i szlacheckie dążności. Wielopolski przez nowe prawo pracował dla rewolucyonistów, kierował wodę na ich młyn.

Niepodobna jednak przypuszczać, by tak światły i tak przenikliwy umysł, jakim natura obdarzyła Wielopolskiego, tego nie rozumiał. Ale wchodziły tu w grę inne czynniki, może czynnik własnego interesu, przekonanie, że da sobie pomimo wszystkiego radę z rewolucją, wreszcie hołdowanie bezwzględne zasadzie, że własność jest rzeczą świętą i pod żadnym pozorem naruszoną być nie

może. Tej zasadzie, wyniesionej ze studyów prawa rzymskiego i francuskiego, zasadzie, która w układzie nowożytnych społeczeństw wielokrotnie okazała się bezsilną i błędną, poświęcił on istotny interes kraju. Przy każdej sposobności odzywał on się, że uwłaszczyć chłopą gruntami szlacheckimi znaczyło to samo, co „kodeks Napoleona zastępować serbskimi prawami cara Duszana”⁴⁵⁸; że „skaleczenie prawa własności, pisał w innym miejscu⁴⁵⁹, w jednej żyłce organizmu społecznego rani tę własność i drażni we wszystkich innych członkach i do żywego dotknięta kurczy się ona i w mozolne, dla niej samej uciążliwe ostrożności obwija; swoboda czynności cywilnych jest skrępowana i najkorzystniejsze dla obu stron układy drętwieją”. Twierdził z uderzającą hipokryzyą, bo niepodobna przypuścić, by ziemianin, który większą część życia na wsi przepędził, tak dalece nie znał chłopą, że tenże nie odczuwa prawa własności ziemi. „Namiętność do ziemi, pisał, nie jest namiętnością do jej własności. Włościanin nasz zapala się do tego, co osiągnąć może, do czynszu w miejsce pańszczyzny, do powiększenia dzierżawnej osady, do jej utrwalenia. Subtelne różnice dalekiego tytułu posiadania są mu obojętne, a sztucznie raz obudzony urok własności nie da się na lat dwadzieścia kilka, w kształcie mumii wonnemi obietnicami zabalsamować”⁴⁶⁰. „Urok własności, z przymusowego uwłaszczenia pochodzącej, ma na odwrocie wyzłacanego medalu napis: zmora zaboru”. Takimi to frazesami i adwokackimi wykrętami starał się obronić to, co obronionem być nie mogło.

Teraz, będąc u władzy, zgodnie z temi swemi przekonaniem przeprowadził oczynszowanie, pozostawiając miecz Damoklesa w ręku zawsze nam nieprzyjanej Rosyi i przygotowując grunt dla przyszłych eksperymentów Milutynowskich. Był to poważny błąd i historia błędu tego Wielopolskiemu nigdy nie zapomni, gdyż był on jedną z najpoważniejszych przyczyn późniejszych nieszczęść i klęsk narodowych.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły nowego prawa, gdyż pominąwszy jego stronę czysto specjalnej natury, to właściwie nie weszło ono w całej rozciągłości w wykonanie, albowiem w pół roku po jego ogłoszeniu wybuchło powstanie, a z niem, wskutek dekretu Rządu narodowego o uwłaszczeniu, prawo o oczynszowaniu z urzędu samo przez się upadło; po stłumieniu zaś powstania zjawił się Milutyn z szajką nihilistów rosyjskich, którzy wszystko wyrócili do góry nogami. Nowe więc prawo pozostało bezpłodnym dokumentem prawodawczym, platonicznym wyrazem wyobrażeń szlacheckich⁴⁶¹.

458 Lisicki, Al. Wielopolski 1, 61.

459 Loc. cit. 56.

460 Loc. cit. I, 57.

461 Kto ciekawy znaleźć może ukaz z dnia 8 czerwca 1862 r. o oczynszowaniu z urzędu w „Dzienniku praw” Tom LX, Nr. 180, p. 39 i nast.; we wszystkich ówczesnych gazetach warszawskich wreszcie u Lisickiego, Al. Wielopolski II, 359 i nast.

To tylko nadmienić wypada, że w głównych zarysach było ono korzystniejszym dla dworu, jak dla chałupy chłopskiej, że czynsz w ogólności za wysoko był obliczony, że w razie sporów apelacja do sądów przedstawiała dla chłopu uboższego i nieobznajmionego z prawem małe szanse powodzenia. Oczynszowanie miały przeprowadzić powiatowe delegacje czynszowe, powstałe z wyborów, z pośrodku członków rad powiatowych i złożone przeważnie ze szlachty, co także nie przemawia na korzyść nowego prawa. Oczynszowanie zresztą w praktyce postępowało bardzo leniwie; obie strony, jakby w oczekiwaniu jakiegoś radykalnego przewrotu, jakiejś burzy, którą czuć niejako było w powietrzu, niechętnie brały się do czynności, w której trwałość nie wierzyły. Tu i owdzie szlachta podawnemu domagała się danin i darmoch, chłopci liczne skargi zanosili do władz rosyjskich na nadużycia szlacheckie.

Obie strony były wzajemnie przeciw sobie rozdrażnione i z gniewem, jeżeli nie z nienawiścią, na siebie spoglądały.

Ukaz o równouprawnieniu żydów, podpisany tegoż samego d. 5 czerwca w Carskim Siole co i ukaz o oczynszowaniu, streściliśmy już poprzednio w głównych zarysach. Był on wyrazem tych mieszczańsko-liberalnych teorii, jakie wówczas na Zachodzie uchodziły za ostatni stopień postępu, a które Wielopolski, nieodrodny syn wieku, wyznawał; był nareszcie koniecznym następstwem uwielbienia, jakie margrabia okazywał dla kodeksu napoleońskiego, który nie znał praw wyjątkowych; był na koniec wynikiem teorii, także obiegających wówczas po świecie, że każdy naród, który chce mieć przyszłość przed sobą, powinien posiadać mieszczaństwo. Ponieważ Polska mieszczaństwa nie posiadała, a powiedzmy nawiasem, wybornie się bez niego przez ciąg swego istnienia tysiącoletniego obchodziła, więc Wielopolski chciał z żydów stworzyć stan trzeci. Marzył, zdawało mu się, że naród ten czynny, ruchliwy, z dobrą niezaprzeczenie głową, przedsiębiorczy i inteligentny, zasymiluje się zupełnie, utonie w morzu polskim i wytworzy owe mieszczaństwo upragnione, które, wedle opinii czasu, samo jedno nadawało tęgość narodom i państwom. Poza tem, z osobistego stanowiska patrząc na rzeczy, sądził, że prawem tym przyciągnie żydów do siebie i w walce z rewolucją znajdzie w nich silną podporę. Na wszystkich tych punktach niestety! omylił się ciężko. Okazało się bowiem, że naprzód ścisłego, zupełnego równouprawnienia być nie mogło i sam ukaz zawiera kilka zakazów, wyłącznie dotyczących żydów. Zabraniał im mianowicie nabywania gruntów włościańskich, w tabelach prestacyjnych z r. 1846 oznaczonych, „dopóki robocizna przymusowa z tych osad należna, na okup prawny zamienioną, albo czynszem wieczystym zastąpioną nie zostanie”; zabraniał im w dobrach przez siebie nabytych w ciągu pierwszego dziesięciolecia sprawowania urzędu wójta gminy lub zastępcy tegoż; zabraniał

korzystania z prawa kolacyi i prezentowania kandydatów na posady duchowne; zabraniano im na koniec prowadzenia ksiąg handlowych, korespondencji, zawierania umów, zobowiązań, sporządzania testamentów w żargonie żydowskim lub za pomocą alfabetu hebrajskiego. Skoro więc było tyle zakazów, zakazów koniecznych i nieuniknionych i dotyczących wyłącznie żydów, świadczyło to, jak nawet w umyśle prawodawcy wątplą okazała się idea asymilacji, jak niebezpiecznym, upartym, zasklepionym w sobie był ten żywioł, kiedy nawet w akcie równouprawnienia bronić się przeciw niemu trzeba było. Czas późniejszy okazał, że żydzi nie zlali się z narodem, że ciągle stanowili i stanowią odrębną wśród Polaków całość, nie odczuwającą wcale ani cierpień, ani radości narodowych, obojętną zupełnie na jej losy; że nie stworzyli mieszczaństwa polskiego, jak o tem marzył margrabia, że w walce z rewolucją wcale go nie poparli, że jednym słowem akt emancypacji żydowskiej krajowi żadnej korzyści nie przyniósł. Pewna, bardzo ograniczona zresztą liczba żydów, którzy się uznali Polakami, którzy godnie i gorliwie spełniają obowiązki obywatelskie względem kraju, stanowią tak nic nie znaczący procent, że on nie zrównoważy nigdy strat, jakie masy ciemnego żydostwa przynoszą społeczeństwu, do czego im bardzo wiele dopomagało prawo przez Wielopolskiego wyjednane. Był to drugi jego błąd, nieudolności wzniesienia się ponad wyobrażenia wieku, zarażonego pseudoliberalizmem mieszczańskim. Naród, który w tak nieszczęśliwym jak Polacy znajduje się położeniu, nie powinien oddawać nikomu do rąk ostatnich swych atutów, ani interesów swych poświęcać dla jakiejś liberalnej mrzonki. Z nieszczęść, jakie w tej epoce spadły na Polskę, jedni żydzi tylko korzyść wynieśli i z czasem korzyść tę zwrócili przeciw nam samym.

Ukaz o równouprawnieniu żydów przyjęto w społeczeństwie polskim bardzo dobrze. Przewrót, jaki od roku zrobił się w umysłach, odnośnie do żydów, zwanych teraz „Polakami mojżeszowego wyznania”, był niejako podstawą tego prawa, którego konieczność uznawano, i które przed urzędowym ogłoszeniem od dawna już w życie weszło samą siłą prądu, wykwitłego z łona społeczeństwa polskiego. Żydów wybierano do Rad miejskich i powiatowych, w Radzie stanu zasiadał żyd Matyas Rosen, w synagogach rabini głosili mowy patryotyczne i odsiadawali za to w cytadeli⁴⁶², wkupili się niejako cierpieniem

462 Charakterystyczne zdarzenie, dosadnie malujące nastrój chwili, przytoczyć nam tu wypada z rękopismu współczesnego. Oto, co tam czytamy: „Kiedy ustanowioną była Rada stanu i bankier Matyas Rosen został do niej powołany, wydał ucztę u siebie, na którą zaprosił wiele wybitniejszych osób z miasta. Przy uczcie wznoszono liczne toasty i mówiono wiele pięknych o braterstwie rzeczy. Rozrzewniony gospodarz zbliżył się do starego swego znajomego i przyjaciela, znanego mecenasa Wincentego Majewskiego i ze łzą

do ojczyzny. W samym społeczeństwie od czasu dni marcowych zeszłorocznych, od nigdy niezapomnianych „polskich czasów”, nadzwyczajnego podniesienia ducha ogólnego, zapanowało względem żydów uczucie braterstwa i miłości serdecznej. Starano się ich wszelkimi siłami przyciągnąć, przyciągnąć do siebie, podnosić do wyżyn tej idealnej, tej wzniosłej miłości ojczyzny, która tak niezwykle, tak piękny, pomimo wszystkiego, nadaje koloryt tej epoce, jedynej w historii. Żydzi przyjmowali to wszystko, w słowach byli szczodrzy, czasem nie żałowali pieniędzy, ale byli nadzwyczaj ostrożni w czynach i działaniach swoich. Jeżeli Bogu zapalili świeczkę, to dyabłu z pewnością dwie postawili.

Z takimi to prawami i instytucjami nowymi, przybył margrabia w połowie czerwca (dnia 14) do Warszawy, w nowej swej godności naczelnika rządu cywilnego. Porzucił stolicę caratu po długim i męczącym w niej pobycie, pełen najlepszych nadziei, przekonany, że kraj wprowadził na drogę szczęśliwej przyszłości, i pewny, że będzie w Warszawie przyjęty jak tryumfator, jak zwycięzca, bo zaiste! wielkie odniósł zwycięstwo, pokonał zakorzenioną głęboko w rządzie rosyjskim nieufność, niechęć i niewiarę do nas.

W ostatnich chwilach usiłował wyjednać jeszcze kilka nowych, drobnych wobec tego co już otrzymał, koncesji. Prosił więc, by przywrócono kolory narodowe, „jako zewnętrzną oznakę uznania zasady narodowości, dawno wypowiedzianej w publicznych odezwach i dokumentach”⁴⁶³. Chciał, by nadano barwy polskie polskiemu pułkowi gwardyi, który myślał, że będzie utworzony. Ale odmówiono mu tego, przez tę szczególną, rządowi rosyjskiemu tylko właściwą oględność czy obawę przed wszelkimi oznakami zewnętrznymi. Zgodzono się na polskie wychowanie młodzieży, na zupełną autonomię kraju, a nie chciano się zgodzić na barwy polskie, jak gdyby te groziły całości państwa.

Na odjeździe już samemu odwiedził Wielopolskiego poseł francuski przy dworze petersburskim, pan Fournier, który stale okazywał margrabiemu przez czas jego pobytu nad Newą niezachwianą przyjaźń. Z głęboką znajomością jego serca i charakteru, zacny ten Francuz, rzucił mu na pożegnanie taką odpowiedź, która niestety! na nieszczęście Wielopolskiego, a co większa, na nieszczęście ojczyzny jego spełnić się miała zupełnie: „Jedziesz, mówił dyplomata, by spełnić wielkie dzieło i trzeba, byś z góry był zrezygnowany na

w oku rzekł: „cóż ty na to Wicusiu Kochany? widzisz żyda w Radzie stanu! czyś widział co podobnego?”. Wszyscy umilkli, a Majewski z niemniejszym rozrzewnieniem odrzekł: „widziałem kochanku coś lepszego, bo żyda w cytadeli nie na licytacji. Dlatego i ty siedzisz w Radzie stanu”. Więc wszyscy się popłakali i wśród łez, pocałunków, okrzyków: Kochajmy się! zakończono tę ucztę”.

463 Lisicki, Al. Wielopolski I, 327.

to, że je tylko przygotujesz, a nie dokonasz. Sprawa przerobienia ducha narodu, sprowadzenia go z drogi zapału, namiętności i żalu, na drogę rozsądku, jest sprawą wymagającą długiego czasu. Nie jest to jednakże niemożliwem, i największymi wrogami twymi nie będą ci, którzy nie zrozumieją twych idei i twych celów, ale ty sam, twa duma. Będziesz chciał złamać to, co ci opór stawia, a wtedy sam możesz być złamany, a z tobą twe serce i twe idee”.

Margrabia ze łzami w oczach rzucił się w ramiona posła i zawołał: „Któż ty jesteś, co mi mówisz to, czego mi nikt jeszcze nie powiedział? Istotnie, musisz mię bardzo kochać. Nie zapomnę nigdy twej uwagi, bym się strzegł dumy własnej!”⁴⁶⁴.

Niestety! nie strzegł się jej wcale. Owszem teraz, w poczuciu zwycięstwa, jakie odniósł w Petersburgu, w poczuciu swej siły, urósł w dumę niepomiarłą i rad ją każdemu okazywał, co nadzwyczajnie odeń odtrącało ludzi. Powtarzamy, przekonany był, że wszystkie dawne uprzedzenia, wszystkie nienawiści, cała niepopularność, jakiej doznawał w kraju, zniknie teraz wobec wielkiego, patryotycznego dzieła, jakiego dokonał, i że będzie przyjęty z otwartymi rękami. Tymczasem przyjęcie było bardzo chłodne, bardzo nieufne i pełne obojętności. Zrobiło to na nim bardzo przykre wrażenie, którego do śmierci podobno nie zapomniał⁴⁶⁵. Ze sobą, dla wprowadzenia w wykonanie nowych praw i utworzenia nowego rządu polskiego, wiozł kilka osobistości, które zwerbował w Petersburgu. Między innymi, na dyrektora Komisji wyznań i oświecenia, na miejsce nie lubianego Hubego, sprowadzał, całkiem dotąd w kraju nieznanego, Kazimierza Krzywickiego, co wielu obraziło i powszechnie się nie podobało. Urodzony na Wołyniu, po ukończeniu uniwersytetu w Dorpacie, osiadł w Petersburgu, wstąpiwszy zaraz do ministerium spraw wewnętrznych, a potem do kancelarii cesarskiej, nie znał kraju, nie pojmował jego gorączki, chłodny typ Polaka, dobrego niezaprzeczenie, ale wyziębionego mocno i kończącego z czasem na polityce samobójstwa. Z natury nerwowy nadzwyczajnie, wysoko wykształcony, podczas pobytu Wielopolskiego w Petersburgu związał z nim bliższe stosunki i, zdaje się, poparty przez W. księcia Konstantego, któremu dawał lekcje języka polskiego, otrzymał wysokie stanowisko dyrektora Komisji oświecenia.

Niewątpliwie był do tego uzdolniony; reorganizacją szkół przeprowadził szybko i dobrze, ale w oczach ogółu, w oczach licznej sfery urzędniczej warszawskiej, uchodził za intruza, za kreaturę margrabięgo. Późniejsze skanda-

464 Lisicki, *Le marquis II*, 306.

465 Lisicki, *Al. Wielopolski I*, 447 opowiada, że margrabia, bawiąc już w Dreźnie, wspominał, że „największym dlań zawodem było przyjęcie doznane w Warszawie, gdy wrócił jako naczelnik cywilnego rządu Królestwa Polskiego”.

liczne historie domowe z żoną, która, urodziwszy mu czworo dzieci, opuściła go i poszła za znanego w Warszawie lekarza, powszechnie wiadome i powtarzane przez stugębną plotkę, nie mogły mu przysporzyć szacunku i sympatii w kraju. Nominacja jego nastąpiła przez ukaz z Carskiego Sioła d. 8 czerwca, a w Warszawie w kilka dni potem ukazała się karykatura, wyrysowana przez głośnego później malarza, Juliusza Kossaka, którą publicznie po księgarniach sprzedawano⁴⁶⁶, przedstawiająca margrabiego konno w postaci posągu króla Jana III na moście Łazienkowskim, z rulonem papierów w ręku, traktującego nie Turków, ale Hubego i Kruzensterna.

Albowiem i Kruzenstern, przy tych ogólnych zmianach, został i musiał być usunięty z bardzo ważnego dyrektorstwa Komisji spraw wewnętrznych. Przy nadanej Królestwu autonomii, człowiek taki, wróg nieprzejednany Polaków, działający przez cały czas swego urzędowania na wyraźną szkodę kraju, w żadnym razie nie mógł pozostać. Czuł on to dobrze i jak tylko wieści o powierzeniu zarządu cywilnego Wielopolskiemu się potwierdziły, sam podał się do dymisji, na co cesarz zgodził się jeszcze dnia 6 czerwca⁴⁶⁷, a w dwa dni potem nastąpiła nominacja na to wysokie stanowisko, znanego nam już męża pięknej, złotowłosej pani Keller, hrabiego Edwarda Kellera, szambelana i gubernatora mińskiego.

Nominacja ta niemałe wywołała zdziwienie w kraju, gdyż o Kellerze nie nigdy tu nie słyszano i robiono zarzut Wielopolskiemu, że jakąś nieznaną osobistość sprowadził z Petersburga, by była powolnem jego narzędziem. Tymczasem Wielopolski nic temu nie był winien. Rząd rosyjski, nie bez słuszności, ze wszystkich ministeriów polskich zawsze Komisją spraw wewnętrznych uważał za najważniejszą i od r. 1831 stale powierzał jej zarząd Rosyanom. Gdy więc przy reorganizacji obecnej rządu polskiego przyszła na stół kwestya obsadzenia wzmiankowanego dyrektorstwa po niemożliwym i zresztą usuwającym się Kruzensternie, chciano w Petersburgu, według dawnego zwyczaju, stanowisko to oddać Rosyaninowi. Margrabia oczywiście chciał Polaka, ale gdy spostrzegł, że żądanie jego przeprowadzonem być nie może, przedstawił kandydaturę Kellera, którego żona bawiła ciągle nad Newą, zabiegała o to usilnie i głośno się odzywała, że jest „polityczną aliantką” Wielopolskiego. Keller zresztą uchodził za człowieka cichego i spokojnego, dobrego administratora,

466 Oczewidec (Posledniaja polskaja smuta, loc. cit. 144), widział ją w oknie księgarni Gebethnera i Wolffa na Krakowskim Przedmieściu. Karykatura ta dziś jest wielką rzadkością.

467 Depesza do Lüdersa z d. 6 czerwca (27 maja): „na prośbę radcy tajnego Kruzensterna o uwolnienie go od obowiązku dyrektora głównego Komisji spraw wewnętrznych, z pozostawieniem go członkiem Rady stanu, zgadzam się”.

nieźle widziany był przez cesarza, w Mińsku cieszył się sympatją mieszkańców, wreszcie jako mąż swej żony, manifestującej wyraźnie swe uwielbienie dla margrabiego, dawał niejako rękomią, że przynajmniej bruździć nie będzie⁴⁶⁸. Później miał się przekonać margrabia, że był to łapownik szkaradny, a jego żona w Warszawie uchodziła za ładacznicę, co nawet dało powód do napisania przez jakiegoś pokątnego poetę ohydneho czterowiersza o tej osobliwszej parze, obiegającego po całej Warszawie. W każdym razie Keller nie przynosił zaszczytu nowemu rządowi polskiemu, ale w tej chwili o tem jeszcze nie wiedziano, i zaiste lepszy był Keller jak Kruzenstern, lub inny tegoż pokroju człowiek.

Stronnictwo Czerwonych, a raczej jego prasa tajna, zachowywała się wobec zapowiadzianych reform, ze zwykłą sobie taktyką. Nie zaprzeczała temu, że są one ważne i dobre, ale nie wierzyła w ich urzeczywistnienie.

„Strażnica”⁴⁶⁹, notując plotki uliczne, a może sama je koncypując, pisała: „jak mało rząd moskiewski te małe pseudo-reformy ceni, i jak mało stara się o nadanie im cechy prawdy, dowodzi między innemi ciągle trwający stan obłączenia i wszystkie jego okrucieństwa i bezprawia. Powiedzieli nam: „no, już teraz będą prawdą reformy!”, a po chwili w sposób zupełnego gwałtu wydeportowali z miasta kilkanaście kobiet, wygnali na stepy azyatyckie wiele młodzieży, nachwytili na ulicy i po domach mnóstwo osób, jednym słowem zadali zaraz fałsz obietnicom swoim. Owszem, tak dalece się nie tają, że to co robią jest krótkotrwałą farsą, iż znany dobrze Kriżanowski, wyjeżdżając, rzekł: „niedługo to będzie tej folgi, bo gdyby tak było, to może jaki rewolucjonista podpisywałby paszporty. Rząd musi iść po staremu, a ja tu znów wrócę”. Piłsudzki i jego przyjaciel Niszniewski toż samo mówią i twierdzą, że jakby nam dzisiaj pozwolili nosić laski, to byśmy wkrótce z rewolwerami chodzili... Bezmyślny Lüders swojemi odezwaniami się utwierdzał nas także w przekonaniu, że owe nastąpić mające odmiany są tylko komedią niezręczną. Niema nic pewnego i szanowanego u najazdu, który nigdy nie zmienia swych zasad i systemu, a reformy rozumie przez zmianę osób. Nowe osoby mogą tak prędko wylecieć, jak dawniej będące. Pierwszy lepszy faworyt, gdy trafi pochlebstwem do przekonania cara, występuje na widownię, głosi odmiany, a stary stan rzeczy w niczem się nie zmienia. Niema żadnej gwarancyi, bo wszystko zależy od humoru cara. Któż więc może wierzyć, mając zdrowe zmysły, drukowanym i niedrukowanym obietnicom i różnym projektom? Żle grają swoją rolę ciemniźcyiele nasi i nie potrafią nawet nadać pozorów rzeczywistości swym odmianom i niby reformom. Oszustwo od początku do końca i nic nad oszu-

468 Lisicki, Kwartalnik historyczny, zeszyt IV, z 1894 r.

469 Nr. 12 z d. 2 lipca 1862 r.

stwo!". Zdawałoby się, że ciągle powtarzająca się ta sama taktyka prasy tajnej powinna była znudzić czytelników i wzbudzić ku sobie niewiarę.

Gdzie tam! piśmiennictwo tajne miało w sobie urok nieprzeparty dla ogromnej większości narodu i w słowa różnych „Strażnic”, „Pobudek”, „Szczerców” i t. p. wierzono jak w Ewangelię.

Wielopolski przybył z Petersburga razem z Krzywickim i Enochem i zajął mieszkanie w pałacu Brühlowskim, którego już do końca swych rządów nie opuszczał. W dwa dni po tym przyjeździe, d. 16 czerwca, nastąpiła uroczysta instalacja Krzywickiego na dyrektora Komisji wyznań i oświecenia. Wielopolski przy tej sposobności wygłosił mowę, pełną tych ciężkich, jakby z żelaza ukutych zwrotów, zawitych nadzwyczajnie, jakie mu były właściwe. Twierdził więc, że „ziszczenie reformy wychowania zupełne, przez mierne wykonanie tego prawa od nas teraz zależy”, że wykonie to „bez czczych pozorów i przewłok prowadzone będzie”, że „tą drogą sumiennie postępując, odpowiemy wszyscy wielkości zaufania, jakie najjaśniejszy pan swemi rozporządzeniami w rządzie krajowym położył; odpowiemy także oczekiwaniom dostojnego naszego namiestnika, brata cesarskiego, którego najlepsze dla kraju naszego chęci w osobistej z nim pracy poznać nie jedną miałem sposobność”; napomknął, że „panujący”, powołując go na naczelnika rządu cywilnego, „zarazem rozkazać raczył, aby był bezpośrednim zwierzchnikiem Komisji rządowych”. Wreszcie, wspominając o nowem prawie, dotyczącem oczynszowania z urzędu, „które tak ważne we względzie cywilizacji (?) dla kraju skutki rokuje”, zaznaczył, że w naradach brał udział obecny namiestnik Królestwa, że „w naradach tych, dla mnie pamiętnych, dostojny nasz namiestnik okazał głębokie i zdrowe ocenienie prawdziwych potrzeb kraju naszego, oraz życziwe dla nas usposobienie, które pod względem rządów jego w Królestwie w zawodzie także wychowania publicznego najpiękniejsze nadzieje rokują. Zająć się niezwłocznie wielkiem swoim powołaniem usilnie pragnie w. książę; przyjazd jego wśród nas, opóźniony dla familijnych tylko okoliczności, wkrótce nastąpi; do nas tymczasem należy praca we wszystkich gałęziach administracji, pod przewodnictwem czcigodnego jego zastępcy JW. hrabiego Lüdersa, przygotować dla niego drogę, aby zarówno oczekiwaniom namiestnika jako i dobrotliwym zamiarom monarchii naszego, oraz oczekiwaniom kraju odpowiedzieć”.

O wiele piękniejszą, głębszą i bardziej polityczną od tych ciężkich, niesfor- nie powiązanych zdań, była mowa Krzywickiego. Wyraziwszy zaszczyt, jaki go spotkał przez powołanie na przewodnika Komisji, bo „samo przez się jest już wielką chlubą być pierwszym sługą krajowej oświaty i pierwszym stróżem praw, pod których dobroczynną opieką stowarzyszenia religijne oddają cześć Stwórcy”, zwrócił się do swych przyszłych podwładnych z określeniem wiel-

kiego zadania, jakie ich czeka. „Piękne zaiste i obszerne pole otwiera się przed nami. Lecz, aby je godnie uprawiać, nie tylko pracy, potrzeba nadto i odwagi cywilnej; tej wielkiej cnoty, której Opatrzność wymaga po każdym prawym obywatelu, a tem bardziej po każdym, komu jest danem jakikolwiek urząd publiczny piastować. Tej od was panowie oczekuję, wymagać będę; bo bez niej nie zdołalibyśmy spełnić dobroczynnej woli naj. pana, aby światło było w kraju. Szlachetne umysły nagrodzą nas uznaniem; na okrzyki nierozważnych zważać nie będziemy. A światło w kraju być powinno i... będzie”⁴⁷⁰.

W kilka dni potem (d. 21 czerwca), Wielopolski instalując Łuszczewskiego, mianowanego dyrektorem wydziału przemysłu i kunsztów w Komisji spraw wewnętrznych, wspomniał kilku słowy o nowym dyrektorze głównym tejże Komisji. „Hr. Keller, mówił, mnie osobiście i z dobrej strony znany, wielkie zasady przez naj. pana co do włościan i co do żydów w nadanych ustawach, oraz co do uproszczenia i reformy administracji, uświęcone, ze mną w zupełności podziela i jedną drogą postępować będziemy”.

Wreszcie zapowiedział bliskie przybycie W. księcia Konstantego w tych słowach: „reformy, jakie przeprowadzić mamy, wymagają we wszystkich odnogach służby publicznej rąk czystych; prawość i zacność urzędnika są podstawą jego powagi. Nie inne są w tej mierze myśli dostojnego namiestnika królewskiego, którego przybycie wśród nas z dnia na dzień coraz goręcej dla Polski upragnione, pracą naszą poprzedzić mamy”.

W rzeczy zaś samej W. książę, jak wiemy, nie miał przybyć tak prędko. W depeszy z d. 8 czerwca do Lüdersa, cesarz zapowiadał, że nowy namiestnik nie zjedzie do Warszawy wcześniej jak za sześć tygodni, a zatem mniej więcej w połowie lipca, gdyż w tej porze spodziewano się rozwiązania ciężarnej żony Konstantego, nie chcąc jej narażać w takim stanie na trudy dalekiej podróży. Tymczasem zaszły w Warszawie wypadki, które przyspieszyły ten przyjazd i na całą sytuacją, przedstawiającą się tak jasno i pogodnie, rzuciły ponury cień grozy. Ten cień, tę grozę sytuacji stanowiła sprawa trzech nieszcześliwych młodzieńców: Arnholda, Śliwickiego i Rostkowskiego, osadzonych w cytadeli i oskarżonych o spisek wojskowy.

Sprawa ta ciągnęła się dość długo, a w Petersburgu nadzwyczajnie się nią interesowano i cesarz dnia 29 maja przez depeszę telegraficzną dopytywał się: „na czem skończyło się śledztwo?” Komisya wojenna, wyznaczona do prowadzenia indagacji, zaznaczając, że jakkolwiek przestępstwo „dokonane było przez niedorostków (malczikami), wszelako ze względu na utrzymanie dyscypliny w wojsku, musi podlegać najsurowszej karze, odpowiednio do praw wo-

470 Obie te mowy czytać można w całości w ówczesnych dziennikach warszawskich, oraz u Lisickiego, Al. Wielopolski II, 411 i nast.

jennych, obowiązujących w kraju”. Jakoż Lüders przez rozkaz do pierwszej armii z d. 17 czerwca, oddał wszystkich oskarżonych, w liczbie sześciu, pod sąd polowy, pod prezydencją generała Aleksiejewa zebrać się mający, z tem wszelako zastrzeżeniem, „żeby wyrok na nich wydany był na podstawie praw wojennych, a sam sąd ukończony w ciągu pięciu dni”⁴⁷¹.

Sąd też nie zwlekał długo i w oznaczonym terminie wydał wyrok, mocą którego porucznik Jan Arnhold, podporucznik Piotr Śliwicki 2-gi, podoficer Franciszek Rostkowski, skazani zostali na śmierć przez rozstrzelanie; porucznik Bazyli Kapliński na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do robót ciężkich na lat sześć; porucznik Stanisław Abramowicz na więzienie w kazamatach twierdzy przez trzy miesiące, a następnie dozór policyjny przez trzy lata; na koniec szeregowiec Leon Szczur na sześćset kijów⁴⁷², a następnie do ciężkich robót na lat dwa-
naście. Wyrok ten bardzo surowy, bardzo krwawy da się tylko wytłomaczyć, bo nigdy usprawiedliwić, ówczesnem położeniem politycznem Polski i Rosyi, tymi wichrami rewolucyjnymi, które przebiegały po obu tych krajach i ponure widmo trwogi budziły w rządzie. Generał Lüders wyrok zatwierdził d. 26 czerwca, i zaraz okrutny Bremsen, który miał za rok zyskać sobie sławę z rabunków i pastwienia się dzikiego nad powstańcami, bez żadnej potrzeby uwiadomił o tem skazanych⁴⁷³.

471 Teobald, Wospominania IV, 46.

472 N. Berg, Zapiski II, 273, powiada, że Szczur był skazany na 4000 kijów. Nie wiemy, na czem autor oparł tę wiadomość. W ogłoszeniu urzędowem wyroku, pomieszczonem w „Kuryerze wileńskim” i przedrukowanym w d. 15 lipca przez wszystkie dzienniki warszawskie, czytamy: „żołnierza Szczura... ukarać szpicróżgami przez stu ludzi sześć razy”.

473 Teobald, loc. cit. tak to opowiada: „d. 14 (26 czerwca 1862 r. członek naszej komisji śledczej, kapitan von Bremsen, uwiadomił pułkownika Miaskowskiego i mnie, że potrzebuje koniecznie widzieć się ze skazanymi. Jeszcze podczas śledztwa postanowiliśmy, że żaden z nas nie może sam jeden odwiedzać aresztowanych. Po ukończeniu sądu, prosiliśmy Lüdersa o pozwolenie, żeby Arnhold i Śliwicki siedzieli w jednej celi, czego obaj usilnie się domagali. Przypuszczając, że v. Bremsen ma coś oznajmić skazanym z rozkazu wodza głównego, pojechalśmy we trzech do cytadeli. Gdyśmy weszli do celi Arnholda i Śliwickiego, Bremsen rzekł: „panowie przygotujcie się! dowódca główny zatwierdził wasz wyrok śmierci. Dziś w nocy wywiozą was do twierdzy nowogrodzkiej (Modlina) i tam zostaniecie rozstrzelani”. Arnhold zbladł i ciężko padł na krzesło, a nerwowo Śliwicki gorzko zapłakał. „Zmiłuj się pan, rzekł, ja jestem jeszcze tak młody, ja chcę żyć! Błagam głównego dowódcę, by dał nam możność zatarcia naszej winy i zostania pożytecznymi synami ojczyzny!” Po wyjściu z celi, pułkownik Miaskowski spytał von Bremsena: „jakim prawem pan o tem powiedział skazanym? jeżeli taka jest wola dowódcy głównego, to dlaczego ja, prezes, nic o tem nie wiem?” — „Żadnych rozkazów od hrabiego nie otrzymałem! — odrzekł z uniesieniem Bremsen — zresztą pan już nie jesteś prezesem; ale dowiedziałem się, że hrabia dziś potwierdził wyrok śmierci i dlatego uważałem za powinność uprzedzić przestępców, żeby się oswoił z myślą o śmierci”. „I umierali przez kilka dni! — wtrąciłem oburzony — umierali śmiercią powolną, gdy każda chwila wyda-

Tegoż samego dnia, w nocy, z obawy, by w chwili wykonania wyroku żołnierze garnizonu warszawskiego nie wymówili posłuszeństwa⁴⁷⁴ wywieziono wszystkich skazańców do Modlina w zamkniętych omnibusach. Za nimi powiózł konfirmacją namiestnika generał deżurny Han i wyrok sam wykonał d. 28 czerwca⁴⁷⁵, w rowie twierdzy modlińskiej, przy pomocy batalionu pułku estońskiego piechoty. Oficerowie szli spokojnie i cicho na śmierć, jeden tylko podoficer Rostkowski głośno prosił batalion egzekucyjny, „by celowali dobrze, prosto w serce!”⁴⁷⁶. Śliwicki, otrzymawszy dwanaście kul, żył jeszcze; dobił go wystrzałem z pistoletu feldwebel⁴⁷⁷. Takie miał rozwiązanie ostateczne i krwawe ten ponury dramat, jeden z najposępniejszych w tej epoce. Śmierć trzech młodzińców była początkiem tej strasznej listy, która przez ciąg trzech przeszło lat ciągnie się jak nić purpurowa przez karty dziejowe tej doby i nadaje jej niezwykle posępny koloryt; była pierwszym aktem najtragiczniejszej zaiste tragedii.

Więści o aresztowaniu oficerów, o odkryciu spisku wojskowego, o śledztwie, sądzie i wyroku piorunem rozbiegały się po Warszawie, tak się niemi wszyscy interesowali. W sferach rewolucyjnych, w Komitecie, który przez Dąbrowskiego porozumiewał się z oficerami, aresztowanie Kaplińskiego i Abramowicza wywołało pewien popłoch, gdyż w razie najmniejszych z ich strony zeznań mogło spowodować nowe aresztowania, sięgnąć do rdzenia organizacji rewolucyjnej. Powoli jednak, gdy śledztwo, wlokąc się dość długo, nikogo więcej nie pociągało do zeznań, gdy się dowiedziano, że właściwie spisku żadnego nie było, a główni obwinieni: Arnhold i Śliwicki, prócz agitacji między żołnierzami, o niczem innem nie wiedzą, uspokojono się i oczekiwano z natężoną ciekawością wyroku w tej sprawie. W mieście zresztą, w opinii ogółu powszechnie było przekonanie, że aresztowani oficerowie będą uwolnieni, że karać ich poprostu niema za co⁴⁷⁸. W kołach zaś oficerskich, które to samo co Arnhold i Śliwicki robiły, które agitowały między żołnierzami, a nawet w związku z partią polską ruchu wchodziły, z niemniejszym niepokojem oczekiwano na wyrok. Przez aresztowanie

je się wiecznością. Jest to z pańskiej strony okrucieństwo!” Wróciłem do celi z Miaskowskim: „uspokójcie się panowie! — rzekłem do młodych ludzi. Wierzcie Bremsenowi tylko w połowie; wyrok wasz w rzeczy samej jest zatwierdzony i przewiozą was dziś do Nowogieregiewska; ale powiem wam pod największym sekretem, że dowódca główny rozkazał spełnić tylko nad wami obrządek kary śmierci, to jest wdziąć na was koszule śmiertelne, nawet przywiązać do słupa, a potem oznajmić o ulaskawieniu”. Miaskowski gorąco uściśnął mię za rękę”.

474 Loc. cit. 51.

475 Nie 26 czerwca, jak twierdzi Berg, Zapiski II, 273.

476 Teobald, loc. cit. 52.

477 Z. Kolumna, Pamiętka dla rodzin I, 10.

478 N. Berg, Zapiski II, 273.

zresztą kilku oficerów, agitacja wśród wojska wcale nie ustała. Na Lesznie policja w czasie procesy d. 26 czerwca znalazła podrzuconą odezwę, po rosyjsku pisaną, p. t. „Oficerowie rosyjscy do żołnierzy wojsk rosyjskich w Polsce”. Na małej ćwiartce bibulastego papieru, szczotką odbita, odezwa ta, odmalowawszy naprzód smutne położenie żołnierza rosyjskiego, powiada w końcu: „ojcowie i bracia wasi powstałi już przeciw cesarzowi i właścicielom ziemskim, domagając się słusznie dla siebie ziemi i swobody, wyciągają ku wam ręce, błagając o pomoc. Czyż będziecie obojętnymi widzami zguby wszystkich krewnych i bliźnich waszych? czyż mamy zasłużyć na słuszne ich przekleństwa? Nie, nie, utworzymy wolne drużyny i pójdziemy do Rosyi na pomoc naszym.

Wszystko, co będzie przeszkodą ku wypełnieniu tego obowiązku świętego, wszyscy okradający i uciemniający nas muszą zginąć; niech ich krew zmyje hańbę rzuconą na imię rosyjskie, przez przelanie krwi niewinnej włościan rosyjskich i Polaków, wylanęj z ich rozkazów. Polacy gotowi są do powstania, podobnie jak ojcowie wasi i bracia za swobodę swoją, za swoją ziemię. Wyciągają oni do was rękę pomocy, złączmy się z nimi i nic nie będzie w stanie nam się oprzeć. Nasze drużyny wolne, poparte przez ich przyjacielskie pułki, przejdą przez Rosyą z okrzykiem zwycięstwa i swobody. Nasze zwycięstwa dadzą swobodę i ziemię ojcom, braciom i dzieciom waszym i pozwolą wam wrócić na łono rodzin waszych. My, oficerowie wasi, gotowiśmy dać głowę za swoją i waszą wolność, za wolność narodu rosyjskiego i polskiego, poprowadzimy was przy pomocy Bożej na tę walkę świętą. Towarzysze! powiemy wam kiedy i co robić należy; czyż braknie wam odwagi pójścia za nami?”⁴⁷⁹. Współcześnie z tą odezwą zaszły nowe aresztowania oficerów w 6-ym batalionie strzeleckim. Dwaj podporucznicy Fenin i Reinharten zdołali zbiedz, trzeciego Monastyrskiego osadzono w cytadeli⁴⁸⁰. Wszystko to spowodowało, że wykonanie wyroku na Arnholdzie, Śliwickim i Rostkowskim przyspieszono, że go potajemnie spełniono w Modlinie, nie dowierzając wojskom konsystującym w Warszawie, a sam wyrok i jego wykonanie dopiero w lipcu i do tego w „Kuryerze wileńskim” ogłoszono.

W ogóle rząd miał przeświadczenie, że propaganda wśród wojska w samej Rosyi bardzo szerokie przybrała rozmiary, a pojedyncze fakta, ciągle oprócz wyżej wymienionych się pojawiające, zdawały się to przekonanie potwierdzać. W Warszawie, oficerowie szóstej brygady artylerji, stojącej obozem na Powązkach, porucznicy: Ogorodnikow, Daniłowicz i Zein, zamówili nabożeństwo żałobne za „sługi Boże: Jana i Piotra, wojowników, którzy na polu walki żywot swój poświęcili”.

Pop nabożeństwo odprawił, ale potem przyszło mu na myśl, że owym Janem był zapewne Arnhold, a Piotrem: Śliwicki, doniósł o wszystkim władzy.

479 Odezwę tę w oryginale pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 8.

480 Pawliszczew, Siedmicy II, 102.

Ogorodnikow i jego koledzy zostali przyaresztowani i kilkoletniem więzieniem w kazamatach cytadeli i Modlina winę swą odpokutować musieli⁴⁸¹. W piątym batalionie strzeleckim znowu, obozującym także na Powązkach, silne oburzenie wywołał nietaktowny postępek Chrulewa. W kilka dni po rozstrzelaniu trzech nieszczęśliwych marzycieli, na jakimś przeglądzie, Chrulew, zbliżywszy się do rzeczonoego batalionu, zawołał do żołnierzy: „wiera! (rebiata), jeżeli między waszymi oficerami znajdują się tacy nikczemnicy (podlecy) jak w czwartym batalionie strzeleckim, to rozkazuję wam wziąć ich na bagnety!”⁴⁸². Słowa takie, podrywające dyscyplinę w wojsku, świadczące zresztą jak różnorodne, nieomal szalone prądy przebiegały po szeregach, poczynawszy od generałów a skończywszy na żołnierzach, wywołały powszechne wśród oficerów oburzenie. Posypały się skargi zbiorowe na Chrulewa, co w żadnym razie przyczynić się nie mogło do uspokojenia umysłów. Żal po rozstrzelanych był powszechny, fotografie ich rozkupywano tak, że nakazano je niszczyć i zabroniono surowo ich kopiowania we wszystkich zakładach fotograficznych⁴⁸³. W Petersburgu oficerowie akademii sztabu jeneralnego zarządzili nabożeństwo za Arnholda i Śliwickiego w jednej z cerkwi dzielnicy miasta, zwanej „częścią Petersburską”, za co, gdy się wydało, dwudziestu kilku wydano⁴⁸⁴.

Wszystkie te fakta świadczyły, jak wielki, jak powszechny żal i oburzenie obudziła śmierć trzech nieszczęśliwych młodzieńców.

Oburzenie to na koniec znalazło wyraz w niespodziewanym, przez nikogo nieoczekiwanym zamachu na życie Lüdersa, zamachu, który wstrząsnął do głębi społeczeństwem polskim, który wywarł olbrzymie wrażenie w sferach rządzących w Petersburgu i na losy kraju nie pozostał bez wpływu. Zamachu tego dokonano w dniu 27 czerwca, w przeddzień rozstrzelania trzech ofiar w rowie twierdzy modlińskiej. W kole oficerskim warszawskim, gdy się dowiedziano o wyroku, skazującym na śmierć Arnholda, Śliwickiego i Rostkowskiego, gdy rozeszła się wieść, że trzech skazańców przewieziono do Modlina, obudziła się chęć zemsty. Wśród tego koła znajdował się, znany nam już, Andrzej Potebnia, sztabskapitan i kwatermistrz pułku kostromskiego piechoty, konsystującego w Warszawie. Wiemy już, że był on w stosunkach z Komitetem miejskim, że był na owej naradzie, na której Giller pytał się oficerów, czy powstanie może liczyć na współudział wojska. Był to człowiek nadzwyczaj zimny, charakteru zaciętego, surowy i niezachwiany. W takiej duszy, gdy raz obudzi się oburzenie, to oburzenie to musi z natury rze-

481 Ogorodnikow opisał później swe więzienie w „Istoriczeskim Wiestniku” z r. 1882 p. t. „Dziennik więźnia” (Dniownik zakliczennago).

482 Teobald loc. cit. IV, 52.

483 Z. Kolumna, Pamiątka I, 10.

484 Ferdynand W., Pamiętniki (rękopism).

czy przybrać formę zemsty i zemsty krwawej. Jakoż Potebnia postanowił zabić Lüdersa. Z zamiarem swoim zwierzył się tylko dwom ludziom w Warszawie: Jarosławowi Dąbrowskiemu i Ferdynandowi W⁷³⁰⁴⁸⁵, którzy zresztą nie starali się wcale powstrzymać go od tego kroku⁴⁸⁶.

485 Loc. cit.

486 Wiadomość podana przez Ustimowicza, (Zagowory, 9), jakoby zamach na Lüdersa urządził Chmieliński, a dokonał go Rodowicz (za którym podaniem poszedł Berg II, 278), lub Bor-elowski, albo wreszcie Oksiński, jest pozbawiona prawdy. Oksiński był wtedy w szkole wojskowej w Cuneo. Nasza relacja jest oparta na autentycznych danych. Że historycy rosyjscy umyślnie tę rzecz zagmatwali, zwalając zamach na polskie stronnictwo ruchu, dowodzi ta okoliczność, że ówczesne władze rosyjskie w Warszawie nie pozbawione były pewnych danych co do istotnego sprawcy zamachu. Pawliszczew (Siedmicy I, 107 i 108) w swym tygodniowym raporcie, składanym cesarzowi, podaje jeszcze jakiegoś Kowalskiego, jako podejrzanego o ten zamach i dodaje, że „pokazało się, że dwaj oficerowie pułku szlisselburskiego piechoty: podporucznik Zakrewski i podchorąży (praporszczyk) Dmuchowski, aresztowani, jako znajomi Kowalskiego, nie mieli żadnego udziału w sprawie; trzeci zaś podchorąży Wyszemirski, jako właściciel pistoletu (?), siedzi w cytadeli; czwarty zaś podchorąży (?) Potebnia, który między innymi skompromitował się roztrwonieniem pieniędzy skarbowych, zdołał zbiedz”. Na innym miejscu donosi, że „Kowalski się nie przyznaje”, po czym więcej tej sprawy wcale nie porusza. Bądź co bądź, przytoczenie nazwiska Potebni jest pośrednim dowodem prawdziwości naszych poszukiwań. W interesie rządu leżało, ażeby zamach zważyć na partię polską ruchu i rzecz całą jak najprędzej zamazać. Podanie o pistolecie, z którego niby miano strzelać do Lüdersa, a której to broni właścicielem był jakiś Wyszemirski, wydaje nam się fałszywym, gdyż strzelający pistolet ze sobą zabrał. W każdym razie i ten fakt dowodzi, że rząd natrafił na ślad prawdziwy i, z obawy odkrycia przed światem dezorganizacji swej armii, rzecz całą starannie ukrył. Oczywiście w swej pracy „Posledniaja polskaja smuta” (Russkaja Starina XII, 142 z r. 1875) niekiedy dobrze poinformowany, zwłaszcza w rzeczach wojskowych, daje niejako poznać, że zamachu dokonał oficer, przez to, że pisząc o zatwierdzeniu przez Lüdersa wyroku w d. 26 czerwca, zaraz potem dodaje: „nazajutrz d. 27 czerwca... wymierzony był strzał”. Zestawienie jest tak zrobione, że najmniejszej nie pozostawia w umyśle czytelnika wątpliwości, iż sprawcą zamachu był wojskowy. W tekście przytoczymy jeszcze inne dowody. Że pisarze rosyjscy starali się dla honoru swej armii rzecz zaciemnić i zagmatwać, jest to bardzo naturalnem, ale trudno pojąć, jakie powody skłoniły pana Henryka Lisickiego do zwalania zamachu na Polaków. Píše on o tem wyraźnie w swem dziele (Al. Wielopolski I, 336), i jako przyczynę podaje, że „zamach na generała Lüdersa miał na celu przyjazd W. księcia i zmiany systemu nie dopuścić; pomylił jednak rachuby spiskowców (tak!) dostojny książę”. Na dowód tego swego, zaiste! bardzo ryzykownego twierdzenia, pan Lisicki przytacza taką, Bóg wie, skąd zaczerpniętą anegdotę, że „na początku miesiąca generał Lüders odebrał anonim, w którym „le chef de la société du sauvtage (sic)”, groził rozpoczęciem wojny: „préparez vous donc sublime gouverneur á passer le Styx”. „Mordercy (mówi dalej pan Lisicki) nie ujęto; agitacja starała się winę zamachu złożyć na zemstę wojskowych, za podpisanie wyroków śmierci”. W całym tem twierdzeniu, co krok to fałsz. Chmieliński, bo on jeden tylko obawiał się przyjazdu W. księcia Konstantego i reakcji, jakoby stąd powstać mającej, nie umiał wcale po francusku, był człowiekiem bardzo mało wykształconym i listów takich pisać nie mógł. Przytem w owe czasy niełatwo było, przy zamknięciu poczty miejskiej, przysyłać listy anonimowe do namiestnika. Jeżeli w istocie Lüders otrzymał taki list

Do kroku tego, jeżeli wierzyć można doniesieniom pisarzy rosyjskich, zmuszała Potebnię niejako i ta okoliczność, że jako kwatermistrz pułkowy po-

(bo pan Lisicki nie zwykł cytować źródeł swych wiadomości), to mógł on wyjść tylko z grona wojskowych, którzy mieli przystęp do Zamku, a francuzczyzna nieco petersburska zdaje się za tem przemawiać. Tak zwana przez pana Lisickiego „agitacya”, wcale nie zwałała winy zamachu na wojskowych, gdyż sama zdumiona była tym zamachem i owszem przez ambicję, przyznać trzeba, dość osobliwszą, przyjmowała go chętnie na swe sumienie. Owe podania o Rodowiczu, Borelowskim, Oksińskim, Kowalskim, wreszcie Pintowskim (słyszeliśmy to nazwisko od jednego z członków ówczesnego Komitetu Centralnego) i Cieleckim, o którym mówi Pawliszczew, zebrane z ust więźniów w cytadeli przez Ustimowicza, świadczą wyraźnie, że ówczesna organizacya przekonana była, iż zamach wyszedł z jej łona, i że wcale nie myślała go zwać na wojskowych. Gdyby wreszcie ktoś z agitacyi zamachu dokonał, to rzecz ta mogła się ukryć przez rok, dwa, dziesięć wreszcie, ale nigdy dłużej. Dziś nikt by nie miał powodu ukrywać nazwiska sprawcy; ten i ów wygadałby się, bo przecież niepodobna przypuszczać, by nikt, absolutnie nikt, o sprawcy zamachu nie wiedział. W cytadeli Rożnow i osławiony Tuchołka umiał wyciągać zeznania, byłby i to wyciągnął, a jeżeli jest inaczej, to najlepszy dowód, że strzał padł nie z ręki polskiej. Nasze twierdzenie co do Potebni opieramy na dokumencie piśmiennym człowieka, który odgrywał bardzo wybitną rolę wśród ówczesnych oficerów rosyjskich, i o wielu rzeczach wiedział, człowieka, o którego wiarygodności nie wątpimy; opieramy się dalej na pośrednich relacyach Pawliszczewa i Oczewidca, o czem wyżej już mówiliśmy. Jeżeli tu o tem wszystkim piszemy, to nie dlatego, by stawać w obronie agitacyi polskiej (jeden zamach więcej czy mniej na jej sumieniu nic nie zaważy), ale w obronie prawdy historycznej, o której pan Lisicki ma niekiedy bardzo osobliwe pojęcia.

Z tych też samych powodów musimy tu zaprzeczyć jak najkategoryczniej kłamliwej od początku do końca relacyi Ustimowicza. Twierdzi on, na podstawie zeznań więźniów w cytadeli (Zagowory 10), jakoby „przed tym zamachem, Paweł Landowski b. student akademii medyko-chirurgicznej warszawskiej, wyniesiony potem przez rząd (narodowy) na naczelnika żandarmów sztyletników rewolucyjnych i zarządzający prawie wszystkie morderstwa i zamachy w Warszawie, a na koniec dowodzący bandą konną pod nazwiskiem „Kosy”, usiłował otruć hr. Lüdersa. Myślał o tem także Chmieleński ze swymi stronnikami, ale po długich, bezowocnych usiłowaniach, urządził wzmiankowany zamach”. Co się tyczy owego otrucia „to Landowski wziął go na siebie; w tym celu chodził krok za krokiem za hr. Lüdersem, który pił wówczas wody mineralne w ogrodzie Saskim. W kursalu (wokzale) wód mineralnych, Landowski, jako człowiek dobrze wychowany i elegancko ubrany, zawsze starał się usiąść przy tym samym stole, przy którym siadał namiestnik. Mając na ręce prawej umyślnie przyrządzoną rękawiczkę z pęcherzykiem, który służył za rezerwuar dla trucizny, wyciągał rękę, jakoby po swoją szklankę w chwili gdy namiestnik patrzył gdzieindziej i za pomocą naciskania rękawiczki, wyrzucał z pęcherzyka truciznę „brucynę” przez rurkę do szklanki hr. Lüdersa. W końcu, gdy ani tym sposobem, ani strzałem nie mogli zabić hrabiego, który wkrótce wyjechał do wód mineralnych zagranicę, Landowski wyjechał także za nim w zamiarze otrucia go tam sposobem opisanym”. Opowiadanie to dowodzi, jakie banialuki pletli więźniowie w cytadeli, i jak dalece ograniczeni umysłowo byli sędziowie wierzący temu i wreszcie jak smutne świadectwo daje o swym rozsądku autor, powtarzający te bajki. Najzabawniejszym jest ów wyjazd Landowskiego za Lüdersem, żeby go koniecznie otruć, ale pytamy na co? Co komu w Polsce mogło zależeć na śmierci Lüdersa, od chwili gdy opuścił namiestnictwo?

siadał w swem zawiadywaniu kasę pułkową, podobno roztrwonił z niej około 10.000 rs. i nie mając czem zapłacić, zdecydowany był uciekać.

Sam zamach zresztą nadzwyczaj łatwo było wykonać. Lüders od niejakiego czasu, korzystając z prześlicznej pory letniej, pił wody mineralne w Ogrodzie Saskim, dokąd codziennie wczesnym rankiem się udawał. Wprawdzie miał on przepyszny ogród przy pałacyku Belwederskim, gdzie namiestnicy w lecie mieszkali i gdzie właściwiej i bezpieczniej byłoby pić owe wody, ale jako namiętny wielbiciel kobiet, wołał wybrać ogród Saski, w którym mnóstwo pięknych Warszawianek miało zwyczaj odbywania spaceru rannego i wsluchiwania się w muzykę, grającą dla leczących się wodami i Lüders mógł tym pięknościami przypatrywać się do woli. Z tego też powodu zapewne nie lubił on, by adytanci mu towarzyszyli i by policja go okrążała⁴⁸⁷, nie chciał bowiem, by podwładni obserwowali jego nieme zachwyty dla Polek.

Owego, tak fatalnego dla namiestnika, dnia 27 czerwca, mały ogródek, znajdujący się od strony ulicy Granicznej, w którym mieści się kursal, przepełniony był publicznością. Lüders przybył o godzinie w pół do ósmej, sam jeden i z rękami w tyle założonemi, dość mrocznie usposobiony, począł przechadzać się po ogródku, gdy nagle, o godzinie 8-ej usłyszał znany sobie dobrze trzask odwodzonego kurka i zaraz potem rozległ się strzał. Kula trafiła w kark, przedostała się do ust, uszkodziła język i szczękę, wybiła dwa zęby i wyleciawszy, zraniła w ramię w pobliżu stojącą jakąś kobietę. Raniony upadł na ziemię, wołając: „nikczemnik (podlec), strzelał z tyłu!” i zaraz ręką nacisnął ranę i w tejże chwili się podniósł⁴⁸⁸. Wśród publiczności na odgłos strzału i na widok upadku namiestnika, na którego, jak zwykle bywa, wszyscy mieli zwrócone oczy, zrobił się po płoch i zamieszanie. Wiele osób rzuciło się ku ranionemu i temu zapewne zawdzięczać należy, że Potebnia, przebrany po cywilnemu, spokojnie, z dymiącym się jeszcze pistoletem⁴⁸⁹, skierował się ku kawiarni, z której było wyjście na ulicę Graniczną⁴⁹⁰, przeszedł kawiarnię zwykłym krokiem i w ulicy rzeczzonej zniknął. Lüders wsparty na kapitanie Fedorence, adytancie artyleryjskim, przeszedł

487 Oczewidziec, Posledniaja polskaja smuta („Russ. Starina” XIII, 143), N. Berg, Zapiski II, 274.

488 N. Berg loc. cit. Oczewidziec loc. cit.

489 Nie rewolwerem, jak utrzymuje Berg II, 278.

490 N. Berg, loc. cit. Lubi on niekiedy rzucić insynuacje, na niczem nie oparte. Twierdzi, że wyjście to zwykle było zamknięte, ale dnia owego było otwarte, „z rozkazu władz tajnych”. Jest to fałszem; w owym czasie wejście to zawsze było otwarte i nikt nie wiedział o żadnych rozkazach władz tajnych. Niemniej należy tu sprostować dramatyczne opowiadanie Oczewidca, który twierdzi, że „gdy wszyscy rzucili się ku ranionemu, bohater siedmiogrodzki (Lüders) nie przyjął od nikogo pomocy; jak lew raniony przeszedł sam jeden ogród Saski” i t. d. Otóż rzeczy się nie tak miały. Lüders nie szedł sam, ale w towarzystwie oficera Fedorenki, jak pisze Berg i jak potwierdza Pawliszczew, Siedmicy I, 100.

przez cały ogród Saski krokiem spokojnym, naciskając wciąż ręką ranę, z której przez palce krew ciekła i strugami plamiła jego mundur.

Za nim w milczeniu i przerażeniu cisnął się tłum ciekawych. Tak dostał się do mieszkania Chrulewa na placu Saskim (gdzie później był klub myśliwski), gdzie mu zrobiono pierwszy opatrunek i skąd w powozie udał się do siebie do Zamku. Ale ponieważ rana dokuczała mu nadzwyczajnie, więc wezwano depeszą telegraficzną doktora Langenbeka z Berlina, który przybył i w asystencji najlepszych chirurgów warszawskich zrobił operację, a właściwie wyjął dwa zęby, za którymi materya się zbierała, i znaczną ulgę przyniósł choremu. Zapłacono mu za to 500 dukatów. Rana zresztą nie była niebezpieczną, choć Lüders cierpiał na nią przeszło rok i dopiero ostatecznie Nelaton, słynny chirurg francuski, wyleczył go z niej w Paryżu⁴⁹¹.

Tymczasem Potebnia szczęśliwie wydostał się na ulicę Graniczną, przez nikogo nie zatrzymywany. Wprawdzie puścił się za nim w pogoń oficer kozacki, nazwiskiem Manockow, ale zrobił to dość późno, tak, że gdy wybiegł na ulicę Graniczną, śladu już nawet Potebni nie było⁴⁹². Ten tego samego jeszcze dnia zobaczył się z Dąbrowskim i W^{***}, opowiedział im szczegóły zamachu, chwalił obecnych w ogrodzie oficerów, którzy, niepodobna żeby go nie widzieli i nie poznali, a jednak udali, że nic nie spostrzegają i zakończył słowami, mówiąc o Lüdersie: „ja mu wsadziłem w łeb Arnholda i Śliwickiego!”⁴⁹³. Zdaje się, że tegoż jeszcze dnia wyjechał z Warszawy i udał się do Londynu do Hercena, skąd w kilka miesięcy potem zjawił się w szeregach powstania zbrojnego i poległ na czele kosynierów pod Pieskową Skałą.

Wiść o zamachu rozbiegła się błyskawicą po Warszawie i wywarła nadzwyczajne na wszystkich wrażenie.

Kto dokonał zamachu, nikt nie wiedział i wiedzieć nie mógł, gdyż Potebnia sam tę myśl powziął, a w interesie Dąbrowskiego i W^{***} leżało zachowanie jak najgłębszej tajemnicy. Wszelako wszyscy sądzili i nikt nie wątpił, wskutek bardzo prostej logiki, że zamach wyszedł z łona Czerwieńców warszawskich, a przekonanie to było tak powszechnem, że nawet znalazło odgłos w prasie publicznej. „Gazeta warszawska”, donosząc nazajutrz o „niecnym”, jak go nazywa, zamachu, wystąpiła z artykułem potępiającym. „Wypadku tego, pisała gazeta, niepodobna nam pominąć milczeniem. W imię sumienia, w imię honoru narodu polskiego, w imię całej ludności Warszawy, musimy

491 N. Berg, *Zapiski* II, 274.

492 Loc. cit. 278. Berg powiada, że koledzy Manockowa nie mogli darować mu tej „nieroztropności”, tak, że biedak z rozpaczny poszedł do powstania i zginął w niem. Podanie to jest jednym więcej dowodem, że zamach nie wyszedł z kół rewolucyjnych polskich.

493 Ferdynand W. *Pamiętniki* (rękopism).

wypowiedzieć najbardziej stanowcze potępienie. Ręce uczciwe nie kalają się morderstwem; nie leży ono w naszym charakterze, ani w dziejach naszych go nie spotykamy. Oświadczenie to tem konieczniejszym się zdaje, iż nie braknie nieprzyjaciół, którzy zechcą dopatrywać solidarności pomiędzy nami a zbrodnią wczoraj spełnioną. Słowa te piszemy nie w naszym tylko imieniu, lecz w imieniu tysięcy. Byliśmy na miejscu, mówiliśmy z mnóstwem znanych i nieznanym, staraliśmy się ściągnąć zewsząd jak najwięcej objaśnień, wszędzie spotykaliśmy tylko oburzenie⁴⁹⁴. Artykułu tego, dowodzącego jak błędne miano wiadomości co do źródła zamachu, długo potem Czerwieńcy warszawscy nie mogli zapomnieć Józefowi Kenigowi, ówczesnemu redaktorowi „Gazety warszawskiej” i przy każdej sposobności obrzucali go obelgami i oskarżeniami⁴⁹⁵.

Silniej i wyraźniej zaakcentował swe oburzenie na zamach Wielopolski, zaraz nazajutrz, na posiedzeniu Ogólnego zebrania Rady stanu. „Przychodzi mi rozpocząć, rzekł, od wynurzenia żalości, którą wszyscy ze mną podzielacie z powodu opłakanego wczorajszego wypadku; mówię tu o zbrodni niesłychanej i bez przykładu na ziemi naszej, o zamachu na osobę zastępcy naszego monarchy”. Zaraz zaś po posiedzeniu na czele wszystkich członków Rady, udał się do Lüdersa „na znak ubolewania nad niecnym zamachem, popełnionym na jego osobie”, jak się wyraził dziennik urzędowy. W Zamku oczekiwano także deputacyi od Rady miejskiej, ale ta wcale się nie zjawiała, dając tem niejako dowód, że nie żywi oburzenia na sprawcę zamachu⁴⁹⁶. Może ojcowie miasta ulegali osobistemu usposobieniu, a może, co jest prawdopodobniejszym, lękali się opinii zrewolucjonizowanego miasta, czerwonej młodzieży i niemłodzieży. Obiegał wówczas numer⁴⁹⁷ „Strażnicy”, w którym opinia ta co do spisku i zamachu na Lüdersa wypowiedziana była bez ogródki. „Wiadome jest wszystkim, pisała „Strażnica”, niecne morderstwo, dokonane w Modlinie z rozkazu Lüdersa na Arnholdzie, Śliwickim i Rostkowskim, jak niemniej dzikie i barbarzyńskie zabicie kijami Szczura. Z odwagą pierwszych chrześci-

494 „Gazeta warszawska” Nr. 145 z r. 1862.

495 Tajne czasopismo „Ruch”, które poczęło wychodzić w lipcu 1862 r. w pierwszym swoim numerze tak się odzywa o Kenigu: „Pan Kenig, redaktor „Gazety warszawskiej”, z okazji zamachu na Lüdersa, w ohydny sposób wyraził swoje moskiewskie tendencje. Naród stanowczo potępił tego człowieka, który nie ma nic do powiedzenia przeciw mordom na nas dokonywanym, a karę, jaką otrzymują wrogi, eksploatuje przeciw narodowi”. Zarzut niesłuszny, boć przecie wiadomem było, że cenzura nie pozwalała nic mówić „o mordach na nas dokonywanych”, ale może w takim razie nie należało także występować z potępieniem zamachu.

496 Pawliszczew, Siedmicy I, 101.

497 Nr. 13 z d. 7 lipca 1862 r.

jan i niezłomną wiarą w przyszłość ponieśli oni swe życie za świętą sprawę, a Rostkowski dał jeszcze świadectwo swego poświęcenia, mówiąc, że jest najmocniej przekonany, że śmierć ich męczeńska nie przejdzie bez pożytku dla wolności. Cześć wieczna ich pamięci! Prawie jednocześnie z tym morderstwem, wyniesiony na carskie namiestnictwo zbrodniarz Lüders ciężko z ręki nieznanego został ranny, jakby dotknięty widoczną przestrogą dla tyranów, jakby ukarany cierpliwą sprawiedliwością niebios. W zdarzeniu tem wszyscy tylko palec Boży upatrywali, i nikt, zgola nikt, najmniejszego współczucia dla rannego satrapy nie okazał!"

Przez jeden z tych dziwnych, a tak częstych fenomenów, które sprawiają, że wieść interesująca ogół rozchodzi się, rzecz można, z błyskawiczną szybkością po znacznych przestrzeniach, wiadomość o zamachu tegoż jeszcze dnia, w parę zaledwie godzin, dobiegła w formach niejasnych i mętnych do Petersburga. Zrobiła ona na cesarzu bardzo silne wrażenie i musiała mieć zapewne kształty mocno przesadzone, kiedy wysłał do Merchelewicza do Warszawy depeszę, mówiącą wyraźnie o wewnętrznym niepokoju. „Donieś natychmiast, pisał cesarz, co się stało z hr. Lüdersem i co się dzieje w mieście i Królestwie?”⁴⁹⁸. Przypuszczać należy, że pierwotne wieści mówiły może o powstaniu, może o rokoszu w wojsku. Autentyczną wiadomość o stanie rzeczy otrzymał cesarz dopiero wieczorem tegoż dnia w czasie obiadu⁴⁹⁹, i oczywiście musiał się znacznie uspokoić. Rzeczy nie były ani tak groźne, ani tak niebezpieczne, jak pierwotnie sądzono; jednakże obawa była do pewnego stopnia usprawiedliwioną ówczesnym przebiegiem wypadków i okoliczności. Już nazajutrz cesarz telegrafował do Lüdersa, że jest „nadzwyczajnie zmartwiony jego raną”, życzył mu, by prędko przyszedł do zdrowia i żeby codzień donosił o jego stanie. Pytał się wreszcie, bo widocznie tego mu jeszcze nie zaraportowano, „czy złoczyńca został schwytany i co on za jeden?”⁵⁰⁰. W ogóle zamach dla Arnhollda, Śliwickiego i Rostkowskiego był fatalnym, gdyż Lüders podobno nosił się z myślą ich ułaskawienia⁵⁰¹, a po zamachu i na skutek rozkazów z Petersburga kazał ich natychmiast rozstrzelać⁵⁰².

Wielopolski, lękając się nie bez słuszności, by zamach nie wywołał zbyt wielkich obaw w Petersburgu, oraz by choroba Lüdersa nie spowodowała

498 „Russkaja Starina” XXXVII, 646 z r. 1883. Depesza w oryginale brzmi: „Gen. ad. Merchelewiczu w Warszawie. 15 Junia (27 czerwca). Doniesti niemiedlienno czto słucziloś z grafom Lüdersom i czto diełajetsia w gorodie i w carstwie. Aleksander”.

499 N. Berg, Zapiski II, 275.

500 Depesza z d. 16 (28) czerwca, loc. cit.

501 Ferdynand W. Pamiętniki (rękopism).

502 Jeden więcej dowód, że zamachu dokonał oficer rosyjski, i że władze wojskowe warszawskie wiedziały o tem.

bezkrolewia w Warszawie, a stąd powstrzymania rozwoju nadanych instytucji, wystosował do w. księcia Konstantego list z prośbą o przyspieszenie swego przybycia do stolicy polskiej⁵⁰³. Na szczęście w Petersburgu nieuniknione przerażenie tym wypadkiem wywołało całkiem odmienny skutek od tego, jakiego się lękał margrabia. Tegoż samego dnia 27 czerwca, w piątek wieczorem, zapadło postanowienie, że namiestnik wyjedzie do Warszawy we wtorek, dnia 1 lipca, rano⁵⁰⁴. List Wielopolskiego skrzyżował się w drodze z telegramem w. księcia, który donosił margrabiemu o tem postanowieniu. W odpowiedzi na list margrabiego, który już nie zastał Konstantego w Petersburgu, pisał minister Gorczakow: „życzenia twoje, kochany margrabio, zostały natychmiast spełnione. Jego cesarska wysokość w. książę jest śród was, a jej ces. wysokość wielka księżna, pomimo ciąży bardzo posuniętej, pragnęła towarzyszyć swemu dostojnemu małżonkowi; rodzina cesarska rosyjska nie ma lękliwej ostrożności. Nie oskarżamy wcale narodu o zbrodnię, która splamiła Warszawę. Wobec tej zbrodni, widzę stąd, jak się podnosisz do wyżyn twej energii. *Sic ilur ad astra*, mój kochany margrabio. W tym bękarcim wieku zapewniłeś sobie piękną kartę w historii; w moich latach będę musiał prawdopodobnie zostawić mym następcom przyjemność jej odczytania”⁵⁰⁵.

Współcześnie Gorczakow, donosząc o tem ambasadorom rosyjskim przy dworach zagranicznych, pisał: „przybycie do Warszawy jego cesarskiej wysokości wielkiego księcia Konstantego, który wyjechał natychmiast po wiadomości o zamachu, będzie żywym dowodem stałego postanowienia rządu wytrwania w systemie łagodności i niewzruszoności; świadczyć ono będzie, że odosobnione zbrodnie nie powstrzymają władzy na drodze, którą uznała za odpowiednią potrzebom kraju”⁵⁰⁶.

Przybywał więc do Warszawy ten książę, brat cesarski, by odegrać w niej rolę jedną z najosobliwszych zaiste, w tych w ogóle bardzo osobliwych czasach. Urodzony w 1827 roku, był więc w pełni męskiej młodości; ulubione niegdyś dziecię matki, która lękała się zawsze, by jego zdrowie, zbyt delikatne za młodu, nie padło ofiarą wygórowanej, żołnierskiej surowości wychowania. Może też wskutek tej surowości wątłe jego ciało nie rozwinęło się nigdy do tej majestatycznej siły i wysokości, jaką się odznaczają członkowie panującego domu rosyjskiego; był zawsze szczupły, wysmukły i blady, i mało zachował w swych rysach tej dumnej piękności, jaka była udziałem jego stryja, ojca i brata starszego. Uderzał tylko każdego, kto go widział, niezwykle chłodny,

503 Lisicki, Le marquis II, 31S.

504 Russkij Archiw z r. 1873, str. 1346, notatka samego w. ks. Konstantego.

505 Lisicki, Le marquis II, 319.

506 Loc. cit.

zawsze spokojny wyraz twarzy, nie zdradzający nigdy uczuć wewnętrznych, oraz nadzwyczaj bystry i przenikliwy wyraz oczów. Na wielkich przyjęciach dworskich, na balach i zebraniach uważano, że zawsze lubi przechadzać się samotnie tu i tam po salach, i z monoklem na oku przeglądając zebranych i stółem, zimnem wejrzeniem swoim sięgać niejako do głębi ich duszy. W postawie niskiej i chłodnej przypominał wielkiego, wyziębionego pana, ale nie dziecię zrodzone na tronie świata połowicy. Pomimo swej wątłej organizacji, dzięki może surowemu wychowaniu domowemu, był on zahartowany mocno, cieszył się zawsze dobrem zdrowiem i namiętnie lubiał się oddawać ćwiczeniom fizycznym. Był wybornym gimnastykiem i lepszym jeszcze pływakiem. Ta namiętność do sportu fizycznego, o mało go raz życia nie pozbawiła w zatoce fińskiej, w pobliżu Kronsztadu, gdzie płynąc, stałby się pastwą fal, gdyby go żołnierz jakiś nie wyratował.

Towarzysz jego i przyjaciel Orłów dlatego, że się nie na tronie urodził i że żołnierz ów uznał za stosowne wprzód ratować syna cesarskiego, zginął wówczas w rozhukanych falach wiecznie burzliwej zatoki.

Jeżeli wszakże strona jego fizyczna niczem nie zdradzała pochodzenia cesarskiego, za to pod względem inteligencji przewyższał niezaprzeczenie wszystkich swych krewnych wcześniejszych i późniejszych, nie mówiąc już nic o współczesnych mu rodzonych i nierodzonych braciach. Szczodrze obdarzony przez naturę głową bardzo otwartą i pojęciem bardzo lotnem, był na tyle szczęśliwy, że znalazł w młodości nauczycieli, którzy te dary przyrodzenia umieli w nim rozwinąć i uprawić odpowiednio. Głośny poeta rosyjski, romantyk, twórca ballad, które były nie bez wpływu i na naszą literaturę, później już nieco konwencyonalny rymopis, Żukowski, był jednym z tych nauczycieli. Może to on wpłynął na rozwinięcie w młodzieńcu, w przyszłym wielkorządcy polskim, tych marzeń, tych snów złudnych i zwodniczych, jakie go nawiedzały w starym Zamku warszawskim, w obliczu koroną nakrytych orłów Zygmunto-wskich... Wytworny znawca sztuki, zwłaszcza malarstwa, chętnie w swych podróżach zwiedzał galerie obrazów i długie godziny przepędzał przed dziełami mistrzów.

Nauk ścisłych, umiejętności logicznego rozumowania, nauczył go Niemiec, Kollin nazwiskiem, akademik i dyrektor szkoły luterskiej w Petersburgu, noszącej miano św. Piotra (S. Petrischule). Ci, co znali Kollina, zaręczają, że był to nie tylko dobry matematyk, ale bystry także myśliciel, człowiek wielkiego taktu, pełen trafnego dowcipu, którym umiał najsurowsze, najostrzejsze charakter trzymać na wodzy i ścierać ich ostre kanty. Do urobienia więc duszy Konstantego, przyczynić się miał bardzo wiele. W charakterze bowiem tego wnuka Pawłowego leżała pewna dzikość i barbarzyńska surowość, odziedzi-

czona prawem atawizmu po owym strasznym imperatorze Pawle i na pół szalonym Konstantym Pawłowiczu. Zatarcie zupełne tej dzikości, wykorzenie tej pierwotnej, barbarzyńskiej surowości, zawdzięczał podobno w książę wyłącznie dyrektorowi szkoły luterskiej. Na koniec w tej grupie nauczycieli, którzy urabiali duszę i serce przyszłego wicekróla polskiego, wymienić należy drugiego Niemca, Grimma, który wykładał mu historią ludów i państw, w podróżach mu towarzyszył i wielki wpływ na wykształcenie jego umysłowe wywarł. On to obudził w duszy syna imperatorskiego to zamiłowanie, jakim się zawsze odznaczał, do muzyki, którą kochał, którą słodził sobie nieraz smutne, szare godziny pobytu w Warszawie. W ogóle wychowanie to miało przeważnie charakter niemiecki, ale zarazem wysoce cywilizacyjny i gruntowny, co jest rzeczą bardzo rzadką u wszystkich synów monarszych, a zwłaszcza u synów cesarskich rosyjskich. Matematyka rozwinęła bystrość jego umysłu, historia z niemieckim, szerokim poglądem na dzieje świata wykładana, przekonała go o zmienności rzeczy ludzkich i ludzkiej wielkości, a niezwykła łatwość, jaką okazywał w nauce obcych języków, dała mu sposobność poznania u źródła wybitniejsze dzieła literatury europejskiej i ułatwiła stosunki z cudzoziemcami. Wykształcenie to zaostriżyło w nim zmysł obserwacyjny, dało mu możność bliższego poznania życia, tak własnego narodu jak i innych ludów, co uzupełnił przez liczne, nieraz bardzo dalekie podróże, którym z pewną namiętnością się oddawał, jak gdyby chciał się wydobyć z dusznej atmosfery dworu petersburskiego i odetchnąć świeżem powietrzem szerokiego świata.

Ożeniony z księżniczką niemiecką, z ubogiego domu Altenburskiego, której, zwyczajem rosyjskim, nadano imię Aleksandry Józefówny, do której ze słodkim, łagodnym uczuciem był przywiązany, znalazł to szczęście domowe, jakiego rzadko doznają wielcy tego świata, i które, wbrew obyczajom swej rodziny monarszej, umiał uszanować przez życie czyste i mieszczańsko wierne. Rad był nawet, jakby przez kontrast z tem, co się działo na dworze petersburskim, przy każdej sposobności okazywać tę swoją surową moralność, tę cnotę małżeńską. Gdy później, po wojnie krymskiej, w dobie platonicznej przyjaźni z Francją, znalazł się pewnego dnia na pysznym, pełnym zbytku i pięknych kobiet, balu, wydanym dla niego w Tuileryach przez cesarzową Eugenię, pani ta zapytała melancholijnego kniazia rosyjskiego, która z dam dworu najbardziej mu się podobała? „Pani — odrzekł — przed tobą stoi barbarzyńca, który admiruje tylko własną swoją żonę”⁵⁰⁷. W słowach tych zapewne mieściło się dużo dumy, dużo umyślnie udawanej pogardy, pokonanego niedawno, jakoby barbarzyńskiego Rosyanina, dla zbytku i zepsucia zwycięzcy francuskiego,

507 *Le dernier des Napoleons* (Paris 1872) p. 106.

chęć okazania swej zdrowej jakoby natury wobec gnijącej francuskiej, ale było także wiele prawdy. O ile wierzyć można różnym relacjom, względem żony swojej zawsze był najlepszym i najprzykładniejszym mężem.

W tak bystrym i tak wybornie ukształconym umyśle, widzącym dokoła siebie mierność i nieuctwo, obudzić się musiała drzemiąca w głębi duszy ambicja, ambicja wyższości, czującej w sobie zdolność spełnienia tych zadań, których prawo urodzenia mu odmówiło. Plotka, a może i nie plotka dworska, wielokrotnie twierdziła, że Konstanty głośno objawiał pretensje do tronu carów rosyjskich, na którym zdawało mu się, że wiele więcej mógł zdziałać niż jego koronowany brat miękki, chwiejny, a uparty. Bądź co bądź, przyszły wielkorządca polski okazywał na różnych stanowiskach działalności państwowej, jakie zajmował, bardzo wiele czynności i wytrwałości, wlewał w nie ducha inicjatywy i energii. Rozbitą przez wojnę krymską marynarkę rosyjską, jako wielki jej admirał, odbudował, zreformował i na poważnej postawił stopie. W sprawie usamowolnienia włościan stale niósł pomoc swemu bratu; wszędzie był czynny i wszędzie starał się zajmować miejsce pierwszorzędne, wszędzie żywił ambitne zamiary.

Zachowywał jednak w ich ukrywaniu taką ostrożność, że gdy w r. 1854 prasa rosyjska nieomal codziennie poczęła podnosić pod niebiosy jego działalność, wyjednał u ministra oświecenia publicznego (wtedy dziennikarstwo podlegało temu ministerium), że przez rozkaz z d. 28 kwietnia t. r., polecono cenzurze, „ażeby nie przepuszczała żadnego artykułu, któryby wychwalał czyny lub zamiary Jego cesarskiej wysokości wielkiego admirała”⁵⁰⁸. W przeciwieństwie z panującą na dworze przewagą niemczyzny, stał się gorącym czcicielem swego narodu i idei słowiańskich, jakkolwiek, zdaje się, nigdy ich szczerze nie wyznawał. Posądzano go, nie bez pewnej słuszności, że przechyla się ku „samobytnikom”, jakkolwiek był to umysł zanadto po zachodniemu urobiony, by miał być ślepym i bezwzględny wyznawcą teorii błędnych, sztucznych, na niczem nie opartych. Książę Albert, mąż królowej angielskiej, człowiek bardzo rozumny i doskonały obserwator, pisał później o w. ks. Konstantym, że „jest to człowiek zręczny, inteligentny, głęboko wykształcony, pełen zapału dla tego, co przedsięwzięte”, ale zarzucał mu „charakter wyłącznie i bezwzględnie ruski”⁵⁰⁹. W obejściu bardzo przystępny, zyskiwał zwykle sympatią każdego przez swą prostotę i szczerość, którą wielu uważało za grecką perfidią, za udanie, zręcznie maskujące właściwą mu dumę i ambicję. Jego podróż wraz z żoną i najstarszym synem do Palestyny i Konstantynopola, może dla przypomnienia ludom świata wschodniego o ortodoksyjnym spadkobiercy Konstantyna wielkiego, którego imię nosił, „greckiego cesarza nazwisko”, wytworzyła o nim pojęcie, że żywi tajne marzenia odbudowania dawnej monar-

508 Schédo-Ferotti. *Études sur l'avenir de la Russie*, 44.

509 Cytowane u Lisickiego. *Le marquis*, II, 304.

chii carogrodzkiej. Wszyscy wiedzieli, że jest ambitny, bardzo ambitny, i że pragnie w dziejach świata odegrać rolę samoistną... Szyderstwa zjadliwe, zaprawione zawsze trafną i dotkliwą ironią, z różnych mierności, zajmujących wysokie stanowiska w rządzie, usprawiedliwiały to mniemanie i robiły mu wielu nieprzyjaciół, którzy gdzie mogli i jak mogli, podstawiali mu stołka...

Ta ambicja zapewne, ta chęć działania samoistnego na jakimkolwiek, byle możliwie niezależnym polu, kazała mu oburącz chwycić się projektu Wielopolskiego. Kto wie, może marzył, a są fakta, wprowadzie bardzo niejasne i bardzo wątpliwe, które to potwierdzają, że zdoła kiedyś zostać prawdziwym wicekrólem polskim, dynastycznym księciem tej pięknej Polski, która szarpała się u cielska rosyjskiego i cały organizm tego cielska wprowadzała w stan chorobliwy. Cesarz Aleksander z wyraźną niechęcią zgodził się na ten projekt, a zgodził się nań dlatego tylko, że nie wierzył, nie przypuszczał, by brat jego przyjął stanowisko namiestnika w Polsce. Gdy jednak ten skwapliwą okazał gotowość do tego, zdziwienie i niezadowolenie było wielkie, podejrzenia jeszcze większe. I te podejrzenia to, to niezadowolenie, przyczyniło się bardzo wiele do tego, że trudna rola brata cesarskiego w Warszawie stała się o wiele trudniejszą i w końcu nie powiodła się wcale...

Z Polakami i Polską wielki książę dotąd nie miał prawie żadnych stosunków, ale te, jakie miał tu i owdzie wypadkiem, nie zdradzały w nim ani nienawiści, ani nawet niechęci do narodu naszego, tak pospolitej w Rosji między osobami u rządu stojącymi. Owszem, ilekroć się zetknął z Polakami, okazywał im zawsze, jakby w przeczuciu roli, jaką kiedyś miał wśród nich odegrać, pewną życzliwość, acz powstrzymywaną względami wyższej polityki (jak mówią) sympatią. Bawiąc w Paryżu w r. 1859, zwiedził incognito szkołę polską w Batignolu. Przyjechał prostym, wynajętym fiakrem, ubrany po cywilnemu, i jak zwykły śmiertelnik zjawił się w kancelarii szkolnej, gdzie właśnie wtedy znajdował się dyrektor zakładu, zacny i znany wszystkim Polakom, zwiedzającym Paryż, Malinowski. Przybyły w dobrej polszczyźnie, jakkolwiek z lekkim, przeciągającym akcentem, co zresztą w nikim z obecnych nie wzbudziło nawet najlżejszego podejrzenia, gdyż przyjeżdżało do Batignolu wielu Polaków z Litwy, z głębi Rosyi, z Odessy, mówiących z takimże akcentem śpiewnym, prosił o pozwolenie zwiedzenia szkoły. Malinowski przyjął go, jak wszystkich przyjmował z właściwym sobie rubasznem nieco obejściem, i wezwał nauczyciela Lewandowskiego, późniejszego wojewodę podlaskiego w powstaniu zbrojnym, by „tego pana” oprowadził po szkole. Lewandowski więc pokazał mu cały gmach, laboratorya, bibliotekę, zbiory, w których mnóstwo pamiątek polskich błyszczało orłami i pogonią litewską, i mówiło o dawnej chwale narodu. Gość przypatrywał się wszystkiemu ciekawie, przepatywał o to i owo,

wreszcie przy pożegnaniu zapytał swego przewodnika, dlaczego nie korzysta z amnestyi, ogłoszonej przez cesarza Aleksandra II. i nie powraca do kraju? Na to Lewandowski odrzekł, że „ogłoszenie cesarskie nie jest właściwie amnestyą, tylko zezwoleniem na powrót; że było to i za Mikołaja, że wreszcie on osobiście wracać nie chce, bo straciłby charakter emigranta, a nic na tem nie zyskał”. Konstanty odparł, że „przy staraniach możnaby rzecz tę załatwić”, dając niejako poznać, że gotów jest w tem dopomódz, ale Lewandowski podziękował mu chłodno i na tem się wszystko skończyło. Później, w kilka dni, dowiedziano się, kto był tym gościem, stąd, że przysłał już pod swoim imieniem 30.000 fr. na potrzeby szkoły. Zarząd był nadzwyczajnie zdumiony i badając powód tych odwiedzin, dowiedział się, że w. książę, jadąc przez miasto, spotkał idącą na spacer szkołę, której mundury i krakuski zwróciły jego uwagę, i zaraz pytał się, co to za młodzież, i zapewne wtedy powziął myśl odwiedzenia szkoły. Hojnej jego ofiary zarząd nie przyjął, motywując odmowę tem, że szkoła przez to straciłaby cechę narodową⁵¹⁰.

Już wtedy więc mówił po polsku, co zrazu zapewne było właściwą mu chęcią poznania jak największej ilości języków obcych, do których miał wielką łatwość, później jednak umyślnie się wziął, z zamiarami głębiej sięgającymi, do wystudyowania tej mowy „śpiewnej i ogramnej”, jak się wyraża poeta.

W Petersburgu pobierał lekcye polszczyzny od Kazimierza Krzywickiego, któremu ten stosunek pozwolił nagle zająć w rządzie polskim wysokie stanowisko ministeryalne, dyrektora Komisji wyznań i oświecenia. Teraz, gdy zapadło postanowienie wysłania w. księcia do Warszawy, gdy opublikowany został ukaz o tem cesarza⁵¹¹, który, „pragnąc dać nowy i istotny dowód troskliwości swej o pomyślność poddanych swych Królestwa polskiego”, mianował „najukochańszego brata swego”, brat ten, znając intrygi dworskie, wiedząc, jak chwiejnym jest grunt, na którym wzniesione było rusztowanie autonomii polskiej, okazywał nadzwyczajny pośpiech w swym wyjeździe do Warszawy. Nie powstrzymał go od tego zamach na Lüdersa, owszem, wiedząc zapewne dobrze, iż zamach ten nie wyszedł z kół polskich, ale z kół rosyjskich wojskowych, potrafił przedstawić konieczność swego natychmiastowego wyjazdu, by powagą swej monarszej dostojności powstrzymać kielkujące objawy rokoszu wojskowego. Uwierzono temu, przynajmniej udawano tę wiarę, i ze ściśniętem od obaw i podejrzeń sercem, puszczono do Warszawy tego księcia, może w tej nadziei, że wśród huczącej już tam burzy strzaskanym będzie i on sam i jego ambicja...

Takim był człowiek, który wziął na się wielkie zadanie uspokojenia Polski, a może skorzystania z burz, szarpiących jej łonem, by utworzyć sobie tron wicekrólewski

510 Z relacji współczesnych.

511 Dnia 8 czerwca 1862 r.

dziedziczny, rodzaj sekundogenitury przy potężnym caracie rosyjskim. Że było to zadanie zawsze trudne, prawie niepodobne do wykonania, któż może wątpić? Że było ono trudniejszym w tej chwili, niż kiedykolwiek bądź, każdy uznać musi.

Wśród wybujałych namiętności politycznych polskich, wśród pragnień narodowych i ideału odzyskania bytu niepodległego w granicach przedrozbiorowych, wśród wzrosłej do niebywałych rozmiarów nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie, takie zadanie uważać należy za jedno z tych złudzeń, które sobie niekiedy stawiają dusze ambitne, serca żądne władzy, które wszystko w tym celu poświęcają i zwykle same giną, starte jak liść jesienny, jak pył polny, rozmięcione przez wichry. Ale pomijając już to, co mogła kryć w sobie pod maską obojętnego chłodu wrząca dusza wielkiego kniazia rosyjskiego, z czym przed nikim, nawet przed sobą może się nie wypowiadała szczerze i otwarcie, to już samo zadanie, głośno wypowiedane i uznawane, uspokojenia Polski, pogodzenia jej z rządem rosyjskim, było także zadaniem niełatwym, choć zapewne o wiele możliwszem do wykonania. Stan kraju w ogóle był bardzo zły i Konstanty z autonomią swoją niestety! za późno przychodził. Gorączka już tak dalece owładnęła organizmem polskim, że bez upustu krwi opamiętałby on się nie zdołał. Niefortunne rządy Lüdersa, żołnierza ograniczonego i wierzącego tylko w siłę fizyczną i ucisk materyalny, jaki on wywierał, liczne gwałty, jakich różni Kryżanowscy, Piłsudscy i niezliczona ilość drobnych, z tatarską zaprawą, kacyków się dopuszczała, doprowadziły rozdrażnienie do ostatnich granic. Zadowoleni pozornym spokojem, gotowi za najmniejszym naruszeniem tego spokoju, do strasznych gwałtów, nie patrzeli co się dzieje we wnętrzu narodu, w tajnikach jego duszy. Nie widzieli tego, że spisek, jak polip morski, coraz szerzej rozpościera swe ramiona, jak pająk coraz gęstszą sieć snuje i chwytą w nią wszystkich i wszystko. Lüders był tak dalece zaślepionym, że w charakterze naczelnego wodza armii, stojącej w Królestwie, nie widział, że armia ta nurtowana jest przez agitacją rewolucyjną, że ostatnia i jedyna broń caratu może być stoczona, jak stare próchno. Dopiero wykrycie spisku wojskowego, strzał w ogrodzie Saskim otworzył mu oczy, otworzył zarazem oczy innych i przeraził ich mocno.

Stan był zły, bardzo zły, niemal rozpaczliwy. Wielki książę jechał więc do Warszawy, by stan ten naprawić, wzbierającą falę wrócić w jej brzegi, pewny, że temu podoła, że wsparty na tak potężnej postaci jak Wielopolski, „łeb urwie hydrze” rewolucyi. Jego usiłowania, jego walki i zabiegi, tworzące zaiste obraz bardzo dramatyczny i bardzo bolesny dla serca polskiego, będą przedmiotem następnych rozdziałów tej pracy.

Wieś Domaszowice, w stuletnią rocznicę rzezi praskiej.

KONIEC TOMU IV

DOKUMENTA

No 1 (do str. 10).

**Odezwanie się Michała Lewińskiego na wniosek Kruzensterna,
aby w szkołach ewangelickich po niemiecku wykładano nauki,
na posiedzeniu Rady Stanu.**
(z rękopismu współczesnego).

W każdym narodzie kardynalną cechą narodowości jest język; język jest, że tak powiem, religią narodowości; nie tylko zatem z natury rzeczy wynika, ale świętym obowiązkiem narodu jest pod troskliwą go mieć pieczę. Przecie udający się z obcej ziemi na naszą, nie tracąc rodzinnej swej narodowości, dzieli uczucia swe pomiędzy krajem, w którym się rodził, i tym, w którym żyje; tak być powinno, gdyż inaczej stałby się wrogiem narodu, który go gościnnie przyjmuje, z którym go odtąd łączyć będą wspólne losy, wspólny interes i t. p. Ale jeśli pierwszy przesiedlający się nie ma obowiązku znać języka narodowego, do którego przechodzi, co częstokroć fizykiem niepodobieństwem jest, to inaczej się ma z jego następcami. Syn jego zrodzony na ziemi naszej, wykarmiony i wychowany na niej, którego interes i stosunki coraz ściślej łączą z krajem, nieodzowny ma obowiązek znać dokładnie język narodu, w który się wcielił, do którego się przyznaje, i tak od pokolenia do pokolenia, uczucie narodowości pierwotnej rodziny coraz słabnie, a tej, w którą się wlał, coraz się wzmacnia, dopóki ta w zmroku czasu nie zginie, a nowa w miejsce jej nie wstąpi; najlepszym tego dowodem jest znaczna liczba obywateli miasta stołecznego Warszawy, którzy, choć z nazwiska niemieckiego, sercem są Polakami. Taki jest bieg rzeczy i taki być powinien, bo kto żyje w narodzie i z narodu, to współobywatelstwem i współczuciem wypłacić mu się winien. Dla tego konieczną uznaję rzeczą, by nauki w szkołach ewangelickich wykładane były nie w niemieckim, lecz polskim języku, inaczej utrwalonoby nastrój elementów, które się jak najrychlej zlać powinny, utworzonoby naród w narodzie.

No 2 (do str. 77).

Wiersz do arcybiskupa Felińskiego.

(Z rękopismu współczesnego).

Witamy cię Ojcze! bez kluczy, bez krzyża,
Jedne przemoc zhańbiła, a drugie złamała.
Ciężkiej próby godzina dla Ciebie się zbliża,
Oby głowa twa młoda podołać zdołała.
Myśmy we krwi ochrzczeni, we łzach wykąpani,
A ciebie posyłają przechrzcie nas tyrani.
Nie wiemy, z czym słowem ty do nas przychodzisz,
Czy rozszerzysz słowo Boże, czy carskie rozmnożysz.
W każdym razie pamiętaj, że krew była święta,
Łzy były Jordanem — Polska skrucną zdjęta
Czeka Bożej litości — boć z Jego ramienia
Masz wyrzec słowo szczęścia, albo pognębienia.
Więc radzimy: stań śmiało na czele męczeństwa,
Biorąc św. krzyż w ręce, bądź pewny zwycięstwa,
Lecz jeżeli, broń Boże, krzyż Ci w ręku ciąży,
Lepiej nie wchodzić w mury miasta, nie plam imion mężów:
Fijałkowskich, Białobrzeskich i wygnańców innych,
Przed carem potępionych, przed Stwórcą niewinnych.

No 3 (do str. 96).

Odezwa z powodu otwarcia kościołów.

(Z druku współczesnego).

Polki! nie dla nas kościoły otwarte, w których czcić cara na równo z Bogiem wczoraj poseł moskiewski zalecił. My mamy innego Boga, który kieruje naszymi krokami. Trochę jeszcze cierpliwości, a przyjdzie czas, że w kościołach zabrzmi pieśń miła Bogu i narodowi.

Warszawa, d. 14 Lutego 1862r.

No 4 (do str. 105).

Słowo Narodu Polskiego
do JX. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego
Arcy-Biskupa Metropolity Archidiecezyi Warszawskiej.
(Z druku współczesnego).

Najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojcze!

Przemowa Waszej Ekscelencyi do przedstawiającego się Duchowieństwa i do ludu przy otwarciu kościołów, dając nam poznać plan, według którego działać postanowiłeś, plan właściwy wszystkim sługom carskiego nad nami ucisku, oparty nie na prawie Bożem i obowiązkach pasterskich, ale na dogadzaniu zgubnej dla narodu i wiary polityce; pobudza lud polski do uczynienia protestacyi przeciwko błędnemu pojęciu sprawy narodowej, w interesie wiary i wolności rozpoczętej.

Czy olśniony wysoką godnością, czy omamiony czczemi i bezzasadnemi obietnicami, czy nie zbadawszy dobrze wielkości zadania leżącego w osobie pierwszego Księcia Polski podczas interregnum; rzucić zdajesz się na stronę przeciwną godnych i uwielbionych od narodu poprzedników twoich, i ze zgubą własną, z zwichnięciem wiary ojców naszych, ze zniweczeniem prac krwawych łzami okupionych, przez naród podjętych; nierozważnie stajesz się narzędziem oszukaństwa, dla tego tylko, że sam jesteś oszukanym.

Nie myślimy bowiem, aby łaski carskie, aby interes dynastyi, tak osobę Waszej Ekscelencyi skępować mogły, abyś zapomniawszy swego stanowiska, z poddaniem się spekulacyjnym planom politycznym, niósł podstępne usługi.

Arcypasterzu i Ojcze! — abyśmy nie mieli nic sobie do wyrzucenia w przyszłości, żeśmy Cię nie ostrzegli, i nieznajomego z dziełem narodu nie obznajomili; nie tając bynajmniej ani przed Europą, ani przed nieprzyjaciółmi naszymi tego obecnego kroku, ośmielamy się przedstawić Waszej Ekscelencyi następujące punkta wyjaśnienia, a mianowicie:

Stanowisko dzisiejsze Polski względem Europy, stosunek jej do gnębieli carskich i samego cara — znaczenie faktów dokonanych, nazwanych przez Rząd manifestacyami reakcyjnego stronnictwa — postawę Duchowieństwa pod kierunkiem ś. p. najprzewielebniejszego Arcybiskupa Metropolity Fijałkowskiego, jak również zmianę tej pozycyi przez wcielenie w czyn idei przez Waszą Ekscellencyą z Petersburga przywiezionych — i skutki niepewnego planu, jaki ze złego natchnienia przedsięwziąć zamierzyłeś, zestawione ze skutkami, które nastąpić muszą przez bezpośrednie zrządzenie Opatrzności, nie opierając się na dyplomacyi i widokach świata, ale na prawach Bożych, ludzkości każdej przewodniczących.

Jako mężowi obszernej wiedzy, nie widzimy potrzeby detalicznie wyszczególniać całego położenia ruchliwej i paroksyzmem drgającej Europy; dokonane i dokonywane się fakta, ważne zaiste w dziejach ludów, dowodzą dokładnie, o ile palec Boży kieruje wszelkimi dziełami, na drodze połączenia narodów ściślejszą solidarnością, z poniżeniem nadużywających władzy dzierżawców. Drżą wszystkie strony — a ten strach paniczny dotyka najbardziej tych, co nikczemnością i znie wagą się rządzili. Popychana ręką Opatrzności, w wyrokach swoich nieomylniej, zamienia się w ruinę pogańska Turcja, a za nią otworem stoi droga niechybnego upadku, jeżeli nie krajów Austrii i Rosyi, to przynajmniej ich rządów, kłamstwa i ucisku. Gdziekolwiek lud broń za wolność podnosi, widocznie ręka Wszechmocnego pomocą go wspiera i tryumfem chwały okrywa, a na gruzach wielkiej potęgi władców, wznosi się budowa wolności i rozwoju dobra narodowego.

Przy tylu dobrych okolicznościach, przy tylu pewnych podstawach, rokujących lepszą dla ludów przyszłość, Polska w stosunku do Włoch i Węgier, niepoślednie zajmuje miejsce. Święte jej posłannictwo względem katolickiego świata, jej cywilizacya, jej istnienie 9-cio wiekowe wśród jedyne go w Europie samorządu; jej odrębne zalety podnoszące do najwyższej szlachetności, jaką ludy kiedykolwiek posiadały, jej na koniec 70-letnia niewola i ucisk, pod którym za zrządzeniem Bożem zostawała, a który z prawdziwie ewangeliczną pokorą i poddaniem się ponosić umiała; dają słuszne prawo do domagania się swego samoistnienia, na równi z innymi ludami Europy. Zważywszy okoliczności temu domaganiu się sprzyjające, ujrzymy: że obecny stan zatrważający stojącej na wulkanie narodowych niechęci Rosyi, upadek Austrii niezawodny, i słowem nieszczęśliwy stan naszych pognębicielei, daje nam pewną rękojmię poparcia naszych żądań nie tylko siłami własnymi, które w potrzebie wszystkie użyć postaramy się, ale i pomocą postronną, którą wypadki same sprowadzić muszą. Ta pomoc leży głównie w łonie samej Rosyi, przez obudzający się żywioł narodowy sprawne Polski przyjazny, i w uznaniu ludów Zachodu, które jeżeli nie dla nas, to dla własnego spokojnego rozwoju, sprawiedliwe żądania nasze, poprzeć muszą. Wie bowiem Europa jak również i car moskiewski, że, dokąd Polska pod jarzmem będzie, żadne instytucje, żadne ustępstwa jej nie uspokoją, i choć najczynniej i najgorliwiej oprawcy carscy zechcą znękać, osłabić lub przytłumić ducha polskiego i z dobrem cesarstwa utworzyć państwo słowiańskie pod batem carów, nigdy ani Europa, ze względu na interes mocarstw pierwszorzędnych, ani sami Polacy na to nie przystaną. Niepokój, jęki, tułactwo nasze, przez najdłuższe czasy, trapiąc innych i samych naszych ciemiężców, wyprowadzą na stół dyplomacyi załatwienie tej ważnej kwestyi.

Pobudzeni przez Opatrzność Polacy, złączywszy się w jednomyślną masę bez różnicy wiary i pozycyi, postanowili i przysięgli rozpocząć odbudowanie

Ojczyzny, i pomimo, że carska mądrość wyczerpała wszelkie środki na przytłumienie tej jedności i rozbudzonego ducha, pomimo najwyższej przemocy i ucisku, mordów, grabieży, profanacyi wiary i świątyń, nic dotąd nie chybiono od założonego planu.

Z tego wynika, że już dzisiaj (po protestacyi w Horodle uczynionej przez reprezentantów wszystkich ziem i powiatów Rzeczypospolitej) nie mamy króla naszego i takowego w osobie cara nie uznajemy, jak i nigdy nie uznawaliśmy; że przysięgi na nas wymuszone obowiązywać nie mogą, a to przez faktyczne połamanie klątw i zobowiązań przez carów względem nas uczynionych; że nie skłonią nas do układów żadne przebiegi i kłamstwa, i chociażbyś, Najprzewielebniejszy Arcypasterzu, jawnie nam dał poznać swoje skłonności i chęci pansławistyczne i przychylność ku nowo nadać się mającym z conceptu cara i Wielopolskiego instytucjom, szerszy zakres rozwoju mającym, ominiemy cię jak błędzącego, a kosztem ofiar najświętszych sercu naszemu, do groźnej potęgi dojść musimy. Każdy zaś, w pośrodku nas stojący, a nie oddany duszą i ciałem sprawie naszej, lub one czy to przez błąd, słabość, lub poniżenie inaczej tłumaczący, uważany będzie za przeszkodę, którą usunąć potrzeba.

Kto nie jest z nami, ten wrogiem naszym!

Niezbadane są wyroki Boże! rozum ludzki przewidzieć ani odgadnąć nie może, co tajemnicze plany rządów Bożych na ziemi w krótkim czasie zgotują. Kilka lat zaledwie temu, jak łatwowierny choć zdradzony lud nasz, pod wpływem opieki Wszechmocnego, jakby obudzony z długoletniej drzemki, począł nabierać nadziei, począł oczekiwać polepszenia swojego losu.

Ten czas nadziei narodowej przypadł w roku koronacyi cara moskiewskiego na króla Polaków, a szukający wokoło siebie lud upatrzył w łatwowierności serca swego najbliższe łaski carskie, i sądził, że ztąd Bóg dobro mu pośle — ale sprawiedliwość odwieczna nie zbłądziła nigdy, i nie dała mordercom mocy szafowania łaskami swemi. Czart nie spał, i dziełu Bożemu przeszkadzając, sprowadził przyjazd cara do Warszawy, prawie w chwili kiedy oczekiwanie łask Bożych było najgorętsze. Przybywszy do Warszawy car jegomość wyrzekł do magnatów i urzędników, którzy go podejmowali gościnnie: „kocham was”, a ludek łatwowierny mając to sobie powtórzone myśląc, że to do niego powiedzianem było, uwierzył, i chciał widzieć w tym palec łaskawej Opatrzności, która go dźwignąć z niedoli zamierzyła. Ale kiedy rozdawane przez Górczakowów, Muchanowów, Enochów, Płatanowów, Karnickich, Lejchtów i Trepowów łaski, wcale na miłość nie zakrawały, ale z dniem każdym nowe stawiały narodowi uciski; wtenczas dopiero lud błąd swój poznał, i w inną stronę obrócił swoje nadzieje. Niezbadane są wyroki Boże! bo któżby pomy-

ślał, że polewanie paląciami lub źle wonnemi (sic) kwasami w teatrze podczas zjazdu trzech..., czyhających na życie nasze, może być zadatkiem przyszłym wypadkom, wielkie znaczenie w polityce mającym, a nad wszelki przemysł tryumfem szlachetnym uwieńczonym? Któż mógł przewidzieć, że bez żadnego kierownictwa, bez żadnego poparcia, żywioł narodu przez przelanie krwi męczeńskiej, dojdzie do zlania się i jednomyślności? Zaiste może był jeden mąż mądry tylko, który te objawy właściwie pojąć potrafił, a tym mężem świętym Najczcigodniejszy spoczywający w Bogu Arcypasterz. On pojmując, „co jest z Boga”, wezwał lud do stóp krzyża, i w nim tylko pewność tryumfu moralnej wojny przeciwko gwałtom i uciskom upatrywać zachęcał. On nie powtarzał nam słów carskiego kłamstwa, nie mówił, że manifestacye stawiają przeszkodę rozwojowi bytu narodowego, z rąk carskich skrwawionych wyjść mającego; on nie upadał na duchu, i nie wątpił, że usiłowania rządów przemocy dziełu Bożemu ustąpić muszą, on nie paraliżował czynów duchowieństwa, które do obowiązków obywatelskich Ojczyźnie należnych poczuwać się coraz bardziej poczęło, on nie potrzebował listów rekomendacyjnych z Petersburga do oprawców, ani poniżył swojej godności pierwszego księcia oddawaniem wizyt gubernatorom, czy dygnitarzom carskim; bo powaga Jego Apostolska, bo godność Jego, właściwie zrozumiana, dyktowały wszystko z natchnienia Ducha św. czerpane, a dziełu Bożemu w narodzie we wszystkim sprzyjające. To też i uroczystości narodowe na ulicach, czy w kościołach obchodzone, przy udziale bez wyjątku całego narodu, podniósłszy się do wysokiego znaczenia, pokazały się namiestnikowi i jego pomocnikom objawem groźnym żywiołu rewolucyjnego. Nie wiedząc Gorczakow co począć, wzywa wybrańców narodu (delegacya miasta i członków Towarzystwa Rolniczego) do dyplomatycznych konferencyi, popuszcza wodze żywiołom wzburzonym i przywodzi do krwi przelewu, w przekonaniu, że tym sposobem spokojność przywróconą będzie; ale omyliły go te plany, lud nastawiał piersi obnażone, kiedy doń strzelać kazano; wiedziony rozpaczą i męztwem nie ustępuje ni kroku; a w końcu męczenników swoich, odziany żałobą, niesie na wieczny spoczynek, jakby na zadatek lepszemu światu przyszłego rozstrzygnąć się mającego męczeństwa.

Wypadki i ich. szczegóły z dzienników zagranicznych, zapewne Waszej Ekscellencyi podanych przez otaczające go osoby, wiadome Mu są dokładnie, dodać winniśmy, że w owym czasie namiestnik i car nie szczędzili obietnic, nie przebierali w środkach i już kłamstwem, już pochlebstwem, przysięgami, poręczeniami i układami starali się albo rozdziwić, albo w błąd wprowadzić lud cały; ale Bóg chciał i wszystko się rozchwiało. Niech będzie Imię Pańskie błogosławione! Dzieło narodu posuwało się coraz dalej i coraz to głębiej w serca zapuszczało korzenie, a oprawcy tymczasem, przekonawszy się, że

nie w samej Warszawie duch oporu panuje, że go spotkać na każdym kroku można, ściągali siły wielkie do Królestwa. I wtenczas proszono, zebrano zwłoki, kazano nam uspokoić się i przygotować do przyjęcia łask carskich, ale nic nie dotrzymano; bo nadane instytucje, które następnie cofnięte zostały, nie tylko że nie były spełnieniem danych obietnic, ale nawet za powód do nowego ucisku posłużyły. Po otrzymaniu pewnej zwłoki, mając już dostateczną ilość siły zbrojnej, oprawcy nasi bez żadnych powodów, nie ze złego pojęcia rozkazów, „ale wyraźnie upoważnionej przez cara samowolności, dopuszczają się gwałtów na każdym miejscu, zaprowadzają stan oblężenia, zapełniają lochy więzienne kapłanami i ludźmi, którzy miłości carskiej najprostoduszniej ufali, dopuszczają się oszczerstwa (jak na najczcigodniejszego prałata Białobrzezkiego) i oddawszy w moc służalców bez czci i honoru całe bezpieczeństwo ludu, starają się wmówić w Europę i w ciebie, najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojczy, że nie czynią niesprawiedliwości, że „car ma najlepsze chęci dla Polski”.

Dokąd łaskawa Opatrzność zachowywała nam najprzewielebniejszego naszego Przewodnika, żaden wyrok carski nie śmiał dotknąć powagi kapłanów, wzrastała przeto ufność z jednej, a chęć pracy i poświęcenia z drugiej strony; gdzie kapłan i krzyż, tam i lud korny i uległy. Zapełniały się przybytki Pańskie, wzrastała moralność i wstrzeźliwość, upadły zbytki i próżność, poniżyły się i zrównały stany i święty pokój i chęć wzajemnej pomocy rozlały się po całym narodzie. Ale tajemnica tych skarbów Nieba była tylko w Duchowieństwie, ono to z krzyżem w ręku, a szlachetnem poświęceniem w sercu, złączone i złane z trzodą, krwawe z przemocą staczało boje, a Bóg błogosławił ludowi swemu i wsławił imię jego po świecie. W tym nawet czasie ci, co nigdy chciwi orderów i nagród, zboczyli z drogi prawdziwej, wrócili nań pełni poprawienia przeszłości chęci. Ale kiedy Pasterza naszego w grób zimny na barkach strapiony lud zaniósł, słudzy carscy, korzystając z samowolności, zaraz, bo w dni kilka, tak dalece gorliwość swoją posunęli, że nie tylko kapłanów najgorliwszych w Sybir uwięzili, administratora przy obowiązkach swoich obstarującego uwięzili, ale i zgwałcili świątynie Pańskie, czyniąc w nich mordy i grabieże.

Wież o przybyciu Twojem, Arcypasterzu i Ojczy, wlała w lud duchowieństwo niejaką otuchę, bo, prawdę mówiąc, nic mając obrońcy, prócz Boga, słabnąć choć bardzo nieznacznie poczęliśmy. Szukaliśmy pilnie wszelkich wieści, pytaliśmy się tych, co osobę Twoją bliżej poznać mogli; ale nic, prócz niemieckich kalumnii, lub niegodziwych i oszczerstwem nacechowanych wieści rozsiewanych przez oprawców, dowiedzieć się pewnego nie mogliśmy. Omi-

jamy tu podstępne i niegodziwe fałsze zasiewane w lud prosty, albowiem powtarzanie onych powadze pisma niniejszego ubliżyć może, a które jednakże nie pozostały bez wpływu. Lud temu nie uwierzył, nie dla tego, aby znał Twą Arcypasterzu osobę, ale że ufa wyborowi Stolicy Apostolskiej, który padł na ciebie. Oprawcom naszym szło głównie o to: ażeby lud ku tobie zniechęcić, aby prawych i dobrze myślących, którzy by ci radą posłużyli, od osoby twojej odstręczyć, aby Duchowieństwu odjąć wszelką nadzieję na poparcie rozpoczętego oporu; słowem, aby przewrócić wszystkie plany, zniszczyć wszelkie rachuby na twą osobę.

Car i jego służba mówi prawdę, bo każesz im wierzyć Arcypasterzu? A czemuż śledztwa sprofonowanych kościołów nie uznano, czemu przy otwarciu nie pozwolono napisać, że kościoły te nie zostały rekuncyliowane, a tylko otworzone! Czemu nie przyszło ci na myśl zapytać się, gdzie lud, który był świadkiem zbrodni w kościołach popełnionej, czy sam nie przychodzi na świadectwo, czy go policja i kozactwo po ulicach wstrzymuje?

To Duchowieństwo nasze, które przed niedawnym czasem wspierane przez swojego Przewodnika nie powodowało się bojaźnią ani przedajnością, to Duchowieństwo, mówimy, jakąż dziś przybierze pozycją? Czyż z nowem kierownictwem pocznie moralną z ludem wojnę, czy odstąpi od świętych obowiązków, które już na się przyjęło? Zaiste, z tych, co mowy Twej Arcypasterzu słuchali, nie był i jeden, który by twe plany podzielał, który by był gotów pójść za twoim głosem z pewnem przekonaniem, żeś jest prorok prawdziwy; żeś kapłan po Bogu, żeś Ojciec opuszczonego i znękanego ludu. Ręczymy ci imieniem Boga Wszechmogącego, sumieniem narodu polskiego, że car i Wielopolski kłamią, aby cię kłamcą wobec narodu zrobili, — że tak jest, spytaj się historii, która nie dostarczy i jednego faktu, potwierdzającego spełnione obietnice carskie. Postępując za natchnieniem ludzi niegodnych, potępionych od świata, zostaniesz od nich zdradzony, i oni w przyszłości, rachując na powolność, pokwapią się zrobić z dygnitarza Kościoła uległego carskiego urzędnika.

Obaczmy czynności już dokonane, a do tego celu zdążające: nie wiadomo zapewne Waszej Ekscelencyi, że, kiedyś miał przybyć do Warszawy pociągami o godzinie 5, dobroduszny lud gromadnie chciał cię powitać, chciał w niecierpliwości i znękanu z twarzy twojej zaczerpnąć nową otuchę, ale nie dopuścili do tego oprawcy, i telegraf wysłany został, abyś się powstrzymał i przybył dopiero o godzinie 11, że, kiedyś już do Warszawy dojeżdżał, spotkać cię chcących z rozkazu Kryżanowskiego i Piłsudskiego rozbijano i rozganiano batami, innych tłumnie w sali zebranych na klucz zamknięto podstępem, a chłopczynę, co okrzyk radości wydał, pokaleczonego do szpitala zaniesiono; że kiedyś jechał od kolei do pałacu, powóz twój oddział kozaków eskortował; że pod pałacem two-

im, czego nigdy nie było, stawa kilku policyantów; po ulicy Miodowej wyłącznie przechodzą tłumnie zbrojne patrole; że od Piłsudskiego wyszedł onegdaj rozkaz, aby komisarze policyjni pod najsurowszą odpowiedzialnością składali raporta, kiedy i gdzie się oddalasz, kto do pałacu twego przybywa. Czyż z tego pojąć nie możesz, Arcypasterzu i Ojczy, że carscy słudzy, któremi pogardzić nie umiałeś, uważając cię za upojonego nowem stanowiskiem, chcą cię z narodem poróżnić, chcą ci pokazać, że lud cię uczcić nie potrafi, że nawet cię znieważić ośmieliłby się, gdyby nie ich obrona; że ludowi nawzajem wpajają, żeś nic dla niego prócz niechęci i złej wiary nie powziął, i tak naprowadzają operację, jakby wskazać z urąganiem na ciebie chcieli, mówiąc: „patrzcie, to wasz przewodnik, obroniemy go, bo on nie jest ojcem waszym, a sługą nam uległym i potrzebnym”. Ale lud nasz nie znieważy ciebie, bo nigdy tego nie czynił, prędzej rozpierzchnie się trzoda twoja, prędzej zostaniesz sam bez pomocy, ufności i posłuszeństwa, niżeli płamę na naród oprawcy zdołają sprowadzić.

Znalazłszy ciebie uległym i posłusznym, car i jego poplecznicy wmówili w Waszą Ekscelencyę, że lud polski nie wie sam, czego żąda, że on nie może mieć nadziei do powrotu bytowego, że to jest szalona tylko partya, która podbudza nierozważnie i psuje najlepsze zamiary carskie i że w końcu wszyscy żądają ustępstw i swobód; — że tak nie jest, w punkcie pierwszym wyluszczyliśmy. Teraz przychodzi pytanie: jakie są wszelkich operacyi carskich cele, jakie są żądania cara od Arcybiskupa warszawskiego? W przekonaniu, jak to wyżej powiedzieliśmy, że nieuspokojenie Polski spowodować musi nie tylko onej utratę, lecz i obalenie dynastyi panującej w Rosyi, car umyślił za jaką bądź cenę przywrócić pogńębienie ducha narodowego Polsce; działacze, i słudzy doraźnie obrani wyczerpali już wszelkie środki; ani kłamstwo, ani morderstwa, ani chwytywanie i uwożenie w głąb Sybiru żadnych dotąd nie wydały rezultatów, trzeba przeto ostatniej próbować broni i użyć takiej osoby za narzędzie, której od narodu należy się uległość, cześć i posłuszeństwo, i kosztem poniżenia najwyższej władzy, to jest zwierzchnika Kościoła, usprawiedliwić bezecneństwa przez oprawców popełnione, potępić ruchy szlachetne narodu, odjąć mu wszelką nadzieję, uspokoić; a następnie, w nowe ująwszy karby, wynarodowić zupełnie. Nie dziw przeto, że car wypiera się tego, co wczoraj świat potępił, i objawia z judaszowską słodyczą kłamliwe swe chęci, że poświęca wszystko dla swego bezpieczeństwa; ale nie idzie zatem, ażeby choć jedną obietnicę postanowił wypełnić. Czas ma swoje potrzeby, a zręczny polityk wszystkiego zarówno używa.

Otworzyłeś Arcypasterzu i Ojczy kościoły, bez uznania krzywd narodowi popełnionych, z naganą prawie dla tych, co one pozamykali; dalej podasz rękę przyjazną ciemiężcom narodu, którzy cię wokoło otaczają, a sprawa nasza na tem

ucierpi i dobro Kościoła poszwankuje. Dziś, póki nie spełniłeś carskiego dzieła w zupełności, obsypują cię pochlebstwami i oszukują wszędzie; ale, kiedy jawnie przeciwko nam wystąpisz, lud pójdzie od ciebie, świątynie Pańskie będą puste, a przy boku twoim z ramieniem obrony staną Piłsudzki i Kryżanowski, i już nie z uwielbieniem, ale z litością traktować cię będą. Kiedy się ockniesz, już będzie za późno, bo lud cię słuchać nie będzie, bo on cię uważać może za swego ciemieżcę; i kiedy zawiedziony po upływie 3-miesięcznego terminu, postanowiłbyś wrócić na jego łono upokorzony i umęczony jak ofiara carskiego przebiegu; nie dopuszczają tego ci, którzy nie pozwolili ogłosić rekuncyliacyi kościołów.

Mówiłeś Arcypasterzu i Ojczy: „potrzeba carowi trzech miesięcy czasu spokojnego oczekiwania”, ale czyż, mówiąc to, rozważyłeś, na co tych trzech miesięcy potrzeba? Czy na to, ażeby się car namyślił, co i jak ma uczynić dla Polski? Czy na to, ażeby uzyskać czas do budowania nowych fortec i nasposobienia oręży? Czy, aby nas połowę w Sybir przesiedlić, część zamordować, a część uwięzić? Czy, aby zająć umysł narodu i nie dać mu się przygotować z siłami do skorzystania z europejskiej wojny? Nie długi to przeciąg w porównaniu do wieczności, trzy miesiące, ale to więcej jak wieczność w sprawie narodu i wiary – nie 3-ch miesięcy, nie 3-ch godzin nawet potrzeba, aby na wysokości prymasowskiego tronu ujrzyć można było dygnitarza podobnego Piłsudzkim i Kryżanowskim.

Jeżeli car ma dobre dla Polski chęci, czemuż powierza władzę ludziom bez czci i honoru, którzy w podłym służalstwie i chciwości chwytają się najokropniejszych podłości; czemu nie sprzątnięto z placów wojska? a przedsięwziąwszy szerokie pole prawdy, nie przystąpiono do działań z pośpiechem, ale pozostawiono skutek w obietnicy i chęci, tem więcej, kiedy Arcybiskup, przewodnik nasz obiecał im trzodę swoją do uległości doprowadzić.

Najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojczy! oto przed tobą otworem stoją dwie drogi: jedna jak druga ostrym nabita cierniem, na szycie pierwszej jest św. Wiara nasza, a zlane ona jest krwią męczenników, kapłanów i wygnańców naszych; na szczycie drugiej jest kłamana łaska carska i poniżenie. Pośredniej zaś, której wyszukać pragniesz dyplomatycznemi zwrotami, wcale nie ma i nie będzie; wybierz tę, która ci prawdziwie pożyteczną i z obowiązkami pasterskimi zgodną być się zdaje.

My zebrzemy twojej pomocy w imię Wiary naszej, w imię krwi i łez naszych, w imię twojej i naszej przyszłości i świętego posłannictwa naszego, niechciej lekceważyć głosu narodu, który jest głosem Boga.

Chociażbyś nawet Arcypasterzu i Ojczy nie wystąpił za poparciem sprawy naszej i chciał poświęcić całość dobijającą się wolności, wyswobodzenia części uwięzionej, chociażbyś, wierząc w nawrócenie cara do prawego Kościoła, jego nad nami panowanie ze względu na interes katolicyzmu chciał utrzymać; chociażbyś się nie upomniął krzywd naszych, my od swojego dzieła nie odstą-

pimy, za które krew już przelaliśmy, bo nam przewodnikiem krzyż Chrystusa, który przez drogę męczeństwa do zmartwychwstania doprowadzi.

Przy takim postanowieniu, przy tak jawnem wyjaśnieniu pragnień narodowych, płynących z wszystkich bez wyjątku serc, czyż można się lękać, czyż można mniej ufać w moc Bożą, niżeli w owe słowa carskie, któremi obiecuje nic Polakom nie ustąpić i ostatniego na utrzymanie niewoli żołnierza zryzykować? Tem bardziej kiedy spełnione dowodzą fakta, że przed dziełem Bożem wszystko ustąpić musiało, a nawet i ten nowo rozpoczęty podstęp ustąpi!

Nie żałuj Arcypasterzu i Ojcie śmierci i ucisku naszego, przelewu krwi naszej, albowiem ojcowie i matki nasze onej nie żałują, i nie żałowały; nie wspominaj o męczennikach naszych, bo oni nam są gwiazdą po drodze życia prowadzącą, oni nam są wskazówką przyszłego rozwoju i zdobycia wolności ziemskiej tymże sposobem, jakim oni wolność niebieską zdobyli.

List pasterski postanowienie twoje nam objawi, oczekujemy go z całą niecierpliwością, a radziłyśmy go widzieć pisany nie pod natchnieniem policyjnych urzędników, ale prawych i światłych kapłanów naszych.

Pomnij Arcypasterzu i Ojcie, że rosyjscy carowie przez całe wieki ani jednej nie dotrzymali obietnicy, ani jednej nie zachowali przysięgi, bez względu na to, komu one za poręką stawili; że, zanim z protekcji carskiej zostałeś Pasterzem-dyplomata kościoła wojującego, byłeś już obywatelem Polski, którego obowiązków żaden wzgląd zniweczyć nie może.

W końcu pamiętaj i na to, że pasterza dla owczarni, a nie owczarnię dla pasterza Chrystus postanowił.

Mówiłeś nam o pierwszych męczennikach i o ich uległości dla władz doczesnych, ale nie rozważyłeś, że w ich męczeństwie był zadatek odrodzenia ludzkości, był tryumf krzyża nad barbarzyństwem i uciskiem świata władców, zapomniałeś, że Bóg zakazuje być zdrajcą zwierzchności własnej, ale nie przeszkadza prorokom w wołaniu nieustannem o wolność, ani Machabeuszowi w wyprowadzeniu z ucisku ludu izraelskiego.

Niech wyziębione serce rozgrzeje się miłością ojczyzny, miłością ludu, z którego powstałeś, otrząśnij się z idei ułudnych z Petersburga przywiezionych; a ręczymy sumieniem narodu; że wrócisz do tej czci i uwielbienia, co i twoi Najprzewielebniejszy Arcypasterzu poprzednicy.

Dan w stolicy Warszawie, d. 15 lutego R. P. 1862.

Pismo niniejsze w oryginale podane zostało Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Metropolicie w dniu 15 lutego t. j. w przeddzień uroczystego ingresu do kościoła świętego Jana.

No 5 (do str. 133).

List pasterski Arcybiskupa warszawskiego.

(Przedruk z dziennika „Le Monde” z d. 19 lutego 1862 r.).

Sigismond Félix Feliński, par la grâce de Dieu et celle du Saint Siège Apostolique, archevêque de Varsovie, à tout le clergé séculier et régulier, ainsi qu’au peuple fidèle de notre archidiocèse, salut et bénédiction pastorale.

Et j’ai été au milieu de vous
dans un état de faiblesse, de crainte
et de tremblement. (I. Cor. C. II. V. 3).

Si l’apôtre Saint-Paul, miraculeusement appelé par le Sauveur lui-même au ministère pastoral, reconnaît cependant que c’est avec une grande crainte qu’il vint pour la première fois trouver les Corinthiens, qui pourrait s’étonner, Mes Chers Frères, que mon cœur aussi soit rempli de crainte et d’angoisse au moment de ma première rencontre avec vous? Je prends possession de ce premier siège du royaume au milieu des circonstances de temps et de lieu les plus difficiles; j’en prends possession après un très illustre prédécesseur, dont la perte a laissé un regret sincère. Et je viens, inconnu de vous, dépourvu d’expérience, sans que l’âge même m’ait mûri pour une aussi haute dignité. Que puis-je donc vous dire pour calmer vos craintes et les tristes pressentiments dont peut-être vous êtes assaillis? Je n’ai rien à dire, M. C. F.; au contraire, humainement parlant, je devrais plus encore que vous être pénétré de terreur; car ce qui cause vos craintes, ce que vous ne voyez pas en moi les vertus et les mérites qu’exigerait une haute dignité pastorale, tandis que pour moi je me sens encore accablé par la conscience des profondes misères qui m’ont fait perdre et dissiper jusqu’aux talents que je tenais de la bonté divine.

Dès lors, comment se fait-il, puisque je connais d’une part toute mon insuffisance, et d’autre part les difficultés immenses et exceptionnelles, au milieu desquelles j’assume le fardeau de la responsabilité pastorale; comment se fait-il que je ne me sois point soustrait à cette dignité, alors que j’aurais eu tant de raisons à faire valoir pour motiver un refus?

Mes Frères, ceux d’entre vous qui ont la foi auront déjà au fond de leur cœur trouvé la réponse à cette question. J’ai accepté, car j’ai foi que lorsque c’est le Seigneur qui appelle, c’est lui aussi qui ensuite règle et conduit toutes choses. J’ai accepté, car j’ai confiance que la vertu divine n’exige de nous ni sagesse, ni puissance, ni talents, mais seulement une volonté droite et soumise, et qu’elle peut, au moyen des instruments les plus misérables, mener à bonne fin les œuvres les plus merveilleuses. C’est par cette vertu que douze simples

pêcheurs gagnèrent le monde entier à l'Evangile du Christ et fondèrent, par leurs efforts, cette sainte Eglise catholique, contre laquelle les portes de l'enfer ne prévaudront jamais. Or, l'efficace de cette vertu divine ne change point, car Jésus-Christ est le même hier et aujourd'hui, et dans tous les siècles. Ayons donc seulement la foi des apôtres, et le Seigneur ne manquera pas d'opérer en nous des merveilles semblables aux leurs, malgré toute notre indignité. Je dirai plus: l'aveu sincère de notre propre impuissance est une condition indispensable pour que le Seigneur daigne faire de nous l'instrument de ses miséricordes, car c'est un Dieu jaloux, et il ne souffrirait pas qu'un homme, quel qu'il fût, revendiquât la gloire de ses oeuvres, et voilà pourquoi, parmi ceux qui sont appelés à prendre soin de la vigne du Seigneur, „il se trouve peu de sages selon la chair, peu de puissants et peu d'illustres; mais Dieu a choisi les moins sages selon le monde pour confondre les sages; il a choisi les faibles selon le monde pour confondre les forts; il a choisi les plus vils et les plus méprisables selon le monde, et ce qui n'était rien, pour confondre ce qui est, afin que nul homme ne se glorifie devant lui" (I. Chr., ch. I. v. 26. 29).

Connaissant ces voies du Seigneur, et amené par la conscience de lourdes fautes à reconnaître ma propre misère, je me borne à demander ardemment à Dieu d'augmenter en moi la vertu de la foi, assuré que si j'en avais autant qu'un grain de sénevé, je saurais faire face aux difficultés de la position actuelle avec le même succès que les Léon, les Grégoire, les Augustin, les Adalbert, les Stanislas, les Charles Borromée, les Francois de Sales et tant d'autres pasteurs selon le coeur de Dieu, qui ayant vécu au milieu de circonstances encore plus difficiles, ont su s'acquitter du gouvernement spirituel que la Providence leur avait confié, à la gloire et à la grande utilité de l'Eglise. Il me serait impossible de vous dire et de vous promettre à l'avance ce que je ferai et comment je le ferai au milieu de vous; celui-là, même qui connaîtrait parfaitement les besoins locaux ne pourrait encore le dire sans presumption, car ce serait s'ingérer dans les secrets de la Providence. Je ne puis non plus exiger, mes très chers frères, que vous m'accordiez dès l'abord votre confiance, car celle-ci ne peut vous être imposée, elle a besoin d'être conquise. Je vous demande seulement de suspendre votre jugement et de rejeter des préventions qui n'ont aucun fondement. Attendez que mes actions me fassent connaître mieux que ne le pourraient mes paroles, vous suivrez ainsi le conseil du Sauveur disant que l'on reconnaît l'arbre à ses fruits.

Mais ne pensez pasmes, très chers frères, parceque je vous suis inconnu, que par cela même je vous sois étranger. Joseph aussi, bien qu'il n'eût pas été reconnu par ses frères, ne leur était cependant pas étranger: au contraire. Dieu l'avait envoyé en Egypte afin qu'ayant fait d'amples provisions, il fût à même

de venir en aide à ses frères pendant la famine. Et de même que Joseph était attaché à la maison de Jacob par le triple lien de la foi, de la nationalité et de la parenté, je suis lié à vous par ce triple lien.

Et d'abord nous sommes unis par l'amour commun de l'Eglise, de cette sainte mère qui nous a nourri du même lait, de la doctrine divine. Sa pierre de touche de cet amour pour l'Eglise, c'est le respect, l'attachement et la soumission à N. S. P. le Pape; aussi ai-je la confiance que les Polonais demeureront fidèles dans le moment actuel, comme ils l'ont toujours été, au Saint-Siège Apostolique, et qu'ils ne se laisseront détourner par aucun sophisme de cette vertu qui est l'héritage de nos ancêtres. Quant à moi, je confesse devant Dieu et devant les hommes que la prospérité de l'Eglise et l'indépendance de la chaire de saint Pierre, qui en est inséparable, sont à mes yeux les plus graves des intérêts de ce monde. Non seulement parce que, en vertu de ma vocation et de mon ministère, je dois, avant tout, prendre soin de l'état de l'Eglise, mais encore parce que c'est à l'Eglise de Jésus-Christ que tous les intérêts personnels, sociaux et même politiques viennent converger, comme à leur foyer commun, où ils puisent la vie et là force. Aussi plein de cette conviction, je n'hésite pas à répéter en m'adressant à l'Eglise les paroles que David adressait à Jerusalem: „Si je t'oublie, Jérusalem, que ma droite s'oublie elle même! que ma langue s'attache à mon palais si je ne me souviens pas de toi, si Jérusalem n'est pas toujours ma première joie!” (Ps. 136. V. 6—8).

L'amour de mon pays est également un sentiment sacré, que j'ai comme vous sucé dans le sein de ma mère et que je ne renierai jamais. Je suis Polonais et je désire mourir Polonais; car c'est ce que m'imposent les lois divines et humaines. J'envisage notre langue, notre histoire nos moeurs nationales, comme l'héritage précieux de nos ancêtres, que nous avons le devoir de conserver pieusement pour nos successeurs, après avoir enrichi le trésor national au moyen de notre propre labeur. Je me glorifie donc avec vous de nos vieilles vertus polonaises, de la générosité des fils de la Pologne, de leur dévouement, de leur courage et de leur patriotisme. Je voudrais voir revivre l'antique fidélité à l'Eglise et au trône, la loyauté dans l'accomplissement des promesses, la fermeté dans l'adversité, le respect des lois et de l'autorité, la religion du serment, le courage civil ennemi de toute hypocrisie enfin le respect des convictions d'autrui alors même qu'elles sont contraires aux nôtres, pourvu qu'elles soient sincères, car sans cette condition, il n'est pas possible que la vérité s'établisse et que les principes se dégagent. Etant fermement persuadé que de même que le royaume de Dieu ne consiste pas dans la parole, mais dans la vertu, de même aussi le vrai patriotisme ne consiste pas dans de bruyantes démonstrations, mais dans un travail consciencieux et persévérant pour le bien

du pays; je désire de tout mon coeur que nous entrions enfin dans la voie du développement pacifique de la vie intérieure et des ressources nationales, lequel sans nuire à aucun intérêt essentiel, augmente chaque jour la prospérité du pays. J'ai la confiance que du moins la partie la plus raisonnable de la nation n'a manquera par de suivre cette voie. Cependant, si, par une aberration d'esprit aussi déplorable que pernicieuse, une génération inexpérimentée se laissait entraîner par de coupables agitateurs dans des voies anti-religieuses et anti-sociales, dans ce cas, quoiqu'il ne me fût pas possible de les y suivre, je ne lancerais pas l'anathème contre les égarés, mais d'un coeur paternel bien que déchiré, j'élèverais ma voix vers Dieu pour lui dire avec Moïse; „Seigneur, ou bien pardonnez-leur cette faute, ou bien si vous ne le faites point, effacez-moi main-tenant de votre livre, que vous avez écrit”. (Ex. c. XXXII, 32). Et peut-être le Seigneur, qui pardonna aux Israélites leur idolâtrie, pardonnerait-il aussi à ma nation son idolâtrie politique, et daignerait-il la ramener dans le chemin de la foi et de la vertu.

Ce devoir de parler le sort de ma nation dans la fortune adverse, comme dans la prospérité, ce n'est pas seulement le sentiment national qui me l'impose, c'est bien plus encore le bien de parenté spirituelle qui m'unit désormais à vous d'une manière indissoluble, par la charité pastorale. Le bon pasteur est obligé de rapporter au bercail sur ses propres épaules la brebis égarée, et s'il ne peut l'arracher au loup ravisseur, alors il doit, ainsi que le veut l'Evangile, donner son âme pour ses brebis plutôt, que de sauver sa vie par une fuite honteuse, en les abandonnant à leur perte. Aussi, malgré ma misère et la fragilité qui m'ont fait manquer tant de fois et si gravement à des convictions intimes, j'ose cependant, me confiant à la grâce divine qui soutient les hommes de bonne volonté, prendre envers vous, mes très chers frères, l'engagement solennel que, de même qu'avant toute entreprise importante, je ne cesserai de vous avertir et de vous conjurer à temps et à contre-temps de ne rien faire contre la loi divine ou contre la loi humaine; de même, après l'évènement, je ne me refuserai jamais à en partager avec vous les conséquences, fussent-elles être les plus rudes, dans l'espoir que le Seigneur daignera peut-être accomplir dans vos coeurs, durant l'adversité, le changement que ma sollicitude pastorale n'aura pas réussi à produire par la voie de la persuasion.

Je n'ai pas besoin, je pense, d'ajouter qu'en parlant de tolérance envers les égarés, je n'entends parler que des hommes dont la volonté est droite car pour les hypocrites pervers, qui ne craignent pas de pousser à la perte l'inexpérience d'autrui, tout en ayant la conscience du mal qu'ils font, ce serait un péché de les tolérer, et à plus forte raison de prendre une part quelconque à leurs actes. „Car quel lieu peut-il y avoir entre la justice et l'iniquité? quelle union entre

la lumière et les ténèbres”. (II. Cor., VI, 14). Ainsi donc, quiconque, agissant dans des vues personnelles, ou dans l'intérêt d'un parti, tend des pièges au patriotisme de la jeunesse, et abuse de son inexpérience pour la pousser en faisant appel à son amour de la patrie, au renversement de la foi et des institutions sociales, ou bien à une effusion de sang fratricide; celui là doit non seulement être mis au pilori de l'opinion, publique mais encore il faut absolument que, comme un membre gangrené et pestilentiel, il soit séparé du reste du corps demeuré sain, car il est de ceux dont l'Apôtre de la charité dit: „Ne le recevez pas dans votre maison, et ne le saluez pas même, car celui qui le salue participe à ses mauvaises actions”. (II. ép. S. Jean. V, 10).

Je sais bien, mes très chers frères, que plusieurs d'entre vous m'adresseront le reproche de semer la zizanie et la discorde parmi des compatriotes qui aujourd'hui sont unis entre eux par le lieu d'une intime concorde. Mais je vous l'assure, tant que tous nous ne serons pas devenus lumineux, la discorde ne cessera pas de subsister dans les coeurs, alors même qu'elle prendrait à l'extérieur le masque de la concorde. Quant à moi, Mes Frères bien-aimés, ce n'est pas la sagesse humaine, mais la sagesse divine, que je suis venu vous prêcher: or, la parole de Dieu est un glaive à deux tranchants, qui partout et toujours sépare la vérité de l'erreur; car, comme le dit l'Apôtre: „La parole de Dieu est vivante et efficace et plus pénétrante qu'une épée à deux tranchants, et elle entre et atteint jusqu'à la division de l'ame et de l'esprit, jusque dans les jointures et la moëlle; elle démêle les pensées et les mouvements du coeur”. (Heb. IV, 12). Et le Sauveur, après avoir averti que le devoir de porter témoignage à la vérité est une condition tellement nécessaire au salut que celui qui le renierait devant les hommes, Jésus-Christ le renierait devant son Père céleste, continue ainsi: „Ne pensez-pas que je sois venu apporter la paix sur la terre: je ne suis pas venu apporter la paix mais le glaive. Car, je suis venu séparer l'homme de son père, la fille de sa mère, et la belle fille de sa belle mère, et les ennemis de l'homme seront les propres serviteurs. Celui qui aime son père ou sa mère plus que moi n'est pas digne de moi, et celui qui aime son fils et sa fille plus que moi n'est pas digne de moi. Celui qui ne prend pas la croix n'est pas digne de moi”. (Mat. X. 34—38). Ainsi, pour que notre amour soit digne de Jésus-Christ, il faut qu'il soit en tout soumis à la sainte volonté, qu'il porte avec soumission la croix que lui impose le Seigneur et qu'il soit attentif à imiter le divin Maître en toutes choses.

Moi aussi, Mes Frères bien-aimés, je désire la réunion des esprits et des coeurs de tous ceux qui portent le nom de Polonais; mais je désire qu'ils s'unissent autour du principe divin, immuable: car c'est là la seule union qui promette de la durée: tout autre, en sacrifiant l'esprit à la forme, ne conduit

qu'à des concessions pernicieuses faites à l'erreur par la vérité. Je n'ignore pas que l'appel que je fais ici provoquera plus d'une menace; car le terrorisme de l'opinion a malheureusement remplacé chez nous le courage civil de nos pères, qui savaient soutenir franchement leurs convictions aussi bien par devant le Trône et au sein du Sénat que dans les Diètes nationales. Aujourd'hui, il en est beaucoup parmi nous dont la pensée est autre, et qui préfèrent plier leurs discours à des formules qu'ils se laissent imposer, parce qu'ils ont peur, des menaces d'un petit nombre d'audacieux. Moi aussi, mes chers frères, je l'avouerai franchement je ne suis pas sans craindre les repressailles d'hommes que la passion égare; car pour eux, il ne leur est pas difficile d'en venir des paroles aux actions: mais comme je crains infiniment plus le Seigneur, je préfère m'exposer au courroux de ceux qui, après avoir tué le corps, ne peuvent plus me faire aucun mal, que d'offenser Celui qui peut précipiter le corps et l'âme en enfer pour l'éternité. Si je touche cette corde, mes très chers frères, ce n'est pas que je nourrisse d'aussi sombres pressentiments; bien au contraire, j'aime à espérer pour vous et pour moi-même un avenir plus prospère: mais c'est parce qu'il faut se tenir prêt à tout événement lorsque, dans des temps agités, l'on veut demeurer fermement attaché à des principes au lieu de suivre des partis.

Mais c'est avec vous surtout que je désire m'entendre et, m'unir dans un amour commun pour l'Eglise et la patrie, vous, mes bien-aimés collaborateurs dans la vigne du Seigneur, prêtres de Jésus Christ; car sans votre coopération, mes intentions même les meilleurs, ne seront jamais que des rêves impuissants. Nous ne saurions avoir un champ d'action plus vaste, et qui donne de plus belles espérances que celui qui est ouvert devant nous. Faire revivre la discipline et le zèle primitifs au sein du clergé séculier et des ordres religieux, relever les études dans les écoles et les séminaires, éclairer le peuple et contribuer à l'heureuse solution de la question des paysans, étendre les institutions de miséricorde et de charité et leur donner de plus vastes proportions, mûrir le caractère national par l'exercice des vertus privées et publiques, sans lesquelles aucune société ne peut exister et à plus forte raison ne saurait fleurir, telle est la grande et sublime mission qui nous est départie, et dans l'accomplissement de laquelle les autorités du pays, non seulement ne nous mettront pas d'entraves, mais où elles sont prêtes au contraire à apporter leur concours, car elles sont animées d'un noble désir du bien. Notre auguste souverain nourrit à notre égard les sentiments les plus magnanimes, dont la réalisation dépendra de notre conduite et du rétablissement de la tranquillité. J'ai le cœur pénétré de cette assurance, car moi-même je n'ai eu d'autre titre au choix dont Sa Majesté m'a distingué, que la confiance conçue par elle, que je serai toujours pour

vous mes très chers frères, un bon et vigilant pasteur, selon l'esprit de l'Eglise catholique. Je vous en supplie denc, mes très chers frères, au nom du bonheur et de l'avenir du pays, arrêtez les écarts irréfléchis de ces exaltés à courte vue, qui pour satisfaire aux exigences d'une surexcitation passagère, n'hésitent pas à paralyser le développement organique des forces intérieures de la nation, lequel peut seul assurer à notre pays un avenir prospère. Lorsqu'on s'engage dans la voie de l'insurrection armée, des conspirations et des manifestations, et que le succès vient à manquer, toutes les peines que l'on s'est données sont entièrement perdues. Tout au contraire, dans le travail d'un développement intérieur, la plus faible parcelle vient s'ajouter à la masse générale des ressources nationales, et elle passe comme un héritage sacré à la postérité la plus reculée.

Personne de vous, mes chers frères, ne peut ignorer que toutes les calamités dont notre pays s'est vu frappé étaient de justes châtiments pour les péchés de notre nation, péchés que la justice divine ne pourrait laisser impunis. Le vénérable P. Skarga prédisait, il y a trois siècles, le sort funeste qui devait nous frapper, en indiquant les causes qui nous conduiraient inévitablement à la perte, si la nation ne revenait à résipiscence. Il est donc nécessaire de réparer avant tout cette ruine intérieure, c'est la une condition absolue pour obtenir de Dieu qu'il cesse de nous frapper. Faire pénitence, acquérir les vertus, prier avec ferveur et humilité, avec foi et soumission à la volonté divine, voilà le vrai chemin pour reconquérir la paix et la prospérité nationales. Dans cette voie, chacun peut travailler sans distinction de condition d'âge ni de sexe; mais plus quelqu'un s'élève dans la perfection chrétienne, plus son action devient efficace. Le Seigneur ne s'est-il pas montré disposé à pardonner au péchés des habitants de Sodome en faveur des mérites de quelques justes? Pourquoi des saints sortis de nos rangs ne fléchiraient-ils point à leur tour Son courroux, aussitôt que, du sein de notre nation, leur voix s'élèveraient en grand nombre pour le prier et le bénir.

A l'oeuvre donc, mes Frères, à l'oeuvre avec calme et persévérance! Que chacun de nous apporte dans la mesure de ses forces, ne fût-ce qu'un petit caillou, pour la construction sociale, et bientôt nous verrons s'élever devant nos yeux un majestueux édifice. Imitons Esdras et Néhémias, qui ont su restaurer l'ancien temple pour la gloire et l'utilité de leur peuple, plutôt que de suivre ces malheureux habitants de Jérusalem qui, après avoir crucifié Jésus-Christ, ont vainement essayé de s'opposer à la puissance des Romains. Leur crime appelait nécessairement la vengeance divine et voilà pourquoi malgré les efforts les plus héroïques, ils furent atteints par le bras de Titus, qui les frappa, non par sa propre vertu, mais par celle du Très-Haut. Notre mot d'ordre et de ralliement sera donc désormais: „Edifier et non démolir, travailler et non s'agiter; et

pourvu que nous fassions toute chose avec Dieu et en Dieu, Dieu aussi sera avec nous, Enfin, mes Frères, tout ce qui est vrai, tout ce qui est honnête, tout ce qui est juste, tout ce qui est saint, tout ce qui est aimable, tout ce qui donne une bonne réputation, tout ce qui est vertueux tout ce qui est estimable dans la conduite, que ce soit là votre méditation". (Philip. IV, 8). Et que la paix du Seigneur, qui surpasse tout sentiment, garde vos coeurs et vos pensées, en Jésus-Christ. Ainsi soit-il.

**Listy ks. Gorczakowa, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych,
do ks. Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego**
(Kopia z oryginału).

1.

St. Petersburg, le 12 Février 1862⁵¹²

Monseigneur.

J'ai eu l'honneur de recevoir la lettre que Votre Excellence Révérendissime a bien voulu m'adresser sous la date du 9 Février.

Avant tout je Vous remercie sincèrement pour cette: preuve de confiance. Je ne saurais mieux Vous témoigner combien je l'apprécie, qu'en y repondant avec la même franchise.

Vous avez reçu, Monseigneur, des impressions pénibles à Votre arrivée à Varsovie. Votre lettre s'en ressent. Jusqu'à un certain point je pouvais m'y attendre; car il y a trop de personnes intéressés à Vous représenter la situation du pays sous des couleurs sombres.

Je comprends que le caractère le plus ferme puisse être momentanément ébranlé, et la perspicacité la plus éclairée troublée, lorsque tous les jours les mêmes efforts se dirigent vers le même but. Mais laissez moi aussi conserver la conviction que ces impressions éphémères se dissiperont lorsque Vous ne Vous arrêterez plus à la superficie des choses et que Vous voudrez bien réunir les souvenirs que Vous avez dû emporter de St. Pétersbourg.

L'état de siège avec ses rigueurs obligées, peut être même avec quelques excès de zèle de la part des autorités locales, n'est pas fait pour rassérénir l'esprit. Il froisse trop d'intérêts, il comprime trop de passions, déjoue trop d'espérances coupables, pour que tous ceux qui en souffrent comme ceux qu'il

⁵¹² Ortografią oryginału zachowujemy bez zmiany. Daty rozumie się według kalendarza juliańskiego. Dzień 12 lutego odpowiada naszemu 24.

désappointe, ne s'attachent pas à en exagérer les conséquences réelles. C'est ce que j'appelle Monseigneur, la superficie des choses. La réalité, ce qui importe pour le bien être et l'avenir du Royaume, ce sont les inspirations généreuses du coeur de l'Empereur, des intentions bienveillantes se fasse attendre, et la ferme résolution de nôtre Auguste Maître de maintenir et de développer tout ce qui sert les véritables intérêts du pays.

Vous avez eu le bonheur d'approcher notre Auguste Maître. Vous avez recueilli de Sa propre bouche l'expression des intentions qui L'animent, de Son respect pour la liberté de la conscience religieuse, de Sa disposition enfin à réunir dans la même affection Ses sujet du Royaume comme ceux de l'Empire.

Voilà Monseigneur, les vérités auxquelles je Vous supplie de rattacher Votre confiance dans l'avenir et de subordonner Votre appréciation du présent.

La position du pays, dites-vous, est insoutenable. Celle de l'autorité jusqu'à l'établissement de l'état de siège l'était à un degré beaucoup plus sérieux. Elle avait été tendue telle par des provocations incessantes, se prolongeant des mois entiers, par une tolérance déplorable du pouvoir local, qui avait fini par donner aux agitateurs un brevet d'impunité. Or, le sommeil de l'autorité tourne toujours finalement au détriment des administrés. En y mettant un terme, le Souverain remplit le premier de Ses devoirs. Il est possible, je le répète, que des excès de rigueur aient eu lieu et peut être se reproduisent encore. C'est le sort de la fragilité humaine à laquelle moins qu'un autre Votre Excellence Révérendissime refusera le manteau de la charité Chrétienne. Mais certes il n'est pas de la volonté de notre Auguste Maître que la situation exceptionnelle entraîne plus de sévérité que ne l'exige le maintien de l'ordre et toutes les fois que des circonstances aggravantes démontrées parviennent à la connaissance de Sa Majesté, Ses ordres prescrivent d'aviser aux remèdes.

Dans les vœux que Vous exprimez, Monseigneur, quant au Royaume, veuillez permettre qu'usant de la franchise que Vous me connaissez, je range dans une catégorie tout à fait secondaire les costumes, les couleurs et les aigles blanches. En y cosentant, le Gouvernement ne contribuerait absolument en rien au bien être réel des parties intéressées, il ne ferait qu'encourager des aspirations, dont le but final est connu, et entretenir des espérances, dont la réalisation est impossible. Je n'attache aucune valeur sérieuse à ces signes extérieurs. Aujourd'hui que les passions sont loin d'être calmées, où les partisans d'une indépendance absolue guettent chaque pas du Gouvernement, ce serait un symbole, et un symbole dont la signification ne manquerait pas d'être interprétée dans le sens des calculs les plus exagérés. Demandez au Gouvernement équité, impartialité, bienveillance; mais ne lui demandez pas de jouer une comédie, qui ne créerait que des victimes.

Je n'entrerai pas dans tous les détails qu'aborde Votre Excellence Révérendissime. Je La supplierai de les ramener à la connaissance qu'Elle a des

intentions générales de notre Auguste Maître. Elles sont immuables, quant au bien de l'Eglise et au bonheur de ses sujets Polonais, mais leur application pratique et le degré de leur développement dépendent nécessairement des dispositions manifestées en retour par le pays.

Un beau rôle Vous est réservé Monseigneur. L'éminence de Vos fonctions religieuses Vous assure un ascendant prépondérant sur Vos ouailles; la confiance de l'Empereur dont Vous avez eu un témoignage éclatant, Vous fournit le moyen d'opérer le bien sur une grande échelle. Vous resterez fidèle à cette vocation. J'aime à en conserver le ferme espoir. Vous saurez résister aux efforts de ceux qui aspirent à faire de Vous un instrument politique de leurs passions et à Vous amoindrir en abusant des fibres généreuses du cœur humain. Votre tâche est difficile, j'en conviens. Tous les regards épient chacun de Vos pas, mais il n'est pas de tâche irréalisable dans la voie du bien. Le Seigneur n'a jamais refusé la force à ceux qui se placent dans cette voie.

Je ne doute pas que l'autorité supérieure du Royaume Vous témoigne tous les égards et toute la déférence qui sont dûs à la position que Vous occupez et à Votre caractère personnel.

Nous en avons déjà la preuve dans l'accueil qui a été fait à quelques unes de vos demandes pour la remission de peines à des ecclésiastiques et ce que Mr. l'Aide de Camp Luders mande sur l'impression qu'il a recue de ses premières relations avec Vous me semble du meilleur augure.

Nos rapports avec le St. Siège continuent à être excellents. Le St. Père se montre très reconnaissant de dispositions de notre Auguste Maître à l'égard de l'Eglise Catholique. Les sièges vacans ne tarderont pas à être remplis. Nous nous occupons du choix des dignitaires qui va être soumis confidentiellement ainsi qu'il est d'usage, à l'approbation préalable du Pape. Le retard dans la désignation du Prélat destiné d'abord à une mission temporaire près de notre Cour, mission qui plus tard serait convertie en Nonciature permanente, ne tient qu'aux soins apportés par le St. Père au choix de cet individu pour qu'il soit à la fois utile et agréable aux deux parties. Je vous prie, Monseigneur, de me considérer entièrement à Votre disposition toutes les fois que Vous me jugerez une comme intermédiaire de Vos vœux, surtout pour ceux qui se rattachent aux intérêts qui Vous sont spécialement confiés. En disposant ainsi de moi Vous me prouverez que ma franchise ne Vous a pas déplu. Pour ma part, je m'estimerai heureux d'apporter mon obole au bien que nous désirons en commun.

Je prie Votre Excellence Reverendissime d'agréer l'hommage de mon profond respect et de mon sincère dévouement.

Gortchakow.

2.

St. Petersburg le 18 Fevrier 1862⁵¹³.

Monseigneur.

Je m'empresse de répondre à la lettre, que Vous m'avez fait l'honneur de m'adresser sous la date du 12/24 courant.

J'ai rempli le devoir de la soumettre à Sa Majesté l'Empereur.

L'estime particulière qu'inspire à notre Auguste Maître le caractère de Votre Excellence Reverendissime, engage Sa Majesté à abandonner à Votre propre jugement l'opportunité, soit de publier, le mandement, tel qu'il a été arrêté ici, soit de Vous abstenir de toute publication de cet acte. Vous Vous appellerez Monseigneur, que ce mandement ne Vous a été ni suggéré ni imposé. Les modifications qui Vous ont été proposées et que Vous avez acceptées, ne porteraient que sur des nuances de rédaction. C'était un acte spontané, expression de Vos convictions personnelles que l'Empereur a hautement apprécié.

Mais après que ce document a été reproduit textuellement dans un journal étranger, connu pour son hostilité systématique contre la Russie, Sa Majesté ne saurait reconnaître la convenance d'une publication modifiée ou tronquée. Elle donnerait lieu à des suppositions qui ne seraient pas d'accord avec la vérité.

Le texte de l'allocution, que Vous avez prononcée, nous a été transmis par Mr. l'Aide de Camp Gal Luders. L'effet moral auquel elle était destinée, ayant été produit, nous ne voyons pas l'utilité, que pourrait avoir sa publication. Si cependant Vous y attachez de l'importance, l'Empereur ne trouverait pas d'inconvenient à ce qu'elle fût reproduite, mais dans ce cas Sa Majesté jugerait plus conforme à Votre dignité qu'elle ne fût accompagnée d'aucun préambule.

Quant au mandement que Vous proposez, afin de rappeler à l'occasion du carême les obligations qu'impose cette période de jûne et de mortifications, il depend de Votre Excellence Révérendissime de la publier conformément au voeu que Vous exprimez Vous même, celui de Vous renfermer de préférence pour le moment dans la sphère ecclésiastique.

Le soin de maintenir la discipline parmi le Clergé et le respect des préceptes de l'Église, trop souvent violés à Varsovie ces derniers temps, offre un vaste champ à Votre conscience et à Votre intelligence. Notre Auguste Maître sait, Monseigneur, que Vous appréciez toute la grandeur de Votre tâche. Sa Majesté a la confiance que par la pureté des Vos intentions et l'élévation de Vos sentiments, Vous Vous maintiendrez à la hauteur de cette mission, et

513 Według kalendarza Gregoriańskiego d. 2 marca.

que Vous saurez la remplir, en travaillant à éclairer, à guider l'opinion, à en réprimer les entraînements et à ramener parmi les masses le calme et l'esprit de conciliation qu'ont bannis les passions politique.

Dans cette voie Votre Excellence Révérendissime peut compter sur le concours le plus cordial du Gouvernement. Veuillez agréer, Monseigneur, l'assurance de ma haute considération

Gortchakow.

3.

St. Petersbourg, le 7 Mai 1862⁵¹⁴.

Monseigneur.

La franchise avec laquelle Votre Excellence Révérendissime m'a écrit à diverses reprises, non seulement m'autorise, mais je crois m'impose l'obligation d'une loyale réciprocité. Je pense que dans cette voie nous nous donnons un témoignage mutuel d'estime et que nous servons la cause à laquelle nous sommes appelés.

Votre mémoire vous rappellera sans doute, Monseigneur, les paroles confiantes de l'Empereur, les pensées échangées entre nous deux et les dispositions dans lesquelles Vous aviez quitté Petersbourg. Tout cet ensemble devait tourner à l'avantage de l'Eglise à laquelle Vous appartenez et Vous traçait un rôle que Vous pouviez remplir sans gêner les scrupules de Votre conscience, tout en Vous faisant une large et glorieuse part dans l'accomplissement de Vos devoirs de Pasteur.

Je n'aime pas les récriminations. Le respect que je professe pour Votre caractère religieux et pour Vos qualités personnelles me les aurait d'ailleurs interdits.

Si je me promets une légère recapitulation de faits, ce n'est point à titre de grief, croyer le bien, Monseigneur; c'est un simple appel de Vous à Vous même.

Vous aviez rédigé un Mandement selon Vos propres inspirations. Ce Mandement avait passé sous les yeux de l'Empereur et recue la sanction de Sa Majesté.

Arrivé à Varsovie Vous Vous ravisez et Vous demandez avec instance d'être dispensé de son publication. Notre Auguste Maître défère à ce vœu. En m'exprimant la reconnaissance que Vous en éprouvez, Vous me dites que désormais Vous voulez Vous renfermer strictement dans la partie religieuse des

514 Według kalendarza Gregoryńskiego d. 19 Maja.

devoirs qui Vous sont confiés et rester complètement étranger à la politique. L'Empereur donne également Son adhésion à cette manifestation de Votre propre désir.

Qu'est-il donc arrivé depuis pour Vous faire changer d'opinion? Ici nous nous occupons consciencieusement à écarter les obstacles qui pourraient entraver les mouvements réguliers des serviteurs de l'Eglise Catholique Romaine, autant que cela est possible avec le maintien de nos lois fondamentales.

Au milieu des épreuves pénibles qui assaillent le trône Pontifical, dans la crise décisive que traverse l'autorité du Pape, l'Empereur donne au St. Père un témoignage de déférence et d'intérêt, dont la portée n'aura pas échappé à Rome.

Sa Majesté reste ferme dans l'intention de protéger Ses sujets Catholiques à l'égal de ceux qui partagent Sa foi; Sa Majesté veut que la liberté du culte n'ait d'autre limites que celles au delà desquelles elle ferait descendre dans l'arène des passions et porterait ainsi atteinte au caractère sacré de la religion.

Sommes-nous secondés dans cette tâche qui n'est pas sans difficultés?

De Rome on essaye de renverser directement les bases fondamentales de la législation de l'Empire, bases qui nous sont communes avec la plupart des Etats purement catholiques.

L'on remet ainsi imprudemment sur le tapis la question brûlante du pouvoir spirituel et de celui temporel et l'on se constitue l'alliée des adversaires du Gouvernement Pontifical, qui s'attachent à prouver l'incompatibilité de ces deux pouvoirs pour le repos et la tranquillité intérieure des autres Gouvernements.

J'aime à croire que cette erreur ne sera pas de longue durée et que les explications cordiales mais sérieuses dont l'Empereur a chargé Son Représentant près de St. Siège éclaireront Sa Sté sur Sa véritable position et ses véritables intérêts.

Votre Excellence Révérendissime a eu sous les yeux le texte de ma lettre à Mr. Kissélew. J'ai prié Mr. le Gl. Lüders de Vous donner cette preuve de confiance de ma part.

A Varsovie un bref ou une lettre du Pape à Votre Excellence Reverendissime qui ne devait pas Lui parvenir par cette voie, a reçu par Vous une publicité devenue une aggravation du fait. Aujourd'hui Le Monde publie une lettre de Votre part qui certainement entre dans le domaine politique, dont Vous même aviez exprimé l'intention de Vous abstenir.

Franchement, Monseigneur, à quoi doit conduire cette lettre sourde, et pardonnez moi l'expression, tracassière?

Vous ne pouvez douter des intentions qui animent l'Empereur, Vous ne disconviez pas non plus, que leur mise en pratique ne peut avoir lieu que par la volonté de notre Auguste Maître. Vous pouvez regretter quelques retards

d'exécution. Je les regrette avec Vous, mais ces retards qui peuvent tenir et qui tiennent en effet à des causes secondaires et accidentelles, doivent-ils nous diviser dans le but que nous poursuivons en commun—je dis en commun, car je ne puis pas Vous en supposer d'autre que celui de servir les intérêts de la Foi que vous professez, tout en respectant les institutions de l'Empire.

Je crains Monseigneur que Vous ne Vous soyez placé sur une pente qui finalement mènerait à des résultats tout opposés. En secondant le pouvoir Souverain dans l'exécution d'une pensée qui devrait être transparente à Vos yeux du moment où Vous auriez compris le caractère du Souverain, que Vous avez approché ce caractère qui se révèle à la première parole, j'oserai dire au premier regard — Vous servez efficacement les intérêts qui Vous sont chers. Divisé, Vous entrerez infailliblement dans une voie étroite, qui frapperait de stérilité les meilleures intentions.

J'ose vous rappeler Monseigneur, que le poste éminent, que vous occupez est le témoignage le plus éclatant de la confiance de l'Empereur. Or la confiance dans une âme comme la Votre doit attirer la confiance.

Je ne dis pas que Vous ne soyez appelé à éclairer parfois le Gouvernement dans la voie où il est entré, mais mon intime conviction est que Votre action ne saurait être réellement utile que si Vous tenant à l'écart des passions éphémères du moment, Vous restez l'auxiliaire du Gouvernement, c. à. d. si Vous lui prêtez un concours qui d'ailleurs ne serait demandé au détriment de votre conscience.

Les sentiments que j'entretiens pour Votre Excellence Reverendissime Lui sont connus. J'ose même croire de Lui en avoir donné des preuves dans un moment décisif. J'ai puisé dans ces sentiments l'obligation de Vous parler avec un entier abandon et une franchise sans réserve. Si dans ma lettre il m'est échappé une expression trop colorée, à mon tour je Vous demande de m'absoudre. Elle ne m'aura été inspirée que par l'estime que je vous porte et par ma respectueuse affection pour votre personne.

Gortchakow.

No 7 (do str. 233).

Mandat szkoły podchorążych w Genui.

(Kopia z druku).

Ponieważ generał Mierosławski zrzekł się dowództwa nad szkołą wojskową polską w Genui, i w jego miejsce przez wygotowany i już doręczony adres,

obrani został generał Wysocki jako jedyny człowiek, który z największym pożytkiem dla kraju na tem stanowisku pozostawać może, aby przeto wybór ten doprowadzić do skutku, uczniowie szkoły na adresie niniejszym podpisani, wybrawszy z łona swego współkolegów: Kurczewskiego, Turczewicza i Rogalińskiego, upoważniają ich do udania się do Turynu, i ze względu na nagłą konieczność, zaproszenia generała Wysockiego do natychmiastowego objęcia naczelnictwa szkoły. Uczniowie szkoły nie udzielają obszerniejszej atrybucyi delegowanym, gdyż sądzą, że ci nie znajdą żadnej przeszkody w wykonaniu misyi. Szkoła bowiem zyskała już za pośrednictwem swej deputacyi sankcyę wyboru osób na sterze rządu włoskiego będących, w której niezmiennosc wierzyć ma prawo. Ponieważ podpisani nikogo innego, jak tylko generała Wysockiego za naczelnika szkoły uznają, deputowani przeto winni są wyrazić to wszędzie, gdzie uznają za potrzebne.

Genua 23 marca 1862.

(Następuje 65 podpisów).

No 8 (do str. 308).

Odezwa oficerów rosyjskich do żołnierzy.

(Kopia z druku współczesnego).

Russkie oficyery sołdatam russkich wojsk w Polsce.

Sołdaty! Żałkoje położenie wasze zastawłajet nas, waszych starszych bratjew, wozwysit' nakoniec gołos. Car poczti niczego nie dajet wam i dawat' nie choczet; żałowanie wasze nicztożno, wy durno odiety, a piszcza wasza jedwa dostatoczna dla tego czto by nie umret' s gołodu; daże poslednije dostojanie wasze — diengi, kotoryje wy wyruczali za niedojediennyj chlieb, bezstydno tiepier otniaty u was. Otorwannyje ot rodiny, ot wsiech bliskich i rodnych waszych, wy słužitie w tieczenii łuczsziej czastii swojej żizni. Mnogie iz was gibnut na służbie ot iznurenia, pobojew i bolieznij, a jesli i udajetsia komu iz was wozwratitsia na rodinu, to dla tego tolko, czto by poslie dwadcat'letniej rozłuki, nie uznat' daże rodnoj izby, nie otyskat' daże mogli rodiczej waszych. Uwieczia i boliezni waszi, sledstwie waszej tiazeloj służby, razie woznagraždajut cziem nibud? Tysiczi sewastopolskich gierojew, pitajuszczichsia koje kak miłostyniej, pust' posłużat primierom tego, czto ożidajet was w starosti. Sołdaty, wy nieszczastny, wy wsiemi ugnietieny! Wy wozbużdajetie uczastie w nas, tiech naczalnikach waszych, kotoryje iskrenno was lubiat; no my odni niczego nie możem dla was sdiełat'. Ot was samich zawisit' tiepier uluczszenie uczasti

waszej; nastał tiepier udobnyj słuczaj, a dowierie wasze k nam, budiet załogom pobiedy. Otcy i bratia waszi wozstali uże protiwi caria i pomieszczikow, sprawiedliwo trebuja siebie ziemi i woli; oni protiagiwajut k wam raki, molia was o pomoszcz. Razwie wy budietie hładnokrownymi zritielami pogibeli wsiech rodnych i blizkich waszych? razwie zachotim zasłužit' sprawiedliwyja proklattia ich? Niet! niet! My sostawim wolnyja družyny i pospieszim w Rossiju na pomoszcz naszim. Wsio czto słužit pomiehoju i społnieniu etogo swiatogo dołga, wsie grabiaszczije i ugniatajuszczije nas dołżny pogibnut'; krow ich da smojet pozor, naniesiennyj imieni russkomu niewinnoj krowiu russkich krestian i Poliakow, prolitoju po ich prikazaniem.

Poliaki gotowy wozstat', podobno otcam i bratiam waszim za swoju woliu, za swoju zemliu. Oni protiagiwajut nam ruku pomoszczii; sojedinimsia s nimi i niczto nie budiet w siłach protiuitsia nam. Naszi wolnyja družyny, poddierżannyja ich družeskimi połkami, projdut po Rossii z klikami torżestwa i swobody. Pobiedy naszije dostawiat woliu i ziemliu otcam, bratiam i dietiam waszim i pozwoľiat wam wozwratitsia k siemiejstwam waszim. My oficery waszi gotowyje słožit' gołowu za swoju i waszu swobodu, za swobodu naroda Russkago i Polskago, powiediem was pri pomoszczi Bożej na eto swiatoje i wielikoje dzieło. Towariszczii! my skażiem wam kogda i czto diełat', nieużeli niedostaniet u was mužestwa pojdti za nami?

Warszawa (18) Jjunia 1862 goda.

Nº 9 (do str. 328).

Odezwa o przyjeździe W. Ks. Konstantego.

(Z druku współczesnego).

Za chwil niewiele w murach miasta Warszawy zjawi się moskiewski carewicz z rodziny mordercy, którego żołdactwo po dwakroć w roku zeszłym rozlało krew niewinną ojców naszych, matek naszych, braci i siostr naszych.

Polacy!

Nie dajcie się uwieść zwodniczym nadziejom i marzeniom. Niechaj serca nasze na głos ułudy i fałszu obietnic moskiewskiego cara pozostaną tak głuchemi, jak głuchemi są groby pomordowanych ofiar. Niechaj żałoba, która nas dotąd okrywa, staje w oczach jego wyrzutem straszliwej zbrodni, a ulice, któremi przejeżdżać będzie, niechaj będą tak puste i smutne, jak smutne są serca matek, których synowie jęczą w pustyniach Orenburga!

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU IV

Rozdział XIII. Nowy arcybiskup. Wielopolski w Petersburgu. Wrażenie, jakie tam zrobił. Widzenie się z księciem Gorczakowem i audyencya u cesarza. Posiedzenia Rady stanu. Debaty nad projektem wychowania publicznego. Głos Lewińskiego. Równouprawnienie żydów. Projekt ks. Majerczaka. Śmierć Tomasza hr. Potockiego. Wielopolski i panna Błudow. Memoryał o rozdziale władzy. Sprawa ks. Białobrzeskiego. Poświadczenie ks. Czajewicza. Propozycja Wielopolskiego. Kandydaci na arcybiskupstwo warszawskie. Ks. Zygmunt Szczyński Feliński, jego przeszłość i charakterystyka. Stosunek ze Słowackim. Wyprawa w Poznańskie. Śmierć Słowackiego. Życie w Petersburgu. Projekt Wielopolskiego o nuncyaturze. Narada cesarza z ks. Gorczakowem. Łubieński i Feliński. Pertraktacje z Rzymem. Konsystorz d. 23 Grudnia. Pośpiech w Rzymie. Dwa widzenia się Felińskiego z cesarzem i ich rozmowy. Prekonizacja. Wrażenie w Warszawie. Wieści i dzienniki. List papieski. Trzecie odwiedzin cesarza. Konsekracja. Wyjazd do Warszawy. Polityka rządu warszawskiego odnośnie do Felińskiego. Jego podróż do Warszawy. Pobyt w Częstochowie. Przybycie do Warszawy. Poznanie się z duchowieństwem warszawskim. Wizyta u Lüdersa i u p. Andrzeja Zamoyskiego. Wieść o otwarciu kościołów. Deputacja akademicka. Karykatury. Spór z Lüdersem. Kwestya ogłoszeń po dziennikach. Ceremonia otwarcia kościoła św. Jana. Mowa Felińskiego. Wrażenie tej mowy. Głosy prasy tajnej i urzędowego „Dziennika Powszechnego”. Mowa Felińskiego w Towarzystwie Dobroczynności. Paszkwil p. t. „Słowo narodu polskiego”. Ingres do katedry. Kazanie Felińskiego. Zakończenie... Str. 1 – 108.

Rozdział XIV. Sfinks polityczny. Wielopolski w Petersburgu. Przyjęcie u cesarza noworoczne. Stosunki margrabiego z kobietami. Cesarzowa i widzenie się z nią. W. ks. Helena Pawłówna. Pani baronowa Meyendorff. Pani hrabina Keller. Zniesienie departamentu do spraw polskich w Radzie państwa.

Kanclerz Nesselrode, Piotr Meyendorff i inni. Życie towarzyskie. Stronnictwa rosyjskie: Zapadnicy i Samobytnicy. Nihilści i ich propaganda rewolucyjna. Stosunki Wielopolskiego z ambasadorami. Polityka Austrii względem Polski. Hr. Bismarck. Ambasador francuzki i angielski. Memoryał Wielopolskiego z d. 15 lutego. Stan wojenny. Rozdział władzy. Duchowieństwo. Historia listu pasterskiego ks. Felińskiego. Jego korespondencja z ks. Gorczakowem. Sprawa nuncjatury. Brewe papieżkie. Wrażenie w Petersburgu i skutki tego dokumentu. Dalsze pertraktacje i ich zakończenie. Otwarcie szkół publicznych i zdanie o tem prasy tajnej. Projekt wychowania publicznego w komisjach petersburskich. Szkoły wyznaniowe i kwestya przymusu szkolnego. Wahanie się w Petersburgu i propozycje czynione Wielopolskiemu. Jego powrót do Warszawy. Położenie ogólne. Aresztowania i ułaskawienia. Sprawa Aleksandra Zamoyskiego. Paweł Felkner. Żałoba i „Fijołki”. Widowiska teatralne. Rady miejskie. Rada w Krasnymstawie. Rady powiatowe i ich działalność. Zakładanie szkółek elementarnych. Postanowienie Rady administracyjnej. Nazimow i hr. Starzeński. Zachowanie się chłopów i ich denuncjacje. Brak monety zdawkowej. Rozbrojenie powszechne kraju. Położenie rzeczy w prowincjach zabranych. Projekt o oczyszczaniu włościan z urzędu. Zwycięstwo Wielopolskiego w Radzie stanu. Postępowanie ks. Felińskiego z duchowieństwem. Ks. Zygmunt Golian. Okólnik arcybiskupa o spowiedzi. Rocznica dnia 8 kwietnia. Wypadki dnia 10 kwietnia. Zarzuty gazet polskich zakononowych i odpowiedź na nie ks. Felińskiego. Zakończenie... Str. 108—202.

Rozdział XV. Łokietek. Komitet miejski i jego program. Zapowiedź powstania zbrojnego. Zebrania komitetu. Projekt organizacyi spisku. Komitet akademicki i jego działalność. Przysięga i składki. Reorganizacya Komitetu akademickiego. Jarosław Dąbrowski. Kółko wojskowe petersburskie. Wysłka Dąbrowskiego do Warszawy. Panna Pelagia Zgliczyńska. Narady w Kole petersburskiem. Powtórny wyjazd Dąbrowskiego do Warszawy. Jego charakter i przezwisko „Łokietek”. Zniesienie Koła. Nowy skład Komitetu miejskiego. Spisek wojskowy. Czasopisma „Wielikorus” i „Zemia i Wola”. Młodzież rosyjska. Agitatorzy warszawscy wśród wojska. Szkoła wojskowa w Genui. Podejrzenia: Zamach na Janczewskiego. Mierosławski opuszcza szkołę. Zaproszenie jenerała Wysockiego. Odrzucenie ks. Marcellego Lubomirskiego. Deputacya do Turynu. Objęcie szkoły przez Wysockiego. Przeniesienie jej do Cuneo. Dyrekcyja Białych. Reprezentacya wszystkich zaborów. Broszura „Zadanie obecnej chwili”. Program Białych. Misya Kołaczkowskiego do Paryża. Fundusz żelazny. Niechęć mieszczaństwa do Dyrekcyi i jej nieczyn-

ność. Wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Aleksander hr. Krukowski i petraktacye z nim Czerwonych. Wiadomości z Litwy, z Wilna, Grodna, Sokółki i Białostoku. Nieudana zasadzka na urzędnika intendenty. Organizacja miasta. Dąbrowski pierwszym Naczelnikiem miasta. Usiłowanie połączenia się z Komitetem akademickim. Narady deputowanych obu Komitetów. Rozwiązanie Komitetu akademickiego. Nowy, trzeci z rzędu skład Komitetu miejskiego. Pierwsze jego posiedzenie. Sprawa polska za granicą. Mowa p. Larabit, oraz lorda Russela i Palmerstona. Oznaczenie terminu powstania i jego plan. Komitet miejski trzeciego składu upada. Nowy Komitet (czwartego składu). Agaton Giller. Obrona Dąbrowskiego. Decyzja Komitetu. Porozumienie się z oficerami. Odwołanie powstania. Intrygi Dąbrowskiego i Chmieleńskiego. Oświadczenie wydziałowych. Usunięcie się Majewskiego i Paszkiewicza. Nowy Komitet, piątego składu. Oburzenie Chmieleńskiego. Nowe wybory. Paszkiewicz jeszcze raz wybrany. Groźba Chmieleńskiego. Bronisław Szwarce. Komitet przybiera miano Centralnego narodowego. Uwagi i zakończenie..... Str. 203—284.

Rozdział XVI. Zamach na Lüdersa. Wyjazd Wielopolskiego i Lüdersa do Petersburga. Przyjęcie i wymówki o list papieski. Manifestacye w Warszawie. Zachowanie się policyi. Lampki przed kościołem OO. Kapucynów. Wypadki dnia 3 maja. Aresztowania. Zbrodnia w ratuszu. Arcybiskup w Łowiczu. Powrót do Warszawy i korespondencya z dyrektorem Komisji Oświecenia. Nabożeństwo na Woli. Przerwana wizyta pasterska. Powrót do Warszawy i rozmowa z Lüdersem. Misyja Safianosa. Ogłoszenie po dziennikach. Rozmowa arcybiskupa z duchowieństwem warszawskiem i ks. Mikoszewski. Zaprzestanie śpiewów patryotycznych. Wypadek w Moroczynie. Powrót Białobrzeskiego i manifestacye z tego powodu. Wykrycie spisku wojskowego. Aresztowanie czterech oficerów. Zamiana depesz i rozkaz ministra wojny. Wielopolski w Petersburgu. Wahanie się, komu powierzyć namiestnictwo. Nadzieje Wielopolskiego. Kandydatura Mikołaja Milutyna. Niechęć jego w jej przyjęciu. Wieści o spisku wojskowym. Pożary w Petersburgu i ich skutek. W. ks. Konstanty namiestnikiem Królestwa. Wrażenie w Warszawie. Odezwa rewolucyjna. Mowa Lüdersa w Radzie stanu. Ustawa o wychowaniu publicznem. Szkoły elementarne. Gimnazyja. Politechnika w Puławach. Szkoła sztuk pięknych. Szkoła główna. Opinie w kraju o ustawie szkolnej. Prawo o oczyszczaniu z urzędu. Ukaz o równouprawnieniu żydów. Powrót Wielopolskiego do Warszawy. Rozmowa z p. Fournier. Kazimierz Krzywicki. Nominacya Edwarda hr. Kellera na dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Zdanie Czerwonych

o reformach. Mowy przy instalacji Krzywickiego. Sprawa oficerska. Śledztwo. Wyrok i jego wykonanie. Odezwa do żołnierzy rosyjskich. Nabożeństwo za rozstrzelanych. Postępek Chrulewa. Zamach na Lüdersa. Andrzej Potebnia. Strzał. Zachowanie się Potebni. Artykuł „Gazety warszawskiej”. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Artykuł „Strażnicy”. Wieści o zamachu w Petersburgu. Telegram cesarza. List Wielopolskiego do W. ks. Konstantego. Po-
stanowienie wyjazdu. List ks. Gorczakowa. W. ks. Konstanty, jego przeszłość i charakterystyka. Zakończenie..... Str. 285—380.

Dokumenta.

- No 1)* Odezwanie się Michała Lewińskiego na wniosek Kruzensterna, aby w szkołach ewangelickich po niemiecku wykładano nauki... Str. 381.
- No 2)* Wiersz do arcybiskupa Felińskiego. Str. 382.
- No 3)* Odezwa z powodu otwarcia kościołów. Str. 382.
- No 4)* Słowo narodu polskiego do JE. X. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego. Str. 383—392.
- No 5)* List pasterski Arcyb. Felińskiego. Str. 392—399.
- No 6)* Listy ks. Gorczakowa do Arcybiskupa warszawskiego Felińskiego. Str. 400—406.
- No 7)* Mandat szkoły podchorążych w Genui. Str. 407.
- No 8)* Odezwa oficerów rosyjskich do żołnierzy. Str. 407—408.
- No 9)* Odezwa o przyjeździe W. ks. Konstantego. Str. 408—409.

HISTORIA DWÓCH LAT

1861 — 1862

PRZEZ

Z.L.S.

CZEŚĆ DRUGA
Rok 1862

Tom V
Lipiec - Grudzień

KRAKÓW
1896

„A zatem, o! Glaukonie, kto zamyśla o wojnie, musi dobrze znać siły swojego narodu i nieprzyjaciół, aby stosownie do nich zachęcać do wojny, jeżeli się jest mocniejszym, a doradzać roztropność, jeżeli się jest słabszym.”

(Ksenofont, Memorabilia).

„Gdy się żyje w czasach, w których namiętności kierują sprawami, nie tyle trzeba uważać na to, co mówią ludzie rozsądni i doświadczeni, jak na to, co zajmuje wyobraźnię marzycieli.”

(Tocqueville, Mélanges, fragments historiques).

ROZDZIAŁ XVII

Niemy król.

Pełnomocnictwo W. ks. Konstantego. Pertraktacje Wielopolskiego z Białymi i Karolem Majewskim. Zamiary Chmieleńskiego i jego popleczników. Ludwik Jaroszyński. Rozmowa z Chmieleńskim. Drugie z nim widzenie się. Przyjazd W. ks. Konstantego. Zamach Chmieleńczyków na Komitet centralny. Powrót Jaroszyńskiego i Rodowicza. Wjazd W. ks. Konstantego do Warszawy. Przyjęcie w Łazienkach. Mowa ks. Felińskiego w Katedrze. Jaroszyński przed cerkwią i Katedrą świętojańską. Zamach w sieni teatralnej. Zachowanie się Jaroszyńskiego. Wrażenie wywołane zamachem. Narada w Konsystorzu. Rozmowa W. księcia z arcybiskupem w Belwederze. Mowa W. księcia do zebranych i scena z Zamoyskim. Streszczenie mowy przez „Dziennik powszechny” i plotki. Rady dawane W. księciu. Niemy król. Nabożeństwo w archikatedrze i mowa ks. Felińskiego. Pogłoski. Zamiar p. Ludwika Górskiego. Zebranie i adres. Widzenie się z p. Andrzejem. Górski i Kurtz udają się do Wielopolskiego. Rozmowa z tymże. Jego warunki nazajutrz. Odrzuca adres. Postawa Zamoyskiego. Zamyśl adresu i deputacyi upada. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Napoleon III i prasa zagraniczna. „Dziennik poznański”. Zachowanie się prasy polskiej jawnej i tajnej. Życie domowe W. księcia. Chreptowicz, Wrześniowski i Tęgoborski. W. księżna, jej zamiary i imieniny. Urodziny syna Wacława. Ofiary i łaski. Chrzest Wacława. Straż wojskowa dla W. księcia. Wizyty i przejażdżki W. księcia. Żydzi i podatek koszerne. Położenie prasy. Projekt Krzywickiego. Zakaz dziennikom pomieszczania artykułów wstępnych. Artykuł „Gazety szląskiej”. Oczyszczanie urzędów. Dymisy i nominacje. Paulucci i Podwysocki. Dymisy prezydenta Wojdy. Życie domowe Wielopolskiego. Przyjęcia poniedziałkowe. Państwo Keller. Artykuł w „Indépendance belge”. Projekt Sądu głównego. Wydział duchowny. Zwiększenie etatu konsystorskiego. Seminarium. Projekt dotyczący duchownych, oskarżonych o zbrodnię stanu. Sprawa małżeństw mieszanych. Śledztwo w sprawie zamachu na W. księcia. Jaroszyński zrazu odmawia wszelkich zeznań, wreszcie przyznaje się. Oddany pod sąd polowy. Sąd publiczny. Obrona mecenasa Grobickiego. Wyrok i odpowiedź audytoryatu wojskowego. Zatwierdzenie wyroku i wrażenie, jakie on wywarł. Zakończenie.

Wielki książę Konstanty przybywał do Warszawy z bardzo obszerne-
mi pełnomocnictwami, jakich żaden z namiestników nie posiadał;
nominacja jego miała być, jak się reskrypt cesarski wyrażał, „no-
wym i istotnym dowodem troskliwości monarszej o pomyślność poddanych
Królestwa Polskiego”. W tymże samym dniu, 8 czerwca, w którym nastąpiła
ta nominacja, wydaną została nowa instrukcja dla namiestnika, gdyż według

jej słów, dawne z r. 1818 „pełnomocnictwo monarsze nie odpowiada już obecnym okolicznościom”. Prócz tego koniecznem było uregulowanie stosunku namiestnika do nowej, nieznanej dotąd w rocznikach Królestwa kongresowego władzy, Naczelnika rządu cywilnego. Zaszły przytem poważne zmiany i w zarządzie wojskowym. Dotąd, od czasu Paszkiewicza, namiestnik był zarazem wodzem naczelnym wojsk konsystujących w Królestwie. Obecnie obmyślano inną nieco formę. Dotychczasowy podział wojsk na armie zniesiono, a natomiast utworzono, według projektu ministra wojny Milutyna, t. z. okręgi wojskowe. Królestwo stanowiło jeden taki okręg, noszący miano: warszawskiego i jego dowódcą mianowany został generał piechoty, baron Ramsay. Tym sposobem władza namiestnicza, której podstawę i istotę stanowiło naczelne dowództwo nad wojskiem i naczelny zarząd administracją Królestwa, rozpadła się teraz na dwie osoby: na Wielopolskiego i Ramsaya. Ponad nimi, niby król konstytucyjny, rozpoznający wszelkie wyższe interesa stanu, z prawem decyzji ostatecznej w obu tych działach zarządu, z prawem na koniec łaski, stał namiestnik, wcielony tym razem w wątlą, małą, ale pożeraną ambitnemi marzeniami postać Wielkiego kniazia Konstantego Mikołajewicza.

Ale jakkolwiek pełnomocnictwo miał możliwie zupełne, władzę ogromną, jednakże zadanie, którego się podjął, zadanie uspokojenia Polski i pojednania jej z Rosyą, było zawsze trudnem bardzo, a w tej chwili prawie niemożliwem już do spełnienia. Ten kniaz z zimnemi i stalowemi oczami przychodził, niestety! za późno. Jednakże nie wątpił on o spełnieniu swej misji, liczył może wiele na Wielopolskiego, na rozum i zmysł zachowawczy narodu. Margrabia w rzeczy samej był przekonany, że nowa kombinacja, którą był wymyślił w zło-cistych salonach petersburskich, którą z takim mozółem przeprowadził, udać się musi, udać się powinna na gruncie polskim. Tam bowiem stały naprzeciw niego, jak wiadomo, dwa tylko stronnictwa: stronnictwo umiarkowane, czyli Białych i stronnictwo rewolucyjne, czyli Czerwonych. Nie wątpił, że z pierwszym z nich zdoła powoli trafić do ładu; z drugim wszedł teraz, w czerwcu 1862 r., na kilka dni przed przybyciem W. księcia, w układy osobliwsze, będące dowodem, na jak mętnych, niepewnych wodach unosiły się w ogóle losy polskie, jak kierunek ich zależał od prądów nieznaných i nieuchwytnych. Myśl pertraktacyi z Czerwonymi, jakiegoś układu z nimi w tym celu, by nie przeszkadzali misji W. księcia, zdaje się, powstała w głowie bankiera Leopolda Kronenberga, jak wiemy, członka Dyrekcyi białej. Zachowując ciągle stosunki z Wielopolskim, zdoławszy go przekonać, że Dyrekcyja nie tylko nie będzie tej misji przeszkadzała, ale gotowa jest ją popierać, zwrócił uwagę margrabiego, że głównym szkopułem, o który rozbić się może posłannictwo Konstantego, są Czerwieńcy, z widomym na swym czele Komitetem centralnym, mający za

sobą, jeżeli nie ogromną większość kraju, to przynajmniej wszystkie żywioły ruchliwsze i energiczniejsze, a tem samem bardzo niebezpieczne. Uwagi te snadź trafiły do przekonania margrabiego, bo Kronenberg pewnego dnia przyniósł na posiedzenie Dyrekcyi żądanie Wielopolskiego, aby ta wydała w jego ręce Czerwieńców, całą ich organizacją powstańczą i cały Komitet centralny. Wzywał przytem margrabia przez usta Kronenberga Dyrekcyą, aby nowemu rządowi polskiemu podała rękę i popierała go w imię miłości ojczyzny i jej dobra; twierdził, że W. książę Konstanty, oprócz nadanych i opublikowanych już reform, przywozi znaczne koncesye i wielkie zamysły, których wprowadzenie w wykonanie zależeć będzie od uspokojenia się kraju, od ubezwładnienia stronnictwa ruchu. Może w istotnem przekonaniu, a może tylko w chęci ułagodzenia Dyrekcyi, margrabia zapewniał, że jeżeli kraj się uspokoi i dozwoli na rozwój nadanych instytucyi, to instytucye te powoli rozszerzą się i na Litwę, Wołyń i Podole; zapewniał w końcu, że wydanych w jego ręce Czerwieńców nie myśli wcale gubić, że tylko dla zachowania decorum wyśle ich na jakiś czas do Rosyi, ale wkrótce potem do kraju powróci¹.

Propozycye te nadzwyczajne wywarły na członków Dyrekcyi wrażenie i nie małą w ich dusze rzuciły rozterkę. Jeżeli myśl wyraźnej zdrady i denuncyacyi, zdrady względem braci błędzących niewątpliwie, ale bądź co bądź braci, we wszystkich wstręt i obrzydzenie budziła, to z drugiej strony stawiano sobie pytanie, czy rzetelna miłość kraju, dobrze zrozumiany obowiązek obywatelski ratowania ojczyzny od widocznej zguby, nie nakazuje spełnienia tego żądania? Mimo to jednak, zrazu projekt ten przyjmowano z oburzeniem i wstrętem wyraźnym. Wszak w gruncie rzeczy idea niepodległości politycznej była ideą ukochaną wszystkich, czy Białych, czy Czerwonych; była ideą upragnioną, wyrazem szczęśliwości ziemskiej, i za to, że stronnictwo ruchu dążyło do urzeczywistnienia tej idei, stronnictwo to rzucać na pastwę wrogowi, wydawać się musiało każdemu czemś straszliwie potwornem. Ale dla ojczyzny, dla jej doli przyszłej, trzeba się niekiedy zdobywać na takie heroiczne i okropne w swej heroiczności środki.

Wśród członków Dyrekcyi zawiązały się w tej kwestyi żywe i przykre dla wszystkich debaty, których rezultatem ostatecznym było męskie postanowienie zgodzenia się na żądanie margrabiego. Ale któż mógł tego dokonać? Większość członków Dyrekcyi nie miała bezpośrednich stosunków z Czerwonymi, unikała ich nawet; znano tego i owego z kierowników, z należących nawet do Komitetu centralnego, ale nie znano wszystkich i nie wiedziano dokładnie, kto i gdzie należy do organizacji czerwonej. Jeden tylko człowiek

1 Relacye ustne osób wiarygodnych.

miał o tem dobre wiadomości, a tym człowiekiem był Karol Majewski, stanowiący niejako ogniwo między obu partjami, do niedawna nawet należący do Komitetu miejskiego; jeden więc Majewski mógł wydać Wielopolskiemu całą organizacją powstańczą. Poczęto zatem w Dyrekcyi na niego nalegać, by to zrobił, by swe imię poświęcił na ołtarzu dobra krajowego. Nie ukrywano przed nim, że jest to poświęcenie, że zdradzeni i wydani oszkalują go, nazwą denuncyantem i sprzedawczykiem, że nie będzie takiego błota, którem by go nie obryzgano; ale kogo ojczyzna powołuje do służby, ten służbę tę spełnić musi, wypić kielich goryczy do dna dla dobra tej ojczyzny. Jurgens nawet ze swym krytycznym i pesymistycznym umysłem, ze swą niewiarą we wszystko, w rzeczy i ludzi, stojących przy rządzie, twierdził, że Wielopolski, po wydaniu Czerwieńców przez Majewskiego, tego ostatniego, dla ukrycia całej intrygi, powiesić każe; niemniej przeto uważał i zdania swego bronił usilnie, że Majewski zrobić to powinien.

Majewski w swej gorącej miłości ojczyzny, w młodzieńczem, zapalnym poświęceniu, którego wiek jeszcze nie ochłodził, po krótkiej, ale zapewne ciężkiej walce wewnętrznej, zgodził się na to, co świadczy w każdym razie o wysokim nastroju jego ducha i o niemniej wysokiej obywatelskości. Razem więc z Kronenbergiem, w charakterze jego sekretarza, z ogromną teką, pełną weksli i rachunków, udawał się parokrotnie wieczorem do pałacu Brühlowskiego, gdzie Wielopolski teraz, jako naczelnik rządu cywilnego, rezydował. Tu bliżej omawiano całą sprawę. Margrabia dla zachwiania resztą skrupułów Majewskiego, parę razy kładł rękę na piersi, dawał uroczyste słowo, że wydanym Czerwieńcom nic nie będzie, że „im włos z głowy nie spadnie”; mówił, że ich wyśle na jakiś czas do Rosyi, a potem, gdy wszystko się uspokoi, do kraju powróci. Zachowywał się jednak przy tem z właściwą sobie dumą i lekceważeniem przeciwnika. Mówiąc o Czerwieńcach, zdradzał w swych wyrażeniach źle ukrywany gniew, a nawet nienawiść do nich, co w duszy Majewskiego, znającego mściwy charakter wielkorządcy, wzbudziło pewne wątpliwości, czy on istotnie dotrzyma swych przyrzeczeń i czy czasem przepowiednia Jurgensa się nie spełni? Nie śmiejąc więc w obecności Wielopolskiego, który wszystkich zbliżających się do siebie uciskał i obezwładniał niejako swą olbrzymią przewagą fizyczną i moralną, stawiać warunków, które, wskutek budzących się podejrzeń, uważał za konieczne, przedstawił je Dyrekcyi. Żądał mianowicie, ażeby o całej tej akcji spisano protokół w trzech jednobrzmiących egzemplarzach, żeby te protokoły podpisał margrabia i wszyscy członkowie Dyrekcyi; żeby jeden z tych egzemplarzy był posłany za granicę do jakiego archiwum polskiego, drugi żeby pozostał w kraju dobrze także zachowany, a trzeci żeby dano jemu, Majewskiemu, do ręki. Uzasadniając to swoje żądanie, mówił, że z jednej strony takie zobowiązanie się

piśmienne nie dozwoli Wielopolskiemu na złamanie danego słowa; z drugiej dla Majewskiego będzie na przyszłość, przed potomnością i historią, zupełnem usprawiedliwieniem jego kroku, bądź co bądź strasznego; że taki dokument piśmienny choć w przyszłości zmaże szkaradną plamę z jego imienia i wyjaśni pobudki jego działania.

Nikt nie mógł zaprzeczyć słuszności tym żądaniom; wszak i skazanemu na śmierć w ostatniej chwili robią pewne ustępstwa, a Majewski był tak jakby skazany na potępienie przez własnych ziomków. Jednakże tak Wielopolski, jak i członkowie Dyrekcyi, odmówili. Jakie względy nimi kierowały, trudno odgadnąć; może obie strony nie chciały, by w sprawie tego rodzaju pozostały jakie dokumenta piśmienne; może lękano się Czerwieńców i ich zemsty i szkalowań, może uważano, że wydanie takie jest przeniewierzeniem się idei ojczystej. Co do margrabiego, może duma była w nim zadraśnięta, że nie wierzono jego słowu. Wobec odmowy tych panów, odmówił i Majewski, i intryga ta, mogąca mieć najzbawienniejsze skutki dla kraju, rozchwiała się zupełnie. O ostatecznej odmowie Majewskiego margrabia dowiedział się d. 24 czerwca, a już w dwa dni potem znalazł się ten agitator w cytadeli, w której przesiedział blisko rok i nie brał przez ten czas żadnego udziału w rozgrywającym się w kraju dramacie².

Rzecz jednak cała, owe pertraktacye margrabiego z Dyrekcyą białą, nie odbywały się tak tajemniczo, by przy właściwej nam gadatliwości to i owo z nich nie doszło do uszów, baczących na wszystko Czerwieńców. Może sam Majewski rozdrażniony, że jego ciężka ofiara została w sposób tak samolubny przyjętą, nie umiał utrzymać sekretu; dość, że wieści o tem, oczywiście nader mętne i niejasne, a tem samem zwiększające grozę niebezpieczeństwa dla partyi ruchu, doszły do wiadomości Chmieleńskiego i Dąbrowskiego. Wydawało im się, nie bez pewnej zresztą słuszności, że skoro raz tego rodzaju pertraktacye zostały zawiazane, to wcześniej czy później, nie na tej, to na innej drodze, przyjść one muszą do skutku, zwłaszcza, że obie strony tego pragnęły. Przytem nie mogło to ująć ich uwagi, że zapowiedź przybycia W. ks. Konstantego z obszernymi pełnomocnictwami, wielkie w ogóle wywarła wrażenie, że stronnictwo umiarkowańsze głośno się odzywało, iż trzeba raz zaprzestać manifestacyi i spisków i szczerze dopomódz bratu cesarskiemu w jego zamiarach uspokojenia i rozwoju kraju.

Zdania takie, gdyby się stały rzeczywistością, odrazu by podrywały nogi agitacyi i czyniłyby ją całkiem niepotrzebną. To też do takiego kompromisu ultraczerwieńcy za nic w świecie dopuścić nie chcieli i nie mogli. Chmieleński

2 K. Majewski, Zeznania. Utrzymuje on, że został aresztowany z rozkazu margrabiego, który nie chciał, by cokolwiek z owych zamysłów wyszło na jaw, oraz w tym celu, by przeciąć wszelki związek między Dyrekcyą a Komitetem centralnym.

już wtedy, gdy go sromotnie wyrzucono z Komitetu miejskiego, zapowiadał, że on nie zgodzi się, by wyjednane przez Wielopolskiego w Petersburgu koncesye zadały cios „sprawie”; że on (Chmieleński) chce powstania, czekać nie będzie, tylko działać, „a co i jak, zobaczycie”, dodawał³. Z początku były to zapewne puste przechwałki rozdrażnionej, nieokiełznanej niczem natury, gdyż Chmieleński nie wiedział co robić, by przeszkodzić „nierządnym umizgom do Moskwy”; zdaje się jednak, że gotujący się zamach na Lüdersa, o czym mógł wiedzieć od Dąbrowskiego, otworzył mu oczy i wskazał drogę działania.

W tej bowiem mniej więcej porze⁴, powziął on zamiar dokonania takiego samego zamachu na osobie Wielopolskiego, jako głównego sprawcy kompromisu z Rosyą; pewny był zresztą, że po takim czynie, W. ks. Konstanty nie ośmieli się przybyć do Warszawy. Przekonany był, może nawet wierzył w to szczerze, co niech mu będzie za usprawiedliwienie poczytane, że zabójstwo margrabiego, a nawet nie zabójstwo, ale sam zamach tylko, zburzy od razu wszelkie jego projekta, przywróci rządy militarne i tym sposobem wzmoćni partycypację i naród popchnie do powstania. Z tym zbrodniczym zaiste zamysłem połączone były inne jeszcze projekta, wylęgle w chorych głowach Chmieleńskiego, Dąbrowskiego i ich adherentów.

Chcieli oni mianowicie, w chwili, gdy się dokonywać będzie zamach, napaść na znienawidzony Komitet centralny, rozpedzić go na cztery wiatry i samym władcę ogarnąć: a korzystając z ogólnego zamieszania i wzburzenia umysłów, jakie zamach spowodować musi, zamierzali wywołać na ulicach Warszawy powstanie⁵, to powstanie, które Komitet odłożył do czasu nieograniczonego. Takie to pomysły roily się po tych mózgach, pijanych od namiętności, po tych głowach, chorych na zdrożną ambycję, na ambycję rządzenia choćby na gruzach i ruinach ojczyzny.

O tych wszystkich zamysłach Komitet centralny nic nie wiedział⁶; rzecz cała układała się między Chmieleńskim, Dąbrowskim i ich stronnikami. Szło

3 Patrz tom IV, 1240.

4 Jaroszyński w zeznaniu swoim przed komisją śledczą wyraźnie powiada, że pierwszy raz o potrzebie zamachu mówił mu Rodowicz, „na siedm lub dziesięć dni przed przybyciem do Warszawy W. ks. Konstantego”. Ponieważ zaś W. książę przybył d. 2 lipca, więc dziać się to mogło między 24 a 26 czerwca.

5 A. Giller, Aleks. hr. Wielopolski, 96. Myli się więc Br. Szwarc, „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania”, 26 — albo umyślnie rzecz ukrywa, bo niepodobna, żeby o tem nie wiedział, (co zarazem dowodzi, jak dalece można ufać jego relacyom) twierdząc, że „Chmieleński (tak go stale nazywa) nigdy przeciw nam (t. j. Komitetowi centr.) zamachów nie urządzał”.

6 A. Giller, *Historia I*, 69, pisze: „Komitet centralny, jako całość, nie był nawet o zamiarze tych zamachów powiadomiony, chociaż niektórzy z zapaleńszych jego członków wiedzieli o nich”.

teraz o to, by znaleźć człowieka, któryby się podjął dokonania zamachu, bo sam Chmieleński zanadto cenił swą osobę, by miał ją narażać na niebezpieczeństwo; wszak wygodniej było czyjaś szyję oddać szubienicy, niż własną. Należał on do rzędu tych brzydkich postaci, na jakie się w dziejach dość często, niestety, natrafia, które umieją dużo gadać, wygłaszać teorie krwawe, popychać innych do czynu niebezpiecznego, ale samym niebezpieczeństwa tego unikać⁷.

W sprawie wyszukania człowieka, któryby był gotów dokonać zamachu i poświęcić się na ofiarę szalonych zamysłów Chmieleńskiego, człowieka dość ograniczonego umysłowo i dość gorącego, by nie widzieć całego nierozumu tych zamysłów, stał się pomocnym Chmieleńskiemu niejaki Edward Rodowicz, czeladnik krawiecki. Jak ogromna większość młodzieży rzemieślniczej warszawskiej tej doby, wszedł on do organizacji jeszcze w marcu 1862⁸ i należał do rzędu najzapaleńszych, najczerveniejszych popleczników Chmieleńskiego. Jemu to ten ostatni powierzył niełatwe zadanie wyszukania człowieka, któryby się podjął tak nierozumnego czynu, jakim było dokonanie zamachu.

W tym samym warsztacie, w którym pracował Rodowicz, u wdowy po krawcu, Natalii Szczecińskiej, zamieszkałej przy ulicy Nowosenatorskiej, robił także od lat paru czeladnik krawiecki, Ludwik Jaroszyński. Był to młody człowiek, 22 lata liczący⁹, chmurny, skryty, smutny, o usposobieniu niespokojnem i niezgodnem. Urodzony we wsi Wojciechowicach w Sandomierskiem, syn ekonoma w dobrach Staszowskich hr. Potockich (ojciec Mateusz, matka Agata), wychowany na wsi, wyzwolony na czeladnika krawieckiego w Staszowie, od lat czterech przebywał w Warszawie, ale tak dalece był nietowarzyskim, że nikt bliżej go nie znał i z nikim nie był w przyjaźni. Robotnik z niego był nieosobliwszy, wstawał późno, wskutek czego niewiele zarabiał i czuł nieustanny brak pieniędzy. W ostatnich czasach, na cztery miesiące przed tragiczną ka-

7 Jakkolwiek p. Br. Szwarce w swym paszkwilu p. t. „Wydawnictwo materiałów” i t. d., p. 27, stara się obronić Chmieleńskiego od słusznie mu zarzucanego tchórzostwa i na dowód powiada, że Chmieleński „był poszukiwany od Sierpnia 1862 r., na jego głowęznaczili cenę, znany był w całej Warszawie, więc sam jego przyjazd (we Wrześniu 1863 r.), był czynem niezwyklej odwagi”. Naprzód na jego głowę nikt ceny nie naznaczał, w Warszawie, prócz garści wichrzycieli i ładacznic, nikt go nie znał, zresztą obronić się nie da, że człowiek namawiający innego do spełnienia czynu, za który się życiem odpowiada, nie jest człowiekiem odważnym i szlachetnym. Jeżeli Ch. uważał i miał to przekonanie, że zabicie Wielopolskiego i Konstantego jest koniecznem dla dobra kraju, to sam tego powinien był dokonać. Tak robią zawsze ludzie z charakterem i odwagą.

8 N. Berg, Zapiski II, 279.

9 „Sprawa zbrodniarza stanu Jaroszyńskiego” w „Dzienniku powszechnym” i w innych gazetach ówczesnych. Nie 19 więc lat, jak utrzymuje Berg, Zapiski II, 278.

tastrofą, która miała rozślawić jego imię i uczynić je historycznym, zamieszkał przy ulicy Dunaju u czeladnika krawieckiego, Stanisława Stańkowskiego, któremu za mieszkanie obowiązał się płacić 9 złp. miesięcznie, a za obiad po złp. 1 i gr. 5, ale nigdy regularnie się nie wypłacał, owszem, niekiedy od swego gospodarza pożyczał jeszcze drobne kwoty i w ogóle w dniu katastrofy był mu winien koło pięciu rubli.

Od swej pryncypałowej Szczecińskiej zawsze z góry wybierał pieniądze, a gospodarz jego Stańkowski zamierzał nawet swemu nieakuratnemu lokatorowi wymówić mieszkanie, ale jakoś schodziło i do skutku to nie przyszło¹⁰. Poza tem jednak, obok lenistwa, nietowarzyskości i ponurego usposobienia, był to charakter niezwykły, dusza niepozbawiona podnioslejszych idei, serce poczciwe i polskie. Jakkolwiek tak dalece był apatyczny, że opuściwszy przed czterema laty strony rodzinne, ani razu nie pisał do rodziny i w ogóle nie wiedział, co się z nią dzieje, przecież zachował nauki domowe matki¹¹, był religijny i moralny, nie pił i nie hulał, co w owe czasy wśród młodzieży warszawskiej, zwłaszcza rzemieślniczej, było rzeczą nader rzadką. Pod pozornie chłodnem usposobieniem krył on duszę gorącą, miał charakter silny i stanowczy. W ogóle jednak był mało rozwinięty (umiał zaledwie czytać i pisać), stąd łatwo dający się oszołomić pustym, ale dźwięcznym frazesom. Chociaż przez cały czas manifestacyjny nie mięszał się do niczego, nie zdradzał swych przekonań, jednak na jego duszę młodą i wrażliwą, potężny, wszystko porywający nastrój chwili, silnie oddziałał. Nie głosił o swej miłości do ojczyzny, jak to inni czynili, ale był patryotą i gotów był na wszelką ofiarę dla kraju.

Rodowicz musiał dobrze poznać ten posępny, skryty ale zacięty i entuzjastyczny w gruncie rzeczy charakter, skoro w poszukiwaniach swoich odrazu zwrócił się do Jaroszyńskiego.

„Potrzebny nam jest człowiek, mówił doń, któryby chciał zaryzykować swe życie i zabić jedną osobę, od śmierci której zależy szczęście naszego kraju; znam twój odważny charakter i wiem, że kochasz ojczyznę; czybyś się nie podjął tego wykonać?” Na to Jaroszyński bez namysłu odrzekł, że „jeżeli rzecz idzie tylko o poświęcenie siebie dla ojczyzny, to on gotów jest na wszystko”¹². Wobec tego, Rodowicz, oszołamiając coraz bardziej pełną prostoty duszę Jaroszyńskiego, oświadczył mu, że go zaprowadzi do naczelnika spisku i wszystkich ruchów, który mu resztę objaśni. Przez parę dni następnych ciągle mu o tem samem mówił, ciągle go przekonywał, że spełni dobry czyn dla ojczy-

10 N. Berg, loc. cit. II, 278.

11 „Sprawa zbrodniarza stanu Jaroszyńskiego”: „religii zaś uczyli go rodzice, a szczególnie matka”.

12 Loc. cit.

zny, że poświęci się dla kraju i narodu, podniecał ten umysł mroczny, niewyrobiony, pragnący jakiegoś ideału w życiu, którego mu wieczne przykrwanie surdutów i kamizelek dać nie mogło. Wreszcie koło 26 czerwca¹³, Rodowicz kazał przyjść Jaroszyńskiemu między godziną 3-cią a 4-tą popołudniu, do hotelu Saskiego pod Nr. 36 (gdzie, jak wiemy, od pół roku mieszkał Chmieleński), obiecując mu, że zobaczy się z owym tajemniczym naczelnikiem ruchu w kraju.

Jakoż, gdy Jaroszyński o naznaczonej porze tam przyszedł, zastał naprzód znajomego sobie Rodowicza, a potem jakiegoś mężczyznę średniego wzrostu, w ciemnej czamarce, z wielkimi rżymy wąsami, z oczami małemi, choremi, pełnemi przenikliwości i nadzwyczaj ruchliwemi. Gdy Rodowicz zarekomendował Jaroszyńskiego nieznajomemu, ten zapytał: „czy wie, o co idzie?” a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, począł mówić prędko, nie patrząc w oczy, pryskając szkaradnie śliną, że trzeba „zgładzić” pewną osobę, że od śmierci tej osoby bardzo wiele zawisło. Gdy Jaroszyński zapytał: kto jest tą osobą? Chmieleński odrzekł, że może nią będzie Wielopolski, ale, że ostatecznie powie mu w tych dniach, kogo i gdzie ma zabić.

Wtedy w duszy prostego czeladnika krawieckiego podniosły się dręczące wątpliwości, świadczące, jak dalece poważnie na tę sprawę się zapatrywał, czy podejmując się takiego czynu, dobrze robi, i wątpliwości te wyraził w kilkakrotnych zapytaniach, czy krok taki rzeczywiście posłuży do dobra ojczyzny? czy Chmieleński jest prawdziwym katolikiem? czy bierze jego duszę na swe sumienie? czy dla korzyści, jakie z takiego zabójstwa osiągnąć się dadzą, warto poświęcać swe życie? Chmieleński latając dokoła oczami, śliniąc się szpetnie, zapewniał biedaka uroczyście, że jest katolikiem jak najlepszym i jak najlepszym Polakiem, i zaklinając Jaroszyńskiego na miłość ojczyzny, twierdził, że jest to jedyny środek osiągnięcia pomyślności kraju, że potomność i historia ze czcią wspominać będą imię sprawcy tego czynu, że Wielopolski nadzwyczajnie szkodzi interesom polskim, i jako człowiek bardzo rozumny, gdziekolwiekby mieszkał, za granicą albo w kraju, zawsze będzie szkodliwy sprawie ojczystej. Gdy Jaroszyński, przekonany temi słowy, zgodził się na zabicie margrabiego, Chmieleński, zalecając mu zachowanie najgłębszej tajemnicy i zapowiadając, że o czasie, w którym zamiar ten ma być spełniony, uwiadomi go przez Rodowicza, rozstał się z nim po rozmowie, trwającej półtorej godziny.

Odtąd Jaroszyński nie pokazał się więcej w warsztacie na Nowosenatorskiej ulicy, oddany zapewne myślom posępnym o czynie, jaki miał spełnić. Codziennie popołudniu schodził się w ogrodzie Saskim z Rodowiczem, który

13 Loc. cit.: „na tydzień przed wypadkiem”.

zwyczajem wszystkich spiskowców nie spuszczał teraz ofiary swojej z oczów i w długich, nieraz po kilka godzin ciągnących się pogawędkach pod pysznymi kasztanami ogrodu, podtrzymywał w nim ten nastrój wysoki, tego ducha poświęcenia dla ojczyzny, jaki zdołał w biednym czeladniku krawieckim obudzić Chmieleński. Takie schadzki i pogawędki trwały około tygodnia. Dotąd jednak ciągle była mowa o potrzebie „zglądzenia” Wielopolskiego; teraz atoli wskutek wieści, rozgłoszonej przez dzienniki, że W. ks. Konstanty przyspieszył swe przybycie do stolicy polskiej, pierwotne zamiary ultraczerwieńców uległy zmianie, i postanowili oni uderzyć nie w margrabiego, ale w samego W. księcia, przekonani, że taki czyn o wiele lepiej posłuży ich zamiarom, daleko silniejsze wywrze wrażenie i sprawę kompromisu i uspokojenia kraju na zawsze pogrzebie. Zresztą zamach na Wielopolskiego o tyle tylko miał racją, o ileby powstrzymał przyjazd Konstantego; ponieważ zaś ten ostatni już był w drodze, więc nic nie pozostawało, jak w niego uderzyć i na to Chmieleński ze swymi poplecznikami był zdecydowany. Gdy więc we wtorek d. 1 lipca, w wigilią przyjazdu W. księcia, Jaroszyński jak zwykle, między godziną 2-gą a 3-cią spotkał się w ogrodzie Saskim z Rodowiczem, ten oświadczył mu, że należy, aby jutro o tejże godzinie stawił się u Chmieleńskiego. Jakoż nazajutrz, we środę, d. 2 lipca, gdy Jaroszyński o naznaczonej godzinie zjawił się pod Nr. 36 w hotelu Saskim, zastał tam już Rodowicza¹⁴. Chmieleński oświadczył mu, że przyjazd W. księcia Konstantego do Warszawy niespodzianie przyspieszonym został, że zatem tegoż W. księcia należy zabić, a ponieważ na dworcu kolei petersburskiej spotykać będzie namiestnika Wielopolski, więc obu będzie można przy tej sposobności zgładzić ze świata. Mają się więc oba wraz z Rodowiczem udać na rzeczony dworzec i tam dokonać zamachu, przedewszystkiem jednak na osobie Konstantego. „Kto nie strzeli, dodał, odpowie głową przed władzą narodową”¹⁵. Tym sposobem starał się w swą nieszczęsną ofiarę wpoić to przekonanie, że zamach dzieje się z wiedzą i wolą najwyższej władzy ruchu. Miał nawet pokazać Jaroszyńskiemu sfałszowany przez siebie rozkaz Komitetu centralnego¹⁶.

Po tem wszystkim, śród milczenia obu straceńców, Chmieleński wyjął z komody trzy sześciostrzałowe rewolwery, z których jeden był nienabity, i na

14 Jaroszyński w swoich zeznaniach przy śledztwie twierdził, że u Chmieleńskiego, oprócz Rodowicza, zastał jeszcze innego, „sobie nieznanego młodzieńca”, i że z tym młodzieńcem wybrał się na dworzec kolei dla dokonania zamachu. Według wszelkiego atoli prawdopodobieństwa, młodzieńcem tym był Rodowicz, a owa trzecia osobistość była zmyślona przez Jaroszyńskiego, dla odwrócenia uwagi od tego ostatniego.

15 N. Berg, loc. cit. II, 280.

16 B. Szwarc, *Materyały*, 26. Pisze on: „byłbym Ignacego (Chmieleńskiego) z przyjemnością osądził na śmierć po zamachu na Konstantego, nie za zamach, a za oszukanie Jaroszyńskiego i fałszowanie rozkazu”.

tym począł pokazywać jak należy strzelać i jak celować, i dodał, że z taką bronią, strzelającą bez odwodzenia kurka, należy bardzo ostrożnie postępować. Prócz tego zaopatrzył obu w sztylety; rewolwery kazał im przy sobie schować, żeby ich nie było widać, i napół oszołomionych tem wszystkim wysłał na Pragę, dokąd wyruszyli pojedynczo, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, i dopiero na Zjeździe zeszli się razem. Stąd udali się na dworzec kolei petersburskiej, gdzie, wmieszawszy się w liczne zbiegowisko ciekawych, czekali blisko godzinę na przybycie nic nie przeczuwającego, śniącego może o wielkiej roli historycznej na Zamku warszawskim, kniazia rosyjskiego.

Jechał on wraz ze swą żoną, przybrany w granatowy mundur ułański z amarantowymi rabatami, tyle wspomnień budzący w sercach polskich. Dla powitania W. księcia na granicy Królestwa, oczekiwali nań: sekretarz stanu Enoch, dyrektor Komisji oświecenia Krzywicki i Zygmunt hr. Wielopolski, wysłany tam zapewne przez ojca i jako jego reprezentant. Na granicy gubernii warszawskiej witał nowego namiestnika gubernator Łaszczyński. Na dworcu kolei, obok stosunkowo niezbyt liczного tłumu, przeważnie najniższej gawiedzi, obok różnych jenerałów rosyjskich i dygnitarzy, znajdował się także najwyższy dostojnik krajowy, margrabia Wielopolski. Pociąg, wiozący W. księcia, a do pewnego nawet stopnia, rzec można, że i losy polskie, przybył o godz. 5½ popołudniu. Dzień był pogodny choć chłodny. Wielki książę w swym ułańskim mundurze wyszedł na peron z wagonu, z żoną pod rękę, której zmysłowa piękność uderzyła wszystkich, jak również wysoko posunięta jej ciąża. Oczy, przywykłe do żałobnego stroju kobiet warszawskich, niemiłe raziły jaskrawe, żółte i granatowe suknie W. księżny, która, źle zapewne poinformowana, sądziła, że są to barwy narodowe. Konstanty, otoczony liczną i błyszczącą świtą jenerałów i adjutantów, zawsze z żoną pod rękę, parokrotnie przebiegł tam i z powrotem peron kolejowy, witany przez straż honorową, naciskany z bliska przez tłum ciekawych, wśród których znajdował się z nabitym rewolwerem w kieszeni Jaroszyński i Rodowicz, czyhający na tego kniazia, który w postawie dumnej i spokojnej, z twarzą słodko uśmiechniętą, dwukrotnie blisko nich przeszedł. Tuż przy nim postępował, dominujący nad wszystkimi swym wzrostem olbrzymia, Wielopolski. Zabić obu było łatwo; już poprzednio ułożyli się ze sobą Jaroszyński i Rodowicz, że pierwszy będzie strzelał do W. księcia, drugi do margrabiego. Ale widok księżny, uczeplonej u ramienia męża, kobiety dość jeszcze młodej, pięknej i wesoło w świat patrzącej, widok tej matki, niosącej w swym łonie życie nowe, powstrzymał rękę Jaroszyńskiego. Właściwe jego charakterowi uczucie rycerskie i religijne, nie pozwalało mu strzelać do męża, idącego z żoną ciężarną; dość, że nie strzelił i Rodowicza do tego samego skłonił, choć tego ostatniego zapewne namawiać

zbytecznie nie trzeba było, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwyczajem wszystkich spiskowców, był on dodany Jaroszyńskiemu raczej jako jego dozorca, niż współtowarzysz w zamachu. Dość, że zamach nie przyszedł do skutku; W. książę cały i zdrowy siadł ze swą żoną do otwartego powozu i ruszył do tej Warszawy wrzającej i strasznej, której wieże i szczyty domów, w malowniczych grupach piętrzące się z drugiej strony rzeki, widać stąd było, ja no oświecone złocistym słońcem letniem.

Tymczasem, gdy się to działo na dworcu kolejowym, poplecznicy Chmieleńskiego i Dąbrowskiego, przekonani, że zamach bądź co bądź dokonany będzie, spieszyli, by spełnić drugą część zamierzonego dzieła, to jest rozpędzić Komitet centralny i samym władzę ogarnąć. Liczyli oni na to, że śmierć W. ks. Konstantego spowodować musi zamęt i zamieszanie wśród władz rządowych, i że tym sposobem łatwo im będzie wywołać na ulicach Warszawy powstanie zbrojne. W tym celu przedewszystkiem trzeba było znieść znienawidzony Komitet centralny, który przez swe umiarkowanie i opór nagłemu wybuchowi mógłby mu przeszkodzić, a nawet tamę położyć. Wpadli oni do sali, w której Komitet odbywał swe posiedzenie (gdzie to było, nie wiemy), i zażądali tonem rozkazującym, ażeby się dobrowolnie rozwiązał i im miejsca ustąpił¹⁷). Komitet jednak ustąpić nie chciał i słusznie, gdyż jakkolwiek w całej tej walce pierwsze miejsce zajmowały osobiste ambicje ludzi, chcących koniecznie odegrać w narodzie jakąś rolę historyczną, ludzi nie uprawnionych do tego ani przez swe stanowiska społeczne, ani imiona, ani rozum i doświadczenie polityczne, wszelako w tej chwili szło także o to, by kierownictwa losami Polski nie oddać w ręce szaleńców i nie ponieść tych losów na zatracenie. Komitet w nagłym powstaniu widział bezwarunkowo zgubę kraju i dlatego powziął decyzją nieustępowania. Wśród sporów, jakie się z powodu tego najścia ultraczerwieńców i demagogów wywiązały, wyzwolił Komitet od groźnego niebezpieczeństwa prosty wypadek. Do sali wszedł nagle jeden z członków organizacji, należący do policji miejskiej, wysłany na dworzec kolei petersburskiej, by był świadkiem przyjazdu W. ks. Konstantego, i złożył raport o tem przybyciu i o wjeździe nowego namiestnika do Warszawy. Z tego raportu zwolennicy nagłego wybuchu dowiedzieli się, że ukartowany zamach nie przyszedł do skutku, że zatem, gdy upadła główna podstawa ich zamierzonej akcji, niema zasady do rozpędzania Komitetu, co teraz zresztą byłoby bardzo trudnem. Zmiękli więc w swych atakach i spokojnie ustąpili¹⁸.

Wśród tego wszystkiego, Jaroszyński i Rodowicz, nie dokonawszy zamachu, powoli z tłumem ciekawych powrócili z Pragi do Warszawy i udali się wprost

17 A. Giller, Aleksander hr. Wielopolski, 96.

18 Loc. cit.

do hotelu Saskiego, do mieszkania Chmieleńskiego, którego zastali w domu, co dowodzi, że osobistego udziału w zamachu na Komitet centralny nie brał.

Zapewne i nie bez słuszności uważał, że najważniejszą sprawą w tej chwili jest sprawa ta, dla spełnienia której wysłał Jaroszyńskiego i Rodowicza na Pragę; przytem należało być w domu, by, dowiedziawszy się o rezultacie, uciekać zaraz z Warszawy, gdyż mimo wszystkiego, nie wątpił, że o nim, jako o moralnym sprawcy zamachu, policja wcześniej czy później się dowie, a jak wiemy, rewolucjonista ten bardzo dbał o swą skórę. Gdy mu Jaroszyński i Rodowicz opowiedzieli powód, dla którego nie spełnili jego poruczenia, Chmieleński przyznał, że dobrze postąpili, prawdopodobnie, by wymówkami ich nie zrażać. Odebrawszy od nich rewolwery, które zamknął w komodzie, dodał, że trzeba jednak, by tej sprawy nie odkładali, że winni ją bezwarunkowo jutro wykonać, i żeby w tym celu nazajutrz rano do niego po wiadomości i po broń przyszli¹⁹.

Przez ten czas W. książę Konstanty w powozie otwartym, z żoną przy boku, ubrany w swój mundur ułański, z łaskawym uśmiechem na ustach, wjeżdżał do stolicy polskiej, bez żadnej eskorty wojskowej, z długim tylko szeregiem powozów za sobą, w których siedzieli różni jenerałowie rosyjscy i dygnitarze polscy. Jechał przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, błyszczący całą krasą dnia letniego, do Belwederu, gdzie miał zamieszkać. Ulice te tak zwykle pod wieczór ożywione, były prawie puste; tu i owdzie wałęsające się gromady złożone były z ostatniego motłochu, przeważnie żydów; a nawet wśród tych gromad, których polityka i Polska nic nie obchodziła, panowało mroczne milczenie, z rzadka przerywane okrzykami: „wiwat!” lub „niech żyje!”²⁰. Z okien, z których przy każdym widowisku ulicznem zawsze wychylało się mnóstwo ślicznych główek kobiecych, teraz nikt nie wyglądał.

Z miasta, z domów i ulic, z tych tłumów na koniec wiała jakaś posępna groza i pustka. Tegoż samego dnia jeszcze raz W. książę miał przejeżdżać przez te ulice i patrzeć na to ponure milczenie i niechęć, gdyż zaraz po przybyciu do Belwederu, udał się do Zamku w odwiedziny, do chorego po niedawnym strzale Potebni, jenerała Lüdersa. Zresztą okazywał z samego początku wielką czynność i ruchliwość. Tegoż dnia bowiem przez rozkaz dzienny uwiadomił wojsko, że objął nad niem komendę naczelną²¹.

Nazajutrz, d. 3 lipca, około godziny 11-ej rano, rozpoczęło się w wielkiej sali pałacu Łazienkowskiego przyjmowanie władz wojskowych i cywil-

19 „Sprawa przeciw zbrodniarzowi stanu Jaroszyńskiemu”.

20 Pawliszczew, Siedmicy I, 103. „Dziennik powszechny” nie omieszczał przytem skłamać, że „ludność warszawska, u dworca kolei żelaznej i na ulicach miasta nader licznie zebrana, witała ich (W. księstwo) radosnymi okrzykami”.

21 Loc. cit.

nych, a raczej różnych dygnitarzy. Przed tym W. kniazem rosyjskim, zawsze w mundur ułański przybrany, stawiał się margrabia, stawiało się duchowieństwo katolickie z ks. arcybiskupem na czele, ministranci luterscy i kalwińscy; stawiała się w komplecie Rada stanu, Rada administracyjna, wyżsi urzędnicy Komisji rządowych, wreszcie Rada miejska warszawska. Wszyscy z ciekawością przypatrywali się nowemu wielkorządcy Polski, by z jego obejścia, słówka jakiegokolwiek, wywnioskować o zamiarach na przyszłość. A choć wielu niepodobała się jego zbyt uczynna uprzejmość, jego oczy nieprzyjemne i przenikliwe a chłodne współcześnie, jednakże większość wyjeżdżała z Łazienek pod wrażeniem jak najlepszym, oszołomiona nieco urokiem, jaki zawsze wielcy tego świata koło siebie roztaczają. On sam też, zaraz po ukończeniu przyjęć, wyruszył na miasto, by pojechać naprzód do soboru schizmatyckiego na ulicy Długiej, gdzie go powitał archimandryta prawosławny Joaniaki, a stamtąd do katedry św. Jana. Tym razem ogromne tłumy zebrały się na całej ulicy Miodowej i przed cerkwią, zwabione tu przez ciekawość właściwą gawiedzi, a w części przez mnóstwo policyj i żandarmów konnych, rozstawionych na drodze przejazdu nowego namiestnika.

Ale tak samo jak wczoraj, tłum ten składał się z ostatniego motłochu, cisnącego się wszędzie na oślep i traktowanego przez policję w zwykły jej sposób brutalny. Podobnie zbiegowisko było przed katedrą, gdzie u podwoi narość rozwartych i ukazujących w głębi wspaniałe łuki gotyckie tej świątyni, powitał W. księcia arcybiskup warszawski na czele licznej kleru. Po podaniu przybyłemu wody święconej, którą przeżegnał się schizmatyckim znakiem krzyża, ks. Feliński przemówił do niego kilku gorącymi i z duszy płynącymi słowami. „Szczęśliwy jestem, mówił, że w imieniu duchowieństwa mogę powitać waszą cesarską wysokość i złożyć mu nasze życzenia. Pełni otuchy w rozpoczynającą się pod zarządem w. c. wysokości przyszłość, polecamy dostojnej jego opiece to, co mamy najdroższego na tej ziemi. Niech Pan miłosierny błogosławić raczy pracom w. c. wysokości; naszym zaś obowiązkiem będzie wspierać go przed tronem Najwyższego gorącymi modłami naszemi”. Po mowie tej przeprowadzono W. księcia w uroczystym pochodzie przez kościół i po odprawieniu stosownego nabożeństwa, w tymże samym porządku odprowadzono do drzwi świątyni. Tym razem ze zbitych tłumów gawiedzi rozlegały się donośniejsze i liczniejsze niż wczoraj okrzyki, ale W. ks. Konstanty z pewnością był rozumny człowiekiem, by mu te powitania motłochu mogły przyjemność sprawiać, by w tem widział objawy uczuć szczerych i lojalnych.

W obu tych miejscach, tak przed cerkwią na ulicy Długiej, jak i przed katedrą Świętojańską, znajdowali się obaj młodzieńcy, namówieni przez Chmieleńskiego do wykonania zamachu. Jaroszyński, przepędziwszy jak zwykle noc

w domu, wstał o godz. 7-ej rano i udał się wprost do Chmiieleńskiego, stosownie do jego wczorajszego polecenia. Zastał tu już Rodowicza i obadwaj otrzymali znowu też same co i wczoraj rewolwery, oraz sztylety, wielkie noże szerokie na trzy palce i na pół stopy długie²².

Chmiieleński, zalecając im ostrożność, prosił i kładł nacisk na to, żeby wszelkich środków użyli i dziś koniecznie zamachu tak na W. ks. Konstantego, jak i na margrabiego dokonali. Zabawiwszy z pół godziny w numerze hotelowym, wyszli na ulicę, żeby się dowiedzieć, kiedy i gdzie będzie przejeżdżał nowy namiestnik. Liczna policja i żandarmerya na ulicy Miodowej, przekonała ich, że Konstanty uda się do cerkwi. Włóczę się w pobliżu po ulicach, doczekali się na koniec tego przyjazdu, ale tłum był tak liczny i tak zbity, że nie mogli się przecisnąć i dostać z bliska do namiestnika. Musieli więc i ten zamiar porzucić. Wiedząc jednak ze zwyczaju cesarzy, odwiedzających Warszawę, że po bytności swej w cerkwi, zawsze udają się do katedry, przekonani, że tak samo zrobi W. książę, pociągnęli tamże. Ale i tu zbiegowisko było ogromne, bodaj czy nie większe w ciasnej uliczce Świętojańskiej, niż przed cerkwią, i o dokonaniu zamachu nie można było myśleć. Nie zrażeni jednak tem niepowodzeniem, rozeszli się, umówiwszy się wprzód, że zejdą się koło godziny 5-tej w ogrodzie Saskim.

Jaroszyński, przyszedłszy do domu, z niepojętym spokojem w tak ważnym momencie życia, zjadł obiad, zdjął palto, buty i położył się na łóżku, ale nie spał. Leżał tak przeszło godzinę, poczem wstał i koło godziny 3-ej popołudniu, z rewolwerem i sztykletem w kieszeni, wyszedł na miasto. Wychodząc, gwizdał jakąś śpiewkę; w sieni natknął się na malującego szyld znajomego mu malarza i rzekł doń: „adieu!” Zrobiwszy atoli kilka kroków, przypomniał sobie, że nie zabrał cygarnicy, leżącej w komodzie. Wrócił się, wziął ją i już teraz nie zatrzymując się, szybkim krokiem ruszył na Krakowskie Przedmieście²³. Tutaj spotkał się z Rodowiczem i razem poszli do ogrodu Saskiego, gdzie przechadzali się długo, umawiając się co do zamachu, którego dokonać postanowili w teatrze, dokąd, według informacji Rodowicza, miał wieczorem przyjechać W. książę. Wreszcie poszli do teatru, gdzie około godz. 8-ej dowiedzieli się, że namiestnik już się tam znajduje.

Postanowili więc czekać na jego wyjazd. W tym celu weszli do sieni długiej i ciemnej od strony ulicy Wierzbowej, umawiając się, że będą z dwóch stron strzelali. Powóz W. księcia stał w tej sieni. Przeszli na dziedziniec teatralny, nie zwróciwszy na siebie najmniejszej uwagi ze strony licznie rozstawionej policji.

22 „Russkij Archiw” Nr. 7 z 1873 r. Uwagi nad artykułem N. W. Berga, pióra samego W. ks. Konstantego.

23 N. Berg, Zapiski II, 283.

W sieni znajdowało się około trzydziestu osób, których policyja nie usuwała dlatego, że niedawno otrzymała surowy rozkaz, by się grzecznie obchodziła z publicznością²⁴. Zresztą policyja głównie skupiła się u bramy od ulicy Wierzbowej, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje w długiej sieni i na dziedzińcu²⁵. Przez dziwny zbieg okoliczności, dawano wtedy operę „Aleksander Stradella”, której główne sceny w sam raz odpowiadały gotującym się wypadkom. Jak na Stradellę, mającego wyjść z kościoła, czyhali zbiry kochanka jego wychowawcy, tak samo na W. księcia czekała już ręka, która mu kulę przesłać miała. Właśnie w tem miejscu fantastycznej powieści, rozgrywającej się na scenie, po drugim jej akcie, W. książę, między godziną 9 tą a 10-tą wieczorem, opuścił teatr ze świetnym orszakiem oficerów wyższych (kniaź Bebutow, pułkownik Hauke, dyrektor teatru, adjutant kniaź Uchtomski i w. i.), między którymi znajdował się znienawidzony Kryżanowski, co się zebranej w teatrze publiczności bardzo niepodobało, i w chwili, gdy wsiadał do powozu, z grupy kilku ludzi wysunął się Jaroszyński i wyciągnął ręce jakby dla podania prośby. Ruch ten Konstanty dostrzegł i pochylił się naprzód, zapewne dla przyjęcia prośby, gdy nagle rozległ się strzał. W tejże chwili, policyjant znajdujący się w pobliżu, Piotr Biały nazwiskiem, uderzył tak silnie w rękę Jaroszyńskiego, że ten upuścił rewolwer²⁶.

Zaraz też pospieszył na pomoc Białemu drugi policyjant, Tomasz Malinowski, oraz znany nam już ze swego nieludzkiego zachowania się w sprawie Arnholda i Śliwickiego, kapitan Bremsen, b. adjutant Lüdersa, wreszcie policymajster major Fedorow, i schwytali Jaroszyńskiego. Rodowicz, widząc to, nie strzelał wcale, a może nie miał zamiaru strzelania, dodany Jaroszyńskiemu raczej dla dozoru tylko, ale wśród ogólnego zamieszania wyszedł z gmachu teatralnego spokojnie, rzuciwszy po drodze za kadź od deszczu rewolwer i sztylet.

W. książę był ranny. Kula wymierzona z bliska, z dołu do góry, przebiła płaszcz wojskowy, mundur i koszulę, zdarła skórę na lewym obojczyku, kontuzjowała lekko szyję i zaplątawszy się we frendzlach szlify, zawisała na sznurku od lornetki teatralnej²⁷. Konstanty wyskoczył z powozu, wszedł na schody i dostał się do pokoju za lożą cesarską, gdzie sam się rozpiął, obejrzał ranę

24 Loc. cit.

25 Oczewidiec, Posledniaja polskaja smuta („Russ. Starina” z r. 1875, XII, 619).

26 Ciężko za to odpokutował ów policyjant Biały. W rok potem, w samą rocznicę powieszenia Jaroszyńskiego, z rozkazu rewolucyjnego naczelnika miasta został zamordowany na ulicy.

27 „Russkij Archiw” loc. cit. Według innych, zawisała na frendzlach szlif, między ciałem i koszulą.

i znalazł kulę, która go życia pozbawić miała. Zrobiono mu tutaj naprędce pierwszy opatrunek i zaraz napisał własnoręcznie depezę do cesarza, poczem pojechał do Belwederu. Tutaj żona jeszcze o niczem nie wiedziała, a przy jej stanie poważnym, wypadek ten mógł mieć bardzo złe następstwa. Rana jednak była bardzo lekką, mimo to, przestrasz, naturalne wzruszenie, w części może oburzenie, wywołały w nocy silną gorączkę u ranionego²⁸.

Tymczasem schwytanego przez policją Jaroszyńskiego, zapewne wskutek gwałtownego wstrząśnienia moralnego i fizycznego, zaraz po przyaresztowaniu, porwały wymioty i głowa mu się trząść poczęła. Wzbudziło to usprawiedliwione podejrzenie, że jest otruty²⁹.

Napojono go więc ciepłym mlekiem, wziętem z cukierni Gronerta, na rogu ulicy Daniłowiczowskiej i placu Teatralnego, i gdy więźniowi lepiej się zrobiło, odwieziono go pod strażą dwudziestu Kozaków do cytadeli. W dorożce jechał z nim Bremsen i policjant Wiśniewski. Ten ostatni w drodze zapytał się więźnia: „Kto ty jesteś i dlaczego strzelałeś?” Ale Jaroszyński już zupełnie przyszedł do siebie i w poczuciu, że spełnił czyn dobry, że ofiarę ze siebie poniósł dla ojczyzny, odrzekł: „z tobą durniu gadać nie będę, ale oficerowi powiem, że strzelałem przez zemstę za cierpiącą ojczyznę. Ona ginie!” Na to Bremsen z właściwą brutalnością karyerowicza moskiewsko-niemieckiego, która krwawo w rok później miała się zaznaczyć krzyżacko-mongolskim okrucieństwem, zawołał: „łżesz! ciebie ktoś podkupił!”. Jaroszyński nie odrzekł na to ani słowa; odtąd zamknął się w dumnym milczeniu, choć kilkakrotnie jadący usiłowali z nim znowu zawiązać rozmowę³⁰.

Wieść o zamachu piorunem, rzec można, rozbiegła się po mieście i wywołała tak w rządzących, jak i w rządzonych grozę, przestrasz i popłoch niemały. Pierwsi, rozumując logicznie, sądzili, że konieczną konsekwencją zamachu będzie wybuch natychmiastowy powstania, o którym zresztą głośno od niejakiemu czasu mówiono po Warszawie. To też w obawie tego powstania, a może w przypomnieniu czasów Lambertowskich, major Fedorow, pod którego dozorem policyjnym był teatr, rozpuścił Kozaków po mieście z rozkazem rozpędzania batami wszelkich zbiegowisk. Hulali więc Dońcy i Kubańcy po ulicach, swoim zwyczajem batożąc winnych i niewinnych, starców, kobiety i dzieci. W ogóle oburzenie w wojsku, konsystującym w Warszawie, było wiel-

28 Pawliszczew, loc. cit. I, 104.

29 Z. Kolumna, Pamiętka dla rodzin polskich I, 10, twierdzi, że Jaroszyński „w przewidywaniu następstw ujęcia go, przed spełnieniem zamachu zażył truciznę”. Wiadomość ta jednak nie potwierdza się w relacji urzędowej o tej sprawie, czegoby przecież nie ukryto. W ogóle kwestya tego otrucia jest nader wątpliwą.

30 N. Berg, loc. cit. II, 286.

kie; chęć zemsty³¹ wśród niego powszechna; i ta zemsta rosnąc, miała w rok potem znaleźć ujście w krwawych saturnaliach, rzeziach i rabunkach, jakich się żołdactwo dopuszczało.

Teraz, w nocy, po zamachu, wszystkie posterunki wojskowe wzmocniono, w koszarach nakazano gotowość i czujność, a gęste patrole całą noc przebiegały miasto. Tam, w tem mieście, w umysłach mieszkańców, w głowach tych wszystkich, którzy myśleć umieli i potrafili, obudziła się poważna reakcja przeciw szaleństwom, jak mówili, stronnictwa ruchu. Dokądżeśmy to przyszli i dokąd jeszcze zajdziemy? pytano się nawzajem. Sam charakter zamachu na człowieka, który nigdy nic złego Polsce nie zrobił, i gdyby nawet chciał zrobić, to nie miał czasu na to, a który przeciwnie, okazywał się nadzwyczaj łaskawym, który przywiózł ze sobą nowe ustępstwa, oburzał wielu do głębi. Ci wszyscy, którzy w koncesyach, danych krajowi, widzieli zadatek lepszej przyszłości, którzy pamiętali rządy Mikołaja i porównywali je z obecnymi, którzy w głębi duszy przekonani byli, że to, co się robi ze strony czerwieńców, jest złem, strasznym złem, ale nie śmieli tego głośno wypowiadać, w obawie przed swemi żonami, córkami i synami, teraz podnieśli głowy i z długo hamowanym uczuciem oburzenia i grozy, wybuchli. Miarka się przebrała i większość, krzepiąc się wzajemnie, głośno wołała, że raz trzeba temu wszystkiemu koniec położyć, ojczyznę toczącą się w przepaść na jej skraju zatrzymać. Ale, jak zwykle w Polsce, inna rzecz słowa i zamiary, a inna rzecz czyny. Zobaczymy zaraz, jak te zbawienne zamysły przy swych narodzinach skończyły.

Jeżeli atoli zamach na wszystkich silne wywarł wrażenie, jeżeli u wszystkich obudził myśl przeciwdziałania szalonym zamysłom czerwieńców, a która, niestety! miała zostać tylko myślą, to u arcybiskupa Felińskiego zmieniła się ona od razu w czyn. Na wiadomość o zamachu, skamieniał on poprostu i przez chwilę nie był panem siebie z oburzenia³²; liczył on bowiem wiele na obecność w Warszawie brata cesarskiego, sądził nie bez słuszności, że z członkiem rodziny cesarskiej, z konieczności rzeczy obejmującym wzrokiem szerszy horyzont, łatwiej niż z ograniczonymi żołnierzami, którzy odgrywali w Warszawie rolę satrapów, zdoła się porozumieć.

Strzał, dany do tego księcia, zdawał się od razu wywracać te nadzieje; należało spodziewać się następstw jak najgorszych, rządów surowych i militarnych, które kielkujące żdźbła odrodzenia kraju zmrozić mogły całkowicie. Jednakże ks. Feliński uważał, że nie można rąk zakładać, ale ratować sytuację, jeżeli była ona jeszcze do uratowania. W tym celu zwołał nazajutrz, o godz. 7-ej rano, sesyą nadzwyczajną do konsystorza, i zebrany oświadczył, że chce

31 Pawliszczew, loc. cit. I, 104.

32 Prawdzicki, Wspomnienie o ks. Z. S. Felińskim, 137.

odbyć uroczyste nabożeństwo dla podziękowania Bogu za ocalenie namiestnika Królestwa, że przytem zamierza wygłosić mowę, i zapytał obecnych, co oni o tem myślą? Na to pierwszy, tonem gorączkowym, odezwał się ks. oficjał Rzewuski: „ja bym ani nabożeństwa nie odprawiał, ani mowy nie miał!” Po słowach tych, wypowiedzianych szorstko i gwałtownie, zapanowała w zgromadzeniu martwa cisza, a na twarzy ks. arcybiskupa znać było niemiłe zdziwienie i pewnego rodzaju zmieszanie. Ale odzyskując przytomność, zrobił uwagę, że w dyskusji należy zachować porządek przyjęty we wszystkich naradach kościelnych, t. j. by naprzód swe zdanie wygłaszali najmłodszy wiekiem i w hierarchii. Ponieważ w tem zebraniu najmłodszym pod obu względami był ks. Ignacy Domagalski, głośny ze swej wymowy kaznodziejskiej i niedawno przez arcybiskupa z Kielc sprowadzony, ksiądz o umyśle trzeźwym, nie ukrywający tego nigdy i nigdzie, że jest przeciwny ruchowi rewolucyjnemu, więc do niego zwrócił się arcybiskup i jemu dał naprzód głos. Ks. Domagalski z wielkim ogniem i zapałem oświadczył, że nie tylko trzeba odprawić nabożeństwo, ale dla dodania mu większej ostentacyi, należy wezwać wszystkie klasztory, by procesjonalnie z krzyżem na nie przybyły. Radził wreszcie, by arcybiskup w mowie, jaką zamierza wygłosić, jak najostrzej napiętnował „zbrodnię skrytobójstwa”³³.

Ks. Feliński, choć rada cała wciąż zachowywała ponure milczenie, projekt ks. Domagalskiego zaaprobował i sesję zakończył. Odpowiednie kursorya do duchowieństwa świeckiego i zakonnego natychmiast wygotowano i rozesłano³⁴.

Tymczasem w mieście już rano w sferach właściwych wiedziano, że stan zdrowia W. księcia jest zadowalniający, że oprócz bólu w ramieniu, czuje się dobrze, więc koło południa, zgodnie z etykietą dworską, rozpoczął się wielki zjazd do Belwederu dygnitarstwa wojskowego i cywilnego z powinszowaniem z powodu „cudownego ocalenia” (tak już wtedy urzędownie mówiono³⁵, życia namiestnika królewskiego. W pysznych więc salonach tego samego Belwederu, w którym przed trzydziestu paru laty dokonano także zamachu i także bez

33 Żywot ks. arcybiskupa Felińskiego (rękopism).

34 Sesja ta, a zwłaszcza zachowanie się na niej ks. Rzewuskiego, bardzo ujemne wywarła na arcybiskupa wrażenie. Jeżeli można wierzyć źródłu rękopiśmiennemu, z którego podaliśmy jej opis, to ks. Feliński powziął zamiar pozbawienia Rzewuskiego oficjalstwa, a oddania urzędu tego ks. Domagalskiemu, o czem tegoż uwiadomił. Ale ks. Domagalski odmówił i ze swej strony zaproponował ks. Kulińskiego z diecezji kieleckiej (późniejszego biskupa kieleckiego), człowieka, jak się wyraził, „uczonego i innego jak ks. Rzewuski”. Rzecz jednak na tem się urwała i Rzewuski na swem stanowisku pozostał. O sprawie tej, biograf ks. Rzewuskiego, p. Kazimierz Bartoszewicz nic nie wie.

35 Pawliszczew, Siedmicy I, 105, pisze: „z cudiesnym spaseniem”.

powodzenia na imiennika i stryja nowego wielkorządcy, znalazły się wszystkie władze cywilne Królestwa pod naczelnictwem margrabiego Wielopolskiego. Stawiła się więc cała Rada stanu, Rada administracyjna, Rada miejska, władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego pod przewodnictwem widocznie niezadowolonego p. Andrzeja Zamoyskiego, jako swego prezesa, wreszcie duchowieństwo z arcybiskupem na czele. W. książę wprzód, nim się ukazał wszystkim, wezwał przez adjutanta do swego gabinetu margrabiego, którego przyjął ubrany w płaszcz wojskowy i z ręką na temblaku, nie mogąc z powodu rany wdziać na siebie munduru.

Po dość długiej, sam na sam prowadzonej rozmowie, z kolei wezwany został do tegoż gabinetu ks. arcybiskup Feliński. W. książę zawsze w swój płaszcz udrapowany, rzekł z jawnym wzruszeniem na twarzy, że „jeżeli krew wczoraj przelana ułatwi mu zjednanie zaufania Polaków, to uważać będzie dzień ów za jeden z najszcześniejszych w swem życiu”. Od tych niezaprzeczenie pięknych słów, przeszedł następnie do wyrażen grzecznych i zbyt naciągniętych, by miały być szczeremi. Robiąc bowiem aluzję do uroczystego przyjęcia go w katedrze Świętojańskiej w dzień przybycia do Warszawy, dodał, iż do odwrócenia przez Opatrzność grożącego mu ciosu, nie mało zapewne przyczyniło się błogosławieństwo, jakie z rąk pasterskich ks. Felińskiego był otrzymał³⁶. Był to oczywiście frazes, tem nieprawdziwszy, że arcybiskup był katolikiem a namiestnik schyzmatykiem, ale świadczy on, jak dalece nowemu wicekrólowi polskiemu szło o uzyskanie sobie wszystkich, by ambitne marzenia, szeptane mu przez żonę, a może i przez niego samego żywione, spełnić się mogły.

Wyszedłszy następnie do zebranych i oczekujących nań w sali audyencyonalnej dostojników krajowych, przedewszystkiem uniewinnił się, że staje przed nimi w swój płaszcz żołnierski ubrany. „Przebaczcie mi, mówił po francusku, że tak ubrany was przyjmuję, ale wypadek, jaki mię spotkał, jest mojem tłumaczeniem. Oto druga zbrodnia w przeciągu ośmiu dni. Opatrzność mię osłoniła i uważam sam ten wypadek jako szczęśliwe zdarzenie, gdyż pokazuje on krajowi, jak dalece postąpiła zaraza.

Głęboko jestem przekonany, że szlachetny i wspaniałomyślny naród polski odpycha wszelkie współnictwo z zamachami tego rodzaju, ale słowa tu nie

36 Ks. S. Z. Feliński, *Mój pobyt w Warszawie*. Dotąd cytowaliśmy ten manuskrypt p. t. „rękopism bezimienny”, obecnie jednak, gdy ks. Feliński zmarł i nie mamy powodu ukrywania prawdy, uważamy za stosowne objaśnić, że rękopism rzeczony został dla autora pracy niniejszej skreślony własnoręcznie przez ks. Felińskiego w jesieni 1894 r. i zawiera opis jego pobytu w Warszawie. Rękopism ten drukujemy w całości, w dziale dokumentów, na końcu tomu pod Nr. 1.

wystarczą, potrzeba czynów. Brat mój pragnie waszego szczęścia, po to mnie tu przysłał. Liczę na waszą pomoc, żebym mógł spełnić swe zadanie; dajcie mi możność pracowania dla dobra waszego i bądźcie przekonani, że zrobię wszystko, co jest tylko w mej mocy". W tem miejscu W. książę zwracając się do p. Andrzeja Zamoyskiego, wyciągnął doń rękę i rzekł: „pan podzielasz me zdanie, panie hrabio? podaj mi więc swą rękę”... i współcześnie uchwyciwszy dłoń Wielopolskiego, dodał: „wzywam, panowie, waszej pomocy; popierajcie mię swym wpływem moralnym, gdyż wszelki rząd, pozbawiony poparcia narodu, jest bezsilnym”³⁷.

Mowa ta bardzo ładna, bardzo szlachetna, przesiąknięta na wskroś gorącą chęcią uspokojenia Polski, była pierwsza, jaką namiestnik wygłosił publicznie, w której dał poznać swe zamiary. Na nieszczęście, wypowiedziana ona była przed ograniczoną grupą dygnitarzy i nie doszła do wiadomości kraju, a jeżeli doszła, to w formie mocno skażonej. Dla celu, którego trudno zrozumieć, a który tylko wytłomaczyć można zwyczajem, panującym w rządzie rosyjskim, ukrywania wszystkiego, co się dzieje w sferach rządowych, mowa ta nie została wydrukowana w pismach w tekście dosłownym. „Dziennik powszechny”, a za nim i inne gazety, podały tylko jej streszczenie i do tego bardzo

37 Tekst tej mowy podany został jedynie przez Lisickiego i według jego dzieła francuskiego (*Le marquis II*, 321) pomieściliśmy ją tutaj w przekładzie dosłownym. Trzymaliśmy się zaś dlatego tekstu francuskiego, że prawdopodobnie został on wydrukowany według papierów margrabiego. Tłumaczenie polskie w dziele tegoż autora (*Aleks. Wielopolski I*, 338) jest, zwykłym obyczajem p. Lisickiego, niedokładne, pełne wstawek i opuszczeń. Są i inne relacje o tej mowie. W cytowanej przez nas wielokrotnie pracy ks. Felińskiego o jego pobycie w Warszawie, czytamy: „W. książę, zaręczywszy przedstawicielom kraju, że szalony zamach na życie jego, tak łaskawie przez Opatrzność udaremniony, w niczem nie zmieni pojednawczych usposobień jego względem narodu, którego nie chce czynić odpowiedzialnym za wybryki obłąkanych fanatyków, dodał głosem, w którym głębokie malowało się przekonanie: „wy tylko, przedstawiciele polskiego społeczeństwa, nie odmówcie mi szczerzego poparcia, a wszystkie wspólnie przetrwane próby staną się szczeblami tej drabiny, która nas do tegoż upragnionego celu doprowadzi”. Ujawszy przy tych słowach prawicę Wielopolskiego i Zamoyskiego, połączył je z sobą, przy tych znaczących słowach: „wy zwłaszcza podajcie sobie dłonie i wspierajcie mię wspólnie, a wszelkie zawady ustąpią z naszej drogi”. W pamiętniku rękopiśmiennym Stanisława hr. Aleksandrowicza, zatytułowanym „Urywkowe zapiski” i znajdującym się w wierzytelnej kopii w naszych zbiorach, o mowie tej czytamy: „W. książę miał krótką przemowę, w której powiedział, że jego bytność w kraju jest niezawodnym zadatkiem wykonania wszelkich instytucji, któremi N. Pan kraj obdarował. W końcu dodał, że sam nie podoła temu ciężkiemu zadaniu uspokojenia i zorganizowania administracji kraju. Jeżeli jednak margrabia Wielopolski z p. A. Zamoyskim pójdą ręką w rękę, to on (W. książę) ma nadzieję, że przy ich pomocy zamierzony cel osiągnięty zostanie”. Poszliśmy jednak za tekstem podanym przez p. Lisickiego, bo posiada on najwięcej cech autentycznych.

niedokładne. „Dostojny książę, pisał „Dziennik”, witając wszystkich z uprzejmością i dziękując za okazane mu współczucie, w przemówieniu do Rady stanu oświadczył, że wypadek, jaki miał miejsce nie będzie mu przeszkodą do wspólnego z nią pracowania nad przeprowadzeniem tyle pożądanym dla kraju reform; że jednak do tego przeprowadzenia konieczną jest rzeczą, aby rząd miał ze strony narodu potrzebne dla siebie poparcie. W tym względzie gorliwość urzędników w zakresie ich służby nie jest jeszcze wystarczającą; ale podobnymi usiłowaniami w obrębie ich stosunków prywatnych popieraną być musi. W końcu dodał ze wzruszeniem, że ten strzał morderczy, który w ciągu jednego tygodnia po raz drugi daje się słyszeć w Warszawie, jest może zrzędzeniem Wszechwładnej Opatrzności, dającej narodowi sposobność okazania się w prawdziwym swym świetle”³⁸.

Takie chłodne, nieprawdziwe, urzędową nieudolnością stylu nacechowane streszczenie gorącej i serdecznej mowy W. księcia, nie mogło wywrzeć wrażenia i nie wywarło go też wcale. Niektóre epizody przyjęcia, dochodząc do wiadomości ogółu, powtarzane z ust do ust, zmieniły się w końcu w plotkę. Mówiono, że W. książę wziął za rękę p. Andrzeja i Wielopolskiego i żądał, by się pogodzili i by sobie podali dłonie, ale p. Andrzej ze wstrętem swą cofnął. Że p. Zamoyski, podczas owej przemowy Konstantego, zachował się swoim zwyczajem bardzo chłodno, że nic nie odpowiedział na gorące słowa W. księcia, że nawet w chwili gdy ten ostatni wziął go za rękę, cofnął się nieco, jak gdyby unikając zetknięcia się z margrabią, to prawda; ale fałszem było, jakoby W. książę domagał się, by sobie dłonie podali. Dla zapobieżenia takim szkodliwym i drażniącym plotkom, najlepiej było ogłosić w całości tekst mowy i opis prawdziwy całego przyjęcia w Belwederze, a jeszcze lepiej, korzystając z wrażenia, jakie zamach wywarł, odezwać się z proklamacją do narodu i domagać się odeń poparcia dla nowego rządu polskiego. Byli tacy, którzy radzili Konstantemu to uczynić; proponowali oni, by w proklamacji tej, w tonie bardzo uroczystym trzymanej, był nakreślony szczegółowy zarys nadanych już Polsce koncesji, oraz tych, jakie monarcha zamierza jeszcze udzielić, byle kraj się uspokoił³⁹. Radzono, by zaraz znieść stan oblężenia, a nawet byli i tacy, którzy domagali się, by W. książę nazajutrz po zamachu, bez żadnej straży, sam jeden odbył przechadzkę pieszą po ulicach Warszawy, twierdząc, nie bez znajomości charakteru narodowego polskiego, że taki krok, takie oddanie się polskiej szlachetności wywrze wrażenie potężne na ludność i odtąd kniaź rosyjski będzie bezpieczniejszy w Belwederze, niż był nim w swym pałacu pe-

38 Sądząc po niektórych oznakach, relacja ta o mowie W. księcia, zdaje się być pióra samego Wielopolskiego.

39 Schedo-Ferroti, *Que faire-t-on de la Pologne*, 50.

tersburskim. Powoływali się na cesarza Mikołaja, gdy sam jeden stanął przed zbuntowanymi gwardyami w Petersburgu, lub później gdy pierś swą wystawił pod lance rokoszu kozackiego nad Donem.

Ale wszystkie te heroiczne rady na zmęczonego fizycznie i moralnie W. księcia nie wpłynęły. Takie męskie, niezwykle kroki wyszły już z użycia w rodzinie cesarskiej rosyjskiej, która nie niosła teraz w piersi poczucia mikołajewskiego, że jest narzędziem Opatrzności, i takie środki bohaterskie wydawać się musiały zbyt romantycznymi i zbyt może teatralnymi. Co się zaś tycze proklamacyi i zniesienia stanu oblężenia, zapytany z konieczności o radę Wielopolski, jak najkategoryczniej temu się oparł⁴⁰. Trudno dziś odgadnąć, jakie motywa nim kierowały, ale że popełnił błąd i wielki błąd, nikt zaprzeczyć nie zdoła. Może było to następstwem jego zasady, kilkakrotnie przezeń wygłaszanej: „bądźmy oszczędni w słowach, a zato szczodrzy w czynach”, zasady, której, niestety! sam się ściśle nie trzymał i chętnie wygłaszał mowy nadzwyczaj szkodliwe dla siebie i kraju; może inne miał powody, których odgadnięcie dziś jest trudnem, prawie niepodobnem. Bądź co bądź W. książę, patrzący z natury rzeczy na sprawy polskie przez oczy margrabiego, proklamacyi do narodu nie wydał, a mowa jego, wypowiedziana w Belwederze, utonęła bezpłodnie w powodzi przekształceń i plotek; i podczas gdy Wielopolski, Enoch, Krzywicki i wszyscy stronnicy i poplecznicy nowego rządu, zapowiadali dalszy rozwój udzielonych krajowi koncesyi i wielkie zmiany w kraju, sam W. książę milczał. Podobny on był do niemego króla w dawnym dramacie, do króla pojawiającego się na scenie z wielkim trzaskiem trąb i fanfarów, z niemniejszym orszakiem paziów i rycerzy, ale nic nie mówiącego.

Takim niemym, niestety! królem i niemą królową w dramacie polskim był wielki książę rosyjski i niemiecka Aleksandra Józefówna.

Po Belwederskim przyjęciu, wszyscy na niem obecni, silnie wzruszeni słowami W. księcia, wielu oburzonych do głębi postawą, jaką p. Andrzej Zamoyński zachował wobec mowy i postępowania namiestnika, udali się do archikatedry Świętojańskiej na zapowiedziane nabożeństwo z powodu ocalenia życia wielkorządcy. Tam już ciągnęły tłumy ludu, ciągnęły długimi szeregami w średniowiecznych swych strojach i w średniowiecznej procesyi z krzyżem na czele, wszystkie zakony warszawskie. Wielkie prezbiterium katedralne prze-

40 Loc. cit. 51. Potwierdza to także *Zmarły dyplomata* (Die polnische Revolution, Deutsche Revue z r. 1893, 217), mówiąc: „prawdopodobnie należy przypisać margrabiemu Wielopolskiemu, że W. książę od postawienia programu (swych rządów), jak również od wydania pewnego rodzaju proklamacyi się wstrzymał. Margrabia w dumnym poczuciu, że *l'état c'est moi*, uważał za zbyteczne uwiadamiać z góry swych ziomeków o zamiarach rządu. Powinni oni byli słuchać i czekać!”

pełnione było duchowieństwem świeckiem i kapłanami czarnych, brunatnych i białych mnichów, co niezwykle przedstawiało widok. Nabożeństwo odprawił sam arcybiskup Feliński z wielką uroczystością i pompą, po którym, po odśpiewaniu „Te Deum” stanął na stopniach ołtarza i miał jedną z tych mów, prawie żebrzących u Polaków miłości i miłosierdzia dla Polski; mów, których tyle wygłosił, a dziś to żebracze błaganie straszne, rzecz można, wywiera wrażenie. Zaczawszy od Ezechielowego prorocstwa, z wielkim zapalem i namaszczaniem, jakim przejętą była ta dusza ascetyczna i entuzjastyczna zarazem, mówił, że musi się odezwać, „boć i mnie postawił Pan stróżem domu Izraelowego z obowiązkiem, bym prawdę mówił ludowi, pieczy mojej powierzonemu; boć i z mojej też ręki krwi niezbożnego szukać będzie Pan, jeśli Mu nie oznajmię nieprawości jego”... „Zbrodnią jest wołająca o pomstę do Boga, wszelkie samowolne targnięcie się na życie bliźniego; zbrodnią jest nie tylko dla chrześcijanina, który prawem miłości rządzić się winien, lecz i dla poganina samego, co przyrodzoną zna tylko sprawiedliwość, bo przykazanie: nie zabijaj, sam Stwórca Wszechmogący wraził w serce człowieka. Namiętność może tak dalece oślepić pojedyncze sumienie, że zabójstwa samego za zbrodnię sobie poczytywać nie będzie, ale żadna namiętność nie zdoła odmienić prawa, wedle którego Sędzia Przedwieczny sądzić nas kiedyś będzie”. „...Tak się przedstawia ohydny zamach na życie dostojnego brata i namiestnika monarchy ze stanowiska czysto chrześcijańskiego, jako zbrodni przeciwna nie tylko Ewangelii, lecz i prawu przyrodzonemu. Lecz i ze stanowiska nawet patryotycznego, dążenia podobne są zbrodni nie do przebaczenia, bo największą krzywdę istotnym interesom narodowym wyrządzającą. Nie wgładam już, do jakiego odcienia patryota należeć może, lecz każdy, co pragnie dobra kraju i szczęścia dla ojczyzny swojej, musi przyznać, skoro ma wiarę i bojaźń Bożą, iż losy nasze w ręku Opatrzności spoczywają; Opatrzność zaś sprawiedliwą jest przedewszystkiem i każdemu narodowi wedle zasługi wymierza”. „...Skoro zaś tak jest, to czyż może Pan błogosławić tym, co gwałcąc prawo Boże i rokosz przeciwko Stwórcy swojemu podnosząc, o szczęściu niby kraju swojego marzą? Lecz chociażbyśmy nawet rządy Opatrzności zapoznali (sic), to i tak jeszcze czyż nie jest zbrodnią przeciwko ojczyźnie przecinać wewnętrzny rozwój krajowych instytucji, w chwili właśnie, kiedy ziemia nasza, od tak dawna zbawiennych reform spragniona, otrzymała wreszcie możebność poprawienia tego wszystkiego, co poprawy potrzebuje? Zaiste, ślepym lub szalonym być potrzeba, by tak oczywistej prawdy nie widzieć; a nikczemnym lub małodusznym będzie, kto się w tak stanowczej chwili nie odezwie i ręki skutecznie do ukrócenia złego nie przyłoży. Bracia najmilsi, w tej chwili już nie rząd, ale wiara i ojczyzna pomocy się waszej domagają i chcą być się jawnie prze-

ciw podobnym bezprawiom oświadczyli; pamiętajcie, że w podobnych razach *qui tacet consentire videtur* (milczący zdaje się przyzwalać). Mam nadzieję, że podobnych szaleńców jest niewielu; że duch narodu nieskalany pozostał, lecz chociażby jeden tylko był taki, to i jego pod pręgierzem opinii postawić trzeba, by się naród przed światem i przed własnym sumieniem oczyścił, by zrzucił z siebie solidarność za czyn, któryby historią naszą splamił”.

Słowa te, nabożeństwo całe, nie pozostało bez wpływu na obecnych, a na W. księcia przez to, że zostało samoistnie przez arcybiskupa urządzone, miało silne wywrzeć wrażenie⁴¹. W Warszawie zresztą i w kraju sam zamach wywołał oburzenie i zupełnie usprawiedliwione obawy, że rząd cofnie nadane koncesje i wróćą dawne czasy paskiewiczowskie. Tu i owdzie głośno o tem mówiono i zapowiadano⁴². Pogłoskom tym, które coraz szersze przybierały rozmiary i budziły trwogę powszechną, oczywiście nie mogły zapobiedz, ogłoszone przez dzienniki w mocno skażonej formie, słowa belwederskie W. księcia; zapobiegła im atoli do pewnego stopnia, mowa, jaką d. 5 lipca, a więc trzeciego dnia po zamachu, wygłosił margrabia w Radzie stanu i w całości opublikował w dziennikach. Po krótkim wstępie, w którym wytłumaczył dlaczego nie sam W. książę, ale on otwiera ogólne zebranie Rady⁴³, w zwykłym swym patetycznym i ciężkim stylu, tu i owdzie jednak niepozabawionym męskiej piękności, niby homeryczny „Kronid gromowładny”, rzekł: „ukochany przez cesarza książę, dla nas jako zakład postępu i przyszłości naszej, mojami także prośbami wyjednany, przybył wśród nas z ufnością szlachetną, wraz z dostojną małżonką swoją i drobną dziatwą. Nie zawiódł się na sercu i zacności ludu, któremu siebie i szczęście swoje rodzinne powierzył. Dowiodły tego dni pamiętne, dzień bezbronnego jego wjazdu i dzień w którym Warszawa przyjmowała go u ołtarzów swych świątyń z otuchą i dziękczynieniem. Po tych dniach pogodnych, noc z jaskini ukrytej zionęła nowy zamach i zgrozą kraj ogarnęła. Dostojny książę, nietknięty nim na duszy i niezachwiany, oznajmił nam, słyszeliście to wszyscy, że w zbrodniach popełnionych nie przypisuje żadnego udziału winy narodowi polskiemu, że na dawnej jego szlachetności polega, nad dobrem jego wspólnie z nami pracować pragnie.

Spodziewać się możemy, że ta sama Opatrzność, która nam księcia ocaliła, dozwoli wydobyć na jaw przewrotne knowania, że sprawiedliwość ich (sic)

41 „Żywot ks. S. Z. Felińskiego” (rękopism).

42 Pawliszczew, Siedmicy I, 110.

43 „Posiedzenie nasze, mówił Wielopolski, zamierzał otworzyć W. książę, dostojny nasz namiestnik, po ciosie poniesionym, lubo zdrowie J. C. Wysokości nie wzbudza żadnej obawy, wszakże największa spokojność jest mu zalecona. Z woli jego mam go wśród was wyręczyć”.

dośćignie; że nadal moc prawdy obłąkanych oświeci, moc sumienia zapamiętałych skruszy i rozbroi, i że nasz związek społeczny ocalony będzie. Ciosy mordercze, jeśliby jeszcze paść miały, pragnę aby raczej przeciwko moim piersiom się obróciły, niżeli żebym przeżył na tej ziemi cnoty ojców naszych i cześć imienia polskiego. W. książę w przemowie swej do nas, zachęcał nas wczoraj, abyśmy korzystając z przesilenia, w swoim zakresie działali ku przezwyciężeniu złego, ku poparciu porządku i prawa”.

Najważniejszym jednak ustępem tej mowy, który właśnie owym niepokojącym pogłoskom o cofnięciu nadanych koncesyi do pewnego stopnia koniec położyć miał, jest następujący: „nowe zaufanie cesarza i króla dla Rady stanu, powołuje trzech naszych kolegów na ważne posady gubernatorów cywilnych; tym sposobem na przełożenie dostojnego naszego namiestnika, w gronie waszem zaczerpnięty został początek niektórych zmian w administracyi prowincjonalnej, mających poprzedzić otwarcie Rad powiatowych i utworzenie Delegacyi czynszowych na niezachwianej podstawie jedności działania, pomiędzy rządem a krajem”.

Nominacya trzech nowych gubernatorów Polaków zadawała wyraźnie i wymownie kłam pogłoskom, że rząd wskutek zamachu wróci do dawnego systemu wojskowego. Powierzenie stanowisk tak ważnych rękom polskim, było dowodem, że administracya kraju kierowaną będzie wyłącznie przez krajowców. Obecnie już wszyscy gubernatorowie byli Polakami (Łaszczyński, warszawski; Boduszyński, lubelski; Ostrowski, radomski; Dziewanowski, płocki; Korytkowski, augustowski). Wybór przytem był ze wszech miar dobry; nowi gubernatorowie po większej części należeli z fachu do ziemian i doskonale obeznani byli z potrzebami kraju. Ustępowali im ludzie obcy tym potrzebom, jenerałowie nieznający się ani krzty na administracyi, lub karyerowicze niemieccy. Jenerał Roźnow, dotychczasowy gubernator płocki, był gburą i okrutnikiem; choć kobieciarz wielki, smagał jednak kobiety różgami za to, że nosiły żałobę; zrobiony później prezesem komisyi śledczej w Warszawie zasłynął głupotą i barbarzyńskim obejściem się z więźniami. Na gubernatorstwie zastąpił go teraz Dominik Dziewanowski, ziemianin, właściciel dóbr w Płockiem, człowiek zacny, choć miękki nieco, pełen jednak gorącej miłości kraju i dbałości o jego dobro prawdziwe. Z gubernatorstwa radomskiego ukazał cesarski usunął jenerała Oppermanna, należącego do rzędu, doskonale w Polsce znanych, karyerowiczów rosyjsko-niemieckich, postać w najwyższym stopniu niesympatyczną i nieprzyjaźnią nam usposobioną. Jego miejsce zajmował teraz p. Aleksander Ostrowski, rolnik, dziedzic Maluszyna, należący do zamożniejszych ziemian w kraju, wyborczy gospodarz i administrator, charakter prawy, ale głowa słaba. Swą powagą, zacnością swych uczuć i myśli,

wyrobił sobie takie stanowisko w kraju, że za istnienia Towarzystwa rolniczego został jego wiceprezesem, a zatem po p. Andrzeju uważany był przez ogół za najznamienitszego obywatela kraju. Bliski krewny margrabiego, oraz jego osobisty, dawny przyjaciel był dobrym Polakiem i gotowym szczerze i gorliwie popierać nowy rząd polski. Obaj z Dziewanowskim byli członkami Rady stanu i do pewnego stopnia służyli za wskazówkę, że instytucja ta będzie rozsądnikiem niejako na wszystkie, nawet najwyższe, godności administracyjne kraju. Na nieszczęście, obaj przy najzaciejszem sercu i najlepszych chęciach, przy wstąpieniu do rewolucyi, mieli w swem usposobieniu dużo polskiej słabości i ślamazarności charakteru; dali się powoli owładnąć grupie niższych urzędników, czerwono usposobionych i nie zawsze to robili, co robić pragnęli i co robić należało. Trzeci na koniec nowy gubernator augustowski, p. Józef Korytkowski, wstępujący na to stanowisko po jenerale Fenshawie, człowieku nie złym, ale obcym krajowi, był wybornym administratorem, doskonałym urzędnikiem, który doszedł do tej wysokiej godności posuwając się powoli od najniższych szczebli hierarchii urzędniczej. Doświadczony, wytrawny, miał głowę dobrą choć nieco doktrynerstwem i wielką ufnością w siebie zarażoną, ale należał do ludzi uczciwych, był dobrym Polakiem i szczerze jak mógł i gdzie mógł, popierał nowy rząd polski.

Jakkolwiek nominacje te znacznie wcześniej przed zamachem były zdecydowane, dla ogółu jednak, nieświadomego przebiegu spraw rządowych, mogły się one wydawać i wydawały się jednym ze skutków tego zamachu. W rzeczy samej tak nie było; były one dalszem wykonywaniem raz powziętego planu, że Polską rządzić i administrować winni Polacy. Nominacje te jednak dość chłodno przyjęto; umysły zanadto były zajęte czem innem, wzrok zanadto wpatrzony w wielkość rozgrywających się i zbliżających wypadków, by tak drobne fakta, jak nominacja jakichś tam gubernatorów nie miały przechodzić prawie niepostrzeżonymi.

Tymczasem, gdy się to wszystko działo, w umysłach lepszych oburzenie na zamach coraz bardziej wzrastało i znalazło swój wyraz w akcji, jaka się poczęła teraz wśród zamożniejszego i wybitniejszego ziemiaństwa, a która, niestety! jak wszelkie akcje w tych czasach, miała wydać tylko zgniłe i robaczywe owoce. Potrzeba potępienia zamachu nierozumnego i niczem niewytłomaczonego, potępienia przez jakiś akt głośny i uroczysty, zapobieżenia przez to możliwości cofnięcia reform, a nade wszystko zadośćuczynienia sumieniowi społecznemu, była powszechnie odczuwaną i odezwiała się ona w wielu sercach naraz. Zdaje się, że na drugi dzień po zamachu, pan Ludwik Górski, jedna ze znamienitości ziemiańskich Królestwa, porozumiał się w tym względzie ze znanym nam już Aleksandrem Kurtzem, dziedzicem historycznego Otwocka, Franciszkiem Węgłęńskim, synem ministra za Księstwa

warszawskiego, człowiekiem bardzo czynnym w tej dobie, oraz Wincentym Majewskim, głośnym mecenasem i uznali, że trzeba coś robić. Ale wyćwiczeni w karnej szkole Towarzystwa rolniczego, zdolni do działania tylko gromadą, postanowili zwołać w tym celu naradę, złożoną z członków dawnego Komitetu Towarzystwa, z członków samego Towarzystwa wreszcie, obecnych w Warszawie, z członków przeszłorocznej Delegacji miejskiej i wybitniejszych wreszcie obywateli. Myśl ta szybko się przyjęła, rozbiegła się po mieście i w krótkim czasie zebrało się u p. Górskiego około sześćdziesięciu osób⁴⁴. Znaleźli się tam reprezentanci wszystkich niemal party i frakcy; przybyło wielu nawet takich, których nie zaproszono wcale, którzy sami przyszli dowiedziawszy się, że się coś robi. O ile jednak sądzić można ze skąpych relacji o tem zebraniu, nikogo nie było z członków Komitetu centralnego, ani w ogóle ze stronnictwa Czerwonych.

Za przedstawicieli party ruchu uchodzili obecni na zgromadzeniu: Szlenker, znany nam z przeszłego roku członek Delegacji miejskiej i zamożny kupiec warszawski, oraz Jurgens i Karol Ruprecht, Sybirak, który jednak stanowił chłodniejszy od Szlenkera i Jurgensa odcień⁴⁵. Uradzono jednomyślnie, że należy co najrychlej wysłać do W. księcia Konstantego deputacją, złożoną z obywateli wiejskich i miejskich, która ma mu wręczyć adres, potępiający zamach. Polecono przytem, aby p. Ludwik Górski zajął się natychmiast redakcją tego adresu⁴⁶, o ile można treściwego i krótkiego.

Jakoż p. Górski adres żądany zreдаgował i zebrany odczytał. Ale treść jego się nie podobała; ogromna większość uznawała go za niedostateczny

44 St. hr. Aleksandrowicz, Urywkowe zapiski (rękopism). Lisicki, Le marquis II, 322, powiada, że „zwołano około czterdziestu osób, należących do wszystkich odcieni opinii umiarkowanych. Rewolucyoniści, uchodzący za umiarkowanych, wcisnęli się także między zachowawców, bardzo zakłopotani swą rolą, gdyż postanowiwszy sobie z jednej strony potępić zamach, pragnęli z drugiej uniknąć manifestacji wyraźnie rządowej, co zmusiłoby ich do porzucenia gruntu neutralnego i pokłóciłoby ich z Komitetem centralnym”. W dopisku dodaje: „między osobami zebranymi, znajdowały się dwie osobistości wmieszane do wszystkich spisków tej epoki, t. j. Jurgens i Ruprecht”. Wszystko to dowodzi, że p. Lisicki ma bardzo niedokładne wyobrażenie o ówczesnej party czerwonej i o usposobieniu ogólnem. Jurgens i Ruprecht, w tej epoce przynajmniej, nie mieli żadnych stosunków z Komitetem centralnym i nikomu z zebranych nie szło o zgodę z tymże Komitetem, o którego istnieniu wielu w tej porze prawdopodobnie nie wiedziało jeszcze wcale. Jeżeli były jakie wahania, a nasze źródła wcale o nich nie mówią, to ze względów o wiele poważniejszych i donioślejszych. Adres ostatecznie zakrawał na kompromis z Rosją, na uznanie obecnego rządu, co ówczesnym ludziom wydawało się do pewnego stopnia zdradą ojczyzny i jej przyszłości.

45 Koźmian St. Rzecz o roku 1863, II, 268, utrzymuje, że na zebraniu tem był także Karol Majewski, „przedstawiciel rewolucji moralnej” (?), jak go dość niezrozumiale nazywa. Jest to fałsz; Majewski od kilku dni siedział już w cytadeli.

46 Aleksandrowicz St. loc. cit.

i niewłaściwy. Zarzucano mu, że wyłącznie ogranicza się on na potępieniu zamachu, że nie ma wcale charakteru politycznego; że należy skorzystać z nadarzającej się sposobności, by wypowiedzieć swe pragnienia i skargi⁴⁷. Zawięzały się teraz gorące i żwawe rozprawy; powoli, jak oliwa na wierzch wychodzić poczęła niechęć wyraźna do zamierzonej demonstracji, leżąca w głębi duszy wszystkich zebranych. Wielu z nich sądziło, że przez taki akt uznają legalność rządu rosyjskiego w Polsce, że zrzekną się swych praw do nieprzedawnionej Polski dawnej, lśniącej w ich wyobraźni jako ideał, jako jedyny cel ich życia, jako najdroższe marzenie tego życia. Naturalnie byli i tacy, którzy dbając o popularność swych imion i wiedząc, że demonstracja ta zostanie przez Czerwieńców i przez ulicę potępioną, lękali się kłaść swych podpisów na adresie, który oburzał się na zamach, a nic nie mówił o pragnieniach narodu, o nadużyciach i gwałtach, jakich się rząd najezdniczy dopuszczał⁴⁸.

Wreszcie po żywej dyskusji adres z małemi zmianami przyjęto, w końcu tylko dodano takie zdanie: „*nous espérons, que Vôte Altesse Imperiale saura trouver les moyens d'allegger les souffrances de cette nation si longtemps malheureuse*” („mamy nadzieję, że Wasza cesarska wysokość znajdzie sposoby ulżenia cierpieniom tego narodu, przez tak długi czas nieszczęśliwego”⁴⁹). W końcu uradzono na owem zebraniu, że deputacyi, jaka się ma z owym adresem udać do W. księcia, będzie przewodniczył p. Andrzej Zamoyski i że on na jej czele głos zabierze. Nie wątpiono, że p. Andrzej zgodzi się na to; nie wyobrażano sobie, by go przy takim akcie pominąć można było i by kto inny mógł deputacyi obywatelskiej przewodniczyć. Zaraz też, nie tracąc czasu, wyruszyli do p. Andrzeja z całą tą uchwałą p. Ludwik Górski, Aleksander Kurtz, Szlenker i Jurgens. Wszakże na wielkie ich rozczarowanie, p. Andrzej nie chciał się podjąć tej misyi, a zwłaszcza przewodnictwa deputacyi. Wśród dyskusyi, jaka się z tego powodu zawięzała, starał się wytłumaczyć przybyłym, że zamach Jaroszyńskiego nie jest zwykłą zbrodnią, że ma on charakter polityczny (o tem przecieź nikt nie wątpił), i rozwinął przytem osobliwszą teorię, pod którą bez wahania byłby się podpisał sam nawet Chmieleński i Dąbrowski. Mówił więc, że kraj tak nieszczęśliwy jak Polska, będąca w niewoli,

47 Loc. cit.

48 Spasowicz W. *Żizń i politika markiza Wieliopolskiego*, 287.

49 Aleksandrowicz, loc. cit. Lisicki, *Le marquis II*, 323, inaczej cytuje ten ustęp. Według niego brzmiał on: „*nous espérons que V. A. J. trouvera dans son coeur les moyens de guerir les plaies de cette nations si longtepmis malheureuse*”. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, II, 269, utrzymuje, że ustęp ten dodano do adresu za sprawą Ruprechta, Jurgensa, no! i oczywiście Majewskiego. Według p. Koźmiana, ustęp ów brzmiał jeszcze inaczej; zamiast bowiem wyrazów: „*les moyens de gnérir les plaies*”, stawia on zdanie: „*les moyens d'adoucir les souffrances*”. Oczywiście, te drobne warianty, przytoczone przez nas tylko dla ścisłości, nie zmieniają w niczem zasadniczej myśli inkryminowanego zdania.

musi szukać i uciekać się do środków nadzwyczajnych i krwawych, ażeby się pozbyć nieprzyjaciela i od najazdu oswobodzić. Jednem słowem, zamachu nie potępią, nie mógł więc wziąć udziału w akcji, który to czynił⁵⁰.

Był przytem tak rozgoryczony i tak rozgorączkowany, wygłaszał teorie tak skrajne, że nawet Szlenker i Jurgens starali się go uspokoić i ochłodzić. Na koniec po długich sporach i rozprawach zrobił to, co zwykł był zawsze robić, ilekroć żądano odeń czegoś gromadnie, to jest wbrew wygłaszanym opiniom, uległ namowom obecnych i z wyraźnym wstrętem obiecał, że nazajutrz pojedzie do W. księcia. Położył tylko jeden warunek, że margrabia Wielopolski musi być o tem wszystkiem uprzedzony⁵¹.

Uznano słuszność tego żądania, może uzyskawszy tak znaczne zwycięstwo, nie chciano go narażać sporami o drobnostki, i zaraz p. Górski i Kurtz udali się do pałacu Brühlowskiego, gdzie, jak wiadomo, rezydował margrabia. Zastali go schodzącego na dół; miał jechać do Zamku, zdaje się na posiedzenie Rady stanu, na którym miał wygłosić swą słynną mowę, potępiającą zamach. Powóz przed drzwiami pałacu już na niego czekał. Spostrzegłszy dwóch delegatów, był nadzwyczajnie ich widokiem zdziwiony, i nie pytając po co przybyli, rzekł od razu: „przepraszam, ale przyjąć nie mogę, bo mi bardzo pilno jechać do Zamku”. Na to posłowie odpowiedzieli, że sprawa, dla której przybyli, jest wielkiej wagi; że nie znosi ona najmniejszej zwłoki i nalegali, by margrabia koniecznie ich wysłuchał. Wielopolski, wciąż stojąc w sieni, z chmurnym wyrazem na twarzy i z widoczną niechęcią, rzekł: „ha! w takim razie mogę panom poświęcić kilka minut, ale już nie pójdziemy na górę”.

Weszli więc do ciasnego pokoiku, znajdującego się w sieni, i zajmowanego przez szwajcara pałacowego. Tutaj p. Górski i Kurtz przedstawili margrabiemu cel swego przybycia. Zdarzyło się, że właśnie w czasie tych wyjaśnień, przez sień przechodził syn margrabiego p. Zygmunt Wielopolski; wezwany przez ojca, wysłuchał z jego ust relacji o propozycji dwóch obecnych delegatów i oświadczył, że pomysł ten uważa za dobry. Wobec tego, margrabia oznajmił, że musi rzecz tę przedstawić W. księciu i poprosił p. Górskiego, by zechciał nazajutrz o godz. 8-ej rano przybyć do niego⁵².

50 Aleksandrowicz, loc. cit.

51 Loc. cit. Koźmian, *Rzecz o r. 1863*, II, 268, dodaje, że miał przytem p. Andrzej oświadczyć, że „nie chce nie tylko nic przeciw Wielopolskiemu, ale i bez niego zrobić”. Źródła nasze nic o tym fraziezie nie mówią, który, zdaje się, znacznie wcześniej i przy innej okoliczności był wypowiedziany. Przy powierzchowności, z jaką p. Koźmian traktuje swój przedmiot, przy wyraźnem częstokroć niedbalstwie i braku głębszych studyów, na pewno twierdzić można, że p. Andrzej takiego zdania w tej chwili nie powiedział, a p. Koźmianowi pomieszały się w głowie czasy i okoliczności, dla sprawdzenia których do źródeł zajrzeć mu się nie chciało.

52 Aleksandrowicz, loc. cit.

Stosownie do umowy, p. Górski stawiał się na drugi dzień o naznaczonej godzinie u margrabiego, który go uwiadomił, że W. książę bardzo mu jest wdzięczny za inicjatywę w tej sprawie, że deputacyą chętnie przyjmie, ale pod jednym warunkiem, że nie kto inny będzie jej przewodniczył tylko Górski, i że on jeden głos zabierze. Na to Górski odpowiedział, że jest to rzeczą nie- możliwą, gdyż umówiono się już z p. Zamoyskim, iż stanie na czele deputacyi, że wreszcie stanowisko p. Andrzeja w kraju jest takie, że pomijać go nie moż- na, że on jeden tylko może być przewodnikiem obywateli. Margrabia chmur- ny ciągle i jakby zamyślony, wysłuchawszy tych słów, zapytał: „panie Ludwi- ku, po dawnej znajomości powiedz mi szczerze, czy stawiając Zamoyskiego jako naczelnika, chcecie przeciwko mnie wyrobić partyą polityczną?” Słowa te zdradziły Wielopolskiego; świadczyły one, że jeżeli W. książę istotnie za- żądał, by na czele deputacyi nie stawał Zamoyski, to uczynił to na skutek nalegań Naczelnika rządu cywilnego. Górski słusznie w duszy oburzony tem wysuwaniem na pierwszy plan swego interesu osobistego, tem rządzeniem się indywidualną niechęcią i prywatą wobec sprawy największej doniosłości, odrzekł tonem chłodnym: „panie margrabio! o kształceniu jakiejś partyi przeciw panu nikt nie myśli, ale p. Zamoyski ma w kraju takie uznanie, że jeżeli on przewodnikiem nie będzie, to nikt do Belwederu nie pójdzie.

Gdybym ja przystał na to, żeby być przewodnikiem deputacyi, to gdybym się za siebie obejrzał, nikogo bym za sobą nie ujrzał i sam bym się musiał udać do W. księcia⁵³. Uwaga ta wydawać się zaczęła słuszną margrabiemu, gdyż widocznie skłaniał się już ku myśli, że Zamoyski stanie na czele deputacyi, wreszcie zapytał się, czy wszyscy deputaci mają mundury obywatelskie? Gór- ski odpowiedział, że nie mają, i że przyjdą we frakach czarnych. Zgodził się i na to margrabia, wreszcie podniósł najważniejszą kwestyą, do której jednak, patrząc na sprawę całą ze stanowiska interesu osobistego, zdawał się nie przy-

53 Koźmian, *Rzecz o r. 1863*, II, 269, inaczej nieco opowiada tę rozmowę. „Wielopolski, pisze on, zażądał, aby Górski poszedł na czele deputacyi; odpowiedział (Górski) że wielki to dla niego zaszczyt, że jednak na czele deputacyi potrzebnym jest Zamoyski i dodał: „przecież ja nie mam tego w kraju stanowiska, co pan Andrzej; krok z jego strony znaczyłby wiele. Nie dlatego, żebym nie chciał, ale pójść na czele deputacyi nie mogę, bo by to nie miało ani tej doniosłości, ani tego skutku co oświadczenie się p. Zamoyskiego; za nim stać będą wszyscy, za mną nikt”. Wielopolski odparł, że Zamoyski był już na czele Towarzystwa kredytowego, że zbytecznem jest, aby szedł po raz drugi. Na to Górski zauważył, że tym razem Zamoyski pójdzie jako obywatel. Wtedy Wielopolski zapytał w zaufaniu: „czy dla- tego ma iść pan Andrzej z adresem, aby stanął obóz przeciw obozowi? czy istotnie tworzy się przeciw mnie obóz?” Górski zaprzeczył i przytoczył słowa Zamoyskiego (że „nie chce nic robić przeciw Wielopolskiemu”), do niego i Kurtza powiedziane dnia poprzedniego. My trzymamy się relacyi Aleksandrowicza, spisywanej współcześnie i większej części tych wypadków świadka naocznego.

wiązywać wielkiej wagi, kwestyą adresu, i oświadczył, że musi zaznajomić się z jego treścią i zażądał od Górskiego, by mu dokument ten przedstawił. Górski odrzekł, że adresu nie ma przy sobie, ale że go umie na pamięć i powtórzyć może w całości. Wypowiedział go więc, a gdy przyszło do ustępu końcowego o „cierpieniach narodu tak długo nieszczęśliwego”, margrabia się odezwał, że przedstawienie takiego adresu jest niemożliwym, że on na niego pozwolić nie może, a „jeżeli, dodał, upierać się przy tem będziecie, deputacya przyjętą nie będzie”.

Zawiązała się znowu dyskusya nad tym przedmiotem, obie strony zostały przy swoim mniemaniu i obaj panowie rozeszli się bez powzięcia stanowczej decyzji⁵⁴.

Ale sprawa ta, napotykaląca zaraz z samego początku na tyle przeszkód, nie miała, niestety! przyjść do skutku. Gdy bowiem Górski wprost od margrabiego udał się do p. Andrzeja, gdzie już inni byli zebrani i oczekiwali na rezultat wizyty u Naczelnika rządu, zastał Zamoyskiego w trudnym do opisanie stanie rozdrażnienia. Zdaje się, że pod wpływem czerwono usposobionego syna Władysława, wróciły mu wszystkie wczorajsze skrupuły, a przyrzeczenie dane delegatom rozdrażniało go nadzwyczajnie. Począł więc gościowi cierpkie czynić wyrzuty, że dnia poprzedniego namówiono go do kroku szkaradnego, a nawet ohydneho, że on do takiego „paskudztwa” ręki nie przyłoży i do Belwederu nie pójdzie. Na uwagę, że dał przyrzeczenie, że o tem jego zobowiązaniu wie margrabia, a prawdopodobnie i W. książę, jeszcze się bardziej gniewał i miotał, i nie był panem swego uniesienia. Wymieniono z obu stron bardzo cierpkie wyrazy i w końcu p. Andrzej zawołał: „znaglacie mnie, to pójdę, ale oświadczam wam, że jeżeli W. książę wyciągnie do mnie rękę, to ja się cofnę i mojej mu nie podam”. Wobec takiego oznajmienia, nie było co mówić; zrozumiano, że w takich okolicznościach deputacya jest niemożliwą. Pojmowano to dobrze, iż gdyby p. Andrzej w czasie audyencji u namiestnika tak sobie postąpił, jak zapowiadał, a nie miano powodu wątpić, że tak postąpi, to krok taki byłby formalną katastrofą polityczną, o wiele donioślejsze mającą znaczenie, jak zamach Jaroszyńskiego. Opuszczono więc pałac p. Andrzeja w usposobieniu przygnębiającem, w poczuciu, że się wielkie nieszczęście i wielka szkoda krajowi spełnia.

Na próżno Kurtz wołał: „krok ten, udania się do W. księcia jest konieczny; nie uważajmy na to, co powiedział Zamoyski, idźmy z nim, a z pewnością w obecności W. księcia tego nie wykona”; ale było to zapewnienie, w którego wiarogodność nie bardzo ufano⁵⁵.

54 Aleksandrowicz, loc. cit.

55 Koźmian, loc. cit. II, 270, różni się nieco z naszą relacją. Opowiada on, że gdy p. Górski wrócił od margrabiego do p. Andrzeja, ten powitał go słowy: „nie zgodził się, nie zgodził!

W ogólności, od tej chwili sprawę manifestacji lojalnej uważać należy za przegraną. Przez parę dni ciągnęły się jeszcze pertraktacje z margrabią, by zaakceptował adres w całości i bez zmian; próbowano czy pan Andrzej zdania nie zmieni, ale wszystko to na nic się już nie zdało. Obie strony ustąpić nie chciały; deputacja stała się niemożliwą i nie przyszła do skutku⁵⁶.

znam go”. „Przeciwnie, mówi Górski, zgodził się”. „No to teraz, odrzecz Zamoyski, ja się nie zgadzam”. Był niezmiernie rozdrażniony; nie dał sobie wytłumaczyć następstw w tem położeniu rzeczy, odmowy; odpierał silnie, nawet przykro wszelkie argumenta i wreszcie z podniesionym duchem (sic) zawołał: „gdybym się zgodził, nie śmiałbym moim dzieciom w oczy spojrzeć”. Ostatnie słowa znów nie są prawdziwe, gdyż Zamoyski wypowiedział je kiedy indziej i w innych warunkach.

- 56 Aleksandrowicz, loc. cit. Lisicki, *Le marquis II*, 322 i nast. opowiada przebieg tej sprawy nieco inaczej i dwie wersje przytacza. W jednej z nich, mniej więcej zgadza się z relacją przez nas podaną i opartą na bardzo starannych poszukiwaniach i pamiętniku piśmiennym człowieka, który w sprawie tej brał udział bezpośredni. P. Lisicki więc pisze, że „dwóch deputowanych zgromadzenia (gdzie się odbyło to zgromadzenie, p. L. nie powiada), udało się do margrabiego, by mu oświadczyć, że adres protestujący przeciw zamachowi, ma być wręczony W. księciu namiestnikowi, i że go (Wielopolskiego) proszą o wyjednanie rozkazu od Jego cesarskiej wysokości, co do dnia i godziny audyencji. Wielopolski przyjął tę wiadomość z zadowoleniem łatwem do pojęcia, ale był na tyle nieroztropny, że nie kazał sobie złożyć tekstu adresu. Otóż, nazajutrz przyniesiono mu tekst, który uznał za niemożliwy, mówiąc, że zawiera on rekryminacje niewłaściwe w tej chwili. Przez nieroztropność jeszcze godniejszą pożałowania, zaniedbał zachowania sobie kopii tego aktu, który nigdy światła nie ujrzał”. Żal ten, który p. Lisicki tak tkliwie zdaje się odczuwać, że nawet zarzut nieroztropności (*l'imprudence*) czyni swemu bohaterowi, jest zupełnie pozbawiony podstawy. Za pierwszym krótkim widzeniem się p. Górskiego i Kurtza z margrabią w izdebce szwajcara pałacowego, nie było mowy o adresie i nie było czasu na to. Margrabia tak był uderzony propozycją dwóch delegatów, że nie pytał wcale o tekst adresu i nie żądał, by mu go pokazano. Dopiero nazajutrz zapytał o niego p. Górskiego, a zachować go sobie, dla pokazania w przyszłości p. Lisickiemu, nie mógł dlatego, że nigdy tekstu piśmiennego w ręku nie miał. Fałszem jest również, jakoby wiadomość o gotującej się manifestacji „przyjął z zadowoleniem, łatwem do pojęcia”. Przeciwnie, wzbudziła ona w nim podejrzenia, które nazajutrz p. Górskiemu wyraźnie wypowiedział, zniżając całą akcją z wysokości interesu krajowego, jaką w rzeczy samej była, do intrygi poziomej przeciw jego osobie. Wszak dopiero na skutek zdania syna zgodził się na przedstawienie całej rzeczy W. księciu, a nazajutrz przez zawiść osobistą, przez prywate, przez obawę, by nie był przez Zamoyskiego wysadzony z siodła, domagał się, by od przewodniczenia delegacji p. Andrzej był usunięty. Tak było, nie inaczej. *Cari sunt parentes, sed carissima veritas*, musimy przypomnieć p. Lisickiemu aforyzm cyceronowski.

Co się tyczy drugiej relacji, przez tegoż p. Lisickiego podanej, to oparta jest ona wyłącznie na liście p. Zygmunta Wielopolskiego, z d. 12 lipca 1862 r. do jakiejś niewymienionej osoby. List ten czytać można w broszurce p. Lisickiego p. t. „Domowe sprawy”, na str. 94. W piśmie tem pan Wielopolski powiada, że głównym powodem rozbicia się całej akcji, był adres, a raczej jak go nazywa: „przemowa” (*l'allocution*); „...z rana, pisze p. Wielopolski, drugi ustęp umówionej przemowy został zwiększony przez słowa potępienia dla rządów

Do tego ze wszech miar oplakanego rezultatu, przyczynił się w jednej części margrabia, w drugiej p. Andrzej, i na obu tych mężach leży ciężka i nieprzebaczona wina wobec historii. Jak pierwszy tak i drugi nie chcieli, by manifestacja ta, tak zbawienna dla przyszłych losów kraju, przyszła do skutku, a nie chcieli z zupełnie różnych pobudek, z tem atoli zastrzeżeniem, że jeżeli pobudki Zamoyskiego są czystszej i podnioslejszej natury, to tego o pobudkach margrabiego, w żadnym razie powiedzieć nie można. Pierwszy nie chciał manifestacji, dlatego, że uważał ją za kompromis z najazdem, drugi dlatego, że wyobraził sobie, iż manifestacja nie ojczyznę, ale jego samego ma na celu, że go chcą pozbawić tym sposobem wysokiego urzędu. O ile więc Zamoyskiego usprawiedliwić można, o tyle margrabiego potępić w tej sprawie należy.

Akcyja ta na szczęście nie doszła do wiadomości ogółu i nie wywołała żadnych plotek po mieście⁵⁷, których takie mnóstwo w tej porze obiegało. Rzecz odbywała się w zamkniętem kole starszyny krajowej i poza to koło nie wyszła, nie na tyle jednak, by jakieś głuche wieści nie dostały się do uszów stronnictwa ruchu. „Strażnica”⁵⁸, ich organ, nie omieszkała inicjatorów tej bardzo rozumnej i bardzo patriotycznej akcji, w swym języku rewolucyjno-ulicznym nazwać: „rodem fagasim”, „pacyfikatorami różnych nazw i stanowisk, dyplomo-

Brata i Ojca, zupełnie niewłaściwe na publicznem i prawie urzędowem posłuchaniu. Z konieczności musiano odrzucić krok, którego rezultatem byłoby postawienie p. Andrzeja Zamoyskiego jako potęgi przeciw J. C. Wysokości”. Ze słów tych zdaje się wypływać ten wniosek, że adres był pierwszego dnia omówiony (*convenue*) wraz z margrabią, i że owe zdanie o potępieniu rządów brata i ojca, dopiero nazajutrz się ukazało wbrew pierwotnej umowie, co jak wiemy, nie jest prawdą. Wzmianka o p. Andrzeju pośrednio potwierdza naszą relacją co do obaw, jakimi przejęty był margrabia, z tą różnicą, że jemu wcale nie szło o to, by p. Andrzej stawał jako potęga wobec W. księcia, ale by nie stawał jako takąż potęga, wobec niego, margrabiego.

Relacja p. Koźmiana, (*loc. cit.* II, 268 i in.) w ogólnej swej odnowie zgadza się z naszą. Oprócz drobniejszych wariantów, które już zaznaczyliśmy, różni się ona w jednym zasadniczym punkcie. P. Koźmian twierdzi, że margrabia wcale nie żądał od p. Górskiego tekstu adresu, że ten ostatni po odmowie Zamoyskiego, dla wycofania się z całej sprawy, „wpadł na myśl, że ustęp wtrącony do adresu przez gorętsze żywioły, pozwoli wybrnąć z położenia, które teraz było bez wyjścia. Podsuwa więc Wielopolskiemu, iż trzeba, aby przeczytał adres”, na który ten oczywiście zgodzić się nie mógł. Temu sprzeciwia się nasza relacja, pochodząca, jakśmy już powiedzieli, od człowieka, biorącego udział bezpośredni w tej sprawie; zasięgaliśmy przytem wiadomości od osoby, jeszcze dziś żyjącej, a która w tej akcji odegrała rolę główną; sprzeciwia się dalej prosta logika. Jakkolwiek bowiem Wiel. zrazu nie wielką przywiązywał wagę do adresu, zajęty wyłącznie osobistą obawą, wszelako poznać go musiał i nie na skutek „podsunięcia” Górskiego go poznał, jakśmy to w tekście opowiedzieli.

57 Lisicki, *Domowe sprawy*, 95.

58 Nr. 15 z d. 23 lipca 1862 r.

matami, przyjaciółmi regularnego rozwoju sił narodowych pod rządem moskiewskim”, „nieprzyjaciółmi życia, wrogami wszelkiego ruchu”.

Całą akcją nazywała złudzeniem i wołała: „jesteśmy pewni, że złudzenie to, jeżeli już nie minęło, to minie jak wszelki fałsz, gdyż cały naród niewzruszony w swych uczuciach, odrzucający dyplomatyczne zabiegi, jako podłą zebranię o folgi i łaski, godną siebie postawą zbłąkanych na prostą drogę naprowadzi, oszołomionych wytrzeźwi, obalamuconych objaśni i ubezwładni działanie tej nędznej koteryjki, która wobec Konstantego i Wielopolskiego chciałaby skłonić choć część ludności do opuszczenia stanowiska opozycyjnego, wielkiego i wspaniałego, a tak dzielnie w boleści i krwi bronionego. Jeżeli już ich serca zemdlałe krążenia krwi polskiej nie czują, jeżeli stracili drażliwość polskiego imienia i nic ich od stóp carewicza, od umizgów o łaski nie obroni, jeżeli już pojąć nie mogą, że naród dopóty żyje, dopóki sam siebie szanuje, powiedzieć im należy, że w tych wszystkich głośno i pokątnie szerzonych obietnicach, wszystko, i to zgoła wszystko jest fałszem, wszystkim wierutnem łgarstwem. Ani rząd, ani carewicz, lub kto by on tam był, jeżeli tylko będzie figurą najeźdźczą, postępowania obecnego zmienić nie może, gdyż działałby wręcz przeciw carowi, przeciw niewoli, przeciw swym własnym interesom. Rząd najeźdźczy i niezależność Polski nigdy stać obok siebie nie mogą. Tamten chce się utrzymać, my usiłujemy go wyprzeć, a na tej drodze zdaje się, że nie może być mowy o żadnem porozumieniu”. „Jeżeli więc znajdują się ludzie, którzy w postępowaniu carewicza nie widzą fałszu i usiłowania do nakarmienia nas wymłóconą słomą carskiego liberalizmu, to od takich ludzi każdy odsuwać się powinien, bo w nich niema nic polskiego. Niechaj idą sobie z tym rządem, który dzisiaj jest takim, jakim był i jakim będzie zawsze; z tym rządem, który co noc wrywa do więzień ofiary, a grozi aresztowaniem wszystkich lepszych i gorszych ludzi”. „Niechaj idą z tym rządem sami, niech się odosobnią, aby na naród plama nie padła, że się dał oszukać i w pole wyprowadzić. Sprawa na odstępstwie ludzi, którzy nieszczerze dla niej pracowali, nic nie straci; sprawy naszej nie zwichnie; niechaj tylko wszystko, co znaczne a prawdziwie polskie, stoi na gruncie oporu najazdowi, a z drugiej strony wytwarza położenie, z którego walka o niepodległość i wolność, skutkiem dobrym uwieńczoną być może”.

Wystąpienie powyższe, podejrzenia nie dość jasno wypowiedziane, nie zwróciły na siebie uwagi, choćby dlatego, że zaledwie w parę tygodni po samej akcji opublikowane zostały. W tej chwili jednak do ogółu nie doszła jeszcze wieść o zamiarach, niestety! nie uwieńczonych skutkiem pożądanym, kilku dobrych a nade wszystko rozumnych obywateli kraju; plotka więc milczała. Umysły zresztą, tak w Polsce jak i w Europie całej były wyłącznie zajęte samym za-

machem, który, rzec można, był wielkim wypadkiem dnia. Do W. księcia ze wszech stron posypały się listy i telegramy, winszujące mu „cudownego ocalenia”. Jednym z pierwszych, który nadesłał taki telegram był cesarz Francuzów, oraz królowie: pruski, honawerski, saski i belgijski. Królowa angielska za pośrednictwem swego konsula, „w słowach najgorętszych”, jak się wyraża relacja urzędowa, złożyła swe powinszowania. Król pruski, jako bliski kuzyn W. księcia, nie poprzestał na telegramie, ale przysłał swego adjutanta, majora v. Raucha, który w dniu 10 lipca złożył Konstantemu własnoręczny list swego monarchy, list zapewne pełen rad o „zbawiennej surowości”, koniecznej według mniemania pruskiego, do rządzenia Polską. Odbływały się też nabożeństwa dla podziękowania Bogu za owe „cudowne ocalenie”, w kirchach luterskiej i kalwińskiej, w synagogach żydowskich. Za ich przykładem powoli nabożeństwa te przenoszą się ostentacyjnie do bóżnic prowincjonalnych i nieskończenie nudnymi relacjami świecą przez długi czas na szpaltach organu urzędowego, który je z osobiwszą i manifestacyjną, rzec można, skrzętnością notuje.

W ogólności, jeżeli do pewnego stopnia te nabożeństwa, telegramy i listy, winszujące „cudownego ocalenia”, noszą na sobie charakter praktykowanej w takich razach służalczości i banalności, to nie ulega kwestyi jednak, że zamach za granicą bardzo przykre wywarł wrażenie. We Francyi powszechnie go potępiano⁵⁹, dla wielu był niezrozumiałym; a prasa francuska dotąd prawie jednomyślnie podnosząca prawa i heroizm Polaków, upominających się o swą ojczyznę, znacznie ochłodziła. Nawet najczczerwiejsze, najbardziej opozycyjne dzienniki, używające dotąd sprawy polskiej za wygodne narzędzie do napaści na rząd, umilkły teraz i, nie chcąc jeszcze zamachu nazwać zbrodnią, wołały o nim, a zatem i o Polsce milczeć. Dla cesarza Napoleona III osobiście, zamach był tem przykrejszy, że właśnie teraz na horyzoncie „serdecznego porozumienia” jego z dworem petersburskim, ukazywać się zaczęły pierwsze chmury. Gdy mu poseł rosyjski, stary Kisielew, doniósł o zmianach, jakie zaszły w zarządzie Polski, o nominacyi Wielopolskiego i W. księcia, cesarz wszystko to bardzo chwalił, podnosił wysoko rozum nowego namiestnika i wyraził przekonanie, że tenże potrafi rządzić odpowiednio do widoków i celów swego monarchy⁶⁰. Żądaniu dworu petersburskiego, aby rząd francuski usunął z Warszawy konsula, pana Ségura, którego posądzano o stosunki z Czerwieńcami, który chodził w ułance na głowie i zachęcać miał Białych do demonstracyi⁶¹, natychmiast w tej porze uczynił zadość.

59 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny na wypadki 1861—63, I, 139.

60 S. Tatischev, Russkaja diplomatia w polskom woprosie („Russkij Wiestnik” z r. 1888, XI, 39).

61 Koźmian, Rzecz o r. 1863, II, 125, powiada, że p. Segur powtarzał Białym bardzo często francuskie przysłowie: „si vous voulez manger une omelette, il faut casser des veufs” („kto chce jeść jajecznicę, musi potłuc jaja”).

Mimo to, w tym czasie właśnie, gabinet petersburski postanowił odwołać ze stanowiska ambasadora, Kisielewa, do którego cesarz Napoleon przywykł, który był gorącym stronnikiem przymierza franko-rosyjskiego, a na jego miejsce wysłać barona Budberga, Niemca z rodu, dotychczasowego posła w Berlinie, nieprzyjaciela Polaków, zwolennika świętego przymierza, nielubiącego Francuzów, których złośliwie nazywał „narodem żuawów”⁶². Wobec tego wszystkiego, przypadł bardzo nie w porę zamach na W. księcia Konstantego, zamach, który pozbawił niejako Napoleona i Francję prawa i możliwości upominania się za Polską. To też urzędowa i półurzędowa prasa francuska potępiła prawie jednogłośnie zamach, zwała go zbrodniczym, nierozumnym, najgorsze skutki spowodzić mogącym, w czym, niestety! miała zupełną rację. Największy jednak rozgłos miał artykuł, skreślony w tonie dość ostrym i potępiającym czyn Jaroszyńskiego, pomieszczony w „Journal des Débats”, i przetłumaczony nieomal dosłownie z „Dziennika poznańskiego”. Dziennik ten bowiem, istniejący zaledwie lat parę, w ogólności bardzo trzeźwy i nieraz nader zbawienne dający rady swym współziomkom, wystąpił może za gwałtownie w epoce, w której nerwy wszystkich były podrażnione niesłuchanie, przeciw „zbrodni królobójstwa”, jak nazwał zamach Jaroszyńskiego. Zastrzegł się zaraz w początku, że jest przeciwnikiem rządów rosyjskich w Polsce, że nie jest przychylny dla dynastii rosyjskiej, że to, co mówi „polską tylko troską jest natchnione”. Wyrażał zdziwienie, że społeczeństwo, „które zniósłszy z więcej jak chrześcijańską, bo z niewolniczą niemal rezygnacją wszystkie niewypowiedziane obelgi, katowania i poniewierki zbrojnych i dzikich siepaczy, podniosło skrytobójczą rękę na obcego wprowadzie księcia, ale który dotąd żadnego bezpośredniego w tem srogiem prześladowaniu nie brał udziału, który owszem przybywa (czy ze szczerego uczucia, czy z obrachunku, w to nie wchodzim), bezbronny niejako, w zaufaniu zupełnem, bez żadnego orszaku, przywożąc ze sobą w zakładzie tej ufności, na samem zlegnięciu będącą małżonkę i dzieci swoje. To też społeczeństwo polskie nie podniosło tej ręki, podnieść jej nie mogło: wrodzona mu szlachetność, jakiegokolwiek by w niewoli szczyrby odnieść mogła, nie dopuszcza w żaden sposób czynu, nie tylko już zbrodniczego, ale tak szczególnie niskiego i ckiego przez owo przeciwstawienie.

Wszedłszy na tę drogę przypuszczeń, „Dziennik” utrzymuje, że żadne ze stronnictw polskich nie mogło się stać winnem zamachu, który ostatecznie przypisuje, „albo zupełnemu obłąkaniu umysłu, albo pośredniemu wpływowi jednego z obcych stronnictw, którym śmierć W. księcia Konstantego z ręki

62 Tatiszczew, loc. cit.

Polaka byłaby bardzo na rękę”. Artykuł ten miał o tyle znaczenie, że się na nim wzorowała cała prawie prasa zagraniczna, że pisany on był w Warszawie i zdaje się, że wyszedł on z otoczenia, a może pod natchnieniem samego margrabiego był skreślony. Na kraj, o co najwięcej chodziło, nie wywarł on żadnego wpływu i nie mógł wyrzec, gdyż czytany nie był, choćby dlatego tylko, że cenzura do Królestwa „Dziennika” nie puszczала, a prasie warszawskiej artykułu rzeczonoego przedrukować nie dozwoliła, o co zresztą, dodać tu należy, prasa ta wcale się nie starała.

Takież samo zdanie jak „Dziennik”, że zamach nie wyszedł z łona społeczeństwa polskiego, wygłosił „Czas” krakowski⁶³. Potępiając sam zamach, który nazwał „szalonym postępkim”, utrzymywał on w artykule wstępnym (z d. 6 lipca), że jest to albo sprawka policyi w zamiarze przedłużenia obecnego stanu ucisku, albo stronnictwa niemieckiego w Petersburgu, nieprzyjaznego reformom i W. księciu Konstantemu. Twierdził dalej, poczynając już teraz wchodzić na drogę kłamstw, które doprowadził w kilka miesięcy później do niebywałych rozmiarów, przez co ogromną szkodę krajowi robił, że człowiek, który dokonał zamachu, nie jest wcale Polakiem, lecz Rosyaninem, nazwiskiem Iwan Nekraszew, syn kupca petersburskiego.

Takie plotki w chwili, gdy w Warszawie wszyscy wiedzieli, kto dokonał zamachu i pod tym względem nie mogło już być żadnej wątpliwości, nie przynosiły zaszczytu tak poważnemu dziennikowi, za jaki pragnął uchodzić „Czas”, a nadewszystko osłabiały wiarę we wszelkie jego doniesienia. Prasa warszawska, której głos w sprawie tej miał największe znaczenie i największy wpływ mógł wyrzec, milczała o niej jak zakłeta, ograniczając się na przedrukach z urzędowego „Dziennika powszechnego”. Nie było to jednak jej winą. „Gazeta polska”, zostająca ciągle pod redakcją J. I. Kraszewskiego i otrzymująca natchnienia przez Kronenberga od Dyrekcyi Białych, przygotowała ognisty artykuł, rodzaj odezwy do narodu, w której w wyrazach, przesiąkniętych gorącym patriotyzmem, potępiała zamachy, osądzając je ze stanowiska i interesu narodowego i uważając je za plamę, rzuconą na sprawę i honor polski. Artykuł taki, który świadcząc z jednej strony o wielkiej odwadze cywilnej redaktorów, z drugiej mógł mieć bardzo doniosłe znaczenie, wskutek głupoty cenzury warszawskiej, wskutek dziwnego zaślepienia Wielopolskiego, wskutek wreszcie zwykłej taktyki rządu rosyjskiego, że najważniejsze wypadki pokrywa milczeniem, został przez cenzurę, „z rozkazu wyższego”, jak się tam tłómaczono, przekreślony⁶⁴.

63 Pawliszczew, Siedmicy I, 106, utrzymuje, że „Czas”, uderzony wypadkiem, którego się nikt nie spodziewał, milczał całą dobę dla obmyślenia swego artykułu wstępnego”.

64 Die Vorläufer des polnischen Aufstandes, 193. Nieprawdą więc jest twierdzenie autora (B. Limanowskiego), „Historyi ruchu narodowego” I, 141, że „Gazeta warszawska”,

Ale jeżeli zamknięto usta prasie jawnej warszawskiej, to prasa tajna tem swobodniejsze miała pole do działania i do urabiania opinii publicznej. „Strażnica”, która przez ciąg blisko rocznego swego istnienia, potrafiła sobie wyrobić pewne znaczenie, wystąpiła z osobliwszym zaiste poglądem na zamach⁶⁵.

Opisawszy naprzód w formie jaskrawej i kłamliwej przyjazd do Warszawy W. księcia, utrzymując, że policja przed tym przyjazdem nadzwyczajną rozwinęła działalność, „agitowała, na wsze strony groziła i prosiła, kłamała i obiecywała, rozpuszczała fałszywe wieści, działała na tuczących się naszym chlebem wrażych Niemców, na wszystkich bezmyślnych z uczuciem w brzuchu opasów, na ciekawych widowiska miejskich gapiów, na uliczników, nierządnicę, żebraków”, że „przebrała się sama w większej połowie po cywilnemu, chcąc wyobrażać mieszkańców”, że „zmiotła na jedną kupę wszystkie śmiecie, jakich nie brakuje w każdym wielkiem mieście i z tych obrzydliwości tworzy tryumfalne przyjęcie dla carewicza”, przechodzi następnie do sprawy samego zamachu. „Rana carewicza, jak poprzednio Lüdersa, najobojętniejszą jest dla nas rzeczą. Nie znamy go, a stąd nic nie mamy do niego, jako do człowieka, lecz wiemy, że zadaniem carewicza jest za jaką bądź cenę, jakimkolwiek sposobem ujarzmić lub uciszyć naród, przynajmniej na czas trwania świeżo zawartego przymierza pomiędzy Napoleonem a Moskwą. Nie znamy go, ale wiemy, że jest synem, największego jaki kiedy był, naszego tyrana, że jest bratem tego, który kazał strzelać do bezbronnego ludu i pastwi się nad nim od tylu lat i miesięcy! Nie znamy go, ale wiemy, że jesteśmy żyjącym narodem i że usiłowania nasze skierowane są do jednego celu, do wyparcia z swej ziemi najazdu. W imię więc honoru narodu i pożytku jego sprawy, przypominamy tym wszystkim, którzy czy to z głupoty, ciekawości lub źle obrachowanego interesu, albo niedorzecznej dyplomatycznej doktryny, śpieszą z oznakami kłamanej radości lub uznania dla carewicza, że się to nie zgadza ani z naszym położeniem, ani też z naszą godnością. Żadnej nadziei, żadnej prośby, ani też pochlebstwa mu nie wyrażać! Niechaj przejeżdżając ulicą widzi obojętne dla niego tłumy żałobne; niechaj naród nasz, w grobie niewoli złożony przez carów, zrobi na nim wrażenie grobu, ale grobu, z którego Polska, jak Chrystus niegdyś zmartwychwstanie!” Przy tej sposobności nie omieszkała oczywiście „Strażnica” potępić „szachrującego z Wielopolskim dla uzyskania czynu (sic, znaczy: urzędu) i jurgieltu” redaktora „Gazety warszawskiej” za to, że kilka słów oburzenia wydrukował w swem piśmie z powodu zamachu na Lüdersa; nie zapomniała wspomnieć

umiejąca w porę milczeć, strumieniem łez oblewała swoje kolumny”. Mamy przed sobą roczniki tejsze gazety i nigdzie nie znajdujemy nawet jednego słówka o zamachu, jak tylko w formie przedruku z „Dziennika powszechnego”.

65 Nr. 13 z d. 7 lipca 1862 r.

o mowie Wielopolskiego do Rady stanu: „i ten człowiek, na którego sumieniu i ciele płamy krwi bratniej są wyraźne, ten człowiek w klasycznej deklamacji swojej po strzale do carewicza wykrzykuje, że nie chce przeżyć cnoty ojców swoich i być świadkiem zbrodni. On, okrwawiony wraz z tymi, którzy wówczas rządili, on, jeden z autorów zamachu na życie setek ludzi wraz z innymi deklamuje o cnocie!” Nie przebaczone również „zapomnianemu oddawna po kilku niefortunnych wystąpieniach ks. Felińskiemu, który w imię obłudnego patriotyzmu, jakby pracował nad tem, aby podać w podejrzenie szanowane u nas duchowieństwo”⁶⁶. „Wystąpienie tych dwóch panów (pisze dalej „Strażnica”), a znaleźli oni także naśladowców, powszechne wywołało przeciw nim oburzenie, z powodu tego mieszania się w nie swoje rzeczy, jednostronnego potępienia bezbronných i bronięcia tych, którzy nie będąc władzą uznaną, dopuszczają się ciągłego męzobójstwa na narodzie”. „Gdyby ci panowie tak odważnie występujący pod zasłoną najezdniczych bagnetów, w obronie tychże bagnetów i władz naród depczących, pojąć zechcieli charakter podobnej władzy, to byliby zrozumieli, że Bóg w tych kulach, co padły na ciemężycieli, posłał im przestrogę wyroków swoich; byliby zrozumieli, że gdzie nie można nic przeciw powiedzieć, tam milczeć należy, bo przemawianie za najazdem ojczyzny nosi cechę sprzedajności i tylko złe wywoływać może”.

„Nie jesteśmy zwolennikami zamachów na życie, wolelibyśmy, żeby ich nie było, a jeszcze bardziej, żeby na zawsze ustały przyczyny, które je wywołują, ale nie możemy nie protestować przeciwko słowom i czynom potępienia dla tych, co na żmije kłuszące i trucizną niewoli gangrenujące naród, odpowiadają czynem gwałtownym, czynem dowodzącym, że najazd zaczął już wyczerpywać cierpliwość narodu! Ci panowie tem bardziej potępiać nie byli powinni, bo nie są stróżami Izraela, bo nie słyszeliśmy i nie słyszymy z ich ust potępienia dla wrogów Polski, pomimo, że oni setkami życie bezbronnym ludziom odbierają, popełniają skrytobójstwa, więżą, katują naszych ojców, braci, synów, w najhulajebniejszy sposób znieważają nasze matki, żony i córki, oblegają i napadają nasze świątynie, zgoła popełniają najokropniejsze, przez Boskie i ludzkie prawa potępione zbrodnie”. W całej tej tyradzie, w stylu epoki skreślonej, z pośredka zarzutów w części słusznie, a w części niesłusznie stawianych nowemu rządowi polskiemu, przegląda jednak dość przeźroczyście niezadowolenie, a nawet do pewnego stopnia potępienie zamachu, który tylko dla takich sza-

66 Dla zohydzenia w oczach opinii publicznej ks. Felińskiego, rozpuszczono w tych czasach szkaradną plotkę, jakoby trzech mieszczan arcybiskupowi na spowiedzi wyznało, że mają „jakieś polityczne zamiary” i że arcybiskup natychmiast doniósł o tem rządowi i onych trzech mieszczan przyaresztowano. Plotkę tę miał rozpuścić szpieg rosyjski (Prawdicki, Wspomnienie, 138).

leńców jak Chmieleński i Dąbrowski wydawać się mógł nie już zbawiennym, ale koniecznym⁶⁷.

Wśród tego wszystkiego, wśród tak wstrząsających wypadków, wśród mnóstwa najróżnorodniejszych głosów i oskarżeń, W. książę powoli zagospodarowywał się, że tak powiemy, w Warszawie, a około niego tworzył się nowy, dawno niewidziany dwór polski. Nazajutrz po zamachu przybyły do Warszawy dzieci Konstantego, trzech synów: Mikołaj, Konstanty i Dymitr, oraz dwie córki: Olga i Wiera, dzieci stosunkowo dość drobne, gdyż najstarszy z nich Mikołaj liczył zaledwie lat 12, ale na które zamach i widok ojca ranionego, przykre i nigdy niezapomniane musiał uczynić wrażenie. W pałacu Belwederskim, ładnym i miłym, choć niewielkim, ale przez to samo nadającym całemu życiu domowemu bardziej serdeczny, bardziej rodzinny charakter, pełnym wspomnień mieszkającego tu niegdyś stryja Konstantego Pawłowicza, ocienionym przepysznym parkiem, zaroilo się od szambelanów, dworzan i służby przeważnie polskiej. Miano tu zresztą mieszkać tylko przez lato, do czasu, dopóki apartamenta królewskie w Zamku nie będą gotowe. Restaurowano je właśnie starannie i kosztownie, sprawiano meble nowe, czyniono wszystko, by dwór wicekróla polskiego miał wszelkie warunki blasku i przepychu. Na dworze tym, na stanowiskach wysokich, a przynajmniej w bezpośrednich z osobami obojga księstwa będących stosunkach, znalazło się trzech Polaków. Więc naprzód marszałkiem dworu był generał hr. Chreptowicz, pochodzący ze starej szlachty litewskiej, która w historii zostawiła ślady swego istnienia, a jeden z jego przodków, może dziad, był wielkim przyjacielem ludu. Hr. Chreptowicz o męskiej, marsowej postawie, był bardzo lubiany przez W. księcia i miał na niego pewien wpływ, jeżeli w ogóle na tego człowieka znużone-

67 Dla uzupełnienia tego obrazu zachowania się prasy zagranicznej i polskiej, dodać należy, że dziennikarstwo rosyjskie prócz wiadomości urzędowych, żadnych innych o zamachu nie pomieszczało artykułów. Jeden tylko półoficyalny „Journal de St. Petersburg”, wydrukowawszy telegram W. księcia do cesarza o zamachu, dodał od siebie takie uwagi: „Nie mamy nic do dodania do tych wiadomości. Waleczny żołnierz, którego całe życie poświęcone było na usługi ojczyzny, który uchroniony został na polu bitwy od kul nieprzyjacielskich, prawy tłumacz uczuć monarchy, którego był reprezentantem, szanowany i kochany od wszystkich, którzy mieli możność poznania go, ugodzony zostaje z tyłu ręką mordercy. Książę z domu cesarskiego, powołany przez N. Pana do dalszego prowadzenia dzieła pojednania, widomy zakład przywiązania monarchy do jego polskich poddanych, spieszy zająć swe stanowisko, na pierwszą wiadomość o tej zbrodni. Dostojna jego małżonka, pomimo stanu swego zdrowia, nie waha się towarzyszyć mu. Oboje swą obecnością świadczą, że nie zrzucają odpowiedzialności na cały naród polski za ten zamach. Na te dowody szacunku i ufności, morderca odpowiada godząc w cieniu, w odległości kilku kroków do brata monarchy. Niech wszystko, co jest w Rosyi, w Polsce, w Europie zachowującego uczucie honoru, sądzi każdego według jego czynów”.

go życiem, mógł mieć ktokolwiek, prócz żony, wpływ skuteczny. Marszałek dworu przytem miał swe stosunki wśród kół arystokratycznych i szlacheckich polskich, a jego przyjaźń z Aleksandrem hr. Przeździeckim i p. Franciszkiem Węgleńskim⁶⁸, członkiem niegdyś Komitetu Towarzystwa rolniczego, a obecnie Dyrekcyi białej, miała swe, jak zobaczymy, historyczne znaczenie. Wiele też rzeczy, wiele projektów, pomysłów i zamiarów, przez usta Chreptowicza dostawało się do uszu wicekróla.

Niemniej czynny pod tym względem był drugi Polak, bliski W. księciu, wspomniany już przez nas w tej pracy, Alf Wrześniewski, adjutant Konstantego i komendant kwatery wielkoksiażęcej. Pełnił on już podobne obowiązki za rządów Lamberta i potrafił się nadal utrzymać. Syn doktora z Opatowa, synowiec profesora zakładającej się Szkoły głównej, w zażyłych stosunkach przyjaźni będący niegdyś z samobójcą Gerstenzweigiem, przystojny, wytworny, miły w obęjściu, miał teraz obszerne koneksye wśród różnych sfer Warszawy, zwłaszcza wśród młodzieży, przed którą odgrywał rolę Wallenroda. Lubiał mówić dużo, kręcić się wszędzie jeszcze więcej, obiecywać wiele. Nie kiedy przybierał postawę melancholijną i każdemu, kto tylko słuchać chciał, opowiadał na ucho pod wielkim sekretem, że księżna Konstantowa kocha się w nim zapamiętale, że wskutek tego sytuacja jego jest bardzo trudną i bardzo niebezpieczną. Sam W. książę lubiał go dosyć i, ilekroć wyjeżdżał na ulice Warszawy, adjutant Wrześniewski zawsze za nim pędził w małym powoziku, stąd znany był całemu miastu. Trzecim na koniec Polakiem na tym nowym dworze, był Julian Tęgoborski, szef kancelaryi dyplomatycznej W. księcia. Syn sławnego finansisty i historycznego konsula rosyjskiego w Gdańsku, który podczas powstania Listopadowego przyczynił się bardzo wiele do ułatwienia pochodu Paskiewicza na Warszawę, wychowany w Petersburgu, był Polakiem tylko z imienia i z tradycji.

Nazwisko jego głośnieć się stać miało w kilka miesięcy później, wskutek depeszy schwytej przez powstańców, a skreślonej prawdziwie petersburską francuszczyzną. W tej chwili jednak była to osobistość małego znaczenia i nie wpływająca zdaje się w niczem na wypadki.

Takim był dwór nowego wicekróla polskiego, na którym liczba Polaków, wyższe zajmujących stanowiska, jak widzimy, była dość szczupłą. Margrabia Wielopolski później, w ciągu tego krótkiego półrocza, starał się wszelkimi siłami o zwiększenie tej liczby, o stworzenie prawdziwego dworu polskiego, o zachęcanie dam polskich, by przyjmowały urzędy dworskie, ale na próżno⁶⁹. Salony Belwederu, a następnie Zamku, puste były i smutne, pozbawione swej

68 Aleksandrowicz, Urywkowe zapisy (rękopism).

69 Lisicki, Le marquis II, 304.

najpiękniejszej ozdoby, bo kobiet. Sama W. księżna, głównie jak się zdaje rojąca ambitne zamysły, szepcząc do ucha mężowi, jak niegdyś szekspirowska lady Makbet, o królewskiej koronie i purpurze, starała się ułatwić to ciężkie zadanie swemu małżonkowi, przez zbliżenie się i uzyskanie dla siebie towarzystwa polskiego. W tym celu uciekła się nawet do pomocy ks. arcybiskupa Felińskiego, proponując mu, by ułatwił jej spotkanie z paniami polskimi na gruncie neutralnym, za jaki uważała różne zakłady miłosierne. Pomysł był dobry z tego względu, że każdy z tych zakładów posiadał jedną a czasem kilka opiekunek, należących do najwyższych sfer arystokracji lub bogatego patrycyatu warszawskiego. Ks. Feliński z ochotą podjął się pośrednictwa w tej trudnej sprawie, i zapytał się onych pań opiekunek, czy zechcą przyjmować osobiście W. księżnę, w razie gdyby przyjechała zwiedzić ich pieczołowitości powierzone zakłady? Odpowiedziano mu prawie jednomyślnie, że chętnie, jeżeli nie będą zmuszone z tego powodu do zrzucenia żałoby narodowej. Otrzymawszy taką odpowiedź, W. księżna zwróciła się do męża z zapytaniem, jak ma sobie postąpić, na co ten odrzekł ze śmiechem, że „nie ma innej rady, tylko zaprowadzić trzeba etykietę hiszpańską która jedynie w czarnych sukniach pozwala prezentować się u dworu.

Jakoż, gdy w jakiś czas potem, arcybiskup Feliński, zaproszony do towarzyszenia W. księżnie w tej pielgrzymce po zakładach dobroczynnych, przybył do Belwederu, zastał namiestnikową czarno ubraną, gotową do wyjazdu. Rozpoczęto dla zamaskowania istotnego celu tych nawiedzin, od zakładów rządowych, jakimi były szpitale, później miano z kolei rzeczy zwiedzać instytucje prywatne. Wypadki jednak, pędzące z niesłychaną szybkością i ważnością swoją zaćmiewające i usuwające na drugi plan tego rodzaju drobną akcją, przerwały jej ciąg dalszy i rzecz cała skutku żadnego nie przyniosła⁷⁰. Poza tem W. księżna, dość często przejeżdżająca się po ulicach Warszawy, o ile zwracała na siebie uwagę swą zmysłową pięknnością, o tyle raziła oczy, przywykłe do posępnych i ciemnych barw, swym strojem jaskrawym, żółto-niebieskim lub biało-czerwonym, gdyż te cztery kolory uważała za narodowe polskie. Taką pstrociną swych sukien budziła niechęć powszechną, albowiem w oczach tłumów, rewolucyjnie usposobionych, uchodziło to za proste naigranie się z żałoby narodowej.

Ta niechęć jednak ku tej kobiecie ambitnej, objawiła się znacznie później, do czego przyczyniło się wiele innych powodów. Teraz nie znano jej jeszcze i nic przeciw niej nie miano. Gdy w pięć dni po zamachu przypadły jej urodziny, a urzędowy „Dziennik powszechny” donosząc o tem, zawiadamiał, że

70 Ks. Feliński, Mój pobyt w Warszawie (rękopism).

gmachy rządowe będą oświetlone i dodawał, że „uilluminowanie swych mieszkań prywatnym osobom zostawia się do woli” jeszcze tak silne było oburzenie w masach na nierozumny zamach, że cała Warszawa oświeciła swe okna, na wielki gniew Czerwieńców. Dowodziło to, że nie byli oni ani tak silni, ani tak wpływowi, że zręcznem postępowaniem, umiejętnem skorzystaniem z chwili, można było w tej dobie wziąć nad nimi górę. Widzieliśmy już, jak starszyzna narodowa nie umiała wyzyskać tego jedyne go momentu w ponurych dziejach misyi wielkiego kniazia, jak wszelkie usiłowania rozbijały się o historyczną chorobę polską, prywatę i zawiść.

Sam Konstanty zaraz z początku dał poznać, jakie w głębi jego duszy tkwiły zamiary, i rzeczą polską i rozumnej polityki było skorzystanie na pożytek kraju z tych marzeń ambitnych i prawdopodobnie nigdy niemożliwych do urzeczywistnienia. W ów dzień urodzin W. księżnej, gdy dla powinszowania jej zebrały się wszystkie władze, przyjmowała ona w wielkiej sali Łazienkowskiej z monarszą powagą i monarszą etykietą przypuszczała wszystkich do ucałowania swej ręki. W kilka dni potem, d. 13 lipca powiła syna, któremu „przy nabożeństwie,” jak się wyraził organ urzędowy; dano imię niezwykle w rodzinie imperatorów rosyjskich, Wacława. Imię to wiele mówiło, a jakkolwiek nie było zupełnie polskiem tylko czeskiem, wszelako przypominało, że niegdyś, za czasów Piastowskich, siedział na tronie krakowskim Wacław i przez to niejako nazwie swej dał prawo obywatelstwa w Polsce. Bądź co bądź nie było ono rosyjskiem, co najwięcej znaczy, i zdradzało te skryte zamiary, jakie kołatały się po chłodnej głowie W. kniazia w Warszawie. Do dziecka tego, które nie miało nigdy przynieść pociechy rodzicom, a którego urodziny zdawały się być początkiem nowej ery dla Polski i Rosyi, nieść w swem łonie wielkie zdarzenia, co żywo wyszukano mamkę, prostą chłopkę z księstwa Łowickiego, która ubrana zawsze w swój strój ludowy, krzyczącego malca nieraz straszyla Moskalami⁷¹.

Wszystko to było wyraźne dla tych, co umieli patrzeć na rzeczy i odczytywać tajemnicze cyfry duszy wielkich tego świata. W W. kniazium rosyjskim tkwiła ta niezdecydowana, chwiejna ambicya, jaką nader często spotykamy w historyi, zwłaszcza u urodzonych na tronie i stojących blisko tronu, która nie posiada dość odwagi, by porwać się do czynu, ani też dość siły, by oprzeć się ponęci. Ileż to razy tacy półmęże i półambicye takie stały się straszmem narzędziem w rękach stronnictw śmiałych i zuchwałych!

Skrycie, bo nigdy otwarcie, udzielają oni swych imion, mających służyć za sztandar, i w razie zwycięstwa wszystkie jego owoce zabierają na swą własność

71 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny I, 101.

wyłączną; w razie klęski cofają się wcześniej i za nic odpowiadać nie chcą. Chiwi są władzy, ale dość leniwi i tchórze, by po nią sięgnąć, wolą iść drogami bocznymi, podstępem, zbrodnią nawet. Takim był Makbet i jego żona; takim W. książę Konstanty z tą księżniczką niemiecką przy sobie, która wołała być pierwszą gdziekolwiek bądź, byle nie być drugą w Petersburgu⁷², i która ku temu celowi gotową była wszystkich środków użyć, by jakkolwiek koronę, a cóż dopiero Jagiellońską, na głowę męża włożyć. Jak szekspirowska lady Makbet wśród burzliwych nocy szkockich, tak i W. księżna wśród wieczornego szmeru starych lip belwederskich, szeptała ciągle o tem mężowi, trzymając go silnie zmysłowym pociągami przy sobie i ukazując mu w dali słodkie marzenia; jeżeli nie posunęła się do zbrodni, jak jej szekspirowski prototyp, to nie jej wina, ale wina innych czasów i innych okoliczności. Serce jej dumą i radością się zapewne napępniało, gdy wydawała na świat syna, przy pomocy którego mogła względem Polaków zmanifestować w sposób wyraźny swe uczucia, swe sny uroczę; jakże się ucieszyć musiała, gdy jej doniesiono, że Warszawa na wieść o tych urodzinach, znów uiluminowała swe ulice, jakkolwiek do tego objawu radości w większej części policja miasto zmusiła.

Ale jeżeli to były dni miodowego stosunku wzajemnego, to dni te niestety! miały się już ku końcowi, i horyzont pokrywał się posępными chmurami, z których tylko gromy padać miały i błyskawice piorunowe jaśnieć. Nikt nie spostrzegał tego jeszcze w tej chwili, choć wielu przeczuwało; nie spostrzegał i W. książę, gdy d. 18 lipca po uroczystem nabożeństwie w katedrze Świętojańskiej zgromadzili się w Łazienkach przedstawiciele władz i Rada miejska warszawska, by powinszować namiestnikowi szczęśliwego rozwiązania jego żony i narodzenia syna.

Konstanty był bardzo rozpromieniony i bardzo uprzejmy, a do kłaniającej mu się nisko Rady miejskiej wyrzekł kilka słów dziękczynnych po polsku. Uczył się bowiem teraz pilnie języka kraju, którym rządził. Ponieważ dotychczasowy nauczyciel Krzywicki został ministrem i nie miał czasu swego wielkoksiążęcego pupila wtajemniczać we właściwości polszczyzny, więc wyszukał mu kogo innego, w osobie nauczyciela gimnazjum Boczylińskiego, który uczył i męża i żonę, a czasem służył za narzędzie w tej skrytej, ostrożnej, obosiecznej polityce, jaką prowadził W. książę na własną rękę.

Urodzinom zresztą Wacława chciano nadać wiele rozgłosu, zwrócić niejako uwagę ogółu polskiego na to dziecko, do wielkich, jak się zdawało, stworzone przeznaczeń. Tak, jak W. księżna wprowadziła do przyjęć pocałowanie ręki, przywilej przysługujący tylko monarchiniom panującym, tak i teraz z powodu

72 *Diplomat, Die polnische Revolution* (Deutsche Revue z 1893).

tych narodzin starano się naśladować cesarskie zwyczaje rosyjskie. Wszędzie w kraju w kirkach luterskich i synagogach żydowskich, odbywały się uroczyste nabożeństwa, „za szczęśliwe rozwiązanie” W. księżny i „powicie syna Wacława,” a dziennik urzędowy skwapliwie notował te fakta. W. książę udzielił amnestyi 19 kobietom, wygnanym za Lüdersa do różnych zapadłych miasteczek Królestwa, i pozwolił im powrócić do Warszawy; stu czterem mężczyzn, skazanych na zesłanie do Rosyi, lub na więzienie w twierdzy, zupełnie uwolnić kazał od kary; siedmiu innym, między nimi ks. Wyszyńskiemu (zesłanemu do gubernii Tobolskiej, pozwolono teraz zamieszkać bliżej, w mieście Orle), znacznie zmniejszono karę; przesłał na ręce margrabiego 20,000 złp. by za pośrednictwem Rady miejskiej rozdać je ubogim mieszkańcom Warszawy; na koniec, na skutek przedstawienia Krzywickiego, jako dyrektora Komisji oświecenia, że szkoły nie mają się gdzie mieścić, podarował tejże Komisji pałac Prymasowski, „dla zostawienia pamiątki troskliwości swojej o dobro uczącej się młodzieży”⁷³. Wreszcie polecił on, by dla powiększenia Biblioteki głównej w Warszawie, sprowadzono z Petersburga z księgozbioru cesarskiego publicznego 17.000 tomów dubletów.

Wśród tego wszystkiego robiono uroczyste przygotowania do chrzcina nowonarodzonego, który już w kilka dni po przyjściu na świat, osobnym rozkazem cesarskim został mianowany szefem muromskiego pułku piechoty i zaliczony, jak to mówiono w języku urzędowym, do floty gwardyackiej i pułku kawalergardów i lejbgwardyi ułanów cesarskich. Sama ceremonia chrztu naznaczona została na dzień 8 sierpnia, a na rodziców chrzestnych zaproszono cesarza Aleksandra i królową holenderską. Ponieważ cesarz nie mógł sam przyjechać, więc przysłał w zastępstwie swego młodszego syna Aleksandra, który w dwadzieścia lat potem miał wstąpić na tron rosyjski pod imieniem Aleksandra III. Przyjechał on do Warszawy d. 6 sierpnia, i już wtedy przykre na wszystkich robił wrażenie swą chmurną i olbrzymią postawą, a będąc świadkiem zamachu na margrabiego Wielopolskiego, wydarzonego w tej porze, wywiózł ze sobą szereg uprzedzeń przeciw Polakom i Polsce, które z właściwym sobie uporem i ciasnotą umysłową, na całe życie zachował. Chrzest nowonarodzonego odbył się w cerkwi pałacowej w Łazienkach, a dla dodania więcej przepychu tej ceremonii, sprowadzono umyślnie z Petersburga oddział ułanów gwardyi, którzy pełnili straż honorową. Potem był obiad wspaniały w Belwederze, a Warszawa z rozkazu policji uiluminowała swe domy i ulice.

Gdy się te wypadki i uroczystości odbywały, napełniając miasto wrzawą i blaskiem wielkich tego świata, gdy w Belwederze rojono słodkie marzenia

73 Na piśmiennem przedstawieniu w tej sprawie, wręczonem przez Krzywickiego W. księciu, tenże własnoręcznie napisał po polsku „zgadam się”, co miało znaczyć: zgadzam się.

i chrzczono syna Wacława, czas szedł swą koleją, a po kolei tej toczyły się przyspieszonym pędem losy polskie. Ponieważ W. książę w kilka dni po zamachu całkiem przyszedł do siebie i rana się zagoiła, zaczął więc znowu pokazywać się na ulicach miasta; gdy jednak policja, jak zawsze w owych czasach niewiele warta i źle kierowana, spłoszona nadzwyczajnie zamachem, nieustannie donosiła o gotujących się jakoby nowych zamachach, tworzyła najfantastyczniejsze powieści, więc Wielopolski wpadł na myśl dość niefortunną, ażeby W. książę nie pokazywał się na ulicach bez straży wojskowej. Pomysł ten wykonano w sposób bardzo niezręczny i co gorsza rozgłoszono go naprzód przez „Dziennik powszechny,” a potem i przez inne pisma. W tonie służalczej uległości urzędowej opowiadał tedy „Dziennik” publiczności polskiej i europejskiej, że „niecny zamach na życie J. C. Wysokości, dostojnego namiestnika w Królestwie, dał powód Naczelnikowi rządu cywilnego do wniosku, ażeby Rada administracyjna zaniósła do W. księcia usilną swą (sic) prośbę, iżby on odtąd wyjeżdżając publicznie, otoczony był eskortą”. Ale jeżeli samo rozgłaszanie tego rodzaju prośby było niezręcznem, niesmacznem i niepotrzebnem, gdyż W. książę po zamachu mógł jeździć ze strażą i nikogoby to w Warszawie, przywykłej do tego, nie zdziwiło; to powody, którymi margrabia chciał przed publicznością swój krok usprawiedliwić, są wypowiedziane jeszcze niezręcznie i niesmacznie. Temu człowiekowi, przez tyle lat pędzącemu życie w ciszy wiejskiej i wśród dumań samotnych, nagle zachciało się odgrywać rolę politykującego dworaka i ze swą niedźwiedzią postacią wyprawiać zgrabne piruety na śliskich posadzkach dworskich; przyszło mu więc do głowy, że należy rzecz tak przedstawić, jakoby publiczność polska czuła się obrażoną ową strażą, będącą wyraźną oznaką nieufności do Polaków, i z tego powodu tak pisze: „pełne serdecznego uniesienia przyjęcie, jakiego doznał nasz namiestnik od mieszkańców Warszawy, żałość i oburzenie jakiemi zamach na drogę dla nas życie jego przeniknął nasz naród, usuwać będą myśl wszelką i możliwość przypuszczenia, iżby zbrojne otoczenie W. księcia pochodzić mogło z nieufności i wymierzone być miało przeciw Warszawie i Polsce. Pojmą owszem wszyscy, iż ten środek ostrożności, względem którego na pierwsze o nim wspomnienie J. C. Wysokość wstrętnym (sic) się okazał, przedsięwzięty jest przeciw garstce wichrzycieli, która w dniach kilku podwójną zbrodnią zasmuciła stolicę; że jest użytym na nasze nalegania dopóty, dopóki przewrotne spiski w zupełności wysledzone i stanowczo ukrócone nie zostaną”.

Odtąd W. książę ukazywał się na ulicach, zawsze w odkrytym powozie, otoczony gromadą żółtych i czerwonych jak tulipany czerkiesów, którzy pochyleni na swych małych konikach, pędzili po obu stronach, w czym naśladowała go także ambitna jego żona, co przy jej żółto-granatowych lub bia-

ło-amarantowych, jaskrawych strojach, raziło oczy i krzyczący stanowiło kontrast z powszechną szarzyzną i czarnością. W pierwszej wycieczce swojej, jaką W. książę Konstanty po zamachu zrobił d. 28 lipca popołudniu, pędząc z trzaskiem przez ulice z orszakiem swych żółtych czerkiesów, odwiedził on w Brühlowskim pałacu margrabiego, gdzie zabawiwszy krótko pojechał do dowódcy wojsk, konsystujących w Królestwie polskim, barona Ramzaya; stąd puścił się na ulicę Długą do archimandryty schyzmatyckiego Joannikia, i powracając już przez ulicę Miodową wstąpił na chwilę do arcybiskupa Felińskiego. Odtąd dość często wyjeżdżał i wycieczki swoje po większej części kierował w ulice, zamieszkałe przez żydów, jak gdyby chciał się im odwdziżyć za te liczne nabożeństwa, które oni z powodu „cudownego ocalenia”, lub urodzin Wacława po swych synagogach w całym kraju odprawiali, a które organ urzędowy, jakeśmy to już zaznaczyli, bardzo skrupulatnie notował. A może też, tego znudzonego kniazia rosyjskiego, pociągały tam okrzyki entuzjastyczne motłochu żydowskiego, chciwego wszelkich widowisk ulicznych i zachęcane go do objawów radości przez policją⁷⁴, której tego rodzaju usiłowania z ludnością chrześcijańską nigdy się nie udawały.

Czynił to może także pod wpływem Wielopolskiego, który głośno się teraz odzywał, że jedyną zdrową częścią ciała społecznego Polski są żydzi, i coraz bardziej utrzymywał się w tem przekonaniu, że na nich będzie mógł się oprzeć. To też gorliwie się zajmował dalszym rozwojem i wprowadzeniem w wykonanie prawa o ich emancypacji. Pozwolono im więc przez reskrypt Komisji spraw wewnętrznych należeć do zgromadzeń rzemieślniczych, czyli t. z. cechów; mogli być teraz wybierani na starszych, mogli należeć do zgromadzeń kupieckich, do wyborców i wybranych; mogli zostawać sędziami trybunałów handlowych i radcami w Banku polskim; mogli być aptekarzami i właścicielami aptek; mogli zamieszkiwać we wszystkich miastach bez wyjątku; jednym słowem znoszono wszelkie specjalne ograniczenia i ustawy, dotyczące żydów. Niekiedy Wielopolski w tym względzie posuwał się za daleko. Chcemy tu mówić o specjalnych podatkach, nałożonych na żydów. Do ich rzędu należała w Warszawie opłata biletowa (Tagzettel), pobierana od żydów, przybywających na czasowy pobyt do stolicy kraju, podatek koszerne, opłata od wyszynku trunków po miastach i opłata od dzierżawy i zastawu dóbr ziemskich. Wszystkie te podatki tak w rubryce dochodów Warszawy, jak w ogóle w dochodach skarbu Królestwa stanowiły cyfrę bardzo poważną i przed ich zniesieniem należało się dobrze zastanowić, czem je zastąpić, a nade wszystko, by uwalniając od nich żydów, nie obciążyć nowym podatkiem chrześcijan, co

74 Die Vorläufer des polnischen Aufstandes, 185.

byłoby krzyczącą niesprawiedliwością. Ale Wielopolski właśnie tak postąpił. Przez reskrypt Komisji spraw wewnętrznych podatek biletowy w Warszawie, a w całym kraju podatek koszerne, przynoszący przeszło trzy miliony złp. miał być od r. 1863 zniesiony na zawsze; chcąc zaś tak poważną szczerbę zapełnić, margrabia postanowił podnieść podatek od trunków gorących, czyli ciężar przeniósł z pleców żydowskich na chrześcijańskie.

Sam on to doskonale rozumiał i odczuwał, gdy w tymże czasie rozmawiając z rabinem Mayzelsem, rzekł doń, że „odtąd żydzi nie mają żadnego powodu mieszania się w pewne rzeczy”⁷⁵. W kraju, w którym prasa ma usta zamknięte, podobne wyrażenia nabierają znaczenia nie tylko urzędowego, ale o wiele większego, niż gdyby były publicznie wypowiedziane i przez dzienniki ogłoszone. Powtarzane z ust do ust, zawsze w sekrecie, nabierają jakiejś mistycznej potęgi i siły i szkodzą bardzo tym, którzy je wygłaszają.

Prasa warszawska w tej chwili znalazła się w położeniu o wiele gorszym, niż przedtem. Przed przyjazdem W. księcia do Warszawy, rojono sobie największe nadzieje; byli tacy, którzy zapewniali, że dziennikarstwu dana będzie jak najzupełniejsza swoboda słowa. Jakkolwiek nie wszyscy temu, zresztą z pewną słusnością, wierzyli, przypuszczano jednak, że dziennikarstwo warszawskie korzystać będzie z tej swobody, jakiej już wtedy, w r. 1862 używała prasa rosyjska, której, pomimo cenzury, dozwolono zajmować się szeroko sprawami wewnętrznymi kraju i zewnętrznymi, o ile te na losy rzeczonoego kraju wpływać mogły. Nawet w takich warunkach prasa warszawska, na czele której stali ludzie wytrawni, doświadczeni, a nade wszystko przeciwni rewolucyjno-powstańczemu ruchowi (Kraszewski, Kenig, Kucz), byłaby nowemu rządowi polskiemu ogromnie oddała przysługi, stając się powoli prawdziwą strażnicą porządku i jego obrończelką. Nade wszystko mając, choćby nawet względną tylko swobodę słowa, byłaby odrazu odjęła cały urok prasie tajnej, a rządowi dałaby sposobność poznawania wszystkich prądów i pragnień, przebiegających społeczeństwo, popierania możliwych, walczenia z niemożliwymi do urzeczywistnienia.

Wielopolski jednak, a może i nie Wielopolski, zupełnie tych rzeczy nie pojmował; powszechna pogłoska utrzymywała, że lękał się, by prasa nie zaczęła go szkalować. Dość, że zamknął jej usta silniej, niż to przedtem bywało. Wspomnieliśmy już, że kiedy po zamachu na W. księcia, Kraszewski chciał wystąpić w redagowanej przez siebie „Gazecie polskiej” z artykułem, potępiającym zamach, to cenzura odezwe tę „z rozkazu wyższego” wstrzymała⁷⁶.

⁷⁵ Loc. cit. 185.

⁷⁶ Lisicki, Le marquis II, 347, zapewne dla okazania, że w tej nowej Sodomie, Polsce, nie było ani jednego sprawiedliwego prócz Wielopolskiego, powiada: „gdy zachęcano redak-

Wydawało się to wszystko tak niezrozumiałem ludziom najlepiej życzącym nowemu rządowi, nawet członkom tego rządu, że jeden z nich, nowy dyrektor Komisji oświecenia, Krzywicki, wystąpił w d. 18 lipca z projektem do prawa prasowego⁷⁷. W motywach do tego prawa zaznacza on wyraźnie zdumienie swoje nad tem, że w Warszawie „pojawiły się pisma pokątne, np. „Strażnica”, które (nie wchodząc już w ich zasady), pod względem obrobienia przedmiotu płytkie i słabe, a jednak w sferze nawet ludzi rozsądnych i pomiarkowanych, czytelników swoich znajdują”, oraz owe „głębokie milczenie prasy krajowej wobec dwóch morderczych wystrzałów, które jednak każdy potępia. Milczenie, powiadam, bo jednego okrzyku boleści i zgrozy⁷⁸, za zupełne wyczerpanie obowiązków dziennikarstwa przyjąć nie mogę.

To mię przekonało, jak głębokie są rany w społeczeństwie naszym. Prasa kierująca opinią publiczną, mając pod cenzurą rządową ciągle usta zamknięte, stała się niemą i bezsilną wtedy, kiedy jej głosu najbardziej było potrzeba”. „Aby milczące dotąd usta (pisze dalej), do przemówienia uzdolnić, do przemówienia w imię najdroższych dla społecznego porządku prawd i zasad, w imię cnót, przekazanych nam od ojców naszych, w imię najświętszych obowiązków, z których przed przyszłymi pokoleniami wywiązać się mamy, a których spełnienie lub zaniedbanie na nas ich błogosławieństwo lub przekleństwo ściągnie, nie masz innego sposobu, jak wprowadzić do literatury naszej wszystko ożywiającą i uczniającą zasadę odpowiedzialności. Cenzor powinien ustąpić miejsca sędziemu”. Oparty na tych podstawach, którym słuszności i rozumu nikt, oprócz ówczesnych rządców kraju, odmówić nie mógł, zaproponował Krzywicki szereg ustaw dla prasy. Projekt ten nie wszedł, niestety! nigdy w wykonanie, nie był nawet tam, gdzie należy dyskutowany, nie ma więc w historii żadnego faktycznego znaczenia, dość będzie, gdy powiemy, że projektodawca uważał, iż „od systemu cenzury do systemu wyzwolenia rzeczą konieczną jest przeprowadzenie myśli i słowa przez okres czujnej i nieubłaganej dyktatury”. Domagał się więc, by dzienniki składały 5000 rubli kaucyi w Warszawie, a na

torów gazet, ażeby się oświadczyli przeciw morderstwom politycznym, otrzymano odpowiedź odmowną, umotywowaną istnieniem ograniczeń, ciążących na prasie”. Kto i kiedy zachęcał gazety warszawskie do owego oświadczenia, pan Lisicki, swoim zwyczajem, nie powiada; p. Koźmian (Rzecz II, 185), utrzymuje, że zrobił to Krzywicki, sprosiwszy do siebie redaktorów, ale p. Koźmian powtarza za p. Lisickim bez sprawdzenia i krytyki; że jednak jest to fakt bardzo wątpliwy, świadczy cytowany w tekście wypadek z Kraszewskim, wypadek, który notuje drukowana wtedy książka (Die Vorläufer des polnischen Aufstandes), skreślona przez jednego z współczesnych rabinów żydowskich (A. Giller, Historia II, 196 i 202), i mającego bezpośrednie stosunki z „Gazetą Polską”.

77 Projekt ten czytać można u Lisickiego, Al. Wielopolski III, 522 i nast.

78 Zdaje się, że mówi on tu o artykule „Gazety Warszawskiej”, z powodu zamachu na Lüdersa.

provincyi 3000 rubli; pisma zaś tygodniowe, lub w dalszych odstępach czasu wychodzące, w Warszawie 1500 rubli, a na prowincyi 1000 rubli. Każdy numer dziennika, najpóźniej na cztery godziny przed puszczeniem w obieg, złożony być winien z podpisem redaktora we właściwym urzędzie, pod zagrożeniem kar odpowiednich. W Komisyi oświecenia ma być ustanowiony wydział prasy pod osobistym kierunkiem dyrektora głównego, który wszelkie przestępstwa prasowe sądzić będzie sposobem administracyjnym, ale obwinieni mogą się przed Komisją bronić osobiście, lub przez umocowanych obrońców. Projekt obiecywał, że za cztery lata przestępstwa te będą oddawane zwykłym sądom cywilnym do osądzenia.

Projekt ten, jakkolwiek w zarysach swoich bardzo skromny i poddający jeszcze przez cztery lata prasę widokom i nadużyciom władz administracyjnych, nie znalazł, jakżeśmy rzekli, uznania Wielopolskiego i pozostał tylko projektem. Owszem, jeżeli wierzyć można pewnym doniesieniom, sprzeciwił on się także projektowi, jaki stronnictwo przeciwne powstaniu złożyło do rąk W. księcia, a mianowicie, żeby gazety wychodziły przez trzy miesiące zupełnie bez cenzury, gdyż tym tylko sposobem będą one mogły oddziaływać na opinią i kraj. W. książę z natury rzeczy przedstawił rzecz tę Wielopolskiemu, a ten odpowiedział, że na to zgodzić się nie może „pod żadnym pozorem”, i że „spróbuje obejść się bez tych panów”⁷⁹. Nie dość na tem, margrabia przez szczególne zaślepienie, czy też rozgoryczenie przeciw dziennikarstwu warszawskiemu, do którego zawsze żywił urazę, a teraz gniewał się, że nie śpiewa na cześć jego dytyrambów, w tej porze jeszcze bardziej prasę skrępował i poddał zupełnej samowoli cenzorów i policji. To też publicystyka warszawska po kilku próbach, uwieńczonych, jak się spodziewać należało, niepowodzeniem, przestała całkowicie teraz zajmować się sprawami wewnętrznymi kraju i to w chwili, gdy właśnie dyskusja publiczna nad temi sprawami była nie tylko obowiązkiem obywatelskim, ale konieczną potrzebą, warunkiem nieomal powodzenia dla nowego rządu.

Gdy jednak w społeczeństwie jakaś dążność się objawi, to musi ona na zewnątrz znaleźć sobie ujście, podobna w tem do prądu wody, która, tamowana w jednym miejscu, w innem utoruje sobie zawsze drogę. Tak też stało

79 N. Berg, Zapiski II, 325. Utrzymuje on, że owi przeciwnicy powstania wysłali w powyższym celu deputacyą do W. księcia, i że Wielopolski dlatego nie zgodził się na ten projekt, że „lękał się po gazetach napaści na siebie”. Zdaje się, że cała ta sprawa, dość niejasna, jest w związku pewnym z projektem, jaki według Lisickiego (Le marquis II, 347), powstał w zimie 1862 r. wśród stronnictwa Białych, założenia dziennika niezależnego, i który to projekt miał się rozbić o „zasadę bierności”. Jeżeli tak było, to rozbił on się zapewne o przeszkody, jakie mu stawiał margrabia Wielopolski.

się z prasą warszawską. Nie mogąc jawnie i bez obsłonek mówić o interesach, obchodzących cały ogół, tem gorliwiej rzuciła się na sprawy zagraniczne, by dawnym zwyczajem, jeszcze za Muchanowa praktykowanym, pod ich osłoną wypowiadać swe zdania, zarzuty i wyjaśnienia. Ale Wielopolski był zanadto rozumnym i zanadto przenikliwym człowiekiem, by z nim taka taktyka, dobra na Muchanowa, długo udawać się mogła. Postanowił on więc temu zapobiedz i całkowicie prasie warszawskiej zabronić pomieszczania artykułów wstępnych, co już było niczem nieusprawiedliwionym i najgorszego rodzaju uciskiem. O tem swoim postąpieniu ogłosił on w „Dzienniku powszechnym” w d. 12 września, jakkolwiek zakaz sam cenzura znacznie wcześniej wykonywała. W ogłoszeniu tem margrabia z otwartością, godną zaiste lepszej sprawy, powiada, że „przed niedawnym czasem dzienniki warszawskie usilnie i głośno domagały się pozwolenia pisania o sprawach wewnętrznych kraju, jego administracyi, potrzebach i t. d. i utrzymywały, iż czytelników wcale nie zadawalniamy chociażby obszerne rozprawy polityczne, skoro pole najżywotniejszych prac, około dobra własnego kraju przedsięwziętych, jest dla nich zamknięte”. Zaznaczywszy to żądanie, z hipokryzyą zaprawioną szyderstwem i urąganiem, twierdzi, że dla zadośćuczynienia tym żądaniom, a „nawet dla dania potrzebnej ku temu inicjatywy”, założony został „Dziennik powszechny”, w którym zaczęto ogłaszać artykuły i rozprawy o przedmiotach i najważniejszych kwestiach, wewnętrznego zarządu kraju dotyczących. Jakoż dzienniki prywatne z radością wówczas powitały tę zmianę i zaraz w znacznej części weszły na drogę użytecznego spraw krajowych rozbioru. Wszakże niedługo zabrakło im wytrwałości, i czy to z przyczyny nacisku łekliwej i obalamuconej opinii, czyli też dla niedostatku potrzebnych do tego studyów, wkrótce opuściły tak pożądaną dla nich przedtem pole i znowu wróciły się do artykułów i rozpraw o polityce zagranicznej, które w ostatnich czasach przybrały jeszcze charakter dla stosunków w Królestwie pod wielu względami drażliwy. Gdy nadto ludzie niechętni taki kierunek prasy przypisywali ścieśnieniu jej swobody pod względem możności rozbioru kwestyi wewnętrznych, co przymuszać miało redakcyę do przerzucenia się na obszary polityki zagranicznej, władza przeto rządowa, do której to należy, widząc iż samo zachęcanie przykładem nie przynosi skutku, poleciła cenzurze, aby zostawiając zawsze swobodę rozbioru przedmiotów wewnętrznych, zarządu kraju dotyczących, i nie wyłączając od tego rozpraw z dziennikami zagranicznymi o stosunkach tutejszych, wzbronila, aż do dalszego rozporządzenia, artykułów bądź wstępnych, bądź innych rozumowanych o polityce zagranicznej, co wszakże nie ma tamować dziennikom możności ogłaszania wiadomości o wypadkach w obcych krajach, z powołaniem źródeł tychże doniesień”. Tak kłamiąc, jak tylko kłamać zwykły

rzędy despotyczne, wiedząc, że nikt mu tego kłamstwa wytknąć nie może, w dodatku rzucił prasie warszawskiej obelgę, mszcząc się za wszystko, co kiedykolwiek od niej przykrego doznał. „Czy środek ten, pyta, zdoła wyprowadzić dzienniki warszawskie z błędnego koła? czy zechcą one pojąć i przyjąć za zasadę postępowania, że najświeńsze sprawy zagraniczne gasną wobec potrzeb i zadań ojczystych, to przyszłość pokaże. W każdym jednak razie, do dalszego powstrzymania się w tej mierze naszej prasy, przeszkody cenzuralne nie mogą służyć za wymówkę jej kierownikom, zwłaszcza, gdy im potemu na zdolnościach dziennikarskich nie zbywa”.

Takie fałszowanie faktów, właściwe tylko rządcom złym i arbitralnym, to nieszlachetne wyzwanie przez zbrojnego w swobodę ruchów organu urzędowego, rzucone skrępowanym jego kolegom, ta jakoby wolność rozbierania spraw wewnętrznych, okazała się odrazu złudną i kłamliwą. Kraszewski w „Gazecie polskiej”, która, dodajmy tu nawiasem, pierwsza musiała przedrukować z nakazu cenzury cytowany powyżej artykuł⁸⁰, postanowił jeszcze raz zrobić próbę i zająć się „ojczystymi potrzebami i dążnościami”, a przedewszystkiem przyobiecana swobodą krytyki enuncjacji organu rządowego. Przygotował więc artykuł p. t. „Dziennik powszechny w stosunku do innych gazet”, ale cenzura mu go nie przepuściła; w nagłówku tylko gazety, w spisie przedmiotów zawartych w tekście, został ten tytuł na dowód, jak dalece władza przeciwną jest wszelkiej krytyce spraw urzędowych. Prawodawca, jak się chętnie Wielopolski w urzędowych i półurzędowych publikacjach mianował, zapomniał o najprostszym prawie natury ludzkiej, że nawet w życiu prywatnym ten, który jest skrępowany w swym zdaniu, zaufania w nikim wzbudzić nie może. Margrabia poza osobistą zemstą na prasie warszawskiej za dawne urazy, chciał ją zmusić do wyjścia z bierności i podjęcia walki w jego obronie, do uznawania i wychwalania jego teorii i jego czynów. Następstwem tego było to, że nawet wtedy dzienniki warszawskie milczały, gdy postępowanie rządowe uznawały za dobre i zbawienne dla kraju. Tym więc sposobem margrabia przez swe zachowanie się arbitralne i drażniące, przez zakazy gwałcące najprostsze zasady sprawiedliwości i przypominające najgorsze czasy Muchanowa, przez dodawanie do tych zakazów gryzącej ironii, przez nieszlachetne deptanie skrępowanej prasy warszawskiej, stworzył z niej sobie najzaciętszego wroga, kiedy mógł mieć przyjaciela, i to mu historia na szali win jego policzyć musi⁸¹.

80 Die Vorläufer, 194.

81 Słusznie też tajne pismo „Ruch”, wychodzące od lipca, drwi sobie (w Nr. 5 z d. 17 września), niemiłosiernie i zjadliwie z tego okiełznania prasy warszawskiej. „Reformy Wielopolskiego, pisze „Ruch”, coraz bardziej wchodzą w życie, a dobrodziejstwa ich doznały już nawet gazety: Warszawska i Polska. Żadnych rozumowań, żadnych sądów, powiedział pan

Ale już wtedy postępowanie to, złe i nietaktowne na nim się pomściło, niósł na sobie szyllerowskie „przekleństwo złego czynu”. Czuł on to dobrze, że „Dziennik powszechny”, jako organ urzędowy, nie może podnosić mnóstwa kwestyi i spraw, przemawiać tak, jak przemawiają dzienniki niezależne. To też w potrzebie, zrazu uciekał się do pomocy „Dziennika poznańskiego”, do którego przez jakiś czas pisywał korespondencye z Warszawy pod natchnieniem margrabiego, Miniszewski; gdy jednak korespondencye te, wskutek swego zbyt rządowego tonu i surowego potępienia partyi ruchu, poczęły w czytelnikach niesmak budzić, „Dziennik” się cofnął i korespondencyi takich więcej drukować nie chciał. Wówczas margrabia zwrócił się do prasy obcej, zwłaszcza do „Gazety szląskiej” (Schlesische Zeitung), dość czytanej we wszystkich trzech zaborach. Artykuł, jaki gazeta rzeczona pomieściła wkrótce po zamachu na W. księcia Konstantego, a który skwapliwie przedrukował „Dziennik powszechny” i cenzura wszystkim innym pismom powtórzyć kazała, zdaje się skreślony został pod natchnieniem margrabiego, a choć był bardzo rozumny i bardzo zbawienne rady dawał Polakom, jednak przez to samo, że został przetłómaczony w organie urzędowym, tracił on całą swoją doniosłość i cały wpływ, jaki w innych warunkach mógł być wywrzeć⁸².

margrabia, i obostrzywszy cenzurę, na najmniejszy rozumowany artykuł nie pozwala. Wprawdzie czytelnicy nic na tem nie tracą, a raczej korzystają, gdyż pożyteczniej daleko, aby redaktorowie tych gazet milczeli, aniżeli obrażające godność narodową umieszczali rozumowania, jak to miało miejsce ostatnimi czasy. To tylko „Dziennikowi powszechnemu” przystoi pismo to, korzysta ze swego prawa i zasila się utalentowanym piórem pana margrabiego”.

- 82 Ważniejsze ustępy z tego artykułu, podajemy tutaj według przekładu „Dziennika powszechnego”. „Zdaje się, pisze gazeta, że większość obywateli warszawskich i w ogóle ludzi ukształconych podziela ten sposób widzenia i to przekonanie, że dalsze parcie naprzód (rewolucyi) jedynie na zgubę kraju się obrócić i tylko do moralnego i materialnego zniszczenia przyłożyć się może. Z drugiej strony postępowanie W. księcia po i od czasu zamachu, tak było szlachetne i wspaniałomyślne, że cała dzielność jego charakteru nie potrzebuje żadnej dalszej próby i w porównaniu z tylu innymi książętami okazuje znamienne i korzystną dlań różnicę. Dalej nabytki, jakich Polska dopięła, jak to przyznać musi każdy znający się na rzeczy, są tak rozległe i głęboko sięgające, że żaden kraj w Europie nie może chęć się z osiągnięcia w tak krótkim czasie i w przebiegu podobnych poruszeń, tak ważnych i cennych plonów. Angielski jeden mąż stanu bez ogródki wyrzekł, że w ojczyźnie jego długich lat było potrzeba do przeprowadzenia praw takich jak Wielopolskiego, a ktokolwiek dobrze je przeczytał i pojął, co wprawdzie wielu panów ze stronnictwa ruchu za niepotrzebne uważa, mógł się z nich przeświadczyć, że one podają rękojmię tak trafnie obmyślanego w sprawach krajowych i miejscowych samorządu, jaki właśnie daje się w ogólności przeprowadzić w kraju politycznie zawisłym i niesamoistnym, bez zagrożenia spokojności i prawdziwej pomyślności przez jałowe i przesadzone roszczenia. Na koniec, że i tę ostateczność na uwagę weźmiemy, powstanie gwałtowne dla wymożenia

Takie było położenie jednego z najpotężniejszych narzędzi społecznych, jakim jest prasa i w ogóle słowo drukowane. Że Wielopolski popełnił tu wielkie błędy i że błędy te pomściły się straszliwie na nim, co mniejsza, ale także i na Polsce, co mu nigdy darowaniem być nie może, każdy to przyzna. Poza tem jednak, w innych sferach działalności swojej okazywał on wielką czynność i niemniejszy rozum, zasilany szczerem poczuciem polskim i obywatelskiem. — Oczyszczał on administracyą krajową nie tylko z Rosyan, ale i ze złych i sprzedajnych urzędników polskich. Pierwszych, ku końcowi tego roku, na ogólną cyfrę przeszło 15.500 urzędników w Królestwie, zostało zaledwie 120 i to takich w większej części, którzy się zupełnie spolonizowali i wcale nie mieli ochoty wracać do swej smutnej ojczyzny⁸³. Za jednym zamachem dał dymisyą, „dla dobra służby”, jak się w takich razach stereotypowo wyrażał, aż dziewięciu naczelnikom powiatów, które to stanowisko, rzecz można, najbardziej było zarażone wszelkiego rodzaju nicponiami i wywłokami⁸⁴; innych przenosił, jednym słowem rzucił popłoch na całe setki różnych ka-

politycznej niezawisłości jest wręcz niepodobieństwem i w żadnym razie nie mogłoby doprowadzić do pożądanego celu. Kraj bowiem jest bezbronny i pod prawem wojennem, a gdyby to ostatnie miało nawet wkrótce być zniesione, pozostanie na każde wezwanie władzy wojsko mnogie i dobrze uzbrojone. Masa narodu, włościanie, jest rządowi oddana i posłuszna. Pomocy zagranicznej oczekiwać nie można; tam nawet, gdzie okazała się sympatya dla dążeń do swobody i współudział dla przeszłorocznych w kraju polskim objawów, stopniowo przekonano się, że po wygranej Wielopolskiego, sprawa wolności jest teraz sprawą porządku”. „Lecz niestety! we wszystkich prawie sferach, niedostaje obywatelskiej odwagi, a prawdziwych mężów, jakich kraj najbardziej potrzebowałby, mało tylko widzimy. Niewiasty i niedorostki, niemający nawet elementarnych pojęć o polityce i prawie, sądzą z nieporównaną zuchwałością o najtrudniejszych stosunkach rzeczy publicznej, a tłum daje się wpłatać w zdania i w zasady jakby w dogmata, chociaż one z rozumu i rzeczywistości naigrawać się zdają. Czeladź, zaledwie czytać i pisać umiejąca, poważa się wydawać sąd potępiający o dostojnych osobach, których Europa jako ozdobę rodzin panujących uwielbia i których krajowi zazdrości! Mężowie zostający od lat wielu w służbie publicznej, którzy ze stanowiska swego powołani są na stróżów sumienia publicznego, za kilka wyrazów głośno i śmiało wyrzeczonych przeciwko haniebnym przestępstwom, piętnowani bywają w pismach potajemnych jako zdrajcy ojczyzny!” W tym tonie trzymany jest cały artykuł.

83 A. de Moller, *Situation de la Pologne au l'Janvier 1865*, p. 246. Według innych zostało ich zaledwie ośmiu, ale Moller, który miał pod ręką źródła urzędowe, lepiej jest poinformowany i dlatego za nim poszliśmy.

84 Między nimi znajdowali się tacy, którzy otrzymali tę posadę za szpiegostwo lub rajfurstwo; w Kielcach był naczelnikiem powiatu niejaki Tański, który będąc na emigracji, gdzieś w Niemczech zdybał się z jakąś księżniczką rosyjską i gdy tej zachciało się barszczu rosyjskiego, a nie było nikogo, co by ten przysmak zgotować umiał, Tański się ofiarował i za to nie tylko otrzymał pozwolenie powrotu do kraju, ale i posadę naczelnika powiatu. Wielopolski dał mu dymisyą.

ryerowiczów i niegodziwców, ale zarazem wywołał wśród sfer urzędniczych, sfer bardzo licznych i wpływowych, pewien niepokój, łatwo wytłómaczony, a nieprzyjaciół sobie mnożył nieustannie. Niemniejsze i w Warszawie samej zachodziły zmiany, a zawsze z inicjatywy margrabiego dokonywane. Upadła więc przede wszystkim dokuczliwa, policyjno-administracyjna władza jenerała-gubernatora, urząd, który jak się wyraził ukaz (z dnia 16 lipca), „stał się nieużytecznym od czasu nowego urządzenia wyższej administracji w Królestwie polskim”.

Usunięto ze stanowiska oberpolicmajstra jenerała Piłsudzkiego, łapownika, zdziercę i rozbójnika, a nade wszystko szkodliwego nadzwyczaj, a na jego miejsce mianowano byłego oficera ułanów gwardyi i byłego adjutanta Lüdersa, pułkownika Sergiusza Muchanowa, który temu imieniu, tak zohydzonemu w Polsce, zdołał przywrócić przymiot uczciwości, ale był człowiekiem miękkim i nienadającym się do ówczesnych okoliczności. Przyjmując urząd oberpolicmajstra, zastrzegł sobie, że z policją tajną nic nie będzie miał do czynienia⁸⁵. Wszelkie więc starania o nadanie policji tęgosci i przenikliwości, której pozbawioną była zupełnie i stawała się narzędziem kosztownem ale zupełnie bezużytecznem, do niczego nie doprowadziły. Usunięto z niej Rosyan, jako nieświadomych języka i zwyczajów krajowych, niezdatnych zresztą wcale do służby policyjnej, a natomiast sprowadzono z Petersburga wybranych z gwardyi cesarskiej Polaków⁸⁶. Nie wiele to jednak pomogło; policja warszawska jak zawsze była niedołączną i do niczego. Pomijając już to, że i do niej przesiąkała zaraza rewolucyjna, że spiskowcy wszelkimi siłami starali się wciągnąć do organizacji powstańczej policyantów rządowych i w rzeczy samej bardzo ich wielu wciągnęli i tym sposobem sparaliżowali działalność policyjną, to obok tego policja warszawska, zwłaszcza tajna, była nieudolną i źle kierowaną. Szef żandarmów niedopuszczony przez Wielopolskiego do Rady administracyjnej, aby Rosyanin w niej nie zasiadał, wyszedł tym sposobem zupełnie z pod kontroli margrabiego. Szef ten składał raporta wyłącznie księciu Konstantemu⁸⁷, i Wielopolski treści ich nie znał i stąd o wielu rzeczach nie wiedział.

Naczelnik policji tajnej, margrabia Paulucci, liberał, Włoch z rasy i pochodzenia, wielbiciel Garibaldiego i rewolucji czerwonej, patrzył przez palce na to wszystko, co się w Warszawie działo, zbyt gorliwą działalność swych agentów hamował, żądanych doniesień o spisku i spiskowcach dawać nie chciał, wreszcie widząc na co się zanoszą, przewidując bliską burzę, której szczegóły znał i przekonany był, że niczem zażegnać się nie da, począł udawać chorego

85 Koźmian, *Rzecz*, II, 199.

86 Moller, loc. cit.

87 Koźmian, loc. cit. II, 198.

i na koniec w czerwcu 1862 r. wziął urlop zagranicę do wód włoskich i niemieckich na cztery miesiące i wyjechał z Warszawy. Na miejsce to mianowano jego pomocnika A. Podwysockiego, osobistość plugawą, człowieka niezręcznego i niesumiennego, autora wstrętnych pamiętników o wypadkach warszawskich w 1861/2 r. (Zapiski oczewidca o sobytiach w Warszawie w 1861 i 1862 godach). Był on bardzo gorliwy, ale głupi i zły, zresztą przy takiej, jaką miał pod sobą policyi, nie wiele mógł zrobić. Donosił o rzeczach małej wagi, a w razie gdy mu ich zbrakło, nie wahał się uciekać do kłamstwa, oskarżać ludzi zupełnie niewinnych. Nie długo wszakże pełnił te niezaszczytne obowiązki. Powiadają, że raz ajenci policyjni znaleźli go wiszącego na haku we własnym mieszkaniu na ulicy Długiej i odciepli na szczęście dość wcześnie⁸⁸. Zaraz potem uciekł z Warszawy i znalazł się w Petersburgu, w tzw. trzecim wydziale, gdzie dalej szpiegował i pisał swe szkaradne o Warszawie pamiętniki.

Wśród tych wszystkich zmian, które przyjmowane były w większej części przez ogół z aprobatą, zaszła jeszcze jedna, która silnie wywarła wrażenie i dając z jednej strony dowód, jak dalece nowy rząd polski, ma wszystkie wady rządów złych i despotycznych, z drugiej stała się źródłem tysiąca plotek, uwłaczających margrabiemu. Zmianę tę stanowiło uwolnienie, zawsze „dla dobra służby”, mianowanego w lutym tegoż roku prezydentem Warszawy, Kazimierza Wojdy, zamożnego obywatela warszawskiego i uchodzącego za osobistość bardzo lojalną, stąd powszechnie nielubianego. Bezpośrednim powodem, a raczej pozorem, dla którego tak sromotnie wypędzono z prezydentury Wojdę, była okoliczność następująca.

Nowo utworzona Rada miejska warszawska, w skład której wchodziło wielu członków zeszlorocznej Delegacji obywatelskiej (Matyas Rosen, doktor Tytus Chałubiński, August Trzetrzewiński, Leopold Kronenberg i t. d.), jak gdyby przez dawną tradycją, kiedy to gorliwie pracowano nad uwolnieniem więzionych za przestępstwa polityczne, zajmowała się teraz bardzo skrzętnie sprawą więźniów, siedzących w areszcie przy ratuszu miejskim. Okazało się, że w areszcie tym dzieją się nadużycia, krzyczące o pomstę do Boga. Rada przekonała się z akt urzędowych i papierów, że od dnia 1 stycznia do 20 lipca 1862 r. w areszcie tym więziono od jednego dnia do czterech miesięcy przerażająco ogromną liczbę osób, bo aż 14.883, czyli prawie jedną dziesiątą część ówczesnej ludności całej Warszawy⁸⁹; stwierdzono dalej, że pewien chłopiec

88 N. Berg, *Zapiski*, II, 353.

89 W raporcie urzędowym, jaki z powodu podniesienia tej sprawy przez Radę miejską później się ukazał, ogromna ta cyfra aresztowanych tak się rozpada: „11.237 osób przytrzymanych zostało za przestępstwa zwyczajne, jako to: kradzieże, włóczęgostwo, żebractwo, bijatyki, rozpustę, przemykanie i inne policyjne wykroczenia. Za uchybienia zaś prze-

czternastoletni, przytrzymany przez policję za jakąś manifestacją polityczną, był trzymany w jednej celi z kilkunastu zwyczajnymi złodziejami; że pewna kobieta z chorem dzieckiem czteroletnim siedziała za to, że nie miała żadnych dowodów legitymacyjnych, z 34 innymi kobietami, przeważnie nierządnicami, w celi ciasnej i brudnej, podczas gdy sąsiednie izby więzienne były zupełnie próżne. Przekonano się, że pewnego dnia w izbie, mającej niespełna 400 stóp kwadratowych przestrzeni, trzymano wśród zaduchu, dochodzącego do 30 stopni gorąca, około trzydziestu osób, schwytanych na ulicy bez latarek. Tym nadużyciom, temu zdeptaniu wszelkich praw ludzkich i higienicznych, odpowiadały i inne warunki. Żywność, ubranie, bielizna więźniów, jak również i inne potrzeby znajdowały się w stanie okropnym⁹⁰.

Stwierdziwszy to Rada miejska, wystąpiła ze skargą do władzy wyższej i zażądała koniecznej reformy w tym względzie i zapobieżenia nadużyciom, przy czym rozpiła się o powodach uwięzienia i czasie, jaki aresztowani w więzieniu przepędzili, a rozpiła się w tonie dość drażniącym i przypominającym z wielu względów zeszłoroczne protokoły Delegacji miejskiej. Raport ten Kazimierz Wojda, jako prezydent miasta i prezydujący z urzędu w Radzie, podpisał, zapewne nie bardzo chętnie, przeczuwając niejako, że za wszystko on, nie kto inny, odpowiadać będzie. Że Rada miejska wdając się w rozmaite wnioski i uwagi przekroczyła swe atrybucye, to dla każdego było widocznem; jednakże rząd rozumny a nade wszystko uczciwy, z uwagi, że instytucja ta była jeszcze zbyt młodą i niedoświadczoną, by niekiedy nie miała przekroczyć zakreslonych jej granic, z uwagi na koniec na czasy pełne niezdrowych miazmatów zbliżającej się burzy, miazmatów rozdrażniających każdego i wszystkich, byłby dał Radzie admonicyą, w zakreslone przez ustawę ramy ją na powrót wtłoczył i na tem skończył kwestyą przekroczenia tych ustaw. Tymczasem inaczej się stało. Wielopolskiego może rozgniewało to, że wiadomość o stanie więzienia ratuszowego i cyfrze aresztowanych, ukazała się w „Czasie” krakowskim, robiąc niemałą sensacyą. Widocznie któryś z radców dopuścił się tej zdrady tajemnicy urzędowej. A przy tem, ponieważ margrabia miał już od dawna ułożony plan, ażeby prezydentem miasta został syn jego Zygmunt⁹¹, więc uchwycił się gorąco nadarzającej się sposobności, i nie wyja-

pisom wojennego stanu, lub za przestępstwa, mające jakikolwiek charakter polityczny, przyaresztowano 3596 osób, po największej części za nienoszenie latarek, w którym to przypadku areszt trwał po kilka godzin”.

90 Die Vorläufer, 189.

91 Lisicki, A. Wielopolski, I, 384 twierdzi, że prezydenturę oddał margrabia synowi „z musu, po próżnem szukaniu człowieka pewnego i energicznego administratora i że prezydentury odmówił między innymi bardzo znakomity, dotąd żyjący obywatel z Litwy”. Kto by był tym obywatelem i dlaczego odmówił, p. Lisicki, jak zwykle, nie powiada.

śniając powodów na razie, z wielką ostentacją i krzyczącą niesprawiedliwością dał Wojdzie dymisyą „dla dobra służby”⁹².

Z drugiej strony nadużycia wyknięte przez Radę miejską były zbyt krzyczącymi, by je pominąć można było milczeniem. Cichaczem więc inspektora aresztu, który tu zresztą był winowajcą głównym, usunięto, a gdy wśród publiczności poczęły obiegać różne pogłoski o powodach dymisji Wojdy, skorzystano z tego, by ogłosić, że za nadużycia w więzieniu został uwolniony, co jak wiemy, nie było prawdą. Opublikowano mianowicie, że „jeszcze przed przybyciem do Warszawy W. księcia namiestnika, dochodziły J. C. wysokość wiadomości o niezadowolniającym stanie więzień, a szczególnie aresztu policyjnego w Warszawie. Aby złemu nadal zaradzić i środki poprawienia jego obmyślić, władza wyznaczyła oddzielny komitet, dla dokładniejszego zbadania środków dążących do natychmiastowego polepszenia urządzeń, jak lokalów więziennych w ogólności, tak przedewszystkiem aresztu policyjnego”. Przez ogłoszenie to, a co ważniejsza przez dymisyą Wojdy, margrabia dał dowód, jak łatwo nawet najrozumniejszemu i najuczciwyszemu człowiekowi zarazić się złymi przymiotami rządu despotycznego i samowolnego; odkrył przy tem jeszcze jedną wadę swoją przed ogółem, z której opinia na potępienie jego nie omieszkala skorzystać, to jest nepotyzm. Przypuściwszy nawet, że tak nie było, że chciałby na urzędzie prezydenta mieć człowieka jednomyślnego ze sobą, choć prezydentura ta nie miała żadnego politycznego znaczenia i wpływu, ale w każdym razie dawał powód do plotki uwłaczającej, czego w dobrze zrozumianym interesie kraju i własnym unikać był powinien.

Ale nie tylko o nepotyzm go posądzano. Nie było takiego czynu, takiego kroku, by nieprzyjazna mu, rozdrażniona do najwyższego stopnia partya, nie widziała z czarnej strony i nie osądzała za prostą zdradę kraju. Obrzucano go wszelkiego rodzaju insynuacyami i obelgami⁹³. Zamieszkał on, jako Naczelnik rządu cywil-

92 Zrobił to przy tem margrabia w sposób dokuczliwy i upokarzający ofiarę. Gdy nazajutrz po drugim zamachu na jego osobę, między innemi władzami, składającymi mu powinszowania, zjawiała się także Rada miejska warszawska z prezydentem Wojdą na czele, który nie przeczuwał jeszcze wcale grożącego mu ciosu, margrabia dziękując za życzenia, oświadczył przy sposobności, że teraz stanie w bliższym stosunku do Rady, wskutek tego, że na „jego przedstawienie Naj. Pan mianował prezydentem miasta jego syna Zygmunta”. Gdy Wojda wrócił do domu, zastał na stole papier z dymisyą dla siebie.

93 Z powodu mianowania syna prezydentem miasta, pismo tajne „Ruch” rzuciło (w Nrze 5 z dnia 17 września 1862) taką szkaradną na Wielopolskich obelgę: „Słyszeliśmy, że pan Zygmunt Wielopolski, który został prezydentem miasta dlatego, żeby z Rady miejskiej uczynić potulne narzędzie, funkcjonuje z p. Alfem Wrześniewskim, Enochem i innymi przyjaciółmi, jako agent tajny policyi, z różnicą, że raporta, również jak Miniszewski, składa margrabiemu, a nie znanemu z wielkiego łotrostwa dyrektorowi tajnej policyi, Podwysockiemu. Jeżeli pogłoska o ich szpiegowskich zatrudnieniach jest mylną, mogą ci panowie napisać odwołanie, które jak najchętniej wydrukujemy w kolumnach naszego pisma”.

nego, w pałacu Brühlowskim, gdzie zdawały się słać jeszcze cienie margrabiów i margrabin, diuków i kontów XVIII wieku, gdzie drżała niejako w atmosferze zwietrzała woń starego pudru, gdzie na każdym kroku spotykało się wspomnienie W. księcia Konstantego Pawłowicza i niedawnego samobójcy Gerstenzweiga. Wielopolski nawet, na swój gabinet wybrał ten sam pokój od ogrodu, w którym rozegrała się przed kilku miesiącami ta tragiczna i krwawa scena. Dla przyozdobienia nieco nagich ścian pałacu, jego wielkich, pustych schodów, kazał, zapewne nie bez uwiadomienia kogo należy, znieść najpiękniejsze kwiaty i rośliny z oranżeryi łażeniowskiej; fakt ten wyzyskano w ten sposób, że posądzano margrabię o przywłaszczanie sobie, o nieposzanowanie cudzej własności⁹⁴. Podobnie kazał poznać najpiękniejsze posągi z gabinetu odlewów, co także bystre oczy śledzących każdy krok margrabię dostrzegły i infamią obrzuciły, co nie było słusznym, boć należało ozdobić mieszkanie najwyższego Naczelnika kraju, mieszkanie nieco zaniedbane i z umeblowaniem, wskutek długiego użycia przez różnych generał-gubernatorów, mocno podniszczonym.

Zrazu, oprócz syna Zygmunta, nie miał nikogo przy sobie w tym pustym i ogromnym pałacu, oddany ciężkiej pracy. W końcu lipca jednak zjechała z Krakowa pani margrabina, siostra zmarłego niedawno Tomasza Potockiego, niegdyś bardzo piękna, teraz jeszcze mimo wieku zachowująca wybitne ślady tej piękności, wdzięk niewymuszony i powagę wielkiej damy polskiej. Z jej przybyciem ożywił się nieco pusty i posępny pałac Brühlowski. Można było rozpocząć przyjęcia towarzyskie, co było koniecznym; zbliżyć się nieco do towarzystwa warszawskiego, które stało jakoś na uboczu i z niezadowoleniem przed siebie spoglądało. Margrabia nigdy wielkich stosunków nie miał; jednych odstręczała jego duma, z innymi on sam żyć nie chciał. Na wsi, w Chrobrzu, komunikował się z p. Pawłem Popielem z Kurozwęk, z kuzynami swemi: p. Ostrowskim z Maluszyna, Tomaszem Potockim z Chrzastowa, z p. Oraczewskim z Morawicy (który miał jego siostrę rodzoną za żonę) i bodaj czy z kim więcej jeszcze. Sam był wśród swoich mało towarzyskim, choć w Petersburgu między obcymi okazał wiele przymiotów światowych. W domu był zawsze milczący i chmurny. Wszystko to nie mogło ułatwić zawiązania nici towarzyskiej między pałacem Brühlowskim, a wielkim światem szlacheckim i mieszczańskim Warszawy, że już pominiemy względy polityczne, z którymi świat ten liczyć się chciał i liczył się w rzeczy samej. Przyjmowano dwa razy tygodniowo w poniedziałki wieczorem i we czwartki na obiady wystawne, na które zresztą bardzo szczupłe grono wybranych było zapraszane⁹⁵. W po-

94 Gregorowicz, Pogląd krytyczny, I, 189, pisze: „był to niedobry przykład nieposzanowania publicznej własności, ale już margrabia we wszystkim wyższym się miał nad prawo”.

95 Struś, Ludzie i wypadki, I, 59.

niedziałki zaś, w pysznie oświeconych salonach, zbierał się świat urzędniczy, oczywiście zależny od margrabiego, który chciał tego, by dygnitarze urzędowi wszelkiego rodzaju bywali u niego. Pokora tych sfer w salonie margrabskim, gięcie się karków i grzbietów przed potężnym Naczelnikiem rządu cywilnego, budziła w jednych śmiech i szyderstwo, w drugich smutek, że natura ludzka jest tak słabą i tak nędzną.

Wicégospodarzem był syn Zygmunt, prezydent miasta; szydził on nieraz dość głośno z pochylonych postaci dworaków⁹⁶. Widywano tam dość często arcybiskupa Felińskiego, przeważnie w towarzystwie ks. Domagalskiego, których margrabina, nabożna z natury i stanowiska, bardzo rada zawsze przyjmowała i sadzając koło siebie, żywą i umiejętnie prowadzoną rozmowę zajmowała. Kobiet w ogóle niewiele bywało, gdyż w żałobnych sukniach pokazywać się nie wypadało, a w jaskrawych nie chciały, więc jak mogły unikały tych wizyt. To też dość nudno było na poniedziałkowych margrabskich wieczorach. Wszyscy patrzeli na siebie jakby z ironią i cały charakter zebrań był sztywny, zimny, urzędowy. Sam margrabia pokazywał się dość późno, zostawiając żonie przyjmowanie gości. Niekiedy z zasepioną i chmurną twarzą przechadzał się powoli, rzucając słówka o ludziach i rzeczach, zwykle bardzo zjadliwe, które nazajutrz całe miasto powtarzało, które też zresztą w tym tylko celu były wygłaszane. Ręki prawie nikomu nie podawał; czasem umyślnie dobywał chustkę od nosa, aby witających oszukać i skwapliwie wysuniętą dłoń zostawić w powietrzu. Każde jego słowo na tych wieczorach, nieskończenie nudnych i przykrych, było obliczone, każdy gest obrachowany, każde zbliżenie się do kogoś miało znaczenie. Gdy się też pojawił, wszystkie oczy były nań zwrócone, wszystkie uszy z wytężeniem słuchały, co z ust jego padnie. Niekiedy zatrzymywał się na środku salonu i tworzył dokoła siebie, jak monarcha, *cercle*, ale o polityce nigdy nie mówiono. Zrazu dość wielka ciżba poniedziałkowych wieczorów powoli poczęła się zmniejszać i salony Brühlowskiego pałacu pustoszały straszliwie...

Nie mogła ich ożywić nawet księżycowa pani Keller, znana nam już „aliantka polityczna” Wielopolskiego z Petersburga, żona dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, która w początkach sierpnia przybyła z Berlina do Warszawy i oczywiście zaraz się znalazła w salonach margrabiego na przyjęciu poniedziałkowym.

Olśniewając swymi wdziękami, swą postawą, królować poczęła w tych salonach, pozbawionych najpiękniejszej ich ozdoby, bo kobiet. Zachęcała gorliwie, starała się o to nawet, by na poniedziałki schodzono się do pałacu Brüh-

96 Loc. cit.

lowskiego; z margrabią długie odbywała rozmowy i wieść niosła już w parę tygodni po jej przybyciu, że pisze broszurę polityczną. Jakoż napisała ją w kilka miesięcy później po francusku, o Polakach, W. księciu Konstantym i Wielopolskim, ale jeżeli oczekiwania były wielkie, zawód był jeszcze większy⁹⁷. Broszura ta zdumiewała wszystkich płytkością sądów i brakiem stylu, oraz prawdziwie kobiecą gadatliwością o niczem. Teraz atoli nie wiedziano jeszcze, co będzie zawierała ta broszura i ciekawie przypatrywano się tej jasnowłosej nowej postaci na horyzoncie warszawskim, i zwano ją Egeryą nowego Numy Pompiliusza, zwłaszcza, że wiedziano, iż ten polski Pompiliusz chętnie u swej Egeryi spędzał wieczory⁹⁸. W tej jej zapobiegliwości, w tem gorliwym staraniu się o powodzenie kombinacji politycznej Wielopolskiego, nie należy upatrywać pobudek wyższych, lub jakiejś szczególnej miłości dla Polski. Pani Keller, jako kobieta niezaprzeczenie mądra, tą mieszczańską mądrością mierności, po przybyciu do Warszawy i rozpatrzeniu się w położeniu, przyszła do przekonania, że mąż jej wcześniej czy później, ale niezawodnie usunięty zostanie z dyrektorstwa. Chcąc więc temu zapobiedz, a zdawało jej się po kobiecemu, że zyskując sobie margrabiego, zdoła to zrobić, udawała nadzwyczajną zwolenniczkę nowego rządu. Ale była to zwolenniczka dla posady i blasku do niej przywiązanego. W tym też celu niekiedy nowożytna Egerya przyprowadzała na salony margrabskie swego męża, hr. Edwarda Kellera, rudego jak nieszczęście, brzydkiego jak noc i nic nie mówiącego, zostawiając to zapewne żonie, która w istocie mówiła bardzo wiele i wcale nieźle.

Wszyscy z nadzwyczajną ciekawością przypatrywali się tej osobliwszej parze, która niewiadomo skąd się wzięła, by zająć w Warszawie najważniejsze i najwpływowwsze ministerium. Obiegały też najrozmaitsze, choć niezupełnie pozbawione podstaw plotki, w których o cnocie warszawskiej nimfy Egeryi najrozmaiciej mówiono. Plotki te stały się tak powszechnymi, zwłaszcza że w Komisji spraw wewnętrznych spostrzeżono się zaraz, że nowy jej dyrektor odznacza się niepokalaną ignorancją i ciasnotą umysłu, iż Wielopolski uznał za stosowne jeszcze raz go zarekomendować krajowi i wytłomaczyć, co on zaczął i skąd się wziął w Warszawie. Tym razem posłużył margrabiemu artykuł pomieszczony w „Independance belge”, rodzaj korespondencji dziennikarskiej, skreślony zapewne pod natchnieniem Naczelnika rządu cywilnego i samej nimfy Egeryi i skwapliwie przedrukowanej przez „Dziennik powszechny”. Nieznany więc korespondent zapewniał, że hr. Edward Keller „pochodzi ze starożytnej rodziny, której kilku członków, pozostałych w Pru-

97 Broszura ta nosi tytuł: „Le grand duc Constantin, le marquis Wielopolski et les Polonais. Paris, Dentu, 1863”.

98 Lisicki, Kwartalnik historyczny, zeszyt IV z r. 1894, p. 744.

sach, zajmuje tam wysokie stanowisko”; że on sam już dawno jest w służbie rządowej i „przez dwadzieścia lat pracowicie przechodził wszystkie szczeble tego długiego zawodu, rozpoczynającego się od najskromniejszych urzędów, a dochodzących do wyższych stanowisk”. Zaznaczywszy, że służył w ministerium oświecenia, skarbu, spraw wewnętrznych, zapewnia, że „obznajmił się z szczegółowym mechanizmem administracji i życie jego było długiem i pożytecznem przygotowaniem się do wzniosłego (sic) a trudnego, obecnego jego stanowiska”. Korespondent zaręczał, że hr. Keller „nie przez względy lub protekcją otrzymał od wysokiej łaskawości cesarskiej tekę spraw wewnętrznych w Warszawie”, ale że „jest to człowiek wypróbowany przez doświadczenie, prace i bieg interesów”. Kiedy bowiem w czasie wojny wschodniej został wicegubernatorem wołyńskim, to „pełniąc przez długi czas obowiązki nieobecnego gubernatora, rozwinął zręczność, baczność i stanowczość, które zwróciły uwagę zwierzchników”. W r. 1858 został gubernatorem mińskim. „Tam także, pisze korespondent, wypadki, na nieszczęście zbyt znane, tworząc przy sprawowaniu jego obowiązków znaczne trudności, jeszcze bardziej wystawiały na jaw jego przymioty liberalnego i nieugiętego administratora, oraz prawdziwie pańskie obejście się (sic). Pośród bolesnych uniesień, które musiał powstrzymywać, nigdy nie zabrakło mu ani umiarkowania, ani energii, a szlachta gubernii mińskiej, która kilkakrotnie dziękowała mu publicznie, przez oświadczenie żalu z powodu jego oddalenia się, dowiodła, jaką wartość przywiązywała do jego prawej, wiernej administracji. Zresztą jeden fakt więcej powiada, niż wszystkie pochwały. Ze wszystkich gubernii litewskich, tylko jedna mińska obesza się bez ogłoszenia jej w stanie wojennym”. „Taki jest nowy dyrektor Komisji spraw wewnętrznych, kończy korespondent swój niezręczny i niesmaczny panegiryk. Byłoby zdaje się zbytecznem dodawać, iż zupełnie podziela on pojęcia, sposób zapatrywania się i zamiary margrabiego Wielopolskiego, którego usiłowania pod wysokim kierunkiem oświeconego i liberalnego książęcia, ma Królestwo Polskie na drodze postępu posuwać”.

Artykuł ten przez swoją formę nieudolną, ton przesadny i śmieszny, nie wywarł tego skutku, jakiego się po nim margrabia i jego nimfa Egerya spodziewała. Ci, którzy mieli sposobność poznać Kellera, urzędnicy jego dyktasterii, z właściwością dzieci i podwładnych umiejący odgadnąć wady swego zwierzchnika, śmiali się z zapewnień dziennika, że Keller ma „pańskie obejście”, mając przed sobą Niemca brzydkiego, niezgrabnego, o ruchach i wzięciu się prostackiem. Twierdzenie o jego rozumie, biegłości, doświadczeniu, wręcz sprzeciwiało się temu, na co patrzyli. Widzieli przed sobą człowieka nie mającego o niczem pojęcia, milczącego uparcie, a jeżeli się czasem odezwał, to zdradzał zdumiewającą nieświadomość w najprostszych rzeczach. Sam Wie-

łopolski miał się dość prędko przekonać, że był to człowiek do niczego, że jeżeli nie przeszkadzał, to dlatego, że był za głupi, ale i w niczem przy reorganizacji kraju nie dopomógł⁹⁹.

Wśród takich to warunków i takiego otoczenia, Wielopolski zabierał się do ciężkiego zadania zreformowania kraju. Pracował krwawo; od godziny 5-ej rano na nogach, ze swym sekretarzem Vidalem przeglądał papiery, czytał, snuł nieskończoną ilość projektów odrodzenia ojczyzny. Cały dzień był zajęty, to w Komisjach rządowych, to w Radzie stanu, to w Radzie administracyjnej, to z W. księciem; chwili prawie spoczynku nie miał. Rano zwykle przyjmował; udzielał audyencji różnym interesantom, a jeżeli między nimi znalazł się jaki generał lub dygnitarz rosyjski, to musiał teraz odpokutować za wszystkie upokorzenia, jakich niegdyś za Paskiewicza, Polacy doznawali w Zamku... Czekać musiał długo, przyjęty był ostatni i traktowany tak dumnie i chmurno, że żaden z nich tego nigdy zapomnieć nie mógł, zwłaszcza, że Wielopolski stale wszelkim żądaniom takich panów odmawiał.

Zdarzyło się, mniej więcej w tej porze, że przybył do Warszawy generał Chruszczow, znany nam już naczelnik wojenny lubelski i przedstawivszy się W. księciu, między innemi złożył mu raport o stanie umysłów w tej części kraju. W. książę kazał mu udać się do Wielopolskiego i powtórzyć wszystko. Chruszczow tak zrobił; czekał bardzo długo, nim został przyjęty, wreszcie począł po rosyjsku opowiadać to, z czem przyszedł. Mówił już przeszło kwadrans, a Wielopolski słuchał w milczeniu, wreszcie przerwał mu i rzekł poważnie: „nie rozumiem tego języka”¹⁰⁰. Margrabia wyraźnie zresztą dawał poznać każdemu, że Polska jest dla Polaków i dygnitarze rosyjscy nie mają prawa w niej cegokolwiek żądać.

Ideąlem jego politycznym było Królestwo z przed 1831 r., a w tym względzie tak daleko zachodził, że nawet takie drobne rzeczy, jak przywrócenie dawnego podziału Królestwa na ośm województw, a jak teraz gubernii, uważał za konieczne i niezbędne. Ogłosił nawet o tem w „Dzienniku powszechnym”, że taki wniosek Rady stanu przedstawiony został cesarzowi, i że ten „rozważyć kazał, czy i jak dalece przywrócenie trzech nieistniejących rządów gubernialnych: podlaskiego, kaliskiego i kieleckiego, odpowiadać może widokom lepszej administracji i korzyściom skarbu”. Nigdy jednak do tego nie przyszło i zdaje się, że w Petersburgu na seryo wcale nie myślano o przywróceniu dawnego podziału; zezwalając na większe ustępstwa, dając Królestwu zupełny

99 Lisicki, Al. Wielopolski I. 423, „człowiek na czele spraw wewnętrznych stojący, oczekiwania zawiódł i nieczynnym pozostał”.

100 Ch. de Mazade, „Deux portraits de la Pologne contemporaine”, w zbiorze: *Memoires sur la Pologne*, p. 85.

samorząd administracyjny, żadną miarą nie chciano się zgodzić na takie drobiazgi jak kolory narodowe, lub przedrewolucyjne ośm województw.

Niemniej nie wszedł w wykonanie projekt Sądu głównego, który margrabia jeszcze w zeszłym roku był przygotował. W projekcie tym szło mu na przód o usunięcie przestępstw stanu z pod wyrokowania sądów wojennych, a następnie, by przywracając większość form państwowych z przed 1831 roku i tę także, jedną z najważniejszych, przywrócić. O ten sąd, od początku swego wstąpienia do rządu nie przestawał się upominać i przy każdej sposobności kwestyą tę znowu podnosił. Rząd, różni generałowie i naczelnicy wojenni byli jak najmocniej temu przeciwni, a na nieszczęście postępowanie sądów krajowych, uwalniających wszelkich przestępców politycznych, których oddawano im do osądzenia, opozycją tę usprawiedliwiała. Wypadków takich było kilka i w swoim miejscu je opowiedzieliśmy, tak, że rząd do pewnego stopnia mógł słusznie twierdzić, że z wyjęciem przestępstw stanu z pod jurysdykcji sądów wojennych, przestępstwa te wcale karane nie będą. W tym względzie dawaliśmy sami, jak to zresztą prawie zawsze bywało, broń na siebie naszym nieprzyjaciołom. Mimo to Wielopolski nie ustawał w swych zabiegach. Teraz właśnie zaczęto się znowu zastanawiać nad kwestyą sądu głównego i wzięto pod obrady projekt margrabiego, oraz dwa projekta, które wygotowała od siebie Komisya sprawiedliwości¹⁰¹. Ponieważ jednak rząd był stanowczo przeciwny zaprowadzeniu tego rodzaju instytucji przytem rozwijające się wypadki wymagały sprężystej działalności sądowej, rzecz więc odłożona została na późniejsze lepsze czasy, które, niestety! nigdy już nastąpić nie miały¹⁰². Wszelako Wielopolski widząc już wtedy, że tą drogą rzecz ta nie przyjdzie do skutku, postanowił użyć innej, okólnej co prawda, ale bądź co bądź prowadzącej do celu. Ponieważ na mocy ukazu z d. 23 kwietnia 1833 r. namiestnik w Królestwie miał prawo decydować, jakie mianowicie sprawy i czyny karygodne, a charakter przestępstw politycznych mające, podlegają rozpoznaniu sądów wojennych, miał więc nadzieję, że wyjedna u W. księcia Konstantego odsyłanie spraw tego rodzaju do zwyczajnych sądów karnych. W tej myśli, dla przygotowania sądów krajowych do spełnienia swej powinności, polecił Komisji sprawiedliwości, aby wydała okólnik odpowiedni. Okólnik taki zreferował sędzia Kamionowski, urzędnik bardzo zdolny, ale za swe zbyt lojalne usposobienie nielubiany, a Komisya rozesłała go wszystkim sądom¹⁰³. Cyrkularz ten wzywał i nazywał to „rzeczą najwyższej wagi, aby sądy karne w Królestwie

101 Lisicki, loc. cit. I, 363

102 Projekt ustawy o Sądzie głównym przez Wielopolskiego przygotowany, czytać można u Lisickiego, Al. Wielopolski II, 171 i następne.

103 Loc. cit. I, 366.

przy dochodzeniu i decydowaniu spraw tego rodzaju, przejęły się wysokiem posłannictwem utrzymania powagi praw, porządku społecznego i poszanowania dla władzy, aby ani na chwilę nie zapominały, że od ich energicznego a prawnego działania zawisła jest pomyślna przyszłość kraju, oraz spokojność i bezpieczeństwo wszystkich jego mieszkańców.

Odwaga cywilna, ta najpiękniejsza oznaka publicznego urzędnika, godnie pojmującego swoje obowiązki, obok sumiennego i trafnego stosowania przepisów karnych do czynów, pod zawyrokovanie przychodzących, jedynie zdolne są zapewnić sądownictwu krajowemu to znaczenie i poszanowanie, o zyskanie których złączonemi siłami wszystkich swych członków starać się przedewszystkiem powinno¹⁰⁴. Okólnik ten, jak wszystkie w tym kierunku przez Wielopolskiego czynione usiłowania, pozostał rzeczą martwą. Wybuchł wkrótce potem zbrojne powstanie, oddało całą nieomal władzę administracyjną i sądową w ręce wojskowe, i projekta margrabiego pozostały w historii tylko pięknym pomnikiem jego usiłowań obywatelskich, zastąpienia w kraju gwałtu wojskowego prawem pisanem i wszystkich obowiązującym.

Za to sprawy kościelne wchodziły na drogę o wiele lepszą i zdawały się zapowiadać rozwiązanie skuteczniejsze tych licznych zawikłań i niedogodności, w jakich się znajdował Kościół katolicki w Królestwie. Gdy jeszcze w jesieni roku zeszłego, zebrani w Warszawie na żądanie Wielopolskiego biskupi, podali ówczesnemu namiestnikowi, hr. Lambertowi memoriał o potrzebach Kościoła, to w art. 5 tego memoriału domagali się oni „aby przy Komisji wyznań i oświecenia ustanowiony był wydział duchowny pod prezydencją arcybiskupa, złożony z biskupów i wyższych duchownych, dla rozstrzygania spraw i interesów Kościoła, oraz osób duchownych”. Otóż obecnie, w ogólnym planie reform dla Królestwa, zatwierdzonym przez cesarza, figurował i ów wydział, czyli Rada duchowna. Ks. Felińskiemu nadzwyczajnie się ona nie podobała i wzbudziła w nim poważne podejrzenia. Jakkolwiek bowiem owa Rada posiadać miała tylko głos doradczy, wszelako widział on w niej uderzające podobieństwo do osławionego Kolegium duchownego w Petersburgu i mocno się nią zaniepokoił¹⁰⁵.

Według bowiem przepisów kościelnych, rządcą i stróżem swej owczarni jest, naznaczony przez papieża, biskup; z nim przeto rząd winien traktować i porozumiewać się w sprawach religijnych; każda zaś instytucja duchowna, działająca poza plecami biskupa, wobec tego wydawać się ks. Felińskiemu musiała niebezpieczną i podejrzaną. Pod tym względem zresztą zrozumiała jest zupełnie jego drażliwość, gdyż z bliska patrzył na działalność Kolegium pe-

104 Okólnik powyższy znajduje się w całości u Lisickiego, loc. cit. II, 435 i nast.

105 Ks. Feliński, Mój pobyt w Warszawie (rękopism).

tersburskiego, nigdy nie zatwierdzonego przez papieża i w ogóle więcej szkody, jak korzyści przynoszącego. Nie wiedząc atoli, że projekt owej niefortunnej Rady, czy wydziału duchownego wyszedł od biskupów krajowych (co zarazem dowodzi, jak ci przewodnicy Kościoła słabe mieli pojęcie o prawach i przepisach kościelnych), przekonany był, że jest to pomysł albo petersburski, albo też margrabiego i gdy teraz kwestya ta na stół została wniesioną, zdecydowany był jak najenergiczniej przeciw zaprowadzeniu takiej rady protestować i nigdy, pod żadnym pozorem na jej istnienie się nie zgodzić¹⁰⁶. Oczekiwał przy tem silnego oporu tak ze strony rządu, jak i samego margrabiego i przygotowywał się do zaciętej walki; jakże się atoli zdziwił, gdy Wielopolski najmniejszej nie stawiał opozycji. „Ustanawiając Radę duchowną, rzekł arcybiskupowi, spełniłem jedynie żądanie biskupów, wyrażone w podanym do rządu memoriale; skoro jednak władza duchowna tego sobie nie życzy, to nie mam nic przeciw pozostawieniu rzeczy tak, jak były. Pokazał przy tem ks. Felińskiemu ów memoriał biskupów do hr. Lamberta, w którym o Radę ową upraszano. Dość, że Rada ta do skutku nie przyszła, co w każdym razie świadczy o dobrych chęciach dla Kościoła tak margrabiego jak i ówczesnego rządu Królestwa. Papież, uwiadomiony zwykłą drogą o całej tej sprawie, podziękował listownie ks. Felińskiemu za oddalenie „tak groźnego niebezpieczeństwa” od Kościoła polskiego; właściwa jednak zasługa była po stronie margrabiego¹⁰⁷.

Taką samą powolność znajdował arcybiskup u rządu ówczesnego i w innych sprawach kościelnych, mianowicie przy urządzaniu Akademii duchownej w Warszawie, seminaryum i konsystorza, tak co się tyczyło wyboru osób, programu nauk i zaopatrzenia instytucji duchownych w odpowiednie środki materialne. Pod tym ostatnim względem istniały wtedy w Warszawie warunki opłakane, warunki powstałe w czasach dawniejszych i całkiem nieodpowiednie wymaganiom dzisiejszym. Na utrzymanie np. całego konsystorza, t. j. oficynała, trzech surogatów, regensa i czterech kancelistów, rząd asygnował wszystkiego 5000 złp. (750 rs.) rocznie. Oczywista rzecz, że tak drobna suma w żadnym razie wystarczyć nie mogła i wskutek tego urzędnicy konsystorscy zmuszeni byli zajmować jeszcze inne posady, z niemałą ujmą dla zajęć konsystorskich. Teraz atoli, na przedstawienie arcybiskupa, podniesiono etat konsystorza do 52.400 złp. (8000 rs.), czyli zwiększono go przeszło o dziesięć razy¹⁰⁸. Seminaryum archidiecezjalne mieściło się w ciasnej, wilgotnej i cuchnącej kamienicy obok katedry św. Jana i lokal był tam tak szczupły i niedogodny, że w salach wykładowych musiano stawiać łóżka dla kleryków, bo gdzie-

106 Loc. cit.

107 Loc. cit.

108 Loc. cit.

indziej miejsca dla nich nie było. Na skutek nalegań arcybiskupa, przeznaczono dla seminarium gmachy, znajdujące się przy klasztorze OO. Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu. Jednym słowem, starano się wszystkim, byle słusznym i usprawiedliwionym żądaniom ks. Felińskiego zadość czynić; owszem, rząd nawet w pewnych razach brał inicjatywę w sprawach kościelnych. W tym mniej więcej czasie wniósł on do Rady stanu projekt do prawa, biorący w opiekę duchowieństwo w razie oskarżenia o zbrodnię stanu. Według tego projektu, aresztowanie księdza mogło nastąpić tylko na rozkaz namiestnika Królestwa; jeżeli zaś w ciągu doby nie będą sądowi przedstawione dowody winy, oskarżony miał być niezwłocznie oswobodzony. Takie *habeas corpus* dla duchowieństwa nie miało jednak wejść w wykonanie, wszelako nie z winy rządu, ale samej Rady stanu.

Naprzód w czasie dyskusji nad tym przedmiotem w Radzie, pierwszy zaopiniował arcybiskup Feliński ze względów czysto kościelnej natury. Twierdził on mianowicie, że jakkolwiek projekt ten odnośnie do praw, istniejących w Królestwie, jest bardzo dla duchowieństwa korzystny, obdarza je przywilejem wyłącznym, wszakże duchowieństwo przyjąć go nie może bez upoważnienia Ojca św.¹⁰⁹. Na to W. książę, prezydujący na tem posiedzeniu odrzekł, iż przyrzeka porozumieć się w tej sprawie ze Stolicą apostolską, jak tylko nowe prawo uzyska sankcją monarszą. Tym więc sposobem usunięty główny szkopuł, zdawał się zapewniać urzeczywistnienie projektowi, gdy większość Rady stanu wystąpiła ze szczególnego zaiste! rodzaju pretensją. Żądała ona mianowicie, aby o uwięzieniu księdza wyrokowała Rada stanu, a nie namiestnik. Rząd na to nie mógł się zgodzić i wiedziano o tem dobrze; dlaczego więc takie pretensye wyrażano, dziś niepodobna odgadnąć, dość, że dzięki im projekt upadł i więcej o nim mowy nie było¹¹⁰.

Najważniejszą jednak, największej doniosłości była sprawa małżeństw mieszanych, tej nietolerancyjnej przewagi cerkwi państwowej, tego prawa w najwyższym stopniu niesłusznego. Jak wiadomo, z mocy ukazu z r. 1836, osoby pragnące zawrzeć związek małżeński, jeżeli jedna z nich wyznaje religią prawosławną, obowiązane są dopełnić naprzód obrzędu zaślubin w cerkwi schyzmatyckiej, oraz że dzieci z takiego małżeństwa spłodzone, będą chrzczone i wychowywane w religii prawosławnej. Prócz tego, ukaz polecał, że małżonek, wyznający inną religią od prawosławnej, winien dać przyrzeczenie na piśmie, iż nie będzie z powodu różnicy religii prześladować współmałżonka, że nie przywiedzie go ani namową, ani groźbami, ani żadnym innym sposobem do przejścia na jego wyznanie. Przepięcie któregośkolwiek z tych przepisów groziło wygnaniem na Syberyą.

109 Loc. cit.

110 Loc. cit.

Prawo to wstrętne, cuchnące średniowieczną nietolerancją, miało ten skutek, że w Królestwie mężczyźni nigdy, a przynajmniej niezmiennie rzadko, żenili się ze schyzmatyczkami; kobiety za to, przeważnie jednak z klas niższych, ze sfery służących, kucharek, kawiarek, szwaczek i t. p. podbijały sobie dość często serca swych prawosławnych wielbicieli i za nich wychodziły. Bądź co bądź, prawo to mimo całej swej wstrętności, miało tę dobrą stronę, że przeszkadzało w sposób jak najbardziej stanowczy, zlanie się dwóch narodowości, i tylko niepojmowanie rzeczy mogło utrzymywać, iż ciąży ono i szkodzi narodowi. Duchowieństwo uważało je za uciążliwe, gdyż niezgodne ono było z przepisami kanonicznymi, które podobnie jak ukaz 1836 r., domagały się, że, jeżeli jeden z małżonków jest katolikiem, to ślub winien się odbyć w kościele i dzieci mają być wychowane w religii katolickiej; poza tem jednak ukaz 1836 r., przynosząc drobne szkody narodowi, w całości kopał nieprzebyty rów między Polską i Rosją, i dla ogromnej przewagi cerkwi prawosławnej stanowił nieprzełamaną zaporę. Mimo to, biskupi we wzmiankowanym powyżej memoryale, złożonym hr. Lambertowi, domagali się zniesienia tego prawa; kwestya ta, jak się zdaje, była rozpatrywaną w czasie pobytu Wielopolskiego w Petersburgu, gdyż po powrocie stamtąd, na pierwszym, na jakim był, posiedzeniu Rady stanu, w d. 28 czerwca, w mowie swej, między innemi powiedział: „co do małżeństw mieszanych, poleconem zostało Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego, aby w porozumieniu z Komisją rządową sprawiedliwości, przystąpiła do roztrząśnienia prawa o małżeństwie z r. 1836, celem przywrócenia dawnego prawodawstwa, co do zawierania małżeństw mieszanych, i aby Komisye te wygotowały projekt stosowny, z uwagą wszakże na zasady, jakie przez Stolicę apostolską dla Prus nadreńskich, Bawaryi i Węgier w osobnych brewach i instrukcyach przepisane zostały; tak, iżby gdy Dwór rzymski zgodzi się na zastosowanie tych brew i instrukcyi do Królestwa Polskiego, projekt przez władze tutejsze przygotowany, mógł być do sankcyi monarszej przedstawiony”.

Przygotowanie tych projektów wlokło się, jak zwykle, bardzo długo, i nie prędko, zapewne byłyby one ujrzały światło dzienne, wszelako W. książę Konstanty miał osobiste upoważnienie cesarza do pozwalania w pojedynczych wypadkach, aby rodzice stanowili o religii dzieci, w małżeństwie mieszanem spółdzonych¹¹¹. Na mocy takiego upoważnienia namiestnika, ks. arcybiskup Feliński w ciągu 1862 roku pobłogosławił cztery małżeństwa mieszane, pod warunkiem, że wszystkie dzieci wychowane będą w religii katolickiej¹¹². W rozmowach, jakie w tej kwestyi miewał arcybiskup z namiestnikiem, ten ostatni

111 Loc. cit.

112 Loc. cit.

proponował mu przyjęcie dla Królestwa Polskiego konkordatu, jaki zawarty został ze Stolicą apostolską w księstwie Badeńskim, gdzie wybór wyznania dla dzieci z małżeństw mieszanych, pozostawiony jest rodzicom. Wszelako konkordat ten nakazywał, że ksiądz katolicki, jako urzędnik stanu cywilnego, nawet w takim razie, jeżeli narzeczeni warunków Kościoła katolickiego przyjmując nie chcą, obowiązany jest dać ślub cywilny, bez błogosławieństwa wszakże kościelnego. Arcybiskup na te propozycje, jak się zdaje kilkakrotnie ponawiane, stale odpowiadał, że decydowanie w kwestiach tego rodzaju do Stolicy apostolskiej należy¹¹³. Cała sprawa na tych projektach utknęła, a zerwanie się zbrojnego powstania złożyło ją do niewyczerpanego archiwum dobrych chęci i niespełnionych pragnień, jakie każdy naród, niestety! posiada.

Gdy się to wszystko działo, gdy W. ksiązę starał się szeregiem nie zawsze dobrze obmyślanych czynów, zyskać sobie naród, i grał ciągle rolę niemego króla, gdy margrabia oddawał się ciężkiej pracy, by nowe prawa wprowadzić w wykonanie, gdy snuł projekta, które się nigdy urzeczywistnić nie miały, sprawca zamachu na W. księcia, czeladnik krawiecki, Ludwik Jaroszyński siedział w cytadeli.

Śledztwo, prowadzone przez Komisję wojenną, wlokło się niezmiernie leniwie, nie dlatego, by członkowie Komisji nie chcieli jak najprędzej dobić się prawdy, ale dlatego, że Jaroszyński ze zdumiewającą stałością charakteru, nic nie chciał powiedzieć. Nie zapierając się wcale, że on strzelał, twierdził uparcie, że nikt go do tego nie podmawiał, że zamiar pozbawienia życia W. księcia „powziął po wynikłych w Warszawie w roku zeszłym krwawych wypadkach, dlatego, że cesarz nakazał wówczas strzelać do narodu”¹¹⁴, że „powodowany zemstą, postanowił targnąć się na życie W. księcia, spodziewając się tym sposobem osłabić władzę rządową, mniemał bowiem, że chociaż przez zabicie jednej osoby, władza ta nie osłabnie, ale znajdą się tacy, którzy go naśladować będą i dlatego postanowił przywieść do skutku swój zamiar”¹¹⁵; że z zamiarem tym nikomu się nie zwierzał, lękając się zdrady, że plan cały obmyślał długo i zawsze sam. W Komisji zachowywał się z pewną dumą i lekceważeniem zasiadających w niej generałów; na każdym niemal kroku okazywał to przekonanie, że spełnił czyn dobry i dobrze zasłużył się ojczyźnie. W odpowiedziach swoich, niekiedy szorstkich i prostackich, a zawsze zabarwionych zuchwałością, właściwym rzemieślnikowi warszawskiemu, znać sferę, z której pochodził. Gdy mu przedstawiono rewolwer, z którego dał ognia do W. księcia, i zapytano, jakim sposobem doszedł do posiadania tej broni, odrzekł, że „kupił ją

113 Loc. cit.

114 „Sprawa w sądzie polowym wojennym przeciw zbrodniarzowi stanu Jaroszyńskiemu”.

115 Loc. cit.

od jakiegoś nieznajomego przed trzema tygodniami i zdaje mu się, że za rubli 15", że „w tymże czasie od tegoż samego nieznajomego kupił także sztylet za trzy ruble”. Gdy go zapytano, skąd wziął na to pieniędzy, on, który ich nigdy nie miał, odparł, że „uzbierał z zarobku swego”, wreszcie dodał opryskliwie, że „pieniędzy nikomu nie kradł, ale zarobił je przez dawniejszą swą pracę”.

W ogólności zachowując uparte, niczem niezachwiane milczenie co do współników zamachu i przyjmując szlachetnie i heroicznie przestępstwo i wszystkie jego skutki na siebie, tłumaczył się nieraz bardzo naiwnie. Zapytany, skąd się wziął w podwórzu teatralnem drugi rewolwer i takiż sam sztylet, jaki przy nim znaleziono, odpowiedział, że nie wie. Naciskany, by wyjawiał współników, nie zapierał, że ich miał, ale wymienić ich nie może, „gdyż nie chce nikogo zgubić niewinnie”. Na próżno komisya przedstawiała mu, że zeznanie jego ma widoczny charakter nieprawdy; że nikt temu nie może uwierzyć, by działał samoistnie, że „ze wszystkich warunków jego bytu i położenia raczej należy wnosić, że nie on sam powziął występłą myśl zamachu, lecz że był do tego przez innych namówiony, że porzucone na miejscu występku sztylet i pistolet, zupełnie podobne do tych, jakimi on był uzbrojony, widocznie dowodzą, że oprócz niego byli tam i inni spiskowi”. Jaroszyński, nie mogąc zaprzeczyć logiczności tych dowodzeń, odpowiadał, że wszystko to prawda, ale „on nie wymieni swych współników, gdyż ich nie zna i przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność, za popełnione przez siebie przestępstwo”¹¹⁶.

Po przyaresztowaniu Jaroszyńskiego i jak to jest we zwyczaju, po dokładnem zrewidowaniu go, znaleziono przy nim oprócz paru rachunków, proklamacją do narodu polskiego bez daty i podpisu, zawierającą przyznanie się do wystrzału do Lüdersa, oraz do zamiaru „zabicia nieznanej osoby polskiego nazwiska”, jak się wyraża relacya urzędowa, a którą to osobą, jak się zdaje, był margrabia Wielopolski. Proklamacya ta, pisana na kartce papieru, kończyła się temi słowy: „tak rób narodzie z każdym; zabijaj i morduj łotrów, a prędzej dojdiesz do upragnionego celu. Żegnam was bracia Polacy, ja już krótko żyć będę, pójdę na inny świat, pójdę błagać Boga, który natchnął mi tę myśl, o lepszą przyszłość dla Polski”.

Ponieważ Komisya doskonale wiedziała skąd, z jakich sfer wyszedł strzał, który strzaskał szczękę Lüdersowi, więc bardzo była ciekawa, kto Jaroszyńskiego namówił do przyjęcia na siebie tego przestępstwa, przewidując zapewne, że było to uczynione w celu zwrócenia poszukiwań w inną stronę. Zapytany więc o to Jaroszyński, niewzruszenie trzymając się swej roli, odrzekł, że on strzelał do Lüdersa, że uczynił to „również przez zemstę za zabitych w roku

116 Loc. cit.

zeszłym i w zamiarze osłabienia władzy rządu”. Badany jednak szczegółowiej, zakończył szorstkiem i lakonicznem: „strzeliłem i kwita!”¹¹⁷. Ale temu twierdzeniu zaprzeczyły zaraz inne świadectwa. Wezwany do śledztwa czeladnik krawiecki, u którego mieszkał Jaroszyński, Stanisław Stańkowski, żona jego Teofila, służąca Barbara Kurczykówna i mieszkający w tejże stancyi staruszek, nauczyciel muzyki Aleksander Kurzątkowski, zeznali jednogłośnie, że owego poranku, w którym dokonano zamachu na Lüdersa, Jaroszyński spał w domu i nigdzie nie wychodził; że kiedy koło godziny 9-ej rano żona Stańkowskiego, powróciwszy z targu, zaczęła opowiadać słyszaną w mieście nowinę o tym wypadku, Jaroszyński jeszcze leżąc na posłaniu, pytał jej: „czy to tylko prawda?” i potem dopiero, ubrawszy się, wyszedł. Było więc oczywistą rzeczą, że Jaroszyński kłamał i z właściwym sobie heroizmem, czyn ten przyjmował na siebie. Gdy mu stawiono do oczów Stańkowskiego i Kurzątkowskiego, którzy powtórzyli przy nim swe zeznanie, przyznał, iż rzeczywiście w tym czasie, w którym strzelono do Lüdersa, był w domu, przyjął zaś na siebie to przestępstwo dlatego, że „mu się tak podobało”. Nalegany o bliższe objaśnienia, od kogo kupił rewolwer i gdzie go przechowywał, odpowiadał, że „tam gdzie chciał i gdzie mu było dogodniej, ale gdzie i u kogo mianowicie, nie powie”; naciskany wreszcie kończył lekceważącym zdaniem: „co ja będę gadał!”

Co się tycze proklamacyi, przy nim znalezionej, przyznał się, że jej nie pisał, ale że ją znalazł w ogrodzie Saskim, w pobliżu pompy, tego samego dnia, w którym dokonany był zamach na Lüdersa.

Ponieważ we wszystkich jego odpowiedziach brzmiało przekonanie, że zamach na W. księcia był czynem wysokiego patryotyzmu i aktem heroicznego poświęcenia się dla ojczyzny, ponieważ Jaroszyński był widocznie pewny, że jest bohaterem i że cały naród uważa go wskutek tego bardzo wysoko i między najznakomitszych swych mężów policzy, i przekonanie to dodawało mu mocy do upartego trzymania się raz powziętego systemu obrony, więc szło o to, by zachwiać tem jego mniemaniem i zmusić niejako do wyznania prawdy. Z uwagi, że ten biedny, cichy dotąd i nieznany czeladnik krawiecki, był człowiekiem religijnym, więc Komisya spróbowała naprzód w tę stronę jego uczuć uderzyć. Posłano więc do cytadeli kapelana wojskowego, by go upomniał ze stanowiska religijnego. Zamknięto ich we dwóch w celi więziennej, bez żadnych innych świadków; co ksiądz mówił z tym straceńcem nieszczęśliwym i co on mu odpowiadał, niewiedomo, to tylko pewna, że wezwany zaraz potem do Komisji śledczej, „uporczywie przy poprzednich zeznaniach obstawał”. Gdy się ten krok nie udał, ktoś z członków Komisji więcej przenikliwy i doskonale

117 Loc. cit.

odgadujący prostą, skrytą ale entuzjastyczną duszę Jaroszyńskiego, wpadł na pomysł odczytania mu dzienników polskich zakordonowych, które, mówiąc o zamachu, uważały go za czyn nierozsądny, zbrodniczy i stanowczo z punktu widzenia interesów polskich, na potępienie zasługujący. Jakoż Komisya poszła za tą radą i kazała Jaroszyńskiemu odczytać artykuły, dotyczące jego zamachu, pomieszczone w „Czasie” krakowskim¹¹⁸, w „Dzienniku poznańskim” i „Nadwiślaninie”.

Artykuły te, tak silne wrażenie wywarły na Jaroszyńskiego, tak dalece zachwiały w nim niewzruszone dotychczas przekonanie, o wewnętrznej wartości jego czynu, że oświadczył, iż wszystko powie, do wszystkiego się przyzna. Tem chętniej to czynił teraz, zmęczony moralnie i fizycznie, wstrząśnięty w swej najgłębszej wierze, zachwiany w najserdeczniejszym przekonaniu, że jeden z członków Komisji, sędzia Słupski, Polak, uciekł się do jednego jeszcze niegodnego środka, do obietnicy, której dotrzymanie nie było w jego mocy, że w razie szczerzego przyznania się, Jaroszyński wolny będzie od kary śmierci.

Powiedział więc, że do zamachu namówił go Chmieleński, że Rodowicz był pośrednikiem w tej sprawie, że ten ostatni dał mu w przeddzień wystrzału do W. księcia, ową odezwę do narodu polskiego, którą przy Jaroszyńskim znaleziono. Zalecał mu przy tem, że jeżeli na miejscu przestępstwa będzie przez policją schwytany, aby odezwę ową podrzucił i do zamachu na Lüdersa się przyznał, dla oswobodzenia od prześladowań człowieka, który rzeczywiście tego dokonał. Szczegółowo przy tem opowiedział całą swą odyseję w poszukiwaniu dogodnej chwili, w której by mógł do W. księcia strzelić; że od Rodowicza, od czasu gdy przestał chodzić do warsztatu, dostał w dwóch ratach w ogóle siedm rubli. Zeznanie to miało charakter szczerości i nie wątpiono o jego prawdziwości, zwłaszcza, że znalazło ono potwierdzenie w tym fakcie, iż tak Chmieleński jak i Rodowicz gdzieś znikli. Pierwszy z nich, naraziwszy na śmierć człowieka całkiem niewinnego, tegoż samego dnia, w którym padł strzał w sieni teatralnej, wyszedł o godz. 4-ej popołudniu ze swego mieszkania w hotelu Saskim i wzięwszy ze sobą klucz, więcej nie powrócił. Zostawił tam nawet swą bieliznę i garderobę, co świadczy jak pospiesznie uciekał i jak mocno dbał o siebie, zostawiając na pastwę szubienicy Jaroszyńskiego. Co się tycze Rodowicza, to ten, według zeznania niejakiego Soleckiego i Drabika,

118 Surowo też za to skarcony został „Czas” w pisemku tajnem p. t. „Bicz”, które w tym czasie poczęło wychodzić w Krakowie. „Gazety wiedeńskie, czytamy tam, chcąc zgromić posłów naszych za wyjście z Rady państwa, przedrukowały artykuł z „Czasu”; moskiewski sąd, chcąc przekonać Jaroszyńskiego o zgubności jego czynu dla kraju, pokazał mu ustęp z „Czasu”. Więc Niemcy i Moskale, wrogі nasze z „Czasem” w rękę szermują przeciw nam. Sądzimy, że to dosyć, aby obudzić sumienie”.

obu czeladników krawieckich, z którymi razem mieszkał, w dniu zamachu na W. księcia, przyszedł do domu koło godziny 11-ej wieczorem i nic z nimi nie mówiąc, spać się położył. Na drugi dzień rano o godz. 8-ej, Rodowicz, leżąc jeszcze w łóżku, opowiadał, że wczoraj był w teatrze i że W. księcia i margrabiego Wielopolskiego zastrzelono z pistoletu, że słyszał trzy wystrzały, i że „publiczność, wychodząca z teatru, śmiejąc się mówiła, iż na scenie zabity Aleksander Stradella, tymczasem on (Rodowicz) się przekonał, że były zabite powyższe dwie osoby”¹¹⁹. Potem, około godz. 9-ej wyszedł i więcej się już w domu nie pokazał, chociaż zostawił w nim swe rzeczy¹²⁰. Przez kilka dni, o czym śledztwo nie wiedziało, ukrywał się w Warszawie u swych znajomych, wreszcie ci zdołali go wyprawić i wysłać za granicę¹²¹.

Wobec tych zeznań, wobec wyjaśnień, jakie dał Jaroszyński o całym przebiegu zamachu, Komisyja nie miała już co robić i śledztwo ukończyła.

To też zaraz, d. 11 sierpnia, naczelny dowódca wojsk konsystujących w Królestwie, baron Ramzay, przez rozkaz dzienny, polecił oddać Jaroszyńskiego pod sąd wojenny, z tem zastrzeżeniem, ażeby sąd opierał się na zupełnie nieznanej i nieobowiązującej w kraju ustawie wojenno-karnej i żeby wydał wyrok w ciągu 24 godzin¹²². Prezesem sądu został generał Merchelewicz, znany w Warszawie z tego, że w przeszłym roku zajmował jakiś czas stanowisko oberpolicmajstra. Zdaje się, że pod wpływem Wielopolskiego, W. książę postanowił, że sąd ten ma być publiczny i przy drzwiach otwartych¹²³. Ogło-

119 Sprawa przeciwko zbrodniarzowi stanu Jaroszyńskiemu.

120 Komisyja śledcza pragnąc koniecznie dobrać się, czy między strzałem do Lüdersa, a spiskowcami warszawskimi nie ma jakiego związku, dopytywała się jednego ze świadków, mianowicie wspomnianego w tekście Drabika, czy nie wie co o tej sprawie. Ten tak odrzekł: „pierwszy raz Jaroszyński zaszedł do Rodowicza d. 27 czerwca, lecz nie zastawszy go w domu, wyszedł i w pół godziny z nim powrócił. W ciągu rozmowy Rodowicz pytał Drabika, czy słyszał o wypadku, jaki miał miejsce w Saskim ogrodzie, a otrzymawszy odpowiedź, że w warsztacie u nich mówiono, jakoby strzelił do namiestnika jakiś wojskowy, Rodowicz odezwał się, że strzelił cywilny, że potem zdjął ze siebie okrycie i zamieszawszy się w tłumie, uszedł. Nazwiska zaś sprawcy tego zamachu Rodowicz nie wymienił; przytem Jaroszyński nic nie mówił i śmiejąc się tylko, przechadzał się po pokoju i potem wyszedł”.

121 Z podań ustnych.

122 Pawliszczew, Siedmicy I, 117.

123 Oczewidiec, Posledniaja polskaja smuta (Russ. Starina 1875, XII, 620) powiada: „W. książę Konstanty Mikołajewicz był zawsze stronnikiem sądu publicznego i korzystając z ówczesnej swej władzy naczelnego wodza, na zasadzie istniejącego, ale nigdy nie stosowanego artykułu statutu wojennego, wyznaczył nad mordercą sąd publiczny, przy drzwiach dla wszystkich otwartych, tak żeby wszystko było jawne, wyraźne i bez żadnej tajemnicy”. Być może, iż tak było, co by zaszczyt przyniosło humanitarnemu umysłowi W. księcia. Nasze wszelako relacye utrzymują, że sąd jawny był dziełem margrabiego.

szo o tem zaraz w gazetach, donosząc, że sąd odbędzie się d. 14 sierpnia o godz. 9-ej rano w gmachu rządu gubernialnego, zwanym pałacem Paca; że „stosownie do objawionego przez Jaroszyńskiego protokółarnie życzenia, adwokat z urzędu, w osobie obrońcy przy senacie Wincentego Grobickiego, wyznaczony został”¹²⁴; że sąd, stosownie do praw wojskowych, odbędzie się „przy eskorcie siły zbrojnej”, że na koniec bilety wejścia wydawać będą „władze naczelne i prezydent miasta”.

W mieście wiadomość o tem, że Jaroszyński będzie sądzony publicznie, wbrew dotychczasowym zwyczajom, gdy sądy wojenne odbywały się tajnie, niby Vehma średniowieczna, gdzieś w głębi murów cytadeli, zrobiła pewne wrażenie. Wprawdzie krzywiono się nieco na to, że obronę obwinionego oddano z urzędu mecenasowi Wincentemu Grobickiemu, który niedawno przybył z Petersburga, gdzie pełnił obowiązki sekretarza przy zmarłym ministrze Turkule, człowiekowi niechętnemu ruchowi rewolucyjnemu, dobremu prawnikowi, ale bardzo chłodnemu i obojętnemu.

Tymi zapewne względami kierowała się w wyborze obrońcy Komisya sprawiedliwości, nie bez wpływu może Wielopolskiego, który chciał, ażeby obrońca trzymał się jedynie prawa, a nie uciekał się do frazesów, tak modnych w tej porze i tak zawsze łatwych. Grobicki zadość uczynił tym wymaganiom; obrony jego, wygłaszane z żołnierską postawą, miały charakter suchy, treściwy, trzymający się litery prawa; dawał więc pewność, że nie skorzysta ze sposobności, by retorycznymi zwrotami, sentymentalnością frazesów zyskać sobie poklask tłumów i rewolucjonistów, i sytuacją, samą z siebie bardzo drażliwą, uczynić jeszcze drażliwszą. Zresztą, na wszelki wypadek wezwany do Wielopolskiego, osobiście od niego został ostrzeżony, by przez jakieś wycieczki o charakterze politycznym, nie naraził się na przejechanie się bezpośrednio z sali sądowej do cytadeli. Grobicki tak tem wszystkiem był przerażony, że przed sprawą wyrobił sobie paszport za granicę, i natychmiast po wygłoszeniu obrony, wyjechał i nie wrócił do kraju jak w cztery miesiące później.

W takich to warunkach miał się rozpocząć sąd nad Jaroszyńskim. Kto mógł, to starał się o bilety wejścia, których liczba, ze względu na miejsce, była ograniczona, a w ogromnej większości zabrali je różni generałowie, ciekawi tego niezwyklego w rocznikach Rosyi i rocznikach rządu rosyjskiego w Polsce, widowiska. Mimo to, zebrała się znaczna liczba publiczności, przeważnie kobiet, w prześlicznej, białej sali dawnego pałacu Paca na ulicy Miodowej, zajętego obecnie przez biura rządu gubernialnego warszawskiego. Na ulicach, które miał jechać Jaroszyński, skupiły się znaczne tłumy ciekawych. Zjawił on się

124 Pierwotnie zamierzano powierzyć obronę Józefowi Karpińskiemu, obrońcy przy Radzie stanu, ale ponieważ ten nie był obecny w Warszawie, więc wybrano Grobickiego.

w karecie zamkniętej, otoczonej z przodu i z tyłu dwoma szwadronami jazdy, huzarami i ułanami, oraz kilku żandarmami. Z wielkim trzaskiem, hukiem i brzękiem, cała ta kalwakata pędziła po ulicach, a mnóstwo żydostwa, zawsze żądnego wszelkiego rodzaju widowisk, poczęło krzyzczeć: hura! Na dziedzińcu pałacu stał cały batalion piechoty¹²⁵; słowem, przy rozwinięciu znacznych sił wojskowych rozpoczynano ten sąd publiczny i w widocznej obawie, by on nie wywołał jakichś rozruchów.

Gdy się Jaroszyński ukazał w sali ze swą postawą szczupłą krawczyka, ze swą twarzą pospolitą choć młodą i nie brzydką, ciemny brunet, śniadej cery, ubrany dość starannie, publiczność powitała go lekkim szmerem ciekawości. Skoro sąd zasiadł na swych miejscach, wszystko jenerałowie strojni w bogate mundury, gdy zaraz prawie z początku ukazano publiczności dowody rzeczowe, rewolwery, sztylety, mundur W. księcia krwią poplamiony, zrobiło to tak silną sensacyą, że wielu z niechęcią poczęło patrzeć na Jaroszyńskiego¹²⁶. Ale powoli to usposobienie zmieniło się na żywą dlań sympatyą. Odpowiadał on szczerze i otwarcie, tonem głębokiego przygnębienia. Zapytany po polsku, gdyż cały proces toczył się w języku ojczystym, czy to on strzelał do W. księcia? odrzekł głośno, że tak, że uczynił to z „miłości dla ojczyzny”, że żadnego innego przestępstwa nie popełnił i do tajnego stowarzyszenia przeciwn rządowi nie należał. Pytany, czy w cytadeli w czasie prowadzonego śledztwa nie dopuszczano się względem niego środków przymusowych, odrzekł, że nie, że „z czystem sercem, jako prawdziwy Polak” twierdzić to może. Ten dumny patryotyzm, a zarazem gorący, objawiający się w każdym nieomal zdaniu Jaroszyńskiego, zyskał mu współczucie publiczności, dość zrazu chłodnej i złożonej z osób przeważnie przeciwnych dążnościom rewolucyjnym. To też w ogólności sąd ten z wielu względów okazał się szkodliwym dla rządu.

Ten patryotyzm prostego czeladnika krawieckiego, głośno i publicznie, niejako w obliczu śmierci wyznawany, rozdrażnił wiele serc kochających szczerze tę Polskę nieszczęśliwą, choć widzących jej szczęście nie w postępowaniu rewolucyjnym; zachwiał wielu przekonania, że skoro sądy obce, najezdnicze, nie wyszły z łona narodu, przywłaszczają sobie prawo karania śmiercią, to wszelkie zamachy na przedstawicieli tegoż najazdu, są także słuszne i uprawnione. Wszystkim zresztą żal było tego chłopca szczerzego i bądź co bądź działającego w imię najwznioślejszego z uczuć ludzkich, bo w imię miłości ojczyzny, i za to stawionego teraz przed sąd jenerałów rosyjskich. Przy tem dla publiczności polskiej, od dawna przywykłej do sądów jawnych i głośnych, postępowanie tych jenerałów, pierwszy raz mających wyrokować nie w czte-

125 N. Berg, Zapiski, II, 314.

126 Pawliszczew, Siedmicy, I, 119.

rech zamkniętych ścianach, ale wobec tłumów, zdradzało pewną nieśmiałość i nieobycie się z tem wszystkim.

Obronca Jaroszyńskiego, Grobicki, którego zadanie było bardzo trudne, bo bronić obwinionego musiał, a bronić tak, by rządu w niczem nie obrazić i samemu się nie narazić, i opinii rozgorączkowanej na siebie nie oburzyć, ze zwykłym sobie chłodem i cytowaniem rozlicznych ustaw prawnych, domagał się, by przestępstwo było sądzone według obowiązującej w tej części kraju ordynacji kryminalnej pruskiej, dlatego, że śledztwo było prowadzone na zasadzie tejże ordynacji, t. j. tajnie i nie za pomocą dowodzenia przestępcy zbrodni, ale przez wymożenie na nim przyznania się do niej; że przyznanie się obwinionego nie jest dostatecznem, bo z akt sprawy nie widać, ażeby W. książę Konstanty uznał w Jaroszyńskim tę osobę, która do niego strzelała. Grobicki twierdził dalej, że przyznanie się obwinionego do winy wtedy dopiero nabiera znaczenia, kiedy nastąpi w porządku sądowym, wskutek zapytań sędziego, kiedy obejmuje główne wypadki i czyny, i nie może być zbite przez inne okoliczności. Zdaje się, że szło tu obrońcy o zaznaczenie, że śledztwo było prowadzone tajnie, w głębi cytadeli i że jako takie, nie zasługuje na wiarę. Utrzymywał dalej, że zeznanie Jaroszyńskiego było niejasne, bezzasadne i niezgodne z okolicznościami przez śledztwo wykrytemi. Z początku Jaroszyński twierdził, że nikt go nie namówił, później zaś, gdy Komisya śledcza dała mu obietnicę, że w razie szczerego przyznania się będzie wolny od śmierci, wskazał osoby, które go niby namówiły, czego śledztwo nie potwierdziło; że nie ma zeznań świadków, gdyż milicyanci Biały i Malinowski, którym zależało na tem, by obwiniony był schwytany, bo w razie przeciwnym podlegaliby odpowiedzialności, nie mogą tem samem świadczyć; że zeznania księcia Bebutowa i innych, nie stwierdzone przysięgą, są tegoż samego znaczenia; że zatem wyrok nie powinien być tak surowy, jak prawo wymaga. W końcu domagał się, „aby obietnica, uczyniona Jaroszyńskiemu przez Komisję śledczą, była dotrzymaną”. Obrony tej audytorowie wojskowi i oskarżyciel główny, nieprzywykli do rozpraw publicznych, zbić na miejscu nie mogli i w opinii słuchaczów mimo woli musiało się wyrodzić przekonanie, że słuszność nie jest po stronie oskarżenia¹²⁷. Rozprawy sądowe skończyły się o godz. 3-ej po południu, a narada sądu trwała przeszło trzy godziny i dopiero o godzinie 8-ej wieczorem, prezydujący Merchelewicz ogłosił wyrok, skazujący Jaroszyńskiego na śmierć przez powieszenie, co wszystkim obecnym wobec obrony Grobickiego, której nikt z oskarżycieli rosyjskich zbić nie potrafił, wobec przyrzeczenia danego Jaroszyńskiemu przez Komisję śledczą, wydało się krzyczącą

127 Oczewidiec, Posledniaja polskaja smuta, loc. cit.

niesprawiedliwością. Audytoryat w dwa dni dopiero potem ogłosił po dziennikach swą odpowiedź na obronę Grobickiego, i między innymi zaznaczył, że „pozostawia władzy wyższej wyrzeczenie, o ile Komisya śledcza mogła obwinionemu czynić nadzieję ulaskawienia”; że nie ordynacya pruska ma sądzić sprawy o zamach na życie „osób najwyższych”, ale „sądy wojenne, obecnie w tutejszym kraju, ogłoszonym w stanie wojennym, zaprowadzone”; polecił wreszcie, aby Chmieleński i Rodowicz, w razie znalezienia ich, byli stawieni przed sąd wojenny i rysopis ich ogłosić kazał. W. książę wyrok ten w całej jego rozciągłości d. 19 sierpnia zatwierdził i d. 21 t. m. wykonać polecił¹²⁸.

Tak się skończył ten nieszczęśliwy proces i śledztwo, które przez kilka tygodni z rządu trzymało w naprężeniu uwagę całej Warszawy, a przynajmniej bardzo licznego w niej stronnictwa rewolucyjnego. Zwyczajem rosyjskich sądów tajnych, pociągano do śledztwa mnóstwo osób i prawdziwą grozę rzucono na całe sfery społeczne. Aresztowano wielu, a potem przekonawszy się, że nic nie są winni, wypuszczano na wolność¹²⁹. Wszystkich ludzi, zwłaszcza z klasy rzemieślniczej, którzy jakiegokolwiek i kiedykolwiek mieli z Jaroszyńskim stosunki, wzywano do cytadeli, zarzucano pytaniami, grożono, zamknięto po kilka dni. Nic nie winną właścicielkę warsztatu na Nowosenatorskiej ulicy, w którym pracował Jaroszyński, wdowę Szczycińską, Bóg jeden wie za co, po długim trzymaniu w cytadeli, wywieziono t. z. porządkiem administracyjnym, bez sądu i bez wyroku na Syberyą. Pozostałe po niej drobne dzieci, znajomi z litości rozebrali między siebie, bo zmarniałyby z głodu i nędzy. Wszystko to było krzyczącą niesprawiedliwością, której wina spada na W. księcia samego w tem, że nie umiał lub nie chciał tego powstrzymać.

Potwierdzenie wyroku krwawego, w całym kraju zrobiło wrażenie przynębiające i dla namiestnika bardzo nieprzychylnie.

Wszyscy byli przekonani i głośno się z tem dawano słyszeć, że W. książę Jaroszyńskiego ulaskawi; mówiono sobie, że nakazuje mu to szlachetność, jaką ludzie na tak Wysokiem znajdujący się stanowisku mieć powinni, nakazuje

128 Konfirmacya wyroku brzmi: „roztrząsnąwszy przedstawienie audytoryatu polowego o przestępcy politycznym Ludwiku Jaroszyńskim, pod wyrokiem sądu polowego wojennego zostającym, zatwierdzam na mocy nadanej mi przez Najjaśniejszego Pana władzy, konkluzją audytoryatu polowego, w jego przedstawieniu wyrażoną. Kara śmierci na przestępcy Jaroszyńskim ma być spełniona w d. 9/21 miesiąca i r. b. na stoku cytadeli Aleksandrowskiej, przy zachowaniu istniejących w tym względzie przepisów” (podpisano) Konstanty.

129 Pawliszczew, Siedmicy, I, 111, opowiada: „z aresztowanych (w sprawie Jaroszyńskiego) osób, trzy: Piotrowski, Mielnicki i obywatel Wzdulski, okazało się, że nie mają związku z tą sprawą i natychmiast zostali uwolnieni z cytadeli. Wezwani do śledztwa brat Piotrowskiego i syn Mielnickiego zdołali się ukryć”.

interes własny zyskania sobie serc polskich, rozbrojenia wszystkich rąk, które gdzieś tam, w ciemności, może przygotowują się do zadania mu nowego ciosu, nakazuje wreszcie ta okoliczność, że Komisya śledcza, bądź co bądź, przyrzekła Jaroszyńskiemu życie, jeżeli się do wszystkiego przyzna. Rzecz ta stała się zbyt głośną, kilkakrotnie w sądzie była podnoszoną i nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Wprawdzie śledztwo wykryło, że nie Komisya cała dawała taką obietnicę Jaroszyńskiemu, ale jakeśmy to już powiedzieli, jeden z jej członków, Polak, nazwiskiem Słupski, sędzia kryminalny, przydawany zwykle do wszystkich Komisji śledczych, nie bardzo obznajmionych z prawodawstwem miejscowem. Wszelako fakt ten nie zmienił stanu rzeczy; Słupski działał od siebie samego, dla okazania swej gorliwości, nie przypuszczając może, iż przyrzeczenie to, podniesione na publicznym posiedzeniu sądu, stanie się głośnem, ale ostatecznie ta obietnica, wraz z artykułami gazet zakordonowych wpłynęła na Jaroszyńskiego, że się do wszystkiego przyznał. Tak dalece wierzył on przyrzeczeniu i słowu honoru, danemu przez Słupskiego, że był zdumiony wyrokiem, którego się nigdy nie spodziewał i który mu się przez to wydawał w najwyższym stopniu niesprawiedliwym i zażądał koniecznie, by mógł się widzieć z margrabią Wielopolskim, sądząc zapewne, że ten wszechpotężny minister zdoła wpłynąć na zmianę krwawego wyroku. Uczyniono żądaniu temu zadość, uwiadomiono margrabię i ten kazał przywieźć do siebie skazańca. Oczywiście widzenie to w niczem nie mogło odwrócić od Jaroszyńskiego fatalnego losu, naraziło tylko Słupskiego na szereg surowych i gorzkich, acz słusznych wyrzutów ze strony margrabięgo, za dawanie podstępnych przyrzeczeń, których dotrzymanie nie od jakiegoś tam sędziego zależało. O wszystkim tem dochodziły wieści do publiczności i opinia tem uparciej domagała się dla nieszczęśliwego młodzieńca, tak haniebnie oszukiwanego, łaski i przebaczenia, a przynajmniej lżejszej kary.

Podnoszono, nie bez pewnej słuszności, że Jaroszyński dokonał swego zamachu w najczystszych intencjach, że okazał pewne uczucie rycerskie, gdy, mogąc na dworcu kolei zabić na pewno W. księcia, nie uczynił tego jedynie ze względu, by nie przstraszyć, a może nie zranić ciężarnej jego żony. Liczono na to, że ta ostatnia przez uczucie może wdzięczności, że uszanowano życie, które niosła w swem łonie, przez prostą litość kobiecą, wpłynie na męża i akt łaski na nim wymoże¹³⁰. Nic się z tego nie stało; ale jeżeli te ostatnie powody,

130 A. Giller, *Historia*, II, 68, powiada, co zresztą było opinią większości ówczesnej Warszawy: „W. księżna nie umiała ocenić uczucia Jaroszyńskiego, który, mogąc zabić na dworcu kolei jej męża, wstrzymał rękę uzbrojoną pistoletem dlatego tylko, że wielki książę prowadził ją, w ciąży będącą, pod ramię. To uszanowanie kobiety, jakie napotkała w Polakach, a którego nie ma w Rosyi i w Niemczech, nie skłoniło ją do sprawiedliwości i do zwykłej kobiecie litości. Córka księcia rządzącego po prusku w Altenburgu, nie dziw, że

mające źródło swoje w uczuciu, mogły nie mieć znaczenia w chłodnym obrachunku politycznym, to były inne jeszcze, które nakazywały W. księciu dobrze się wprzód zastanowić, nim wyrok krwawy podpisze. Zyskanie sobie wspańiałomyślnym czynem serc polskich, powinno było być wzięte w rachubę, i tym rojeniom ambitnym, którym pod wpływem cichych podszeptów żony się oddawał, nadać podstawę najsilniejszą, bo opartą na sympatyj wszystkich dusz polskich, na uzyskaniu serc masy, zawsze wrażliwej na czyny prawdziwie szlachetne.

Niestety! tej polityki nie rozumiano w Belwederze. Król niemy i niema królowa, niczem nie dający się dotąd poznać narodowi, tylko jaskrawością swego czerkieskiego orszaku i niemniejszą jaskrawością swych sukien, w jedynej chwili, którą im Opatrzność dała do ręki, nie potrafili zajaśnieć przed narodem blaskiem i tą aureolą, jaką nadaje wielkość duszy. Masy, tłumy szare i bezmyślne, które stanowią ogromną większość narodu, nie zrozumiały polityki nazwania syna imieniem Wacława, ani darowizny pałacu Prymasowskiego, który zawsze przecież był własnością polską, ani przywrócenia z biblioteki petersburskiej 17.000 tomów, co było tylko restytucją nader drobną ksiąg niegdyś zabranych z Warszawy; wszystkiego tego masy nie pojmowały, nie olśniewało to ani ich oczów, ani serc. Ale wspaniałomyślne darowanie życia Jaroszyńskiemu byłoby tą potężną, gromową błyskawicą, która nagle oświeca nie tylko szczyty pałaców i zamków, ale i chaty biedne i sięga w najgłębsze ciemności ziemskiego padołu i płaczu. Takiej błyskawicy nie chciał zapalić wielki książę rosyjski i marząca o koronie polskiej księżniczka sasko-altenburska. Ta korona w dniu podpisania wyroku śmierci na biednego, ale bądź co bądź, przez szlachetność swych uczuć zasługującego na uwzględnienie czeladnika krawieckiego, na zawsze stoczyła się z głów tej dziwnej, milczącej pary... To jednak byłoby jeszcze klęską nie straszną odnośnie do osoby nowoczesnej, niekrwawej lady Makbet, zmienionej w Aleksandrę Józefównę i do tego wystygłego kniazia rosyjskiego, mającego odegrać rolę Makbeta, sięgającego po koronę, (bo cóż nas mogą obchodzić losy wszystkich kniaziów rosyjskich

była pospolitą kobietą, niezdolną do lepszych uczuć. Nie wstawiła się u męża za żadnym więźniem, nie uwolniła żadnego jeńca". To samo, tylko w formie o wiele ostrzejszej, jak się zresztą spodziewać należało, podnosi „Strażnica” (Nr. 17 z d. 17 sierpnia). „Konstanty, czytamy tam, poświęcił Ludwika Jaroszyńskiego, który dlatego tylko go nie zabił, że będąc szlachetnym i wspaniałego serca człowiekiem, nie chciał ranić lub przestraszyć żony, którą Konstanty prowadził; ten rys szlachetny nie tknął carewicza, ta prawdziwie rycerska względność, nie skłoniła go do pokazania się człowiekiem wyższego ducha, lecz przeciwnie, okazał się zwyczajnym, mściwym i tchórzliwym satrapą, nie spostrzegłszy nawet, że potwierdzeniem w swej własnej osobie tego pseudo-wyroku naraził się na niekorzystne porównanie w oczach opinii i historii z nieszczęśliwym wisielcem”.

i wszystkich księżniczek niemieckich), ale stawało się strasznym i głęboko tragicznym, gdy pomyślimy o Polsce, o nas samych. Z tem rozsypującym się w gruzy marzeniem księżniczki niemieckiej, rozsypywały się także na długo lepsze dni polskie¹³¹...

Któż zresztą wie, komu przypisać należy, takie a nie inne rozwiązanie posępną, krwią już teraz ciekącą, tragedii polskiej? Kto wie, co się działo w duszy W. kniazia rosyjskiego, gdy podpisywał wyrok śmierci na Jaroszyńskiego? Może gniew nim miotał na tego, który mu kazał przeżyć krótką wprawdzie, ale pełną grozy i nigdy niezapomnianą chwilę? może jego chłodna, wyziębiona i znużona dusza, z obojętnością wielkich tego świata, myślała o śmierci jakiegoś tam nędznego czeladnika krawieckiego? może nie bez wpływu były powtarzające się właśnie w tych dniach zamachy na margrabiego, stąd konieczność rzucenia grozy i postrachu na wszystkich; a może też w tym ponurym domu imperatorów rosyjskich nie istniała nigdy tradycja łaski i przebaczenia, a natomiast była tradycja koniecznej i przykładnej kary dla tych, którzy śmieli podnieść rękę na członków tego domu; może wobec tej tradycji W. książę ułaskawić Jaroszyńskiego nie chciał i nie mógł¹³².

Dość, że w początkach swego panowania, w miodowych miesiącach nowej władzy i nowego dworu polskiego, poza jeszcze nic nie mówiącą postacią nie-

131 Że wśród najlepszych głów i serc epoki panowało takie przekonanie, iż W. książę przez darowanie winy Jaroszyńskiemu byłby sobie zyskał Polaków, świadczy artykuł polityczny Rogera hr. Raczyńskiego, wydrukowany wkrótce po zamachu w czasopiśmie francuskim „Revue contemporaine”, p. t. „Margrabia Wielopolski i reformy rządu rosyjskiego w Polsce”. Artykuł ten ukazał się później w osobnej odblacie i przetłumaczony był nawet na język polski (wydany w Poznaniu u Żupańskiego) i w swoim czasie bardzo był czytany. Otóż hr. Raczyński, mówiąc o zamachu i o W. księciu, powiada: „jakim sposobem nie spostrzegł on, że zamach ten dawał mu do rąk klucz do zamkniętego i zbuntowanego serca narodu? To rozpacz mas dawała znać o sobie, a którą, jesteśmy przekonani, można było zniweczyć jednym ciosem, uderzając na nią dobrocią. Jakkolwiek morderca był winnym i nie zasługiwał wcale na litość, książę mógł i powinien go być ułaskawić. Łaska ta, udzielona w formie pospolitej, mogłaby uchodzić za słabość, ale właśnie nie trzeba było uciekać się do form pospolitych. Według nas, chcąc dostać się do rdzenia (moelles) ducha narodowego, należało powiedzieć: „ułaskawiam go, bo dał mi sposobność przypieczętowania krwią moją postanowienia, jakie powziąłem, zagojenia ran tego kraju” (czytaj „Memoires sur la Pologne”. Berlin, 1863, p. 32).

132 Obiegała wówczas po Warszawie kłamliwa pogłoska (cytuje ją także N. Berg, Zapiski II, 321), że W. książę chciał przebaczyć „swemu, jeżeli Wielopolski swoim przebaczyć”. Znaczyło to, że W. książę ułaskawi Jaroszyńskiego, jeżeli margrabia uczyni to samo względem dwóch młodych ludzi, którzy właśnie w tej porze dokonali zamachu na jego życie. Według pogłoski, margrabia miał odmówić. Słuszną Berg robi uwagę, że pogłoska ta umyślnie była rozpuszczona po mieście, by w oczach tłumów zohydzić Wielopolskiego do reszty.

mego króla z dramatu, szarzeje ponure widmo szubienicy i wisielca na niej, rzucając mroczny cień na wypadki i ludzi, na chwilę i rzeczy. Niestety! odtąd skrzypienie szubienic będzie stałym nieomal głosem, unoszącym się nad cichymi i sennymi niwami polskimi...

ROZDZIAŁ XVIII

Trzy szubienice.

Myśl zamachu na Wielopolskiego. Ludwik Ryll i jego przeszłość. Spotkanie się z Janickim. Schadzka na Foksalu. Inne schadzki. Różne projekta dokonania zamachu. Schadzka d. 7 sierpnia. Instrukcja dana Ryllowi. Oczekuje on na dziedzińcu Komisji skarbu na Wielopolskiego. Szczególny zbieg okoliczności. Zamach. Schwytywanie Rylla. Wrażenie w mieście i składanie powinszowań. Mowa Wielopolskiego do Rady miejskiej. Depesze telegraficzne. Postępek Zamoyskiego. Głosy prasy jawnej. Śledztwo w sprawie Rylla. Aresztowanie Jarosława Dąbrowskiego. Przygotowania do nowego zamachu na margrabiego. Jan Rzońca i jego przeszłość. Zamach. Schwytywanie Rzońcy. Jego zeznania i śledztwo. Depesze kondolencyjne. Wizyty. Straż i ostrożności. Usiłowanie zatrucia margrabiego. Rozporządzenie o kapeluszach. Protest szlachty pińskiej. Artykuły „Gazety polskiej” i „warszawskiej”. Śmierć Jaroszyńskiego. Cud. Głosy prasy tajnej. Sąd nad Rylliem i Rzońcą. Zachowanie się i obrona tego ostatniego w sądzie. Powieszenie Rylla i Rzońcy. Nabożeństwa żałobne za straconych. Prasa tajna. Dwa okólniki Krzywickiego. Odezwa W. ks. Konstantego. Zdanie o niej i wrażenie, jakie wywarła. Narady w Dyrekcji białej. Deputacja do margrabiego i jego odpowiedź. Intryga hr. Przeździeckiego i Węgłęńskiego. Rozmowa Zamoyskiego z W. księciem. Wrażenie tej rozmowy. Dyrekcja biała zwołuje szlachtę do Warszawy. Narady. Zapytanie W. księcia i odpowiedź zjazdu. Sprawa adresu do W. księcia upada. Pomysł podania adresu Zamoyskiemu. Treść tego adresu. Wręczenie go Zamoyskiemu. Rada Wielopolskiego. Rozkaz dany Sierżputowskiemu. Podróż do Petersburga. Rozmowa Sierżputowskiego z cesarzem. Wizyty dygnitarzy. Deklaracja Zamoyskiego. Rozmowa z cesarzem. Wyjazd p. Andrzeja do Paryża. Wrażenie w Warszawie i pogłoski. Artykuł gazety „Journal de St. Petersbourg”. Odezwa lubelska i „Dziennik powszechny”. „Komunały”. Poczta i zarząd komunikacji. Latarki i stan wojenny. Oczyszczanie włościan. Umowy dobrowolne. Objasnienie prawa o oczyszczaniu. Topografowie wojskowi i ich propaganda. Zdanie Czerwonych o oczyszczaniu. „Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa”. Delegacje czynszowe i ich wnioski. Niewiara powszechna w trwałość nowego prawa. Zakończenie.

Śledztwo w sprawie Jaroszyńskiego, dzięki jego heroicznemu przyjęciu na siebie wszelkiej winy i upartemu milczeniu, jeżeli tajemnicą pokryło wiele rzeczy i wielu ludzi, to przecież wyjaśniło ten jeden oczywisty i niezaprzeczony fakt, że główna nienawiść ultraczerwonych rewolucjonistów skierowana jest przeciw Wielopolskiemu. Ten Polak, stojący na czele rządu najezdniczego, jak oni mówili, wprawiał ich w tak niepohamowany gniew,

że poza pożytkiem politycznym, jaki widzieli w „zgådzeniu” Wielopolskiego, śmierć jego sprawiłaby im jeszcze osobistą satysfakcją ukonienia trawiącej ich nienawiści. To też myśl dokonania zamachu na osobie margrabiego ani na chwilę ich nie opuszczała; przykład był już dany, a jak wiadomo, tego rodzaju przykłady są nader zaraźliwe. Przy tem dochodziły ich wieści głuche, niepewne, ale przez to jeszcze bardziej niepokojące i wszystko w przesadnych kształtach przedstawiające, o próbach zbliżenia się stronnictwa Białych i w ogóle stronnictwa szlacheckiego ku Wielopolskiemu; czuli oni to dobrze, iż gdyby to stronnictwo raz tylko szczerze i otwarcie poparło margrabiego, to o żadnej rewolucyi, o żadnem powstaniu marzyć by nawet nie można było. Trzeba więc raz na zawsze temu koniec położyć, mówili oni, znienawidzonego Wielopolskiego usunąć i wszelkie próby reakcyi szlacheckiej u korzenia podciąć. Dlatego też myśl zabicia margrabiego ani na chwilę nie zeszła z programu rewolucjonistów.

Myśl tę popierał usilnie Chmieleński. Po zamachu na W. ks. Konstantego, przeczuwając i słusznie, że jego nazwisko wcześniej czy później wypłynie w tej sprawie na wierzch, jak wiemy, tego samego jeszcze dnia opuścił hotel Saski, w którym mieszkał od pół roku, a opuścił tak pospiesznie, iż rzeczy swoje zostawił i klucz od numeru zabrał. Ukrywał się teraz po znajomych w Warszawie, ścigany listami gończymi policyi¹³³. On to wraz z Jarosławem Dąbrowskim głównie uorganizował i doprowadził do skutku zamach na margrabiego Wielopolskiego¹³⁴. O nową ofiarę, która by się tego czynu podjęła, nie było trudno; wśród rozszerzającej się coraz bardziej organizacyi, w skład której najrozmaitsze wchodziły żywioły, można było każdej chwili znaleźć straceńców, gotowych na wszystko, istoty wykolejone, żyjące bez celu i nadziei, nielękające się śmierci. A jeżeli jeszcze ta śmierć w ich mniemaniu mo-

133 Jak dalece ówczesna policya była niedbałą i niedołężną, świadczy fakt następujący. Bronisław Deskur, członek organizacyi podlaskiej, wysłany został do Warszawy. „Trzeba jednak, żeby się tak złożyło, opowiada on (Wydawnictwo materyałów do historyi powstania, II, 137), że trafił na drugi dzień rano po strzale do księcia Konstantego, który (strzał oczywiście) miał miejsce wieczorem dnia uprzedniego. Miałem adres do Ignacego Chmieleńskiego, jako członka Komitetu; przyjechawszy rano 4 lipca 1862 r. do Warszawy, udałem się wprost pod wskazany adres do hotelu Saskiego pod Nr. 36, na pierwsze piętro, gdzie mieszkał Chmieleński. Pomimo dłuższego pukania, nikt mi nie odpowiadał. Zeszedłem więc na dół do zarządcy hotelu, którego znałem, gdzie dowiedziałem się o zdarzeniu zeszłego wieczoru i ucieczce Chmieleńskiego, przy czem powiedział mi rządca, że nie pojmuje, jak mi się udało uniknąć aresztowania przy drzwiach Chmieleńskiego, bo policya stoi na dole, a agent policyjny kręci się po korytarzu pierwszego piętra, aby zgłaszających się do Chmieleńskiego aresztować”. Z tego opowiadania okazuje się, co była warta policya ówczesna.

134 W. Spasowicz, *Żiźń i politika markiza Wielopolskiego*, 282.

gła się przydać na coś ojczyźnie, otoczyć choćby Herostratowym blaskiem ich imię, to już nie wahali się ani chwili i szli na oślep tam gdzie im kazano, lub do czego ich namówiono.

W atmosferze unosiły się przy tem niezdrowe miazmaty istnej dżumy rewolucyjnej i zarażały umysły młodzieży; wicher burzy straszliwej i wszystko niszczącej, zerwawszy się raz, porywał za sobą i ludzi i rzeczy.

Do organizacji tej, która jak polip rozszerzając się, coraz bardziej ogarniała sobą średnie przeważnie, mieszczańskie warstwy, należał w tej porze niejaki Ludwik Aleksander Ryll¹³⁵, z fachu litograf, który jednak nie doszedł nawet do stopnia czeladnika; był zawsze tylko uczniem. Młody chłopiec, zaledwie 20-ty rok życia liczący (ur. d. 16 października 1842r.), miał już za sobą całą przeszłość burzliwą i pełną nędzy, i należał do rzędu tych egzystencji bez jutra i bez przyszłości, jakich pełno jest zawsze w każdym wielkim mieście. Samo urodzenie jego miało na sobie pewne znamię romantycznej tajemniczości. Według pierwszych relacji, jakie o nim zebrano, przyszedł on na świat we wsi Blizne, w Radomskim, w okolicy fabrycznej; ojciec jego zwał się Filip i był w fabrykach tych giserem. Później, dokładniejsze poszukiwania przekonały, że urodził się we wsi Brzeziny, w gubernii Warszawskiej, majątku hr. Gutakowskiego. Okazało się dalej, że ów Filip Ryll, giser, nie był jego ojcem¹³⁶, ale, jak się zdaje, było to dziecko nieprawe, zrodzone z owego hr. Gutakowskiego i żony Rylla, Barbary. Filip Ryll pracował przez jakiś czas w fabryce Ewansa w Warszawie, ale koło r. 1858 gdzieś zniknął i mniemany syn nic o nim odtąd nie wiedział; matka zaś Barbara, zapewne wskutek wpływów swego hrabiowskiego kochanka, w epoce gdy jej syn stał się głośną postacią historyczną, znajdowała się w klasztorze PP. Sakramentek na Nowem Mieście i tam miała całe utrzymanie¹³⁷. Dzieckiem, w takich warunkach romantycznych zrodzonym, od wczesnej młodości zajmował się ów przypuszczalny jego ojciec, hr. Gutakowski, który w jakiś czas po narodzinach młodego Ludwika, sprzedawszy swe majątki w Królestwie, przeniósł się być na mieszkanie do Poznania, chłopca wziął ze sobą i zajął się jego wychowaniem.

Z początku oddał go był do szkoły niemieckiej w Lesznie, ale w rok później przeniósł do gimnazjum realnego w Poznaniu¹³⁸. Chłopiec jednak uczyć się bardzo nie chciał, tak, że, dociągawszy ledwie do piątej klasy, został odebrany z gimnazjum i oddany do nauki do litografa. Gdy wreszcie i temu zajęciu młody Ludwik Ryll niechętnie się oddawał, hr. Gutakowski odesłał go,

135 Według jednych był on dziesiętnikiem, według innych setnikiem.

136 N. Berg, *Zapiski* II, 307. Utrzymuje on, że Ryll urodził się w Warszawie.

137 „Sprawa w sądzie polowym wojennym przeciw przestępcy stanu Ludwikowi Ryllowi”.

138 N. Berg, loc. cit.

koło r. 1859 do Warszawy, pod pozorem, żeby się dalej kształcił w swej sztuce, a prawdopodobnie, żeby się pozbyć niesforne go chłopca. Tutaj Ryll nie zastał już swego mniemanego ojca, gisera, który, podobno zabrawszy co mógł, przepadł gdzieś bez wieści. Znalazł atoli matkę, żyjącą z łaski zakonnic i swe rodzeństwo: braci Antoniego i Ambrożego, biedaków, mieszkających w ubóstwie na ulicy Gołębiej, i siostrę Franciszkę. Dzieci te, zdaje się, były już prawem dziećmi gisera Rylla. Ludwik z rodziną swą nie żył w zgodzie; dostawczy się w hulaszczy wir wielkiego miasta, nic robić mu się nie chciało, włóczył się po piwiarniach, czyli tak zwanych w Warszawie „bawaryach”, sprzedawał co miał i tak jakiś czas pędził nędzne i rujnujące życie.

Dla poprawienia sobie losu, wysprzedawszy się ze wszystkiego do tego stopnia, że tylko został w jednym surducie, wybrał się do Łodzi. Ale i tam tej naturze zepsutej i rozpróżnianej się nie wiodło. Wrócił do Warszawy jeszcze bardziej obdarty¹³⁹. Tutaj doszedł do ostatniej nędzy, tak, że dla zarobienia paru złotych pracował u kowala, ale poranił sobie tylko i potłukł mocno ręce i nogi, więc rzucił to zajęcie. Wśród swego hulaszczego życia, wśród włóczenia się między najgorszym towarzystwem ludzi obojej płci, dostał brzydkiej choroby i musiał iść do szpitala.

Wyleczywszy się, obdarty, prawie nagi, znalazł jeszcze raz rękę pomocną, która go chciała wyratować. Odszukał go pełnomocnik hr. Gutakowskiego, niejaki Zaleski, który umyślnie w tym celu przyjechał z Poznania, oporządził, dał trochę grosza, zapłacił za mieszkanie i umieścił u litografa Regulskiego, ale Ryll i tutaj nie długo zabawił. Przychodził do roboty późno, pracować mu się nie chciało, bardzo często zjawiał się pijany, czem znudzony Regulski, wymówił mu u siebie miejsce. Znowu pozostawiony bez kawałka chleba, począł się chwycać różnych zarobków. Jak poprzednio z biedy pracować chciał u kowala, tak teraz wynajął się malarzowi pokojowemu Darewskiemu i robił u niego przez dwa miesiące, wreszcie wrócił do właściwego swego fachu i dostał się do litografii Janiszewskiego, ale znowu dla zwykłego sobie próżniactwa i pijaństwa, po dwóch tygodniach musiał zakład ten opuścić. Na szczęście miał przyjaciela, do którego zawsze w ostatniej już nędzy się uciekał. Przyjacielem tym był szewc Ignacy Staniszewski, zamieszkały na Nowym Świecie, człowiek młody, ale już żonaty i ojciec czworga dzieci, który jak mógł pomagał Ryllowi, a nawet przyjął go do siebie na mieszkanie, na trzecie piętro, do ubogiej i małej stancyjki. Jakoś w czasie wielkiego postu 1862 r. udało się Ryllowi dostać do jednego z najpierwszych zakładów litograficznych w Warszawie, Flecka. Samego Flecka nie było, bo za litografowanie rozmaitych odezw i pieśni re-

139 Loc. cit.

wolucyjnych został jeszcze w roku zeszłym wywieziony do Rosyi; zakładem zaś zarządzała jego żona. Ta przyjęła Rylla i płaciła mu 20 złp. (3 ruble) tygodniowo. Z początku Ryll prowadził się jako tako, ale koło Wielkiej nocy począł po dawnemu pić, hulać i próżniaczyć się, więc Fleckowa wydalila go z warsztatu. Wtedy dostał się do litografii Zygmunta Wrońskiego, który miał swój zakład na ulicy Trębackiej. Tutaj, jak później zeznawali jego koledzy, nigdy nie widziano go trzeźwym, zawsze był „dobrze uszmirowany”, jak się wyrażali w gwarze ludowej warszawskiej¹⁴⁰.

Był przy tem nadzwyczaj burzliwego usposobienia; o najmniejszą rzecz wpadał w gniew niepohamowany, kłócił się z kolegami, groził, że im ręce i nogi połamie. Nędza, brak celu w życiu, brak zapewnionego jutra, ta wieczna troska o chleb, wyrobiła w nim w tej dobie usposobienie rozpaczliwe. Razu pewnego w uniesieniu zawołał, że „skończy na tem, iż zostanie zbójem, a wtedy zobaczą, jakim on jest”¹⁴¹.

Ale jeszcze raz miało mu się uśmiechnąć szczęście. Prawdopodobny jego ojciec, hr. Gutakowski nie spuszczał go z oczów i przez nowego swego pełnomocnika, niejakiego Franciszka Piętkę, właściciela domu w Warszawie¹⁴², odszukał Rylla i obiecał mu płacić 12 do 15 rubli miesięcznie, jeżeli się będzie dobrze prowadził. Przez jakiś czas nawet płacił za niego mieszkanie u szewca Staniszewskiego. Niestety! dla tej natury zwyrodniałej przez nędzę, zepsutej przez wielkie miasto, rozpróżnianej i rozpitej, poprawa, wejście na drogę pracy uczciwej i cichej, było prawie niemożliwem. Wskutek tego, Piętka nie dawał mu tyle, ile zrazu obiecał, owszem, groził, że zupełnie dawać przestanie, jeżeli Ryll dalej tak samo jak dotąd prowadzić się będzie. Tak stały rzeczy, gdy koło św. Jana 1862 r. przybył do Warszawy sam hr. Gutakowski, zobaczył się z Ryllem i nie był wcale zbudowany ani jego postawą, ani ubraniem, ani zachowaniem się; owszem, wyrobił w sobie przekonanie, że z jego syna nic nie będzie i że nie warto się nim zajmować. Wyjeżdżając, nie dał mu ani grosza i zakazał Piętce wspierać dalej marnotrawcę i hulakę¹⁴³.

Znajdował się więc Ryll teraz w ostatnim stopniu nędzy; mieszkał ciągle z łaski u szewca Staniszewskiego; nie miał ani ubrania, ani bielizny, ani pościeli i sypiał na brudnej sofce swego przyjaciela, bez poduszki i bez kołdry. Był też strasznie rozdrażniony; coraz bardziej skarżył się na świat i ludzi; gro-

140 Loc. cit.

141 Loc. cit.

142 Myli się Berg utrzymując, że Piętka przyjechał z Poznania. Mieszkał on stale w Warszawie i posiadał dom Nr. 1733 przy ulicy Wiejskiej. Wpłątany później w sprawę zaboru pieniędzy z Kasy głównej Królestwa, był wywieziony na Syberję.

143 Berg, loc. cit., oraz „Sprawa w sądzie polowym”.

ził, że swego opiekuna i domniemanego ojca za pierwszą lepszą sposobnością „zbije na kwaśne jabłko”, i wielokrotnie dawał się z tem słyszeć, że gotów jest na wszystko, tak mu życie i to robaczywe istnienie zbrzydło.

Ponieważ z tem swoim pesymistycznym usposobieniem nie ukrywał się wcale, więc wiedział o tem ten i ów. Czasy były gorące, stronnictwo rewolucyjne Chmieleńskich, Dąbrowskich i im podobnych zapaleńców, zdecydowane było na środki ostateczne i potrzebowało właśnie takich straceniów jak Ryll, takich zrozpaczonych i wykołejonych istot, zdolnych do wszystkiego, do wszelkiego, choćby najszałamerszego kroku¹⁴⁴. Postanowiono więc użyć go do zamachu na Wielopolskiego, a czynności namówienia go do tego, podjął się niejaki Stanisław Janicki¹⁴⁵, subjekt z księgarni Friedleina, należący z przekonania do stronnictwa ultraczerwonego. Znał on Rylla niezbyt dawno, parę miesięcy zaledwie; wszedł z nim w stosunki wtedy, gdy ten pracował w litografii Fleckowej, gdzie Janicki przychodził z rachunkami; ale była to znajomość bardzo pobieżna, tak dalece, że Ryll nie wiedział jego nazwiska nawet i zwał go po prostu tylko Stanisławem. Otóż Janicki pewnego dnia, w początkach lipca, w epoce tego ponurego pesymizmu, jaki ogarniał trapienego nędzą chłopca, spotkał Rylla wieczorem na ulicy Senatorskiej, gdy ten już wracał z kolacyi po całodzienniej robocie u Wrońskiego, i poprosił do cukierni na herbatę.

Tu w pogawędce, Ryll zapytany, jak mu się powodzi, opowiedział swe położenie, swą biedę i walkę z nią, oświadczył nawet, że gotów jest zaciągnąć się do wojska, zrobić jakie „głupstwo”, byle iść do więzienia, mieć dach nad głową i chleb zapewniony. Janicki, wpatrując się weń pilnie, a miał wzrok nadzwyczaj przenikliwy, „który w Ryllu budził mimowolne podejrzenie”, jak się wyraża sprawozdanie urzędowe, pocieszył go nadzieją, że może wkrótce jego los się polepszy, po czem zaraz się rozstali. W trzy dni potem, d. 6 lipca, w niedzielę, Janicki poprosił Rylla, by przyszedł na Foksal, gdzie w owe czasy był przepyszny stary ogród i gdzie mieścił się zakład gastronomiczny. Gdy Ryll o umówionej godzinie się zjawił, zastał tam już Stanisława, bo tak go ciągle nazywał, w zielonych okularach na oczach i w towarzystwie dwóch młodych ludzi, z których jednego zwano w ciągu rozmowy Feliksem, a który, jak się później dowiedziano, nazywał się Kowalskim; drugi znacznie starszy, koło 30 lat liczący, brunet, z wielkimi wąsami i surowym wyrazem twarzy, pozostał tak dla Komisji śledczej, jak i dla

144 Romantyczna opowieść Berga (Zapiski, II, 308), jakoby od chwili objawienia się u Rylla tego rozpaczliwo-pesymistycznego usposobienia, jacyś ludzie, oczywiście z partyi rewolucyjnej, szpiegowali go, by zeń w danej chwili uczynić narzędzie swoje, jest pozbawioną podstawy. Rylla w organizacji znano, był dziesiętnikiem, a jak niektórzy utrzymują, nawet setnikiem i nie potrzebowano go wcale szpiegować.

145 Berg zowie go błędnie raz Jaszewskim, to znów Jaczewskim.

historii nieznanym. Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa, tym tajemniczym nieznanym był sam Chmieleński, który, jak wiemy, przez pewien czas jeszcze po zamachu na W. księcia, ukrywał się w Warszawie i w organizowaniu zamachu na Wielopolskiego brał czynny udział. Dość, że w czasie tej schadzki na Foksalu należącym przez dziwną ironię losu do zmarłego niedawno Tomasza hr. Potockiego, szwagra margrabiego, pierwszy Feliks, któremu, jak zauważył Ryll, „w czasie rozmowy ręce trzęsły się nerwowo”, rozpoczął pogawędkę o polityce. Zapewniał tedy, że wkrótce w Warszawie wybuchnie powstanie zbrojne, że porobiono już do tego wszelkie przygotowania, że odbędzie się ono bez krwi rozlewu (a mówiąc tak, miał zapewne na myśli mniemany spisek wojskowy Dąbrowskiego), że organizacja powstańcza rozszerzona jest bardzo silnie po całym kraju, że wprawdzie na prowincji nie ma wielu takich ludzi, którzy by gotowi byli poświęcić życie i majątek dla ojczyzny, ale że w Warszawie za to jest inaczej, gdyż długotrwałe prześladowanie oburzyło wszystkich do głębi. Utrzymywał dalej, że on i jego tajemniczy towarzysz urządzali wszystkie przeszłoroczne manifestacje i że dokonali swego, bo obudzili ducha w narodzie. Wszelako teraz główną przeszkodą pomyślnego rozwoju całej akcji jest margrabia Wielopolski; że w planie ich leży konieczne zgładzenie tego człowieka i bądź co bądź zgładzić go muszą. Przy tem wszystkim częstowali Rylla piwem, którego sami bardzo niewiele pili. Ryli zauważył nieco opodał kilku młodych ludzi, którzy w rozmowie udziału nie brali, ale zdawali się należeć do towarzystwa Feliksa i owego milczącego nieznanego¹⁴⁶.

Na tem, zdaje się, skończyła się pierwsza schadzka. W dwa dni potem, a więc d. 8 lipca, we wtorek, Ryll spotkał jednego z tych młodych ludzi, którzy w czasie pobytu na Foksalu, przechadzali się po ogrodzie i byli, jak się zdaje, towarzyszami Janickiego, Kowalskiego i trzeciego nieznanego. Był to młody człowiek, bez żadnego zarostu, a jak się później okazało, również litograf, Jan Rzońca, dziesiętnik w organizacji, który także wkrótce miał się stać osobistością historyczną. Zaprosił on znowu Rylla na Foksal. Zastali tam Stanisława Janickiego i przepędziwszy jakiś czas przy piwie, udali się do mieszkania tego ostatniego na ulicy Senatorskiej, a stąd późnym już wieczorem, bo koło godz. 10-ej, Rzońca zabrał Rylla i zawiózł na róg ulicy Śliskiej i Siennej.

146 „Sprawa w sądzie polowym”. Relacya ta twierdzi, że już wtedy, na tej pierwszej schadzce w ogrodzie Foksalu, owi trzej młodzieńcy namówili Rylla do dokonania zamachu na Wielopolskim; „...przeszli oni wszyscy razem, czytamy tam, do drugiego, sąsiedniego ogrodu, należącego także do Foksalu, i tam, wzięwszy od Rylla przysięgę, włożyli na niego obowiązek zabicia margrabiego Wielopolskiego i zachowywania we wszystkim najgłębszej tajemnicy”. N. Berg, Zapiski II, 310 i nast., utrzymuje, że takich schadzek było kilka, nim ostatecznie oznajmiono Ryllowi o zamachu. Relacya ta wydaje nam się prawdziwszą i logiczniejszą, zwłaszcza, że Berg korzystał z akt Komisji śledczej.

W bocznej oficynie, w mieszkaniu złożonym z kuchni i jednego pokoiku na drugim piętrze, zastali Feliksa Kowalskiego i tajemniczego nieznajomego, którego Rzońca nazwał przed Ryllem „obrońcą kraju”¹⁴⁷. Obaj siedzieli po ciemku, co tem większy urok nadawało całej schadzce. Tutaj to, w mrocznym półcieniu nocy lipcowej, ostatecznie, jak się zdaje, namówiono Rylla do podjęcia się zamachu, na co on w swem rozpaczliwym usposobieniu ducha chętnie się zgodził. Zapewniano go, że jeżeli po zamachu zdoła się ukryć, to dadzą mu wszelką możliwą pomoc, że wyślą go za granicę, gdzie będzie miał zapewnione utrzymanie. „Obrońca kraju”, zobowiązawszy Rylla, ażeby był gotów na wszelkie zawołanie, odszedł, a za nim wszyscy. W cztery dni później, a zatem mniej więcej koło 12 lipca, do litografii Wrońskiego, gdzie Ryll ciągle pracował, zgłosił się ów nieznajomy „obrońca kraju” i pokazał swej ofierze jakieś pismo, z podpisami niewyraźnie skreślonymi i z dwoma pieczęciami, dające okazicielowi, jako obrońcy ojczyzny, pełnomocnictwo do wszelkich możliwych działań. Taktyka ta, powtórzona nieomal dosłownie z tej, jakiej używał Chmieleński względem Jaroszyńskiego, ów tytuł, jaki sobie wówczas nadawał, „naczelnika spisku”, ów sfalszowany rozkaz Komitetu centralnego, nakazujący zamach na W. księcia, każe przypuszczać, że i tym razem, owym tajemniczym „obrońcą kraju”, był nie kto inny, tylko Chmieleński, prowadzący dalej swe wstrętne rzemiosło wysyłania innych na szubienicę.

Po pokazaniu owego papieru, rekomendującego niejako „obrońcę ojczyzny”, zabrał on ze sobą Rylla na Foksał, zachęcał go do dotrzymania przyrzeczenia, pokazywał mu rewolwer, który miał przy sobie pod ubraniem i zapewniał, że wszystko już jest gotowe do wykonania zamachu, że Ryllowi ułatwią ucieczkę, że stać będzie w pogotowiu powóz, który, jeżeli Ryll zdąży weń wskoczyć po strzale do margrabiego, zawiezie go do jednego z domów przechodnich, gdzie oczekiwać nań będą jego przyjaciele; że przed zamachem będzie musiał zażyć trucizny, z której, jeżeli po zamachu uciec zdoła, bezwarunkowo będzie wyleczony; w przeciwnym zaś wypadku, to jest w razie gdyby został schwytany, wkrótce umrze, i tym sposobem uniknie śmierci na szubienicy¹⁴⁸. Zaiste! trzeba było albo wielkiego heroizmu, albo straszliwej rozpaczny ducha, by nie zachwiać się w przedsięwzięciu wobec takiej nadziei. Ryll tego wszystkiego słuchał i zdaje się, że był w ciągłym stanie oszołomienia, gdyż „obrońca ojczyzny” poił go różnymi trunkami i dał mu przy tem dwa ruble. Niekiedy jednak w nieszczęśliwym straceńcu podnosiły się wątpliwości, czy dobrze robi, zgadzając się na zabicie człowieka, który nic mu nie był winien i o którym rozmaite obiegały opinie. Raz nawet zapytał się Staniszewskiego,

147 N. Berg, loc. cit.

148 „Sprawa w sądzie polowym”.

u którego mieszkał, co też w kołach rzemieślniczych mówią o Wielopolskim? Ale Staniszewski, człowiek prosty, niewykształcony, zajęty ciężką pracą na chleb dla licznej rodziny, nie zajmował się tego rodzaju sprawami i odrzekł, że nie wie¹⁴⁹. Odtąd Ryll z „obrońcą ojczyzny” spotykał się dość często, a zawsze na Foksalu. Stale go teraz otaczali: Feliks Kowalski, Stanisław Janicki i Jan Rzońca; włóczyli się z nim po ogródkach i bawaryach i poili nieustannie. Głównie jednak schodzili się na Foksalu, gdzie od czasu do czasu zjawiał się „obrońca ojczyzny”, mówił niewiele i zawsze tonem wyższości i tajemnicy, przez co wywierał niemałe wrażenie. Raz znowu dał Ryllowi rubla, gdyż ten, porzuciwszy teraz robotę, był bez grosza.

Układano rozmaite plany zamachu pod cienistymi lipami starego ogrodu Potockich. Zrazu Jarosław Dąbrowski, który właściwie całą tą sprawą kierował¹⁵⁰, powziął myśl, ażeby Rylla przebrać w mundur oficerski, jaki obowiązał się dostarczyć, uzbroić w rewolwer i posłać do Belwederu, gdzie, jak wiadano, margrabia prawie co dzień bywał u W. księcia, i czekając na audyencję, miał zwyczaj przechadzać się po parku Belwederskim.

Dąbrowski więc proponował, ażeby Ryll ukrył się w ogrodzie i w czasie takiej przechadzki margrabiego, dał doń ognia. Dostanie się do parku miał ułatwić ów mundur wojskowy oficera sztabu; ale kompletnego uniformu nie można było dostać, a ten, o jaki wystarał się Dąbrowski, leżał źle na Ryllu i tak śmiesznie wyglądał on w nim, że byłby się przez to od razu zdradził; więc porzucono ten plan i postanowiono dokonać zamachu gdziekolwiek na ulicy¹⁵¹. Podawano i inne plany, które, przy bliższym rozbiorze, okazały się niemożliwymi do wykonania; czas przy tem naglił, gdyż na tych wszystkich namowach i pertraktacjach upłynął już blisko miesiąc i słusznie spiskowcy lękać się poczęli, by zbyt długo naciągana struna nie pękła i Ryll się nie cofnął. Przy tem szło im może i o to, by przygotowujące się uroczystości chrztu nowonarodzonego syna W. księcia, Wacława, naznaczone na dzień 9 sierpnia, zakłócić i odwrócić od nich uwagę mas, które poczęły smakować we wspaniałościach dworskich i tłumnie się na nie zbierały. Sam Ryll, zdaje się, wiedział, a może przeczuwał, że zamach ostatecznie musi być jak najprędzej wykonany. Gdy d. 7 sierpnia, we czwartek, wychodził rano ze swego mieszkania, rzekł do szewca Staniszewskiego, w języku ludowym warszawskim: „dziś będę miał, zdaje się, kwestyę; może byś mi mógł dopomódz”. Ale Staniszewski odrzekł, że nie może mu nic dopomódz, bo ma żonę chorą i dzieci, że on się na tem

149 Relacye ustne.

150 W. Rożałowski, Żywyot jenerała J. Dąbrowskiego, 3. „Tym razem przeprowadzeniem rzeczy zajął się Dąbrowski”.

151 N. Berg, loc. cit. II, 311.

wszystkiem nie rozumie i pożegnał Rylla życzeniem powodzenia¹⁵². Około godziny 11-ej rano, gdy Ryll ze swymi towarzyszami zjawił się na umówioną schadzkę w ogrodzie Foksalu, przybył tam także „obrońca ojczyzny” i oświadczył, że zamach musi być dziś koniecznie dokonany; że nadarza się potemu jak najlepsza sposobność, gdyż margrabia będzie o godz. 1-ej w Komisji skarbu, której gmach, leżący w głębi dużego dziedzińca, połączony podwórzami z tak zwanym Pałacem dyrektorów i zabudowaniami Banku polskiego, zapewnia możliwość łatwej ucieczki.

Dla zachęcenia Rylla, a prędeej oszołomienia go zupełnego, częstował go piwem, którego nieszczęśliwy wypił trzy duże kufle, wódką, winem i ponczem. Ponawiając mu obietnice pomocy i zapewniając, że wszystko jak najlepiej pójdzie i pójść musi, proponował, by zaraz poszli do Komisji skarbu i miejsce dobrze obejrzel. Wyruszyli więc i po drodze wstąpili jeszcze do cukierni w domu Mintra na placu Wareckim, gdzie dziś mieści się zarząd pocztowy; tu znów „obrońca ojczyzny” poczęstował Rylla trzema kieliszkami wódki i tyłuż szklankami ponczu, do których coś dosypał. Idąc, wstąpili jeszcze do dwóch cukierni, gdzie również pili, tak, że Ryll zupełnie odurzony, doszedł wreszcie do Komisji skarbu. Tutaj „obrońca” dokładnie go objaśnił, co i jak ma robić, wsunął mu do kieszeni rewolwer i kazał po zamachu uciekać przez dziedzińiec Pałacu dyrektorów ku Bankowi, zapewniając, że na ulicy Elektoralnej będzie mu podana pomoc¹⁵³, po czym, zachęciwszy go kilku gorącemi słowy, zostawił samego i zniknął. Była może godzina pierwsza popołudniu; dzień był chłodny i wietrzny, rano deszcz padał, ale koło południa się wyjaśniło. Ryll, zostawszy sam, obejrzał jeszcze raz miejscowość. W sieni Komisji zauważył kilku urzędników, a pod kolumnami podjazdu siedzącą przekupkę i sprzedającą różne wiktuały. Zresztą było tu pusto. Po wielkim dziedzińcu przebiegał czasem jaki urzędnik lub woźny, a dalsze podwórza, przez które zamierzał uciekać, były prawie całkiem puste. Dokonawszy tego nader pobieżnego przeglądu, wyszedł na ulicę, bo pragnienie strasznie mu dokuczało.

Chcąc je ugasić, wstąpił do najbliższego szynku i wypił kufel piwa, po czym wrócił na swe stanowisko i przeszło godzinę przechadzał się po dziedzińcu, oczekując na margrabiego, i nie zwróciwszy na siebie niczyjej uwagi. Znużony tem denerwującym oczekiwaniem, prawie przekonany, że Wielopolski już nie przyjedzie, postanowił odejść, gdy nagle wbiegł na dziedzińiec Rzońca i przechodząc szybko koło Rylla, szepnął mu: „margrabia jedzie!” Jakoż zaraz potem

152 Relacye ustne.

153 N. Berg, loc. cit. II, 312. Urzędowa relacya utrzymuje, że ostateczną instrukcją i rewolwer dał „obrońca” Ryllowi jeszcze w cukierni w domu Mintra, i że tam rozszedł się z Ryblem.

rozległ się turkot wjeżdżającego na podwórze powozu otwartego, w którym czerniała olbrzymia postać Wielopolskiego. Na koźle, obok stangreta, mieścił się woźny z teką pod pachą¹⁵⁴.

Przez dziwną fatalność, przez ten przypadek, który tak ważną rolę zawsze odgrywa w dziejach pojedynczych ludzi i narodów, wszystko się na to złożyło, by zamach przyszedł do skutku. Ponieważ śledztwo w sprawie Jaroszyńskiego wykryło, że partya ultraczerwieńców pragnie pozbawić życia Wielopolskiego, ponieważ wreszcie policja, pobudzona tem do czujności, miała jakieś, acz bardzo niedokładne i niepewne dane, że się przygotowuje zamach na Naczelnika rządu cywilnego, więc przedsięwzięto niektóre, bardzo zresztą nieznaczne i niewystarczające ostrożności. Polegały one mianowicie na tem, że zwykle co dzień rano, sekretarz margrabiego Vidal, zawiadamiał piśmiennie komisarza cyrkułu I. policyjnego, w którego obrębie leżał pałac Brühlowski, gdzie dnia tego margrabia się ma udać, a komisarz natychmiast komunikował o tem odnośnemu cyrkułowi. Wtedy przed gmach, czy to była jaka Komisja, czy Zamek, czy Belweder, posyłano kilku policyantów zwykle po cywilnemu przebranych, których obowiązkiem było bacznie śledzić wszelkie osoby, znajdujące się w pobliżu.

Owego dnia, 7 sierpnia, margrabia zamierzał udać się na posiedzenie Komisji sprawiedliwości i Vidal odnośne uwiadomienie posłał gdzie należy, i na ulicy Długiej od dwóch godzin policyjanci uważnie obserwowali wszystkich przechodniów przed gmachem rzeczonyj Komisji. Tymczasem margrabia w ostatniej prawie chwili, wskutek jakichś nieznanych nam przyczyn, zmienił zamiar i pojechał do Komisji skarbu. Stało się to tak późno, że Vidal nie miał już czasu uwiadomić o tej zmianie policyi. Ta więc nic nie wiedziała, ale za to policja rewolucyjna doskonale była poinformowana, co znaczy, że miała swe stosunki nawet wśród osób otaczających z bliska margrabiego¹⁵⁵.

Ryll powiadomiony przez Rzońcę o rychłym przyjeździe Wielopolskiego, słysząc wreszcie turkot powozu, zrazu stanął przy jednym z filarów perystylu, ale że mu tu nie wydawało się dobrze, więc pospiesznie wszedł do sieni i zatrzymał się po lewej stronie, obok małych drzwi szklanych. Było wtedy trzy kwadranse na trzecią. Tymczasem, gdy margrabia wolno wchodził na schody,

154 Loc. cit. Zaznaczamy przy sposobności, że plugawy Podwysockij, jakkolwiek był naczelnikiem tajnej policyi, w swych „Zapiskach oczewidca”, p. 112, pomieszał Ryllą z Rzońcą i twierdzi, że zamachu w sieni Komisji skarbu dokonał Rzońca. Tak to piszą historyą policyjanci.

155 Z tego powodu, że komisarz cyrkułu I-go nie wysłał do Komisji skarbu policyantów, zerwała się nań straszna burza, i byłby prawdopodobnie zupełnie niewinnie ciężko za to odpokutował, gdyby przypadkiem nie zachował karteczki Vidala, uwiadamiającej go, że w dniu tym Naczelnik rządu cywilnego uda się do Komisji sprawiedliwości.

prowadzące do sieni Komisji, Ryll wysunął się z poza owych drzwi szklanych i z odległości może dwóch kroków wymierzył rewolwer prosto w piersi Naczelnika rządu. Ale margrabia nie stracił przytomności, szybko podniósł grubą łaskę, jaką miał w ręku, i swym potężnym głosem krzyknął: „co ty tu robisz zbroju!” Ten krzyk, olbrzymia postawa, podniesiona wreszcie łaska, takie wrażenie zrobiła na Ryllu, że się zmieszał, opuścił na dół rewolwer i bez dania wystrzału, począł uciekać. Wielopolski, że strasznie wzburzoną twarzą i ciągle podniesioną łaską, postąpił parę kroków za uciekającym, krzycząc: „chwytajcie łotra!” i przekonany, że ten ucieka, że go tam gdzieś złapią, że rzecz cała skończona, zawrócił się i począł wstępować na schody, prowadzące na piętro. Ale Ryll nie uciekał.

Wyskoczywszy ze sieni, oprzytomniał widocznie, nie widząc już nad sobą groźnego kija, zatrzymał się i nie mierzając wcale, z pośpiechem nerwowym dał ognia w kierunku margrabiego, a odskoczywszy jeszcze krok, drugi raz wystrzelił. Pierwsza kula trafiła w szafę, stojącą w sieni naprzeciw wejścia, a druga w drzwi prowadzące do tejże sieni, a raczej w odrzwia. Ryll, po daniu tych strzałów bezcelowych i świadczących o wyraźnej nieprzytomności strzelającego, począł uciekać, według umowy, ku podwórzom Pałacu dyrektorów i Banku, skąd, jak wiemy, chciał się dostać do ulicy Elektorальной i tam otrzymać pomoc od przyjaciół. Ale już na donośny krzyk margrabiego puszczone się za nim w pogon i ogromna wrzawa się podniosła. Pierwszy rzucił się za uciekającym woźny dyżurny, ten sam, który przyjechał z margrabią, Antoni Bajger. Biegł i krzyczał, co miał sił: „łapaj! trzymaj!” Wrzawa ta jeszcze bardziej się wzmogła, gdy stangret margrabiego, Jan Wściśłowski, w którego oczach Ryll dał dwa razy ognia, bojąc się porzucić ręce konie, zaciął je i z ogłuszającym traskiem powozu i koni, popędził za uciekającym, krzycząc także z całych sił: „trzymaj! łapaj!” A Ryll tymczasem uciekał. Do ścigających go przyłączył się także niejaki Michał Kozłowski, woźny w drukarni Komisji skarbu, który, usłyszawszy strzały i krzyki, wybiegł i pierwszy dopadł do Rylla. Ten atoli nagle odwrócił się i wymierzył rewolwer do zbyt gorliwego Kozłowskiego, który, chyląc się tchórzliwie, powstrzymał się w pościgu i dał tym sposobem Ryllowi dość czasu dla dostania się już na ostatnie podwórze bankowe. Ale tutaj zabiegł mu drogę jeden z żołnierzy, którzy trzymali wartę w gmachach bankowych, gefrejer Kuźma Prazdnikow. Ryll nowego tego nieprzyjaciela usunął ze swej drogi także przez zmierzenie się doń z rewolweru, ale już krzyki grzmiały coraz donośniejsze, warta żołnierska wybiegła i wszystko to ścigać Rylla poczęło, jak dzikiego zwierza. Ten dopadł jednak do ostatniej bramy Banku, prowadzącej na ulicę Elektorальną. W chwili, gdy tę bramę przekraczał, ujął go z tyłu za ręce stróż Franciszek Koszanowski i przy

pomocy nadbiegłego gefreitra Prazdnikowa, oraz dwóch jeszcze żołnierzy, szamoczącego się biedaka obezwładnili, rewolwer odebrali i do oficera dowodzącego wartą zaprowadzili¹⁵⁶. Uwiadomiona o wszystkim policja, natychmiast aresztowanego Rylla odebrała z rąk wzmiankowanego oficera i około godz. 4-ej popołudniu, pod silną strażą odstawiła do cytadeli. Tu objawiły się u Rylla gwałtowne symptomy choroby, mianowicie kurcze i bóle, tak, że oprócz kilku drobnych zeznań, mianowicie, jak się nazywa i gdzie mieszka, nic więcej się od niego dowiedzieć nie można było. Wezwany natychmiast lekarz główny szpitala wojskowego w cytadeli, Dr. Wołoducki, zaopiniował, że powodem choroby był przestrah i pijaństwo, komisja śledcza wszelako później przekonać się miała, że Ryll był otruty. Jakkolwiek na razie zapobieżono śmierci natychmiastowej, wszelako przyjść on do siebie nie mógł i aż do końca był chory.

W mieście tymczasem wieść o zamachu z szybkością nadzwyczajną się rozbiegła, i na publiczność, przyzwyczajoną już do tego dwoma poprzednimi, nie wywarła wielkiego wrażenia. Tegoż dnia jeszcze, w parę godzin po wypadku, policja otoczyła dokoła dom, w którym mieszkał Ryll u krawca Staniszewskiego, dokonała tam szczegółowej rewizji, samego krawca przyaresztowała i powiozła do cytadeli. Niemniej aresztowano wszystkich współkolegów Rylla z litografii Regulskiego i Wrońskiego i zamknęto ich w osławionym dziesiątym pawilonie. Policja nadzwyczajną czynność teraz okazywała, kiedy już było późno i zamach był dokonany, jak to zresztą u każdej policji niedołężnej i źle prowadzonej jest we zwyczaju.

Sam Wielopolski, natychmiast po zamachu, przesłał żonie do pałacu Brühlowskiego, w obawie zapewne, by przesadzone wieści jej nie zaniepokoiły, krótkie doniesienie tej treści: „strzelono do mnie, mam się dobrze i odbywam dalej posiedzenie”¹⁵⁷. Na posiedzeniu tem zauważono jednak, że był silnie wzburzony i gniewny, a gdy powrócił do domu, przybyli doń zaraz z powinszowaniem szczęśliwego ocalenia, W. ks. namiestnik Konstanty i bawiaący w Warszawie, z powodu chrzcin Wacława, Aleksander Aleksandrowicz, późniejszy cesarz Aleksander IIIci. Nazajutrz, przyjętym w takich wypadkach zwyczajem, stawili się w salonach pałacu Brühlowskiego: arcybiskup Feliński na czele duchowieństwa, dowódca główny generał Ramsay z całym swoim sztabem, Rady: administracyjna, stanu i miejska, wszyscy konsulowie zagraniczni, władze administracyjne i sądowe, oraz wybitniejsi obywatele miejscy

156 „Sprawa w sądzie polowym”. Woźni: Bajger, Kozłowski i stróż Koszanowski, a zwłaszcza pierwszy, za swoją gorliwość w chwytności Rylla, tyle cierpiał od kolegów i znajomych, że sobie o mało życia nie odebrał.

157 Lisicki, *Le marquis II*, 327.

i wiejscy, dla złożenia „wyrazów swej boleści z powodu zamierzonego morderstwa, oraz wynurzenia radości z ocalenia życia”. Naczelnika rządu cywilnego, jak się wyraża relacja urzędowa. Przyjął ich chmurny i dumny i zwracając się do Rady miejskiej i urzędników różnych władz, wygłosił mowę, w której przede wszystkim położył nacisk na to, iż do spełnienia zamachu wybrano przeddzień uroczystości chrzcin nowonarodzonego syna Wielko-książęcego, Wacława, ponieważ, jak się zdaje, sądzono, że nowa zbrodnia powstrzyma ogłoszenie o rozmaitych dobroczynnych i zbawiennych środkach, na dzień ten zamierzone; że dążeniem stronnictwa bezrządu jest tamowanie w Królestwie wszelkich ulepszeń; wywoływaniem surowych środków, chce ono udaremniać reformy nadane, a pomimo jawnego i codziennego wykonywania reform we wszystkich kierunkach, przez dziennikarstwo zagraniczne tego stronnictwa, przeciwko oczywistej prawdzie, niewykonanie zarzucać i rozgłaszać, oraz rozdrażnienie umysłów rozniecać. „I tutaj znowu, zakończył swą mowę, zwolennicy bezrządu w kraju i za krajem, omylą się w swoich rachubach”¹⁵⁸.

Niestety! w kilka miesięcy później miał się boleśnie przekonać, że nie „stronnicy bezrządu”, jak ich stale nazywał, ale on się w swoich rachubach omylił!

Tymczasem ze wszech stron posypały się depesze telegraficzne i listy winiszujące Wielopolskiemu, że uszedł ręki zabójcy. Cesarz i cesarzowa za pośrednictwem obojga namiestnikowstwa, nadesłali „wyrazy swego współczucia”; przyjaciółka petersburska margrabiego, W. ks. Helena Pawłówna, która tak skutecznie przyczyniła się do jego wyniesienia, bawiąca teraz w Badenie, także przysłała kilka słów powinszowania; wreszcie z różnych stolic Europy i od różnych dygnitarzy przychodziły depesze, żale, skargi. Nowo przybyły do Warszawy konsul francuski Valbesan, następca kokietującego z rewolucją Ségura, manifestacyjnie i osobno wraz ze swym sekretarzem Berangerem, zjawił się w pałacu Brühlowskim, by wypowiedzieć w mowie gładkiej i wyuczzonej swe ubolewania nad szaleństwem Polaków. Dobry znajomy Wielopolskiego, członek Rady państwa, hr. Sumarokow, przebywający w tej porze w Dreźnie, nadesłał list bardzo oryginalny i niepozbawiony orientalnej obrazowości. „Gdy wilk, pisał, chce pożreć trzodę owiec, stara się przedewszystkiem usunąć psy. Ponieważ pan jesteś najniebezpieczniejszy i najczujniejszy, rzeczą jest prostą, że po nieudanym zamachu na Jego cesarską wysokość, stałeś się celem ich strzałów. Uważam oba wypadki za cud Opatrzności, której pan jesteś wybrańcem, dla oswobodzenia kraju od terroryzmu anarchistów, pod jarzmem których jęczy prawie od dwóch lat. Poluj dalej na tego wilka zgłodniałego”¹⁵⁹.

158 Mowę tę w streszczeniu podał „Dziennik powszechny”, a za nim inne gazety.

159 Lisicki, Aleksander Wielopolski I, 342.

Ale jeżeli u obcych zamach wywołał niekłamane oburzenie i zdziwienie nad nierozumem stronnictwa ruchu, w kraju uczucia były różnorodne i nawzajem się neutralizujące.

Pan Andrzej Zamoyski, na którego większość szlachty miała zwrócone oczy i według którego się wzorowała, na wieść o zamachu wybuchnął zrazu oburzeniem, odezwało się tkwiące w nim poczucie dobra publicznego. „Idę do niego, idę!” mówił, i wybrał się zaraz nazajutrz do pałacu Brühlowskiego, ale przed kratą się zatrzymał, przechadzać się począł w głębokim zamyśleniu i w walce ze sobą samym, z lepszymi swymi instynktami i wrócił w końcu do domu, nie przekroczywszy progu mieszkania Naczelnika rządu cywilnego¹⁶⁰. Prasa jawna ze swej strony mając zamknięte usta, bała się je otworzyć, przekonana, że wszelkie szersze a krytyczniejsze wyznanie i wypowiedzenie swego zdania, stanie się pastwą głupoty cenzury. „Czas” krakowski zaznaczył tylko mimochodem, że zamach nie wywarł w Warszawie wielkiego wrażenia, co w istocie było prawdą; „Dziennik poznański”, zawsze trzeźwiejszy i pełen odwagi obywatelskiej, potępił zamach i dodał, że szkodzi on tylko świętej sprawie polskiej. Prasa tajna warszawska, „Strażnica” i „Ruch”, milczała o tym zamachu uparcie, lub półgębkiem się tylko odzywała.

Wśród tego wszystkiego Ryll siedział w cytadeli, ciągle chory i komisya śledcza z trudnością mogła cokolwiek z niego wydobyć. Rewolwer, znaleziony przy nim, miał jeszcze trzy naboje z nałożonemi na brandki pistonami, dwa zaś były wystrzelone i pochodził z fabryki angielskiej. Więzień nikogo nie wydawał i otwarcie przyznawał się do zamiaru zabicia margrabiego. Ponieważ „Dziennik powszechny” w parę dni po zamachu ogłosił, że Ryllem opiekował się pewien „hrabia”, więc plotka chwyciła się tego chciwie i twierdziła, że nieszczęśliwy młodzieniec jest synem nieprawym margrabiego i snując na ten temat cały romans, stworzyła tragedya o ojco i synobójcy i że ten syn strzelał przez zemstę, za opuszczenie go zupełne. „Strażnica”¹⁶¹ nawet o pogłosce tej napomknęła i utrzymywała, że „Ryll otwarcie zarzucał margrabiemu kradzież!” Powoli, wśród tych plotek, komisya śledcza dobadywała się prawdy.

Aresztowanie wielu osób wykryło naprzód nazwisko subiekta księgarskiego od Friedleina, Janickiego, który zdołał się ukryć; wyszło na wierzch powtórnie nazwisko Chmieleńskiego, a co najważniejsza, Łokietka Dąbrowskiego.

Na tego ostatniego policya już od niejakiego czasu miała zwrócone oczy. Zbytecznie on się rzucał, zbyt obszerne miał stosunki wśród młodzieży cywilnej warszawskiej, z którymi się nie ukrywał, by nie miał wpaść w podejrzenie, które wzrosło właśnie teraz, wskutek szczególnego zbiegu okoliczności z jed-

160 S. Koźmian, *Rzecz II*, 173.

161 Nr. 17. z d. 27 sierpnia 1862 r.

nej, a lekkomyślnej nieostrożności samego Łokietka z drugiej strony. Właśnie w tej porze, gdy odbywało się śledztwo w sprawie Rylla i ten począł napomynąć, że chciano mu dostarczyć wojskowego munduru sztabu jeneralnego dla łatwiejszego dokonania zamachu, przypadła, tak demonstracyjnie obchodzona w roku zeszłym, uroczystość unii lubelskiej, d. 12 sierpnia. Ukazały się, jak zwykle, drukowane odezwy, zachęcające do obchodu tej pamiętnej rocznicy, „którą tak uroczyscie obchodziliśmy w roku zeszłym. Śmiało rzec można, mówiła dalej odezwa, że nie było ani jednej parafii na całej ziemi polskiej, w której by dzień ten wielki nie był święcony”. Prócz tej, rozpowszechniono jeszcze inną odezwę drukowaną p. t. „Okólnik Komitetu centralnego”, w której także polecano obchodzić uroczyscie tę pamiętą rocznicę. „Złączeni w jeden naród, wołał okólnik, przebyliśmy wspólne dni szczęścia, a dzisiaj w niewoli jedno nas jarzmo obciąża, jednakowo serca ku wolności i niepodległości biją; Bóg też da, że jedno błogosławieństwo wolności rozszerzy się po wszystkich ziemiach polskich! Szukajmy w tej uroczystości nowego bodźca do wspólnych a wytrwałych usiłowań zwyciężenia tyranów, co naszą ojczyznę jak szatą Chrystusa podzielili się, a panują w niej, jak kaci nad swemi ofiarami”¹⁶². Sama manifestacja miała podobny, jak i w roku przeszłym charakter.

Kobiety na ten dzień rzuciły żałobę i przybrały się w suknie jasne w barwach narodowych; mężczyźni w białe i kolorowe halsztuki. Od rana kościoły były przepełnione modlącymi się; w warsztatach rzemieślniczych świętowano. Popołudniu rozpoczęło się wspaniałe corso w Alejach Ujazdowskich, z mnóstwem pięknych kobiet, barwnie ustrojonych, które jak kwiaty błyszczały na tle bujnej zieleni tej ślicznej ulicy¹⁶³. W ogrodzie Saskim spacerowało także wiele kobiet, przybranych w szarfy trójkolorowe, napełniając przepyszne kasztanowe aleje ruchem i gwarem. Między temi kobietami znalazła się także ukochana, a jak teraz już narzeczona Łokietka Dąbrowskiego, panna Pelagia Zgliszczyńska, ustrojona jak wszystkie w barwy polskie. Przechadzającej się przez parę godzin towarzyszył ciągle Dąbrowski, ubrany w mundur oficera sztabu, co powszechną zwracało na siebie uwagę, już przez to samo, że było to niezwykle widowisko, by oficer rosyjski towarzyszył Polce i jeszcze w dzień taki, w dzień manifestacji politycznej. Jeżeli wszyscy się temu ciekawie przy-

162 Odezwę tę, nigdzie dotąd nie przedrukowaną, podajemy w zbiorze dokumentów, na końcu tego tomu, pod Nr. 2.

163 Pawliszczew, Siedmicy II, 117. Na prowincyi wszędzie w ten sam sposób uroczystość tę obchodzono. Władza patrzyła na wszystko przez palce, tu i owdzie tylko aresztowano kilka osób. W Częstochowie uwięziono niejakiego Rowińskiego za to, że na stacyi drogi żelaznej zbliżył się do porucznika żandarmeryi Białeckiego i wręczył mu odezwę o obchodzie unii, chwając się, że odezwy tej mnóstwo egzemplarzy rozdał wśród mieszkańców miasta (Loc. cit. II, 122).

patrywali i różne wnioski snuli, tem ciekawiej patrzyła policya i tem bardziej podejrżane wnioski z tego widoku wyprowadzała. Tejże samej nocy z d. 12 na 13 sierpnia żandarmi i policya wkroczyła do mieszkania Dąbrowskiego, odbyła u niego ścisłą rewizyą, znalazła kilkadziesiąt sztuk rozmaitego rodzaju broni¹⁶⁴, a co najważniejsza niekompletny mundur oficera sztabu jeneralnego, taki sam, o jakim Ryll mówił przed komisją śledczą¹⁶⁵. Przyaresztowano więc natychmiast Dąbrowskiego i powieziono do cytadeli.

W kołach wojskowych i policyjnych aresztowanie to nie małą sensacją sprawiło i miano, jak wiemy, uzasadnione podejrżenia, że na koniec trafiłoby do samego ogniska spisku. Ale ludzie ówcześni, w ogóle rzec można, byli ludźmi, z małymi wyjątkami, wielkiego charakteru. Dąbrowski z posiadania mundur ułtowo się wytłómaczył; Ryll zaś, gdy mu do oczów przyprowadzono Łokietka, odrzekł, „że wcale nie zna tego człowieka”¹⁶⁶. Nić się więc urywała, nadzieje bladły, mimo to Dąbrowski zanadto wiele budził podejrzeń, by go miano uwolnić. Trzymano go więc dalej w dziesiątym pawilonie i tym sposobem ten ognisty umysł, ten charakter szalony usunięto od akcji w chwili, bodaj czy nie najważniejszej. Zobaczymy, że Łokietek zamknięty, oddzielony od świata, nie przestał jednak ciągłego wpływu na wypadki wywierać.

Ogół tymczasem o tem wszystkiem nie wiedział, o Ryllu prawie zapomniał, gdyż całą jego uwagę zajął odbywający się właśnie w d. 14. sierpnia proces Jarożyńskiego, oraz nowy zamach na życie margrabiego, jaki dokonany został nazajutrz, t. j. d. 15 sierpnia, po owym procesie. Spełnił ów zamach Jan Rzońca, także podobnie jak Ryll, uczeń litograf, jego dobry znajomy i przyjaciel, biorący czynny udział w pierwszym na margrabiego zamachu, dziesiątnik w organizacyi, chłopiec młody, zaledwie lat 19 liczący (urodzony w Warszawie z ojca Macieja, czeladnika ciesielskiego, już w czasie tych wypadków nieżyjącego i matki Franciszki z Kuśmierskich). Niski, blondyn, dość krępej budowy, pracował w litografii Regulskiego i lubiany był przez swych kolegów dla przyjacielskiego i wesołego usposobienia. Charakter przy tem miał niezwykle burzliwy i awanturniczny. W początkach 1862 r. dowiedziawszy się, że w Warszawie na końcu Leszna istnieje dom, w którym nikt nie mieszka z powodu, że tam „przeszkadza”, jak się wyrażano w kołach ludowych, namówił kilku kolegów i znajomych, którzy uzbroiwszy się w noże, siekiery, w co kto mógł, poszli z nim razem do tego domu, w zamiarze przepędzenia tam nocy i przypatrzenia się z bliska strachom.

Ale policya uprzedzona przez kogoś, że Rzońca uzbrojony z towarzyszymi knuje jakieś polityczne zamiary, przyaresztowała wszystkich i przekonawszy

164 Ferdynand W. Pamiętniki (rkpsm.)

165 Rożałowski, Żywot jenerała J. Dąbrowskiego, 3.

166 N. Berg, Zapiski II, 314.

się o ich niewinności, po kilku dniach wypuściła¹⁶⁷. Nie ochłodziło to jednak Rzońcy. Gdziekolwiek była jaka awantura, bijatyka, on tam być musiał i zazwyczaj czynny brał udział, nie pytając kto ma słuszość, byle się bić i awanturować¹⁶⁸. Wykształcenie miał niewielkie, choć jak na sfery, do których należał, dość znaczne; uczył się w szkole elementarnej na ulicy Gołębiej, z której wyszedł ze znajomością czytania i pisania po polsku i rosyjsku, oraz z początkami języka niemieckiego¹⁶⁹. Robotnik z niego był niezły; do litografii Regulskiego przychodził regularnie i zarabiał tygodniowo 40 złp. (6 rs.), z których siebie i w części matkę utrzymywał. Matka ta, wdowa, staruszka, mieszkała z nim razem w domu Nr. 68 na Starem mieście¹⁷⁰ i trudniła się sprzedażą obwarzanków. Pożycie z nią miał Rzońca niewesołe. Matka częste robiła mu wyrzuty, że marnuje pieniądze, że późno do domu przychodzi, a wielokrotnie zabierała mu wszystek zarobek i grosza nie dawała. Znudzony tem wszystkim, wreszcie, należąc do organizacyi, chcąc być zapewne swobodniejszym w swych czynach, wyniósł się od matki w pierwszych dniach lipca i zamieszkał w domu przechodnim Roeslera na Krakowskim Przedmieściu, u dymisyonowanych junkrów, Stanisława Nowińskiego i Józefa Wysockiego, którzy wynajmowali niewielki pokój od jakiejś akuszerki. Należał już wtedy do koła ultraczerwienców, na czele których stali Chmieleński i Dąbrowski i głośno mawiał, że w razie potrzeby gotów jest spełnić wszelkie rozkazy władz tajnych¹⁷¹.

Znał się z występującym w sprawie Rylla subjektem z księgarni Friedleina, Stanisławem Janickim, który u niego często bywał. W końcu lipca zapoznał się z niejakim Saturninem Skrzeczyńskim, subjektem z handlu bławatnego, który przybył do Warszawy z Krakowa, pod pozorem znalezienia sobie zajęcia, i jak się zdaje, należał do partyi międzynarodowej socjalno-rewolucyjnej, gdyż zajmował się przepisywaniem jakiegoś artykułu, który miał wydrukować w piśmie „Głos robotnika”, jakie zamierzano wydawać. W ostatnich czasach przed zamachem Rzońca był mocno zaszępiiony, co, przy jego zwykłym wesołym usposobieniu, zwróciło uwagę kolegów tak, że go pytali o przyczynę tego smutku. Odrzekł, że jest zapracowany mocno, skarżył się na wyczerpujące swe zatrudnienie i oświadczył, że rad by nieco sobie odpocząć. Wiemy już, że o tej porze stale towarzyszył Ryllowi, brał udział we wszystkich schadzkach na Foksalu i naradach co do zamachu, że nawet uwiadomił Rylla w dzienniku Komisji skarbu, o zbliżaniu się powozu margrabiego. Nazwisko też jego

167 Ustne podania.

168 N. Berg, loc. cit. II, 310.

169 „Sprawa w sądzie polowym wojennym przeciw przestępcy politycznemu Janowi Rzońcy”.

170 Loc. cit. nie na Kanonii, jak Berg utrzymuje.

171 N. Berg, loc. cit. II, 310.

w komisji śledczej, prowadzącej badania Rylla, jedno z pierwszych wypłynęło na wierzch. Wezwany wskutek tego do cytadeli, zaparł się, by miał jakikolwiek udział w zamachu Rylla, że nawet o zamiarze tego zamachu nie wiedział. Ryll, pytany o Rzońcę to samo powiedział, tak że tego ostatniego zaraz uwolniono. Wzruszenie jednak, straszna groźba, wisząca nad jego głową, tak nań oddziaływała, że powróciwszy z cytadeli rozchorował się i parę dni przeleżał w łóżku¹⁷². Ale była to natura nadzwyczaj wrażliwa i nerwowa; gdy w kilka dni później znalazł się na publicznym procesie Jaroszyńskiego w pałacu Paca, całe otoczenie, cały charakter tego procesu, takie nań uczynił wrażenie, że gdy przyjaciele po przyjeździe z sali poczęli mu mówić, że trzeba margrabiego koniecznie „zgłodzić”, od razu zgodził się na to i zawołał: „jutro pójdę bić Wielopolskiego”¹⁷³.

Jakoż postanowienie to chciał wykonać szczerze i wykonał. Nazajutrz, d. 15 sierpnia, w dzień uroczyste obchodzony przez kościół katolicki, wstał jako w dzień świąteczny nieco później niż zwykle, bo o godz. 8-mej rano i wyszedł razem ze Skrzeczyńskim, który go już jak się zdaje miał nie odstępować i pełnić te same obowiązki, jakie przy Jaroszyńskim pełnił Rodowicz, a przy Ryllu sam Chmieleński. Udał się do matki, wziął od niej książkę do nabożeństwa i poszedł do kościoła św. Jana, gdzie padłszy na kolana modlił się gorąco. O co? czy o to, by mu Bóg dodał siły do spełnienia złego i zgubnego dla ojczyzny czynu? czy może o lepszą dolę tej ojczyzny, którą on i jemu podobni w przepaść popychali? Ta modlitwa żarliwa w kościele świadczy w każdym razie, że ten młody chłopiec, który porywał się do czynu niepospolitej doniosłości, dokonywał tego czynu z głębokim przekonaniem o jego potrzebie, z wiarą w jego konieczność i to stawia go wyżej od tych wszystkich późniejszych morderców politycznych, którzy sobie z tego rzemiosło zrobili i za pieniądze ludzi zabijali. Około godziny 1-ej Rzońca wrócił do domu i poszedł z Wysockim na obiad, po czym wstąpił znów do domu, wyjął z kieszeni wziętą od matki książkę od nabożeństwa i położył ją na stole. W domu zabawił parę godzin, wypił wszystką wódkę, jaką miał w mieszkaniu, a nawet wybiegł sam, by przynieść jej więcej i pił ciągle. O godzinie 4-tej przyszło do niego dwóch nieznanym Wysockiemu młodych ludzi, pod pozorem, że chcą razem z nim i Rzońcą zamieszkać, ale ten odrzekł im, że nie ma czasu teraz o tem mówić i razem z nimi wyszedł. Kto byli ci młodzi ludzie, niewiadomo, to pewna, że wstępowali do różnych szynków, pili i powoli skierowali się w Aleje Ujazdowskie, gdzie zamach miał być dokonany.

Wiedzieli oni bowiem dobrze, iż margrabia miał zwyczaj nad wieczorem, jeżeli dzień był piękny, wyjeżdżać w otwartym powozie w te Aleje, gdzie zwykle

172 Loc. cit. II, 314.

173 Loc. cit. II, 316.

w tej porze cały świat elegancki Warszawy odbywał przejażdżki konne, w powozach i dorożkach. Tu więc udali się i w oczekiwaniu tego przejazdu usiedli na ławkach naprzeciwko miejscowości, zwanej Doliną szwajcarską. Tym razem zdecydowano się nie używać broni palnej, którą ci młodzi ludzie, mieszcuchy, władać nie umieli i dzięki czemu dwa zamachy zupełnie się nie powiodły; ale zaopatrzono Rzońcę w kindżał, którego ostrze pokryto masą zatrutą. Zdaje się, że poczynawszy od Nowego Świata rozstawieni byli inni spiskowcy, którzy od kilku już dni śledzili kierunek spacerów margrabskich. Stangret bowiem Wielopolskiego, znany nam z gwałtownego za Ryllem pościgu, Wściśłowski, dnia poprzedniego zauważył na wymienionej ulicy mężczyznę, znanego mu już dawniej z czasów, gdy był w Krakowie, jak przypuszczać można Skrzeczyńskiego, który na widok zbliżającego powozu, machnął chustką, jakby dając znać stojącemu odeń o kilka kroków mężczyźnie¹⁷⁴. Było może wpół do ósmej wieczorem, gdy margrabia, mając po prawej ręce żonę, a za sobą jadącego w osobnym powoziku syna Józefa, ukazał się w Alejach od strony ulicy Pięknej, dążąc do Łazienek. Gdy powóz zbliżył się do miejsca, gdzie siedział z przyjaciółmi Rzońca, ten zerwał się z ławki szybko, jednym skokiem przesadził rów, dzielący aleję pieszą od kołowej i rzucił się na stopień pojazdu. Tu uchwyciwszy się jedną ręką za powóz, drugą wydobyl z pod palta szeroki kindżał i starał się nim uderzyć margrabięgo w szyję. Ten uniknął niechybnej i męczącej śmierci dzięki temu, że się w porę uchylił, tak że kindżał uderzył bokiem w kapelusz i nasunął go mocno na oczy Wielopolskiego. W tejże chwili stangret Wściśłowski, czy na krzyk margrabiny, czy też zauważywszy wskakującego na stopień Rzońcę, tak silnie uderzył go biczem po twarzy, że ten zachwiał się na razie, mimo to utrzymał się na stopniu i powtórnie dla zadania ciosu podniósł kindżał. Ale Wielopolski już się zerwał na nogi i zdoławszy wydobyć rewolwer, wymierzył go w pierś szaleńca. Ten myślał teraz tylko o swem ocaleniu.

Szybko zeskoczył na ziemię i począł uciekać Aleją w stronę miasta. Lecz już go ścigano. Syn Wielopolskiego, Józef, jadący, jakżeśmy wspomnieli, za ojcem z tyłu, świadek tej całej strasznej sceny wyskoczył z powozu wraz z lokajem swoim, Kańskim i puścił się w pogoń za uciekającym: to samo uczynił stangret margrabięgo Wściśłowski, który, oddawszy lejce siedzącemu obok siebie lokajowi, wyruszył także w pogoń za Rzońcą. Wszyscy trzej krzyczeli, co mieli sił: łapaj! trzymaj! a pan Józef hr. Wielopolski prócz tego dawał gwałtowne i przeraźliwe sygnały świstawką, którą miał przy sobie.

Rzońca tymczasem uciekał pędem, przesuwając się wśród zdumionej i przerażonej publiczności, z której nikt nie myślał go zatrzymywać. Pierwszy

174 „Sprawa w sądzie polowym”.

zastąpił mu drogę niejaki Jan Kutner, dymisyonowany radca honorowy, jak go nazywa sprawozdanie urzędowe, zdaje się Rosyanin, który szedł ze swą żoną. Starał on się uchwycić za odzież uciekającego, lecz ten podniósł dobyty z pod ubrania kindżał i z dzikiem wejrzeniem zamierzył się na niego. To poskutkowało; Kutner odskoczył na bok, zostawiając Rzońcy wolną drogę. W chwili, gdy radca honorowy za innymi zaczął krzyczeć: trzymaj! z pośrodku tłumnie nadbiegającej publiczności wysunął się jakiś młody człowiek i tonem groźnym rzekł: „milcz, bo z tobą może się stać to samo!” po czym zniknął w zbiegowisku, a Kutner uznał za stosowne nie mieszać się do nieswoich rzeczy i nie brać udziału w dalszym pościgu. A pościg ten zwiększył się teraz dwoma policyjnikami: Franciszkiem Moterem i Janem Kulickowskim, którzy stali na straży w Alei¹⁷⁵.

Wśród tego wszystkiego Rzońca, dobiegłszy do rogu ulicy Pięknej, skręcił w nią nagle.

Tutaj niejaki Edwin Nefe, pomocnik mechanika głównego telegrafów warszawskich, Kurlandczyk rodem, usłyszawszy za sobą krzyki: łapaj! trzymaj! odwrócił się i spostrzegł pędzącego Rzońcę, a za nim p. Józefa Wielopolskiego z pistoletem w ręku i wołającego, że strzeli, oraz innych ludzi. Rzońca biegnąc, rzucił po drodze kindżał, a potem pochwę od niego. Wtedy Nefe zastąpił mu drogę i zatrzymał go¹⁷⁶, a zaraz też nadbiegł p. Józef Wielopolski, służba i policyja, i ostatecznie obezwładniła nieszczęśliwego szaleńca. Wśród nadzwyczajnie tłumnego zbiegowiska publiczności, poprowadzono Rzońcę bladego, ciężko dyszącego, z oczami błędnymi, do powozu, w którym siedział margrabia. „Czy to ty zamierzałeś mię zabić, spytał tenże, i co cię do tego spowodowało?” Na pół nieprzytomny Rzońca, widocznie straciwszy świadomość do kogo mówi, odrzekł głosem krzykliwym: „tak, panie jenerale, chciałem to uczynić z rozpaczy!” W drodze do cyrkułu policyjnego, dokąd go także odprowadzał pan Józef Wielopolski, na zapytanie tegoż, kogo miał zamiar zabić? Rzońca odpowiedział: „wszystko jedno kogo, księcia, czy margrabiego Wielopolskiego, czy nareszcie jakiego jenerała, aby tylko dostać się do więzienia i być wolnym od kłopotów, jakich od matki doświadczam”. Gdy wskutek jakiegoś gwałtowniejszego ruchu Rzońcy, p. Józef Wielopolski zagroził mu, gdyby chciał uciekać, wystrząsał z pistoletu, który ciągle trzymał w ręku, biedny skazaniec odrzekł dumnie, że „nie ucieknie, bo jest szlachcicem polskim”¹⁷⁷.

175 N. Berg, Zapiski II, 317, podejrzewając o złą wolę ówczesną policyję warszawską, powiada, że „policyjanci na pierwsze krzyki nie zaraz się zjawili”.

176 Rozpuszczono pogłoskę, że Nefe został za to naczelnikiem powiatu.

177 „Sprawa w sądzie polowym”.

W kancelarii cyrkułu policyjnego, dokąd Rzońca był przyprowadzony, bez wahania wymienił swe imię i nazwisko, oraz gdzie mieszka, i przyznał się do zamachu, twierdząc, że jedynie rozpacz go do tego zmusiła i opłakany z matką stosunek; że chciał bądź co bądź do więzienia się dostać, że o jego zamiarze nikt nie wiedział i nikomu się z nim nie zwierzał; jednym słowem, czynowi swemu starał się odjąć wszelki charakter polityczny.

Zapytany, skąd dostał kindżał? odrzekł, że przed trzema dniami kupił go od nieznajomego mu Czerkiesa, na tarasie zamkowym, za 2 złp. i kilka groszy. Przy rewizji znaleziono przy nim w kieszeni czapkę, choć na głowie miał kapelusz; tłumaczył się, że w razie udania się zamachu, chciał kapelusz zrzucić, a natomiast włożyć czapkę, by tem snadniej w tłumie się ukryć i pogoń zmylić. Po tych przedwstępnych badaniach odesłano go do cytadeli, a policja tymczasem i wojsko otoczyło dom Roeslera, w którym Rzońca mieszkał i nie wpuszczając, ani nie wypuszczając nikogo przez noc całą, dokonała tam jak najściślejszej rewizji i Nowińskiego wraz z Wysockim przyaresztowała. W cytadeli na Rzońcy okazały się objawy tej samej choroby, której ulegli Jaroszyński i Ryll, co by dowodziło, że był on także otruty. Wezwany natychmiast naczelný lekarz szpitala wojskowego Aleksandrowskiego, zaopiniował, że więzień w tym stanie zdrowia nie może być badany; odłożono więc to do dnia następnego, a tymczasem zajęto się oględzinami kindżału. Pokazało się, że brzeszczot jego pokryty był grubą warstwą jakiejś szarej masy, a po poddaniu jej analizie, naprzód w laboratorium szpitalnem, a następnie w laboratorium Akademii medycznej, przekonano się, że jest to gwałtowna trucizna, zwana strychniną. Gdy jeden gram tej masy zeszkrobano z kindżału, rozpuszczono w wodzie i na łyżeczce od kawy wlało do pyska dwumiesięcznego szczenięcia, to po trzech sekundach zdechło, pieniąc się i męcząc szkaradnie. Sama masa była mieszaniną strychniny z gumą i w ogólności znajdowało się jej na kindżałku około 20, czystej zaś strychniny około 10 gramów¹⁷⁸. Rada lekarska w Królestwie zaopiniowała przy tem, że strychnina silniej i prędzej działa wprowadzona do krwi, niż do żołądka.

Ci więc, którzy kindżał tą gwałtowną trucizną nasmarowali, doskonale byli obznajomieni z jej właściwościami i gdyby margrabia został choćby lekko zadraśnięty przez Rzońcę, to z pewnością nie uniknąłby śmierci.

Zamach ten wywołał o wiele silniejsze, jak poprzedni, wrażenie w mieście i kraju całym. Dwa zamachy w ciągu tygodnia, świadczyły w każdym razie o gwałtowności prądów, targających stronnictwem rewolucyjnem, o jego silnych namiętnościach, o postanowieniu niecofania się przed niczem. Tajem-

178 N. Berg, loc. cit.

niczy dreszcz grozy przebiegł po wszystkich; każdy, kto nie stracił jeszcze poczucia istotnych potrzeb i korzyści krajowych, ujrzał, że lecimy w przepaść, w której strzaskaną zostanie na długo kość pacierzowa ciała narodowego i jego samoistość. Już w publiczności, będącej w Alejach Ujazdowskich świadkiem zamachu, odezwało się zdrowe poczucie mas, że tą drogą nie dojdzie się nigdy do zbawienia ojczyzny. Gdy margrabia, zaraz po ujęciu Rzońcy, zawrócił z powrotem do domu, wszyscy mężczyźni mu się kłamali, tu i owdzie nawet odzywały się okrzyki i powinszowania, że ocalał przed ręką skrytobójcy. Tegoż dnia jeszcze, samym wieczorem, zjawili się w pałacu Brühlowskim wszyscy konsulowie i składali Wielopolskiemu wyrazy radości z powodu ocalenia jego życia, „drogiego dla kraju i społeczeństwa”, jak się wyrazili. Zamach ten zresztą rzucił straszliwy popłoch na sfery najwyższe rządowe. W. książę w obawie, by ultraczerwieńcy nie posunęli się do jakiego szalonego kroku, pod pierwszym wrażeniem trwogi, przysłał margrabiemu zaraz wieczorem dwóch Kozaków ze swej straży, z rozkazem, by go strzegli¹⁷⁹. Posypały się ze wszech stron telegramy i listy w ilości o wiele znaczniejszej i tonie dobitniejszym, niż po pierwszym zamachu.

Cesarz, za pośrednictwem W. księcia namiestnika, przysłał depezę, w której, obok zwykłych wyrażen z powodu ocalenia życia Wielopolskiego, zalecał W. księciu i margrabiemu, ażeby zachowywali wszelkie możliwe środki ostrożności, i zakończył temi słowy: „myśli moje są z wami, niech was Bóg strzeże!”¹⁸⁰. W. księżna Helena Pawłówna, bawiąca ciągle w Badenie, nadesłała także telegram, w którym pisała: „od zgrozy do zgrozy idziemy! Niech Bóg czuwa nad wami i zmiłuje się nad waszą ojczyzną!” Książę Górczakow, minister spraw zagranicznych rosyjskich, w zwykłym swym stylu, nieco patetycznym, telegrafował: „Bóg cię osłania widocznie. Tutaj (w Petersburgu) zyskałeś współczucie wszystkich; twej odwadze niezachwianej oddano świetną sprawiedliwość. Osobiście dumny jestem z tego, że cię odgadł od razu. Podobnie jak ty, tak i my nie zejdziemy z dotychczasowej drogi postępowania względem Polski. Mam nadzieję, że przy energii, Warszawa będzie oczyszczoną z tego gniazda zbrodniarzy, których bezkarność rzuciłaby płamę na cześć narodową”¹⁸¹. Nadesłali mu także depeze jego przyjaciele, a rzecz można i wielbiciele petersburscy, ambasadorowie Fournier i lord Napier; z Polaków zaś, Zygmunt Helcel, stary przyjaciel margrabiego i Roman Załuski, ale podobno mało kto więcej¹⁸². W kilka dni później przyszedł list (wydrukowany

179 Lisicki, *Le marquis*, II, 328.

180 Loc. cit.

181 Loc. cit.

182 Lisicki, *Aleks. Wielopolski*, I, 342.

na naczelnem miejscu w „Dzienniku powszechnym” i przez wszystkie pisma powtórzone¹⁸³, od ks. Macieja Majerczaka, administratora dyecezyi kieleckiej, w którym pisał, że mu się „krew w żyłach ścina na myśl o następstwach tak strasznego zamysłu”, lecz dwukrotne ocalenie margrabiego „napełniło go tą radością, pełną nadziei i tem niezachwianem przekonaniem, że Bóg jest za narodem i kierunkiem” Wielopolskiego.

Niestety! Bóg nie był za narodem i za Polską...

Nazajutrz rano W. książę wraz z żoną złożył wizytę margrabiemu i długo z nim rozmawiał, a przedmiotem tej rozmowy nie mogło być nic innego, jak nowy zamach i jego następstwa. Koło południa, zwykłym obyczajem, zjechali się do pałacu Brühlowskiego wszyscy dygnitarze krajowi i wszyscy przedstawiciele władz rządowych. Ponieważ arcybiskup Feliński nie był obecny w Warszawie, gdyż udał się z wizytą pasterską do dyecezyi, więc na czele duchowieństwa stanął ks. biskup sufragan Plater, oficyał Paweł Rzewuski i reprezentanci wszystkich klasztorów warszawskich. Byli tam i ministranci luterni i kalwińscy, byli rabini żydowscy, był Ramsay dowódca główny wojsk w Królestwie, Rada stanu, Rada administracyjna, Rada miejska z prezydentem Wojdą na czele, który właśnie miał się dowiedzieć na tem publicznem zebraniu o swem uwolnieniu „dla dobra służby”. Z pośrodku tego świetnego i błyszczącego zgromadzenia, wystąpił radca tajny Łęski, przyszedł minister sekretarz stanu w Petersburgu po Tymowskim (który, dzięki wpływowi Wielopolskiego, miał być wkrótce usunięty) i w imieniu Rady administracyjnej, której był członkiem, jako dyrektor Komisji skarbu, miał przemowę do Wielopolskiego. W przemowie tej, przygotowanej wcześniej i zapewne z wiedzą margrabiego, Łęski „wynurzył usilne życzenie”, jak się wyraża relacja urzędowa, „aby Naczelnik rządu cywilnego w obecnych okolicznościach nie wyjeżdżał bez zbrojnej eskorty”. Życzenie to nie było pierwszym, jakie w tej sprawie doszło

183 Wielopolski miał zwyczaj tego rodzaju listy, mające na pół prywatny charakter, publikować w organie urzędowym, za którym powtarzały je inne gazety. Co margrabia chciał przez to osiągnąć, domysleć się trudno. W d. 18 lipca ogłosił list pisany do niego przez b. namiestnika Lüdersa na wyjeździe z Warszawy. List był co prawda bardzo ładny i pełen gorącej życzliwości dla kraju, którym schodzący z horyzontu historycznego generał rosyjski rządził po kozacku. „Oddalając się z Polski, pisał więc Lüders, nie przestaję pragnąć jej szczęścia. Życzę, aby pod światłym i dobrotliwym rządem J. C. Wysokości W. ks. Konstantego, tak cudownem zrządzeniem Opatrzności ocalonego, a któremu w szlachetnych jego usiłowaniach J. W. margrabia tak dobrze dopomaga, piękny ten kraj mógł coraz więcej rozkwitać w dobrym bycie, rozwijając nowe swe instytucje i aby pod osłoną łaskawego berła Jego cesarsko-królewskiej mości, Polska zdążyła ku coraz więcej błogiej przyszłości. W końcu winienem jeszcze wynurzyć JW. panu, jak przyjemnymi zawsze dla mnie były osobiste nasze stosunki, których nie przestanę liczyć do najmiłszych moich wspomnień”.

do Wielopolskiego. Już cesarz, jakśmy to widzieli, i W. książę domagali się, by margrabia otoczył się koniecznymi ostrożnościami, by przestał uczęszczać do kościołów, gdzie, sądzono, że mu największe grozić może niebezpieczeństwo¹⁸⁴. To też na wynurzone przez Łęskiego „usilne życzenie”, odrzekł wśród owego, prawie publicznego zgromadzenia, że dziękuje za dowody współczucia, że pomimo poprzedniego zamachu, unikał używania eskorty, wszakże ze względu, iż życie jego w teraźniejszych okolicznościach coraz więcej do kraju należy, że wreszcie, z powodu uporczywie ponawianych zamachów, eskortę przyjąć musi. Dodał przy tem, że mordercze usiłowania i ponawiane groźby przeciw niemu „zgrai, która stolicę ować zapragnęła”, nie złamią go na duchu, ani z obranej drogi nie strącą.

Odtąd w rzeczy samej w pałacu Brühlowskim zaprowadzono mnóstwo straży i ostrożności. Na dziedzińcu stanęła kompania piechoty¹⁸⁵, dla której w prawem skrzydle urządzono specjalną kordegardę, a jeden żołnierz dzień i noc na platformie przed nią się przechadzał, mając baczne oko na to zwrócone, co się w całym obejściu pałacowym dzieje. Przed wielką bramą od ulicy, która odtąd zawsze była zamkniętą, stało ciągle około dziesięciu policyantów, którzy nikogo nie przepuszczali do środka, nie wybadawszy go wprzód starannie. W małych ogródkach od ulicy Wierzbowej stały także stráže wojskowe, których bagnety widać było przez kraty żelazne i z poza muru; w ogrodzie głównym, ciągnącym się z tyłu pałacu i rozdzielonym od ogrodu Saskiego tylko murem, także stała straż, prócz tego zdjęto schody żelazne, po których z balkonu zstępowano do tego ogrodu¹⁸⁶.

Co się tycze eskorty, która miała margrabiego otaczać w czasie jego wyjazdów na miasto, to zrazu chciano mu dać Kozaków, takich samych żółtych i czerwonych, z jakimi jeździł W. książę i jego żona, ale odmówił i wziął ku swej ochronie żandarmów, z tego względu głównie, a co silnie charakteryzuje Wielopolskiego, że oddziały żandarmeryi w Królestwie stojące, znajdowały się na jego etacie i tym sposobem niejako były wyobrazicielami autonomii kraju¹⁸⁷. Odtąd ukazywał się zawsze na ulicach w zamkniętej karecie, o której całe legendy się potworzyły, że była z wierzchu i spodu blachą stalową okuta, zaprzężonej w dwa szparkie siwe konie, otoczony dziesięciu żandarmami, z których dwóch biegło przodem, dwóch z tyłu, a po trzech po bokach. Ciężka ta jazda pędziła z wielkim trzaskiem i hukiem, co wraz z turkotem, jadącej wy-

184 Lisicki, *Le marquis*, II, 329.

185 N. Berg, *Zapiski*, II, 317.

186 *Loc. cit.* II, 318.

187 Uwagi wywołane przez broszurę p. n. Kilka słów z powodu odezwy ks. Adama Sapiehy, p. 45.

ciągniętym kłusem karety, napełniało ogromną wrzawą ulice, tak, że przejazd Wielopolskiego zwano „siną, lub gradową chmurą”¹⁸⁸.

Odtąd rozpoczęło się dla niego prawdziwie męczeńskie życie, każda chwila była zatrutą niepokojem i obrzydzeniem na widok tej straży, tych żołnierzy w mundurach rosyjskich, pilnujących Polaka, Naczelnika rządu polskiego. Z urodzenia ziemianin, przywykły do ruchu, do powietrza, do szerokiego oddechu pól i lasów, teraz musiał siedzieć zamknięty, odmawiać sobie przechadzek pieszych, wycieczek za miasto, koniecznych dla jego konstytucji fizycznej, przywykłej do tego wszystkiego.

Zawsze jadł bardzo wiele, bardzo łakomie i szybko, co przy ruchu i świeżem, wiejskiem powietrzu dotąd mu nie szkodziło, ale teraz zły wpływ na jego zdrowie wywierać zaczęło i prawdopodobnie w tych dniach ciężkich i bolesnych powstał w nim zaród choroby, która go w kilkanaście lat później do grobu zawieść miała¹⁸⁹. Mimo jednak tych nadzwyczajnych ostrożności, jakimi go otaczano i jakimi przez dziwną obawę w takim olbrzymie, sam się otoczył, partya czerwono-rewolucyjna usiłowała w ostatnich dniach sierpnia jeszcze jednego dokonać zamachu na jego życie. Wśród mnóstwa listów, które co dzień odbierał, jeden z nich przyniesiony z poczty sam otworzył, a że był skreślony bardzo drobnem i bladawem pismem, a margrabia był krótkowidz, więc poszedł do okna i list bardzo blisko przysunął do twarzy. W tejże chwili zrobiło mu się niedobrze, co się nawet parę razy powtórzyło. Sekretarz margrabiego, znany nam już Maksymilian Vidal, wzięwszy z kolei ów list, doznał także silnego zawrotu głowy. Sam list był obojętnej treści; analiza chemiczna, której był poddany, nic nie wykryła, nie ulegało wszelako wątpliwości, że jakiś pył trujący w piśmie tem się znajdował. Sprawę całą zachowano w najściślejszej tajemnicy, tak, że nie doszła ona do wiadomości ogółu. Śledztwo, jak większa część śledstw tej epoki, do żadnych rezultatów nie doprowadziło i sprawca tego nowego zamachu, przypominającego średniowiecznych włoskich trucicieli, prawdopodobnie na zawsze będzie nieznany¹⁹⁰.

Wszystko to, dręcząc fizycznie i moralnie Wielopolskiego, współcześnie rozdrażniało go niesłuchanie i popychało do kroków, których by zapewne w innych warunkach i przy spokojniejszym poglądzie na rzeczy, nigdy nie

188 Lisicki, *Le marquis*, II, 329, powiada, że żandarmi ci uważali Wielopolskiego za więźnia stanu i przytacza taką anegdotę. Podoficer dowodzący eskortą, pewnego dnia, siadając na koń, rzekł: „Panie Boże, kiedyż cesarz, zdecyduje się na zesłanie tego buntownika na Syberią i uwolni nas od tej pańszczyzny”. Anegdota powyższa, jeżeli nie jest prawdziwą, to w każdym razie nie jest pozbawioną pewnej soli attyckiej.

189 Lisicki, *Le marquis*, II, 329.

190 Relacje ustne.

był zrobić. Do rzędu takich kroków należy osławione rozporządzenie o kapeluszach, które w trzy dni po zamachu Rzońcy ukazało się w „Dzienniku powszechnym”, wywołując prawdziwą burzę przeciw margrabiemu i narażając go na najgorsze z następstw, bo na śmieszność.

„Urzednicy władz wszelkich (czytamy w tym, jedynym w swoim rodzaju, rozkazie), otrzymali od zwierzchników swoich polecenie, aby, oddzielając się od stronnictwa bezrządu, które w ostatnich czasach zakazało mężczyznom używania formy kapeluszy, w cywilizowanej Europie w zwyczaju będących, nosili odtąd publicznie kapelusze cylindrowe, gdyż wszelkie inne jakie bądź nakrycie głowy, poczytane im będzie za współudział w manifestacjach, narzucanych Warszawie przez bandę złoczyńców”¹⁹¹. Polecenie to, z kobiecą drobiazgowością zajmujące się ubraniem urzędników, śmieszne i pełne współcześnie goryczy i źle ukrywanego gniewu w swej osnowie, było podobno pomysłem Miniszewskiego¹⁹², owego dziennikarza wywłoki i rewolucjonisty, który teraz stał się bardzo legalnym i bardzo lojalnym i właśnie w tych dniach, po usuniętych „dla dobra służby” Rosyaninie, został urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy dyrektorze Komisji spraw wewnętrznych. Ale Miniszewski, dając taką radę, miał na tyle taktu i wstydlivosti, że chciał, by, polecenie to zamknięte było wyłącznie w sferach urzędowych i by na zewnątrz różnych dykasteryi urzędniczych nie wyszło; Wielopolski zaś w gniewie i uniesieniu, które jest zawsze złym doradcą, kazał to niefortunne, prawdziwie bizantyńskie rozporządzenie o kapeluszach ogłosić publicznie przez dzienniki. Nie zastanowił on się nad tem, że rząd, który się ucieka do takich środków, który rozkazami zmusza swych członków do objawienia swej lojalności, przestaje być rządem, głośno przyznaje się do klęski. A nade wszystko dla tłumów dowcipnisiów miejskich, czyhających chciwie na wszelkie potknięcie się margrabiego, była to sposobność nielada, by jej wyzyskać nie mieli. Ten wielki minister, ten wezyr wszechwładny, przedstawiający zawsze siebie samego, jako poważnie zamyślonego nad losami ojczyzny i nad najważniejszymi zagadnieniami jej bytu, nagle miesząc się do toalety swych podwładnych, był tak tragicznie śmiesznym, tak zmałał fatalnie w oczach wszystkich, że jeżeli kto miał jeszcze jaką wątpliwość co do tego, to ją postradać musiał.

Prasa też polska zagraniczna i miejscowa tajna z chciwością rzuciła się na owe nieszczone kapelusze i porównała je do sławnych rozkazów Mikołaja i Paskiewicza o goleniu bród i o nie paleniu cygar na ulicach. „Strażnica” zaznaczała z ironią pełną złośliwości¹⁹³, że „Wielopolski przeprowadza nawet

191 „Dziennik powszechny” Nr. 184 z r. 1862.

192 Lisicki, Al. Wielopolski, I, 350.

193 Nr. 16 z d. 16 sierpnia 1862 r.

take rzeczy, o które rozbiła się cała wysoka inteligencja Kruzensterna. Przed paru dniami, pod zagrożeniem dymisji, rozkazano wszystkim urzędnikom przywdziać na głowę wysokie kapelusze. Prawdziwie genialna to głowa Wielopolski, kiedy takie zmiany w państwie zaprowadzić umie i wszystkie inne głowy do lokajskich, lub swojej podobnemi uczynić pragnie”. W innym znów miejscu to samo pismo powiada¹⁹⁴: „potwornym rozkazem o kapeluszach stanowczo odstrychnął (Wielopolski) od siebie urzędników i wykazał, jakiego to gatunku posiada rozum, a jakkolwiek urzędnicy nie okazali dosyć charakteru i siły, jakkolwiek nie utrzymali swej godności, gdyż w wielkiej liczbie przywdziali cylindry, to zawsze sława rozumu margrabiego stoczyła się w przepaść głupstwa i śmieszności, wraz z niskimi kapeluszami z głów tchórzliwych urzędników, i margrabia spadł na szczebel, na którym walczyć musi z sztydzącymi z niego ulicznikami! Otóż to jest rozum tyle sławiony i okrzykiwany!” Dla ogółu, dla tych wreszcie wszystkich, którzy nie pochwalając zamachów, nie godząc się na powstanie, widzieli jednak w żałobie narodowej pewien widomy wyraz nieszczęść polskich i nie znajdowali żadnej racji dla jej zrzucenia, rozkaz noszenia wysokich kapeluszy był porwaniem się na tę żałobę. Wywołało to tak dalece nieprzyjemne wrażenie na wszystkich, nawet na zwolenników i wielbicieli margrabiego, że zatarło oburzenie, jakie zamachy spowodowały i zmroziło wiele objawów korzystnych tak dla Wielopolskiego, jak i dla kraju.

Zdarzyło się, że właśnie w tej porze szlachta zapadłej Pińszczyzny, zebrawszy się na sejmiki, przerażona wypadkami warszawskimi, postanowiła zbiorowy przeciw nim wygotować protest. Jeszcze zastanawiano się nad tem, kto i jak ma ten protest podpisać, czy ogłosić go w dziennikach, czy też przesłać na ręce Naczelnika rządu cywilnego, gdy w tem poczta przyniosła nieszczęśliwe rozporządzenie o kapeluszach, które tak obruszyło większość, że rozjechano się, nic nie postanowiwszy. „Wszyscy się oburzają na wybryki demagogów, pisał o tem margrabiemu jeden z Pińczuków, ale też każdy bez wyjątku tchnie największą nienawiścią ku wszystkiemu, co w czemkolwiek dawne rządy przypomina”¹⁹⁵. Słuszną tę uwagę, przykre to następstwo nierozumnego rozporządzenia, Wielopolski doskonale zapewne odczuwał, ale był nadzwyczajnie rozdrażniony i nadzwyczajną trapił obawą. Głośno teraz po Warszawie opowiadano sobie, prawdziwą czy nie, ale bardzo charakterystyczną pogłoskę, że margrabia był w tak nieustannym paroksyzmie strachu, iż do jednego z urzędników Komisji spraw wewnętrznych, zbliżającego się doń niespodzianie z papierami, strzelił z rewolweru, który teraz stale przy sobie nosił, ale na szczęście chybił.

194 Nr. 17 z d. 27 sierpnia 1862 r.

195 Lisicki, Al. Wielopolski, I, 349.

Mimo tych wszystkich faktów, działających ujemnie na dodatnią stronę zamachów, t. j. na oburzenie i zgrozę, jaką one wywołały, oburzenie to jednak było tak silne, że brało górę i dało początek całemu szeregowi objawów, które gdyby Wielopolski spokojnie i umiejętnie był wyzyskał, byłby może na inną drogę pchnął losy polskie i swoje. W archikatedrze w dwa dni po zamachu, w niedzielę, biskup Plater, w zastępstwie ciągle nieobecnego ks. Felińskiego, odprawił solenne nabożeństwo za ocalenie życia Wielopolskiego. Odprawiały się też nabożeństwa w całym kraju, zwłaszcza, że co do tego otrzymały wszystkie władze dycezyjne wyraźne polecenie dyrektora Komisji wyznań i oświecenia, Krzywickiego.

Pisał on pod d. 16 sierpnia, że „duchowieństwo, które z powołania przewodniczyć winno objawom potępiającym wszelkie zboczenia z drogi chrześcijańskiej moralności, a tem bardziej zbrodni, nie da się wyprzedzić innym stanom w wyrażeniu swego współczucia i w modlitwach dziękczynnych z powodu powtórnego ocalenia życia, tak wielce dla kraju pożytecznego”¹⁹⁶. Odprawiano więc nabożeństwa, które jeżeli dla swego charakteru oficjalnego nie mogły mieć głębszego znaczenia, to za to niespodziewane wystąpienie dwóch gazet warszawskich z potępieniem zamachu było dowodem, że reakcja przeciw ultraczerwiencom budzi się potężnie w umysłach. „Gazeta polska” pomieściła zaraz nazajutrz po zamachu Rzońcy artykuł napisany przez J. I. Kraszewskiego, artykuł pełen bolesnego zwątpienia w przyszłość narodową. Autor pyta: „Jest li to ten sam, nasz kraj, poświęceń, heroizmu, gotowości do czystych ofiar? rozplócenia uczuciami szlachetnemi? Jest li to kraj nadziei, jakim był przez kilka wieków, czy kraj rozpacz, jakim go uczynili fabrykanci fałszywych doktryn?” „Tak, jesteśmy na tej niebezpiecznej spadzistości, po której potoczyć się możemy w przepaść. Słowo rozsądku bezsilne, zaklęcie na ojczyznę odepchnięte; wyrazy próżno rozbijają się o kamienne jakieś osłupienie; najświętsze mowy wiatr roznosi... zostaje, co przedtem było, rozpacz. Przeklęty, kto ją zrodził! Ludzkość w swych dziejach i narody w swem życiu nie znają rozpacz; dopóki im świeci wiara w siebie i wiara w przyszłość. Zwątpiliżemy o sobie? Dzień po dniu przynosi tego dowody, które przerażają i obalają nawet najtrwalszych, niepewność ogarnia umysły, zwątpienie mrozi serca”. „Żaden przecie naród nie odrodził się takimi środkami, żaden kraj nie podźwignął się do życia takimi rozpaczliwymi zapasy z pojedynczymi osobami. Historia nie składa w rękach indywiduów losów narodu, one są jej narzędziami, pomocnikami, tłumaczami, nigdy jedynym czynnikiem i koniecznym.

Gdy myśl przerażona cofnie się do obchodu d. 2 marca, do tej uroczystości wielkiej, poważnej, pełnej rezygnacji i namaszczenia, co za straszliwa różnica!

¹⁹⁶ Rozporządzenie to, nie ogłoszone w dziennikach, czytać można w całości u Lisickiego, Al. Wielopolski, II, 421.

jaka niezmierna przestrzeń nas od niej dzieli! Zamiast iść naprzód, zeszedliśmy w nierozwinięte żadnym promykiem manowce... zamiast postępu, widzimy upadek, zamęt w pojęciach, zwątpienie w sercach". „Ludzie teorii i doktryn przewrotnych, wiodą łączną do obłąkania młódź, która w sercu, nie w rozumie szuka przewodnika; dajemy się ślepo prowadzić takim, co sami nie śmieją czynić, bez litości i czci używają narzędzi, na których nierozwile władze rachują. Gdzie zejść mamy? dokąd nas to poprowadzi? Niech wszyscy uczciwi ludzie w sercach swych odpowiedzą". Na artykule tym, pięknym i silnym, znać jednak nożyce cenzury, która go w wielu miejscach szkaradnie pocięła i poszarpała¹⁹⁷, mimo to, nie pozostał on bez wrażenia, gdyż był wyrazem pojęć i wyobrażeń ogromnej większości inteligencji krajowej.

„Gazeta warszawska” w parę dni później wydrukowała w tej samej sprawie niemniej silny i potępiający zamachy artykuł wstępny, pióra Keniga. „Kto rzucił w serca nasienia rozpacz, pyta autor, kto przysposobił umysły do chwytania się teorii nie na naszym wyrodzonych gruncie, na tym niech boleść i łzy pokoleń jako klątwa, wołająca o pomstę do Boga, ciąży. Ale rozpacz jest strasznym grzechem przed Bogiem, więc kiedy przed Bogiem, to i przed ojczyzną. Staliśmy i ostaliśmy się wiarą, nią tylko dalej wspierać się możemy, a niezmierna narodu większość ani na chwilę jej nie straciła, pomimo prób najcięższych; nawet wśród najwyższych boleści nie dała sobą rozpacz owładnąć”. „Występujemy w imię miłości ojczyzny, której głos brzmi w sercach, gdy inne nawet umilkły, w imię tego sumienia narodowego, które z rozkoszą rozpatruje jasne karty dziejów swego kraju i czuwać winno, by przyszłe nie ustępowały poprzednim w czystości.

W przeciągu siedmiu tygodni, w mieście naszym zaszło kilka zamachów. Czy spełniający je mogli i chcieli spojrzeć w straszną przyszłość, w jaką całość kraju za sobą powlec chcieli? Czyż nie słyszą głosów, swobodnie występować mogących, a wołających do nich z innych stron Polski o upamiętanie? Czyż nie widzą naokoło siebie przerażenia, że sprawa narodu może być zaprowadzoną na zgubne rozdroża? Czyż na koniec nie wiedzą, że wszelki zamach podobny, w ostatecznym wypadku osłabia tylko sprawę, w której imieniu był spełniony? że kładzie oręż w ręce jej przeciwników?” „Czy słowa nasze trafią tam, gdzie je kierujem, czy ulecą niektóre serca? Bóg niech to sprawi, Bóg, którego karcąca ale zarazem opiekuńcza ręka jest w sprawach kraju naszego widoczną dla każdego, kto w ducha pokorze przypomni sobie tak niedawne dni, rozważy bieg

197 Kraszewski w swym artykule zaznacza, że wszystkiego powiedzieć nie może: „czemuż nie wolno nam roztoczyć tu myśli tak, jakby ona na widok tego czarnego obrazu chciała się rozwinąć?” „Niestety, wiele by się wypowiedzieć pragnęło, a mało wyrzec można. W jednym słowie zamyka się obraz chwili cały: nieszczęście”.

wypadków i badać zechce, czy to ludzka je zgotowała ręka? Występując dziś z tem usiłowaniem nawrócenia rozpaczą zbłąkanych, z tą protestacją, wypełniliśmy obowiązek, jaki na nas sumienie, a przede wszystkim miłość kraju nakłada”. Artykuły te, niestety! nie trafiły tam, dokąd je kierowano, nie uleczyły niektórych serc, a choć nie pozostały bez znacznego wrażenia na wszystkich ludzi rozumniejszych, na Czerwieńców, o których szło najwięcej, nie wpłynęły wcale, owszem, autorów tych odezw, których odwagę cywilną w czasach tak gorących podziwiać i za wzór stawiać należy, naraziły tylko na dotkliwie obelgi i oskarżenia ze strony tajemnych pisemek rewolucyjnych.

Wśród tego wszystkiego, zbliżył się dzień kaźni Ludwika Jaroszyńskiego, naznaczony w konfirmacji wyroku przez W. księcia namiestnika na 21 sierpnia, mając rozpocząć bardzo długi szereg tych szubienic, które mnożąc się powoli, ale nieustannie, przez ciąg trzech lat blisko stanowiły codzienne nieomal, straszne widowisko dla mieszkańców Warszawy i kraju. Po mieście przed dniem tym obiegały najróżnorodniejsze pogłoski; wielu twierdziło, że W. książę ułaskawi nieszczęśliwego skazańca, że będzie nad nim tylko wykonany pozorny obrządek powieszenia, ale w ostatniej chwili, pod szubienicą, jak w dramacie romantycznym, zjawi się poseł W. księcia z wyrokiem ułaskawiającym. Jakże mało znano serca wielkich tego świata! jakże się boleśnie mylono! Wśród publiczności, która nie będąc w pałacu Paca na samym sądzie, niedowierzała urzędowej o nim relacji, opowiadano sobie z przesadą o bohaterskim zachowaniu się Jaroszyńskiego w czasie śledztwa i sądu; o jego podniosłym stanie ducha, z jakim niósł swe życie na ofiarę ojczyźnie. Wszystko to usposabiało serca mas polskich, zawsze dobre i szlachetne, rozgrzane mocno ostatnimi wypadkami, przepełnione nienawiścią do rządu i jego reprezentantów, jak najlepiej dla skazanego i już w tych sercach wznoszono dlań pomnik w mauzoleum świętości narodowych. Dnia 21 sierpnia, we czwartek, od wczesnego poranku tłumy zaległy pola przed cytadelą, gdzie na jej stoku, mniej więcej w tem samym miejscu, gdzie dziś znajduje się dworzec kolei nadwiślańskiej, sterczała ponura, czarno pomalowana szubienica, rysując się wyraziście na jasnym, pogodnym niebie sierpniowym. Dzień był ciepły, nieupalny; powietrze przy lekkim wietrze wschodnim nadzwyczaj duszne i suche. Wśród gromadnego zbiegowiska widzów, złożonych przeważnie z klas najniższych, powtarzano sobie, Bóg wie, skąd zaczerpnięte wiadomości o ostatnich chwilach Jaroszyńskiego. Mówiono więc, że do końca zachował niczem niezakłócony spokój ducha, a nawet pewną wesołość, że wczoraj zjadł z apetytem wieszczerzę i zaprosił na nią, będącego przy nim kapucyna, ks. Honorata. Nie ulegała wszakże wątpliwości, że liczył na ułaskawienie do ostatniej chwili, w czem utwierdziły go jakieś dwie osoby, które go w więzieniu z polecenia samego

W. księcia, na parę dni przed śmiercią, odwiedziły¹⁹⁸. Kto były te osoby, nie wiemy.

Z ojcem Honoratem przepędził ostatnie dwa dni i dwie noce swego życia. Księdzu nie wolno było wydalać się przez ten czas z cytadeli i dopiero wieczorem, w wigilią kaźni, pozwolono mu pojechać po Komunią św. Jaroszyński nie widział w swym czynie żadnego przestępstwa; owszem, przekonany był, że spełnił to, co mu obowiązek nakazywał, a gdy mu O. Honorat przedstawiał, że czynem tym obraził Boga, dał poznać, że uważa księdza za nieprzychylnego sprawie ojczystej. Z wielkiem zdziwieniem i niedowierzaniem słuchał jego słów. Wypowiadał się jednak i do końca był dość spokojny; przekonany wreszcie, że popełnił przestępstwo, tłumaczył się przed księdzem swą nieświadomością¹⁹⁹.

W dniu kaźni, przed godziną 9-tą rano, ukazał się wychodzący z bram cytadeli orszak żałobny, złożony z piechoty z doboszami na przedzie, którzy uderzali monotennie w bębny. Jaroszyński jechał, siedząc na ławce, na wózku kwadratowym, zwanym „karą”, z O. Honoratem obok siebie, otoczony dokoła żandarmami z dobytą bronią. Ubrany był czysto i starannie, umyty, uczesany i nieco dziko poglądał przed siebie. Piechota otoczyła szafot. Ponieważ towarzyszący Jaroszyńskiemu ksiądz, zgodnie z przepisami Kościoła, niedozwalającymi ani na jedną nawet chwilę przyspieszać śmierci skazanego, nie ruszał się z wózka i czytał ciągle modlitwy, więc generał, kierujący całą ceremonią tracenias, uważając to za chęć wywołania manifestacji, począł zbyt głośno się gniewać i odgrażać, „że i mnicha powiesić każe”²⁰⁰. Przerwano więc modlitwy i nieszczęśliwego młodzieńca ściągnięto gwałtem z wózka i wprowadzono na szafot okutego w kajdany, które dopiero pod szubienicą rozkuto. Gdy włożono nań śmiertelną koszulę i ręce mu w tyle związano, a ksiądz z wózka krzyżem go błogosławił, bo mu na szafot wstępu wzbroniono, Jaroszyński coś mówić począł, ale nieustanny turkot bębnów zagłuszył jego słowa.

W chwili gdy kat poderwał pod nim schodki i nieszczęsna ofiara zawisła, drgnąwszy parę razy konwulsyjnie, nagle na niebie słońce pociemniało i tuż nad głową wisielca ukazało się wielkie, jasne, tęczowe koło i trwało dość długo. Zjawisko to wywarło na zebranych widzów niesłychane, trudne do opisanie wrażenie. Ogromna większość tłumu padła z jękiem na kolana i w ekstazie jakiejś podnosząc ręce ku niebu, wołała: cud! cud! Bóg cud zrobił! Rozległ się płacz olbrzymi, kobiety mdlały, mężczyźni pięściami wygrażali tym zbroj-

198 Relacja piśmienna o ostatnich chwilach Jaroszyńskiego, skreślona przez naocznego świadka, a znajdująca się w zbiorach autora.

199 Loc. cit.

200 Loc. cit.

nym szeregom, tym oficerom i generałom, którzy w złocistej pompie wieszali nieszczęsną ofiarę. Policja, licznie wśród widzów tego ponurego dramatu rozstawiona, aresztowała też kilka osób, przeważnie ze sfer rzemieślniczych i robotniczych, za „niewłaściwe i ubliżające wyrażenia przeciw władzy”, jak pisał organ urzędowy. Trup Jaroszyńskiego, owinięty w białą koszulę śmiertelną, z pod której wyglądały jego duże, w niezgrabne buty ubrane nogi, wisiał na szubienicy aż do późnej nocy, zapewne na postrach dla wszystkich, przez cały dzień oglądany przez liczne tłumy z pomiędzy najniższych klas ludności.

Zjawisko owej różnobarwnej tęczy, które tak ogromne wrażenie wywarło na świadków sceny wieszania, jakkolwiek fizycznymi przyczynami dające się wytłumaczyć, było dla prasy tajnej i dla rewolucjonistów zbyt pożądaną sposobnością, by z niej skorzystać i wyzyskać jej nie mieli. Ukazało się tysiące fotografii, oczywiście nie z natury, ale z rysunku zrobionych, na których w dali widać było szubienicę i trupa Jaroszyńskiego, a nad nim, na zachmurzonym i posępnym niebie owe koło świetlne i tajemnicze, niby nimbus świętości, jaki na bizantyńskich obrazach widzimy, rzucające snopy blasków na wisielca. Rozbiegło się mnóstwo opowieści o tym cudzie, o tym widomym objawie łaski Bożej, przystrajanych w coraz fantastyczniejsze i nieprawdopodobniejsze akcesoria. Ukazujące się w tej porze po raz pierwszy tajne pisemko „Kosynier”²⁰¹, w tonie mistycznego zachwycenia, tak opisywało śmierć Jaroszyńskiego: „nowy ten męczennik za wolność narodu polskiego skonał śmiercią na szubienicy; ciało jego wisiało na postronku aż do dziesiątej godziny w nocy.

Sądził Moskale, że wystawiony tak długo trup na szubienicy, bo od 9-ej rano aż do 10-ej w nocy, obudzi bojaźń i trwogę we wszystkich, tymczasem wszystek naród z całej Warszawy biegł na miejsce, kiedy męczennik Jaroszyński skonał, klękał przed szubienicą jakby przed ołtarzem i modlił się do niego, wołając: to święty męczennik, który za wolność naszą śmierć poniósł. Byli tam starce, co pod przysięgą rozpowiadali innym, jak kilkanaście gwiazd jasnych z pośród dnia zaświeciło na niebie nad głową powieszonego Jaroszyńskiego i uważali to dobrze, że słońce o pół godziny później zachodziło, aniżeli innych dni, jakby nie mogło dość się napatrzeć na męczennika, a rzucając nań różowe promienie, stroiło jego głowę w najcudniejsze światła. Widno, że duch Jaroszyńskiego zajaśniał przed tronem Boga”. A dalej: „słońce pociemniało, jakby zgasnąć miało i zajaśniała korona w kolorach tak żywych i pięknych, jakby tę-

201 Numer pierwszy wyszedł d. 21 sierpnia 1862 r. Było to niewielkie pół arkusza, na dwoje złożone, litografowane. Pod tytułem rysunek, przedstawiający kosyniera i dwuwiersz: „hej, czas zacząć już chłopcy, z serca zrzucić trwogę, a Bóg rzeknie waszej pracy: toć i ja pomogę”. Pisemko to było dla ludu przeznaczone. Cena egzemplarza gr. 15. Dziś bardzo rzadkie.

cza ponad szubienicą. Lud zgromadzony padł z płaczem i modlitwą na kolana na ten widok tyle święty. I jak przy śmierci Zbawiciela Chrystusa, kiedy słońce się zaćmiło, gwiazdy przelatowały po niebie, siepacze przy Jego męce strwożeni pobledli, tak samo przy śmierci Jaroszyńskiego pobledli wrogowie Moskale”. „Lud jakby na święte miejsce, by dostać odpustu, biegł i jechał gromadami, modlił się i płakał wszystek, jakby jedna rodzina”²⁰².

Zaraz nazajutrz po tragicznej śmierci Jaroszyńskiego, ukazało się ogłoszenie w urzędowym „Dzienniku powszechnym”, że w sobotę, d. 23 sierpnia sądzonym będzie Ludwik Ryll, który się dopuścił zamachu na margrabiego w sieni Komisji skarbu, ale że sąd ten odbędzie się w Komisji wojennej w cytadeli, z powodu, że „podług zdania lekarzy, wezwanych dla zaopiniowania o stanie zdrowia Ludwika Rylla, tenże mimo znacznej ulgi w słabości, na jaką zapadł zaraz po aresztowaniu go, nie może być stawiony przed sądem publicznym”. Jakkolwiek powód ten był prawdziwym, wszelako wobec sądu jawnego, jakiemu podlegał Jaroszyński, wobec tak szumnie głoszonej skłonności W. księcia do sądów publicznych, powrót do dawnych form, do średniowiecznego sądu tajnego, stał się źródłem tysiąca przypuszczeń i plotek wszelkiego rodzaju. Odżyła pierwotnie rozpuszczona i uparcie teraz powtarzana pogłoska, że Ryll jest nieprawym synem margrabiego, i że tenże lękając się, by w sądzie jawnym rzecz ta nie wyszła na wierzch, kazał swego syna nieszczęśliwego sądzić tajnie, przy zamkniętych drzwiach, gdzieś w głębi cytadeli. Byli i tacy, co i „Strażnica” zaznaczyła, którzy głośno mówili, że Ryll wie o jakiejś kradzieży, jakoby przez margrabiego dokonanej, i że o tem w Komisji rozповідаł, i dlatego tajnie sądzonym będzie. Tak to złość ludzka i namiętności polityczne dopuszczają się najhaniebniejszych, najplugawszych oszczerstw, by znienawidzonego człowieka potępić.

Wszystko to jednak było kłamstwem, czego najlepszym dowodem było to, że nad Rzońcąznaczono na tenże dzień 23 sierpnia, taki sam jak nad Jaroszyńskim, sąd publiczny w białej sali pałacu Paca. Obrońcą z urzędu wyznaczony został mecenas Józef Karpiński, człowiek bardzo zacny, doskonały znawca prawa, ale głowa słaba. Już poprzednio chciano mu powierzyć obronę

202 „Strażnica”, jak to jej z wieku i urzędu wypadało, nie wspomina nic o cudzie, ale za to takie uwagi z powodu kaźni Jaroszyńskiego robi (Nr. 17 z d. 27 sierpnia): „trup Jaroszyńskiego, który zginął jak prawdziwy bohater z odwagą i poświęceniem bez granic, biały trup Jaroszyńskiego, kołyszący się na szubienicy, stanął na zawsze między Konstantym a ludem i odganiać od niego będzie, jak nieodstępna mara, nawet tych wszystkich, którzy skutkiem swej tchórzliwości chcieliby być z Konstantym, a pomimo to, w narodzie na pogardę nie zasłużyć. Dobry to trup, dobra to mara; ona niby na straży jak żołnierz stanęła, na straży tej drogi, po której zgraja fagasów chciała pociągnąć naród do księcia małej woli, płytkiej głowy, a wielkiej zarozumiałości”.

Jaroszyńskiego, lecz bawił on wtedy z rodziną w Ojcowie, i właśnie teraz, ledwie powrócił do Warszawy, na dwa dni przed procesem Rzońcy, zgłosił się doń sędzia Kamionowski i uwiadomił o poleceniu Komisji sprawiedliwości. Zaopatrzone go zaraz w bilet wolnego wstępu do cytadeli i kazano stawić się przed margrabią Wielopolskim. Karpiński, mocno niezadowolony z tego wszystkiego, udał się natychmiast do cytadeli, widział się z Rzońcą, który zrobił na nim wrażenie człowieka słabo rozwiniętego umysłowo i który uparcie twierdził, że zamach nie miał charakteru politycznego, że głównym powodem, dla którego dopuścił się tego przestępstwa, było zniechęcenie do życia. Gdy Karpiński w naznaczonym terminie zjawił się u margrabiego, ten dał mu takie same, jak Grobickiemu, obrońcy Jaroszyńskiego, ostrzeżenie. Obrona w takich warunkach musiała być suchą, ostrożną i słabą, i taką też w rzeczy samej była.

Bilety wejścia na ten sąd, w ograniczonej liczbie, wydawał obok innych władz, prezydent miasta, p. Zygmunt Wielopolski. Wszystko zresztą odbywało się tak samo jak w sądzie nad Jaroszyńskim; przewodniczył generał Merchelewicz, oskarżał audytor sztabu głównego. Rzońcę przywieziono w karecie zamkniętej, otoczonej silną strażą kozacką. Miał on na nogach kajdany, którymi idąc dzwonił głośno; ubrany był w swe suknie, mocno podniszczone. Małego wzrostu, jasny, prawie aż popielaty blondyn, bez zarostu, wyglądał po prostu na wyrostka, którego do pewnego stopnia cieszyła ta wielka ważność, jaką nadawano jego figarze, ta straż, ten sąd złożony z generałów, ta uroczysta powaga dokoła. Wesół jego twarz, małe, ruchliwe, śmiejące się oczy przebiegały z przedmiotu na przedmiot, nigdzie długo się nie zatrzymując. Przedstawiał on skończony typ ulicznika warszawskiego, wyrosłego i wychowanego przez ulicę wielkiego miasta. Wprowadzony do pokoju obok sali głównej, obrzucił on szybko oczami znajdujących się w niej oficerów i wartę, i siadłszy na ławce, poprosił jednego z żandarmów, żeby mu kazał przynieść kawy, a tymczasem zapalił sobie papierosa. Gdy mu kawę z najbliższej cukierni przyniesiono, wypił ją z wielkim apetytem, poczem znów palił papierosy i już przez cały czas, do chwili wezwania go do sądu, nie spuścił wzroku ze swych nóg, pogrążony w smętnej jakiejś zadumie. Gdy przyszedł przywołany kowal dla zdjęcia kajdan i Rzońcę podprowadzono do kowadła, na chwilę stracił swój obojętny spokój i nogi widocznie pod nim dygotały²⁰³. W sali sądowej, w owej pysznej białej sali, gdzie niedawno rozległ się wyrok śmierci, wydany na Jaroszyńskiego, widać było na stole, zielonem suknem nakrytym, dowody rzeczowe zamachu, a mianowicie: czapkę, którą znaleziono w kieszeni przy Rzońcy

203 W. Szcz. W. Wspominania o polskom wozstaniu („Istoriczeskij Wiestnik” z r. 1894, LVI, 497).

i sztylet zatruty strychniną. Sala była pełną; publiczność jednak przeważnie składała się z wojskowych rosyjskich. Przed kratą, niedaleko sądu, stała nie młoda już kobieta, ubogo ubrana, matka Rzońcy, z twarzą czerwoną i pospolitą przekupki warszawskiej. W czasie czytania aktu oskarżenia, niepospolicie długiego i napisanego zwykłym stylem nieudolnych referatów rządowych rosyjskich, Rzońca zachowywał się zupełnie obojętnie na to, co o nim w tej chwili mówiono, i na tę publiczność, która, z oczami ciekawie weń wlepionymi, śledzić się zdawała najdrobniejsze drgania jego fizyognomii. Ożywił się dopiero nieco, gdy prezydujący, po ukończeniu aktu oskarżenia, zapytał: czy przyznaje się do winy? Wstał i głosem młodzieńczym, biegając niespokojnie oczami dokoła, odrzekł, że nie, że on wcale nie miał zamiaru zabijania Wielopolskiego, że w jego czynie nie było nic politycznego, że chciał tylko, by go uwięziono, wreszcie stracono, bo mu życie się sprzykrzyło i stosunek do matki był opłakany.

Był to ten sam system obrony, którego się trzymał przed Komisją śledczą, system, dzięki któremu, podobnie jak dwaj jego poprzednicy, nikogo nie wydał i śledztwo nigdy się nie dowiedziało wszystkich szczegółów przygotowywania zamachów. Gdy prezydujący zapytał Rzońcę, dlaczego, kiedy mu szło tylko o aresztowanie, po nieudanym zamachu począł uciekać i zastępującym mu drogę groził nawet sztyltem, nic nie odrzekł, bo i cóż miał powiedzieć? Wreszcie sąd odwołał się do pomocy matki, by zakłęta syna do przyznania się i wyjawienia wszystkich szczegółów zamachu. Matka wystąpiła tedy na przód i ze łzami, które zapewne u niej zjawiały się na każde zawołanie, zadość uczyniła woli sądu; ale Rzońca dość obojętnie wysłuchał prostackich zaklęć matki i wcale się niemi nie wzruszył. obrońca obwinionego, adwokat Józef Karpiński, ponownie przed rozpoczęciem sprawy ostrzeżony przez Merchelewicza, aby pamiętał o swem osobistem bezpieczeństwie i żadnych aluzji politycznych nie wygłaszał, starał się udowodnić, że ponieważ zamach Rzońcy nie ma cechy przestępstwa politycznego, więc nie powinien podlegać kompetencji sądów wojennych, ale cywilnych, gdyż w ogłoszeniu o stanie wojennym w Królestwie było wyraźnie powiedziane, że tylko zabójstwo w celu politycznym dokonane, będzie sądzone na zasadzie polowych praw karnych; prosił dalej, by przy sączeniu zwrócono uwagę na moralne przyczyny, które zmusiły Rzońcę do przestępstwa, t. j. na biedę materyalną, jakiej doznawał, na nieporozumienia w rodzinie, pragnienie wydobycia się z przykrego położenia, na koniec na wiek młody przestępcy.

Wszystko to jednak nie wpłynęło na sąd i wpłynąć nie mogło tam, gdzie wyrok był z góry wydany i zmienić się już nie mógł. Wyroku nie ogłoszono w sali, gdzie odbywały się rozprawy; przy ich ukończeniu tylko, prezydujący

zapropował matce Rzońcy, ażeby pożegnała się z synem, co też ta uczyniła szlochając głośno, ale nie mogąc przelać zapewne swego udanego wzruszenia na syna, który zachował swą poprzednią, osowiałą obojętność. W dniu tym, tak Ryll przez sąd tajny w cytadeli, jak i Rzońca przez sąd jawny w pałacu Paca, skazani zostali na pozbawienie wszystkich praw stanu i na śmierć przez powieszenie. Krwawy ten wyrok, zaraz nazajutrz, d. 24 sierpnia, został przez W. księcia Konstantego zatwierdzony, a sama egzekucja dwóch nieszczęśliwych młodzieńcówznaczona na dzień 26 tegoż miesiąca. Tak samo, jak spodziewano się, że W. książę ułaskawi Jaroszyńskiego, miano nadzieję, że Wielopolski postara się o uwolnienie od śmierci dwóch biednych chłopców, namówionych przez innych, i naprawdę mówiąc, niewiele winnych. Ale margrabia w tej porze był zanadto rozdrażniony i zanadto przerażony, by miał się o to starać; w naturze jego przy tem leżała zemsta za wszelkie złe, jakie mu kiedykolwiek i ktokolwiek wyrządził. Ponieważ Ryll i Rzońca sięgnęli po jego życie, ponieważ nabawili go trwogi, umrzeć więc musieli, łaski dla nich i przebaczenia nie było i być nie mogło. Powieszono więc ich obu we wtorek, d. 26 sierpnia o godz. 9 ej rano, z całym tym ponurym aparatem rozwiniętych szeregów wojskowych, bicia w bębny, jenerałów strojnych w złociste mundury, jaki widzieliśmy już przy kaźni Jaroszyńskiego. Na placu, na stoku cytadeli, zebrało się mnóstwo publiczności, coraz ciekawszej tego rodzaju krwawych widowisk. Poranek był nadzwyczaj chłodny i Rzońca wyraźnie dygotał stojąc na szafocie, może z zimna, a może z trwogi przed śmiercią i z żalu za życiem młodem. Ryll był tak chory, że go prawie wniesiono na szubienicę i całkiem nieprzytomny. Ciała obu straceńców wisały w swych białych koszulach śmiertelnych do późnej nocy.

To ohydne widowisko, dane Warszawie, miało zapewne na celu wzbudzenie przestachu w jej mieszkańcach, w rzeczy zaś samej wzbudziło tylko oburzenie powszechne. Trzy kaźnie, dokonane w ciągu kilku dni, najspokojniejszych, najchłodniejszych wstrząsały i napawały wstrętem do rządu i margrabiego. Weszło teraz w zwyczaj, w modę nie jako, że noszono przy zegarkach, w pugilaresh i woreczkach od pieniędzy, kawałki postronka, na którym miał być powieszony Jaroszyński, Ryll i Rzońca, co w części trzeba przypisać dość rozpowszechnionemu przesądowi, że stryżek wisielca przynosi szczęście. Tegoż samego dnia, w którym powieszono Rylla i Rzońcę, ukazała się w mieście drukowana odezwa, którą nawet w wielu miejscach na rogach ulic naklejono i w której donoszono, że „dnia 28 sierpnia odbędzie się w całym kraju żałobne nabożeństwo za duszę nowego męczennika wolności, Ludwika Jaroszyńskiego, który 21 sierpnia bohatersko skończył na szubienicy za to, że całą duszą ukochał ojczyznę i poświęcił się dla jej dobra”, i kończąc się temi słowy:

„obyśmy wszyscy wzięli z jego śmierci przykład i nauczyli się, jak wytrwać do końca, jak nieść życie w ofierze, gdy Polska ofiary zażąda!” „Dziennik powszechny”²⁰⁴ przedrukował w całości tę odezwę, z taką, słuszną do pewnego stopnia, uwagą: „modlić się za umarłych, jest bez wątpienia każdego chrześcijanina obowiązkiem. I ten, którego sprawiedliwość ludzka przed sąd Najwyższego postawiła, daje niezawodnie powód do błagalnej za nim modlitwy. Ale podnosić go do nazwy bohatera i męczennika, jest grzechem przeciw religii i ojczyźnie. Męczennik nie sięga po cudze życie, jak sprawca zamachu. Męczennik umiera za prawdę, sprawca zamachu błdził, poznał, że błdził, poznawszy, wyznał to i życie oddał nie na męczeństwo, lecz na ekspiacyjną dokonanego czynu. Naród, który by uznał śmierć taką za męczeństwo, sam wyrzekłby się prawa modlić się do świętych Pańskich męczenników”. Ale uwaga ta nie wpłynęła wcale na zrewolucjonizowane i rozżalone masy. Nabożeństwo żałobne w oznaczonym dniu prawie we wszystkich kościołach warszawskich się odbyło, przy ogromnym napływie publiczności, a za przykładem Warszawy przeniosły się na prowincję, gdzie kolejno przez parę tygodni modlono się gorąco za „trzech męczenników”²⁰⁵.

Prasa tajna nie pominęła sposobności, by bluzgać potokiem żółci i jadu na rząd i Wielopolskiego. „Strażnica”, zwykle dość spokojna, tym razem wpada w gwałtowne uniesienie, przekraczające granice przyzwoitości drukowanego słowa. „Wezwana na członków tego pseudo sądu, woła ona”²⁰⁶, dzicz mongolsko-pretoryańska, po której wszystkiego spodziewać się można, zachwiała się przecież i okazywała jakieś skrupuły w bezwarunkowym karaniu śmiercią nieletnich chłopców; ta nawet dzicz chciała mieć jakieś dowody. Lecz pycha margrabiego, pycha tego przechery, jego usiłowania, intrygi i modły, skłoniły rozpierających się u nas zbirów do pozbawienia życia dwóch młodzieńców. Jak to? targający się na Konstantego poniósł śmierć na szubienicy, a podobny zamach na Wielopolskiego miałby ująć bezkarnie? Cóż bowiem znaczy „wyjednany prośbami margrabiego” Konstanty, wobec spanoszonego kradzieżą i rozbojem pana na Chrobrzu? Tak rozumował margrabia i zdawał swe usiłowania. Spełniło się! Wielopolski postawił na swoim, Wielopolski górą,

204 Nr. 192 z d. 27 sierpnia 1862 r.

205 W Mińsku litewskim odprawiło się także nabożeństwo, pod pozorem nabożeństwa żałobnego za niejaką Sosnowską, zmarłą przed paru laty, w rzeczy zaś samej za Jaroszyńskiego. Na nabożeństwie tem rozdawano świece z napisem złocistym: „świętej pamięci Jaroszyńskiego”. W Białostoku odbyły się kolejno trzy takie nabożeństwa za Jaroszyńskiego, Rylla i Rzońcę, przy ogromnym napływie pobożnych, przeważnie kobiet klas wyższych, ubranych w grubą żałobę. (Czytaj S. Rajkowskiego, *Polskaja młodzież zapadnego kraja w miatęże 1861/3 goda*, „Russ. Wiestnik” z 1869 r., LXXX, 255).

206 Nr. 17 z d. 27 sierpnia 1862 r.

Wielopolski bezkarnie rozlewa krew ziomków, Wielopolski pokazał się nawet potężniejszym od Radziejowskiego i tym podobnych zdrajców, bo zdołał jęk boleści wywołać z piersi narodu! Tryumfuj więc panie Wielopolski, unikaj spojrzeń rodaków, chroń się gdzie chcesz przed marą szubienicy i oczekuj przyszłości, w której naród polski pomimo całej swej wielkości, szlachetności i łagodności, nie będzie mógł przebaczyć dokonanych przez ciebie zbrodni i na zgubę całe nikczemne twoje plemię skarże!”

Poważny „Ruch”, organ Komitetu centralnego, niemniej namiętnie, choć o wiele przyzwoiciej traktuje te smutne i opłakane wypadki²⁰⁷. „Wróg pastwiąc się nad nami, pisze cytowany dziennik, dał wzburzonemu żalem narodowi widok trzech trupów na szubienicy. Chciał nimi przerazić, przestraszyć i osłabić naród, chciał szubienicami wstrzymać go od walki z sobą, chciał trwogą pokonać i rzucić go jak podłego robaka pod swoje stopy. Rozwinął więc całą okropność katowskiego przepychu tak w sądzie, jak i na placu szubienic. Wojsko ustawione jak na paradę, generałowie, oficerowie, a w środku szubienica i ofiary, które na niej zawieszono zostały. Dnia 21 sierpnia powieszony został Ludwik Jaroszyński, zaś 26 sierpnia powieszono Ludwika Ryllę i Jana Rzońcę. Zginęli oni z odwagą i męstwem, męczennicy sprawy wolności, jako ofiary okrucieństwa moskiewskiego, zginęli za wyrokiem niesprawiedliwym sądu, który nie miał prawa sądenia. Wszelki sąd działający z ramienia cara moskiewskiego, który nie jest naszym królem, ani też żadną władzą przez naród uznaną, jest nieprawą, a wyroki jego są albo prześladowaniem, albo też, jak w tym razie, zamachem na życie obwinionych, a wykonanie ich jest morderstwem i zbrodnią, za którą winni kiedyś odpłacić muszą”. „Na próżno „Dziennik powszechny” usiłuje dowieść, że Jaroszyński nie jest męczennikiem, na próżno napomyka, że sprawca zamachu nie ginie za prawdę i dlatego męczennikiem być nie może. Zginął on rzeczywiście za prawdę, bo prawdą w nim była miłość ojczyzny, prawdą przekonanie, które mu mówiło, że służy sprawie dokonywując zamierzonego przezeń czynu. Jeżeli wejdziemy w ocenienie moralnej wartości tego czynu, to czyż nie był moralniejszym od czynów ucisku, prześladowań i morderstw, dokonywanych przez rząd rosyjski na pojedynczych osobach, jak i na całym narodzie”.

„Tak, kończy „Ruch” swe uwagi, szanowne tu odtąd imiona (Jaroszyńskiego, Ryllę i Rzońcy) w narodzie, szanowna ich pamięć. Szubienica, którą Konstanty i Wielopolski myśleli naród przerazić, stała się dla niego chlubą”.

Kiedy tak stronnictwo rewolucyjne używało wszelkich sposobów, plotek ustnych i oszczerstw drukowanych, by rząd zohydzić w oczach narodu, rząd

207 Nr. 5 z d. 17 września 1862 r.

ten spostrzegł się na koniec, że po długim i jak najzgubniejszym dla niego milczeniu należy się także odezwać publicznie, odwołać się do sumienia i serca narodu. Inicytywę w tym względzie dał Krzywicki, nowy dyrektor Komisji oświecenia, który w tym rządzie, porywanym także, pod wpływem rozdrażnionego i rozgoryczonego swego naczelnika, przez namiętności chwili i zaślepienia, patrzył na rzeczy najchłodniej i najtrzeźwiej, co zapewne zawdzięczał swej naturze i szkole, jaką przeszedł w Petersburgu. W kilka dni po zamachu Rzońcy, wydał on okólnik do wszystkich zwierzchników zakładów naukowych, w którym, właściwym sobie stylem jasnym i pełnym prostoty, niemniej przeto nie pozbawionym pewnego uroku i piękności, zaznaczał na-przód, że „jeżeli świętym jest obowiązkiem każdego pojedynczego obywatela potępiać występne teorye w imieniu ojczyzny propagowane, teorye, z których płynie szalony obłąd, ogarniający masy, prowadzący do fałszywych o dobro kraju wyobrażeń, nakazujący bezbożnie używać nawet zbrodni, aby to dobro osiągnąć, niemniej świętym jest obowiązkiem władzy upomnieć tych, co od niej wprost zależą, aby każdy wszelkimi siłami opierał się temu zgubnemu prądowi, który może unieść w jakąś ciemną i straszliwą przepaść wszystkie zasady, jakie kraj od wieków szanował, wszystkie uczucia, na których stoi moralność narodu, wszystkie nadzieje lepszej przyszłości, których ziszczenia serce każdego Polaka tak gorąco pragnie”. Wzywał więc wszystkich nauczycieli szkół, przypominając im niebezpieczeństwo obecnej chwili i ważność ich stanowiska, aby wpływali na młodzież. „Nauka, pisał, z której płyną zdrowe zasady, jest ich (nauczycieli) powołaniem; powaga wyższej myśli i lepszej rzeczy ludzkich znajomości, jest podstawą ich wpływu; trafny sąd o tem wszystkim, co społeczność ludzką podnosi, a co ją poniża, co dla niej jest marzeniem, a co prawdą, co ją zabezpiecza, a co burzy, jest fundamentem tego zaufania, jakie ich otaczać powinno. Niechże każde ich słowo dowodzi, że na wysokości tego stanowiska stoją; niech każde ich ocenienie obecnych wypadków napiętnowane będzie tą dojrzałością sądu, jakiej po nich oczekują ich znajomi, przyjaciele, władza edukacyjna; jakiej wymagać mają prawo rodzice oddający im swe dzieci, jaką świętą jest ich powinnością względem tej młodzieży, której wyobrażenia rozbudza się wprzód niż rozum, którą odurzyć najłatwiej, na której też myśl niedoświadczoną i pojęcia niedojrzałe wichrzyciele polityczni najpierwej i najskuteczniej działać usiłują. Równie w kółkach domowych, jak i w zebraniach towarzyskich, każdy członek zgromadzenia nauczycielskiego znajdzie sposobność jawnie i głośno objawić swój sposób zapatrywania się na ten nieszczęśliwy stan umysłów, do któregośmy doszli; każdy nie tylko prostem oburzeniem, ale i rozumowaniem, opartem na niezbitej logice wypadków, powinien mieć odwagę przekonać, jeśli mu kogo przekonywać przyjdzie,

że nigdy i nigdzie dobro kraju nie wyrosło ze zbrodni; że drogą zawichrzeń do pomyślności powszechnej dojść niepodobna; że to zły i fałszywy patryotyzm, który prowadzi do zupełnej ruiny tej ziemi, którą każdy nade wszystko kochać, której pokoju, bezpieczeństwa, całości i kwitnienia pragnąć powinien”²⁰⁸. Odezwa ta, piękna niezaprzeczenie, przejęta najszczerzą, najgorętszą miłością ojczyzny, pełna strasznych przeczuc na przyszłość, które, niestety! stać się miały rzeczywistością, jak wszystkie odezwy tej doby, za późno przyszła i skutku prawie żadnego nie wywarła.

Ciało nauczycielskie albo zdjęte było strachem przed rewolucją, zarażone brakiem prawdziwie obywatelskiej odwagi cywilnej, albo też w młodszych swoich członkach przejęte było ideami powstańcami i należało nawet do organizacji powstańczej. Tacy nauczyciele jak najgorzej oddziaływali na młodzież i nie myśleli wcale nikogo przekonywać, że „zły to i fałszywy jest patryotyzm, który prowadzi do ruiny tej ziemi”, bo oni pewni byli, że z tej ruiny, z tych popiołów Polska jak bajeczny Feniks odrodzi się i powstanie młoda, świeża, potężna i nieśmiertelna.

Krzywicki, nie poprzestając jednak na tem, wystosował jeszcze jeden okólnik do nauczycieli religii i do opiekunów szkół elementarnych. Przypomniawszy, że Jaroszyński kilkakrotnie i nagłąco pytał namawiającego go do zamachu Chmielińskiego „czy prawdziwym jest katolikiem”, „czy go bierze na swe sumienie” i „czy zamach istotnie do dobra ojczyzny posłuży”, zwracał ich uwagę na tę smutną, jak się wyraził, okoliczność, że „w kraju naszym można napotkać ludzi, w których sercu tak słabo ugruntowane są najprostsze zasady katechizmu, mówiące o bojaźni Bożej i miłości bliźniego; że w społeczności naszej mogą krążyć tak ujemne pojęcia o dobru kraju, o znaczeniu chrześcijanina i katolika, że są ciemni, których w jednej rozmowie przekonać można, że ojczyzna da się zbawić zabójstwem, że katolik może w jej imieniu zabijać, że kraj może uczcić mordercę, że ktokolwiek bądź może wziąć na swoje sumienie cudzą zbrodnię i zbrodniarza od gniewu Boga, od zgryzot wewnętrznych i od ciężaru grzechu uwolnić i zasłonić”. Wobec tego, Komisya wyznań i oświecenia upomina wszystkich nauczycieli religii i opiekunów szkół elementarnych i rzemieślniczych, „aby na to zgubne skrzywienie wyobrażeń szczególną zwrócili bacność”. „Niech nie zaniedbują żadnej sposobności, mówi dalej, aby wpoić w umysły tę tak prostą, a tak często pomijaną prawdę, że kto kraj swój prawdziwie kocha, kto szczerze pragnie przyczynić się do jego pomyślności, jednym słowem, kto chce być dobrym obywatelem, nie do nadzwyczajnych wysiłen uciekać się, lecz w obranym zakresie codziennie, nieustannie, póki

208 Okólnik ten w całości czytać można w „Dzienniku powszechnym” (Nr. 188), we wszystkich pismach ówczesnych, oraz u Lisickiego, Aleks. Wielopolski, II, 422.

życia starczy, z chrześcijańską wytrwałością i ufnością w wyroki Opatrzności pracować powinien. Nie masz stanowiska, na którym by nie można najskuteczniej służyć krajowi; czy powołaniem czyjem jest urząd, czy warsztat, czy książka, czy pług, wszędzie i zawsze poszanowaniem praw Boskich i ludzkich, szacunkiem swojego stanu, sumiennym spełnianiem jego obowiązków, pracą i tylko pracą prawdziwie i po synowsku rodzinnej ziemi służyć może²⁰⁹.

Lecz najważniejszą, najdonioślejszą z tych wszystkich odezwo rządowych, była odezwa W. księcia namiestnika do narodu, ogłoszona d. 27 sierpnia, a więc nazajutrz po wykonaniu wyroku na Ryllu i Rzońcy. Odezwa ta, zredagowana, przynajmniej w zasadniczej swej osnowie, przez Wielopolskiego²¹⁰, została ogłoszona przez wszystkie dzienniki i wydrukowana dużym pismem na wielkich arkuszach białego papieru, rozesłana w ogromnej ilości egzemplarzy do wszystkich miast, miasteczek i wsi, i rozlepioną na miejscach najwidoczniejszych. Wydanie jej teraz doradził margrabia²¹¹, on, który nie chciał, by się odwoływano do narodu po zamachu Jaroszyńskiego, co słuszne musiało budzić podejrzenie, że strach paniczny, jaki nim oświadczył po dwóch zamachach na niego, był głównym źródłem tego kroku. Cesarz, uwiadomiony o zamiarze ogłoszenia proklamacji, zgodził się na nią i pisał: „oby Bóg dał, by odezwa wywarła skutek zbawienny”²¹². Tym sposobem ukazał się na koniec ten plód, zbyt późno na świat zrodzony, i przez to samo niemogący wyrzucić tego „zbawiennego skutku”, którego tak gorąco pragnął Aleksander II. Czytano z nadzwyczajną ciekawością te pierwsze głośne słowa niemego dotąd króla, i dziwiono się, że są one tak blade i tak nic nie mówiące.

W rzeczy samej odezwa, jakkolwiek zredagowana przez margrabiego, ulegając jednak zapewne licznym cenzurom i przeróbkom, robi wrażenie ciężko wysmażonej elukubracji, skreślonej sucho, bez zapału, bez podniosłości stylu i słowa, bez patetyczności, koniecznej w tego rodzaju utworach i w takiej epoce jak ówczesna. Wielki książę zaznaczając z początku, że mianowanie go namiestnikiem, było „niewątpliwym dowodem dobrotliwych cesarza chęci” ku Polakom; że przyjmując te obowiązki, nie tał przed sobą trudności zadania, „lecz czystość uczuć” jego, „nadzieja w Bogu i w udziale wszystkich Polaków, ojczyznę prawdziwie kochających i o jej rzetelne dobro troskliwych”, dodała mu otuchy; i że w takim usposobieniu usłuchał głosu monarchy, „a w zakład uczuć swoich, przywiózł z sobą, co ma sercu najdroższego, małżonkę swoją

209 Okólnik przedrukował „Dziennik powszechny” (Nr. 193), a za nim inne pisma. U Lisickiego go nie ma.

210 Lisicki, *Le marquis*, II, 334: „minuta tej proklamacji zredagowana była przez margrabiego”.

211 *Loc. cit.* II, 332.

212 *Loc. cit.* II, 334.

i dzieci”, a to nazajutrz po zamachu na przedstawiciela cesarza. „Wszakże, brzmiała dalej odezwa, zanim jeszcze stopy moje dotknęły się waszej ziemi, uzbrojone już było ramię mordercy, który wnet miał cios mi zadać. Śmierć czyhała na mnie w pośrodku rzeszy wychodzących na moje spotkanie, i postępowala za pierwszymi krokami moimi, kiedy szedłem przed Ołtarze Pańskie. Łaską tylko Boskiej opatrności zostałem ocalony. Odtąd dwa jeszcze zamachy spełniono na mężu, którego ufność cesarza i króla dodała mi z pośród was, jako współpracownika w wielkim moim powołaniu. Ramię sprawiedliwości dotknęło winowajców. Rząd najjaśniejszego pana będzie umiał ukrócić występne knowania, a osłonić opieką prawa ludzi dobrej woli”. Po tym przydługim nieco wstępie i nie określającym w niczem stanowiska rządu i Konstantego do Polski, następują takie słowa: „Polacy! czyliż dopuścicie, aby występne stronnictwo nieliczne lecz zapamiętałe i do najohydniejszych środków uciekające się, stawiało zaporę między tronem i narodem i tamowało spełnienie zamiarów najjaśniejszego pana? czyliż ścierpicie, aby, pod pozorem wolności i miłości ojczyzny, potworne sprzysiężenie terroryzowało naród bezustannymi groźbami? Bądźcie godni pełnych chwały przodków swoich, pamiętajcie, że dotąd żadna karta dziejów waszych nie nosiła na sobie zmazy czynów tak ohydnych. Postępowaniem waszem przekonajcie świat cały, że zrzucacie z siebie solidarność wszelką zbrodni naród hańbiących”. Tu odezwa wymienia nadane już reformy i kończy się jak następuje: „Nie dopuszczajcie więc, aby zupełne ich (reform) wykonanie i dalsze rozwinięcie tamowane być mogło przez zbrodnicze stronnictwo, poświęcające dobro kraju ziszczeniu swych zasad wywrotu; przez stronnictwo umiejące tylko niszczyć, ale nie budować! Polacy! połóżcie we mnie zaufanie równe temu, jakie ja w was położyłem. Połączcie się ze mną w jednym uczuciu, pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski, prosząc Boga, aby usiłowaniom naszym błogosławił, a nowa epoka dobrego bytu i szczęścia otworzy się dla tej ojczyzny, którą tak miłujecie”.

Czy w kraju, od dwudziestu blisko miesięcy podniecanym przez odezwy, pełne częstokroć ognistego zapału, podniosłości wyrażen, silnego, porywającego nieraz patosu, takie słowa chłodne, ciężko wypracowane, oszlifowane aż do zatarcia wszelkiej barwy i wszelkiego blasku, mogły wyrzucić na masy, na tłumy, o które szło głównie, jakiegokolwiek wrażenie? A przy tem proklamacya w niczem nie uspokajała tych wszystkich umysłów, które drżały na myśl powstania, ale zarazem uważały, że teraz jest jedyna chwila, w której można zażądać jakiejś pewności, jakiejś uroczystej gwarancyi, że nadane reformy będą dalej rozwijane i że nie ulegną wcześniej czy później odmianie. Tej pewności odezwa nie dawała. Na 54 wiersze tekstu, zawierała ona zaledwie ośm po-

święconych najpoważniejszej kwestyi, t. j. kwestyi reform, które uważała, jako „zadośćuczynienie prawdziwym potrzebom”, ale o ich przyszłości nic nie mówiła i nadziei dalszego ich rozwoju nie robiła. To też wszyscy umiarkowani, wszyscy ludzie starsi, którzy patrzyli na rządy Paskiewicza i Muchanowa, na ich działalność podkopującą podstawy narodowego istnienia, żalowali mocno, głośno uskarżali się, że w proklamacyi nie zaznaczono, nie położono nacisku na to, iż reformy nigdy nie zostaną cofnięte, nadane koncesye odwołane. Odzywali się oni, że skoro już król niemy raz przemówił, a przemówił dlatego, że ujrzał przepaść pod nogami kraju, którym rządził, to powinien był przede wszystkim wyszukać takie zaklęcie, takie słowo uroczne, które by mogło wpłynąć na uspokojenie umysłów. Takim zaklęciem czarodziejskiem, według umiarkowanych, mogło być publicznie i głośno wypowiedziane zapewnienie, że koncesye odebrane nie będą i takie słowo byłoby paktem nowym między Polską i Rosyą po zerwaniu i zdeptaniu przez obie strony wszystkich dawnych paktów. Inni znowu uważali, że jakkolwiek proklamacya W. księcia nie może być uważana za akt takiej uroczystej, międzynarodowej umowy, przecież do pewnego stopnia przez samo odezwanie się do narodu polskiego jest niejako gwarancją moralną, że rząd z drogi, na którą wszedł, nie chce się cofnąć, a przynajmniej nie prędko i nie łatwo się cofnie.

Przeciw tym opiniom jak najgwałtowniej występowało stronnictwo Czerwieńców. Twierdziło ono, że proklamacya niczego nie dowodziła i niczego nie gwarantowała, że jest ona po prostu wynikiem trwogi, jaka ogarnęła Wielopolskiego po dwóch ostatnich zamachach; że chciał on przez szereg słów patryotycznych uspokoić kraj i sobie zapewnić życie. Gdyby bowiem było inaczej, mówili oni; to czemuż W. książę nie wydał takiej odezwy zaraz po zamachu Jaroszyńskiego? Wszak okoliczności były te same i wyrzuciwszy cztery wiersze o „dwóch zamachach spełnionych na mężu, którego ufność cesarza i króla dodała mi jako współpracownika”, proklamacya mogłaby być równie dobrze ogłoszona dnia 5 lipca, jak i d. 27 sierpnia. Odezwa więc nie jest wcale obrazem „czystości uczuć” wielkoksiążęcych, nie jest żadną gwarancją moralną, że rząd drogi, na którą wszedł, nie opuści tak łatwo i prędko, że wreszcie w proklamacyi nie idzie o zabezpieczenie życia W. księcia, który milczał jak zaklęty po wystrzale Jaroszyńskiego, ale idzie głównie o wykazanie grozy i ohydy, leżącej w zamachu na męża, wybranego „z pośród was”. Jednem słowem proklamacya jest wyłącznie dziełem Wielopolskiego i gwoli jego spokojności osobistej napisana.

W odpowiedzi na nią ukazała się drukowana, szczotką odbita odezwa Komitetu centralnego, w której między innemi powiedziano: „wróg katuje a jeszcze szydzi, chwali się z dokonanych morderstw, odwet z naszej stro-

ny nazywa zbrodnią, chce, żebyśmy się wyrzekli praw naszej narodowości, żebyśmy splamili całą przeszłość naszą, a odwołuje się do serc naszych, do szlachetności naszej, do tej przeszłości, którą by chciał jednym zamachem zniszczyć do szczytu. Polacy! odpowiedzcie, co wam każą serca wasze, przeszłość wasza i powinność wasza; nakazują one wam trwać do końca, stać nieustannie na stanowisku narodowym, prowadzić z wrogiem nieubłaganą walkę, bez przerwy, bez umów i ustępstw, dopóki ostatniego wroga z Polski nie wygnacie”²¹³.

Wszystkie te odezwy, starcia, spory i dyskusje świadczyły wszakże o jednym, że proklamacya W. księcia, mimo całą swoją bladość, na umysły klas wyższych, na ludzi umięjących myśleć i zastanawiać się, wywarła wrażenie nie swemi słowami lub treścią, ale tym faktem, że Konstanty przemówił na koniec do Polaków i wzywał ich, by się z nim „połączyli w jednym uczuciu, dobru Polski”. Już teraz najbardziej różowo patrzący na położenie widzieli, że jeżeli rzeczy pójdą dalej tym samym jak dotąd torem, to wybuch powstania zbrojnego w jak najkrótszym czasie jest rzeczą nieuniknioną; a nie było znów takiego człowieka w ówczesnej Polsce, z wyjątkiem zaciętrzewionych rewolucjonistów, który by nie był przekonany, że powstanie zbrojne, to największe nieszczęście dla kraju. Wydawało się zatem wielu, że teraz jest najsposobniejsza chwila, by opierając się na wezwaniu W. księcia, wypowiedzianem w proklamacyi w słowach: „połączcie się ze mną w jednym uczuciu, pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski”, istotnie dać gremialne poparcie rządowi przez akt odpowiedni i tym sposobem położyć tamę rewolucyjnym i zgubnym dążnościom garści ludzi, nikomu nieznanych, którzy zuchwale wzięli na siebie kierownictwo losami Polski.

Myśl ta wśród szlachty, wśród byłych członków Towarzystwa rolniczego, wśród prowincjonalnej organizacyi białej, wszędzie znajdowała uznanie. Zjeżdżano się, naradzano, mówiono bardzo wiele i ogromne ożywienie dało się spostrzegać w kraju, zwłaszcza w Lubelskiem, Radomskiem i Augustowskiem²¹⁴. Ożywienie to nie mogło się nie odbić na Dyrekcyi białej w Warszawie, na którą nacisk z prowincyi robiono, która zresztą nie potrzebowała być naciskaną, by widzieć, że chwila jest ważną i że krok jakiś stanowczy uczynić należy. Podobnie więc jak na prowincyi naradzano się i tutaj, schodzono, dyskutowano, a w dyskusjach tych brało udział wielu ze szlachty prowincjonalnej, którzy powoli zjeżdżali się do Warszawy, pociągnięci ważnością wypadków, poczuciem, że w tej chwili łąnią się losy przeznaczeń polskich, i że od kroku, na jaki stronnictwo umiarkowane się ostatecznie zdecyduje, zależeć bę-

213 Odezwę tę, nie przedrukowaną nigdzie, pomieszczamy w całości na końcu dzieła pod Nr. 3.

214 Pawliszczew, Siedmicy I, 131.

dzie przyszłość kraju. Na tych naradach w Dyrekcyi białej, odbywających się w różnych miejscach, przeważnie po prywatnych mieszkaniach jej członków, a najczęściej u p. Władysława hr. Zamoyskiego i u Kronenberga, nabyto tego przekonania, że jeżeli się teraz nie zapobiegnie, to powstanie niechybnie w ciągu kilku miesięcy wybuchnie. Ale co robić? jak zażegnać zbliżającą się burzę? jaką tamę niszczącej fali postawić? Jedyne środki widziano w przywróceniu konstytucji z 1815 r. i w przyłączeniu do Królestwa tak zwanych prowincyi zabranych, a przynajmniej nadania im podobnych reform, jakie Królestwo już otrzymało. Sądzone, że tym sposobem, uzyskawszy tak szerokie ustępstwa, będzie można dążności rewolucyjno-powstańcze zahamować i koniec im położyć, zapominając, że Czerwiencom i ogromnej większości narodu nie szło wcale o konstytucję i reformy, rozszerzone nawet na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę, ale o niepodległość zupełną.

Wszelako Dyrekcyja mniemała, że jeżeli rząd zrobi to nowe ustępstwo, to ona, oparta na całej szlachcie, na wszystkich ludziach trzeźwych i rozumnych, zdoła hydrze rewolucyi kaganiec nałożyć. Bądź co bądź takie warunki postawiła i w takim tylko razie przyrzekła dać swoje poparcie rządowi. Szło teraz o to, by się dowiedzieć bezpośrednio, czy Wielopolski nie jest przeciwny tym żądaniom i czy, chociażby w dalszej przyszłości, starać się będzie o ich urzeczywistnienie, a pośrednio wybadać go, dokąd on właściwie dąży i czego chce. Dla nabycia takiego przeświadczenia, uchwalono wysłać deputacyą do margrabiego z grona Dyrekcyi²¹⁵. Czy jednakże tak mocodawcy jak i ich mandatarysze wierzyli w możliwość takiej kombinacji? Czy mogli przypuszczać z dobrą wiarą, że margrabia, jako wysoki urzędnik, jako człowiek rozumny wreszcie, zgodzi się na ich żądanie? Z pewnością między zebranymi nie było ani jednego, który by mógł wierzyć w to, że rząd rosyjski ustępstwo takie uczyni nie zmuszony do niego koniecznością, lub wyczerpaniem zupełnem po długiej i krwawej wojnie. Wszyscy o tem wiedzieli, a jednak stawiali takie postulata, bo tak im kazały ówczesne aspiracje narodowe, które wtedy tylko zgodzić by się mogły na jakiś kompromis chwilowy z Rosyą, gdyby zajaśniała ta dawna zorza, „najpiękniejsza z zórz, co od morza szła do morza złotem polem zbóż!”

Wszakże, mimo niewiary w powodzenie swego posłannictwa, deputacya udała się do pałacu Brühlowskiego. Margrabia przyjął ją bardzo ozięble, bardzo chmurno i bardzo dumnie, co tych panów mocno, już zaraz z początku, ochłodziło. Mimo to wypowiedzieli mu cel swego przybycia i zapewnili jak najuroczyściej, że jeżeli margrabia żądania, które mu przedstawiono, uzna za

215 A. Giller, Al. hr. Wielopolski 100. Kto należał do deputacyi, Giller nie powiada.

słuszne i dobre, i jeżeli obieca działać w ich myśli, choćby w dalekiej przyszłości, to w takim razie całe stronnictwo umiarkowane będzie mu bezwarunkowo posłusznem i będzie spełniało dane sobie rozkazy, bez wymagania jakichkolwiek od Wielopolskiego objaśnień.

Margrabia, wysłuchawszy w milczeniu deputacyi, odrzekł sucho i dumnie: „waszego, ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy”²¹⁶. Była to odpowiedź straszna dla obu stron; pełna grozy tragicznej. Wielopolski widział dobrze, iż wszelkie nadzieje na poparcie jego polityki jeżeli nie przez kraj cały, to przynajmniej przez jego najwybitniejsze warstwy, stanowczo rozpadły się i rozwiały jak zwodniczy miraż w pustyni; że został sam, sam jeden z olbrzymim ciężarem na barkach, i że ten ciężar wcześniej czy później nowego Krzyżtopora polskiego sobą przyniesie. Skończyły się dni nadziei, zbliżał się z niepowstrzymaną siłą ostatni akt dramatu, ostatnie jego rozwiązanie. To samo widzieli deputowani i Dyrekcyja. Cóż teraz pozostawało? w logicznem rozumowaniu nic innego jak złączyć się z Czerwieńcami i skoro wielkie zagadnienie polskie nie dało się rozwiązać na drodze pokojowego kompromisu, trzeba dlań było szukać wyjścia na polu krwawej walki, uciec się do miecza, by ten nowożytny węzeł gordyjski rozciąć raz na zawsze. Takie też myśli mieli wszyscy, a przynajmniej prawie wszyscy zebrani w Dyrekcyi, gdy delegacyja zdała im sprawę ze swego poselstwa. Przed ich wyobraźnią podnosiło się już ponure, krwią ciekące widmo powstania, jako nieunikniona teraz, logiczna i fatalna konieczność.

Ale życie, wypadki, przedza dziejowa ma nieraz zupełnie inną logikę, niż ludzie. Zdarzył się bowiem mniej więcej w tym czasie fakt, który inny kierunek nadał myślom członków Dyrekcyi, a nade wszystko który zmore powstania oddalał w nieskończoność przyszłych kolei dziejowych. Fakt ten był wynikiem długiej, tajemnej intrygi, snutej cierpliwie i wolno koło W. księcia i omotującej go powoli; z intrygi tej jednak, mającej za podstawę prywatę i urazy osobiste, przez szczególne zrzządzenie losów, wykwitało, jak kwiat woniejący z cuchnącego bagniska, zbawienie dla Polski.

Źródłem tej intrygi był Aleksander hr. Przeździecki, znany w literaturze zbieracz i archeolog, żyjący jeszcze od czasu zapisu Świdzińskiego, przez którego był mianowany jednym z wykonawców testamentu, głęboką i niezatartą urazę do Wielopolskiego i czekający tylko sposobnej chwili, by się na margrabim dotkliwie pomścić. Zapoznał on się, a może znał się od dawna z generałem Chreptowiczem, marszałkiem dworu W. księcia, i przy po-

216 Loc. cit.

mocy tegoż na wspólnie z Franciszkiem Węgleńskim pracowali, by podkopać w Konstantym ufność do margrabiego²¹⁷. Węgleński, członek niegdyś komitetu Towarzystwa rolniczego, podobnie jak wszyscy od dawna margrabiemu nie sprzyjał, a w dodatku teraz świeżo dotkliwie przezeń obrażonym został, a przynajmniej uważał się za obrażonego. Margrabia pragnął, za jedno z ogniw swego planu postawił sobie, oddanie wszystkich najwyższych urzędów krajowych w ręce najwybitniejszych przedstawicieli szlachty. Jak wiemy, gubernatorstwa oddał już takim przedstawicielom; dyrektorstwo Komisji spraw wewnętrznych w myśli zdecydowany był wcześniej czy później odebrać niedołącznemu Kellerowi, a oddać p. Ostrowskiemu, dotychczasowemu gubernatorowi radomskiemu; na dyrektora Komisji sprawiedliwości wybrał sobie Węgleńskiego, a Komisji skarbu: Kurtza. Rozpoczęte z nimi pertraktacje nie doprowadziły jednak do niczego; obaj żądali, by margrabia powiedział im, dokąd dąży, lub mówiąc prościej, czy myśli o odbudowaniu Polski dawnej. Gdy Wielopolski nie chciał im wyjawiać zamiarów swoich, bo i nie było czego wyjawiać, gdyż cała jego działalność wyraźnie przedstawiała jego plany, odmówili skwaszeni i rozdrażnieni.

Nieszczęściem bowiem polskiem, wadą umysłów naszych było i jest zawsze, że lubimy w każdej akcji politycznej wyszukiwać jakichś skrytych, wielkich planów tajemnych, choć bezstronne, spokojne przypatrzenie się rzeczom przekonywuje, że tych planów nie ma i być nie może. Posądzano Wielopolskiego o jakieś mgliste idee panslawistyczne, o jakieś morze rosyjskie, które ma wchłonąć w siebie wszystkie rzeki słowiańskie, i do takiej naturalnie polityki, wymarzonej w głowach fantazyujących prawdziwie po polsku, przykładać ręki nie chciano. „Margrabia, wołał Kurtz, każe nam siadać do powozu, ale nie mówi, dokąd nas zawiezie”²¹⁸, a tym czasem Wielopolski nigdzie indziej ich zawozić nie chciał i głośno o tem każdy czyn jego mówił, tylko do królestwa takiego, jakie stworzył kongres wiedeński. Pomimo jednak odmowy obu tych panów, stosunki margrabiego z Węgleńskim powoli się jakoś ułożyły, i ten ostatni po zamachu Rzońcy umyślnie ze wsi przyjechał, by margrabiemu powinszować ocalenia, oraz jako Radca stanu znaleźć się w tak krytycznej chwili obok Naczelnika rządu. Po przybyciu udał się natychmiast do pałacu Brühlowskiego. „Zobaczysz, jak będę grzeczny, słuchaj tylko”, rzekł Wielopolski do krewnego, gdy zameldowano Węgleńskiego. Ten przybył z przekonaniem, że odbędzie konferencją polityczną, że może zdoła wyrozumieć polskiego „sfinksa politycznego”, i zawiódł się srodze. Margrabia przez cały czas bawił go rozmową o teatrze... Węgleński

217 S. hr. Aleksandrawicz. Urywkowe zapisy (rękopism).

218 S. Koźmian, *Rzecz II*, 167.

wyszedł głęboko tem dotknięty i obrażony, gdyż sądził, że Wielopolski go lekceważy²¹⁹.

Otóż teraz zdarzyła się sposobność pomszczenia swej urazy na Wielopolskim, i Węgleński na wspólkę z hr. Przeździeckim starali się za pośrednictwem jenerała Chreptowicza wpływać na W. księcia, przedstawiając mu, że rządy margrabiego są szkodliwe tak dla Konstantego samego, jak i dla kraju.

Szkodliwość ta przede wszystkim leżała w bezprzykładnej niepopularności Wielopolskiego, w nienawiści, jaką wzbudzał, a której część, padając z konieczności na W. księcia, nie dozwoli mu nigdy ustalić spokojności w kraju. Zdania te powtarzał ciągle także sam Węgleński, który począł teraz bywać w Belwederze, prawie co dzień, i długie narady miewał z namiestnikiem²²⁰. Jakież, według Węgleńskiego, było wyjście z tego położenia, które sam W. książę, zwłaszcza po dwóch ostatnich zamachach, uważał za istotnie szkodliwe? nic innego tylko usunięcie Wielopolskiego z wysokiego urzędu, a na jego miejsce posadzenie pana Andrzeja Zamoyskiego, „ulubieńca narodu”, lub też innego człowieka zdolnego i wpływowego. Węgleński nie wymieniał nazwiska tego człowieka, który obok Zamoyskiego mógłby zastąpić margrabiego, ale zdaje się, że Przeździecki za pośrednictwem Chreptowicza nasuwał myśl W. księciu, że tym człowiekiem mógłby być Węgleński²²¹. W Dyrekcyi białej wiadano o tych naradach, nieomal codziennych, Węgleńskiego z W. księciem, ale nikt treści ich nie znał; wiedział zapewne i Wielopolski i dlatego tak był drażliwy, ilekroć Zamoyski w jakiegokolwiek akcji politycznej brał udział.

Bądź co bądź te ciągłe podszepty, popierane fatalnym rozwojem wypadków, dążących widocznie do katastrofy, mogącej raz na zawsze zniszczyć ambitne marzenia W. kniazia rosyjskiego, zrobiły swoje i Konstanty postanowił zbliżyć się do p. Andrzeja i wyrozumieć go dobrze. Jakoż mniej więcej w tym czasie jenerał Chreptowicz pewnego dnia, przybyły niby z prywatną wizytą, zapytał od niechcienia Zamoyskiego, dlaczego nie bywa w Belwederze, i dodał, że „W. książę zawsze mile by go widział u siebie i rad byłby pomówić z nim o interesach kraju”²²².

219 Loc. cit. II, 168. „Czy margrabia sądzisz, rzekł krewny po odejściu Węgleńskiego, że on wyszedł zadowolony? — To ja chyba, odparł Wielopolski, nie umiem gadać z ludźmi”.

220 S. Aleksandrowicz loc. cit.

221 Loc. cit.

222 Radomiński, Do życiorysu hr. A. Zamoyskiego (Gazeta narodowa z d. 12 listopada 1874 r. Nr. 259). Autor rzecz całą skreślił na podstawie słów b. sekretarza Towarzystwa rolniczego Władysława Garbińskiego, któremu p. Andrzej opowiedział wszystko zaraz po powrocie z Łazienek, a nawet spisał sobie za świeżej pamięci i opis ten kilku przyjaciółom odczytał. Radomiński opowiadanie swoje chciał drukować w r. 1865 w piśmie „Ojczyzna”, wychodzącym w Bendlikonie w Szwajcaryi, ale wprzód rękopism przesłał

Tego rodzaju pytania trzykrotnie się powtarzały, a Zamoyski stale odpowiadał, że „nie bywa w Belwederze dlatego, ażeby Wielopolski nie posądział go o robienie intryg, ale na rozkaz W. księcia zawsze jest gotów do mówienia z nim o interesach kraju”. Wskutek tej odpowiedzi, w kilka dni po ogłoszeniu odezwy W. księcia do narodu, a mianowicie d. 2 września²²³ rano, p. Andrzej otrzymał za pośrednictwem generała Chreptowicza wezwanie przybycia o godz. 8-ej wieczorem do Łazienek, dokąd W. książę przeniósł się był niedawno z Belwederu. Zjawiwszy się o naznaczonej porze w gabinecie namiestnika, Zamoyski zwyczajem swoim, zawsze praktykowanym, ilekroć odwiedzał wysokich dygnitarzy rosyjskich, zatrzymał się przy drzwiach wyprostowany, chłodny, zasklepiony w angielskie zimno, aż Konstanty podszedł do niego, wziął za rękę i przyprowadziwszy do biurka, prosił siedzieć. W. książę zadawszy pytanie, dlaczego p. Andrzej u niego nigdy nie bywa, na co tenże tak samo, jak Chreptowiczowi, odpowiedział, przeszedł do spraw politycznych; prosił, by mu Zamoyski dał obraz położenia kraju, tak jak się ono jemu przedstawia, i wykazał, nie krępując się niczem, szczerze i otwarcie przyczyny niezadowolenia powszechnego.

Pan Andrzej w odpowiedzi na to, sięgnął nieco do przeszłości, mówił o historii porozbiorowej, skreślił w barwach jaskrawych i dosadnych panowanie cesarza Mikołaja I-go, jego rządy tyrańskie i niszczące, i rozgrzewając się powoli, tracąc przybrany i sztuczny chłód angielski, zawołał, mówiąc o reformach i czasach obecnych: „il faut que cette comedie cesse” (trzeba, żeby się ta komedia raz skończyła). Słowa te nie podobały się bardzo W. księciu, i zażądał ich odwołania. Wówczas p. Andrzej powiedział, że są to słowa, wyrzeczone przez cesarza Mikołaja I, po powstaniu 1831r, gdy była mowa o konstytucji polskiej²²⁴. Przez chwilę w gabinecie syna Mikołajowego zapanowało przykre

synowi p. Andrzeja, Władysławowi Zamoyskiemu, który, potwierdzając zawarte w opowiadaniu szczegóły, nie zgodził się jednak na ich druk w okolicznościach ówczesnych. Zdaje się więc, że opowiadanie to ma w głównych zarysach wszelkie cechy autentyczności.

223 Radomiński loc. cit. powiada, że rozmowa W. księcia z p. Andrzejem odbyła się d. 14 września. Z uwagi, że adres szlachty do Zamoyskiego nosi datę 11 września, prosta logika każe przypuszczać, iż rozmowa odbyła się znacznie wcześniej, gdyż adres, jak to potwierdzają wszystkie źródła polskie, był wynikiem tej rozmowy. Berg, Zapiski II, 334 utrzymuje, że widzenie się z W. księciem miało miejsce d. 2 września; idziemy za nim, jakkolwiek z drugiej strony budzi się podejrzenie, czy nie jest to data, oznaczona według kalendarza juliańskiego.

224 Radomiński, loc. cit. opowiada, że gdy W. książę zażądał odwołania tych wyrazów, p. Andrzej miał odrzec: „mam dwa razy więcej lat życia od W. książęcej mości i lata te strawiłem na pracy, na nauce. Mógłbym być ojcem W. książęcej mości. Pamiętam, jak w kilka lat po rewolucji 1831 r. ojciec W. książęcej mości, cesarz Mikołaj, mówiąc

i dręczące milczenie, wreszcie W. książę ze spokojem, który go przy rozgrzewającym się coraz bardziej p. Andrzeju ani na chwilę nie opuścił, zaznaczył, że mu są dobrze wiadome pragnienia i dążności Polaków, że chcą oni koniecznie przywrócenia dawnych granic polskich, ale że to jest niemożliwe, bo Litwa nigdy do Polski nie należała. Na przeciwnie dowodzenia Zamoyskiego nic nie odrzekł²²⁵, i zwrócił rozmowę na obecne okoliczności.

Pytał więc, co teraz robić trzeba, czy nie ma jakiego sposobu uspokojenia kraju, czego właściwie chcą ludzie umiarkowani, jak postępować, by reformy mogły być urzeczywistnione; że hrabia, gdyby chciał szczerze, mógłby ułagodzić umysły przez wpływ, jaki posiada wśród wszystkich warstw społeczeństwa polskiego; że powinien postarać się o obniżenie życzeń, przekraczających wszelkie granice. „Wszyscy pana kochają, szanują i posłuchają z pewnością, zakończył, tylko chciej tego hrabio szczerze, inaczej roztworzy się przepaść, w którą nie my, ale wy wpadniecie. Decyduj się hrabio!” Słowa te, niezaprzeczenie rozumne i przejęte życzliwością dla kraju, a może gorącą chęcią urzeczywistnienia osobistego interesu i osobistej ambicji, nie wywarły żadnego wpływu na Zamoyskiego. Odzyskując swój chłód pierwotny, i jakby odgadując, co się dzieje w duszy tego półmęża, który przed nim siedział, rzekł: „Ja zawsze pragnąłem i pragnę spokoju mojej ojczyzny i sądzę, że nikt o tem nie wątpi, ale mój wpływ na umysły nie jest tak wielki, jak to sobie W. ks. mość wyobraża. Pochlebia mi to bardzo, coś mi W. ks. mość powiedział, ale rzeczy nie tak się mają. Gdyby mnie się kto zapytał, czego trzeba dla uspokojenia kraju, odrzekłbym bez wahania: złączenia wszystkich prowincji dawnej Pol-

o Polsce, wyrzekł te słowa; il faut que cette comedie cesse, i dla tego słów tych odwołać nie mogę”. Odpowiedź ta p. Andrzeja, nieco prostacka w tonie, a filisterska w treści, nie wydaje nam się autentyczną.

- 225 Loc. cit Autor o tym ustępie rozmowy opowiada, że na uwagę W. księcia, iż Litwa nigdy do Polski nie należała, p. Andrzej miał odrzec: „prawda, mości książę, że tak wydrukowano w historii Ustiałowa i Pawliszczewa, i że tak uczą w szkołach, ale mam zaszczyt zwrócić uwagę W. ks. mości, że wtedy, kiedy Litwa do Polski należała, to Rosy jeszcze nie było, a było tylko W. ks. moskiewskie, rzeczpospolita pskowska i nowogrodzka. W. książę. Żądacie konstytucji dla Litwy, co żadną miarą być nie może. Zamoyski. Pamiętam, kiedy stryj W. ks. mości po kongresie wiedeńskim był u mego wuja, ks. Czartoryskiego w Puławach, to mówił: to, co zrobiłem dla Polski, zrobię i dla Litwy. W. książę. Ale uważaj pan, z jednej strony protestantyzm, z drugiej strony prawosławie, więc tylko to, co w środku zostaje katolickie, mogłoby Polskę stanowić. Zamoyski. Każ sobie W. ks. mość pokazać akta o nawracaniu unitów na prawosławie i akta wywiezionych z tego powodu na Syberią, przekonasz się, że więcej jak 200.000 ludzi wolało zginąć na wygnaniu, niż zmienić religię. Za te czyny ojciec W. ks. mości odpowiada teraz przed tronem Najwyższego”. Treść i ton tej rozmowy budzi poważne wątpliwości co do jej autentyczności. Dlatego nie podajemy jej w tekście.

ski, pod twoim, mości książę zarządem, ze stolicą w Warszawie. Ale to jest moja opinia. Inni może inaczej myślą. Mogę zebrać przyjaciół moich i znajomych i poprosić ich, by mi szczerze i otwarcie swe zdanie w tej kwestyi wyjawili. O tem, co oni mi powiedzą, nie omieszkam donieść W. ks. mości. Innego sposobu nie widzę”. „Dobrze, zbierz pan swych przyjaciół i spytaj”, rzekł Konstanty i na tem rozmowa się skończyła²²⁶. W. książę przez cały czas jej trwania zachowywał się zupełnie spokojnie, niekiedy tylko jego zimne i brzydkie oczy zapalały się blaskiem złowrogim i ponurym. Żegnając Zamoyskiego, podał mu rękę drżącą nerwowo i tak spoconą, że pan Andrzej musiał swoją, po wyjściu, obetrzeć²²⁷.

Była to zaiste fatalna rozmowa. Jeżeli odrysowała ona w zupełności cały charakter pana Andrzeja, w którego, rzec można, wcieliły się wszystkie ówczesne pragnienia i ideały polityczne polskie, jego charakter otwarty i rycerski, nie wahający się synowi największego ciemieźcy narodu wygłosić to, czego dotąd nikt nie ośmielił się powiedzieć carom rosyjskim, wszystkie bóle i cierpienia, wszystkie żale i pragnienia polskie, i jeżeli z wielu względów rozmowa ta zaszczyt przynosi p. Andrzejowi, jakkolwiek była niepolityczną, — to z drugiej strony musiała ona przygnębiające wrażenie wyrzucić na W. kniazia rosyjskiego. W duszy jego musiało podobne zbudzić się uczucie, jakiego doznał przed paru dniami margrabia Wielopolski, gdy mu deputacya szlachecka stawiała warunki poparcia jego rządów; tak samo i W. książę musiał teraz spostrzegać, że jego słodkie marzenie, słodsze jeszcze szeptu niewieście o koronie, o wicekrólestwie, o purpurze wydobytej z grobowców Jagiellońskich i rzuconej na ramiona tego potomka Gottorpów holsztyńskich, nikną jak mgła poranna, jak cienie senne, gdy widny promień słońca rzeczywistości je oświeci. A jednak, taką niekiedy jest ironia zdarzeń, w ów wieczór wrześniowy, w owym gabinecie, gdzie uśmiechały się ze starych, Stanisławowskich portretów pół nagie prababki pana Andrzeja, co Polskę przefrymarczyły, przetańczyły i przekochały, ten wnuk ich melancholijny i czysty, jak łąza, zdawał się na chwilę odgadywać tajne myśli wnuka Katarzyny i starą, rdzawą koronę Jagiellońską mignął mu przed oczyma.

Czemuż Bóg jemu i innym nie dał w owej pamiętnej chwili ręki tak delikatnej, by mogła grać na nikłych strunach ambicyi syna Mikołajowego starego mazurka o nieginącej i odradzającej się Polsce pod jego berłem?

Ale wszystkiego tego nie było, stało się zaś to, czego nikt nie przewidywał i co w tajnych księgach dziejowych przeznaczeń polskich było tą deską zbawienia, którą podają w rozchukanych falach rozbitkom, a którą od czasu

226 N. Berg, *Zapiski II*, 337.

227 Radomiński, loc. cit.

do czasu los rzuca i wielkiemu rozbiciu polskiemu, by zginąć zupełnie nie mogło. Pan Andrzej, powróciwszy od W. księcia, całą rozmowę swoją opowiedział Grabińskiemu, dawnemu sekretarzowi Towarzystwa rolniczego²²⁸, który, oczywiście, rzeczy pod korcem nie trzymał, ale uwiadamił o niej wszystkich. Nazajutrz już cała Warszawa o rozmowie tej wiedziała. Zrobiła ona nadzwyczaj silne wrażenie, komentowano ją, zastanawiano się nad nią i ostatecznie uważano ją za bardzo ważną, jaką niezaprzeczenie była. Dla przewodników szlacheckich, dla Dyrekcyi białej, która słała deputacyą do Wielopolskiego i która, wobec jego dumnej odpowiedzi, znalazła się w położeniu bez wyjścia, w straszej rozterce duszy, bo, jakeśmy rzekli, logicznem następstwem tej odpowiedzi nie było nic innego, jak rzucenie się w objęcia Czerwieńców i wywołanie powstania, co jednak uważano i słusznie za samobójstwo, za zamach na życie ojczyzny, rozmowa pana Andrzeja z W. księciem stała się nagle punktem wyjścia i jakim jeszcze punktem! Skoro Wielopolski, mówiono sobie teraz, naszego poparcia nie chce i nie potrzebuje, więc pominiemy Wielopolskiego, a traktować będziemy z W. księciem, zwłaszcza, że on sam do tego zachęca, sam żąda naszej pomocy. Zdanie to usilnie popierali ci wszyscy, którzy pragnęli obalenia znienawidzonego magnata, różni Węgłęńscy i nie-Węgłęńscy, którzy marzyli o objęciu po nim spuścizny.

Zabrano się więc gorąco do rzeczy i Dyrekcyja poczęła rozpisywać listy, by członkowie i nie członkowie organizacyi białej zjechali się do Warszawy na walną naradę, nie ukrywając tego wcale, że zwoływanie to dzieje się z wolą i wiedzą W. ks. namiestnika. Jakoż zrobił się gorączkowy ruch w całym kraju, kto tylko mógł, spieszył do stolicy, gdzie, zdawało się, że rozegrają się niezmiernej doniosłości wypadki, bodaj czy nie donioślejsze od niezapomnianych, przeszłorocznych dni lutowych. Znalazło się także w Warszawie kilku ziemian z Litwy i Rusi, którzy w części sami przybyli, a najprawdopodobniej wezwani byli przez Dyrekcyą²²⁹. Dzięki temu wszystkiemu na posiedzeniach Dyrekcyi zebrało się wkrótce, w pierwszych dniach września około trzystu²³⁰ obywateli ziemskich i miejskich, gdyż Warszawa znaczny kontyngens ludzi usposobionych umiarkowanie dostarczyła. Na wszystkich robiło to niezwykle wrażenie, że na rogatkach, pomimo stanu wojennego, nie pytano się nikogo o paszporty, a policya względem przybyłych okazywała nadzwyczajną uprzejmość. Mówiono też, może nie bez pewnej słuszności, że w kwestyi pasportów takie były rozkazy W. księcia, który chciał by zjazd i narada odbyła się bez

228 Loc. cit.

229 W. Spasowicz. Żiżń i politika markiza Wielopolskiego, 290.

230 Tak wszyscy liczbę tych, którzy brali udział w naradach, skreślają, jeden tylko Berg, Zapiski II, 338, mówi o 150 do 200 osób.

żadnych przeszkód i by każdy miał do niej wstęp niczem nieskrępowany²³¹. Już na pierwszym posiedzeniu, mniej więcej koło 10 września²³², podniesioną była kwestya adresu do W. księcia. Projekt ten wniósł Stanisław Zamoyski, syn pana Andrzeja, który na posiedzeniach nie bywał, do niczego się nie mieszał, stał poza całą tą akcją, ale wiedziano, z czem zresztą p. Stanisław się nie krył, że działa on w imieniu ojca i od niego natchnienia odbiera.

Zrazu narady odbywały się województwami pod prezydencją jednego z wojewódzkich, potem sejmowali deputaci w liczbie dwóch lub trzech z każdego województwa, wreszcie koła wojewódzkie, jak wiadomo, złożone z samych wojewódzkich, na które zapraszano Dyrekcyą²³³. Z początku w zebraniach tych panował istny chaos przekonań i wyobrażeń. Większość szlachty, udając się do Warszawy, jechała w tem przekonaniu, że należy zamanifestować swe dążności białe, że trzeba rząd poprzeć i w odpowiedzi na proklamacyą namiestnika napisać adres, potępiający zamachy i działalność Czerwieńców; niemniej przeto chciano skorzystać ze sposobności i jako warunek danego rządowi poparcia, domagać się od niego instytucji narodowych. Tak przynajmniej mówiono między sobą na wsi, gdy się zgromadzano po dworach i wybierano do Warszawy. Pod tem jednak zdaniem: instytucje narodowe, różni różne snuli pojęcia i ściśle ich sobie nie określano. Zdaje się jednak, że najdalsze żądania szlachty, pojedynczo wziętej, nie sięgały poza konstytucyą 1815 roku.

Ale inna rzecz była rozprawiać na wsi, w gronie kilku lub kilkunastu sąsiadów, a zupełnie co innego, gdy się znaleziono na palącym bruku Warszawy, w jej atmosferze ognistej i trawiącej, a nade wszystko gdy się ujrzało w wielkiej gromadzie i mimo woli szeptało sobie słowa poety „jeszcze kupa nas!” Oczywiście nie obeszło się bez tego, że Czerwieńcy, krzywo patrząc na cały zjazd, kręcili się między zebranymi i ze zjadliwą ironią witali ich słowami: „przyjechaliście zrobić nową Targowicę”²³⁴, co na ludzi ówczesnych, nadzwyczaj drażliwych o swą opinią obywatelską, nie pozostawało bez wpływu. Przy tem w samym obozie Białym, teraz gdy stanął gromadnie, okazała się ogromna różnaitość pojęć i opinii, świadcząca, jak dalece trzydziestoletnie destrukcyjne rządy Paskiewiczowskie rozbiły naród.

Znalazło się naprzód wielu stronników Wielopolskiego, wielu dygnitarzy przezeń mianowanych, wielu paniczów utytułowanych, którzy, rzecz dziwna, odgrywali, niewątpliwie samozwańczą, rolę komisarzy rządowych²³⁵ na tym

231 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny I, 146.

232 Pod tą datą donosi już cesarzowi Pawliszczew (Siedmicy I, 120) o zjeździe szlachty.

233 Aweyde, Zeznania (u Berga II, 338).

234 Lisicki, Le marquis II, 336.

235 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny I, 149.

nowym sejmie polskim, i domagali się, by zebranie jedynie zajęło się kwestią poparcia rządu. Ilekroć podniesiono kwestią nowych ustępstw ze strony rządu, stanowczo się temu sprzeciwiali, a natomiast rysując obraz zagrożonego przez Czerwonych społeczeństwa, wołali, że „trzeba użyć niezwłocznie środków zapobiegających, wesprzeć rząd dla zduszenia hydry rewolucji, gdyż inaczey rodziny i majątki przedniejszych warstw polskich zagrożone będą przez zwolenników Komitetu centralnego”. Zdania te wszakże nie znajdowały echa, przyjmowano je i zbywano milczeniem. Powoli jednak umysły się gorączkowały, zgromadzenia, zrazu bardzo chwiejne i ostrożne w wyrażaniu swych opinii, nabierały charakteru ostrego i zdecydowanego, zwłaszcza, że Czerwienicy skrycie ale systematycznie nie przestawali wpływać na pojedynczych członków zebrania. Kwestya podania adresu do W. księcia nie ulegała wcale dyskusji, wszyscy go uznawali za konieczny, po to zresztą się zebrano. Nie o to więc chodziło, ale o to, co ma adres zawierać, i tu wyszły na wierzch najróżnorodniejsze żądania, najrozmaitsze opinie. Jedni domagali się, by w adresie zażądano zwołania reprezentantów kraju, którzy by radzili o obecnem jego położeniu, inni chcieli prosić W. księcia w formie bardzo przyzwoitej i dyplomatycznej o nadanie krajowi konstytucji i przyłączenia Litwy, i Rusi, inni znowu uważali to wszystko za rzeczy niemożliwe i domagali się, aby zredergowano adres jak najtreściwszy, jak najlakońiczniejszy, nieokreślony, taki sam, jaki zamierzano podać namiestnikowi Lambertowi podczas wyborów do rad, w jesieni zeszłego roku; inni na koniec pragnęli, aby w adresie zaznaczyć votum nieufności dla margrabiego Wielopolskiego i żądać jego usunięcia od władzy.

Znaleźli się i tacy, którzy proponowali odrzucenie formy adresu, a natomiast wydanie pewnego rodzaju manifestu sejmowego, gdzie miały być otwarcie i bez obłonek wypowiedziane wszelkie żądania, konstytucja, sejm, wojско, przyłączenie Litwy i Rusi. Chcieli oni, by z tym manifestem cała zebrana w Warszawie szlachta udała się do W. księcia, albo też wybrani przez nią deputowani, po dwóch z każdego województwa²³⁶.

Taki obrót rzeczy nie podobał się nadzwyczajnie p. Andrzejowi i słusznie. Jeżeli szlachta została zwołaną, to nie dlatego, by pisała jakieś adresy i stawiała żądania, których nikt od niej nie wymaga, ale żeby powiedziała, jakie są sposoby uspokojenia kraju. W rozgoryczeniu, jakie nim owładało, nazwał myśl adresu „dzieciństwem” i „głupstwem”, i wprost domagał się, aby zebrani zajęli się tem tylko, po co zostali zwołani²³⁷. Zebranie otrzymało także ostrzeżenie i z innej strony, ze strony W. księcia samego. Przez pośrednictwo osób trze-

236 Lisicki, *Le marquis II*, 336. Berg, *Zapiski II*, 339.

237 Lisicki, *loc. cit.*

cich, przez owych dygnitarzy, którzy na zgromadzeniach bywali i odgrywali dziwną zaiste, rolę komisarzy rządowych, zapytał on się poufnie wybitniejszych członków zjazdu: „jakie ustępstwa, wedle ich zdania, byłyby zdolne zadowolnić Polaków i nakłonić ich do wspierania rządu w walce z burzycielami porządku?”²³⁸. Niestety! umysły były już zanadto rozgorączkowane, serca długą, gorzką i palącą dyskusją roznamietnione, wspomnieniami rozbolełe, obawą przed nową Targowicą przejęte, by odpowiedź mogła być rozumna politycznie, choć w jej sformułowaniu zachowano spokój i powagę. „Czerwoni, odpowiedziano poufnemu posłańcowi W. księcia, nie dążą wcale do wywrotu społecznego, ale pragną pozyskać prawo polityczne, zgodne z dawnym rozwojem historycznym, a odpowiednie do potrzeb obecnych. Nie przesadzamy rzeczy stanowczo, nie mając do tego odpowiedniego mandatu, prawdopodobnie jednak połączenie i nadanie zupełnego samorządu prowincjom polskim pod berłem cesarza rosyjskiego wzbudziłoby w narodzie ufność do monarchy i ubezwładniłoby wszelkie zachcianki, zmierzające do powstania”.

Nic więc nowego W. książę się nie dowiedział; o Litwie i Rusi, o konieczności przyłączenia ich do Królestwa, jeżeli ma być w kraju spokojność, słyszał ciągle i słyszy jeszcze ciągle. Ale to, co dotąd przyjmował z uśmiechem pobłażliwości, a może z lekkim bólem zawiedzionych nadziei, teraz poczęło go drażnić. Powiadają, że, gdy mu tę odpowiedź starszyny szlacheckiej przyniesiono do Łazienek, obudziła się w nim dziadowska natura Pawłowa, powstał z grobu Konstanty Pawłowicz, straszny niekiedy stryj jego. W uniesieniu tupął nogami i ciskał po podłodze meble, klnąc i lżąc wszystkich głośno, a wreszcie kazał powiedzieć owej starszynie, aby nie ważyła się pod żadnym pozorem i pod najsurowszą odpowiedzialnością, przysyłać mu adresu z tego rodzaju żądaniami²³⁹.

Wobec takiej postawy i takich słów W. księcia, kwestya adresu do niego, głośne i publiczne poparcie rządu, wyraźna manifestacja na jego korzyść, stanowczo przepadła. Wzięły górę podszepty Czerwonych, ich nieustanne insynuacje i szyderstwa, obawa nowej Targowicy, gniew wreszcie niezdrowy i za nic nie chciano już odnosić się do W. księcia, który, zwoławszy szlachtę do Warszawy, teraz każe jej milczeć i grozi surową odpowiedzialnością, wielką akcją polityczną traktuje obyczajem rosyjskim ze stanowiska policyjnego. Z drugiej strony nie chciano rozjechać się bez jakiegoś aktu uroczystego, bez wyraźnego i jawnego zaznaczenia swych żądań i aspiracji. Do takiego kroku wszystko popychało i podszepty Czerwieńców i gromadna ilość zebranych i atmosfera stolicy i potrzeba odczuwana głęboko zarysowania swych pragnień. Szukano drogi zadośćuczynienia tej potrzebie i wpadnięto na myśl

238 K. Gregorowicz, *Pogląd krytyczny* I, 152.

239 *Loc. cit.* I. 153.

dziwaczną zaiste, Bóg wie, w czyjej głowie zrodzoną, ażeby, skoro nie można samemu W. księciu podać adresu, podać go p. Andrzejowi Zamoyskiemu i akt ten drogą prywatną uczynić głośnym i wszystkim wiadomym.

A przy tem dla licznych nieprzyjaciół Wielopolskiego, taki adres, złożony na ręce p. Andrzeja, był niezaprzeczonem votum nieufności dla ministra, który nie umiał sobie zjednać sympatyj narodu. Zdaje się, że uchwała wystosowania pisma do p. Andrzeja zapadła d. 11 września²⁴⁰, i pomimo opozycji wielu, do rządu których należał także członek Dyrekcyi, znany nam już Paszkiewicz, głośno wołający, że krok taki „nie ma za grosz sensu”²⁴¹, projekt ten ogromną przeszedł większością. Postanowiono więc zrehabilitować taki adres, uroczystość go wręczyć Zamoyskiemu, z tem zastrzeżeniem, by przy okoliczności przyjaznej podał go do wiadomości W. księcia. Pan Andrzej, uwiadomiony poufnie o tej osobliwszej zaiste uchwale, opierał się jej, ile mógł²⁴², i za pośrednictwem najbliższych swych doradców, Aleksandra Kurtza, Franciszka Węgleńskiego i innych, starał się szlachtę odwieść od tego kroku. Gdy jednak usiłowania te rozbiły się o upór zebranych, gdy się poczęły rozlegać głosy, że Zamoyski w chwili najkrytyczniejszej zamierza opuścić szlachtę i jak Piłat drugi umyć ręce wobec ukrzyżowanej ojczyzny, uległ, bo uleść musiał, bo redakcyi takiego pisma sprzeciwić się nie mógł, i postanowił je uważać i traktować jako prywatny wyraz poglądów pewnej grupy obywateli, nie obowiązujący go do niczego²⁴³.

Tymczasem zebrani, nie zważając na opozycję p. Andrzeja, przekonani, że, gdy doń przyjdą z adresem, drzwi im przed nosem nie zamknie, z tą gromadną ufnością w swe siły i swą przewagę, jaka zawsze znamionowała szlachtę polską, zabrali się do redakcyi adresu. Według jednych powierzono ją zwykłemu pióru zebranych szlacheckich tej doby, Edmundowi Stawiskiemu²⁴⁴, według innych Karolowi Ruprechtowi²⁴⁵. Sam adres zaczyna się od tylokrotnie nadużytego frazesu o „bezprzykładnych w dziejach nieszczęściach Polski”, które jednak „nie zdołały osłabić ducha narodu, ani skazić w nim lub oziębic gorących poczuć historycznego powołania”; że duch narodu „spotężniał poświęceniem i ofiarą”, że „w chwilach

240 A. Giller, Aleksander Wielopolski 105.

241 N. Berg, Zapiski II, 340.

242 Lisicki, Al. Wielopolski I, 356, twierdzi, że „ostateczna dyskusja odbyła się w domu p. Andrzeja, pod jego osobistym przewodnictwem”. Wszystkie inne źródła, jak również nasze poszukiwania, zaprzeczają temu. Pan Andrzej nie był wcale obecnym na żadnym z posiedzeń, jakie szlachta odbywała, a dowiedziawszy się o jej uchwale, udawał, że nic o niej nie wie, uważał ją za niebyłą i nie przywiązywał do niej żadnej wagi, jak tego dowodzi scena wręczenia mu adresu.

243 Stanisław Z. Porozbiorowe aspiracje, 321.

244 N. Berg, Zapiski, II, 340.

245 A. Giller, Karol Ruprecht, szkic biograficzny, 48.

stanowczych woła on o zwrot odjętych, a wiekami uświęconych praw i swobód”. Zaznaczywszy następnie, że już w roku zeszłym, w chwili wyborów do Rad miejskich i powiatowych, adres upominający się o reprezentacją narodową, dwudziestu tysiącami podpisów pokryty, był przygotowany, ale stan wojenny uniemożliwił jego doręczenie, więc dziś „my Polacy w imię społecznego porządku i cywilizacji europejskiej”, korzystając z odezwy W. ks. Konstantego, „aby nie dozwolić krajowi posuwać się ku przepaści bez wyjścia”, w braku innej do wystąpienia drogi, postanowiliśmy udać się do ciebie (do p. Andrzeja); że „uosabiając w sobie ducha naszego narodu, wypowiesz J. C. Wysokości potrzeby i przekonania w głębi serc i umysłów naszych złożone, przekonania i potrzeby, których zatajenie za szkodliwe, a głośnie wypowiedzenie przed całym światem za konieczne uważamy. Od udziału w nowo nadanych nam instytucjach nie usuwamy się, lecz obowiązani jesteśmy oświadczyć, że środkami dotąd używanymi doprowadzono kraj do stanu, w którym ani użycie siły wojskowej, sądów wojennych, więzień i wygnania, ani nawet kara śmierci, nie zdołają go uspokoić, a przeciwnie ostateczne wywołają rozdrażnienie i pchną na drogi, dla rządzących i rządzonych coraz zgubniejsze.

My zaś, jako Polacy, wtedy tylko rząd z zaufaniem popierać będziemy mogli, gdy rząd ten będzie naszym polskim, i gdy Ustawą zasadniczą przy wolnych instytucjach złączone będą wszystkie prowincje, ojczyznę naszą składające. Wszakże sama J. C. Wysokość w odezwie swojej uszanował tę naszą miłość ojczyzny i przyrzeka nam współudział w pracy około jej dobra. Dzielić miłości nie możemy; ojczyznę naszą całą kochamy, w granicach, jakie jej Bóg zakreslił, a tradycje historyczne przekazały”²⁴⁶.

Dokument ten jest zaprawdę jednym z najdziwniejszych, najosobliwszych objawów tej epoki, obfitującej w tyle niezrozumiałych zagadek. Przede wszystkim był on nielogicznym w stosunku do tego, po co się zjechało. Miano potępić zamachy, a w adresie nie ma ani słowa o zamachach; miano poprzeć rząd i istniejący stan rzeczy, a domagano się przyłączenia Litwy i Rusi, jak gdyby zebrani mieli na zawołanie krocie bagnetów i krocie dział, gotowych nadać wagę ich żądaniom. Adres jednym słowem był zupełnym zerwaniem z rządem i jeszcze zupełniejszym poparciem programu Czerwieńców²⁴⁷. Na pochwałę rozumu polskiego powiedzieć trzeba, że nie wszyscy chcieli podpi-

246 Adres ten czytać można w całości u Gillera, *Historia powstania II*, 395, w jego pracy o Wielopolskim, 106; w „Wydawnictwie materyałów do historii powstania” I, 26; u Lisickiego *Al. Wielopolski II*, 426 i w „Affaires de Pologne” (Paris 1863), 33. Tekst, wydrukowany u Lisickiego, różni się nieco z tekstem podanym przez inne źródła, co zapewne pochodzi z różnic w tłumaczeniu.

247 Pawliszczew, *Siedmicy I*, 138, opowiada taką anegdotę, że jeden z Rosyan po przeczytaniu adresu miał zawołać: „dzięki Bogu, zostawiają nam przynajmniej Moskwę”, (nu, sława Bogu, ostawiają nam po krajniej mierze Moskwu).

sać ten wysoce nietaktowny, nierozumny i niepolityczny dokument, choć taka odmowa zagrażała mianem zdrajcy, odstępcy, Targowiczana. Na przeszło trzystu zebranych podpisało się około dwustu²⁴⁸, ale później spostrzeżono się, że nie należy tych dwustu osób narażać na przypuszczalną represję rządu i na przedstawienie Dyrekcyi, arkusze z podpisami zniszczono, a sam tylko adres bez podpisów zamierzono wręczyć p. Andrzejowi²⁴⁹.

Gdy się na koniec w uroczystej deputacyi do niego udano, ten trzymając się raz powziętego postanowienia: uważać adres za wyraz opinii prywatnych, a zatem nie nadający żadnego mandatu i nie obowiązujący do żadnych kroków, a przez takie traktowanie tego aktu odebrać mu wszelki charakter publiczny i polityczny, adres wziął do ręki i nie czytając go wcale, rozpoczął z zebranymi pogawędkę o urodzajach i zasiewach, i pożegnał, nie dopuściwszy do podniesienia jakiegokolwiek kwestyi politycznej, lub odnoszącej się do samego adresu²⁵⁰. Szlachta bardzo niezadowolona z tego przyjęcia, z mocno skwaszonymi minami wyszła, i jak gdyby lękając się następstw swego kroku, co najrychlej, zrazu pojedynczo, wreszcie tłumnie poczęła wyjeżdżać z Warszawy.

I byłoby się wszystko na tem skończyło, p. Andrzej byłby adres schował do swego archiwum rodzinnego, gdzie tyle dokumentów polskiej lekkomyślności się kryje, a choć ojczyzna nic na tym zjeździe nie skorzystała, sytuacja w nim się nie poprawiła, owszem pogorszyła się znacznie, to przynajmniej on osobiście nie pokutowałby za błędy innych. Ale na to zgodzić się nie mogli ani twórcy adresu, ani Czerwieńcy snujący się między szlachtą i baczne oko na wszystko co się dzieje mający. Adres tego samego jeszcze dnia rozbiegł się po Warszawie i z wyjeżdżającą szlachtą po prowincyi; przepisywano go i podrzucono po miejscach publicznych²⁵¹, restauracjach, cukierniach, kawiarniach, tak że w ciągu dwudziestu czterech godzin nie było nikogo w Warszawie, a w parę dni później i w kraju, kto by adresu tego nie czytał.

Do rąk W. księcia dostał on się także nadzwyczaj szybko, i jeżeli wierzyć można niektórym relacyom, wprzód nawet niż go otrzymał p. Andrzej Zamoyski z rąk deputacyi szlacheckiej²⁵². W. książę był zdumiony tym ak-

248 A. Giller, *Al. Wielopolski*, 106 twierdzi, że „adres ten pokryto trzystu podpisami”, ale jest to zwykła u niego przesada, której dosłownie brać nie należy. Niektóre dzienniki współczesne zagraniczne, a między nimi dość dobrze zwykle poinformowana „*Breslauer Ztg*” utrzymuje (Nr. 435), że adres podpisało tylko 70 obywateli.

249 N. Berg, *loc. cit.* II, 342.

250 Stanisław Z. *Porozbiorowe aspiracje*, 322.

251 Pawliszczew, *Siedmicy*, I, 131.

252 Stanisław Z. *Porozbiorowe aspiracje*, 322 pisze: „musiał jednak na zebraniu mężów zaufania być obecnym agent tajnej policyi rosyjskiej, skoro W. książę otrzymał odpis aktu wprzód, zanim sam akt został Zamoyskiemu wręczony”.

tem, potem rozgniewany mocno i w pierwszym uniesieniu chciał wszystkich uczestników zjazdu wysłać na Syberią, choć większość już heroicznie drapnęła z Warszawy, a przy tem nie było legalnego powodu do takiego kroku. Miano w rękę odpis adresu, ale oryginału jego nie miano, nie miano także podpisów; nie było więc podstawy i osób, które by można pociągnąć do odpowiedzialności, prócz jednego p. Andrzeja. Nie ulega wątpliwości, że Wielopolski tak rzeczy przedstawił W. księciu i że zarazem poradził skorzystać ze sposobności, by p. Andrzeja raz na zawsze pozbyć się z kraju. Margrabia przez taką radę osiągał cel podwójny, publiczny i prywatny; pierwszy przez to, że zdawało mu się, iż usuwając z drogi Zamoyskiego, ułatwiał sobie zadanie uspokojenia kraju, drugi, że przestał lękać się o swe osobiste stanowisko, które sobie bardzo cenił i które uważał za mocno zagrożone popularnością p. Andrzeja. A zresztą zemstę miał on zawsze za prawdziwą rozkosz bogów... Uwiadomiono więc o wszystkim cesarza i nakreślono sobie plan postępowania, do którego wykonania wzięto się z możliwą szybkością.

Dnia 14 września o godzinie 10 wieczorem, jeden z adyutantów W. księcia, rotmistrz Sierzputowski, Polak z rodu, został wezwany do Łazienek i otrzymał rozkaz, ażeby przygotował się na jutro, na godzinę 10 rano, do podróży do Petersburga w towarzystwie Andrzeja hr. Zamoyskiego.

„Masz czekać, mówił W. książę, na dworcu kolei petersburskiej od godziny 9-ej rano. Uprzedzam, że Zamoyski nie jest aresztowany, na wszelki jednak wypadek będziesz miał w jednym z ostatnich wagonów sześciu żandarmów z oficerem”. Sierzputowski zrobił uwagę, że eskorta taka wcale nie jest potrzebną. „A jeżeli przyjaciele Zamoyskiego będą chcieli go odbić?” zapytał W. książę, co świadczy, jak dalece krok swój względem p. Andrzeja uważał za niebezpieczny i ważny i jak dalece był rozgorączkowany. Sierzputowski o wiele chłodniejszy, odparł, że nikt się o to nie pokusi, że to jest niemożliwe, że zresztą sam Zamoyski, jako szlachcic i człowiek taktowny, nigdy na coś podobnego nie zezwoli i z pewnością nie ucieknie. „Ha! jak chcesz, zakończył W. książę, zostawiam to twemu rozumowi i twej roztropności”.

Nazajutrz dnia 15 września, adyutant W. księcia, Alf Wrześniewski dwa razy o godz. 9-ej i 10-ej rano był u Zamoyskiego, ale widzieć się z nim nie mógł, bo ten ostatni spał jeszcze. Wreszcie o godz. 11-ej zjawił się policmajster pułkownik Rozwadowski i oświadczył p. Andrzejowi, że W. książę czeka na niego. Około godz. 12-ej, Zamoyski udał się w karecie do Łazienek. Konstanty przyjął go w tym samym gabinecie, w którym przed dwoma tygodniami w formie wielkoksiażęcej kurtoazji zapraszał go, by był u niego częstszym gościem. Prócz jenerała Chreptowicza nikogo więcej nie było. Zamoyski wchodząc spostrzegł na biurku parę rewolwerów i pugiłał, i wlepił w nie oczy

z niemem pytaniem. W. książę zauważył to i wsuwając rewolwery pod licznie rozrzucone papiery, rzekł, że jest to broń, którą „mordercy chcieli go życia pozbawić”²⁵³.

„Smutne to są wspomnienia”, zauważył hrabia. W. książę był chmurny i surowy, nie prosił wcale gościa siedzieć i chwytając zawiązującą się rozmowę około faktu zamachu, począł mówić, że zamach ten miał także swoją dobrą stronę, gdyż krwią jego własną przypieczętował związek między nim i narodem, dobru którego chce się poświęcić; że dwukrotnie zwracał się do p. Andrzeja, odwołując się do jego uczuć patryotycznych, pierwszy raz nazajutrz po zamachu, a drugi w prywatnej rozmowie; że w interesie sprawy, której się podjął i wobec ważności wypadków, starał się wykazać konieczność, by wszyscy Polacy rozumni skupili się koło rządu i tym sposobem dali dowód, że nie łączą się ze stronnictwem wywrotu i jego zbrodniczymi czynami; że usiłował wykazać także, iż w chwilach tak krytycznych niemożliwą jest neutralność, że są tylko dwie drogi do wyboru: albo iść z rządem, albo przeciw niemu. Następnie W. książę przeszedł do sprawy ostatniego adresu i zażądał, by mu go p. Andrzej oddał; pan Andrzej tłumaczył się, że w całej tej sprawie nie odgrywał żadnej roli; kwestyą zaś oddania dokumentu pominął milczeniem. Konstanty widocznie począł się unosić, zaznaczył, że Zamoyski nie odmówił przyjęcia adresu, że jest to akt nielegalny, którego żaden rząd tolerować nie może bez okazania widocznej słabości; że on nigdy nie pozwoli na to, by zebranie osób prywatnych uzurpowało sobie prawo reprezentacji narodowej i żeby ktokolwiek, choćby nawet hr. Zamoyski, ośmielał się przyjmować mandat kierownictwa krajem; że on, W. książę, przybył do Polski z silnem postanowieniem trzymania się drogi legalnej i nie może pozwolić na to, by ktokolwiek ośmielał się wykraczać z tej drogi, i zakończył słowami: „jesteś pan naczelnikiem stronnictwa!” (*vous êtes chef d'un parti*). Pan Andrzej zauważył na to, że W. książę jest źle poinformowany, ale Konstanty nie dał mu dokończyć zdania i zawołał z widocznym uniesieniem, dziwnem zaiste w tym wyzębionym pół-mężu: że nie wolno przeczyć wielkiemu księciu” (*on ne dement pas un grand duc*), że pan Andrzej uda się natychmiast do Petersburga, by zdać rachunek ze swego postępowania przed monarchą.

253 Radomiński, loc. cit. twierdzi, że scena z rewolwerami, nie bardzo jasna i niewiadomo co mająca oznaczać, odbyła się w czasie pierwszej bytności p. Andrzeja u W. księcia, i że teraz miała się także powtórzyć, przy czym Konstanty, chwytając broń, miał wyrzec: „d'abord je veux écarter ce que vous a froissé dernièrement”. (Naprzód chcę usunąć to, co pana ostatnim razem uraziło). Sprzeciwia się temu relacja, pomieszczona w „Czasie”, a skreślona przez kogoś z otoczenia p. Andrzeja, utrzymująca, że stało się to d. 15 września przed wywiezieniem Zamoyskiego. Za „Czasem”, poszedł Lisicki, Le marquis II, 338.

Gdy wieść o tej decyzji namiestnika doszła do arcybiskupa Felińskiego, pośpieszył do W. księcia i począł mu przekładać jak smutne następstwa krok taki może wywołać. W. książę zasłaniał się wolą cesarską, a gdy mu arcybiskup zwrócił uwagę, że brat monarchy nie może się stawiać w pozycji ślepego wykonawcy, wypowiedział zdanie, świadczące o całej grozie jego położenia. „Gdybym ja, rzekł, był synem a nie bratem cesarza, wówczas zachowanie się takie byłoby możebnem, ale ja mam tylu wrogów osobistych u dworu, że każdy mój czyn, każde nawet słowo starają się przedstawić monarsze jako posiąganie na przywileje korony we własnych ambitnych zamiarach”. Wobec tego interwencya ks. Felińskiego pozostała bez skutku.

Dla przygotowania się do tej dalekiej, i jak należało przypuszczać, nie prędko mogącej się skończyć podróży, dano p. Andrzejowi tylko dwie godziny czasu. Zrobiono jeszcze to ustępstwo, że pozwolono, by syn Stanisław towarzyszył ojcu w doli wygnania, bo Zamoyscy nie wątpili, że jest to wygnanie, proste zesłanie na Syberyą. O godz. 3-ej po południu, wjechały na dziedziniec pałacu na Nowym Świecie dwie karety: w jednej z nich siedział oberpolicmajster Muchanow, w drugiej komendant placu książę Bebutow. Pan Andrzej siadł z ostatnim, a syn z Muchanowem i wydostano się przez bramę od ulicy Świętokrzyskiej²⁵⁴. Na dworcu kolei czekał już Sierzputowski, mocno zaniepokojony tą długą zwłoką, zwłaszcza, że był tu od godz. 9-ej rano. W owe czasy jeszcze regularnej komunikacji kolejowej nie było; dla p. Andrzeja więc dano pociąg specjalny z wagonem pierwszej klasy, bardzo wytwornym, zaopatrzonym we wszystko, by na stacyach nie potrzeba było wychodzić.

Zresztą obiady, gorące jedzenia, Sierzputowski zamawiał naprzód przy pomocy telegrafu. Sądził on, że pociąg przybędzie do Carskiego Sioła dopiero o godz. 11-ej wieczorem d. 16 września, a że miał do cesarza, zamieszkującego wtedy w tej ulubionej przez siebie miejscowości, depesze od namiestnika, postanowił więc nie jechać z Zamoyskim do Petersburga, ale zażądał telegrafem od szefa żandarmów, ażeby na ten cel wysłał na spotkanie osobnego oficera. Jakoż w Carskiem Siole zjawił się jakiś generał żandarmski, ubrany w mundur galowy i we wszystkie ordery, którego gdy Sierzputowski wprowadził do wagonu, zajmowanego przez p. Andrzeja, ten zmieszał się mocno i rzekł: „więc teraz rzeczywiście jestem aresztowany?” (*maintenant je suis yraiment arrêté?*). Sierzputowski wytłomaczył zdenerwowanemu widocznie tem wszystkim p. Andrzejowi, że wcale tak nie jest, że jeżeli go opuszcza, to tylko dlatego, by oddać cesarzowi w Carskiem Siole depesze od W. księcia, i że nazajutrz przedstawi mu się w hotelu Europejskim, na ulicy Michajłow-

254 A. Giller, *Al. hr. Wielopolski*, 109, twierdzi, że wprzód dokonano w domu Zamoyskiego rewizyi. Inne źródła o tem nic nie mówią, więc rzecz uważamy za wątpliwą.

skiej, jak tylko cesarz go uwolni. Jakoż rozstano się tutaj; Zamoyski pojechał z jenerałem żandarmskim do Petersburga, a Sierzputowski udał się do pałacu w Carskim Siole. Ponieważ dnia owego odbywał się na pokojach cesarzowej bal z powodu uroczystości pułkowej pułku Graczyńskiego kirasyerów, więc cesarz przyjął Sierzputowskiego dopiero koło godziny 1-ej po północy, rozmawiał z nim dość długo i kazał mu jechać do Petersburga dla uprzedzenia Zamoyskiego, że cesarz wezwie go do siebie za kilka dni, a mianowicie po powrocie z Nowogrodu, gdzie miało się odbyć uroczyste odsłonięcie pomnika, wzniesionego na pamiątkę tysiącoletniego istnienia państwa rosyjskiego. W końcu cesarz polecił Sierzputowskiemu, aby koniecznie był w Warszawie w d. 20 września i zawiózł życzenia cesarskie W. księciu w dniu jego urodzin. Wówczas Sierzputowski zapytał się, że jeżeli Zamoyski poprosi go, by cokolwiek przewiózł do Warszawy jego rodzinie, czy ma to wziąć, czy nie? „Stanowczo (rieszitelno) wszystko, co da”, odrzekł cesarz²⁵⁵.

Tymczasem w Petersburgu Sierzputowski, gdzie z rozkazem cesarskim przybył nazajutrz d. 17 września koło południa, do hotelu na ulicę Michajłowską, i kierowany zwykłym instynktem żandarmskim, począł przepytować się u szwajcara i dowiedział się, że do hr. Zamoyskiego przyjeżdżało mnóstwo wyższych dygnitarzy petersburskich i składali mu swe karty. Gdy jednak opowiedział p. Andrzejowi to co miał poleczone i oświadczywszy, że za tydzień powraca do Warszawy i chętnie podjąłby się jakiej przesyłki ze strony hrabiego do jego krewnych lub przyjaciół, p. Andrzej chłodno mu podziękował i nic nie dał. W ogóle Petersburg, stronnictwo postępowo-liberalne, „zapadnicy” jednym słowem, którzy w tej porze wzięli górę nad innemi partjami, nie było zadowolone z postępowania rządu względem Zamoyskiego. Porwanie znamienitości krajowej, jaką niezaprzeczenie był p. Andrzej, przez żandarmów z łona rodziny, przywiezienie go pod strażą tychże żandarmów do Petersburga, przypominało wszystkim dawne mikołajewskie czasy, kiedy to t. z. feldjerzy cesarscy bez sądu, bez wyroku chwyтали ludzi i zawozili na Syberyą. To też oprócz licznych odwiedzin, jakie p. Andrzej odbierał od znanych i nieznanych sobie dygnitarzy rosyjskich, wszędzie oni, gdzie tylko mogli i jak mogli, dawali poznać, że wcale nie chwalą takiego arbitralnego postępowania z obywatelem tak znakomitym, jak hr. Zamoyski.

Gdy Sierzputowski spotkał się gdzieś z ministrem spraw zagranicznych ks. Gorczakowem i ten zapytawszy go o wypadki warszawskie w końcu rzekł, że zapewne rotmistrz wie o tem, że hr. Zamoyski jest w Petersburgu i gdy Sierzputowski odpowiedział, że to on go przywiózł (*c'est moi qui l'ai amené*),

255 N. Berg, Zapiski II, 345. Jest to relacja, zaczerpnięta z ust samego Sierzputowskiego.

stary dyplomata ze zjadliwym uśmiechem poprawił żołnierską szczerość słowami: „a! to pan mu towarzyszyłeś”, (ah ! c'est vous qui l'avez accompagné)²⁵⁶.

Cesarzowi to zachowanie się dygnitarzy petersburskich względem jeńca polskiego (boć takim był p. Andrzej), nadzwyczajnie się nie podobało. Pierwszą wiadomość dał o tem Aleksandrowi II Sierzputowski, który tegoż jeszcze d. 17 września wieczorem znalazł się w Carskim Siole. Owe składanie wizyt przez ministrów i kanclerza nawet, owe znaczące słowa ks. Górczakowa i wiele im podobnych, miały charakter wyraźnej demonstracji politycznej. Ale na to już nie było rady; więzić Zamoyskiego nie podobna było, zostawił mu więc zupełną swobodę, tylko około 23 września zażądano z Warszawy od p. Andrzeja, aby przez piśmienną deklaracją zaprzeczył obiegującym po kraju pogłoskom, iż zjazd szlachty był zwołany na żądanie W. księcia namiestnika. Wiemy, że tak było, ale p. Andrzej w swem położeniu ani mógł, ani chciał zapewne spierać się z tymi, którzy wszelką moc nad nim mieli i deklaracją żadaną d. 23 września złożył, którą „Dziennik powszechny” ogłosił zaraz. „Pośpieszam oświadczyć, pisał p. Andrzej, iż od Jego cesarskiej wysokości żadnego, jakiegobądź upoważnienia nie otrzymałem i że też nikogo nie zwoływałem”²⁵⁷.

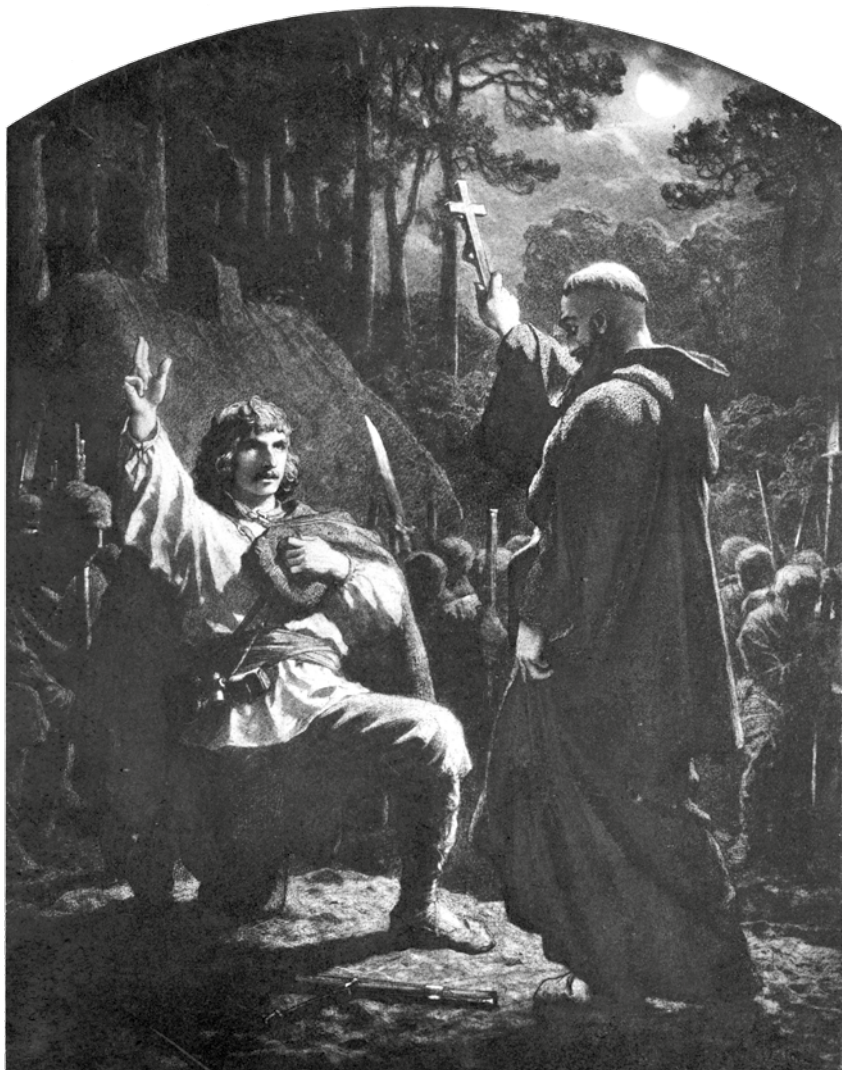
Widzenie się Zamoyskiego z cesarzem nastąpiło dopiero w połowie października, po powrocie Aleksandra II z uroczystości tysiącolecia Rosyi, obchodzonych w starym Nowogrodzie.

Co i o czem cesarz mówił z p. Andrzejem, dokładnie nie wiadomo; rozmowa toczyła się tylko między nimi dwoma, bez żadnego postronnego świadka i trwać miała około dwóch godzin. Cesarz był jak zwykle bardzo uprzejmy i wahający wobec zagadnienia, jakie przedstawiała Polska, zagadnienia, jak mu się zdawało, nierozwiązalnego. Odzywał się, że najlepszy system rządzenia Polską jest system jego ojca, system grozy i gwałtu²⁵⁸. Na to Zamoyski odpowiadał, że system ten nie przyniósł spodziewanych korzyści i przypominał całkiem odrębną politykę stryja cesarskiego, jego obietnice i zobowiązania, ale cesarz nazwał Aleksandra I marzycielem i że za jego przykładem iść nie myśli.

256 Loc. cit.

257 „Dziennik powszechny” (Nr. 218) ze swej strony deklaracją tę poprzedził takim komentarzem: „na zasadzie korespondencji warszawskich, dzienniki zagraniczne rozgłaszają wiadomość, że zwołanie w Warszawie pewnej liczby właścicieli ziemskich dla podania adresu nastąpiło skutkiem upoważnienia, jakie Jego cesarska wysokość, Wielki książę namiestnik miał udzielić hr. Zamoyskiemu. Gdy twierdzenie to jest zupełnie fałszywe, przez to rządowi Jego cesarsko-królewskiej mości zależało na tem, aby publiczność nie była w błąd wprowadzoną wieściami szerzonymi oczywiście przez ludzi złej woli. Hr. Zamoyski, urzędownie wezwany o zwrócenie rzeczy na drogę prawdy, złożył pod d. 11/23 września formalną piśmienną deklaracją następującej osnowy” i t. d.

258 Ch. de Marade, Deux portraits (w zbiorze „Memoires sur la Pologne”) 95.



Z konieczności przyjść na stół musiała stara kwestya Litwy i Rusi; wszak kwestya ta była treścią adresu podanego p. Andrzejowi i o nią, jak o skałę sterczącą na oceanie, rozbić się miał jeszcze raz okręt polski, wichrami przeciwnymi gnany. Cesarz w rozmowie o tym przedmiocie zaznaczył, że on nigdy nie bronił rozbioru Polski, którego dokonano za rządów cesarzowej Katarzyny. „Rozbiór był nie tylko niesprawiedliwością, ale i złą polityką” zauważył²⁵⁹; ale stało się, i ani on ani nikt na świecie nie jest mocen przerobić faktu spełnionego. A przytem zachodzi jeszcze jedna okoliczność, która nawet jemu, samowładnemu panu Rosyi, nakłada pęta; nie on przyłączył te prowincye, otrzymał je w dziedzictwie, i nie ma prawa ich ustępować nikomu. Obrona interesów państwa jest jego pierwszym i świętym obowiązkiem; on może tylko starać się o polepszenie stanu wcielonych do Rosyi krajów, o nadanie im praw i ulg wszelkiego rodzaju, o czem zresztą ciągle myśli. W Królestwie wprowadzają się różne, bardzo ważne reformy; że on liczył na to, iż Zamoyski stanie po stronie rozumnych przedstawicieli Królestwa i dopomoże namiestnikowi i Naczelnikowi rządu cywilnego, że się przyczyni do spełnienia i tak już trudnego zadania.

Tymczasem, zamiast tego wszystkiego, Zamoyski spowodował zwiększenie trudności i popychał niejako swój naród nieostrożnie a nawet lekkomyślnie na drogę marzeń nieziszczonych. Na szczęście nie wszystko jest jeszcze straconem; sprawy w Królestwie nie stoją tak źle, by ich poprawić nie można było. Naprawią się one, ale już teraz bez p. Zamoyskiego, który, gdyby dłużej został w kraju, narobiłby nowego zamętu, nowych niezręczności, szkodliwych dla Polski, dla swego stronnictwa, dla siebie wreszcie. Wobec tego cesarz nie może pozwolić na jego powrót do kraju. Niech p. Zamoyski zamieszka gdzie chce, byle nie w Warszawie i nie w Królestwie. „Nie zatrzymuję pana ani w Petersburgu, ani też nie aresztuję, skończył cesarz, nie chcę z pana robić męczennika. Pojedziesz pan zagranicę i sądzę, że nic nie masz przeciw mnie osobiście”²⁶⁰. Ponieważ w ciągu rozmowy Aleksander parokrotnie się wyraził, że będzie błagał Boga by go w sprawie polskiej oświecił, więc p. Andrzej, zegnając się, zawołał: „najjaśniejszy panie, unoszę z sobą twe przyrzeczenie, że będziesz błagał Boga, by cię oświecił”. W parę dni potem Zamoyski opuścił Petersburg i udał się przez Berlin do Paryża, gdzie stanął d. 18 października²⁶¹, i już nigdy nie miał ujrzeć Warszawy, w której tak przeważną i tak doniosłą odegrał rolę.

259 N. Berg, *Zapiski*, II, 347.

260 Loc. cit. Radomiński (Do życiorysu hr. A. Zamoyskiego) utrzymuje, że cesarz kazał Zamoyskiemu wyjechać z kraju na trzy lata.

261 N. Berg, loc. cit. II, 347.

Tak zeszedł z wielkiej widowni historycznej człowiek, który przez trzydzieści ciężkich i wszelakiego rodzaju uciskiem znaczonych lat, niósł wysoko i dumnie sztandar idei ojczyściej. Że tę ideę pojmował fałszywie, to nie było jego winą, ale winą czasu, w którym żył, winą ogólnych aspiracji narodowych.

Czysty i nieskalany, wszystko, co robił, robił zawsze z myślą o Polsce i dla Polski, i dlatego też pomimo mnóstwa błędów, jakie popełnił i za które nie tylko sam, ale i ukochana gorąco przez niego ojczyzna pokutować musiała, pozostanie on w dziejach, jako jedna z najszlachetniejszych i najpiękniejszych postaci. Teraz schodził ze sceny z charakterem ofiary samowoli i złej wiary rządu, z bolesnem zapewne poczuciem, że nie spełnił tego, co mógł spełnić dla kraju, nad którym wisiała groźba strasznego jutra powstańczego... Odtąd przebywał po większej części w Paryżu, wsłuchując się w odgłosy tej ponurej, wszystko niszczącej burzy, jaka huczała w kraju; patrząc z udręczoną duszą, jak gniew rozrabił i zwycięskiego wroga wszystko łamał i deptał i pragnął nawet wstrząsnąć fundamentami społecznego budynku polskiego. Na chwilę, na krótką chwilę, otarła się o niego wśród tego łoskotu walonych wiązań społecznych, wśród jęku wieszanych i pędzonych na Sybir, wśród grzmotu dalekich strzałów wojny krwawej i nieubłaganej, jeszcze jedna, na wielką miarę obmyślana akcja polityczna. Ale był tak rozgoryczony, tak rozboleła, tak struty jadłem, niestety! usprawiedliwionej w owej dobie nienawiści, że pogardliwie propozycje odepchnął od siebie i nic i nigdy nie chciał już mieć do czynienia z rządem rosyjskim. W każdym razie skończyła się jego rola historyczna; szedł na długie dni wygnania, by nigdy nie wrócić do Warszawy, której ducha tak gorliwie przez lat trzydzieści budził, podsycał i przeciw nadziei kazał mieć nadzieję. Że upadł, że został wygnany w części przez nienawiść doń margrabiego, któż może wątpić o tem? Nienawiść ta była tak silną, tak nieludzką nawet, że gdy w tydzień po ostatecznym wyjeździe p. Andrzeja zagranicę, pozostała w Warszawie żona śmiertelnie zachorowała i gdy umarła d. 27 października²⁶², na próżno prosił o pozwolenie przybycia choćby na parę dni do stolicy polskiej.

Odmówiono mu, nie bez wpływu zapewne Wielopolskiego²⁶³, tak że p. Zamoyska zmarła bez widzenia się z mężem, a on nie mógł jej osobiście oddać ostatniej ziemskiej posługi. Tak to namiętności polityczne uzbrajają serca człowiecze w nieprzebrąganą niczem nienawiść i wydzierają z serc najprostsze poczucie ludzkie.

Podczas gdy Zamoyski z duszą pełną smutku wywożony był przez żandar-mów do Petersburga, gdy tam pędził dni beznadziejne i gdy wreszcie rola jego

262 Doniesienie o jej śmierci można czytać w Nr. 246 „Gazety warszawskiej”.

263 A. Giller, Al. Wielopolski, 109.

zakończyła się wygnaniem z ojczyzny, w Warszawie w dalszym ciągu rozwijały się wypadki i ostateczna katastrofa szybko się zbliżała. Wieść o wywiezieniu tak popularnej i tak lubianej powszechnie osobistości, nadzwyczajnie szybko rozbiegła się po mieście, dając pole do tysiąca plotek, fantastycznych opowiadań i przesadnych powieści. Wobec tego rząd nie mógł, jak to bywa jego zwyczajem, całej tej sprawy opłakanej ukrywać i tegoż d. 15 września ukazało się w „Dzienniku powszechnym” doniesienie następujące: „ostatnimi dniami pewna liczba właścicieli ziemskich, nielegalnie zwołana, zjechała się w Warszawie i skutkiem obrad u hr. Andrzeja Zamoyskiego odbywanych, ułożyła do niego odezwę, mającą streszczać jakoby żądania narodu, a przekraczającą zakres instytucji krajowych. Rząd najjaśniejszego pana nie dopuści, ażeby zbiór osób prywatnych przywłaszczał sobie znaczenie ukonstytuowanego ciała i żeby ktokolwiek z pośród poddanych cesarza i króla występował jako organ i przewodnik takiego zebrania. Za postępowanie to, ustanowionemu porządkowi przeciwne, hr. Andrzej Zamoyski przed monarchą swoim odpowiadać winien. W tym celu hr. Zamoyski wysłany został dzisiaj do Petersburga”²⁶⁴.

Doniesienie to w niczem nie wpłynęło na opinią publiczną. Wszyscy, instynktem mas kierowani, w czem się zresztą nie mylili, przypisywali wywiezienie p. Andrzeja, Wielopolskiemu. Nikt nie wątpił, że wywieziony na Syberyą wygnany będzie i nienawiść ku margrabiemu wzrastała. Wiedzano przytem dobrze, czego interesowani nie ukrywali, owszem starali się wszelkimi siłami o rozpowszechnienie tego faktu, że p. Andrzej zwołał zjazd obywatelski na wyraźne żądanie W. księcia, i tem bardziej oburzano się na ten rząd zdradziecki. Tymczasem w kwestyi owego pozwolenia było, zdaje się, proste nieporozumienie, a może nieścisłość wyrażen. W. książę zezwolił na skomunikowanie się p. Andrzeja z jego przyjaciółmi politycznymi, ale nigdy zapewne nie myślał, nie przypuszczał nawet, że to skomunikowanie się ma nastąpić na drodze zjazdu i sejmu formalnego. Ale choć ci i owi doskonale pojmowali tę różnicę, jednakże umyślnie dla wzbudzenia tem większej nienawiści przeciw rządowi, usilnie rozpuszczali pogłoskę o pozwoleniu na zjazd ze strony W. księcia, a potem o ukaraniu Zamoyskiego, tak że na koniec wywołali owe wymuszone na p. Andrzeju zaprzeczenie, które opublikował „Dziennik powszechny”. Mimo to jednak obwinienia rządu nie ustawały. Dzienniki zagraniczne, zwłaszcza

264 B. Giller, Al. hr. Wielopolski, 109, utrzymuje, że Zamoyski wywieziony był d. 16 września. Jest to pomyłka, pochodząca stąd zapewne, że autor, poszukując daty, nie miał przed sobą urzędowego „Dziennika powszechnego”, ale inny jakiś rocznik gazet warszawskich, które, jak wiadomo, przedrukowywały dopiero nazajutrz doniesienia „Dziennika”, a przedrukowując, przez nieobalstwo zachowały pod 16 września wyraz „dziś”, kiedy powinny były pomieścić wyraz „wczoraj”.

francuskie, które przez samo przybycie wygnańca do Paryża mocno zainteresowały się tą sprawą, nazywały Zamoyskiego męczennikiem, ofiarą zdrady rządowej i nienawiści Wielopolskiego. Prasa zakordonowa polska szeroko na ten temat się rozpisywała i obrzucała obelgami znienawidzonego naczelnika rządu. Prasa za to tajna warszawska nie wiele o tej sprawie mówiła, nieomal pokrywała ją milczeniem. „Ruch” tylko raz, mimochodem zaznaczył, że podanie adresu przez szlachtę było czynnością opartą na złudzeniu i nie przynoszącą żadnej korzyści. Ogół znowu, tak rozpowszechnione w Warszawie plotkarstwo, polska słabość politykowania i wysnuwania z każdego faktu jak najfantastyczniejszych rezultatów, z miesięcznego blisko pobytu Zamoyskiego w Petersburgu, z tego, że mieszkał tam zupełnie swobodnie, że przyjmował i bywał u różnych dygnitarzy, wyprowadzała wnioski, że p. Andrzej nie tylko nie będzie wygnany, ale wróci z nowymi koncesjami, a nade wszystko zajmie stanowisko znienawidzonego Wielopolskiego.

Dla położenia końca tym plotkom i oskarżeniom, drukowanym po dziennikach zagranicznych, pomieszczono w półurzędowym organie, wychodzącym w Petersburgu p. t. „Journal de Saint Petersburg”, artykuł obszerny, opisujący cały przebieg sprawy Zamoyskiego i sądząc po pewnych wyrażeniach i zwrotach, jak się zdaje, zredagowany przez Wielopolskiego w Warszawie. Przytoczywszy fakt zebrania się obywateli ziemskich i podjętej przez nich decyzji, „Journal de Saint-Petersbourg” powiada: „z jednej strony żaden rząd nie mógł ścierpieć istnienia prywatnego zebrania bez mandatu prawnego, przywłaszczającego sobie z własnej powagi prawo przemawiania w imieniu narodu, potępienia działań administracji, wymagania zmian zasadniczych podstaw rządu, rozszerzenia granic Królestwa, rozbierania i stawiania jako warunku współudziału kraju, załatwienia kwestyi politycznych wniesionych i rozstrzygniętych przez osoby prywatne, nieukonstytuowane prawnie w ciało polityczne. Królestwo Polskie z inicjatywy monarszej zostało uposażone instytucjami, określającymi drogę regularną wyrażenia potrzeb i rozwoju interesów kraju. Rząd zatem nie mógł dopuścić, aby prywatne zgromadzenie przyjęło stanowisko rządu w rządzie, i ażeby część kraju przywłaszczyła sobie prawo przemawiania w imieniu całego narodu”. Powtórzywszy następnie zaprzeczenie hr. Zamoyskiego, że żadnego zjazdu nie zwoływał, cytowany dziennik takie wywodzi konkluzje: „zgromadzenie właścicieli ziemskich i następstwa jego były skutkiem nierozważnego uniesienia. Wszakże stanowiło ono niemniej naruszenie prawa, czego następstwa mogły być bardzo ważne. Dążyło ono do przerwania regularnego biegu rozmaitych instytucji, do których udziału większa część mniemanych delegowanych mogła być powołana wskutek wyborów, a które to instytucje mają na celu zbadanie i rozwój praw-

dziwnych interesów kraju. Zwraćało ich zatem z prawnej drogi, otwartej dla ich działalności, gdzie obowiązkiem klas oświeconszych i mających wpływ jest, aby pierwsze odpowiedziały na wezwanie, które o ich współudział, w interesie dobra publicznego, uczynił monarcha. Zgromadzenie to mogło dostarczyć żywiołów i utworzyć punkt środkowy dla wzburzenia, które starają się utrzymać, a ku uspokojeniu którego dążą wszystkie usiłowania rządu. Sam hr. Zamoyski, przyjmując mandat mu poruczony, wystawiał się na to, że imię jego przemieni się na sztandar, którym stronnictwo bez rządu nie omieszką osłonić anarchicznych dążeń, odpychanych przez wszystkich uczciwych i przywiązanych do kraju ludzi w Polsce. Są to następstwa, od których rząd chciał go uchronić, wzywając go do Petersburga. Oprócz tego cesarz uznał, że powrót hr. Zamoyskiego do Warszawy w obecnych okolicznościach przedstawiałby wiele niedogodności. Hr. Zamoyski uda się na jakiś czas zagranicę. Taka jest rzeczywista prawda o wypadku, który dziennikarstwo zagraniczne pochwyliło, w celu przeistoczenia go”.

Bądź co bądź Zamoyski, którego dumny, zawistny i mściwy margrabia uważał za główny powód swych niepowodzeń, został usunięty, z kraju wygnany i Wielopolski był teraz sam, panem pobojuwiska. O ile jednak w głównych, podstawowych czynach swej działalności okazywał wielki rozum, gorącą miłość ojczyzny, wytrawne znanstwo spraw administracyjnych kraju, o tyle w drobiazgach popełniał błędy, a nade wszystko od czasu do czasu popuszczał wodze swej namiętności drażnienia i dawania się we znaki osobom i stronnictwom sobie nienawistnym. Zdarzyło się, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy się rozgrywała sprawa szlacheckiego adresu do hr. Zamoyskiego, w Lublinie agitatorzy rozrzucili kartkę drukowaną, zatytułowaną: „do sióstr Lublinianek”, w której uskarżali się na to, że „znajdują się panie, którym zaczyna się już przykrzyć żałoba narodowa”, i ostrzegając je, że „minął już czas, w którym można było bezkarnie lekceważyć obowiązki narodowe”, grozili, że nazwiska takich pań ogłoszą, „aby je pokryć wstydem”. Odezwa ta była jedną z tych, jakich setki rozbiegały się od roku po kraju, i ani stylem nieudolnym, ani napuszystą frazeologią nie odróżniała się od innych i nie zasługiwała na jakąś szczególną uwagę. Wielopolski jednak inaczej sądził. Dla odwzajemnienia się zebranej w Warszawie szlachcie za to, że mu publicznie dała votum nieufności, skorzystał z tej odezwy, by za pośrednictwem urzędowego „Dziennika powszechnego” kilka zjadliwych uwag przesłać pod adresem tejże szlachty. Zaznaczywszy, że widocznie w lubelskiej żałoba narodowa ustępować zaczyna, skoro tajne odezwy za jej zrzucenie grożą karą „wstydu”, powiada, że „w niejednym miejscu, gdzie żałoba jeszcze widzieć się daje, lud wiejski nazywa ją żałobą po pańszczyźnie, w ślad czego żydzi w niejednym mieście na

provincyi mogliby powiedzieć, że jest to żałoba po przywilejach *de non tolerandis judaeis*”, że „znaczna część narodu, żywioł jego najliczniejszy, a wprowadzeniem w budowę społeczną najmłodszy, włościanie nasi, nosili w sercach i w przekazanych im z plemienia do plemienia wspomnieniach wiekową żałobę po Kazimierzu Wielkim; nosili ją także po nim gnębieni przez długi czas żydzi. Za teraźniejszego panowania dokonane reformy, ziszczając dla narodu dziejowy przekaz Króla chłopków, żałobę tę zdjęły z ich duszy”²⁶⁵. W zdaniach tych, skreślonych z widocznym usiłowaniem dokuczenia szlachcie i mieszczaństwu, mieściło się formalne oskarżenie tych dwóch warstw społecznych o hołdowanie dążnościom feudalnym.

Ten pan polski, którego ród urósł z pańszczyzny i Królewszczyzn, ten człowiek, który przed kilkunastu laty wołał do księcia Metternicha: „weź nasze głowy, ale nim je zdejmiesz, oddaj nam serca naszych włościan!”, dziś serca tych włościan sam starał się odebrać szlachcie, do której z rodu, tradycji i przekonań należał. Taką to ironią mieszcza w sobie niekiedy wypadki i takim zmianom ulegają ludzie pod wpływem namiętności politycznych.

Ale nie poprzestał on na tem. Wśród nieustannego rozdrażnienia, w jakim teraz ciągle się znajdował, wpadł sam, czy też namówiono go, na nieszczęśliwą myśl ośmieszania patryotyzmu ówczesnego przy pomocy pisma satyryczno-humorystycznego. Zrazu chciano oddziaływać na ogół za pomocą poważnej broszury, którą napisał Miniszewski p. t. „Ruch polski”, i którą, wydrukowaną w Lipsku, w mnóstwie egzemplarzy rozrzucono po kraju; gdy to nie skutkowało, zwłaszcza gdy taka broszura nie nadawała się do satyrycznych wycieczek i chłosty humorystycznej, do czego miał zawsze skłonność margrabia, zgodzono się więc na pisemko peryodycznie się mające ukazywać, z natury swej przeznaczone dla szerokich mas, a zatem mogące skuteczniej oddziaływać. Ale ponieważ wiedziano, kto pisze „Komunały”, bo taki tytuł niefortunnie wybrany i nic nie mówiący nadano owemu pisemku, i pod czyją one pozostają egidą, więc dodatniego skutku wyrzucić nie mogły, a przeciwnie rozdrażniały tylko i tak już nadzwyczaj podrażnione stosunki między margrabią i publicznością polską. Pierwszy numer, a jak Miniszewski nazywał „wiązka” ukazała się w końcu września, w drukarni Ungra; jako redaktor podpisywał się „Achilles Katzenbergowius, Polak rodowity”. Numer zaczynał się przeglądem politycznym, pisany niby w stylu humorystycznym, ale cały humor zawierał się w takim np. dowcipie, że książkę Czarnogórski, wojujący w tej porze z Turkami, lepiej by zrobił, żeby zabrał się ze swym narodem i swą chudobą i wyniósł do dziewiczej Ameryki. „Należałoby mu przesłać taką radę,

265 „Dziennik powszechny” Nr. 202 z r. 1862.

piisał Katzenbergowius, ale na nieszczęście poczta teraz nie chodzi do Cetynii, a znaleźć w naszym miasteczku gońca, mającego dość odwagi i całe buty, jest bardzo trudno". W tym tonie trzymany jest rzut oka na politykę bieżącą, jak również drugi artykuł, zatytułowany: „przegląd spraw domowych”. O literaturze mówi, że „spi; nic się nie pisze i nie drukuje. Piszą tylko książeczki dla chłopów, a chłopci czytać nie umieją”. Potem idą; „rozmowy podsłuchane na ulicy”, w których, naśladowując głośnego berlińskiego „Kladderadatscha”, wprowadza Szulcego i Millera. Ci bardzo się cieszą z awantur polskich, gdyż dzięki im powoli zagarną ziemię polską i zrobią z niej Niemcy. Było w tem wiele niestety! prawdy, ale powiedziane to było niesmacznie i niedowcipnie. W końcu szły wierszyki z podpisem „Agapit Delille”, albo „Pafnucy Homer” i na tem koniec. W całości swej „Komunały” nie były ani mądre, ani humorystyczne; wszystko w nich pisane było słabe, bez talentu, nudnie; każdy koncept, czuć było, jak mozolnie został wysmażony. To też wrażenia one nie robiły; mniemana satyra nieudolnością swoją nikogo poprawić nie mogła. Pierwszy numer tego piśmida przez prostą ciekawość czytano bardzo chciwie, następnych już nie, bo naprawdę nie było co czytać. Władze tajne zbyt wielki zaiste robiły zaszczyt „Komunałom”, zabraniając ich kupowania i sprzedawania po księgarniach. „Czas” krakowski niepotrzebnie się unosił i wołał: że „Komunały mogą ciekawi w rękawiczkach podnieść z rynsztoka”; już drugiego numeru nikt nie czytał, tak to wszystko było słabe, nieudolne, śmiertelnie nudne, a złe. Chłopacy, sprzedający po ulicach gazety wołali ukazując „Komunały”: „kupujcie panowie gazetę, w której wymyślają Polakom”, ale nikt nie kupował²⁶⁶. Swoją drogą oburzenie było tak powszechne, że numeru trzeciego żadna drukarnia w Warszawie, nawet Jaworskiego, u którego odbijał się „Dziennik powszechny”, drukować nie chciała, lękając się grózb i nienawiści ogólnej. Wielopolski więc wysłał Sobieszczańskiego za granicę, który wydał ten numer w Naumburgu u Petza, w ilości 600 egzemplarzy, z podpisem „Warszawa”.

Numer ten jednak, sprowadzony do kraju, wśród grozy rozwijających się wypadków, złożony w Komisji oświecenia na składzie, na widok publiczny wypuszczony nie został²⁶⁷.

266 N. Berg, Zapiski II, 333.

267 Autor niniejszego tej trzeciej „wiązki” Komunałów nie widział, gdyż jest on podobno rzadkością bibliograficzną. Berg, Zapiski II, 360, powiada, że zaczyna się ona od napisu: „Varsaviae, anno Dni MDCCCLXII”, i zawiera treść następującą: 1) Odezwa do publiczności, jako odpowiedź jeneralna krytykom i recenzentom in partibus, napastującym „Komunały” w pogawędkach powszednich. 2) Przegląd polityczny. 3) Sprawozdanie z prac wewnętrznych w narodzie, manifestującym się w Warszawie. 4) Wiadomości pocieszające z dziedziny naukowej. 5) Mitologia zrokoszowana; nowa komedia boska z finałem uciętym. 6) Królestwo podziemne. Część urzędowa. 7) Poezya romantyczna,

Nowy więc pomysł użycia bicia satyry społecznej częstokroć bardzo skutecznego na taką chorobę, jakiej Polska wówczas ulegała, pomysł w gniewie poczęty i nieudolnie wykonany, korzyści oczekiwanych nie przyniósł, przyczynił się tylko do podrażnienia i do wzmożenia nienawiści przeciw margrabiemu. Wszelako jeżeli te drobne rzeczy świadczyły, że wielki rozum statysty ma swe słabości, na które w innych czasach i w innych okolicznościach nikt by nie zważał, to w przeprowadzeniu zainicjowanych reform, w dalszym rozwoju zupełnej autonomii kraju, Wielopolski okazywał niezwykłą sprężystość, energię i niezmordowaną pracę. Przez ukaz z Krasnego Sioła z d. 12 sierpnia, zniesiono zależność poczty w Królestwie od jej zarządu w Petersburgu i ustanowiono osobną władzę pocztową w Królestwie; w kilka dni potem, przez ukaz z tegoż Krasnego Sioła z d. 19 sierpnia, ustanowiono oddzielny i niezawisły od zarządu komunikacji w cesarstwie, zarząd komunikacji wodnej i lądowej w Królestwie.

Powoli już nic nie miało łączyć Polski z Rosyą, tylko osoba monarchy; autonomia zupełna i niczem nieskrępowana stawała się faktem, otwierało się obszerne pole pracy dla wszystkich miłujących szczerze i rozumnie kraj, tak długo nieszczęśliwy i tak długo rzucany na pastwę najgorszym instynktom różnych wyrzutków społecznych rosyjskich, którzy przybywali do Polski szukać w niej łatwej kariery. Ze swej strony rząd Królestwa, pomimo zamachów, pomimo licznych oznak szeroko rozgałęzionego spisku, starał się wszelkimi sposobami złagodzić surowość stanu wojennego i uczynić życie pod nim znośniejszem. Muchanow, nowy oberpolicmajster warszawski, dozwolił w d. 28 lipca chodzić po mieście wieczorami bez latarek, zniósł przepis nierozumny, żadnego pożytku nie przynoszący, a dokuczliwy już przez to, że każdego spóźnionego przechodnia po mieście zmuszał do dźwigania latarki i pamiętania o niej. Co najważniejsza jednak, W. książę w pierwszych dniach września uznał za stosowne znosić zupełnie stan wojenny w niektórych prowincjach kraju. W tym względzie nie kierował się oczywiście poczuciem, że stan ten nie jest potrzebny, ale chęcią zaznaczenia łagodności swych rządów, zyskania sobie przychylności Polaków, na której to przychylności mógł jedynie opierać nieopuszczające go nigdy marzenia ambitne, urzeczywistnić słodkie szeptu żony. W tym celu przez rozporządzenie z d. 8 września zniósł zupełnie stan wojenny we wszystkich powiatach gubernii radomskiej, a mianowicie: w radomskim, sandomierskim, opoczyńskim, opatowskim, kieleckim,

jako słowo pod muzykę z adnotacjami w nawiasach, dla kompozytora. 8) Kwintesencje medytacji filozoficznych, filozofa bez stałego zamieszkania i zatrudnienia, tymczasowo przebywającego na warszawskim bruku. Za pozwoleniem cenzury rządowej. Lipsk, w drukarni Baera i Hermanna". To miejsce druku jest wymyślone.

miechowskim, stopnickim i olkuskim, z wyjątkiem miasta Radomia i Kielc. Wszelako przepisy co do posiadania broni zachowano w zupełnej swej mocy, oraz że przestępstwa polityczne wszędzie i zawsze mają być sądzone przez sądy polowe wojenne. W miesiąc później, d. 10 października zniesiono tenże stan wojenny w guberniach: lubelskiej i augustowskiej, z wyjątkiem miast: Lublina, Siedlec i Suwałk. Wreszcie w dwa miesiące potem, w końcu samym tego fatalnego 1862 r., zniesiono d. 16 grudnia stan wojenny w guberniach: warszawskiej i płockiej, z wyjątkiem Warszawy, Kalisza, Płocka i miejscowości, położonych wzdłuż drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej. Tym sposobem już ku schyłkowi roku cały nieomal kraj, prócz miast najgłówniejszych, wolny był od uciążliwości stanu wojennego, co dowodziło, jak dalece rząd, prawie w przededniu burzy straszliwej, niedokładnie był poinformowany o tem, co się dzieje w kraju. Wprawdzie z drugiej strony stan wojenny źle i niedbale wykonywany przez różnych naczelników wojennych, ludzi nieprzygotowanych do tego i nie mających najmniejszego pojęcia o administracji, częstokroć krępowanych w swej działalności przez najrozmaitsze instrukcje dodatkowe, otrzymujących liczne zalecenia łagodnego obchodzenia się z mieszkańcami, nie przynosił tych korzyści, jakie mógł przynieść i jakich się po nim spodziewano. Wszelako koncentrując władzę w jednej osobie, w danej chwili, przy sprężystym użytku tej władzy, mógł być pożytecznym. Zniesienie więc jego w tym czasie było błędem i tłomaczy się tylko marzeniami, które nie przestawały się roić po głowach wielkokniaziowskiej pary rosyjskiej.

Najważniejszą jednak sprawą, która dzięki energii Wielopolskiego poczęła się nieco naprzód posuwać, była sprawa oczynszowania włościan. Szła ona dość opornie, gdyż umów dobrowolnych, na które prawo dozwalało, owszem zalecało je nawet, między włościanami a dworem, było bardzo niewiele. Do d. 23 czerwca takich umów w gubernii warszawskiej zawarto zaledwie ośm, a mianowicie: we wsi Czerniakowie pod Warszawą, należącej do wdowy po Tomaszu hr. Potockim, za którego życia jeszcze cała ta sprawa się załatwiła. W myśl swego projektu, który w roku zeszłym propagował na zebraniu Towarzystwa rolniczego, starał on się umowę z włościanami tak ułożyć, ażeby oni powoli doszli do własności przez zapłatę sumy, wynikającej z pomnożenia rocznego czynszu nie przez 20, jak to się zwykle praktykowało, lecz przez $16\frac{2}{3}$. Był to pierwszy przykład tego rodzaju operacji, ale, o ile sięgają nasze wiadomości, jedyny w kraju. Zawarto także umowę dobrowolną we wsi Trzylatkowie w powiecie Warszawskim należącej do p. Tomasza Wilkońskiego; dalej we wsi Stropieszyn w powiecie kaliskim, własności p. Antoniego Celińskiego, oraz Cekowie, do tegoż należącej; we wsi Wyganka, w tymże powiecie położonej, należącej do p. Romana Radolińskiego. W powiecie wieluń-

skim trzy wsie, należące do p. Tadeusza Trepki, a mianowicie: Mokrsko szlacheckie, Słupsko i Piaski przystąpiły do dobrowolnego oczynszowania. We wszystkich tych majątkach, oprócz stosunkowo bardzo niskiego czynszu²⁶⁸, właściciele starali się wszelkie możliwe ulgi robić włościanom, darowywali im parę rat czynszowych, część czynszów przeznaczali na założenie szkoły i t. p., w czym wyraźnie przebija się myśl wyższa, obywatelska i patryotyczna, załagodzenie starej nienawiści między dworem i chatą²⁶⁹. Tak jednak drobna ilość umów dobrowolnych świadczyła, jak ciężko będzie szła cała ta sprawa. Rząd dopiero w d. 22 lipca w oddzielnych drukach rozesłał do wszystkich wójtów gmin ogłoszenie o oczynszowaniu, a zarazem polecił odczytać chłopom objaśnienie, ułożone przez Komisję sprawiedliwości i zatwierdzone przez Radę administracyjną. W objaśnieniu tem w formie możliwie jasnej i prostej przedstawiono całą treść prawa z d. 5 czerwca, oraz drogę, jaką iść należy do jego urzeczywistnienia; w końcu ostrzegano ich przed namowami złych ludzi.

„Nie słuchajcie rad i namów ludzi przewrotnych, wołał prawodawca polski do chłopu polskiego, którzy (jak to rządowi wiadomo), częstokroć podburzają was i manią (tak!) kłamliwymi widokami w jedynym celu wyduszenia pieniędzy; narażają was na stratę drogiego czasu, waśnią z właścicielami, stawiają w nieposłuszeństwie woli i rozkazom rządu, a stąd, zamiast los wasz poprawić, przyprawiają o zgubę i często na was surowe kary ściągają”.

Ostrzeżenie takie do pewnego stopnia było koniecznem, jakkolwiek przy podejrzliwym charakterze kmiecia polskiego, który nikomu nie wierzył, a wszystkich posądzal o złą wolę, mało skuteczne. Głuche wieści, które, podobne do kamienia rzuconego w drzemiącą wodę, coraz szersze i dalsze fale wytwarzającego, padając w martwe morze chłopskie, rodziły mnóstwo nadziei, mnóstwo marzeń, podbudzały chciwość dusz prostackich i nie kazały niczem się wiązać w teraźniejszości, bo przyszłość o wiele więcej dać może. Teraz bowiem wszyscy starali się dostać do chłopu, i rząd i szlachcic i czerwieniec polski i nihilista rosyjski i coraz bardziej mącili nieprzejrzone ciemności tych głów, pełnych instynktów człowieka pierwotnego. Zdarzyło się właśnie w tej porze, iż w gubernii radomskiej i lubelskiej topografowie wojskowi, prowadzący po-

268 W Czerniakowie czynsz był najwyższy, odpowiadający wartości włóki, obliczonej na rubli 1524, ale Czerniaków leżał tuż pod Warszawą, obfitował w łąki i ogrodowizny, które znaczne korzyści przynosiły włościanom. W innych wsiach czynsz odpowiadał przecięciowo 600 rublom za włokę.

269 „Dziennik powszechny” w urzędowym artykule chwalił też za to szlachtę (Nr. 142). „Rzetelna zasługa, pisał, należy się właścicielom dóbr, umiejącym urządzić stosunki swoje z włościanami w drodze dobrowolnych układów, które przy dzisiejszym usposobieniu włościan tam tylko osiągnąć się dadzą, gdzie szczere chęci i ustępstwa dziedziców zbudzić zdołają nawzajem dobrą wiarę i ufność”.

miary w celu przygotowania wielkiej mapy wojennej Królestwa, ludzie przeważnie młodzi i zarażeni tymi prądami nihilistycznymi, które kiełkowały już od lat kilku w Rosyi, wdawali się tu i owdzie w rozmowy z wieśniakami, kłamliwie opowiadali im, że czynią pomiary w celu separacyi gruntów chłopskich od dworskich, zapowiadali przyszlą i zupełną własność chłopską, jednym słowem, rzucali w ciemne umysły ziarna niezdrowe i zgubne. Ci poprzednicy późniejszych *diejatel*i Komitetu rządzącego, propagandę swoją na tak wielką prowadzili skalę, że doszło to do wiadomości rządu warszawskiego. Musiano się odwołać do dowódcy wojsk konsystujących w Królestwie, który „z uwagi na obecne okoliczności” wojskowym, należącym do komend pomiarowych, zakazał we wrześniu „pod najsurowszą odpowiedzialnością, aby nie tylko nie wdawali się w lekkomyślne rozmowy z włościanami, ale nadto starali się o ile możliwości wszelkich stosunków z nimi unikać”. Odtąd jawna propaganda „własności dla wszystkich” wprawdzie ustała, ale tajna trwała ciągle i ziarna, przez nią rzucone, w parę lat potem milutynowskim gromem zakiełkować miały.

Obok nihilistów rosyjskich, dla których tak wdzięczne pole teraz i później przedstawiał chłop polski, czerwieńcy warszawscy i niewarszawscy starali się wpływać także na niego. Twierdzili oni głośno, że prawo o czynszowaniu z urzędu nie tylko nie rozwiązuje kwestyi włościańskiej (o czem nikt nie wątpił), ale owszem zaostrza ją jeszcze bardziej. Utrzymywali więc, że w Królestwie osad pańszczyźnianych, kwalifikujących się według ukazu z d. 5 czerwca do oczynszowania, jest zaledwie 274.014, co, rachując na jedną osadę po $4\frac{1}{2}$ głów, wyniesie 1,263.056 ludzi. Tymczasem w owej epoce ludność wiejską w Królestwie obliczano na 3,584.414 głów. Takim więc sposobem oczynszowaną zostanie zaledwie trzecia część mieszkańców wsi. Ten milion oczynszowanych, mówili oni, jest masą bardzo potężną, ale nie jest ludem całym. „Poza tą cyfrą stoi ogromna, przeszło dwumilionowa masa, dla której dzisiejsze oczynszowanie jest albo obojętne, albo nawet bolesne”²⁷⁰. I jakież stąd wnioszek? oto taki, że prawo Wielopolskiego jest prawem połowicznym, że ono w niczem nie zaszkodzi przyszłemu powstaniu, do którego „chamski Ereb” darowizną gruntów da się zachęcić. Z tem wszystkiem nie przestawano oddziaływać na chłopą wszelkimi możliwymi, jakie tylko miano pod ręką, środkami. Rzecz prosta, że najsilniejszym narzędziem potemu stało się niższe duchowieństwo, fanatycznie i patryotycznie usposobione, które widocznie przechylało się ku rewolucyi i chętnie wszelkie zlecenia agitatorów wypełniało.

Jako potężny środek ku temu służył konfesyonał, a nadewszystko kazalnica, z której, nawet w tej porze jeszcze, mimo stanu wojennego, rozlegały się

270 „Baczność” (pismo wydawane przez L. Mierosławskiego w Paryżu) Nr. 2 z d. 20 lipca 1862 r.

głośnie potępienia „Moskali i schizmy”. Chłop jednak, który o tyle wierzył księdzu, o ile to nie dotyczyło polityki i interesów materialnych, niechętnie tego słuchał i głośnie powtarzał, że „dobrodzieja przekupili panowie”. Wszelkie też starania duchowieństwa dla wzbudzenia w kmieciu przekonania, że wszystko to, co się robi w sprawie stosunków włościańskich, robi szlachta z własnej inicjatywy, a nie rząd, rozbiły się o szósty zmysł chłopski: nieufność. Nie wierzył on instynktownie w trwałość przedsięwziętych robót i oczekiwał uwłaszczenia, jako jedyne wyjścia w tej kwestyi. Niechętnie się więc czynszował, a w wielu miejscach wprost nie chciał przystępować do umów czynszowych. A przytem niższe duchowieństwo, proboszczowie i wikaryusze, oraz licznie po kraju rozrzucone klasztory, żywiły przekonania jak najradykałniejsze pod tym względem. Ci różni plebani i zakonnicy, rekrutujący się po większej części z ludu, kryli w głębi serca niechęć ku szlachcie i domagali się uwłaszczenia, raz, jako koniecznej ekspijacyi za błędy przeszłości, a potem, jako jedyne środka zbawienia ojczyzny. Zgadzała się oni pod tym względem z ogromną większością narodu i z zasadami, wyznawanymi przez komitety powstańcze. Ukazała się w tym czasie litografowana broszurka p. t. „Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa, albo zmartwychwstanie Polski w obliczu chrześcijańskiego sumienia”, która domagała się od szlachty, aby w imię przyszłości ojczyzny nie bawiła się w oczynszowanie, w połowiczne załatwienie kwestyi włościańskiej, ale od razu przystąpiła do uwłaszczenia. Broszura ta została w przeważnej części nakładu skonfiskowana przez policją przy rewizyi i aresztowaniu niejakiego Sochaczewskiego, niegdyś studenta szkoły sztuk pięknych, rozeszła się więc w niewielkiej ilości egzemplarzy i przez to wpływu wyrzucić nie mogła, ale dosadnie maluje pogląd duchowieństwa polskiego na kwestyą włościańską w Królestwie²⁷¹. „Po ostatniej Towarzystwa rolniczego uchwale w Warszawie, pisze autor broszury, o której (rozumie się, uchwale) wieść najżywszą przejęła nas radością po kraju całym, staliście się panami na chwilę całego położenia, widzieliśmy już na głowę pobitych wrogów ojczyzny naszej; lud skłonny był, jak uważaliśmy, wam zaufać, słowo nasze nie byłoby do niego bezskuteczne, pragnęliśmy tylko co prędzej widzieć was uiszczających się zobowiązania, sądząc, że w przystąpieniu do układów z ludem kierować się będziecie szczeremi pobudkami patriotyizmu, że oceniliście ważność chwili, że dla zjednania sobie ludu gotowi jesteście do ofiary. Tymczasem jakże bolesnem było rozczarowanie nasze, gdyśmy spostrzegli wkrótce, że z małej liczby wybranych do Towarzystwa jeszcze nie wszyscy byli wybrani; prędko przeminął zapał, którym was na chwilę poczi-

271 Zabrano u Sochaczewskiego 600 jej egzemplarzy (Pawliszczew, Siedmicy I, 130); jest więc dziś prawdziwą rzadkością bibliograficzną.

wa natchnęła Warszawa, a miejsce szlachetnych postanowień zimna zajęła rachuba. Cóż mówić o kraju całym? Jeżeli tedy chcecie lud sobie zobowiązać, w czym bez wątpienia jedyna leży nadzieja zbawienia ojczyzny, niechże was część przynajmniej większa oświadczy się z jednością działania, a wtenczas mniej liczny niesławny zastęp w narodzie uledez by musiał; inaczej ofiary nawet niektórych, jak nazywacie, będą bezowocne. Zaprawdę, czyli możecie się spodziewać, że lud zobowiążecie, jeżeli domagać się będziecie wyższej stopy czynszów, niż on widzi w dobrach rządowych?” „Nie oglądajcie się na ostatni reskrypt rządu, podnoszący czynsz i dający wam miecz w rękę przeciwko ludowi, bo to jest jeszcze jedna kość niezgody, wyrzucona z piekła pomiędzy was i lud. Wyłączysz wszystkie współdziałanie rządu, sami ostatecznym i wieczystym układem z ludem zrobicie sobie z niego niezależnych sąsiadów, prawdziwych współbraci.

Powtarzamy te wyrazy: niezależnych sąsiadów, gdyż widzimy, że niektórzy z was pod formą oczynszowania, które jako poroniony płód uważamy, chcą utrzymać lud w zależności, tak niestety w przeszłości dla niego opłakanej, domagając się za opał lub pastwisko stałej robocizny, która nie może być czem innym, jak tylko dalszym ciągiem pańszczyzny”.

Niemniej charakterystyczne jest zakończenie tej broszury. „Nie pomawiajcie duchowieństwa o brak patryotyzmu dlatego, że w sposobie waszego interesowanego widzenia publicznie nie działa na lud. Słyszymy, jak lud, zwracając teraz uwagę na stosunki duchowieństwa z dworami, powtarza, że panowie księża przekupili: podejrzewanie takie opłakane być może w skutkach. Słyszeliśmy go także mówiącego o pieśniach: o! chce im się ojczyzny, pańszczyzny, wolności, albo się mało jeszcze nas nabatożyli? a rząd, jak wiecie, nie zasypia sprawy, wysyła wszędzie podżegaczy, trzymając się zawsze pogańskiej zasady: divide et impera. Manifestacje, patryotyczne pieśni, dobre są w Warszawie i po większych miastach, ale po wsiach nie mają tej wagi. Jeżeli chcecie, żeby lud objaśnić, jakie znaczenie mają pieśni, zgadzamy się na to, ale pod warunkiem stanowczego z waszej strony oświadczenia się pojednania z ludem. Objąsniemy go wtenczas w jednym dniu, jednej godziny, a objaśnienie nasze, wierząc nam, będzie pierwszym wielkim zwycięstwem nad wrogiem”. „Nie lękajcie się tak bardzo, że zubożejecie, chyba byście na przyszłość w gnuśności, jak dotąd niestety, i ospalstwie błogi żywot wieść chcieli. Z powstaniem ojczyzny, komuż to, jeżeli nie wam lub dzieciom waszym, pierwsze otworzy się pole do najszlachetniejszych zdobyczy?” „Polska istnieć musi, ale biada wam, jeśli czynnego nie weźmiecie udziału w chwili, w której Opatrzność powołuje ją do życia, bez was dłuższą tylko krwawa męka, ale zmartwychwstanie ona (oczywiście ojczyzna) koniecznie. Oświadczyć się stanowczo i działajcie natych-

miast, niech wie o tem duchowieństwo, a zaraz obmyśli program powszechny, który, w Bogu nadzieja, pojedna was z ludem i ojczyźnie mniejszą ofiarą krwi okupione życie”. „Nie oznak zewnętrznych w stroju i próżnych przechwałek, ale czynu wyglądamy od wiejskich obywateli. Jeżeli do czynu będziecie gotowi, my znajdziemy słowo do ludu, że wam zaufa, że was pokocha, i dźwignie was jako głowę swoją piersi milionem, i pójdzie za wami w potrzebie, chociażby samego szatana z piekła wyganiać przyszło”.

Oprócz tej odezwy, wystosowanej wyłącznie do szlachty, ukazywały się i inne, przeznaczone dla chłopów, ale ten o nich nie wiedział, a jeżeli mu je odczytał panicz, który przyjechał na wakacje do domu, i radykalnie w mieście usposobiony, drwił sobie pocichu ze „szlagońskich fanaberyi” ojca, lub rozentuzjazmowana fałszywym patriotyzmem panienka, to słuchacze wiejscy wzdychali melancholijnie, drapali się po kudłatych głowach, przestępowali z nogi na nogę i kończyli całą sprawę słowami: „niech ta Pan Jezus pomoże temu, kto chce najlepiej”. Wróciwszy jednak do chałupy, wygadywał na panicza i panienkę, że go buntują i czasem denuncyował do najbliższego naczelnika wojennego. Położenie zaiste było straszne i prawie bez wyjścia; nad milionową masą ludu unosił się ponury duch nieograniczonych nadziei, a nadzieje te miały być urzeczywistnione tylko przez rząd, niby przez drugiego Jowisza-cesarza, sypiącego złoty deszcz na oporną Dyanę-chłopa polskiego.

Wśród takich to warunków, wśród takich głuchych falowań umysłów chłopskich, Wielopolski usiłował przeprowadzić oczynszowanie, którego nikt szczerze nie chciał, z którego wszyscy byli niezadowoleni, tak dobrze chłopci, jak i szlachta. Tak zwane Delegacye czynszowe, wybierane z pośrodku członków Rad powiatowych dla przeprowadzenia oczynszowania z urzędu, formowały się niechętnie i leniwie. Naprzód utworzyły się w gubernii radomskiej, gdzie do grudnia 1862 r. zaledwie około 60 dóbr zgłosiło się o regulację czynszów z urzędu; co ważniejsza jednak, że zaraz z samego początku poddały krytyce postępowanie rządu w tej sprawie. W dwóch powiatach tej gubernii, nieomal nazajutrz po ukonstytuowaniu się, Delegacye zażądały, aby cytowane przez nas wyżej objaśnienie prawa o oczynszowaniu z urzędu, które to objaśnienie, jak wiemy, wszędzie włościanom mieli odczytywać wójci gmin, zostało wstrzymane. Członkowie Rad powiatowych, przeważnie ziemianie, doskonale wiedzieli o fermencie, jaki panuje wśród chłopów, których od dwóch lat blisko obrabiały wszelkiego rodzaju odezwy, podszepty, cyrkularze. Nowy więc okólnik, napisany dość niejasno, prawdopodobnie nie będzie zrozumiany przez chłopów, a przynajmniej w każdym razie wzbudzi w nich nowe nadzieje i nowe wątpliwości. To przekonanie wśród członków Delegacyi było tak powszechnem, że w jednym z powiatów zażądano wniesienia do protokołu

wniosku, że „ogłoszenie objaśnień do prawa o oczynszowaniu tylko utrudni działanie Delegacyi”. Rząd wnioski te odrzucił, jako nieprawnie wyrzeczone, gdyż przekraczały one atrybucye Rad powiatowych; mógł wszelako nabyć przekonania, jak trudnem i mozolnem będzie przeprowadzenie oczynszowania wobec powszechnej przeciw temu prawu niechęci. W ogólności sprawa ta zapowiadała, że ciągnąć się będzie długo, a wszyscy przewidywali, że wypadki się nie zatrzymają w biegu, że nie ma nowego Jozuego, któryby temu palącemu i wszystko pożerającemu słońcu stanąć kazał, że owszem toczy się ono z przyspieszoną szybkością i wszystko, co się teraz robi, wywróci do góry nogami. Dlatego też, obok zaznaczonej już przez nas niechęci ku nowemu prawu, które niezadawalniało nikogo, żadnego ze stronnictw ówczesnych, nikt jeszcze nie wierzył w jego przyszłość i trwałość i nikt też szczerze do jego urzeczywistnienia się nie brał, jako do tworu bez jutra.

Takie było ogólne położenie rzeczy, w takim opłakanem ze wszech miar stadium znajdowała się najważniejsza, najdonioślejsza zaiste sprawa włościańska, gdy Wielopolski, wygnawszy ostatecznie z kraju Zamoyskiego, został sam, z tem przekonaniem, że teraz nikt mu już bruździć i nikt w jego działalności przeszkadzać nie będzie. Nabył on teraz przekonania, że skoro w kraju nie może znaleźć poparcia, to działać będzie bez tego poparcia, wbrew woli wszystkich, siłą i przemocą, i „zrobi coś dobrego dla Polski, ale bez Polaków”. W poczuciu swej mocy, swej dumy, ufności w siebie, łudził się nadzieją, że zamyśl ten przeprowadzi. Znał on potęgę rządu, tej maszyny, skomplikowanej co prawda, ale bądź co bądź działającej sprężystości, i pewny był, że przy odpowiedniem użyciu tej siły wszelkie przeszkody obali i swoje zrobi. Wprawdzie niekiedy lekkim niepokojem przejmowali go Czerwoni i ich komitety, które od czasu do czasu dawały znać o sobie i które miały za sobą wszystką ludność miejską i większą część szlachty. Czasami zapuszczał z wyżyn, na których stał, oczy swoje w ciemne głębie spisku, rojącego się jakimś nieznanymi istotami, ale i tu był pewny, że da sobie radę z tem czemś, co prawda, pozornie nieuchwytnem, ale w rzeczywistości bardzo konkretnem. Już teraz w głowie swojej snuć począł projekta zadania potężnego ciosu spiskowi i rewolucyi.

Nim jednak opiszemy bliżej te projekta i ich straszne dla kraju skutki, wypada nam wprzódzy zajrzeć do tajników spisków podziemnych, które, jak bajeczny szekspirowski las Birnammu, poruszać się poczęły i obalić miały nie dramatycznego Makbeta, ale Polskę całą, a z nią i Wielopolskiego i niemego Króla z Królową niemą i z jej marzeniami ambitnemi.

ROZDZIAŁ XIX

Komitet centralny narodowy.

Komitet i jego członkowie: Agaton Giller, Szwarce, Koskowski. Organizacja Komitetu. Organizacja na Litwie. Czasopismo „Ruch”. Poczta. Myśl stworzenia tajnego państwa polskiego. Instrukcja dla organizacji powstańczej. Ustrój Komitetu centralnego. Naczelnicy miasta. Policya rządowa w Warszawie i na prowincyi. Aresztowanie 66 osób i ogłoszenie instrukcyi sprzysiężenia. Odpowiedź na nie Komitetu centralnego. Zniesienie szkoły podchorążych w Cuneo. Cechy tej młodzieży. Oskarżenia Mierosławskiego. Dziennikarstwo włoskie. Komitet emigracyjny. Mierosławski i czasopismo „Bacność”. Wysłanie Kurzyny do Warszawy. Komitet odrzuca jego propozycyą. Kurzyna ustanawia Komitet rewolucyjny. Jego skład i ustawa. Nowy naczelnik miasta Zygmunt Padlewski. Odezwa Komitetu centralnego do włościan. Odezwa z d. 1 września i jej skutki. Podróż Gillera i Padlewskiego do Londynu. List Komitetu centralnego do Hercena i jego odpowiedź. Jego odezwa do oficerów rosyjskich. Nowy Komitet. Policyjanci angielscy. Aresztowania oficerów. Felkner i jego zabicie. Sprawa chełmska. Starczewski i jego zdrada. Rozkaz Komitetu centralnego. Zabicie Starczewskiego i Czerniakówny. Aresztowania. Witkowski prowadzi śledztwo. Jego zręczne postępowanie. Rozbicie organizacji lubelskiej. Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym. Kartka o poborze. Wyjście z Komitetu Daniłowskiego i Koskowskiego. Ogłoszenie ustawy Komitetu rewolucyjnego przez „Dziennik powszechny”. Odpowiedź na to Komitetu centralnego. List Mierosławskiego do dzienników francuskich. Nowy skład Komitetu centralnego. Godlewski, Bogdanowicz i Oskar Aweyde. Komitet wileński. Zwierzdowski, Kalinowski i Duloran. Ich spory. Komitet ruski. Antoni Juryewicz. Zjazd młodzieży w Krakowie. Misya Stefana Bobrowskiego. Rada naczelna galicyjska. Układ z Komitetem centralnym. Akces duchowieństwa do Komitetu. Odpust na Łysej górze. Zjazd w Świętomarzu. Uchwała zjazdu. Zjazd w Kłoczewie i jego uchwały. Odezwa duchowieństwa. Zachowanie się ks. biskupa Benjamina. Zjazd w Biskupicach. Zjazd unicki w Leśny. Rozprawy i fatalny wypadek. Zjazd we Wrocierzyżu. Odezwa Białych do rzemieślników. Wyjazd Padlewskiego do Petersburga. Powstanie Komitetu „Zemia i Wola”, oraz Komitetu polskiego petersburskiego. Relacya Padlewskiego o rewolucjonistach rosyjskich. Zakończenie.

Podczas gdy się te wszystkie głęboko tragiczne sceny rozgrywały, gdy rewolwer i sztylet brał na się rolę zbawcy ojczyzny, gdy szubienice stawać poczęto, a jedna z najszlachetniejszych postaci naszej historii szła na długie, dożywotnie wygnanie, sprzysiężenie pełzając powoli coraz szersze kręgi zataczało, coraz większą ilość ludzi i rzeczy w swe pałace objęcia chwy-

tało. Stojące na czele spisku ciało, wyłonione z chaotycznego zamętu różnych Komitetów, przybrało miano Komitetu centralnego narodowego, co miało oznaczać, że jest jedyną prawnowitą władzą, jedynym słońcem skupionem z mgławicy sprzysiężenia, że poza nim inne tego rodzaju organizmy istnieć nie mogły i nie powinny. Wiemy już skład tego pierwszego Komitetu centralnego, tak jak on się utworzył w pierwszych dniach czerwca, lub na początku lipca; należeli doń: Agaton Giller, Witold Marczewski, Bronisław Szwarcce, Władysław Koskowski, Jarosław Dąbrowski i Władysław Daniłowski²⁷². Z całego tego grona ludzi, których wypadek, zamęt panujący w wierzchnich słojach organizacyi zetknął i zlepił w jedno ciało, prócz Gillera nie było nikogo, którego by nazwisko coś mówiło, było znane, jeżeli już nie krajowi całemu, to choć jednej, jakiegokolwiek w nim warstwie.

Giller liczący w tej porze 31 lat (ur. 1831 r. w Kaliszu), Sybirak, który za spisek osnuty w Warszawie w r. 1850 wysłany został za Bajkał i za amnestią w kilka lat potem powrócony, zajmował się literaturą i w sferach nielicznych czytelników tej doby imię jego było dość znane. Napisał i wydał mniej więcej w tych czasach interesującą książkę, zawierającą „Opis zabajkalskiej krainy w Syberyi”, oraz od r. 1861 redagował „Czytelnię niedzielną”, piśmko przeznaczone dla sfer rzemieślniczych, stąd imię jego w tych kołach, zwłaszcza w Warszawie, było popularne, choć sam jako człowiek nie był bardzo lubiany. Zarozumiały nadzwyczajnie, lubo pozbawiony gruntowniejszego wykształcenia, którego w szkołach Muchanowa nie był w stanie nabyć, pożerany niezdrową ambycją, właściwą wszystkim ludziom tej epoki, obdarzony bardzo miernym talentem pisarskim, mistyk nieco w przekonaniach, pełen sztucznej powagi, nie budził w nikim sympatii ku sobie. Z natury pośepny i chmurny miał w sobie coś ze średniowiecznego mnicha fanatycznego. Powstawał nieustannie przeciw zbytkom i demoralizacyi Warszawy; utrzymywał, w czym zapewne były liczne reminiscencje z czasów Paskiewiczowskich, że rząd stara się zepsuć Polaków, że w tym celu daje subsydia teatrowi, wspiera balet, ten „rozsadnik zepsucia”, jak się wyrażał. Ileż to razy ten trybun ascetyzmu wołał: „niech żyje Sparta! precz z rozpustą!” Wszystko to nie jednało mu przyjaciół; wielu jego surowość uważało za udanie, choć tak nie było, i nie lubiano go powszechnie. Wszakże, bądź co bądź, było to jedyne imię w tem nowo skonsolidowanym ciele rewolucyjnym, imię coś mówiące i jako tako znane. Inni i tego za sobą nie mieli, a jednak uważali się za uprawnionych do kierowania losami i przyszłością narodu. W tem zebraniu się przypadkowym ludzi Giller przedstawiał kierunek umiarkowanie-powstańczy, jako tako ro-

272 Taki skład podaje A. Giller, *Historia* I, 68 i Ustimowicz, *Zagowory*, 86.

zumem okiełznany, inni byli zaciekłymi rewolucjonistami, z nikim i niczem się nie liczącymi. Dąbrowskiego-Łokietka znamy już dobrze i wiemy, jak szalone pomysły i projekta wrzały w tej głowie, wiecznie niby wulkan gorejącej. Nielepsi byli jego koledzy. Szwarce, wychowany we Francji, inżynier z fachu, był przytem wszystkiem głową bardzo słabą, lekkomyślny i mało wyrobiony. W tym mózgu szalonym, idee zachodnie rewolucyjne nieprawy związek zawarły z ideałami polskimi, i mrzonki reform socjalnych z myślą odbudowania Polski; istny groch z kapustą, który czynił ze Szwarcego osobistość bardzo niebezpieczną, bardzo zaślepioną i przez ciasnotę umysłu groźną dla kraju i jego przyszłości²⁷³.

273 Jak dalece był, to i jest po dziś dzień umysł ciasny, świadczy szpetny jego pamflet, a raczej paszkwil, wydrukowany we Lwowie w r. 1894 p. t. „Wydawnictwo materyałów do historii powstania”. Na str. 42 tak on objaśnia zbawienne jakoby skutki powstania: „Bo cóżby się stało (pyta), gdyby się plan Wielopolskiego udał, gdyby Aleksander II był o tyle mądrym, że dałby jeszcze większe reformy, nawet zupełną konstytucyą, kongresową autonomią i wojsko polskie, jak po 1815 roku? Mielibyśmy znowu królestwo konstytucyjne o 5 milionach mieszkańców obok carstwa, liczącego 80 milionów poddanych i własnymi rękami pracowalibyśmy dla wzmocnienia Rosyi, któraby się już troszczyć nie potrzebowała o swoje zachodnie granice, bo sami Polacy by je strzegli dla niej. Gdyby się naród stał, jak chciał Wielopolski, wiernym carskim sługą, nastąpiłoby powolne zamieranie polskości przy pomocy polskich szkół, polskich urzędników, polskiego kościoła i polskiego wojska, któremu to zamieraniu wtórowałoby niemczenie zaboru pruskiego i austriackiego, a w najlepszym razie wstąpienie ich mieszkańców na taką samą lojalną drogę, albo dążenie ich do zlania się z Moskalami. Jedyną nadzieją byłby może szereg spisków i powstań, coraz niedorzeczniejszych, coraz trudniejszych, bo połączonych z wojną domową, z bratobójczą rzezią, przypominającą dni lutego 1846 r. Takie byłyby nieomyłne wyniki zwycięstwa owego wielkiego męża stanu”. „Powstanie zaś, chociaż zwyciężone, przymusiło cara do pozornych reform w samem carstwie, rozpoczęło szereg rewolucyjnych rosyjskich ruchów, pchnęło Gotorpów na niby ludowe i słowiańskie drogi, dla przeciwdziałania którym powstała autonomia tych części Polski, które się dotąd powoli wynaradawiały pod potężnym wpływem niemczyzny. Powstanie osłabiło na długo Moskali, oswobodziło od ich wpływu Niemców, którzy skorzystali z usunięcia tej opieki dla zjednoczenia się i dla odosobnienia monarchii austro-węgierskiej, pozwalającej nam z musu autonomicznie się rozwijać pod Karpatami. Powstanie zniszczyło ostatnie ślady moskiewsko-polskiego Królestwa i te moskiewskie siły, któreby swobodnie działały dla zawojowania całego świata, są przykute nad Wisłą do tego żyjącego trupa, który się Polską nazywa, a co chwila zmartwychwstać może. Powstanie powołało do życia ekonomicznego i politycznego miliony polskiego ludu, któremu sam car musiał dać własny zagon pod stopy i karabin do ręki. Powstanie zrobiło to, że już nas nie dusi Polski renegat przy pomocy Polaka szpiega i Polaka żołdaka, że wrogiem jest wyłącznie Moskal, że wszyscy, którzy by przyłożyli być może rękę do uśmiercenia matki, muszą chcąc nie chcąc pracować, chociażby biernym oporem, dla jej odrodzenia”. Zdania te dosadnie malują człowieka, nad którym trzeba tylko wzruszyć ramionami i przejść do porządku dziennego.

Najrozumniejsze zdania, najoczywistsze dowody nie były go w stanie nigdy przekonać, że źle robi, że ojczyznę na wspólkę z jej wrogami na krzyżu rozpina, jeżeli w swej głowie zakutej, w swem zacietrzewieniu uznał, że właśnie to, co on wymyślił i postanowił, jest najlepsze i najrozumniejsze. Pod tym względem wtórowali mu i inni. Władysław Koskowski, który zresztą w pięć dni po zawiązaniu Komitetu został z niego usunięty, ustępując miejsca Szwarcemu, i zajmując od-tąd stanowisko podrzędniejsze, należał także do tej, niezbyt jeszcze w tej porze licznej, sfery ludzi w Polsce, którzy usiłowali utworzyć istne małżeństwo na wiarę, między ideami rewolucyjnymi i socjalnymi Europy zachodniej a ideami powstańczymi polskimi. Licząc 33 lata w tej dobie (ur. 1829 r. w Płockiem), miał już za sobą całą przeszłość, pełną burz i przygód; raz powstaniec, bijący się w 1848 r. pod Miłosławiem, to znów emigrant sączący w Paryżu w duszę polską jad socjalizmu i rewolucji francuskiej, to wygnaniec w Orenburgu, amnestyonowany w r. 1858, był podobnym jak Szwarce amalgamatem nieprzetrawionych dobrze idei obcych, gwałtem zaszczepionych na, wielokrotnie potraskanej przez pioruny dziejowe, polskiej płonce powstańczej. O Daniłowskim później powiemy, gdyż zarysuje on się najlepiej w czynach.

Takim był skład tego Komitetu, który przezwiał się centralnym i który zuchwale i samozwańczo podjął się kierownictwa losami narodu. Jedyną w nim gwiazdą, błyszczącą jaśniej i jedynym przedstawicielem jakiego takiego umiarkowania i liczenia się z okolicznościami, był Agaton Giller, a w części i Witold Marczewski; reszta to szaleńcy nikomu nieznani, gdzieś z ciemnych otchłani bytu narodowego wyrzuceni na wierzch w konwulsyjnych drganiach powstańczego wulkanu. Jakkolwiek Chmieleński został sromotnie wyrzucony z Komitetu, jakkolwiek za to omal nie rozpędził go w dniu zamachu na W. ks. Konstantego, jednakże członkowie tego ciała, jak Dąbrowski, Daniłowski, Koskowski, a nawet Szwarce nie zerwali z nim stosunków, co w każdym razie świadczy o dziwnym pojęciu uczciwości politycznej i społecznej. Pomimo, że Komitet po rzeczonem zamachu, na jednym z pierwszych swych posiedzeń, pod przewagą Gillera i zawsze popierającego go Marczewskiego, zawotował potępienie zamachów i zakaz ich na przyszłość, „jako niebezpiecznych dla sprawy narodowej”²⁷⁴, Dąbrowski, Daniłowski, a nawet Szwarce²⁷⁵

274 A. Giller, *Al. hr. Wielopolski*, 96. *Historya I*, 69.

275 Sam on to wyrażnie o sobie powiada: „Chmieleński marzył tylko o sztyletowaniu, wieszaniu, o bombach i zamachach, czemu byłem w ogóle stanowczo przeciwny, chociaż musiałem się czasami z nim i z większością Komitetu chętnie zgodzić, np. co do Wielopolskiego (*Wydawnictwo materyałów*, 26) A. Giller, *loc. cit.* I, 60, do pewnego stopnia potwierdza to, mówiąc: „Komitet Centralny, jako całość, nie był nawet o zamiarze tych zamachów uwiadomiony, chociaż może niektórzy z zapaleńszych członków jego wiedzieli o nich”.

brali udział w przygotowaniach do zamachów Rylla i Rzońcy. W takim składzie ciała rządzącego, gdzie co chwila najróżnorodniejsze prądy dawały znać o sobie, gdzie każdy uważał się za uprawnionego do działania na własną rękę, nie mogło nic iść dobrze i składnie, a zwłaszcza z góry można było przewidzieć, że, jak we wszystkich spiskach na świecie, tak i tu, wcześniej czy później najszałeńsi, najgorętsi i najgłośniejsi krzykacze wezmą górę i wszystką robotę utopiają w morzu nieszczęścia powszechnego.

Mimo to, zrazu, pod wpływem Gillera, który swą niecierpiącą opozycją zarozumiałością i napuszoną powagą, swym sztucznym chłodem wreszcie, na chwilę zyskać sobie potrafił znaczenie w Komitecie, starano się zaprowadzić jaki taki ład w organizacji, która, mnożąc się szybko, tworzyła w tej dobie istną mgławicę kosmiczną, pełną wirów i wichrów wewnętrznych. Zaczęto przede wszystkim od siebie, od organizacji Komitetu samego; trzeba było bowiem podzielić się sprawowaniem różnych interesów, które wchodziły w zakres kompetencji najwyższej władzy, za jaką uważał się Komitet. Naczelnictwo więc miasta Warszawy, stanowisko utworzone jeszcze przez Komitet miejski i piastowane ciągle przez Jarosława Dąbrowskiego, pozostało nadal w jego ręku²⁷⁶, dając mu tym sposobem istotną i naprawdę jedyną władzę, jaką posiadał teraźniejszy i wszystkie przyszłe Komitety i Rządy. Już przez to samo, że Naczelnik miasta miał pod swym zarządem całą organizację miejską, karną i posłuszną, był on właściwym panem sytuacji i zwykle robił to, co chciał, zmieniał skład rządzącego ciała, ilekroć mu się to spodobało. Było to oczywiście błędem urzędnika, stosunkowo dość podrzędnego, wprowadzać do składu Komitetu, ale błąd ten, jakkolwiek widoczny dla wszystkich, w tej chwili był niemożliwym do uniknięcia, gdyż osobistość Jarosława Dąbrowskiego tak była wybitną i znaczącą, że usunąć go ze składu Komitetu było wprost niepodobieństwem. Jak wiemy, Dąbrowski, zgodnie z warcholskim zwyczajem większej części członków Komitetu, lubiał działać na własną rękę i nie oglądał się wcale na to, co uchwalił lub postanowił Komitet, którego zresztą nie lubiał i na który był zagniewany, że zapobiegł wybuchowi powstania, naznaczonego na lipiec. Dlatego też, wbrew zakazowi Komitetu co do zamachów, urządził je na margrabiego i wcale nie zważał na to, co powie Giller lub Marczewski, zwłaszcza że miał za sobą takich szaleńców, jak: Szwarce, Koskowski i Rolski.

Prócz naczelnictwa miasta, Dąbrowski spełniał obowiązki zarządzającego wydziałem wojny i Litwy, jako niby delegat Komitetu tamtejszego²⁷⁷. Właściwie zarząd Litwy nie miał żadnych podstaw realnych, gdyż organizacja tam

276 A. Giller, *Historia* II, 94 i 217 w przypisku. Nie Koskowski więc, jak utrzymuje Koźmian, II, 288.

277 Koźmian, *Rzecz* II, 288.

przyjmowała się bardzo trudno i szersze przybrała nieco rozmiary w puszczy Białowiezkiej, dzięki, jakeśmy to już we właściwym miejscu powiedzieli, Waleremu Wróblewskiemu, i w obwodzie Białostockim, dzięki Szwarcemu, który, wyniósłszy się stamtąd przed prześladowaniem policji białostockiej²⁷⁸, wszystkie, zdaje się, nici zachował w swym ręku, ale do dalszego rozwoju organizacji przyczynić się nie mógł. W Wilnie krzątał się koło zawiązania tej organizacji niejaki Nestor Dulauran, urzędnik kolei warszawsko-petersburskiej, ale rzecz szła opornie i o właściwym spisku mowy tu jeszcze być nie mogło, choćby dla tej tylko przyczyny, że nie było materiałów potemu. Szlachta, przedstawiająca jedyną, rzecz można, żywioł polski na Litwie, miała swą, do pewnego stopnia jawną organizację białą i nie chciała wchodzić do pokątnego sprzysiężenia czerwonego, urządzanego przez podrzędne figury, przez jakiegoś strażnika leśnego, inżyniera, doktora lub urzędnika kolejowego sfery, dla których prawowity szlachcic polsko-litewski żywił lekceważenie, jeżeli nie pogardę. Przytem, z natury rzeczy, szlachta była jak najprzeciwniejszą powstaniu, do którego Czerwoni wyraźnie dążyli, nie mogła więc brać udziału w ich organizacji. Pozostawali więc tylko urzędnicy nowo-budującej się kolei warszawsko-petersburskiej i drobne mieszczanstwo po miastach i miasteczkach. Żywioł to był nieliczny, ciemny, zasklepiony w swych interesach i dlatego organizacja czerwona na Litwie szła bardzo opornie i powoli, i zarządzać tu czem tak bardzo nie było.

Dąbrowski miał więc wydział, w którym nie było co robić; zresztą Litwę nie zajmował on się wcale, mając aż nadto czynności w samej Warszawie, zdając się w tym względzie, jeżeli się nie mylimy, na Szwarcego, do którego atrybucji należał zarząd prowincjami, leżącymi na prawym brzegu Wisły, z konieczności więc sięgał on i do Litwy, a głównie w Podlaskie i Białostockie, gdzie, jak wiemy, miał swe relacje.

W tym podziale różnych czynności, Giller wziął sobie sprawy zagraniczne i prasę, co mu, jako literatowi z fachu, słusznie się należało. Założył on czasopismo „Ruch”, które miało być urzędowym, że tak powiemy, organem Komitetu, a drukowało się szczotką na dużych półarkuszach po różnych drukarniach, składanie zaś odbywało się na ulicy Widok, w mieszkaniu kuzynki Szwarcego, p. Emilii H., dokąd, zdaje się, zwieziono czcionki i kaszty, zebrane z kilku drukarni warszawskich. Składaniem trudnił się zecer Romuald Kłosowicz²⁷⁹. Pierwszy numer tego pisma ukazał się dnia 5 lipca 1862 i sprzedawany był po gr. 15²⁸⁰.

278 A. Giller, *Historia I*, 175.

279 Pawliszczew, *Siedmicy J*, 195.

280 Myli się więc niejaki p. Skotnicki, twierdząc w broszurze, wymierzonej przeciw autorowi niniejszej pracy, p. t. „Przed powstaniem styczniowym”, p. 94, że numer pierwszy „Ruchu”, ukazał się w czerwcu.

Redagowane one było o wiele lepiej i staranniej od wszystkich dotychczasowych pism tajnych, od „Strażnicy”, „Pobudki”, (która zresztą od dawna przestała już istnieć), „Kosyniera”, „Prawdziwego patrioty” (wyszło go zaledwie parę numerów) i t. p. Język w niem był poprawny, wyrobiony po literacku, i autorowie nie żyli w niezgodzie z ortografią. Czynności więc swe Giller wypełniał możliwie dobrze i sumiennie. Pozostali członkowie Komitetu tak się podzielili zajęciami: Marczewski wziął zarząd kraju po lewym brzegu Wisły, oraz komunikacją, co mu tem snadniej przyszło, że jako inżynier, służący na kolei warszawsko-wiedeńskiej, i jako właściciel ziemski w Piotrkowskiem, miał tam obszerne stosunki.

Do pomocy dodany mu był Jan Wernicki, urzędnik pocztowy, figura bardzo licha, lekkomyślny, strojniś, umizgający się do kobiet, bałamucący już w tej chwili żonę jednego z członków Komitetu, u którego, jako pomocnik jego, stale bywał. Właściwie organizacją poczty powstańczej i komunikacji zajmował się Tomasz Winnicki, także urzędnik pocztowy, człowiek bardzo wyróżniający się, który pod tym względem niezaprzeczenie okazał dużo zdolności i talentu organizatorskiego. Poczta powstańcza wśród wszelkiego rodzaju wstrząśnień i przeszkód funkcjonowała z możliwą dokładnością. Ale są to czasy późniejsze; teraz Winnicki, Wernicki i Marczewski zabierali się dopiero do urządzenia tej nader ważnej gałęzi sprzysiężenia i z dobrem zrozumieniem rzeczy trzymali sprawę całą w ścisłej tajemnicy, dzięki czemu uniknęli mieszaniny się innych i niepowołanych do tego wydziału. Na koniec ostatni członek Komitetu, akademik Władysław Daniłowski, przyjęty niegdyś po rozwiązaniu się Komitetu akademickiego, był jak zawsze reprezentantem młodzieży i miał się niby zajmować sprawami Galicyi i Rusi²⁸¹. Ślamazarny nieco, powolny w wysłowieniu i czynach, krył jednak w sobie najgorętsze, najzapaleńsze przekonania rewolucyjne i skłonność ku skrajnym działaniom.

Szło teraz o to, by opracować szczegółową instrukcją tak dla samego Komitetu, jak i dla całej organizacji. Osiągało się przez to cel podwójny, bo wprowadzało się pewien ład i porządek w luźne dotąd ogniwa sprzysiężenia, a zarazem poddawało się je pod władzę Komitetu, który dotąd, rzecz można, wisiał w powietrzu, organizacji prowincjonalnej był całkiem nieznany i w większej części zupełnie o jego istnieniu nie wiedziano. Napisanie tej instrukcji powierzono Gillerowi, staremu, wytrawnemu spiskowcowi, a zarazem literatowi²⁸².

W głowie tego człowieka, nieposiadającego talentu literackiego, ale niepozbawionego zdolności organizatorskich i rozumu, urodziła się myśl dziw-

281 S. Koźmian, *Rzecz*. II, 288.

282 Myli się Koźmian, loc. cit., utrzymując, że wypracowanie instrukcji powierzono Koskowskiemu. A. Giller, *Historia*, I, 69, twierdzi inaczej i ustne relacje potwierdzają jego twierdzenie.

na, osobliwsza, wyśniona może w posępnych nocach sybirskiego wygnania, myśl niesłychana prawie dotąd, możliwa tylko w czasach takich, jak te, które opisujemy i w tak okropnem położeniu, w jakim wówczas znajdowała się Polska. Myśl ta może niezupełnie była jego własnością, powziął ją może kto inny, może leżała ona w powietrzu, jak wszystkie wielkie pomysły (już „Strażnica” w roku zeszłym mówiła o niej), ale ostatecznie Giller ją sformułował i do pewnego stopnia w czyn wcielił. Tą myślą niesłychaną w XIX wieku, prawie niewykonalną wobec tysiąca potężnych narzędzi, jakie każdy rząd posiada w swym ręku, było stworzenie tajnego państwa polskiego, tajnego rządu polskiego, funkcjonującego regularnie przy pomocy mnóstwa, odpowiednio uorganizowanych instytucji i władz. To nie był już spisek, nie było sprzysiężenie, bo organizacja ta z natury rzeczy funkcjonować musiała jawnie i widocznie dla każdego; widać było wszystkie koła i kółka jej, tylko nieznane były nazwiska osób, wprawiających tę wielką maszynę w ruch. O cóż wreszcie szło? Pomijając główny cel istnienia takiego tajnego rządu, cel, zawierający się w oswobodzeniu Polski od obcego najazdu, szło głównie o to, by przy pomocy rozlicznych ogniw tajnej organizacji sparaliżować rząd jawny, podkopywać go wszędzie, zapobiegać wykonywaniu jego poleceń i dekretów, odjąć mu wszelką władzę, uczynić go pustem narzędziem, biblijnymi cymbałami bez dźwięku. Do tego zamiaru rozległego i, zdawałoby się, prawie niemożliwego do wykonania postanowiono głównie użyć funkcjonariuszów rządu jawnego; w jego policyi mieć policyą, w jego władzach własne władze. Tym sposobem wszelkie tajne rozporządzenia rządu najezdniczego musiałyby być zdradzane przed rządem powstańczym i w swym zarodku sparaliżowane²⁸³.

283 A. Giller, *Historia* II, 207, tak określa ten swój pomysł: „Pierwotną myślą tajemnego rządu w Komitecie było oświadczyć instytucje rządzące, posiadać władzę nad całym krajem, a czyniąc niemożliwymi działania rządu carskiego nie tylko w Warszawie, ale i w Petersburgu, opanować wszystkie źródła siły i powagi rządowej, i wówczas dopiero wziąć się do oręża i obalić zwątlony carat. Że ten obszerny pomysł mógł być wykonanym, przekonywa nagle wzrastanie potęgi Komitetu od 1 września 1862 r. W społeczeństwie wolnem, oświeconem i dobrze uorganizowanem, trudniej zapewne przeprowadzić rozkład rządu, lecz w społeczeństwie, zostającym w niewoli, w którego łonie rząd nie posiada podstawy, odebranie władzy przez rozkład nienawistnego organizmu nie jest niepodobnem. Jeżeli w Polsce, z przyczyny niewoli politycznej, możebnem było postawienie Rządu narodowego tajemnego obok rządu obcego: tedy w Rosyi, gdzie niewola najstraszniejsza, bo i moralnie się utrzymuje, gdzie indywidualizm słabo jest wyrobiony, gdzie w każdym wieku zjawia się carewicz samowładny, wykonanie podobnego planu jest tem łatwiejsze. Nad niewolnikiem panuje ten, kto mu rozkazuje. Rozkaz to prawo i niewolnik go słucha. Plan więc obalenia caratu, opartego na idei tajemnego rządu, powstał z dokładnej znajomości tak polskiego, jak i moskiewskiego społeczeństwa i z również dokładnej znajomości sposobów wyrabiania się władzy”.

Tego rodzaju pomysł mógłby być wykonany tylko w takim kraju i położeniu, w jakim była Polska ówczesna, przy tym, podniesionem do najwyższego tonu patryotyzmie, jaki ożywiał wszystkie warstwy, przy tych dążnościach powstańczych, które przeszły w krew niemal całego narodu. Na tej to podstawie, niezaprzeczenie mądrze wybranej, świadczącej o doskonałej znajomości uczuć i charakteru narodowego, oparto cały pomysł, pozornie tak dziwny i niezwykajny, ale właśnie dlatego samego wykonalny, bo w ówczesnej Polsce wszystkie stosunki, wszystkie wyobrażenia i pojęcia, były same przez się dziwnymi i niezwykajnymi. Świat ówczesny polski, jak niegdyś Hamletowy świat doński, wyszedł ze swych karbów, i dlatego mogły się w nim rodzić takie pomysły, zaprzeczające najoczywistszym, najprostszy pojęciom o ustalonym porządku społecznym i o jego sile. Polska ówczesna dowiodła na naukę dla wszystkich, że rząd, który nie opiera się na narodzie, który nie ma w nim podstaw, który nie wyrósł z pnia narodowego, wisi w powietrzu i lada chwila wichur obalić go może, jako sztuczną budowę, jak domki z kart przez dzieci stawiane. Niestety! nauki historii dla rządu rosyjskiego dotąd nie istnieją.

Myśl ta oczywiście nie od razu weszła w wykonanie, w praktyce uległa wielu zmianom, ale w tej chwili istniała w zarodku w głowie Gillera, a może innych, i przebija się ona wyraźnie w instrukcji, jaką w tej dobie skreślił dla Komitetu centralnego i organizacji powstańczej, oraz w artykułach, jakie drukował organ tegoż Komitetu: „Ruch”. Już w pierwszym numerze tego pisma czytamy: „zasoby siły narodowej... powinny być skupione bez tego rządu, który nas pilnuje, jak złodziej kradzionej rzeczy. Powinny być skupione przez zgodne i jednostajne występowanie i spieszne gromadzenie w całym narodzie materiałów powstańczych, przez spieszne i zgodne, a jednostajne usuwanie tego, co powstaniu przeszkadza w anormalnem i fałszywem urządzeniu stosunków społecznych, a wreszcie przez doprowadzenie rządu do coraz większej bezsilności ciąglem podkopywaniem jego zaufania i siły. Możemy agitacją, oporem, propagandą i innymi sposobami, o których tu jeszcze mówić nie będziemy, doprowadzić go do położenia, w którym jego organa będą go zdradzały, wszystko mu się usuwać będzie z pod nóg i nie będzie w stanie oprzeć się powstaniu, które go wywróci i precz wyrzuci”.

W instrukcji, wydrukowanej na osobnych kartkach i datowanej dnia 24 lipca, zawierał się przede wszystkim program Komitetu centralnego. Program ten²⁸⁴, ujęty w dziewięć osobnych paragrafów, zapowiadał, że „organiza-

284 Oprócz osobnych druków, dziś bardzo rzadkich, program powyższy czytać można w Nr. 5 „Ruchu” z d. 17 września, oraz w „Przeglądzie rzeczy polskich” z d. 12 grudnia 1862, p. 42, wydawanym w Paryżu przez Elżanowskiego. Ponieważ dość trudnem jest odszukanie tych pism, program rzeczony podajemy na końcu dzieła, w zbiorze dokumentów pod Nr. 4.

cya narodowa ma na celu przygotowanie kraju do powszechnego, a na dobry skutek obrachowanego powstania, które ma wywalczyć niepodległość Polski w granicach 1771 r., a dla wszystkich jej mieszkańców, bez różnicy religii, zupełną wolność i równość w obliczu prawa, z poszanowaniem praw narodowości z nią związanych”; że dla wywalczenia tej niepodległości organizacya „rachuje na siły samego kraju i powołując wszystkie stany i zatrudnienia do pracy narodowej, zwraca szczególnie usiłowania do niższych, tak miejskich, jak i wiejskich warstw społeczeństwa, ażeby je podnieść, a przez powołanie do udziału w pracy narodowej, postawić na stanowisku politycznym w kraju”; że „wpływać będzie, aby reformę stosunków włościańskich załatwić pomyślnie dla sprawy powstania i doprowadzić włościan do zupełnego uwłaszczenia przez rząd polski, który z ogólnych źródeł państwa obmyśli fundusze na wynagrodzenie właścicieli za ustąpione czynsze”, że „utrzymując naród w powadze żałoby i w powstrzymaniu się od wszelkich niewłaściwych w jego położeniu zabaw, koncentrując wszystkie siły do jednego celu, do istnienia politycznego, nie wchodzi z najazdem w żadne porozumienia, urządza przeciw niemu opozycją jawną i skrytą, podkopuje wszędzie jego siły i nie ogradzając się naprzód określonymi postanowieniami, spożytkować na rzecz powstania wszystkie pozycje najazdu, czy to przez opór, czy też agitacją, której postać i kierunek stosownie do okoliczności ustanowi”; że „gromadzi zasoby pieniężne przez nałożony na kraj podatek i przeprowadza uzbrojenie narodu przez zakupywanie broni, urządzenie jej składów w kraju i zagranicą, sprowadzenie ludzi, obeznanych ze sztuką wojenną, i stawia kraj w położeniu, które mu dozwoli jak najspieszniej wystąpić dzielnie i z pomyślnym skutkiem przez powszechne powstanie”; że „obejmuje i emigracją polską i starać się będzie o danie jej możliwości w danej chwili służenia sprawie niepodległości w samym kraju; że na koniec „porozumiewa się z narodami ościennymi, szczególnie słowiańskimi, a będącymi w usiłowaniach wyjarzmania się i starać się będzie o wywołanie pomiędzy nimi, szczególnie też w Rosyi, agitacyi, a wreszcie i ruchu zbrojnego, który by osłabił i neutralizował nieprzyjaciela, a takim sposobem ułatwił zwycięstwo sprawie ogólnej wolności”.

Właściwością wszystkich tajnych sprzysiężeń, prawem nieuniknionem i fatalnem jest to, że władza naczelna, zamiast niemi sterować, powoli musi ustępować kierunkowi, dążnościom i pragnieniom sprzysiężonych warstw niższych. Już w tym programie widać, że Komitet centralny musiał ulegać aspiracyom ogółu sprzysiężonych i że zatem w nakreśleniu drogi postępowania nie mógł się trzymać własnych widoków, ale stawał się powolnem narzędziem widoków organizacyi. Zapowiadając odbudowanie Polski w granicach 1772 r., Giller działał wbrew własnemu przekonaniu i dobrze zrozumianej

polityce, którą on doskonale pojmował²⁸⁵, gdyż tego rodzaju zapowiedź groziła wojną trzem państwom rozbiorowym, z których każde, pojedynczo wzięte, było o wiele silniejsze od przyszłej Polski powstańczej, i które przez taką zapowiedź we własnym interesie starać się musiały o stłumienie ruchu polskiego. W Komitecie prawdopodobnie nie było ani jednego człowieka, nie wyjmując nawet Szwarcego i Rolskiego, którzy by po bliższem zastanowieniu się nie przyszli do przekonania, że takie wyzywanie trzech potężnych mocarstw, było nie tylko błędem, ale po prostu nierozsądkiem i narażaniem na nieodzowną klęskę najistotniejszych interesów kraju. To też później, pod wpływem twardej okoliczności, tak Komitet centralny, jak i Rząd narodowy wielokrotnie przeniewierzał się temu programowi, ale teraz nacisk aspiracji narodowych, pragnienia mas, rządzących się zwykle nie rozumem, ale uczuciem, były tak stanowcze, że Komitet uleść im musiał, gdyż w przeciwnym razie samby egzystować nie mógł. Tym sposobem w początkach swego istnienia pić już był zmuszony gorzki wywar rządzenia sprzysiężeniem.

Niemniej błędem było głoszenie o załatwieniu ostatecznem sprawy włościańskiej. Wszyscy ci młodzi ludzie, którzy składali Komitet centralny, obczytani byli w polskich ewangeljach powstańczych, w Mochnackim, Mierosławskim, Alcyacie, w odezwach i programach Centralizacji demokratycznej, i wierzyli w to mocno, że darowizną ziemi zdołają ciężką ludową czarniawę poruszyć i rzucić na Moskale i Niemca. Dlatego też w programie swoim wyraźnie zapowiedzieli uwłaszczenie włościan, niby słodką obietnicę, która, sądzili, przyjaźnie dla ich działań usposobi chłopą. Tymczasem zapominali o tem, że chłop ich odezw i programów czytać nie będzie i o istnieniu Komitetu centralnego nigdy, a przynajmniej bardzo późno i niedokładnie się dowie, że zatem będzie to nabój w powietrze wystrzelony, którego pojedyncze jednak śróćciny dotkliwie mogą obrazić szlachtę, jedyną warstwę, na której w przyszłym powstaniu rzetelnie się oprzeć będzie można. Jakoż szlachta dość nieufnie spoglądała na ten program i na owe zapowiedziane uwłaszczenie chłopą, nie dlatego, by w ogromnej swej większości nie czuła potrzeby jego uwłaszczenia i nie była przekonaną, że wcześniej czy później przyjdzie ono musi do skutku, ale dlatego, iż zapowiedź ta, przez Czerwieńców dana, budziła jej podejrzenia, że mają oni na celu nie tyle niepodległość Polski, ile rewolucją socyalną. Szlachta, jak ktoś słusznie w owe czasy powiedział, wyobrażała sobie Czerwonych jako ludzi wysokich, z ogromnymi wąsami, w huzarskich butach, z czterema przynajmniej pistoletami za pasem²⁸⁶, jednym słowem, jako

285 Świadczy o tem wiele ustępów w jego „Rzucie oka na czasy po upadku powstania listopadowego”. (Tom III i IV, „Historii powstania narodu polskiego”).

286 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny, I, 174.

zazartych, rozczochranych demagogów, którzy dla osiągnięcia swych celów socjalnych, gotowi są wszystko do góry nogami wywrócić, wszelki porządek społeczny podkopać, i nieszczęśliwą ojczyznę w stokroć gorsze nieszczęście pogrążyć.

Niejasna, ogólnikowa zapowiedź uwłaszczenia, obietnica zapłacenia za ziemię szlachcie z jakichś „ogólnych źródeł państwa” nieistniejącego jeszcze, te podejrzenia wzmocnić musiała i zniechęcić do programu i do ludzi go wygłaszających, jedyną warstwę narodu, bez której żadne powstanie w Polsce dwóch dni nawet utrzymać by się nie mogło. Był to więc drugi błąd programu, tem ważniejszy, że nie zyskiwał chłopa, a niepokoił szlachtę i kazał się jej mieć na ostrożności, ale błąd niemożliwy do uniknięcia wobec ogólnych, przeważających w tak zwanej inteligencji miejskiej wyobrażeń o potrzebie radykalnego uregulowania stosunków włościańskich. O tej kwestyi więc Komitet centralny w programie swoim nie mógł zamilczeć, jeżeli chciał istnieć i rządzić, zapominając, że w podobnych okolicznościach, w jakich on się znajdował, najlepiej jest milczeć, a za to dużo działać.

Druga część instrukcyi, wygotowanej przez Gillera, zajmowała się wyłącznie formą organizacyi i zaprowadzeniem w niej ładu i sforności, w tej nadziei, że przez to łatwiej przyjdzie Komitetowi ogarnąć i owładnąć niezliczoną ilością kółek, tworzących się samorzutnie tak w Warszawie, jak i na prowincyi. W głównej osnowie Komitet przyjął organizacyą dziesiętną, istniejącą już od dawna; ustanowił tylko hierarchią; naczelnik dziesiątki zwać się miał dziesiętnikiem i miał podlegać naczelnikowi setki, noszącemu miano setnika, a ten okręgowemu czyli tysiącownikowi. Okręgowi w Warszawie zależni są od wydziału miejskiego, złożonego z trzech członków Komitetu, z których jeden nosił miano Naczelnika miasta. Na prowincyi nie było okręgowych, tylko naczelnicy powiatów, podlegali wojewódzkiemu, który bezpośrednio się komunikuje z Komitetem, od niego odbiera rozkazy, składa mu raporta. Na Litwie, Rusi, w Galicyi i Poznańskiem, Komitet polecał urządzenie takiej samej organizacyi, zależnej od miejscowych Komitetów prowincjonalnych, komunikujących się za pośrednictwem stałego ajenta z Komitetem centralnym. Emigracya, za granicami Polski będąca, miała się tak samo uorganizować i zależeć od Komitetu emigracyjnego, podwładnego Komitetowi centralnemu. Takim jest główny szkielet ustroju tego niesłychanego w dziejach sprzysiężenia, szkielet pełen prostoty i dlatego bardzo silny, tak, że z małemi zmianami przetrwał on wszystkie burze, wszystkie zamachy najazdu, wszystkie wstrząśnienia wewnętrzne i zewnętrzne, i skończył dopiero z upadkiem powstania. Ponad całą tą maszyną rewolucyjną stał Komitet centralny, który według instrukcyi „rezyduje w Warszawie i skupia w sobie całą organizacyą powstańczą. Ma on

charakter władzy nieograniczonej, z której nikomu sprawozdania nie robi, ani też tłumaczenia ze swych czynów nie daje. Usunięty być może tylko zgodą większości głosów Komitetu. Wszelki rokosz przeciw jego władzy uznanym będzie za bezskuteczny i nielegalizujący nowego położenia rzeczy”. Wbrew wszelkim znanym w historii sprzysiężeniom, w których wszyscy członkowie byli sobie równi i, poza sprawami wojskowymi, żadnej hierarchii nie ustanawiali, Komitet centralny od razu występuje jako władza nieograniczona, niezależna od różnych słoików spisku, i przemawia jako władza. Określił on również wewnętrzną swoją organizacją, według której miał się składać z siedmiu członków, wybieranych przez sam Komitet i usuwanych przez niego większością głosów. Przewidując możliwość aresztowania tego lub owego członka, Komitet zastrzegał sobie prawo dobierania przez pozostałych brakującej liczby, „mając głównie na uwadze siłę charakteru, rozum i usposobienie powstańcze nowych członków”. Uchwały w Komitecie zapadają większością głosów. Prezydujący na posiedzeniach miał się zwać „regulatorem”, ale nazwa ta się nie utrzymała w praktyce, jak również liczba członków nie zawsze dochodziła do siedmiu, owszem w większości wypadków Komitet i późniejszy Rząd narodowy składał się tylko z pięciu członków. Również licznym zmianom ulegał podział Komitetu na wydziały. W tej chwili, według instrukcyi, miało ich być pięć: spraw Warszawy, spraw prowincyi, spraw zagranicznych, policyi i skarbu. Do departamentu spraw zagranicznych włączono wydział prasy, „którą ma pod swoim bezpośrednim nadzorem i przez którą kieruje opinią publiczną”. Prócz tego na departament ten włożono obowiązek urządzenia poczty. Kolejno każdy z członków Komitetu miał być dyżurnym i miejsce jego pobytu winno być wiadome wydziałowi miejskiemu. Zarządzający wydziałami, czyli po prostu ministrowie, mieli nosić miano „wydziałowych” i oni także obowiązani byli wiedzieć, kto jest z kolei dyżurnym i gdzie go znaleźć można w każdej chwili. „W wykonaniu swej nieograniczonej władzy (czytamy w końcu instrukcyi), Centralny Komitet za wykroczenia swoich podwładnych naczelników przeciw rozkazom Komitetu i kierunkowi Organizacyi w programie wskazanym, daje dymisję, albo zamienia się w sąd, lub go z innych osób naznacza i winnego pociąga do tłumaczenia. Członkowie Centralnego Komitetu uroczystie przysięgają tajemnicę nazwisk, działań Komitetu i całej Organizacyi, tak przez czas swego urzędowania, jak i po skończonem urzędowaniu. Chwilę powstania sam Komitet naznacza, plan jego układu(?), wyznacza Naczelnika wojskowego Polski i rząd tymczasowy, a z rozpoczęciem jego funkcjonowania Komitet i Organizacja narodowa rozwiązują się”.

Nie można zaprzeczyć, że cała ta organizacja była doskonale obmyślana, o ile rzeczy ludzkie i w tak ciężkich warunkach, w jakich się ówczesne sprzy-

siężenie znajdowało, mogą być doskonałemi. Najważniejszą wadą i błędem ustroju komitetowego było to, że jego członkiem stałym, z urzędu niejako, był wydziałowy miejski, czyli, jak go stale nazywano, naczelnik miasta. W ogólności niepotrzebnie tworzono osobne ministeryum do spraw warszawskich, ale skoro je utworzono, to już nie można było zwierzchnika tegoż stawiać niżej od innych ministrów i nie wpuszczać do Komitetu. Tym sposobem wszelako ukuto na siebie własnowolnie miecz i zasiano zarzewie wielu burz i nieszczęść. Naczelnik miasta, mając w swym ręku całą organizacją miejską, bezwzględnie mu posłuszną, miał, jakśmy to już parokrotnie zaznaczyli, istotną siłę materialną, której Komitet nie posiadał, opierając się tylko na sile moralnej. To też ilekroć naczelnicy miasta byli ludźmi energicznymi, a takich była większość, tylekroć działali na własną rękę, nie uważali na uchwały Komitetu, owszem ciało to często rozpędzali z kretesem. Wprawdzie Giller, odczuwając niejako niebezpieczeństwo, jakie groziło zwierzchniemu ciału sprzysiężenia ze strony naczelników miasta i w ogóle organizacyi miejskiej, zastrzegł sobie w jednym z paragrafów instrukcyi, że wszyscy przełożeni i podwładni dziesiątek i setek, „winni są bezwzględne posłuszeństwo Komitetowi Centralnemu Narodowemu”, ale inna jest rzecz prawo pisane, a inna życie samo i jeszcze życie w tak strasznych i niezwykłych warunkach. Wreszcie instrukcja zalecała, by członkowie organizacyi, „w stosunkach względem kolegów w organizacyi, obowiązani są dawać wzajemną pomoc i ratunek w razie nieszczęścia lub zagrożenia niewolą. Obowiązani pomiędzy ludnością niebędącą w organizacyi prowadzić propagandę powstańczą, a sami kształcić się rewolucyjnie wedle możliwości, w największej tajemnicy wojskowo. Wyrabiać w sobie dalej konieczną dla wykonania wielkich dzieł odwagę cywilną i wojskową, cierpliwość i poświęcenie bezwarunkowe. Każdy oprócz tego wiedzieć powinien, że za niedopełnienie obowiązków i rozkazów ulegnie karze”.

Instrukcja ta i program odbity został w znacznej ilości egzemplarzy i oczywiście wcześniej czy później dostać się musiał do rąk rządu; dostał się jednak stosunkowo dość późno, bo dopiero w miesiąc po jego wydaniu, co świadczy, jak słabą i jak niedołązną była policja rządowa. Nigdy ona w państwie rosyjskiem, a zwłaszcza w Królestwie nie była doskonałą i czujną, a teraz organizacja powstańcza miejska siliła się wszelkimi sposobami do reszty ją popsuć, co udało jej się w zupełności. Jako złożona z Polaków w ogromnej swej większości, nie mogła być obojętną na prądy i uczucia, przebiegające rodzinne jej społeczeństwo; łatwo też ulegała namowom i wkrótce przyszło do tego, że znaczna część jej agentów należała do organizacyi powstańczej i tym sposobem spariżowano całą działalność tego najskuteczniejszego narzędzia rządowego. Naczelnik jego w Warszawie, oberpolicmajster Muchanow, był człowiekiem

dobrym, ale nierozgarniętym, wreszcie przy obejmowaniu urzędu zastrzegł sobie, że nie będzie miał nic do czynienia z policją tajną, która też teraz, po ucieczce Podwysockiego, prawie wcale nie istniała. Ulubionym frazesem Muchanowa było: „mieszkańcy coś przygotowują, ale co właściwie, niewiadomo”²⁸⁷, i na tem wszystko się kończyło i kończyć musiało, gdyż najtajniejsze rozporządzenia policyjne dostawały się zaraz po ich wydaniu do rąk powstańczego Naczelnika miasta, który wykonaniu ich zapobiegał rozmaitymi sposobami, o ile to było w jego możliwości. Ostatnie jednak zamachy na W. księcia i Wielopolskiego wywołały w sferach rządowych oburzenie, a co zatem idzie, silny nacisk na policję, by się wzięła do rzeczy energicznie i spisek wykryła. Ilekroć takie rozkazy przyszły, tylekroć kipiało w policji i pozornie okazywała ona nadzwyczajną, gorączkową czynność. Kręciła się więc po mieście, rozpędzała zbiegowiska, aresztowała po ulicach mnóstwo osób niewinnych na to tylko, by przepęlić niemi areszta i po paru dniach znów je wypróżniać. Nieudolność swoją, a może niechęć zastępowała brutalstwem i nadużyciami, ale właściwych odkryć nie robiła. Na prowincyi położenie było o wiele jeszcze gorsze. Po miastach i miasteczkach burmistrzowie i inspektorzy policyjni byli Polakami, na których oddziaływał stan powszechny umysłów, przytem pozbawieni byli wszelkiego sprytu policyjnego i przez długi spokój w kraju odwykli od pełnienia należytego swych obowiązków. Zresztą nie było kim i czem spełniać tych obowiązków. Policja, nawet w miastach gubernialnych, składała się zwykle z kilku starych dziadów, po większej części wysłużonych żołnierzy, którzy w wyszarzanych lub podartych mundurach, w przedpotopowej formy czakach, „skopkami” zwanych, z kijem w rękę a pałasina, zwykle na tyle zawieszonym, którego z pochwy wydobyć nie można było, włóczyli się po ulicach i o tem tylko myśleli, żeby kubana dostać od żydówki, handlującej śledziami, lub od szynkarza, sprzedającego szwarcowaną gorzałkę.

O spisku, o możliwości wyśledzenia go pojęcia nawet nie mieli, zresztą przed każdym surdutowym panem, przed aplikantem tego lub owego urzędu nisko się kłaniali, by przy sposobności dostać od niego dziesiątkę na wódkę lub tabakę. Wprawdzie w miastach gubernialnych i powiatowych był jeszcze jeden rodzaj policji, t. j. żandarmerya, płatna przez skarb Królestwa, wojskowo uorganizowana, złożona z doborowych fizycznie ludzi, posiadająca wszelkie środki do wyśledzenia sprzysiężenia tajnego. Ale i tutaj długoletni pokój w kraju, wiatr liberalizmu wiejący z Petersburga, zrobił swoje. Kapitanowie żandarmeryi, rezydujący po miastach, w trzech czwartych Polacy, starzy i nie-dołężni inwalidzi, nie umieli sobie dać rady ze spiskiem, a ich podwładni,

287 N. Berg, *Zapiski*, II, 352.

żołnierze i podoficerowie włóczyli się po wsiach, patrzeli tylko, gdzie się z kominami kurzy, by się najeść za darmo i łapowe dostać. Zdawałoby się, że takiemu rozpaczliwemu położeniu policji w kraju zapobiedz powinien ogłoszony w roku zeszłym stan wojenny. Ale i tutaj, jak to zwykle bywa w rządzie rosyjskim, zły wybór ludzi popsuł wszystko. Naczelnikami wojennymi, którzy mieli obszerną władzę, zostawiali zwykle komendanci garnizonów miejscowych, oficerowie niemający pojęcia o administracji i policji. Wskutek tego więcej przynosili oni szkody niż pożytku. Postępując gwałtownie, bez taktu, bez znajomości ludzi, rzeczy i obyczaju, wierząc bezwzględnie denuncyjom, dopuszczali się licznych nadużyć, ale do jądra spisku dotrzeć nie umieli, dbając przede wszystkim o to tylko, by spokój zewnętrzny był zachowany, by manifestacji nie urządzano, hymnów zakazanych nie śpiewano i w czarniakach lub konfederatkach nie chodzono. Zdarzało się przytem wielokrotnie, że naczelnik wojenny pisał do Warszawy skargę na takiego lub owego urzędnika i określał go jako „burzyciela porządku”, jako „bardzo niebezpiecznego człowieka”. Wielopolski, otrzymawszy takie doniesienie, zapytywał się gubernatora lub naczelnika powiatu, czy to prawda, co o tym lub owym pisze pan naczelnik wojenny, i zwykle otrzymywał jak najuroczystsze zapewnienie, że oskarżenie jest wierutnem kłamstwem, że obwiniony jest człowiekiem spokojnym, lojalnym i oddanym swym obowiązkom. Wreszcie kolejne znoszenie stanu oblężenia odebrało naczelnikom wojennym władzę, jaką posiadali, i tym sposobem jedna z możliwości wyśledzenia spisku unicestwioną została. Na wsiach położenie było jeszcze gorsze. Dziedzic był wójtem, należał zwykle do organizacji Białej lub Czerwonej, i każdemu emisaryuszowi lub agitatorowi chętnie wydawał pasport, a przynajmniej patrzył przez palce na to, co się koło niego dzieje. Bardzo często bywało i tak, że rządca, ekonom lub gorzelany był jakim dygnitarzem w organizacji, o czym dziedzic wiedział i choć niechętny był spiskowi, przecież w obawie, w tem polskiem poczuciu, że żadnemu działaniu, mającemu na celu wolność ojczyzny, opierać się nie należy, był pokornym sługą swego podwładnego i robił, co ten mu kazał²⁸⁸.

W takim położeniu jednej z najważniejszych władz każdego rządu, zwłaszcza w czasach tak burzliwych, wśród społeczeństwa tak wstrząśniętego do głębi, nie można było nawet marzyć o wykryciu organizacji powstańczej, rozszerzającej się coraz bardziej i wciągającej wszystko i wszystkich w swe objęcia. Mimo to, powtarzamy, ostatnie zamachy zelektryzowały policją warszawską. Pod silnym naciskiem władz zwierzchnich wzięła się ona ener-

288 Przykład takiej sytuacji daje w swych pamiętnikach Bronisław Deskur (Wydawnictwo materyałów do historii powstania, II, 146) i opowiada, jak służba zmusiła swego pana do wstąpienia do organizacji i do złożenia przysięgi.

gicznie do rzeczy, wykryła kilka dziesiątek i aresztowała 66 spiskowych, oraz dostała do rąk program i instrukcją dla organizacyi. Co prawda zdobycz to była ani wielka, ani ważna. Aresztowani należeli do najniższych słoików organizacyi, przeważnie rzemieślnicy, robotnicy, dorożkarze i t. p. i pożytku z ich schwytania żadnego nie było, gdyż nie wiedzieli oni wiele i nic też powiedzieć nie mogli; program zaś objaśniał tylko rząd o formach sprzysiężenia, a poza tem innej korzyści nie przynosił.

Wszelako Wielopolski, może w zamiarze utworzenia oczów narodowi na niebezpieczeństwo, jakie nad nim wisi, program ten streścił w urzędowym „Dzienniku powszechnym”²⁸⁹, formę zaś organizacyi dosłownie przedrukował, zaopatrzwszy ją w kilka uwag zjadliwych. „Pismo to pokazuje dowodnie, mówił „Dziennik”, że sprzysiężenie, usiłujące miotać Warszawą i krajem i z drogi reform i ulepszeń towarzyskich strącić nas w przepaść odmetu, nosi na sobie te same cechy, jak knowania i spiski stronnictwa bezrządu, w niektórych innych krajach na zachodzie odkryte i ukrócone, z tą niestety różnicą, iż u nas mordy należą do codziennych środków działania tego stronnictwa, które na naszej ziemi tem większą okazuje zapalczywość, im więcej reformy i zbawienne ulepszenia przez administracyą krajową w nowym jej składzie niezachwianie przeprowadzane, wszelką podstawę bytu temu stronnictwu odejmują i potępienie wszystkich ludzi dobrej woli w narodzie na knowania jego ściągają”.

Oskarżenie Komitetu centralnego, jakoby miał te same cechy, co „spiski i knowania stronnictwa bezrządu” na zachodzie, niezupełnie było słusznem, bo większość członków tego ciała niezawodnie myślała nie o rewolucyi powszechnej i obaleniu tronów, ale tylko o oswobodzeniu własnej ojczyzny od najazdu obcego. Z tem wszystkim ogłoszenie to zrobiło ogromne w kraju wrażenie, gdzie większość ludzi miała jeszcze bardzo mętne i niejasne pojęcia o sprzysiężeniu i jego urządzeniu całem. Teraz dowiedziano się, że sprzysiężenie to ma systematyczną organizacyą, że na czele jego stoi komitet i że komitet ten dąży do powstania „na dobry skutek obrachowanego”. To, co było dotąd ciemnem, stało się nagle dla wszystkich bardzo widnem dzięki organowi urzędowemu, i ogłoszenie jego przyniosło tylko pożytek samemu Komitetowi, który, widząc się odkrytym, uznał teraz za stosowne występować jawnie i przemawiać jako jedyny prawy rząd polski.

Zaraz też w odpowiedzi na to ogłoszenie Komitet centralny w Nrze 5 „Ruchu” opublikował swój program i opatrzył go takim komentarzem: „najazd moskiewski ogłosił w Nrze 194 „Dziennika powszechnego” znalezione, jak

289 Nr. 194 z dnia 29 sierpnia 1862 roku.

twierdzi, u jednego z uwięzionych formy organizacyi narodowej. Ogłoszeniem tem zamierzył rzucić postrach pomiędzy ludzi słabego charakteru, dając do zrozumienia, że zna najdrobniejsze szczegóły działań naszych, zamierzył upozorować przed ludami Europy nieustanne swe gwałty i mordy nad Polską dokonywane, zamierzył z góry usprawiedliwić kartowane obecnie nowe zbrodnie, wykazując wyjątkowe swe położenie, iż wobec jego nieuznanej, inna, przez naród zatwierdzona, stoi władza. Cała europejska prasa zajmuje się naszą narodową organizacją, czemu tylko przyklasnąć możemy, gdyż działanie nasze święte i czyste jak i nasze cele, dowodzące o nieugiętej nigdy żywotności narodu, o nieustannej pracy nad wywalczeniem niepodległości, nad wyparciem ze swej ziemi dzikiego, żądzą krwi i łupów oddychającego najazdu; działania nasze żadnej tajemniczej nie potrzebują osłony. Tak! niech cały świat wie, że pomimo tylu klęsk i przeciwności, ani na chwilę nie spoczęliśmy w wielkiej około dźwignięcia Polski pracy; niech się przekona, że wytrwałości naszej nic złamać nie zdoła, i że coraz silniejsi i potężniejsi do boju z wrogiem stajemy; niech Europa przekona się na koniec, że anarchiczne, na zwierzęcej przemocy oparte rządy moskiewskie i niemieckie w Polsce żadną miarą wobec dążeń i niezłomnej woli narodu ostać się nie mogą. Działamy jawnie, światła się nie lękamy, droga nasza prosta i ani na chwilę z niej nie zboczymy; cel nasz i drogi nasze naród osądzi i powie, czy organizacja jest, jak głosili ludzie złej woli i słabej wiary, dziełem szalonej garstki, czy też wyrazem gorących pragnień i niezachwianej woli całego narodu. Nigdy nie uznaliśmy i nie uznajemy za władzę naszych ciemiężców. Miłujemy prawo, na prawach boskich i ludzkich oparty porządek rzeczy, a ta miłość nasza dla prawego porządku, to poczucie naszych nieśmiertelnych praw narodowości naszej za natchnieniem Bożem wyprowadziły z łona ludu organizacją narodową, a na jej czele Centralny Narodowy Komitet, który dziś nami kieruje i którego rozkazy z największą ścisłością i ochotą spełniamy. Działamy jawnie i głośno uznajemy władzę Komitetu. Stoi on wśród nas, w naszej stolicy Warszawie i nieustannie pracuje nad godnem wywiązaniem się z powierzonego mu przez naród posłannictwa, nad przygotowaniem Polski do zwycięskiego powstania, a nigdy nie może być ujętym przez wroga, bo jest tylko wyrazem i przewodnikiem organizacyi narodowej, której żadne usiłowania wrogów nie zniszczą, bo ją cały naród popiera. Działamy jawnie i dlatego ogłaszamy przed narodem cel i zasady organizacyi, które, przy wydrukowaniu jej form przez „Dziennik powszechny”, ledwo wzmiankowane i podstępnie sfalszowane zostały”.

Wśród takich to ciężkich i trudnych warunków Komitet centralny rozpoczynał swą działalność, która głęboko wyżyłbić się miała w dziejach naszych nieszczęść. Działanie to, samo przez się bardzo trudne wobec rządu, który wszelkimi siłami

starał się mu zapobiedz, a członków organizacji wysledzić, miało znaleźć nowe przeszkody, pochodzące od tych licznych grup rewolucyjnych, jakimi roiła się wówczas Polska i emigracja, od tego mnóstwa drobnych ambicyj, które uważały się za najzdolniejsze i najbardziej uprawnomocone do kierownictwa losami narodu. Na emigracji zwłaszcza rzeczy w ogólności przybierały bardzo zły obrót. Szkoła podchorążych polskich w Cuneo, na którą tak wiele liczono, z której obiecywano sobie mieć liczny zastęp dzielnych oficerów dla przyszłego powstania, targana od początku wewnętrznymi burzami, niespokojna i wichrząca, przestała istnieć. Stało się to dnia 19 czerwca 1862 r. na skutek stanowczego żądania ze strony Rosyi, że dopóty nie uzna królestwa włoskiego, dopóki szkoła ta rozwiązana nie będzie. Żądanie to, o ile się zdaje, nastąpiło pod wpływem rządu pruskiego, w czym brał pewien udział hr. Bismarck, mianowany w tym czasie posłem praskim w Paryżu, a który powoli budował swą przyszłą wielką karierę polityczną na postumencie z polskiego nierozumu. Oczywiście rząd włoski, od dawna do tego przygotowany, kierując się i słusznie (jeżeli patrzeć będziemy na rzeczy ze stanowiska włoskiego), interesem własnym, na warunek się ten zgodził i minister Rattazzi doniósł o tem pod datą powyższą dyrektorowi szkoły, generałowi Wysockiemu. W liście tym przebiega pewien ambaras, z jakim przyszło rządowi włoskiemu zadekretować rozwiązanie szkoły. „Przeważna polityczna konieczność (*une nécessité politique superieure*)”, pisał minister, niezbędnie wymaga rozwiązania szkoły; udaję się więc do ciebie generale, jako do jej dyrektora, z prośbą o rozwiązanie szkoły polskiej w Cuneo, a to w celu nie narażania rządu królewskiego na dyplomatyczne trudności i powikłania (*a fin d'éviter au gouvernement du roi les embarras d'une gênée et d'une difficulté diplomatique*)²⁹⁰. Jakkolwiek rzecz ta od dawna była przewidywana, wszelako list ministra włoskiego dotknął boleśnie tak Wysockiego, jak i młodzież, która marzyła tylko, jak będzie szła „z ziemi włoskiej do polskiej” dla jej oswobodzenia od obcego najazdu. Nie było jednak rady. Wysocki odpisał Rattaziemu, że szkoła rozwiązana będzie dnia 26 czerwca i dodawał: „nie taję się z żalem, jakim mnie przejmuje konieczność zwinięcia zakładu, użytecznego ojczyźnie mojej, lecz z drugiej strony czuję się w obowiązku zawiadomienia Pana, że smutna wiadomość o postanowieniu Pańskim przyjętą została przez młodzież naszą z godnością, jaką jej nakazywały patryotyzm i wdzięczność za uczynną gościnność, której doświadczyliśmy od rządu J. Kr. mości”.

Marzył jeszcze Wysocki o przeniesieniu szkoły gdzieindziej, pisał o tem do Garibaldiego i pocieszał się tą myślą, że „w niedalekiej przyszłości prawdziwa dyplomacya zmuszoną będzie zaniechać czczych wybiegów i armatnimi

290 Korespondencją w sprawie szkoły drukował „Przegląd rzeczy polskich” z dnia 15 lipca 1862 r., a za nim Berg, Zapiski, II. Z powodu trudności odszukania tego pisma, dziś dość rzadkiego, podajemy rzeczoną korespondencją w zbiorze dokumentów pod Nr. 5.

strzałami rozstrzygać wszystkie kwestye, szybkiego wymagające rozwiązania. Wtedy Włochy i Polska na jednym polu bitwy obok siebie walczyć będą”.

Ale wskrzeszenie szkoły było już niemożliwem. Młodzież poczęła się rozjeżdżać w różne strony; tym, którzy zupełnie opuszczali Włochy, rząd dawał na drogę po 300 franków; tym zaś, którzy pozostali tam nadal, wypłacano po 60 franków na miesiąc. Jednem słowem ministerium robiło, co mogło, by zatrzeć czyn, którego się wstydziło, a który spełnić musiało ze względu na dobro własnego kraju. Proponowano wielu z młodzieży, by wstąpili do wojska włoskiego, domagano się tylko złożenia egzaminu i zawarcia siedmioletniej umowy piśmiennej z ministerium wojny. Na zaszczyt młodzieży polskiej nikt się na to nie zgodził i większość pociągnęła do ojczyzny, by wziąć udział w straszliwej burzy, która wkrótce zerwać się miała, a której posępne, groźne podmuchy już teraz czuć się dawały. Tutaj jednak, tak teraz w organizacyi, jak i później w samem powstaniu, przynieśli więcej szkody, niż pożytku. Słabo wykształceni wojskowo, gdyż przez czas swego pobytu w szkole niewiele zajmowali się nauką, oddani intrygom stronnictw i sporom, jakie się toczyły między Mierosławskim a Langiewiczem, Padlewskim i Wysockim; byli, jak wszyscy ludzie niedouczeni, bardzo zarozumiali i pełni pretensyi do przewodniczenia, do odgrywania głównej roli w krwawej zawierusze późniejszej. Prócz tego przynieśli ze sobą pojęcia najwywrotniejszych teorii rewolucyjnych, jakie zaczerpnęli z broszur emigracyjnych i francuskich świstków socjalnych, usposobienie anarchiczne, pomiatanie doświadczeniem, wiekiem i zasługą, niepowściągliwość, niecierpliwłość i brak wszelkiego poczucia odpowiedzialności za klęski, jakie wywoływali. Oni to parli do szybkiego, natychmiastowego powstania, oni snuli najszańsze projekta, których wykonać nigdy nie umieli i nie byli zdolni do ich wykonania. Oprócz paru światlejszych postaci, które umrzeć przynajmniej umiały heroicznie, reszta byli ludźmi lekkomyślnymi i nieudolnymi do najwyższego stopnia²⁹¹.

Rozwiązanie szkoły, gorzki zawód nadziei, jakie na niej pokładano, wywołało, jak przy każdym niepowodzeniu, szereg wyrzutów i oskarżeń. Pierwszy z nimi, jak to zawsze zwykł był czynić, wystąpił Mierosławski, rozjątrzony na szkołę, która go usunęła od rządów, i na Wysockiego, który jego miejsce zajął. Wydał on po francusku szkaradny pamflet, napojony jadem i żółcią²⁹²,

291 A. Giller, *Historia*, II, 313, powiada o nich: „mało się zastanawiano nad tem, ile złego sprawiło wypaczenie i zarozumienie młodzieży, przybywającej z obczyzny; jakim to nieszczęściem było porwanie się studentów do prowadzenia sprawy i kierowania powstaniem. Ci wodzowie, komisarze, ajenci, konspiratorowie, rozkazujący, a nie umiejący słuchać, ci wielcy dostojnicy z ławek szkolnych, ubrani w rządzącą i radzącą powagę, są smutnem dzisiaj wspomnieniem”.

292 Tytuł tego pamfletu brzmi: „*Note du général Mierosławski sur le licenciement de l'école militaire polonaise en Italie*”.

wyrażając się jak najgorzej o młodzieży, która się w tej szkole uczyła, a generała Wysockiego wprost oskarżał o jej zaprzecanie. „Wysocki (pisze ten retor namiętny, ten oszczerca i przysłowiowy kłamca), udaje się wprost do ministra i zobowiązuje się uwolnić Włochy od rozwiązanej szkoły za jednorazową wypłatą 200.000 franków, żadaną pod niedorzecznym pozorem zwaleni ambasadu na kraj, w mniej trudnym znajdujący się położeniu, czego bynajmniej p. Rattazzi słyszeć nie pragnął. Tak więc szkoła lub wszystko, co chcecie (gdyż szkoły nie ma), ma opuścić Włochy za wynagrodzeniem, które pominąwszy wstyd wszelki, ani prawnie, ani faktycznie rozdzielonem być nie może”. Nie potrzeba mówić, że wszystko to było kłamstwem i oszczerstwem; Wysocki mógł być głową słabą i nieudolną, ale był szczerym patriotą polskim i człowiekiem „bez żadnej makuły”, jakby stary Rey powiedział.

To też haniebnem tem oszczerstwem, wygłoszonem w obcym języku, tem publicznem praniem brudnej bielizny domowej oburzona młodzież, mieszkająca po różnych miastach Europy, a głównie pozostali jeszcze w Cuneo, w Paryżu, Liège i Gandawie, porozumieli się ze sobą i dnia 12 lipca wystosowali do Wysockiego adres, w którym powiadają, że uczynił on „wszystko dla dobra naszej narodowej wojskowej instytucji, co tylko można było uczynić w trudnych, politycznych okolicznościach, wywołanych uznaniem królestwa włoskiego przez rząd petersburski”; dziękują mu, że „jedyną jego myślą, jedynem staraniem było wynalezienie środków wznowienia tak pożytecznej narodowej instytucji, zaciekłością naszych wrogów i strachem imienia polskiego zwalonej”.

Kiedy wśród emigracji rozwiązanie szkoły podchorążych w Cuneo taki przykry i bolesny dla wszystkich, którzy umieli cenić dobre imię polskie, miało skutek, wywołało ono także dość silne wrażenie i rozgłos w całej Europie, a z natury rzeczy największy wśród Włochów, których to bezpośrednio dotyczyło i którzy doskonale rozumieli, że rząd ich niekoniecznie postąpił uczciwie i nie umiał zachować godności narodowej. Przeważna część dzienników, najrozmaitszych odcieni, tonem jak najbardziej stanowczym, potępiła ten czyn gabinetu swego, uważając go za uciążliwy dla narodu i rządu, twierdząc wreszcie, że Włochy mogą się doskonale obejść bez uznania Rosyi, że samego faktu istnienia państwa włoskiego uznanie to nie zmienia, ani nie unicestwi. W tem wszystkim niewątpliwie dużo było prawdy, ale sądząc te wystąpienia ze stanowiska interesu polskiego, który zawsze i we wszystkim winniśmy mieć na względzie, przyniosły one nam więcej szkody jak korzyści, rozdrażniając niepotrzebnie Rosyą, która z powodu rewolucjonistów polskich narażoną się widziała na obelgi i napaści²⁹³.

293 Przytaczamy tu niektóre ustępy z dzienników włoskich, dotyczące tej sprawy: *l'ungolo*, dziennik ludowy, wydawany w Medyolanie, powiada: „Zamknięcie szkoły w Cuneo jest

Dla Komitetu centralnego, ciężko i pracowicie organizującego się w kraju wśród tysiąca przeszkód, wszystko to były rzeczy bardzo przykre, ale zapobiedz im nie mógł i nie był w stanie. Nabywał tylko przekonania, że ze strony emigracyi, przywykłej przez lat trzydzieści do rządzenia krajem, będzie miał wiele kłopotów i wiele z nią zatargów. Na szczęście, jeżeli to szczęściem nazwać można, zanosilo się chwilowo na lepsze ułożenie stosunków między Komitetem a emigracją. Jeszcze w marcu 1862 r. wśród rozbitego na rozmaite stronnictwa wychodźstwa polskiego, za staraniem kilku osób, należących do partii demokratycznej, a mianowicie głośnego posła na sejm 1831 r. Jana hr. Ledóchowskiego, Jana Nepomucena Janowskiego, pisarza politycznego małych bardzo zdolności, ale gorącego patriotyizmu w znaczeniu czerwono-demokratycznym, Leona Zienkowicza i innych mniej znanych, zorganizowało się śród wychodźstwa ciało, które przybrało miano: Komitetu emigracyjnego²⁹⁴. Marząc o idealnej jed-

ważnym faktem; dowodzi bowiem wyparcia się ze strony rządu dwóch wielkich zasad, którym Włochy własne zawdzięczają istnienie: zasady narodowości i rewolucyi. Biada Włochom, jeżeli się zanadto spieszyć będą do zajęcia stanowiska zachowawczego państwa. Nie jesteśmy zwolennikami czułościowej polityki braterstwa wszech ludów, ani też nie głosimy szalonej teorii rewolucyi powszechnej, ale jesteśmy przekonani, że nawet mowy być nie może o zupełnie egoistycznej polityce. Przymierze, rozpoczynające się od upokorzenia, uznanie, którego wstępnym warunkiem wyparcie się własnych zasad, rodzić musi powszechne obawy i niedowierzania. Należało raczej mieć odwagę opóźnienia uznania Rosyi, a nawet obyć się bez takowego, aniżeli robić ustępstwa w kwestyi zasad. Jesteśmy przekonani, że uznanie Rosyi zależnem było od tajemnych warunków, ważniejszych daleko aniżeli zwiniecie szkoły w Cuneo, i że uznanoby nas prędzej czy później bez tych ustępstw, gdyby ministerium więcej pokazało stałości” — *Perseveranza*, organ arystokracji, o wiele ostrzej się wyraża: „Szanowny prezydent ministerium zapomniał, że Piemont stał się wielkiem państwem, że przeto nie potrzebuje czynić drobnych ustępstw, którym uległ p. Rattazzi. Jakież były propozycje Rosyi? Zobowiązała się uznać nas, jeżeli się wyprzemy Polski; żądania gabinetu petersburskiego nie mogą mieć innego znaczenia. Szkoła w Cuneo nie była nigdy dla państwa powodem zamieszek, gdyż tak profesorowie, jak i uczniowie szanowali udzieloną im gościnność i nie mieszały się do wewnętrznych spraw naszych”. — *Corriére Mercantile*, organ bogatego mieszczaństwa, powiada: „Rozwiązanie szkoły polskiej w Cuneo, które nastąpiło dla przypodobania się Rosyi i otrzymania jej uznania, zwróciło uwagę publiczną. Sympatye ludowe odezwały się za wychodźcami polskimi i uwielbiają pełną boleści abnegacją, z jaką poddali się rozporządzeniu ministeryalnemu; wysłowienia zaś ministra są pełne nieśmiałej zawilosci, gdy koniecznościami politycznemi spowodowanym się uznaje do rozwiązania szkoły. Dowodzi to, że uznanie Rosyi nieplatonicznej miłości jest wypływem” i t. d.

294 L. Limanowski, *Historia ruchu narodowego*, I, 147, a za nim Koźmian, *Rzecz*, II, 113, myli się, twierdząc, jakoby Komitet emigracyjny zawiązał się dopiero w lipcu. Gdyby był zajrzał do „Przeglądu rzeczy polskich” (z dnia 8 marca 1862 r.), byłby tam znalazł odezwę z dnia 16 lutego 1862 r. naznaczającą wybory na dzień 5 marca, w którym to czasie Komitet w rzeczy samej powstał.

ności, tym śnie rozkosznym, którym się przez lat trzydzieści kołysała emigracja i żywiła nadzieję, że go kiedyś urzeczywistnić zdoła, Komitetowi szło głównie „o wspieranie wewnętrznego krajowego rozwoju i służenie sprawie skutecznego a silnego powstania na wszystkich drogach, które zewnątrz Polski pomocnicze zajmują stanowisko względem jej zmartwychpowstania o własnych siłach i własną zasługą”. Tłumacząc na język zwyczajny tę nieco zawiłą stylizacją, nowo zawiązany Komitet emigracyjny miał na celu dopomaganie i wspieranie działań krajowych, dążących do powstania. Jakoż komitet taki zawiązał się i weszli do niego oprócz wyżej wymienionych, jeszcze niejaki Adolf Chrystowski, Seweryn Elżanowski, redaktor wychodzącego od paru lat „Przeglądu rzeczy polskich”, Leon Mazurkiewicz, Antoni Żabicki i wreszcie generał Józef Wysocki. Jakkolwiek Komitet, jak wszystkie zresztą ciała emigracyjne w tej dobie, niewielkie miał znaczenie i niezupełnie był uznawany przez wychodźstwo, nawet należące do jego stronnictwa, jakkolwiek był bardzo biedny (w ciągu kilku miesięcy zebrał zaledwie 10.000 fr.²⁹⁵, jednakże stanowił on pewną całość skonsolidowaną, reprezentował bądź co bądź pewne stronnictwo i Komitetowi centralnemu warszawskiemu, dążącemu do ogarnięcia wszystkiego, szło o to, by zyskać na swą stronę ów Komitet emigracyjny i uczynić go zależnym od siebie.

W tym celu, zaraz w początkach swego istnienia, bo w lipcu, wysłał do Paryża ajenta, niejakiego Stefana Bobrowskiego, studenta uniwersytetu kijowskiego, skuzynowanego z uwięzionym już w tej porze Apollem Korzeniowskim (żona tego ostatniego, słynna z piękności Ewelina, była rodzoną siostrą Bobrowskiego), człowieka najczernerwieńszych przekonań, który w kilka miesięcy później miał przeważną odegrać w wypadkach rolę, by rzecz tę do skutku doprowadził. Jakoż dzięki zapalowi, którym przejęty był Bobrowski, dzięki energii, jaką rozwinął, Komitet emigracyjny poddał się kierunkowi Komitetu centralnego z pewnemi zastrzeżeniami i swobodą działania w zakresie spraw zagranicznych. Wydał on też dnia 12 sierpnia 1862 r. odezwę do wychodźstwa, w której zaznaczył, że „powstanie o własnych siłach, to najświętszy i najpilniejszy narodu obowiązek”, że „krajowi należy się początkowanie i kierunek powstańczych przygotowań”, że postara się o zawiązanie „jeżeli się da, stosunków z rządami wolnych narodów”, że wreszcie nie godzi się nam zapominać uciśnionych ludów, którym winniśmy z naszej strony składać ciągle dowody niezachwianej wiary w międzynarodową solidarność²⁹⁶.

295 J. N. Janowski, Moja korespondencja z ks. Wł. Czartoryskim, 13.

296 Przytaczamy ważniejsze ustępy z tej odezwy: „Powstanie o własnych siłach będzie kamieniem probierczym i punktem wyjścia nowego naszego żywota. Współczesny nastrój umysłów w Polsce, oraz wypadki w niej zaszłe, dają znać o sobie przez rozwój sił wewnętrznych dla zdobycia niepodległości politycznej, przez świadomość tej konieczności

Jeżeli atoli Komitetowi centralnemu, dzięki energicznym zabiegom Bobrowskiego, udało się tak szczęśliwie opanować, że się tak wyrazimy, Komitet emigracyjny, to z najważniejszą osobistością tej emigracji, z człowiekiem używającym ogromnego wpływu wśród młodzieży, jednym słowem, z Mierosławskim, rzeczy poszły o wiele gorzej. W chwili, gdy w Warszawie Komitet centralny ciężko się wyłaniał z burzliwych fal sprzysiężenia, „zmartwychwstały wódz”, jak zwano Mierosławskiego od czasu rewolucji berlińskiej, rozpoczął w Paryżu wydawnictwo pisemka p. t. „Baczność”²⁹⁷, w którym zwykłym swym językiem bombastycznym, jako hasła stawia: „Polskę całą przez rewolucją społeczną i powstanie”; twierdzi, że w ostatnich czasach Polska z drogi powstańczo-rewolucyjnej, na którą weszła była w dniach lutowych 1861 r., straconą została; przypisywał sobie wywołanie wypadków zeszłorocznych i w końcu domagał się, by „zastęp poświęconej młodzieży, zdziesiątkowany przez cytadelę i orenburskie bataliony, spełniwszy posłannictwo swoje w miastach, rozszedł się po chatach niszczyć szerzącą się zarazę moskiewską w ludzie i prawdami narodowymi trzeźwić go z niecnego obłądę”.

Do szlachty wołał: „właściciele ziemscy! w was przyszłość spoczywa. Kończcie więc spieszenie, póki pora, rachunek z tymi, co przez tyle wieków cierpliwie żadnych od was nie żądali rachunków za pracę w pocie czoła, za krew pod Racławicami, Grochowem, za waszą wolność przelaną, za waszą jedynie, gdyż im wtedy żadna nie świeżała nadzieja; a nie gilotyna, pal, szubienica, lecz dębo-

we wszystkich częściach naszej rozdzielonej ojczyzny, przez obywatelskie uprawnienie wszystkich stanów i wyznań, oraz przez nadanie własności gruntowej rolnikom. Zasady demokratyczne w całej pełni zostały przyjęte przez ujarzmiony naród. Pod tak jasnym sztandarem winniśmy się wszyscy zjednoczyć i działać; wskazuje on nam nieomylną drogę do odzyskania naszej niepodległości. Powstanie o własnych siłach to najświętszy i najpilniejszy narodu obowiązek. Zebranie i w danej chwili odpowiednie użycie tych sił może być osiągnięte tylko przez pracę wewnętrzną, dlatego też krajowi, który zna środki swego zbawienia i wszystko to, co może je urzeczywistnić, należy się początkowanie i kierunek powstańczych przygotowań. Wytlómaczymy to narodom europejskim, przedstawimy im całą świętość naszej sprawy narodowej, jej żądania i znaczenie, w celu uzyskania ich sympatyj i czynnej pomocy. Mając taki cel przed sobą, winniśmy oddziaływać na opinią publiczną, objaśniając ją przy pomocy dziennikarstwa i, o ile się da, starać się o zawiązanie stosunków z rządami wolnych narodów; przede wszystkim jednak nie godzi się nam zapominać uciśnionych ludów, którym winniśmy z naszej strony składać ciągle dowody niezachwianej wiary w międzynarodową solidarność. Komitet nie uczyni zadość swemu zadaniu, jeżeli nie będzie posiadał zaufania swych towarzyszy wygnania i zaufania wszystkich mężów, którzy w uciśnionej ojczyźnie, wśród ciężkich przeszkód i niebezpieczeństw, pracują dla przyspieszenia chwili zbawienia ojczyzny. Rodacy i towarzysze wygnania! Od waszego współdziałania i pomocy materialnej, jaką nam dacie, zależy powodzenie naszych usiłowań”.

297 Wychodziło ono zeszytami. Znajny zaledwie dwa zeszyty; czy było ich więcej, nie wiemy.

we wieńce sławy śnić się wam będą. Polska jest przeważnie wsią, nie miastem. Siła jej zatem główna nie w dzielnym, ale nielicznym mieszczaństwie Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa, Poznania; nie w jeszcze mniej liczny zastępie właścicieli ziemskich, ale w kilkunastomilionowym ludzie bez wolności osobistej, bez własności; w ludzie zaniedbanym we wszystkich powstaniach naszych, od Konfederacji barskiej zaczawszy aż do 31 roku. Powstanie, ażeby było silnem, musi być fanatycznym, powszechnem; musi być powstaniem jednolitego ciała, nie pojedynczych członków. Marzycielom tylko roi się jeszcze po głowach, że można prowadzić bój powstańczy zwycięzko, bez zapалу ludu, mając siłę dostateczną w mieszczaństwie, szlachcie i średnim wiejskim stanie do rekrutowania chłopów na żołnierzy, tak samo jak w 31 r., ażeby tak samo w kilkadziesiąt tysięcy rekrutowanych żołnierzy, niezapalonych powstańców, broń złożyć!" „Można być spokojnym, że władza przyszłego powstania podobnych błędów nie popełni. Uwłaszczenie i równouprawnienie włościan będzie pierwszym jej manifestem. Rozetnie ona natychmiast ten węzeł, co już po dwakroć krępował najdzielniejsze członki dźwigającego się olbrzyma. Ekonomiczne teorie podepcze na razie, a pokrzywdzonym osobistościom odpowie: *salus populi suprema lex esto!* Wszelkie środki uzna za godziwe, aby tylko lud poruszyć. Przed niczem się nie cofnie, a rany zadane społeczeństwu późniejszymi instytucjami goić będzie".

Te szumno-brzmiające frazesa, na szczęście, wielkiego wrażenia w kraju wywierać nie mogły, dla tej prostej przyczyny, że ich nie czytano, gdyż „Bacność” w bardzo niewielkiej ilości egzemplarzy przybyła do Królestwa²⁹⁸. Mierosławski, przeczuwając, że tą drogą nic nie zrobi, wysłał w lipcu do Warszawy swego sekretarza, znanego nam dobrze z doby pierwszych akademickich manifestacji w r. 1860, Jana Kurzyńę, z żądaniem, ażeby Komitet centralny uznał „urodzonego dyktatora” za swego prezesa²⁹⁹, żeby odeń przyjmował instrukcje i żeby nic nie działał bez jego woli i wiedzy. Kurzyna, przyznać trzeba, z wiel-

298 Jak dalece Mierosławski był lekkomyślnym, świadczy artykuł pomieszczony w pierwszym numerze „Bacności”, p. t. „Siły nasze i nieprzyjacielskie”, w którym dowodził, że Rosya, Prusy i Austria razem, na wypadek wojny, tylko 360.000 wojska wystawić są zdolne, kiedy Polska może wyprowadzić w pole 500.000 wojowników, zasilonych przez podobną liczbę rezerwy, czyli, jak się wyraził, „jeden wróg na trzech Polaków” wypada zaledwie. Takimi to nieuzasadnionymi rachunkami tumaniał ten warchoł na wielką skalę oczy młodzieży, która weń ślepo wierzyła. To już nie była nieuczciwość, ale zbrodnia po prostu. Że był przytem nieuczciwym, dowodzi jeszcze jeden fakt. Ogłosił, że współpracownikiem „Bacności” jest znany historyk, zamieszkały we Lwowie, Henryk Szmitt, któremu się to nawet nie śniło i publicznie przeciw temu protestował, że do współpracownictwa nikt go nie zapraszał.

299 A. Giller, *Historia I*, 41, Ustimowicz, Zagowory, 87.

ką odwagą i narażeniem się osobistem, spełnił tę misję; przybył do Warszawy pod przybranym nazwiskiem i za pasportem francuskim na imię kupca Kirchnera wydanym³⁰⁰, i rzecz całą Komitetowi przedstawił, oraz okazał instrukcje Mierosławskiego, jakie ze sobą przywiózł. Ale Komitet zanadto cenił swe zwierzchnie stanowisko, z takim trudem wywalczone, zanadto był przejęty tradycyjną zasadą, jeszcze przez Karola Majewskiego w dobie pierwszych kółek propagowaną, że nie emigracja krajem, ale kraj emigracją kierować powinien, wreszcie miał wśród siebie paru rozumnych ludzi, jak Giller i Marczewski, którzy doskonale pojmowali, że, kto chce rządzić sprzysiężeniem, wieść kraj do powstania, ten powinien być na miejscu, narażać się na równi ze wszystkimi, nieść wiszącą nad głową groźbę szubienicy i Sybiru, by się miał na to zgodzić.

Zapytano więc Kurzyny naprzód, czy generał Mierosławski, w razie przyjęcia przez Komitet jego propozycji, przyjedzie do Warszawy i stale w niej rezydować będzie?³⁰¹ Kurzyna rozwiódł się bardzo szeroko, odrzekł jednak, że to jest niemożliwe. Wówczas odrzucono to „śmieszne”, jak je nazywano, żądanie, łagodząc je obietnicą, że jak powstanie zbrojne wybuchnie, to generał powołany zostanie na jego naczelnego wodza.

Rzecz cała na tem się skończyła dla Komitetu, ale nie dla Mierosławskiego. Niepokojna jego natura nie mogła znieść, by w Polsce cośkolwiek robiono bez niego i poza nim. Zdaje się, iż przeczuwał on, że pretensje jego przez Komitet centralny odrzucone zostaną i na ten wypadek dał prawdopodobnie Kurzynie instrukcją, jak ma sobie postąpić, a przynajmniej nie ulega wątpliwości, że się listownie ze sobą komunikowali. Rezultatem tego były zabiegi Kurzyny w Warszawie o założenie osobnego Komitetu, który by, podszywając się pod Komitet centralny, roboty tegoż paraliżował, a organizacją całą w swe ręce ogarnął. Nie było to zbyt trudnem. Na bruku warszawskim roiło się od umysłów rozegzaltowanych do najwyższego stopnia, od niedouczonej rewolucjonistów, od głów szalonych, które, połapawszy tu i owdzie poszarpane szmaty teorii skrajnych, gotowe były do wszystkiego, by burzę wywołać. Wielu przytem było niechętnych Komitetowi centralnemu, wielu należących niegdyś do dawnego Koła, do Komitetu miejskiego, do zniesionego Koła akademickiego, niezadowolonych z powolnych, jak mówili, działań tegoż Komitetu, z tego, że naznaczone na lipiec powstanie odwołał, że odkładał je na czas nieoznaczony, że mówił o jakimś „dobrze obrachowanym skutku”.

Wreszcie weszło to już w zwyczaj, w praktykę nieomal codzienną, od paru lat trwającą, zakładanie nowych kół i komitetów; anarchiczne dążności, nie-

300 Pawliszczew, *Siedmicy* I, 140, utrzymuje, że Kurzyna jeździł także na Litwę. Inne źródła tej wiadomości nie potwierdzają.

301 B. Szwarce, *Wydawnictwo materyałów*, 28.

unikniony wynik panującego dotąd chaosu w organizacji, przeszły w krew wielu bardzo ludzi tej epoki, niedouczonej, napojonych przewrotnymi ideami, chwytających się chciwie każdej jaskrawszej myśli, która ich głowy mętne i rozgorączkowane uderzała i olśniewała. Przytem w samym Komitecie nie było jednolitych wyobrażeń i dążeń. Większość, jak Dąbrowski, Szwarc, Daniłowski, Koskowski niechętną była Gillerowi i Marczewskiemu, zwłaszcza pierwszemu, za jego zarozumiałość, ton wyższości, jakiego używał, i za chęć przewodniczenia w Komitecie. Dąbrowski, Daniłowski i Koskowski byli wreszcie wyznawcami najskrajniejszych teorii i potrzeby natychmiastowego powstania.

W takim stanie rzeczy i umysłów snadno przyszło Kurzynie zyskanie zwolenników swego zamiaru. Przede wszystkim z samego Komitetu centralnego pociągnął do siebie Daniłowskiego i Koskowskiego, którzy nie uważali tego za rzecz złą i niegodziwą, iż, zasiadając w Komitecie centralnym, zasiadali wspólnie we wrogim mu Komitecie Mierosławskiego. Tak były pomieszane pojęcia, taki bezład panował w umysłach i dążnościach. Obok nich, Kurzyna, siedząc blisko miesiąc w Warszawie, zdołał zebrać innych jeszcze członków do ciała, które miało rządzić Polską pod naczelnem kierownictwem „anioła rewolucji”, jak zwali niekiedy Mierosławskiego zapaleni jego obrońcy i wielbiciel. Weszli więc w skład nowego Komitetu: Zygmunt Rościszewski, ziemianin, właściciel majątku Borowe w płońskim, późniejszy redaktor „Korespondenta płońskiego”, człowiek jeszcze w tej porze bardzo młody, rewolucjonista z domieszką szlacheckich fanabery i szlacheckiej tężyzny; Stanisław Kaczkowski, buchalter w prywatnym jakimś banku, człowiek głowy bardzo słabej, charakteru lichego, późniejszy zabójca w pojedynku muzyka Dulemby; wreszcie Feliks Bauerfeind, syn bogatego garbarza warszawskiego. Jako ajenci do Komitetu tego należeli jeszcze: brat Rościszewskiego, Józef, oraz jego szwagier Marchwicki³⁰². Wszystko to byli młokosi, ledwie z pod różgi ojcowskiej wyszli, zapaleńcy, maleńcy Robespierzy domorośli, gotowi zabijać, ścinać, wieszać, przekonani, że Polska, w krwi wykąpana po szyję, może tylko wydobyć się na wolność. Sformowali się oni w sierpniu i przybrali miano „Komitetu rewolucyjnego”, zaopatrzyli się w pieczęć z orłem, pogonią i archaniołem, bez korony, wbrew pieczęci Komitetu centralnego, na której był tylko herb Polski i Litwy z koroną. Kurzyna obdarzył ich w ustawę drukowaną w Paryżu, w której cała organizacja powstańcza miała nosić miano „Związku narodowego rewolucyjnego”. Według tej ustawy celem związku było „odbudowanie Polski w granicach przedrozbiorowych na zasadach demokratycznych, i że jedynym środkiem prowadzącym do celu jest

302 M. Ustimowicz, *Zagowory*, 87.

powstanie zbrojne, że zatem głównym zadaniem związku będzie przygotowanie środków do przyszłego powstania. Na czele związku stał „Komitet narodowy rewolucyjny” pod prezydencją generała Ludwika Mierosławskiego, „pod którego wyłącznym, a szczegółowym kierunkiem zostają wszystkie prace i przygotowania zagraniczne”. Organizacją prowincjonalną ustawa opiera na systemie piętek, za zdradę grozi surowymi karami i ustanawia przysięgę. Co się zaś tyczy samego Komitetu, to ma on się składać z pięciu członków, którzy zmieniać się mogą „tylko za zgodą generała Ludwika Mierosławskiego, jako odpowiedzialnego (tak!) prezesa Związku”. Komitet dzielił się na pięć wydziałów, administracji prowincjonalnej, administracji m. Warszawy i policyi, skarbu, komunikacji, korespondencji ze związkami innych prowincji i zagranicą. Komitet w pełnym komplecie uważa się za trybunał rewolucyjny i obowiązany jest składać co miesiąc raport ze swych czynności prezydującemu. Wydział polityczno-administracyjny zagranicą pozostaje pod kierunkiem „obywatela Jana Kurzyny”. Taką była w głównych zarysach organizacja Związku i Komitetu rewolucyjnego.

W organizacji prowincjonalnej ważną rolę odgrywać mieli naczelnicy powiatowi. Obowiązani oni byli między innymi przynajmniej raz na miesiąc donosić „o wszelkich ważniejszych wypadkach, jako też o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, o postanowieniach i prześladowaniach najeźdźców, o usposobieniu między ludem i starozakonnymi, o wszystkich krokach i zamiarach czy to fakcyi kontrarewolucyjnej legalizującej, czy też pansławistycznej Wielopolskiego, czy też na koniec o niewczesnych wyskokach demagogów i anarchistów wszelkiego rodzaju”. Winni dalej „wygotować, a następnie dopełnić wykaz statystyczny wszystkich miast i wsi powiatu. Przy wypełnianiu rubryk wykazu tego należy mieć wzgląd na miejscowość pod względem gospodarskim, przemysłowym i handlowym, jako też i na mieszkańców samych, których podzielić należy na trzy kategorie: a) gotowych do powstania, b) obojętnych i niezdecydowanych, c) kontrarewolucjonistów, pod jaką bądź nazwą i pretekstem występujących. Oprócz charakteru politycznego poznać należy pozycją socyalną ludzi. Nadto ile możliwości wykazać zasoby powiatu w kapitałach, czy też surowych materiałach wojennych, jak skóra, sukno, płótno, żelazo, konie i t. p., które by w danym razie na rzecz powstania zarekwirowane być mogły”. Wreszcie „naczelnik powiatu postara się nałożyć podatek na niewtajemniczonych pod jakim bądź pozorem i zarządzi wydobywanie kapitałów z wszelkich możliwych źródeł, których wynajdywanie i wyzyskiwanie pozostawia się jego gorliwości”.

Powyższa ustawa więc wchodziła we wszystkie atrybuty Komitetu centralnego i, przyjmując te same mniej więcej formy, mogła mu bardzo zaszkodzić. Na szczęście, bo i takie położenie szczęściem nazwać należy, Komitet rewolucyjny nie wiele mógł działać, gdyż, obok krzykactwa i kiwania palcem w bucie,

członkowie jego nie odznaczali się zbyt dużą odwagą odnośnie do Komitetu centralnego, którego się bardzo bali, ale potajemnie szkalowali go, podkopywali, gdzie mogli i szkodzili, jak mogli. Komitet centralny miał o nich niejaki wiadomości, ale nie dość dokładne; zajęty ważniejszymi sprawami nie bardzo zważał na działalność młokosów, przytem znajdowali oni zawsze obrońców i osłonięcieli w Daniłowskim i Koskowskim, którzy, jak wiemy, w obu komitetach zasiadali. Zresztą nie tylko wewnątrz, w kraju, ale i zewnątrz, za granicą, pomimo istnienia tam Komitetu emigracyjnego, objawiały się dążności anarchiczne i zuchwale nadużywanie coraz głośniejszego imienia i uroku Komitetu centralnego. W Paryżu wydrukowano w znacznej ilości egzemplarzy, z datą 12 sierpnia 1862 r. i z podpisem „Towarzystwo młodzieży polskiej zagranicą, z polecenia Komitetu narodowego centralnego”, odezwę „do braci Polaków, znajdujących się w austriackich szeregach”. Odezwa ta, wydana prawdopodobnie bez wiedzy Komitetu centralnego, rozrzucona po Galicyi w mnóstwie odbitek, zachęcała żołnierzy polskich, służących w szeregach austriackich wprost do rokoszu i była krokiem wysoce niepolitycznym, gdyż słusznie mogła zniechęcić Austryę do sprawy polskiej, tę Austryę, którą zdrowa i rozumna polityka nakazywała przede wszystkim oszczędzać³⁰³. Ale na zapobieżenie takim warcholskim wybrykom Komitet centralny nie miał mocy, protestować przeciw nim nie zawsze mógł, więc przyjmować na siebie musiał błędy i szaleństwa innych.

Wśród takich to warunków działał i rozwijał się Komitet centralny. Zama chy na Wielopolskiego, dokonywane bez wiedzy i współudziału Komitetu, aż nadto widocznie przekonywały go o szalonych wirach, unoszących się pod cichą pozornie powierzchnią organizacyi; aresztowanie wreszcie w połowie sierpnia Jarosława Dąbrowskiego wstrząsnęło nim mocno, gdyż należało przypuszczać, że rząd trafił na koniec na właściwą drogę w poszukiwaniach swoich.

Na chwilę powierzono naczelnictwo miasta Gustawowi Wasilewskiemu, nim nie zjawił się w Warszawie Zygmunt Padlewski, który, po rozbiciu szkoły podchorążych polskich we Włoszech, powrócił do kraju, by tu odegrać jedną z najważniejszych i najtragiczniejszych zarazem ról. W tej porze był on w kwiecie młodości, liczył bowiem zaledwie 27 lat życia (urodzony w 1835 r. we wsi Czerniawce pod Berdyczowem), i burza rewolucyjna polska, jak wielu innych, straciła go z drogi najświetniejszej może kariery. Należał on z pochodzenia swego do arystokracji (matka jego była hrabianka Potocka) i do rodziny, która na ołtarzu wszystkich nieomal walk porozbiorowych o niepodległość ojczyzny krwi swej i życia nie szczędziła. Ojciec jego Władysław Padlewski brał czynny udział w powstaniu listopadowem, syn, wykształcony wojskowo, pójść miał te-

303 Odezwę tę, nigdzie nieprzedrukowaną, podajemy na końcu tomu pod Nr. 6.

raz tą samą drogą. Uczył się w korpusie kadetów w Brześciu Litewskim, gdzie także Dąbrowski i wielu innych pobierało pierwsze nauki, poczem w r. 1854 przeszedł do akademii wojennej w Petersburgu i odznaczał się nadzwyczajną zdolnością do matematyki. Z akademii tej wyszedł w stopniu porucznika artylerii gwardyi. Wysoko wykształcony, mężczyzna piękny, wytworny w formach i obejściu, zyskiwał sobie wszędzie przyjaźń ludzką i miłość kobiet, ten najpewniejszy sposób do kariery w stolicy kolosu północnego, stolicy, mającej cały polor i pozór cywilizacji zachodniej, a w gruncie rzeczy pełnej orientalnej obyczajności. Z zerwaniem się wichrów warszawskich, Padlewski, jak wielu jemu podobnych, pędzących wesołe i bez troski życie w Petersburgu, przebiegających z salonu do salonu, z zabawy na zabawę, skupił się w sobie, zawiązał pewne, acz nader luźne stosunki z kółkiem oficerskiem Dąbrowskiego, wreszcie pod koniec 1861 r. wziął urlop i pojechał do Warszawy. Przypatrzywszy się położeniu rzeczy naocznie, rozgorączkowany i upojony jej atmosferą, puścił się do Paryża, na emigracyą, zanurzył się w wir najróżnorodniejszych prądów, jakie rwały sercami i głowami młodzieży polskiej, wygnanej wypadkami lub dobrowolnie na obczyznę. Z powstaniem szkoły podchorążych w Genui, zapisał się do niej, wreszcie po usunięciu Mierosławskiego, z którym od razu stanął na stopie namiętnej nieprzyjaźni, wykładał w niej strategią, taktykę i artylerją. Teraz, po rozwiązaniu szkoły, miał przybyć do Warszawy, wejść do Komitetu i napić go żarem swych uczuć płomiennych, zepchnąć z drogi powolnych przygotowań i rzucić w walkę straszną, krwawą i ponurą, której sam paść miał ofiarą. Postać niezaprzeczenie czysta, niekiedy piękna, ale niestety! szalona i fatalna dla ojczyzny, którą niewątpliwie kochał gorąco, ale kochał po swojemu, ślepo, nierozumnie.

Ze stanowiska rewolucyjnego rzeczy biorąc, takie energiczne, palące się nieustannie, niby wulkan, postacie, jak Padlewski, były konieczne, gdyż Komitet centralny w pierwszych paru miesiącach swego istnienia nie rozwinął zbyt wielkiej działalności. To, co się robiło, robiło się bez niego i poza nim. Zamachy na własną rękę urządził Chmieleński i Dąbrowski; organizacja rozszerzała się szybko, ale szło to bez współudziału Komitetu, samą siłą pędu raz nabytego. Tu i owdzie wysyłano agentów, ale rzeczy zbyt naprzód się nie posuwały. Giller, który zyskał przeważne znaczenie w Komitecie, nie był człowiekiem czynu; więcej pisał jak działał. Na chłopów, na tę główną i jedyną podstawę przyszłego powstania, nie miano prawie żadnego wpływu i nie potrafiono się o to postarać. Wydano wprawdzie w d. 12 sierpnia odezwę do chłopów³⁰⁴, jak

304 Odezwę tę pod nazwą „okólnika” przedrukowano w Wilnie z datą 15 sierpn. „w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny”. Druk wydany w Warszawie ma herb Polski i Litwy i nadpis „Komitet centralny narodowy”. Odezwę tę, nigdzie nie przedrukowaną, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 7.

gdyby chłopci mogli ją czytać i jak gdyby mogła ona mieć jakikolwiek skutek na te dusze prostackie, wierzące tylko w siłę i mające na celu jedynie osobiste, materyalne interesa. W odezwie tej Komitet powiada, że „doszło do jego wiadomości, iż włościanie niektórych okolic nie wierzą w świętość sprawy polskiej, nie ufają swoim pasterzom, którzy chcą ich, dla ich własnego dobra, na drogę narodową sprowadzić”, że „troszczą się ci włościanie o przyszły los swój i dzieci swoich, jak Polska będzie, i o to, czy będą ich brali do wojska, czy ziemię będą mieli, i czy sól i tabaka będą tańsze”.

Otóż Komitet oświadcza i zapewnia, że „na sól, tytoń i tabakę nie będzie podatku po wypędzeniu Moskali z kraju, bo skarb nie będzie potrzebował wydawać milionów na szpiegów, co ciągle podburzają jednych na drugich i obejdzie się małą liczbą wojska”; że „szkoły będą pozakładane po wszystkich gminach i parafiach, każdemu, jaki by on nie był (tak!), wolno będzie posyłać dzieci i do niższych szkół i do powiatowych, i do wojewódzkich, ażeby jak i inne dzieci, tak i dzieci włościańskie wychodziły na urzędników, na oficerów w wojsku, lub na księży, każdy według swego powołania; jeżeli zaś rodzice nie będą w stanie opłacać szkół, to te koszta sam Rząd narodowy poniesie”; że „każdy będzie ciągnął los do wojska i służył z prawem wyjścia na wyższe stopnie, a że nie będzie potrzeba wysyłać żołnierza poza kraj o tysiące mil, jak teraz na Sybir i na Kaukaz, czas służby będzie krótszy, bo najwyżej na lat sześć i nie będzie się wybierało więcej jak jednego z tysiąca”; że „kościół zrujnowane i cmentarze opuszczone Rząd polski weźmie pod swoją opiekę, ładnie wszystkie każe odnowić, a gdzie będzie potrzeba, i nowe wybudować każe, przyczem odbierze wszystkie kościoły zamknięte przez Moskali, lub przemienione na cerkwie”; że „czynszów na ziemiach rządowych Rząd polski nie będzie pobierał a grunta, na których siedzą włościanie, odda im na własność wieczystą z pokolenia w pokolenie; ziemie zaś włościańskie z dóbr nieskarbowych Rząd polski odda włościanom na własność, a czynsze ich panom ratami spłaci, aby każdy włościanin w całej Polsce, Litwie i Rusi był wolny i swobodny bez żadnej różnicy między nim a panem lub mieszczaninem; jeżeli zaś włościanie nie będą Rządu polskiego słuchali i nie pomogą do wypędzenia Moskali i Niemców, to żadne z tych dobrodziejstw na nich nie spadnie”.

Odezwa ta świadczyła o jednym tylko, to jest o zupełnej nieznajomości chłopca polskiego, którego, sądzili z naiwnością mieszczuchów, że zdołają sobie zyskać obietnicą nieobciążania podatkiem soli, tytoniu i tabaki, obietnicą zakładania szkół, reparacji kościołów i darowizną gruntów. Chłop wszystkie te dary przyjąłby z pocałowaniem ręki, ale dla ich uzyskania jednej kropli krwi by nie przelał, bo nie miał wiary do dających, lękał się, jak Grek starożytny Danaów i ich darów. Dla zniewolenia sobie chłopca trzeba było przede wszyst-

kiem wzbudzić w nim wiarę i ufność do owego przyszłego rządu polskiego, w to, że będzie on miał moc spełnienia swych obietnic. Ale w Komitecie zasiadali ludzie, którzy wyrwani z kraju i wygnani na Sybir, jak Dąbrowski i Giller, albo wyłącznie oddani pracy zawodowej, jak Marczewski, lub wychowani za granicą, jak Szwarce, albo wreszcie młodzieńcy, świeżo z ławki szkolnej wypuszczeni, nie mieli najmniejszego pojęcia o chłopie polskim i wytworzyli sobie o nim wyobrażenie według książek, według bombastycznych tyrad Mierostawskiego, lub ckliwo-sentymentalnych opowieści „Kmiotka” i „Czytelnia niedzielnej”. Sądziли oni, że na te dusze proste, na pół pierwotne, w ideałach swych ograniczone do materialnych używań i pożądań, słowo, odezwa patetyczna wystarczy, i pisali takie odezwy, i pewni byli, że, gdy „wybije godzina powstania”, lud polski zerwie się z siłą szaloną, z siłą bezwzględną martwej natury, i jak nowy Atylla, jak nowy „bicz Boży”, strati Niemca i Moskała, i stworzy Polskę wielką, Polskę młodą i nową, Polskę siermiężną...

Komitet wreszcie znajdował się teraz w stanie silnego podrażnienia. Odezwa do narodu polskiego, wydana przez W. ks. Konstantego, wrażenie, jakie ona wywarła, ruch objawiający się wśród szlachty i wśród wszystkich trzeźwiejszych umysłów, aby kraj obejmowany coraz bardziej przez rewolucją, stojący nad brzegiem przepaści, ratować przez szczere poparcie rządu; ogłoszenie w „Dzienniku powszechnym” zasad i celów organizacji, które wyraźnie powiadały, do czego Komitet centralny, złożony z ludzi nikomu nieznanym, a uzurpujących sobie prawo rządzenia krajem i decydowania o jego losach, dąży; wszystko to, powtarzamy, spowodowało, że nagle Komitet ujrzał się zachwianym. Widział on doskonale, że jeden krok ze strony szlachty, jedno podanie ręki rządowi, a wszyscy Gillerowie, Szwarce, Marczewscy znikną z wyżyn, na które się wdrapali i zapadną znów w tę historyczną nicość i szarżyznę, z jakiej nigdy nie powinni byli wychodzić; że cała owa potężna, z której się tak chlubili, organizacja powstańcza będzie mogła wprowadzić jeszcze niejedną manifestację zrobić, niejednego zamachu dokonać, tu i owdzie zawieruchę wywołać, ale kraju za sobą nie porwie, powstania nie spowoduje i sama w sobie się spali lub rozpadnie i rozlezie, jak stare płótno zleżałe. W takim położeniu rzeczy, agitując z jednej strony przez licznych swych agentów między szlachtą, która zjechała się do Warszawy i mówiła o adresie do W. księcia, oskarżając ją głośno o tworzenie „nowej Targowicy”, ukazując jej z dała widmo zdrady, z drugiej strony postanowili nadrobić zuchwalstwem, jakimś krokiem śmiałym i decydującym, by ocalić mocno zachwianą swą sytuację. Takim krokiem wydawało im się ogłoszenie siebie za jedyny rząd prawy polski. Wiemy już, że myśl taka od dawna leżała w Komitecie, a zwłaszcza w głowie jego kierownika, Gillera, że starał się on ją w czyn wprowadzić wolno i systematycznie, wyjść

z mrocznych ciemności spisku na widną drogę jawnego sprzysiężenia. Chciał on dojść do tego przez powolne podkopywanie rządu, ogarnięcie wszystkich jego podstaw, ale to wymagało działania długiego i systematycznego. Teraz zaś czasu na to nie było; ziemia pod nogami się chwiała i nie mając siły, postanowił, powtarzamy, nadrobić zuchwałstwem. Już starożytni, z wyborną znajomością natury rzeczy, mówili, że śmiałym los sprzyja, i maksyma ta miała się jeszcze raz sprawdzić w Polsce, niestety! na jej nieszczęście.

W tym celu w d. 1 września wydał odezwę, drukowaną na dużych, półarkuszach, zredagowaną przez Agatona Gillera³⁰⁵, podpisaną „Centralny narodowy Komitet” i opatrzoną pieczęcią z orłem i pogonią. W odezwie tej otwarcie i bez osłonek zaznaczył swe istnienie. Nazwawszy we wstępie rządu obce w Polsce bezrządem, zaznaczywszy, że „Dziennik powszechny” ogłosił formę organizacji, oświadcza w tonie wysoko nastrojonego patosu: „ogłaszamy i odpowiadamy rządowi moskiewskiemu wobec Boga, całego Narodu polskiego i świata całego, że naród zorganizował się w obronie praw wolności i niepodległości swojej, i że się bronić będzie do ostatka, aż do zupełnego zwycięstwa. Oświadczamy, że Centralny narodowy Komitet, który jest wyrazem nie tylko wojskowej, ale i narodowej moralnej organizacji kraju, od chwili nazwania go przez rząd moskiewski, występować będzie już jako jawny przewodnik, jako rzeczywisty własny rząd krajowy, że uprawnionym do tego zostaje ufnością i poparciem narodu, i że dopóty w charakterze rządu występować będzie, dopóki naród wolnymi głosami ufności mu swojej nie odbierze, wolnym wyborem nowego rządu nie postawi. Centralny narodowy Komitet staje więc naprzeciw rządowi obcego moskiewskiego, jako rzeczywisty Rząd narodowy, i jakkolwiek nie ma wojsk i policji uzbrojonej, które najazdowi dają pozory rządu, posiada za to podstawę, na której rządy rzeczywiste spoczywają, to jest poparcie i uznanie narodu, posiada tę siłę moralną, której brak niszczy i obala rządy carów w Polsce, a z której wynika wszelka siła materyalna. Oświadczamy dalej, że żadne prześladowanie i ofiary nas nie zastraszą, że wytrwamy wobec kul i szubienic i zachwiać się w obowiązku bronięcia i oswobodzenia Polski nie dozwolimy. Oświadczamy jeszcze, że wobec już wyraźnego określenia się dwóch rządów, z których jeden najezdniczy, moskiewski, drugi swój własny, narodowy, popieranie rządu moskiewskiego i bronienie go uważane będą i sądzone jako zdrada kraju, te zaś tylko jego rozporządzenia mogą być tolerowane i przeprowadzane, które dozwoli tolerować i przeprowadzać Centralny narodowy Komitet.

Centralny narodowy Komitet i nadal zachowuje dotychczasowy tytuł, a ponieważ jest wyrazem organizacji narodowej, wyaresztowanie jego członków

305 A. Giller, *Historia I*, 88.

nie jest w stanie zachwiać jego władzy”. W końcu proklamacja wzywa naród do jedności, cierpliwości i wytrwania: „stańmy jako jedna ogromna i silnie złączona gromada przeciwko najeźdźcom, którzy, nic nie dając narodowi, karmią go jeszcze potwarzą i obelgą. Do jedności, do pracy przeciwko wrogom i do posłuszeństwa władzy narodowej powołując was, wierzymy, że masowe, zgodne działanie przyspieszy godzinę, w której was wezwać będziemy mogli do skutecznego boju o wolność i niepodległość Polski! Naprzód więc zgodnie, w imię Boga i ojczyzny!”³⁰⁶.

Odezwa ta, to jawne przyznanie się do sprzysiężenia i do ostatecznych jego celów, wywarła w ogóle bardzo silne wrażenie nawet na umysły najchłodniejsze i najobojętniejsze, jak również na sfery rządowe rosyjskie³⁰⁷. Już teraz wszyscy wiedzieli, nikomu nie mogło to być tajem, że istnieje spisek szeroko rozgałęziony, mający nad sobą władzę zwierzchnią, spisek głośno o sobie mówiący, wyraźnie dążący do powstania. Komitet centralny występował jako władza jawna, ukonstytuowana i nieznosząca obok siebie innej władzy, w oczach mas otoczona urokiem przez to, że na pół tajemnicza, że niewiadomo było, kto w niej zasiadał, i bujna wyobraźnia tłumów, wszechpotężna plotka miała szerokie pole do snucia najdziwaczniejszych przypuszczeń i wniosków.

Na prowincyi, gdzie uważano, że się coś robi, że istnieje sprzysiężenie, ale wyobrażano je sobie w kształtach bardzo mętnych i niejasnych, teraz wiedziało, czego się trzymać. Odezwa przytem targała za najczulsze struny uczucia polskiego, sięgała do trzewi narodowych, błyskała przed oczami uroczym marzeniem Polski wielkiej i niepodległej, zapowiadała blizki „bój skuteczny o wolność”, przepowiadała dni chwały minionej i tak nielitościwie deptanej przez najazd. Wielu zardzewiałych w zapadłym jakimś kącie kraju, w których myśl o Polsce leżała gdzieś w głębi duszy, przysypana popiołem marnych trosk codziennych i marniejszych jeszcze zabiegów, niewierzących w odbudowanie ojczyzny, przy czytaniu tej odezwy płomiennej zalewało się łzami, stara Polska wygrzebywała się w nich z pod śniegu i stawiała przed oczami taka piękna, taka święta! Tak, teraz była władza narodowa, prawdziwy rząd polski, głośno objawiający swe istnienie, rząd ukryty w murach stolicy, otulony barwnym urokiem tajemniczości, rząd widocznie silny i pewny siebie, skoro śmie publicznie wroga wyzywać do walki i oznajmiał mu o sobie. To już nie spisek snuty i knuty w tajemnicy, ale rząd wyraźny, śmiało sięgający po władzę

306 Odezwę tę często można znaleźć w zbiorach z tej epoki, prócz tego niektóre dzienniki zakordonowe ją przedrukowały. Czytać ją można także u Gillera, *Historia I*, 309, oraz w „Wydawnictwie materyałów do historii powstania” I, 23, z błędną datą 1861 roku.

307 Pawliszczew, *Siedmicy I*, 127, donosi o niej cesarzowi i treść podaje w liście z d. 10 września i nazywając „najrozpaczliwszą odezwą” (samoje otczajannoje wozwanie).

i otwarcie to zapowiadający. Niezwyczajność zjawiska, nigdy zaiste niewidzianego w historii, olśniewała wszystkich niby nagła błyskawica, i w najchłodniejszych budziła wątpliwość, czy rzeczą patryotyczną będzie stawianie oporu takiemu położeniu. W zuchwalstwie Komitetu widziano siłę, pewność działania, może na bardzo potężnych podstawach opartego i mimo woli zadawano sobie pytanie, azali godzi się Polakowi rękę od tego działania odsuwać, azali nie będzie to zdradą ojczyzny? Jednem słowem Komitet centralny odezwą tą zapewnił sobie taki tryumf, takie zwycięstwo, jakiego nawet w najśmielszych swoich marzeniach nie przypuszczał.

To też Komitet coraz śmielej teraz występuje i coraz wyraźniej usiłuje zagarnąć wszystkie siły narodowe, by je zużytkować w przyszłym powstaniu. Ale na czymże właściwie oprzeć się miało to powstanie, skąd wydobyć tak wielką moc, by ta mogła się zmierzyć z potężnym caratem rosyjskim? Jeżeli tacy szaleńcy, jak Dąbrowski, Szwarce, Koskowski lub Daniłowski mogli wierzyć w to, że jedno słowo Komitetu setki tysięcy obrońców polskich wywoła, że wszystkie kamienie w Polsce, jak w baśni ludowej, dotknięte cudownem zieleńcem tego słowa, ożyją i w rycerzy się zmieniają, to chłodniejszy Giller wierzyć temu nie mógł i nie wierzył. Słabą też ufność miał w ruchawkę ludową. A jednak mówił i dążył do powstania, tylko że to powstanie widział jeszcze w bardzo oddalonych czasach, po długim szeregu wszelkiego rodzaju przygotowań. Żyjąc ciągle w kole Sybiraków, jak: Henryk Krajewski, Karol Ruprecht i inni, którzy przecież widzieli spiski, brali w nich udział i wiedzieli, co jest warte bezbronne powstanie, ulegał ich wpływom i uwagom, i wszelkimi siłami starał się wyszukać tę podstawę, na której by można oprzeć przyszły ruch zbrojny polski. Ponieważ Dąbrowski bardzo wiele mówił i wiele liczył na partycję rewolucyjną w Rosji, z którą jakoby był w ścisłych stosunkach, a kierowaną przez Hercena, wydawcę „Kołokoła” w Londynie, ponieważ za Dąbrowskim wszyscy to powtarzali i nadzieje swoje na owej partycji opierali, postanowił więc tę rzecz zbadać, udać się zagranicę, dotrzeć do Hercena i od niego zażądać wyjaśnień. Jakoż razem z Zygmuntem Padlewskim, z którym, zdaje się, spotkał się w Paryżu, wyruszył w końcu września do Londynu³⁰⁸. Giller wioząc ze sobą list Komitetu centralnego do Hercena, zapewne przez siebie zredagowany i noszący datę 20 września³⁰⁹.

308 A. Giller, *Historia I*, 67, naznacza ten wyjazd na październik, ale ponieważ „Kołokoł” już d. 1 października ogłosił list Komitetu centralnego, przywieziony do Londynu przez Gillera i Padlewskiego, musieli więc oni wcześniej, między 20 września a 1 października, wyjechać.

309 List ten czytać można w dziele: „Sbornik posmiertnych statiej A. J. Gercena” 212 — 217, oraz w przekładzie polskim u B. Limanowskiego, *Historia ruchu I*, 159.

W liście tym Komitet kładł nacisk na to, że nie wszyscy pojmują charakter ruchu polskiego, a zwłaszcza Rosyanie, którzy widzą w nim chęć odbudowania „szlacheckiej Polski”, co jest błędnem, że „myśl zasadnicza, z którą Polska powstaje dzisiaj, polega na zupełnem uznaniu praw włościan do ziemi przez nich uprawianej, jako też na przyznaniu każdemu narodowi najzupełniejszego prawa do rozrządzania swoim losem”. W tem ostatniem zdaniu Komitet miał na myśli Ruś i Litwę, ale zdradzał pewną niekonsekwencją, z której niepryjaciele jego nie omieszkali skorzystać. Twierdząc, że „nie uznaje ani nowych granic, ani rządów, zbudowanych na ruinach naszej wolności”, że „Polski podzielonej nie pojmuję, tylko Polskę całą, jaką tworzy połączona Polska, Litwa i Ruś, bez żadnej hegemonii którego bądź z tych trzech narodów”; utrzymywał, że „wychodząc z tego punktu, dąży do odbudowania Polski w dawnych jej granicach, pozostawiając narodom w nich zamieszkującym, to jest: Litwinom i Rusinom, wolność zupełną pozostawiania w związku z Polską, lub też rozrządzenia sobą podług własnej woli”; że jednakże „w dzisiejszych działaniach przygotowawczych poczytuje sobie za najświętszy obowiązek wszelkich dołożyć starań, ażeby Litwa i Ukraina postępowały równolegle z Polską, i ażeby powstanie narodowe objęło jednocześnie wszystkie części naszej uciśnionej ojczyzny”. Logika była nieosobliwszą; jeżeli bowiem Komitet nie chciał znać innej Polski, jak w dawnych jej granicach, to jakim sposobem Litwinom i Rusinom mógł dawać swobodę pozostawiania w związku z Polską lub nie? A gdyby też nie chcieli tego związku, gdyby zapragnęli, nie już pozostania przy Rosyi, bo to było niemożliwe, ale utworzenia, zgodnie z dawną tradycją, osobnego państwa litewsko-ruskiego (a zobaczmy później, że w rzeczy samej Litwa, a w części i Ruś żywiła takie separatystyczne dążności), to cóż by się wtedy stało z zasadniczym, tak szumnie głoszonym programem Komitetu, że zadaniem jego jest odbudowanie Polski w granicach 1772 roku? Zdaje się jednak, że niekonsekwencja ta popełnioną była świadomie, w chęci niezrażenia stronnictwa rewolucyjnego rosyjskiego, o którym wiadano, że na wszystko jest gotowe, byle nie na uszczuplenie granic swego państwa. Do uszów członków Komitetu dochodziły wieści, iż w Petersburgu rewolucyoniści rosyjscy głośno mówili, że wszystko będzie dobrze z Polakami, dopóki kwestya Rusi i Litwy na stół nie wyjdzie; o Litwę i Ruś, „jak psy o kość się pogryziemy”, wołali oni. Prawdopodobnie więc nie chcąc ich zrażać, przywiązując przesadzoną wagę do ich poparcia i wierząc w ich siłę, puszczono się na śliskie pole dyplomatycznych wykrętów i taką nielogiczność o Rusi i Litwie w liście do Hercena, a właściwie do jego dziennika napisano.

Szło bowiem głównie o to, żeby list ten „Kołołoł” opublikował, żeby tym sposobem całe stronnictwo rewolucyjne rosyjskie dowiedziało się o istnieniu

Komitetu centralnego, o jego dążnościach i gotowości podania ręki spiskowcom petersburskim. Zaraz na samym początku listu dążność ta wyraźnie była zaznaczona: „Związek Polaków z Rosyanami w sprawie wspólnego oswobodzenia się, pisano tam, przedstawia tyle oczywistych korzyści dla stron obu, że postanowiliśmy użyć pośrednictwa waszego, panowie, dla wyjaśnienia naszym przyjaciołom podstaw nowego ruchu polskiego” — a dalej: „jesteśmy przekonani, że związek braterski pomiędzy Polakami i Rosyanami, na polskiej ziemi zawarty, doda obu stronom siły do wypełnienia celów, ku którym dążą wyzwalać się narody”. List ten, ciekawy specymen wszetecznych umizgów polskich Pankracych do rosyjskich Bazarowych, Hercen w numerze „Koło-koła” z d. 1 października wydrukował w całości, a w numerze z d. 15 t. m. dołączył odpowiedź, w której, ze zwykłą rewolucjonistom tej doby przesadą, powiada, że list Komitetu centralnego „stanowi nową epokę w wielkiej epopei polskiej walki za niepodległość”; twierdzi dalej z głęboką nieznanomością własnego społeczeństwa, którem zdawało mu się, że kieruje, iż „nie wątpi o głębokiem, czynnem współczuciu, jakie słowa Komitetu obudzą we wszystkich Rosyanach, pragnących zrzucić ze siebie przestarzałe i upakarzające jarzmo rządowej opieki”. Chwaląc zasady wygłoszone w liście polskim, a przyznające chłopom prawo do uprawianej przez nich ziemi i każdemu narodowi do rozrządzania swym losem, woła: „w imię tych zasad niech dźwignie się Polska niepodległa, doświadczona w nieszczęściach, zmęźniała w boju, niech dźwignie się bez stanów, niech odrzuciwszy średniowieczną zbroję, bez kolczugi i arystokratycznego hełmu, pokaże się słowiańskim odmłodniałym atletą, podającym jedną rękę biednemu chłopu, a drugą równouprawnionemu sąsiadowi. W imię ich przyjmijcie i naszą przyjacielską rękę, słabą w siłach, lecz niezmienną w przekonaniach; podajemy ją wam jako Rosyanie, kochamy wasz naród, wierzymy w niego i w jego przyszłość i właśnie dlatego podajemy ją wam do dzieła sprawiedliwości i swobody”. Zresztą osobiście zapewniał Hercen wysłańców Komitetu, że im dopomoże swymi stosunkami z partją rewolucyjną rosyjską, twierdził, jak wszyscy ludzie oddaleni od kraju ojczystego, że partja ta jest silną, że rewolucja lada chwila w Rosyi wybuchnie, rewolucja straszna, bo ludowa, do której wszystkie klasy się przyłączą, gdyż z powodu połowicznego załatwienia kwestyi usamowolnienia włościan, z powodu niedostateczności reform, wprowadzonych przez cesarza Aleksandra II, w Rosyi istnieje powszechne niezadowolenie. Na razie jednak, chcąc w czemkolwiek dopomódz rewolucjonistom polskim, wydrukował w „Kołokole” odezwę p. t.: „co należy robić oficerom, znajdującym się w Polsce, w razie powstania polskiego?”, którą wysłał do Królestwa i na Litwę, dla rozrzucenia między wojskiem. W odezwie tej, na pytanie, postawione w nagłówku, tak odpowiada:

„w ogólności odpowiedź jest prosta: iść pod sąd, w kompanie karne, dać się rozstrzelać jak Śliwiński, Arnhold i Rostkowski, dać się wziąć na bagnety, jak wam groził dziki wasz kondotyer Chrulew, ale nie podnosić oręża przeciw Polakom, przeciwko odzyskującym najśluszniej swoją niepodległość. Popierając siłą oręża rząd, stanowiący nieszczęście Polaków i nieszczęście nasze, albo samowiednie spełnicie zbrodnię, albo zniżycie się do rzędu bezwiednych katów. Minął już czas ślepego posłuszeństwa. Karność nie obowiązuje, gdy prowadzi do zbrodni; nie wierzcie tej religii niewolnictwa, na niej zbudowano największą niedolę ludów. Sumienie, szacunek dla słusznej sprawy polskiej, dla godności człowieka, a wreszcie szacunek dla własnej waszej sprawy rosyjskiej, nie pozwalają wam podnosić oręża na Polaków. Czynny związek wasz z Polakami nie może ograniczyć się na samem tylko oderwaniu Polski od Rosyi; winien on dążyć do tego, żeby to oderwanie pomogło także naszej narodowej sprawie, stąd też miara naszego czynnego udziału zależną jest od tego, jaki charakter przeważy w polskim powstaniu, tak w zakresie zasadniczej kwestyi włościańskiej, jako też co do t. z. prowincyi zabranych”. Kończy tak: „starajcie się w ogólnym planie połączyć powstanie polskie z rosyjskiem. Tylko od tej solidarności można oczekiwać rzeczywistego powodzenia, tylko wtedy możecie zażądać, ażeby Polacy powstrzymali się z wybuchem. Jest to jedna z najważniejszych rzeczy, przedwczesny wybuch Polski nie oswobodzi, was zgubi i naszą sprawę rosyjską powstrzyma w rozwoju”. Współcześnie napisał odezwę, przeznaczoną dla żołnierzy, p. t. „co należy robić wojsku w razie powstania polskiego?” Odezwa zredagowana bardzo przystępnie, w formie pytań i odpowiedzi, jak np. „a czego chce Polak? — wolności. A czego chce chłop? wolności. A zatem obaj oni chcą jednego i tego samego, i za to macie ich zabijać?”

To było wszystko, co Hercen, człowiek myśliciel, rewolucjonista przy biurku, ale nie w czynie, zrobił dla Czerwieńców polskich, i dwaj wysłańcy Komitetu centralnego wrócili do Warszawy z poważną wątpliwością w duszy, czy przyszłe powstanie może się jakiegokolwiek pomocy czynnej spodziewać od rewolucjonistów rosyjskich. W Warszawie przez czas ich nieobecności zaszły nie małe zmiany. Wskutek wydalenia się Gillera i Padlewskiego, który po Dąbrowskim objął nominalnie naczelnictwo miasta, Komitet musiał uleść przemianie i przybrać nowych członków. Rolski Józef, Czerwieniec zapalony, syn oficera b. wojsk polskich, został chwilowo naczelnikiem miasta; do Komitetu wezwano Aleksandra Biernawskiego, studenta akademii medycznej i znanego nam już Gustawa Wasilewskiego. Z dawnych członków pozostał Szwarcce i Marczewski. Przeważały teraz żywioły ultraczerwone i niehamowane przez Gillera, gwałtownie pędziły do powstania, czemu chłodniejsi z kary-

godną słabością oprzeć się nie umieli. Wreszcie nowy ten Komitet wszedł na drogę terroryzmu i krwawych represalii, dał początek całemu szeregowi tajnych morderstw, które ponury cień rzucają na ruch i powstanie 1862 i 63 roku. Różne przyczyny złożyły się na to, że Komitet sankcjonować i nakazywać zaczął mordowanie wrogich sobie ludzi; najgłówniejszą z nich jest ta, że większość młodzieńców, którzy podjęli się kierowania losem narodu, źle wykształconych, wyćwiczonych na różnych pamfletach Mierosławskiego, na pochwytych wypadkach teorii rewolucji francuskiej, głosiła opinie jak najsłabsze. Małych Maratów, Robespierrow, Fouquier-Tainvillów, Saint-Justów, było mnóstwo w ówczesnej organizacji, którzy naśladowując niezręcznie swe prototypy, drapując się w ich krwawe łachmany, obrzydzenie po prostu budzili, ale przez swe krzykactwo, radykalizm i zapal, zmuszali do milczenia spokojniejszych i rozsądniejszych. Drugim nareszcie powodem było coraz gwałtowniejsze i niebezpieczniejsze występowanie policji, całej chmury szpiegów, rozpuszczonych po mieście dla wyśledzenia sprzysiężenia. To śledzenie, podejrzenia, groźba niebezpieczeństwa, wisząca nieustannie nad głowami sprzysiężonych, rozdrażniała ich nadzwyczajnie, zaślepiała ich tak dalece, że zatracali poczucie tego, co jest godziwym lub nie, co pożytecznym lub szkodliwym sprawie narodowej, nawet ze stanowiska powstańczego sądzonej. Jawne i głośne wystąpienie Komitetu centralnego, ogłoszenie się za jedyny prawy rząd polski, nieukrywanie swego istnienia, liczne odezwy, jakie rozrzucał, wszystko to pobudziło policję do nadzwyczajnych wysiłków, do których wreszcie zmuszały ją surowe rozkazy od władz wyższych. Mimo to wszystko policja nic ważnego wykryć nie mogła; wiedziała o sprzysiężeniu, znała doskonale formę organizacji, świadomą była istnienia Komitetu centralnego, ale do osób go składających dotrzeć nie mogła. Było to istotnie osobliwe, jedyne w swoim rodzaju położenie. W wielkim mieście, pod rządem, który posiadał wszelkie możliwe narzędzia i sprężyny, potrzebne dla wykonywania jego woli i postanowień, istniało sprzysiężenie szeroko rozgałęzione, na tysiące liczące swych członków, jawnie i otwarcie mówiące o sobie, a przecież tak tajemne, że cała armia szpiegów ani jednego nazwiska schwycić nie mogła. Po wszystkich kawiarniach, szynkach, restauracjach, rozprawiano głośno o Komitecie, tu i owdzie nawet członków jego wymieniano, a policja o tem nie wiedziała i dowiedzieć się nie mogła. W jednym z numerów „Ruchu” sprzysiężenie nakazywało, ażeby nikt nie nosił przy sobie adresów i w domu ich nie przechowywał, gdyż mogą one wpaść w ręce agentów rządowych i szkodę organizacji przynieść. Takie więc nawet rozporządzenia wychodziły, rozporządzenia drukowane, które wszyscy mogli czytać, a policja wobec tego była bezsilną. Niekiedy zdarzało się jej schwycić tu i owdzie jakiegoś czeladnika, wyrobni-

ka, służącego, należącego do organizacyi, do najniższych jej słoików i na tem wszystko się kończyło, gdyż aresztowany poza swą dziesiątką nikogo więcej nie znał, a jeżeli znał, to heroicznie milczeć umiał. Dzięki temu do wyżyn, pomimo wszelkich wysiłen, dotrzeć nie można było.

W takim stanie rzeczy, gdy nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nieudolna policja warszawska nic nigdy nie wykryje, ktoś poradził W. księciu, ażeby sprowadził z zagranicy agentów, zwłaszcza z Anglii, słynnej po wsze czasy ze swej wybornej, inteligentnej i doskonale uorganizowanej policji. W. książę zasięgnął w tym względzie opinii Wielopolskiego, który nie widział w tem nic zdrożnego i złego, owszem uważał to za rzecz naturalną, że rząd ucieka się do wszelkich sposobów, będących w jego mocy, dla wyśledzenia spisku, grożącego najserdecznieszym interesom narodowym³¹⁰. Za pośrednictwem posła rosyjskiego, który w tej sprawie porozumiał się z ówczesnym premierem, lordem Derby, nie bardzo zresztą zadowolonym z tego rodzaju żądania, sprowadzono w październiku do Warszawy dwóch policyantów angielskich. Jeden z nich, Walker nazwiskiem, był komisarzem dzielnicy Westminsterkiej w Londynie; drugi Whicher był dziesiątnikiem policji tajnej. Zalecano ich z Londynu jako ludzi bardzo zręcznych, roztropnych, mówiących kilku językami i mających wygląd dżentelmenów. Przyjechali, przedstawili się komu należy i na pierwszej konferencji z oberpolicmajstrem warszawskim, Muchanowem, oświadczyli, że jeżeli mają coś zrobić, to potrzebują do pomocy choć dziesięciu ludzi przyzwoicie wyglądających, bystrych, zdrowych i w zachowaniu się swoim spokojnych. Takie żądanie dla naczelnika policji warszawskiej, rekrutującej się z najniższych warstw miejskich, z żołnierzy wysłużonych, z próżniaków, którym się nic robić nie chciało i szukających chleba w służbie policyjnej, było wprost niemożliwem. Odpowiedział, że dziesięciu takich ludzi nie ma, nie ma nawet pięciu. Wtedy zażądali choćby tylko dwóch, a gdy i tych znaleźć było trudno, oznajmili, że w takich warunkach nic zrobić nie mogą i domagali się, by ich do Londynu odesłano. Dano im więc po 1000 funtów szterlingów, za co ucałowali ręce wypłacającego pieniądze i wrócili do Anglii³¹¹. Próba się więc nie udała i choć stosunkowo była dość kosztowną, jednakże dla rządu nie pozostała bez pewnej korzyści. Ponieważ przybyłym agentom angielskim zwrócono przede wszystkim uwagę na spiskujących wojskowych garnizonu warszawskiego, o czem rząd miał niejaki wiadomości, czego dowodziła odezwa Hercenowska, wydrukowana w „Kołokole” do oficerów rosyjskich, liczne wreszcie proklamacye, rozrzucane między wojskiem, więc pp. Walker i Whicher przez kilka dni swego pobytu w Warszawie w tym kierunku działali

310 N. Berg, Zapiski, II, 354.

311 Loc. cit. II, 355.

i porobili zdumiewające na tak krótki czas odkrycia, świadczące o niezwykłym uzdolnieniu szpiegowskim obu tych ichmościów.

Za ich wskazówkami aresztowano Ferdynanda Waraskiego, porucznika pułku Ładoskiego piechoty, Michała Heidenreicha, sztabskapitana pułku dragonów Ekaterynosławskich, głośnego później w zbrojnym powstaniu pod pseudonimem Kruka, Łątkiewicza podporucznika siódmej brygady artyleryjkiej, Kriegera, porucznika pułku Muromskiego piechoty, Czesława Pławskiego, porucznika czwartej brygady lekkiej artylerii, esaulę Benedykta Kuczковского, komendanta pierwszej sotni kozaków kubańskich. Posuwając się po nici, sięgnięto i do Wilna, gdzie chciano przyaresztować kapitana sztabu jeneralnego Ludwika Zwierzdowskiego³¹², mającego w kilka miesięcy później zasłynąć w powstaniu pod pseudonimem Topora, ale, dzięki wstawiennictwu generała Minkwita i samego Nazimowa, nie zrobiono tego, przeniesiono tylko Zwierzdowskiego do Moskwy³¹³. Heidenreicha także wkrótce wypuszczono z więzienia, ale innych trzymano, doszukując się koniecznie spisku, którego szczerze mówiąc nie było, były tylko jego zaczątki.

Wszystko to wiadomem było policji narodowej, organizującej się coraz lepiej i posiadającej w swym składzie wielu bardzo zdolnych ludzi, tak że przed ich okiem nic ukryć się nie mogło. Przybycie agentów angielskich, aresztowania wśród oficerów, które na koła wojskowe prawdziwy popłoch rzuciły, rozdrażniły mocno organizację miejską. Zdarzyło się właśnie w tym czasie, gdy wskutek wyjazdu Gillera Komitet centralny przybrał mocno czerwoną barwę i składał się z domorosłych Maratów, że naczelnik tajnej policji rządowej, radca dworu, znany nam już Felkner, były inspektor szkolny, wygnany „dla dobra służby” przez Wielopolskiego, schwytał dużych rozmiarów przesyłkę, idącą z Londynu i zawierającą, jak się zdaje, znaczną ilość egzemplarzy „Kołokoła” i znanej nam już odezwy Hercena do oficerów rosyjskich.

Na Felknera policja od dawna już, od czasu wyśledzenia kancelisty Zamoy-skiego, miała baczne oko. W numerze 5 „Ruchu” z d. 17 września pomieszczono nawet ostrzeżenie tej treści: „należy się strzedz następujących szpiegów, których rysopisy i nazwiska podajemy”, a między tymi szpiegami na pierwszym miejscu wymieniony był Felkner ze wskazaniem jego mieszkania. Obecnie schwytywanie przez niego wzmiankowanej przesyłki londyńskiej, wskutek czego aresztowano kilku ziemian, mieszkających nad granicą pruską, dopełniło miary i postanowiono Felknera z wiedzą i za pozwoleniem naczelnika miasta, „sprzątnąć”³¹⁴.

312 Loc. cit.

313 Z. Kolumna, Pamiątka dla rodzin polskich I, 178.

314 N. Berg w artykule „Wozstanie Poliakow na Krugobajkalskiej dorogie” („Istoriczeskij Wiestnik” z marca 1883r. p. 560), twierdzi, że rozkaz zabicia Felknera dał Komitet cen-

Dokonanie tej czynności, rozpoczynającej szereg strasznych egzekucji tajnych, powierzono niejakiemu Janowi Męcarskiemu, aplikantowi magistratu warszawskiego, a w organizacji narodowej tysiącownikowi, do którego zarządu należała ta dzielnica miasta, w której mieszkał Felkner (ulica Twarda Nr. domu 1095) Męcarski, młody, dwudziestoletni zaledwie chłopiec, podjął się tego krwawego zamiaru, co dowodzi, jak dalece pod wpływem namiętności politycznych uczucia tępieją, i nie zwłócząc, wybrał z pomiędzy tysiąca ludzi mu podwładnych sześciu, którzy mu się wydali najodważniejszymi i najzdolniejszymi do tego rodzaju czynności, a mianowicie Władysława Kotkowskiego, aplikanta na komorze celnej; Romualda Dzwonkowskiego i Józefa Marcinkiewicza, urzędników magistratu; Marcelego Szulca, zdaje się, nie mającego żadnego zajęcia, syna rachmistrza w rządzie gubernialnym; Stanisława Rabińskiego, ucznia gimnazjum; wreszcie tajemniczą postać, znaną w kołach organizacji pod pseudonimem Jana Mularza, a którego właściwego nazwiska nigdy dowiedzieć się nie miano.

Wszystkich tych młodych ludzi, z których najstarszy Kotkowski 29 lat liczył, a najmłodszy Szulc i Rabiński zaledwie po lat 17, Męcarski zgromadził u siebie w mieszkaniu na ulicy Chłodnej, i przy zapuszczonych roletach, przy stole, na którym mieścił się krzyż z Męką Pańską, sześć sztyletów i strycek, oświadczył im, że „Komitet centralny narodowy rozkazał zabić Felknera, naczelnika policji tajnej, co musi być wykonanem; że Komitet zna gotowość obecnych do poświęceń i ich uczucia patryotyczne, nie wątpi więc, że rozkaz jego spełnionym będzie”. Gdy zebrani zgodzili się na to, Męcarski kazał im zaprzysiądz na krucyfiksie, wygłaszając sam słowa przysięgi, poczem zapowiedział, że „kto parę z ust puści” o tem, co tu widział i słyszał, to ulegnie takiemu samemu losowi, jaki przeznaczony jest dla Felknera. Wreszcie oświadczył, że Komitet centralny obiecał wykonawcom zabójstwa po sto rubli nagrody³¹⁵, a ich pomocnikom po 20 rubli. Piśmiennego rozkazu Komitetu zebrany nie pokazał wcale, dlatego, że go nie miał i mieć nie mógł, bo projekt zabójstwa wyszedł nie od Komitetu, który prawdopodobnie o nim nie wiedział, ale od organizacji miejskiej.

W ten sposób zostało przygotowane pierwsze morderstwo polityczne. Komendę nad „wykonawcami woli narodowej”, jak lubili się nazywać tego ro-

tralny. Pominąwszy to, że Komitet zabronił już przed paru miesiącami wnoszenia przed siebie wyroków śmierci na kogokolwiek, to Felkner był zanedo małą osobistością, by nim się najwyższa władza powstańcza zajmować miała. O projekcie morderstwa mogli wiedzieć niektórzy członkowie Komitetu, ale sam projekt zabójstwa wyszedł z łona organizacji miejskiej.

315 Pawliszczew, Siedmicy, II, 321 utrzymuje, że zebranie sztyletników, mających zamordować Felknera, odbyło się w mieszkaniu Józefa Marcinkiewicza, a nie Męcarskiego, że morderca otrzymał obietnicę, iż dostanie w nagrodę nie 100, ale 300 rubli.

dzaju skrytobójcy, objął Kotkowski, jako najstarszy, typ zdemoralizowanego warszawskiego ulicznika, z całą jego chłodną odwagą, stanowczością, pewną brawurą i zdziczeniem serca.

Ponieważ przyszli jego współnicy nie znali Felknera, więc kilkakrotnie pokazywał im go na ulicy, oraz podprowadzał pod okna pokoju, w którym Felkner zwykł był pracować. Przypatrywali się więc przyszłej swej ofiarze, włóczyli się po restauracjach i cukierniach, zwłaszcza przesiadywali głównie w cukierni na placu Dzieciątka Jezus, w domu Mintera, gdzie już na parę miesięcy przedtem Chmieleński ugasał Rylla, ale do rzeczy się nie zabierali, a czas upływał, Felkner swoje robił i coraz niebezpieczniejszym się stawał dla organizacyi. Wobec tego Mękowski d. 7 listopada zebrał całą tę bandę morderców ponownie u siebie w mieszkaniu i oświadczył im niezadowolenie Komitetu centralnego, że „tylko włóczą się po cukierniach i nic nie robią”. Usprawiedliwiali się, iż nie wiedzieli, „że to tak pilno”, ale skoro tak, to gotowi są przystąpić do dzieła, choćby zaraz jutro. Mękowski zgodził się na to krwawe jutro, kazał im jeszcze raz przysiąc i urzędownie komendę nad całą bandą oddał Kotkowskiemu. Jakoż nazajutrz d. 8 listopada, Kotkowski swą straszną komendę, uzbrojoną w sztylety, rozstawił od samego rana po różnych punktach tak na ulicy Twardej jak i przylegających do niej. Felkner kilkakrotnie koło czatujących na niego przechodził, ale zawsze przy takich okolicznościach, że napad był wprost niemożliwy. Nad wieczorem między godziną 4-tą a 5-tą, Kotkowski i paru starszych, znudzonych czekaniem, poszło do jednej z trzeciorzędnych traktyerni, żeby co przekąsić, gdy nagle któryś z młodszych wpadł i dał znać, że „widać Felknera, i jak się zdaje, idzie do domu”. Kotkowski wybiegł spiesźnie i ze swymi towarzyszami skierował się ku temu domowi. Tutaj ustawił on Mularza i Szulca, sam zaś schował się w sieni za furtką w bramie, która stosownie do rozporządzeń stanu wojennego była zamkniętą, w tej nadziei, że jeżeli tamci dwaj stchórzą lub tylko zranią naczelnika szpiegów, to on w sieni ostatecznie z nim się załatwi. Jakoż w rzeczy samej Mularz i Szulc stchórzyli; Felkner przeszedł koło nich i nietknięty znalazł się w sieni. Kotkowski, który przez szczelinę w bramie obserwował wszystko, gdy Felkner wszedł do sieni, rzucił się na niego niespodziewanie, schwycił za gardło, przycisnął do ściany i zadał mu straszny cios sztyuletem w piersi. Zaraz też, zapewne zawstydzony swym tchórzostwem, słysząc szamotanie się i jęk ofiary, Mularz i Szulc wpadli do sieni i trzykrotnie pchnęli puginami Felknera, który krzyknawszy tylko: „puszczaj bestyo!” padł na ziemię nieżywy³¹⁶. Dokonawszy tego krwawego czynu, wszyscy trzej co prędzej wyskoczyli na ulicę, rozbiegli się w różne strony

316 N. Berg, loc. cit. Pawliszczew, loc. cit. II, 321. Relacya w „Dzienniku poznańskim” z d. 20 maja 1895 r.

i znikli w mrokach szybko zapadającej nocy listopadowej. Ale Kotkowski, co dosadnie charakteryzuje jego cyniczne zuchwaństwo i brawurę, przypomniał sobie, że w czasie szamotania się z ofiarą spadła mu z ramion burka, i że burka ta została w sieni przy trupie. Żał mu było wobec chłodnego wieczoru burki, a może w niej były jakie wskazówki, które go mogły zdradzić, a przytem należało, według przyrzeczenia danego Mękarskiemu, przynieść jaki dowód oczywisty, że Felkner nie żyje. Niewiele więc myśląc, zawrócił i wszedł do sieni, gdzie w kałuży krwi leżał trup naczelnika tajnej policji. Tu zastał już gromadę ludzi, którzy się zbiegli na wieść o morderstwie, a wśród których przeważały kobiety, głównie żydówki. Kotkowski podniósł burkę i w oczach wszystkich, z zadziwiającym spokojem, oderznął ucho martwemu szpiegowi, schował je do kieszeni i szybko wymknął się na ulicę³¹⁷.

317 Loc. cit. Podwysocki, Zapiski 127, jako policyjny historyk podaje nieprawdziwą wiadomość, że zabójstwo Felknera dokonane było na ulicy Żelaznej przez kilkunastu młodych ludzi; że, gdy Felkner szedł do domu, kilku z nich wyprzedziło go „dla usunięcia z ulicy świadków, uprzedzając przechodniów, że idzie wojsko dla dokonania rewizji we wszystkich domach i że każdego, kogo spotka, będzie aresztowało”. Cała ta opowieść jest najwierutniejszym kłamstwem. Drugi takiż sam historyk, policyjant p. Aleksander de Moller w swym ohydny pamflocie p. t. „Situation de la Pologne au 1 Janvier 1865” p. 302 utrzymuje, że Felkner został zabity w hotelu Europejskim, że zabójstwa tego dokonał jakiś Olszewski i Nowotarski, za co mieli otrzymać po 50 rubli nagrody. Śnać pomieszało się mu późniejsze, o rok blisko, zabójstwo szpiega Hermaniego, w tymże hotelu dokonane. Należy tu wreszcie wspomnieć o zupełnie kłamliwej relacji zabicia Felknera, jaka obiegała po Warszawie, długi czas w formie legendy była powtarzana i przeszła nawet do drukowanych opowiadań. Mówiono tedy, że „pewnego dnia przed dom, w którym mieszkał Felkner, zajechał powóz, a z niego wyskoczył oficer żandarm-ski. Szwajcar, przy drzwiach stojący, objaśnił, że naczelnik nie przyjmuje, lecz oficer, nie zwracając na to uwagi, dążył po schodach na pierwsze piętro, do biura Felknera. Dyżurujący tam żandarm, ujrawszy starszego członka swego wydziału, pospieszył mu z pomocą przy zdejmowaniu płaszcza. Oficer znał dokładnie rozkład mieszkania i nie tracąc czasu ruszył z portfelem w rękę do następnych pokoi. Trzeci z nich stanowił właśnie jadalnię. Oficer drzwi otworzył. Na kanapie siedział Felkner, przy stole żona jego i piastunka z dzieckiem na ręku. „Ważne papiery, panie naczelniku”, zaczął oficer, wyjmąwszy arkusz z portfela i wręczając takowy Felknerowi, który zaraz czytać zaczął. Nagle twarz jego przybrała kolor trupi. Papier ten zawierał wyrok śmierci na niego samego. Jednocześnie w rękę oficera błysnął sztylet i Felkner nieżywy zwaляł się na ziemię, nie zdążywszy zawołać o pomoc. Żona zemdląa; piastunka straciła zupełnie głowę. Oficer zaś tą samą drogą, którą przybył, wrócił spiesźnie z powrotem, wskoczył do powozu i zniknął na zakręcie ulicy. W domu tymczasem powstał wrzask, ruszano się na wszystkich piętrach, pytano, szukano i w rezultacie dowiedziano się tylko, że oficer był młody, barczysty, średniego wzrostu. Oficerem tym był Władysław Kotkowski”. Cała ta opowieść, bardzo romantyczna, jakby wyjęta z bulwarowego melodramatu francuskiego, jest zupełnie fałszywą. Rzecz tak się miała, jakeśmy w tekście opowiedzieli.

Takiem było to pierwsze skrytobójstwo polityczne, które niejako udowadnia starą prawdę, że w każdym człowieku w głębi duszy drzemie dzikie i okrutne zwierzę. Kotkowski i jego towarzysze szukali potem przez cały wieczór Mękarskiego, ale dopiero o godz. 9-ej znaleźli go w domu; wysłuchał on sprawozdania Kotkowskiego, wziął odeń krwawe trofeum dla pokazania, jak mówił, Komitetowi centralnemu i dał trzem zabójcom zamiast obiecanych stu, tylko po 30 rubli, pozostałym zaś znacznie mniej³¹⁸. Jeżeli wierzyć można doniesieniom rosyjskim, potem wszystkim sztyletnicy mieli wyprawić sobie ucztę u Mękarskiego, w której wzięła udział kochanica tegoż, niejaka Anna, czy Aniela Wiśniewska. Tej Mękarski, na dowód swej miłości, miał podarować odernięte od trupa ucho Felknera³¹⁹. Podanie to jednak jest wątpliwem i dla honoru ludzkości za takie je uważać należy. Zabójstwo naczelnika policji tajnej, dokonane w biały dzień, na ludnej ulicy, rzuciło wielki popłoch na policję warszawską, a w sferach rządzących wywołało pewien rodzaj osłupienia. Rzecz całą zachowano w tajemnicy, choć wszyscy w mieście o niej mówili, i nakazano jak najściślej śledztwo. Przyaresztowano służącego Felknera, uwięziono kilka osób zupełnie niewinnych, ale prawdziwych winowajców nie znaleziono aż dopiero w trzy lata później³²⁰.

318 N. Berg, loc. cit.

319 Pawliszczew, loc. cit.

320 Zabójstwo Felknera miało swój bardzo tragiczny epilog, który wprawdzie nie należy do historii, ale rzuca jaskrawe światło na ludzi i czasy. W trzy dni po zabójstwie, Mękarski, lękając się zapewne, by rzecz się nie wydała, znikł gdzieś, nie powiedziawszy nawet o tem swej nałożnicy Annie Wiśniewskiej. Była to kobieta bardzo energiczna, a może szczerze przywiązana do swego kochanka, więc poczęła się rozpytywać o niego. Ktoś jej powiedział, że Mękarski pojechał do Lublina. Za pożyczone od Marcinkiewicza kilka złotych puściła się do tego miasta, gdzie oczywiście Jasia, jak go stale nazywała, nie znalazła. Rozgniewana zawodem, rozżalona mocno, powróciwszy do Warszawy, przyszła do Marcinkiewicza i powiedziała mu: „jeżeli pan Józef nie powie mi, gdzie jest Jaś, to ja was nauczę”. Słowami temi nieszczęsna kobieta wydała na siebie wyrok śmierci. Kotkowski uwiadomiony o wszystkim, lękając się grożącej mu zdrady, postanowił wraz z Marcinkiewiczem „skończyć z Andzią”. W tym celu, umówiwszy się wprzód z dorożkarzem Wnorowskim, należącym także do organizacji, zaproponowali Wiśniewskiej, by z nimi pojechała za rogatkę Żąbkowską na Pradze, do lasu, gdzie zapewniali, że Mękarski ukrywa się w chacie gajowego. Wiśniewska, nie podejrzewając nic, pojechała z Marcinkiewiczem i Kotkowskim. Ale w tych strasznych czasach, jak zresztą bywa między ludźmi dopuszczającymi się zbrodni, jedni drugim nie wierzyli. Szulc, Mularz i Rabiński zauważyli od niejakiego czasu potajemne rozmowy między Marcinkiewiczem, Kotkowskim i Wiśniewską, więc, lękając się zdrady, mieli ich wszystkich na oku, i gdy ci wsiedli do dorożki Wnorowskiego, trzej podejrzewający to samo uczynili i pojechali za nimi. Kotkowski to zauważył, kazał Wnorowskiemu popędzić konie i wkrótce znikł z oczów ścigających. Działo się to wszystko w nocy. Wyjechawszy za rogatkę Żąbkowską, zrobili około sześciu wiorst drogi i Kotkowski nakazał dorożkarzo-

Lecz teraz takie skrytobójstwa stają się chlebem nieomal powszednim. Przybywający do kraju w znacznej liczbie wychowawcy szkoły podchorążych w Cuneo i rozsyłani przez Komitet, który chciał się ich pozbyć, w różne strony kraju w charakterze agentów przygotowujących powstanie, przynieśli ze sobą oprócz zarozumiałości i pretensyi do przewodzenia, fanatyzm rewolucyjny i krwawe teorye, które z bezwzględnością wprowadzali w wykonanie. Coraz częściej więc powtarzają się zabójstwa różnych szpiegów, albo ludzi podejrzanych o szpiegostwo, zwykle należących do najniższych warstw społecznych, i nikt już na to nie zwracał uwagi³²¹. W strasliwej gorączce owładającej na-

wi kierować się ku światłu, jakie migotało w głębi mglistej nocy listopadowej. Ponieważ droga była bardzo piaszczysta, a konie mocno zmęczone, więc wszyscy, nawet dorożkarz wyszli z powoziku i postępowali pieszo. Kotkowski chcąc, żeby Wnorowski w zamierzonym zabójstwie wziął udział, a tym sposobem we własnym interesie trzymał język za zębami, szepnął mu do ucha: „przewróć ją!” Jakoż dorożkarz popchnął Wiśniewską, tak że ta upadła na wznak. Teraz dopiero nieszczęśliwa kobieta zrozumiała, co jej grozi i głosem drżącym z przerażenia zawołała: „ojcze, daruj, już nie powiem!” Krwawy Kotkowski pchnął ją kilka razy pugińalem, przez kilka sekund drgała mrużąc coś niezrozumiałe, wreszcie ucichła na wieki... Kotkowski przyczepił do trupa kartkę z napisem, że ukaraną została za szpiegostwo i wraz z towarzyszami wrócił do Warszawy. Tutaj tegoż jeszcze wieczoru zetknął się ze śledzącą go trójką i rzekł cynicznie: „osły! jeździli za nami, a nie wiedzieli, że to o ich skórę chodziło. Teraz nie bójcie się Andzi Mękarskiego, bo ona już pojechała do Bozi!” (Tak opowiada Berg, *Wzstanie Poliakow*, p. 562. Pawliszczew, *Siedmicy II*, 322 utrzymuje, że Wiśniewską zabił Kotkowski i Marcinkiewicz w Warszawie dziewięciu uderzeniami pugińalu, a trupa tylko wywieźli za rogatkę Żąbkowską). Wszystko to wydało się przy następujących okolicznościach. Kotkowski, słusznie przewidując, że sprawa ta wcześniej czy później dojść może do wiadomości policyi, nie ufając zbyt swym kolegom, dał się wziąć na początku 1863 r. do wojska, dostał się do Charkowa i dzięki swej inteligencji i zręczności, został pisarzem w sztabie garnizonowym. Służbistą był wielkim, chwalono go powszechnie i zdawało się, że straszne sceny warszawskie na zawsze utonęły w przeszłości. Tymczasem zdarzyło się, że w końcu 1865 r. z powodu jakiejś błahej sprawy, został przyaresztowany w Grodzisku, stacyi kolei warsz.-wiedeńskiej, Marceli Szulc, jeden z współuczestników zabójstwa Felknera i osadzony w cytadeli warszawskiej. Tam wówczas królował straszny, krwawej pamięci generał Tuchałka, nowożytny Torquemada, dzikie i plugawe zwierzę, Polak z rodu, nędzny zaprzaniec. Pod jego ręką Szulc wszystko powiedział. Przyaresztowano Wnorowskiego, Marcinkiewicza, Rabińskiego, odszukano Kotkowskiego i sprowadzono go do Warszawy, gdzie wobec zdrady kolegów do wszystkiego się przyznał. Ponieważ już w tym czasie nikogo nie karano śmiercią, więc wszystkich pięciu skazano na całe życie do kopalni (katorga). Tutaj Kotkowski wziął udział w znanym powstaniu Zabajkalskiem i został rozstrzelany w Irkucku d. 27 listopada 1866 r.

321 Oto niektóre z tych zabójstw. Pod miasteczkiem Sierpcem w powiecie Mławskim, znaleziono w grudniu 1862 r. powieszzonego niejakiego Prześlakiewicza, jak utrzymywano, szpiega przesłanego z Warszawy, dla wykrycia organizacji miejscowej. Właściciel ziemski Zaremba, w tymże powiecie zamieszkały, został także zabity za szpiegostwo w grudniu 1862 r. W Płocku d. 15 listopada wieczorem, we własnym mieszkaniu zabili

rodem tępały uczucia, zacierały się najprostsze zasady, co jest zbrodnią, a co cnotą. Wszelako mniej więcej współcześnie z zabójstwem Felknera, dokonano innego morderstwa z dala od Warszawy, w Chełmszczyźnie, które wskutek towarzyszących mu okoliczności, oraz rezultatów, jakie sprowadziło, zwróciło na siebie uwagę nie tylko sfer rządzących, ale całego kraju.

W lubelskiem, dzięki energicznej działalności ajenta Komitetu centralnego, Leona Frankowskiego, znanego nam już ze swego nader czynnego udziału we wszystkich manifestacjach warszawskich, organizacja powstańcza bardzo szybko się zawiązała i przybrała od razu szerokie rozmiary. Frankowski nieustannie się tu kręcił, przejeżdżał tędy na Ruś, zachęcał, porywał wszystkich swym zapalem młodzieńczym, swą niewyczerpaną energią i prawdziwym talentem spiskowania. Znalazł on przytem na miejscu dwóch niepospolicie czynnych pomocników: księdza Baltazara Paśnikowskiego, wikaryusza przy katedrze lubelskiej, i Kazimierza Walentowicza, prowizora aptekarskiego, z których pierwszy zajął się organizacją Lublina, a drugi prowincyi³²². Ten ostatni wszedł w związki z oficerami wojsk rosyjskich, stojących w lubelskiem, dawał im odezwy rewolucyjne, rozrzucał je między żołnierzami, i formował nieustannie dziesiątki, setki, tysiące. Otóż, zdarzyło się, że do jednej z takich dziesiątek w Chełmie przyjęto niejakiego Aleksandra Andrzeja Starczewskiego, według jednych ekonoma, według drugich mularza, posiadającego nawet domek w mieście, ale człowieka charakteru lichego. Żył on na wiarę z niejaką Katarzyną Czerniak, kobietą złego prowadzenia, o wiele odeń młodszą, ale bardzo ładną, a taki stosunek, wśród patryarchalnych jeszcze w owe czasy obyczajai naszego drobnego mieszczaństwa, świadczył o małej wartości Starczewskiego. Przytem był to pijak koronny, a wszystko to dowodzi, że przyjmowano do organizacji z karygodną lekkomyślnością, co też naprzód pomściło się na samych organizatorach.

Starczewski, ilekroć z Warszawy przyszły jakie rozporządzenia, albo zjawiał się jaki ajent, jak tylko sobie podpił, a przytrafiało się to nieomal codziennie, domagał się pieniędzy, inaczej groził wydaniem³²³. Wreszcie, nie ograniczając się na groźbach, przesłał wprost na ręce namiestnika denuncyacyą, kto

dwaj młodzi ludzie niejakiego Jurczykowskiego, zajmującego się pisanem próśb i oskarżonego o szpiegostwo. Zabójcą miał być jeden z późniejszych dowódców w powstaniu, pochodzący z Płocka. Jurczykowski pchnięty nożem schwycił zabójcę i włókł się za nim aż na ulicę. Ofiarę wywieziono w jednego konia i pochowano bez obrządków religijnych. W Wilnie uduszono Wędziałgowskiego, który schwycił w r. 1838 emisariusza Konarskiego. Duchowieństwo nie chciało być na jego pogrzebie. Można by tę listę znacznie zwiększyć tem, co jest wiadomem, a iluż to ludzi przepadło bez wieści i śladu!

322 K. Gregorowicz, *Pogląd krytyczny II*, 120.

323 Pawliszczew, *Siedmicy*, I, 161.

należy do organizacji lubelskiej i jakie w niej zajmuje stanowisko. Między innymi zdradził w ten sposób ks. Ludwika Marczewskiego, reformata, który odeń przysięgę odbierał, oraz dwóch braci Niemirowskich, ziemian, malarza Smolińskiego i piekarza Szulakowskiego³²⁴. Podobno stale takie denuncjacje przysyłał, w wielkiej oczywiście tajemnicy, o wszystkim, co się dzieje w organizacji³²⁵. Ponieważ wskutek poprzednich gróźb, głośno przez Starczewskiego wypowiedzianych, miano go już na oku, więc zdaje się wysledzono i owe przesyłki piśmienne do Warszawy. Działo się to wszystko we wrześniu, i organizacja lubelska zrazu nie wiedziała, jak sobie w tym wypadku postąpić. Z uwagi jednak, że denuncjacje Starczewskiego mogły całe sprzysiężenie w lubelskiem w ręce rosyjskie wydać, postanowiono o wszystkim uwiadomić Komitet centralny i od niego zażądać rady i pomocy. W tym celu wyjechał do Warszawy Kazimierz Bogdanowicz, ziemianin ze wsi Nadrybia w lubelskiem, a w organizacji zajmujący stanowisko naczelnika powiatu. W Warszawie, Komitet centralny jako całość, co jest jednak wątpliwem, a najprędzej któryś z jego członków poradził Bogdanowiczowi, żeby Starczewskiego zabić i w tym celu posła zaopatrzono w rozkaz do jednego ze zdradzonych, powstańczego naczelnika powiatu Chełmskiego, Leona Niemirowskiego, właściciela wsi Stołpie, ażeby zabójstwa tego dokonał³²⁶. Rzecz była dość trudna, gdyż Starczewski, jakby czując grożące mu niebezpieczeństwo, nie ruszał się ani na krok z Chełma, gdzie pod osłoną miejscowego garnizonu wojskowego był pewny życia.

W takim położeniu chwycono się podstępny, by wywabić Starczewskiego, z Chełma. We wsi Okrzowie pod Chełmem mieszkał znajomy zdrajcy, kowal, który, wiedząc czy nie wiedząc o zamierzonym zabójstwie swego przyjaciela, zaprosił go do siebie na chrzciny. Starczewski pojechał wraz z Konstancją Czerniak³²⁷. Gdy z chrzcin tych wracali późną nocą, a wiózł ich pocztalion, Szczupak nazwiskiem, należący do organizacji (Niemirowski wszystkich pocztalionów w Chełmskiem wciągnął do sprzysiężenia), w lesie, o wiorstę od Okrzowa, napadli ich sprzysiężeni w liczbie jedenastu i rozpoczęła się krwawa rozprawa. Napastnicy uzbrojeni byli w noże i kije. Starczewski po rozpaczliwej obronie, ciężko pobity i pokaleczony, zdołał się jednak wymknąć i począł uciekać. Ale osłabiony wpływem krwi, upadł; dogoniono go, a gdy

324 „Sprawa chełmska”; relacja rękopiśmienna w zbiorach autora.

325 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny II, 124.

326 „Sprawa chełmska” (rkpsm.).

327 Raport urzędowy, wydrukowany w „Dzienniku powszechnym” Nr. 281, powiada, że ze Starczewskim na owe chrzciny pojechał także jeden z uczestników zamierzonego mordstwa.

Konstancja Czerniak chciała go sobą zasłonić, roztrzaskano jej czaszkę jednym uderzeniem kija i poraniono nożem. Starczewskiego na pół nieżywego uchwyciono i powieszono na drzewie, to samo zabójcy uczynili z trupem nie szczęśnej Czerniakówny. Zrazu zamierzano obie ofiary namiętności politycznych i krwawej zemsty sprzysiężenia zostawić w lesie, ale Niemirowski, tejże nocy otrzymawszy o całej sprawie wiadomość, kazał trupy zabrać. Przeniesiono je potajemnie przez Chełm i ukryto w kamieniołomach wsi Nowosiołki, należącej do jednego z braci Niemirowskich³²⁸. Wszystko stało się w nocy d. 2 listopada.

Nagle zniknięcie Starczewskiego i jego kochanicy zwróciło uwagę władz miejscowych i warszawskich, które, nie odbierając więcej od łotra denuncjacji, zaniepokoiły się mocno. Mimowoli powstało podejrzenie, że został zamordowany, zwłaszcza, że skrytobójstwa szpiegów i donosicieli, jakieśmy to rzekli, były w owym czasie na porządku dziennym³²⁹.

Nakazano śledztwo i przyaresztowanie przede wszystkim osób zadenuncjowanych poprzednio przez Starczewskiego, a więc braci Niemirowskich, Smolińskiego i Szulakowskiego. U Niemirowskich w domu wzięto niejakiego Cichockiego, który nie posiadał pasportu, a ten między innymi wydał Walentowicza, na którego zresztą miano oko, gdyż już dawniej doniósł o nim jeden z oficerów³³⁰. Wszystkich aresztowanych powieziono do więzienia do twierdzy Zamościa; za nimi, powoli, zwożono więcej, tak że wkrótce liczba ich dosięgła 50 osób³³¹, i prawdziwy popłoch padł na całą miejscową organizację. Prowadzenie śledztwa powierzono, znanemu nam z doby delegacji lubelskiej, szefowi sztabu wojsk stojących w lubelskim Kalikstowi Witkowskiemu, Polakowi, który poprzednio był w stosunkach z rewolucjonistami polskimi, znał się i komunikował w swoim czasie z Kurzyną, tak że w pewnych kołach powstańczych uważano go za jednego z przyszłych wodzów ruchu zbrojnego³³². Teraz jednak ten człowiek charakteru lichego, karyerowicz wstrętny, począł udawać nadzwyczajną gorliwość w wypełnianiu swych urzędowych obowiązków. Powierzenie śledztwa w sprawie zabójstwa Starczewskiego nie bardzo mu przypadło do smaku, gdyż czując się winnym względem sprzysiężenia, widząc jak to bez miłosierdzia morduje swych zdrajców, lękał się, czy mu tej

328 „Sprawa chełmska” (rksp.).

329 Pawliszczew, Siedmicy I, 161, pod d. 20 listopada donosi cesarzowi o zniknięciu Starczewskiego i dodaje: „Starzewski (wydrukowano przez pomyłkę Smarczewski), zostawiwszy papiery u syna, gdzieś się wydalił i dotąd nie wrócił. Przypuszczają, że został zabity”.

330 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny II, 124.

331 Pawliszczew, Siedmicy I, 198.

332 „Sprawa chełmska” (rkpsm.).

sprawy nie przyjdzie nadłożyć własną głowę. Jadąc do Zamościa tak się bał, że przez całą drogę nic nie jadł prócz jaj, które sam osobiście bił na jajecznicę, chleba zaś do ust nie wziął, bo obawiał się trucizny³³³. Zrazu śledztwo nie wiodło mu się, nie mógł się niczego dobadać.

Na nieszczęście zdarzyło się, że do jednego z uwięzionych za całkiem inną sprawę, kowala aresztowanego za przygotowywanie ostrzy do lanc, przyjechała żona i udała się do Witkowskiego z prośbą, by jej pozwolił się widzieć z mężem. Niedawno się pobrali, mówiła, i tęskni do męża. Witkowski z przebiegłością instynktu policyjnego spostrzegł, że z tej idyllicznej miłości nowożeńców może korzyść wyciągnąć. Począł więc wyklądać spłakanej młodej mężatce, że jeżeli mąż jej nie przyzna się do wszystkiego, to ona go już nigdy nie zobaczy, że on „zgnije w kajdanach”, pójdzie na Sybir, do „katorgi”, a może nawet na szubienicę. Groźby te tak silne wrażenie wywarły na rozkochaną kobietę, że gdy Witkowski zaproponował jej, by namawiała męża do przyznania się, chętnie się na to zgodziła i w rzeczy samej mąż jej, który należał do organizacji, będącej pod kierownictwem Niemirowskiego, i o całej sprawie zabicia Starczewskiego doskonale wiedział, wszystko, jak to mówiono wtedy, „wyśpiewał”³³⁴.

Rozpoczęły się więc aresztowania na wielką skalę w lubelskim, prawie całą organizacją schwytano, uwięziono także ks. Pańnikowskiego, który był wojewódzkim, jednym słowem tak rozbito sprzysiężenie, że już z tego ciosu

333 Loc. cit.

334 K. Gregorowicz, *Pogląd krytyczny* II, 125, tak opisuje postępowanie Witkowskiego z owym nieszczęsnym kowalem: „przeglądziwszy zręcznie więźnia, bez obudzenia jego podejrzania, sprowadza go do śledztwa. Wszystko obmyślanem było z przebiegłością prawdziwie szatańską. Korzystając niby z wypadkowej nieobecności wojskowych, należących do składu Komisji, każe podać butelkę mocnego wina i cygara. Przy kieliszku rozmowa idzie gładko; Witkowski upatruje niby tysiące przymiotów w młodym człowieku, zapewnia o szczególnej sympatii dla niego, głównie ze względu na jego uczucia patriotyczne. Niegodny ten odstępca idąc od wyznania do wyznania, niby to pod wpływem rozrzewnienia z jednej, a wypitego napoju z drugiej strony, zaczyna przeklinać własne położenie. „Boże mój, jak upadliśmy nisko, woła z boleścią, ja, Polak z dziada pradziada, syn rzemieślnika warszawskiego, zniewolony jestem nie tylko służyć Moskalom, ale nadto prowadzić śledztwo z braci rodaków, których uczucia, których zamiary podzielam w zupełności. Oh! przysięgam na tego Chrystusa ukrzyżowanego, którego Moskale porąbali w Warszawie, że cię ocalę, jeżeli mi zaufasz. Władza wie wszystko, jesteście zgubieni, opowiedz twój udział szczerze, ja ci wskażę tłumaczenie zdolne ocalić i ciebie i drugih”. W tej chwili wprowadzoną jest młoda małżonka, która ze łkaniem rzucając się w objęcia męża zaklina go na wszystkie świętości, aby zaufała zacnemu i poczciwemu pułkownikowi. Wszystkie te okoliczności, razem wzięte, przewyższyły zdolności umysłowe młodego człowieka. Nie dostrzegając zasadzki, wypowiedział wszystko, co wiedział, a nawet co usłyszał kiedy”.

podnieść się nie mogło i w chwili wybuchu nie odegrało tej roli, jaką odegrać powinno było. Sprawa chełmska skończyła się bardzo tragicznie; ks. Pański odebrał sobie w więzieniu życie przez poderżnięcie gardła prostym chłopskim kozikiem, a Walentowicz umarł w Zamościu z obłąkania. Trupy Starczewskiego i Czerniakówny, wydobyte z kamieniołomów w Nowosiółkach, zostały uroczyście pochowane na cmentarzu chełmskim. Skrytobójstwo to, nie przynosząc żadnej korzyści sprzysiężeniu, przyniosło mu ogromną szkodę i jest uderzającym w oczy dowodem, że takie środki działania jak najgorsze zawsze skutki sprowadzają. Witkowski w sferach urzędowych zyskał sobie sławę zręcznego i czynnego urzędnika i sprawa chełmska była dlań piedestalem przyszłej kariery.

Gdy się to wszystko działo, gdy tak straszne i krwawe sceny, których większość zginęła dla potomności w pomroku tajemnicy, rozgrywały się w całej nieomal Polsce, Komitet centralny, zajmwszy raz stanowisko rządu jedynie prawego, coraz dalej i coraz śmielej posuwał się na tej drodze. Giller i Padlewski, powróciwszy ze swej misji londyńskiej, zastali wypadki znacznie posunięte, puls gorączkowej działalności bił przyspieszonym tętnem. Z powrotem obu wyżej wymienionych agitatorów wszedł pewien ład do Komitetu. Występując już teraz z zupełną świadomością celu, do którego dążył, jako jedyny prawy rząd polski, wobec rosnących ciągle potrzeb i wydatków, czy to na szerzenie organizacji po prowincyi, czy na kupno broni, o której już teraz przemysłowano, Komitet centralny z inicjatywy, jak się zdaje, Giller, postanowił obłożyć naród podatkiem na cele powstańcze. Odnosny więc dekret, zredagowany bardzo mądrze i przez dobrą głowę finansową, noszący przez swój ton i unikanie wszelkich tłumaczeń i usprawiedliwień cechę rozkazu rządowego, któremu nikt oprzeć się nie może i nie powinien, został naprzód ogłoszony d. 18 października w „Ruchu” (Nr. 7), urzędowym organie Komitetu, a następnie w osobnych odbitkach rozrzucony po całym kraju³³⁵. Wychodząc z zasady, „że tylko energiczne zespolenie wszystkich sił i zasobów narodu dostarczy nam możność wytrzymania coraz gorętszej walki z najazdem”, „że przeciw wyjątkowej dzisiaj energii najazdu obowiązani jesteśmy postawić wyjątkowe także poświęcenie i wyjątkową energią”, Komitet stanowi, że każdy obywatel zapłaci jednorazowy podatek od kapitału posiadanego, czy to w formie gotówki, sum hipotecznych, nieruchomości, czy też zarobku. Od kapitałów i nieruchomości podatek ma wynosić pół od sta, zaś od dochodu po pięć od sta. Za normę dochodu przyjął prawodawca rewolucyjny opłatę roczną komornego, „która uważać się ma w Warszawie za jedną trzecią, a w mia-

335 Dekret ten, jako dotąd nigdzie nie przedrukowany, choć dość pospolity, podajemy w zbiorze dokumentów pod Nr. 8.

stach prowincjonalnych za jedną piątą całorocznego dochodu”. Podatek ten zbierać mieli urzędnicy organizacyi, zaopatrzeni w kwity sznurowe. Termin wniesienia podatku dekret naznaczył na d. 10 listopada.

Dekret ten nie tylko na zrewolucjonizowaną społeczność polską, ale i na władze rosyjskie wywarł niemałe wrażenie. Tak pierwsza jak i drugie mówiły sobie, że jeżeli Komitet centralny nakazuje podatek powszechny, i to nie w formie prośby, odezwy odwołującej się do patryotyzmu narodowego, ale dekretu, czyli po prostu rozkazu, to musi się czuć silnym, bardzo silnym i rozkaz ten w danej chwili będzie miał czem poprzeć.

Przytem wszyscy byli ciekawi, w jaki sposób samo zbieranie podatku odbywać się będzie i czy publiczność polska w rzeczy samej go zapłaci. Wkrótce ciekawość ta była zaspokojoną. Zwykle u tego lub owego obywatela zjawiał się w biały dzień młody człowiek z kwitem drukowanym, opatrzonym pieczęcią Komitetu (orzeł i pogoń z koroną), i w sposób grzeczny, ale stanowczy domagał się sumy oznaczonej na kwicie. I rzecz nadzwyczajna! wszyscy bez oporu płacili i nikt nie śmiał się odwołać do pomocy władz rządowych, a wkrótce potem w każdym numerze „Ruchu” ogłaszane bywały numera kwitów, za którymi podatek narodowy został wniesiony, a numera te tworzyły nieraz bardzo długi szereg cyfr. Fakt ten świadczył z jednej strony o niepospolitej odwadze członków organizacyi, którzy, zbierając podatek, każdej chwili narażali się na wpadnięcie w ręce policyi, z drugiej o niemem, ale bezwzględnem uznaniu ze strony kraju tajemnego Komitetu. Był to fakt bardzo ważny i bardzo doniosłego znaczenia, i mówił każdemu, kto umiał patrzeć, że kraj wszedł już na pochyłość, na której nic i nikt go powstrzymać nie zdoła. Wprawdzie nie można powiedzieć, by wszyscy chętnie składali pieniądze jakiejś nieznaney i tajemniczej władzy; wielu w cichości się zżymało, widziało, że źle robi, ulegając rozkazowi, Bóg wie, od kogo pochodzącemu, ale mimo to każdy płacił raz przez obawę, potem przez wstyd jakiś fałszywy, przez brak odwagi cywilnej, stającej oporem ogólnemu prądowi.

Tak więc Komitet centralny występował już teraz nie słowem, ale czynem jako prawowity rząd polski. W składzie jego wewnętrznym zaszły pewne zmiany. Padlewski objął naczelnictwo miasta i energicznie wziął się do rozwoju dalszej organizacyi. Żył on, w tej dobie przynajmniej, w przyjaźni z Gillerem i był wyznawcą jego pojęć, tak że z Marczewskim stanowili oni przewagę, zwłaszcza, że zaszła w tym czasie jeszcze jedna przemiana w Komitecie, która ich znaczenie utrwalała. Szwarce, który był bardzo czynny i za nieobecności Gillera i Padlewskiego właściwie był wszystkim, prędko dość spostrzegł, że obok Komitetu centralnego istnieje inne jakieś ciało, które wydaje odezwy w imieniu Komitetu, przeciąga organizacyą na swą stronę, po-

pycha ją do jak najszybszego wybuchu, szkaluje Komitet, jednym słowem szkodzi mu, jak może. Do wykrycia tego potajemnego, katylinarnego ciała przyczyniła się jeszcze jedna okoliczność. Już od dwóch miesięcy wiadomem było, z czym się nawet „Dziennik powszechny” nie ukrywał, że rząd zamierza przeprowadzić z początkiem 1863 r. pobór do wojska, pobór wyjątkowy, bo dotyczący tylko ludności miejskiej. Ogłoszenie zresztą urzędowe o tem nastąpiło w „Dzienniku powszechnym” w początkach października. Widocznem było dla wszystkich, że rząd przez ten pobór wyjątkowy pragnie podciąć nogi przez zabranie i wysłanie do Rosji wszystkich młodych ludzi z miast i miasteczek, stanowiących jak wiadomo główny, nieomal wyłączny żywioł organizacji powstańczej. Wywołało to wszystko niemały popłoch wśród tejże organizacji. Komitet centralny pozbawiony dwóch głównych swych członków: Gillera i Padlewskiego, na razie nie wiedział, jak się zachować i gdy jeszcze rozmyślał, co ma czynić, nagle ukazała się w obiegu niewielka karteczka drukowana, wydana jakoby przez Komitet centralny, zapowiadająca, że tenże Komitet „nie zezwoli na pobór”, że „wprzód, nim wróg zdoła spełnić swój czyn barbarzyński, nastąpi chwila wybawienia”. Odezwa ta, rozrzucona po całym kraju, zwłaszcza wśród klas niższych, rzemieślniczych, nie pozostała bez skutku. Zwana pospolicie „kartką o poborze”, wzbudziła powszechne zaufanie, że Komitet nikogo wziąć nie da. Zdumienie Komitetu centralnego było wielkie, gdy kartkę tę dostał do rąk i wywołało konieczną potrzebę dowiedzenia się, kto ją wydał. Szwarce wziął się energicznie do rzeczy i poszukując autorów owego zapewnienia, natrafił na ślad, że w Warszawie istnieje Komitet rewolucyjny, uznający zwierzchnictwo Mierosławskiego i że do tego warcholskiego ciała należą dwaj członkowie Komitetu centralnego, a mianowicie: Daniłowski i Koskowski. Słusznie oburzony taką dwuznaczną rolą, która zresztą w tej dobie i później była dość pospolicie praktykowaną w kołach powstańczych, na jednym z posiedzeń Komitetu centralnego rzecz całą wobec obu wymienionych panów wykrył, i tym sposobem zmusił ich do opuszczenia tego ciała³³⁶. Uczynili oni to dość niechętnie, a sam fakt ich wyjścia w niczem nie zmienił położenia rzeczy. Komitet Mierosławskiego dalej egzystował i katylinarną działalność szkodenia czynnościami Komitetu centralnego dalej prowadził, podszywając się pod jego autorytet i w jego imieniu wydając rozporządzenia i odezwy. I rzecz dziwna, niepojęta naprawdę, że ci sami ludzie, którzy nie wahali się skazywać na śmierć i skrycie zabijać nędznych jakichś szpiegów, nie mieli na tyle odwagi, by energicznie wystąpić przeciw garści warcholów, którzy nie tylko osobiście im szkodzili, co mniejsza, ale szkodzili także krajowi

336 B. Szwarce, Wydawnictwo materyałów, 28. A. Giller, Historia I, 221.

i ciężkie mu, jak to zobaczymy, zadawali rany. Lecz kalectwem to jest każdego sprzysiężenia, że obok nadzwyczajnej energii na zewnątrz, odznacza się ono niesłyszana nieudolnością wewnątrz swego organizmu, i ta nieudolność jest jedną z tych niepokonanych przeszkód, o które się zawsze rozbija najdzielniejszy pozornie spisek.

Fakt wykrycia Komitetu rewolucyjnego i sromotnego wypędzenia dwóch jego członków z łona Komitetu centralnego rozdrażnił mocno Mierosławskiego, który się zawsze uważał za jedyne przedstawiciela, za urodzonego dyktatora Polski rewolucyjnej. Niechć jego ku Komitetowi centralnemu datuje się od chwili, gdy ten nie chciał się poddać jego rozkazom i domagał się, by generał „pancerny Miłosławiem i Wrześnią” osobiście przybył do Warszawy, jeżeli chce rozkazywać; ale teraz miarka się przebrała, tem więcej, że wydarzyła się jeszcze jedna okoliczność, która przyczyniła się do ujawnienia przed publicznością polską, że Mierosławski nie stoi w żadnym związku z Komitetem centralnym.

Wskutek zabiegów policyi rządowej, udało się jej dostać do rąk znaną nam już ustawę Komitetu Mierosławskiego, co zresztą nie było trudnem, gdyż ustawa ta, drukowana w Paryżu, w ogromnej ilości egzemplarzy przesłana była do Królestwa i obiegała wszędzie. Ustawę tę Wielopolski, raz już praktykowanym zwyczajem, ogłosił w „Dzienniku powszechnym”, zaopatrzwszy ją w zjadliwe uwagi, przyczem, czy przez nieświadomość, czy może umyślnie pomieszał obie organizacje: Komitetu centralnego i rewolucyjnego, i winy tego ostatniego zwałił na pierwszy. Ogłaszając współcześnie dekret Komitetu centralnego z d. 18 października o podatku narodowym, „Dziennik” pisał:³³⁷ „sama osnowa tych pism jest wobec zdrowego rozsądku najlepszą przeciwko nim przestrogą. W poparciu tych niedorzeczności, rozgłoszono wieść na prowincyi, że powstanie wybuchnie na wiosnę. Uważać można, że te pogłoski wracają peryodycznie. W jesieni rozgłaszają zawsze, że powstanie ma nastąpić na wiosnę, gdy zaś przyjdzie wiosna, głoszą, że powstanie odłożone jest do jesieni, zdzierstwa zaś podatkowe w widoku tych mniemanych powstań nie odkładają się, lecz odbywają się tak w jesieni jako i na wiosnę. Jest to osobny rodzaj spekulacyi w pozory patryotyczne przyodzianej i obliczonej na wyzyskiwanie trwożliwości jednych, łatwowierności drugich. O ile te groźby i postrachy skutek odnoszą, wiadomo, do czyich kieszeni i na czyją korzyść obracają się wyciskane opłaty. Teraźniejsza nowa opłata od kapitału i dochodu zdaje się być rozpisana przez Komitet na korzyść indywiduów popisowi woj-skowemu ulegających, dla zabezpieczenia im środków ujęcia z kraju i wygod-

337 Nr. 244 z d. 29 października 1862 r.

nego przebywania zagranicą. Mało kto zapewne usłucha tych nakazów, które pociągałyby za sobą podwójne zubożenie kraju, raz wybraną składką, drugi raz ubytkiem popisowych, za jakich w dalszym następstwie ulegliby poborowi do wojska tacy, którzy inaczej mogliby być oszczędzeni.

Gdy przytem wszystkim weźmiemy na uwagę, że wydatki nadzwyczajne skarbu Królestwa, wywołane potrzebą użycia środków wojskowych i policyjnych przeciwko nieporządkom i zaburzeniom, w roku zeszłym miliony wyniosły, wtedy widzieć można, jakie ciężary spadły na kraj z tych komitetowych rządów i jak wszystko to prowadzi tylko do żywienia w kraju i zagranicą próżniackiego proletaryatu politycznych wichrzycieli, jego generałów i prezesów, z dobra kraju czyniących sobie igraszkę”. Tego rodzaju publicznych oskarżeń, jakoby cała organizacja i stojący na jej czele Komitet, była bandą złodziei, pragnących tylko wyłudzić pod pozorem patryotyzmu pieniądze z ogółu kraju, tego rodzaju pomieszczenia dwóch Komitetów, nie podobna było zostawić bez odpowiedzi. Nakazywał to obrażony honor tych ludzi, w większej części uczciwych niezaprzeczenie, choć przejętych zgubnymi dla kraju zamiarami, nakazywała wreszcie potrzeba utrzymania swego uroku wobec społeczeństwa, którem rządzić chcieli, i których rząd opierał się jedynie na sile moralnej i wierze w moralność rządzących. Gdyby ta wiara raz podkopaną została, Komitet ani jednego dnia, ani godziny jednej istnieć by nie mógł.

Wszystko to doskonale pojmowali ówcześni członkowie Komitetu i dlatego odpowiedzieć na złośliwe insynuacje „Dziennika” musieli. Odpowiedź tę wydrukowali oni w „Ruchu”³³⁸, w tonie poważnym trzymaną, nieco tylko szorstką, co do pewnego stopnia było usprawiedliwionem wobec krwawej obelgi, jaką im w twarz rzucono. „Pan Wielopolski (piszą) i spółka wystąpił z nowym zamiarem szkodenia działaniom organizacji narodowej; ogłaszając bowiem w Nr. 244 „Dziennika powszechnego” projekt organizacji Centralnego Komitetu rewolucyjnego pod naczelnictwem generała Ludwika Mierosławskiego zawiązanego, zestawiał obok tego znany rozkaz Centralnego narodowego Komitetu, zarządzający wnoszenie narodowego podatku, podług stałych norm oznaczonego, na cele przyszłego powstania, pomieszał te dwie organizacje, a pomieszał ze złą naturalnie wiarą, przyczem nie omieszkął wyzionąć kilka niecných potwarzy i szyderstw.

Przekonani jesteśmy, że kraj cały ocenił tę rządową ramotę, jak na to zasługuje; kraj wie już bowiem aż nadto dobrze i od dawna, że z nieczystego i wrogiego źródła, z tego źródła wiecznego fałszu, nigdy i nic prawdziwego na świat nie wychodzi”. „Dziennik powszechny” nie omieszkiał przy tej sposobności,

338 Nr. 8 z d. 13 listopada.

mówiąc o zarządzonej opodatkowaniu, wystawić Centralny narodowy Komitet jako wyzyskiwacza publicznego grosza, bez żadnej odpowiedzialności i gwarancji, że podatek przezeń nałożony, tylko na cele przyszłego powstania użyty będzie. Powiada „Dziennik”, że odkładamy wybuch od wiosny do jesieni, a z tej nadejściem znowu do wiosny, pieniądze zaś zbieramy w każdej porze roku. Jest to broń godna rycerza. Odpowiadać na wyzwanie byłoby ubliżeniem. Naród ufa swemu Komitetowi i jest przekonany, że każdy grosz ofiary obywatelskiej z całą sumiennością i rozważą na cele jego zbawienia użyty zostanie. Co się zaś tyczy szyderstwa jakoby, że Komitet odkłada powstanie z wiosny do jesieni i t. d., szyderstwo to tylko na poparcie prac organizacji służyć może, z tą małą różnicą, że Komitet dotąd nie oznaczał i nie oznacza pory powstania, odkładać zatem nie miał potrzeby; to dowodzi, że Komitet na chwilę jedną nie zapomina, co przyrzekł narodowi: powszechne i na dobry skutek obrachowane powstanie, że dla własnej fantazyi lub bezpieczeństwa swego nie popchnie braci, którzy mu zawierzyli, w klęski i nieszczęścia bezowocne, że ma wiecznie na pamięci i stosowność chwili i odpowiedzialność środków, a gdy się ich panem uczuje, Wielopolski i cała jego uorganizowana banda, rządem zwana, mogą być przekonani, że Komitet Centralny narodowy odkładać nie będzie chwili zmartwychpowstania”.

Tak się załatwiwszy z „Dziennikiem powszechnym”, przechodzi następnie „Ruch” do drugiej kwestyi, mianowicie do Komitetu rewolucyjnego; ale tutaj w swych uwagach zachował wielką ostrożność i oględność w wyrażeniach, widocznie nie chcąc sobie narażać Mierosławskiego, którego, zgodnie z opinią wszystkiej młodzieży kraju, uważał za jedyne go zdolnego wodza w przyszłym powstaniu zbrojnym. Oświadcza więc, że „organizacyi tego rodzaju (t. j. Komitetu rewolucyjnego) i nazwy, ani my, ani kraj nie zna, i wątpimy mocno, by generał Mierosławski, wiedząc aż nadto dobrze o kierunku i doniosłości prac krajowych konspiracyjnych, pod przewodnictwem Komitetu Centralnego narodowego przeprowadzanych, chciał tworzyć jeszcze jedno jakieś odrębne ciało spiskowe pod swoim przewodnictwem, lub też się solidaryzował z tak zwanymi robótkami na powietrzu i z powietrza wysnuwanemi. Po mężu przynajmniej, który z natury wojskowego stanowiska swego wspierać się winien na sile i tej szukać, nie spodziewamy się błędu podobnego. Nie pojmujemy bowiem ani potrzeby, ani warunków, ani możliwości nawet istnienia innego jeszcze poza nami stowarzyszenia. Organizacya narodowa już istnieje od dawna, potężniejąc codziennie, istnieje dla wywalczenia niepodległości narodowej, a droga pracy w tym kierunku pod chorągwią już wywieszoną i uznaną, była i jest zawsze dla każdego pragnącego brać w niej udział otwartą. Zapytujemy zatem, co za potrzeba drugiej, takich że celów i dróg, organizacyi

obok już istniejącej, gdzie możliwość, grunt?” Wobec tego „Ruch” utrzymuje, że wiadomość podana przez „Dziennik powszechny” jest zmyśloną. Mimo to robi taką uwagę: „jeżeli wszakże (czego się nie spodziewamy) jest ona prawdziwą, w takim razie jest to smutna zabawka, dzieła bezwątpienia intryganta, który w celach własnej ambicji oszukuje (po prostu mówiąc) z jednej strony generała Mierosławskiego i nadużywając niesumienne położonego w nim zaufania, kompromituje i na śmiech wystawia szanowne jego imię, a z drugiej strony wojując tem imieniem oszukuje i bałamuci kilku lub kilkunastu ludzi najlepszej woli, odwracając ich z drogi właściwej. Znaleźlibyśmy może coś więcej do powiedzenia w tym względzie, nie chcąc wszakże w oczach wroga prowadzić jakichkolwiek bądź gorszących sporów z braćmi naszymi, przedstawiamy na tych kilku słowach. Prosimy jedynie i tych niewielu oszukiwanych, a szczerze ojczyznę miłujących, niechaj przestaną błędzić po manowcach, a po manowcach przykrych i bezowocnych nie rozstrzeliwają sił narodowych, a niechaj (co stokroć dla sprawy ojczyzny pożyteczniej będzie), idą z nami razem gościńcem przez nas już uutorowanym i gromadzą się pod chorągwią już wywieszoną i niejedną okupioną ofiarą; niechaj nie dają wrogom naszym sposobności korzystania z ich nieoględności i bałamucenia opinii publicznej. Mamy niepłonną nadzieję, że słowa nasze nie pozostaną bez skutku, tymczasem zaś ogłaszamy wyraźnie: że żadnej nowej organizacji rewolucyjnej nie znamy i znać nie chcemy i za jej działania nie odpowiadamy”.

Słowa te mówiły bez obsłonek, że Komitet centralny nie chce widzieć żadnej innej władzy obok siebie, że siebie tylko uznaje za prawowity rząd polski, że żadnej solidarności z wichrowatym działaniem Mierosławskiego nie przyjmuje. Wszystko to było aż nadto dostatecznym, by „urodzonego dyktatora” Polski oburzyć do głębi, by wywołać w nim gwałtowne wystąpienie przeciw Komitetowi centralnemu, który nie uznawał jego, „zmartwychwstałego wodza” i „anioła rewolucji”. Na nieszczęście tym razem sam Komitet dał mu do ręki łatwą broń, z której, ze zwykłą sobie złą wiarą, Mierosławski nie omieszkiał skorzystać i odpowiednio jej zużytkować. Broń taką dał mu niefortunny, a nadewszystko nielogiczny i przy swej nielogiczności nieścisły w wyrażeniach list Komitetu centralnego do londyńskiego „Kołokoła”, list, w którym, zapowiadając, że uznaje Polskę tylko granicach 1772 r., współcześnie oświadcza, że zostawia swobodę Litwie i Rusi urządzenia się samoistnie i oddzielnie od Polski. Z tej niekonsekwencji skorzystał Mierosławski i zaraz po ogłoszeniu w „Dzienniku powszechnym” ustawy jego Komitetu, pomieścił rodzaj okólnika aż w trzech najpoczytniejszych dziennikach francuskich (*Opinion nationale*, *Siècle* i *Presse*), uwiadamiając nieuczciwie i nieszlachetnie cudzoziemców o brzydkich sporach i niezgodzie, panującej między Polakami. W okół-

niku tym zaprzecza, jakoby był prezydentem Komitetu centralnego, że nigdy nie miał tego „niezasłużonego zaszczytu”, że nie pisałby o tem wcale, „gdyby „Kołokoł”, organ rewolucjonistów rosyjskich, w niedawnym swoim numerze nie był umieścił adresu owego domniemanego Komitetu centralnego, który zostawia dwie trzecie polskiego kraju przyszłej Moskwie odrodzonej, w zamian obietnic współczucia i pomocy, tyle akurat wartych, co i ten zastaw. Dość zdaje się przytoczyć taki akt takiego Komitetu centralnego polskiego, ażeby się przekonać, że nic o niem nie wiedziałem, dopóki obie strojne propagandy rosyjskie nie zeszyły się w objawieniu światu jego egzystencji”. Okólnik ten Mierosławski przedrukował także w wydawanej przez siebie „Baczności”. W cyrkularzu tym znać w każdym nieomal wyrazie złą wiarę. Komitet centralny nigdy się nie przyznawał do prezydencji Mierosławskiego i ten polski Falstaff wiedział o tem doskonale, ale cóż mu to szkodzić mogło, że skłamał, on, który w zakresie kłamstwa stał się nieomal przysłowiową osobistością. Jemu zresztą nie szło wcale o to, by zaprzeczyć tej prezydenturze, o którą, jak wiemy, usilnie się w swoim czasie ubiegał, ale o oszkalowanie Komitetu, którego znieść i któremu darować tego nie mógł, że coś robi bez niego i poza nim.

Szczerze jednak mówiąc, cała ta sprawa Komitetowi w niczem nie zaszkodziła, mogła mu być tylko przykrą z tego względu, że brudną bieliznę prano w oczach całej Europy³³⁹. Wzrastał on teraz z każdą chwilą nieomal w siłę.

339 Na list Mierosławskiego, „Ruch” w Nr. 10 tak odpowiada: „mała koterya miejsce dla swoich potwarzy znalazła w dzienniku francuskim, umieszczając w nim zarzut, podpisany jakoby przez generała Mierosławskiego, że Komitet centralny narodowy wyrzeka się Litwy i Rusi dla mniemanej pomocy rewolucjonistów rosyjskich. Na wszystkie potwarze nie zwykliśmy odpowiadać. Tym razem przez wzgląd dla imienia, które dawniej przywykliśmy szanować, zawiadamiamy naród o tem, co następuje:” „Komitet centralny narodowy dołoży wszelkich starań, ażeby wywalczyć niepodległość Polski w granicach przedrozbiorowych przez powstanie całego narodu, na dobry skutek obrachowane. Gdy przygotowania przedpowstańcze wydobędą siłę, która da możność wystąpienia i zwyciężenia Moskali i Niemców, wówczas bez oznaczonego naprzód terminu zarządzi powstanie, które prócz niepodległości, wywalczyć powinno wolność dla wszystkich Polski mieszkańców, bez różnicy stanów, oraz równość i poszanowanie praw ludów z Polską złączonych. Zasada, na której Polska opiera się, jest zasadą zupełnej wolności; jest prawem, którego nikt, ani też żadne okoliczności narodowi odjąć nie mogą, prawem stanowienia o swoim losie. Polska powstająca nie może odmówić żadnemu ludowi tego prawa, które jest najwyższą sprawiedliwością, a przyznając ją głośno Litwie i Rusi, tem samem odsuwa chęci lub chętki odłączenia się od Polski i stwierdza jedność i całość narodową Polski, Litwy i Rusi. Komitet centralny narodowy nie rozumie innej Polski, jak tylko Polskę w dawnych granicach, i w tych granicach wskrzesi ją właśnie dlatego, że wypowiedział zasadę poszanowania ludów, stanowiących z Polską jedno ciało, bo wypowiedzeniem tem dał im rękojmnię zupełnej swobody i tym sposobem nie wyrzekł się, nie odrzucił, ale wzmocnił ich stanowisko trwania w jedności z Polską”. „Wszystkie centralizacyjne zachcianki, narzucanie przewagi jednej prowincji nad drugą

„Kartka o poborze”, zapowiadająca młodym ludziom, należącym do sprzysiężenia, że mogą bezpiecznie patrzeć na zbliżającą się brankę, w sferach niższej organizacji warszawskiej, która wiedziała, co o tem trzymać, wywołała prawdziwą burzę. Nieświadomi stanu rzeczy, przypuszczając, że istotnie ta kartka pochodzi od Komitetu centralnego, byli nań bardzo oburzeni, że lekkomyślnie rzeczy traktuje i że naraża całą organizację na wyłapanie jej przez rząd najezdniczy. Wykrycie tej intrygi przez Szwarcego, powrót z zagranicy Gillera i Padlewskiego, nacisk ze strony niższych słoików sprzysiężenia przyczynił się teraz do tego, że zaszły w składzie Komitetu poważne zmiany. Wiemy już o usunięciu z niego Daniłowskiego i Koskowskiego, teraz usunięty został także Kolski, jako mocno poszlakowany o udział w ogłoszeniu owej niefortunnej kartki o poborze. Padlewski objął od dawna mu przeznaczone naczelnictwo miasta; Daniłowskiego w reprezentacji młodzieży akademickiej zastąpił Aleksander Biernawski, także student akademii; wreszcie na zastępców, w razie gdyby którego z członków aresztowano, lub gdyby dla innych powodów nie mógł zasiadać w Komitecie, powołano Franciszka Godlewskiego, Jana Bogdanowicza i Oskara Aweyde. Pierwszy z nich, był jedną z najczystszych postaci ostatniego ruchu, umiejacą w danej chwili krwią i życiem własnem dać świadectwo przekonaniom, które wyznawał. Syn zagonowego szlachcica z Łomżyńskiego, od początku manifestacji miał w nich udział czynny i wyrobił sobie szerokie stosunki w sferach rzemieślniczych warszawskich. Aresztowany d. 10 kwietnia, gdy wraz z wielu młodymi wychodził z katedry Świętojańskiej z kazania arcybiskupa Felińskiego, skazany na zesłanie do Rosyi, teraz po narodzinach syna Konstantego, Wacława, zwrócony, wszedł do Komitetu i rozwinął w nim żywą działalność, zwłaszcza przez rozszerzanie organizacji na prowincyi, po której ciągle jeździł. Drugi z nowych członków zastępców, Jan Bogdanowicz, obywatel z lubelskiego, człowiek

i nieuszanowanie woli narodu tam, gdzie ona się obudzi, jest jedynie w stanie rozerwać jedność narodową Litwy i Rusi z Polską. Ci, którzy wykrzykują na całe gardło o tem, że chcemy odrzec się Litwy i Rusi, nie rozumiejąc rzeczy, odpychają kraje te od Polski swojemi chętkami przewagi, gdy my, dając im zupełną rękojmię swobody, w jedności z Polską tem samem utrwalamy. Tę zasadę wypowiedział programat organizacji, tę zasadę wypowiedział pierwszy numer „Ruchu”, tę zasadę wypowiedział list drukowany w Londynie, wypowiadamy ją też dzisiaj, i dzisiaj już widzimy następstwa naszego postąpienia w garnięciu się w Litwie i w Rusi do sprawy oswobodzenia całej Polski i takich żywiołów, które dotąd od Polski odstępowały. Nie centralizacją, nie przemocą, nie policyą i fanfarowaniem przewagi utrzymują się prowincye i ludy w jedności i związku, ale zastosowaniem zasady poszanowania woli i indywidualności narodowych, którego ojcowie nasi dali świetny przykład w Unii lubelskiej i w paktach Hadziackich. Polska, Litwa i Ruś będzie więc jednym wolnem państwem dlatego właśnie, że unikamy błędu, który przez nieposzanowanie praw Rusinów, zabezpieczonych im w Hadziaczu, poruszył ich przeciw Polsce” i t. d.

jak najczerwieńszych przekonań, także mało przebywał w Warszawie, kręcąc się po lubelskiem, organizując i przygotowując umysły do jak najrychlejszego powstania.

Ale bodaj czy nie najważniejszą postacią wśród tych nowych członków Komitetu był Oskar Aweyde, którego osobliwszem zaiste przeznaczeniem było odegranie bardzo wybitnej roli w sprzysiężeniu, a potem toż sprzysiężenie zdradził, wykrył wszystkie jego nici nieprzyjacielowi i postawił sobie przez to posępny pomnik w historii. Wychowaniec petersburskiego i berlińskiego uniwersytetu, uczony prawnik, zajmujący urząd asesora przy sądzie policyi poprawczej w Warszawie, dyalektyk niepokonany, wykształcony filozoficznie, łatwo owładał umysłami młodzieży, nieposiadającej tych przymiotów, bo ich nabyć nigdzie w kraju nie mogła. Ożywiony, czynny nadzwyczajnie, z pewną dozą pesymistycznej ironii patrzący na ludzi i rzeczy, zdawał się nie przywiązywać wagi do tego, co sam robił i na co patrzył. Wyziębiony mocno, nie podniecany wcale patryotyzmem, którego zdaje się niewiele miał w sobie, traktował spisek raczej jako sport, jako zabawę mocno denerwującą i dającą silne wrażenia. W czynnościach swoich nie zachowywał prawie żadnej ostrożności, jak gdyby mu był obojętny koniec, jaki go czeka. Należąc teraz do wszystkich Komitetów, a później Rządów, wiedział bardzo wiele i wiele zapamiętał, by z czasem w cytadeli opisać wszystko, wszystkich zdradzić i nikogo, ani siebie, ani innych, ani kraju nie oszczędzić. Postać osobliwsza, prawie niezrozumiała, wytwór palącej gorączki czasu, która w tej duszy tak się przepaliła, że stała się prawie chłodną i obojętną; człowiek, w takich warunkach niebezpieczny, jakim też w rzeczy samej później miał zostać, przeklinany przez wszystkich, napiętnowany mianem zdrajcy przez współtowarzyszy. A jednak, może nie była to ordynaryjna zdrada, tylko obojętność na wszystko; może chęć ocalenia życia jakimkolwiek kosztem. Są takie natury miękkie i tak przywiązane do życia; do nich należał Aweyde. Bądź co bądź nic go nie usprawiedliwia i nic go wytłómaczyć nie może.

W tym składzie Komitet centralny, teraz, z poczynającą się jesienią, z każdym dniem nabierał znaczenia. Dzięki Aweydemu udało mu się zawiązać stosunki z Komitetem wileńskim, który niby stał na czele organizacji litewskiej, ale, jakśmy to powiedzieli, organizacja ta była tam bardzo słaba. Zawiązał się w samym Wilnie Komitet litewski czerwony, do którego wchodził wspomniany już przez nas kapitan sztabu jeneralnego rosyjskiego, Ludwik Zwierzdowski, Franciszek Dalewski, urzędnik na kolei żelaznej warszawsko-petersburskiej, Małachowski, Edmund Weryho, doktor Dłuski, niegdyś na Kaukazie służący, i Konstanty Kalinowski³⁴⁰, syn tkacza z pod Świsłoczy,

340 A. Giller, *Historia I*, 175, wymienia tylko trzech: Zwierzdowskiego, Wincentego Koziełłę i Kalinowskiego.

z czasem istotny dyktator Litwy, niezmiernie czynny i energiczny, usposobiony czerwono, wielki entuzyasta; jedna z tych meteorycznych postaci, których tak znaczna liczba przemknęła się po chmurnem niebie powstania, zostawiając za sobą nikły i szybko gasnący ślad. Większość z tych członków Komitetu miała życiem przypłacić swe idee i potrafiła umrzeć za nie po bohatersku. Teraz jednak objawiali oni dążności separatystyczne, chcieli zupełnej niezależności swej władzy, luźnemi tylko nićmi związanej z warszawskim Komitetem centralnym. Ten ostatni, acz nie bardzo chętnie, ale, nie mając innego wyboru, ustępował, choć działalność Komitetu wileńskiego była bardzo ograniczoną i głównie zajmował się on rozprzestrzenianiem organizacji, która, jakśmy to już wspomnieli, na Litwie szła bardzo opornie. Kalinowski zresztą, przejęty wyobrażeniami czerwonej demokracji, usiłował organizacją wprowadzić tylko między lud wiejski³⁴¹, o inne warstwy nie dbając wcale i głośno mówiąc, że jedynie chłop dźwignąć może potężnymi swemi barkami Polskę przyszłą. W swem demagogicznym usposobieniu nie chciał on żadnej szlacheckiej organizacji, owszem odzywał się, że „topór nie powinien się zatrzymać nawet nad kołyską dziecka szlacheckiego”.

Był on przytem jednym z głównych stronników i propagatorów separatystycznych dążności litewskich i kilkakrotnie się wyrażał w swym dosadnym języku demokratycznym, że „głupim mózgownikom warszawskim nie można powierzać losów Litwy”³⁴². To też z tego powodu organizacja ta musiała się bardzo leniwie i bardzo wolno rozwijać, bo chłop litewski niechętnie do niej przystępował i w ogóle nie rozumiał, czego od niego chcą. Na próżno Kalinowski, przebrany w siermięgę wieśniaka litewskiego i w łykowe postoiły, włóczył się od wsi do wsi, od karczmy do karczmy i propagował idee zupełnej darowizny gruntów chłopom, ci słuchali go pokornie, ale do czynu nie bardzo byli pochapni. Zwierzdowski starszy, doświadczniejszy, stąd o wiele umiarkowańszy, nie żywił prawie żadnych nadziei, by lud litewski dał się poruszyć do zbrojnej walki o niepodległość polską, i w przyszłej walce o tę niepodległość liczył jedynie na szlachtę, którą Kalinowski chciał wyrznąć do nogi. Stąd między tymi dwoma członkami Komitetu zawiązywały się nieustanne spory, które jak wszystkie spory polityczne zaogniały się coraz namiętniej i przez to samo paraliżowały działalność spisku na zewnątrz. Gdy na koniec Zwierzdowski wskutek podejrzeń władz rosyjskich, że bierze udział w sprzysiężeniu, zmuszony był wyjechać do Moskwy, Kalinowski został panem placu, a choć nie wiele mógł zdziałać, bo materiału do działania brakło, z niemniejszą jednak zapalczywością spierał się z „głupimi mózgownikami warszawskimi”

341 W. Räte, Swiedenia o polskom miateżie 1863 g. w Siewiero-zapadnoj Rossii, I, 144.

342 Loc. cit. I, 181.

o zupełną autonomią Litwy. Stawiał mu pod tym względem opozycją Nestor Duloran, z rodziny francuskiej pochodzący, ale urodzony w Warszawie, Polak z wychowania i wyobrażeń, urzędnik na kolei warszawsko-petersburskiej, który przez Aweydego mianowany został komisarzem Komitetu centralnego na Litwę. Wiedząc, że Kalinowski przez omijanie szlachty, zacieśnił sobie ogromnie pole działania, a nawet zrobił je bezpłodnym, zajął się sam tą sprawą i powoli organizacją tę rozszerzał, poddając ją pod bezpośredni zarząd Komitetu centralnego.

Obwód Białostocki, gdzie zaczątki organizacji już przez Szwarcego były zaprowadzone, oddał w ręce rzeczzonego Komitetu, a w Litwie całej, zgodnie z dekretem z d. 18 października o podatku narodowym, zbierał te podatki i posyłał je do Warszawy³⁴³. Działalność ta nie mogła się długo ukryć przed bystrem okiem Kalinowskiego, który usunąć chciał samowolnie Dulorana i rozpoczął pertraktacje z Warszawą, spory coraz namiętniejsze. Te wewnętrzne burze i swary przyczyniły się do tego, że Komitet litewski nie wiele zdziałał i powstanie zastało Litwę prawie nieprzygotowaną do wybuchu.

Nie o wiele lepiej stały rzeczy na Rusi. Wprawdzie tam, dzięki młodzieży uniwersytetu kijowskiego, która tak przeważną rolę odegrała w ostatnich wypadkach, od dawna noszono się z myślą organizacji na szerszą skalę, wychodzącej poza koła szkolne, a nawet tu i owdzie poczęto ją tworzyć, jednakże miało to charakter dorywczy i niesystematyczny. Głównie działał tu Antoni Juryewicz, student wzmiankowanego uniwersytetu, Ukrainiec rodem, człowiek młody ale gorący, zapalony patryota, ideolog gotowy do wszelkich poświęceń dla ojczyzny, jeden z tych podniosłych typów ofiarności i zaparcia się siebie, jakie tylko w Polsce nieszczęśliwej i jęczącej pod stopami najazdu obcego wytworzyć się mogły. Ale jak wszystka młodzież tej doby, zwłaszcza w prowincjach ukraińskich, był demagogiem i liczył w przyszłym powstaniu tylko na lud, który na Ukrainie po niedawnych, krwawo zakończonych rozruchach w 1855 r. zdawał się być bardzo podatnym materiałem do przyszłej wojny o Polskę. Dlatego Juryewicz, podobnie jak Kalinowski na Litwie, głównie usiłował zaszczerpić organizacją wśród chłopów, co oczywiście zupełnie mu się nie udawało. Szlachta, wielcy panowie ukraińscy, z natury rzeczy byli przeciwni takiemu działaniu, a mając czucie i związki z organizacją Białą w Królestwie, nie chcieli powstania nagiego i natychmiastowego.

Z tych wszystkich przyczyn organizacja na Rusi prawie że nie istniała, gdy w początkach lipca zjawił się w Kijowie komisarz Komitetu centralnego, Leon Frankowski, dotarł on do Juryewicza, którego tym sposobem wprowa-

343 Loc. cit. I, 186.

dził w bezpośrednie związki z Komitetem centralnym³⁴⁴. Później przybył tam Stefan Bobrowski, znany nam już kuzyn Korzeniowskiego, b. student tegoż uniwersytetu, syn zamożnego ziemianina ze Skwirczyczyzny (urodzony we wsi Kazimirówce), mający tu obszerne stosunki, i pod jego wpływem i staraniem związał się d. 22 sierpnia³⁴⁵, osobny Komitet ruski, noszący nazwę Zarządu Rusi. Kto do niego, oprócz Juryewicza należał, nie wiemy; to pewna tylko, że w skład jego weszły żywioły obu stronnictw, t. j. Białych i Czerwonych³⁴⁶, i że Komitet centralny mianował kierownikiem czynności przygotowawczych do powstania na Rusi, Zygmunta Miłkowskiego, powieściopisarza znanego pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża, który jednak nie będąc na miejscu, i siedząc w Mołdawii, nie mógł wiele robić lub wpływać na rozwój organizacji. To też Zarząd Rusi nie dużo zdziałał, bo dużo zdziałać nie mógł i w historii śladów jego czynności doszukać się trudno.

W Galicyi, tej, rzec można, najważniejszej dla przyszłego powstania prowincyi, od dawna za przykładem Warszawy, dawało się uczuć silne wzburzenie umysłów i tworzyło się mnóstwo tajnych kół i kółek konspiracyjnych, które jednak, oprócz wydawania rozmaitych odezw patryotycznych i pisemek, żadnego donioślejszego znaczenia nie miały. Z chwilą ukonstytuowania się Komitetu centralnego, zwrócił on oczy także na Galicyą.

Właśnie dowiedziano się w Warszawie, że młodzież krakowska uniwersytecka zwołuje na połowę października ogólny zjazd do Krakowa wszystkiej młodzieży polskiej, uczącej się zagranicą i postanowiono z tak szczęśliwej okoliczności skorzystać i młodzież tę zachęcić do utworzenia organizacji, oczywiście podległej Komitetowi centralnemu³⁴⁷. Misyi tej podjął się niezmordowany Stefan Bobrowski, który ciągle jeździł od Kijowa do Paryża, od Paryża do Krakowa, wszędzie agitował, zachęcał, organizował z tą gorączkową czynnością, niewyczerpaną energią i zapałem, do jakiego zdolni byli ludzie tej epoki, podsycani świętym płomieniem patryotyzmu, acz zgubnie pojmowanego, ale niewątpliwie czystego jak łza. Zjawił on się wśród zebranej młodzieży w Krakowie, swą płomienną miłością ojczyzny oczarował, chodził z nią na kopiec Kościuszki, budził drzemiące w marmurach tego wielkiego mauzoleum polskiego wspomnienia, tłumaczył cele ruchu, zamiary Komitetu centralnego, przedstawił im formę organizacji powstańczej i zachęcił do utworzenia czegoś podobnego w Galicyi³⁴⁸. Jakoż zaraz potem utworzy-

344 Z. Miłkowski, W Galicyi i na Wschodzie, 5.

345 A. Giller, Historia I, 159.

346 Loc. cit.

347 J. Łukasiewicz, Zabór pruski w czasie powstania styczniowego, 252.

348 Loc. cit. 254.

ło się w starej stolicy Jagiellonów ciało powstańcze, które przybrało miano Rady naczelnej galicyjskiej³⁴⁹. Należeli do niej Alfred (powszechnie Alfem zwany) Szczepański, młody człowiek wówczas bardzo czerwono usposobiony, Ludwik Kubala, który z czasem miał zasłynąć w literaturze ojczyźnej jako historyk pierwszorzędnej siły, i dwaj weterani z 1831 r., których upadek powstania listopadowego i trzydziestoletnia potem niewola nie zdołały oziębic, pp. Demidowicz i Mułkowski. Wbrew postępowaniu Komitetu centralnego warszawskiego, który głośno i publicznie mówił o swym istnieniu i swej władzy, członkowie nowopowstałej Rady galicyjskiej zachowywali nadzwyczajną skrytość i ostrożność, co, jak się zdaje, uważali za najodpowiedniejszą w owej chwili politykę.

Politykę tę prowadzili w ten sposób, że na zewnątrz występowali jako ajenci Rady, która gdzieś w tajemniczym mroku i wyżynach zasiadać miała i w skład której, jak zapewniali, mieli wchodzić mężowie, cieszący się powszechną w kraju powagą. Polityka ta do pewnego stopnia była usprawiedliwioną; gdyż jeżeli Rada chciała rządzić Galicyą, krajem na wskroś szlacheckim i arystokratycznym, to winna się była składać nie z czterech nieznanych nikomu osobistości, ale z ludzi głośnego imienia. Odczuwając tę potrzebę, członkowie Rady zachowywali co do jej składu najściślej, jakeśmy rzekli, tajemnicę. Po zawiązaniu się wydali oni odezwę do całej Galicyi, aby wszędzie organizowano się w tak zwane „ławy”, zbierano składki i gotowano się do wielkich wypadków, jakie wkrótce w Królestwie wybuchnąć miały. Zresztą brali się oni bardzo czynnie do rzeczy; zawsze w charakterze agentów Rady jeździli po Galicyi i przyspieszali jak mogli i gdzie mogli organizację.

Dla ostatecznego porozumienia się z Komitetem centralnym, Rada wysyłała dwukrotnie Kubalę do Warszawy³⁵⁰, który prowadził pertraktacje z delegowanym do tej czynności przez Komitet, Bronisławem Szwarcem. Na tych konferencyach uchwalono, że Galicya ma być prowincją zupełnie autonomicznie rządzoną przez Radę, przytem zawarowano wyraźnie i formalnie, i podpisano z najlepszą obustronną wiarą, że celem organizacji galicyjskiej jest tylko przygotowanie sił do przyszłego powstania, że to ostatnie wtedy nastąpi, gdy wszystkie ziemie polskie będą zorganizowane i zaopatrzone w broń, i jeżeli naczelne władze wszystkich prowincyi uznają zgodnie możliwość i porę powstania, zawsze na jeden zabór zlokalizowanego³⁵¹. Komitet centralny, zgadzając się i podpisując takie warunki, przeniewierzał się naprzód swej zasa-

349 Wydawnictwo materyałów do historii powstania, III, 9.

350 S. Koźmian, *Rzecz* I, 148, utrzymuje, że Szwarce w tym celu jeździł z Warszawy do Krakowa.

351 A. Szczepański, *Po burzy*, 11.

dzie, którą wygłosił w programie, iż jest władzą nieograniczoną, i swym pretensyom, że jest jedynym prawowitym rządem polskim, a następnie temu, że on sam naznacza czas powstania.

Ale do ustępstw takich zmuszały go okoliczności, a zobaczymy w dal-
szym ciągu tej historyi, że nie było to jedyne i najmniej ważne ustępstwo. Po zawarciu tej umowy, Rada galicyjska zawiadomiła o tem ogół przez odezwę drukowaną z d. 25 listopada 1862 r. W odezwie tej donosi, że na mocy układu z Komitetem centralnym, zawartego d. 16 października, Rada poddaje się pod zwierzchnictwo rzeczzonego Komitetu, że tenże uznaje Radę naczelną jako Komitet prowincjonalny, pozostawiając jej wszelką autonomią co do działań wewnętrznych; że Rada obowiązuje się do przeprowadzenia organizacji według zasad przez Komitet centralny przyjętych, i że na koniec oba Komitety będą sobie ułatwiały czynności międzykomitetowe³⁵². Odezwa ta w ogólności była nieosobliwie napisaną, stylem epoki, pełnym niesmacznego patosu, utrzymywała, że „Rada naczelną galicyjską tłumaczyć nie potrzebuje, dlaczego Galicya w dzisiejszem położeniu swoim samodzielnie ze zbrojnym powstaniem występować nie może”. Odezwa kończyła się temi słowy: „rodacy! Ogromne tak moralne jak i materyalne i dla bytu narodowego stanowcze cele i doniosłość organizacji, ogromnego też wymagają zapału, ufności i wytrwałości. Jedna tylko droga przed nami, znika waśń zasad, a więc kto żyw, a w Boga wierzy, naprzód do pracy *pro patria et fide*”. Tym więc sposobem Komitet centralny zagarnął pod swą władzę i Galicyą, ale choć zagarnięcie to było raczej pozorne niż rzeczywiste i prowincya ta swą niesfornością, jak mówiono, i swem nieuznawaniem powag komitetowych warszawskich wiele miała kłopotów narobić późniejszym Komitetom i Rządom, to jednakże w tej chwili adhezya jej nie mało poparła znaczenie i powagę Komitetu centralnego.

Co się tyczy zaboru pruskiego, to tam miał Komitet bardzo czynnego ajenta swego w osobie młodego Łukaszewicza, który ze zjazdu młodzieży polskiej w Krakowie wyruszył do ojczystej Wielkopolski dla wiązania w niej organizacyi, na zasadach przez Komitet wskazanych. Rzecz tam była dopiero w zaczątku, jednakże już to samo, że Łukaszewicz działał w imieniu Komitetu warszawskiego, świadczyło, że i ta prowincya dawnej Polski powoli uznać będzie musiała jego władzę.

Tak więc Komitet centralny, z drobnego skupienia młodzieży nikomu nieznanej wyrosły, wyłonił z chaosu różnych ciał powstańczych, którymi od roku roił się bruk warszawski, dzięki swej śmiałości, rzutkości, chwytaniu z odwagą i zuchwalstwem władzy, stawał się powoli rzeczywistym rządem

352 Wydawnictwo materyałów III, 2, Instrukcją, wydaną d. 29 listopada 1862 przez Ławę dla organizacyi galicyjskiej, czytać można w całości u S. Koźmiana, Rzecz I, 150.

polskim. Ale jeżeli wszędzie, we wszystkich zaborach chętnie czy niechętnie, z warunkami czy bezwarunkowo uznawano tę jego władzę, to w samym Królestwie nie czuł on się na zbyt silnych nogach, mając obok siebie Dyrekcyą białą, nie rachującą się z nim wcale, pogardliwie nań spoglądającą, podkopywany przez anarchiczne koło Mierosławczyków, wreszcie poza organizacją, która nie mogła być i w rzeczy samej nigdy nie była zbyt liczną, nie uznawany przez żadną warstwę społeczną. Prawdziwą siłę, podstawę niewzruszoną, moc wreszcie faktyczną otrzymał on dopiero przez przystąpienie doń duchowieństwa całego kraju. Fakt ten, jeden z najciekawszych w tych dziejach posępnych, rozegrał się w ciągu paru zaledwie miesięcy i wyniósł Komitet centralny, dotąd pomimo wszystkiego mrokiem pokryty, na wielką jasność areny dziejowej.

Ze duchowieństwo w ogromnej swej większości, zwłaszcza niższe, wszyscy ci proboszcze, wikaryusze i zakonnicy wszelkich reguł, byli powstańczo usposobieni, o tem każdy wiedział, wiedział i Komitet centralny. Wszak przeszłoroczne manifestacye, procesye, nabożeństwa, kazania, na koniec zamknięcie kościołów w Warszawie, tu i owdzie naśladowane na prowincyi, najlepszym było dowodem. Pojedynczo księża wchodziłi w skład organizacyi powstańczej, jak wspomniany już przez nas ks. Pańnikowski w Lublinie, ks. Mikoszewski w Warszawie, ks. Kotkowski w Sandomierskiem, który nawet później przyjął godność wojewódzkiego, i wielu, wielu innych. Ale inna rzecz było pojedyncze uznawanie i popieranie Komitetu centralnego, a inna gremialne do niego przystąpienie. Teraz właśnie stać się to miało. Kto powziął pierwszą taką myśl, trudno dziś odgadnąć, to pewna, że już na dorocznym odpuscie d. 14 września, w uroczystość Podniesienia Krzyża św., w klasztorze na Łysej Górze w Sandomierskiem, o tem mówiono i myśl tę propagowano. Zjechało się tam około pięćdziesięciu księży³⁵³, przeważnie z dyecezyi krakowskiej i sandomierskiej i odbywano częste narady. Sam odpust miał przeszłoroczny manifestacyjny charakter. Przybyły liczne kompanie, z Warszawy, Radomia, Kielc, Iłży, kompania górników z Wąchocka, z Waśniowa, Dankowa, Kunowa, Opatowa, galicyjska z Dzikowa, ze wszystkich wsi okolicznych, prowadzone przez swych proboszczów, a wszystkie z wieńcami cierniowymi, wizerunkiem krzyża złamanego, chorągwiami z orłem i pogonią. Zebrało się według urzędowych raportów do 15 tysięcy ludzi³⁵⁴, a według innych do 50 tysięcy³⁵⁵. Szlachty było niewiele, „widać zabrakło jej już tego roku czasu”, jak się wyraża

353 W raporcie komisji, wyznaczonej przez rząd rosyjski w r. 1864 do zniesienia klasztorów, powiedzianem jest, że na odpuscie tym było 300 księży, co także, zapewne na podstawie tego raportu, utrzymuje Giller, *Historya I*, 253, a co jest oczywistą przesadą.

354 Pawliszczew, *Siedmicy I*, 135.

355 „Gazeta Warszawska” z r. 1862 Nr. 217.

korespondent do jednej z gazet³⁵⁶, a właściwie dlatego, że w tejże chwili odbywał się w Warszawie zjazd, na którym radzono o adresie do W. ks. Konstantego. Sfery mieszczańskie i szlacheckie po dawnemu błyszczały na odpuszcie kontuszami, konfederatkami, czerwonymi buty.

Hymny patryotyczne śpiewano; stara, Bolesławowska puszcza brzmiała wielokrotnie nieśmiertelnym mazurkiem o nieginącej Polsce. Ambona w kościele przystrojona była w sztandary polskie i litewskie, a wszystkie kazania przepełnione były tym gorącym patryotyzmem chwili, gorętszą jeszcze modlitwą do Boga, by wygnał najeźdźców z ziemi polskiej. Wzniesiony w roku przeszłym kopiec na cześć ks. Adama Czartoryskiego, który przed trzydziestu laty, opuszczając na zawsze ziemię ojczystą, bawił tu kilka godzin i w świątyni zostawił napis błagający Wszechmocnego o ratunek upadającej ojczyzny, zarzucono teraz wieńcami i na jego szczycie umieszczono herb polsko-litewski. Zbierano składki do puszek z takimiż herbami³⁵⁷. Powracające kompanie witano wszędzie owacyjnie i przeprowadzano uroczyscie przez miasta i miasteczka.

Otóż na tym odpuszcie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, urządzono zwołać powszechny zjazd duchowieństwa całej diecezji sandomierskiej, dla ostatecznego udecydowania, jaką postawę ma kler zachować wobec rozwijających się wypadków. Dla dokładniejszego zbadania położenia, a nade wszystko dążności Komitetu centralnego, którego odezwa z d. 1 września zrobiła na duchowieństwie wielkie wrażenie i powszechną aprobatę zyskała, uchwalono wysłać do Warszawy trzech księży, a mianowicie: ks. Saturnina Golca, proboszcza z Sobótki w Sandomierskiem, ks. Świątkiewicza, proboszcza z Czyżowa, i jak się zdaje, ks. Kotkowskiego, proboszcza z Bodzechowa pod Ostrowcem, wspomnianego już późniejszego wojewódzkiego sandomierskiego z ramienia Komitetu centralnego. Trzej ci delegaci i pełnomocnicy duchowieństwa diecezjalnego mieli polecenie dotrzeć do samego Komitetu, zbadać jego widoki, zasady i nadzieje, i zdać ze swej misji sprawę na uchwalonym zjeździe całego kleru sandomierskiego.

Jest w górach Świętokrzyskich, na północnym ich stoku, wśród wąwozów i lasów, w pobliżu miasteczka Bodzentyna, niegdyś własności biskupów krakowskich, odwieczna wieś Świętomarz, nazwą świadcząca, że należała do tychże biskupów, a może do poblizkiego klasztoru Cystersów w Wąchocku. Proboszczem w niej był w owe czasy ks. Karol Bogdański, patryota gorący i powstańczo usposobiony. U niego więc postanowiono się zjechać, a głucha,

356 Loc. cit.

357 Musiał nawet dać składkę obecny na odpuszcie podoficer żandarmski, co mocno gniewa Pawliszczewa, w jego „Siedmicach” loc. cit.

zapadła, lesista miejscowość zabezpieczała od niedyskretnych oczów policyi. Zjazd naznaczono na ostatnie dni października. Jakoż w terminie tym w Świętomarzu znalazło się bardzo wielu księży, których liczby jednak określić nie możemy. Stawili się tam także trzej deputowani do Warszawy i zdali sprawę ze swego poselstwa, w tej formie, że jedynem rozumnem i patriotycznym wyjściem jest akces zupełny do Komitetu centralnego. Jakoż zapadła odpowiednia uchwała i zredagowano protokół posiedzenia, skreślony piórem ks. Fijałkowskiego, proboszcza z Kowali pod Radomiem. Protokół ten, a raczej uchwała, datowana d. 29 października „na zebraniu duchowieństwa Korony polskiej w województwie sandomierskiem”, zawiera dwanaście punktów³⁵⁸. W pierwszym z nich zebrane duchowieństwo „jednogodnie uchwaliło, by odłączyć się od stronnictwa Dyrekcyi wiejskiej (białej), jako niechwytającego się pewnych i niewzruszonych zasad i odwlekającego zbawienie ojczyzny na długie lata, a natomiast przystąpić do działania Komitetu centralnego narodowego. Jakoż duchowieństwo mocą niniejszego Dyrekcyą wiejską opuszcza, a łączy się ze sprawą Komitetu centralnego narodowego”.

W następnych artykułach duchowieństwo przyjmuje program Komitetu centralnego w całości, zastrzegając sobie tylko nie czynić tego, co by się sprzeciwiało prawom kościelnym (*salvis juribus ecclesiae*); że w każdej dyecezyi ma być ustanowiony jeden ksiądz z tytułem „męża zaufania”, który ma się znosić z wojewódzkim i będzie miał przy sobie po jednym księdzu z każdego dekanatu, „którzy bezwzględnie i pod ścisłą kontrolą mają spełniać rozkazy kapłana dyecezyalnego”; że organizacyi tej ma być posłuszny każdy ksiądz, a od tego „nie ma nikogo uwalniać ani bojaźń, ani wzgląd, ani nadzieja bytu materialnego, ani też postrach wszelkiego rodzaju”; że duchowieństwo obowiązuje się wnosić składki, jakie będą na każdego wyznaczone przez „męża dyecezyalnego”; że ma na każde wezwanie odbierać przysięgę „od przystępujących do robót Komitetu centralnego narodowego”, i w art. 11 wzywa Dyrekcyą białą, by „do prac Komitetu centralnego bezwzględnie przystąpić chciała”; na koniec w ostatnim artykule zapowiada, że „odtąd bierze pod swoją opiekę prawa ludu i publicznie występować będzie tam, gdzie te prawa pogwałcone będą”; domaga się, by Komitet centralny wszystkie gorzelnie do czasu wyjarzmienia ojczyzny zamknąć kazał; wzywa wreszcie „wszelkie duchowieństwo wszystkich prowincyi, całość kraju i Koronę polską składających, iżby każde w swoim obrębie natychmiast i bez straty czasu przystąpiło do zorganizowania się, a to celem jak najściślejszego spełnienia tak programu, jako też w szczegółach rozporządzeń i poleceń Komitetu centralnego narodowego”. Ze swej strony „mąż zaufania dyecezyi

358 Protokół ten, ze współczesnej kopii, sporządzonej w Świętomarzu, podajemy w całości w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

sandomierskiej wzywa obecnych na tem zebraniu wybrańców innych dyecezyi, aby za powrotem w rychłym czasie zebrali na podobne posiedzenie dyecezyan swoich, przyjęli organizacyą i o skutku donieśli Komitetowi centralnemu narodowemu przez pośrednictwo wojewódzkiego, jako też zawiadomili o tem męża zaufania dyecezyi sandomierskiej”.

Z tą uchwałą, którą zaraz w Świętomarzu przepisano na kilkadziesiąt rąk, a później klerykom w seminariach: Sandomierskiem i kieleckiem kopiować kazano i rozsyłano wszystkim księżom w kraju, pojechali do Warszawy do Komitetu centralnego dwaj poprzedni deputowani, t. j. ks. Golc i Świątkiewicz. Wrażenie ona tam musiała wywrzeć olbrzymie; teraz Komitet ujrzał się naprawdę panem sytuacji i istotnym rządem. Akces duchowieństwa wszystkich innych dyecezyi był teraz tylko kwestyą czasu, a na takiej podstawie oparty Komitet mógł już nie zważać na wszelkie usiłowania Dyrekcyi białej, lub innych, kopiujących pod nim doły, ciał rewolucyjnych. Jakoż za przykładem dyecezyi sandomierskiej odbywają się teraz jeden po drugim zjazdy kleru innych dyecezyi, a wszędzie przystępuje ono do programu Komitetu i uznaje go za prawowity rząd polski. Najpierwszym takim zjazdem po sandomierskim był zjazd d. 13 listopada³⁵⁹, duchowieństwa podlaskiego w Kłoczewie, wsi leżącej w powiecie Garwolińskim, niedaleko miasteczka Żelechowa i słynnych Kościuszkowską kłęską Maciejowic. Do proboszcza kłoczewskiego, ks. Gumowskiego, zjechali się proboszcze, wikaryusze, przełożeni klasztorów i kilku księży unickich. Najwybitniejszą osobistością wśród zebranych był kanonik Tęczyński, prefekt szkół siedleckich, sekretarz i przyjaciel osobisty ks. biskupa podlaskiego Benjamina Szymańskiego. Obecność jego uważaną była za pewnego rodzaju aprobatę zjazdu ze strony biskupa, w czym się jednak myłono, jak to zaraz zobaczymy. Znajdowali się tam także delegaci z dyecezyi sandomierskiej, prawdopodobnie ci sami, którzy jeździli do Warszawy do Komitetu centralnego, znajdowali się dalej członkowie organizacyi białej wojewódzkiej, którzy tu przybyli raczej z ciekawości, raczej dlatego tylko, by wiedzieć, co się dzieje i o tem co się stanie donieść swej Dyrekcyi w Warszawie. W obradach przyjmowali udział bierny, zachowywali się milcząco, ale za to słuchali wszystkiego pilnie. Zjawił się także reprezentant Komitetu centralnego, Jan Majkowski, człowiek młody, mało widać obyty, ulegający wrażeniu, jakie na nim robiło zgromadzenie przeszło 80 księży.

Popierali go różni dygnitarze wojewódzcy z ramienia Komitetu, jak Teodor Jasiński, właściciel Rozwadówki we Włodawskim, Bronisław Deskur, także obywatel ziemski, wojewódzki podlaski, który zostawił po sobie pamięt-

359 Ks. A. Słotwiński, Wspomnienia z niedawnej przeszłości, 83, naznacza ten zjazd na d. 12 października, co wobec innych relacji jest widoczną pomyłką.

niki z tej epoki, Gustaw Zakrzewski z Ciechomina³⁶⁰. Zjazd robił w ogóle imponujące wrażenie liczbą swych członków i różnorodnością ich składu. Rozprawy rozpoczęły się o godz. 11-ej rano w kościele kłoczewskim, skąd proboszcz wyniósł N. Sakrament do zakrystyi. Posiedzenie, jako gospodarz miejsca, zagał proboszcz Gumowski, a po nim ks. Seweryn Paszkowski, pleban z Maciejowic, gorący patriota, poważany bardzo za swe życie ascetyczne, miał mowę, w której postawił pytanie, czy duchowieństwo katolickie może bez nadwężenia sumienia i praw Kościoła, należeć do organizacji powstańczej, i jeżeli zjazd da na to potwierdzającą odpowiedź, to czy w takim razie duchowieństwo ma się przechylić do Komitetu centralnego, czy też do Dyrekcyi białej? Rozpoczęły się obrady nadzwyczaj ożywione, spory gorące, trwające kilka godzin i wreszcie sprawę całą poddano pod głosowanie. Z 86 zebranych księży, 75 głosowało za Komitetem centralnym, 8 wstrzymało się od głosowania, a tylko trzech było za Dyrekcyą białą³⁶¹. Za sprawą ks. Tęczyńskiego złożyli wszyscy obecni przysięgę na wierność Komitetowi centralnemu, ze zwykłym zastrzeżeniem: *salvis juribus ecclesiae*. Spisano protokół posiedzenia na wzór protokołu sandomierskiego, który odczytano wprzód. W protokole podlaskim, nadzwyczaj treściwym, czytamy: „duchowieństwo dyecezyi podlaskiej, zebrawszy się na posiedzenie plenarne d. 13 listopada, celem zbadania środków przyjsia w pomoc ojczyźnie, wysłuchawszy wniosków osób obecnych, zbadawszy w szczególach zasady fundamentalne obu Komitetów: szlacheckiego i centralnego, po przeczytaniu protokołu zebrania duchowieństwa sandomierskiego, postanowiło i stanowi co następuje: 1) przyjmuje program Komitetu centralnego w całej jego mocy i rozciągłości; 2) poddaje się rozporządzeniom, środkom przyjętym lub wydać się mającym; 3) obowiązuje się składać ofiary; 4) przyjmować przysięgę od wszelkich osób, przeznaczonych do działań, które mogą być nakazane przez Komitet”.

W dalszym ciągu duchowieństwo wypowiada swe desiderata, jak: konieczność zakładania szkółek ludowych, oczynszowania włościan, zaprowadzenia wstrzemięźliwości i t. p. Postanowiono wybrać jednego z dyecezyi księdza, „męża zaufania”, dla znoszenia się we wszystkim z Komitetem centralnym i aby on tylko odbierał od Komitetu wszelkie polecenia do duchowieństwa. Wybór na takiego męża zaufania padł na osobę ks. Paszkowskiego z Maciejowic. W końcu reprezentant Komitetu centralnego, Majkowski, miał mowę, w której zapewniał, używając Gillerowskiego frazesu, że Komitet myśli o powstaniu „na dobry skutek obrachowanem”, że jak tylko zbierze dostateczną ilość broni i ludzi fachowych, natychmiast ogłosi powstanie „przeciw najaz-

360 Loc. cit.

361 Loc. cit. 84.

dowi moskiewskiemu”. Na to wszyscy zebrani prawie jednogłośnie zawołali: „niech mu Bóg dopomaga!”³⁶². Mówił jeszcze Gustaw Zakrzewski, i z otwartością, świadczącą jak dalece Komitetowi centralnemu szło o uzyskanie kleru, zawołał, że „adhezya duchowieństwa do Komitetu centralnego znaczy więcej nawet jak armia stutysięczna żołnierzy”. Rozprawy trwały do godz. 6-ej wieczorem, poczem proboszcz Gumowski wystąpił z obiadem, na którym wygłoszono mnóstwo mów gorących, drżących nutą bojową i powstańczą. „Duchowieństwo polskie, wołał jeden z najstarszych proboszczów, niech ma taki los, jaki ma naród polski. Dopełniliśmy aktu ważnego, bo musimy wynagrodzić krzywdę zrobioną ludowi naszemu”. W ogóle temperatura zebrania była nadzwyczajnie podniesiona, wielu płakało z rozrzewnienia na myśl o tej wielkiej, świętej Polsce dawnej, a dziś niewolnicy i o skruszeniu kajdan której marzono teraz słodkie sny.

Wśród takich uczuć rozjeczano się, przyczem kilku księży z dyecezyi lubelskiej, obecnych w Kłoczewie, zapowiedziało, że za parę tygodni zjadą się księża lubelscy w Biskupicach.

O ile zjazd sandomierski, odbyty gdzieś w górskiej i leśnej wiosce, z dala od stolicy, przebrzmiał bez echa, tak że władze w Warszawie bardzo późno się o nim dowiedziały w formie mętnych i niejasnych wieści³⁶³, o tyle zjazd Kłoczewski, uderzający wielką liczbą swych uczestników, zyskał znaczny rozgłos i zwrócił na siebie uwagę władz rządowych. Rozpoczęto śledztwo, aresztowano kilku księży, ale to w niczem nie zmniejszyło tryumfu Komitetu centralnego. Już dwie dyecezye uznały go za prawowitą władzę narodową, i nie ulegało wątpliwości, że i inne to uczynią. To też nie ukrywał teraz swego zwycięstwa i w jednym z numerów „Ruchu”³⁶⁴ ogłosił prawdziwą, czy też w redakcyi tego pisma skomponowaną odezwę duchowieństwa „kilku dyecezyi”, jak się wyraził, do księży polskich. „Bracia kapłani! woła odezwa, kraj nasz wzywa pomocy, zbawienie kraju w połączonych siłach, lud przewodnictwa wyczekuje, przodkowanie w sprawie wyzwolenia Kościoła i zrzucenia pęt ciężkiej przemocy i ucisku do kapłanów należy; nie dajmy się innym na tej drodze wzniesłego dzieła wyprzedzać, lud czołem, my na czele ludu, a cel osiągnięty”. „Siła nasza w naszej organizacyi; tej plan przez naszych posłańców nie do roztrząsania

362 Loc. cit.

363 Wiedzano, że się jakiś zjazd odbył, ale gdzie, kto był na nim i co uradzono, nie wiadomo wcale. Właściwie mówiąc, pierwsza wiadomość o zjeździe sandomierskim, doszła do rządu z Kłoczewa, gdzie czytano protokół świętomaski, ale nie wiadomo i teraz i później, gdzie to było. Zdaje się, że my pierwsi, po mozolnych poszukiwaniach, wykryliśmy, że zgromadzono się w Świętomarzu.

364 Nr. 8 z d. 13 listopada 1862 r.

a do przyjęcia wraz z życzeniem „szczęść Boże” posyłamy. Dyecezye nasze już poczynają ze swych prac zbierać owoce, przecież bez waszego poparcia, bez szczerego przejęcia się świętością tak wielkiego dzieła i my ustać możemy.

W imię Boga, nieba i naszej niedoli, do urzeczywistnienia naszych oczekiwań i pragnień całego kraju wzywamy was bracia kochani! czas drogi, okoliczności nagle i popychają nas naprzód, wasi bracia obecni naszym obradom, jako kapłani i Polacy, przedstawiają wam rzetelny i sumienny stan rzeczy. Niech wam nie chodzi o pierwszeństwo i próżność, bo to nie ludzie, a Bóg przodkuje; do nas utrzymywać lud na wysokości idei polskiej, prostować drogi błędne, zachęcając do ofiar niesienia i życia w sprawie wyzwolenia, należy. Słowo nie starczy, jeżeli przykład do duszy nie przemówi, my dla ludu, a więc i z ludem, z własnych przekonań i słabostek uczynimy ofiarę i idźmy za natchnieniem i radą Komitetu centralnego. Interes Kościoła, uczucia patryotyczne i rzeczywista wielkość kapłana polskiego, tego po nas wymagają; idźmy dłoń w dłoń raz obraną drogą, a przyszłość wielka przed nami otworem stanie!”

Zjazd Kłoczewski nie tylko na sfery rządowe, ale i na stronnictwo Białych wywarł wielkie wrażenie. Już teraz widoczną było rzeczą, że Komitet centralny bierze górę, a z nim idea powstańcza i zguba nieunikniona kraju. Dyrekcja, wojewódzcy, każdy wreszcie, kto umiał patrzeć i myśleć rozsądnie, czuł potrzebę przeciwdziałania, ale niestety! nikt na czyn stanowczy zdobyć się nie mógł, czy nie śmiał. Kilku tylko obywateli z Podlaskiego, należących do organizacji Białej, udało się do biskupa Benjamina Szymańskiego, opowiedziało mu szczegóły zjazdu i zwróciło jego uwagę, że księża bawią się w politykę i rewolucją zamiast pilnować nauki i kościołów. Ks. Benjamin, jak wiemy, wielki zwolennik Wielopolskiego, ale w polityce bardzo chwiejny i pozbawiony odwagi cywilnej, zrazu uznał słuszność tych uwag i zamierzył wszystkich wikaryuszów, wszystkich młodszych księży, którzy głównie agitowali i głównie zjazdem Kłoczewskim kierowali, poprzemienić na inne probostwa, a do duchowieństwa wydać surowy list pasterski, potępiający agitację powstańczą. To postanowienie biskupie nie mogło się ukryć, gdyż otaczający go księża, mocno czerwoni, uwiadomili o wszystkim kogo należy. Zaraz też do Janowa przybył ks. Seweryn Paszkowski, wybrany w Kłoczewie na męża zaufania duchowieństwa Podlaskiego, w towarzystwie Pijara, ks. Słotwińskiego, lichego księdza, ale czerwienią zapalonego, i ostrzegli biskupa, „aby nie wierzył czczym słowom, bo duchowieństwo wierne jest Papieżowi, nauce Chrystusa i zaślania piersiami swego pasterza przed prześladowaniem rządu rosyjskiego” i t. p.³⁶⁵. Ks. Benjamin temu uwierzył, a może, jak to już raz zrobił, przeląkł się

365 Ks. A. Słotwiński, Wspomnienia, 85.



groźb Czerwieńców i ustąpił. Listu pasterskiego nie wydał i duchowieństwo zostawił na pastwę agitacji.

Gdy tak nikt nie stawiał zebraniom żadnych przeszkód, nawet biskupi, do których to z obowiązku należało, sejmiki duchownych odbywały się teraz jedne po drugich. Zjazd duchowieństwa lubelskiego, jak to już było oznajmione w Kłoczewie, odbył się w Biskupicach, miasteczku leżącym niedaleko Lublina, u proboszcza tamtejszego ks. Pawelca, dnia 28 listopada³⁶⁶. Śród kleru lubelskiego i nie lubelskiego, wybierającego się na ten zjazd, obiegała pogłoska, że ma nań przybyć nie wysłaniec, jak na zjazd Kłoczewski, ale jeden z członków Komitetu centralnego, który ma bliżej objaśnić zamiary tej władzy. Jakoż zjechało się bardzo wielu księży i zakonników, a między nimi znalazł się, znany nam już, ks. Mikoszewski z Warszawy, obecnie proboszcz w Żelechlinku pod Rawą, należący do organizacji, a niedługo potem członek Komitetu centralnego, znany w sprzysiężeniu pod mianem ks. Sykstusa. Prezydencją objął ks. Sosnowski, prałat kapituły lubelskiej, b. administrator dyecezyi i w mowie, pełnej patriotyzmu czerwonego i mistycznych uniesień, wykazał, że duchowieństwo polskie zawsze trzymało z narodem, nigdy przeciw niemu, że dzieliło z nim dobrą i złą dolę, że nie uważało siebie za stan odrębny (co niekoniecznie było prawdą), ale przejęte było jak najszczerzej uczuciem i obowiązkiem obywatelskim.

„Moskwa, wołał w końcu ks. Sosnowski, jest apostołem zniszczenia i nienawiści; obowiązani jesteśmy bronić religii, a tem samem narodu, powierzonego naszej pieczy. Wobec dzisiejszych wypadków, duchowieństwo polskie, zostając na uboczu, przybrałoby postawę grzeszną. Komitet centralny zbiera zasoby do straszliwej walki z Moskwą, wesprzyjmy go zatem naszą powagą. Wobec prześladowania religijnego, jakiego doznajemy, bezczynność księży polskich byłaby wielce naganną”³⁶⁷. Mowę tę powitano grzmotem oklasków, a wielu rzucało się w objęcia ks. Sosnowskiego, całując go z uniesieniem. Narady były krótkie i większość postanowiła uznać Komitet centralny za prawowitą władzę narodową i jej być posłuszną. Przeciw temu powstał ks. Szymon Koziejewski, kanonik lubelski, późniejszy chwilowy administrator dyecezyi, ale zakrzyczano go, a nawet tu i owdzie dolatywały obraźliwe słowa: „zdrajca”, „sługa moskiewski”, „burzyciel jednomyślności”! Z godną pochwałą odwagą cywilną, tak rzadką w tych czasach panowania namiętności, ks. Koziejewski zniósł te dotkliwe obelgi, i gdy się nieco uciszyło, rzekł: „zabijcie mnie, zdania nie zmienię”, a podnosząc w uroczystym nastroju rękę do góry, zawołał: „kraj i wiarę gubicie!”³⁶⁸. Znalazło się kilku innych duchownych, którzy nie zgadzali

366 K. Gregorowicz, *Pogląd krytyczny* II, 131, myli się naznaczając ten zjazd na wrzesień.

367 Loc. cit.

368 Podania ustne.

się na tak raptowny akces do Komitetu, z innych jak Koziejewski powodów. Żądali oni mianowicie pewnej rękojmi co do osób, składających Komitet centralny i zamiarów tej władzy na przyszłość. Wniosek ten jednak nie spotkał uznania, gdyż nie było nikogo upoważnionego do zabrania głosu w imieniu Komitetu; zapowiadany jego członek wcale nie przybył, a ks. Sykstus, mogący coś wiedzieć o tych rzeczach, zachowywał uparte milczenie³⁶⁹.

Rozprawy w tej kwestyi przerwał jeden z proboszczów słowami: „Komitet centralny to idea; w obecnej chwili nazwiska osób nie mają znaczenia. Władza naczelna, idąca zgodnie z życzeniem narodu, znajdzie go zawsze po za sobą, w razie przeciwnym będzie odosobnioną”. Te zapewnienia gołosłowne podobaly się wszystkim, uznano je za słuszne i sprawiedliwe, dyskusyą przerwano i przystąpiono do wyboru męża zaufania. Wybór padł na ks. Sosnowskiego z tem oświadczeniem, że w stosunkach z władzą narodową duchowieństwo lubelskie spełni bezwarunkowo wszelkie rozkazy ks. Sosnowskiego³⁷⁰.

Na zebraniu w Biskupicach mówiono bardzo dużo o wielkim zjeździe duchowieństwa unickiego w Leśny, niedaleko Białej podlaskiej, miejscowości słynnej klasztorem OO. Paulinów i cudownym obrazem Matki Boskiej. Właściwie zjazd ten wywołały odezwy ks. Paszkowskiego, znanego nam już męża zaufania duchowieństwa podlaskiego, rozesłane do wszystkich dziekanów unickich na Podlasiu, zapraszające ich na zjazd do Leśny³⁷¹, gdzie sam także przybył. Narady odbywały się w refektarzu klasztornym. Ze strony organizacji czerwonej nikt na ten sejmik nie przybył, ale za to mąż zaufania województwa podlaskiego organizacji białej, August Szydlowski, wysłał do Leśny, Stanisława hr. Aleksandrowicza³⁷². Posiedzenie zagał ks. Paszkowski mową, w której zaznaczył, że „celem zgromadzenia jest naradzić się nad wypadkami, które szybko po sobie następują”; mówił dalej, że powstanie jest nieuniknionem, że zatem obowiązkiem jest każdego obywatela kraju, aby ruchowi temu dopomógł. „Trzeba namawiać, wołał, do robienia składek na kupno broni i amunicyi. Duchowni, będąc w stosunku z licznymi parafianami, mogą większy niż ktokolwiek wpływ wywierać na społeczeństwo.

Kapłani powinni się starać za pomocą przysięgi przyczynić jak najwięcej ochotników dla przyszłego powstania. Otóż ja zostałem wydelegowany przez

369 K. Gregorowicz, loc. cit. II, 133.

370 Loc. cit.

371 Daty tego zjazdu odszukać nam się nie udało. Odbył on się tak cicho i skrycie, że wieść o nim do rządu warszawskiego nie doszła i we współczesnych drukach nigdzie o nim nie ma wzmianki (prócz u ks. Słotwińskiego, Wspomnienia 85, gdzie jest krótka adnotacya). To pewna, że odbył się po zjeździe w Biskupicach.

372 St. hr. Aleksandrowicz, Urywkowe zapisy (rękopism).

Komitet centralny w Warszawie, ażeby odebrać od duchowieństwa unickiego zapewnienie, że pomagać będzie ruchowi narodowemu; domagam się więc, by zebrane tu duchowieństwo w mojej obecności złożyło przysięgę na posłuszeństwo dla Komitetu centralnego”. Mowa ta wywarła różnorodne wrażenia; jedni zgadzali się na żądanie ks. Paszkowskiego, inni, w znacznej większości albo zupełnie je odrzucali, albo robili zastrzeżenia. Wreszcie wystąpił ks. Bojarski, proboszcz z Dobratycz, pochodzący ze starej rodziny parochów unickich i rzekł: „wszyscy tu obecni niezaprzeczenie jesteście dobrymi obywatelami, kochamy naszą ojczyznę, życzymy jej wszelkiej pomyślności, dopomagać będziemy sprawie narodowej o tyle, o ile się to zgadza z rozsądkiem i roztropnością. Ale Komitetu centralnego dotąd nie znamy i nie wiemy, skąd pochodzi, gdzie się podziewa, jakie są jego cele i czy nie działa z krzywdą kościoła. Każdy z nas przy wyświęcaniu się na kapłana już raz złożył przysięgę na wierność i posłuszeństwo Kościołowi i Ojcu św. Drugi raz przysięgać nie będziemy. Stanowczo odmawiamy przysięgi jakiejś władzy tajnej, której nie znamy i nie uznajemy”³⁷³. Słowa te znalazły aprobatę wśród większości zebranych, ludzi w znacznej części żonatych i dietnych, stąd patrzących na rzecz z innego stanowiska niż celibatariusze łacińscy, przytem Rusinów z rodu o charakterze chłodniejszym i bardziej pozytywnym. Ks. Paszkowski doskonale to zrozumiał, że misja jego nie znajdzie powodzenia, ale postanowił zrobić wszystko co można, by rzecz doprowadzić do skutku. Na słowa więc ks. Bojarskiego odrzekł, że w Komitecie centralnym zasiada ksiądz, który broni spraw Kościoła i zaręcza, że mu się żadna krzywda stać nie może, że zatem wobec tego wszyscy kapłani mogą ze spokojnem sumieniem złożyć przysięgę.

Mówił tu o wspomnianym już ks. Mikoszewskim-Sykstusie, ale nazwiska jego nie wymienił. To też główny oponent, ks. Bojarski skorzystał z tego i odparł, że zebrani tutaj nie znają tego duchownego, który zasiada w Komitecie centralnym; że władzę jego uznaliby tylko wtenczas, gdyby na to zezwolił Ojciec św. Ks. Paszkowski wobec tej upartej opozycji, pociągającej wszystkich za sobą, widząc, że wszelka dyskusja dalsza może tylko wypaść na jego niekorzyść, chwycił się ostatniego, rzeczby można, heroicznego środka. Wziąwszy krzyż drewniany, stojący na stole, podniósł go w górę i zawołał: „szanowni bracia moi! skoro nie zdołałem was nakłonić, ażebyście przysięgę wykonali, niech przynajmniej otrzymam to od was, ażebyście uznali jako władzę wykonawczą i rządzącą Komitet centralny. A na dowód tego uznania, proszę was, ażebyście wszyscy kolejno ucałowali ten krzyż, który wam przedstawiam”. Wszyscy się na te słowa z miejsc porwali, i z tłumu odezwał się głos jakiś: „my co dzień

373 Loc. cit.

całujemy krzyż, który jest znakiem i godłem męki Zbawiciela, ale jeżeli to ucałowanie krzyża ma być dowodem uznania jakiejś władzy tajnej, ukrytej, której my nie znamy i uznać nie chcemy, to żaden z nas tego krzyża nie ucałuje”. Wśród tego otoczono zbitą masą ks. Paszkowskiego i wielu unickich parochów usiłowało odebrać krzyż z rąk mówcy. Nastąpił zamęt, szamotanie się, gdy nagle krzyż z trzaskiem upadł na kamienną posadzkę i w drobne kawałki rozdeptany został. Wypadek ten wywarł na obecnych nadzwyczaj silne i przysiębiające wrażenie; przez chwilę zapanowała ponura cisza, potem ten i ów chwycił za czapkę i wymykał się z refektarza. Wreszcie dla położenia końca tym przykrym i jakby zarodek przyszłej krwawej tragedii noszącym w sobie scenom, których z parochów wpadł do refektarza z krzykiem: „uchodźmy czym prędzej, bo na dziedzińcu klasztornym stoją kozacy i żandarmi!” W jednej chwili refektarz opustoszał; wszyscy unicy wybiegli, powiadali na bryki, a choć przekonali się, że alarm był fałszywy, żaden z nich nie powrócił. W sali pozostali tylko OO. Paulini, hr. Aleksandrowicz i ks. Paszkowski z przysiębiającym uczuciem, że nie dopiął celu, owszem bolesną i złowieszczą scenę wywołał, która na proste umysły parochów unickich musiała bardzo ujemnie oddziaływać³⁷⁴.

Ale jakkolwiek duchowieństwo unickie podlaskie stanowczo odmówiło uznania Komitetu centralnego, nie martwił on się tem zbyt wiele wobec tego, że kler łaciński wszędzie akces do niego czynił. W diecezji Kujawsko-Kaliskiej odbył się zjazd w Kaliszu pod prezydencją ks. Polnera. Opozycją tu stanowił ks. Kobyliński, który wychodził z założenia, że skoro Francja pomocy nie obiecuje, to powstania robić nie należy i nie można. Diecezja płocka zjechała się do Pułtusza, augustowska do Suwałk (według innych do Sejnu). Był zjazd unicki dla Rusinów chełmskich w Hrubieszowie, ale szczegóły nie są nam znane. Diecezja kielecko-krakowska zjechała się we wsi Wrocieryżu, położonej nad Nidą, niedaleko Pińczowa, u proboszcza tamtejszego ks. Wrońskiego, koło 20 grudnia. Doprowadzeniem do skutku tego sejmiku zajmował się głównie ks. Cwikliński, kanonik katedralny kielecki. Zebranie stosunkowo nie było zbyt liczne; zjechało się podobno około trzydziestu księży³⁷⁵; prezydował na niem kanonik Wnorowski. Reprezentanta ze strony Komitetu centralnego nie było, ale za to partya Białych wzięła się do rzeczy energiczniej. Niejaki Krzyszkowski, adwokat kielecki, należący do organizacji tego stronnictwa, wysłał na zjazd ks. Ludwika Zajca, profesora seminarium i regensa kancelaryi konsystorza kieleckiego z poleceniem, aby starał się wszelkimi siłami przeszkodzić przyjęciu jakichkolwiek uchwał przez zjazd. Jakoż ks. Zajc przybył

374 Loc. cit.

375 Pawliszczew, Siedmicy I, 192.

do Wrocieryża i oparł się akcesowi duchowieństwa kieleckiego do Komitetu Czerwonych. Wołał, że „teologia na to nie pozwala”; że przez taki krok „zginie Kościół i duchowieństwo”, i tyle przynajmniej zdziałał, że protokołu zjazdu nie spisano i uroczystej adhezji do Komitetu centralnego nie zrobiono.

Po gorących i gorzkich dysputach i sporach, rozjechano się z Wrocieryża, nic nie postanowiwszy³⁷⁶.

Mimo tych pojedynczych niepowodzeń, jak np. w Leśny i we Wrocieryżu, ogromna większość duchowieństwa polskiego przystąpiła w formie jak najbardziej uroczystej do Komitetu centralnego i uznała go za jedyną władzę narodową, której bezwzględne przyrzekła posłuszeństwo. Był to tryumf tak wielki i tak zupełny, że Komitet uczuł się od razu panem położenia i słusznie mógł teraz z pewną dumą mówić, że przystąpienie doń stronnictwa Białych „jest tylko kwestią czasu”. Jakoż tak w rzeczy samej było; stronnictwo to przez swą nieczynność, przez umiarkowanie chłodne, przez brak ruchliwości, z natury rzeczy musiało ulegać i ustępować przed gwałtownym naciskiem Czerwieńców, mających bezwzględność rewolucyjną, to zuchwalstwo spisku, które wszelkie przeszkody łamie i druzgocze i do celu swego posuwa się naprzód ogromnymi krokami. Wobec tej szalonej, nieznoszącej oporu siły, podobnej do tych sił natury, które raz rozkiełznane dopóty się do snu nie ułożą, aż wszystko przed sobą zmiotą, wszędzie zostawia spustoszenia i ruiny, wszelkie usiłowania Białych były bezowocnymi i nieskutecznymi. Wprawdzie, odnośnie do duchowieństwa, zjazdu w Leśny i we Wrocieryżu były bijącym w oczy dowodem, że przy energii, umiejętności działania i zręcznym postępowaniu, można było niejedną zamianę Czerwieńców sparaliżować i cios grozący ojczyźnie odwrócić, ale do tego ciężka, ospała, wewnętrzna rozterka sumienia własnego targana organizacja biała była niezdolna. Wszelkie też jej usiłowania, źle obmyślane lub w niewłaściwym czasie przedsiębrane, podobne były do tych uderzeń miecza w próżni, które tylko siłę uderzającego wyczerpują, ale nikogo nie ranią.

Widząc np., że w Warszawie organizacja powstańcza składa się przeważnie z rzemieślników, stronnictwo Białych wydało do nich w pierwszych dniach października odezwę, zapewne bardzo dobrze, nawet bardzo mądrze napisaną, ale tak chłodną w tonie i słowach, że w czasach powszechnych dreszczy febrycznych żadnego skutku wyrzucić nie mogła. Autorowie tej odezwy, tajnie wydrukowanej, rozpoczynają od napomknienia o zamachach i ostrzegają drobne mieszczaństwo warszawskie przed młodymi fanatykami, którzy dla osiągnięcia swych celów nie cofają się nawet przed morderstwem i używają do

376 Podania ustne.

tego rzemieślników. Pismo uskarża się na więzy cenzuralne, które nie pozwalają na otwarte omawianie potrzeb krajowych i tym sposobem podkopują zaufanie do ludzi rozumnych i uczciwych, w czasach gdy najgorętsi agitatorowie rządzą się namiętnościami politycznymi. Następstwem tego jest, że wszyscy ci, którzy w wypadkach obecnych kierują się rozsądkiem, traktowani są przez rzeczonych fanatyków jako egoiści, doktrynerzy i tchórze i stąd wpływu na klasy rzemieślnicze wywierać nie mogą. Odezwa w końcu domagała się, aby pojedyncze rzemiosła pod jakimkolwiek bądź pozorem porozumiały się ze sobą i wybrały ze swego łona reprezentantów, stworzyły z nich pewne ciało, którego rozkazom i kierunkowi ulegać winny.

Odezwa ta, przemawiająca językiem umiarkowania i rozumu, skutku żadnego mieć nie mogła w czasach, gdy umiarkowanie i rozum uchodził za proste tchórzostwo i obojętność, jeżeli nie za zdradę ojczyzny. Stworzenie takiego ciała rzemieślniczego, którem Dyrekcyja prawdopodobnie zamierzała zawładnąć, było niezaprzeczenie pomysłem dobrym, ale sama odezwa, choćby najpiękniej i najmądrzej napisana, organizacyi tej wywołać nie mogła, tylko żywa, czynna, energiczna i bezwzględna agitacya. Otóż, kiedy Czerwieńcy mieli wszędzie swych agentów niezmordowanych, nie ustępujących przed nikim i niczem, działających ze ślepą namiętnością fanatyków, Biali poprzestawali na odezwach, sądząc, że, jak niegdyś biblijne słowo Boże, wywiodą oni świat nowy z niczego. To też odezwa wzmiankowana pozostała bez skutku i zniknęła bez echa w powodzi wszelakiego rodzaju pism i druków tej epoki. A tymczasem Czerwieńcy działać nie przestawali, wszędzie byli obecni, wszystko porywali za sobą i napoili rzeczy i ludzi taką siłą pędu, że, jak słońce kosmiczne, biegli w nieskończoność dziejową, przyciągając wszystko ku sobie, w obręb atrakcyi swojej wszystko zagarniając. Owładnąwszy powoli całą dawną Polską, ujawnszy pod swe kierownictwo zwierzchnie wszelkie tajne organizacye trzech zaborów i nie zaborów, znalazłszy zupełne poparcie ze strony tak przeważnego żywiołu jak duchowieństwo, z kolei rzeczy zwrócić się teraz musieli do Rosyi, do spisku jakoby tam istniejącego, spisku, na który wiele liczyli i który w przyszłym zbrojnym powstaniu miał być najważniejszym atutem w grze o losy ich polskiej ojczyzny.

Wspomnieliśmy już we właściwym miejscu o podróży do Londynu, do Hercena, dwóch Czerwieńców warszawskich: Gillera i Padlewskiego, z której to podróży wrócili z mnóstwem obietnic, ale z pewną wątpliwością w duszy, czy zapewnienia Koryfeusza rewolucjonistów rosyjskich o tem, że spisek w Rosyi jest szeroko rozgałęziony i że na jego poparcie Polacy liczyć mogą, są prawdziwymi. Zwłaszcza Giller, który przed paru miesiącami miał sposobność na własne oczy się przekonać na mniemanem sprzysiężeniu wojskowym Dąbrowskiego, co są warte zapewnienia rewolucjonistów, wyrażał się bardzo

dwuznacznie o zaręczeniach Hercena. Padlewski, który znał Petersburg i miał stosunki z dawniejszem kołem wojskowych i uczącej się młodzieży, także nie bardzo wierzył tym zapewnieniom; ale z drugiej strony nikt nie mógł powiedzieć, czy te zapewnienia nie mają podstawy, zwłaszcza, że w ostatnich czasach mogły w łonie tajnych spisków rosyjskich, przy powszechnem wzburzeniu umysłów, zajść tak wielkie zmiany, że Hercen, który był ze swą ojczyzną w ciągłych stosunkach, mógł prawdę mówić. Wreszcie w przyszłej strasznej walce o niepodległość Polski, najzwyczajniejszy rozum nakazywał niczego nie zaniebyszać, co tej walce może pomoc przynieść i niczem nie gardzić. A spisek w Rosyi, spisek przeciw samowładztwu, toć to taki przyjaciel i taka pomoc, że Bóg wie, dokąd w danej chwili może losy Polski i Rosyi zaprowadzić, jakie zmiany wywołać, jaką burzę w świecie rozwichrzyć. Dla tych wszystkich powodów postanowiono w Komitecie wysłać kogoś do Rosyi, głównie do Petersburga, żeby dotarł do jądra rzeczy, naocznie się przekonał o sile i rozgałęzieniu konspiracji tamtejszej i żeby z nią bliższe zawarł stosunki. Misyj tej podjął się Padlewski, jako obyty ze stolicą rosyjską i mający tam swe związki i koneksye, zwłaszcza, że obok zasięgnięcia bliższych wiadomości o sprzysiężeniu, miał wyszukać wśród oficerów tamtejszych przyszłych dowódców powstania, oraz sprowadzić techników dla założenia tajnej fabryki prochu, kapiszonów i naprawy karabinów, jaką Komitet myślał urządzić w Warszawie, lub na prowincyi³⁷⁷. Jakoż Padlewski w końcu listopada, czy na początku grudnia, bo dat ścisłych podać nie jesteśmy w stanie, udał się do północnej stolicy rosyjskiej, pod nazwiskiem hr. Matuszewicza³⁷⁸. Zaopatrzony on był w listy Hercena i Bakunina do niejakiego kniazia Trubeckiego, oficera artylerii konnej gwardyackiej. Za jego pośrednictwem, oraz przy pomocy dawniejszych stosunków, wysłannik Komitetu centralnego przekonał się, że istotnie wśród młodzieży rosyjskiej w Petersburgu panuje silny ruch umysłowy, że istnieją tajne stowarzyszenia, ale rozbite na różne odłamy i działające osobno pod nazwami: „młodej Rosyi”, „Wielkorusa”, „Konstytucyjnego” i t. p.

Dzięki staraniom i zabiegom Padlewskiego, który rozwinął tutaj tę samą gorączkową i energiczną czynność, jaką okazywali zawsze Czerwieńcy warszawscy, wszystkie te tajne stowarzyszenia zlały się w jedną całość pod nazwą „Rosyjskiego Komitetu centralnego narodowego”, który za dewizę sobie przyjął: „ziemia i wolność” (Zemlia i wolia), i więcej pod tą, niż pod właściwą swoją nazwą, był znany³⁷⁹. Również postarał się Padlewski, by w Petersburgu utwo-

377 W. Ratz, *Polskaja emigracja do i wo wremia posledniago miatieża*, 410.

378 N. Gagel, *Josafat Ogryzko*, 106.

379 Do składu tego Komitetu w tej porze należeli: Utin, Michajłow, Slepcew, Czernyszewski, Sierno-Sołowiewicz, Majewski, Chudiakow, Pantelejew, Czerniak i wielu innych.

rzyć Komitet polski, w skład którego wszedł wysoki urzędnik w ministerstwie skarbu, Rusin z rodu, Jozafat Ohryzko, którego imię, tragiczne późniejsze koleje rozślawić miały szeroko. Komitet ten miał być pośrednikiem między sprzysiężeniem rosyjskim a Komitetem centralnym w Warszawie. Wszelako poseł przekonać się miał po bliższem rozejrzeniu się w rzeczach, że ów, tak głośno zapowiadany przez Hercena, spisek rosyjski, jest anemicznym, nędznym płodem garści zdolniejszej młodzieży, i że nie ma on ani sił, ani poparcia w narodzie, i że na niego wprost liczyć nie można.

Powróciwszy do Warszawy zdał Komitetowi centralnemu relację o wszystkim tem, co widział, co słyszał i co zrobił. Mówił więc, że w rzeczy samej rewolucyoniści rosyjscy utworzyli w ostatnich czasach Komitet centralny rosyjski, który dąży do wywołania rewolucyi w obszernym caracie, ale że Komitet ten jest dopiero w zarodku swej działalności, że organizacja jego jest jeszcze bardzo wątpliwa, jak to zresztą sami członkowie tego Komitetu otwarcie mu powiedzieli na konferencji, jaką miał z nimi. Komitet rosyjski nie oznaczył dotąd terminu przyszłego wybuchu rewolucyi w Rosyi, i że w obecnej chwili nawet w przybliżeniu terminu tego oznaczyć nie jest w stanie. W każdym razie, osoby, z którymi Padlewski w Petersburgu wszedł w bliższe porozumienie się, oświadczyły mu szczerze, iż rewolucya w Rosyi wcześniej jak w lecie 1863 r. wybuchnąć nie może; że Komitet rosyjski z najwyższą chęcią pragnie być w stałych stosunkach z Warszawą i obiecuje wszelką ze swej strony pomoc akcji rewolucyjnej polskiej, ale jak najgoręcej prosi, o wstrzymanie powstania do lata 1863 roku.

W razie, gdyby mimo wszystkiego, okoliczności zmusiły Polaków do wcześniejszego ruchu zbrojnego, obiecuje on wszelką ze swej strony pomoc, a mianowicie przyrzekał, jakkolwiek w słowach niejasnych i nieokreślonych ściślej, wywołanie powstania na Uralu, gdzie jakoby organizacja rewolucyjna przybrała szersze rozmiary³⁸⁰. Relacją swoją Padlewski poparł listem, jaki mu wręczyli spiskowcy rosyjscy, w którym mniej więcej wszystko to samo było powiedziane. Powoływali się przytem na odezwę Hercena do oficerów rosyjskich z d. 15 października, i przytaczali zeń taki ustęp dający wiele do myślenia: „przedwczesny wybuch w Polsce nie tylko jej nie oswobodzi, ale was (rewolucyonistów rosyjskich) zgubi i niezawodnie zahamuje rozwój naszej sprawy rosyjskiej”. Padlewski przytem twierdził, że Komitet rosyjski naśladuje we wszystkim Komitet polski i jest raczej chwilowym, sztucznym wytworem, niż naturalnem i uzasadnionem dążeniem jakiegokolwiek części społeczeństwa rosyjskiego do wolności.

380 O. Aweyde, Zeznania.

Z tego wszystkiego, z tej relacji szczerej i sumiennej, która zaszczyt uczciwości politycznej i bystrości umysłu Padlewskiego przynosi, Komitet centralny nabył przekonania, że na spisek rosyjski, o którym tak wiele mówił Dąbrowski i Hercen, liczyć nie można³⁸¹, i że Polska przynajmniej pod tym względem własnym siłom jest zostawiona. Mimo to nie zamierzał on wcale akcji swojej przerywać lub rozkładać jej na długie czasy, a jakkolwiek większość Komitetu pod wpływem Gillera przeciwną była jak najbardziej stanowczo rychłemu wybuchowi, przecież okoliczności, wypadki, to wiekuiste nieszczęście polskie tak się składało, że wybuch ten był bliskim, z posępnych chmur nagromadzonych na horyzoncie ojczystym piorun łąda chwila miał wypaść.

Zaszły bowiem teraz zdarzenia tak wielkiej doniosłości, przed oczami członków Komitetu stanęło Hamletowskie być albo nie być tak wyraźnie, że ujrzeli się oni nad brzegiem wiru, który ich pociągnął ku sobie i pogrążyć miał w przepaść nie tylko ich samych, co mniejsza, ale i Polskę całą i jej przyszłość. Opowiadanie o tych zdarzeniach, będzie przedmiotem następnego i ostatniego rozdziału tej pracy.

381 Jak dalece spisek ten był słabym i nie miał żadnego znaczenia, świadczy fakt, że wkrótce potem, za pośrednictwem niejakiego Małachowskiego, Komitet „Ziemli i woli” prosił Komitet wileński o pożyczanie 500 rubli na założenie drukarni i inne wydatki. (Gogel, Józafat Ogryzko, 157).

ROZDZIAŁ XX

Branka.

Ogólne zebranie Rady stanu. Szkoła główna. Obsadzenie katedr profesorskich. J. K. Wołowski. W. Dutkiewicz. Wł. Holewiński. Wydział fizyko-matematyczny. Frączkiewicz. Natansohn. Prażmowski. Cienkowski i Dybowski. Uroczysta instalacja dwóch wydziałów. Mowa Krzywickiego. Przedstawienie się ciała proferskiego namiestnikowi. Dr. Józef Mianowski i jego nominacja na rektora Szkoły głównej. Wydział filologiczno-historyczny. Józef Kowalewski. Inauguracja dwóch ostatnich wydziałów. Mowa Krzywickiego. Uroczyste otwarcie Szkoły głównej. Mowy Krzywickiego i Mianowskiego. Mowa Wielopolskiego do profesorów. Pobór do wojska. Obawy Wielopolskiego i jego projektu. Pobór, jako środek polityczny. Opór wojskowych. Wielopolski zwycięża i jego projekt idzie do Petersburga. Zatwierdzenie projektu i jego ogłoszenie w „Dzienniku powszechnym”. Powody takiego postąpienia. Uwagi czynione margrabiemu i jego odpowiedź. Nacisk organizacji na Komitet. Okręg kolei warszawsko wiedeńskiej. Położenie Komitetu centralnego. Kartka o poborze. Głos „Strażnicy”. Rady powiatowe i komisye konskrypcyjne. Dekret Komitetu centralnego nakazujący zniesienie Rad. Przybycie gwardyi do Warszawy. Pułk wołyński u W. księcia i Ramsaya. Zachowanie się ludności warszawskiej wobec gwardyi. Adresy szlachty prowincyi zabranych. Historia adresu gubernii podolskiej. Aresztowanie marszałków szlachty. Historia adresu mińskiego. „Strażnica” o adresie podolskim. Komisye konskrypcyjne. Wypadki w Rypinie. Upór Wielopolskiego. Unikanie poboru. Tajny reskrypt Komisyi spraw wewnętrznych. „Czas” publikuje ten reskrypt. Wrażenie w dziennikarstwie europejskiem. Przybycie Orłowa i narada w Zamku. Decyzja zapadła na tej naradzie. Artykuł „Czasu” o brance i mowa Ks. Czartoryskiego. Komitet centralny uchwała dyslokacyą spisowych. Zakaz rozszerzania organizacji. Rozkaz do władz rządowych. Dyslokacya w Lublinie i na Podlasiu. Komitet postanawia sprowadzić broń. Fundusze Komitetu. Komisyja broni w Paryżu. Historia Abichta i jego aresztowanie. Aresztowanie trzech agentów Komitetu w Paryżu. Sierakowski i inni dowódcy przyszłego powstania w Warszawie. Narady i postanowienia. Plany Sierakowskiego, Miłkowskiego i Padlewskiego. Wykrycie drukarni „Ruchu”. Zjazd biskupów w Warszawie. List arcybiskupa Przyłuskiego. Sprawa Kraszewskiego. Zjazd Białych w Warszawie. Zakończenie.

Wszystkie te, opowiedziane powyżej wypadki, w niczem nie zdawały się wpływać na W. księcia i na jego politykę względem kraju. W dniu 1 października odbyło się ogólne zebranie Rady stanu, które Konstanty osobiście zagał uroczystą mową, wygłoszoną po polsku, i jak sądzić można z niektórych zwrotów i wyrażeń, przygotowaną przez Wielopolskiego. Ubrany w mundur ułański z amarantowymi rabatami, tak zawsze

miły pamięci i wspomnieniom narodowym, oparty na szabli, ze szkłem w oku, z widoczną chęcią pozowania przed Europą, niby król konstytucyjny bez królestwa jednak, mówił głosem donośnym i właściwym Rosyanom akcentem śpiewnym, że „w zebraniu tem, po raz pierwszy głos podnosząc, przede wszystkim pragnę zapewnić was, że ostatnie bolesne wypadki nie zachwiały mnie w dobrych dla kraju chęciach. Ufam w opiekę Opatrzności; na uczuciach prawych i obywatelskich, jakich Rada stanu dała już dowody, polegam. Spełniając obowiązki, włożone na mnie wolą najdosłowniejszego mojego brata, monarchy naszego, nie przestanę czuwać nad dobrem Królestwa polskiego. Rząd, kierunkowi mojemu powierzony, nie zboczy z drogi prawa i nikomu też z pod prawa wyłamywać się nie dozwoli”. Ponieważ, jak się zdaje, zbyt silne i zbyt powszechne były głosy w kraju, potępiające W. księcia za to, że nie ułaskawił Ludwika Jaroszyńskiego, i głosy te dotarły aż do wyżyn wielkoksiążowskiego dworu, więc teraz w mowie swojej uznał za stosowne pośrednio usprawiedliwić się z tego. „Poczytywałbym się za szczęśliwego, mówił, móc wykonać szeroce najpiękniejszą ze złanych na mnie prerogatyw, prawo łaski; wszakże miarkować je winien jestem uwagą na wymiar sprawiedliwości i na bezpieczeństwo publiczne”. W końcu zaznaczył, że „nadane w roku zeszłym instytucje wchodzi w wykonanie”, że Rady powiatowe rozpoczęły już swe posiedzenia, a wyszły z ich łona delegacje czynszowe „bez wątpienia odpowiedzą zaufaniu, jakie w nich nasz prawodawca położył”; że Rady miejskie tak się dobrze przyjęły, iż siedemnaście miast podało prośby o zaprowadzenie w nich tej instytucji; że oddzielono od cesarstwa zarząd poczt i komunikacji, że zniesienie pańszczyzny i równouprawnienie żydów wymaga zmian w systemie finansowym Królestwa, wreszcie doniósł, że „równocześnie z waszemi obradami otwiera się Szkoła główna, instytut politechniczny i inne w około nich po kraju zakłady naukowe, których porządek na zeszłorocznych obradach Rady stanu przychylnie zdanie jej uzyskał w czasie dyskusji nad projektem do prawa o wychowaniu, którego wypracowanie stanowi jedną z wielkich zasług współpracownika mego, Naczelnika rządu cywilnego”³⁸².

Jakoż nie ulegało wątpliwości, że wśród wielu zasług, jakie położył dla kraju Wielopolski, reforma wychowania publicznego, a zwłaszcza ustanowienie w Warszawie Szkoły głównej było jedną z najważniejszych i najpłodniejszych w następstwa. Uniwersytet polski, którego kraj tak dawno był pozbawiony, miał w martwiejące członki społeczeństwa wlać nową, świeżą i zdrową krew, która pozwoliła mu długo potem wśród strasznej nocy ucisku i prześladowań

382 Mowę tę czytać można w całości w „Dzienniku powszechnym”, Nr. 220, oraz u Lisickiego, Al. Wielopolski II, 429. U tego ostatniego jest jednak kilka błędów, które zmieniają sens, lub czynią go niezrozumiałym.

Tamerlanowych, żyć własnem życiem, konającą na wycieńczenie naukę i literaturę polską napoić tak rzetelną siłą, że znieść zdołała wszelkie ciosy i ognisku umiejętności, Kopernikowej tradycji tlić się dalej pozwoliła.

Wielopolski, wspierany w tym względzie przez Krzywickiego i Korzeniowskiego, zajął się przy organizacji Szkoły głównej przede wszystkim obsadzeniem w niej katedr profesorskich. Rzecz to nie była łatwa. Nigdy zbytecznie nie obfitowaliśmy w siły naukowe, a w ostatnich czasach, przez trzydzieści lat rządów Muchanowa i jego poprzedników, przez ucisk wywierany na inne Zabory, przez usilne przeszkadzanie wszelkiemu na tej drodze rozwojowi, przy braku uniwersytetów polskich, było to teraz trudniejszem niż kiedykolwiek bądź. Jeszcze najłatwiej można było zaradzić potrzebie na wydziale prawnym. Sądownictwo polskie istniało niezmiennie w pierwotnej swej organizacji od czasu Księstwa Warszawskiego, miało swą tradycją, miało swe wady, ale i przymioty, do rzędu których zaliczyć należy wyborną, przez liczne znakomitości udostojnioną advokaturę, która mogła rywalizować pod względem nauki, inteligencji i talentów z najpierwszymi advokaturami europejskimi. Istniejące przy uniwersytecie petersburskim wykłady prawa polskiego dostarczały rok rocznie krajowi pewien kontyngens uczonych prawników. Tu więc wybór był łatwiejszy, bo było w czem wybierać. Szybko też i snadno obsadzono na tym wydziale katedry. Na posiedzeniu Komisji oświecenia d. 15 września 1862 r., które odbyło się pod prezydencją samego Wielopolskiego, na dziekana fakultetu postanowiono powołać rzeczywistego radcę stanu Jana Kantego Wołowskiego, naczelnego prokuratora senatu, niedawnego dyrektora Komisji sprawiedliwości, usuniętego z tego stanowiska za to, że oparł się podpisaniu ustawy z d. 8 kwietnia 1861 r. przeciw nieporządkom publicznym. Był on w tej dobie już na schyłku swego męskiego wieku (ur. 1803 r. liczył więc lat 59), a jako głośny mecenas odznaczał się klasyczną, rzecz można, wymową, która zjednała mu wielką powagę i uczyniła zeń jedno z najświetniejszych słońc i tak już przez się świetnej advokatury krajowej. Należąc z rodu do najpierwszych familii Frankistów polskich, niósł znamienicie tradycją prawną tych rodzin, które tak wybitną rolę odegrały w linii obrończej polskiej. Był to przytem człowiek bardzo uczony i przejęty tym gorącym i rozumnym patriotyzmem, jakim odznaczały się zawsze rodziny frankistowskie u nas. Niewątpliwie wybór Wołowskiego na dziekana wydziału prawnego był bardzo dobry i bardzo trafny. Powagą swoją, wysokimi godnościami, jakie pełnił, wymową i nauką, mógł opanować różnorodne dążności, jakie mogły się objawić w gronie profesorów fakultetu, zebranych z różnych stron kraju i z różnych uniwersytetów. On jeden tylko był zdolny wlać w wydział ducha jednolitego i wszczepić młodą Szkołę główną we wspaniały pień starej trady-

cyi sądowej polskiej. Oprócz dziekanii powierzono mu z tytułem profesora zwyczajnego katedrę prawa cywilnego i procedury sądowej.

Katedrę prawa cywilnego, obowiązującego w Królestwie, i dawnego prawa polskiego, otrzymał Walenty Dutkiewicz, człowiek stary, sześćdziesiąt cztery lat liczący, klasyczny pisarz w zakresie prawa hipotecznego i dawnego polskiego, ale pozbawiony głębszego, filozoficznego wykształcenia. Wykład jego był jasny i prosty³⁸³. Mniej szczęśliwym był wybór Franciszka Maciejowskiego na katedrę prawa karnego i kryminalnego. Pierwotnie katedrę tę Krzywicki zamierzał powierzyć znakomitemu kryminaliście Włodzimierzowi Spasowiczowi, który wówczas był profesorem w uniwersytecie petersburskim. Krzywicki przed swoim wyjazdem do Warszawy zrobił tę propozycję Spasowiczowi, który się na nią zgodził i nawet, przejeżdżając w lipcu 1862 r. przez Warszawę, przedstawił się margrabiemu.

Później jednak, zdaje się, nie bez wpływu znanego nam już Alfa Wrzesniowskiego, który uważał Spasowicza za Czerwieńca, Krzywicki dał temu ostatniemu poznać, że jego nominacja jest niepodobieństwem. Tym sposobem przyszła Szkoła główna straciła jedną z bardzo poważnych sił, tak że katedrę tę musiano oddać Maciejowskiemu. Ten, podobnie jak Dutkiewicz, stary, bez wymowy (nigdy nie mówił: ojciec, tylko „ocieć”), do czasu przybycia Pawła Popiela, który powołany został na katedrę prawa rzymskiego, wykladał ten przedmiot, a wykladał go jak najgorzej, leniwie, ospale i po szkoleniu. Przygotowawszy na prędce kurs, wydrukował go, i na podstawie tej książki rozpoczął wykład, trzymając się tak ściśle swej drukowanej redakcji, że posiadanie jej egzemplarza uwalniało słuchaczy od potrzeby bywania na lekcjach³⁸⁴.

Tych trzech profesorów dostarczyło dawne sądownictwo polskie. Inne katedry powierzono młodym ludziom, mało znanym w kraju, ale którzy przez swe prace i zdolności zapowiadali, że wybitne kiedyś w nauce polskiej zajmą stanowiska. Pod tym względem najlepszą niezaprzeczenie siłą był Władysław Holewiński, człowiek młody, zaledwie 28 lat liczący, wychowaniec uniwersytetu petersburskiego, który paru rozprawami, a zwłaszcza pracą p. t. „Projekt kodeksu postępowania karnego”, zwrócił na siebie uwagę świata prawniczego polskiego, i co ważniejsza samego Wielopolskiego, któremu zresztą został za-

383 Dutkiewicz, rozpoczynając wykłady, zamiast wszelkich określeń prawa, wyjął z kieszeni małą książeczkę, obejmującą tekst francuski kodeksu Napoleona i przemówił do słuchaczy w te słowa: „Ta książeczka, którą trzymam w ręku, jest to kodeks Napoleona. Obowiązuje on w znacznej części mieszkańców Królestwa polskiego, jako prawo cywilne. Składa się z trzech ksiąg i t. d.” (A. Kraushar, Siedmioletnie Szkoły główne, 174).

384 A. Kraushar, Siedmioletnie, 172.

rekomendowany przez niejakiego Chmielińskiego, prezesa sądu kryminalnego w Piotrkowie. Jako uczonego cywilistę, margrabia powołał go do wykładu w Szkole głównej kodeksu cywilnego obowiązującego i prawa handlowego. Wykłady Holewińskiego, bardzo pilnie uczęszczane przez młodzież, odznaczały się niepospolitą jasnością, przejrzystością i prawdziwie uniwersytecką formą.

Do wykładu encyklopedyi nauk prawnych i prawa kościelnego, Wielopolski, nie wiemy, za czyją radą, powołał z Zaboru austriackiego Józefa Kasznice, równie jak Holewiński młodego, 28-letniego człowieka, którego wykłady, zwykle z pamięci wypowiedziane, może nie nosiły na sobie charakteru ścisłości naukowej, wyglądały raczej na improwizacyą naukową, ale właśnie przez to samo dla młodzieży miały cechę nowości, czegoś wyższego, lepszego, pozbawionego szkolnej rutyny, zwłaszcza, że profesor odznaczał się gładkością wymowy i lubiał zapuszczać się w zawrotne wyżyny filozoficznych abstrakcyi. Dla umysłów, pozbawionych od lat trzydziestu wszelkiej nauki wyższej, taki wykład miał urok niepospolity. Katedrę nauk administracyjnych i prawa międzynarodowego powierzono Antoniemu Białeckiemu, niegdyś współpracownikowi „Słowa” petersburskiego i *Voluminów legum*, wydanych przez Ohryzkę w Petersburgu. W tym roku jednak tak Białecki, jak i Popiel nie rozpoczęli swych wykładów, gdyż obaj bawili zagranicą.

Na temże samem posiedzeniu w d. 15 września w Komisji oświecenia, obsadzono katedry wydziału fizyko-matematycznego. Tu o wiele trudniej było znaleźć ludzi, którzy by godnie odpowiedzieli zadaniu. Jeżeli na wydziale prawnym, dzięki istniejącemu od lat przeszło pięćdziesięciu sądownictwu krajowemu, stąd nieustannej potrzebie wykształconych prawników, łatwiej można było znaleźć nawet znakomite siły, których by się żaden uniwersytet nie powstydził, to w zakresie nauk ścisłych, jak je niekiedy zowią, trzydziestoletnie rządy ociemniające i destrukcyjne zrobiły swoje. Można było wyszukać między nauczycielami gimnazyalnymi kilkunastu ludzi zdolnych, nawet uczonych, ale pracą nauczycielską zmęczonych, nie idących za postępem nauki, przesiąkniętych rutyną, odwykłych od szerokości poglądów, tak koniecznej w wykładach uniwersyteckich. Przytem należało mieć wzgląd i na to, by nie pozbawić zupełnie lepszych sił powstającą w Puławach politechnikę, która miała niezaprzeczenie donioślejsze znaczenie niż wydział matematyczny w szkole głównej, przeważnie mający przygotowywać przyszłych nauczycieli matematyki dla szkół krajowych. Jakoż w większej części posiłkowano się nauczycielami gimnazyalnymi i resztkami ciała profesorskiego b. szkoły agronomicznej w Marymoncie. Dzięki temu fakultet matematyczny nowej wszechnicy polskiej nie odznaczał się doborem profesorów i nie posiadał tak

teraz, jak i później ani jednego świetniejszego imienia naukowego. Na dziekana wydziału powołano Augustyna Frączkiewicza, człowieka bardzo starego, niegdyś profesora uniwersytetu Aleksandrowskiego, który zarazem miał wyklądać czystą matematykę. Był to człowiek uczony, znany w nauce z kilku cennych rozpraw z zakresu swej specjalności, ale zużyty i sterany wiekiem, w wykładzie suchy i pedantyczny, jakkolwiek wyborny pedagog i młodzież pod tym względem bardzo wiele od niego korzystała. Wykład fizyki powierzono Tytusowi Babczyńskiemu, geometryi Nikodemowi Pęczarskiemu, mineralogii Karolowi Jurkiewiczowi, wszystkim trzem nauczycielom gimnazjalnym. Posiłkowano się też dawniejszą Akademią medyczną i z niej powołano do wykładu zoologii i anatomii porównawczej Konstantego Górskiego, do wykładu botaniki Jerzego Aleksandrowicza. Do wykładu czystej matematyki zaproszono Karola Bayera, urzędnika Banku polskiego, człowieka chorego, który, zamiast uczyć, bawił młodzież z katedry anegdotkami, nieraz bardzo sprośnej i cynicznej treści. Jedynym słońcem w tym zbiorze mierności, był Jakub Natanson, w tej porze młody człowiek, ale niezwykle zdolny i uczony, który z czasem miał zaślanać w nauce polskiej, należący do rodziny żydów, zajmujących w tej porze i później bardzo wybitne i bardzo wpływowe w kraju stanowisko. Objął on katedrę chemii i pociągał młodych słuchaczy na swe wykłady płynnością słowa, szerokością poglądów, jasnością treści. Obok niego, drugim takim słońcem, które jednak dopiero później i na obczyźnie zajaśnić miało blaskiem pierwszorzędnym, był Adam Prażmowski, wzięty także z Akademii medycznej, uczony z czasem astronom, który objął katedrę fizyki doświadczalnej i geodozyi. Niestety! wpłątany w wypadki krajowe, czerwono usposobiony, biorący czynny udział w manifestacjach, nie długo miał zajmować powierzoną sobie katedrę i uciekać musiał zagranicę, gdzie wkrótce potem w Paryżu miał wsławić swe imię uczonemi dociekaniem z dziedziny astronomii.

Takim był w chwili otwarcia Szkoły głównej skład ciała profesorskiego na wydziale matematyczno-fizycznym. Wielopolski aż nadto dobrze wiedział, że w składzie tym przeważają mierności, które nie są i nie będą w stanie nadać temu działowi nauk ożywczej i rodzajnej siły; dlatego ze skrzętnością oglądał się dokoła, by z niewielkiej liczby Polaków, poświęcających się umiejętnościom ścisłym, wyszukać kogoś, co by to zadanie mógł spełnić należycie i nowo utworzonej wszechnicy polskiej dodać blasku. Był wówczas w Petersburgu uczony Polak, zajmujący w tamtejszym uniwersytecie katedrę botaniki, Leon Cienkowski, który z czasem przez swe badania nad drobnymi ustrojami, a zwłaszcza nad samoródcztwem, miał zyskać sobie sławę europejską. Sumienny, pracowity, istny kapłan nauki, obdarzony przytem niepospolitą inteligencją i lotnością

umysłu, stanowiłby niezaprzeczenie prawdziwą ozdobę nowego uniwersytetu polskiego, gdyby katedrę, na którą go Wielopolski powołał, w rzeczy samej objął. Zgodziwszy się zrazu na zrobioną mu propozycją przeniesienia się do Warszawy, cofnął się później, może pod wpływem żony, Rosyanki z rodu, której nie uśmiechał się wcale pobyt w Polsce, a może w przeczuciu, że to, co się robi i buduje w Warszawie, nie ma żadnej przyszłości. Przytem przez długi pobyt w Rosji odwykł on od zwyczajów i obyczajów polskich, mowę nawet ojczystą do pewnego stopnia zatracił. Dość, że te, czy inne przyczyny wstrzymały go ostatecznie od objęcia katedry i z jego wysokiej nauki niestety! korzystali dalej obcy, nie swoi. Obok Cienkowskiego umiał Wielopolski wyszukać jeszcze jedną pierwszorzędną siłę w osobie młodego Benedykta Dybowskiego, zapowiadającego jak najświetniejszą przyszłość naukową, którą w rzeczy samej z czasem ziszcł. Ale jako człowiek młody, porwany został przez straszny wir wypadków, które go strąciły ze spokojnej kolei i może dzięki temu dały mu możność poczynienia nader poważnych zdobyczy i odkryć naukowych. Jako członek późniejszych Rządów narodowych, wygnany na Syberią, za Bajkał, oddał się tam sumiennym studjom nad tą dziewiczą i nieznaną przyrodą i europejską przez to sobie sławę zyskał. W tej chwili, objawwszy ku końcowi roku wykłady zoologii i paleontologii, licznych zgromadzał słuchaczy, taki urok umiał nadawać swym słowom.

W ten sposób uorganizowane dwa wydziały Szkoły głównej zostały w tydzień potem, d. 22 września uroczystie przez Dyrektora Komisji oświecenia, Krzywickiego, zainstalowane. Przy tej sposobności Krzywicki, zgodnie ze zwyczajem tej epoki, która trzydziestoletnie zamknięcie ust chciała niejako teraz sobie wynagrodzić, wygłosił mowę. Mowa ta odznaczała się zwykłą Krzywickiemu jasnością myśli, prostotą stylu, niemniej przeto niepozbawioną była pewnej podniosłości zwrotów i wyrażeń. „Z uznaniem głębokiego wzruszenia, mówił, witam w was panowie pierwszy zawiązek Szkoły głównej. Podziękowanie wyrazić przede wszystkim muszę za gotowość, z jaką mężowie znani krajowi z długoletnich prac i usług przyjęli obowiązki dziekanów; za zaufanie, z jakim ludzie naukom się oddający, z najodleglejszych okolic na moje wezwanie przybyli, by zająć trudne i ważne stanowisko profesorów. Pieczołowitości i światłu waszemu panowie oddają tę nową instytucję, powierzam młodzież pragnącą nauki. Jestem pewny, że zadanie wasze bez przeszkód i z najistotniejszym dla kraju pożytkiem spełniać będziecie. Rząd, u którego steru stoi mąż pragnący szczerze rozszerzenia oświaty w kraju, otoczy tę nową instytucję całą swą troskliwością. Własne grono wasze zapewni jej konieczne żywioły życia i istnienia. Podawszy sobie ręce w imię jednej sprawy, starsi przekażą tradycję nauki młodszym, ci zaś podejmą świeżemi siłami

ważne zadanie przyswojenia rodzinnej niwie nowych nabytków umiejętności. W różnych gałęziach nauk pracując, spotykać się ciągle i wspierać będziecie, przekonywując się zawsze, że prawda jest jedną, choć różne do niej drogi wiodą. Oby w naszej szkole było, jak w rodzinie, gdzie różnica wieku, zawodu, rodzaju pracy łączy się w jednym, najwyższym celu". Po mowie tej zebrani profesorowie dwóch wydziałów otrzymali z rąk Krzywickiego swe nominacje, złożyli przepisana przez prawo przysięgę i udali się w końcu do Wielopolskiego, by mu się gremialnie przedstawić. W kilka dni potem, d. 28 września, całe to ciało profesorskie z Krzywickim na czele pojechało do pałacu Łazienkowskiego dla zaprezentowania się W. ks. namiestnikowi. Krzywicki kolejno przedstawiał Konstantemu każdego z profesorów, a W. książę z nadzwyczajną uprzejmością, ze zwykłą sobie chłodną i wytworną grzecznością z każdym po kolei rozmawiał, wypytywał się o ich przeszłość i o specjalność, której się oddaje. W końcu, jak pisał „Dziennik powszechny”³⁸⁵, W. książę „wyraził raczył swe zadowolenie, że tak pożyteczna dla kraju instytucja już w życie wprowadzoną zostaje, przypominając zarazem zgromadzonym profesorom ważne ich zadanie jako stróżów świątyni nauk, z której ma spływać źródło światła na cały naród". W odpowiedzi na to dziekan Jan Kanty Wołowski „wynurzył dziękczynienie jego cesarskiej wysokości za doznany zaszczyt tak łaskawego przyjęcia, przyczem wyraził niewątpliwą nadzieję, że pod dostojną opieką W. księcia Szkoła główna zakwitnie i ziścić nie omieszka oczekiwań, w nader pochlebnych wyrazach przez J. C. Wysokość wypowiedzianych".

W tymże dniu ogłoszoną została wiadomość, że rektorem Szkoły głównej mianowany został Dr. Józef Mianowski. Nominacja ta wyszła z Rady administracyjnej na przedstawienie Komisji oświecenia, zgodnie z ustawą, która wybór rektora na pierwsze trzechlecie powyżej wymienionym władzom powierzała³⁸⁶.

Wybór na to stanowisko był niełatwy, gdyż szło o postawienie na czele nowej instytucji człowieka, który by z jednej strony miał wielką powagę, który by umiał opanować i w jednym kierunku popchnąć tak ciało profesorskie, zebrane z różnych dzielnic kraju, jak i młodzież uchronić od wpływów powstańczych,

385 Nr. 218 z d. 29 września.

386 Myli się więc A. Kraushar, *Siedmioletnie*, 132, że wybór rektora wzięła w swe ręce władza edukacyjna, „odstępując na ten raz jedynie, z uwagi na wyjątkowe ówczesne okoliczności, od zasady art. 253, według której wybór rektora z grona uniwersyteckiego, drogą dobrowolnych wyborów winien był następować". Art. 251 (nie 253) wyraźnie powiada: „rektora na pierwsze trzy lata naznacza Rada administracyjna Królestwa, na przedstawienie Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego. Po upływie tego czasu ma być przez Radę ogólną z grona profesorów zwyczajnych co lat trzy obierany i t. d." Nie było więc żadnego od ustawy odstępstwa.

a z drugiej, który by wobec władz rosyjskich umiał godnie reprezentować wyso-ki swój i jedyny w kraju urząd, i szkołę w razie potrzeby bronić i zasłaniać potrafił. Margrabia Wielopolski długo bił się z myślami, szukając takiego człowieka i za radą Krzywickiego, który przypominał sobie swe stosunki petersburskie, wybór padł na Józefa Mianowskiego. Wybór to był niezaprzeczenie najlepszy i najszcześliwszy, i Mianowski z wielu względów był jedynym wówczas w Polsce człowiekiem, który na tak wybitnym i śliskim stanowisku mógł zadość uczynić wszelkim wymaganiom. W kraju mało znany, posiadał jednak w sferach rządowych petersburskich bardzo obszerne stosunki, których mógł użyć w razie potrzeby na korzyść szkoły. Liczył on w tej dobie 58 lat (ur. 1804 r. w Humaniu), ale zachował trzeźwość umysłu, wielką ruchliwość i ogładę towarzyską, nabytą w długim życiu na salonach dworskich Petersburga. Uczył się naprzód w szkołach Bazylińskich w Humaniu, gdzie kolegował z Aleksandrem Grozą, Bohdanem Zaleskim, Sewerynem Goszczyńskim i Michałem Grabowskim³⁸⁷, a następnie w uniwersytecie wileńskim współcześnie z największym poetą polskim Adamem Mickiewiczem, poczem wykładał w tejże wszechnicy fizjologię, a gdy uniwersytet zamknięto i zostawiono tylko akademią medyczną, objął w niej katedrę tegoż przedmiotu.

Za sprawę Konarskiego aresztowany, uwolniony dzięki wpływom Nazimowa, późniejszego generał-gubernatora wileńskiego, przeniósł się do Petersburga i w akademii tamtejszej objął katedrę chorób kobiet i dzieci. Odtąd rósł w zaszczyty i wpływy. Mianowany nadwornym lekarzem księżny Maryi Leuchtenberskiej, ulubionej córki Mikołaja, a siostry panującego Aleksandra II, przez nią wyrobił sobie olbrzymie stosunki i znaczenie w stolicy caratu. Mianowski stał się modnym doktorem wielkich dam dworskich i niedworskich, a przez nie człowiekiem bardzo wpływowym i bardzo znaczącym. Przytem powodzeniu jednak w duszy zachował podniosłe i patryotyczne idee uniwersytetu wileńskiego, czuł się zawsze dobrym Polakiem, a uczuć tych nie zdołała wyiębić ani mroźna atmosfera petersburska, ani niwelujące wszelkie odrębności narodowe, życie salonowe i dworskie. Wpływów swoich potrafił nieraz używać na korzyść rodaków, zagnanych losem na północ, i wreszcie dorobiwszy się niemałej fortuny, w r. 1860 wyjechał do Włoch, gdzie pod miastem Albano nabył willę, w której zamierzał dokończyć swego pracowitego żywota. Ale los inaczej postanowił. Wielka burza polska, która tylu ludzi z ich drogi zwróciła, tylu innych wyrzuciła na widownię historyczną, przerwała słodkie wczasy pod włoskim niebem Mianowskiego i postawić go miała w jednym z najtrudniejszych położań, w jakim danem było w tej

387 „Ateneum” warszawskie z r. 1895, III, 494.

epoce znaleźć się Polakowi wobec wzburzonych fal rewolucyj z jednej, wobec niemniej niebezpiecznych raf rządu rosyjskiego z drugiej strony. Tam to, w Albano, doszła Mianowskiego d. 24 września 1862 r. depesza telegraficzna Wielopolskiego, zapytująca, czy nie objąłby katedry profesorskiej, a nade wszystko rektoratu w nowo organizującej się Szkole głównej. Z tą gotowością do poświęceń, znamionującą ówczesne pokolenie, z tą ofiarnością podniosłą, jaka stanowi dominującą cechę ludzi tej epoki, Mianowski nie zawahał się ani chwili i zawiadomiwszy margrabiego także depeszą, że proponowane stanowisko przyjmuje, w parę dni potem listem osobnym odpowiedział mu, że „jeżeli mogę być w sposób godziwy użytecznym memu krajowi, to żaden wzgląd od tego wstrzymać mię nie może. Sądzisz mię pan zdolnym do wielkiego zadania, jakie mi przeznaczasz; nie wiem, o ile będę mógł odpowiedzieć temu wysokiemu zaufaniu, ale bądź przekonany, że uważać będę za zaszczyt dla siebie na nie zapracować i że użyję wszelkich środków, by służyć sprawie publicznej na drodze porządku i poświęcenia się obowiązкови³⁸⁸. Jakóż niezwłocznie rzucił miłą ciszę willi i nieba włoskiego, by przenieść się na burzliwy bruk Warszawy; popłynął do Marsylii, a stąd wprost pojechał do Petersburga, zapewne w celu zbadania gruntu i odświeżenia stosunków, które mogły mu być użytecznymi w stolicy Polski.

Nim Mianowski do tej ostatniej przybył, Krzywicki zdołał uorganizować pozostały wydział Szkoły głównej, a mianowicie wydział literacki, przezwany zwyczajem rosyjskim, wydziałem filologiczno-historycznym. Fakultet bowiem lekarski, powstały z istniejącej od lat kilku Akademii medycznej, był gotowy i z obsadzeniem na nim katedr kłopotu żadnego nie było. Inaczej się rzecz miała z wydziałem literackim, który należało stworzyć, i wyszukanie ludzi odpowiednich do wykładów przedstawiało nieprzełamane prawie trudności. Królestwo pod tym względem nie miało ani jednej siły, kwalifikującej się do tych wykładów prócz może Juliana Bartoszewicza, którego atoli Wielopolski, jak wiemy, za nic w świecie nie chciał w skutek osobistej urazy, jaką miał do tej znamienitości krajowej. Później, szukając powoli i mozolnie, odnaleziono tu i owdzie siły, jeżeli nie pierwszorzędne, bo o takie wszędzie trudno, to przynajmniej mogące uczciwie spełnić swe zadanie, ale w tej chwili, na razie musiano się uciec do pomocy innych dzielnic polskich.

Na szczęście, dzięki zdolnościom wrodzonym Polakom, dzięki wytrwałości i poświęceniu, mimo ucisku obcych rządów i tysiąca przeszkód, jakie one stawiały nauce ojczystej, znaleźć można było jeszcze prawdziwe gwiazdy naukowe, wychowañców albo dawnych uniwersytetów polskich, albo też niemie-

388 List ten w całości, w oryginale francuskim, czytać można u Kraushara, Siedmioletcie, 135.

ckich. Z tych ostatnich wzięto już Plebańskiego, który w spuściznie po kursach przygotowawczych objął w Szkole głównej katedrę historii powszechnej i polskiej. Prócz tego zaproponowano wykłady historii powszechnej młodemu uczonemu z wszechnic niemieckich, Kazimierzowi hr. Krasickiemu, któremu jednak późniejsze wypadki nie pozwoliły zająć tego stanowiska. Na dziedzinę fakultetu powołano prawdziwą, bodaj czy nie jedyną wówczas w swej specjalności w Europie znakomitość, Józefa Kowalewskiego, rektora uniwersytetu kazańskiego. Urodzony w 1800r., liczący więc teraz 62 lata, niegdyś wychowaniec wszechnicy wileńskiej, zaplątany w mniemany spisek Filaretów, towarzyszył Adamowi Mickiewiczowi, wywieziony w r. 1824 do Kazania, oddawszy się badaniom języków wschodnich, wysłany był do Irkucka dla studyów nad językiem mongolskim, mandżurskim, tybetańskim i sanskryckim, w tym celu, by po powrocie rozpocząć ich wykłady w uniwersytecie kazańskim. Tutaj to Kowalewski rozwinął nadzwyczajną czynność i poświęcenie dla nauki, o której ani na chwilę nie zapomniał wśród najdziwaczniejszych przygód, jakby wyjętych ze starego, średniowiecznego romansu. Odbił więc naprzód podróż w nieznane podówczas Europejczykom krainy Zabajkalskie, dotarł do miasta Urgi, położonego w stepach mongolskich, na pograniczu wielkiej pustyni środkowo-azyatyckiej Gobi, gdzie mieszka wcielone bóstwo tybetańskie. Wędrując po niezmierzonych okiem stepach i puszczech, przedzierał się do koczowisk różnych plemion mongolskich, powoli układał sobie słownik i gramatykę tego języka; zapoznał się z lamami, i przy ich pomocy, ubrany w suknie chińskie, ogorzały od wichru stepowego, dostawał się do świątyń i klasztorów buddyjskich, kopiował lub zbierał stare rękopisma. Żył lada czem, kawałkiem przypieczonej na ogniu baraniny, miseczką cegiełkowej herbaty, sypiał na gołej ziemi, śniegiem pokrytej, by nowe zdobycze nauce przynieść. Podróż ta trwała cały rok i wrócił z niej do Irkucka, jako jedyny znawca tajemniczych dziejów, języka i bytu ludów zamieszkających od Bajkału aż po wielki mur chiński. Rząd skorzystał z tego i wysyłając w tej porze misję do Pekinu, kazano z nią jechać i Kowalewskiemu. Tu uzupełnił swe studia przez ciąg trzynastomiesięcznego pobytu, zapoznał się z Buddą wcielonym i został jego ulubieńcem. W studyach swych nie ustawał ani na chwilę, gromadził zbiory etnograficzne, księgi, rękopisma, z których później utworzył się niezmiernie interesujący i bodaj czy nie jedyny gabinet etnograficzny w Kazaniu. Później przepędził jeszcze jakiś czas wśród Buryatów i Mongołów syberyjskich, i ogłosiwszy drukiem sprawozdanie ze swych podróży, zyskał ogromną sławę w całym świecie uczonym. Królowie, ministrowie, uczeni, akademie umiejętności ubiegały się o stosunki z nim. W r. 1833 otrzymał katedrę języków wschodnich w Kazaniu, gdzie w końcu został rektorem i z tego stanowiska, po trzydziestu ośmiu latach

wygnania, powołany został do ojczyzny, by i młodzieży polskiej udzielił olbrzymich wiadomości, które tak mozolnie i z takim poświęceniem zdobył. Wracał jako starzec do kraju, który opuścił jako młodzieniec, starzec zużyty, siwy, zgarbiony, ożeniony z Rosyanką, z poczuciem polskim na pół zatartem, z wyrobioną przez długoletni ucisk trwogą przed rządem, z głęboką obawą przed jego siłą i bezwzględnością. Objął katedrę historii Wschodu w Szkole głównej, ale starzec ten złamany, budzący poszanowanie przez swe wielkie zasługi, był już teraz miłym gawędziarzem, obfitującym w mnóstwo anegdot, ale wykłady jego nie miały czysto naukowego charakteru. W każdym razie, jakkolwiek niewielką korzyść przynosił szkole, wszelako blask sławy, odeń promieniejący, padał także na tę młodą instytucję, i był bijącym w oczy świadectwem żywotności polskiej, która wśród tylu nieszczyć narodowych i tylu przeszkód, wydawała jednak tak znakomitych ludzi.

Krzywicki, jako dyrektor Komisji oświecenia, przy inauguracji dwóch wydziałów, medycznego i literackiego w d. 6 października odbytej, w mowie swej zaznaczył tę świetność imienia Kowalewskiego. „Przyjawszy z gotowością zaproszenie moje (mówił), spieszy on z dalekiego Wschodu, by długoletniej pracy nabytki, resztę sił swoich na pożytek kraju rodzinnego złożyć, a imieniem swem nowo wskrzeszoną szkołę uświetnić”. Wobec tego, że wydział filologiczno-historyczny dotąd miał bardzo niewiele katedr obsadzonych, zapewniał Krzywicki, że wkrótce wszystkie one zajęte będą. „Grono wasze, wsparte ich doświadczeniem, mówił, pomnożone szeregiem ludzi, którymi literatura nasza słusznie się chlubi, potrafi bez wątpienia wznieść się do wysokości zadania i poważnem badaniem klasycznej starożytności, dziejów powszechnych i kart tej wielkiej, od wieków zapytywanej księgi, którą filozofią nazywamy, nada taki kierunek umiejętnościom i wychowaniu wyższemu, jakiego potrzeby kraju i stan cywilizacji współczesnej od nas się domagają”. Mowę tę swoją zakończył słowami: „i tak, dzięki dobroćliwości monarchy, opiece naszego najdosćniejszego namiestnika, troskliwości męża stojącego u steru rządu cywilnego, dzięki waszej gorćliwości panowie, Szkoła główna istnieje. Szczęśliwy jestem, że się mógł przyćżyć do zgromadzenia tylu uczonych mężów okoć ogniska, przy którym wkrótce skupi się czoć naszej młodzieży, przyszła chćba nasza; że witać was, panowie, na progu tej świąćyni nauki, ku której z taką nadzieją spogćda kraj caćy świąćla oczekując”³⁸⁹.

Jakoć w tym wzglćdzie przynajmniej nie miać ani on, ani Wielopolski, twórca tych wszystkich uroczystości, zawieć. Młodzież, garnąca się do szkoły, wchodzić w krąg tradycyi, jaką wytworzyły przez czas rocznego swego istnie-

389 Mowa ta w caćci znajduje się w „Dzienniku powszechnym” Nr. 225 z d. 7 października 1862 r.

nia kursa przygotowawcze, tradycji ładu, porządku, karności i poświęcenia się wyłącznego nauce.

Przedstawiała ona rzadkie, a w Polsce jedyne zaiste widowisko, by w tak znacznym nagromadzeniu młodzieży, najżywiej odczuwającej prądy przebiegające społeczeństwo, wobec szalonej burzy, jaka się zerwała, w chwili gdy ważyły się losy gorąco umiłowanej ojczyzny, młodzież ta w ogromnej swej większości umiała zachować spokój ducha, i to przekonanie, że jej praca jest najpoważniejszym i najtrwalszym fundamentem przyszłego życia tej ojczyzny. I to jest zasługa niezaprzeczona tej młodzieży i jej przewodników. Wielką zatem wagę historyczną dla Królestwa kongresowego miał dzień 25 listopada, w którym uroczyste otwartą została Szkoła główna. Dzień ten tchnął w ducha narodowego tak wielką moc, tak niespożytą siłę, że zdołał on przez długi czas późniejszego ucisku ostać się, żyć i rozwijać nawet. Ów dzień, tak pamiętny w dziejach umysłowości polskiej, był pośepny i chmurny, prawdziwy dzień listopadowy; a w wielkiej sali rzeźb i gipsów po dawnej Szkole sztuk pięknych, gdzie się akt uroczysty odbywał, było tak zimno, tak mroźna atmosfera panowała, że rozstawiono talerze z gorejącym spirytusem, by ją choć trochę ogrzać. W sali tej, na umyślnie urządzonym podniesieniu, zasiadło gremium uniwersyteckie i przedstawiciele wyższych władz krajowych, poza którymi na ścianie wisiał wielki obraz, przedstawiający chwilę wręczenia przez Aleksandra I dyplomów uniwersyteckich rektorowi b. uniwersytetu Aleksandrowskiego. Obraz ten zdawał się przypominać dawne, lepsze czasy i był niejako ich łącznikiem z teraźniejszością. Sala była przepełniona, choć publiczności tej, która chodzi na wszelkie widowiska, było niewiele. Po odczytaniu ukazu cesarskiego dotyczącego Szkoły głównej, dyrektor Komisji oświecenia Krzywicki, zgodnie ze zwyczajem tej epoki, zagał posiedzenie mową, wygłoszoną właściwym mu stylem pełnym klasycznej prostoty i jasności. „Odczytaliśmy, mówił, ustawę, która na zawsze we wdzięcznej pamięci narodu pozostać winna. Czego od dawna kraj nasz pragnął, w czym dla synów swoich najwyższy pożytek, a dla swej przyszłości rękojmię największej chwały słusznie upatrywał, to dziś z mocy tej ustawy posiada. Dzięki dobroćliwości monarchy, koniecznym potrzebom kraju chętnie dającego ucho; dzięki pracom męża, którego imię kiedyś pokolenia pokoleniom wdzięcznymi usty podawać będą, w murach tej stolicy staje najwyższych nauk przybytek. W chwili tak pamiętnej, zwróćmy się myślą i sercem ku miłosiernej Opatrzności, i uznajmy, iż czuwa nad losami narodów”, Powitawszy profesorów „z tak rozmaitych, a nawet odległych stron tutaj zebranych”, zatrzymał się nad „stosunkiem, jaki w każdym zdrowem i dobrze uorganizowanym społeczeństwie między nauką a powszechnością obywateli zachodzi”. „Cenioną jest nauka (mówił), hołd czci i poważania

jest jej oddawany, ale to dlatego, że dobroczynne jej skutki wszędzie się czuć dają. Jej kraj zawdzięcza uprawę i coraz większe doskonalenie języka, a więc utorowanie drogi do coraz porządnierzego myślenia; jej zawdzięcza sprawiedliwość w sądach, uczciwość w zarządzie, dostatek, pokój i miłość braterską w domach, uległość wyrokom Najwyższego. A gdy te są warunki, przy których społeczeństwo jedynie ostać się, swą indywidualność zachować może, słusznie więc wielbi naukę, która do życia prowadzi, przy życiu zachowuje”. „Kaźda nauka, jeśli dobrze uprawiana, nie tylko rozszerzać wiadomości, lecz i formować charakter człowieka powinna. Dopnie tego celu, jeśli go wdroży do wytrwałej pracy i do szczerzego poszukiwania prawdy. Kto pragnie doskonalieć się, szczerym być winien, szczerym przede wszystkim z sobą samym. Nie jest to rzeczą tak łatwą, jak się na pozór wydaje. Obłądy opinii, zapalczywe spory, bezzasadne nienawiści, lekkomyślne przywiązania, wszelkiego rodzaju zaślepienia, które niejedną społeczną burzę wywołały, niejednen kraj do ostatecznej zguby doprowadziły, nie miałyby miejsca, gdyby ludzie lepiej, szczerzej z samymi sobą rozmówić się umieli. Przestaliby być falą, która to wznosi się, to opada, a staliby się opoką, na której można budować”. „Zjednoczmyż usiłowania (kończył), abyśmy wierni tronowi, wierni zasadom, społeczeństwa jedynie przy życiu utrzymującym, stawali się coraz godniejszymi tych dobrodziejstw, które Stwórca niezbadanemi i Sobie tylko wiadomemi drogami codziennie na nas, jak i na wszystkie ludy, zsyła”³⁹⁰.

Po Krzywickim wystąpił z mową nowy rektor Szkoły, Mianowski, nieznanym dotąd w Warszawie, wszyscy też na niego zwrócili oczy. Na estradzie stał męczyzna wysoki, tęgi, z włosiem siwiejącym, wygoloną twarzą, poważną i pełną rozumu. Słowa jego brzmiały siłą męską i zwrotami krasomówczymi i drżała w nich nuta gorącej, ale rozumnej miłości ojczyzny. „Nowo to otworzony przybytek tej dawnej oświaty, mówił, którą Polska długo jaśniała, przez którą w potęgę wzrosła i tyle się chrześcijańskiemu zasłużyła światu; nowy przybytek tej wielkiej zachodniej cywilizacji, którąśmy niegdyś z taką chwałą pielęgnowali u siebie, z taką zasługą krzewili wśród dalszych krajów i plemion; przez nią weszliśmy w poczet państw europejskich i Europie tyle jej obcych ziem przysporzyli, bo jak słusznie powiedział jeden z wielkich umysłów tego wieku: „gdzie ustaje łacina, tam ustaje Europa”, a pod łaciną rozumiemy wszyscy wielką spuściznę starożytnego świata, która chrześcijańskim ożywna duchem, stała się najwyższym moralnym i intelektualnym skarbem Zach-

390 Mowa ta znajduje się w całości u Lisickiego, Al. Wielopolski II, 445—451, oraz w „Dzienniku powszechnym” Nr. 273. Lisicki myli się, twierdząc, że wygłoszona ona została d. 3 grudnia. Pomyłka ta, a raczej niedopatrzzenie stąd pochodzi, że mowę „Dziennik powszechny” ogłosił dopiero pod tą datą.

du”. „Oświatą nie tylko jaśnieją i zasługują narody, ale nią się też i z upadku dźwigają; i gdzie wielkiej tej prawdy większe przykłady i upomnienia, jak właśnie u nas i we własnych, naszych dziejach?” „Dziś, gdy nowe ognisko narodowej oświaty wznosi się w samej stolicy naszego Królestwa, któż w tem nie widzi zapowiedzi nowej ery, zadatku szczęśliwszej przyszłości? rozumie to z nas każdy, bo spełnienie to gorących życzeń, które każdy z nas od dawna w duszy chował.

Obyśmy tylko również zrozumieli obowiązki, jakie na nas wkłada szczęśliwe nabycie tego źródła wiedzy i życia! Obyśmy zrozumieli, że tu nam dana podstawa, na której gmach przyszłości bezpiecznie i skutecznie wznosić można, a bez której wszelka budowa runąć musi ze sromotą obecnych, z zagładą przyszłych pokoleń! Młodzież zacna i szlachetna, kraj swój tak namiętnie miłująca i tak skwapliwie garnąca się do otwartego tu przybytku nauk, oceni trwożną miłość słów moich, a od dawnego ucznia wileńskiej szkoły, nie wątpię, że serdecznie przyjmie to upomnienie, że jeśli owa wszechnica, z takim pożytkiem się okazała dla kraju, z taką chwałą dla narodu, zasługa to nie była jej nauczycieli, ale daleko bardziej jej uczniów, zasługa ducha narodowego, moralnego i obywatelskiego, którego między sobą i o własnych siłach młodzież tameczna krzewić umiała. W ręku naszym, panowie, są tylko rządy nowo założonej szkoły; w ręku szlachetnej młodzieży są jej losy!”³⁹¹.

Piękna ta mowa, jako utwór krasomówstwa wzorowa, nie pozostała bez wrażenia, a jej zdanie: „gdzie ustaje łacina, tam ustaje Europa”, powtarzano sobie teraz i długo potem. Po mowie Mianowskiego, dziekan wydziału lekarskiego Dr. Le Brun odczytał sprawozdanie z pięcioletniego istnienia Akademii medycznej; prof. Plebański po łacinie czytał rozprawę: „o potrzebach i korzyściach uczenia się historii”, a Jan Kanty Wołowski miał rzecz „o zadaniu nauk społecznych i ich wzajemnej od siebie zależności”. Uroczystość zakończyła się poświęceniem, dokonaniem przez arcybiskupa Felińskiego, świeżo wyrestaurowanego pawilonu w pałacu Kazimierowskim. Wagę tego uroczystego i doniosłego w swych skutkach dnia, najlepiej podobno rozumiał sam Wielopolski. Gdy w trzy dni potem rektor z czterema dziekanami przedstawił się w pałacu Brühlowskim naczelnikowi rządu cywilnego, ten tak do nich przemówił: „zakład, kierownictwu waszemu powierzony, ma być dla młodzieży polskiej przybytkiem nauki i prawdy, za którymi idzie zawsze karność serc i umysłów.

Odpowie on temu przeznaczeniu przez wykłady po fakultetach mężów uczonych i zasłużonych, odpowie mu przez moc nad wszystkimi wydziałami

391 Mowa ta znajduje się w całości u Lisickiego, Al. Wielopolski II, 432 i nast.

mi górującą ducha porządku w zakładzie, sumienność waszą w pojmowaniu, niezachwianą powagę w spełnieniu waszego zadania. Ma ono, z toku rzeczy naszych, właściwą sobie i odrębną cechę; w rękach waszych, panowie, wydobrzeć ma u źródła swojego, jakim są wzrastające pokolenia, społeczność nasza od dawna schorzała. Będziecie ze wszech względów zwierzchnikami i ojcami garnącej się w około was młodzieży. Bez gnębienia zdrowego jej życia, bez poniewierki nad tymi, których szkolna zacność jest zarodem przyszłej ich godności obywatelskiej, aby nie wzbudzano w nich zewsząd już dzisiaj rozłechtywanej zarozumiałości, za którą idzie chęć przewodzenia, aby nie narowiono ich niewczesnem pobjaźaniem, nie uwodzono pochlebstwem³⁹².

Niemniej poważne miało znaczenie otwarcie Szkoły politechnicznej w Puławach, bodaj czy nie pierwszego tego rodzaju zakładu w Polsce. Otwarcie uroczyste Szkoły nastąpiło d. 12 października, na które zjechał dyrektor Komisyi oświecenia, Krzywicki, i w mowie, jaką przytem wygłosił, zachęcał młodzież do pracy. „Pragnąc (ta młodzież) sposobić się do usług publicznych, mówił, nie zapomni ani na chwilę, że pierwszym warunkiem na tej drodze, jest ściśle pełnienie przyjętych na się obowiązków”. Młodzież zapisywała się licznie, a Stanisław hr. Potocki, pragnąc ułatwić niezamożnym studentom kształcenie się w nowej politechnice, przeznaczył przez pierwsze pięć lat jej istnienia corocznie 10 stypendyów po 100 rubli każde. Z zebraniem ciała nauczycielskiego, Komisyja oświecenia miała wiele trudności.

Od dawna zaniedbane w Polsce nauki ściśle nie dawały sił odpowiednich do wykładu w Szkole wyższej. Posiłkowano się nauczycielami gimnazjalnymi, a między innymi Krzywicki, zdaje się z inicjatywy samego Wielopolskiego, zaproponował Jurgensowi objęcie katedry ekonomii politycznej w Puławach. I dziwna rzecz! ten człowiek, tak rozumny, oburzył się na tę propozycją. „Cóż to, mówił, skazują mnie na wygnanie!” jak gdyby nauczanie młodzieży polskiej gdziekolwiek bądź mogło być wygnaniem. Zdaje się, że za radą p. Władysława hr. Zamoyskiego, syna Andrzeja, propozycją tę stanowczo odrzucił.

Akta tak wielkiego znaczenia w historii rozwoju umysłowości polskiej, akta, które miały głębokie i długotrwałe piętno zostawić na społeczeństwie naszym, przebrzmiały wówczas bez echa. Prasa warszawska wspomniała o nich mimochodem, jak o rzeczy bez znaczenia, w takim samym tonie, w jakim mówiła o otwarciu sklepu z nowalijkami, lub o pobiciu się dwóch szewców na Podwału. Samo społeczeństwo także nie interesowało się nowo powstającą wszechnicą polską, a młodzież jej w kołach rewolucyjnych nie cieszyła się dobrą opinią, wskutek tego, że trzymała się z dala od ruchu i wyłącznie poświęcała się na-

392 Mowę tę czytać można w „Dzienniku powszechnym” Nr. 268, (a właściwie 269, gdyż przez pomyłkę dwa numera tą cyfrą oznaczono) z d. 28 listopada.

uce. Umysły zresztą były czem innem zajęte. Wielki problemat przyszłości polskiej pochłaniał wszystkich, a wobec tego problematu gasły i malały wszelkie inne kwestye. Zapowiedziany już od paru miesięcy pobór do wojska, wprawiał w nerwowy niepokój wszystką ludność miejską wszelkich sfer i zajęć i uwagę jej odciągał od najpoważniejszych nawet aktów społecznych, jeżeli te nie miały związku z branką, jak ją powszechnie zwano. Branka ta, która tak straszne miała skutki, która stała się kroplą przepełniającą naczynie i powodującą wylew szalony i wszystko niszczący, od dawna już w sferach rządowych była poruszana i rozpatrywana. Jeszcze w czerwcu rosyjski minister wojny uwiadomił rząd polski, że winien się zająć przygotowaniami do poboru wojskowego, który ma być dokonany w listopadzie 1862 r.³⁹³, na podstawie nowych przepisów, jakie co do tego przedmiotu zostały wydane w dniu 15 marca 1859 r. i ogłoszone przez „Dziennik praw Królestwa Polskiego”, i tym sposobem, nabierając mocy obowiązującej, znosiły same przez się wszelkie dawniejsze prawa i rozporządzenia. Te dawniejsze rozporządzenia pochodziły jeszcze z r. 1816, i mocą ich pobór do wojska dokonywany był z list, sporządzonych przez władze miejscowe. Do list tych wciągano wszystkich młodych ludzi, którzy liczyli pewną oznaczoną ilość lat i byli zdawnymi do służby wojskowej. Listy te przesyłano t. z. Komisjom rekruckim, które miały prawo wybierania z pomiędzy spisowych, tych, którzy wydawali im się najodpowiedniejszymi i nakazywały władzom policyjnym dostawienie wybranych. Termin samego poboru był trzymany w tajemnicy, ale zwykle pewna liczba spisowych czy to przekupstwem, czy inną drogą dowiadywała się o nim i ukrywając się na jakiś czas, oswabadzała się od ciężkiej, a jak po 1831 r. strasznej nawet służby wojskowej. Innych zaś brano, a brano w sposób mający wszystkie cechy średniowiecznego barbarzyństwa. Zwykle policja wpadała w nocy do domów, chwyciła gwałtownie młodych ludzi i pędziła ich do miasta. Dzień branki tym sposobem był dniem powszechnego popłochu, przerażenia, płaczu i głęboko się wbił w pamięć tych, którzy na to patrzyli.

Otóż ten dziki sposób brania do wojska, ten zabytek okrutnego XVIII wieku, cesarz Aleksander II zmienił w r. 1859, nakazując, by odtąd młodzi ludzie powołani do służby wojskowej nie byli wybierani potajemnie przez Komisye rekruckie, ale żeby losowali. Nowe prawo było oczywiście łagodniejszym, bardziej ludzkim, nie miało cechy gwałtu i przymusu, ale dla Królestwa było zawsze strasznem, podatek krwi najprzykrzejszym, zwłaszcza w czasach tak gorączkowych, w epoce tak rozbudzonej nienawiści do wszystkiego co rosyjskie.

Dodać należy, że od lat sześciu przeszło poboru do wojska w Królestwie nie było, że ludność od tego odwykła, że na koniec wszystkie te przyczyny razem

393 Lisicki, Al. Wielopolski I, 366.

wzięte, czyniły brankę czemś wstrętnem i groźnem. To poczucie grozy poborowej od czasu do czasu dreszczem przejmowało ciało społeczne, a od roku powtarzające się pogłoski o rekrutacyi zdawały się w widzeniu mas być zapowiedzią jakiejś oplakanej klęski, jaką w rzeczy samej stać się miały, niestety! Teraz jednak, gdy w ciągu lata 1862 r. zbliżający się pobór stał się faktem, niebezpieczeństwo zrazu nie wydawało się ani tak strasznem, ani tak groźnem. Wiedzano, że nowe prawo zniosło dawny system rekrutacyi, że zatem przy niem ani takich nadużyć, ani takich gwałtów jak dawniej być nie może; zresztą rzecz sama wydała się jeszcze dość daleką, termin bowiem branki ogółowi był nieznany, i, powtarzamy, wiadomość ta z początku wielkiego wrażenia nie wywarła. Owszem, w kołach rewolucyjnych pocieszano się tem, że branka może wśród ludu wiejskiego, odwykłego od niej i przy nerwowym nastroju chwili, wywołać zaburzenia, które w każdym razie będą wodą na młyn powstańczych ich zamiarów³⁹⁴.

W rządzie samym atoli, w nowym rządzie polskim, nakaz ministra wojny wywołał nie małą sensacyą. Rząd ten przy wykonaniu poboru miał niejako zdać egzamin, że jest zdolnym do spełniania obowiązków władzy, zadośćuczynienia najpierwszej potrzebie państwa. Wśród powszechnego wzburzenia umysłów rzecz to była niełatwa, a rząd polski winien jej był dokonać bez wywoływania niepokoju i zamętu, bez użycia nadzwyczajnych środków, cicho, sprawnie i energicznie. Otóż szło o to, czy będzie w stanie to zrobić, i Wielopolski doskonale to pojmował, że dla zamknięcia ust różnym wrogom, kopiącym dolki w Petersburgu, musi i powinien okazać, że rząd polski jest silny i czynny. Nie ukrywał tego przed sobą, że będzie to rzecz bardzo trudna.

Kontyngens, jaki dostarczyć miało Królestwo, oznaczony został na 12.000 ludzi³⁹⁵, a dla ich pobrania trzeba było powołać do losowania sześć razy tyle młodzieńców, t. j. około 72.000 popisowych. Byłaby to więc formalna wędrówka narodu, nagromadzenie po miejscach poborowych t. j. po miastach powiatowych i gubernialnych całych tłumów, co w tych czasach, pełnych niepokoju i burz nie było pożądanem, zwłaszcza, że zgromadzało się samą młodzież, najbardziej zrewolucjonizowaną, rozgrzaną do najwyższego stopnia, chciwie nadstawiającą uszu na wszelkie podszepty. Nieuniknionem następstwem takiego stanu rzeczy byłyby liczne ekscesa, zaburzenia, krwawe może starcia i awantury, które, przeszkadzając samemu poborowi, narażałyby rząd autonomiczny polski na słuszny zarzut nieprzyjaciół, że nie jest zdolny do niczego i jak każda władza czysto polska anarchiczny w sobie i nieudolny. Wobec tego Wielopolski wpadł na osobliwszą myśl, a jak niektórzy utrzymu-

394 Pawliszczew, Siedmicy I, 114.

395 Lisicki, Al. Wielopolski I, 366.

ją, za radą syna Zygmunta³⁹⁶, ale to go wcale nie usprawiedliwia, gdyż myśl była zdrożną i świadczyła, jak dalece człowiek ten, legalista w dotychczasowych słowach i czynach swoich, zatracił w rządzie despotycznym poczucie prawa i jak, przykładem rosyjskim, dla chwilowych widzeń lub potrzeb, gotów był to prawo gwałcić i na stronę usuwać. Myśl ta polegała na tem, żeby moc przepisów z r. 1859 zawiesić, a powrócić do dawnego sposobu rekrutacji, określonego przez prawo z r. 1816, sposobu, jakieśmy to powiedzieli, barbarzyńskiego, złego, nigdzie już w cywilizowanym świecie niepraktykowanego. Było to najwyraźniejsze pogwałcenie prawa ogłoszonego publicznie i wszystkim wiadomego; było to zachwianie wiary w rząd, który i tak już bardzo słabą cieszył się ufnością narodu.

Nie ulega wszelako wątpliwości, że środek ten zapobiegał zbyt szkodliwemu nagromadzeniu się spisowych po miastach, a stąd obawie zaburzeń, ale po-deptanie prawa było użyciem zbyt silnego lekarstwa na chorobę bardzo słabą.

Dla zapobieżenia możliwym zawichrzeniom, dość było w miastach, w których się miało odbywać losowanie, skonsygnować po parę kompanii piechoty i kilkunastu kozaków, a siły te aż nadto by wystarczyły dla utrzymania porządku i powagi rządowej. Wielopolski doskonale o tem wiedział, i jeżeli przychylił się do projektu syna, to nie ze względu na mogące wyniknąć przy rekrutacji zaburzenia, ale z zupełnie innych, o wiele poważniejszych powodów. Chciał on użyć poboru jako środka politycznego dla zniszczenia stronnictwa rewolucyjnego w kraju, i jeżeli można rozgrzeszyć margrabiego za jego postępek, to tylko z tego względu, że ostatecznie miał dobro kraju na oku i przez radykalne zastosowanie lekarstwa zbyt gwałtownego, chciał wykurować naród z ciężkiej choroby. W tym celu powziął on projekt, ażeby pobór ograniczyć do sześciotysięcznego, a najwyżej do ośmiotysięcznego kontyngensu i powołać doń tylko ludność miejską, z wyłączeniem ludności wiejskiej, w stosunku 5 procentów z tysiąca całego mieszczaństwa; a ponieważ obliczano, że ludność miejska w ogóle liczy 1,200.000 głów, więc mianoby mniej więcej 6000 spisowych. Z pomiędzy mieszkańców wsi, z klasy oficjalistów, rządców, ekonomów i t. p., którzy także stanowili element rewolucyjny, zamierzał Wielopolski wziąć około 2000 i tym sposobem kontyngens ogólny poborowy wynosiłby około 8000 ludzi³⁹⁷. Ponieważ stronnictwo powstańcze w kraju składało się wyłącznie prawie z ludności miejskiej, z drobnych urzędników, mieszczan, rzemieślników, więc powołanie tych klas do wojska rwało nici organizacyi powstańczej i zadawało jej cios tak stanowczy, że z niego podnieść by się już

396 Koźmian, Rzecz II, 292.

397 „La pologne et la diplomatie”, 5. Raport konsula jeneralnego angielskiego w Warszawie, p. White z d. 14 stycznia 1863 r.

nie mogła. Tego rodzaju poboru zaś nie można było przeprowadzać według regulaminów nowego prawa, gdyż nieodzownie wybuchłyby rozruchy, trzeba więc było uciec się do dawnego sposobu, do tajemnej, nocnej rekrutacji, z wyraźnym wskazaniem osób, które mają być koniecznie wzięte.

To był główny i jedyny powód, dla którego Wielopolski postanowił zawiesić moc prawa z r. 1859, a przywrócić dawne z r. 1816³⁹⁸.

Projekt ten przedstawiony W. ks. Konstantemu, nadzwyczajnie mu się nie podobał i zrazu znalazł tak w nim, jak i w otoczeniu jego wojskowem silną opozycją. To ostatnie już dlatego oponowało, że projekt pochodził od Wielopolskiego, którego szczerze nienawidzili, choćby z tego względu, że odebrał im wszelką władzę w Polsce, w tej Polsce, którą oni uważali zawsze za źródło zaszczytów, władzy i pieniędzy; za to, że oni do niedawna pierwsi w Warszawie, teraz zeszli na plan drugi i godzinami wyczekiwać musieli w przedpokojach margrabiego. A przytem wiedzieli, że cały ciężar takiego poboru, jaki proponował Wielopolski, spadnie na wojsko i uważali w tem, w wykonywaniu służby prostych pachołków policyjnych, pewne upokorzenie dla armii³⁹⁹. To też zaoponowali oni żywo w osobie generała Ramsaya, ówczesnego naczelnego wodza armii, w Królestwie konsystującej. Przez szczególną ironią wypadków, ten generał rosyjski stał się teraz obrońcą legalności i prawa, wobec Polaka, naczelnika rządu polskiego, który proponował bezprawie.

Ramsay domagał się, że jeżeli już jest koniecznem zawieszenie regulaminu z r. 1859, to w żadnym razie nie należy uciekać się do wstrętnych przepisów z r. 1816; że wystarczającym będzie, gdy każdy spisowy otrzyma od władz właściwych wezwanie piśmienne, by się stawił w oznaczonym czasie przed Komisją rekrucką⁴⁰⁰. Wprawdzie, mówił dalej, jest rzeczą pewną, że ogromna większość spisowych nie uczyni zadość wezwaniu i ukryje się, ale rząd nie będzie miał na sobie zarzutu, iż postępuje nielegalnie, że otwiera drzwi na oścież wszelkiego rodzaju nadużyciom. Zdania te, wraz z widoczną niechęcią samego W. księcia dla pomysłu Wielopolskiego, zdawały się przez chwilę brać górę. Konstanty widział to dobrze, iż projekt margrabiego wywoła prawdziwą burzę

398 Że pomysł powyższy wyłącznie pochodził od Wielopolskiego, świadczy rozmowa, jaką miał w d. 21 lutego 1863 r. ambasador angielski w Petersburgu, lord Napier, z wicekanclerzem rosyjskim ks. Górczakowem. „Jego Ekscelencya, pisze o ks. Górczakowie poseł angielski, dodał, że ten sposób rekrutacji został zaproponowany przez margrabiego Wielopolskiego. Zrobiłem uwagę, iż słyszałem, jakoby margrabia zaaprobował tylko ten środek i że zdziwiony jestem, dowiedziawszy się, że od niego on pochodził. „On pierwszy go doradził”, odrzekł mi wicekanclerz”. (*La Pologne et la diplomatie*, 97).

399 *Verstorbene Diplomat. Die polnische Revolution vom Jahre 1863. (Deutsche Revue z r. 1893)*, p. 348.

400 *Loc. cit.*

i wzmoże nienawiść do rządu, a zatem jest wręcz przeciwny misji, dla której brat cesarski przyjechał do Warszawy, misji spokoju, zgody i zyskania sobie serc polskich. Opozycja naczelników wojskowych dawała mu także dużo do myślenia; jeżeli bowiem wojsko źle i niechętnie weźmie się do rzeczy, to cała sprawa, ten zamach stanu, jak go nazywano, może się nie udać, a w razie nieudania się, opłakane dla rządu sprowadzić następstwa. Wiedział on dobrze, iż jest niepopularny od dawna w armii; że okrzyczany jego liberalizm, jego zamiłowanie do marynarki i stawianie jej na pierwszym planie, wyraźne okazywanie jej pierwszeństwa, wytworzyło mu wśród wojsk lądowych wiele niechęci⁴⁰¹, i że teraz ta niechęć, w razie jeżeli pomysł margrabiego wejdzie w wykonanie przy pomocy armii, wzrośnie niezwykle i kto wie, do jakich rezultatów doprowadzić może. Przytem to chwytywanie ludzi po nocach, to skazywanie winnych i niewinnych do wojska, to ograniczenie poboru do pewnych klas społecznych, widoczny charakter politycznego zamachu, jaki mu nadawano, budził w Konstancym wstręt głęboki.

Ale Wielopolski, nie ukrywając wcale wszystkich złych stron swego projektu, wyraźnie i głośno mówiąc, że „nie będzie to konskrypcja, ale proskrypcja” (*Monseigneur, ce ne serait pas une conscription, mais une proscription*)⁴⁰², miał zanadto wielką jeszcze przewagę w rządzie, zanadto wierzone w jego rozum, by nie miano mu ustąpić ostatecznie. Cały projekt, nie przedstawiony wcale Radzie stanu, jak tego prawo wymagało, co było nowym pogwałceniem przepisów, został przez W. księcia do Petersburga przesłany. Tam, zwyczajem rosyjskim, patrzano na rzeczy oczami władz miejscowych, przytem żywno jeszcze nadzieję, że odwieczny spór polsko-rosyjski da się na drodze pokojowej załatwić, wierzone w mądrość Wielopolskiego, a nie znając w skutek samego oddalenia od miejsca mnóstwa drobnych szczegółów, okazywano z niezaprzeczoną dobrą wolą wszelkie poparcie projektom rządu polskiego, byle tylko nie dotyczyły one zasadniczych zmian w samym rządzie. Nie bez pewnych jednak wahań, po zamianie dopiero kilku korespondencji z W. księciem, ostatecznie ustąpiono i cały projekt zatwierdzono, o czym minister wojny przez reskrypt z d. 17 września⁴⁰³, uwiadomił namiestnika w Królestwie.

O tych wszystkich zmianach i projektach ogół polski nic nie wiedział. Rzecz cała odbywała się w najwyższych sferach rządowych, w gronie kilku zaledwie osób i do wiadomości publicznej nie dochodziła, a jeżeli dochodziła, to w formie bardzo niejasnej i noszącej wyraźnie na sobie charakter plotkar-

401 Loc. cit. 342.

402 Lisicki, Le marquis II, 343.

403 Nie z d. 18 września, jak utrzymuje Lisicki, Le marquis II, 343. Patrz Nr. 224 „Dziennika powszechnego”.

ski. I nikt zapewne nie byłby się dowiedział o zamysłach Wielopolskiego, aż dopiero w dniu ich wykonania, gdyby on sam nie był ich opublikował w urzędowym „Dzienniku powszechnym”.

Ni stąd ni zowąd, w d. 6 października ukazał się artykuł oficjalny, w części urzędowej pomieszczony, w którym autor, zapewne sam Wielopolski, opowiedziawszy całą historią prawa o rekrutacji, w końcu w ten sposób się odzywa: „najjaśniejszy pan, wzięwszy na uwagę, iż z powodu wydania w Królestwie Polskiem nowego prawa o oczynszowaniu z urzędu, właściciele ziemscy i włościanie rolnicy, powołani będąc obecnie do radykalnej zmiany wzajemnych swych stosunków, zasługują na oszczędzenie od zaciągu do wojska, i że podciąganie ich teraz pod ogólny pobór mogłoby wstrzymać postęp regulacji tychże stosunków, mając oraz na względzie, że w położeniu wyjątkowym, w jakim się Królestwo Polskie znajduje, pobór do wojska przez losowanie mógłby się stać na teraz niedogodnym... rozkazać raczył: a) iżby pierwszy ogólny pobór do wojska w Królestwie Polskiem jeszcze odłożonym został, ograniczając się obecnie na poborze częściowym, odbyć się mającym na wyjątkowych zasadach. Zamiast losowania... nastąpi na ten raz imienne wykazywanie podług dawnego porządku ludzi na pobór, przez właściwe władze do tego przez Radę administracyjną Królestwa ustanowić się mające; b) że od zaciągu w pierwszym poborze wolni być mają właściciele ziemscy, oraz włościanie rolnicy, niemniej czeladź dworska, wyłącznie do zatrudnień rolnych używana; pozostała zaś ludność wiejska, a w tej liczbie posiadacze pojedynczych osad rolnych, czyli tak nazwani właściciele cząstkowi, dzierżawcy, oficjaliści dworscy i w ogólności cała ludność wiejska do powyższych trzech kategorii nie należąca, tudzież ludność miejska wszystkich miast Królestwa, bez różnicy wyznania, dostarczy kontyngens w wysokości, jaka w swoim czasie oznaczoną zostanie” i t. d.⁴⁰⁴.

Jakie były powody, które kazały Wielopolskiemu rozkryć wszystkie atuty swej gry, trudno odgadnąć. Nie ulega bowiem wątpliwości, że proponowana przezeń branka w tej formie była wyraźnym aktem politycznym i wyraźniejszym jeszcze zamachem stanu. Szło o pokonanie groźnej i niebezpiecznej dla przyszłości kraju partii powstańczej i w tym celu, z pogwałceniem wszelkich praw i przepisów, chwycono się radykalnego środka, tłómacząc się rzymską zasadą, że najpierwszem prawem jest zbawienie ojczyzny.

Ale historia, praktyka, doświadczenie wieków przeszłych uczyło i przekonywało, że wszelkie zamachy o tyle tylko udają się i stanowią za sobą skutki pociągają, o ile są przygotowywane w tajemnicy, i w danej chwili, z siłą niespo-

404 „Dziennik powszechny” Nr. 224 z d. 6 października.

dziewanego i wszystko druzgoczącego piorunu, wykonywane. Otóż, przedwczesne, na trzy blisko miesiące sam zamach uprzedzające ogłoszenie o nim, odbierało mu wszelką moc, pozbawiało go tej siły, jaka do powodzenia była konieczną. Ci, przeciw którym cios miał być wymierzony, uprzedzeni, z której strony on padnie, mieli czas przygotowywać się na jego odparcie, a przynajmniej na osłabienie jego uderzenia. Nie można przypuszczać, by Wielopolski, który najlepszą część swego życia poświęcił poważnym badaniom dziejów ludzkich, człowiek niezaprzeczenie rozumny, nie widział tego, że uprzedzenie nieprzyjaciela o zasadzce, odbiera tej zasadzce wszelką skuteczność. Musiały więc być inne motywy, motywy bardzo głębokiej natury, motywy psychologiczne, że tak powiemy, które Wielopolskiemu kazały tak postąpić i całą doniosłość jego zamiarów podkopać. Nie można powątpiewać i nikt nie wątpił nigdy, że margrabia był dobrym Polakiem i w swej naturze miał wiele wad i przymiotów polskich; że wychował się wśród otoczenia polskiego, a nie ma takiej natury na świecie, takiego charakteru, na który by otoczenie wpływu nie wywierało. To też, gdy ostatecznie po długiej zapewne walce wewnętrznej zgodził się na projekt syna, by wszystką młodzież miejską, kwiat polskiej narodowości oddać ze względu na dobro ojczyzny w ręce rosyjskie, ubrać go w szary płaszcz wojskowy, posłać nad Ural i na Kaukaz na zatracenie w większej części, w duszy jego obudziła się pewna groza przed takim krokiem Brutusowym, przed oddaniem dzieci trzew własnych pod miecz katowski, na zagładzenie zupełne. Wszak to byli Polacy, bracia jego, a choć bracia błędzący i szkodliwi dla kraju, ale zawsze swoi, swoi nieszczęśliwi i w swych błędach i zbrodniach nawet usprawiedliwieni, bo złe, które spełniali, pełnili w najlepszej wierze, w tem przekonaniu, że pracują dla ojczyzny. Jeżeli więc rozum statysty i polityka nakazywały margrabiemu chwycenie się tak radykalnego i tak strasznego w swym radykalizmie środka, to serce, to dobre, pocziwe serce polskie szeptało mu, by zostawił nieszczęśliwym skazańcom pewną furtkę otwartą, możliwość ratunku. Tą furtką, tą możliwością ratunku, było publiczne uwiadomienie ich o grożącym im niebezpieczeństwie. Teraz każdy wiedział, co go czeka i miał czas się ratować. Wielopolski prawdopodobnie przypuszczał, że ogromna ich większość skorzysta z tego i zbiegnie za granicę, a tym sposobem kraj oczyści się od żywiołów rewolucyjnych, i tajemna branka schwyci tylko tych, którzy własnowolnie jej ulegną, ludzi wreszcie, których utrata wielkiej szkody krajowi nie przyniesie⁴⁰⁵. Niestety! pomimo całej bystrości swego umysłu i całego

405 V. Halban Henryk, *Polen und das Jahr 1863*, p. 21. Że Wielopolski miał takie pragnienie, świadczy artykuł „Czasu” krakowskiego, widocznie inspirowany z Warszawy, który ukazał się w d. 13 stycznia 1863 r. i w tonie uroczystym wzywał młodzież, aby kryła się za granicę przed branką, a nawet dozwalała się brać do wojska rosyjskiego, a powstania

rozumu, nie wiedział on, jakiej już nabył siły ruch powstańczy i z jaką, wszystko zmiatającą przed sobą gwałtownością pędził on naprzód; nie przeczuwał, że ruch ten nie będzie się dla ocalenia chwycił dróg pośrednich, ale wszystko od razu postawi na kartę.

Bądź co bądź, czy takie, czy inne miał Wielopolski powody do ogłoszenia o brance, ogłoszenie to wywarło piorunujące wrażenie na wszystkich bez wyjątku. Jawnem było teraz, że rząd przygotowuje zamach polityczny i oburzenie było powszechne i bezwzględne. Nawet ci, którzy mimo licznych błędów margrabiego statecznie dotąd przy nim stali, nawet najumiarkowańsi widzieli w tym nowym jego i niezmiernie ważnym kroku, nie już nieumiejętność rządzenia, ale wyzywanie niejako samego nieszczęścia, by przyszło i ojczyznę polską w straszniejszą niż dotąd pogrążyło nieszczęście.

Wydawało im się niesłusznym i niesprawiedliwym, by jedna tylko klasa narodu płaciła zohydzony podatek krwi, a choć w nowej rekrutacji widzieli krok polityczny, wątpili, czy wobec gorączki ogólnej, wobec tysiąca nieprzewidzianych okoliczności, wykonanie dopisze zamysłowi. Przytem samo obwieszczenie o brance w gazecie urzędowej było tak nieściśle w wyrażeniach i określeniach, że łatwo można było z niego wnioskować, iż władza przy wykonaniu nowego prawa chce mieć wolną rękę i każdego politycznie podejrzanego obywatela, do jakiegokolwiek by on należał kategorii, tym sposobem pozbyć się z kraju. W ogłoszeniu nie oznaczono nawet cyfry kontyngensu, jaki Królestwo miało dostarczyć, co także kazało przypuszczać, że i w tym względzie rząd niczem nie chce być skrępowany. Jednem słowem, nawet najspokojniejsi ludzie widzieli w nowej rekrutacji akt politycznego gwałtu, akt, w którym nie szło o wypełnienie przez kraj obowiązku państwowego, ale o wywiezienie z tego kraju winnych i niewinnych i oddanie ich na zatracenie. Wielu z pomiędzy dawnych znajomych margrabiego, którzy umieli z nim utrzymać stosunki teraz, gdy stał u szczytu władzy i gdy był powszechnie znienawidzony, zgłaszało się doń i robiło mu uwagi, że nowa, w ten wyjątkowy sposób przeprowadzona rekrutacja, musi wywołać, wśród powszechnego rozgorączkowania umysłów, powstanie, że może ona spowodować straszne nieszczęścia i nie dające się obliczyć następstwa. Na uwagi te odpowiadał chłodno: „wrzód zebrał i rozciąć go należy. Powstanie stłumię w ciągu tygodnia i wtedy będę mógł rządzić”⁴⁰⁶. Inni nie mając nic w zasadzie przeciw wyjątkowości środków, gdyż położenie było wyjątkowe, ani przeciw samej brance, która kraj mogła zbawić od okropnego nieszczęścia, podawali jednak w wątpliwość możliwość wykonania takiego zamysłu.

nie robiła. Artykuł starał się obudzić w młodzieży to przekonanie, że wszędzie może ona dla dobra kraju pracować i sławę imienia polskiego roznosić.

406 A. Giller, *Al. hr. Wielopolski*, 118.

Jeden z wybitniejszych ziemian tej epoki, który w sprawie nieudanego adresu do W. księcia po zamachu Jaroszyńskiego, odegrał pierwszorzędną rolę, zapytał się raz pana Zygmunta Wielopolskiego, czy rząd posiada choć piętnaście nazwisk spisanych tych, których zamierza i powinien wziąć, usłyszał odpowiedź dziwną zaiste i niepojętą, że „nic nie ma, nie ma ani jednego nazwiska”⁴⁰⁷. Wobec tego każdemu, mniej więcej przewidującemu umysłowi stawało się jasnym, że zamach się nie uda, udać się nie może i wywoła tylko próżny rozlew krwi, straszną zawieruchę w kraju.

Stronnictwo Czerwonych, cała organizacja powstańcza niemniej była przerażona ogłoszoną przez „Dziennik” branką. Jeżeli dotąd przypuszczali, że wszystkie klasy narodu powołane będą do wojska, i że w skutek tego wśród ludu mogą wyniknąć zaburzenia, i w tej nadziei branka nie wydawała im się ani straszną, ani groźną, to teraz tych złudzeń pozbyć się musieli. Komitet centralny na razie nie wiedział, co robić, i jak odwrócić cios grożący organizacji. Szukając wszędzie ratunku, trafił do Wielopolskiego przez pośrednictwo niejakiego Horbowskiego, ziemianina z okolic Rawy, który znał od dawna margrabiego. Horbowski miał przedstawić Naczelnikowi rządu cywilnego, że „branka nie ma najmniejszych podstaw prawnych, że może ona wywołać powstanie i wielkie na kraj sprowadzić klęski”. Wielopolski wysłuchał tych uwag i odrzekł: „tu nie chodzi o zasadę prawną, ale o spokój; a gdyby zamieszanie stąd wynikło, w kilka godzin potrafię je uśmierzyć. A gdy spokój mieć będę, wtedy obaczą, co potrafię zrobić dla kraju”⁴⁰⁸. Było to jasno i wyraźnie powiedziane i na ustępstwa ze strony Wielopolskiego, który zresztą nie był człowiekiem ustępstw, stanowczo liczyć nie można było. Wielu między Czerwonymi i w Komitecie pocieszało się tem, że pobór nie będzie dokonany bez oporu, zwłaszcza na prowincyi, i opór ten brali w rachubę⁴⁰⁹.

Ale wszystko to były nadzieje niepewne i należało coś stanowczego przedsięwziąć, zwłaszcza, że ogłoszenie „Dziennika” wśród organizacji szalony popłoch spowodowało. Widziała ona dobrze, iż pobór wyłącznie przeciw niej był wymierzony, i większość, pokrywając interesem ogólnym osobistą obawę i dbałość o własną skórę, wołała na Komitet, by ją ratował, by coś przedsięwziął i brance samej w ten lub inny sposób zapobiegł. Powszechną jednak opinią wśród całego sprzysiężenia było to, że jedynym środkiem na zapobieżenie brance jest jednocześnie z nią powstanie. Położenie Komitetu centralnego było bardzo opłakane. Jakkolwiek pozbawiony dwóch swoich najwybitniejszych członków: Gillera i Padlewskiego, którzy byli w Anglii, a przynajmniej jesz-

407 Relacja ustna od owego ziemianina.

408 A. Jeziorański, Pamiętniki I, 133.

409 Pawliszczew, Siedmicy I, 148.

cze z niej nie wrócili, przejęty był zaszczepionem głęboko przez obu tych spiskowców przekonaniem, że powstanie w tej chwili, ani też za dwa miesiące jest niemożliwe, że niepodobna narażać przyszłości kraju dla ocalenia kilku tysięcy ludzi, z pomiędzy których i tak znaczna część zdoła się sama ocalić. Ale począł on już teraz doznawać wszystkich niedogodności sprzysiężenia tajnego, pić gorzki odwar spisku. Organizacja, rozszerzana w ostatnich paru miesiącach coraz gwałtowniej, ogarniała sobą wielką ilość najrozmaitszych ludzi. Komitet przez to zyskiwał na obszerności swej władzy, ale tracił na jej głębokości i sile. Aresztowania przerzedzały dawniejsze doborowe słoje sprzysiężenia, wchodzili doń ludzie nowi, kontrola nad niższymi rozgałęzieniami i prądami, jakie w nich się ukazywały, była coraz trudniejszą, a więc i nadawanie kierunku jednolitego i sfornego niepodobnem. Już teraz Komitet miał się przekonać, z bolesnem zapewne przecuciem strasznego niebezpieczeństwa, że z kierownika staje się sługą organizacy i pójść musi tam, dokąd ona go popchnie. Jakoż wobec branki, nacisk tych niższych słojów sprzysiężenia z każdym dniem stawał się silniejszy, domaganie się o naznaczenie powstania coraz gwałtowniejsze. Wiele tu oczywiście zależało od wydziałowych, a zwłaszcza okręgowych, którzy stykając się bezpośrednio z niższą organizacją, mogli na nią wpływać uspakajająco. Na nieszczęście większość tych panów była tak samo usposobiona, jak ich podwładni. Jakie zaś usposobienie wśród nich przeważało, jak jednak te masy, zaniepokojone branką, można było uroczystem zaklęciem na dobro ojczyzny poprowadzić na drogę właściwą, świadczą wypadki następujące:

Do jednego z naczelników wydziałowych w Warszawie, Tomasza B., zgłosił się w tych czasach niejaki Stanisław Olszański, okręgowy kolei warszawsko-wiedeńskiej, która w organizacyi miejskiej stanowiła osobny okrąg, należący do najburzliwszych i najsilniej domagających się niezwłocznego wybuchu. Olszański oświadczył, że wśród jego podwładnych panuje takie rozgoryczenie na Komitet centralny i tak jednobrzmiące nalegania o powstanie słyszeć się dają, że on za swój okrąg nie odpowiada. On sam, urzędnik tejże kolei, człowiek młody, serdeczny, całą duszą oddany sprawie, jak to wtedy mówiono, miał jednak na tyle rozumu, iż uważał natychmiastowe powstanie za wierutne głupstwo, gorzej nawet, za zbrodnię względem kraju. Był więc jak w gorączce, rozpacział po prostu i prosił wydziałowego B., by przyszedł na zebranie okręgowe i starał się wpłynąć uspakajająco na umysły. B. zgodził się na to i wieczorem udał się na ulicę Jasną do jednego z domów, gdzie w oficynie na trzecim piętrze, w mieszkaniu złożonem z trzech pokoi, całkiem prawie pustych, zebrania owe się odbywały. W pierwszym pokoju znajdował się stół, przy którym siedział kasyer okręgu i odbierał od każdego z wchodzących członków

składkę tygodniową. Członkowie przychodzili wprost z warsztatów lub fabryk, w brudnych bluzach, czarni, okopceni i znikali w ostatnim pokoju, gdzie się odbywało posiedzenie. Tam młody ksiądz D. z rewolwerem w ręku perorował głośno i namiętnymi słowy zachęcał otaczających do zbrojnego powstania, a Komitetowi centralnemu, który się opiera temu powstaniu, nie szczędził słów potępienia, jego członków za jawnych zdrajców uznawał, zasługujących tylko na stryczek i sztylet. Nieznany ten trybun ludowy w sutannie, nowy ks. Puławski, rzucał zarzewia rokoszu przeciw władzy, którą samo sprzysiężenie stworzyło, a co gorsza przeciw własnej ojczyźnie. Wówczas wystąpił wydziałowy B. i starał się wykazać różnicę sił, jakie ma Rosya, a jakie mieć może przyszłe powstanie; twierdził, że do walki tak nierównej nie ma dotąd żadnych przygotowań, że porwanie się z pięściami i kijem na potężne mocarstwo będzie wprost zdradą ojczyzny, zabójstwem własnej matki. W końcu zapytał zebranych: „w jakim celu powołał ich Komitet do wspólnej pracy, czy dla ocalenia ich od poboru wojskowego, czy dla zbawienia ojczyzny?” Z pośrodku tłumnie zebranych, z mrocznych cieniów, jakimi byli otoczeni, odezwał się jakby jeden głos, że „dla zbawienia ojczyzny”. „Skoro tak, rzekł B., to pytam was, czy dacie się wziąć do wojska moskiewskiego bez oporu, gdy to będzie koniecznem, gdy Komitet tego od was zażąda dla dobra ojczyzny?” I znowu z tego szarego tłumu zabrzmiała jedna odpowiedź: „damy się wziąć!” „Dla tych ludzi twardej ręki i wielkiego serca, opowiada pamiętnikarz⁴¹⁰, słowa „zbawienie ojczyzny” miały magiczną siłę. Nie było takiego wymagania, którego by im nie można było postawić w imieniu ojczyzny; zawsze gotowi oddać wszystko co posiadali, ostatni grosz, ostatnie tchnienie życia”. Zaiste! wspaniały entuzjazm, który jeden tylko ocala tych ludzi od potępienia przez historią.

W Lublinie część organizacyi miejskiej za pośrednictwem swych setników, na wieść o poborze, oznajmiła wojewódzkiemu Kazimierzowi Gregorowiczowi, że jeżeli władza wyższa t. j. Komitet centralny nie nakaze powstania, to sprzysiężeni wywołają walkę zbrojną na własną rękę. Gregorowicz, przejęty ideą stworzenia państwa tajemnego polskiego, całkiem inaczej sobie postąpił jak Tomasz B. Odpowiedział on organizacyi w tonie surowego napomnienia, że „wobec nieprzyjaciela należy zachować jak największą jedność; wszelkie samowolne wybryki, zrywając ją, mogłyby narazić sprawę narodową na szwank niepowetowany.

Komitet centralny zapowiedział, że nie pozwoli na przeprowadzenie poboru, należy zatem czekać spokojnie na postanowienia władzy naczelnej. Wszelkie nieposłuszeństwo ukaranem będzie surowo; nazwisko wichrzyciela odda-

410 Tomasz B. Pamiętniki (rękopism).

nem będzie na wzgardę całego narodu”. Odpowiedź ta okazała się skuteczną; organizacja lubelska czekała cierpliwie na wypełnienie obietnicy ze strony Komitetu centralnego⁴¹¹.

Z opisu tych faktów, łatwo się przekonać można, że jakkolwiek nacisk ze strony niższej organizacji był silny, przecież przy umiejętności postępowania, można go było okiełznać, a jakeśmy powiedzieli, wiele w tym względzie zależało od wydziałowych i wojewódzkich; tylko takich wydziałowych jak Tomasz B. i wojewódzkich jak Gregorowicz było niewiele niestety! Na nieszczęście wszelkie oddziaływanie tego rodzaju teraz już na nic się zdać nie mogło, gdyż ukazała się owa osławiona „kartka o poborze”, wydana przez frondujących Mierosławczyków, i zapowiadająca w imieniu Komitetu centralnego, że niktogo ze sprzysiężenia wziąć do wojska nie da. Sprzysiężenie to przekonane było, że owe zapewnienie wydał w istocie Komitet centralny i tem silniej na niego nalegało, by przyrzeczenia dotrzymał, t. j. oznaczył termin powstania, jako jedyne ratunku przed branką. Wiemy już, że owa kartka wywołała burzę w łonie samego Komitetu i za sprawą Szwarcego wyrzucenie sromotne paru członków, ale zapewnienie pozostało zapewnieniem, gdyż Komitet, nie mogąc okazać publicznie swej bezsilności i anarchii panującej w spisku, nie mógł jej zaprzeczyć. Z drugiej strony powstania naznaczać nie chciał, choć przeczuwał, że wcześniej czy później do niego zmuszonym zostanie; robić jednak coś musiał, by sparaliżować cios, wymierzony przez Wielopolskiego. Zrazu starał się za pośrednictwem prasy tajnej te same wygłaszać zdania, jakimi Tomasz B. zaklął członków swego wydziału, by osobiste względy i osobiste bezpieczeństwo poświęcili dobru ojczyzny.

„Strażnica” w jednym ze swych numerów⁴¹², pośrednio, w obsłonkach zapewniała, że branka nie jest rzeczą straszną, że przeciwnie może korzyść przynieść krajowi, bo „od lat wielu gnana w carskie szeregi polska młodzież, oprócz apostolskiego swego posłannictwa, nie spuszczała nigdy z uwagi, iż z czasem ma się stać zawiązkiem siły zbrojnej narodowej. Dzisiaj już mamy sto tysięcy uzbrojonych i wymusztrowanych polskich żołnierzy, którzy, jakkolwiek na ogromnej rozsiani przestrzeni, gotowi są w każdej chwili do przejścia pod rozwinięte z orłem białym i pogonią chorągwie; mamy oficerów, którzy całym sercem będą umieli sparaliżować dla sprawy narodowej wymierzone na nasze działania rozkazy; mamy załogi twierdz silnych, które ułatwią do nich wejście swym braciom, za wolność walczącym; mamy majtków w rosyjskiej marynarce, którzy w danym razie potrafią opanować i oddać na użytek świętej sprawy okręty; mamy nade wszystko za sobą lud rosyjski, który osądziwszy na

411 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny II, 137.

412 Nr. 22 z d. 24 listopada 1862 r.

chorągwiach naszych napis: „za waszą i naszą wolność!” ręka w rękę obecnie ku zamierzonemu celowi postępuje”. „Polacy, których szaleństwo carskie zagania na nowe apostołstwo, nie zapomną nigdy o swem opatrnościowym dla Słowiańszczyzny i wolności posłannictwie. Gdziekolwiek wtrąceni, pójdą utorowaną przez swych poprzedników drogą, nie ustaną nigdy w pracy nad obaleniem caratu, nad pomszczeniem krzywd narodu, i czy to z Rosyanami, czy też z jakimkolwiek innym ludem, przez carat ujarzmionym, bezustannie działać i sojusze zawierać będą”.

Marna to jednak była pociecha dla tych, którzy czuli nad sobą groźbę branki. W podniesieniu powszechnem uczuć patryotycznych, obawa służby w wojsku rosyjskiem wydawała się czemś tak strasznem i potwornem, że sentymentalne nadzieje „poniesienia ze sobą praw człowieczych, poniesienia wolności dżumy” do Rosyi, nikogo nie wabiły i dostateczną nagrodą się nie wydawały.

To też nacisk na Komitet centralny, by coś robił, coś radził, domaganie się, by spełnił swe przyrzeczenie, dane w „kartce o poborze” (bo większość organizacji sądziła, że ją Komitet wydał), było coraz gwałtowniejsze i coraz silniejsze. Komitet jednak na razie nie wiedział co robić, jak zażegnać straszną burzę, która się zbliżała i która mogła i jego samego wyrzucić i kraj pogrążyć w morze nieszczęść nieprzebrane. Drogę do wyjścia z tego położenia przykrego i zgubnego, zdawało mu się że znajdzie, jeżeli postara się o rozwiązanie Rad miejskich i powiatowych. Czyj to był pomysł, nie wiemy, ale nie był on źle obrachowany, i jeżeli nie zapobiegał zupełnie poborowi, to przynajmniej przeprowadzenie go znacznie utrudniał Wielopolskiemu. Ponieważ w atrybucy Rad miejskich i powiatowych wchodziło wyznaczanie Komisji konskrypcyjnych, które sprawą rekrutacji zajmować się miały, więc rozwiązanie samych Rad wprowadzało niejaki zamęt w całą tę kwestyę i szybkie jej wykonanie czyniło niemożliwem. Same zresztą Rady powiatowe uprzedziły w pewnej mierze to domaganie się Komitetu centralnego. Pod wpływem opinii powszechnej i oburzenia, jakie w całym kraju wywołało zapowiedzenie wyjątkowego poboru, pod naciskiem mnóstwa tajemnych odezw, gróźb i napomnień, jakimi zarzucani byli członkowie Rad, wiele z nich w sprawie poboru stanęło w opozycji z rządem. Niektóre z nich, jak np. Hrubieszowska, domagały się, aby „dla braku rąk do pracy, zmianą stosunków włościańskich wywołanego, służba wojskowa albo była skróconą i w kraju użytą, albo też, żeby pobór był zawieszony, a lata służby zmniejszone”. Tegoż samego żądały Rady: łomżyńska, kalwaryjska i maryampolska. Były i takie, które wprost odmówiły wyboru członków do Komisji konskrypcyjnych, a mianowicie Rada łukowska, tłumacząc się niepewnością, czy wybrani kandydaci zechcą przyjąć ofiarowane im obowiązki; Rada krasnostawska oświadczyła się za wstrzymaniem poboru,

oraz wyjawiała życzenie, ażeby wzięci do wojska odbywali służbę w kraju. Rada siedlecka, pod prezydencją p. Ludwika Górskiego, wprowadziła do protokołu swego posiedzenia krytykę dekretu o poborze, odmówiła wyboru członków do Komisji konskrypcyjnej, a prezydujący w mowie, jaką wygłosił, wypowiedział kilka pochwał na cześć wygnanego z kraju p. Andrzeja Zamoyskiego. Rada augustowska także odmówiła wyboru członków do Komisji konskrypcyjnej, tłumacząc się, że „choroby epidemiczne i głód, w zeszłych latach panujący, zmniejszyły ludność”. Rada sejneńska wybrała rzeczonych członków, ale oświadczyła, że członkowie ci znajdują się w położeniu bardzo drażliwym względem włościan, „którzy, jak się wyraziła, obowiązków członków Komisji konskrypcyjnej nie będą uważali za powinność obywatelską, lecz, z powodu niechęci swej do służby wojskowej, widzieć w tem będą nastawianie panów na ich zgubę”. W Przasnyszu prezydujący p. Nostitz-Jackowski wypowiedział mowę, w której potępił pobór, wspomniawszy o wywiezieniu p. Andrzeja Zamoyskiego za adres, do napisania którego szlachta jakoby została upoważniona przez W. księcia i t. p. Pomimo protestów komisarza rządowego, członkowie Rady mowę tę wprowadzili do protokołu posiedzenia⁴¹³.

Rada łączycka odmówiła wyboru członków do Komisji konskrypcyjnych, gdyż, jak mówi w swym protokole, „celem ustanowienia Rad powiatowych jest zaprowadzenie pewnych ulepszeń administracyjnych ze względu na potrzeby i dobro kraju, urządzenia zaś poborowe, stanowione jedynie w widokach rządu, są za obrębem takowych ulepszeń; tem więcej, że wyprowadzając poza granice ludność zdrową, tyle dla kraju pożyteczną, zrywają zarazem w dotkliwy sposób węzły rodzinne, a tem samem oddziałują szkodliwie na moralność i są niezgodne z interesami mieszkańców powiatu, którego Rada uważa się być wyrazem; gdy wreszcie pobór obecny odbywa się na wyjątkowych zupełnie zasadach, z tych powodów nie chcąc przyjmować na siebie wobec całego kraju, a w szczególności powiatu, ciężkiej odpowiedzialności za wszelkie następstwa, jakie by z powyżej przytoczonych przyczyn kraj dotknąć mogły, Rada powiatowa od wyboru członków do delegacji konskrypcyjnej stanowczo uchyla się”⁴¹⁴. Rada piotrkowska wystąpiła z pewnego rodzaju wykazem statystycznym podatku krwi, jaki jej powiat ponosił dla rządu rosyjskiego. Twierdziła więc, że od r. 1833 do 1856 „wybrano przeszło 11.000 ludzi z powiatu

413 Pawliszczew, Siedmicy, I, 185, oraz relacje ustne. Dodać tu należy, że przy wyborze członków do Rady w Ciechanowie, drobna szlachta mazurska, która tłumnie zjechała się na wybory, złapała burmistrza ciechanowskiego, Szwajkowskiego, i koniecznie chciała go powiesić jako zdrajcę i szpiega. Ledwie go od śmierci ocalił prezes późniejszej Rady powiatowej wspomniany Nostitz-Jackowski.

414 „Przegląd rzeczy polskich” z d. 12 grudnia 1862 r. p. 71.

do wojska, samo czoło ludności, nie pozostawiając dość rąk uzdatnionych, które by na drodze pracy pożytecznej przewodniczyć mogły. Rekruci prowadzeni o tysiące mil w obce kraje, na długie lata, ulegli skutkiem samego klimatu przerażającej śmiertelności, zatarcili język, obyczaj religią własnego kraju, a w skutek tego 498 dymisyonowanych, którzy dotąd z tej liczby 11.000 powrócili, nie tylko nie mogli być użytecznymi w powiecie, ale raczej stawali się jego ciężarem. Z tych powodów Rada uczuła swym obowiązkiem oświadczyć się przeciw wszelkiemu poborowi wojskowemu, który by się odbywał na podobnych zasadach, szczególnie przeciw takiemu, który, powołując do wojska większość ludności rzemieślniczej i oświeconej, pozbawiłby powiat wszelkich środków możliwego rozwoju i postępu. Mniema on, że tylko pozostawienie powołanych we własnym kraju, z zabezpieczeniem ich języka i religii, jedynego skarbu narodu pod cudzem panowaniem zostającego, mogłoby takowy (t. j. pobór) uczynić znośnym dla ludności tutejszego kraju; inaczej pobór do wojska zawsze przyjętym będzie gorzej jak najcięższa klęska⁴¹⁵.

Ta prawie jednomyślna opozycja Rad powiatowych, wyrażona w formie łagodniejszej lub ostrzejszej, ale co do swej treści jednakowej, była niejako wskazówką dla rządu, jak dalece zapowiedziana branka budzi wstręt we wszystkich. Mimo to nie ustąpił. Wobec oporu Rad, jedne rozwiązał, jak np. siedlecką i przasnyską, innym przez komisarzy rządowych dał surowe napomnienie, ale przez to położenia wcale nie polepszył. Dla Komitetu centralnego znów ta postawa Rad była wskazówką, jakiej drogi on sam winien się chwycić wobec zbliżającego się poboru. Występując już teraz jako rząd, wydał d. 12 października dekret, nakazujący rozwiązanie się Radom miejskim i powiatowym. Jako motywa swego postanowienia przytacza, że „istnienie Rad miejskich i powiatowych nie zgadza się z godnością narodu, który wytrwale pracuje nad wyparciem z Polski najazdu; że Rady te przy oczyszczaniu włości i poborze wojskowym będą narzędziem w ręku wroga do wystawienia kraju na niebezpieczeństwo”, przeto „wzywa wszystkich miłujących ojczyznę obywateli, aby do natychmiastowego rozwiązania wszystkich Rad miejskich i powiatowych przystąpili”. Dekret ten ogłoszony został w „Ruchu”⁴¹⁶, jako urzędowym organie Komitetu centralnego. Poparło go w tym względzie duchowieństwo, naprzód sandomierskie, które na swym zjeździe w Świętomarzu wydało odezwę do Rad powiatowych i miejskich, odezwę ujętą w formę dekretu⁴¹⁷. W odezwie tej kler sandomierski powiada, że „istnienie Rad jest

415 Loc. cit. 73.

416 Nr. 6 z d. 12 października 1862 r.

417 Odezwę tę pomieszczamy przy protokole duchowieństwa, w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

przeciwnie dobru ojczyzny”, że „ustanowione głównie w celu oczyszczania włościan, nie mając w tym względzie od rządu poparcia, rozdmuchną tylko nienawiść ludu do szlachty”, że „świeżo zarządzony pobór wojskowy jest klęską kraju”, wzywa więc Rady „aby się po odebraniu niniejszego rozwiązały natychmiast”.

W parę tygodni potem „Ruch” ogłosił rodzaj dekretu już całego duchowieństwa, wymagającego rozwiązania się tych instytucji⁴¹⁸.

Rady jednak tych rozkazów i dekretów nie usłuchały. Wobec zamierzonej konskrypcji stanęły sztorcem, ale rozwiązywać się zupełnie nie myślały i nie chciały. Większość ich członków czuła to dobrze, iż samowolne rozwiązanie Rad będzie oznaką stanowczego zerwania z rządem, a nade wszystko pogrzebaniem instytucji, która bądź co bądź bardzo dodatnie skutki na dobrobyt i porządek w kraju wyrzucić mogła. Na to szlachta i zamożne mieszczaństwo, tworzące główne jądro Rad, odważyć się nie mogło, choćby dlatego tylko, by okazać Czerwieńcom, że ich słuchać nie myśli i po ich woli nie pójdzie. Mimo to wszystko opozycyjna postawa Rad względem konskrypcji wprawiła rząd warszawski w niemały kłopot, a stronnictwu wojskowemu z Ramsayem na czele, przeciwnemu poborowi w dawny sposób przeprowadzonemu, dała nową podstawę do otwartego i tajnego intrygowania przeciw znienawidzonemu Wielopolskiemu i W. księciu. Ramsayowi bowiem i całej falandze różnych generałów, przywykłych do rządzenia Polską według swego widzi mi się, nie szło wcale o to, że pobór zaprojektowany przez margrabiego nosi nieludzkie cechy średniowiecznego barbarzyństwa, ale o to, by sprzeciwić się wszystkiemu, co Wielopolski i W. książę robi. Ramsay udawał teraz obrażonego, że jego projekt co do branki nie został przyjęty i głośno się odgrażał, nie bez skrytego zapewne poparcia generała Berga, który w tych czasach zjawił się na krótko w Warszawie, że usiłowania wojskowych w Petersburgu dopóty nie ustaną, dopóki W. książę i Wielopolski nie będzie obalony⁴¹⁹.

Temu to niewątpliwie przypisać należy, że, gdy przyszło do wykonania poboru, wojsko, główne narzędzie w tego rodzaju sprawie, zawiodło Wielopolskiego i zamach stanu zupełnie się nie udał. Teraz oficerowie, za przykładem swego wodza, oburzali się na rolę, jaką im każą przy poborze odgrywać i wszystkie rozkazy nielubianego Konstantego z niechęcią i niedbale wykonywali. Ta niechęć i omal, że nie nienawiść wojska do W. księcia wzrósć teraz musiała, nabyć niejako siły i większej intensywności z przybyciem całej dywizji gwardii do Warszawy, wojsk, które, konsystując stale w Petersburgu,

418 Dekret ten, jakkolwiek wydrukowany w „Ruchu”, z uwagi na rzadkość tego pisma, pomieszczamy między dokumentami pod Nr. 10.

419 Verstorbene Diplomat, Die polnische Revolution, loc. cit. 348.

miały sposobność przypatrywać się z bliska bratu cesarskiemu i wielokrotnie obserwować jego predylekcyą dla marynarki.

Wysyłka trzeciej dywizji gwardyi do Warszawy była postanowiona zaraz po nominacyi W. ks. Konstantego na namiestnika Królestwa, i miała do pewnego stopnia związek z projektem Wielopolskiego, ażeby jednej dywizyi tych wojsk wyborowych nadać tytuł gwardyi polskiej i ubrać je w mundury i barwy narodowe. Taki projekt nie mógł się podobać w Petersburgu, ale przy dążności do pokojowego załatwienia kwestyi polskiej, nie chciano go zupełnie odrzucać i wykonano w części tylko. Zgodzono się na wysyłkę jednej dywizyi do Warszawy i wybrano trzecią, której pułki niegdyś, przed powstaniem listopadowem, stały w Warszawie i nosiły nazwisko polskie, wszakże nie nadano im wcale tytułu gwardyi polskiej, ani umundurowania narodowego, jak tego domagał się Wielopolski, ale zmieniono istniejące o tyle, że wypustki i rabaty czerwone zastąpiono żółtymi i amarantowemi, przypominającemi uniformy wojska polskiego. Nazwy tych pułków, ich mundury miały w ludności budzić słodkie, dawno minione wspomnienia i bawić ją złudzeniem, że posiada wojsko własne.

Do wymarszu tego gwardya przygotowywała się od lipca. Wiadomość o nowem swem przeznaczeniu wojska otrzymały z ust samego cesarza, w parę dni po zamachu na W. ks. Konstantego, a mianowicie d. 6 lipca⁴²⁰.

W dniu tym cesarz przyjechał do obozu pułku wołyńskiego piechoty i zgromadziwszy koło siebie oficerów, rzekł do nich: „posyłam was do Warszawy; przekonany jestem, że usprawiedliwicie moje zaufanie. Zawsze was miałem za wojsko wyborowe, i mam nadzieję, że będziecie służyć z takim odznaczeniem się jak dotąd”. Wybierano się do tej Warszawy, która dla ogromnej większości oficerów była miastem buntowniczym, bardzo powoli, tak z powodu wspomnianej zmiany umundurowania, jak i kompletowania batalionów, gdyż poza wszystkim szło jeszcze o zwiększenie sił wojskowych w Królestwie, wobec zaburzeń tam trwających i głośno zapowiadanego powstania zbrojnego. Rieczona dywizya piechoty składała się z pułków: litewskiego, wołyńskiego, kegsholmskiego, inaczej pruskim zwanego, i austriackiego grenadyerów. Jazdę tworzyły dwa pułki: ułanów i huzarów grodzieńskich. Pierwszy przybył do Warszawy d. 1 października batalion strzelców Carskosielskich, na powitanie którego W. książę pojechał na dworzec kolei petersburskiej. Potem przybywał batalionami pułk wołyński piechoty, a każdy z nich witany był na dworcu kolei przez Konstantego, a po przybyciu całego pułku zaprosił wszystkich oficerów na obiad do Łazienek. Na obiedzie tym W. księżna okazywała nadzwyczaj-

420 Ługanin, Opyt istorii lejbgwardyi Wołyńskiego połka II, 38.

czajną uprzejmość gwardyjakom, a na zapytanie jednego z oficerów: „czy nie lęka się sama jeździć po Warszawie?” odrzekła ze światową afektacją wielkiej damy: „ja się niczego nie boję, prócz kotów i żab. Zresztą jestem kobietą i liczę na szlachetność (błagorodstwo) Polaków; nie sądzę, by chcieli wojować z kobietami i robić im jakie przykrości”⁴²¹. Gdy w parę dni później cały korpus oficerów przedstawił się naczelnemu wodzowi Ramsayowi, ten wygłosił do nich mowę z wyraźnym charakterem politycznym. Zaznaczając burzliwy stan kraju, zalecał oficerom zachowanie karność i porządku, i zakończył słowami: „ja ze swej strony zaręczam tylko za to, że teraz już nie napadną nas znieścacka (w rasplóch), jak w r. 1830, i że stąd nie uciekniemy jak wtedy”.

Do tych dumnych i pełnych pewności siebie słów, jakże ironiczny miały dorobić komentarz w parę miesięcy później wypadki!

Ludność warszawska stosunkowo dość przyjaźnie przyjmowała gwardyjaków. Gdy przy wstępowaniu do Warszawy przeciągali oni przez ulice w strojnym porządku i z muzyką, tłumy gawiedzi miejskiej im towarzyszyły. Mówiono sobie, że żołnierze i oficerowie gwardyaccy są o wiele grzeczniejsi od liniowych, gdyż na chodnikach usuwają się kobietom, i wśród kół rewolucyjnych rozpuszczono pogłoskę, że, w razie powtórzenia się zeszłorocznych wypadków, gwardya z pewnością nie będzie chciała strzelać do ludu⁴²². W ogóle wyborowe te szeregi, ludzie rośli i silni, bardzo się podobali ludności warszawskiej, lubiącej wojsko i marsowe postawy. Gdy d. 2 listopada W. książę na placu Ujazdowskim zrobił przegląd całej przybyłej gwardyi, tłumy się temu z widocznym zadowoleniem przypatrywały. Najwięcej się jednak podobali ułani, których granatowe mundury, amarantowe rabaty i żółte kołnierze budziły tysiące wspomnień i żalów. Gdy pułk ten wstępował do Warszawy, muzyka jego zagrała starego mazurka Dąbrowskiego: „jeszcze Polska nie zginęła”, co niemały obudziło entuzjazm⁴²³. Wielu starszych ludzi, pamiętających epokę przedrewolucyjną, z przyjemnością witało dowódcę gwardyi, siwiejącego barona Pawła Korffa, który jako młody oficer przed powstaniem listopadowym przebywał w Warszawie. Oficerowie gwardyaccy ze swej strony byli bardzo zadowoleni z nowego miejsca swego pobytu, zachwycali się pięknnością Polek, a lepiej płatni jak w Petersburgu, mogli się bawić i używać w tej wesołej, mającej zawsze dla Rosyan niepospolity urok Warszawie. Wesołości tego pobytu nie zmniejszały surowe instrukcje, jakie zaraz po swem przybyciu do stolicy polskiej otrzymała. Nakazano jej, by patrole wychodziły zawsze z bronią ostro nabitą.

421 Loc. cit.

422 Pawliszczew, Siedmicy I, 146.

423 Oczewidiec, Posledniaja polskaja smuta, 614.

Codzień w rozkazie dziennym wyznaczano każdemu oddziałowi punkt, jaki w razie alarmu ma zająć w mieście. Instrukcja na taki wypadek nakazywała zachowanie wszelkich ostrożności; wojsko miało maszerować ulicą ze strażą przednią i tylną, z flankierami skrzydłowymi, posuwającymi się chodnikiem, których obowiązkiem było bacznie obserwować domy. W razie, gdyby z którego z nich dano ognia, lub rzucono kamieniem, instrukcja polecała strzelać. Niemniejsze ostrożności zachowywano w koszarach, gdzie dyżurne oddziały miały mieć w nocy broń nabitą, a strażę silnie obsadzały wszelkie wejścia i wyjścia⁴²⁴.

Rewolucyoniści polscy i rosyjscy niemniejszą zwrócili uwagę na przybywającą do Warszawy gwardyą. Liczono na nią wiele, naprzód dlatego, że do kół rewolucyjnych w Petersburgu należeli przeważnie oficerowie gwardyaccy, a potem, że jako wojsko wyborowe, lepiej płatne⁴²⁵, bardziej inteligentne, sądzili, że łatwiej da się porwać ideom wolności. Rozpuszczano więc pogłoski o duchu liberalnym, jakoby panującym wśród tego wojska, zarzucono je wszelkiego rodzaju odezwami i proklamacyami. W Wilnie podrzucono przechodzącemu tamtędy pułkowi wołyńskiemu piechoty odezwy rewolucyjne, to samo robiono w Warszawie; aż Korff w jednym z rozkazów dziennych obiecywał żołnierzowi, który odda znaną proklamacyą swemu kapitanowi, rubla nagrody. W ogrodzie Saskim zdarzało się bardzo często, że przechadzającego się oficera gwardyackiego otaczał tłum młodzieży, zawiązywał rozmowę o wypadkach bieżących, o ideach liberalnych wieku, o konieczności zrzucenia jarzma despotyzmu⁴²⁶. Powoli jednak przekonano się, że to są wszystko próżne i bezowocne usiłowania i dano pokój.

Takie było położenie rzeczy w Warszawie, gdy mniej więcej w tym czasie, powszechną na siebie zwróciły uwagę wypadki zaszłe w t. z. prowincjach zabranych, a mianowicie na Podolu i na Białorusi. Szlachta gubernii podolskiej naprzód, a za nią szlachta gubernii mińskiej, zamierzyła podać adres do cesarza, domagając się przyłączenia tych prowincyj do Królestwa Polskiego. Nie ulega żadnej wątpliwości, że pomysł podania tych adresów był naśladownictwem adresu, jaki we wrześniu szlachta koronna wystosowała do p. Andrzeja Zamoyckiego, z żądaniem połączenia Litwy i Rusi z Polską. Może zresztą, a są tego ślady, acz bardzo nikłe, nie było to proste naśladownictwo, ale akcja obmyślana na wielką skalę, by wszystka szlachta dawnej Polski wystąpiła z takim żądaniem i tą drogą pokojowego kompromisu zażegnała zbliżającą się burzę powstania. Zdaje się, że działało się to za wiedzą i wskazówkami emigracyi, zwłaszcza tej, która skupiła się koło ks. Czartoryskich w Paryżu. Jeżeli bowiem wierzyć można

424 Ługanin, loc. cit.

425 Przez rozkaz z d. 21 grudnia 1862 r. żołnierze otrzymywali żołdu po 6 kopiejek (12 groszy) dziennie.

426 Ługanin, loc. cit.

raportom urzędowym, to adresy rzeczzone, a przynajmniej miński, były zredagowane w Paryżu i przywiezione przez wspomnianego już wielokrotnie przez nas hr. Wiktora Starzyńskiego, marszałka grodzieńskiego⁴²⁷, który w tej porze jeździł do Paryża, a powróciwszy do kraju czynną rozwinął w tym celu agitacją. Te pewna, że był on teraz w ciągłych podróżach, to do Warszawy, to do Grodna, Wilna i Petersburga. Na zjeździe szlachty w Wilnie, w początkach jesieni, mówiono bardzo wiele o wyborach przyszłych w Mińsku i o adresie. Ostatecznie tu zapadła uchwała podania go bezwarunkowo. Plan polegał na tem, ażeby wszystkie gubernie t. z. prowincyi zachodnich, a więc: grodzieńska, kowieńska, mińska, witebska, mohilewska, wołyńska, podolska i kijowska, wystąpiły jednocześnie z adresami, na podstawie art. 113, tomu IX Zbioru (Swoda) praw cywilnych „dworzaństwa” rosyjskiego, pozwalającego szlachcie zebranej na wybory podawać adresa do tronu z wyrażeniem „swych potrzeb”.

Postanowiono przytem, że „dopóki rząd rosyjski nie da przychylniej odpowiedzi na wszystkie żądania szlachty, dopóty żałoby nie zdejmować i unikać wszelkich publicznych i prywatnych zabaw”⁴²⁸.

Pierwsza z adresem wystąpiła gubernia podolska. Szlachta tamtejsza, zjechawszy się w ostatnich dniach września na wybory do Kamieńca podolskiego, od razu zajęła się sprawą adresu. W tym celu miała ona w d. 28 i 29 września w mieszkaniu Ignacego Chełmińskiego, marszałka powiatu uszyckiego, posiedzenie, na którem pomimo oporu jednych, dwuznacznego zachowania się innych, ogromną większością głosów postanowiła podać adres do cesarza, z żądaniem przyłączenia gubernii podolskiej do Królestwa Polskiego. Redakcją adresu powierzono swemu współpouietnikowi Leonardowi Sowińskiemu, który kilku pracami literackimi wyrobił sobie imię, z czasem dość głośnie w piśmiennictwie krajowem, oraz Leopoldowi Jakubowskiemu. Stronnictwo przeciwne tego rodzaju wystąpieniu zdołało przeforsować do Komitetu redakcyjnego wybór niejakiego Giżyckiego, członka urzędu do spraw włościańskich, który stale protestował przeciw adresowi. Szło o to, by Giżycki wpłynął przynajmniej na złagodzenie formy i treści. Naza-jutrz d. 29 września adres był gotowy i odczytany w mieszkaniu Chełmińskiego i przez większość uznany został za dobry.

Wśród rozpraw, jakie się z tego powodu wywiązały, hr. Edward Ronikier, marszałek bałcki, zapewniał, że szlachta nie ma się czego obawiać, bo on zna osobiście cesarza Aleksandra, i w najgorszym razie adres może nie przynieść

427 Litwin, Litwa przed r. 1863 (Wydawnictwo materyałów do historii powstania I, 135) powiada, że adres redagował: Dyonizy Skarżyński na wspólnie z Napoleonem Jeleńskim i Hieronimem Kieniewiczem.

428 S. Rajkowski, Polska młodzież zapadnego kraju w miasteczku 1861—3 g. (Russkij Wiestnik, LXXXIII, 520).

pożądanego skutku, ale nikt za jego podpisanie do odpowiedzialności pociągniętym nie będzie⁴²⁹. Dzięki temu adres został przyjęty i podpisany przez 255 szlachty⁴³⁰. Zaznaczywszy w nim zły stan prowincji, położywszy nacisk na to, że oświata w niej ma wyłącznie charakter polski, mówili, że „szlachta gubernii podolskiej najpoddanniej uprasza W. C. Mość o uchylenie stanu pomienionego, monarszą wolą waszą. Wyłącznie prowadzący ku temu sposób obywatele gub. podolskiej upatrują w przywróceniu administracyjnej jedności Polski, wcielając w skład jej prowincje zachodnie, z pełnem poszanowaniem praw powołanego w ostatnich czasach na pole działań obywatelskich, miejscowego ludu wiejskiego. Szczęry współudział szlachty podolskiej w stanowczem rozwiązaniu sprawy włościańskiej, współudział tradycyjny, wynikający z odwiecznych usiłowań Polski pod względem rozszerzenia godności i swobód obywatelskich, stanowi niewątpliwą rękojmię prawości postępowania jej dzisiejszego. Odrzucając wszelką myśl przewagi plemienia lub stanu, obywatele gub. podolskiej pozostają wiernymi zasadniczej idei polskiej, we względzie równouprawnienia składowych pierwiastków społecznych i dlatego żądają wspólności z Królestwem Polskiem, że widzą w niem podstawę swobodnego rozwoju zarówno polskiej jak i ukraińskiej narodowości”⁴³¹.

Adres ten wywołał niemałą burzę w Petersburgu.

Cesarz, widząc w tym akcie „dążność do naruszenia całości i jednolitości państwa”, rozkazał d. 21 października wszystkich marszałków powiatowych, oraz gubernialnego, oddać pod sąd Senatu rządzącego i usunąć ich z ich stanowisk. Senat ze swej strony polecił wszystkich aresztować i przywieźć do Petersburga i tutaj trzymał ich w więzieniu. Sprawa ciągnęła się długo i oczywiście zagłuszona była całkowicie straszną późniejszą burzą; w tej chwili jednak adres podolski zyskał sobie wielki rozgłos, bo był wyrazem najserdeczniejszych pragnień i ideałów ogromnej większości narodu⁴³².

429 „Żurnal ministerstwa justicii” z grudnia 1862 r.

430 Naprzód podpisał się marszałek gubernialny Aleksander Sadowski, potem powiatowi: kamieniecki Zygmunt Czerwiński, latyczowski Ludomir Skibiński, lutyński Józef Radziejowski, winnicki Ludwik Pieńkowski, braclawski Feliks Sobański, hajsyński Józef Lipkowski, olwiopolski Kazimierz Sobański, bałcki hr. Edward Ronikier, jumpolski Waleryan Mańkowski, mohylowski January Sulatycki, uszycki Ignacy Chełmiński, a za marszałka proskurowskiego deputat Aleksander Popławski.

431 Adres ten w całości czytać można u Gillera, *Historia* II, 396, ale przekład jest bardzo niedokładny i błędny. Jest tam np. taki niezrozumiały ustęp: szlachta „jest przedstawicielką wszystkich poczuwających przeświadczenie obywatelskie”. Z tego powodu podajemy w zbiorze dokumentów oryginalny tekst rosyjski adresu pod Nr. 11.

432 Senat petersburski w pytaniach, stawianych w czasie badania marszałków szlachty, między innymi położył główny nacisk na to: „jakiem prawem szlachta gub. podolskiej przemawiała w imieniu całej ludności tejże gubernii, kiedy tam, według danych statystycz-

Zebrania się szlachty mińskiej i zamierzonego adresu oczekiwano z tem większem zainteresowaniem, że w skutek zaburzeń zeszłorocznych inne gubernie litewskie i białoruskie pozbawione były prawa sejmikowania, a przytem wystąpienie Mińszczan z adresem po Podolakach, których krok uznany został przez rząd za karygodny i za zdradę państwa, miał charakter wyraźnego buntu, jak się to mówi w Rosyi, i nieposłuszeństwa władzy. Wieść o zamierzonym adresie obiegała całą prowincją i oczywiście doskonale wiadomą była rządowi, to też do Mińska wybierał się sam generał-gubernator Nazimow, ale nie mogąc przyjechać dla jakichś tam, nieznanych nam powodów, polecił gubernatorowi mińskiemu Kożewnikowi, aby baczną na to, co się dziać będzie, zwrócić miał uwagę i do adresu pod żadnym pozorem nie dopuścić. Ten zapobiegając zawczasu wszystkiemu wystosował odezwę piśmienną do marszałka gubernialnego Łappy, że „tego rodzaju objawy (adres) rząd uważa za występne i nielegalne”⁴³³. Wybory rozpoczęły się d. 29 listopada, w samą rocznicę rewolucyi 1830r. co zdawało się tem większą budzić w zebranych chęć zaznaczenia swej

nych na 1,400.000 mieszkańców, jest zaledwie 200.000 osób pochodzenia polskiego i wyznania rzymsko-katolickiego?” — „że większość mieszkańców gub. podolskiej nie tylko żadnych nie stawiała żądań o połączenie ich z Królestwem Polskiem, ale w skutek swego odrębnego położenia od mieszkańców pochodzenia polskiego, tego rodzaju żądań stawiać nie mogła”. Większość oskarżonych, zwłaszcza marszałek gubernialny Sadowski bronił się słabo i miękko, i tłumaczył się tem, że go przymuszono do podpisania adresu. Najlepiej i najgodniej tłumaczył się marszałek hajsyński, Józef Lipkowski. Mówił on, że przyłączenie Podola do Królestwa, oprócz powodów historycznych i narodowych, ma jeszcze swe ekonomiczne znaczenie. „Lecz najważniejszem, mówił, jest to, że Podole stanowiło już raz jedność z Królestwem Polskiem za czasów ks. Konstantego Pawłowicza, i dlatego też przekonany jest, że przez to jedność państwa wcale na szwank narażoną nie będzie, podobnie jak szwanku nie poniosła w skutek tego, że niedawno gubernię permską podzielono na dwie: permską i samarską”. Utrzymywał z prawdziwie obywatelską odwagą, że podanie adresu z mocy art. 113 i 135 ustawy szlacheckiej jest zupełnie legalnym krokiem, wreszcie wytoczył formalną skargę przeciw administracyi miejscowej, która „nieustannie przedstawia gubernię, jakoby znajdującą się w stanie wzburzenia, dlatego, by się okazać potrzebną i nie dopuścić szlachty miejscowej do pełnienia obowiązków państwowych. Niedopuszczanie do służby urzędników z wyboru i pozbawienie tym sposobem szlachty praw i przywilejów, nadanych jej wolą monarszą, samowolne wysyłanie szlachty na wygnanie do gubernii wielkorusyjskich, rozbrojenie ludności katolickiej i polskiej, popieranie chłopomanów w Kijowie, nieustanne usiłowania policyi dla rzucenia rozterki między szlachtą i lud, rozporządzenia gubernatora, budzące w chłopach nieufność do instytucyi gminnych (mironyje ucześnie), zniesienie szkół parafialnych katolickich; całe to nielegalne postępowanie dowodzi, że miejscowe władze administracyjne chwyciły się polityki przeciwnej duchowi panującemu i prawodawstwu”. Obrona niezaprzeczenie była świetna i logiczna, ale cóż znaczą w rządzie rosyjskim najświetniejsze i najlegalniejsze obrony!

433 S. Rajkowski, *Polskaja mōłodież*, loc. cit. 521.

jedności i przynależności do Polski. Na skutek pogłosek o debatach nad adresem, w dzień wyborów sala zebrań szlacheckich zapełniona została przez publiczność. Oprócz szlachty, która zjechała na sejmik, było tam mnóstwo osób obcych, nawet kobiet, które uśmiechem, słowami, zalotnem wejrzeniem zachęcały opornych lub wahających się do podpisania adresu.

Po mowie gubernatora, który ani słówkiem nie napomknął o gotującej się agitacji, pierwszą kwestyą, jaką podniesiono, była kwestya adresu. W odpowiedzi na to marszałek Łappa odczytał odezwę gubernatora do siebie, którą powyżej przytoczyliśmy. Ale wśród zebranych podniosła się wrzawa, i dwaj Jeleńscy, dwaj Oskierkowie, wreszcie major Korbitt głośno dopominać się poczęli, by adres został przygotowany, by nie zważać wcale na pogrożki i ostrzeżenia władz administracyjnych; inni znowu domagali się, by odezwę gubernatora wciągnąć do protokołu z dodatkiem, że „administracja przeszkadza podaniu adresu”. Zawiązały się żywe i burzliwe spory, umysły się gorączkowały i w tej gorączce Witold Oskierko i Jeleński padli przed marszałkiem Łappą na kolana, prosząc by użył całego swego wpływu dla doprowadzenia do skutku adresu. „Jest to koniecznem, wołali, raz dlatego, że należy podtrzymać naszych współrodaków z Podola, a potem dla dobra kraju”. Mówili, że wobec tego, iż całe t. z. prowincye zachodnie podadzą adresu, nie wypada więc, nie można, by jedna tylko Mińszczyzna nie wzięła udziału w tej manifestacji zbiorowej. Spór wreszcie, jaki na zgromadzeniu toczono, dotyczył tylko kwestyi formalnej; jedni bowiem domagali się, aby adres w całości był wciągnięty do protokołu posiedzenia, inni zaś, ażeby jedynie w tym protokole zaznaczyć, iż „szlachta gub. mińskiej zebrała się na wybory ze stałem postanowieniem zanieśienia do stóp J. C. Mości Naj. Pana adresu, o którym jest mowa w odezwie gubernatora”. Poddano rzecz pod głosowanie i ogromną większością 255 przeciw 4⁴³⁴, ostatnia formuła została przyjęta. Adres więc nie przeszedł i nie został podany. Prokurator gubernialny zaprotestował i przeciw tej formule i żądał, by jego protest do protokołu został wprowadzony.

Zadość uczyniono temu żądaniu z dodatkiem, że „protest ten ostatecznie nie dozwala szlachcie na ułożenie zamierzonego adresu”. W rezultacie więc rzecz zamyślana z taką wrzawą nie przyszła do skutku, co wśród ogółu, wśród polskiego mieszczaństwa w Mińsku wywołało ogromne oburzenie. Jakkolwiek projekt do adresu rozrzucono po mieście i po kraju⁴³⁵, jakkolwiek rozpuszczo-

434 W korespondencji do „Przeglądu rzeczy polskich” wydawanego w Paryżu przez Elżanowskiego, w zeszycie z d. 20 grudnia 1862 r. jest, że z 297 obecnych na sesyi, 291 podpisało protokół. Myśmy poszli za cyfrą urzędową.

435 Projekt ten wydrukował „Przegląd rzeczy polskich” z d. 20 grudnia 1862, p. 28, a za nim Giller, *Historia II*, 399, w taki sposób, jakoby adres przyszedł do skutku i został podany,

no pogłoskę, że adres został podany, jednakże niewiele to pomogło i zaraz potem na rogach ulic w Mińsku poprzylepiano wierszowane paszkwile na magnatów polskich, nie posiadających „ani odwagi, ani patryotyzmu”. Oprócz tego u kilku marszałków powiatowych wybito kamieniami szyby w oknach⁴³⁶. Nazimow z raportem o tem, co zaszło wysłał umyślnego gońca, w osobie jakiegoś pułkownika do Moskwy, gdzie cesarz przebywał.

Taki koniec miał wielki plan, ażeby cała Litwa i Ruś, zgodnie z adresem szlachty polskiej do p. Andrzeja Zamoyskiego, oświadczyła się głośno i jawnie za przyłączeniem do Królestwa Polskiego, i potwierdziła niejako przez to starą unię lubelską.

Oprócz Podolan nikt więcej adresu nie podał, a choć w tym czasie zamierzano tu i owdzie to zrobić, jednakże szybko zbliżające się straszne wypadki zbrojnego ruchu przerwały i pogrzebały na zawsze te zamiary. Mimo to sprawa ta miała wielki rozgłos i prasa tajna warszawska żywo się nią zajmowała. „Strażnica” wystąpiła z artykułem, w którym opowiadając fałszywie przebieg całej historii adresu podolskiego⁴³⁷, wysoko jednak podnosi patryotyzm i „tę-

co, jak widać z naszej relacji w tekście, jest fałszem, i co zresztą sam „Przegląd” w dalszym ciągu zaznacza w słowach: „zgromadzenie wyborcze, zagrożone przez gubernatora natychmiastowem rozpędzeniem w razie rozpoczęcia dyskusji nad adresem, tylko treść zawartych w nim żądań zapisało do protokołu posiedzenia”.

436 Zła i podejrzliwa administracja rosyjska miejscowa przedstawiła w Petersburgu w raporcie o całej tej historii owe paszkwile i wybicie szyb, jakoby wykonane przez samych marszałków dla uwolnienia się od odpowiedzialności przed rządem: „szyby zostały wybite, czytamy w tym raporcie, przez samych lokatorów (postojalcami) dlatego, żeby przy sposobności przytoczyć ten wypadek jako dowód opozycji, którą niby stawiali ze swej strony przeciw podaniu adresu” (Patrz Rajkowski, *Polskaja młodość*, loc. cit. 522). Marszałek Łappa, wezwany w tej sprawie do Nazimowa, tłumaczył się, że „przekonawszy się o niemożliwości oporu, zwłaszcza gdy niektóre osoby, popierane przez silne stronnictwo, poczęły domagać się ułożenia adresu, z dwojga złego wybrał mniejsze i dlatego zdecydował się na napisanie protokołu, mającego zastąpić adres do Najjaśn. Pana”.

437 Opowiada np. (Nr. 21 z d. 29 października) co następuje: „z legalnem zebraniem w Kamieńcu i jego adresem car postąpił tak samo jak z nielegalnem warszawskim, kazał sejmik rozpędzić, a przewodniczącego obradom uwięzić. Choć w postępowaniu trzymano się jak najściślej przepisów ustawy przez Moskwę nadanej, na pierwszą wieść o zamiarze petycji, gubernator Podola, Niemiec w służbie moskiewskiej, nie zaniechał żadnych środków prawnych i nieprawnych i żadnych wykrętów, młynków, zasadzek, próśb, łez i gróźb najdzikszych, byle obywateli wstrzymać w przedsięwzięciu. Trzeba sobie wyobrazić agitacje poboczne, próby przekupstwa lub nastraszenia, kruczki prawne, beczelne groźby konfiskaty majątków, zesłania na Sybir, pogrzebienia obywateli w gruzach domu, w którym obradowali, aby pojąć, na jakie to próby mógł być wystawiony umysł słaby, wątpliwa cnota, lub tchórzliwe usposobienie. Adres jednak przyjęty i podpisany został jednogłośnie. Gdy wysłani u petycji do Petersburga gubernator żadnym sposobem nie mógł przeszkodzić i takowe już skuteczne zostało, próbuje nowej sztuki. Naprzeciw

gość ducha” Podolan. „W ostatnich czasach, pisze, zebrany w Kamieńcu Podolskim przyszło na myśl prosić cara o przyłączenie administracyjne Podola do Kongresówki, o równouprawnienie wszystkich stanów i równouprawnienie narodowości polskiej i rusińskiej (tak).

Jakkolwiek wnoszenie podobnych instancji do cara uważamy zawsze za bomby papierowe, wówczas kiedy nasze stosunki z Moskwą tylko żelazem rozstrzygnąć się dadzą, jednak ważnym jest ten wypadek z dwóch względów; naprzód jest nowym aktem solidności (tak!!) i jedności wszystkich części naszej ojczyzny i wszystkich w niej stanów; a powtórnie w sposobie samym złożenia adresu okazuje się pocieszający dowód wzrostu moralności, obyczajów, ducha i odwagi cywilnej. Jak wszystkie poprzednich lat objawy ducha narodowego jednej strony Polski znajdowały natychmiast poparcie innych części rozszarpanego kraju, tak i adres obywateli Kongresówki do Zamoyskiego znalazł poparcie w odpowiednich działaniach w tak nazwanym kraju zabranym, a szczególnie w adresie szlachty podolskiej. Można się różnić co do pojmowania użyteczności tego sposobu wojowania z Moskwą, ale sama solidarność już jest użytecznością niezaprzeczoną, a czynne szukanie jakichś dróg służenia krajowi jest nieużytecznością drugą”.

Gdy się to działo na dalekiej Rusi, w Warszawie tymczasem wypadki przybierały coraz groźniejszy i ostrzejszy charakter. Wielopolski sprawę nieszcześliwej branki, która organizacją w coraz bardziej gorączkowy stan wprawiała, prowadził dalej. W październiku nakazano tym Komisyom konskrypcyjnym, które zostały wybrane przez Rady powiatowe, zająć się t. z. superrewizją, czyli oględzinami spisowych; tam zaś, gdzie Rady odmówiły wyboru swych członków do rzeczonych Komisji, mianował je z urzędu. W ogłoszeniu, pomieszczonem w „Dzienniku powszechnym”⁴³⁸, groził tym spisowym, którzy by z nieudowodnionych lub nie zasługujących na uwzględnienie powodów, nie stawili się we właściwym czasie przed Komisją konskrypcyjną, surowymi karami.

Niektóre jednak Komisyje pod wpływem agitacji rewolucyjnej, odezwały się groźbą, a może i ze wstrętu przeciw poborowi, pod różnymi pozorami odmó-

gmachu, gdzie odbywano wybory ustawia bataliony wojska, oficerowie stoją z gołemi szpadami, czekają hasła do ataku. Pustą była podówczas prawie sala wyborów, ale na wieść o postawie groźnej Moskali, każdy wyborca, czując swój obowiązek, śpieszy na swe stanowisko i niebawem przepełnia się sala. Gubernator przysłał uwiadomienie, że otrzymał już drogą telegraficzną rezolucją na adres podany i przez litość zaklina ich, aby podpisali zrzeczenie się takowego, dopóki nie będzie musiał przystąpić do wykonania groźnych rozkazów. Obywatele jednogłośnie odpychają tę propozycją spodlenia się, i... otrzymują zawiadomienie... że sejmik zostaje rozwiązany!...”

438 Nr. 231 z d. 14 października 1862 r.

wiła udziału w tych przedwstępnych pracach, lub też członkowie ich wcale nie przybywali na posiedzenia. Z siedmiu Komisji, które w tej porze miały rozpocząć swe czynności, jedna tylko augustowska stawiała się w komplecie; inne, a mianowicie: lubelska, krasnostawska, sandomierska, opoczyńska, kutnowska i sejneńska, postąpiły sobie tak, jakśmy wyżej powiedzieli⁴³⁹. W Krasnostawie nawet z powodu poboru cała Rada miejska podała się do dymisji, wyraźnie zaznaczając, że robi to dlatego, iż branka dotyka jednej tylko warstwy narodu, co uważają oni za krzyczącą niesprawiedliwość. Swoją drogą popisowi wzywani do Komisji stawiali się niezwłocznie, i w ogóle w początkach wypadków niestawienia się na wezwanie było bardzo niewiele. Wśród drobnego za to mieszczaństwa, wśród ludu wzburzenie było wielkie. W powiecie lipnowskim chłopci głośno się odgrążali, że jeżeli w Komisjach konskrypcyjnych nie będzie zasiadał choć jeden wojskowy rosyjski, to oni Komisję rozpędzą, jako złożoną z samych buntowników⁴⁴⁰. Jakoż pogrożki te wkrótce spełnili w miasteczku Rypinie. W d. 18 listopada zjechała tam delegacja konskrypcyjna, złożona z pomocnika naczelnika powiatu, lekarza i kilku urzędników, wszystko oczywiście ludzi cywilnych i Polaków. Popisowi, zebrani z czterech gmin, uważając tych urzędników za buntowników, pod wodzą wyrobnika ze wsi Szafarni, nazwiskiem Witkowskiego, napadli tłumnie na dom, w którym Komisja zasiadała, i zmusiwszy ją do ucieczki, zniszczyli i potłukli wszystko, co im podpadło pod rękę, a mianowicie meble, drzwi, okna, piece, podarli papiery i akta i wyrzucili je na ulicę. Nie poprzestając jednak na tem, w rozkieźnieniu dzikich namiętności mas, zwrócili się przeciw kilku, obecnym wówczas w miasteczku, ziemianom, i jednego z nich, Grąbczewskiego ze wsi Szczutowa, zbili nielitościwie.

Po tym bohaterskim czynie rzucili się na same miasteczko, a zwłaszcza na żydów i poczęli po prostu rabować. Zrobiła się straszna zawierucha w cichej, drzemiącej zawsze mieścinie. Ale mieszczenie nie dali się bezkarnie niszczyć. Uderzono w dzwony na trwogę, mieszkańcy poczęli się tłumnie zbiegać i w krótkim czasie zuchwałych rabusiów pokonano. Schwytano głównego naczelnika tego rozruchu, wspomnianego już Witkowskiego i dwudziestu pięciu najzuchwalszych. Sprowadzony na gwałt oddział wojska z Mławy, zastał już wszystko w porządku⁴⁴¹.

Tego rodzaju wypadki świadczyły aż nadto wymownie, jak niebezpiecznym w ogóle jest stan umysłów w kraju i jak ryzykownym projekt margrabiego co do branki. Ludzie, którzy umieli z nim zachować stosunki, nie przestawali go

439 Pawliszczew, *Siedmicy* I, 154.

440 Loc. cit. I, 156.

441 Loc. cit. I, 203. „Przegląd rzeczy polskich” z d. 12 grudnia 1862, p. 74.

ostrzegać i radzić, by zaniechał swych zamysłów, by wyjednał u cesarza odroczenie branki; wszystko to na nic się nie zdało. Znany nam już ze swej działalności na Litwie, Wiktor hr. Starzyński, przejeżdżając w tej porze przez Warszawę, odwiedził margrabiego i przekładał mu, że branka posłuży za punkt wyjścia tym, którzy gwałtem chcą wywołać powstanie. Usłyszał w odpowiedzi znaną nam już przypowieść o wrzodzie i o jego rozcięciu, z tym dodatkiem: „w zimie powstanie jest niemożliwe; zbierających się w lesie łatwo będzie po śniegu wytropić, a zmarzłych i głodnych bez oporu wziąć”. Na próżno Starzyński zwracał mu uwagę, że nie należy bawić się z ogniem, przypomniał mu powstanie w 1830 r., gdzie kilkunastu młodych ludzi wywołało krwawą wojnę; wszystko to pozostało bez skutku, margrabia słuchać nie chciał i był jak najlepszej nadziei⁴⁴².

Nie brakowało mu i innych jeszcze, o wiele poważniejszych i donioślejszych ostrzeżeń ze strony samego biegu wypadków. Okazało się mianowicie teraz, w dalszym ciągu super rewizji popisowych, że wielu z nich przedstawiało świadectwa wydane przez wójtów gmin i noszące datę przed ogłoszeniem o poborze, że należą do stanu włościańskiego. Było to oczywiste obejście prawa. Władza wójtowska, jak wiemy, była w ręku dziedziców i otrzymanie tego rodzaju świadectwa, uwalniającego od poboru, nie przedstawiało zbyt wielkich trudności. Chcąc temu nowemu wybiegowi koniec położyć, margrabia ogłosić kazał Komisji spraw wewnętrznych w „Dzienniku powszechnym”⁴⁴³, że „winni wydawania podobnego rodzaju świadectw i uzyskujący takowe, pierwsi, jako popełniający nadużycia w służbie, pociągnięci zostaną do odpowiedzialności karnej, drudzy zaś uważani, jako usiłujący się uchylić od powinności zaciągowej, na równi z ukrywającymi się, w myśl obowiązujących przepisów, oddani zostaną do wojska na rachunek poboru”. Rozporządzenie to jednak w większości wypadków nie było wykonane. Wójci nie przestawali wydawać świadectw, a popisowi z nich korzystać, zwłaszcza, że Komisje konskrypcyjne przez palce na to patrzyły. W samych zaś władzach znajdował margrabia opór przeciw poborowi, czego najlepszym dowodem był fakt, jaki się teraz przytrafił. Z rozkazu Wielopolskiego, Komisja spraw wewnętrznych przygotowała tajny cyrkularz do wszystkich gubernatorów cywilnych, wyjaśniający im, którzy młodzi ludzie mają być głównie podciągnięci pod rygor poborowy. „Zważywszy, pisano w tym cyrkularzu, że osoby, którym ma być poręczony wybór rekrutów z list na ten cel przygotowanych, powinny mieć nie tylko zupełną wiadomość o położeniu rekrutów ze względu na ich stosunki familijne, ale też dokładnie znać postępowanie ich (t. j. rekrutów) pod

442 „Współczesne wspomnienia” (Gazeta lwowska, Nr. 19. z r. 1896).

443 Nr. 258 z d. 15 listopada 1862 r.

względem politycznym, gdyż jednym z głównych celów tego poboru jest pozbycie się części ludności, która postępowaniem swoim przyczynia się do zamieszania porządku publicznego”, — przeto Komisya poleca, aby przede wszystkim brano do wojska „osoby źle zanotowane w ostatnich wypadkach, bez względu na to, czy wypadnie wziąć z jednego miasta lub jednego wyznania więcej popisowych, aniżeli z drugiego”.

Otóż cały ten reskrypt, prawdopodobnie przez zdradę urzędników, którzy go przepisywali, na wielkie zdziwienie i gniew margrabiego, w kilka dni potem ukazał się w „Czasie” krakowskim⁴⁴⁴, i tym sposobem doszedł do wiadomości publicznej. Niemala z tego powodu burza się podniosła w Komisji spraw wewnętrznych, ale to zdradzie tajemnicy rządowej nie zapobiegło, ani też skutków jawności tego rodzaju aktu nie zmniejszyło.

Wrażenie bowiem, jakie reskrypt ten wywarł na publiczność polską i na Europę całą, było niezmierne. Z „Czasu” dokument ten przedostał się do dzienników niemieckich, francuskich i angielskich, i wszędzie został jak naj-surowiej, jak najbezwzględniej potępiony. Zresztą było to tylko, że tak powiem, dodaniem oliwy do ognia. Od chwili bowiem, gdy wiadomość o wyjątkowej konskrypcji urzędownie ogłoszoną została, całe nieomal dziennikarstwo zachodnie podniosło wielki krzyk na to „zuchwałe wyzwanie cierpliwości nie-szczęśliwego i zropanzonego narodu”. Oczywiście ten jednomyślny głos potępienia dziennikarstwa, jakkolwiek może w części miał swe źródło w obrażeniem uczuciu ludzkości, w większym jednak stopniu był sztucznie podsycany przez różne koła emigracyjne polskie, które przyszłej konskrypcji nie przestały nazywać proskrypcją i „barbarzyństwem moskiewskim”. Bardzo wpływowy i bardzo czytany dziennik angielski „Daily Telegraph” pomieścił w tej sprawie cały szereg artykułów, które, przedrukowywane przez inne dzienniki europejskie, wszędzie wielkie wrażenie i jeszcze większe oburzenie na rządy rosyjskie w Polsce i na margrabiego wywoływały. Ten powszechny i prawie jednomyślny głos opinii europejskiej, z którą się jeszcze wtedy w Rosji liczo-no i na którą się oglądano, nie pozostał bez pewnego skutku.

W owe czasy posłem rosyjskim przy dworze belgijskim w Brukselli był książę Orłów, syn reprezentanta Rosji na kongresie paryskim, człowiek bardzo wrażliwy i bardzo dbający o to, by Zachód nie uważał Rosji za kraj barbarzyński, człowiek wreszcie liberalnych przekonań i sprzyjający autonomii polskiej. Wrzawa, jaka się podniosła w Europie na wieść o wyjątkowej brance, powszechne potępienie Rosji, niebezpieczeństwo zresztą nieuniknione wybuchu zbrojnego w Polsce w razie, gdyby branka przyszła do skutku, a stąd

proste następstwo zniszczenia autonomii polskiej a za nią nieunikniona reakcja w Rosji, wszystkie te względy tak oddziaływały na Orłowa, że z własnego popędu wyruszył do Warszawy w zamiarze osobistego przedstawienia W. księciu Konstantemu wszystkich złych następstw, jakie pobór może wywołać⁴⁴⁵. Liczył on może trochę na powagę swego nazwiska historycznego i czysto rosyjskiego, na opinią, z jakiej się cieszył, opinią człowieka uczciwego i prawego, na koniec na osobistą przyjaźń, jaka go łączyła z namiestnikiem warszawskim. Przyjechał do stolicy polskiej d. 1 grudnia, i tak był wymowny, tak groźny narysował obraz, że na chwilę zachwiał przekonaniem W. księcia. Orłow, zwolennik przymierza francusko-rosyjskiego, jako główny argument stawiał to, że, w razie dojścia do skutku poboru, powstanie w Polsce wybuchnąć musi, a gdy wybuchnie, cesarz Napoleon pod naciskiem opinii swego narodu zniewolonym będzie do ujęcia się za Polską. Nastąpi więc zerwanie tak ciężko, tak mozolnie od lat siedmiu nawiązywanego porozumienia francusko-rosyjskiego, mogą powstać Bóg wie jakie zawiśnięcia, może wojna, do której Rosja jest nieprzygotowaną, w dobie reorganizacji wewnętrznej nadzwyczajnie osłabioną, a stąd spotka ją nieunikniona klęska, a tej klęski któż może obliczyć następstwa? Czyż więc nie lepiej będzie nie robić niebezpiecznej próby i na innej drodze szukać uspokojenia Polski?

Argumenta te, a może i inne, dotyczące w poufnej rozmowie marzeń ambitnych W. kniazia, powtarzamy, zrobiły wrażenie i na skutek tego Konstanty zwołał wielką tajną radę do Zamku, na którą zaprosił margrabiego, jego syna Zygmunta, Paulucciego i Ramsaya. W radzie tej wziął także udział ks. Orłow⁴⁴⁶. Ten przedstawił swe widzenie rzeczy zebranych, popierany w tym względzie przez Ramsaya, ale dowodzenia jego wobec przewagi dwóch Wielopolskich, wobec przechylania się W. księcia ku ich zdaniu, wobec obojętnego zachowania się Paulucciego nie zostały uwzględnione. Dziwiono się obawom W. księcia, z ufnością zaręczano za szczęśliwy skutek zamachu. Wielopolski uparcie obstawał przy swoim, mówił o wrzodzie, który rozciąć należy, owszem, dla udaremnienia zamiarów stronnictwa Czerwonego, domagał się przyspieszenia terminu branki. Jakoż W. książę, którego głos oczywiście największe w tej Radzie miał znaczenie, zgodził się na to i naznaczono brankę na noc z d. 14 na 15 stycznia 1863 r., który to termin zobowiązano się zachować

445 J. Klaczko, *Etudes de diplomatie contemporaine*, 44.

446 H. v. Halban, *Polen und das Jahr 1863*, p. 21 utrzymuje, że na radzie tej był generał-gubernator Krzyżanowski. Jest to błąd. Naprzód urząd generał-gubernatorski w tej porze już nie istniał i Krzyżanowski w Warszawie się nie znajdował. Natomiast z dobrego źródła nam jest wiadomem, że w radzie tej miał udział generał Ramsay, o czym p. Halban nie wspomina.

wać w największej tajemnicy⁴⁴⁷. Książę Orłow, nic nie wskórawszy, w parę dni po swym przyjeździe powrócił do Brukseli, skąd przypatrywał się strasznym konwulsjom polskim, by jeszcze raz, w kilka miesięcy później rozpocząć nową i równie bezskuteczną akcją na korzyść Polski⁴⁴⁸.

Cóż jednak przez ten czas robił Komitet centralny, jakie środki przedsiębrał, by ocalić siebie i organizacją powstańczą od ciosu, jaki jej gotował margrabia? Zrazu, jakśmy to wspomnieli, Komitet zdecydowany był uleź brance, gdyż powstanie nie było przygotowane, i pocieszał zagrożonych młodych ludzi, że poniosą zarzewia rewolucyjne w same łono caratu, że spełnią tym sposobem „apostolskie swe posłannictwo”. W tym też duchu przemawiał „Czas” krakowski, zapewne z natchnienia Komitetu, i zapewniał⁴⁴⁹, że „jeżeli rząd zdoła wziąć kilkuset lub parę tysięcy dzielnej młodzieży, to wprowadzi w szeregi armii tylu apostołów wolności, którzy miłość swobody i nienawiść przeciwko despotyzmowi, ciemńczącemu oba narody, zaszczipią w narzędziu ciemnizny”. „Z siejby tej wróg może zebrać dla siebie karę Bożą, a naród błogie owoce”. W Paryżu, w rocznicę powstania listopadowego, ks. Władysław Czarotoryski, dorocznym obyczajem w Towarzystwie historyczno-literackim, w sali biblioteki polskiej wygłosił mowę, w której ostrzegał swych współrodaków „przed walką bez nadziei i bez chwały”. „W obecnem położeniu Europy, mówił, sojuszów, jakie się zawiązują i wspólności interesów, jaka się ustala, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie może przypuścić, by powstanie w Polsce mogło w tej chwili znaleźć gdziekolwiek pomoc”. Ale był to głos biblijny wołającego na puszczy. Organizacja zagrożona branką, jak każdy spisek dbała więcej o własną skórę jak o ojczyznę, i choć powstanie dla każdego, kto choć trochę myśleć umiał, było po prostu głupstwem i zbrodnią, to jednakże parła do niego, jako do jedyne go punktu wyjścia ze strasznego położenia, w którym się znalazła.

Wielu z jej członków nie zastanawiało się wcale nad tem co będzie, gdy powstanie wybuchnie, byle tylko ono wybuchło, by stał się czyn, będący logiczną konsekwencją tego, co się od lat dwóch w kraju działo, by na koniec oni, Czerwoni, postawili na swoim. Przeciw Komitetowi centralnemu teraz wśród sprzysiężenia oburzenie z każdym dniem nieomal wzrastało, że nic nie

447 Halban loc. cit. 22 utrzymuje, że na tej tajnej radzie spisano protokół posiedzenia i że protokół ten znajduje się w rękach polskich. Poszukiwania nasze przekonały nas, że protokół taki w rzeczy samej istnieje, ale dostać go nie mogliśmy, ze względu jakoby na wyższą politykę, która nie pozwala teraz (r. 1896) dokumentu takiego publikować.

448 Halban, loc. cit. Giller, Al. Wielopolski, 121, utrzymuje, że przyspieszony termin poboru został postanowiony w skutek aresztowania w Paryżu agentów Komitetu centralnego, wysłanych po zakupno broni. Wersja Halbana wydaje nam się prawdopodobniejszą.

449 Nr. 258.

przygotował, że przez czas kilkomiesięcznego swego istnienia ani jednej sztuki broni nie zebrał, ani kwaterki prochu nie schował. Zapominali, że przez te kilka miesięcy Komitet musiał ciężkie walki staczać o własne istnienie, i że nie mógł myśleć o przygotowaniach do powstania, choćby dlatego, że powstanie to odkładał na czas bardzo jeszcze odległy, i że przede wszystkim zajmując się Gillerowskim programem stworzenia tajnego państwa polskiego, „którego władzę rozciągnąć chciał aż do Petersburga i Wołgi”⁴⁵⁰, nie mógł zajmować się tak marnymi rzeczami, jak karabiny i proch. Nic też nie było gotowe do strasznego boju z Rosją, którego domagali się wszyscy młodzi ludzie zagrożeni branką. Komitet, naciskany nieustannie, odbywał teraz w grudniu prawie codzienne posiedzenia, na których radził nad obmyśleniem środków postępowania wobec zapowiedzianej konskrypcji⁴⁵¹. Po długich naradach, tyle jednak jeszcze rozumu i sumienia było w tych ludziach, którzy z niepraktykowanym w dziejach zuchwalstwem uzurpowali sobie prawo stanowienia samowolnie o losach najniezwyklejszego z narodów, że zdecydowano, iż bądź co bądź powstania nie będzie i być nie może wcześniej jak na wiosnę, w maju 1863 r.⁴⁵². Z uwagi wszakże, iż nie można zostawiać całej organizacji na pastwę poboru, postanowiono zrazu postarać się o zniszczenie wszędzie gdzie się da list konskrypcyjnych, potem zaś za radą Gillera⁴⁵³ uchwalono t. z. dyslokacją spisowych, która na tem polegała, żeby, przeznaczeni przez władze rządowe do poboru, młodzi ludzie przenieśli się na inne miejsca i dopóty się przerzucali, dopóki nie minie niebezpieczeństwo.

Pomysł niezaprzeczenie był dobry; przy ówczesnej organizacji, przy niezaradności i skorumpowaniu przez spisek władz rządowych, nawet łatwy do wykonania i z pewnością ocaliłby większą część spisowych i zamach Wielopolskiego chybiłby niewątpliwie. Sposób ten zresztą praktykowany był od dawna w kraju przez wszystkich tych, którzy nie chcieli służyć w wojsku. Przed branką znikali oni z miejsca swego stałego pobytu i powracali dopiero wtedy, gdy wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Był to więc plan ten sam, tylko pojęty na większą skalę. Obliczano sobie tak: ponieważ według danych, jakie zdołano zebrać w listopadzie, liczba sprzysiężonych w Królestwie osiągała 25.000 ludzi⁴⁵⁴, więc nawet w najgorszym razie, gdyby branka zdołała schwy-

450 A. Giller, *Al. Wielopolski*, 119.

451 *Loc. cit.* 120.

452 Giller, *Historia II*, 207. Źródła rękopiśmienne.

453 Sam on o tem powiada, *loc. cit.* I, 270, w przypisku.

454 O. Aweyde, *Zeznania III*, 143, liczy w przybliżeniu tak: w lubelskim i plockim ogółem było 10.000 sprzysiężonych, w warszawskim 4000, w podlaskim 4000, w kaliskim i Sandomierskim 4000, w krakowskim i augustowskim 2000.

tać 3 do 4 tysięcy, to jeszcze pozostanie około 20 tysięcy, którzy organizacyi nie dozwolą się rozpaść, ani też zamysłem przyszłego powstania całkiem się rozchwiać. Wszelako, przy energicznie i sprawnie zarządzanej dyslokacyi spisowych, rząd warszawski nie będzie w stanie wziąć nawet 4000 ludzi i branka chybi zupełnie, wzmocni siły organizacyi, zdwoi ufność do Komitetu, a stanowiskiem Wielopolskiego zachwieje.

Wydawało się to wszystkim członkom Komitetu tak jasnem i niewątpliwem, że zgodzili się na projekt Gillera i odpowiednie rozporządzenia w początkach grudnia wygotowano i rozesłano do wojewódzkich. W rozporządzeniu co do dyslokacyi, Komitet nakazywał władzom powstańczym jak najspiesniejsze przygotowanie odpowiedniej ilości paszportów ze zmyślonemi nazwiskami dla młodzieży wykazanej na pobór. Na dni parę przed branką samą, Komitet zalecał wysyłanie spisowych pojedynczo do sąsiednich województw, a nawzajem przyjmowanie i udzielanie opieki młodzieży, przybywającej z innych stron.

Zwracano uwagę na to, by spisowi nie osiadali zbyt blisko pierwotnego swego miejsca pobytu, owszem jak najdalej, t. j. żeby dajmy na to spisowi z Lublina przenosili się do Płocka lub Suwałk, z Warszawy do Kielc, lub innego jakiego dalszego miasta. Wojewódzcy i okręgowi naczelnicy mieli się w tym względzie skomunikować ze sobą i porozumieć. Komitet wyrażał przytem życzenie, ażeby spisowi, o ile możliwości, umieszczani byli po wsiach wśród chłopów, ażeby przybrali strój wiejski, pomagali w pracy swym gospodarzom. Utrzymanie tej młodzieży miało ciążyć na właściwych województwach. Zalecano, by władze powstańcze miały jak najściślejszy nadzór nad zachowaniem się spisowych w ten sposób dyslokowanych, i kontrolę ich prowadziły.

Takiem było w głównych zarysach rozporządzenie dotyczące dyslokacyi spisowych. Wywarło ono w ogóle bardzo dobre wrażenie na organizacyą, świadczyło w jej oczach, że Komitet o niej pamięta i nie oddaje jej na pastwę Wielopolskiemu, jak to powszechnie mówić poczęto. Ale jeżeli rozkaz o dyslokacyi dobrze został przyjęty, to drugi rozkaz o zaprzestaniu rozszerzania dalszego organizacyi wywarł ujemne wrażenie. Uchwala co do tego, jaka zapadła na grudniowych gorączkowych posiedzeniach Komitetu, miała swe źródło w tem, że liczba sprysiężonych była aż nadto dostateczną do wywołania w danym razie powstania; że przez nieograniczone rozszerzanie organizacyi narażało się ją tylko na zdradę, jak tego liczne poczynaly już być wypadki. Rozkaz więc Komitetu zakazywał dalszego formowania dziesiątek i setek, oraz wszelkiego rodzaju zjazdów i narad liczniejszych. Rozkaz ten jednak, zupełnie słuszny i usprawiedliwiony, nie podobał się nadzwyczajnie całemu sprysiężeniu prowincjonalnemu, różnym wojewódzkim, naczelni-

kom okręgowym, setnikom i dziesiętnikom, i przez osobliwszą logikę, widzieli w nim oznakę słabości Komitetu. Trzecim na koniec rozkazem, jaki wydał Komitet na swych grudniowych posiedzeniach, było rozporządzenie do władz rządowych, do gubernatorów i naczelników powiatów, zabraniając im najsurowiej, pod osobistą odpowiedzialnością, a nawet ewentualnie i karą śmierci, wszelkiego śledzenia spisowych, którzy się wydali z miejsca swego pierwotnego pobytu. Rozkaz ten nie pozostał bez wrażenia i bez skutku. W kilku miejscach, zwłaszcza władze niższe, naczelnicy powiatów, burmistrz miast i miasteczek przez palce patrzyli na tłumne nieraz ucieczki spisowych; co wszystko, razem wzięte, przy szczerem i energicznem wykonaniu, mogło całkowicie zachwiać planem margrabiego.

Sprawą dyslokacji spisowych, według rozkazów Komitetu, zajęli się czynnie wojewódzcy. Nie mamy bliższych szczegółów, jak się do tego wzięli, prócz jednego województwa lubelskiego, co wszakże może służyć za wskazówkę ogólną. W Lublinie, na liście poborowej, sporządzonej przez inspektora policyi Jackowskiego, jak niektóre relacje utrzymują, należącego do organizacji powstańczej, figurowało zaledwie czterdziestu młodych ludzi, z których 18 tylko należało do sprzysiężenia, a reszta po większej części złożoną była z ludzi znanych z niemoralnego prowadzenia się. Ponieważ w owym czasie organizacja miasta Lublina liczyła przeszło 700 osób⁴⁵⁵, więc wzięcie nawet do wojska owych 18 młodzieńców nie mogło jej najmniejszej szkody przynieść, a dowodziło, jak niedołącznie i niedbale był wykonywany plan Wielopolskiego przez niższe słoje administracyi, i że w samym swym zarodku niósł ziarno niepowodzenia. Z drugiej strony dla władz powstańczych ukrycie przed branką ośmnastu młodych ludzi nie przedstawiało żadnych trudności. Za staraniem powstańczych naczelników powiatowych zyskano sobie włościan w dobrach rządowych i w ordynacyi Zamoyskich, oraz w kilku dobrach prywatnych. Chłopi oświadczyli, że chętnie przechowają u siebie spisowych⁴⁵⁶.

Mniej więcej wszędzie tak samo się urządzono, choć wobec pragnienia jak najszybszego powstania, nie wszędzie chętnie brano się do wykonania planu dyslokacyi. Na Podlasiu, komisarz Komitetu centralnego Rogiński, który miał później zasłynąć dziwnie awanturniczymi kolejami, wychowawiec szkoły w Cuneo, stąd Czerwieńiec zarozumiał, nie był przychylny projektowi dyslokacyi, i głośno twierdził, że ona do niczego nie doprowadzi i że powstanie wybuchnąć musi⁴⁵⁷. Z tem wszystkim wojewódzki miejscowy Bronisław Descour, czynnie zajął się przygotowaniami do dyslokacyi. Miano znaczną ilość paszportów dla

455 K. Gregorowicz, *Pogląd krytyczny* II, 141.

456 *Loc. cit.* II, 139.

457 „Wydawnictwo materyałów do historii powstania” II, 144.

wysyłki części popisowych do Galicyi, a w części w celu ukrycia ich wśród włościan. Liczba sprzysiężonych na Podlasiu miała dochodzić do 8000⁴⁵⁸, co jest oczywistą przesadą i rzecz prosta, że nie wszyscy mieli być więci. W ogóle przy energicznej działalności władz powstańczych zdawało się, że plan dyslokacji będzie wprowadzony w życie, branka zamierzona przez margrabiego w ten sposób unicestwiona i straszna zmora powstania zażegnana.

Niestety! inaczej stać się miało na nieszczęście Polski. W samym Komitecie byli ludzie gwałtownie pragnący powstania i jeżeli zgodzili się na dyslokację, a stąd na odroczenie wybuchu, to ulegli tylko przewadze Gillera, ale w głębi duszy inaczej byli przekonani i przy sposobności głośno przedrwiwali plan Gillerowski i zapowiadali, że dzięki jemu cała organizacja oddana zostanie w ręce rosyjskie. Poza Komitetem było mu wielu nieżyczliwych, chorych na niezdrową ambycją rządzenia, gotowych na wszystko, byle obecny skład tego ciała obalić, a natomiast samym zająć ich stanowisko. W organizacji niższej wrzało jak w garnku i coraz donioślejsze, mimo wszystko, rozlegały się domagania, by Komitet dzień branki wyznaczył jako dzień powstania.

Fale tych namiętności szalonych wzbierając coraz bardziej uderzały nieustannie o Komitet, który doskonale to widział, że jeżeli rzeczy się nie zmienią, to albo zostanie przez owe fale zalany i obalony, albo z ich prądem iść będzie musiał⁴⁵⁹. Że w tem podburzaniu organizacji niższej brał czynny udział Komitet rewolucyjny Mierosławskiego, który, nie mogąc w inny sposób psuć robót Komitetu centralnego, popychał wbrew woli tegoż sprzysiężenie do powstania, to nie ulega wątpliwości⁴⁶⁰. To naleganie, to parcie do wybuchu, w oczach wielu, nieświadomych rzeczy, uważane było za pochodzące od Komitetu centralnego, i dzięki temu prąd ten przybierał coraz gwałtowniejsze rozmiary. Komitet więc, chcąc być gotowym na wszelki wypadek, postanowił poczynić przygotowania do powstania, a przede wszystkim sprowadzić broń do kraju, całkiem prawie jej pozbawionego. Na to trzeba było jednak pieniędzy, a tych było bardzo niewiele. W kasie Komitetu, która przechowywana była u pani Jeskowej, żony Władysława Jeske, członka organizacji⁴⁶¹ znajdowało się zaledwie 400.000 złp., zebranych z podatku, zadekretowanego w październiku⁴⁶². Była to suma stosunkowo śmiesznie mała, by za nią można było uzbroić naród i prowadzić wojnę z potężnem państwem w czasach, gdy

458 Loc. cit. II, 145.

459 A. Giller, A. Wielopolski, 119.

460 Z. Miłkowski, W Galicyi i na Wschodzie, 7.

461 A. Giller, Historia I, 221.

462 Loc. cit. I, 270. S. Gesket, Wojennyja dziejstwa, nie wiemy, na jakiej podstawie utrzymuje (p. 9), że z podatku tego Komitet zebrał 500.000 złp.



do wojny trzeba wiele pieniędzy. Świadczyło to z drugiej strony, że ogół kraju niechętnie dawał grosz ludziom, których nie znał i na cel, którego ogromna większość nie aprobowała. Jakoż w rzeczy samej tak było.

Jeżeli wierzyć można niektórym doniesieniom, to już w listopadzie w województwie lubelskim szlachta głośno uskarżała się na ów podatek procentowy, zadekretowany przez Komitet centralny i domagała się, by rząd obronił ją od nacisku agentów Komitetu⁴⁶³. To też lubelskie w ogóle niewiele dało; przesławszy do Warszawy w początkach grudnia 40.000 złp., posiadało w kasie ledwie 500 złp.⁴⁶⁴. W tym oczywiście stosunku dały mniej więcej pozostałe siedem województw, skoro wszystkiego Komitet zebrał czterysta tysięcy. Za tę sumę niewiele można było zrobić i trzeba było istotnie tak szalonych głów, tak zaślepionych umysłów, by bez broni, bez pieniędzy, bez żadnych przygotowań myśleć o wyzwaniu Rosyi na straszną walkę o śmierć lub życie. Mimo to Komitet postanowił za to, co miał, kupić broni, ile się da. W tym celu jeszcze w listopadzie ustanowiona była w Paryżu, z ramienia Komitetu centralnego, Komisya broni, złożona z czterech osób, pod prezydencją jenerała Józefa Wysockiego⁴⁶⁵, który, po rozbiciu szkoły podchorążych w Cuneo, wrócił do stolicy francuskiej i czynny brał udział we wszystkich zagranicznych robotach powstańczych. W Komisyi tej główną rolę odgrywał niejaki Józef Ćwierczakiewicz, niegdyś urzędnik w biurze paszportowem przy Komisyi spraw wewnętrznych, który umknął zagranicę w czasie ostatnich wypadków i został agentem Komitetu centralnego. Wzmiankowana Komisya miała zająć się zakupnem broni i dostawą jej do kraju. Na ręce więc tej Komisyi, Komitet warszawski począł teraz co tydzień przysyłać pewną sumę, zacząwszy od 50.000 fr., według innych od 140.000 złp.⁴⁶⁶. Komisya broni napotykała w wykonywaniu swych obowiązków niemałe trudności. Żaden z jej członków nie miał najmniejszego nawet pojęcia o handlu bronią, o jej cenach i sposobie transportowania, a przytem nie dano im z Warszawy najmniejszych nawet wskazówek, którędy mają broń odesłać i komu ją oddać.

Komitet ciągle obiecywał, że instrukcyi dostarczy, a tymczasem ich nie dostarczał⁴⁶⁷. Wśród takich trudności i niepewności, Komisya broni z uwagi, że w samym początku wybuchu, większość powstańców nie będzie się umiała

463 Pawliszczew, Siedmicy I, 167.

464 K. Gregorowicz, Pogląd krytyczny II, 141. Z Podlasia (Wydawnictwo materyałów II, 139) w końcu lipca 1862 r. nadesłano Komitetowi 14.000 złp.

465 J. Łukasiewicz, Zabór pruski w czasie powstania, 270.

466 Wsie poddanniejszyj otczet o diejstwiach uprawienia generał policijmejstera w Carstwie Polskom, 109.

467 Loc. cit. 108.

obchodzić z bronią, postanowiła kupować karabiny jak najprostsze. W tym celu Ćwierczakiewicz za pośrednictwem Maryana Langiewicza, znanego nam profesora w szkole polskiej w Cuneo, zakupił w listopadzie w Genui około 5.000 starych, pruskich skałkowych karabinów, przerobionych na pistonowe, płacąc za sztukę od 12 do 13 franków, co oczywiście znacznie przewyższyło sumę 50.000 fr. nadesłaną z Warszawy. Prócz tego w Londynie Ćwierczakiewicz nabył 3.987 karabinów z bagnetami za sumę 108.000 fr.⁴⁶⁸. Na to wszystko nie starczyło pieniędzy i ledwie w obu miejscach dano zadatki, tak że wkrótce, gdy przesyłki funduszy z Warszawy się przerwały, czynność Komisji zesła prawie do zera⁴⁶⁹.

Szło więc teraz Komitetowi przede wszystkim o to, by bądź co bądź i z jakiegokolwiek bądź źródła dostać pieniędzy, bez których nic robić nie można było i to w chwili tak strasznej, gdy wybuch nie był już kwestią miesięcy, ale kwestią dni zaledwie. Zdarzyło się mniej więcej w tym czasie, że jeden z ekspedytorów poczty warszawskiej, należący do organizacji, uwiadomił za pośrednictwem tejże, czy sam Komitet centralny, czy też jakąś podrzędniejszą władzę powstańczą, że z Warszawy furgonem pocztowym wywożone są znaczne sumy pieniędzy skarbowych do Moskwy i innych miast rosyjskich, wreszcie uwiadomił, że w dniu tym a tym, traktem siedleckim taki furgon przejeżdżać będzie⁴⁷⁰. Czy sam Komitet, czy też ktoś inny, bo dziś trudno już tego dojść, zdaje się wszelako, że działa się to poza plecami Komitetu i bez jego wiedzy, postanowiono skorzystać z nadarzającej się okazji, na ów furgon napaść i pieniądze zabrać.

W tym celu wydelegowano znanego nam już ze sprawy Baerensprunga, w której tak niezaszczytną odegrał rolę, Henryka Abichta. Przybył on z Londynu do Warszawy jeszcze w marcu 1862 r. za paszportem angielskim, wydanym na imię Johna Breta⁴⁷¹, zdaje się, że należał zaraz do Komitetu Mięrosławskiego, wreszcie po upadku tegoż wszedł do organizacji powstańczej. Młody człowiek, 27 lat liczący, syn doktora i profesora Akademii medycznej wileńskiej, był najskrajniejszym rewolucjonistą z podkładką międzynarodówki. Jemu to powierzono misję napadu na furgon pocztowy i dodano do pomocy dwóch studentów z b. Akademii lekarskiej: Stanisława Maleszew-

468 Loc. cit.

469 J. Łukaszewicz, Zabór pruski, 270.

470 Ks. Słotwiński, Wspomnienia, 87.

471 „Dziennik powszechny” Nr. 131. z d. 12 czerwca 1863 r. Raport konsula angielskiego p. White do hr. Russel z d. 14 stycznia 1863 (La Pologne et la diplomatie, 4). „Je crois necessaire de mentionner ici, que cet Abicht est venu d’Angleterre en Pologne avec une passeport britannique”.

skiego i Michała Kozłowskiego. Wszyscy trzej mieli podrobione paszporta, które sam Abicht fabrykował i opatrzał pieczęciami, przywiezionymi z Anglii. Pasport Abichta był wydany na imię Kuliczkowskiego, dwaj jego towarzysze zwali się Baranowskimi⁴⁷². Wynajęli jednokonną furkę i uzbrojeni w sześć rewolwerów, w zapasy naboju i kapiszonów, w dwie siekiery, dłuto i drąg żelazny, posiadając prócz tego kwity podatkowe, wyruszyli w drogę i zatrzymali się we wsi Gończyce pod Garwolinem, gdzie połączyli się z Abichtem, który wyjechał z Warszawy osobną pocztą. Z Gończyc w nocy d. 19 listopada przybyli do Garwolina i zajechali na popas przed karczmą żydowską. Z karygodną lekkomyślnością, przed karczmą pozostawili konie i bryczkę, a sami weszli do izby, żeby się rozgrzać, gdyż noc była wietrzna i zimna. Żydek faktor, nazwiskiem Bandman⁴⁷³, zajrzał do wózka, zobaczył broń i doniósł o wszystkim burmistrzowi Luboińskiemu.

Ten zebrawszy, jaką mógł w nędznym polskim miasteczku siłę zbrojną, przyszedł do karczmy i zażądał paszportów. Abicht na to odpowiedział wymierzeniem w Luboińskiego rewolweru. Obezwładniony przez policyantów, został wraz z jednym z towarzyszy przyaresztowany; drugi chciał uciekać, ale schwytany przez niejakiego Renkowskiego, wraz z tamtymi odesłany został do cytadeli w Warszawie⁴⁷⁴.

Rzecz się więc nie udała, jak nie udały się inne tego rodzaju próby i pieniędzy ciągle brakowało⁴⁷⁵.

472 Pawliszczew, Siedmicy I, 164.

473 Pawliszczew, Siedmicy I, 211.

474 Abicht został w następnym roku powieszony w Warszawie. Ze sprawą tą łączy się usiłowanie zabójstwa owego żyda Bandmana. Za wyśledzenie Abichta i jego towarzyszy wyznaczona została Bandmanowi przez W. ks. Konstantego nagroda 200 rubli, po którą Bandman zgłosił się do Komisji skarbu, ale przez trzy dni z różnych powodów wypłaty mu odmawiano. Na koniec d. 7 stycznia 1863, gdy znowu przyszedł, w samym gmachu został pchnięty w bok sztyletem. Raniony ciężko, puścił się w pogoń za sztyletnikiem, wreszcie upadł wyczerpany, ale policyja zdołała schwycić niejakiego Hase, czeladnika ślusarskiego, podejrzewając go o to zabójstwo. Wszelako nie było żadnej pewności, czy istotnie Hase go dokonał, (czytaj Pawliszczew, Siedmicy I, 211, oraz raport konsula White do hr. Russel w „La Pologne et la diplomatie” p. 4). W ogóle zaznaczyć tu wypada, że rząd do sprawy Abichta przywiązywał szczególną wagę i nadał jej rozgłos nieusprawiedliwiony, gdyż Abicht był drugorzędnym czynnikiem w sprzysiężeniu. Dlaczego tak postępowano, dlaczego konsul angielski raporta w tej sprawie wysyłał do Londynu, zrozumieć trudno.

475 Ks. A. Słotwiński, Wspomnienia, 88, opowiada jeszcze jeden podobnego rodzaju zamierzony napad na pocztę. „Drugi wypadek był koło Białej (na Podlasiu). Wieziono pocztę z Rosyi, pieniądze rządowe do Warszawy. Warszawa wysłała ze swej strony po te pieniądze, bo było tak zdecydowane, że skoro da Jan Rogoziński(?) wystrzał, pocztylion i ekspedytor umkną, a on przyjdzie i zabierze wielką szkatułkę banknotów. Ów Jazon,

Z tem jednak, co posiadano, co zdołano z podatku zebrać, oraz z instrukcją, dokąd ma być broń wyekspedyowana, postanowiono wysłać do Paryża Franciszka Godlewskiego, członka organizacji, kilkakrotnie już w tej pracy wspomnianego. Wręczono mu około 300.000 złp.⁴⁷⁶. Z tą sumą Godlewski pojechał do Paryża, gdzie przede wszystkim porozumiewać się począł z Ćwierczakiewiczem, który niedawno wrócił z Londynu i na którego politycy francuska zwrócone miała oczy z powodu, że w stolicy angielskiej bywał często u Hercena, a nade wszystko u rewolucjonisty włoskiego Mazziniego. Jakoż w rzeczy samej Ćwierczakiewicz widywał się z Mazzinim, któremu był oświadczył, że powstanie w Polsce jest bardzo prawdopodobne z powodu poboru i zapytywał, o ile Polska może liczyć na poparcie rewolucjonistów europejskich. Czy Ćwierczakiewicz upoważniony był przez Komitet centralny do tego rodzaju pertraktacji, czy też działał na własną rękę, jak to zresztą było we zwyczaju u wielu agentów powstańczych, nie wiemy. Dość, że Mazzini na to pytanie oświadczył w tonie jak najbardziej stanowczym, że rewolucyoniści europejscy, nie będąc na tak rychły wybuch przygotowani, żadnego poparcia nie obiecują, a powstanie na wiosnę uważają za największą klęskę nie tylko dla Polski, ale w ogóle dla sprawy wolności w Europie. Mazzini z powodu tej rozmowy napisał nawet list do Komitetu centralnego, zaklinając go w imię wolności ludów, aby odroczone powstanie do chwili przyjaźniejszej⁴⁷⁷.

Te to stosunki z Mazzinim zwróciły uwagę policyi francuskiej na Ćwierczakiewicza i pobudziły jej czujność. Śledząc go pilnie przez kilka dni, oraz jego stosunki, w nocy z d. 20 na 21 grudnia przyaresztowała tak samego Ćwierczakiewicza, jak i przybyłego niedawno z Warszawy Godlewskiego, oraz jeszcze jednego Polaka, Czapińskiego nazwiskiem⁴⁷⁸.

Z papierów, zabranych Godlewskiemu i Ćwierczakiewiczowi, dowiedział się rząd francuski o zakupnie broni, a stąd o bliskim wybuchu powsta-

dla pocieszenia się i rozgrzania, połknął nieco wódeczki z butelki podróżnej. Jak usiadł pod gruszką, tak też zasnął, a furgon przejechał, trąbiąc dość silnie. Dowiedzieliśmy się o tem z ust ekspedytora. Oto wielcy konspiratorowie!"

476 A. Giller, *Historia I*, 270. Według „Wsiepoddannejszego otczeta”, 109, wydano w tej porze ogółem na broń złp. 334.233.

477 J. Łukaszewicz, *Zabór pruski*, 270.

478 „Przegląd rzeczy polskich u z d. 7 stycznia 1863, p. 63. Giller, *Historia I*, 270 powiada, że, oprócz Ćwierczakiewicza i Godlewskiego, aresztowano także Milowicza i Chmieleńskiego. O Czapińskim nie wspomina. Giller, a za nim wszyscy inni utrzymują, że aresztowanie wymienionych osób nastąpiło na żądanie ambasadora rosyjskiego w Paryżu, Budberga. Nie wydaje nam się to prawdopodobnem. Stosunki z Mazzinim i Ledru-Rollinem wystarczały dla policyi francuskiej, by przytrzymać Ćwierczakiewicza i tych wszystkich, z którymi on się komunikował.

nia w Polsce; znalazł w tych dokumentach marszrutę, którą broń iść miała do kraju, oraz adresa różnych osób, które miały w przesyłce tej pośredniczyć i w ogóle zająć się transportem karabinów. Wszystkie te papiery wobec ciągłej, nadzwyczajnej uprzejmości, jaką rząd francuski okazywał względem Rosyi, zostały doręczone ambasadzie rosyjskiej dla skopiowania⁴⁷⁹, poczem dopiero zwrócone Godlewskiemu, którego zresztą w kilka dni później wraz z towarzyszami wypuszczono na wolność. O tem fatalnem zdarzeniu Komitet centralny dowiedział się od Zygmunta Sierakowskiego, znanego nam już oficera sztabu jeneralnego rosyjskiego, biorącego przed paru laty czynny udział w formacyi koła petersburskiego powstańczego. Wysłany on został przez rząd rosyjski, zdaje się na przedstawienie ministra wojny Milutyna, którego Sierakowski był wielkim ulubieńcem, w r. 1861 do Paryża, dla wzięcia udziału w pracach międzynarodowego Komitetu wojenno-statystycznego⁴⁸⁰. Tutaj rewolucjonista ten i Czerwieniec wszedł w stosunki z Garibaldim, Mazzinim, Hercenem i innymi koryfeuszami rewolucyjnymi tej doby. Z natury rzeczy i swego stanowiska, bywał on często w Paryżu u ks. Piotra Witgensteina (właściciela ogromnych dóbr po Radziwiłłowskich na Litwie, które odziedziczył po matce Stefanii Radziwiłłównie), pełniącego obowiązki attaché wojskowego przy ambasadzie rosyjskiej, co tem było łatwiejszem, że osobisty sekretarz księcia, pan Władysław M. był wielkim przyjacielem Sierakowskiego.

Otóż zdarzyło się mniej więcej w tym czasie, że ks. Witgenstein otrzymał z Petersburga od ministra wojny Milutyna list, w którym tenże zalecał księciu, aby baczna zwrócił uwagę na Sierakowskiego, gdyż policja francuska donosi, że ten ostatni ma stosunki z rewolucjonistami. Witgenstein, wielki pan z rodu i poczucia godności, oburzył się tą rolą szpiegowską, jaką mu narzucano, i ostrzegł o wszystkim Sierakowskiego⁴⁸¹. Ten uznał za stosowne pojechać do Petersburga, by kielkujące podejrzenia stłumić w zarodku, ale nie śpieszył się zbyt, gdy nagle doszła go wiadomość o chorobie żony, pozostawiając w Wilnie. Wyruszył więc natychmiast d. 22 grudnia i na wyjeździe dowiedział się o aresztowaniu Ćwierczakiewicza, Godlewskiego i innych⁴⁸².

479 Giller, *Historia I*, 270.

480 N. Cyłow, *Sigismund Sierakowskij*, 46.

481 Relacye ustne od osób z otoczenia ks. Witgensteina.

482 Giller, *Historia I*, 270 pisze: „Sierakowski, dowiedziawszy się od samego Budberga o tych odkryciach (aresztowanie i zabranie papierów Godlewskiemu), ruszył wprost do Warszawy, przestrzegł A. Gillera i tem zapobiegł niejednemu nieszczęściu”. Brzmi to, jak gdyby Sierakowski dlatego tylko wyruszył do Warszawy, co nie jest prawdą, bo głównym powodem wyjazdu były podejrzenia Milutyna, a przyspieszenia tego wyjazdu choroba żony. Wątpliwem jest również, by o papierach Godlewskiego Sierakowski dowiedział się od Budberga. Mamy przed sobą własnoręczny list Sierakowskiego do p. Władysława

Stanąwszy w Warszawie d. 24 t. m. uwiadomił o wszystkim Agatona Gillera, co na Komitet bardzo zapewne przykre i przygnębiające wywarło wrażenie⁴⁸³.

Przybycie Sierakowskiego do Warszawy przypadło na chwilę, gdy tam na żądanie Komitetu zjechało się kilku dowódców przyszłego powstania dla narady i powzięcia decydującego postanowienia. Znalazł się więc tutaj w stolicy polskiej, w której, jak się zdaje, nigdy przedtem, ani potem już nie był, Marian Langiewicz, niegdyś oficer artylerii gwardyackiej pruskiej, a który w parę miesięcy później miał odegrać pierwszorzędną rolę historyczną. Do Warszawy przybywał wprost z Londynu, gdzie, jak wiemy, pomagał Ćwierczakiewiczowi w kupnie broni. Obok Langiewicza i Sierakowskiego w Warszawie stawiał się Zygmunt Miłkowski, zamianowany niedawno przez Komitet centralny naczelnikiem sił zbrojnych na Litwie i Rusi⁴⁸⁴, znany w literaturze ojczystej pod pseudonimem T. T. Jeża; stawiał się dalej Lewandowski, emigrant z 1846 r. przebywający stale w Paryżu i uchodzący, niewiadomo dlaczego, za dobrą głowę wojskową; przybył Zwierzdowski, który niedawno przeniesiony został z Wilna do Moskwy na skutek swych stosunków z Komitetem powstańczym wileńskim, i wreszcie głośny później Edmund Różycki. Spodziewano się jeszcze przybycia Czapkiego i innych, ale zdaje się, że nie przybyli wcale. Rozpoczęły się więc wielkie narady, w których jednak nie wszyscy zebrani gremialnie brali udział, naprzód dlatego, że nie przybywali jednocześnie. Wtedy np. kiedy Miłkowski bawił w Warszawie, Sierakowskiego jeszcze nie było⁴⁸⁵. Z każdym więc z przyszłych dowódców Komitet pojedynczo się naradzał i to nie cały, ale zwykle przez pośrednictwo Padlewskiego, Aweydy lub innych. Nie ukrywali oni tego wcale, że nie było ani jednej sztuki broni, ani garści prochu, ani kawałka ołowiu.

Zażądane w tym mniej więcej czasie przez Komitet centralny od wojewódzkich wiadomości o liczbie sprzysiężonych i ilości broni wykazywały pod

M. sekretarza ks. Witgensteina, pisany z drogi z Berlina z datą 23 grudnia. Będąc więc w Berlinie d. 23, musiał z Paryża wyjechać d. 22 grudnia. Aresztowanie agentów polskich nastąpiło w nocy z d. 21 na 22 grudnia, o czym zapewne zawiadomiono ambasadę rosyjską dopiero nazajutrz i dano jej do skopiowania papiery Godlewskiego. Wszystko to wymagało czasu i Sierakowski w żadnym razie nie mógł się dowiedzieć o ich treści; mógł tylko na wyjeździe otrzymać niejasną wiadomość o aresztowaniu samem.

483 Giller loc. cit. utrzymuje, że „zdrada policji francuskiej spowodowała, że rząd moskiewski przyspieszył termin poboru i wywołał przedwczesne powstanie”. Przyspieszenie terminu poboru było znacznie wcześniej postanowione, jakśmy to we właściwym miejscu wykazali, a wersja Gillera jest jednym z tych fałszów, którymi stronnictwo rewolucyjne chciało zasłonić się przed odpowiedzialnością za lekkomyślne wywołanie powstania.

484 Z. Miłkowski, W Galicyi i na Wschodzie, 5.

485 Loc. cit. 7.

tym względem stan wcale niepokojący. W lubelskim sprzysiężonych było około 4000, broni zaś, prawie wyłącznie strzelb myśliwskich, było zaledwie trzysta kilkadziesiąt sztuk⁴⁸⁶. W województwie podlaskim sprzysiężonych miało być znacznie więcej⁴⁸⁷, broni zaś palnej myśliwskiej trzysta sztuk się znalazło. Nie lepszy zapewne był stan innych województw⁴⁸⁸. Stawiano więc przybyłym dowódcom pytanie, czy z tak nędznymi zasobami należy skorzystać z branki i wybuch naznaczyć, czy też czekać i lepiej się przygotować?

Miłkowski przybył do Warszawy w końcu listopada lub w początkach grudnia i stanął w hotelu Rzymskim na Nowosenatorskiej ulicy pod zmyślonem nazwiskiem i naprzód spotkał się z Godlewskim, który go zaprowadził na posiedzenie Komitetu, na ulicę Widok, do domu pani Heurich, do mieszkania pani Jeskowej, siostry Szwarcego, u której przechowywana była, jakśmy już wspomnieli, kasa Komitetu. Na posiedzeniach tych, których było kilka, bywał Godlewski, Szwarce, Aweyde, Winnicki. Giller nie był ani razu, a Padlewski wówczas nie wrócił jeszcze, zdaje się, z Petersburga, dokąd, jak wiemy, jeździł w celu zawiązania stosunków z rewolucjonistami rosyjskimi. Przedmiotem narad był wybuch powstania wspólnie z branką, co głównie popierał gorączkowo Szwarce, znany nam już ultraczerwieniec i słaba bardzo głowa, ale krzykacz niepospolity.

Godlewski, chłodny i rozważny, przeciwny był wybuchowi tak wczesnemu, ale wobec branki uważał go za złe konieczne. Aweyde w ten sam sposób patrzył na rzeczy i gdy mu Miłkowski przedstawiał straszne następstwa przedwczesnego wybuchu, przyjmował je z zimną determinacją. Jeden tylko Tomasz Winnicki był stanowczo przeciwny wybuchowi⁴⁸⁹. Ze swej strony Miłkowski radził, by wstrzymać się z powstaniem do maja, przyczem osobliwsze wygłaszał zdania, świadczące o dziwnych wyobrażeniach i o dziwniejszej jeszcze logice rewolucjonistów tej epoki. Przewidywał on, że powstanie upadnie, jednakże domagał się, by ono nastąpiło i by Ruś w nie wciągniętą została. „W razie takim, bowiem, mówił, pozostanie fakt, świadczący wobec świata i wobec naszego własnego sumienia o prawach Polski do tej całości jej politycznej, jaką dla niej dzieje urobiły. Zachodzi tu przytem i racja strate-

486 K. Gregorowicz, *Pogląd krytyczny II*, 141.

487 Miało ich być 8000, według Deskura, ówczesnego wojewódzkiego podlaskiego (*Wydawnictwo materyałów II*, 145).

488 W mowie, jaką miał mieć Padlewski w d. 16 stycznia 1863 do komisarzy wojewódzkich w Warszawie, mowy co do formy niewątpliwie apokryficznej, ale co do treści autentycznej, powiedział, że broni myśliwskiej zebrał w całym kraju sztuk 600. Oczywiście jest to fałsz. Jeżeli dwa województwa posiadały około 700 sztuk, to cały kraj musiał jej posiadać znacznie więcej.

489 Z listu Z. Miłkowskiego, pisanego do autora.

giczna, wyrażająca się za pomocą rozerwania uwagi nieprzyjaciela na obszar ogromny⁴⁹⁰. Dla tej racji, dla tych praw polskich do ziem ruskich, których to praw przecież dowodzić nie trzeba było, bo sama historia była niewzruszonym i niczem niezatartym świadectwem, domagano się potoków krwi i podkopania zupełnego polskości na Rusi. W każdym razie Miłkowski jak najgoręcej odradzał wybuch powstania w styczniu. Na tym punkcie nie bardzo go słuchano i wszyscy zdawali się ulegać patetycznym i pseudo-patryotycznym wykrzyknikom Szwarcego, tak że Miłkowski nabył przekonania, iż wybuch współcześnie z branką jest nieuniknionym. Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz Szwarce mu oświadczył, że Komitet do jego przychylił się zdania. „Jak to? zapytał Miłkowski, a rekrutacya?” „Znaleźliśmy na nią sposób⁴⁹¹. Sposobem tym, jak wiemy, było zniszczenie list spisowych i dyslokacja kon-skryptów.

Miłkowski zapytał się przytem, czy Komitet czuje się na siłach wybuch powstrzymać? Odpowiedziano mu, iż zdaje się, że organizacya będzie posłuszną.

Przybyły później Sierakowski także doradzał powstrzymanie powstania. Wychowany wojskowo, znający doskonale siły Rosyi, przedstawiał Komitetowi niemożność zwycięstwa i oczywiście otrzymał przyrzeczenie, że powstanie nie tak prędko nastąpi. Wyjeżdżając do Wilna, rzekł do Giller: „polegam na tobie i na was, że nie dopuścicie do powstania, które byłoby nieszczęściem⁴⁹². Takież mniej więcej zapewnienie otrzymał i Edmund Różycki, który z drugim delegatem od Komitetu Rusi przybył w tej porze do Warszawy. Oświadczone mu wyraźnie, że Rusi zostawia się zupełną swobodę działania do tego stopnia, że gdyby Komitet tamtejszy widział, że powstanie w tej prowincyi udać się nie może, lub gdyby chłopci byli gotowi do wystąpienia przeciw powstańcom, wolno jest Komitetowi zupełnie do ruchu nie przystępować. W ogólności decyzją samego powstania zostawiono Rusinom⁴⁹³. Delegaci ze swej strony zapewniali, że Ruś do wybuchu nie jest gotową i że trzeba czekać. Komitet warszawski obiecywał też, że czekać będzie.

Jakkolwiek jednak takie powzięto postanowienie, wszelako Komitet centralny zażądał od przybyłych dowódców planu przyszłej wojny o niepodległość. Sierakowski proponował, że jeżeli wybuchnie powstanie, kiedyś tam w maju, czy w lecie 1863 r. to należy prowadzić zrazu wojnę partyzancką, a potem drobne oddziały łączyć w kolumny i starać się opanować choć część kraju i tam organizować armię regularną. Ponieważ jednak w tej chwili nie

490 Z. Miłkowski, W Galicyi i na Wschodzie, 6.

491 List Miłkowskiego.

492 A. Giller, Historia II, 295.

493 A. Giller, Historia I, 159.

było już mowy o powstaniu i do wybuchu dużo jeszcze miało upłynąć czasu, radził więc, aby istniejącej organizacyi nadać charakter wojskowy i zwrócić wyłącznie jej działalność do przygotowywania zapasów broni, amunicyi, wszelkiego rodzaju sprzętu wojennego i pieniędzy.

Odtąd, mówił, to ma być wyłącznie zadaniem i celem organizacyi. Dla większej sprężystości w działaniu, radził zniesienie urzędu wojewódzkich, a natomiast podzielenie całego Zaboru rosyjskiego na pięć części, czyli okręgów wojennych z naczelnikami na czele, posiadającymi władzę dyktatorską. Te pięć okręgów wojennych miały stanowić: lewy brzeg Wisły, t. j. gubernia radomska i warszawska; prawy brzeg Wisły t. j. gubernia lubelska; osobny okrąg, trzeci z rzędu, miały tworzyć gubernia płocka i augustowska, czwarty Litwa, piąty Ruś. Na naczelnika lewego brzegu Wisły proponował czy Sierakowski, czy też ktoś z członków Komitetu, na wypadek gdyby plan ten był przyjęty, Langiewicz. Lewandowski, który właśnie przybył do Warszawy w czasie rozpraw nad tym planem, pragnął, by jemu oddano lewy brzeg Wisły, ale mu odmówiono z tego powodu, że Langiewicz, jako były oficer pruski ma stosunki w tej armii i łatwiej mu przyjdzie stamtąd sprowadzić oficerów i broń. Lewandowski więc otrzymał okrąg prawego brzegu Wisły, to jest lubelskie i podlaskie, które uważano za najodpowiedniejsze dla niego, jako urodzonego na Podlasiu (w Łaskarzewie). Płockie i augustowskie miał objąć Czapski, Litwę Sierakowski, Ruś Różycki i Miłkowski⁴⁹⁴.

Ten ostatni wezwany został także o nakreślenie swego planu. Odmówił na tej zasadzie, że nie posiada żadnych danych, na których mógłby oprzeć swój projekt. Mówiono mu, że sprzysiężonych jest 18.000, co dowodzi, że nie miano nawet na tym punkcie dokładnych cyfr, to też wydała się ona Miłkowskiemu zbyt nieściśłą i nie mogła służyć za podstawę dostateczną. Nadto brakowało mu wiadomości o rozstawieniu wojsk rosyjskich; przepędzwszy kilkanaście lat na emigracyi, nie miał wyobrażenia o usposobieniu ogółu mieszkańców Królestwa.

Nie chciał więc dać planu, skreślił tylko na piśmie projekt osnowy następującej: „ludzie kompetentni powinni wybrać trzy lub cztery punkta na ogniska ruchu; w nich zgromadzić w ilości jak największej broń i amunicję. Jako jeden z punktów takich wymieniam Warszawę, przeznaczając takową na zapoczątkowanie powstania uliczną za barykadami walką, prowadzoną uporczywie i jak najdłużej, a to w tym celu, ażeby, podczas gdy na Warszawę zwróci się główna uwaga i jak największe siły moskiewskie, powstańcy na prowincyi mieli czas do ściągnięcia się na punkta zborne, do uzbrojenia się, uporządkowania i przy-

494 Z relacyi jednego z żyjących dotąd naczelników wymienionych okręgów.

stąpienia do działania zaczepnego przeciwko garnizonom nieprzyjacielskim, pozostającym na leżach. Warszawę radzę po kilkudniowej walce opuścić i wyprowadzony z niej oddział złączyć z najbliższym oddziałem, sformowanym w jednym z punktów ogniskowych. Przypuszczam, że oddziały w ten sposób ściągnięte wynosić będą po mniej więcej 10.000 walczących. Z niemi można będzie kusić się o oczyszczenie z nieprzyjaciela pewnej znaczniejszej części kraju, co dałoby możliwość formowania w części tej armii narodowej⁴⁹⁵. Projekt ten był na wskroś fantastyczny, jak wszystko zresztą w tym ruchu i powstaniu było fantastycznym. Zdawałoby się, że człowiek ze zdrowymi zmysłami nie mógł przypuścić, by ruchawka w Warszawie mogła przez kilka dni toczyć walkę za barykadami z trzydziestotysięczną armią, wspieraną przez działa cytadeli; by na koniec przez te kilka dni na prowincyi, także zalanej wojskiem rosyjskiem, powstańcy mogli się uzbroić, uporządkować i atakować garnizony nieprzyjacielskie. A jednak stan umysłów był tak osobliwy, gorączka tak silną, że najoczywistsze brednie uchodziły za coś bardzo rozumnego; zastanawiano się nad nimi, dyskutowano je i rozbierano.

Zygmunt Padlewski podał trzeci plan, który w gruncie rzeczy był tylko rozwinieciem na szerszą skalę pierwotnego Gillerowskiego projektu dyslokacyi. Plan ten wobec „kartki o poborze”, którą organizacja doskonale pamiętała i domagała się, by obietnica w niej dana, była ściśle wykonaną, zasłaniał Komitet centralny zupełnie od wszelkiej odpowiedzialności.

Padlewski, jak się zdaje, nie wierzył temu, by, wobec nacisku organizacji, Komitet mógł wybuch powstrzymać; w gruncie rzeczy sam uważał powstanie za największy błąd i nierozum, ale sądził, jak niegdyś kasztelan Bidziński na sejmie 1688r. że „Polska ma gorączkę, trzeba jej krwi puścić”, i poświęciwszy kilka tysięcy ludzi, kraj od nieszczęścia ocalić. Chciał więc, ażeby wszyscy popisowi, zagrożeni branką, przed jej terminem zgromadzili się w lasach między Dąbrową górniczą i Kielcami, w okolicy górzystej, a stąd przedstawiającej łatwość ukrycia się przed wzrokiem nieprzyjaciela. Na te punkta, o tymże czasie, ma być dostawiona broń, zakupiona zagranicą. Tym sposobem utworzyłaby się mniej więcej dziesięcioletnia armia, złożona z samych popisowych, armia „zrozpaczonych”, jak ją nazywał Padlewski, ludzi, którzy walczyć musieli na śmierć lub życie, którzy innego wyjścia nie mieli, tylko albo iść do batalionów Orenburskich, albo zwyciężyć. W innych miejscowościach Królestwa spokojność ma być ściśle zachowana do pewnego czasu. Armia „zrozpaczonych”, uorganizowawszy się jako tako w lasach kieleckich, ma rozpocząć wojnę zaczepną, czynną i energiczną. Jeżeli działanie jej będzie pomyślne, jeżeli otrzyma jedno lub dwa

495 Z. Miłkowski, W Galicyi i na Wschodzie, 7.

zwycięstwa, to uznaną zostanie za armię powstańczą i Komitet centralny ogłosi powszechne powstanie. W razie zaś gdyby armia ta rozbitą i pokonaną została, to wystąpienie jej uważanem być ma za krwawy protest przeciw brance wyjątkowej. Kraj za to, ani Komitet centralny odpowiadać nie będzie, rzeczy wrócić do dawnego stanu, przygotowania do powstania z lepszym skutkiem prowadzić się będą, i gdy właściwa pora nadejdzie, wybuch powszechny nastąpi. Dowództwa nad armią zrozpaczonych podejmował się sam Padlewski.

Ze wszystkich przytoczonych powyżej planów, których niewątpliwie było więcej, ale które nie są nam znane, ten był najlepszym i najrozumniejszym. Na gorączkę owładającą ówczesną młodzież, jedynym lekarstwem był Bidszińskiego upust krwi i ocalenie przez to kraju od nieuniknionych i strasznych następstw. Wszelako Komitet centralny przekonany, że mimo wszystko do powstania nie przyjdzie, żadnego z tych planów nie zaakceptował, przyjął je tylko do wiadomości. Wszyscy dowódcy, którzy kolejno zjeżdżali się do Warszawy, opuścili ją z tem przekonaniem, że wybuch w najgorszym razie wcześniej jak na wiosnę nie nastąpi. W tem przekonaniu Sierakowski puścił się do Wilna dla odwiedzenia chorej żony, a stąd do Petersburga; Langiewicz przez Kielce miał zamiar dostać się do Krakowa; Miłkowski udał się na Wołoszczyznę, by urządzić na Konstantynopol transport broni, zakupionej przez Godlewskiego i Ćwierczakiewicza; wreszcie Lewandowski, korzystając z paszportu, pojechał w rodzinne strony na Podlasie.

Przyjazd tego ostatniego do Warszawy przypadł współcześnie z wypadkiem, który miał mieć ważne następstwa i wpłynął bardzo znacząco na ostateczną decyzję w dniach tej strasznej niepewności. Lewandowski, wyjeżdżając do Warszawy, otrzymał w Paryżu, podobnie jak Miłkowski i inni, wskazówkę, że po przybyciu na miejsce ma się udać na ulicę Widok, do domu Nr. 1575, będącego własnością pani Henrich, i że tam otrzyma potrzebne wiadomości. Był to ten sam dom, w którym mieszkała siostra Szwarcego, Jeskowa, w którym przechowywała się kasa Komitetu centralnego i w którym tenże odbywał znane nam już narady z Miłkowskim. Lewandowski, przybywszy d. 23 grudnia w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, udał się pod wskazany adres i spostrzegł, że cała ulica była obstawiona przez policją, chwytającą każdego niemal z przechodniów. Sam przytrzymany wytłumaczył się, że jest ekonomem ze wsi, przybyłym dla leczenia się do Warszawy i został wypuszczony. Powodem tak licznych aresztowań na ulicy Widok było wykrycie drukarni „Ruchu”, urzędowego organu Komitetu centralnego, która mieściła się w domu babki czy ciotki Szwarcego, pani Henrich. Zdaje się, że policja o tem pomieszczeniu dowiedziała się przez zdradę i napadłszy nagle w nocy, znalazła drukarnię, cały numer 10 pisma złożony i gotowy do druku, kilkadziesiąt dawniejszych

egzemplarzy, dwie ryzy papieru namoczonego do odbicia i mnóstwo proklamacji rewolucyjnych⁴⁹⁶. W drukarni, a raczej w prywatnym mieszkaniu, zastał niejakiego Romualda Kłosowicza, który przyznał się od razu, że drukował nie tylko „Ruch”, ale także mnóstwo innych pism rewolucyjnych. Kłosowicz pracował w fabryce obić Vettera, ale przejęty gorącym patryotyzmem chwili, nauczył się zecerstwa i składał „Ruch” we własnym mieszkaniu, ubogim pokójku we wzmiankowanym domu. Zdaje się, że pomieszczenie to dał Szwarce. Kłosowicz garbaty, niepozorny, był jednak bardzo czynny. Przy pomocy niejakiej Kraszewskiej, żony woźnego z kolei warszawsko-wiedeńskiej, składał, odbijał i ekspedycywał „Ruch”. Owa Kraszewska, kobieta obarczona kilkorgiem dzieci, w ten sposób zwiększała środki utrzymania domowego. Zdaje się, przynajmniej w kołach powstańczych tak wówczas powszechnie utrzymywano, że drukarnię „Ruchu” zdradził mąż Kraszewskiej. Owey nocy, w której policja wpadła na ulicę Widok i przyaresztowała Kłosowicza z całym aparatem drukarnianym, Kraszewska powiła dziecko i dlatego jej nie aresztowano.

Wykrycie miejsca, w którym odbijano tajne pismo, było niewątpliwie bardzo poważną zdobyczą dla policji, która, poszukując spisku od dwóch lat prawie, nic dotąd wyśledzić nie mogła; ale o wiele ważniejszą zdobyczą, ze względu na sam Komitet centralny, było aresztowanie jego, bodaj czy nie najczynniejszego członka w tej dobie, Bronisława Szwarcego. Od dawna energicznie poszukiwany przez policję, ukrywał się u jednego ze swych kolegów, urzędnika kolei warszawsko-petersburskiej, i mieszkał u niego na Pradze, gdzie w owe czasy dozór policyjny był znacznie mniejszy, i ukrywanie się w ogóle łatwiejsze. Stąd to, z Pragi, robił prawie codzienne wycieczki do Warszawy.

Otóż nazajutrz po wykryciu drukarni „Ruchu”, Szwarce nie wiedząc o niczem przyszedł do tego domu, a ponieważ wszystkich przychodzących aresztowano, więc i jego chciano przytrzymać⁴⁹⁷. Ale nie dał się ująć, począł uciekać

496 Pawliszczew, Siedmicy I, 195.

497 Pawliszczew, loc. cit. powiada, że Szwarce był u gospodyni domu i przy wyjściu z niego chciano go aresztować, co jest błędem. Dodać tu wypada, że Szwarce sam w swym pamflocie „Wydawnictwo materiałów” p. 63, utrzymuje, że „został upolowany przez p. Wielopolskiego” d. 22 grudnia. Z tem twierdzeniem nie zgadza się naprzód relacja Pawliszczewa, który wyraźnie powiada, że drukarnią „Ruchu” wykryto d. 23 grudnia; nie zgadza się dalej wiadomość podana przez „Dziennik powszechny” z d. 24 grudnia Nr. 290, gdzie czytamy: „wczoraj (a zatem 23 grudnia) policja odkryła i ujęła drukarnią pokątnego pisma „Ruch”; nie zgadza się na koniec relacja rękopiśmienna o pobycie Lewandowskiego w Warszawie, w naszych zbiorach się znajdująca, w której powiedziano, że w wigilią wigilii nastąpiło wykrycie drukarni rzeczonej; nie zgadzają się wreszcie ustne opowiadania osób świadomych rzeczy, które jednogłownie twierdzą, że Szwarce był w samą wigilią wzięty.

i myląc drogę pogoni dostał się aż na ulicę Książęcą, co jednak nie na wiele mu się przydało, gdyż ścigany zawzięcie, schwytany tu został przez niejakiego Fajfera, głuchoniemego, który zapewne nie wiedział, o co idzie. Szwarcę do Fajfera dał ognia z rewolweru, ale chybił. Znalezione przy uciekającym rewolwer, sztylet, strychninę zapieczętowaną w piórku, kilka kwitów Komitetu centralnego, instrukcją jakąś pisaną i różne notatki⁴⁹⁸. Szwarcego odesłano do cytadeli, a śledztwo w tej sprawie powierzono specjalnej komisji pod prezydencją pułkownika żandarmeryi, Tałajewskiego⁴⁹⁹. Wieść o wykryciu drukarni i aresztowaniu Szwarcego szybko się rozeszła po mieście, zwłaszcza, że doniósł o tem zaraz nazajutrz urzędowy „Dziennik powszechny”.

Zdawałoby się, że „Ruch” więcej wychodzić nie powinien, tymczasem w cztery dni potem ukazał się jego numer (jedenasty z kolei), w którym czytano, nie bez zdziwienia i pewnej konsternacji tak w sferach rządowych, jak i wśród publiczności, co następuje: „parę dni temu odkryto jakąś drukarnią i schwytano młodego jakiegoś człowieka, który wszedł wobec policyi do tegoż domu, a potem proszony o przejażdżkę do ratusza, wiedząc, czem taki spacer się kończy, wiedziony bardzo naturalnym instynktem zachowawczym, póki mógł, uciekał. Samo wejście do domu otoczonego policyą w biały dzień, dowodząc nieskażonej czystości sumienia w człowieku, który to zrobił, powinno zdjąć z niego wszelki zarzut konspirowania, a jednakże jak telegrafem rozbiegła się wieść, że drukarnię i redaktora, czy współredaktora „Ruchu” schwytano. W odpowiedzi na śmieszną tę pogłoskę „Ruch” wychodzi wcześniejszej niż zwykle”. Jakkolwiek świadomi rzeczy i policya doskonale wiedziała, czego się trzymać, i słowa o „jakiejś drukarni” i „jakimś młodym człowieku” i o jego „nieskażonej czystości sumienia”, nie mogły jej w błąd wprowadzić, wszelako ukazanie się nowego numeru „Ruchu” dowodziło nadzwyczajnej energii i siły sprysiężenia.

Ale wypadki teraz tak szybko następowały po sobie, że nie pozwalały zbyt długo zastanawiać się nad jednym, choćby najważniejszym faktem. Uwagę powszechną obecnie zwracał na siebie zjazd biskupów Królestwa do Warszawy i zabiegi, jakie czynił Wielopolski, by ich pozyskać dla siebie, a raczej dla dobrze zrozumianego interesu kraju. Powodem tego zjazdu była konsekracja ks. Majerczaka, mianowanego w d. 25 listopada biskupem Jerychońskim. Na ten uroczysty akt, dopełniony w katedrze św. Jana przez arcybiskupa Feliń-

498 Pawliszczew, loc. cit.

499 Aresztowanie Szwarcego wywarło pewne wrażenie. Konsul angielski White uznał za stosowne donieść o tem swemu rządowi i opisał całe zdarzenie, dodaje: „Szwarcę jest poddanym francuskim, urodzonym jednak z rodziców polskich. Zdaje się, że otrzymał wyższą edukacją, jako inżynier cywilny w Paryżu”. („La Pologne et la diplomatie”, p. 2).

skiego w d. 14 grudnia, zjechali się oprócz samego ks. Majerczaka, biskupi: Marszewski i Juszyński. Uderzającym było to, że z sześciu obsadzonych w owe czasy dyecezyi, przybyło tylko dwóch biskupów, choć margrabia wszystkich zapraszał do Warszawy⁵⁰⁰. Benjamin, biskup podlaski, tak ściśle niegdyś związany z Wielopolskim, nie przyjechał, dając tem poznać, że nie aprobeuje postępowania margrabiego. Rząd doskonale wiedział, że wśród duchowieństwa, zwłaszcza niższego, szerzy się na wielką skalę agitacja powstańcza, że księża należą do organizacji, przyjmują przysięgę od spiskowców; wiedział o zjazdach duchowieństwa, na których uznano Komitet centralny za jedyną, prawowitą władzę. Szło więc o to, by kler odciągnąć od spisku i temu ostatniemu odebrać tym sposobem jedną z najsilniejszych podpór. Różne w tym celu obmyślano środki, radzono się ks. Felińskiego i wreszcie powstał pomysł, nie wiadomo ostatecznie w czyjej głowie zrodzony, ażeby dla odzyskania wpływu na duchowieństwo, dla powstrzymania go od sprzysiężenia, sprowadzić Jezuitów do Warszawy. Skomunikowano się nawet w tym celu z Jezuitami krakowskimi i zapadło postanowienie, że do Warszawy mają przybyć księża Mycielski i Ciechanowiecki z odpowiednią liczbą braciszków dla założenia rezydencji⁵⁰¹. Był to jednak środek, który dopiero w dalekiej przyszłości mógł przynieść owoce, a tu tymczasem wulkan rewolucyi huczał i krwawą łuną ognia wewnętrznego zapowiadał bliski, wszystko niszczący wybuch. Kościół katolicki w Polsce znajdował się w tej porze w tak szczęśliwym i niezależnym położeniu, jakiego od lat trzydziestu nie zaznał, że pragnąć tylko trzeba było, by sytuacja nie uległa zmianie. W. ks. Konstanty przez politykę, mającą może źródło w tajnych marzeniach ambicyi, okazywał wszędzie wielkie poszanowanie dla wierzeń i przedstawicieli katolicyzmu. Mówiliśmy już we właściwym miejscu, że zanosilo się nawet na zniesienie prawa o małżeństwie z prawosławnymi, i ks. Feliński za specjalnem pozwoleniem, którego udzielenie zależało teraz od W. ks. namiestnika, parę takich ślubów pobłogosławił z warunkiem, że dzieci wychowane będą w wierze katolickiej.

Sam W. książę zdejmował czapkę spotkawszy pogrzeb katolicki na ulicy i nakazywał to czynić całemu swemu orszakowi; owszem rozeszła się teraz pogłoska, może nie bez wiedzy samego Konstantego, że co dzień, wczesnym bardzo rankiem, udaje się w cywilnem ubraniu i pieszo z jednym tylko oficerem, do kościoła Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu i z wielką nabożnością słucha tam Mszy św.

Wszystkie te fakta i wieści, prawdziwe czy nie, nie miały wpływu na duchowieństwo, którego akces do Komitetu centralnego wszędzie, na rząd w War-

500 Lisicki, *Le marquis II*, 349.

501 Relacye ustne.

szawie, na publiczność polską we wszystkich zaborach i krajach, wielkie wywarł wrażenie. Nadarzała się właśnie teraz sposobność, by przy pomocy biskupów powstrzymać kler polski od fatalnej i śliskiej drogi, na którą wszedł. Pomysł był dobry, ale już w samym zaczątku chybiony przez to, że tylko dwóch biskupów się stawilo, z których jeden, Marszewski, uchodził za kreaturę rządową i wszyscy pamiętali przeszłoroczne przyjęcie go w Łęczycy; drugi, Juszyński, stawiał się w Warszawie nie tyle na wezwanie margrabiego, ile przez osobistą przyjaźń dla ks. Majerczaka. Gdyby nawet ci dwaj biskupi i trzeci Majerczak, zgodzili się na propozycję Wielopolskiego, to byłoby to tylko połowiczne załatwienie sprawy, bo reszta dyecezyi pozostałaby w dawnym stanie. Mimo to wszystko postanowiono robić, co sumienie i szczerą miłość ojczyzny robić nakazuje. Krzywicki, jako dyrektor Komisji oświecenia, w d. 17 grudnia⁵⁰², zaprosił trzech obecnych biskupów na konferencję, na której przedstawił im w świetle właściwym postępowanie duchowieństwa nierozważne i nielegalne; uskarżał się, że kler wprowadza do kościoła politykę, że przyjmuje udział w tajnym spisku, że upoważnia do morderstw; że trzeba dla ochrony świątyń od zniewagi, dla utrzymania powagi zwierzchności duchownej, dla zachowania porządku i spokoju publicznego, aby władza duchowna i biskupi wystąpili energicznie przeciw tym zdrożnościom i na podstawie praw kanonicznych przedsięwzięli środki, ku usunięciu złego zmierzające⁵⁰³.

Biskupi zrazu przyznali zupełną słuszość tym żądaniom, obiecali, że za przykładem biskupa sandomierskiego zwołają w swych dyecezyach dziekanów i zalecą im ściśle przestrzeganie obowiązków, że występnych księży pociągać będą do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Wszelako te dobre ich intencje, gdy się znaleźli sami, a może pod wpływem Czerwieńców, których uwagi nic nie uszło, uległy zaraz gruntownej zmianie. Nazajutrz bowiem wystosowali do dyrektora Komisji oświecenia i wyznań, Krzywickiego, podanie, w którym zupełnie inne zajęli stanowisko. Zbijając oskarżenie, jakoby duchowni upoważniali do morderstw politycznych, twierdzili, że oskarżenie to opiera się na „szczegółach zakomunikowanych przez urzędowe organa, i niedokładnych, z boku zasłyszanych, wieściach”, że zatem to nie przedstawia „żadnych danych, na których by sąd co do ocenienia ważności i doniosłości złego oprzeć mogli”. Wreszcie postawili swe desiderata, które jedynie, według ich zdania, mogły złe wytepić u źródła, a mianowicie: ułatwienie stosunków ze Stolicą apostolską i jenerałami zakonów, usunięcie praw i postanowień zasadom Kościoła przeciwnych, podniesienie studyów po seminariach, wysyłanie alumnów zagranicę dla kształcenia się w naukach, powiększenie uposażenia ka-

502 Lisicki, Al. Wielopolski I, 379.

503 Loc. cit.

pitui, konsystorzów i dziekanów. W końcu domagali się, by ze względu „iż usiłowanie pojedynczych biskupów nie miałyby dość siły do skutecznego reformy”, zwołany został synod prowincjonalny, a przed nim jeszcze konferencja wszystkich biskupów i rządców diecezji⁵⁰⁴.

Zjazd biskupów, a nade wszystko konferencje z nimi Krzywickiego, nie uszły uwagi Czerwieńców. „Ruch” zaznaczył tę okoliczność i donosząc⁵⁰⁵, jakoby Wielopolski domagał się od biskupów adresu, powiada: „jakkolwiek nie wiadomo nam, jaki był rezultat tych spisków, odbywanych w pałacu arcybiskupim i u Krzywickiego, jednak Centralny narodowy Komitet uznał za konieczne pertraktacje te podać do publicznej wiadomości i ostrzec biskupów, by nie dali się sprowadzić z drogi obywatelskiej i drogi prawdy, której służą, i nie chcieli być niecnymi narzędziami szatańskich planów katów zarówno narodu, jak i jego Kościoła.

Nie wchodząc już wcale w ważność, rzeczywistość i pewność obietnic najeżdź, odzywamy się do sumienia kapłańskiego i obywatelskiego biskupów naszych i zapytujemy ich wobec Boga i całego chrześcijańskiego świata, czy nie byłoby zbrodnią, zohydzeniem wielkiego, świątobliwego charakteru ojców Kościoła potępiać, przedawać chociażby (przypuśćmy) błędzących braci swoich, powierzonych ich opiece? Zapytujemy ich, czy adres żądany nie byłby powtórzeniem judaszowskiego handlu i to za okruciny, za plewy łaski cesarskiej?” „Centralny narodowy Komitet ma zatem nadzieję, że biskupi odrzucą wszelkie propozycje rządowe i nie opuszczą narodu, że jak dotąd, jak zawsze w naszych dziejach, staną po jego stronie; że postępować będą drogą pełną cierniów i bólów wprawdzie, ale drogą cnoty i miłości zarazem, a przy wspólnej modlitwie i wspólnej pracy czyści i niepokalani, za łaską Opatrzności dojdziemy do celu naszych usiłowań, do niepodległości narodu i Kościoła”.

Zamierzona więc przez Wielopolskiego akcja stanowczo się nie udała, jak wszystko się nie udawało, ilekroć odwoływał się do przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Mimo to akces duchowieństwa do Komitetu powstańczego zbyt wielkie wrażenie wywarł, by miał pozostać bez skutku. Sędziwy arcybiskup gnieźnieński, ks. Przyłuski, prymas kościoła polskiego, przerażony następstwami tego kroku duchowieństwa, w parę dni po odmownej odpowiedzi biskupów na propozycje Krzywickiego, wystosował pod d. 20 grudnia gorący, przejęty szczerą miłością ojczyzny, a nade wszystko rozumny list do ks. arcybiskupa Feilińskiego. W liście tym, napisanym podobno za radą ks. Koźmiana, stanowczo potępiona została postawa i zachowanie się kleru polskiego. „Niewątpliwą zdaje się rzeczą, mówił ks. Przyłuski, że w niektórych stronach Polski pod rządem ro-

504 Loc. cit.

505 Nr. 11 z d. 27 grudnia 1862 r.

syjskim duchowni oświadczyli się z gotowością popierania ruchu rewolucyjnego skrajnego, że przez to postawili się w konieczności należenia do tajnych sprysiężeń, i pójścia pod posłuszeństwo innych osób, niżli ich naturalni zwierzchnicy. Owóż wszystko to musi koniecznie najfatalniejsze pociągnąć za sobą skutki”. „Agitacya tego rodzaju, co agitacya dzisiejsza albo prowadzi do rychłego wybuchu, albo jest bałamuctwem. Skutki wybuchu wobec Europy i u nas samych łącno możemy przewidzieć. Zeszłoroczne wypadki warszawskie postawiły naród polski wysoko wobec ludzi szlachetnych i ludzi rozumnych; otóż wszelkie niewczesne poruszenie skompromitowałoby te nabytki. Same nawet roboty przygotowawcze, objawiające się co chwila zbrodniami przeciwnymi przykazaniom Bożym, jak z jednej strony wystawiają na szwank sumienie narodowe, tak z drugiej narażają nieskalaną dotąd w dziejach prawosć polskiego charakteru. Nadto wszelkie działanie radykalne zadaje kłamstwo niedawnym, a uroczystym oświadczeniom ze strony polskiej. Ślepa zaciekłość ludzi, którzy w tym razie mniej baczą na dobro ojczyzny, a dbają bardzo o pożytek choćby tylko chwilowy i przemijający ogólnej rewolucyi europejskiej, czyż nie łatwo by spowodowała galicyjskie ostateczności? Ze swej strony duchowni winni by i o tem pamiętać, że w razie nieudania się jakiegokolwiek poruszenia, albo odkrycia zmywy przez udział w niem, dadzą pochoch rządowi targać się na niepodległość Kościoła, do ograniczenia jeszcze bardziej jego niezależności. A chwila jakże wybrana? Gdzie pomoc, skąd ratunek w przypuszczeniu, że się nie powiedzie? Obietnice i mamiidła, choćby najrzęcznie używane, nie zdołają zakryć tej prawdy oczywistej, że pora dzisiejsza najgorzej obmyślana i że niepodobna spodziewać się rychło zmiany okoliczności. Nie takie są bezpieczne i zbawienne dla kraju naszego drogi. Spiski ciągle powtarzane wycieńczają tylko coraz bardziej zasoby jego, kraj ubożeje, a ludzie marnują się bezowocnie; spiski wstrzymują młodzież, a nawet ludzi dojrzałych od organicznej pracy. Doświadczenie powinno by raz od nich oduczyć”. „Zbyt często byliśmy igrzyskiem źle zrozumianego patryotyzmu, lub służyliśmy innym za narzędzie; czas odrzucić fantazyę, a wziąć za gwiazdy przewodnie wiarę, rozum i doświadczenie”⁵⁰⁶. Zgodnie z życzeniem prymasa, ks. Feliński list ten przesłał w kopiach do biskupów i wszystkich wybitniejszych księży, ale wrażenia on nigdzie nie wywarł, jak nie wywarły późniejsze nieco, piorunujące słowa ks. Hieronima Kajsiewieża ze zgromadzenia Zmartwychwstańców „do braci księży grzesznie spiskujących”. Z grobowca ukochanej, ale źle ukochanej ojczyzny podnosiła się jakaś mgła niezdrowa i mętna, jakieś wyziewy oszołomiające mózgi i serca, zaślepiające wzrok i popychające naród do samobójstwa, do całopalenia na mogile własnej.

506 List ten w całości można czytać u Lisickiego, Al. Wielopolski, I, 372—378.

Ale zaledwie odczytano list ks. Przyłuskiego, zaledwie miano czas zastanowić się nad nim nieco, gdy zaszły nowe wypadki, które uwagę powszechną w inną stronę zwróciły. Tym razem uwagę tę ściągnął na siebie J. I. Kraszewski, głośny, bodaj czy nie najgłośniejszy pisarz tej doby i redaktor „Gazety polskiej”. Był to człowiek nadzwyczaj wrażliwy i nerwowy, ulegający wpływowi, stąd w gazecie swojej, w miarę rozmaitych prądów, które potrafiły nim na chwilę owładnąć, nie trzymał się jednolitego kierunku.

Raz zdawał się popierać Wielopolskiego, zachęcał kraj do przyjęcia żywego i czynnego udziału w nadanych mu instytucjach, powstawał przeciw manifestacyom, Czerwieńcom, spiskom i zamachom, o ile mu oczywiście tępa i ograniczona cenzura warszawska na to pozwalała; to znów, pod wrażeniem czyichś słów, lub jakiegoś wypadku, stawał sztorcem do margrabiego i gdzie mógł i jak mógł, łatkę mu przypinał⁵⁰⁷. Mściwy charakter Wielopolskiego zapominał o tem, co Kraszewski na jego korzyść mówił, ale doskonale pamiętał, co przeciw niemu między wierszami drukował, wiedział, że ma stosunki z Białymi, że większa część odezw tych ostatnich była jego pióra, i przy sposobności postanowił „dać mu się we znaki”. Jakoż sposobność taka rychło się przydarzyła. W artykule wstępnym, pomieszczonym w „Gazecie polskiej” w wigilią Bożego Narodzenia⁵⁰⁸, Kraszewski szeroko się rozpiął o jednej z cnót chrześcijańskich, nader rzadko w życiu spotykanej, o pokorze.

„Kochamy, wołał, ale wybieramy to, czego serce pragnie, nie pracując na to, aby miłowało bez wyboru, bo nam brak przede wszystkim pokory, tej cnoty przygotowującej miłość, a egoizm nieprzepartym murem oddziela nas od świata. Gdybyśmy umieli być pokorni, jakbyśmy wielcy być mogli! gdyby-

507 Jak w ogóle Kraszewski chwiejnym był w swoich przekonaniach, i jak zostawiony sobie nie wiedział, czego się trzymać, świadczy wypadek opowiedziany przez Deskurę, wojewódzkiego podlaskiego w jego pamiętnikach („Wydawnictwo materiałów” II, 140). „Na jednym z posiedzeń partyi Białych, pisze Deskur, ... polecono mi jechać do Warszawy i zasięgnąć rady p. J. Kraszewskiego, jak on się na przyjęcie Rad powiatowych zapatruje, jakie są zdania kół wpływowych pod tym względem w Warszawie”. „Udałem się do p. J. Kraszewskiego... powiedział mi, że jego zdaniem koncesye, które rząd robi, są wyciśnięte pod presją opinii niektórych państw, a co daje Moskwa, ani korzyści, ani straty nam nie przyniesie”. „Dziś jeszcze stanowczo powiedzieć nie można, czy możemy żądać więcej, czy poprzestać na tem, co dają”. „Nie byłem po to posłany (pisze w końcu Deskur), żebym dysputował w tej mierze, przyjąłem zatem do wiadomości, com słyszał. Odpowiedź p. J. Kraszewskiego była wymijająca. Wróciwszy do domu, zdałem sprawę z mego posłannictwa, powtarzając dosłownie, com słyszał, przyczem objawiłem moje zdanie, że odpowiedź p. J. Kraszewskiego wyraża niepewność własnego zdania co do polityki, jakiej się obecnie wobec Moskwy trzymać mamy; chcieliśmy zrobić z niego polityka, a jak zauważyłem, on wcale do tego pretensyi nie ma”.

508 Nr. 294 z d. 24 grudnia 1862 r.

śmy nie chcieli królować, jakbyśmy wielką posiadli potęgę! Społeczność nasza nade wszystko boleje (tak) na dumę, cierpi na to rozszarpanie przez miłości własne, które z niej czynią plac boju, zamiast agap chrześcijańskich. Pokorą tylko człowiek odrzuci upokorzenie, pokorą idzie do pracy, do doskonałości, do opanowania siebie, bez którego nic też opanować nie potrafi”.

Jakkolwiek w artykule tym, dość dziś bezbarwnie i banalnie się przedstawiającym, nie ma ani słowa o Polsce, rządzie i Wielopolskim, jakkolwiek autor w końcu zdaje się zwracać do Czerwonych i przypomina im, że „ani człowiekowi, ani społeczeństwu nie przechodzi bezkarnie występki”, że „sfalszowanie zasadniczych pojęć, na których stoi ludzkość, jest cięższym grzechem od najstraszniejszych klęsk, jakie największa niedola sprowadzić może”, przecież wszyscy czytelnicy widzieli w tych słowach o pokorze ukrytego Wielopolskiego i on sam się tam dojrzał. Artykuł był bardzo czytany, numer tej gazety obiegał z rąk do rąk, mówiono o nim w całym mieście, co wystarczało, by podniecić mściwość margrabiego, by rozdrażnienie jego, w jakim się ciągle znajdował, jeszcze bardziej podrażnić. Parokrotnie już zaznaczyliśmy, że Wielopolski, wielbiciel kodeksu Napoleona, legalista, wobec ciągłego deptania przez rząd rosyjski wszelkiego prawa w Polsce, pragnący przywrócić jego moc, powagę i znaczenie, sam dostawszy się do władzy, deptał to prawo, ilekroć to uznał za korzystne lub potrzebne. Tak samo i teraz postąpił. Tegoż jeszcze dnia, w którym się ukazał cytowany artykuł „Gazety polskiej”, margrabia pojechał do W. księcia i wymógł na nim, że Kraszewskiemu dano rozkaz natychmiastowego opuszczenia redakcji i wyjechania zagranicę. Było to po prostu wygnanie człowieka, który, dobrze użyty, mógł niemałą stanowić podporę dla nowych rządów polskich, wygnanie nieprawne, niesłuszne i krzywdzące swą niesprawiedliwością i gwałtem. Kraszewski zaraz też pod tą samą datą 24 grudnia pożegnał się z czytelnikami, które to pożegnanie „Gazeta polska” wydrukowała po świętach Bożego Narodzenia, d. 27 grudnia. „Żegnając czytelników i współpracowników gazety, pisał znakomity powieściopisarz, i dziękując im za okazywane współczucie, za chętną pomoc i poparcie, potrzebujemy wytłómaczyć, że nie żadna różnica przekonań, zasad i poglądów, nie żadna niezgoda w zdaniach, ale czysto osobiste okoliczności, chęć powrotu do zatrudnień właściwych powołaniu, spowodowały ustąpienie nasze z dobrej woli”. Tak się żegnał, udając dobrą wolę, bo udawać ją musiał...⁵⁰⁹.

509 Kraszewski nie wyjechał od razu i nie mógł wyjechać bez uregulowania swych interesów majątkowych, które w dość opłakanym znajdowały się stanie. W końcu stycznia 1863 r. jak opowiada Berg, spotkał go Nabokow i rzekł mu: „jak to? pan jeszcze tutaj? Jedź pan, jedź, bo pana wysłał do Rosyi. Wasza (t. j. polska) sprawa cofa się. Autonomią odbiorą, szkoły w tej formie, jak je urządził Wielopolski, zniósą, zostanie wprowadzony

Cóż przez ten czas, gdy się to wszystko działo, gdy Czerwieńcy z Komite-tem centralnym owładali wszelkimi nieomal sprężynami życia narodowego, gdy powstanie jawnie się prawie przygotowywało, cóż przez ten czas robiło stronnictwo szlacheckie, drzemiąca na workach pieniędzy i powagi Dyrekcja biała? Odpowiedzieć na to można jednym słowem: nic. Przez swych wojewódzkich i agentów śledzono bacznie czynności Czerwonych, ale nie przeszkadzano im wcale. Wreszcie wobec widocznego naprężenia struny, wobec gorączki niezaprzeczonej, jaka kraj opanowała, zadecydowano zjazd reprezentantów całej dawnej Polski do Warszawy, w celu ostatecznego naradzenia się, co robić i jaką postawę wobec gotujących się wypadków przyjąć. Zjazd odbył się w drugiej połowie grudnia.

Ze strony Królestwa kongresowego wybrano na zjazd pięciu delegatów, po jednym z każdej gubernii, a mianowicie: Leopolda Kronenberga, Krzyżtoporskiego, nieuniknionego Edmunda Stawiskiego i dwóch, dziś jeszcze żyjących obywateli; z W. ks. poznańskiego przysłano Koczorowskiego, Guttrego, podówczas mocno czerwonego zwolennika Mierosławskiego, na koniec Wolniewicza. Tego ostatniego jednak, pomimo najlegalniejszego paszportu, władze rosyjskie nie chciały puścić przez granicę, tak że tylko dwóch pierwszych przybyło do Warszawy. Słaba organizacja biała, istniejąca w Poznańskim, polecała swym wysłannikom, ażeby wszelkimi siłami starali się powstrzymać powstanie⁵¹⁰. Z Litwy przybył znany nam już hr. Starzyński, marszałek gubernialny grodzieński, Jakub G. i jeszcze jeden obywatel S. P.; z Ukrainy zjawił się jeden tylko reprezentant, podobnie z Podola (Baraniecki) i z Wołynia (M. Sołtan)⁵¹¹. Z Galicyi nie przysłano nikogo. Ogółem zebrano się jedenastu deputowanych, którzy do pewnego stopnia reprezentowali jeżeli nie całą dawną szlachecką Polskę, to przynajmniej ogromną jej większość. Na prezydującego wybrano Kronenberga. Jednakże zjazd ten, mogący przy energii i stanowczości nie mały wpływ wyrzeć na wypadki, miał raczej charakter rozpraw akademickich i szlacheckiej pogawędki przy butelce wina, niż męskich i politycznych postanowień. Przede wszystkim kolejno wszyscy reprezentanci odnośnych prowincji zdawali szczegółowo sprawę z ich stanu i usposobienia umysłów. Sprawozdania te były najostrzejszą krytyką stronnictwa szlacheckiego i wywarły w ogóle przygnębiające wrażenie. Okazywało

język rosyjski i sądownictwo rosyjskie. Inaczej być nie może". Na skutek tego Kraszewski w pierwszych dniach lutego pojechał do Drezna na wygnanie, z którego już wrócić nie miał.

510 Własnoręczny list Wolniewicza, pisany w r. 1882 do p. Michała Łempickiego, zawierający historię tego zjazdu.

511 „Wydawnictwo materyałów” I, 135.

się bowiem, że stan Zaboru rosyjskiego jest rozpaczliwy, że wszystko w nim wre i kipi, wszystko się pali, i ludzie i rzeczy. O Królestwie nie ma co mówić, że było to widocznem dla wszystkich.

Na Rusi położenie nie było lepszem. Na Ukrainie i Podolu, skarżyli się reprezentanci tych ziem, młodzież czerwono usposobiona zorganizowała się i dąży wyraźnie do powstania; jedna tylko Litwa, pocieszała się jej przedstawiciele, nie jest powstańczo usposobiona. Delegaci Korony byli przekonani, że powstanie tak rychło nie wybuchnie; liczyli na rozum margrabiego, potęgę Rosyi, nareszcie na brak pieniędzy u Czerwonych. Twierdzili wreszcie, że nawet, gdyby wybuch nastąpił, stronnictwo Białych potrafi go stłumić. Na to słuszną uwagę zrobił jeden z delegatów: „nie łudźmy się panowie, gdy powstanie wybuchnie, pierwszej czy później, wszyscy w niem udział przyjemy”⁵¹²; i niestety! miał rację, dowodził tem bystrością umysłu i doskonałą znajomości pocziwego, ale nieopatrzności serca polskiego. W ogólności zjazd był jak najstanowczej przeciwny powstaniu, prócz jednego Guttrego, który, wbrew swym instrukcyom, był wyraźnie powstańczo usposobiony⁵¹³. Gdy go zaklinali, by wpływał na Mierosławskiego w celu powstrzymania agitacji, pytał ze zdumiewającą zaiste lekkomyślnością: „a więc kiedyż chcecie powstania?”⁵¹⁴. Ostatecznie na zjeździe urządzono nowy program dla prac stronnictwa Białych, program, który wobec strasznych późniejszych wypadków rozwił się w nicość; wyrażono życzenie, aby w Warszawie uformowała się stała reprezentacja kraju z każdej prowincyi, postanowiono wydawać nowe pismo, i zdecydowano w roku przyszłym nowy zjazd delegatów.

Przez czas swego pobytu w Warszawie, delegaci kilkakrotnie i zapewne umyślnie stykali się z naczelnikami Czerwieńców.

Widywano się z Zygmunt Sierakowski i Edmund Różycki, którzy właśnie w tej porze bawili w stolicy polskiej; delegaci litewscy zaszli do Kraszewskiego, który „nie podzielał obawy rychłej walki”; do Agatona Gillera, który zapewniał, że „Litwa może być spokojną”; Jurgens wreszcie sądził, że „stan obecny długo się jeszcze przewlecze”⁵¹⁵. Przez Ruprechta trafiono na-

512 Loc. cit.

513 Cytowany list Wolniewicza: „Guttry swej misyi się przeniewierzył i przemawiał za powstaniem, twierdząc, że w Poznańskim prawdziwi patryoci są za ruchem”.

514 Wydawnictwo materyałów I, 137.

515 Przyjazd Litwinów do Warszawy wpłynął na to, że wyprawiono w stolicy polskiej nabożeństwo żałobne za zmarłego w d. 15 września 1862 r. poetę Władysława Syrokomlę. Pogrzeb jego w Wilnie na cmentarz Rosę miał zwykły w tej dobie charakter manifestacyjny. Wystąpiły cechy, całe duchowieństwo z biskupem Krasieńskim na czele, błyszczały kontusze, orły i pogonie, brzmiały mowy patryotyczne. W pierwszej chwili łatwo zapalnego u nas entuzjazmu, opiekę nad dziećmi przyjął trzech obywateli z różnych

wet do Stefana Bobrowskiego, ale tu niewiele wskórano. Oszalały ten Czerwieniec, trawiony jakąś niepohamowaną gorączką czynu, prawil delegatom, że Wielopolski przygotowuje kompromis z Rosyą, że przez taki kompromis „zagrożoną jest wierność dla sztandaru”; że tego oni, Czerwoni „dopuszczać nie mogą za żadną cenę”; że wywołując powstanie spełnią swój obowiązek; że przekonani są, iż dla stłumienia powstania, „Rosya nie tylko kraj zniszczy, ale nawet będzie zmuszoną wylać rzekę krwi polskiej, ta zaś rzeka stanie się na długie lata przeszkodą do wszelkiego kompromisu z najeźdźcami naszego kraju” i t. p.⁵¹⁶.

Ale już te szalone zdania, to poświęcenie bytu i przyszłości narodowej dla jakiejś zasady abstrakcyjnej w polityce, która jest nauką rzeczywistości i liczenia się z okolicznościami, nikogo nie niepokoiły. Wszyscy, tak delegaci szlacheccy, którzy się zjechali do Warszawy na sejm walny stronnictwa Białych, jak i dowódcy przyszłej walki o niepodległość, opuszczali stolicę polską z tem przekonaniem, że powstanie wprawdzie jest nieuniknione, ale jeszcze dość dalekie, oczekujące na lepsze przygotowania i na przyjaźniejsze okoliczności.

Niestety! wszyscy się mylili, okropnie się mylili i za tę ich omyłkę kraj miał ciężko i krwawo odpokutować. Nie wiedzieli oni, nie chcieli widzieć, a może przeznaczenie Polski, czarna jej dola, takie bielmo rzuciła na ich oczy, tak ogłuszyła ich uszy, że nie słyszeli złowieszczonego pomruku zbliżającej się burzy. Kiedy oni, ta szlachta, ta reprezentacja całej prawie dawnej Rzeczypospolitej, radziła nad programami, marzyła o pokojowej pracy, łudziła się nadzieją długiej ciszy i prawidłowego rozwoju sił narodowych, z ciemności straszego jutra wyłaniały się już blade postacie ludzi nowych, widma zawieruchy, upiory krwi i pożogi, szaleńcy pożerani chorobliwą gorączką czynu, osobistości nikomu nieznane, młodzieńcy bez wąsów, a nade wszystko bez głowy i bez serca, którzy w imię najśłodszej narodowi idei, wypieszczonej przez długie lata niewoli i ucisku, skazywali ten naród na całopalenie, jak wdowie indyjskiej po śmierci męża, kazali Polsce umierać na stosie po utracie jej bytu politycznego.

gubernii, a jeden z nich wziął młodszego synka Syrokomli na wychowanie z własnymi dziećmi. W Wilnie zawiązał się Komitet pod prezydencją marszałka wileńskiego Domeyki do zbierania składek na wydawnictwo dzieł Syrokomli, na korzyść rodziny. Pomnik na grobie miał stanąć z głazów i kamieni, zwiezionych ze wszystkich województw i ziem dawnej Polski. Wszystkie te piękne zamiary rozwiąła burza powstańcza. W całym kraju odbywały się nabożeństwa za zmarłego, prócz Warszawy, która dopiero teraz w d. 19 grudnia z inicjatywy przybyłych deputatów litewskich, którzy umyślnie o to do Kraszewskiego chodzili, odprawiono także nabożeństwo bardzo uroczyste w kościele św. Krzyża.

516 St. Z. Aspiracje polityczne, 338.

Taką była ta długa, posępna w swych głównych zarysach, tragiczna w swym końcowym akcie, historia dwóch lat. Jeżeli ich przebieg od początkowego zarodka, zdawało się, tak nic nie znaczącego, był bardzo dramatyczny i częstokroć bardzo bolesny dla serca polskiego, to o ileż dramatyczniejszym, o ileż boleśniejszym jest to jutro, te dni krwi i poniżenia, jakie one przygotowały i spłodziły! Ale dzieje tego rozpinania ciała narodowego na torturowem łożu nie należą już do zakresu naszej pracy. Zatrzymujemy się więc przed głęboką przepaścią ostatniej tragedii narodowej, przed tą krwawą męką Polski, która jak św. Teresa, przez to umierała, że umrzeć nie mogła i w chęci zmartwychpowstania własną dłonią rozdzierała ledwie gojące się rany, zatrzymujemy się w tem przekonaniu, że, pisząc tę książkę, spełniliśmy obywatelski, acz bolesny obowiązek.

W górach Pieninach, w 285 rocznicę wzięcia carów Szujskich do niewoli.

KONIEC

DOKUMENTA

No 1 (do str. 1368).

Mój pobyt w Warszawie.

(Pamiętnik ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego,
skreślony przezeń własnoręcznie w jesieni 1894 r. dla autora pracy niniejszej).
J. M. J.

Dowiedziawszy się, iż W. Pan opisuje wypadki 63 roku, a mając zręczność dowiedzenia się z bezpośredniego źródła o działalności w tej epoce ks. Felińskiego, ówczesnego Arcybiskupa Warszawskiego, postanowiłem przesłać W. Panu te wiadomości, jako przyczynek do dziejowych materiałów owej epoki.

Działalność ks. Felińskiego może być zrozumianą jedynie na podstawie tej organicznej zasady, jaką obrał sobie za busolę swego postępowania, wnet po swej nominacji na prymasa Kościoła polskiego. Zdziwiony więcej jeszcze niż kraj cały swem mianowaniem, rzekł do zwiastującego mu tę nowinę ks. Łubieńskiego: „jeśli istotnie Pan Bóg ten cud uczyni, że mię na tak trudnem postawi stanowisku, to ufam, że nie odmówi też i drugiego cudu, łaski mianowicie do spełnienia tego posłannictwa”. Zastanawiając się nad praktycznym programem przyszłego postępowania, widział on wyraźnie, iż do żadnego z istniejących wówczas kierunków politycznych, bezwarunkowo przyłączyć się nie może; trzeba więc było na własnem oprzeć się sumieniu. System federacyjny, którego przedstawicielem był margrabia Wielopolski, w oderwanej zasadzie całkiem zyskiwał jego (arcybiskupa — *przyj. wydawcy*) przyzwolenie, osoba nawet margrabiego całkowitą posiadała jego ufność, tak pod względem szczerości jego zamiarów, jak i umiejętności ich skutecznienia. Ale przed margrabią stał rząd rosyjski, od którego dobrej wiary głównie zależało powodzenie, czynnik zaś ten zdawał mu się bardzo podejrzany. Chwilowo, w najwyższych sferach idea federacyjna zatryumfowała, przyjmowano ją

jednak raczej jako próbę, niżli jako system polityczny, dla którego warto ponieść chociażby najcięższe ofiary. Jeden W. książę miał to głębokie przekonanie, że nie tylko dla szczęścia ludów słowiańskich, ale i dla stałej potęgi Rosji, federacya z jak najszerszą autonomią narodową, jest jedyną praktyczną formą zjednoczenia. On też jeden na seryo przyjmował uczynione przez Monarchę Polakom nadania i nigdy nie zmienił przekonania, że one obowiązywały Cesarza, nawet po wybuchu powstania, jak się to ujawnia z napisanej pod jego natchnieniem broszury: „*Que ce qu'on fera de la Pologne? par Schedo-Ferrotti*”⁵¹⁷. Póki wrzała walka, często powtarzał on to zdanie, jako swój program polityczny: *punir les coupables, sauver les institutions*. Cesarz jednak, Gorczakow i cały gabinet, uważał program margrabiego jako eksperyment, w którego udanie się bardzo słabo ufano. Wiązać się solidarnie z rządem, który lada chwila cofnąć się może, dla pasterza, stojącego z natury rzeczy przede wszystkim na gruncie katolickim i polskim, było co najmniej rzeczą bardzo niebezpieczną. Tak się też na szczęście jego zdarzyło, że od ks. Felińskiego nie wymagano w Petersburgu żadnych zobowiązań, ani żadnego nawet politycznego programu. Margrabia Wielopolski, któremu Cesarz pozostawił zupełną swobodę w wyborze swych współpracowników w przeprowadzeniu zamierzonych reform, przedstawił ks. Felińskiego na Stolicę warszawską głównie na słowo ks. Łubieńskiego, któremu ufał, z samym zaś nominatem wcale w roztrząsanie sytuacji się nie wdawał. Jedyną wskazówką, której wszakże programem politycznym nazwać niepodobna, były powiedziane przy pożegnaniu w Petersburgu znaczące słowa: „Mnie tu nazywają politycznym sfinksem, ale tym jedynie sposobem można coś zrobić”. Była to rada tycząca się roztropności raczej, niż kierunku w postępowaniu. Minister Wałujew poprzestał na ogólnikach, wyrażając nadzieję, że w tych zbawiennych dla obu narodów wspaniałomyślnego Monarchy reformach, ręka w rękę pójdzie z nowym arcybiskupem, do wspólnego zmierzając celu. Z jednym księciem Gorczakowem konferencye miały praktyczniejszy charakter, dotyczyły się raczej stosunków z miejscową administracją, niż kierunku politycznego. Właściwie przeto przed audyencyą u Cesarza, ks. Feliński nie związał się żadnymi zobowiązaniami charakteru politycznego i nie był do tego przez nikogo przynaglanym.

List pasterski napisał całkiem z własnej inicjatywy, a że nigdy nie był przedtem w Warszawie, i nie znał ani duchowieństwa, ani ludu, któremu miał na drodze zbawienia przewodniczyć, musiał się przeto pod tym względem oprzeć na udzielonych mu przez innych, głównie zaś przez ks. Łubieńskiego informacjach; że zaś te poglądy przedstawiały rozwijający się ruch w kraju

517 Właściwy tytuł tej broszury brzmi: *Que fera-t-on de la Pologne?* (przyp. wydawcy).

więcej w socyalnym, niż narodowym kierunku, ocenienie więc to odbiło się w jednym z ustępów listu pasterskiego, w którym ks. Feliński, zaznaczywszy silnie swoje uczucia narodowe, piętnuje wszelkie dążenia do przewrotu społecznego, zapowiadając, iż walczyć z nimi będzie z całą stanowczością. List ten pasterski przetłómaczony został przez ks. Łubieńskiego na język francuski i przedstawiony Cesarzowi, którego uzyskał aprobatę. Został on też zakomunikowany poufnie przez tłumacza kilku osobom, między innemi generałowej Southhoff, katoliczce, urodzonej z księżniczki Broglie; pani ta, w najlepszej myśli, przesłała go do Francyi swemu kuzynowi, który oddał go do redakcyi dziennika „Monde”, nie domyślając się, że popełnia niedyskrecyą. Tymczasem w wilię konsekracyi naznaczono ks. Felińskiemu posłuchanie u Cesarza, które trwało pięć kwadransów, i tu dopiero wystąpił jasny, chociaż bardzo ogólnikowy program polityczny. Bezpośrednio przed tem posłuchaniem, Monarcha miał długą konferencyą z Płatonowem, towarzyszem ministra polskiego Tymowskiego, i to objaśnia szczegółowe obznajomienie się Cesarza z bieżącemi kwestyami kościelnymi w Warszawie, jakiego dał dowody w ciągu rozmowy z ks. Felińskim. Aleksander II zagaił to posiedzenie kategorycznym objaśnieniem, iż postanowił zmienić dotychczasowe postępowanie z Polakami, że dąży do szczerego i trwałego pojednania obu narodów, na podstawie uwzględnienia słusznych postulatów polskich jego poddanych, którym nadaje daleko sięgającą autonomię administracyjną. „Pragnę”, powiedział, „aby w kraju tym narodowość i religia mogły się rozwijać z całą swobodą, byle na drodze legalnej. Uręczam, iż nikt odpowiedzialnym nie będzie za swoje przekonania religijne, również jak za swe uczucia patryotyczne, byle jedno i drugie zamknięte było w szrankach ustaw kraj cały obowiązujących. Od katolickich pasterzy nie wymagam też nic, co by sprzeciwiało się ich sumieniu. Macie prawo kanoniczne, bądźcież biskupami wedle jego wymagań, a znajdziecie z mojej strony opiekę i uznanie. Ale na nieszczęście znaleźli się wśród Polaków wichrzyciele, którzy założywszy sobie cele niemożliwe, a nawet niegodziwe, występnymi środkami zmierzać do nich usiłują. Potrafili oni obalamucić nawet część duchowieństwa, używając księży za narzędzie wciągania ciemnego ludu do buntowniczych spisków. Rząd mój ściga tych zapamiętałych szaleńców, bez współudziału jednak samego społeczeństwa zaraza ta wytępić się nie da. Ufam, że tam, gdzie interes rządu wspólny jest z interesem narodu, gdzie religia i cywilizacya na tę sarnę pokojowego rozwoju nawołują drogę, ufam, mówię, że w najwyższym zwierzchniku polskiego duchowieństwa znajdę szczerego i dzielnego pomocnika w pokojowych i dobroczynnych dla kraju moich usiłowaniach”. Ks. Feliński odpowiedział na to, że jako Polak i katolik z niewymowną wdzięcznością przyjmuje program wspaniałomyślnego Monarchy, że

wobec tak błogich zamiarów rządu względem kraju uważa za zgubne szaleństwo wszelkie rewolucyjne dążności nierozważnych zapaleńców, i że z całą gotowością dołoży wszelkich starań, by tak duchowieństwo, jak i lud mu powierzony odwieść od zastawionych na niedoświadczoną młodzież przez apostołów przewrotu sideł. Przekonanie to i postanowienie ze strony ks. Felińskiego było zupełnie szczere i aż do najpóźniejszej starości nie zmienił w tej mierze swych poglądów, pomimo iż wielu mu to zarzucało. Po tem zobowiązaniu się ze strony nominata, Cesarz przeszedł do praktycznej strony jego działalności. Oznajmił mu naprzód, iż pierwszą sprawą, jaką załatwić będzie musiał, jest otwarcie kościołów w Warszawie. Na odpowiedź ks. Felińskiego, iż uczyni to niezwłocznie po dopełnieniu rekonyliacji dwóch sprofanowanych świątyń, Cesarz odparł, że generał Lüders telegrafuje mu, że rozlewu krwi nie było, rekonyliacja przeto nie potrzebna. Na to ks. Feliński: „W Warszawie ani w czasie wypadku, ani w czasie śledztwa nie byłem; przebywszy tam więc oprzeć się jedynie mogę na dokumentach, jakie znajdę w konsystorzku. Wiem, że w sprawie profanacji istnieje dokument podpisany przez trzydziestu świadków, którzy jednoznacznie pod przysięgą zeznali, że krew była przelana. Kiedy śledztwo kościelne wdrożone zostało w tej sprawie, przewodniczący zażądał od generała Lüdersa, aby naznaczył do składu komisji delegata rządowego, czego namiestnik nie uczynił. Gdyby ów delegat zaprotestował protokularnie przeciw orzeczeniom Komisji, wówczas, na podstawie tego protestu mógłbym wdrożyć nowe doznanie, gdy jednak we właściwym czasie nikt nie protestował, niepodobna mi, człowiekowi nowemu, rozpocząć moje rządy od zadania kłamstwa tyłu zacnym i powszechnie szanowanym świadkom. Zaufanie do mojej osoby zostałoby na samym wstępie zachwianem, a przez to i wpływ mój całkiem udaremniony”. — „A więc zostawiam tę kwestyę pańskiemu uznaniu; uczynisz, co uznasz za właściwe na miejscu”. „A kogóż”, zapytał następnie Cesarz, „zamierzasz mianować oficjałem?” — „Księdza Rzewuskiego”, odparł ks. Feliński. — „Ależ to on właśnie prezydował w Komisji, która zawyrokowała o sprofanowaniu kościołów”. — „Jestem pewny, że osądził wedle przekonania własnego sumienia, nie oglądając się na presyę, ani ze strony rządu, ani ze strony ulicy, gdyż jest to kapłan mocnych przekonań i niezłomnego charakteru, francuskie zaś przysłowie mówi: *on ne s'appuie que sur ce qui resiste*”. — „Ależ czyż nie lepiej byłoby powołać na to stanowisko księdza Zwolińskiego? On przecież okazał także niepospolitą siłę charakteru nie zamykając kościoła na Pradze, pomimo nacisku rewolucyj”. — „Ks. Zwoliński skompromitował się swą wenalnością w kwestyach rozwodowych i najgorszej używa opinii tak w kraju, jak i w Rzymie; jego wybór i mnie by skompromitował w przekonaniu ludzi uczciwych”. — „To powołaj ks. Sie-

kluckiego. Był on wprawdzie uwięziony w cytadeli, ale stało się to pomyłką i rząd nie ma nic przeciw jego nominacji”. — „Skoro Najjaśniejszy Pan postanowił zmienić system zarządu w Królestwie Polskiem, to nie trzeba zużytych narzędzi stawiać na czele maszyny rządowej, gdyż naród nie tyle patrzy na pisane ustawy, ile na ludzi powołanych do ich wykonania. Skoro spostrzegą u steru władzy też same znienawidzone osoby, nigdy nie uwierzą w szczerłość zamiarów rządu”. Na ten argument Cesarz i tę kwestyę pozostawił uznaniu arcybiskupa. Następnie zwrócił rozmowę na udział duchowieństwa w tajemnych sprzysiężeniach, gdzie kapłani Chrystusowi ślubują posłuszeństwo jakiejś nieznanej, a co gorsza, bezbożnej władzy, odbierając przytem przysięgę od spiskowych, że władzy tej ślepo słuchać będą. Zapytał następnie, jakich środków użyć zamierza pasterz, aby podwładne sobie duchowieństwo od podobnych bezprawii powstrzymać? Ks. Feliński odrzekł, że postępowanie podobne najzupełniej potępia, jako sprzeciwiające się nauce Kościoła i wyraźnie przez Stolicę Apostolską potępione. Że dla wyzwolenia tych księży, co już dali się w te sieci uwikłać, zamierza zwołać synod dyecezyalny, na którym odczytane będą bulle papieskie, potępiające tajne sprzysiężenia, tudzież unieważnione zostaną pasterską powagą tego rodzaju przysięgi, jako niegodziwe. Dla ustrzeżenia zaś na przyszłość kleru polskiego od tego rodzaju rewolucyjnych knowań, ks. Feliński proponował umocnienie związku duchownego ze Stolicą Apostolską, który obecnie prawie jest zerwany, z powodu rządowych rozporządzeń, zabraniających katolickiemu duchowieństwu wszystkich stosunków z Rzymem. W ognisku jedności katolickiej przechowuje się nauka nieskażona dogmatu i moralności chrześcijańskiej, oczyszczona od politycznych i społecznych namietności; tam przeto należy wychowywać czoło duchowieństwa polskiego, aby odrodzeni w duchu kościelnym, i współbraci też swoich na tę drogę naprowadzić usiłowali. Radził przeto ks. Feliński urządzenie w Rzymie kolegium polskiego dla kilkunastu przynajmniej kleryków, którzy by uczęszczali do Collegium Romanum, po ukończeniu zaś nauk, objęliby katedry w polskich seminariach. Biskupi sami dostarczyliby funduszu na koszt utrzymania tych kleryków, od rządu zaś prosiłoby tylko o odstąpienie na ten cel w Rzymie domu, należącego niegdyś do poselstwa polskiego, obecnie zaś będącego własnością rosyjskiego rządu. Cesarz odpowiedział, że skłonny jest do zbliżenia się ze Stolicą Apostolską, kwestya jednak kolegium potrzebuje być dokładnie przestudyowaną, i że w tym celu przyśle doń Płatonowa, który dostarczy też objaśnień w innych bieżących kwestyach kościelnych. Poczem uprzejmie pożegnał ks. Felińskiego, dodając przy rozstaniu, że w Warszawie jednemu namiestnikowi ma złożyć pierwszą wizytę, inni zaś dygnitarze, tak cywilni jak i wojskowi, sami się mu przedstawiają. Nazajutrz zjawił się istotnie

u ks. Felińskiego, Platonow, z olbrzymią teką, ale, pomimo zewnętrznego ugrzecznienia przy każdej kwestyi czuć było zasadniczą niechęć. W sprawie dawnego domu polskiej ambasady w Rzymie, sekretarz Stanu przedstawił dokumenta dowodzące, że budynek ten nabyty został za pieniądze przez Aleksandra I i stanowił prywatną własność cesarskiej rodziny. Zresztą, konferencya z Platonowem nie miała żadnych praktycznych następstw.

Tymczasem przybyła do Petersburga reprezentacya duchowieństwa warszawskiego, złożona z biskupa sufragana łowickiego, ks. Platera, i dwóch kanoników gremialnych warszawskich, ks. Szczygielskiego i Budziszewskiego, w celu asystowania przy konsekracyi. Stosunek z nimi nominata był zupełnie swobodny i w ogóle ze strony rządu okazywano ks. Felińskiemu zupełne zaufanie. Książę Gorczakow przeczytał mu nawet list swój, pisany z powodu wyjazdu nowego arcybiskupa do Warszawy, do pełniącego obowiązki namiestnika, jenerała Lüdersa, w którym to liście wyraża się o jadącym dygnitarzu kościelnym, że przy usposobieniu pojedynczym okazuje stałość charakteru. Po przeczytaniu jednak listu dodał z ironicznym nieco uśmiechem: „tak mi się stan rzeczy w obecnej chwili przedstawia, ale przyszłość dopiero pokaże, jakim jest rzeczywiście”. Na prośbę arcybiskupa pozwolił mu pisywać do siebie bezpośrednio, nie drogą oficjalną, z czego też ks. Feliński wielokrotnie skorzystał. Cieszący się wówczas nieograniczonym zaufaniem Monarchy, minister spraw zagranicznych ostrzegł też ks. Felińskiego przy pożegnaniu, aby nie zważał na to, co w koło siebie usłyszy i obaczy, nie tylko w obozie rewolucyjnym, ale nawet w sferach rządowych, lecz aby w każdej wątpliwości przywodził na pamięć słyszane z ust Najjaśniejszego Pana słowa, gdyż to jedno jest nieomyślne. Przyspieszano o ile możności wyjazd arcybiskupa z Petersburga, by co najrychlej otworzone zostały kościoły, że zaś kolej żelazna otwarta była tylko do Dynaburga, dalszą przeto podróż ks. Feliński razem z delegatami odbywał dwoma dyliżansami, które odwieść go miały do samej Warszawy. Tymczasem upadły tak obfite śniegi, że od Kowna droga kołowa stała się całkiem niemożliwa. Na pierwszej stacyi za Kownem sześć razy przyszło wygrzebywać ugrzęźnięte w śniegu powozy. Kanonicy: Szczygielski i Budziszewski, mało wioząc rzeczy, przesiedli się na lekkie saneczki i podążyli wprost do Warszawy, arcybiskup zaś obarczony całą swą biskupią wyprawą, nie mógł tego uczynić, zatelegrafował przeto do namiestnika, prosząc o pozwolenie przejechania drogą żelazną przez Prusy, na co też otrzymał odpowiedź z prostem pozwoleniem, bez żadnych dodatków lub warunków. W Poznaniu nie wysiadał nawet z wagonu i z nikim się nie widział, dla tej jedynie przyczyny, że plan postępowania miał jasno wytknięty, radzić się więc nie miał o co, próżnych zaś podejrzeń obudzać nie chciał. Tem bardziej nie myślał wcale o zba-

czaniu do Lwowa. Przybywszy do Częstochowy w towarzystwie biskupa Platera, postanowił parę dni wypocząć i w tem cudownem miejscu prosić Boga o łaskę podołania przechodzącemu siły jego zadaniu. OO. Paulini okazali mu uprzejmą gościnność, a jeden z nich, z wizerunkiem Matki Boskiej, zaofiarowanym do arcybiskupiej kaplicy, towarzyszył pasterzowi, aż do Warszawy. Na Jasnej Górze przyłączył się do orszaku arcybiskupa generał książę Bagration, przez rząd delegowany, który nie opuścił go już odtąd w ciągu całej podróży. W Piotrkowie spotkał arcybiskupa p. Władysław Zamoyski, syn p. Andrzeja i wsiadł do tegoż wagonu, towarzysząc mu również do Warszawy. Pociąg przybył na dworzec w nocy. Powiadają, że namiestnik wysłał na kolej swój powóz, otoczony kozakami, arcybiskup jednak nic o tem nie wiedział i siadł z p. Władysławem Zamoyskim do jego powozu i tak przybył do pałacu na Miodowej. Nazajutrz zrobił wizytę namiestnikowi w Zamku. Generał Lüders przyjął go z naiwną niemal prostotą. Wyznał otwarcie, że nie jest ani dyplomata, ani politykiem, że zna się tylko na sprawach wojennych, że dał słowo Cesarzowi, iż nie dopuści do rozruchów w Warszawie, chociażby połowę miasta miał w gruzach położyć, i dotrzyma danego słowa. Dla pomocy zaś w kwestiach zarządu cywilnego wezwał ówczesnego generał-gubernatora Krzyżanowskiego, który miał opinię bardzo przebiegłego matacza. Odtąd przy wszystkich rozmowach arcybiskupa z namiestnikiem bywał obecny albo wojenny gubernator, albo naczelnik dyplomatycznej kancelarii, Safianos, gdyż generał Lüders nie był nawet w stanie zdać sprawy z mianej z kimkolwiek poważniejszej rozmowy. Przywykli do dawnego systemu oba dygnitarze przyjęli arcybiskupa jako rządową kreaturę, z którą otwarcie rozmawiać można. Krzyżanowski, określając ówczesne położenie kraju, powiedział, iż istnieją dwa główne stronnictwa: Białych i Czerwonych, przyczem dodał: „*Nous ne craignons par les Rouges, mais ces coquins de Blancs, voilà ce qui est dangereux*”. Generał zaś Lüders, zapytany jakich kandydatów przedstawił do Petersburga na wakujące katedry biskupie w Sejnach i w Płocku, wyznał że polecił na to stanowisko księży: Zwolińskiego i Topolskiego. Na uwagę arcybiskupa, że Zwoliński ma najgorszą reputację tak w kraju, jak i w Rzymie, odrzekł otwarcie: „*Je sais que c'est un homme taré; mais qui est ce qui nous seroira, si nous ne recompensons pas nos créatures?*” Namiestnik był już zawiadomiony z Petersburga o przyzwoleniu Monarchy na rekuncyiację kościołów i nominację ks. Rzewuskiego, jakkolwiek przeto nie po sercu mu to było, nie próbował postanowienia tego zmienić. Pożegnawszy namiestnika, arcybiskup udał się wprost z zamku do p. Andrzeja Zamoyskiego, którego nie znał jeszcze osobiście, ale chciał ostentacyjnie złożyć mu pierwszą wizytę, jako hołd należny cnotom jego i zasługom na polu pracy narodowej położonym. Krokiem tym

chciał też nieznany krajowi pasterz okazać, iż nie jest niewolnikiem natchnień rządowych, lecz własną, niezależną postępuje drogą. Pragnął też obznajmić się bliżej z zapatrywaniami tego na świeczniku stojącego męża, którego pierwszym obywatelem kraju zwano. Nie miał potrzeby porozumiewać się ze stronnictwem ruchu, którego postępowanie stanowczo potępiał, tak ze względu na nieroztropne ściąganie na kraj łatwej do przewidzenia klęski, jako też ze względu na niegodziwe środki, jakich nie wahało się używać dla dopięcia zamierzonego celu. Z tajemnem sprzysiężeniem i skrytobójstwem jawnie walczyć postanowił, z programem zaś Białych potrzebował bliżej się poznać, aby się przekonać, czy i w jakim zakresie mógł z nimi współpracować. Krok ten, na owe czasy śmiały, rozbroił nieufność Zamoyskiego, tak że od razu, z całą szczerością głąb swych przekonań otworzył. Podstawą jego stanowiska politycznego była nieufność względem rządu rosyjskiego, o którym był przekonany, że przy pierwszej sposobności cofnie wszystkie nadania, które pod naciskiem jedynie politycznych wymagań uczynione zostały. Stąd Zamojski domagał się rękojmi wiążących samowolę rządu wobec narodu. Nie zaczerpnięte w Anglii idee konstytucyjne, jak wielu przypuszczało, ale nieufność do rządu, co niszczył systematycznie wszystkie narodowe instytucje, stanowi klucz do zrozumienia działalności pana Andrzeja Zamoyskiego. Nie spodziewając się nic od władzy miejscowej, a bardzo mało od zagranicznych gabinetów, poświęcił on wszystkie chwile życia swojego temu wielkiemu zadaniu, iżby bez obcej pomocy odrodzić kraj moralnie i ekonomicznie, i przyznać trzeba, że owoce jego pracy przewyższyły niemal własne jego oczekiwanie. Towarzystwo rolnicze zorganizowało właścicieli ziemskich w jednolitą potęgę, przemysłowe zaś przedsiębiorstwa otworzyły dla młodzieży nowe pole pożytecznej służby krajowej. Pracując jednak całe życie na czysto obywatelskim polu, poza sferą oficjalną, nie dziw, iż nie układał nawet żadnego programu współdziałania z rządem. To też, zawezwany naprzód przez księcia Gorczakowa, a następnie przez Wielkiego księcia, aby wypowiedział, jakie ustępstwa ze strony rządu mogą zadowolnić Polaków, żądał przede wszystkim, iżby ponad wolą Monarchy było coś wyższego, co by wiązało władzę na równi z podwładnymi; chciał jednym słowem, aby panujący zaprzysięgł wobec Boga, iż nie naruszy podpisanych przez się ustaw, tak jak poddani wierność mu zaprzysięgają. Mniejszą przywiązywał on wagę do szerokości ustępstw, niż do ich gwarancyi; nie mogąc zaś otrzymać od rządu upragnionej rękojmi, postanowił nie brać czynnego udziału w zamierzonych przez rząd reformach i wypowiedział owo znane hasło Białych w stosunku do rządu: „Wszystko przyjmować, z niczego nie kwitować”. Nie osobisty przeto antagonizm w stosunku do margrabiego, ale całkiem przeciwne zapatrywanie się na charakter

rosyjskiego rządu, było przyczyną, iż p. Andrzej nie chciał przyłożyć ręki do tak pożytecznych skądinąd prac margrabiego. Obaj ci znakomici mężowie i równie gorący patryoci dążyli do szczęścia kraju przez wewnętrzne jego odrodzenie, gdy jednak p. Andrzej widział to odrodzenie w samoistnej pracy patryotów na wszystkich polach pracy obywatelskiej, margrabia nie pojmował, by naród mógł inaczej dojrzeć do samorządu, jak przez mądre prawodawstwo i odpowiednie instytucje państwowe, pod egidą silnego rządu. Stąd margrabia nie tylko nie sprzyjał formowaniu się w kraju samodzielnych instytucji, ale i te nawet próbował rozwiązać, które już istniały. Tak rozwiązał Towarzystwo rolnicze i nosił się z zamiarem upaństwowienia Towarzystwa dobroczynności, utrzymując, iż instytucje z prywatnym zarządem stanowią w społeczeństwie jakby naroście, rozwijające się częstokroć niepomierne, ze szkodą całego organizmu i tylko władza rządowa w stanie jest tak umiarkować rozwój każdej instytucji, by ogólna harmonia nadwyrężoną nie została. Oddanie tego kierownictwa w ręce rządu, który dotąd na szkodę jedynie działał kraju, najlepszym jest dowodem, jak bezgraniczną była ufność margrabiego w szczerość i stałość nowego zwrotu gabinetu petersburskiego. Niemniej jaskrawo maluje się różnica zapatrywań obu mężów stanu na usposobienie rządu, w stosunku ich do partyi ruchu. Obaj nie wątpili o tem, że powstanie się gotuje i oba uważali je za klęskę dla kraju. Zamoyski odzywał się nieraz do gorętszych patryotów, że gdyby nawet sami Moskale broń im podrzucali, winni ją odrzucić, gdyż walka orężna obróci się zawsze na korzyść materyjalnej siły, nam zaś prawdą i słuszością walczyć należy. Ostatnie słowa p. Andrzeja, wyrzeczone z wagonu przy odjeździe do Petersburga, były: „Nie bierzcie się tylko, broń Boże, do powstania”. Lękał się on zaś zbrojnego ruchu głównie dlatego, że przewidywał straszną reakcję, jaka po uskromieniu powstania nastąpić nie omieszka, w skutek lekceważenia ze strony rządu danych narodowi przyrzeczeń. Stąd p. Andrzej, bolejąc nad powstaniem i potępiając jego sprawców, żadnego udziału przyjąć nie chciał w przytłumieniu ruchu, rzucając swym zwolennikom hasło: „zwarta bierność”, co tak dosadnie charakteryzuje ówczesny stosunek Białych do Czerwonych. Margrabia przeciwnie, nie wątpił ani na chwilę, że uczynione przez rząd koncesje całkiem niezależne były od tego co uczyni stronnictwo ruchu, boć nie z niem toczyły się układy i nie im uczynione były obietnice. Rząd przecie nie tylko przewidywał, ale był pewny, że powstanie się gotuje, a pomimo to traktował z Wielopolskim, nie stawiając nigdy tego warunku, że ruch nie nastąpi. To też margrabia, nie wątpiąc, że po uśmierzeniu powstania rozpoczęta praca organiczna tem silniej się rozwinie, nie wahał się przyjąć na się ohydę bratobójczej walki, byle usunąć jedyną, jedyną jak sądził przeszkodę do urzeczywistnienia wywalzonego przezeń nad

Newą odrodzenia kraju. Bolesne wypadki, jakie nastąpiły po stłumieniu powstania, wykazały niewątpliwie, który z dwóch patryotów trafniej oceniał naturę moskiewskiego rządu. Dziwna jednak, iż, o ile mi wiadomo, żaden z poważniejszych historyków nie zwrócił na to uwagi, że nie samą partyę ruchu winić należy, iż prace Wielopolskiego spełzły na niczem, uwzględniając bowiem szal młodoci i niedoświadczenie, przyznać wypadnie, iż cięższą jest jeszcze wina rządu, co używszy najszlachetniejszych rąk polskich do stłumienia ruchu, złamał bezczelnie dane uroczyste słowo i nie zawahał pastwić się lat tyle nad bezbronną ofiarą!... Ale wróćmy do wizyty u Zamojskiego. Arcybiskup, opowiedziawszy rozmowę swą z Cesarzem i ówczesne usposobienie ministrów, oświadczył, iż pracować zamierza nad tem, by umysły uspokoić i od szalonych zamiarów odprowadzić. P. Andrzej uznał niewczesność i szkoldliwość ruchu, mało jednak miał ufności, by zbierająca się burza zażegnać się jeszcze dała, gdyż namiętności w kraju zbyt były rozognione, kierownicy zaś ruchu niedostępni byli dla żadnych wpływów nie z rewolucyjnego obozu pochodzących. Na dowód swego twierdzenia pokazał mi odezwę Mierosławskiego do organizatorów w kraju, w której dyktator nakazuje, aby w końcu kwietnia 1863 roku, powstanie wybuchło koniecznie w całym kraju, chociażby rząd najdalej sięgające czynił ustępstwa, gdyż na ten termin przygotowana jest rewolucja w całej Europie i w samej Rosyi. Kiedy arcybiskup przeczytał Zamoyskiemu swój list pasterski, przedstawiciel Białych stanowczo mu powiedział, że stronnictwo jego odmówi całkiem poparcia swemu pasterzowi, jeśli pozostawi w liście ustęp o socyalnych knowaniach, ruch bowiem, objawiający się w kraju jest czysto narodowy, niepodległość tylko Ojczyzny mający na celu; gdyby zaś po kościołach głosić poczęto, że ruch ten, objawiający się dotąd głównie przez śpiewy religijne, zabarwiony jest socyalizmem, oburzyłoby to patryotów, wrogo ich przeciwko duchowieństwu usposabiając, rządowi zaś podałoby broń przeciw aspiracyom narodowym, jako napiętnowanym barwą socyalnego przewrotu, arcybiskup uznał słuszność tej uwagi i wykreślił wmiankowany ustęp, podając list pasterski do druku. Dowolna ta zmiana, obok ogłoszenia w *Monde* listu w pierwotnej formie zaniepokoiła gabinet petersburski, w skutek czego ks. Górczakow wystosował do arcybiskupa telegram w tych słowach: „Empereur m'ordonne d'informer Votre Excellence que Sa Majesté desire la publication immédiate du mandement tel que vous l'avez soumis définitivement à notre auguste maître”. Telegram nosi datę 10 lutego 1862 r. Przed otrzymaniem tego telegramu arcybiskup napisał list do ks. Górczakowa, przedstawiający stan kraju w całkiem innem świetle niż mu przedstawił w Petersburgu: nie licząc kilku tysięcy obywateli wysłanych już administracyjnie w głąb Rosyi, cytadela przepełniona była więźniami, których liczba

codziennie wzrastała, gdyż aresztowano za łada bagatelę: żałobne ubranie, orzeł biały lub krzyż otoczony cierniem na broszce, śpiew na zabronioną nutę, wszystko to wystarczało, by dostać się do kazamatów, gdzie, wedle wyrażenia się samego generał-gubernatora, słoma na posłaniu biednych więźniów ruszała się od robactwa. Twardy charakter i żołnierski obyczaj generała Lüdersa zaostrzały jeszcze zwykłą surowość stanu obłączenia, do tego stopnia, że dość było wyjść wieczorem na ulicę bez latarni, by uczuć brutalną rękę stróża porządku na ramieniu, wszelki zaś opór po kozacku był strofowany. Dołączam tu odpowiedź ks. Gorczakowa na to sprawozdanie pod datą 12 lutego, równie jak list jego z 18 tegoż miesiąca, pisany po odmowie mojej ogłoszenia listu pasterskiego w pierwotnej formie⁵¹⁸. Nie mogąc przy ówczesnym stanie rzeczy, iść ręką w rękę z rządem, arcybiskup oświadczył był gotowość zamknąć się w sferze spraw kościelnych, nie mieszając się wcale do polityki. Było to jednak przed zamianowaniem go stałym członkiem Rady stanu, co uniemożliwiło to postanowienie. Wypadki rozwijały się tak szybko, że położenie zmieniał się niemal co godzina i wymagało innych środków zaradczych. Przekonawszy się, że niemożliwą jest solidarna akcja ani z rządem, ani ze stronnictwem Białych, ani nawet z duchowieństwem wpłatanem w znacznej części w rewolucyjne knowania, arcybiskup postanowił przebiegać się przez wypadki własną drogą, nie zważając na sądy ludzkie, a szukając natchnienia we własnym tylko sumieniu. Obierać zawsze to, co jest z dobrem Kościoła i kraju, nie wkraczając w sferę idealnych pragnień, a trzymając się zawsze w zakresie możebności: oto ów prosty w zasadzie, lecz niezmiernie ciernisty w wykonaniu program, jaki sobie nakreślił arcybiskup. Program ten pozbawił go wszelkiego poparcia ludzkiego, a zmuszał co chwila do wszechstronnej walki.

Nawet ze stronnictwem Białych, pomimo ich bierności musiał się zetrzeć na politycznej arenie; w Radzie stanu bowiem stanowili oni zwartą falangę i na swych prywatnych posiedzeniach roztrząsali każdą kwestię i na przyjętą przez większość rezolucję wszyscy potem głosowali. Pragnęli bardzo, aby i arcybiskup do tych narad należał i solidarnie z nimi się połączył, nie zgadzało się to jednak z jego programem, odmówił przeto, aby zachować swą niezależność. Kiedy główny ich przedstawiciel w Radzie stanu Węgliński, zaproponował arcybiskupowi podanie wniosku tak zwanego *habeas corpus*, arcybiskup chętnie się tego podjął i wniosek przeszedł; gdy jednak toż stronnictwo zażądało, aby to prawo uczynić niezależnym od osobistej woli Monarchy, arcybiskup ostrzeżony przez W. księcia, że całe prawo upadnie, jeśli to zawotują, głosował przeciwko dodatkowi, woląc coś zyskać niż wszystko utracić. Jeżeli w stosunku do rządu niepo-

518 Listy te wydrukowane zostały w zbiorze dokumentów, dołączonych do tomu IV niniejszego dzieła. (Przyp. wydawcy).

dobna było arcybiskupowi trzymać się polityki Białych, to tem mniej możebnem to było w stosunku do partyi ruchu. Przystąpienie do *Zwartej Bierności* nie zgadzało się ani z jego zasadami, ani z zaciągniętymi dobrowolnie zobowiązaniami. Skoro sama istota sprzysiężenia była niezgodna z nauką Kościoła, środki zaś przezeń używane wręcz się sprzeciwiały boskim przykazaniom, to niezależnie nawet od szkody, jaką ruch niewczesny krajowi mógł wyrządzić, obowiązkiem było pasterza uczynić wszystko możebne, by lud oświecić i od zgubnego powstrzymać kroku. To też arcybiskup zabrał się do tej sprawy szczerze i niezwłocznie. Już przy rekonyliacji sprofanowanych kościołów usiłował nadać temu aktowi charakter czysto kościelny, pomimo iż stronnictwo ruchu czyniło co mogło, by zamienić obrzęd ten religijny w manifestację polityczną. Ówczesny regens konsystorza, ks. Cz. stał się organem tego stronnictwa i próbował terroryzować pasterza groźbą rozruchów ulicznych, jeśli nie uwzględni wymagań ludu. Pierwsze z tych wymagań było ogłoszenie w „Kuryerku”, kiedy sprofanowane kościoły mają być rekonyliowane, arcybiskup odpowiedział na to, że sprawy kościelne jedynie przez kurendy konsystorskie ogłaszać będzie. Na uwagę zaś regensa, że mieszkańcy Warszawy przywykli do takich obwieszczeń; że nie uwierzą w dokonaną rekonyliację, skoro ta cichaczem się odbędzie, pasterz odpowiedział, że spełnia przepis Kościoła, a nie żądanie ulicy, na którą w postępowaniu swoim wcale oglądać się nie będzie. Nie mogąc otrzymać ustępstwa na tym punkcie, ks. Cz. począł zaklinać, by przynajmniej nie poruszał kwestyi patryotycznych śpiewów, gdyż to oburzy tylko patryotów, skutku zaś żadnego mieć nie będzie. I tu jednak otrzymał odpowiedź pasterza, że nie o popularność mu chodzi, lecz o sumienne obowiązków swoich spełnienie, skutki zaś swych usiłowań Opatrzności pozostawia. Stało się wedle rozporządzenia arcybiskupa; kurenda poszła do duchowieństwa, kościoły zostały otwarte, dwa zaś sprofanowane zostały rekonyliowane: katedralny przez samego arcybiskupa, bernardyński zaś przez biskupa Platera. Po spełnionym obrzędzie, ks. Feliński wszedł na kazalnicę i szczerze, a po prostu powtórzył wiernym obietnicę Monarchy, swobodnego mianowicie rozwoju narodowych i religijnych instytucyi, pod warunkiem, że się uspokoją i zaniechają śpiewów patryotycznych i innych demonstracyi, które tracą racją bytu, skoro cel już otrzymany. „Gdyby od nas żądano, rzekł pasterz, abyśmy przestali kochać naszą Ojczyznę, albo żebyśmy przestali modlić się o jej pomyślność, sam bym was zaklinał, abyście nie słuchali rządu, gdyż wołałbym, aby matki nasze postradały płodność, niżby miały dać życie pokoleniu na losy Ojczyzny nieczulemu. Ale, kiedy wymagają dziś od nas jedynie zaniechania niektórych śpiewów, nie należących do liturgii kościelnej, w zamian zaś ofiarują nieocenione dla narodu korzyści, to czyż ta sama miłość Ojczyzny nie nakazuje nam złożenia ofiary z tych bezowocnych już dziś manife-

stacy? Powiecie może, że rząd nas oszuka i nie dotrzyma przyrzeczeń? Co do mnie, ufam słowu Monarchy i wam podobnie ufność doradzam, lecz przede wszystkim ufam rządowi Opatrzności, która pierwiej czy później winnych zawsze dosięgnie; nie bądźmyż przeto winnymi!" Przemówienie to wadliwie przez dziennik powtórzone i niezyczliwie w ogóle przyjęte, żadnego nie zadowolniło stronnictwa i rządowi też nie było po myśli, tak że tekstu prawdziwego namiestnik wydrukować nie pozwolił. Widząc, jak bardzo lud warszawski jest roznamietniony i rozgoryczony, arcybiskup sądził, że rozbudzenie w tych schorzałych sercach głębszych uczuć religijnych najskuteczniej na uspokojenie umysłów wpłynąć może; korzystając przeto ze zbliżającego się wielkiego postu, postanowił urządzić rekolekcye dla ludu, że zaś duchowieństwo miejscowe niechętnie na ten zamiar spoglądało, wróżąc zupełne nieudanie się przedsięwzięcia, zaprosił przeto z Krakowa ks. Wiktora Ożarowskiego, wielkiej świątobliwości kapłana, a także ks. Zygmunta Goliana i ks. Wojciecha Morawskiego, którzy nie tylko wzorowo urządzili rekolekcye w katedrze, ale tak pociągnęli do tych ćwiczeń pobożniejszą część ludności, że dla tych, którzy docisnąć się do katedry nie mogli, w innych też świątyniach urządzone zostały rekolekcye. Oceniając prawdziwie kościelnego ducha, gorliwość i niepospolitą wymowę ks. Goliana, arcybiskup uprosił go, by został stałym kaznodzieją katedralnym, sam zaś przyjął na się kazania passyjne w ciągu wielkiego postu. Jak jedne tak i drugie nauki zmierzały do przekonania wiernych, iż miłość tylko buduje i odradza, nienawiść zaś więcej szkody wyrządza prześladowcom niż prześladowanym; że przeto w żadnym razie nie należy używać niegodziwych środków, chociażby dla dopięcia najszlachetniejszych celów. Kazania te, bardzo licznie uczęszczane, rozjątrzyły niezmiernie stronnictwo ruchu, które tak w swych pismach podziemnych, jak i w stosunkach towarzyskich złorzeczyło pasterzowi, paraliżującemu najszlachetniejsze porywy narodu. Odbierał on ciągle upomnienia i groźby; raz odebrał w kopercie wizerunek, z jednej strony szubienicy, z drugiej zaś aureoli, z podpisem: „wybieraj". Puszczono też w obieg fotografię przedstawiającą arcybiskupa z koszem gałganów na plecach, szukającego zdobyczy pod szubienicą i podnoszącego gałgan z napisem: „Golian". Pod spodem zaś wydrukowano było: „Widzicie bracia, że szukam godnych siebie kandydatów". Rozjątrzenie dochodziło już do tego stopnia, że w czasie kazania arcybiskupa Czerwoni zapaleńcy zrobili publiczną demonstracyę, wyganiając publiczność z kościoła. Musiała być nawet mowa o wyroku śmierci na niepoprawnego pasterza, gdyż raz po powrocie z katedry, służący znalazł przylepioną na powozie kartę drukowaną, opatrzoną pieczęcią rządu podziemnego, następującej treści: „Jakkolwiek ks. Feliński jest złym Polakiem i szkodliwym dla sprawy; że jednak zabicie jego byłoby jeszcze szkodliwszem, zabrania się przeto posięgać na jego życie". *Głos*

kapłana, redagowany, jak się później okazało, przez ks. Mikuszewskiego, wikaryusza w kościele św. Aleksandra, taką pałał nienawiścią przeciw arcybiskupowi, że miotał się też na wszystkich, którzy mu w jakikolwiek sposób rękę podawali, nie wyłączając ks. Kajsiewicza, za jego list otwarty. Mniej burzliwa, ale niemniej zawzięta walka toczyła się jednocześnie ze znaczną częścią duchowieństwa, do całkiem innego należącego obozu, gdyż samolubnemi jedynie powodowaną uczuciami. Niektórzy prałaci i inni poważniejsi duchowni, wyższe stanowiska zajmujący w hierarchii kościelnej, zawiedzeni w swych nadziejach, nie mogli darować obcemu i młodemu kapłanowi, że zasiadł na stolicy, na której stokroć właściwiej każdy z nich mógłby się usadowić. Licząc na niedoświadczenie nowego pasterza i nie obeznanie się jego z miejscowymi okolicznościami, sądzili, iż odmawiając mu swego współdziałania skompromitują go wobec rządu i kraju, albo zmuszą do przelania na nich władzy rzeczywistej, z pozostawieniem sobie, jedynie czczego tytułu. Ks. Cz. przygotowywał już zawczasu do tej alternatywy, ostrzegając arcybiskupa, iż wobec zamianowania oficjałem ks. Rzewuskiego, profesora akademii duchownej, który nigdy nie brał udziału w rządach dyecezyi, niepodobna spodziewać się, by prałaci zaszczytani całkowitem zaufaniem ks. Fiałkowskiego, którego w trudnych obowiązkach pasterskich wyręczali, zgodzili się na przyjęcie podrzędnej roli w konsystorzu, który miał się właśnie formować. Mając na względzie to ostrzeżenie, arcybiskup, kiedy czoło duchowieństwa przedstawiło mu się nazajutrz po jego przybyciu, przyjął ich mowę, która wielką była dla nich niespodzianką. Oświadczył mianowicie, że przyjmując na się odpowiedzialność za rządy dyecezyi musi z jednej strony czuwać osobiście nad wszystkimi gałęziami administracyi, z drugiej zaś otoczyć się ludźmi zaufania, którzy na własną rękę nic czynić nie zechcą. Dla dopięcia tego podwójnego celu, jeden tylko zamianuje konsystorz, a mianowicie w Warszawie, całkiem zwinąwszy istniejący dotąd w Łowiczu, gdyż pragnie osobiście rozpatrywać wszystkie sprawy postępujące do konsystorza, gdzie też co dzień przewodniczyć będzie swoim współpracownikom. Akademię i seminarium duchowne postara się nawiedzać jak najczęściej, obsadzając je gronem profesorów, przejętych duchem kościelnym, którzy by wprowadzić usiłowali system naukowy pod okiem Ojca św. w Rzymie praktykowany. Oświadczył dalej, że postara się otrzymać u rządu wyższą pensję dla członków konsystorza i profesorów młodzieży duchownej, ale zapewniwszy każdemu przyzwoite utrzymanie całkiem usunie łączenie obowiązków, przeciwne prawu kanonicznemu. Oświadczywszy wreszcie, że uczyni wszystko, co w mocy jego będzie, by rozbudzić w duchowieństwie gorliwość o chwałę Bożą i dusz zbawienie, a usunięcie się od spraw światowych, niezgodnych z powołaniem kapłańskim, dodał, zwracając się do przytomnych, że komu program ten nie trafia do przekonania winien zawczasu usunąć się ze swego

stanowiska, nie czekając, aż sama zwierzchność go usunie. Przemówienie to pomieszało wszystkie szyki malkontentów. Oczekiwali oni próśb i nalegań o pomoc, układali warunki targu, jak najkorzystniejsze dla siebie, tymczasem posyłać fatalne ustąpcie, jeśli nie chcecie być usunięci. Zdumienie to zamieniło się wkrótce w prawdziwy niepokój, gdy dowiedzieli się, że arcybiskup wezwał na najważniejsze posady duchowne kapłanów z innych dyecezyi, a nawet z innych dzielnic kraju. I tak: na rektora akademii zaprosił z Kielc ks. Wincentego Popieła, na profesorów zaś: ks. Goliana z Krakowa, brata swego Juliana z Rzymu, ks. Jazdzewskiego z Poznania; na rektora seminarium ks. Albina Dunajewskiego z Krakowa, na surogata w konsystorzu ks. Lotkiewicza z Sandomierza, którego wprowadził do kapituły, razem z ks. Nowodworskim: na konsultora kanonicznego ks. misjonarza Dorobisa, na regensa konsystorza ks. Domagalskiego z Kielc. Jedno już tylko pozostawało miejsce nieobsadzone surogata w konsystorzu, i o tę posadę począł ubiegać się jeden z najniechętniejszych dla arcybiskupa prałatów, ks. Sieklucki, i otrzymał ją, gdyż potrzeba było choć jednego z dawnych członków dla przechowania urzędowej tradycji. Wkrótce jednak okazało się, jaki był rzeczywisty plan tego ambitnego prałata: nie mogąc przeskoczyć, chciał on przeleźć, jak mówi przysłowie. Było to podczas posiedzeń Rady stanu, kiedy arcybiskup chwilki niemal nie miał wolnej; odprawivszy bowiem Mszę św. o szóstej, załatwiał po herbacie interesa rządowe i osobiste, o dziewiątej siedł do konsystorza, a przekazivszy co o dwunastej jechał na posiedzenie Rady stanu. Otóż ks. Cz. umówivszy się z Siekluckim, podsunął mu do podpisu, w rannej godzinie, kiedy najważniejsze załatwiał interesa, upelnomocnienie dla ks. Siekluckiego do zarządu w dyecezyi, równające się niemal abdykacyi ze strony pasterza. Rzuciwszy okiem na ten dokument arcybiskup zapytał, kto upoważnił regensa do tego kroku? Zmieszany ks. Cz. odrzekł, że to jest wierna kopia upoważnienia udzielonego niegdyś ks. Siekluckiemu przez arcybiskupa Fijałkowskiego. Za takie nadużycia zaufania ks. Cz. usunięty został z regensostwa, Sieklucki zaś w dawnej zależności pozostał. Z rozpoczęciem się nabożeństwa majowego, patriotyczne śpiewy na ulicach i po kościołach z nową zabrzmiały siłą, co spowodowało spotęgowanie surowości policyjnych prześladowań. Wizyta dyecezalna oddaliła pasterza wówczas od Warszawy w stronę Skierniewic, tymczasem zdarzyła się okoliczność, która zmusiła go do rychlejszego niż zamierzał powrotu. Objąwszy zarząd dyecezyi, arcybiskup przyjętym w kościele zwyczajem, zawiadomił o tem Ojca św., uświadamiając go oraz o stanie swej owczarni. Na list ten wysłany drogą prywatną, otrzymał też samą drogą odpowiedź, w której Ojciec św. daje wskazówki biskupom polskim, w jaki sposób starać się mają naprawić szkody przez Kościół w ostatniem panowaniu poniesione, przez należną reformę seminarjów, klasztorów, wizytowanie parafii

i zarządzanie wszystkich spraw kościelnych wedle wymagań prawa kanonicznego. Arcybiskupowi zalecał nadto Ojciec św. dołożenie wszelkich starań, aby zesłani i uwięzieni księża wolność odzyskali, co wszystko, jak sądził, da się uskutecznić przy życzliwym usposobieniu nowego rządu. Uwzględniając to, że we wskazówkach Ojca św. nie było nic, co by się sprzeciwiało wygłoszonemu przez Cesarza programowi rządowemu, zwrócenie zaś duchowieństwa polskiego na drogę pracy kościelnej głosem najwyższego pasterza, udzielało najskuteczniejszego poparcia podjętym w Warszawie w tym kierunku reformom, arcybiskup postanowił nadać tej odezwie głowy Kościoła jak największą jawność, aby uprzedzone i niechętnie duchowieństwo przekonać, że nie petersburskim, ale rzymskim natchnieniom ulega w pasterskiej działalności swojej. W tym celu rozesłał niezwłocznie kopie tego listu wszystkim biskupom swojej metropolii, jedną zaś kopię z tłumaczeniem francuskim obok, posłał namiestnikowi, zwracając jego uwagę na zgodność wygłoszonych przez papieża zasad z zamiarami najjaśniejszego pana. Jenerał Lüders, nie głęboki polityk, przyjął ten krok bardzo uprzejmie, dziękując pasterzowi za jego szczere i lojalne postępowanie, co nie ukrywa przed rządem stosunków swoich z Rzymem, jak to miało miejsce za jego poprzednika. Niedługo jednak przetrwał ten różowy pogląd na tę sprawę, skoro bowiem na Święta Wielkanocne pojechał do Petersburga, otrzymał od Cesarza ogromnego nosa za to, że dopuścił do upowszechnienia papieskiego listu, a także otrzymał polecenie uczynienia surowej wymówki w imieniu Monarchy arcybiskupowi, za prywatne stosunki z kuryą rzymską. Wróciwszy do Warszawy jenerał Lüders wyprawił natychmiast dyrektora wyznań w pogoń za arcybiskupem z poleceniem sprowadzenia go do namiestnika, dla wysłuchania zleceń Monarchy. Tymczasem w Warszawie zaszedł oburzający wypadek, który napełnił grozą najumiarkowańszych nawet patriotów. Z powodu patriotycznych śpiewów w jednym z kościołów policja zaaresztowała szesnastoletnią dziewczynę i odprowadziła na ratusz, gdzie pod pozorem rewizji, rozebrano ją do naga w przytomności niesforne gołdactwa. Wzruszenie biednej ofiary było tak silne, iż wątły jej organizm nie wytrzymał tej próby, i martwe tylko ciało pozostało w rękach siepaczy. Dowiedziawszy się o tej oficjalnej zbrodni arcybiskup, pod wpływem oburzenia pospieszył na Zamek, a wysłuchawszy nawiasowo czynionych mu wymówek, odrzekł sucho, że stosunki jego z rządem muszą się nareszcie wyjaśnić, i jeśli władza nie uwzględni słuszných jego wymagań, on zmuszony będzie zerwać wszelką solidarność z rządem, bez względu na to, co go osobiście spotka. Tu, opowiedziawszy straszną scenę w ratuszu, oświadczył, że jeśli niezwłocznie rząd nie usunie policji z kościołów, on sam opíše okropności, jakie się dzieją przy aresztowaniu i ogłosi w dziennikach zagranicznych. Namiestnik, zdziwiony takim obrotem sprawy, odpowiedział, że sam nie

może kwestyi tej rozstrzygnąć, ale odniesie się do Petersburga. Wróciwszy do siebie arcybiskup, zabrał się niezwłocznie do napisania zapowiedzianego listu, ale nie doszedł jeszcze do połowy, kiedy służący zameldował dyrektora dyplomatycznej kancelaryi Safianosa. Przybywał on z polecenia namiestnika, aby wyrozumieć ostateczne warunki żądań arcybiskupa przed posłaniem ich do Petersburga. Pokazawszy mu list rozpoczęty, arcybiskup oświadczył, iż odpowiedzi żąda niezwłocznie, że w razie usunięcia z kościołów policyi bierze na siebie odpowiedzialność za porządek w świątyniach, na usunięcie jednak niewłaściwych wpływów na tok nabożeństwa, potrzebuje przynajmniej tygodnia czasu. Wieczorem nadeszło przyzwolenie telegraficzne z Petersburga, które wnet zakomunikowano pasterzowi. Ale jakież było jego zaniepokojenie, kiedy w dzienniku oficjalnym wyczytał urzędowe obwieszczenie w tych mniej więcej wyrazach: „na żądanie arcybiskupa rząd zgodził się na to, by za wzbronione śpiewy nie aresztowano po kościołach. Jeśli by jednak śpiewy te nie ustały, to w poniedziałek aresztowania rozpoczną się znowu”. Rozmowa z namiestnikiem miała miejsce w piątek, zostawało więc tylko dwa dni, zamiast żadanego tygodnia, na powstrzymanie śpiewów. Nie mając jednak wyboru trzeba było próbować. Arcybiskup zawezwał niezwłocznie do siebie całe duchowieństwo warszawskie, tak świeckie jak i zakonne, a przedstawivszy im ważność chwili, pozwalającej wyzwolić kościoły z pod wpływu tak rządu jak i ulicy, zawezwał swych pomocników, by na majowym nabożeństwie zażądali od wiernych, w imię świętości religii i bezpieczeństwa kobiet, ofiary tych śpiewów, które tylu już nieszczęść były powodem. Zaledwie pasterz skończył swą przemowę, wystąpił z grona duchownych młody kapłan w złotych okularach i tonem patetycznym wygłosił następujący protest: „jak to pasterzu?! więc gdy uciśniony i wyzuty z praw swoich naród, nie ma już gdzie zwrócić skarg swoich, okrom do Boga, jedyne go dziś mściciela krzywd ludzkich, ty chcesz wtłoczyć w zbolałą pierś ludu nawet ten jęk boleści, by rozpacz rozsadziła te miliony serc wierzących jeszcze i ufających w sprawiedliwość Bożą!... Nie, pasterzu! szukaj gdzieindziej pomocników w sprawie, co ma zakrwać łono wspólnej matki naszej, w naszym gronie oprawców takich nie znajdziesz”. Był to ksiądz Mikoszewski, wikaryusz w kościele św. Aleksandra i jeden z członków rządu podziemnego. Nie wiedział biedak, że w wigilię dnia tego był u arcybiskupa generał policmajster, Piłsudzki, w sprawie aresztowania po kościołach, i opowiedział mu, że przed tygodniem uwięził ks. Mikoszewskiego za śpiewy u św. Aleksandra, a przetrzymawszy go dni parę, zapowiedział, że jeśli śpiewy się ponowią, ksiądz zastępujący proboszcza opatrzy się już nie w cytadeli, lecz na sybirskim szlaku. Jakowa groźba tak poskutkowała, że śpiewy wnet ustały. Świadomy tej okoliczności arcybiskup dał mu spokojnie wydeklować swe tyrady, gdy zaś po ukończeniu mówca spojrzał tryumfująco

na grono zdziwionych raczej, niż wzruszonych współbraci, arcybiskup podniesionym głosem odpowiedział: „Księżę Mikoszewski! Więc, gdy chodziło o twą własną skórę, znalazłeś dość męstwa, by wtłoczyć w zbolałą pierś ludu jęk rozpaczliwej skargi i nie wahałeś się zabronić śpiewów w swym kościele. Teraz jednak, gdy chodzi o niezależność świątyń, o cześć, a nawet życie niewinnych dzieci naszych, sądzisz, że pasterz, co powód tylu klęsk usunąć pragnie, sprzeniewierza się świętemu posłannictwu swemu i do ucisku ludu dopomaga?! Nie do słów, ale do czynów się odwołuję, osądźcie bracia, po czyjej stronie jest nikczemność”. Ks. Mikoszewski skrył się zmieszany w tłumie, zebrani zaś duchowni wyszli z mocnem postanowieniem uczynienia wszystkiego, co będzie w ich mocy, by lud do zaniechania śpiewów zakazanych skłonić. Nazajutrz wypadł odpust w Czerniakowie, gdzie arcybiskup przyrzekł celebrować. Wracając dość późno z nabożeństwa, bardzo był niespokojny o wynik swych usiłowań; zaledwie jednak wysiadł z powozu, zjawił się generał policmajster i z miną raczej skonfudowaną niż radosną, zwiastował dobrą nowinę, iż ani jeden głos nie ozwał się w całej Warszawie zabronioną nutą: „Teraz my widzimy”, dodał, „co może duchowieństwo, kiedy szczerze działa”. Tak zakończyły się owe demonstracyjne śpiewy, co tak ważną rolę odegrały w wypadkach 1863 roku.

Samoistne postępowanie arcybiskupa wywołało mocne niezadowolenie w najwyższych kołach dworskich, niechęć zaś ta wzrosła jeszcze z powodu zaostrzonego stosunku Rządu ze Stolicą apostolską. Zamierzając zmianę polityki względem Polaków gabinet petersburski szukał też zbliżenia z kuryą rzymską. Skłonny był nawet do przyjęcia nuncjusza papieskiego nad Newą, a pertraktacje w tej sprawie zaszły już były tak daleko, że na stanowisko to przeznaczony został podsekretarz stanu, Berardi, *persona grata* dla rządu rosyjskiego. Gdy jednak przyszło do bliższego określenia stanowiska nuncjusza w Petersburgu, ambasador Cara oświadczył, iż duchowieństwu katolickiemu wzbronione będą wszelkie stosunki z nuncyuszem, gdyż kodeks miejscowy stosunków takich nie dozwala. Nie mogąc otrzymać cofnięcia tego zakazu, Ojciec św. odstąpił od zamiaru wysłania nuncjusza, który, zamiast opieki, stałby się raczej kamieniem obrażenia dla duchowieństwa polskiego. Pod wpływem tego rozdrażnienia ks. Gorczakow wystosował do arcybiskupa dołączony tu list pod datą 7 maja 1862 r.⁵¹⁹

Objęcie przez margrabiego zarządu cywilnego, a następnie władzy namiestniczej przez Wielkiego księcia, rozpoczyna epokę tak pomyślną dla Kościoła, iż od czasu rozbioru kraju, również korzystne warunki, ani razu nie istniały. Wszystkie słuszne żądania władzy duchownej były uwzględniane,

519 List ten znajduje się w dodatkach tomu IV. (przyp. wydawcy).

zamianowanie zaś do Rady stanu kilku biskupów dawało możność kierownikom nawy kościelnej wpływać też na sprawy państwowe. W ogólnym planie reform dla Królestwa kongresowego zatwierdzonym przez Cesarza, figurowała między innymi Rada duchowna, złożona z ministrów Kościoła różnego stopnia, których obowiązkiem miało być oświecanie rządu w kwestiach religijnych. Jakkolwiek owa projektowana Rada posiadać miała tylko głos doradczy, podobieństwo jej wszakże do kolegium duchownego w Petersburgu było zbyt uderzające, by nie miało zaniepokoić arcybiskupa. W duchu Kościoła prawdziwym rządcą i stróżem swej owczarni jestznaczony przez Ojca św. pasterz, z nim przeto rząd winien traktować w sprawach religijnych, każda zaś instytucja duchowna, działająca poza plecami biskupa, niebezpieczną jest raczej niż pożądaną.

Pogląd ów, na doświadczeniu oparty, skłonił ks. Felińskiego do zaprotestowania przeciw powołaniu do życia pomienionej Rady, która na papierze jedynie istniała. Ku niemałemu zdziwieniu pasterza, przygotowanego do zaciętej walki z twórcą projektu, margrabia najmniejszego nie stawiał oporu. „Ustanawiając Radę duchowną”, odrzekł, „spełniłem jedynie żądanie pasterzy, wyrażone w podanym do rządu memoriale; skoro jednak sama władza duchowna tego nie życzy, to nie mam nic przeciw pozostawieniu rzeczy tak jak były”. Pokazał przytem petycję do księcia Gorczakowa podaną przez ówczesnych rządców dycezyi w Królestwie, w której o taką Radę upraszano. Ojciec św. podziękował arcybiskupowi za oddalenie od kościoła polskiego tak groźnego niebezpieczeństwa, właściwa jednak zasługa była ze strony margrabiego. Z taką samą powolnością spotkał się też ks. Feliński przy urządzeniu akademii duchownej, seminarium i konsystorza, tak przy wyborze osób, jako też naukowego programu, a nawet przy zaopatrzeniu instytucji duchownych w odpowiednie środki materyalne. Pod tym ostatniem względem istniały wówczas w Warszawie warunki prawie nie do uwierzenia, na utrzymanie np. całego konsystorza, t. j. oficyna, trzech turogatów, regensa i czterech kancelistów, rząd asygnował 750 rubli rocznie. Rzecz prosta, że przy tak niedostatecznem wynagrodzeniu urzędnicy konsystorscy zmuszeni byli inne obok tego zajmować posady, z niemałą ujmą dla zajęć konsystorskich. Na przedstawienie arcybiskupa podniesiono etat konsystorza do 8000 rubli. Seminarium pomieszczone było w ciasnej, wilgotnej kamienicy obok katedry. Lokal ów był tak szczupły i niedogodny, że w salach wykładowych musiano stawiać łóżka dla kleryków, dla których gdzie indziej nie znaleziono miejsca. Przekonawszy się o tej niedogodności rząd przeznaczył wnet inne pomieszczenie na seminarium, odpowiednie celowi. Na prośbę arcybiskupa uwolniono też wszystkich księży zesłanych na Sybir. Z własnej inicjatywy rząd przedstawił Radzie

stanu projekt do prawa, biorący w opiekę duchowieństwo w razie oskarżenia o zdradę stanu. Wedle tego projektu, aresztowanie księdza mogło nastąpić tylko na rozkaz namiestnika, jeśli zaś w przeciągu doby nie znajdą się dowody winy, oskarżony musiał być niezwłocznie uwolniony. W czasie dyskusji arcybiskup oświadczył, że jakkolwiek projekt ten, stosunkowo do praw istniejących, korzystny jest dla duchowieństwa, jednak przyjąć go nie może bez upoważnienia Ojca św., na co W. książę odrzekł, że przyrzeka porozumieć się w tej sprawie ze Stolicą apostolską, skoro prawo uzyska sankcję Monarchy. Ustawa ta upadła w Radzie stanu, przeto, że większość zażądała, aby o uwięzieniu księdza wyrokowała Rada stanu, a nie namiestnik, na co znowu rząd się nie zgodził. Nie ogłoszono jeszcze wprawdzie wolności sumienia, W. książę jednak miał osobiste upoważnienie od Cesarza pozwalać w pojedynczych wypadkach, aby rodzice stanowili o religii dzieci w małżeństwach mieszanych. Na mocy takiego upoważnienia ze strony namiestnika, arcybiskup błogosławił cztery małżeństwa mieszane, pod warunkiem, że wszystkie dzieci wychowane będą w wierze katolickiej. W. książę proponował mu nawet przyjęcie dla Królestwa Polskiego konkordatu, jaki zawarty został ze Stolicą apostolską w księstwie badeńskim, gdzie wybór wyznania dla dzieci z małżeństw mieszanych pozostawiony rodzicom, kapłan jednak katolicki, jako urzędnik stanu cywilnego, w takim nawet razie obowiązany jest dać ślub, bez kościelnego wszakże błogosławieństwa, kiedy narzeczeni warunków katolickiego kościoła przyjąć nie chcą. Arcybiskup odrzekł, że decydowanie o takich kwestiach do Stolicy Apostolskiej należy. A nie tylko pod względem religijnym, ale też i pod względem narodowym, od chwili ustąpienia jenerała Lüdersa, Krzyżanowskiego i Kruzensterna, program wypowiedziany przez Cesarza najwierniej w Warszawie był spełniony. Nawet zbrodniczy strzał do W. księcia nie zachwiał na chwilę pojednawczego usposobienia jego dla Polaków. Kiedy najutrz Rada stanu, przedstawiciele duchowieństwa i najważniejszych krajowych instytucji pospieszili do Łazienek dla wyrażenia W. księciu radości swej z jego zachowania, on wezwał do swego gabinetu naprzód margrabiego, z którym dość długo rozmawiał, następnie zaś arcybiskupa, któremu powiedział z jawnem wzruszeniem na twarzy, „że, jeśli ta krew przelana ułatwi mu zjednanie zaufania Polaków, uważać będzie dzień ów za jeden z najszcześniejszych w życiu”. Robiąc następnie aluzję do uroczystego przyjęcia go w katedrze w dzień jego przybycia do Warszawy, dodał, iż do odwrócenia przez Opatrzność grożącego mu ciosu nie mało zapewne przyczyniło się błogosławieństwo, jakie z pasterskich rąk jego otrzymał. Nie mogąc dla świeżej rany wdziać munduru, miał na sobie płaszcz wojskowy z jedną ręką na temblaku. Pożegnawszy arcybiskupa wyszedł do audyencyonalnej sali, gdzie nań liczne cze-

kało grono, a zaręczywszy przedstawicieli kraju, że szalony zamach na życie jego, tak łaskawie przez Opatrzność udaremniony, w niczem nie zmieni pojednawczych usposobień jego względem narodu, którego nie chce czynić odpowiedzialnym za wybryki obłąkanych fanatyków, dodał głosem, w którym głębokie malowało się przekonanie: „Wy tylko, przedstawiciele polskiego społeczeństwa, nie odmówcie mi szczerego poparcia, a wszystkie wspólnie przetwarzane próby staną się szczeblami tej drabiny, która nas do tegoż upragnionego celu doprowadzi”. Ujawszy przy tych słowach prawice Wielopolskiego i Zamoyskiego połączył je z sobą, przy tych znaczących słowach: „Wy zwłaszcza podajcie sobie i dłonie i wspierajcie mię wspólnie, a wszelkie zawady ustąpią z naszej drogi”. Owa chęć zbliżenia się do polskiego towarzystwa odbiła się też i w dążnościach W. księżny, która wszelkich próbowała środków, by ściągnąć do swych salonów polskie damy, które systematycznie stroniły od Zamku. Udawała się nawet w tym celu do pośrednictwa arcybiskupa, proponując mu, by ułatwił jej spotkanie z temi paniami na gruncie neutralnym, za jaki uznane zostały zakłady miłosierne, z których każdy posiadał jedną, a czasem i kilka opiekunek. Na zapytanie pasterza, czy zechcą robić honory swych zakładów w razie wizyty W. księżny, panie te odpowiedziały, że bardzo chętnie, jeśli wolno im będzie nie zrzucać z tego powodu narodowej żałoby. Otrzymawszy tę odpowiedź W. księżna zwróciła się do męża pytając, jak ma postąpić, W. książę zaś odrzekł śmiejąc się, że nie ma innej rady, tylko wprowadzić hiszpańską etykietę, która w czarnych jedynie sukniach pozwala prezentować się u dworu. I nie był to żart w ustach jego; gdy bowiem arcybiskup zaproszony do towarzyszenia W. księżnie przy zwiedzaniu dobroczynnych instytucji przybył do Łazienek, zastał W. księżnę czarno ubraną, gotową do wyjazdu. Dla zamaskowania prawdziwego celu przedsięwziętych nawiedzin, wizyty rozpoczęły się od zakładów rządowych, nim zaś kolej przyszła na prywatne, arcybiskup opuścił Warszawę, tak że na tem polu do zbliżenia się nie przyszło. Rozpatrzywszy się bliżej w położeniu kraju, W. książę spostrzegł, że margrabia, pomimo swych niepospolitych zdolności, nie posiadał dość zaufania w gronie obywateli, by umiarkowaną przynajmniej część ich do rządowego obozu wciągnąć. Pragnąc temu zaradzić, zapytał raz poufnie generała Konstantego Lubomirskiego, znanego sobie z Petersburga, co mu uczynić wypada, by pozyskać zaufanie Polaków? Książę Lubomirski odrzekł krótko, że póki nie zjedna sobie Andrzeja Zamoyskiego, na nic się usiłowania jego nie przydadzą. Wskutek tej rady W. książę wezwał do Łazienek pana Andrzeja i zagadnął go od razu: „Spodziewam się, że jesteście zadowoleni ze wspaniałomyślnych nadań Monarchy?” Pan Andrzej odrzekł sucho: „Nie wiem z czego mamy się tak bardzo cieszyć?” — „Jak to? macie przecie autonomię, język

polski w szkołach i urzędach, posady rządowe obsadzone przez Polaków; macie Radę stanu i Szkołę Główną... Czegóż więcej jeszcze żądać możecie?” — „Daruje Wasza Cesarska Wysokość, ale te wszystkie urządzenia, robią mi wrażenie komedyi?” — „Jak to komedyi?” zawołał obrażony W. książę. — „Kiedy po wstąpieniu na tron Cesarza Mikołaja I, ojciec mój, jako prezes senatu, zdawał mu sprawę ze stanu kraju, przypomniał młodemu Monarsze obietnicę wskrzesiciela Królestwa Polskiego przyłączenia doń Litwy i Rusi, skoro Polacy postępowaniem swoim na to zasłużą. Na co Monarcha odrzekł stanowczo: „Nie wiem, jakie były istotne zamiary mego brata, obietnicę tę jednak uważam za polityczną komedię. Że zaś sam nie mam zamiaru odgrywać komedyi, otwarcie przeto uprzedzam, że panuję dla Rosyi i dla Rosyi tylko panować będę i nie oddam nigdy ani jednej piędzi ziemi, która własnością Rosyi się stała”. „Jeśli przeto Cesarz Mikołaj nazwał komedią to, co poprzednik jego przyrzekł wobec zgromadzonego sejmu, to nie sędzę, aby było zuchwałstwem uważać za komedią obecne u nas próby”. — „Urzeczywistnienie obietnic wskrzesiciela Królestwa Polskiego leży poza sferą naszej działalności. Nie do nas należy o tem decydować. Zresztą od żadnego z Polaków nie słyszałem dotąd o tem pragnieniu i uważam je za osobiste pańskie życzenie. Mówmy tylko o Królestwie kongresowem. Czegóż pan w tym zakresie żądałbyś nad to, coście już otrzymali?” — „Póki ponad wolą Monarchy nie ma żadnego prawa, które by panujący tak samo szanować był obowiązany jak i jego poddani, póty nie przyznam, że w organizacyi kraju zasadnicza zaszła zmiana”. — „Przyznasz pan wszakże”, rzekł powstając W. książę, „że choć tyle się zmieniło, iż podobne rzeczy możesz pan mówić bratu cesarskiemu”. Na tem zakończyła się rozmowa, która ważne spowodowała następstwa nie tylko dla Zamoyskiego, ale też i dla całego stronnictwa Białych, które utraciło swego uznanego przywódcę. Powróciwszy z Łazienek pan Andrzej zwołał członków byłego Towarzystwa rolniczego na walne zgromadzenie, aby zdać sprawę z rozmowy swej z W. księciem, zwłaszcza zaś z owego twierdzenia namiestnika, że pragnienie przyłączenia Litwy i Rusi do Królestwa było osobistą jedynie mrzonką Zamoyskiego. Dowiedziawszy się o tem przedstawiciele ziemian jednogłośnie prawie postanowili podać zbiorowy adres, popierający stanowczo wyrażone przez p. Andrzeja żądania i niezwłocznie zebrali się do ułożenia tego adresu. Arcybiskup, nie należąc do stronnictwa Białych, nie przyjmował udziału w ich robotach, śledził jednak z wielkiem zajęciem ową inicjatywę politycznej działalności w obozie, który skazał się dobrowolnie na bierne oczekiwanie. W przekonaniu pasterza była to najdogodniejsza dla rządu chwila do zawiązania układów z tem poważnem i wpływowem stronnictwem, które utraciwszy chwilowo grunt pod nogami, samą naturą rzeczy będzie zmu-

szone rzucić się w objęcia bądź rządu, bądź rewolucji. Nie upoważniony przez nikogo, pod wpływem jedynie poczucia obywatelskiego obowiązku, ks. Feliński udał się do W. księcia, ofiarując się za pośrednika w pertraktacjach, jeśli rząd skłonny się do tego okaże. „Charakter Polaków”, rzekł arcybiskup, „jest taki, że bez jawnego programu prowadzić się nie dadzą. Zaufanie osobiste im nie wystarcza, żądają wyraźnych zobowiązań się, choćby warunkowych, ale publicznych i jasnych. Gotowi są uwzględnić obecne przeszkody, gotowi oczekiwać pomyślniejszych okoliczności, ale pragną wiedzieć, do jakiej mety ostatecznie ich prowadzą, gdyż bez jawnego i sympatycznego sztandaru pod żadnym wodzem uszykować się nie zechcą”. W. książę przyznał, iż sam już dostrzegł tę wielką różnicę między dwoma pokrewnymi narodowościami, że gdy na Rosyanina, oddanego rządowi, władza liczyć może w każdym razie, chociażby co chwila zmieniała program; Polak przeciwnie, gotów dać się posiekać w obronie idei, którą podziela, przy zmianie jednak chorągwi stanie przeciw tej samej władzy, którą przed chwilą popierał. „Jeśli Wasza Cesarska Wysokość”, ciągnął dalej arcybiskup, „raczy mię upoważnić do zbadania przynajmniej usposobienia umysłów w tej ważnej kwestyi, to prosiłbym o sformułowanie swoich warunków zgody, które bym mógł przedstawić interesowanej stronie”. Na to odrzekł W. książę: „Ja żadnych warunków ani stawiać, ani przyjmować nie mogę, gdyż nie mam na to upoważnienia od Monarchy. To, co rząd najwyższy uznał za właściwe udzielić, jużście otrzymali, kto zaś zamiast korzystać z nadań, lekceważy je i nowych się domaga, taki nie zasługuje na to, by z nim w targi się wdawać. Od sejmikującej szlachty wymagam tylko opamiętania. Niech szczerze uderzy się w piersi i powie: *mea culpa!* a przeszłość puszczyć w niepamięć i wspólnie dla dobra kraju pracować będziemy”. Odpowiedź ta udaremniła wszelkie pośrednictwo, o którym też mowy odtąd nie było. W gronie obradujących nad adresem, ktoś się wyraźnie znajdował z nieczystą intencją, wszystko bowiem, co się mówiło na zebraniach, było wnet wiadome w Łazienkach. Skoro adres ostatecznie ułożony został, uczestniczący w naradach chcieli go podpisać i upoważnić swego przywódcę do wręczenia go W. księciu. P. Andrzej jednak prosił współobywateli, aby wstrzymali się z podpisem, pozostawiając jego roztropności wybór czasu odpowiedniego do jego podania. Dowiedziawszy się o tem W. książę wezwał do siebie Zamoyskiego i wręcz zapytał o adres. „Gdyby adres miał być podany”, odrzekł zagadnięty, „nie czekałbym z jego wręczeniem wezwania Waszej Cesarskiej Wysokości”. — „Wiem jednak, że jest ułożony, o treści zaś jego i Cesarz jest już zawiadomiony. To też będziesz pan musiał zdać sprawę z tej czynności przed Monarchą w Petersburgu. Pociąg już jest przygotowany, za dwie godziny trzeba wyruszyć w drogę”. Dowiedziawszy się o tem rozporządzeniu arcy-

biskup pospieszył znowu do Łazienek aby przedstawić W. księciu prawdziwy stan rzeczy. Pani Andrzejowa była wówczas śmiertelnie chora i lada chwila oczekiwano jej zgonu, wywiezienie przeto jej męża w tak krytycznej dobie zrobiłoby wrażenie politycznego okrucieństwa, którego ohyda spadłaby głównie na margrabiego, z powodu znanego antagonizmu obu tych mężów stanu. Niewątpliwą jest nadto rzeczą, że Zamoyski jest stanowczo przeciwny zbrojnemu ruchowi, a że posiada całkowite zaufanie swego stronnictwa, można więc liczyć na to, że pohamuje zapal najgorętszych z obozu umiarkowanych. Pozbawienie stronnictwa, podnieconego wypadkami, ulubionego wodza, i to w sposób tak gwałtowny, łatwo pchnąć je może w ramiona spiskowców, co utrudniałoby tak uspokojenie kraju, jak i dalszy rozwój nadanych instytucji. Ks. Feliński doradzał przeto powstrzymać się z wysłaniem Zamoyskiego, a jeśli to już za późno, postarać się o najrychlejszy jego powrót. Uwagi te zrobiły wyraźnie wrażenie na W. księciu, wierny jednak rosyjskiemu pojęciu lojalności względem swego Monarchy, odrzekł z wyraźnym odcieniem smutku. „Nie do mnie należy roztrząsać pobudki postępowania Cesarza. Jego jest woła, aby Zamoyski wysłany został niezwłocznie do Petersburga, moją jest rzeczą rozkaz ten spełnić”. — „Ależ brat Monarchy nie może się stawiać dobrowolnie na stanowisku ślepego wykonawcy. Zaufanie wyjątkowe z węzłów krwi płynące, nie tylko daje Waszej Cesarskiej Wysokości prawo, ale wkłada nań nawet obowiązek oświecania panującego i ostrzegania go poufnie o niewłaściwości rozporządzeń dawnych, niekiedy bez uwzględnienia czasowych i miejscowych okoliczności. A i w stosunku do Polaków, jeśli W. C. W. pragnie zyskać ich miłość i zaufanie, to powinien stawać wobec tronu nie jako wykonawca cudzych planów, lecz jako orędownik powierzonego pieczy jego narodu, uwzględniając słuszne jego żądania”. Na to namiestnik dał niezmiernie znaczącą odpowiedź, która odkryła całą grozę własnego jego położenia. „Gdybym ja”, odrzekł, „był synem a nie bratem Cesarza, wówczas zachowanie się takie byłoby możebnem, ale ja mam tylu wrogów osobistych u dworu, że każdy mój czyn, każde nawet słowo, starają się przedstawić Monarsze jako posięganie na przywileje korony, we własnych ambitnych zamiarach”. W Petersburgu podsunęto widać Cesarzowi podejrzenie, że myśl adresu żądającego przyłączenia Litwy i Rusi do Kongresówki była natchniona Zamoyskiemu przez W. księcia, pragnącego rozszerzyć swą władzę; postanowiono przeto sprowadzić Zamoyskiego nad Nową, by wyrozumieć istotny stan rzeczy. Wszelkie trudności robione ze strony namiestnika w wysłaniu p. Andrzeja wzmocniłyby jeszcze to podejrzenie. To też W. książę spełnił otrzymane zlecenie, chociaż uznawał je za całkiem niewłaściwe. Tymczasem wypadki rozwijały się z coraz to większą szybkością: z jednej strony interwencja obcych gabinetów, z drugiej zaś wy-

buch zbrojnego powstania uczyniły z podziemnych knoń sprawę międzynarodową. Pierwiastkowo trudno było osądzić, jaką drogę postępowania wytknie sobie rząd petersburski, z chwilą jednak zamianowania Murawiewa, wrojenym gubernatorem Litwy, dla osób znających stosunki miejscowe, jawnem się już stało, iż rozpoczęła się epoka bezwzględnej represyi. Obecność W. księcia w Warszawie i obsadzenie wszystkich urzędów przez Polaków utrudniało wprawdzie wprowadzenie wojskowego terroryzmu nad Wisłą, ciągle jednak przychodziły w tym kierunku z nad Newy rozporządzenia. Na-przeciw głoszonej przez W. księcia zasadzie: „Ukarać winnych, lecz ocalić nadane instytucye”, stawiano coraz murawiewską teorię solidarności niewinnych z winnymi, wskutek której burzono wsie i miasta, z powodu kryjących się tam powstańców, całe zaś gminy przesiedlano na Sybir. Na początku lutego wieść się rozeszła po Warszawie, że włościanie otrzymali rozkaz od rządu dopomagania wojsku w uśmierzeniu powstania. Członkowie niezależni Rady stanu zebrali się na naradę i postanowili podać się do dymisyi, aby zerwać wszelką solidarność z rządem, gotującym powtórzenie scen galicyjskich; o jakowem postanowieniu zawiadomili też arcybiskupa. Spotkawszy wieczorem margrabiego w Zamku, arcybiskup prosił go o objaśnienie w kwestyi udziału włościan w tłumieniu powstania, co do krwawych nadużyć doprowadzić mogło. Margrabia odrzekł krótko, że nie ma żadnych objaśnień do udzielenia, sądzi zaś, że sama jego obecność w rządzie jest dostateczną rękojmią, że sceny galicyjskie nie powtórzą się w Kongresówce. Po tej wyniosłej odpowiedzi, ks. Feliński zwrócił się z temże zapytaniem do W. księcia, który bardzo uprzejmie objaśnił go, że rozporządzenie, które tyle narobiło hałasu, miało owszem na celu powstrzymanie włościan od samowolnego ścigania powstańców, o co kuszono się już w niektórych okolicach. Ze względu jedynie na Petersburg, rząd nadał temu zabronieniu mniej raziącą formę, stanowiąc, że włościanie tylko na wezwanie władzy i przy udziale wojska, powstańców ścigać mogą. Nie poprzestając jednak na tem ustnem objaśnieniu, nazajutrz W. książę przysłał arcybiskupowi przez osobistego sekretarza swego, Nabokowa, sprawozdania gubernatorów i inne akta, dowodzące konieczności wdania się w tę sprawę rządu. Ogólne jednak wrażenie, że terroryzm murawiewski wkracza silną stopą do Królestwa, pomimo osobistego doń wstrętu obecnego rządu, umocniło się jeszcze po owej konferencji z Nabokowem, tak że arcybiskup uznał za właściwe usunąć się z areny politycznej wprzód nim zajdą wypadki, za które nie życzył sobie być odpowiedzialnym. Wskutek tego postanowienia podał prośbę o dymisyę z Rady stanu, którą przez nieuwagę zaadresował do Rady administracyjnej. Zaledwie prośba ta wręczoną została sekretarzowi stanu Enochowi, wnet W. książę wezwał do siebie arcybiskupa i tu odbyła się scena

tak szczerą i wzruszającą ze strony W. księcia, iż byłaby w stanie usunąć wszelkie wątpliwości co do najprzychylniejszych dla nas jego usposobień, gdyby takowe miały jeszcze miejsce w przekonaniu pasterza. Bez rządowej grozy, bez skarg i zażaleń, bez wystudowanych nawet argumentów brat Cesarza i przedstawiciel jego władzy, stanął wobec ubogiego sługi Chrystusowego z taką prostotą i szczerością, jakby towarzysz broni, gotujący się do wspólnej walki, która stanowić ma o losach najdroższej dla obu sprawy. „Wiem, że kraj kochasz i pragniesz jego szczęścia, wierz jednak, że sprawa, którą mi zwierzo- no, niemniej mi jest drogą, chociaż z innych powodów. Ruina waszych nadziei zagrzebie też w gruzach i moje upragnione ideały i to nie osobiste tylko, ale mogące mieć nieobrachowane następstwa dla wielu pokoleń. Byłem i jestem gotów do najcięższych ofiar, byle stanąć u celu. Jakim jednak sposobem chce- cie, bym spełnił moje posłannictwo, kiedy mię odstąpią ci wszyscy, dla których w pierwszym rzędzie prace moje poświęcam. Czyż nie widzicie, jak szalona reakcja wre już koło Cesarza? Czyż cofnięcie udzielonych wam instytucji nie będzie koniecznem następstwem odrzucenia ich lekkomyślnego z waszej stro- ny? Dlaczego podajesz się do dymisji w chwili tak krytycznej, kiedy rewolu- cja czyni nadludzkie wysiłki tak w kraju jak i zagranicą, by rząd zdyskredyto- wać i pozyskać wszystkie umysły? Wiem, że do obozu nie pójdziesz i nikogo do lasu nie wyprawisz, a jednak postępowaniem swem najskuteczniej powsta- nie wspierasz”. Wzruszony temi słowy arcybiskup odrzekł: „Gdyby chodziło o dowód osobistego zaufania lub poświęcenia, ufam, że Wasza C. W. nie mia- łaby powodu uskarżać się na mnie. W wyjątkowym jednak obecnem położe- niu obowiązki pasterza nie zawsze dadzą się pogodzić z wymaganiami naj- zdrowszej nawet polityki. Przy najgorętszej miłości kraju mąż stanu może być nieraz zmuszonym do krwawej nawet represji, skoro dobro społeczeństwa tego wymaga; pasterzowi zaś udział w krwi rozlewie nigdy godziwym być nie może. Patrząc na kierunek, jaki sprawy publiczne przyjmują, trudno nie wi- dzieć, że stosunek między władzą a narodem zaostrza się coraz bardziej, tak, że przyjść musi do represji obejmującej kraj cały, bez różnicy winnych i nie- winnych. Nawet powaga W. C. W. nie będzie może w stanie przeszkodzić temu nieszczęściu. Obowiązkiem pasterza jest podzielać los powierzzonego mu ludu, chociażby ten zawinił, aby go pocieszać i z upadku dźwigać. W ża- dnym zaś razie nie wolno pasterzowi wiązać się solidarnie z władzą, która w konieczności politycznej usprawiedliwienie surowości swej znajdzie. Pozo- stając w Radzie stanu, wówczas zwłaszcza kiedy niezależni jej członkowie po- dali się do dymisji, byłoby przyjęciem na siebie odpowiedzialności za możeb- ne postępowanie rządu. Mogę mniej uczynić, jak usunąć się całkiem z areny życia politycznego, a zamknąć się wyłącznie w sferze obowiązków paster-

skich?” — „Ze względu na stosunki z rządem podobne wyjście jest niemożliwym. Węgleński, Kurc, mogą tym sposobem zakończyć swój stosunek ze mną, skoro bowiem wrócą do życia prywatnego, nie będę miał potrzeby spotykać się z nimi; ale z arcybiskupem stosunek jest konieczny. Mogę ja podać życzliwą rękę naczelnikowi duchowieństwa, zerwawszy stosunki ze stałym członkiem Rady stanu? Dymisy, o którą prosisz, nie może nawet być dana, gdyż zasiadasz w Radzie stanu nie jako Feliński, ale jako arcybiskup warszawski, do którego godności urząd ten jest nieoddzielnie przywiązany. O cóż w gruncie chodzi? Nie chcesz być odpowiedzialnym za postanowienia Rady stanu? To nie uczęszczaj na jej posiedzenia, ale nie dostarczaj broni przeciwnikom rządu manifestacyjnym usunięciem się od niego”. — „Nie chodzi mi o manifestację, ale o spełnienie obywatelskiego obowiązku. Uczyniłem co mi sumienie nakazywało, skoro jednak otrzymam odpowiedź, że dymisy nie może mi być dana, ponownie nastawać o nią nie będę”. W. książę uściśkał serdecznie arcybiskupa i przy pożegnaniu dał mu prawo udawać się do niego w każdej chwili, bez zwykłych formalności urzędowych. Nazajutrz z rana zjawił się w pałacu na Miodowej sekretarz Stanu Enoch i zwracając arcybiskupowi podaną przezeń prośbę o dymisyę, doręczył mu własnoręczny list W. księcia następującej treści: „Comme nous en sommes convenu dans notre entrevue d’aujourd’hui, je m’empresse de Vous informer que je ne donnerai pas suite à Votre écrit adressé au Conseil d’Administration, que je ne me regarde pas en droit d’accepter, d’après les raisons que je Vous ai développées verbalement et que par conséquent je le considère comme non avenu. Je me recommande tout particulièrement à Vos prières. Votre affectionné. Constantin. 28 Fevrier (12 Mars) 1863”. Ogólnikowy i niejasny ton tego listu, zwłaszcza zaś pominięcie głównego argumentu odmowy, tej mianowicie okoliczności, że dymisy nie może być dana dygnitarzowi Kościoła, do godności, którego urząd członka Rady stanu nieoddzielnie jest przywiązany, nie pomału zmartwiły arcybiskupa; troska zaś ta powiększyła się jeszcze nadchodzącymi z Francji wiadomościami. Tegoż dnia, kiedy ks. Feliński podał się do dymisyi, książę Napoleon wspominał o tem w mowie swej w senacie, nazajutrz zaś nadesłano z Warszawy do Paryża oficjalną depeszę, że arcybiskup cofnął swą dymisyę. Ta niestałość niczem nie usprawiedliwiona ani objaśniona nawet rzucała w kraju bardzo niekorzystne światło na postępowanie pierwszego dygnitarza polskiego kościoła, to też obleczonej tą godnością prałat uznał za swój obowiązek jasno określić stanowisko swoje tak w stosunku do rządu, jak i do sprawy narodowej. Nie schodząc ze stanowiska, jakie zajął od początku względem zbrojnego ruchu, napiętnowanego trucizną i sztyletem, pragnął on wyrazić miłość swą dla kraju i pragnienie uzyskania dlań pomyślniejszej doli na drogach szanujących Boskie przy-

kazania. Odwołanie się do wspaniałomyślności Monarchy, a pośrednio i do Europy, która zdawała się na seryo sprawą naszą zajmować, uznał arcybiskup za najwłaściwszą formę wyrażenia politycznych przekonań swoich. W tej myśli, nie poradziwszy się nawet nikogo, zredagował następujący list do Cesarza: „Sire! Ce fut toujours la mission et le privilège de l'Eglise de faire entendre sa voix aux puissances de ce monde, à l'époque des grands malheurs et des calamités publiques. C'est au nom de ce privilège et de ce devoir qu'en ma qualité de premier Pasteur du royaume de Pologne, j'ose m'adresser à Votre Majesté pour lui exposer les besoins pressants de mon troupeau. Le sang coule à grands flots, et la repression, au lieu d'intimider les esprits, ne fait qu'augmenter leur exaspération. Je supplie Votre Majesté, au nom de la charité chrétienne et au nom des intérêts des deux pays, de mettre fin à cette guerre d'extermination. Les institutions octroyées par Votre Majesté sont insuffisantes pour assurer le bonheur du pays. La Pologne ne se contentera pas d'une autonomie administrative; elle a besoin d'une vie politique. Sire, prenez d'une main forte l'initiative dans la question polonaise; faites de la Pologne une nation indépendante, unie à la Russie seulement par le lien de Votre auguste dynastie; c'est la seule solution qui soit capable d'arrêter l'effusion du sang et de poser une base solide à la pacification définitive. Le temps presse. Chaque jour perdu creuse d'avantage l'abîme entre le trône et la nation. N'attendez pas, Sire, l'issue définitive du combat; il y a plus de vraie grandeur dans la clémence qui recule devant le carnage, que dans une victoire qui de peuple un royaume! Une grande parole, digne de la magnanimité d'un grand souverain, suffit pour nous sauver. Nous l'attendons de la bouche de Votre Majesté. J'ose espérer que le Monarque qui a délivré du servage, malgré tant d'obstacle, vingt millions de ses sujets pour en faire des citoyens libres, ne reculera pas devant la tâche également glorieuse de faire le bonheur d'une nation si cruellement éprouvée. Sire, c'est la Providence qui vous a confié ce peuple, c'est elle qui Vous soutiendra, c'est encore elle qui Vous réserve une couronne de gloire éternelle, si Vous arrêtez enfin pour toujours le flot de sang et des larmes, qui coule depuis si longtemps en Pologne. Pardonnez, Sire, la franchise de mon langage; mais le moment est trop solennel. Pardonnez à un Pasteur, qui témoin de malheurs immenses, ose intercéder pour son troupeau”. List nosi datę 15 marca 1863 r. Pisząc go, arcybiskup nie łudził się bynajmniej nadzieją skłonienia serca Cesarza do spełnienia przedmiotu prośby, ale chciał z jednej strony zaznaczyć jasno stanowisko swoje w sprawie narodowej, z drugiej zaś przekonać zajmujące się wówczas bardzo żywo kwestią polską gabinety, że najumiarkowańsi nawet patryoci domagają się wskrzeszenia Polski jako państwa. List ten ks. Feliński wręczył osobiście W. księciu dla przesłania Cesarzowi, lecz dopiero

po tygodniu został wezwany do Zamku po odpowiedź. Z obu stron bolesne to było spotkanie. Ze strony W. księcia z powodu doznanego zawodu, ze strony pasterza z powodu cierpienia, jakie zmuszony był zadać tak szlachetnemu mężowi, do którego osobiście całym sercem był pociągany. Ton rozmowy był suchy i zimny i takim przetrwał już aż do końca pobytu arcybiskupa w Warszawie. Zwracając mu list rzekł tylko W. książę: „Pojmujesz pasterzu, iż tego listu posłać Cesarzowi ja nie mogę”. — „A więc pozostaje mi tylko”, brzmiała odpowiedź, „ogłosić go w gazetach, albo ponowić prośbę o dymisyę” — „O publikowaniu tego pisma mowy być nie może”. Pozostawało więc tylko ponowić podanie o dymisyę, co też niezwłocznie nastąpiło, i otrzymało skutek.

Tymczasem upadek autonomicznego rządu w Warszawie, coraz jawniej się uwydatniał. Skoro zrozumiano nad Newą, że interwencja zagranicy na słowach się skończy, postanowiono w zaostreniu represyi na nic się nie oglądać. Przysłanie do Warszawy ministra dworu Adlerberga, zrobiło wrażenie kontrolowania rządów W. księcia, a chociaż w Zamku utrzymywano, iż przywiózł on tylko ustne polecenia Monarchy, których obawiano się powierzyć kuryerowi, widać jednak było w sferach rządowych coraz to większe zaniepokojenie; przybycie zaś Berga na pomocnika W. księcia, w pewność niemal obawy te zamieniło. Odwołanie W. księcia stawało się już tylko kwestyą czasu. Nie tracono jednak nadziei w Zamku, że rychłe i energiczne uśmierzenie powstania zdoła jeszcze uratować sytuację i to dawało rządowi odwagę z całą surowością występować przeciwko ruchowi. Zbliżały się tymczasem procesy św. Marka, że zaś z powodu stanu oblężenia wszelkie zgromadzenia na ulicy były zabronione, główny przeto dyrektor wyznań i oświaty, Krzywicki, przybył do arcybiskupa, nalegając nań aby dał rozporządzenie do duchowieństwa, wzbraniające procesyi poza obrębem kościoła. Arcybiskup odrzekł, że nie zaprzecza rządowi prawa zabrania dla słusznych przyczyn publicznych procesyi, rząd jednak winien to czynić od siebie, za pośrednictwem własnych organów administracyjnych, nie wymagając od władzy duchownej, aby czyniła to jakby z własnej inicjatywy. Krzywicki odniósł tę odpowiedź do Zamku, skąd nadeszło niebawem wezwanie arcybiskupa do W. księcia. Za przybyciem do Zamku ks. Feliński zastał już na posiedzeniu u W. księcia generała Berga i Krzywickiego. Na zapytanie namiestnika, czemu odmawia żądanego rozporządzenia o procesyach? zagadnięty odpowiedział, że nie jest rzeczą pasterza zabrania nakazanych przez Kościół obrzędów. Duchowieństwo może się poddać rozkazowi władzy świeckiej, ale ogłoszenie i wykonanie tego rozkazu jest rzeczą policyi”. — „A jeśli księża nie posłuchają i wyjdą z procesyą na ulicę, co policja ma wówczas uczynić?” — „Nie sądzę, aby duchowieństwo do takiego kroku się posunęło, gdyby jednak znaleźli się tacy, to i mego też nie

uwzględniliby rozporządzenia. Nie moją jest rzeczą uczyć stróżów porządku, jak sobie mają radzić. Sądzę jednak, że dość umieścić dwóch żandarmów u wejścia każdej świątyni, aby nie dopuścić wyjścia procesyi na ulicę”. — „Czemu jednak w roku zeszłym procesyi wcale nie było?” — „Bo jenerał Lüders wcale ode mnie wzbraniającego rozporządzenia nie żądał, tylko ogłosił zakaz w gazetach, dodając, iż kartaczami będzie strzelać, jeżeli jaka procesya ukaże się na ulicy”. — „A więc chcesz”, zawołał zrywając się z krzesła W. książę, abym i ja strzelał kartaczami do ludu? A więc dobrze; mam dwanaście dział na dziedzińcu zamkowym, każę je wyprowadzić na ulicę i będę kartaczował tę bezbronną trzodę, którą własny jej pasterz na rzeź poprowadzi”. — „Jenerał Lüders mógł to uczynić, odrzekł ks. Feliński, gdyż on odpowiadał za swe postępowanie tylko przed Cesarzem, ale Wasza C. W. tego nie uczyni, bo stoi wobec Europy, wobec historyi i wobec potomności całej”. Na to namiestnik nic już nie odpowiedział i bez pożegnania wyszedł z gabinetu. Było to ostatnie pożegnanie tych dwóch ludzi, co rozstawali się jak wrogi, chociaż przy innych okolicznościach w najściślejszem pozostawaliby porozumieniu. *Sic fata tulere!* Ponieważ ze strony rządu nie nastąpiło żadne zabronienie, arcybiskup przeto w dzień św. Marka sam poprowadził procesyę z katedralnego kościoła, a chociaż do czterdziestu tysięcy wiernych wyległo na ulice, porządek jednak był tak wzorowy, że pieśń nawet żadna nie została zaintonowana, prócz tych, które w rytuale są przepisane. Zaledwie arcybiskup wrócił z nabożeństwa zjawił się u niego Nabokow z polecenia W. księcia, aby mu podziękować za przykładowy ład, z jakim się wszystko odbyło. „W gruncie, dodał sekretarz, W. książę nie był przeciwny procesyi; skoro zaś dowiedział się, że sam arcypasterz przewodniczyć będzie nabożeństwu, całkiem już był spokojny o porządek”. Powiedzenie to naprowadzało na myśl, że cała owa gwałtowna scena w Zamku nie Felińskiego ale Berga miała na względzie. Chodziło W. księciu o przekonanie swego cenzora, że z całą energią i surowością postępuje.

Podczas gdy się to działo w Warszawie, list arcybiskupa do Cesarza, dwóm tylko osobom poufnie zakomunikowany, został ogłoszony w „Monitorze” paryskim, i to w wilię wysłania ostatniej noty francuskiej do Petersburga. Jednocześnie, z powodu powieszenia ks. kapucyna Konarskiego, arcybiskup silnie zaprotestował w piśmie oficjalnem przeciw takiemu sponiewieraniu charakteru kapłańskiego, że zaś reakcja rządu centralnego postanowiła na nic się już nie oglądać, przysłało więc z Petersburga rozkaz arcybiskupowi stawienia się niezwłocznego przed obliczem Monarchy dla zdania sprawy ze swego postępowania. Wyjazdowi temu nadano formę dobrowolnej podróży; pasterz wyruszył ze swej rezydencji na kolej żelazną bez żadnego konwoju, w towarzystwie jedynie swego kapelana i służącego, w pociągu dano mu wagon salonowy

i dopiero w ciągu jazdy z jednego z gabinetów wyszedł adyutant W. księcia Kirejew, i oznajmił, iż ma polecenie towarzyszenia mu do stolicy, dla ułatwienia w drodze wszelkich możebnych trudności. W Gatchynie oznajmił Kirejew arcybiskupowi, że Cesarza nie ma w Petersburgu, lecz że jest oczekiwany w tej rezydencji letniej, tu przeto posłuchanie mieć będzie u Monarchy. Na stacyi oczekiwały już dworskie powozy, a Fligeladyutant książę Meszczerski zaprosił arcybiskupa, aby się z nim udał do pałacu, gdzie przygotowane już dlań było mieszkanie. Nazajutrz przybył z Petersburga minister dla Królestwa Polskiego, Łęski, oznajmując, że traktowanie interesów Cesarz powierzył pomocnikowi jego Płatonowi, on zaś przybywa jedynie w charakterze wiernej owieczki, pragnącej hołd złożyć swemu pasterzowi i prosić go o błogosławieństwo, przyczem ukląkł i skłonił głowę pod znak krzyża świętego. W godzinę później zjawił się rzeczywiście Płatonow i oświadczył arcybiskupowi, że zapewne Cesarz zechce się z nim widzieć osobiście, wprzód jednak pragnie mieć wyraźną jego odpowiedź na kilka pytań, odnoszących się do pasterskiej jego działalności, z których pierwsze jest: dlaczego korespondował z Ojcem świętym drogą prywatną, kiedy stosunek taki wyraźnie wzbroniony jest prawem? Na to odrzekł arcybiskup, że katolicyzm można przyjąć albo odrzucić, ale zmienić go niepodobna, gdyż nauka Kościoła miejsca dla dowolności nie zostawia. Otóż jednym z dogmatów katolickiego kościoła jest uznanie władzy Papieża i nieodwołalność jego postanowień, nie tylko pod względem wiary i obyczajów, ale też i pod względem dyscypliny kościelnej. Że zaś wiele kwestyi Ojciec święty zastrzegł do własnej decyzji, biskupi przeto muszą w tych kwestiach odnosić się do Stolicy Apostolskiej, nie mając prawa sami ich rozstrzygać”. — „Ależ, odrzekł minister, macie przecie otwartą drogę urzędową, dla załatwiania tego rodzaju stosunków ze Stolicą Apostolską”. — „Chętnie na tej drodze poprzestaniemy, jeśli rząd się zgodzi na przysyłanie pism naszych Papieżowi w tym stanie, w jakim je od nas odbiera. Ale tak nie jest. Owszem: ilekroć biskup umieści w swem sprawozdaniu coś niezgodnego z życzeniem rządu, minister wnet zwraca biskupowi list jego, z poleceniem dokonania w nim zmian wskazanych. Jeśli chodzi np. o nominacyą nowego pasterza i Papież poleci któremu z biskupów zrobienie *scrutinium*, to pomimo, że *curriculum vitae* przez świadków zaprzysiężonych bywa napisane, rząd nie przepuści w niem nic takiego, co by kandydatowi jego w Rzymie zaszkodzić mogło, lecz domagać się będzie odpowiedniej zmiany. Przyzna zaś sam p. minister, czy godzi się biskupowi świadomie w błąd wprowadzać głowę Kościoła? Rząd ma prawo dodać do relacji biskupa swe objaśnienia, lub zaprzeczenia, ale tekst listu winien pozostać nienaruszony, inaczej zaś sam rząd zmusza katolickich pasterzy do szukania drogi tajemnej, gdyż na drodze urzędowej

z obowiązku swego wywiązać się nie są w stanie”. — „Przejdźmy do drugiego pytania”, ciągnął dalej minister. „Co skłoniło pasterza do zerwania solidarności z rządem, co dawało poparcie stronnictwu rewolucyjnemu i bałamuciło zagranicę?” — „Sumienie daje mi świadectwo, że do końca pozostałem wiernym programowi, jaki usłyszałem przy nominacji z własnych ust Najjaśniejszego Pana. Ani na chwilę nie paktyzowałem z rewolucją, starając się o rozwój religii i narodowości na drogach jawnych i legalnych. Dopóki rząd trzymał się tego programu, sam mi nieraz dawał świadectwo, że go szczerze wspierałem; nienawiść zaś, jaką ku mnie pałała prasa podziemna, wymowniej jeszcze dowodzi, że daleką ode mnie była dwulicowość. Lecz kiedy władze rządowe same zmieniły system, kiedy włościan powołały do represji powstania, kiedy niewinni padali ofiarą pogromu na równi z winnymi, kiedy nareszcie i księży wieszać poczęto na oczach zgorszonego ludu, mogłem, że rząd wspierać w tej represji nie tylko krwawej, ale często okrutnej? Musiałbym chyba obciąć poły czerwonej sutanny mojej i stanąć wobec powierzonej mi trzody już nie jako pasterz, lecz jako oprawca. Nie ja przeto opuściłem sztandar ręką samego Monarchy nad Polską wzniesiony, ale sam rząd stracił tę świętą chorągiew w kałużę krwi i błota”. — „Jeśli istotnie pasterz szedł zawsze jawną i legalną drogą, to jakże objaśnić tę okoliczność, że wieść o podaniu się jego do dymisji w kilka godzin doszła do Paryża, list zaś pisany do Cesarza znalazł się w „Monitorze”?” — „Kto był pośrednikiem i jaką drogą wiadomości te trafiły nad Sekwanę, objaśnić nie jestem w stanie; mogę jednak zaręczyć słowem kapłańskim, że ani z francuskim, ani z żadnym zagranicznym rządem konszachtów nie miałem”. — „Pozostaje mi do zadania jeszcze jedno i już ostatnie pytanie”, kończył minister, „jaki mianowicie program postępowania zakresiłby sobie arcypasterz w razie gdyby mu pozwolono wrócić do Warszawy?” — „Namyślać się nad tem nie miałbym potrzeby, sama bowiem natura rzeczy program ten wskazuje. Póki byłem członkiem Rady stanu nie mogłem usunąć się całkiem z areny politycznej, ale otrzymawszy dymisję, najłatwiej mi będzie zamknąć się w sferze interesów kościelnych, ku rozwojowi religii całą mą kierując działalność”. Po tej indagacji Płatonow odjechał, żadnych nie uczyniwszy uwag co do treści rozmowy. W parę dni powrócił znowu, oświadczając, iż jak mógł najwierniej powtórzył odpowiedzi usłyszane, Cesarz jednak pragnie mieć je na papierze, ręką samego arcybiskupa napisane. Co do języka i formy tego podania, Monarcha pozostawia to całkiem uznaniu piszącego. Arcybiskup obrał język francuski i formę listu, i wnet zabrał się do pracy, która kilka dni potrwała. List obejmował wyżej przytoczone objaśnienia i poprzedzony był dość obszernym wstępem, który, jak się zdaje, więcej wpłynął na ostateczną decyzję rządu, niż same odpowiedzi zapytania.

Arcybiskup rozpoczyna od podziękowania Monarsze za pozwolenie przedstawienia mu położenia kraju, ze stanowiska z jakiego niezwykle zapatrywać się oficjalne organa rządowe, które na każdą sprawę ze stanowiska jedynie państwowego interesu patrzą. Nie uwzględniając ani przyrodzonego, ani Bożego prawa, potępiają one w nas to nawet, co od ludzkiej woli nie zależy. Zbrodnię nam np. czynią z tego, że kochamy Polskę a nie Rosyę; zapominając o tem, że miłość Ojczyzny, jest tak samo uczuciem wrodzonym jak miłość matki; jako wyrodne chyba dziecko nie kocha swej matki, tak wyrodny tylko obywatel nie miłuje swej Ojczyzny. Nie może też być zbrodnią cześć i uwielbienie dla cnót i zasług przodków, ani też pragnienie, by dawna chwała i potęga narodu powróciła; gdyż i to uczucie jest także mimowolne, z mlekiem matki, można powiedzieć, wysane. Lecz to, co największą burzę przeciw nam wywołuje, jest chęć odzyskania orężem utraconej niepodległości, za co wyrok zagłady po tylekroć już został na nas ferowany. A jednak w Moskwie stoi pomnik wzniesiony na cześć Minina i Pożarskiego przez tych samych patriotów co nas za bunt kamieniają. Co do mnie, Najjaśniejszy Panie, mam mocną wiarę w rządy Opatrzności, która karze wprowadzić za winy państwa i narody, ale też i dźwiga je z upadku skoro się upamiętają. Ufam też niezachwianie, że jeżeli godzina wyzwolenia Polski już wybiła, to opór Waszej Cesarskiej Mości przeszkodzić temu nie zdoła, jak nie przeszkodził opór Faraona wyzwoleniu Żydów z niewoli egipskiej, gdyż plagi są zawsze w ręku Boga. Po wręczeniu tego listu Platonowi upłynęło znowu dni kilka, aż wreszcie zjawił się p. minister z ostateczną decyzją: „Cesarz niekontent był z postępowania Waszej Arcybiskupiej Mości, ale więcej jeszcze niekontent jest z podanego mu objaśnienia! Obecnie mowy już być nie może o powrocie do Warszawy, proszę się wybierać w podróż do Jarosławia”. Co też niezwłocznie nastąpiło pod dozorem księcia Meszczerskiego.

Wiadomości dopełniające.

¹/₁ 95 Dźwiniaczka.

J. M. J.

Korespondencya biskupów polskich ze Stolicą Apostolską trwała ciągle drogą prywatną, gdyż inaczej Ojciec św. nie byłby objaśnionym o prawdziwym stanie kościoła katolickiego w rosyjskim zaborze. Arcybiskupi mohylewscy: ks. Hołowiński i Żyliński, komunikowali się za pośrednictwem ambasady austriackiej, do której kurya zwracała się zawsze po informacje. Arcybiskupi warszawscy komunikowali się z Rzymem za pośrednictwem księżny Odescal-

chi i krewnej jej panny Cecylii Potockiej, siostry pani Andrzejewej Zamoy-skiej. Tą drogą ks. Feliński otrzymał trzy listy od Ojca św. i jeden od kardynała Antonellego. Z powodu pierwszego z tych listów ks. Feliński miał oznajmio-ne przez generała Lüdersa niezadowolenie Cesarza (o którym wzmianka jest w relacji udzielonej) a i w Gatczynie zarzut korespondencji tajemnej ze Sto-licą Apostolską na pierwszym postawiono miejscu. Pertraktacye o nuncyaturę toczyły się w Rzymie nie dla Warszawy, lecz dla Petersburga i rozbiły się z tego powodu, że rząd rosyjski nie chciał pozwolić na bezpośrednie stosun-ki nuncyusza z duchowieństwem katolickiem. Pius IX bardzo nieufał Rosyi i w postępowaniu swoim nic nie poświęcał w nadziei pozyskania tego rządu. Myśl nuncyatury nie wyszła od niego, podał ją pierwszy ks. Konstanty Łu-bieński, w czasie pobytu swego w Rzymie w r. 1861. Przedstawiając jednej i drugiej stronie ogromne korzyści z nuncyatury w Petersburgu, udało mu się doprowadzić do pertraktacyi, które rozbiły się o podejrzliwość gabinetu petersburskiego i brak zaufania do Stolicy Apostolskiej. Papież zaś nie mógł przyjąć bez ubliżenia swej godności warunku, by nuncyusz nie miał żadnych stosunków z duchowieństwem katolickiem i wołał zerwać. Żadne jednak po-stronne wypadki, ani też czyje bądź intrygi na zerwanie układów nie wpłynęły.

No 2 (do str. 1446).

Okólnik Komitetu centralnego.

(Kopia z druku współczesnego).

Polacy! Dnia 12 sierpnia obchodzimy dobrowolne połączenie Litwy i Rusi z Polską, będące najzaszczytniejszym ustępem w naszych dziejach; obchodzimy pamiątkę sejmu lubelskiego, na którym posłowie tych trzech prowincyi uchwalili jedność narodową. Złączeni w jeden naród, przebyliśmy wspólne dni szczęścia, a dzisiaj w niewoli jedno nas jarzmo obciąża, jednakowo serca ku wolności i nie-podległości biją; Bóg też da, że jedno błogosławieństwo wolności rozszerzy się po wszystkich ziemiach polskich! Szukajmy w tej uroczystości nowego bodźca do wspólnych, a wytrwałych usiłowań zwyciężenia tyranów, co naszą ojczyznę jak szatą Chrystusa podzielili się, a panują w niej, jak kaci nad swemi ofiarami.

Narodowe święto w dniu 12 sierpnia w całej Polsce i w r. b. będzie obcho-dzone przez uroczyste nabożeństwa we wszystkich kościołach, zdjęcie żałoby i składki na cele narodowe. Jasne ubiory w tym jednym tylko dniu okazać się mają; nazajutrz gruba żałoba jest zalecona. Iluminacyi nie będzie, bo jest to sposób, który świeżo służalcy moskiewscy dla okazania carewiczowi czci

i podłości swojej, używali. Niegodną więc byłoby rzeczą używać jej, jako oznaki święta braterstwa ludów.

Niech żyje Jedność Narodowa!

Centralny Narodowy Komitet.

No 3 (do str. 1745).

Odezwa Komitetu centralnego z sierpnia 1862 r.

(Kopia z druku współczesnego).

Polacy!

Nie mógł nas wróg złamać ani mordami, ani prześladowaniem, tysiące ofiar padło pod kulami żołdactwa, zaludniono pustynie sybirskie i moskiewskie kazamaty, a naród niezachwiany stoi pod kulami, wydaje ofiary, odrzuca wszystkie kłamane ustępstwa i woła: jednego chcemy, o jedno wołamy: chcemy Polski wolnej, całej, niepodległej, chcemy, aby rządy moskiewskie i niemieckie nie plugawiły świętej ziemi naszej.

Europa cała patrzy na to męczeństwo narodu, na tę niesłychaną stałość. Serca narodów wzruszyły się i narody mówią: tak, Polska żyje i żyć musi, bo naród, który wytrzymał, co ona wytrzymała, który tyle razy był kuszony, a nie ugiął się, ten naród nie zginie, i ludy się burzą, wołając o Polskę, a rządy muszą słuchać głosu ludów i odzywają się do Cara, aby Polskę uspokoił, bo bez tego i oni także spokoju mieć nie będą.

Trzeba więc nowej komedyi dla Europy; nastroczył się Polak, zdrajca i kat ojczyzny swojej, który się podjął odegrywania tej komedyi, a Car dodaje mu do pomocy godnego syna Mikołaja, brata swego Konstantego. Oni to przynoszą łaski, ustępstwa i reformy, a tak zostanie Aleksander w oczach Europy liberalnym carem, reformatorem i odnowicielem, wyższe klasy w narodzie uspokoją się tytułami i urzędami, a dla narodu — Sybir i szubienica! tylko cicho — żeby ani jęk jeden nie doleciał uszu Europy, żeby cywilizacja zachodnia nie przestawała wielbić carskiej cywilizacji.

Ta komedia odgrywa się dla czwartej części narodu; reszcie nie wolno się nawet odezwać i Aleksander mówi Europie: cóż chcecie? Polska ma reformy, a Litwa i Ruś to nie Polska, to Rosya. Królestwo przyjmuje reformy, a o Rusi i Litwie ani myśli.

A tymczasem Cytadela i Modlin przepełnione; co tydzień wznosi się szubienica na stoku cytadeli; łaskodawca i reformator carski własnoręcznie zamienia kule na stryczek i młódź nasza wisi na ohydny powrozie, dla postrachu

ułaskawionego i zreformowanego narodu, wystawionego przed Europą jako banda złoczyńców, zgają zbrodniarzy i burzycieli. Ani wiek, ani zdrowie nie wstrzymują ręki kata; nieszczęśliwa ofiara musi patrzeć na ostatnie drgnięcia towarzysza swego, a kobiety, dzieci, starców, którzy płaczem i modlitwą śmią okazać zgrozę i współczucie, okładają batami kozacy, a policyanci ciągną do więzienia. Ciesz się narodzie, masz łaski i reformy!

Wróg katuje, a jeszcze szydzi, chwali się z dokonanych morderstw, odwet z naszej strony nazywa zbrodnią, chce, żebyśmy się wyrzekli praw naszej narodowości, żebyśmy splamili całą przeszłość naszą, a odwołuje się do serc naszych, do szlachetności naszej, do tej przeszłości, którą by chciał jednym zamachem zniszczyć do szczeru Polacy! Odpowiedzcie, co wam każą serca wasze, przeszłość wasza i powinność wasza; nakazują one wam trwać do końca, stać nieustraszenie na stanowisku narodowym, prowadzić z wrogiem nieubłaganą walkę, bez przerwy, bez umów i ustępstw, dopóki ostatniego wroga z Polski nie wygnacie!

Centralny Narodowy Komitet.

No 4 (do str. 1519).

Program Komitetu centralnego.

(Kopia z Nr. 5 „Ruchu” z d. 17 września 1862 r.).

1. Organizacja narodowa ma na celu przygotowanie kraju do powszechnego, a na dobry skutek obrachowanego powstania, które ma wywalczyć niepodległość Polski w granicach 1771 r. a dla wszystkich jej mieszkańców bez różnicy religii zupełną wolność i równość w obliczu prawa, z poszanowaniem praw narodowości z nią złączonych.

2. Dla dopięcia wyżej oznaczonego celu, organizacja narodowa używa środków i sposobów zgodnych z zasadą i godnością wielkiego, o niepodległość walczącego narodu.

3. Rachuje na siły samego kraju i powołując wszystkie stany i zatrudnienia do pracy narodowej, zwraca szczególnie usiłowania swoje do niższych tak miejskich jak i wiejskich warstw społeczeństwa, ażeby je podnieść, a przez powołanie do udziału w pracy narodowej, postawić na stanowisku politycznym w kraju.

4. Szerząc braterstwo pomiędzy klasami społeczeństwa narodowego, wpływać będzie, aby reformę stosunków włościańskich załatwić pomyślnie dla sprawy powstania i doprowadzić włościan do zupełnego uwłaszczenia przez Rząd polski, który z ogólnych źródeł państwa obmyśli fundusze na wynagrodzenie właścicieli za ustąpione czynsze.

5. Organizacja narodowa przez wszystkie koła i osoby do niej należące, prowadzi słowem, pismem i czynem propagandę narodowo-powstańczą, a utrzymując w jednym kierunku i kontroli, pilnuje, ażeby zgodną była z zasadą narodową i odpowiednią zamierzonemu celowi.

6. Utrzymuje naród w powadze żałoby i w powstrzymaniu się od wszelkich niewłaściwych w jego położeniu zabaw, koncentrując wszystkie siły do jednego celu, do istnienia politycznego, nie wchodzi z najazdem w żadne porozumienia, urządza przeciwko niemu opozycją jawną i skrytą, podkopuje wszędzie jego siły i nie ograniczając się naprzód określonymi postanowieniami, spożytkować ma na rzecz powstania wszystkie pozycje najazdu, czy to przez opór, czy też agitacją, której postać i kierunek stosownie do okoliczności ustanowi.

7. Przekonana, iż niepodległość kraju tylko bronią zdobytą być może, organizacja narodowa gromadzi zasoby pieniężne przez nałożony na kraj podatek i przeprowadza uzbrojenie narodu przez zakupywanie broni, urządzenie jej składów w kraju i zagranicą, sprowadzenie ludzi obeznanych ze sztuką wojenną, i stawia kraj w położeniu, które mu dozwoli jak najspieszniej wystąpić dzielnie i z pomyślnym skutkiem przez powszechne powstanie.

8. Organizacja obejmuje cały naród, obejmuje i emigrację polską, i starać się będzie o danie jej możliwości w danej chwili służenia sprawie niepodległości w samym kraju.

9. Organizacja narodowa porozumiewa się z narodami ościennymi, szczególnie słowiańskimi, a będącymi w usiłowaniach wyjarzmienia się i starać się będzie o wywołanie pomiędzy nimi szczególnie też w Rosyi agitacji, a wreszcie i ruchu zbrojnego, który by osłabił i neutralizował nieprzyjaciela, a takim sposobem ułatwił zwycięstwo sprawie ogólnej wolności.

No 5 (do str. 1529).

Korespondencya w sprawie rozwiązania szkoły podchorążych polskich w Cuneo.

(Przedruk z „Przeglądu rzeczy polskich” z d. 15 lipca 1862 r.).

List ministra Rattaziego do J. Wysockiego.

Turyn, 19 czerwca 1862 r.

Jenerale! Szkoła polska w Cuneo założoną poprzednio została przez jenerała Mierosławskiego, który do tego upoważnionym został przez proste pozwolenie władzy. Powierzyłem ją następnie księciu Lubomirskiemu, gdy

jenerał Mierosławski zrzekł się dyrekcyi. Gdy zaś ks. Lubomirski żądał, abym w interesie emigracyi, Tobie jenerale jej zwierzchnictwo powierzył, uczyniłem to bez piśmiennego dekretu lub upoważnienia. Obecnie przeważna polityczna konieczność gwałtownie wymaga rozwiązania szkoły, udaję się więc do Ciebie jenerale, jako do jej dyrektora z prośbą o rozwiązanie szkoły polskiej w Cuneo, a to w celu nienarażania rządu królewskiego na dyplomatyczne trudności i powikłania. Pośpieszam zarazem z wymienieniem głębokiego żalu, jakim z tego powodu przejęty jestem i czuję się w obowiązku oddania sprawiedliwości porządkowi i spokojności, które ciągle panowały w zakładzie Twojej pieczy powierzonym. Przyjm jenerale zapewnienie wysokiego szacunku. (Podpisano) Rattazzi.

Odpowiedź jenerała Wysockiego.

Turyn, 23 czerwca 1862 r.

Panie prezydencie! Mam honor zawiadomić Cię, że stosownie do żądania wyrażonego w liście Twoim z 19 b. m. szkoła polska w Cuneo, jako mogąca w dzisiejszych okolicznościach narazić rząd włoski na dyplomatyczne trudności, rozwiązana będzie w dniu 26 czerwca. Broń, która służyła do ćwiczeń wojskowych uczniów szkoły, zwróconą zostanie władzom miasta.

Nie taję się z żalem, jakim mię przejmuję konieczność zwinięcia zakładu użytecznego ojczyźnie mojej; lecz z drugiej strony czuję się w obowiązku zawiadomienia Cię, że smutna wiadomość postanowienia Twego, przyjętą została przez młodzież naszą z godnością, jaką jej nakazywały patriotyzm i wdzięczność za uczynną gościnność, której doświadczyliśmy od rządu Jego Królewskiej Mości.

Nie pozostaje mi, jak tylko podziękować Ci, panie ministrze za wszystko, coś dla nas uczynił i prosić, abyś przyjął i t. d. (podpisano) Józef Wysocki.

List tegoż do jenerała Garibaldiego.

Turyn, 24 czerwca 1862 r.

Jenerale! Szkoła nasza stanowczo rozwiązana została. Biedne paryasy, gdzie indziej schronienia szukać musimy. W szlachetnem sercu Twojem, uznasz bez wątpienia, iż śmiesznem jest ze strony naszych ciemieńców tak na pozór silnych, iż łączą swe usiłowania w celu ścigania młodych ludzi, w odległych nawet krainach; lecz przestrach nie rozumuje, a my się czujemy silnymi przez narodową jedność i świętość naszej sprawy. Ona nam wskaże drogę, jaką postępować winniśmy, i wypełnienie obowiązku łatwem uczyni.

Na szczęście w pracy tej dopomaga nam młodzież, która zrozumiała powołanie swoje. Przybywszy do Cuneo, znalazłem ją gotową na wszystkie ofiary, byle tylko rozproszeniem zakładu nie działać na korzyść nieprzyjaciół. Jestem przeto zdecydowanym przenieść szkołę do innego kraju.

Jestem pewny, że w niedalekiej przyszłości, prawdziwa dyplomacya zmuszoną będzie poniechać czczych wybiegów i armatniami strzałami rozstrzygać wszystkie kwestye szybkiego wymagające rozwiązania. Wtedy Włochy i Polska na jednym polu bitwy, obok siebie walczyć będą. (podpisano) Józef Wysocki.

No 6 (do str. 1539).

Do braci Polaków znajdujących się w austriackich szeregach.

(Kopia z druku współczesnego).

Bracia!

Chwila odrodzenia Polski zbliża się szybko. Serca całego narodu jednym wielkiem uderzają biciem: nie będzie już panów i chłopów, nie będzie urzędników niemieckich i moskiewskich, nie będzie cesarzów i siepaczy, co niesłychanymi podatkami lud polski do nędzy i rozpaczey doprowadzają. Będzie jedna wola — wola ludu, jedno prawo — prawo Boże dla wszystkich jednakowe. Nie będą synowie polskiej ziemi służyć niemieckim i moskiewskim ciemieżcom ku gnębieniu bratnich ludów. Żołnierz polski będzie bronił tylko swoich praw, a na hańbę imienia polskiego, w sprawie tyranów, krwi więcej nie przeleje.

Wola ludu, to wielka wola, której żaden cesarz się nie oprze, żadna siła nie złamie. Okażcie ją tylko, powiedzcie, żeście prawi Polacy i że ani Włochów, ani Słowian, ani Węgrów bić nie chcecie, bo nie oni powodem niedoli waszych matek, sióstr i braci, bo oni za swoją wolność walczą, tak samo jak i my wkrótce za naszą walczyć będziemy — bo ich sprawa sprawiedliwa i święta, jak każda sprawa ludowa, z nimi zatem, a nie przeciw nim walczyć potrzeba. Kto przeciw nim, ten przeciw Ojczyźnie! dla tego nie ma nic świętego, ten nie chce wolności, ten nie chce być Polakiem! Tego przekleństwo narodu uderzy, matka się go zaprze, a Bóg ciężko skarzę!

Lud warszawski, co tyle już za wspólną nam sprawę cierpiał, woła na was: „połączcie się z Włochami, Słowianami i Węgrami, walczcie za ich wolność, bo razem z nimi i my będziemy wolni. Żołnierze! pamiętajcie przede wszystkim, żeście Polakami. Co po honorze wojskowym, gdy się krew leje za podłą sprawę! co po umizgach niemieckiego cesarza i niemieckich siepaczy, gdy się

bracia własni was zaprą, matki, co was polskiem mlekiem karmiły, z przekleństwem od siebie odtrąca? Gdy ziemia polska, krwią niewinną nieszczęśliwego ludu przez was oblana, nosić was nie zechce? Nie bójcie się złamać przysięgi, którąście na wierność Niemcom złożyli. Co po przysiędze gwałtem wam wydartej, gdy ten sam Bóg, któremuście przysięgali, oczy od was odwróci i modlitw waszych wysłuchać nie zechce, za to, żeście za fałsz walczyli, żeście praw jego ludu szanować nie chcieli”.

Usłuchajcie tego głosu, bo to głos waszego narodu, krwią z wami złączonego, bo z nim razem wołają na was wszyscy męczennicy narodowi z Sybiru i głębi więzień moskiewskich i niemieckich, wasi bracia galicyjscy, wasi ojcowie i bliscy, i wszyscy ci, co szczęścia waszego pragną — usłuchajcie go, bo tylko przez tych, co to mówią i z nimi możecie być szczęśliwi i wolni.

Towarzystwo Młodzieży Polskiej za Granicą.

(Z polecenia Komitetu Narodowego Centralnego) d. 14 sierpnia 1862 r.

No 7 (do str. 1540).

Odezwa Komitetu centralnego do włościan.

(Kopia z druku współczesnego).

Doszło do naszej wiadomości, że włościanie niektórych okolic nie wierzą w świętość sprawy polskiej, nie ufają swoim pasterzom, którzy chcą ich, dla ich własnego dobra na drogę narodową sprowadzić, a przez to zapominają, że księża są kapłanami Bożymi na ziemi, co spełniają posłannictwo Pańskie w kościele świętym. Nadto troszczą się ci włościanie o przyszły los swój i dzieci swoich jak Polska będzie, i o to, czy będą ich brali do wojska, czy ziemię będą mieli, i czy sól i tabaka będą tańsze.

Centralny Narodowy Komitet, jako rzeczywisty Rząd polski wzywa tych ludzi, aby jak ich ojcowie szanowali i czcili stan kapłański, tak i oni ufali i wierzyli kapłanom, głoszącym o zbawieniu ojczyzny od Moskali, o zgodzie, jedności, braterstwie i wolności. Zarazem oświadczą i zapewnia, że:

1) na sól, tytoń i tabakę nie będzie podatku po wypędzeniu Moskali z kraju, bo skarb nie będzie potrzebował wydawać milionów na szpiegów, co ciągle podburzają jednych na drugich i obejdzie się małą liczbą wojska;

2) szkoły będą pozakładane po wszystkich gminach i parafiach każdemu, jaki by on nie był, wolno będzie posyłać dzieci i do niższych szkół i do powiatowych i do wojewódzkich, ażeby jak i inne dzieci, tak i dzieci włościańskie wychodziły na urzędników, na oficerów w wojsku, lub na księży, każdy według

swego powołania; jeżeli zaś rodzice nie będą w stanie opłacać szkoły, to te koszta sam Rząd narodowy poniesie;

3) każdy będzie ciągnął los do wojska i służył z prawem wyjścia na wyższe stopnie, a że nie będzie potrzeba wysyłać żołnierza poza kraj o tysiące mil, jak teraz na Sybir i Kaukaz, czas służby będzie krótszy, bo najwyżej na lat sześć; nie będzie się wybierało więcej jak jednego z tysiąca;

4) kościoły zrujnowane i cmentarze opuszczone Rząd polski weźmie pod swoją opiekę, ładnie wszystkie każe odnowić, a gdzie będzie trzeba i nowe wybudować każe, przyczem odbierze wszystkie kościoły zamknięte przez Moskali lub przemienione na cerkwie;

5) czynszów na ziemiach rządowych Rząd polski nie będzie pobierał, a grunta, na których siedzą włościanie, odda im na własność wieczystą z pokolenia w pokolenie; ziemie zaś włościańskie z dóbr nieskarbowych, Rząd polski odda włościanom na własność, a czynsze ich panom ratami spłaci, aby każdy włościanin w całej Polsce, Litwie i Rusi był wolny i swobodny bez żadnej różnicy między nim a panem lub mieszczaninem: jeżeli zaś włościanie nie będą Rządu polskiego słuchali i nie dopomogą do wypędzenia Moskali i Niemców, to żadne z tych dobrodziejstw na nich nie spadnie”.

Warszawa d. 12 sierpnia 1862 r.

Centralny Narodowy Komitet.

No 8 (do str. 1561).

Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym.

(Przedruk z Nr. 7 „Ruchu” z d. 18 października 1862 r.).

Centralny Narodowy Komitet.

Zważywszy:

1) że tylko energiczne zespolenie wszystkich sił i zasobów narodu dostarczy nam możność wytrzymania coraz gorętszej walki z najazdem, który wytyęża przeciw nam całą potęgę swojej scentralizowanej organizacji;

2) że przeciw ostatnim wysileniom i wyjątkowej dzisiaj energii najazdu, obowiązani jesteśmy postawić wyjątkowe także poświęcenie i wyjątkową energią wszystkich bez różnicy składowych części narodu:

Stanowi co następuje:

Art. I. Każdy obywatel ojczyznę miłujący i pragnący wywalczenia jej bytu niezależnego, obowiązany jest do opłacenia jednorazowego podatku, tytułem zwyczajnej ofiary na poparcia działań, dążących do wyswobodzenia ojczyzny.

Art. II. Podstawą mającego się opłacić podatku jest kapitał każdego z opodatkowanych, a to według stopy po pół od sta od majątku nieruchomego i sum hipotecznych.

Art. III. Osoby nie posiadające nieruchomości ani też kapitałów ulokowanych, zapłacić mają od dochodu rocznego pięć od sta.

Art. IV. Jeżeli w obliczaniu dochodu zachodzić będzie trudność ściślejszej nad nim kontroli, w takim razie przyjmuje się za normę roczną opłata komornego, którą uważać się ma w Warszawie za jedną trzecią, w miastach prowincjonalnych za jedną piątą całorocznego dochodu.

Art. V. Osoby posiadające majątek ruchomy lub nieruchomy, a prócz tego mające jeszcze inne źródła dochodu, podatek narodowy opłacą oddzielnie od majątku, a oddzielnie od dochodu.

Art. VI. Pobór podatku uskutecznia się przez urzędników organizacji, umyślnie do czynności tej wyznaczonych i w wyłączenie ku temu celowi wydane upoważnienia opatrzonych. Wyznaczeni urzędnicy do zbierania podatku opatrzeni będą sznurowym kwitem Centralnego Narodowego Komitetu, którego jedna połowa odcięta i kontrybuentowi doręczona, a druga z wyrażeniem odebranej sumy wraz z pieniędzmi do kasy głównej, jako dowód przesłana zostanie.

Art. VII. Termin wniesienia narodowego podatku oznacza się na dzień 10 listopada roku bieżącego.

No 9 (do str. 1578).

Protokół duchowieństwa polskiego.

(Kopia z rękopismu współczesnego).

Działo się na zebraniu duchowieństwa Korony Polskiej w województwie Sandomierskim, dnia 29 października 1862 r.

W obecnym stanie rzeczy wróg utracą swoje żywotne siły, stugłowa jego despotyzmu hydra sama siebie połyka i trawi, gliniany ten kolos coraz bardziej chwieje się i roztrąca o rozumne i solidarne parcie i wymaganie ludu. W łonie swych instytucji od dawna już nosząc zarody społecznych chorób, utrzymywał się tylko przy życiu pasmem wysień swego tatarskiego rządu, aż despotyzm i ucisk prawie do szczytu go zgangrenował, ogromem upioru straszy tylko słabe i dziecinne umysły, a jego naprężenie kilkowiekowej tyranii samym nadmiarem i duchem czasu, już pęka i nowy stan rzeczy zwi-

stuje. Sądźmy więc, że w tem różnorodnem zamieszaniu żywiołów wroga, wschodzi dla nas promienna jutrenka przyszłości, rzuca swe rumiane światło na zbolałą ukochaną ojczyznę naszą, pogrążoną w stuletniem niemal letargu. Zaiste, ktokolwiek się przysłuchał głuchemu warczeniu ludu, kto się przyjrzał tej fermentacji, jaka się w ogromnej beczce moskiewskiego rządu odbywa i grozi mu zalaniem istniejącego porządku, ten na pewnych danych oparty niemylnym zwiastunem być może, że wróg nasz, którego konwulsyjne porywa drganie, niedługo zakończy swe szatańskie życie, by się z jego popiołów jak feniks nowy porządek rzeczy narodził.

Duchowieństwo, którego powołanie jest pacyfikacyjnem, spełniając zawsze obowiązki opiekuna i stróża narodu, aby od niego oddalić nieszczęścia i klęski, zawsze baczne, by nie pomnażać na próżno nieszczęśliwych ofiar i nie popychać kraju w coraz cięższe pęta i jarzmo niewoli, by nie zniszczyć powstania opartego na stałych zasadach, duchowieństwo dzisiaj już pełnem występuje i działa sumieniem, bo zbadawszy lud posiada tę niewzruszoną pewność, że ojczyzna nasza z łatwością wspólnemi siły z pod jarzma i nacisku wroga uwolnioną być musi.

Dlatego w imieniu dobra religii i ojczyzny, dla wzajemnego porozumienia się względem użycia jednozgodnych i do celu wiodących środków, duchowieństwo reprezentowane z Korony Polskiej zgromadziło się na walne zebranie w województwie Sandomierskiem i jednozgodnie uchwaliło co następuje:

1) Ponieważ dotychczas na polu zbawienia ojczyzny dwa czynniki się mienią, jeden tak zwany Dyrekcyą wiejską, mający na celu powolne działanie, jako to: oświatę ludu, zaprowadzenie szkółek, oczynszowanie włościan, tymczasowe wyzyskiwanie i spożytkowanie łask i dobrodziejstw moskiewskiego rządu na korzyść narodu, a przytem nieograniczone wyczekiwanie przyjazdach do wrzucenia jarzma okoliczności i t. d.

Drugi zaś, tak zwany Komitet Centralny Narodowy i stronnictwo ruchu, który prościej i pewniej idzie do celu przez czynne powołanie i wciągnięcie do sprawy ojczyzny całego ludu, za pośrednictwem natychmiastowej nad nim pracy i użyciem rozlicznych dobrodziejstw i społecznych ustępstw na korzyść tego ludu, duchowieństwo diecezji sandomierskiej wysłało z pośród siebie trzech kapłanów, mężów zupełnego zaufania, do stołecznego miasta Warszawy, którzy zbadawszy na gruncie te dwa czynniki, ich zasady, środki i przygotowania, w dniu dzisiejszym, wobec i na zebraniu duchowieństwa Korony Polskiej, przystąpiło do wysłuchania relacji wysłańców swoich, skutkiem czego poznawszy do gruntu kwestyą wyjarzmiienia i bezstronnie rozebrawszy obu tych czynników pracę, zasoby i siły, jednozgodnie uchwaliło, by odłączyć się od stronnictwa Dyrekcyi wiejskiej, jako niechwytałącego się pewnych

i niewzruszonych zasad i odwlekającego zbawienie ojczyzny na długie lata — a natomiast przystąpić do działania Komitetu Centralnego Narodowego. Jakoż duchowieństwo mocą niniejszego Dyrekcyą wiejską opuszcza, a łączy się ze sprawą Komitetu Centralnego Narodowego.

2) Duchowieństwo przyjmuje program Komitetu Centralnego Narodowego w zupełnej całości, warując sobie jedynie tylko nic nie czynić, ani propagować, co by się sprzeciwiało wolności, prawom i swobodom świętej wiary rzymsko-katolickiej.

3) Dla silniejszej a łącznej obrony i wystąpienia, gdzie wypada w sprawie narodowej, łączy się w ogół działań Komitetu Centralnego Narodowego i czynności swe pod wyraźny kierunek tegoż poddaje.

4) Dlatego, na czele ogólnego kierunku stanie jeden kapłan, tak zwany mąż zaufania w każdej diecezyi i znosić się będzie w danym razie z wojewódzkim Komitetem Centralnym Narodowym. Mężowi zaufania dodani będą kapłani, po jednym z dekanatu każdego, którzy bezwzględnie i pod ścisłą kontrolą mają spełniać rozkazy kapłana diecezyalnego.

5) Zebrane duchowieństwo przyrzeka posłuszeństwo wydanym już i wydać się mającym poleceniom Komitetu Centralnego Narodowego. (*Salvis iuribus Ecclesiae*).

6) Tak uchwalonej i przyjętej organizacyi powinien być posłuszny każdy kapłan, jakiego bądź stopnia i godności w hierarchii kościelnej, a od posłuszeństwa, ciągłej pracy i najczynniejszego spełnienia wszelkich, zleceń, nie ma nikogo uwalniać ani bojaźń, ani wzgląd, ani nadzieja bytu materialnego, ani też postrach wszelkiego rodzaju.

7) Ponieważ w duchowieństwie wielu jest chwiejących się lub niemających odwagi cywilnej, zobowiązana więc kontrola i nieustanne czuwanie nad pracą dla zbawienia ojczyzny i nad każdym pojedynczo, zaprowadzone będą.

8) Duchowieństwo tak zorganizowane, obowiązane jest do wnoszenia składek, jakie na każdego przeznaczone będą przez męża diecezyalnego za pośrednictwem dekanalnych.

9) Duchowieństwo powinno na każde wezwanie odbierać przysięgi od przystępujących do robót Komitetu Centralnego Narodowego, a to tyle razy, ile wezwane będzie.

10) Na mocy organizacyi każdy duchowny obowiązany jest pod najściślejszą tak przed władzą duchowną, jako też narodową spełniać wszelkie obowiązki i rozkazy z największą pilnością.

11) O tak nastąpięcej organizacyi i połączeniu się duchowieństwa Korony Polskiej z Komitetem Centralnym Narodowym zawiadamia się duchowieństwo i Dyrekcyą wiejską, kładąc moralny nacisk i napomnienie bratnie,

by i też Dyrekcyja do prac Komitetu Centralnego Narodowego bezwzględnie przystąpić chciała.

12) Ponieważ duchowieństwo wyznaje zasadę, że zbawienie ojczyzny w najniższej społeczeństwa warstwie spoczywa, duchowieństwo bierze od-
tąd pod swoją opiekę prawo ludu i publicznie występować będzie tam, gdzie
prawa ludu pogwałcone będą. Odtąd więc żaden już ucisk włościan, żadne
dotychczasowe nadużycia miejsca mieć nie mogą, tym więcej, że duchowień-
stwo solidarnie ten obowiązek obrony praw ludu na siebie przyjęło. Ponieważ
wpływ duchowieństwa na włościan pijaństwem ludu paraliżowany będzie,
mężowie zaufania dyecezyjni swoim przedstawieniem wpłyną na Komitet
Centralny Narodowy, by wszystkie gorzelnie ogólną uchwałą, do wyjarzmie-
nia ojczyzny, zamknąć rozkazał. Taką organizacją w ogółach i szczegółach
swoich, uchwaliło i jednozgodnie przyjęło duchowieństwo Korony Polskiej,
reprezentowane przez swoich wysłańców, na dzisiejszem tutaj zebraniu obe-
cnych. Duchowieństwo dyecezyi sandomierskiej w imieniu, pod klątwą, świę-
tej sprawy ojczyzny, wzywa wszelkie duchowieństwa wszystkich prowincyi,
całość kraju i Koronę Polską składających, iżby każde w swoim obrębie na-
tychmiast i bez straty czasu, przystąpiło do zorganizowania się, a to celem jak
najściślejszego spełnienia tak programatu, jako też w szczegółach rozporzą-
dzeń i poleceń Komitetu Centralnego Narodowego.

Mąż zaufania dyecezyi sandomierskiej wzywa obecnych na tem zebraniu
wybrańców innych dyecezyi, aby za powrotem w rychłym czasie zebrali na po-
dobne posiedzenia dyecezyan swoich, przyjęli organizacją i o skutku donieśli
Komitetowi Centralnemu Narodowemu przez pośrednictwo wojewódzkiego,
jako też zawiadomili o tem męża zaufania dyecezyi sandomierskiej.

Odezwa duchowieństwa do Rad powiatowych i miejskich.

Zważywszy:

1) że istnienie Rad powiatowych i miejskich jest przeciwne dobru ojczy-
zny, bo inicjatywa wszelkiej narady od rządu moskiewskiego wychodząca, nie
może mieć na celu polepszenia instytucyi naszych, i że się tak wyrazim, jest
tylko narkotykiem na uśpienie naszych sił i czynnej pracy narodu;

2) że te Rady głównie w celu oczynszowania włościan ustanowione, nie
mają w tym względzie dotąd od rządu poparcia, a w przyszłości chociażby
i miały, rozdmuchną tylko nienawiść ludu do szlachty;

3) że świeżo zarządzony pobór wojskowy pod wyjątkowymi warunkami
i pewną tylko część narodu dotykającami, jest klęską kraju i stanowczo nas

przeświadcza, że wrogi rząd Rady powiatowe i miejskie do swych tylko celów używa, a prawa nadane Radzie stanu jawnym czynem gwałci i opinią Rad powiatowych bezwzględnie pomija;

4) z tych przeto powodów całe duchowieństwo Korony Polskiej decyzją, jaką Komitet Centralny Narodowy w dzienniku „Ruch” Nr. 6 objawił, za stosowną uważa i ostatecznie podobne Rady wzywa, aby się po odebraniu niniejszego rozwiązały natychmiast, bo żadna tutaj władza, jako dogodna celom wrogiego rządu miejsca mieć nie może. Członkowie Rad nie pojedynczo, nie dla słabości zdrowia, lub tym podobnych względów, lecz zebrawszy się na posiedzeniu prywatnem, zamieściwszy w protokóle swoim nadużycia rządowe i zaprotestowawszy przeciw tym i innym nadużyciom, zażądają zbiorowo dymisyi, a każdy dotychczasowy radca w braku cywilnej odwagi szukający pojedynczo lub innemi drogami wycofania się, za zdrajcę kraju uważany będzie.

Dnia 29 października 1862 r.

No 10 (do str. 1624).

Odezwa duchowieństwa.

(Przedruk z „Ruchu” Nr. 8 z d. 13 listopada).

Bracia kapłani!

Kraj nasz wzywa pomocy, zbawienie kraju w połączonych siłach, lud przewodnictwa wyczekuje, przodkowanie w sprawie wyzwolenia kościoła i zrzućcenia pęt ciężkiej przemocy i ucisku, do kapłanów należy; nie dajmy się innym na tej drodze wzniesłego dzieła wyprzedzać, lud czołem, my na czele ludu, a cel osiągnięty. Moc działania w użyciu jednych środków i w dążności ku jednemu celowi polega, nie mówcie, żeśmy słabi, tylko umiejętnie a zreźnie postępować, a wszystko zrobim, bo naród wszystko może, byle wszystko umiał. Siła nasza w naszej organizacyi, tej plan przez naszych posłańców nie do rozstrząsania a do przyjęcia wraz z życzeniem; „Szczęść Boże” posyłamy. Dyecezye nasze już poczynają ze swych prac zbierać owoce, przecież bez waszego poparcia, bez szczerego przejęcia się świętością tak wielkiego dzieła i my ustać możemy. W Imię Boga, nieba i naszej niedoli, do urzeczywistnienia naszych oczekiwań i pragnień całego kraju, wzywamy was bracia kochani! czas drogi, okoliczności nagłą i popychają nas naprzód, wasi bracia obecni naszym obradom jako kapłani i Polacy przedstawią wam rzetelny i sumienny stan rzeczy. Niech wam nie chodzi o pierwszeństwo z próżności, bo to nie ludzie a Bóg przodkuje, do nas utrzymywać lud na wysokości idei polskiej,

prostować drogi błędne, zachęcając do ofiar niesienia i życia w sprawie wyzwolenia, należy. Słowo nie starczy, jeżeli przykład do duszy nie przemówi, my dla ludu a więc i z ludem, z własnych przekonań i słabostek uczynimy ofiarę, i idźmy za natchnieniem i radą Komitetu Centralnego. Interes Kościoła, uczucia patryotyczne i rzeczywista wielkość kapłana polskiego tego po nas wymagają i idźmy dłoń w dłoń raz obraną drogą, a przyszłość wielka przed nami otworem stanie!...

No 11 (do str. 1629).

Adres szlachty gubernii podolskiej.

(Przedruk z pism rosyjskich współczesnych).

Awgustiejszj Monarch!

Polzujaś prawom nieposredstwiennawo zajawlenia miestnych potrebnostiej pred licom Waszewo Impieratorskawo Wieliczestwa, dworianie Podolskoj gubernii osmieliwajutsia wyskazat' odno wsieobjemliajuszczetje żełanie kraja, s niepokolebimoju wieroju w predstavitielstwo sosłowia swojewe otnositielno wsiech, obładajuszczich graždanskim soznaniem w kraje. Ruś, sojediennaja s Polszeju torżestwiennym i dobrowolnym liublinskim dogoworom, ciełymi pokoleniami prinimała formy rodstwiennoj ciwilizacii. Obrazowanost' i obszczestwiennaja żiżń jeja s niezapamiatnych wremien napieczat lieny charakterom iskluczitelno polskim. Istocznikom siły i sochranienia polskawo elementa, niezawisimo ot posliedowawszych političeskich pierewrotow, jest' leżaszczaja w osnowanii jewo idieja narodnawo predstavitielstwa i graždanskoj swobody. W prodołżenii posliedniawo połuwieka politika protiwnaja godspodstwujuszczemu w etom otnoszenii duchu, bywała pricinajoju nieprerjwnawo razdora, kotorawo bezwyhodnoje położenie głęboko bezpokoit wsiakawo błahomysliaszczawo graždanina. Dworianstwo Podolskoj gubernii wsiepoddanniejsze prosit Wasze Imperatorskoje Wieliczestwo obustranienii upomianutawo położenia Awgustiojszeju wolieju Swojeju. Iskluczitielnoje, wieduszczetje k etomu sredstwo, dworianie Podolskoj gubernii usmatriwajut w wozstanowlenii administratiwnawo jedinstwa Polszi, so wkluczeniem w sostaw jeja zapadnawo kraja, i s połnym uwaženiem praw wyzwannawo w nastojaszczetje wremia na popriszcze obszczestwiennoj diejatielnosti miestnawo sielskawo nasilenia. Iskrennieje uczastie polskawo dworianstwa w okonczatielnom ustrojstwie krestianskawo woprosa, uczastie, swiazannoje a wiekowymi usiliami Polszi otnositielno rozrieszenia graždanskawo dostoinstwa i swobody, sostawliajet niesomniennoje

ruczatielstwo w czistocie tiepieresznych jewo naczinani. Otwiergaja wsiakuju mysl o pierewiesie plemieni ili sosłowia, dworianie Podolskoj gubernii ostajutsia wiernymi osnownoj polskoj ideje otnositelno rawnoprawnosti sostawnych obszczestwiennych elementow i potomu żelajut obszczenia s Polszeju, czto widiat w niem osnowanie dalniejszawo samorazwitia kak polskoj, tak i ukraińskiej narodnosti.

Wasze Imperatorskoje Wieliczesstwo! Położenie naszewo kraja bezotradno. Narod bez obrazowania, srednija uczebnyja zawiedienia nieudowletworitielny kak po czisłu, tak i po sistemie prepodawania; promyszlennost' liszena kapitałow i podawlena czerezmiernymi procentami; chlebnaja torgowla, po niedostatku usowierszenstwowanym putiej soobszczenia, otorowana ot inostrannawo sbyta; poziemielnaja sobstwiennost' bez kredita wsledstwie prekraszczieniasud i z gosudarstwiennych kreditnych ustanowlenij i otsustwia ipotecznoj sistemy; uzakonienia protiwny obyczajom, predaniam i progressu obszczestwiennych poniatij; ispołnienie prawa obezsileno czużdoju strane biurokraziej; administracia sosredotoczona wnie miestnych potrebnostiej i interesow; na koniec kraj bez organow, izbrannyh iz sredy swojej dla rukowodstwa obszczestwiennymi jewo trudami. Położenie takoje, woznikszeje wsledstwie razobszczenia naszewo s Carstwom Polskim, zatrudniajet okonczatielnoje ustrojstwo krestjanskawo dieła i ugrożajet reszitielnym upadkom kraja, jeżeli nie budiet wozstanowlieno administratiwnoje jedinstwo jewo s krajem, imiejuszczim po otnoszenii k niemu odinakowyja potrebnosti, odni predania, tożaiestwiennyja poniatja o graždanskoj i religioznoj swobodzie i obszczije puti razwitia w buduszczem. Awgustiejszija Monarch! Wsiepoddanniejsze zajawljaja suszczestwiennoje żelanie swojo u prestola Waszewo Imporatorskawo Wieliczesstwa, dworianie Podolskoj gubernii upowajut na czuwstwo wysoczajszej sprawieoliwosti i miłosierdia, kak na jedinstwiennym załog prekraszczieniaszadanijswoich w nastojaszczem i błagodienstwa w buduszczem.

(Następują podpisy).

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU V

Rozdział XVII. Pełnomocnictwo W. ks. Konstantego. Pertraktacje Wielopolskiego z Białymi i Karolem Majewskim. Zamiary Chmieleńskiego i jego popleczników. Ludwik Jaroszyński. Rozmowa z Chmieleńskim. Drugie z nim widzenie się. Przyjazd W. ks. Konstantego. Zamach Chmieleńczyków na Komitet centralny. Powrót Jaroszyńskiego i Rodowicza. Wjazd W. ks. Konstantego do Warszawy. Przyjęcie w Łazienkach. Mowa ks. Felińskiego w Katedrze. Jaroszyński przed cerkwią i Katedrą świętojańską. Zamach w sieni teatralnej. Zachowanie się Jaroszyńskiego. Wrażenie wywołane zamachem. Narada w Konsystorzu. Rozmowa W. księcia z arcybiskupem w Belwederze. Mowa W. księcia do zebranych i scena z Zamoyskim. Streszczenie mowy przez „Dziennik powszechny” i plotki. Rady dawane W. księciu. Niemy król. Nabożeństwo w archikatedrze i mowa ks. Felińskiego. Pogłoski. Zamiar p. Ludwika Górskiego. Zebranie i adres. Widzenie się z p. Andrzejem. Górski i Kurtz udają się do Wielopolskiego. Rozmowa z tymże. Jego warunki nazajutrz. Odrzuca adres. Postawa Zamoyskiego. Zamysł adresu i deputacyi upada. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Napoleon III. i prasa zagraniczna. „Dziennik poznański”. Zachowanie się prasy polskiej jawnej i tajnej. Życie domowe W. księcia. Chreptowicz, Wrześniowski i Tęgoborski. W. księżna, jej zamiary i imieniny. Urodziny syna Wacława. Ofiary i łaski. Chrzest Wacława. Straż wojskowa dla W. księcia. Wizyty i przejażdżki W. księcia. Żydzi i podatek koszerne. Położenie prasy. Projekt Krzywickiego. Zakaz dziennikom pomieszczania artykułów wstępnych. Artykuł „Gazety szląskiej”. Oczyszczanie urzędów. Dymisye i nominacje. Paulucci i Podwysocki. Dymisya prezydenta Wojdy. Życie domowe Wielopolskiego. Przyjęcia poniedziałkowe. Państwo Keller. Artykuł w „Indépendance belge”. Projekt Sądu głównego. Wydział duchowny. Zwiększenie etatu konsystorskiego. Seminarium. Projekt dotyczący duchownych, oskarżonych o zbrodnię stanu. Sprawa małżeństw mieszanych. Śledztwo w sprawie zamachu na W. księcia. Jaroszyński zrazu odmawia wszelkich zeznań, wreszcie przyznaje się. Oddany pod sąd polowy. Sąd publiczny.

Obrona mecenasa Grobickiego. Wyrok i odpowiedź audytoryatu wojskowego. Zatwierdzenie wyroku i wrażenie, jakie on wywarł. Zakończenie. Str. 1 — 116.

Rozdział XVIII. Myśl zamachu na Wielopolskiego. Ludwik Ryll i jego przeszłość. Spotkanie się z Janickim. Schadzka na Foksalu. Inne schadzki. Różne projekta dokonania zamachu. Schadzka d. 7 sierpnia. Instrukcja dana Ryllowi. Oczekuje on na dziedzińcu Komisji skarbu na Wielopolskiego. Szczególny zbieg okoliczności. Zamach. Schwytanie Rylla. Wrażenie w mieście i składanie powinszowań. Mowa Wielopolskiego do Rady miejskiej. Depesze telegraficzne. Postępek Zamoyskiego. Głosy prasy jawnej. Śledztwo w sprawie Rylla. Aresztowanie Jarosława Dąbrowskiego. Przygotowania do nowego zamachu na margrabiego. Jan Rzońca i jego przeszłość. Zamach. Schwytanie Rzońcy. Jego zeznania i śledztwo. Depesze kondolencyjne. Wizyty. Straż i ostrożności. Usiłowanie zatrucia margrabiego. Rozporządzenie o kapeluszach. Protest szlachty pińskiej. Artykuły „Gazety polskiej” i „warszawskiej”. Śmierć Jaroszyńskiego. Cud. Głosy prasy tajnej. Sąd nad Ryllem i Rzońcą. Zachowanie się i obrona tego ostatniego w sądzie. Powieszenie Rylla i Rzońcy. Nabożeństwa żałobne za straconych. Prasa tajna. Dwa okólniki Krzywickiego. Odezwa W. ks. Konstantego. Zdanie o niej i wrażenie, jakie wywarła. Narady w Dyrekcyi białej. Deputacya do margrabiego i jego odpowiedź. Intryga hr. Przeździeckiego i Węgleńskiego. Rozmowa Zamoyskiego z W. księciem. Wrażenie tej rozmowy. Dyrekcyja biała zwołuje szlachtę do Warszawy. Narady. Zapytanie W. księcia i odpowiedź zjazdu. Sprawa adresu do W. księcia upada. Pomysł podania adresu Zamoyskiemu. Treść tego adresu. Wręczenie go Zamoyskiemu. Rada Wielopolskiego. Rozkaz dany Sierżputowskiemu. Podróż do Petersburga. Rozmowa Sierżputowskiego z cesarzem. Wizyty dygnitarzy. Deklaracya Zamoyskiego. Rozmowa z cesarzem. Wyjazd p. Andrzeja do Paryża. Wrażenie w Warszawie i pogłoski. Artykuł gazety „Journal de St. Petersbourg”. Odezwa lubelska i „Dziennik powszechny”. „Komunały”. Poczta i zarząd komunikacyi. Latarki i stan wojenny. Oczynszowanie włościan. Umowy dobrowolne. Objaśnienie prawa o oczynszowaniu. Topografowie wojskowi i ich propaganda. Zdanie Czerwonych o oczynszowaniu. „Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa”. Delegacye czynszowe i ich wnioski. Niewiara powszechna w trwałość nowego prawa. Zakończenie. Str. 116—228.

Rozdział XIX. Komitet i jego członkowie: Agaton Giller, Szwarce, Koskowski. Organizacya Komitetu. Organizacya na Litwie. Czasopismo „Ruch”. Poczta. Myśl stworzenia tajnego państwa polskiego. Instrukcyja dla organi-

zacyi powstańczej. Ustrój Komitetu centralnego. Naczelnicy miasta. Policya rządowa w Warszawie i na prowincyi. Aresztowanie 66 osób i ogłoszenie instrukcyi przysiężenia. Odpowiedź na nie Komitetu centralnego. Zniesienie szkoły podchorążych w Cuneo. Cechy tej młodzieży. Oskarżenia Mierosławskiego. Dziennikarstwo włoskie. Komitet emigracyjny. Mierosławski i czasopismo „Baczność”. Wysłanie Kurzyny do Warszawy. Komitet odrzuca jego propozycyą. Kurzyna ustanawia Komitet rewolucyjny. Jego skład i ustawa. Nowy naczelnik miasta Zygmunt Padlewski. Odezwa Komitetu centralnego do włościan. Odezwa z d. 1 września i jej skutki. Podróż Gillera i Padlewskiego do Londynu. List Komitetu centralnego do Hercena i jego odpowiedź. Jego odezwa do oficerów rosyjskich. Nowy Komitet. Policyan-ci angielscy. Aresztowania oficerów. Felkner i jego zabicie. Sprawa chełmska. Starczewski i jego zdrada. Rozkaz Komitetu centralnego. Zabicie Starczewskiego i Czerniakówny. Aresztowania. Witkowski prowadzi śledztwo. Jego zręczne postępowanie. Rozbicie organizacyi lubelskiej. Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym. Kartka o poborze. Wyjście z Komitetu Daniłowskiego i Koskowskiego. Ogłoszenie ustawy Komitetu rewolucyjnego przez „Dziennik powszechny”. Odpowiedź na to Komitetu centralnego. List Mierosławskiego do dzienników francuskich. Nowy skład Komitetu centralnego. Godlewski, Bogdanowicz i Oskar Aweyde. Komitet wileński. Zwierzdowski, Kalinowski i Duloran. Ich spory. Komitet ruski. Antoni Juryewicz. Zjazd młodzieży w Krakowie. Misya Stefana Bobrowskiego. Rada naczelna galicyjska. Układ z Komitetem centralnym. Akces duchowieństwa do Komitetu. Odpust na Łysej górze. Zjazd w Świętomarzu. Uchwała zjazdu. Zjazd w Kłoczewie i jego uchwały. Odezwa duchowieństwa. Zachowanie się ks. biskupa Benjamina. Zjazd w Biskupicach. Zjazd unicki w Leśny. Rozprawy i fatalny wypadek. Zjazd we Wrocieryżu. Odezwa Białych do rzemieślników. Wyjazd Padlewskiego do Petersburga. Powstanie Komitetu „Zemia i Wola”, oraz Komitetu polskiego petersburskiego. Relacya Padlewskiego o rewolucyonistach rosyjskich. Zakończenie.....Str. 228—343.

Rozdział XX. Ogólne zebranie Rady stanu. Szkoła główna. Obsadzenie katedr profesorskich. J. K. Wołowski. W. Dutkiewicz. Wł. Holewiński. Wydział fizyko-matematyczny. Frączkiewicz. Natansohn. Prażmowski. Cienkowski i Dybowski. Uroczysta instalacya dwóch wydziałów. Mowa Krzywickiego. Przedstawienie się ciała proferskiego namiestnikowi. Dr. Józef Mianowski i jego nominacya na rektora Szkoły głównej. Wydział filologiczno-historyczny. Józef Kowalewski. Inauguracya dwóch ostatnich wydziałów. Mowa Krzywickiego. Uroczyste otwarcie Szkoły głównej. Mowy Krzywickiego i Mia-

nowskiego. Mowa Wielopolskiego do profesorów. Pobór do wojska. Obawy Wielopolskiego i jego projektu. Pobór, jako środek polityczny. Opór wojskowych. Wielopolski zwycięża i jego projekt idzie do Petersburga. Zatwierdzenie projektu i jego ogłoszenie w „Dzienniku powszechnym”. Powody takiego postąpienia. Uwagi czynione margrabiemu i jego odpowiedź. Nacisk organizacji na Komitet. Okręg kolei warszawsko-wiedeńskiej. Położenie Komitetu centralnego. Kartka o poborze. Głos „Strażnicy”. Rady powiatowe i komisje konskrypcyjne. Dekret Komitetu centralnego nakazujący zniesienie Rad. Przybycie gwardyi do Warszawy. Pułk wołyński u W. księcia i Ramsaya. Zachowanie się ludności warszawskiej wobec gwardyi. Adresy szlachty prowincyi zabranych. Historia adresu gubernii podolskiej. Aresztowanie marszałków szlachty. Historia adresu mińskiego. „Strażnica” o adresie podolskim. Komisje konskrypcyjne. Wypadki w Rypinie. Upór Wielopolskiego. Unikanie poboru. Tajny reskrypt Komisji spraw wewnętrznych. „Czas” publikuje ten reskrypt. Wrażenie w dziennikarstwie europejskiem. Przybycie Orłowa i narada w Zamku. Decyzja zapadła na tej naradzie. Artykuł „Czasu” o brance i mowa ks. Czartoryskiego. Komitet centralny uchwała dyslokacją spisowych. Zakaz rozszerzania organizacji. Rozkaz do władz rządowych. Dyslokacja w Lublinie i na Podlasiu. Komitet postanawia sprowadzić broń. Fundusze Komitetu. Komisja broni w Paryżu. Historia Abichta i jego aresztowanie. Aresztowanie trzech agentów Komitetu w Paryżu. Sierakowski i inni dowódcy przyszłego powstania w Warszawie. Narady i postanowienia. Plany Sierakowskiego, Miłkowskiego i Padlewskiego. Wykrycie drukarni „Ruchu”. Zjazd biskupów w Warszawie. List arcybiskupa Przyłuskiego. Sprawa Kraszewskiego. Zjazd Białych w Warszawie. Zakończenie. Str. 343 -447.

Dokumenta.

- No 1) Mój pobyt w Warszawie (pamiętnik ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego).... Str. 447-481
- No 2) Okólnik Komitetu centralnego.. Str. 481-482.
- No 3) Odezwa Komitetu centralnego z sierpnia 1862r..... Str. 482-483.
- No 4) Program Komitetu centralnego.. Str. 483-485.
- No 5) Korespondencya w sprawie rozwiązania szkoły w Cuneo..... Str. 485-486.
- No 6) Odezwa do braci Polaków w szeregach austriackich..... Str. 486-487.
- No 7) Odezwa Kom. centr. do włościan. Str. 487-489.
- No 8) Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym..... Str. 489-490.
- No 9) Protokół duchowieństwa polskiego Str. 490-494.

No 10) Odezwa duchowieństwa.... Str. 494.

No 11) Adres szlachty gubernii podolskiej Str. 494-497.

Spis treści

Tom I	3
Przedmowa	5
Spis bibliograficzny	9
Rozdział I	29
Rozdział II	83
Rozdział III	141
Rozdział IV	209
Spis rozdziałów	271
 Część pierwsza	
 Tom II	275
Rozdział V	277
Rozdział VI	359
Rozdział VII	455
Rozdział VIII	551
Dokumenta	625
Spis rozdziałów	659
 Tom III	663
Rozdział IX	665
Rozdział X	741
Rozdział XI	809
Rozdział XII	953
Dokumenta	1013
Spis rozdziałów	1031

Część druga

Tom IV	1035
Rozdział XII	1037
Rozdział XIV	1115
Rozdział XV	1185
Rozdział XVI	1245
Dokumenta	1313
Spis rozdziałów	1341
 Tom V	 1347
Rozdział XVII	1349
Rozdział XVIII	1431
Rozdział XIX	1511
Rozdział XX	1591
Dokumenta	1667
Spis rozdziałów	1715

Na podstawie wydań z lat 1892-1896
ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Wydawca



Graf_ika
Usługi Wydawnicze
Iwona Knechta

Opracowanie graficzne i przygotowanie do druku

Graf_ika
Usługi Wydawnicze
Iwona Knechta

przy współpracy



Gopher u.r.p. Andrzej Famielec
www.gopher-urp.pl

Sprzedaż i dystrybucja
Graf_ika Usługi Wydawnicze Iwona Knechta
tel. 660 422 919; 22 625 13 94
www.graf-ika.pl; graf_ika@wp.pl

© Copyright by Graf_ika, 2020
Wszelkie prawa zastrzeżone

zapraszamy do naszego sklepu internetowego
www.sklep.graf-ika.pl



ISBN 978-83-65602-99-2

Warszawa 2020